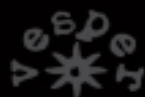


# OPOWIEŚCI MIŁOSNE ŚMIERTELNE I TAJEMNICZE



EDGAR ALLAN POE  
ILUSTRACJE HARRY CLARKE



# Edgar Allan Poe

## Opowieści miłosne, śmiertelne i tajemnicze

wybrał, opracował i postłowie opatrzył

Maciej Płaza



Opowieści miłosne, śmiertelne i tajemnicze

Copyright for this edition © by Vesper, Poznań 2009

All rights reserved

Copyright for the illustrations © by Harry Clarke

Copyright for the translation © Bolesław Leśmian (*Berenice; Morella; Czarny kot; Serce – oskarżycielem; Maska Śmierci Szkarłatnej; Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem; Rękopis znaleziony w butli*); Stanisław Wyrzykowski (*Ligeja; Eleonora; Metzengerstein; Bies przewrotności; William Wilson; Beczka Amontillado; Żabi Skoczek; Studnia i wahadło; Król Mór; Owalny portret; Zagłada domu Usherów; Przedwczesny pogrzeb; Rozmowa Monosa z Uną; Rozmowa Eirosa z Charmionem; Złoty żuk; Zabójstwo przy rue Morgue; Tajemnica Marii*)

*Rogét; Skradziony list; Człowiek tłumy; W bezdni Maelströmu; Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaala; Bujda balonowa); Krystyna Tarnowska (Sfinks; Okulary; Kariera literacka JWP Fintiflucha Boba); Anna Staniewska (Anioł dziwnych przypadków; Tysiącza i druga opowieść Szeherazy); Wiesław Furmańczyk (Tyś nim jest!); Marian Stemar (Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket); Bronisław Zieliński (Zaesowanie agapitu).*

Do tłumaczy i spadkobierców tłumaczy kilku opowiadań zamieszczonych w tej publikacji nie udało się nam dotrzeć. Osoby zainteresowane proszone są o kontakt z wydawcą.

Wydawca: Włodzimierz Wieczorek

Wybrał, opracował i posłowiem opatrzył Maciej Płaza

Redakcja: Paulina Wierzbicka

Korekta: Aleksandra Krasucka

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być reprodukowana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem zacytowania krótkich fragmentów przez recenzenta.

Dystrybucja:

In Rock

ul. Gdyńska 30 A

64-004 Czerwonak

tel./fax (061) 8686795

[milosnik@inrock.pl](mailto:milosnik@inrock.pl)

[www.inrock.pl](http://www.inrock.pl)

Vesper

[www.vesper.pl](http://www.vesper.pl)

ISBN 978-83-7731-162-2

# Berenice

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas <sup>1</sup>.

Ebn Zaiat

Nieszczęście ma postać rozmaitą. Wielokształtna jest marność tej ziemi. Na wzór tęczy rozpostarta ponad rozległym widnokręgiem posiada barwy tak samo różnorodne, tak samo poszczególnie odmienne, a przecież tak samo ścisłym spojone węzłem. Rozpostarta nad rozległym widnokręgiem na wzór tęczy! Jakim sposobem godło piękna mogłem przedzierzgnąć w symbol brzydoty? Ze znamienia zgody i pokoju uczynić smutkom przenośnię? Lecz jako w świecie etycznym złe jest wynikiem dobrego, tak samo w świecie rzeczywistym z radości rodzą się bóle. Albo wspomnienie minionego szczęścia rozpaczą napełnia dzień dzisiejszy, albo męka, która się staje, ród swój wywodzi od uniesień, które stać się mogły.

Zamierzam opowiedzieć zdarzenie, którego treść jest pełna zgrozy. Przemilczałbym je chętnie, gdyby nie było raczej kroniką wrażeń niż zdarzeń. Na imię mam Egeusz, nazwisko – pominę milczeniem. Nie ma w kraju pałacu bardziej obarczonego sławą i wiekiem niż moje melancholijne i stare gniazdo rodzinne. Ród nasz od dawna przezywano rodem wizjonerów i rzeczywiście w niektórych zastanawiających szczegółach – w charakterze naszego magnackiego domu – we freskach głównej sali – w obiciach komnat sypialnych, w rytowniczych ozdobach słupów zbrojowni, a przede wszystkim w galerii starych obrazów, w zewnętrznym pozorze biblioteki i wreszcie w zgoła osobliwej zawartości owej biblioteki – tkwi coś, co aż nadto usprawiedliwia owo mniemanie.

Wspomnienia moich lat młodocianych wiążą się ściśle z ową komnatą i z jej foliałami, których treść zgoła przemilczę. Tam właśnie umarła moja matka. Tam właśnie przyszedłem na świat. Wszakże nadaremnie by twierdzono, że nie istniał uprzednio – że duch mój nie posiadał trwania przedstworzonego. Przeczyście temu? Poniechajmy wszelkich pod tym względem sporów. Mam przekonanie osobiste i nie zamierzam przekonywać innych. Istnieje zresztą pewne wspomnienie kształtów bezcielesnych, oczu niewidzialnych a wymownych, dźwięków melodyjnych a pełnych melancholii – wspomnienie, które się wzbrania wszelkim

odlotom, rodzaj pamięci podobnej do mętnego, zmiennego, nieokreślonego cienia, i dopóki mój duch będzie słoneczniał, dopóty nie mogę się zgodzić na rozłąkę z tym cieniem, który jest rzeczywistością.

W tej to właśnie komnacie przyszedłem na świat. Z odmętów długiej nocy, która miała pozór, lecz nie była nicością, wyłoniłem się po to, aby wkroczyć nagle w krainę baśni, w pałacowe przepychy fantazji, w dziwaczne dziedziny myśli i wiedzy klasztornej. Nie dziw tedy, że przerażonym a płomiennym wzrokiem badałem świat dookolny, że dzieciństwo spędziłem wśród ksiąg, a młodość roztrwoiłem na marzeniach; lecz zastanawia ta okoliczność, że gdy lata upływały i południe dojrzałego wieku zastało mnie jeszcze żywcem w gnieździe mych przodków – zastanawia, powtarzam, ta okoliczność, że bijące źródła mojego życia zaprawiły się nagłym zastojem, że w kierunku najwłaściwszego mi myślenia stał się przewrót zupełny. Zjawiska rzeczywistości potraçały o mnie jak sny, tylko jako sny, podczas gdy szaleńcze pomysły krainy snów stały się w zamian nie tylko strawą mego codziennego istnienia, lecz stanowczo jedynym i całkowitym istnieniem w samym sobie.

\*\*\*

Z Berenice łączyły mnie węzły pokrewieństwa i wzrastaliśmy razem w gnieździe ojczystym. Lecz wzrastaliśmy odmiennie, ja – chorowity i spowinięty w melancholię, ona zwinna, urocza i obdarzona nadmiarem sił żywotnych; jej działem była włóczęga po wzgórzach, moim – samotnicze zgłębianie ksiąg; jam żył sam w sobie, ciałem i duchem oddany najusilniejszym i najmозolniejszym rozmyślaniom – ona bez troski szła przez życie, nie myśląc o cieniach tkwiących na drodze i o niemym odlocie kruczo oskrzydłonych godzin. Berenice! Wymawiam jej imię – Berenice! – i ze zmurszałych ruin mej pamięci na skinięcie tego dźwięku wynika tysiąc burzliwych wspomnień! Ach, postać jej żywcem stoi mi w oczach,

jak w pierwszych dniach naszych uniesień i naszego wesela! O, wspaniałe, a jednak fantastyczne piękno, o, sylfida z gajów Arnheimskich! O, najada wpośród kaskad! A potem – a potem wszystko staje się tajemnicą i zgrozą, powieścią, która się nie chce wypowiedzieć. Choroba, choroba złowieszcza dopadła jej ciała jak samum i nawet wówczas, gdy ją oglądałem, duch przemian snuł się po niej i opanowywał ją, przenikając na wskroś jej duszę, jej nawyknięcia, jej charakter i zakłócając w sposób najniepochwytniejszy i najstraszliwszy nawet tożsamość jej istoty! Niestety, oprawca przyszedł i odszedł, lecz ofiara, lecz istotna Berenice – kędyż się podziła? Tej, która trwała, nie znałem, a w każdym razie nie poznawałem już w niej Berenice.

Nieodparta i zasadnicza niemoc, która tak straszliwym przewrotem dotknęła jej ciała i ducha, przyprawiła ją jednocześnie o liczny szereg chorób. Wśród nich muszę wymienić, jako najsmutniejszy i najuporczywszy objaw, rodzaj epilepsji, która często kończyła się katalepsją – katalepsją mającą całkowity pozór śmierci, a z której Berenice ocykała się niekiedy gwałtownym i nagłym ocknieniem. W tym samym czasie moja choroba – gdyż zdaniem ogólnym nie mogłem innym nazwać jej imieniem – moja choroba wzrastała szybko i wskutek pogorszenia objawów pod wpływem nadużycia opium nabrała ostatecznie cech nowej i niezwyklej monomanii, z godziny na godzinę, z minuty na minutę szerzyła się z większą mocą i wreszcie pozyskała nade mną zbyt osobiwą i niepojętą władzę. Monomania owa, jeśli koniecznie mam używać tej nazwy, polegała na chorobliwej podnieśliwości władz umysłowych, które język filozoficzny określa słowem: uwaga. Jest to bardziej niż prawdopodobne, że nie jestem zrozumiała, lecz obawiam się doprawdy, że zgoła nie potrafię udzielić przeciętnemu czytelnikowi dokładnego pojęcia o tym nerwowym natężeniu bacności, dzięki której zdolności myślenia – że uniknę tutaj fachowej terminologii – skupiały się i zaprzepaszczwały w oglądaniu najcodzienniejszych przedmiotów.

Niestrudzone i wielogodzinne rozmyślenia z uwagą przykutą do byle jakiego błahego przypisu na marginesie lub w tekście książki, skupione tkwienie duchem przez większą część dnia letniego w dziwacznym cieniu,

który ukosem wydłużał się na ścianach lub na podłodze, zapamiętałe przez noc całą wpatrywanie się w sztywny płomień lampy lub w żuźle kominka, całodzienna zaduma o woni jakiegoś kwiatu, jednostajne powtarzanie jakiegokolwiek potocznego słowa aż do chwili, gdy jego dźwięk pod przymocą powtarzań przestawał udzielać myślom jakiegokolwiek treści, zatracanie wszelkiego poczucia ruchu lub istnienia fizycznego za pomocą bezwzględnych i uporczywie przedłużanych znieruchomień – oto niektóre z najogólniejszych i najmniej groźnych zbroczeń mego umysłu, zbroczeń, które z pewnością nie były całkiem pozbawione uzasadnień, lecz bezwarunkowo urągały wszelkim tłumaczeniom i wszelkiej analizie.

Jeszcze jeden szczegół – chcę bowiem, aby mnie dobrze zrozumiano. Nienormalna, natężona i chorobliwa uwaga, budzona błahymi skądinąd przedmiotami, posiada tego rodzaju pozory, iż nie należy jej mieszać z właściwą każdemu człowiekowi skłonnością do marzeń, którym przede wszystkim hołdują osoby obdarzone płomienną wyobraźnią. Nie tylko nie jest ona, jak to można na pierwszy rzut oka przypuścić, najwyższym stopniem i wyolbrzymieniem owej skłonności, lecz przeciwnie, posiada źródłowe i rdzenne różnice. W pierwszym wypadku marzyciel, posiadacz wyobraźni, pociągnięty przedmiotem zazwyczaj niebłahym, z wolna traci z oczu ów przedmiot pod nawałą wysnutych zeń wniosków i napomknien tak, że przy końcu swych marzeń, częstokroć pełniących się rozkoszą, całkowicie zatracą i zapomina pobudkę, czyli pierwoprzyczynę zadumy. W moim zaś wypadku punkt wyjścia bywa stale błahy, chociaż w środowisku chorobliwych przywidzeń nabiera urojonej i widmowej doniosłości. Wniosków wyprowadzam mało, jeśli je w ogóle wyprowadzam, i w danym razie zdążają one powrotnie do głównego przedmiotu jak do ogniska. Zaduma nigdy nie dostarcza rozkoszy i przy końcu marzeń pierwsza pobudka, daleka od zniknięcia mi z oczu, dosięga tej nadprzyrodzonej wyolbrzymiałej bacności, która stanowi główną cechę mej choroby. Słowem władza umysłowa, która we mnie szczególniejszej podlega podnieciu, jest zdolnością uwagi, podczas gdy u zwykłego marzyciela jest ona zadumą.



Książki, które w tym okresie czasu czytałem, jeśli nie syciły bezpośrednio mej choroby swą treścią, w każdym razie, jak to łatwo zgadnąć, swym kierunkiem marzeniowym i bezrozumnym zadość przytakiwały głównym cechom samej choroby. Przypominam sobie bardzo dokładnie między innymi traktat dostojnego Włocha Coeliusa Secundusa Curiona *De Amplitudine Beati Regni Dei*, wielkie dzieło świętego Augustyna pt. *Gród Boży* oraz *De Carne Christi* Tertuliana, którego niepojęte zdanie: *Mortuus est Dei Filius, credibile est quia ineptum est; et sepultus resurrexit, certum est quia impossibile est*<sup>2</sup> – pochłonęło wyłącznie całą moją usilność w ciągu kilku tygodni pilnych i bezpłodnych badań.

Ci i owi bez wątpienia pomyślą, że mój rozum, tracący równowagę pod wpływem blahostek, był poniekąd pokrewny owej skale morskiej, o której Ptolemeusz Hefestion opowiada, że opierała się niewzruszenie wszelkim napaściom ludzkim i straszliwszym jeszcze wściekłościom wałów wodnych i wichrów, a drżała jedynie pod dotykiem kwiecia zwanego asfodelą. Umysł mało spostrzegawczy uważałby za rzecz zgoła prostą i niewątpliwą, że straszliwa zmiana, która pod wpływem nieszczęsnej choroby zaszła w stanie duchowym Berenice, winna była dostarczyć mi niejednej pobudki do owych natężonych i nienormalnych rozmyślań, których istotę z pewnym trudem odsłoniłem. Otóż nic podobnego nie miało wcale miejsca. W przestankach mej choroby jej klęska sprawiała mi wprawdzie ból, często i z goryczą rozmyślałem o tajemniczych i dziwnych drogach, na których mógł się odbyć tak cudaczny i nagły przewrót. Lecz rozmyślania owe nie miały nic wspólnego z idiosynkrazją mej choroby; były tego rodzaju, że mogłyby w podobnych okolicznościach nawiedzić pierwszego lepszego śmiertelnika. Co się tyczy choroby, wiernej swym własnym zamysłom, znalazła ona strawę w zmianach mniej ważnych, lecz bardziej uderzających, które się zaznaczały w istocie fizycznej Berenice, w szczególnym a straszliwym rozprężeniu jej tożsamości osobistej.

W najśłodszych dniach rozkwitu jej nieporównanego piękna nie kochałem jej nigdy, jestem tego aż nadto pewien. W moim dziwacznie

zboczonym życiu nie doznawałem nigdy uczuć z serca pochodzących i namiętności moje zawsze wylęgały się w mrokach rozumu. Poprzez biel zmierzchową – w południe, wśród zwiłanych cieniów leśnych, i nocą w ciszy mej biblioteki – jawiła się mym oczom i oglądałem ją – nie jako Berenice żywą i dyszącą, lecz jako Berenice w snach przywidzianą, nie jako istotę ziemską, istotę cielesną, lecz jako widmo owej istoty – nie jako zdobycz ukochań, lecz jako powód do rozmyślań tyleż zawiłych, ile błędnych. A obecnie – obecnie drżałem na jej widok, bladłem, gdy się zbliżała. Wszakże gorzkim lamentem opłakując w duchu jej zgubę, pomny byłem na to, że kochała mnie długo, i w złej chwili napomknąłem jej o ślubie.

Zbliżał się wreszcie dzień naszego ślubu, gdy w zimowe popołudnie, podczas jednego z tych samozwańczo ciepłych, cichych i omglonych dni, które nianczą piękną Halcyonę<sup>3</sup> – siedziałem, sądząc się samotnym, w gabinecie bibliotecznym. Lecz, uniósłszy wzwyż oczu, postrzegłem Berenice, która stała przede mną.

Byłże to skutek zbyt rozżarzonej wyobraźni, czy też wpływ mgieł dookolnych, czy raczej działanie mętnych zmierzchów komnaty – lub może oblekająca jej ciało mglista szata udzieliła drżenia i nieokreśloności zarysom jej postaci? Nie umiem na to odpowiedzieć. Być może urosła od czasu swej choroby. Nie rzekła ani słowa, ja zaś za nic w świecie nie chciałem uronić jednej zgłoski. Zimny dreszcz przeniknął moje ciało, przytłoczyło mnie uczucie trwogi nie do zniesienia. Pochłonna ciekawość ogarnęła mą duszę i na opak odwróciwszy się w fotelu, trwałem czas pewien bez tchu i bez ruchu, ze wzrokiem przykutym do tej osoby. Niestety, zmarniała doszczętnie i ani jeden pozór jej dawnego kształtu nie przetrwał i nie przechował się ani w jednym zarysie postaci. Wreszcie wzrok mój żarliwie zdążył do jej twarzy.

Czoło wysokie i bardzo blade jaśniało niezwykłym spokojem, a włosy niegdyś czarne jak węgiel przesłaniały je częściowo i ociemniały zapadłe skronie bezlikiem kędziorów, obecnie znojnje złocistych, których powab fantastyczny wyprzysięgał się uparcie panującej na obliczu melancholii. Oczy były bez życia i bez blasku, jak gdyby pozbawione źrenic, tak że

mimo woli odwróciłem się od ich szklistych znieruchomień, aby przenieść wzrok na zwężone i pokurczone wargi. Te rozwarły się i w dziwnie porozumiewawczym uśmiechu odsłoniły z wolna moim oczom zęby tej nowo powstałej Berenice. O, gdybyż Bóg pozwolił, abym ich nigdy nie widział lub, raz ujrzawszy, skonał!

\*\*\*

Zaniepokoił mnie skrzyp drzwi zamykanych i podnosząc oczy stwierdziłem, że moja krewna opuściła alkowę. Lecz białe i straszliwe widmo jej zębów nie opuściło i nie chciało opuścić obłąkanej alkowy mego mózgu. Nie było ani jednego szczerbu na ich powierzchni, ani jednej skazy na ich emalii, ani jednej cętki na ich krawędzi, której by ów uśmiech przelotny nie zdążył zakarbować w mej pamięci! Teraz właśnie widziałem je daleko wyraźniej niżli przed chwilą. – Zęby! – Zęby! – Były tu, były tam – były wszędzie – widzialne, namacalne, tuż przede mną. Długie, wąskie i niezwykle białe z pokurczonymi wokół bladymi wargami, które rozwarły się straszliwie, jak to czyniły uprzednio. Wówczas szal mej monomanii objawił się w pełni i nadaremnie borykałem się z jej niepokonanym i cudacznym wpływem. Wśród niezliczonych przedmiotów świata zewnętrznego nie znalazłem dla swej myśli innej ostoi prócz owych zębów. Pałałem ku nim żądzą rozszalałą. Wszelkie przedmioty, wszelką ku różnym rzeczom ciekawość pochłonał ten jedyny sen o zębach. One i tylko one stały przed oczami mego ducha i ich wyłączna odrębność przedzierzgnęła się w treść mego życia duchowego. Po całych dniach miałem je w oku. Oglądałem je na wszelkie sposoby. Badałem ich swoistość. Wypatrywałem ich szczególne oznaki. Rozmyślałem o ich kształcie. Zastanawiałem się nad zmiennością ich natury. Drżałem w chwili, gdy w wyobraźni przypisywałem im wrażliwość i uczuciowość, a nawet zdolność odzwierciedlania stanów ducha bez pomocy ust. Bardzo trafnie powiedział ktoś o pannie Salle, że każdy jej krok był

wzruszeniem, w stosunku zaś do Berenice byłem głębiej jeszcze przeświadczony, że każdy jej ząb był zagadką. Zagadką! – Oto myśl niedorzeczna, która mnie zgubiła! Zagadką! – Oto więc przyczyna, dla której tak obłądnie pożądałem tych zębów! Czułem, że jedynie posiadanie ich może mi przywrócić spokój i rozum.

I tak zadumanego dosięgnął mnie wieczór – i cienie przyszły, utrwaliły się i odeszły, nastał dzień nowy i mgły następnej nocy spiętrzyły się wokół mnie – a ja wciąż trwałem nieruchomy w tej komnacie samotnej, wciąż w postawie siedzącej, wciąż pogrążony w zadumie – i wciąż widmo zębów dzierżyło swą władzę straszliwą z najżywszą i najpotworniejszą wyrazistością, majacząc tam i sam wskroś zmienne światła i cienie komnaty. I wreszcie wśród ostępów mych marzeń rozległ się wielki krzyk zgrozy i przerażenia, i po krótkiej chwili nastąpił po nim zgiełk głosów złamanych, przerywanych głuchymi jękami bólu czy też żałoby. Wstałem i otworzywszy drzwi biblioteki, znalazłem w sieni służącą całą we łzach, która mi oświadczyła, że Berenice już nie żyje! Epilepsja zaskoczyła ją nad ranem i teraz z nadejściem nocy mogiła wyczekiwała swej przyszłej mieszkanki, i wszystkie przedwstępne do pogrzebu czynności były już dopełnione.

\*\*\*

Z sercem pełnym trwogi i obarczony obawami, z odrazą podążyłem do sypialni zmarłej. Pokój był obszerny i bardzo ciemny, i na każdym kroku potykałem się o sprzęty pogrzebowe. Kotarami łóżka, jak mi rzekł służący, osłonięto trumnę i w tej trumnie, jak dorzucił głosem cichym, tkwiło to wszystko, co zostało z Berenice. Któż to był, co się mnie spytał, czyli chcę widzieć zwłoki? Nie postrzegłem, aby się poruszyły czyjekolwiek wargi. A jednak pytanie zadane było wyraźnie i echo ostatnich zgłosek trwało jeszcze w komnacie. Nie mogłem dać odpowiedzi odmownej i z uczuciem zgnębienia przywlokłem się do krawędzi łoża.

Uchyliłem z lekka posępnych fałd zasłony, lecz umknąwszy mym dłoniom, spadły mi na plecy i dzieląc mnie od świata żyjących, zespoliły mnie najściślejszym węzłem komunii ze zmarłą.

Całe wnętrze komnaty tchnęło śmiercią, lecz osobliwy zaduch trumny przyprawiał mnie o zawrót głowy i zdawało mi się, że śmiertelne wyziewy dobywają się już z trupa. Oddałbym świat cały za możliwość ucieczki, za możliwość pozbycia się jadowitych wpływów śmierci, za jeden choćby łyk świeżego powietrza zaczerpniętego z wiecznotrwałych niebiosów. Lecz nie miałem już sił poruszyć się z miejsca, kolana uginały się pode mną i wrosłem, zda się, w ziemię, nieruchomo wpatrując się w sztywnego trupa, poległego wzdłuż na dnie rozwartej trumny.

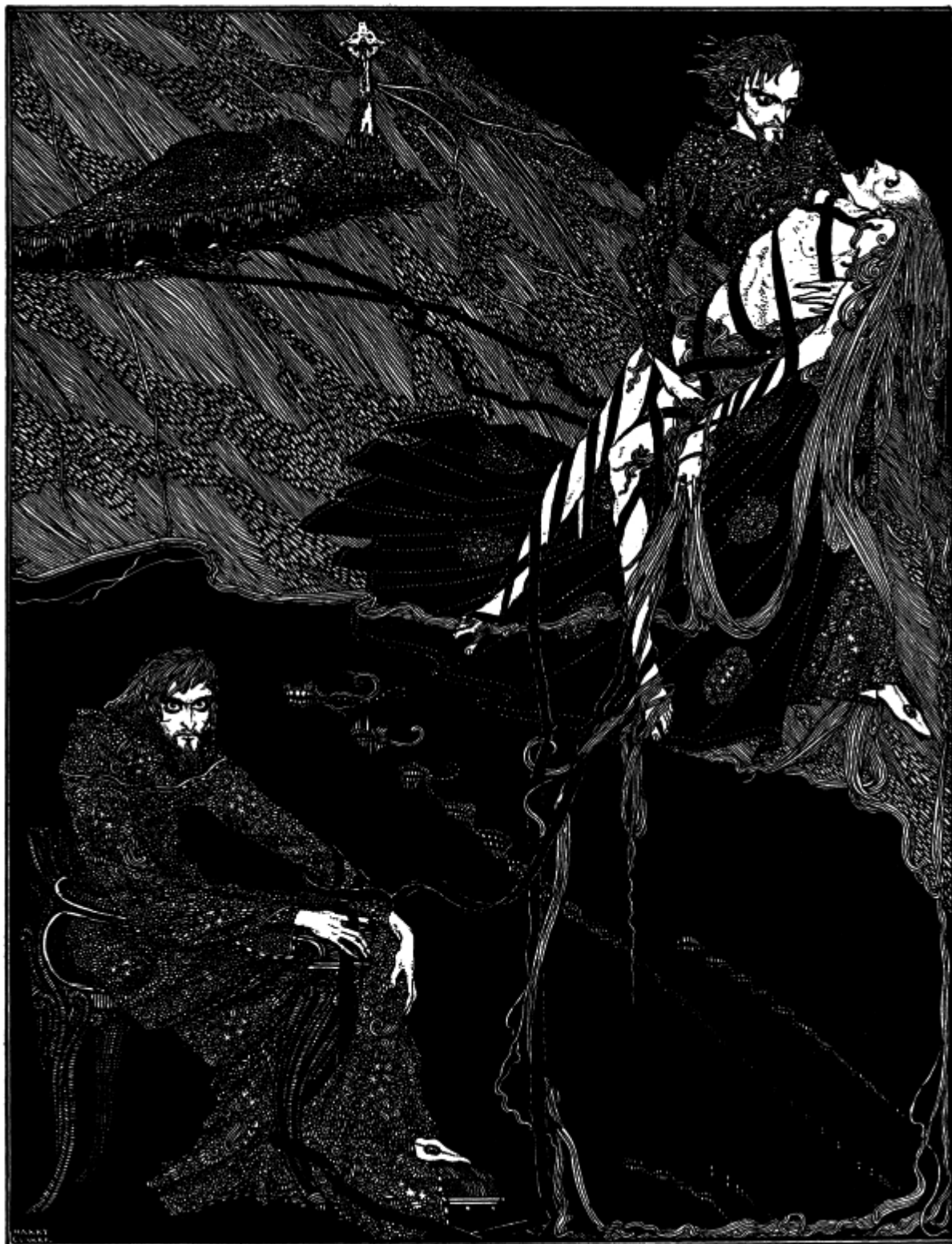
Boże w niebiosach! Czyliż to możliwe? Czy rozum mi się obłąkał, czy też palec zmarłej zakrzętnął się w białym płótnie, które ją oblekało? Zdjęty dreszczem niewypowiedzianego strachu uniosłem z wolna oczy, aby się w twarzy trupa rozejrzeć. Opaską przewiązano mu szczęki, lecz nie wiem, jakim sposobem opaska zdołała się rozwiązać! Zsiniałe wargi kurczyły się w rodzaj uśmiechu i spoza ich posępnej ramy białe, połyskliwe, straszne zęby Berenice wpatrywały się we mnie, aż nadto jeszcze żywe w swej nieodpartej jawie. Konwulsyjnie odrzuciłem się od łoża i nie mówiąc ani słowa, uciekłem jak szalony z tego przybytku tajemnicy, zgrozy i śmierci.

\*\*\*

Ujrzałem się znów w bibliotece. Trwałem siedząc – byłem sam. Zdawało mi się, że ocknąłem się z mętnych i niespokojnych snów. Postrzegłem, że była północ, a przyłożyłem wszelkich zabiegów, aby Berenice pochowano po zachodzie słońca. Lecz nie zachowałem dość trwałego i dość określonego wspomnienia tych zdarzeń, które zaszły w tej posępnej przerwie. A mimo to wspomnienia owe pełne były zgrozy, zgrozy tym straszliwszej, że nieokreślonej, przerażeń tym straszliwszych, że

mglitych. Była to jakby krwawa karta w kronice mego istnienia, zapisana od końca do końca wspomnieniami ciemnymi, potwornymi i niepojętymi. Staralem się ją odcyfrować, lecz na próżno. Wszakże od czasu do czasu, na kształt duszy przebrzmiałego dźwięku, zdawał się dzwonić w mych uszach krzyk słaby i przenikliwy – krzyk kobiecy. Popelnilem coś, co się już nie odstanie – lecz cóż by to było? Głośno zadawałem sam sobie owo pytanie i echo komnaty szeptało w odpowiedzi: cóż by to było?

Na stole przede mną płonęła lampa i w jej pobliżu stała mała szkatułka hebanowa. Styl tej szkatułki nie był godzien uwagi i już ją częstokroć widywałem, ponieważ była własnością lekarza domowego. Lecz jakim trafem zjawiała się tu, na moim stole, i czemu drżałem na jej widok? Były to błahostki, na które nie warto zwracać uwagi, lecz wzrok mój upadł wreszcie na kartę jednej książki otwartej i na zdanie podkreślone. Były to osobliwe, lecz proste słowa poety Ebna Zaiata: *Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas*. Czemuż, gdym słowa te czytał, włosy zjeżyły mi się na głowie i krew zastygła w mych żyłach?



BYŁA TO JAKBY KRWAWA KARTA W KRONICE MEGO ISNIENIA

Zapukano z lekka do drzwi biblioteki i, blady jak przybysz z tamtego świata, wszedł na palcach służący. Oczy miał obłąkane przerażeniem i rzekł mi coś głosem bardzo cichym, drżącym i zdławionym. Co mi powiedział? Posłyszałem kilka zdań na chybił trafił wyrwanych. Powiedział, jak mi się zdaje, że straszliwy krzyk zakłócił ciszę nocną – że zbiegła się cała służba, że podążono w ślad za owym dźwiękiem – i w końcu głos jego stał się wyraźny aż do stopnia zgrozy, gdy mówił mi o pogwałceniu grobu, o zwłokach zeszpeconych, odartych z całunu, lecz jeszcze dyszących – jeszcze drgających, żywych jeszcze!

Spojrzał na moje szaty – były zbryzgane błotem i krwią. Nie mówiąc ani słowa, ujął mnie za rękę – zdradzała ślady paznokci ludzkich. Skierował moją uwagę na pewien przedmiot tkwiący u ściany. Przyglądałem mu się przez minut kilka: był to rydel. Z krzykiem dopadłem do stołu i pochwyliłem szkatułkę hebanową, lecz zbrakło mi sił, aby ją otworzyć. Wymknęła mi się z drżących rąk, upadła ciężko i stłukła się na kawałki – i wypadło z niej, tocząc się z wrzaskliwym szczękiem żelastwa, kilka narzędzi dentystycznych, a wraz z nimi trzydzieści dwa drobne, białe, barwy kości słoniowej przedmioty, które rozsypały się po podłodze.

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*

<sup>1</sup> Dicebant mihi sodales... (łac.) – Mówili mi towarzysze, że gdybym odwiedził mogiłę kochanki, ulżyłbym nieco mojemu smutkom (przyp. red.).

<sup>2</sup> Mortuus est Dei Filius... (łac.) – Umarł syn Boży – jest to prawdopodobne dlatego właśnie, że niedopuszczalne; i pogrzebiony zmartwychwstał – jest to pewne dlatego właśnie, że niemożliwe (przyp. tłum.).

<sup>3</sup> Ponieważ zimową porą Jowisz obdarowuje ludzi po dwakroć siedmioma ciepłymi dniami, ludzie zwykli nazywać ten łagodny i łaskawy



czas niańką pięknej Halcyony (przyp. aut., pominięty przez tłumacza –  
tłum. red.)

# Morella

Samo w sobie i przez się,  
w niezmiennej bytującej tożsamości.

Platon: *Uczta*

Uczucie, którego doznałem wobec mej przyjaciółki Morelli, było głębokim, lecz zgoła swoistym uczuciem przywiązania. Odkąd traf – przed lat szeregiem – zdarzył mi ową znajomość, serce moje od pierwszej chwili naszego spotkania zawrzało nieznanym mu dotychczas płomieniem. Nie od Erosa wszakże ów płomień pochodził – toteż duchowi memu bolesną zgryzotą stało się wzrastające przeświadczenie, iż nigdy nie zdołam określić niezwykłych tego płomienia znamion, ani uśmierzyć jego błędnych rozzarzeń. Tak czy owak – upodobaliśmy sobie nawzajem, i przeznaczenie połączyło nas wobec ołtarza. Nigdy nie mówiłem o pożądaniu, nigdy nie marzyłem o miłości. A jednak – Morella unikała zgiełku światowego i jej wyłączna do mnie przynależność czyniła, że byłem szczęśliwy. Jest szczęście w zdziwieniu – a we śnie czyliż zarówno szczęście nie przebywa?

Morella posiadała wiedzę głęboką. Mam nadzieję, iż złożę dowody niepośledniości jej talentów. Potęga jej umysłu była nadludzka. Nie uszło to mej baczności i pod wieloma względami stałem się jej uczniem. Wkrótce jednak postrzegłem, że Morella, ulegając presburskim wpływom swego wykształcenia, olśniewała mnie całym szeregiem owych dzieł mistycznych, którym zazwyczaj przypisują wartość mętów pierwotnej literatury niemieckiej. Księgi te – dla niedostępnych mym zrozumieniom powodów – były przedmiotem jej stałych i ulubionych zajęć, a jeżeli z biegiem czasu stały się tym samym dla mnie, przyczyn po temu szukać należy jedynie w niezawiłym, lecz nieodpartym wpływie przyzwyczajenia i przykładu.

Nie poblądzę, jeśli powiem, że umysł mój w całej tej dziedzinie nie znajdował żadnego ujścia swym czynnościom. Albo zatraciłem już wiedzę o sobie samym, albo światopogląd mój u swoich podstaw był doszczętnie wyzbyty ideału i o ile nie mylę się zasadniczo – ani w mym życiu, ani w mym myśleniu nie można było wysledzić najmniejszych zakusów mistycznych, pokrewnych rodzajowi mego czytelnictwa. Przekonany o tym, poddałem się na oślep przywództwu mojej żony i wkroczyłem bez wahania w labirynt jej badań. I wówczas, gdy, zatopiony w księgach wyklętych, czułem, jak się we mnie duch wyklęty rozniecał, Morella

jawiała się tuż, aby swą chłodną dłoń położyć na mej dłoni i z popiołów martwej filozofii wygarnąć kilka znaczenia pełnych a osobliwych wyrazów, które mocą swej treści dziwacznej ryły się w mej pamięci. Natenczas godzinami trwałem, marząc, u jej boku i chłonałem melodię jej głosu, aż do chwili, gdy owa melodia, przedłużona w czasie, zaprawiała się grozą – i cień padał na mą duszę – i bladłem – i drżałem w sobie na odgłos tych zbyt nieziemskich dźwięków. I oto – upojenie nicestwiało nagle od przerażeń – i wzór piękna stawał się wzorem grozy, jak ongi dolina Hinnomu – Gehenną.

Za zbędne uważam ustalenie dokładnej poznaki owych zagadnień, które, jako posiew ksiąg wspomnianych, stanowiły przez czas długi wyłączną niemal treść rozmów moich z Morellą. W lot je pochwyć znawcy owej dziedziny, której można przydać nazwę wiedzy teologicznej, zaś niewtajemniczeni, tak czy owak, jeno cząstkę maluczką wyrozumieć potrafią. Dziwotworny panteizm Fichtego, pitagorejska odmiana palingenezy, a przede wszystkim nauka o tożsamości w tym kształcie, w jakim ją Schelling podaje, dostarczały zazwyczaj rozmowom tych zadzierzgnięć, z których wyobrażenia Morelli snuła dla siebie najwięcej oczarowań. Ową tożsamość, mianowicie tożsamość jednostki, Mr. Locke, jak mi się zdaje, słusznie utwierdza na wiekuistości istoty rozumnej. O ile pod jednostką pojmujemy treść myślącą, obdarzoną rozumem, i o ile istnieje świadomość, która nieustannie myśleniu towarzyszy, o tyle i przede wszystkim świadomość owa pozwala nam być tym, co przezywamy sobą, odgraniczając nas w ten sposób od reszty istot myślących i udzielając nam naszej tożsamości osobistej. Lecz *principium individuationis* – zasada owej tożsamości, która po śmierci trwa lub nie na zawsze zanika, stała się dla mnie nieustannym i najżarliwszym wysiłków pełnym zagadnieniem, nie tylko na skutek niepokojącej i zawilej natury pochodnych od niej wniosków, lecz i na skutek osobliwego a gorączkowego rodzaju wysłowień, w które ją ujmowała Morella.

Lecz zaprawdę nastały oto czasy, gdy tajemniczość, właściwa przyrodzeniu mej żony, zaczęła mię przytłaczać na kształt brzemienia czasu. Nie mogłem nadal znosić dotyku jej bladych palców ani

piersiowych dźwięków jej śpiewnej mowy, ani poblasku jej oczu melancholijnych. Wiedziała o tym, lecz nie czyniła mi żadnych wyrzutów. Była snadź świadoma mej niemocy, czy też mego opętania i – uśmiechnięta nazywała to Przeznaczeniem. Była też snadź świadoma nieznanej mi przyczyny, która stopniowo odmieniła moje uczucia; wszakże nie udzielała mi żadnych tłumaczeń i nie napomykała nigdy o rodzaju owej przyczyny. Lecz pomimo wszystko Morella była tylko kobietą i nikła mi w oczach z dniem każdym. Czas upływał i szkarłatne piętna utrwały się niezmiennie na jej twarzy, a błękitne żyły jej bladego czoła nabrzmiały. Serce moje nieraz wzbierało żalostí, lecz po chwili trafiałem na błysk jej oczu, brzemiennej zadumy, i duch mój wówczas czuł się nieswojo i doznawał oszołomień, jak człowiek, którego wzrok pogrążył się w jakąś ponurą a niezgłębioną przepaść.

Mam-że wyznać, że z natężoną i pochłonną żądzą wyczekiwałem chwili zgonu Morelli? Wyznaję, iż tak było... Wszakże znikomy duch trwał czepliwie w swej glinianej lepiance przez długie dni, przez długie tygodnie i przez długie, niezdolne miesiące, aż wreszcie udręczone nerwy moje odniosły tryumf nad rozumem; szal mię ogarniał na widok tych zapóźnień i z szatańskim gniewem przekląłem dni i godziny, i chwile znojne, które zdawały się dłużyć i dłużyć bezustannie wobec zaniku jej dostojnego żywota, jak cienie wobec konającego dnia.

Wszakże – pewnego wieczoru jesiennego – gdy przestwór drzemał bez ruchu w niebiosach, Morella przywołała mię do swego wezgłowia. Mgła przesłoniła całą ziemię, a na wodach tkwił ciepły pobrzask. Na widok olśnień pałdziernikowych w gęstwinie leśnej zdawać by się mogło, że wspaniała tęcza samochcąc spadła z firmamentu.

– Oto – dzień dni – rzekła Morella, gdym się do niej zbliżył – dzień najpiękniejszy dla życia lub dla śmierci. Dzień to czarowny dla synów ziemi i życia – ach! stokroć czarowniejszy dla cór nieba i śmierci!

Ucałowałem jej czoło, zaś ona mówiła dalej:

– Umieram, a jednak żyć będę.

– Morello!

– Nie było ich nigdy – owych dni, które by ci pozwoliły na miłowanie mojej osoby, lecz tę, którąś w życiu znienawidził, w śmierci ukochasz.

– Morello!

– Mówię: umieram. Wszakże tkwi we mnie rękojmia tego przywiązania – (ach! jakże kruchym ono było!) – które miałeś dla mnie – Morelli. Gdy duch mój odleci – żyć zacznie dziecię – dziecię przynależne tobie i mnie – Morelli. Dni twoje będą dniami smutku, który wśród uczuć jest najtrwalszym uczuciem, jak cyprys – najżywotniejszym drzewem wśród drzew; minęły bowiem godziny twej radości – nie przydano weselu dwukrotnych zbiorów w jednym życiu, jak różom w Paestum – dwa razy do roku. Nie będziesz odtąd czynił z czasu zabawy, jaką czynił ów, co z Teosu pochodził. Zapoznasz mirtu i wina i powleciesz za sobą wszędy po ziemi swój całun jak muzułmanin z Mekki.

– Morello! – zawołałem – Morello! Skądże ci wiadomo? – Lecz ona odwróciła twarz ku poduszkom. Lekki dreszcz przebiegł jej ciało – umarła – i nie słyszałem odtąd jej głosu.

Tymczasem, zgodnie z jej przepowiednią, dziecko, które, umierając, obdarzyła życiem, a które westchnęło dopiero wówczas, gdy matka oddychać przestała, jej dziecko, jej córka żyć zaczęła. Rosła dziwnie i ciałem, i duchem, i stała się doskonałym odwzorem zmarłej i pokochałem ją miłością płomienniejszą, niżli ta, której spodziewałem się doznać dla jakiegokolwiek mieszkanki tej ziemi.

Wszakże błękit tej czystej miłości zasępił się prędej, niż myślałem – i melancholia – i lęk – i utrapienie przesunęły się po nim na kształt obłoków. Jakom rzekł wyżej, dziecko dziwnie rosło i ciałem, i duchem. Dziwił – zaiste – pośpieszny rozkwit jego ciała – lecz straszny – o! straszny był zgiełk tych myśli, które mię tłoczyły wówczas, gdy śledziłem rozwój jego istoty duchowej. Czyż mogłem czuć się inaczej, gdy co dzień w pojęciach dziecka wykrywał siły dojrzałe i przepychy kobiece? – gdy doświadczone zdania padały z ust dziecięcych? – gdy widziałem co chwila, jak w tych czarnych i zadumanych źrenicach płonęła mądrość i dojrzała namiętność? – Gdy, powtarzam, wszystko to uderzyło moje przerażone zmysły – gdy duch mój uczył niemożliwość zatajania tego przed sobą

samym – a rozedrgane władze mego umysłu nie mogły już odepchnąć tej pewności – czyż można się było wobec tego dziwić, że podejrzenia straszliwe i trwożne przedostały się do mej duszy lub że myśli moje, tknięte przerażeniem, przeniosły się w dziwaczny świat baśni i przenikliwych pomysłów zmarłej Morelli? Usunąłem sprzed ciekawych oczu świata istotę, którą los mi kazał ukochać, i w surowym osamotnieniu mego domostwa czuwałem z niepokojem śmiertelnym nad wszystkim, cokolwiek dotyczyło umiłowanego przeze mnie stworzenia.

I w miarę tego, jak lata upływały, i w miarę tego, jak oglądałem co dzień jej święte, słodkie, wyrazu pełne oblicze i postrzegałem dojrzewanie jej kształtów, odsłaniały się przede mną co dzień coraz to nowe cechy podobieństwa pomiędzy dzieckiem a matką, pomiędzy melancholią a śmiercią. I z godziny na godzinę cienie tego podobieństwa gęstwiały i coraz bardziej uzupełniając i wyraźniej, coraz mocniej niepokoiły i coraz widmowiej przerażały swym widokiem. Albowiem podobieństwo jej uśmiechu do uśmiechu matki mogłem jeszcze uznać – lecz podobieństwo owo było – tożsamością, która mię przejmowała dreszczem. Winienem był znosić podobieństwo jej oczu do oczu Morelli, lecz właśnie oczy te przenikały głębię mego ducha dziwną i natężoną zadumą samej Morelli. I w zarysie jej wzniosłego czoła, i w pierścieniach jej jedwabistych warkoczy, i w białych palcach, które miały zwyczaj grążenia się w nich, i w poważnym a śpiewnym brzmieniu mowy, zaś przede wszystkim – o, przede wszystkim! – w zdaniach i w rodzaju wysłowień zmarłej, zjawionych na ustach umiłowanej a żywej, odnajdywałem pokarm dla okropnej a pozerającej myśli – dla czerwia, który umrzeć nie chciał.

Tak przeminęły dwa pięciolecia jej istnienia, a córka moja trwała na ziemi wciąż – bezimienna. „Dziecko moje” i „miłość moja” oto były zwykłe nazwy, które mi uczucie ojcowskie podsuwało, zaś surowa odludność jej istnienia przeciwiała się wszelkim innym określeniom. Imię Morelli wraz z nią umarło. Nigdy o matce nie mówiłem wobec córki: nie mogłem o tym mówić. W istocie podczas krótkiego okresu swego istnienia ta ostatnia nie otrzymała od świata zewnętrznego żadnych wrażeń prócz tych, które mogła pozyskać w ciasnych granicach swej samotni. Koniec końcem

wszakże obrzęd chrztu zdał mi się w tym stanie rozdrażnień i wzburzeń szczęśliwym wyzwoleniem od zmór przeznaczenia. I przy chrzcielnicy ociągałem się z wyborem imienia. I tłumy nazw przydanych mądrości i pięknu oraz imion pradawnych i teraźniejszych, ojczystych i cudzoziemskich, stłoczyły się na mych wargach, i mnóstwo imion czarownych, znaczących dostojność, szczęście i cnotę. I cóż mię wówczas znagliło do zakłócenia pamięci pogrzebanej martwicy? Jakież to demon skusił mnie do wytchnięcia dźwięku, na którego wspomnienie samo krew zazwyczaj falami upływała mi od skroni do serca? Jakież to zły duch zagadał z głębi mego wnętrza, gdy pod mrocznymi sklepieniami i wpośród milczenia nocy szepnąłem do ucha świętej istoty te zgłoski: „Morella”? I któż inny prócz demona pokurczył rysy twarzy mojej córki i powlókł je barwą śmierci, gdy drżąc na ledwo pochwytany dźwięk tego imienia, swe jasne źrenice przeniosła z ziemi ku niebu i padłszy wzdłuż na czarne płyty naszego rodzinnego grobowca, odrzekła: „Oto jestem!”.





I ZIEMIA ODTĄD POCIEMNIAŁA, I WSZELKIE POSTACI  
ZIEMSKIE PRZESUWAŁY SIĘ PRZED MYMI OCZYMA JAKO CIENIE

ODLOTNE I WPOŚRÓD NICH WIDZIAŁEM TYLKO - MORELLE!

Dobitne, zimne, niewzruszenie dobitne zabrzmiały w mych uszach te słowa, pełne prostoty, i zowąd, niby ołów rozżarzony, przelały się, sycząc, do mego mózgu. Lata, lata minąć mogą, lecz pamięć tej chwili – przenigdy! Ach! Kwiaty i latorośl winna nie były dla mnie czymś, czegom nie zaznał – jeno tojad i cyprys mroczyły mi dnie i noce. Zatraciłem wszelkie poczucie czasu i przestrzeni, i gwiazdy moich przeznaczeń pierzchły z niebiosów, i ziemia odtąd pociemniała, i wszelkie postaci ziemskie przesuwwały się przed mymi oczyma jako cienie odlotne i wpośród nich widziałem tylko – Morellę! Wiatry niebieskie jedno tylko imię szeptały mi do ucha i gęźba morza nieustannie szemrała: „Morella”! Ona wszakże zmarła i własnoręcznie poniosłem ją na cmentarz, i zaśmiałem się gorzkim a długotrwałym śmiechem, gdy w mogile, gdzieem złożył wtórą, nie odnalazłem żadnych poszlak pierwszej Morelli.

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*



# Ligeja

I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnice woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko możną wolą, dzięki swemu natężeniu przenikającą wszechrzeczy. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątej jego woli.

Joseph Glanvill

**K**lnę się na mą duszę, iż nie mogę sobie przypomnieć, jak, kiedy, a nawet gdzie poznałem po raz pierwszy Lady Ligeję. To już tyle lat temu i nadmiar cierpień zwałił moją pamięć! A może i dlatego nie umiem uprzytomnić sobie teraz tych szczegółów, że charakter mej umiłowanej, niezwykle jej wykształcenie, dziwny, choć spokojny typ jej urody jako też przenikliwa i ujarzmiająca wymowa jej niskiego, melodyjnego głosu tak z wolna, tajemnie i stopniowo torowały sobie drogę do mojego serca, iż szczegóły te przeszły nieznane i niepostrzeżone. Wszelako sędzę, iż poznałem i spotykałem ją najczęściej w jakimś wielkim, starożytnym, opustoszałym mieście, gdzieś nad Renem. To pewna, iż opowiadała mi o swej rodzinie, która wywodziła się niewątpliwie z czasów niezmiernie odległych. Ligeja! Ligeja! Pogrążyłem się w badaniach, które są tego rodzaju, iż bardziej od wszystkiego znieczulają na wrażenia świata zewnętrznego, a jednak dość mi jest tego jedyne, słodkiego słowa: Ligeja! – by przed oczyma mej wyobraźni przesunął się obraz tej, co już odeszła... Kiedy to piszę, przychodzi mi na myśl, iż nie znałem nigdy rodowego miana istoty, co była mą przyjaciółką i mą narzeczoną, co brała udział w mych dociekaniach i została w końcu mą ślubną oblubienicą. Byłoby to następstwem żartobliwego nakazu mej Ligei czy też świadectwem siły mych uczuć, iż nigdy nie zasięgnąłem o tym wiadomości? Lub czy nie wyniknęło to z własnej mej zachcianki i nie stanowiło rozkiełznania romantycznej ofiary na ołtarzu bezgranicznego umiłowania? Szczegół ten niewyraźnie majaczy w mych wspomnieniach; cóż więc dziwnego, iż zapomniałem zupełnie okoliczności, co go wywołały i z nim się skojarzyły? I zaiste, jeżeli kiedykolwiek Wid Baśni, jeżeli kiedykolwiek blada, uskrzydłona mrokami Asztofet bałwochwalczego Egiptu dziewosłębiła – jak powiadają – złowróbnym zaślubinom, to na pewno dziewosłębiła moim.

Pozostało wszakże pewne drogie wspomnienie, co do którego pamięć mnie nie zawodzi. Odnosi się ono do osoby Ligei. Z postawy była smukła, nieco szczupła, zaś pod koniec życia nawet wychudła. Daremnie siliłbym się na opis dostojeństwa i spokojnej swobody jej zachowania się, jako też niezrównanej lekkości i sprężystości jej chodu. Jawiła się i znikwała na

kształt cienia. Nie wiedziałem nigdy, kiedy wchodziła do mojej pracowni, i o jej obecności dawała mi znać dopiero miła muzyka jej słodkiego, głębokiego głosu oraz marmurowa jej dłoń, którą kładła na moim ramieniu. Pięknością twarzy nie dorównywała jej żadna kobieta. Był to niby rozblask snów wykołysanych przez opium, niby napowietrzna, wyszczytniająca ducha zjawą, cudniej boska niż zwidzenia, co snuły się nad uspionymi duszami dziew delijskich. Wszelako jej rysy nie okazywały bynajmniej owej prawidłowości, którą mylnie nauczono nas wielbić w klasycznych dziełach świata pogańskiego. „Nie masz doskonałego piękna – powiada Bacon, lord z Verulamu, zastanawiając się szczegółowo nad wszelakimi kształtami i rodzajami piękna – bez pewnej niezwykłości w umiarach”. Jakkolwiek więc widziałem, iż rysy Ligei nie posiadają klasycznej prawidłowości, jakkolwiek zdawałem sobie sprawę, iż uroda jej była istotnie „doskonała”, i czułem, że jest w niej coś „niezwykłego”, mimo to na próżno starałem się odkryć tę nieprawidłowość i określić ściśle własne me poczucie jej „niezwykłości”. Przyglądałem się liniom wyniosłego, bladego czoła: było nieskazitelne; lecz jak zimne jest to słowo w zastosowaniu do tak nadludzkiego dostojeństwa! Skronie władcze, szerokie, spokojne, o łagodnych wyniosłościach i lśniące, szczodre, sfalowane warkocze, godne najzupełniej homeryckiego określenia: hiacyntowe! Patrzyłem na misterną rzeźbę nosa – i krom przedziwnych medalionów hebrajskich nie znajdowałem nigdzie podobnej doskonałości. Okazywał on tę samą bujną płynność linii, miał tę samą, zaledwie dostrzegalną, orlą krzywiznę i te same harmonijnie wysklepione nozdrza, świadczące o niezależności ducha. Brałem pod rozwagę słodkie usta. Tchnęły one tryumfem rzeczy nieziemskich: wyniosły zakrój krótkiej wargi górnej; senna, rozkoszna miękkość dolnej; rozigrane dołeczki; wyraziste barwy; zęby o połysku niemal olśniewającym, rozwidniane wniebowziętym jaśnieniem jej spokojnych, łagodnych, lecz radośnie promiennych uśmiechów. Zastanawiałem się nad kształtami brody i znajdowałem wdzięk umiaru, słodycz i majestat, pełnię i przeduchowanie helleńskie; były to kształty, które bóg Apollo ukazał, lecz tylko we śnie,

Kleomenesowi, synowi niewiasty ateńskiej. A potem zatapiałem spojrzenie w wielkich źrenicach Ligei.

Dla oczu nie znajdujemy wzorów w odległej starożytności. Być może, iż to właśnie w oczach mej miłej kryła się tajemnica, o której wspomina lord Verulam. Moim zdaniem były one znacznie większe, niż zazwyczaj bywają oczy ludzkie, i ognistsze niżli oczy gazel z doliny Nurzahad. Wszelako ta właściwość zaznaczała się u Ligei tylko niekiedy, w chwilach wzmożonego podniecenia. Wówczas jej piękność bywała, a może tylko wydawała się mej rozplómiętej wyobraźni, pięknnością istot zabłąkanych z zaświata, pięknnością hurys sławionych przez mity tureckie. Skrzącącą czerń źrenic ocieniały rzęsy krucze i nadzwyczaj długie. Nie mniej czarne były brwi, nieco chwiejnie zarysowane. „Niezwykłość”, którą zauważyłem w tych oczach, nie wynikała wszakże ani z ich kształtu, ani z ich barwy, ani z ich blasku i polegała najprawdopodobniej na ich wyrazie. Ach, jakież beztreściwe słowo! Za szumną rozlewnością tego pustego dźwięku skrywa się nasza nieznajomość wielu zjawisk duchowych. Wyraz oczu Ligei! Ileż to razy rozmyślałem o nim! Na próżno trawiłem całe noce letnie, by go przeniknąć. Co to było w oczach mojej miłej – to coś, głębsze niż studnia Demokryta? Co to było? Uwzięłem się, chcąc odgadnąć. Te oczy! Te wielkie, świetliste, nieziemskie źrenice! Stały się dla mnie bliźniaczymi gwiazdami Ledy – ja zaś byłem najzbożniejszym ich astrologiem.

Śród wielu niepojętych dziwów psychicznych najbardziej zaciekawiającym i niepokojącym, acz pomijanym – jak mi się zdaje – dotychczas przez naukę, jest zjawisko, iż chcąc sobie coś dawno zapomnianego przypomnieć, stajemy niejednokrotnie tuż u rubieży przypomnienia, a jednak przypomnieć sobie nie możemy. Ileż to razy, zatapiając się w rozmyślaniach nad oczyma Ligei, czułem, iż jestem bliski pełnego poznania ich wyrazu, czułem bliskość tego poznania, lecz zarazem stwierdzałem, że nie jest ono jeszcze moje, i w końcu doszczętnie gubiłem jego wątek! I (o tajnio nieogarniona!) w najpospolitszych przedmiotach wszechistnienia dopatrywałem się całych kręgów podobieństw do tego wyrazu. Chcę przez to powiedzieć, iż z chwilą, kiedy



piękność Ligei wtargnęła do mej duszy i zajęła w niej miejsce gdyby w relikwiarzu, z wielu jestestw świata widomego wyczuwałem to samo uczucie, jakiego doznawałem w sobie i dokoła siebie pod wpływem jej wielkich, promienistych źrenic. Mimo to nie mogłem określić tego uczucia ani go zbadać, a chwilami nawet traciłem je z oczu. Powtarzam, iż rozpoznawałem je niekiedy, patrząc na szybki wzrost winogrodu lub zastanawiając się nad ćmą, nad motylem, nad przeobrażeniem się poczwarki, nad biegiem wartkiej wody. Wyczuwałem je w oceanie i w spadaniu meteorów. Wyczuwałem je w spojrzeniach zgrzybiałych starców. Znam na sklepieniu niebieskim jedną czy dwie gwiazdy (zwłaszcza jedną, gwiazdę szóstej wielkości, zmienną i dwoistą, znajdującą się w pobliżu wielkiej gwiazdy Liry), które, oglądane przez teleskop, przywodziły mi na myśl to uczucie. Odnajdowałem je w pewnych brzmieniach ostrunionych instrumentów muzycznych, a czasem w ustępach niektórych książek. Śród nieprzebranego mnóstwa innych przykładów przypominam sobie ustęp z jakiegoś dzieła Józefa Glanvilla, który (kto wie? – może dla swej cudaczności) zawsze rozbudzał we mnie to uczucie:

I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnicę woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko możliwą wolą, dzięki swemu natężeniu przenikającą wszechświaty. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątlej jego woli.

W przebiegu lat i na podstawie poniższych spostrzeżeń udało mi się istotnie wykryć pewną daleką łączność między tym ustępem angielskiego moralisty a jedną połacią charakteru Ligei. Nasilenie myśli, czynu i słowa było w niej prawdopodobnie wynikiem lub przynajmniej oznaką tego przepotężnego chcenia, co podczas długiego naszego obcowania w inny i więcej bezpośredni sposób zdołało dowieść swej obecności. Śród wszystkich znanych mi kobiet jedynie ona, ta zewnętrznie spokojna i zawsze panująca nad sobą Ligeja, bywała najbezwzględniej ofiarą sępich zawichrzeń okrutnej namiętności. Ale z namiętności tej zdawałem sobie sprawę tylko na podstawie cudownej rozprężności tych rozpajających i przerażających zarazem źrenic, na podstawie czarodziejskiej niemal wdzięczności, gibkości, wyrazistości i słodyczy jej niezmiernie głębokiego

głosu jako też na podstawie nieskieleżnanej mocy (zdwajanej jeszcze przez przeciwieństwo z właściwościami jej wysłowienia) szczególniejszych poglądów, które zdarzało się jej wygłaszać.

Wspomniałem o wykształceniu Ligei: było niezmierzone – nie spotykałem podobnego u innych kobiet. Posiadała głęboką znajomość języków klasycznych i – o ile mogłem sprawdzić – władała biegle nowoczesnymi językami europejskimi. I czy zdarzyło się kiedy, by Ligeja pomyliła się w jakiegokolwiek dziedzinie nauki, tak bardzo podziwianej i uwielbianej, a jednak tak mętnej? Przede wszystkim ten rys w naturze mojej żony tak dziwnie, tak przejmująco narzucał się mej baczności w ostatnim zwłaszcza okresie. Powiedziałem, iż żadna kobieta nie dorównywała jej wykształceniem, lecz czyż istnieje mężczyzna, któremu powiodło się zbadać nieprzejrane przestwory wiedzy filozoficznej, przyrodniczej i matematycznej? Nie rozumiałem wówczas tego, co teraz jasno pojmuję, iż wiadomości Ligei były bezgraniczne, osłupiające; ale zdawałem sobie sprawę z jej ogromnej przewagi i z dziecięcą ufnością powodowałem się wskazówkami wśród chaosu dociekań metafizycznych, które w pierwszych latach naszego małżeństwa pochłaniały mnie całkowicie. Kiedy zagłębiałem się w tych zagadnieniach, tak mało zbadanych a jeszcze mniej znanych, i kiedy ona pochylała się nade mną, z jakimś światowładnym tryumfem, z jakimś radosnym zachwytem, z jakąś wniebowstępną nadzieją doznawałem wrażenia, iż oto z wolna rozstępują się przede mną te przedziwne widnokreśli i ukazują się w głębi przejaska, długa i nie udeptana stopą ludzką ścieżka, mająca mnie zaprowadzić hen, wzwyż, ku celom Wiedzy, co zbyt jest cenna i zanadto boska, by nie miała być zabroniona!

Lecz z jakimś krwawym bólem spostrzegłem po kilku latach, iż moje najniezawodniejsze oczekiwania rozwijają skrzydła i gotują się do odlotu! Bowiem bez Ligei byłem tylko dzieckiem zbłąkanym wśród ciemności. Już sama jej obecność i sposób czytania rozwidniały niejedną tajemnicę transcendentalizmu, co nas pochłaniał. Bez promiennego blasku jej oczu umiejętność ta, złota i skrzydlata, mierzła niby saturnowe ołowię. Otóż te oczy coraz rzadziej i rzadziej jęły spoglądać na karty, co były przed-

miotem mych zadum. Ligeja zaniemogła. Zbyt – ach, zbyt świetnymi ogniami pałały dziwne jej źrenice; białe palce nabrały woskowej przejrzystości grobu, a błękitne żyłki na wyniosłym czole wznosiły się i opadały szybko za najlżejszym wzruszeniem. Widziałem, że musi umrzeć, i rozpaczliwie pasowałem się w duchu z okrutnym Azraelem. Lecz walka, którą podjęła ta namiętna istota, ku mojemu zdumieniu była jeszcze zapamiętała. Na podstawie pewnych właściwości jej głębokiej natury przypuszczałem, iż śmierć oszczędzi jej swych prerażeń, ale tak się nie stało. Nie ma słów na określenie nieugiętości oporu, jaki stawiała Widowi Cieniów. Skowytałem z żalości, patrząc na to bolesne widowisko. Chciałem pocieszać, chciałem koić rozumowaniem; lecz jej nieskiełznana żądza życia, życia i tylko życia była tak przepotężna, iż pociechy i rozumowania wydawały się istnym szaleństwem. Mimo to do ostatniej chwili, wśród mąk, co targały hardą jej duszą, nie postradała swej zewnętrznej pogody. Słodszym stał się jej głos, co jeszcze się pogłębił – wolałem jednak nie rozmyślać nad tajnym znaczeniem słów, spokojnie wypowiedzianych. Mózg mój nurzał się w obłędzie, gdym słuchał tej nieziemskiej melodii, tych zachceń i uroszczeń, o jakich przedtem nie śniła ludzkość.

Że mnie kochała, to nie ulegało wątpliwości; i łatwo przyszło mi zdać sobie sprawę, że miłość, co włada w duszy tej miary, nie może być zwyczajną namiętnością. Lecz dopiero w obliczu śmierci pojałem w całej pełni siłę jej uczuć. Trzymając mnie za rękę, całymi godzinami darzyła mnie szczodrą nadmiarem swego serca, którego przenamiętą czułość graniczyła z ubóstwieniem. Czymże zasłużyłem na szczęście takich wyznań? Czymże zasłużyłem na przekleństwo utraty mej miłej w chwili, kiedy do nich przyszło? Lecz mówić o tym dłużej jest nad moje siły. Pragnąłbym tylko nadmienić, iż to niekobiece już zapamiętanie się Ligei w miłości, co, niestety, była darem niezasłużonym i niegodnej ofiarowaną duszy, naprowadziło mnie w końcu na źródło jej tęsknoty oraz nieskiełznanie dzikiej żądzy życia, które tak szybko gasło. Dać wyobrażenie o tej nieukojonej tęsknicy, o tym rozpętanym do szaleństwa

pragnieniu życia, i tylko życia – nie jest w mej mocy i słów mi już nie staje.

O północnej godzinie, kiedy duch jej gotował się już do odlotu, przyzwała mnie skinieniem jeszcze raz ku sobie i prosiła, bym odczytał jej wiersze, które ułożyła na kilka dni przedtem. Uczyniłem zadość jej życzeniu. Brzmiały one następująco:

Oto godowa noc  
Śród lat, co w smętnych zgasły snach!  
Skrzydlatych, jasnych duchów moc,  
W zasłonach i we łzach,  
Patrzy na dramat, który gra  
Nadzieja, to znów strach,  
A gęźbą sfer rozbrzmiewa donośną  
Wszystek teatru gmach.  
Aktorzy – z kształtów ni to Bóg,  
Jak pszczelny szemrzą ul,  
Błądnie szukając dróg.  
Te kukły swych się jęły ról  
Z woli bezkształtnych jakichś lich,  
Co sieją w tłumy, jak w skiby pól,  
Z sępich, rozwitych skrzydeł swych  
Niewidzialny ból.  
Pstry dramat! Lecz po wieków wiek  
Nie zginie o nim wieść:  
Wiecznie trwać będzie Widziadła bieg  
I tłumy za sobą wieść  
Po kole... krąże więc, koło, krąż,  
By znów się w siebie wpleść!  
Te same szwały i winy wciąż  
I groza... dramatu w niej treść!  
Lecz patrz! w pobliże płochych rzesz  
Potwór się chyłkiem wkradł –  
Z wolna na scenę pełźnie od dźwierz

Ohydny, krwawy gad.  
Już wpełzł! Już straszny zaczął łów  
Śród trwoźnych ludzkich stad.  
Łkają serafy widząc, jak z kłów  
Sączy posokę i jad.  
Już koniec – światła już mrą...  
Na ból, co każdy pręży nerw,  
Z szelestem jak śmiertelne gźło  
Spada zasłona – ale wpierw  
Anioły w męce podnoszą głos,  
Bładości swych nie kryjąc lic,  
Że dramat ten – to człowieczy los,  
W którym mogilny zwycięża czerw.

– O Boże! – zawołała Ligeja, kiedy skończyłem czytanie, i zrywając się z łóżka, kurczowym ruchem wyciągnęła ku niebu ramiona. – O Boże! Ojczy Niebieski! Czyż tak być musi nieodmiennie? Czyż tego pogromcy nigdy nie uda się pogromić? Czyliż nie jesteśmy częstką i działką Twoją? Kto, kto zbadał tajemnice woli oraz jej moce? „Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątlej jego woli”.

Po czym, jak gdyby wyczerpana nadmiarem wzruszeń, opuściła swe białe ramiona i powróciła w skupieniu na łożo śmierci. Wydając ostatnie tchnienie, cichym szeptem drgnęły jej usta. Nachyliłem się ku niej i znów doleciały mnie końcowe słowa z przytoczonego ustępu Glanvilla: „Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątlej jego woli”.

Umarła, ja zaś, strącony w proch bólem, nie mogłem znieść dłużej beznadziejnej samotności pobytu w mglistym, opustoszałym mieście nad Renem. Nie zbywało mi na tym, co świat zowie bogactwem. Ligeja wniosła mi w posagu znacznie więcej, o wiele więcej, niż zazwyczaj dostaje się w udziale ludziom śmiertelnym. Jakoż po kilku miesiącach utrudzającej i bezcelowej tułaczki nabyłem i podźwignąłem z upadku pewne (nazwę jego przemilczę) opactwo w najdzikszej i naj-

odludniejszej okolicy pięknej Anglii. Posępny i smętny majestat budowli, dziki niemal wygląd włości tudzież żalosne i czcigodne, a związane z nimi podania godziły się przedziwnie z uczuciem zupełnego osamotnienia, co mnie zagnało w te odległe i niezamieszkane strony. Nie tykając niemal opactwa od zewnątrz i pozostawiając mu pozory zagrzęźłej w zieleni ruiny, z dziecięcą jakąś przewrotnością, a może też ze słabą nadzieją ukojenia swych smutków, jałem urządzać je wewnątrz z nieledwie królewskim przepychem. Od dzieciństwa nabrałem upodobania do podobnych szaleństw, a teraz powróciły one niby mrzonka zgryzoty. Niestety, sam czułem, ile zawiązków obłędu tailo się we wspaniałych, fantastycznych oponach, w hieratycznych rzeźbach egipskich, w dziwacznych gzymsach i sprzętach tudzież w chimerycznej wzorzystości kobierców przetykanych złotymi kwiatami! Opętało mnie opium i uczyniło swym niewolnikiem, a moje prace i zamiary nabrały zabarwienia mych snów. Lecz wolę nie rozpatrywać szczegółowo tych niedorzeczności. Chciałbym tylko wspomnieć o pewnej komnacie, którą przekląłem na wieki, a do której poprowadziłem od ołtarza jako mą oblubienicę, jako następczynię niezapomnianej Ligei – jasnowłosą i błękitnooką Lady Rowenę Trevanion z Tremaine.

Wszystkie szczegóły architektoniczne i zdobnicze tej ślubnej komnaty stanęły mi w tej chwili przed oczyma. Co się działo w duszach dostojnej rodziny panny młodej, gdy oślepią blaskiem złota pozwoliła swej ukochanej córce przekroczyć progi mieszkania w ten sposób urządzonego? Powiedziałem, że pamiętam ten pokój do najdrobniejszych szczegółów, a jednak ze zgryzoty zapomniałem rzeczy bardzo ważnych, w tym zaś fantastycznym kramie nie było ładu ni składu, które by narzucały się pamięci. Komnata owa znajdowała się w wysokiej wieżycy warownego opactwa, była znacznych rozmiarów i miała kształt pięcioboku. Południową ścianę tego pięcioboku tworzyło okno – olbrzymia szyba z weneckiego szkła, jednolita płyta o zabarwieniu ołowianym, które sprawiało, iż wpadające do wnętrza promienie słońca lub księżyca nadawały przedmiotom połysk widmowy. Górną część tego ogromnego okna ocieniała krata upowita latoroślami prastarego winogrodu,

rozpiętego na potężnych murach wieżycy. Strop z poczerńniętego dębu był nadzwyczaj wysoki, sklepiony i suto ozdobiony najosobliwszymi i najpotworniejszymi rzeźbami w stylu na poły gotyckim, a na poły druidycznym. Z kasety, znajdującej się w samym środku tego posępnego sklepienia, na pojedynczym, złotym, o wydłużonych ogniwach łańcuchu zwisała olbrzymia panew, wykonana na wzór saraceński z tego samego kruszcu i opatrzona licznymi otworami, rozmieszczonymi w ten sposób, iż z węzową jak gdyby rączością przewijały się przez nie różnobarwne płomienie.

W różnych miejscach stało kilka otoman oraz kilka złotych wschodnich świeczników; ponadto znajdowało się tam łoże – ślubne łoże, niskie, wyrzeźbione z hebanu na modłę hinduską i osłonięte baldachimem podobnym do całunu. We wszystkich kątach komnaty wznosiły się ogromne sarkofagi, wydobyte z grobów królewskich opodal Luksoru i nakryte starożytnymi wiekami, na których widniały niepamiętne rzeźby. Najwyższe wszakże rozkiełznanie wyobraźni przejawiało się, niestety, w obiciach komnaty. Przeogromne, aż rażąco wysokie ściany były okryte od góry do dołu sutymi fałdami grubych, ciężkich opon, sporządzonych z tej samej tkaniny, co kobierzec na posadzce, co powłoki na otomanach i hebanowym łożu, co baldachim nad łożem i co okazałe zwoje portier przysłaniających w części okno. Tkaniną tą był drogocenny złotogłów. W nierównych odstępach widniały na nim arabeskowe figury mające mniej więcej stopę średnicy, a występujące z tła niezmiernie głęboką wzorów swoich czernią. Wszelako figury te zachowywały właściwy charakter arabesek tylko z jednego punktu widzenia. Za pomocą wynalazku znanego w naszych czasach powszechnie, a sięgającego odległej starożytności, zmieniały się one w wyglądzie. Kiedy wchodziło się do komnaty, sprawiały wrażenie zwykłych potworności; lecz w miarę jak postępowano się dalej i przechodziło z miejsca na miejsce, wrażenie to stopniowo pierzchało, a poczynał natomiast ze wszech stron kołować nieskończony korowód upiornych kształtów, należących do kręgu zabobonów normandzkich lub poczętych w zbrodniczych snach mnichów. Za oponami krążył nieustannie sztucznie tam wprowadzany silny prąd powietrza i

wzmagał jeszcze widmowość wrażeń, darząc wszystko rozedrganym, ohydnyim życiem.

W takiej to świetlicy, w takiej to ślubnej komnacie spędzałem z Lady z Tremaine bezecne chwile pierwszych poślubnych miesięcy, a spędzałem je próżen niemal troski. Nie mogłem nie spostrzec, że żona moja lękała się dzikości posepnego mego usposobienia, że unikała mnie i zbyt nie kochała, lecz sprawiało mi to poniekąd przyjemność. Nienawidziłem jej nienawiścią raczej demona niż człowieka. Pamięć moja pierzchała (och, z jakimż nieukojonym żalem!) w przeszłość, ku Ligei, ku tej pięknej, ku tej dostojnej, ku tej jedynej, ku tej umarłej. Lubowałem się rozpamiętywaniem jej czystości, jej wiedzy, jej szczytnej, przeduchowionej natury, jej przenamiętnej, rozmodlonej miłości. I stało się, że wszystek mój duch samorzutnie zajął się płomieniem, co z większą grzał mocą niż wszystkie jej ognie. W rozkołysaniu snów opiumowych (gdyż dałem się opętać zupełnie obierzom tej trucizny) zdarzało się, iż wśród ciszy nocnej powtarzałem głośno jej imię lub całymi dniami błąkałem się z nim na ustach po zacisznych ustroniach parowów, jak gdyby dzika zgryzota, wniebowzięta czułość i zabójczy żar mej tęsknicy za umarłą mogły przywołać ją z powrotem na szlaki ziemskie, które opuściła – ach, czyż podobna, by na zawsze?

Z początkiem drugiego miesiąca naszego pożycia małżeńskiego Lady Rowena zachorowała nagle i nieprędko powróciła do zdrowia. Trapiła ją nocami niewygasająca gorączka; w niespokojnym półśnie majaczyła o jakichś ruchach i szmerach, co rozlegały się w pokoju na wieży, a były – jak sądziłem – wytworem jej chorobliwej wyobraźni i poczynały się prawdopodobnie z magicznych uroków komnaty. Po pewnym czasie jęła odzyskiwać siły i w końcu wyzdrowiała. Lecz wnet potem druga, jeszcze groźniejsza niemoc powaliła ją znowu na łożo cierpienia; spod tego ciosu jej organizm nigdy nie podźwignął się zupełnie. Choroba jej przybrała odtąd zwrot niepokojący, zaś jeszcze bardziej niepokojąca była jej przewlekłość, urągająca wiedzy i staraniom lekarzy. W miarę jak wzmagala się ta długotrwała niemoc, co zapewne zbyt już głęboko zakorzeniła się w jej organizmie, by mogły przyjść jej z pomocą zabiegi



ludzkie, zauważyłem, iż wzrasta również nerwowe rozdrażnienie jej temperamentu jako też pobudliwość posunięta do tego stopnia, iż najpowszedniejsze nawet przyczyny przejmowały ją lękiem. Z jeszcze większą stanowczością i częściej niż poprzednio ją znów mówić o szmerach – o lekkich szmerach – i tajnych jakichś wśród opon poruszeniach, o których wspominałem już za pierwszym razem.

Pewnej nocy, pod koniec września, z większym niż zazwyczaj naciskiem starała się zwrócić moją uwagę na te niemiłe przewidzenia. Obudziła się właśnie z niespokojnego snu, ja zaś z uczuciem na poły lęku, na poły nieokreślonej grozy śledziłem wyraz jej wynędzniałej twarzy. Siedziałem na otomanie indyjskiej obok jej hebanowego łoża. Dźwignąwszy się nieco, mówiła przyciszonym, strwożonym głosem o szmerach, które co tylko usłyszała, a których ja słyszeć nie mogłem – o ruchach, które co tylko zobaczyła, a których ja dostrzec nie mogłem. Szybko wiatr krążył za oponami, chciałem ją przeto przekonać (w co zresztą – wyznaję otwarcie – sam niezupełnie wierzyłem), iż te nieujęteomal szemrania jako też te niedostrzegalne prawie zmiany w poruszeniach figur na ścianach były po prostu następstwem zwykłego prądu powietrza. Wszelako śmiertelna bladość, co oblokła jej lica, dała mi do poznania, że moje zabiegi, by ją uspokoić, spełzną na niczym. Zdawało się, że zemdleje, a służby w pobliżu nie było. Przypomniałem sobie, gdzie stała karafka lekkiego wina przepisanego jej przez lekarzy i pobiegłem po nie w głąb komnaty. Kiedym wszakże mijał światło panwi, dwie przerażające okoliczności zwróciły moją uwagę. Najpierw uczułem, iż musnął mnie z lekka w przejściu jakiś przedmiot dotykalny, lecz niewidzialny; po czym na złotym kobiercu, wśród promienistego kręgu utworzonego przez panew, ujrzałem cień, nikły, nieokreślony cień o anielskim wyglądzie – coś, jak gdyby poczęty w urojeniu wid cienia. Lecz nadmierna dawka opium podnieciła mnie do tego stopnia, iż nie zastanowiłem się nad tymi zjawiskami dokładniej i nie wspomniałem o nich Rowenie. Znalazłszy wino, przebiegłem z powrotem komnatę, napełniłem nim kubek i przybliżyłem go do ust bliskiej omdlenia kobiety. Kiedy przyszła nieco do siebie, wzięła z rąk mych kubek, ja zaś rzuciłem

się na pobliską otomanę, nie odwracając od niej oczu. I wtedy to usłyszałem wyraźnie, że ktoś stąpa z cicha po kobiercu w pobliżu łoża, w chwilę zaś później, kiedy Rowena podnosiła wino do ust, dostrzegłem, lub może mi się śniło, że dostrzegłem, iż do kubka, jak gdyby z jakiegoś niewidzialnego źródła znajdującego się w atmosferze pokoju, padły trzy czy cztery wielkie krople przejrzystego, rubinowego płynu. Widziałem to – lecz nie widziała tego Rowena. Bez wahania wypiała wino, ja zaś nie uważałem za stosowne opowiadać jej o tym zdarzeniu, które po dokładniejszej rozwadze wydało mi się wytworem niepowściągliwej wyobraźni, rozkołysanej chorobliwie przerażeniem mej żony, nadmiarem opium i spóźnioną porą.



POWTARZAŁEM GŁOŚNO JEJ IMIĘ

Nie mogę atoli wyzbyć się przeświadczenia, iż po wpuszczeniu rubinowych kropli do kielicha w niedomaganiu mej żony zaszła niezwłocznie nagła zmiana na gorsze. Jakoż trzeciej z kolei nocy ręce służebnic stroiły ją do trumny, czwartej zaś siedziałem samotnie nad jej przyobleczonymi w całuny zwłokami w owej fantastycznej komnacie, do której weszła niegdyś jako moja oblubienica. Potworne, wywołane przez opium wizje gdyby cienie pląsały przede mną. Spoglądałem niespokojnie na stojące w kątach sarkofagi, na zmienne figury opon i na różnobarwne ognie, co wiły się dokoła panwi nad moją głową. Potem przyszły mi na myśl zdarzenia nocy minionych i wzrok mój padł na miejsce rozwidnione łuną panwi, gdzie dostrzegłem wówczas zwiewne zarysy cienia. Już go tam nie było; oddychając przeto swobodniej, podniosłem oczy na bladą, stężalą postać spoczywającą na łożu. I zaroily się me myśli tysiącem wspomnień o Ligei, a o me serce z gromkim rozpędem powracającej fali uderzył powtórnie ów niewysłowiony ból, jakiego doznałem, kiedym ją ujrzał podobnie spowitą w całuny. Noc była późna; z duszą pełną gorzkiej zadumy o niej jedynej i o niej najmilszej nie ruszałem się z miejsca, zapatrzywszy się w zwłoki Roweny.

Około północy, a może nieco wcześniej lub nieco później, gdyż nie uważałem, która była godzina, jakieś ściszone, głuche, lecz najzupełniej wyraźne łkanie obudziło mnie nagle z zamyślenia. Czułem, iż pochodziło z hebanowego łoża – z łoża śmierci. Nadśluchiwałem, truchlejąc z przesądnej trwogi – lecz szmer się nie powtórzył. Przyglądałem się bacznie, czy trup się nie rusza, ale nie dostrzegłem najlżejszego drgnienia. Mimo to nie pomyliłem się na pewno. Doleciał mnie szmer, jakkolwiek słaby, i duch mój uzbroił się w czujność. Zawzięcie i wytrwale skupiałem mą uwagę, przykutą do zimnego ciała. Nierychło zaszły objawy mogące rozwidnić tę tajemnicę. Okazało się mianowicie, iż niezmiernie nikły i zaledwie dostrzegalny nalot rumieńca owiał policzki i wzdłuż drobnych, zakłęsłych żyłek spłynął na powieki. Uczułem, iż za sprawą nieogarnionego przerażenia i grozy, na którą w języku ludzkim nie ma dość silnych wyrazów, serce me stygnie i członki me tężeją. Wszelako poczucie obowiązku pozwoliło mi w końcu zapanować nad sobą.

Nie ulegało wątpliwości, iż przedwczesne były nasze przygotowania – że Rowena jeszcze żyła. Trzeba było pośpieszyć niezwłocznie z pomocą; atoli wieża zbyt była oddalona od skrzydła opactwa zamieszkałego przez służbę – dowołać się jej nie było można – i nie było jak jej zawezwać bez wychodzenia na czas jakiś z komnaty, a na to odważyć się nie mogłem. Sam przeto usiłowałem zapobiec odlotowi kołatającej się jeszcze duszy. Jednakże w chwilę później nabrałem pewności, iż życie doszczętnie wygasło: rumieńce na powiekach i na policzkach zanikły, ustępując miejsca nieledwie marmurowej bieli; w dwójnasób przywiedły wargi i rozchyliły się, przybierając upiorny wygląd śmierci: odrażający chłód i śliskość rozpostarły się szybko na powierzchni ciała, które stężało i zastygło w bezwładzie. Z drzeniem rzuciłem się na wezglowie, z którego niedawno powstałem, i znów pograżyłem się na jawie w namiętnych snach o Ligei.

Minęła w ten sposób godzina, gdy (czyż podobna?) jakiś nieokreślony szmer doleciał mnie powtórnie od strony łoża. Jąłem nadśłuchiwać, nie posiadając się z przerażenia. Szmer wionął znowu – było to westchnienie. Podbiegłem do trupa i widziałem – na własne oczy widziałem – jak usta jego drgnęły. W chwilę później obwisły, odsłaniając rząd lśniących jak perły zębów. Osłupienie jęło w mej duszy pasować się z niezgłębioną grozą, co dotychczas władała w niej niepodzielnie. Uczułem, że w oczach mi ciemnieje, a w mózgu się mąci; długo walczyłem ze sobą, zanim powiodło mi się zebrać siły potrzebne do spełnienia narzucającego się ponownie obowiązku. Bowiem nikła łuna rumieńca pojawiła się znowu na czole, licach i gardzieli; wyczuwałem ciepło, co przeniknęło zwłoki; nawet serce z lekka w nich drgnęło. Lady żyła; ze zdwojoną gorliwością starałem się ją ocucić. Zwilżałem i nacierałem ręce i skronie, nie pominąłem żadnego zabiegu znanego mi z doświadczenia i z niemałego odczytania w dziełach lekarskich. Ale nadaremnie. Nagłe rumieńce pierzchły, tętno przycichło, wypełził na usta wyraz śmierci, a w chwilę później zwłoki zlodowaciały, posiniały i zakrzepły, przybierając ohydny wygląd trupa, co od wielu dni przebywał w grobie.

I znowu zaprzepaściłem się w marzeniach o Ligei – i znowu (cóż dziwnego, że z drzeniem kreślę te słowa?), znowu doleciało mnie głuche łkanie od strony hebanowego łoża. Lecz po cóż rozwodzić się szczegółowo nad niewysłowioną grozą tej nocy? Czyż mam opowiadać, jak raz po raz, niemal do samego brzasku, powtarzał się ten potworny dramat odżywiania; jak każdy straszliwy podryw rozpręgał się w tym okropniejszej i pozornie tym niezawodniejszej śmierci; jak każde konanie było niby walką z jakimś niewidzialnym wrogiem; i że każda taka walka kończyła się wprost niepojętą zmianą w wyglądzie trupa? Pragnę co rychlej dobiec do końca.

Minęła znaczniejsza część tej strasznej nocy, gdy zmarła drgnęła ponownie i mocniej niż przedtem, jakkolwiek budziła się z rozkładu nierównie beznadziejniejszego od wszystkich dawniejszych. Już od dawna zaprzestałem wszelkich wysiłków i znieruchomiałem na otomanie, pogrążając się w odmęcie unicestwiających wrażeń, wśród których ostateczne przerażenie było może najmniej okropne i najmniej dławiące. Trup – powtarzam – drgnął, i to z większą siłą niż poprzednio. Łuna życia z niezwykłą mocą ubarwiła policzki, ustąpiło stężenie członków – i gdyby nie zaciśnięte szczelnie powieki, gdyby nie chusty i czechła pośmiertne, co użyczały jej kształtom wyglądu grobowego, mógłbym być mniemać, iż Rowena wyzwoliła się zupełnie z oków śmierci. Nie dowierzałem na razie temu przypuszczeniu, lecz przestałem wątpić, gdy ujrzałem na własne oczy, jak upowita w całuny postać podniosła się z łoża i niby człowiek, co błąka się we śnie, z zamkniętymi oczyma postąpiła chwiejnym, niepewnym krokiem na środek komnaty.

Nie zadrzałem, nie porwałem się z miejsca, gdyż tłum niewysłowionych przewidzeń, wywołanych ruchami, postawą i zachowaniem się postaci, zakotłował nagle w mym mózgu, obezwładnił mnie i okamienił. Nie drgnąłem, zapatrzony w widziadło. Beładnie, w błędnej rozterce wichrzyły się moje myśli. Czyż to możliwe, by żywa Rowena istotnie stała przede mną? Czy to w ogóle mogła być Rowena, jasnowłosa, modrooka Lady Rowena Trevanion z Tremaine? Skąd, dlaczego nasunęły się mi te wątpliwości? Przepaska ciężko przysłaniała usta – wszelako

czyż nie były to usta Lady z Tremaine? A lica – różane jak w pełni rozkwitu – to zapewne cudne lica żywej Lady z Tremaine? A broda z dołeczkami jak wówczas, kiedy była zdrowa, to przecież jej broda? Lecz cóż to, czy urosła podczas choroby? Na myśl tę opętało mnie niepojęte szaleństwo. Zerwałem się i przypadłem do jej stóp. Targnęła się, by uniknąć mojego dotknięcia, przy czym obsunęło się upiorne czechło, co osłaniało wolno jej głowę, i skroś rozmigotanego powietrza komnaty wionęła ogromna smuga długich, rozpuszczonych włosów: były one czarniejsze niżli krucze skrzydła północy! I rozwarły się z wolna oczy stojącej przede mną postaci. – Teraz – zawołałem na cały głos – teraz na pewno już się nie mylę! To wyraziste, czarne, nieodgadnione oczy miłości, co mnie odeszła – to oczy Lady – LADY LIGEI.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



# Eleonora

Sub conservatione formae specificae salva anima <sup>1</sup>.

Raymond Lully



Pochodzę z rodziny słynnej z bujnej wyobraźni tudzież głębokiej uczuciowości. Uchodziłem za szaleńca, ale nikt jeszcze nie rozstrzygnął, czy obłąd jest, czy nie jest najwznioślejszą inteligencją i czy wiele z tego, co stanowi o wielkości i sławie, nie wynika z rozprężenia myśli, z majaczeń umysłu, wyszczytnionego z uszczerbkiem pospolitego intelektu. Ci, co śnią za dnia, wiedzą o wielu rzeczach niedostępnych dla tych, co śnią tylko nocą. W mglistych widzeniach miewają oni przebłycki wieczności i budząc się, drżą na myśl, że przebywali na rubieży wielkiej Tajemnicy. Dorywczo poznają nieco wiedzę Dobra, zaś w wyższym jeszcze stopniu odrębną umiejętność Zła. Bez steru i bez kompasu żeglują po bezgranicznych oceanach „niewysłowionej światłości” lub wzorem błędnych tułaczy nubijskiego geografa *agressi sunt Mare Tenebrarum, quid in eo esset exploratur*<sup>2</sup>.

Powiedzmy więc, że jestem obłąkany. Przyznaję zresztą, iż w mym duchowym istnieniu zaznaczają się dwa odmienne stany: pierwszym jest stan trzeźwego rozsądku, niepodlegający roztrząsaniu a ogarniający wspomnienia zdarzeń, co złożyły się na pierwszy okres mojego życia – drugim zaś stan mroku i wątpienia, obejmujący terażniejszość jako też pamięć tego, co stanowi wtóry wielki okres mojego bytu. To, co opowiem o pierwszym okresie, zasługuje tedy w zupełności na wiarę; temu zaś, co mam do powiedzenia o czasach późniejszych, należy dowierzać tylko o tyle, o ile wyda się to rzeczą stosowną, lub wprost podać opowieść moją w wątpliwość; gdyby jednak ktoś wątpić nie mógł, niech tej zagadki stanie się Edypem.

Ta, którą kochałem za młodu i o której spokojnie i rzetelnie spisuję oto te moje wspomnienia, była jedyną córką jedynej siostry mej matki, zmarłej już od dawna. Cioteczna moja siostra miała na imię Eleonora. Mieszkaliśmy zawsze razem w Dolinie Barwistych Traw, podzwrotnikowym wyzłoconej słońcem. Niczyja błędna stopa nie dotarła nigdy do tego padołu, gdyż znajdował się on na uboczu, wśród łańcucha olbrzymich gór, co napiętrzone zwisały dokoła, nie dając promieniom słonecznym dostępu do swych najmilszych ustroni. Bitych gościńców w pobliżu nie było; chcąc przeto utorować sobie drogę do naszego

szczęśliwego zakątka, trzeba było roztrącić listowie nieprzeliczonych drzew leśnych i unicestwić jarzącą się chwałę nieprzebranego kwiecia. Jakoż żyliśmy sami, nie znając wcale świata poza doliną – ja, krewna moja i jej matka.

Z mglistych krain hen, za górami, u wyżniego krańca naszej zacieśnionej zewsząd włości toczyła się wąska i głęboka rzeka, promienniejsza nade wszystko krom oczu Eleonory. Wiły się skrycie splecione jej zakręty i przepadały w cieniach skalistej gardzieli, jeszcze mroczniejszej niż ta, skąd rzeka brała swój początek. Zwaliśmy ją Rzeką Milczenia, gdyż wiało ciszą od jej toni. Nie drgały nad jej łożyskiem szmery i tak spokojnie snuła się w swym biegu, że perłowe żwiry, co z głębi jej fali pieściły nasze oczy, nie poruszały się wcale i spoczywały błogo na odwiecznych swych miejscach, siejąc niezmiennie świetne swe blaski.

Pobrzeża rzeki tudzież licznych, srebrzystych ruczajów, co krętymi drogami zmierzały do jej koryta, podobnie jak zbocza staczające się pochyło ku wodom strumieni aż po ich kamieniste na dnie łożyska, podobnie wreszcie jak cały przestwór doliny między rzeką a zakolem gór – były zasłane kobiercem puszystej, zielonej murawy, gęstej, niskiej, jednako równej i tchnącej wonią wanilii, lecz tak usianej złocistymi jaskrami, białymi stokrociami, mieniącymi się purpurą fiołkami i rubinowymi asfodelami, iż czarodziejska ta krasa była dla serc naszych niby dźwięczną pieśnią ku chwale miłości i Boga.

Tu i ówdzie na tle tej murawy rozkładały się, ni to widziadlane gąszcze, kępy fantastycznych drzew, których pnie wysokie i smukłe nie wystrzelały prosto w górę, lecz kłoniły się wdzięcznie ku światłu słonecznemu, co zaglądało o południu do wnętrza doliny. Kora ich migotała naprzemiennymi połyskami srebra i hebanu i była gładza nade wszystko krom liczek Eleonory. Gdyby nie świetna zieleń ogromnych liści, co tworzyły ich korony, rozpiezchając się za każdym powianiem wiatru w długie, drgające linie, można by mniemać, że to olbrzymie, syryjskie połosy składają hołdy swemu władcy, słońcu.

Ja i Eleonora błędziliśmy po tej dolinie zawsze spleceni dłońmi i tak minęło lat piętnaście, zanim miłość zawitała do serc naszych. Pewnego

wieczora, kiedy ona kończyła rok piętnasty, a ja zaczynałem dwudziesty pierwszy, zdarzyło się, iż przytuleni do siebie siedzieliśmy pod drzewami, co były podobne do węzów, i przyglądaliśmy się swemu odbiciu w zwierciadlanej toni Rzeki Milczenia. Przez całe popołudnie tego cudnego dnia nie przemówiliśmy do siebie ani razu, a już od samego rana słowa nasze były nieliczne i drżące. Wywołaliśmy z tej fali boga Erosa i czuliśmy, że rozplómił w nas ogniste dusze przodków naszych. Ta głęboka uczuciowość, co od wieków stanowiła chlubę naszego rodu, skojarzyła się z wyobraźnią, która także zaliczała się do jego właściwości, i obie tchnieniem upojnego zachwytu owionęły Dolinę Barwistych Traw. We wszystkim zaszła jakaś zmiana. Dziwne, promienne, gwiazdziste kwiaty ukazały się na drzewach, co nigdy przedtem tak nie kwitły. Pogłębiły się tony zielonego kobierca, gasły białe stokrocce jedna po drugiej, a miast nich zapalały się dziesiątkami rubinowe asfodele. Krzewiło się życie na naszych drogach; oto z całą czeredą krasnopiórego, rozradowanego ptactwa pojawił się nieznany dotychczas w tych stronach wysmukły czerwonek i błysnął przed nami szkarłatem swego pierza. Zaroiły się w rzece rybki złote i srebrne, a toń jej zaszemrała cichym zrazu poszumem, co wzmagał się stopniowo, aż przedzierzgnął się w rozkołysaną gędzbę, cudowniejszą niż dźwięki harfy Eola, a słodsza nade wszystko krom głosu Eleonory. Wielki obłok, który śledziliśmy od dawna na zachodnim niebie, wypłynął nagle spoza widnokregu, skąpany wszystek w złocie i purpurze, i rozpostarłszy się cicho nad naszymi głowami, opadał z dniem każdym coraz niżej i niżej, aż w końcu krańce jego wsparły się na iglicach górskich, zamieniając ich pomrokę w istne czarodziejstwo i zamykając nas jakby na wieki w magicznym przybytku, pełnym wzniosłości i chwały.

Z urody przypominała Eleonora serafów, lecz była to dziewczeczka szczerą i niewinna, bowiem krótkie jej życie upłynęło wśród kwiatów. Nie tała przebiegle uniesień miłosnych, co rozgorzały w jej sercu, lecz przechadzając się ze mną w Dolinie Barwistych Traw, odsłaniała w rozmowie najskrytsze jego tajniki i zastanawiała się nad ogromnymi zmianami, które od niedawna dokonały się w naszej włości.

I zdarzyło się, że pewnego dnia jąła mówić ze łzami o ostatecznej, żalósnej przemianie, której musi ulec ludzkość, i nie rozstawała się odtąd z tą myślą, wplatając ją we wszystkie nasze rozmowy, podobnie jak w pieśniach Poety z Szyrazu powtarzają się nieustannie jednakie obrazy w najprzeróżniejszych, wyrazistych odmianach i zwrotach.

Pojęła, iż palec Śmierci spoczął na jej piersi, niby jednodniówka rozkwitła tylko po to w pełni swej krasy, by dojrzeć do zgonu; wszelako lęk grobu przejawiał się u niej tylko w jednej myśli, którą zwierzyła mi pewnego wieczora o zmierzchu na brzegach Rzeki Milczenia. Mianowicie smuciło ją to, iż kiedy nad nią zamknie się mogiła w Dolinie Barwistych Traw, porzucę na zawsze te szczęsne zacisza i miłość moją, co tak bezgranicznie należała do niej, oddam innej dziewczynie z obcego, powszedniego świata. Namiętnie rzucałem się nieraz do stóp Eleonory, poprzysięgając jej i niebu, że nie zaślubię nigdy żadnej córy Ziemi – że nie sprzeniewierzę się niczym jej drogiej pamięci ani pamięci jej zbożnego kochania, co stało się mym błogosławieństwem. I wzywałem Wszechmocnego Stwórcę światów na uroczystego świadka tej mojej serdecznej przysięgi. A klątwy, którymi zaklinałem pomstę Jego i jej – tej świętej z Krainy Wiekuistej Światłości – gdybym kiedykolwiek miał okazać się wiarołomnym, zawierały kaźń tak straszliwą, iż wspominać mi o niej nie wolno. Promienistszymi stawały się na te moje słowa promieniste oczy Eleonory; i oddychała, jak gdyby brzemię mogiły spadało z jej piersi; i drżała, zanosząc się gorzkim łkaniem; lecz wierzyła zaklęciom (bo czyż nie była dzieckiem?), co dodawały jej otuchy na łożu śmierci. W kilka dni później, umierając spokojnie, rzekła do mnie, iż w zamian za to, że nie szczędziłem pociechy jej duchowi, duch jej powróci i będzie czuwał nade mną, jeżeli zaś jej pozwolą, to będzie mi się ukazywała nocami; gdyby jednak nie leżało to w mocy dusz przebywających w raju, to przynajmniej będzie mi dawała znaki swej obecności, zsyłając ku mnie swe westchnienia na skrzydłach powiewów wieczornych lub przesycając powietrze, którym będę oddychał, woniami, co biorą początek z kadzielnic anielskich. Z tymi słowy na ustach

zakończyła swe niewinne życie, kładąc zarazem kres pierwszemu okresowi mojego istnienia.

Dotąd opowieść moja jest najzupełniej prawdziwa. Lecz z chwilą, kiedy mijam zaporę utworzoną przez śmierć mej umiłowanej na drodze Czasu, i wkraczam w drugi okres mojego bytu, czuję, że mózg mój nurza się w mrokach i niezupełnie dowierzam bystrości mej pamięci. Mimo to niechaj mi będzie wolno snuć dalej wątek mej powieści. – Wlokły się smętne lata za latami, a ja wciąż jeszcze przebywałem w Dolinie Barwistych Traw; ale we wszystkim wtóra zaszła zmiana. Gwiazdziste kwiaty skryły się w pniach drzewnych i nie ukazały się już nigdy. Przygasła krasa zielonych kobierców. Zanikały kolejno rubinowe asfodele, a miast nich rozkwitały dziesiątkami ciemne jak oczy ludzkie fiołki, co mrużyły się boleśnie i zachodziły łzami rosy. I pierzchno życie z dróg naszych, bowiem smukły czerwonak nie błyskał już przed nami szkarłatem swego pierza, lecz smętny odleciał w góry wraz z całą czeredą rozradowanego krasnopiórego ptactwa, co pojawiło się ongi w jego orszaku. Rybki złote i srebrne odpłynęły gardzielą u niżniego krańca naszej włości i nie roiły się już w spokojnej toni. Zamierała z wolna rozkołysana gęźba, co była słodsza niż dźwięki napowietrznej harfy Eola, a cudowniejsza nade wszystko krom głosu Eleonory, przeobrażając się w głuche i coraz głuchsze poszumy, aż w końcu rzeka całkiem ucichła, powracając do swego pierwotnego, uroczego milczenia. Na ostatek wielki obłok dźwignął się z iglic górskich, znów odsłaniając posępne ich mroki, i zapadł w otchłań zachodniego nieba, unosząc z Doliny Barwistych Traw wspaniałe złocistych czarodziejstw roztecze.

Wszelako obietnice Eleonory nie poszły w niepamięć; bowiem słyzałem chrzęst rozwahanych kadzielnic anielskich; i strugi nieziemskich woni roztaczały się nieustannie po dolinie; i w chwilach samotności, kiedy me serce biło ciężko, wiatry, co przychodziły muskać moje skronie, były pełne pieściwych westchnień; i nieokreślone szmery rozlegały się często wśród głuszy nocnej; i zdarzyło się raz – ach, raz tylko! – że jakieś widziadlane usta spoczęły na moich, budząc mnie ze snu, co był podobny do śmierci.

A jednak głucha była na to wszystko serca mojego nieukożona pustka. Tęskniłem do miłości, co przepęłniała je kiedyś nad miarę. W końcu przez pamięć Eleonory uprzykrzyła mi się dolina i porzuciłem ją na zawsze dla marności i rozgłośnych tryumfów świata.

\*\*\*

Znalazłem się wśród obcego miasta, gdzie wszystko zmierzało do tego, by zatrzeć wspomnienia słodkich snów, które tak długo śniłem w Dolinie Barwistych Traw. Odurzała i zatrzuwała się ma dusza okazałością i przepychem wspaniałego dworu, szalonym szczękiem oręża i promienną urodą niewieścią. Mimo to dochowywałem wiernie mej przysięgi i wiedziałem z pewnych oznak, że wśród ciszy nocnej nawiedza mnie Eleonora. Nagle oznaki te ustały i świat poczerniał mi w oczach; i truchlałem, opanowany przez palące myśli, opętany przez straszliwe pokusy; bowiem na dwór króla, u którego przyjąłem służby, z jakiejś dalekiej, bardzo dalekiej, nieznannej krainy przybyła dziewczyna, której piękności uległo od razu me przeniewiercze serce – przed którą ukląknęłem bez oporu w zapamiętałym, niegodziwym przebóstwieniu miłosnym. Bo i czymże w rzeczywistości było owo moje kochanie dla dziewczynki z doliny w porównaniu z uniesieniem, z szałem, z rozpętanym do uwielbienia zachwytem, co ugiął łkającą mą duszę do stóp czarodziejki Ermengardy? Och, seraficznie jasna była Ermengarda! I poza tą myślą nie było we mnie miejsca dla innej. Och, nieziemskie było anielstwo Ermengardy! I kiedym zaprzepaszczał się w bezdniach jej nieprzepomnianych źrenic, myślałem tylko o nich – i o niej.

Poślubiłem ją, nie lękając się złorzeczeń, na które się zakląłem, i nie dosięgła mnie ich gorycz. I raz – lecz raz tylko – przez zakratowane okno doleciały mnie wśród ciszy nocnej słodkie westchnienia, co odbieżyły mnie niegdyś, i zlały się w głos znany i pieściwy, który przemówił:

– Śpij w spokoju, bowiem Duch Miłości rządzi i włada. Iżeś przyjął w rozmiłowane swe serce tę, co zwie się Ermengardą, rozwiązanyś ze ślubów uczynionych Eleonorze, dla powodów, o których dowiesz się w niebiesiech.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> Sub conservatione formae... (łac.) – Przez zachowanie specyficznej formy nietknięta pozostaje dusza (przyp. red.).

<sup>2</sup> Agressi sunt Mare Tenebrarum... (łac.) – Wdarli się na Morze Ciemności, aby zbadać, co może się w nim znajdować (przyp. red.).



# Metzengerstein

Pestis eram vivus – moriens tua mors ero <sup>1</sup>.

Marcin Luter

Groza i przerażenie leżyły się na świecie przez wszystkie czasy. Po cóż więc nadmieniać, kiedy zaszło zdarzenie, o którym zamierzam opowiedzieć? Dość wspomnieć, iż w okresie owym istniała w środkowych Węgrzech rozpowszechniona, acz skryta wiara w doktrynę metempsychozy<sup>2</sup>. O doktrynie samej – to jest o jej nieprawdziwości czy też prawdopodobieństwie – zamilczę. Jednakowoż zapewniam, iż w znacznej mierze niedowiarstwo nasze (jak powiada La Bruyère o wszystkich naszych niedolach) *vient de ne pouvoir être seuls*<sup>3</sup>.

Były atoli w owych wierzeniach węgierskich pewne szczegóły, które trąciły mocno nedorzecznnością. Węgrzy różnili się bowiem nader istotnie od swych mistrzów ze Wschodu. Na przykład dusza – powiada jeden z nich (przytaczam słowa bystrego i uzdolnionego paryżanina) – *ne demeure qu'une seule fois dans un corps sensible: au reste – un cheval, un chien, un homme même, n'est que la ressemblance peu tangible de ces animaux*<sup>4</sup>.

Między rodami Berlifitzingów i Metzengersteinów istniała waśń odwieczna. Nie było jeszcze przykładu, by dwa tak dostojne rody zawzięły się wzajem na siebie z równie śmiertelną zaciekłością. Źródło owej wrogości kryło się rzekomo w słowach starożytnej przepowiedni: „Runie straszliwie wyniosłe miano, gdy doczesność Metzengersteinów, jako jeździec na swym rumaku, weźmie górę nad nieśmiertelnością Berlifitzingów”.

To pewna, że słowa te miały nader skąpe znaczenie lub nie miały go wcale. Istniały jednakowoż bardziej pospolite powody – i nie tak starodawnego pochodzenia – które były nie mniej brzemiennie w następstwa. Wielmoże ci sąsiadowali ze sobą i od dawna prześcigali się wzajem w piastowaniu różnych zyskownych urzędów. Wiadomo, że bliscy sąsiedzi rzadko bywają przyjaciółmi, a mieszkańcy zamku Berlifitzing mogli spoglądać ze swej wyniosłej twierdzy wprost w okna pałacu Metzengersteinów. Na domiar ta więcej już niż feudalna okazałość nie przyczyniała się bynajmniej do złagodzenia gniewu Berlifitzingów, którzy nie dorównywali swym wrogom ani starożytnością pochodzenia, ani

dostatkami. Cóż więc dziwnego, że słowa owej przepowiedni, acz niedorzeczne, mogły przecież podtrzymywać i rozniecać waśń dwu rodów skłonnych już do zwady na każdy poszept dziedzicznej zawiści? Przepowiednia zdawała się wieścić – jeśli w ogóle wieściła cokolwiek – ostateczny triumf i tak już możniejszego rodu, co oczywiście było dostatecznym powodem, by z goryczą i nienawiścią mówili o niej słabsi i nie tak rozpanoszeni sąsiedzi.

Wilhelm hrabia Berlifitzing, mimo dostojnego pochodzenia, był w okresie niniejszego opowiadania niedołążnym, zidiociałym starcem, który zresztą nie zasługiwałby najzupełniej na wzmiankę, gdyby nie jego nieokiełznana, zadawniona, osobista nienawiść do wrogiego rodu i gdyby nie namiętne zamiłowanie do koni i łowów, które posuwało się tak daleko, iż ani wiek, ani osłabienie, ani zniedołążnienie umysłu nie mogły go powstrzymać od codziennego udziału w trudach myśliwskich.

Natomiast Fryderyk baron Metzengerstein nie był jeszcze pełnoletni. Ojciec jego, minister G., zmarł młodo; wkrótce podążyła za nim matka, baronowa Maria. Młody Fryderyk miał podówczas lat osiemnaście. W mieście lat osiemnaście znaczy niewiele; ale na odludziu – i to tak wspaniałym odludziu jak ta włość odwieczna – ruchy zegarowego wahadła głębsze mają znaczenie.

Skutkiem pewnych zarządzeń administracyjnych młody baron po śmierci ojca wszedł niezwłocznie w posiadanie swych rozległych majątności. Takie dobra nieczęsto dostawały się w puściźnie szlachcie węgierskiej. Zamków miał co niemiara, zaś wśród nich najokazalszy i największy był pałac Metzengerstein. Włości jego nigdy dokładnej nie miały granicy, ale największy park liczył piętnaście staj obwodu.

Dziedzic był taki młody, charakter jego tak dobrze znany, a mienie tak ogromne, iż niewiele pozostawało wątpliwości co do jego przyszłego postępowania. Jakoż w przeciągu trzech dni zachowanie się jego zapędziło w kąt samego Heroda i przewyższyło niepomierne oczekiwania najgorętszych jego wielbicieli. Plugawe orgie, jaskrawe wiarołomstwa, niesłychane okrucieństwa – dały rychło drżącym jego wasalom do zrozumienia, iż ani służalcza uległość z ich strony, ani skrupuły sumienia

z jego strony nie będą chroniły ich odtąd przed wyuzdanymi szponami tego młodocianego Kaliguli. Czwartego dnia w nocy spostrzeżono, że stajnie zamku Berlifitzing stoją w płomieniach, zaś opinia sąsiedzka zapisała zgodnie tę zbrodnię podpalenia na potworną już listę występków i rozbojów barona.

Podczas zamieszania spowodowanego tym wypadkiem młody magnat, na pozór pogrążony w zadumie, siedział w przestronnej i odludnej komnacie, która mieściła się na piętrze rodowego pałacu Metzengersteinów. Drogocenne, acz spłowiałe opony, co posępnie zwieszały się ze ścian, przedstawiały widziadlane i majestatyczne kształty mnóstwa znakomitych pradziadów. Tu biskupi w gronostajowych szatach i pontyfikalni dostojnicy, siedząc swobodnie w obecności samodzierzcy i władcy, zakładali veto przeciw zachciankom doczesnego króla lub za pomocą *fiat*<sup>5</sup> papieskiej wszechwładzy poskramiali buntownicze berło odwiecznego Wroga ludzkości. Tam ponure, ogromne postacie książąt Metzengersteinów – kiedy ich ciężkie bojowe rumaki depcą zwłoki poległych nieprzyjaciół – swym wojowniczym wyglądem wstrząsały nawet najsilniejsze nerwy; zaś ówdzie pieściwe, łabędzie zjawy niewieście z minionych czasów przy dźwiękach urojonej muzyki w nierzeczywistym płaśniały tańcu.

Kiedy baron tak słuchał lub udawał, że słucha stopniowo wzmagającego się zgiełku w stajniach Berlifitzingów – lub też może obmyślał nowy i jeszcze zuchwalszy wybryk swej samowoli – oczy jego bezwiednie zwróciły się na olbrzymie kształty nienaturalnej maści rumaka, którego przedstawiono na jednej z opon jako własność saraceńskiego przodka wrogiemu mu rodu. Koń stał na przedzie, nieruchomy i posągowy – zaś dalej, w głębi obrazu, pokonany jego jeździec ginął od rapieru jednego z Metzengersteinów.

Usta Fryderyka przybrały złowrogi wyraz, gdy zdał sobie sprawę, ku czemu podążyły nieświadome jego spojrzenia. Mimo to nie odwrócił wzroku. Żadną natomiast miarą nie mógł pojąć przygnębiającej trwogi, co niby całun padła na jego zmysły. Z trudnością udało się mu pogodzić swe senne i bezładne odczuwania z niezawodnym przeświadczeniem, że

jednak czuwa i nie śpi. Im dłużej patrzył, tym zawrotniejszym stawał się czar, tym niemożliwszym zdawało się mu, by mógł wyzwolić swe oczy spod zaklęcia owego gobelinu. Wtem zgiełk w oddali wzmógł się nagle ogłuszająco, więc jakby z przymusem obejrzał się na czerwoną łunę, co padała od płonących stajen na okna komnaty.

Trwało to tylko okamgnienie i znów pierzchły odruchowo jego spojrzenia ku ścianie. Ku niewysłowionemu jego osłupieniu i przerażeniu łeb gigantycznego rumaka zdołał tymczasem zmienić pozycję. Kark zwierzęcia, pochylony przedtem jakby z żalem nad sponiewieranymi zwłokami rycerza, wyprostował się teraz w całej długości ku baronowi. Oczy, dotychczas niewidoczne, rozgorzały ognieście, nabierając ludzkiego, energicznego wyrazu; zaś otwarty pysk snadź podrażnionego konia pozwalał dojrzeć jego obmierzłe, trupie zęby.

Młody magnat zdrętwiał z przerażenia i chwiejnym krokiem postąpił ku drzwiom. Kiedy je otworzył, snop czerwonej poświatli wtargnął w głąb komnaty i odbił się jasną plamą na powiewnych oponach. Zawahawszy się przez chwilę na progu, wzdrygnął się widząc, że owa świetlana plama dokładnie wypełniła miejsce i kontury nieubłaganego i zwycięskiego zabójcy Saracena-Berlifitzinga.

By ulżyć swemu strapionemu duchowi, wybiegł baron na wolne powietrze. U głównej bramy pałacu spotkał trzech stajennych. Z wielkim trudem i wprost z narażeniem życia powstrzymywali na wodzy olbrzymiego płomiennej maści rumaka, co w dzikich dębił się podrzutach.

– Czyj to koń? Skąd go wzięliście? – zapytał młodzieniec głuchym, posępnym głosem, zauważywszy niezwłocznie, iż ów tajemniczy biegun na oponie komnaty był najdokładniejszą podobizną wspinającego się przed nim zwierzęcia.

– To wasza własność, panie – odparł któryś ze stajennych – przynajmniej nikt inny o niego się nie upomina. Schwytaliśmy go, gdy zapieniony i parskający wściekłością wybiegł z płonących stajni zamku Berlifitzing. Przypuszczając, że należy do zagranicznej stadniny starego hrabiego, odprowadziliśmy go z powrotem. Ale żaden z koniuszych nie

przyznał się tam do tego potwora, co jest dziwne, gdyż znać po nim, że ledwie wydostał się z płomieni.

– Przy tym ma wyraźnie wypalone na czole litery W. V. B. – przerwał drugi stajenny. – Myślałem, że to początkowe litery nazwiska Wilhelm von Berlifitzing, ale cała służba zamkowa utrzymuje, że nic o nim nie wie i przedtem nigdy go nie widziała.

– To szczególniejsze – odezwał się młody baron w zamyśleniu, jakby nie zdając sobie sprawy ze znaczenia swych słów. – Dziwny to, jak mówicie, koń – osobliwszy koń, chociaż macie słusność, że jest niepewny i narowisty. Niechże on będzie mój – dodał po chwili. – Taki jeździec jak Fryderyk von Metzengerstein zdoła okiełznać nawet diabła ze stajni Berlifitzingów.

– Mylicie się, panie; ten koń, jak już powiedzieliśmy, nie jest ze stajni hrabiego. Gdyby tak było, to za dobrze znamy nasze obowiązki, byśmy odważyli się przyprowadzić go przed oblicze dostojnej osoby z waszego rodu.

– Dobrze mówisz – odparł baron twardo.

W tej chwili nadbiegł z pałacu pokojowy z wypiekami na twarzy i szepnął swemu panu do ucha, że część opony z komnaty, którą wymienił, nagle znikła; podał przy tym różne drobiazgowo szczegóły; opowiadał to wszakże tak cichym głosem, iż stajenni nie zdołali zaspokoić swej podnieconej ciekawości.

Podczas tej rozmowy młodym ich dziedzicem najróżnorodniejsze miotały wrażenia. Wszakże rychło odzyskał spokój i miał na twarzy wyraz złowrogiej stanowczości, gdy wydawał nieodwołalny rozkaz, by ową komnatę natychmiast zamknięto i klucz oddano mu do rąk.

– Czy wasza miłość wie już o żalosnej śmierci tego starego myśliwego, Berlifitzinga? – spytał barona któryś z jego wasali po odejściu pokojowca, gdy potworny rumak, którego magnat przyjął za swą własność, ze zdwojoną wściekłością dębił się i rzucał po szerokiej alei prowadzącej od pałacu do stajen Metzengersteinów.

– Nie! – rzekł baron, zwracając się nagle do mówiącego. – Powiadasz waść, że umarł?

– Tak jest, wasza miłość, i myślę, że ta nowina nie jest zbyt przykra dla dostojnego waszego rodu.

Przelotny uśmiech błysnął na twarzy słuchającego. – Jakże to się stało? – zapytał.

– Zapędził się nierozważnie, chcąc ocalić bodaj część swej ulubionej stadniny myśliwskiej, i sam przy tym zginął marnie w płomieniach.

– I-sto-tnie? – wycedził baron, jakby z wolna i stopniowo uświadamiał sobie prawdę jakiejś osobliwszej myśli.

– Tak jest – powtórzył wasal.

– To okropne! – rzekł młodzieniec obojętnie i podążył spokojnie do pałacu.

Od tej chwili w postępowaniu hulaszczego młodego barona Fryderyka von Metzengersteina zaszła wyraźna zmiana. To pewna, że zachowanie jego zawiodło wszelkie oczekiwania i rozczarowało niejedną zapobiegliwą mamę, gdyż jego zwyczaje i nawyki w wyższym jeszcze stopniu niż poprzednio jeły się różnić od przyjętych przez sąsiednią arystokrację. Nie widywano go nigdy poza granicami jego włości i wśród wielkiego mrowia ludzkiego był on zupełnie samotny – o ile się pominie owego tajemniczego, narowistego, ognistej maści rumaka, na którym odtąd stale jeździł i który – nie wiadomo z jakiego powodu – sam jeden mógł chętnie się mianem jego przyjaciela.

Zdarzało się jednak niekiedy, że otrzymywał zaproszenia od sąsiadów: „Czyby pan baron nie zaszczyił naszego zebrania swą obecnością?”, „Czyby pan baron nie wziął udziału w polowaniu na dzika?”. „Metzengerstein nie poluje”, „Metzengerstein nie bywa” – brzmiały wyniosłe i lakoniczne odpowiedzi.

Tych ciągłych zniewag nie mogli znieść butni wielmoże. Zaproszenia stawały się mniej częste i nie takie serdeczne; w końcu ustały zupełnie. Opowiadano, że wdowa po nieszczęsnym hrabi Berlifitzingu miała kiedyś wyrazić życzenie: „Bodajby baron wtedy był u siebie w domu, kiedy tam być nie zechce, skoro gardzi towarzystwem sobie równych; i bodajby wtedy jechał na koniu, kiedy jechać konno nie zechce, skoro woli towarzystwo konia”. Oczywiście był to tylko niemądry odruch rodowej

niechęci i dowodził jedynie, do jakiego stopnia bywają niedorzeczne nasze powiedzenia, gdy pragniemy wyrazić je zbyt dobitnie.

Byli jednakże tacy poczciwcy, którzy zmianę w postępkach młodego magnata przypisywali synowskiemu żalowi po przedwczesnym zgonie rodziców, zapominając o niesłychanych szkaradziństwach, jakich dopuszczał się przez krótki czas bezpośrednio po ich stracie. Inni posądzali go o zbyt wygórowane pojmowanie swej godności i dostojności. Jeszcze inni (śród których wypadałoby może wymienić lekarza domowego) składali wszystko na chorobliwą melancholię i słabość dziedziczną, zaś między pospólstwem krążyły mętne i jeszcze niezwyklesze pogłoski.

Niepodobna zaprzeczyć, iż graniczące już ze zwyrodnieniem przywiązanie barona do świeżo zdobytego wierzchowca – przywiązanie, które jakby wzmagало się jeszcze po każdym nowym objawie dzikich i demonicznych instynktów zwierzęcia – przedzierzgnęło się w końcu, zdaniem wszystkich rozsądnych ludzi, w ohydną i nienaturalną namiętność. W słonecznej pełni południa czy śród głuszy nocnej, w zdrowiu czy w chorobie, czasu burzy czy czasu pogody młody Metzengerstein zdawał się nie schodzić z grzbietu olbrzymiego rumaka, którego nieuskromione zuchwalstwo licowało tak dobrze z jego własnym usposobieniem.

Istniały ponadto okoliczności, które w zestawieniu z późniejszymi wypadkami dawały jakąś nieziemską i złowieszczą miarę dziwactwa jeźdźca i przymiotów rumaka. Zmierzone raz dokładnie długość jednego skoku i przekonano się, że przewyższała ona niesłychanie wszelkie najśmielsze i najprawdopodobniejsze przewidywania. Przy tym baron nie miał osobnego miana dla tego zwierzęcia, jakkolwiek inne konie z jego stadniny nosiły odpowiednie przezwania. Stajnia owego wierzchowca znajdowała się w pewnej odległości od innych i kiedy trzeba było podać mu paszę albo spełnić inne czynności, nikt oprócz jego pana nie śmiał się tego podjąć, lękając się nawet przestąpić ogrodzenie, które ją otaczało. Również zauważono, że trzem stajennym, którzy schwytali tego ogiera, gdy uciekał z pożaru w Berlifitzing, udało się wprawdzie okiełznać go



przy pomocy arkanu i łańcuszkowego wędzidła, ale żaden nie umiał na pewno powiedzieć, czy podczas tej niebezpiecznej walki lub kiedykolwiek później zdołał który z nich istotnie położyć rękę na ciele zwierzęcia. Przejawy wyjątkowej zmyślności tego szlachetnego i ognistego rumaka nie mogły jednak dawać powodu do jakichś nierozsądnych przypuszczeń, ale zdarzały się wypadki, które narzucały się przemocą uwadze ludzi najobojętniejszych i najbardziej sceptycznych. Opowiadano, że gapiąca się cizba usuwała się przed nim z trwogą, gdy w dziwnie dobitny i groźny sposób poczynał dawać znaki, uderzając kopytem – lub że młody Metzengerstein bladł i cofał się z drzeniem przed nagłym i przenikliwym wyrazem jego myślących i jakby ludzkich oczu.

Śród orszaku barona nie było atoli nikogo, kto by wątpił o nadzwyczajnym przywiązaniu, jakim zapalał młody magnat dla świetnych zalet swego wierzchowca; jedynym może wyjątkiem był niepozorny i poczwarny paż, którego ułomność rzucała się wszystkim w oczy i którego zdanie nie miało najmniejszego znaczenia. Był on do tego stopnia bezczelny, iż utrzymywał (jeżeli w ogóle warto wspominać o jego conceptach), że jego pan nie wskakiwał nigdy na siodło bez niepojętego i niemal niedostrzegalnego drżenia i że za każdym razem, kiedy powracał ze swych zwyczajnych i długotrwałych wycieczek, paczył mu lica wyraz tryumfującej złości.

Pewnej burzliwej nocy Metzengerstein, obudziwszy się z ciężkiego snu, wybiegł jak opętaniec ze swego pokoju i z gorączkowym pośpiechem okiełznawszy konia, podążył pędem w ostępy leśne. Była to rzecz tak zwyczajna, iż nie zwróciła szczególniejszej uwagi, natomiast powrotu jego oczekiwali niektórzy domownicy z ogromnym niepokojem, gdyż w kilka godzin po jego wyjeździe wyniosłe i wspaniałe zabudowania pałacu Metzengersteinów jęły z trzaskiem rozpadać się aż do posad w gruz i perzynę pod wpływem gęstych, rozfalowanych odmętów nieuskromionego ognia.

Zanim się spostrzeżono, pożar poczynił już takie straszliwe postępy, że wszelkie wysiłki zmierzające do ocalenia chociażby części budynków okazały się daremne i osłupiali sąsiedzi tłoczyli się beczynn timerokoła,

zdrętwiali w milczeniu lub obojętnym podziwieniu. Ale wnet nowe i okropne zjawisko przykuło do siebie uwagę cizby i okazało, że uczucia tłumu wzbierają nieporównanie silniej w obliczu ludzkiej zagłady aniżeli przy najbardziej przerażających widowiskach nieożywionej materii.

W długiej alei wysadzonej starymi dębami, co wiodła z boru do głównej bramy pałacu Metzengersteinów, ukazał się rumak z rozczochranym jeźdźcem na siodle, pędzący z chyżością istnego demona burzy.

Znać było, że jeździec nie miał już władzy nad tym biegiem. Przerazenie na jego twarzy i kurczowy wysiłek całego ciała świadczył o nadludzkich zapasach; ale zbolełe jego usta raz tylko drgnęły urywanym okrzykiem i zaciskały się coraz mocniej, nieme ze zgrozy. Po chwili tętent podków szczęknął twardo i donośnie wśród szumu wichrów i ryku płomieni; w okamgnieniu przesadziwszy jednym susem rów forteczny i bramę wjazdową, wpadł rumak na chwiejące się schody pałacu i znikł wraz ze swym jeźdźcem w chaotycznym zamęcie ognia.

Natychmiast uśmierzyła się wściekłość burzy i z nagłą nastąpiła głucha cisza. Białe płomienie wciąż jeszcze spowijały budowlę na podobieństwo całunu i szerząc się wśród spokojnego powietrza, łuną nieziemskiego jarzyły się światła, zaś obłok dymu, co zawisł ciężko nad zgliszczami, przybrał najwyraźniej kształty olbrzymiego konia.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> Pestis eram vivus... (łac.) – Żywy byłem zarazą – umierając będę twoją śmiercią (przyp. red.).

<sup>2</sup> Mercier w „L’an deux mille quarte cent quarante” podtrzymuje poważnie doktrynę metempsychozy, a I. D’Israeli powiada, iż „nie ma systemu bardziej prostego i mniej niezgodnego z rozumem”. O pułkowniku Ethanie Allenie, zwanym Green Mountain Boy, utrzymuje się również, że był naprawdę wyznawcą metempsychozy (przyp. aut.).

<sup>3</sup> Vient de ne pouvoir... (fr.) – Pochodzi z tego, że nie możemy być sami (przyp. red.).

<sup>4</sup> Ne demeure qu'une seule fois dans... (fr.) – (Dusza) raz tylko przebywa w ciele spostrzegalnym zmysłami – poza tym koń, pies, nawet człowiek jest tylko mało uchwytnym obrazem tych stworzeń (przyp. red.).

<sup>5</sup> Fiat (łac.) – Niech się stanie (przyp. red.).

# Bies przewrotności

Zastanawiając się nad zdolnościami i instynktami, nad *prima mobilia* duszy ludzkiej, frenologowie nie zwrócili uwagi na skłonność, która została pominięta także przez ich poprzedników, mianowicie przez wszystkich moralistów, a jednak istnieje niewątpliwie pod formą istotnego, pierwotnego, nieodpartego popędu. Uniesieni pychą rozumu, przeoczyliśmy ją wszyscy. Istnienie jej uszło baczności naszych zmysłów jedynie dla braku wiary, bez względu na to, czy jest to wiara w Objawienie czy też w Kabałę. Nie przychodziła nam nigdy na myśl po prostu dlatego, że jest przerostem. Nie odczuwaliśmy potrzeby tego popędu – tej skłonności. Nie mogliśmy pojąć jej konieczności. Nie mogliśmy zrozumieć znaczenia tego *primum mobile*, jakkolwiek wciąż nam się narzucało; nie mogliśmy zrozumieć, jaki udział mieć może w sprawach ludzkości, zarówno doczesnych, jak wiecznych. Niepodobna zaprzeczyć, że frenologia, jako też w znacznej mierze wszelka metafizyka, uległy pomieszaniu *a priori*. Umysły filozofujące intelektualistów w wyższym jeszcze stopniu niż dociekające umysły badaczy uroiły sobie, iż pojmują zamierzenia – iż poddają pomysły Bogu. Przeniknąwszy tedy ku swemu zadowoleniu dążenia Stwórcy, zbudowały one na podstawie tych dążeń nieprzeliczone systemy chimeryczne. Na przykład w dziedzinie frenologii ustaliliśmy przede wszystkim, zresztą najzupełniej słusznie, iż jest wolą Boską, by człowiek jadł. Następnie wyznaczyliśmy człowiekowi narząd odżywczy i ten narząd jest biczem, za pomocą którego Opatrzność zmusza człowieka do jedzenia, bez względu na to, czy on chce, czy nie. Podobnie doszedłszy do wniosku, iż z woli Bożej człowiek winien się rozmnażać, odkryliśmy niezwłocznie narządy rozrodcze. Toż samo działo się z narządami zaczepnymi, narządami idealistycznymi, przyczynowymi i konstruktywnymi – słowem, ze wszystkimi narządami

przedstawiającymi bądź to popędy, bądź też odczuwania moralne, bądź wreszcie władze czystego intelektu. Wszelako w tym porządkowaniu zasad kierowniczych natury ludzkiej Spurzheimczycy słusznie lub niesłusznie, w zupełności lub częściowo podążali śladami swych poprzedników, wywodząc i ustalając wszystko na podstawie domniemanego przeznaczenia człowieka tudzież na podstawie zamierzeń jego Stwórcy.

Byłoby atoli rzeczą mądrzejszą i pewniejszą dokonywać podziału (skoro dokonać go musimy) raczej na zasadzie tego, co człowiek zwyczajowo lub przygodnie czyni i co zawsze przy sposobności czynił, niżli na zasadzie przypuszczenia, iż to Opatrzność zniewalała go do tych czynów. Skoro nie możemy pojąć Boga w jego dziełach widomych, jakżeż zdołamy go pojąć w jego niedocieczonych myślach, co te dzieła wywołują z nicości? Skoro nie pojmujemy Go w jego tworach przedmiotowych, jakżeż zdołamy go pojąć w samodzielnych przejawach i okresach jego twórczości?

Indukcja *a posteriori* byłaby naprowadziła frenologię na przypuszczenie, iż istnieje jakaś wrodzona i pierwotna pobudka czynów ludzkich, pewna paradoksalna właściwość, którą w niedostatku innego, znamiennejszego określenia, nazwalibyśmy przewrotnością. W tym znaczeniu, jak ja ją pojmuję, jest ona czynnikiem bezprzyczynowym, motywem nieumotywowanym. Pod jej bodźcem działamy bez określonego powodu lub gdyby to zdawało się sprzecznością w pojęciach, można by twierdzenie to zmienić w ten sposób, iż pod jej bodźcem działamy dla powodów, dla których działać nie należy. W teorii jest to zasada najzupełniej nieuzasadniona, lecz w praktyce nie masz nad nią zasadniejszej. Dla pewnych umysłów w pewnych okolicznościach jest ona wprost nieodparta. Co do mnie, przyszyłoby mi łacniej zwątpić o własnym istnieniu niż o tym, że przeświadczenie o zdrożności i niesłuszności jakiegoś czynu stanowi niejednokrotnie ową przemożoną siłę, co zniewala nas – i zniewala wyłącznie – do popełnienia tego czynu. Nieprzeparta ta dążność do czynienia zła dla samego zła nie pozwala na rozważania i roztrząsania następstw. Jest popędem pierwotnym, niepohamowanym, żywiołowym. Ktoś powie zapewne, iż kiedy upieramy się przy czynach, co

do których czujemy, iż upierać się przy nich nie należy, to postępowanie nasze bywa wówczas tylko odmianą tego, co wynika zazwyczaj z zaczepności frenologicznej. Dość jednak baczniejszego spojrzenia, by rzuciła się nam w oczy nieprawdziwość tego poglądu. Istota zaczepności frenologicznej polega na konieczności samoobrony. Jest to nasza obrona przed krzywdą. W zasadzie ma ona na celu naszą pomyślność; zatem w miarę jej rozwoju wzmaga się w nas równocześnie pragnienie pomyślności. Z tego wynika, iż pragnienie pomyślności musiałoby się rozwijać wspólnie z tym wszystkim, co stanowi rzekomo tylko odmianę zaczepności, gdy tymczasem w tym wypadku, który nazwałem przewrotnością, nie dość, że pragnienie pomyślności wcale się nie przejawia, lecz nawet istnieje uczucie wręcz sprzeczne temu pragnieniu.

Zajrzyjmy w głąb własnego serca, a znajdziemy tam najlepszą odpowiedź na powyższe wywody sofistyczne. Ktokolwiek bada rzetelnie i przenika dokładnie swą duszę, ten nie będzie mógł zaprzeczyć bezwzględnej pierwotności omawianego popędu. Jest on w równej mierze znamienny, jak niepojęty. Nie ma na przykład człowieka, który by w pewnych chwilach nie pałał chętką udręczania swych słuchaczy niedomówieniami. Mówiący wie, że się nie podoba, a ogromnie pragnąłby się podobać; bywa zazwyczaj zwięzły, jasny i dokładny; na ustach jego ścierają się najlakoniczniejsze i najprzejrzystsze powiedzenia; nie puszcza im atoli wodzów, jakkolwiek niełatwo mu to przychodzi; lęka się i rad by odzegnać przykrość od osoby, do której przemawia; zarazem przychodzi mu na myśl, iż pewnymi wtrąceniami i przemilczeniami można tę przykrość rozniecić. I dość jest tej jednej myśli. Odruch staje się życzeniem, życzenie pragnieniem, zaś pragnienie nieodpartym zachcieniem, któremu mówiący, pełen żalu i ubolewania, nie oglądając się przy tym na następstwa, ostatecznie daje upust.

Czeka nas sprawa wymagająca niezwłocznego załatwienia. Wiemy, iż zwłoka byłaby zgubą. Najważniejsze zdarzenie w naszym życiu wzywa nas głosem gromu do natychmiastowego podrywu i działania. Ta myśl w nas się żarzy, trawi nas chęć rozpoczęcia tego dzieła, a przewidywanie chlubnych wyników rozplomienia nam duszę. Trzeba koniecznie

przystąpić doń dzisiaj, a jednak odkładamy je do jutra – i dlaczego? Nie ma odpowiedzi – jedyną dać może nasze przewrotne odczuwanie, jeżeli posłużymy się słowem, którego znaczenie jest dla nas niepojęte. Nastaje jutro, a wraz z nim jeszcze trwożliwsza troska przynaglająca nas do obowiązku; jednakże równomiernie ze wzrostem tej troski wzmagają się również nienazwane i naprawdę okropne, gdyż niezgłębione, pragnienie zwłoki. Pragnienie to potężnieje, w miarę jak czas upływa. I oto nadarza się nam ostatnia sposobność, by przystąpić do czynu. Drżymy, targani wewnętrzną rozterką – tym zmaganiem się nieokreślonego z określonym, istoty rzeczy z cieniem. Jednakże w tym okresie walki zwycięstwo przechyliło się już na stronę cienia – i opór nasz jest nadaremny. Bije godzina jak pogrzebowy dzwon nad trumną naszego szczęścia. Dźwięki te są zarazem porannym pianiem kurów dla zmory, co nas trapiła. Pierzcha – znika – jesteśmy wolni. Wracają dawne siły. I chcielibyśmy działać. Niestety, jest już za późno!

Stoimy na skraju urwiska. Rzucamy spojrzenie w otchłań – doznajemy zawrotu i mdłości. Pierwszym naszym odruchem jest ująć niebezpieczeństwo. I nie wiadomo dlaczego nie ruszamy się z miejsca. Zawrót, mdłości, przerażenie roztapiają się z wolna w obłoku nienazwanego odczucia. Stopniowo, niespostrzeżenie obłok ten przybiera kształty na podobieństwo wyziewu z butelki, z której wyniknął geniusz Arabskich Nocy. Wszelako z naszego obłoku, gdy stoimy na skraju przepaści, powstaje coraz wyraźniej kształt o wiele straszliwszy od wielkich legendarnych geniuszów i demonów – kształt, co wprawdzie jest tylko myślą, lecz tak okropną, iż mrozi szpik w naszych kościach nieunoszoną swej grozy rozkoszą. Treścią tej myśli jest po prostu pytanie: jakich wrażeń doznawalibyśmy, spadając w przepaść z tej wysokości? I oto tego spadku, tego błyskawicznego unicestwienia pożądamy gorąco właśnie dlatego, iż jest on najupiorniejszy i najpotworniejszy ze wszystkich potwornych i upiornych obrazów śmierci, jakie kiedykolwiek błysnęły w naszej wyobraźni; a ponieważ rozum ze wszech sił odwodzi nas od przepaści, przeto tym zawzięciej podążamy ku niej. Nie ma w przyrodzie namiętności tak szatańsko wyuzdanej jak żądza człowieka, co

drząc na krawędzi otchłani, waha się, czy ma się w nią rzucić. Poddać się na chwilę tej myśli znaczy być niezawodnie zgubionym; ponieważ rozsądek nam jej zabrania, przeto – powtarzam – wstrzymać się od niej nie możemy. Jeżeli zatem nie ma przyjaznego ramienia, by nas powściągnąć, lub jeżeli w nagłym porywie nie targniemy się wstecz, to staczamy się w przepaść i jesteśmy zgubieni.

Badając objawy takie i tym podobne, musimy nieodzownie dojść do wniosku, iż wynikać one mogą tylko z ducha przewrotności. Dopuszczamy się ich jedynie dlatego, że czujemy, iż dopuszczać się ich nie należy. Ani przed, ani za przewrotnością nie ma dostępnego pojmowania pobudki i zaiste można by przypisywać ją bezpośrednio oddziaływaniu Nieczystych Mocy, gdyby nie było wiadomo, iż niekiedy wychodzi ona na dobre.

Rozwiodłem się nad tym zjawiskiem tak szeroko, by odpowiedzieć poniekąd na wasze pytania – by wam wytłumaczyć, dlaczego tu się znajduję – by wskazać w końcu bodaj pozór jakiejś przyczyny, dla której dźwigam te oto kajdany i przebywam w celi skazańców. Gdybym nie był tak wielomówny, mogłoby się zdarzyć, że nie zrozumielibyście mnie wcale, lub wraz z pospółstwem uważalibyście mnie za szaleńca. Teraz bez trudu możecie pojąć, iż jestem jedną z nieprzeliczonych ofiar Licha Przewrotności.

Wprost niepodobna wyobrazić sobie czynu, który by mógł być wykonany z dojrzałą rozwagą. Całymi tygodniami, całymi miesiącami obmyślałem sposoby tego zabójstwa. Odrzuciłem tysiące pomysłów, ponieważ mieściła się w nich możliwość odkrycia zbrodni. W końcu, czytając jakieś francuskie pamiętniki, natknąłem się na opowiadanie o prawie śmiertelnym niedomaganiu, jakiemu uległa Mme Pilau pod wpływem przypadkowo zatrutej świecy. Ten pomysł targnął od razu mą wyobraźnię. Wiedziałem, iż moja ofiara miała zwyczaj czytywać w łóżku. Wiedziałem również, że jej pokój był niewielki i źle przewietrzany. Lecz nie chcę was zadręczać tymi bezczelnymi szczegółami. Wolę nie wspominać o nader prostym podstępnie, za pomocą którego zabrałem świecznik z jego sypialni, pozostawiając natomiast inny z woskową świecą



mojego wyrobu. Nazajutrz rano był martwy, a orzeczenie *coronera*<sup>1</sup> brzmiało: „zgon z dopuszczenia boskiego”.

Odziedziczyłem po nim mienie i nastały dla mnie lata błogiej pomyślności. Myśl odkrycia ani razu nie zaświtała w mym mózgu. Sam zająłem się gorliwie resztkami złowrogiej gromnicy. Nie pozostawiłem z niej ani śladu, zniszczyłem nawet knot, który mógłby stać się dowodem lub przynajmniej nasunąć podejrzenia zbrodni. Wprost niepodobna wysławić, jakie niezmierne uczucie zadowolenia wzbierało w mej duszy, kiedym rozmyślał nad swym zupełnym bezpieczeństwem. Bardzo długo lubowałem się nawykowo tym uczuciem. Darzyło mnie ono o wiele istotniejszą rozkoszą niż wszystkie inne doczesne korzyści, co stały się udziałem mojego grzechu. Ale nadeszła w końcu chwila, kiedy to radosne uczucie jęło stawać się niepostrzeżenie i stopniowo opętańczą i prześladowczą myślą. Czarowała mnie ona i dlatego dręczyła. Nie mogłem pozbyć się jej ani na chwilę. Zdarza się nader często, iż naszemu słuchowi, a raczej naszej pamięci, naprzykrza się szemranie jakiejś pospolitej piosenki lub bezdusznego urywku jakiejś opery. Szemranie to jednak niemniej jest przykre, gdy pieśń jest dobra, a melodia operowa istotnie posiada zalety. Podobnie było ze mną, kiedym uświadomił sobie, iż nieustannie rozmyślam nad swym bezpieczeństwem i wciąż powtarzam sobie półgłosem: „Nic mi nie grozi”.

Pewnego dnia, przechadzając się po mieście, przyłapałem siebie na tym, jakem nawykowo szeptał te zgłoski. Zawitała mi do głowy myśl swawolna i przeobraziłem je w ten sposób: „Nic mi nie grozi – tak jest, nic mi nie grozi, o ile nie zgłupieję do tego stopnia, iż sam otwarcie nie przyznam się do wszystkiego”.

Nie zdążyłem jeszcze dokończyć tych słów, kiedy uczułem, iż lodowaty ziąb ściska mi serce. Posiadałem już wówczas niejaką znajomość tych przejawów przewrotności (której istotę z niemałym wyluszczyłem trudem) i pamiętałem dokładnie, iż nigdy nie udało mi się oprzeć jej naporowi. I oto ma własna, przypadkowa mrzonka, iż mógłbym zgłupieć do tego stopnia, że sam przyznałbym się do popełnionej zbrodni, stanęła przede

mną na kształt widma zabitego przeze mnie człowieka – i popchnęła mnie w objęcia śmierci.

Zrazu starałem się otrząsnąć tę zmoreę z mej duszy. Jałem przyspieszać kroku, szedłem coraz szybciej, w końcu zacząłem biec. Zachciało mi się jak szaleńcowi wrzeszczeć na całe gardło. Każdy kolejny przypływ myśli napawał mnie nowym lękiem, gdyż rozumiałem, niestety, aż nadto dobrze, iż myśleć w mych warunkach znaczyło tyle, co zatracać siebie. Przyspieszyłem jeszcze kroku. Miotalem się jak obłąkany po rojnych ulicach. W końcu popłoch ogarnął ludzi i jęli mnie ścigać. Poczułem tedy, iż dokonywa się we mnie przeznaczenie. Gdybym był mógł wyrwać sobie język, byłbym to uczynił – lecz jakiś głos przykry zabrzmiał w mych uszach – i czyjaś jeszcze przykrzejsza dłoń ujęła mnie za ramię. Odwróciłem się, dysząc ciężko. Przez chwilę zdawało mi się, iż skonom z uduszenia; oślepiłem, ogłuchłem, otumaniałem; po czym przywidziało mi się, iż jakiś niewidzialny wróg uderza mnie w plecy swą szeroką dłonią. Długo skrywana tajemnica wydarła mi się z duszy.

Podobno mówiłem bardzo wyraźnie, lecz z ogromnym uniesieniem i namiętym pośpiechem, jak gdybym lękał się, iż ktoś mi przerwie, zanim zdążę dokończyć zdań krótkich, lecz pełnych treści, co wydały mnie w moc kata i wiekuistego potępienia.

Uczyniwszy zadość badaniom śledczym, powaliłem się z nóg nieprzytomny.

Cóż mam jeszcze nadmieniść? Obecnie dźwigam łańcuchy i jestem tutaj! Jutro spadną ze mnie te kajdany – lecz gdzie ja wówczas będę?

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> *Coroner* – urzędnik śledczy, badający przyczyny nagłych zgonów.  
„Zgon z dopuszczenia boskiego” – wyrażenie angielskie na określenie śmierci nagłej (przyp. tłum.).

# Czarny kot

**N**ie spodziewam się i nie wymagam wiary dla wielce dziwnej i wielce skądinąd poufnej opowieści, którą chcę pismem utrwalić. Byłbym doprawdy szaleńcem, gdybym się tego spodziewał w chwili, gdy własne moje zmysły odmawiają mi swego świadectwa. Szaleńcem jednak nie jestem – i mam zupełną pewność, że nie majacę. Przecież jutro – umieram, dziś tedy pragnąłbym ulżyć swej duszy spowiedzią. Moim zamiarem bezpośrednim jest jasne, treściwe i bezstronne podanie do wiadomości powszechnej szeregu nagich zdarzeń z zakresu życia domowego. Zdarzenia owe w swych skutkach – przeraziły mię – wzięły na męki – zniестwiły. Mimo to nie będę próbował wyświetlenia ich istoty. Dla mnie osobiście ukazały się od strony przerażenia – wiele osób ujrzy w nich mniej zgrozy, więcej baroku. Kiedyś być może znajdzie się umysł, który zmoreną moją sprowadzi do poziomu zjawisk oklepanych – umysł pogodniejszy, logiczniejszy i o wiele mniej od mego płomienny, który w wypadkach ze zgrozą przeze mnie głoszonych wykryje jeno zwykłą następczość przyczyn i skutków, niezmiernie zgodnych z ładem codziennym.

Od dziecka zdradzałem miękkość i ludzkość uczuć. Tkliwość mego serca była tak znamienna, że dzięki niej stałem się kozłem ofiarnym moich kolegów. Szczególniej przepadałem za zwierzętami i za zgodą rodziców posiadałem wielce różnorodny zespół ulubieńców. Cały niemal czas spędzałem w ich towarzystwie i nigdy nie czułem się tak szczęśliwy, jak wówczas, gdy je darzyłem pokarmem i pieśczołą. Ta osobliwość mego przyrodzenia wzrastała wraz z wiekiem i gdym zmężniał, stąd głównie czerpałem moje uciechy. Tym, którzy darzą uczuciem wiernego i zmyślnego psa, nie mam potrzeby tłumaczenia istoty i stopnia zadowoleń płynących z owego źródła. W bezinteresownej miłości zwierzęcia, w jego

nie szcędzącym własnego życia poświęceniu tkwi coś, co bezpośrednio porusza serce ludzi, którzy częstokroć mieli sposobność stwierdzenia wątlej przyjaźni i słomianej wierności człowieka w oryginale.

Ożeniłem się wcześniej i z radością wykryłem w żonie mej zgodność upodobań. Zauważywszy mój pociąg do tych domowych pieszczochów, nie przeoczyła nigdy sposobności dostarczenia mi okazów najbardziej uroczych. Mieliśmy – ptaki, rybę złotą, pięknego psa, króliki, małą małpkę i kota.

Ten ostatni był okazem zastanawiająco krzepkim i wspaniałym, całkowicie czarnego futra i przedziwnej zmyślności. Mówiąc o jego inteligencji, żona moja, nie pozbawiona w głębi duszy zabobonów, częstokroć napomykała o rozpowszechnionym w starożytności wierzeniu, które we wszystkich czarnych kotach widziało przerzucone czarownice. Nie znaczy to wszakże, aby zawsze w takich razach zachowywała p o w a g ę – i jeśli czynię ową wzmiankę, czynię ją po prostu dlatego, że w tej właśnie chwili przyszła mi do głowy.

Pluton – tak się nazywał kot – był moim ulubieńcem, moim towarzyszem. Sam osobiście podawałem mu pokarm – włóczył się za mną wszędzie, gdziekolwiek poszedłem. Nie bez trudności wymogłem na nim posłuszeństwo zakazowi włóczenia się za mną po ulicach.

Przyjaźń nasza trwała w tym stanie lat kilka, w których czasie całokształt mego charakteru i usposobienia pod wpływem Demona Niewstrzeźliwości – rumienię się na owo wyznanie – uległ zasadniczym zmianom na gorsze. Z dnia na dzień stawałem się coraz pochmurniejszy, coraz skorszy do gniewów, coraz obojętniejszy na uczucia innych ludzi. Pozwalałem sobie na używanie słów grubiańskich w stosunku do mojej żony. W końcu – gwałciłem nawet nietykalność jej osoby. Zmiana mego usposobienia, ma się rozumieć, dała się we znaki moim nieszczęsnym ulubieńcom. Nie tylko je zaniedbywałem, lecz i dręczyłem. Wszakże – co do Plutona – miałem dla niego sporo jeszcze względów, które mi wzbraniały złego z nim obejścia, podczas gdy nie doznawałem żadnych skrupułów w dręczeniu królików, małpy, a nawet psa, jeśli przypadkowo lub przyjaźnie stawały mi na drodze. Atoli zło

moje coraz bardziej zuchwaliło się we mnie – któreż bowiem zło dorówna Alkoholowi! – i wreszcie sam Pluton, który obecnie starzał się i, co idzie za tym, nieco zeszkaradniał – sam Pluton zaczął wyczuwać skutki znikczemnienia mego charakteru.

Pewnej nocy, gdy powróciłem do domu z jednej nałogowo przeze mnie odwiedzanej nory zamiejskiej, uroiłem sobie, iż kot unika mojej obecności. Schwyciłem go za kark – on zaś, spłoszony moją przemocą, z lekka poranił mi zębami rękę. Owładnęła mną nagle wściekłość demona. Straciłem przytomność. Zdawało się, iż duch mój przyrodzony znienacka wymknął mi się z ciała i przepojona ginem, nadszatańska złość przeniknęła każde włókno mej istoty. Z kieszeni kamizelki wyszarpnąłem scyzoryk i otworzyłem. Porwałem biedne zwierzę za gardło i śmiało wyważyłem mu z orbity jedno ślepie! Rumienię się, płonę od wstydu, drzę, opisując to piekła godne okrucieństwo!

Gdy ze świtem rozum odzyskałem – gdy wytchnąłem czad mej hulaszczej nocy – doznałem z powodu popełnionej zbrodni uczucia, które było na w pół zgrozą, a na w pół wyrzutem sumienia, lecz było to co najwyżej – słabe i niewyraźne uczucie i duch mój nie ukorzył się przed owym ciosem. Oddałem się ponownie swym chuciom i wkrótce zatopiłem w winie wspomnienie mego czynu.

Tymczasem kot powoli wracał do zdrowia. Orbita pozbawiona ślepie miała wprawdzie pozór straszliwy, lecz kot zdawał się już nie cierpieć. Swoim zwyczajem chodził tam i z powrotem po pokoju, wszakże, jak winienem był tego oczekiwać, za moim zbliżeniem się uchodził z najwyższą trwogą. Dość mi jeszcze pozostało z mych dawnych uczuć, aby początkowo doznać goryczy na widok tak jawnej odrazy ze strony stworzenia, które mię niegdyś tak miłowało. Owo jednak uczucie ustąpiło wkrótce gniewowi. I wówczas, jakby dla ostatecznego i nieodwołalnego pchnięcia mię do upadku, zjawił się duch Przekory. Filozofia nie zdaje sobie żadnej z tego ducha sprawy. A jednak wierzę w to święcie, jak w istnienie własnej duszy, że przekora jest jednym z pierwotnych popędów ludzkiego serca – jedną z niepodzielnych, pierwiastkowych władz lub uczuć, które nadają kierunek charakterowi danego człowieka. Któż,

popelniając czyn niedorzeczny lub nikczemny, nie dziwił się po stokroć tej prostej oczywistości, iż wiedział, że winien go był nie popełnić? Czyż pomimo doskonałości naszego rozsądku nie mamy nieustannych zakusów do naruszania tego, co jest Prawem, dla tej po prostu przyczyny, iż wiemy właśnie, że jest to – Prawo? Powtarzam – ów duch przekory przyczynił się do ostatecznego mego upadku. Ten to żarliwy, niezgłębiony popęd duszy ku dręczeniu siebie samej – ku gwałceniu własnej natury, ku złoczyńieniu dla samej miłości złego – skłonił mię do snucia w dalszym ciągu i ostatecznie do całkowitego wypełnienia męczarni, którą zgotowałem dla bezbronno go zwierzęcia. Pewnego poranku – z zimną krwią – zadzierzgnąłem wokół szyi kota pętlicę i powiesiłem go na gałęzi drzewa. Powiesiłem ze łzami w oczach – z najsroźszymi wyrzutami sumienia. Powiesiłem, ponieważ wiedziałem, że mnie kochał, i ponieważ czułem, że nie dał mi żadnego do gniewu powodu. Powiesiłem, ponieważ wiedziałem, że czyniąc tak, popełniam grzech – grzech śmiertelny, który hańbi nieśmiertelną duszę moją aż do stopnia wyświecenia jej – jeśli to jest możliwe – poza obręby nieskończonego miłosierdzia Wszechmiłosiernego i Wszechstrasznego Boga.

W nocy, która nastąpiła po dokonaniu owego okrutnego czynu, zbudził mię ze snu okrzyk: „Pożar!”. Kotary mego łóżka były w ogniu. Dom cały płonął. Kosztem niemałych wysiłków uszliśmy płomieniom – moja żona, służący i ja. Ruina była doszczętna. Pożar pochłonął wszystką moją fortunę i odtąd oddałem się rozpacz.

Nie pragnę nawiązać łańcucha przyczyn i skutków pomiędzy mym okrucieństwem a klęską – jestem wyższy ponad tego rodzaju słabostki. Lecz zdaję sobie sprawę z łańcucha zdarzeń i nie chcę przeoczyć ani jednego ogniwa. Odwiedziłem zgliszcza w dniu, który nastąpił po pożarze. Mury z wyjątkiem jednego runęły, zaś ów jedyny wyjątek był właśnie przepierzeniem wewnętrznym, niezbyt grubym, położonym mniej więcej w miejscu, na którym wspierało się wezglowie mego łóżka. Większość muru w tym miejscu oparła się działaniu ognia – wypadek, który przypisywałem świeżo wykonanej jego odnowie. Wokół tego muru zgromadził się tłum gęsty, a ci i owi szczegółowo i z ożywieniem zdawali

się badać upatrzony jego zakątek. Wyrazy: „Dziwne! Szczególne!” – i tym podobne okrzyki wzmogły moją ciekawość. Zbliżyłem się i ujrzałem, niby płaskorzeźbę uwypukloną na białej powierzchni, postać gigantycznego kota. Kształt jego był odtworzony z czarodziejską zaiste ścisłością. Na szyi zwierzęcia zwisał – powróż.

W pierwszej chwili, gdym zjaw ów oglądał – mogłem to bowiem tylko za zjaw uważać – zdumienie moje i przestach nie miały granic. Lecz rozum przyszedł mi wreszcie z pomocą. Kot – pamiętałem to dobrze – został powieszony w przyległym budynkowi ogrodzie. Na okrzyk trwogi tłum niezwłocznie wtargnął do ogrodu i zapewne znalazł się ktoś, co kota od drzewa odczepił i przez otwarte okno wrzucił do mego pokoju. Uczyniono to niewątpliwie w celu zbudzenia mnie ze snu. Brzemień innych murów zasklepiło ofiarę mego okrucieństwa w miazdze świeżych pokładów gipsu. Wapno tego muru, przesycone płomieniem padliny, utworzyło podobiznę taką, jaką właśnie oglądałem.

W ten sposób – wobec dziwnego a opisanego powyżej trafu – jeśli nie ukoilem całkowicie sumienia, zaspokoilem zdawkowo mój rozum, mimo to wszakże traf ów głęboką bruzdą wyrył się w mej wyobraźni. Przez kilka miesięcy nie mogłem się pozbyć zmory kociej i w tym okresie czasu ponownie zakradło się do mej duszy półuczucie, które miało pozory, lecz nie było wyrzutem sumienia. Posunąłem się aż do opłakiwania straty zwierzęcia i do poszukiwania wszędy – w najnikczemniejszych zakamarkach, które obecnie odwiedzam nałogowo, innego ulubieńca tegoż gatunku i pozorów mniej więcej podobnych, aby mieć zastępcę.

Pewnej nocy, gdy na wpół obłądnie siedziałem w jednej bardziej niż zatraconej norze, uwagę moją przykuł nagle przedmiot czarny, tkwiący na wierzchu jednej z olbrzymich beczek ginu czy też rumu, które stanowiły główną ozdobę sali. Od kilku minut przyglądałem się uporczywie górnemu dnu tej beczki, a obecnie zdziwiła mię przede wszystkim ta okoliczność, że dotąd nie spostrzegłem tkwiącego na nim przedmiotu. Zbliżyłem się i zmacałem go dłonią. Był to kot czarny, bardzo duży kot – wielkości co najmniej Plutona, podobny doń bezwzględnie, z wyjątkiem jednej różnicy. Pluton na całym ciele nie miał ani jednego



białego włosa; ten zaś był posiadaczem szerokiej i białej, aczkolwiek nieokreślonego kształtu pręgi, która przesłaniała cały niemal zakres piersi.

Zaledwo go dotknąłem – powstał nagle, zamruczał głośno, otarł się o moją dłoń i zdawał się wyrażać swój zachwyt z powodu okazanych mu przeze mnie względów. Był to właśnie ów wierny okaz, którego poszukiwałem. Natychmiast zaofiarowałem się właścicielowi z kupnem tego kota, lecz ten nie uznał w nim swojej własności, nie znał go – nigdy go dotąd nie widział.

W dalszym ciągu darzyłem go pieczyotami i gdy zamierzałem wrócić do domu, zwierzę wykazało chęć towarzyszenia mej osobie. Pozwoliłem mu iść za sobą i schylając się od czasu do czasu, głaskałem je mimochodem. Wszedłszy do domu, zachował się jak na swych własnych śmieciach i natychmiast zapłonął wielką przyjaźnią dla mej małżonki.

Co do mnie – poczułem wkrótce rodzącą się w mej duszy odrazę do niego. Był to skutek wprost przeciwny spodziewanemu przeze mnie. Nie wiem, jak i dlaczego się to stało, lecz jego widoczna dla mnie czułość napawała mię niemal wstrętem i nużyła. Z wolna i stopniowo uczucia wstrętu i nudy wezbrały aż po gorzki kres nienawiści. Unikałem zwierzaka. Niejasne poczucie wstydu i wspomnienie pierwszego czynu okrucieństwa wzbraniały mi dręczenia tego zwierzęcia. Przez kilka tygodni powściągałem się od bicia kota lub od popędliwych względem niego postępków, atoli stopniowo – nieznacznie – zacząłem nań poglądać z niewysłowionym przestachem i milcząc, uchodzić przed jego nienawistną obecnością jak przed podmuchem dżumy.

Do mej nienawiści dla zwierzęcia przyczyniło się niewątpliwie odkrycie, którego dokonałem rankiem, nazajutrz po sprowadzeniu go do domu, a mianowicie – tak samo, jak Plutonowi, brakowało mu jednego ślepią. Z tego wszakże powodu zwierzę nabrało jeno tym większej wartości w oczach mojej żony, która, jak już wspominałem, w wysokim stopniu posiadała tkliwość serca, stanowiącą niegdyś moją cechę charakterystyczną oraz częstokroć źródło najprostszych i najczystszych radości.

Wszakże przywiązanie do mnie kota wzrastało na przekór mej do niego odrazy. Chodził krok w krok za mną z uporem, który trudno by było przekazać zrozumieniu czytelnika. Ilekroć siadłem, związał się w kłębek pod moim krzesłem lub wskakiwał mi na kolana, obdarzając mnie straszliwymi pieszczotami. Jeśli powstawałem z siedzenia, wściubiał mi się między nogi i przyprawiał mię niemal o upadek lub zanurzając w mym ubraniu długie i ostre pazury, wpelzał mi tym sposobem aż na piersi. W takich chwilach, pomimo żądy zabicia go na miejscu, hamowałem się po części na skutek wspomnienia mojej pierwszej zbrodni, lecz głównie – muszę to wyznać co prędzej – z powodu rzetelnego przed zwierzeniem strachu.

Strach ów nie był właściwie obawą bólu fizycznego, a jednak znalazłbym wielkie przeszkody do określenia go w sposób inny. Ze wstydem niemal wyznaję – tak, nawet w tej celi zbrodniarza wyznaję niemal ze wstydem, że strach i przerażenie, którymi napełniało mnie zwierzę, wzrosły dzięki jednej z najwierutniejszych mrzonek, na jakie tylko zdobyć się można. Żona moja nieraz zwracała mi uwagę na zarys białej pręgi, o której mówiłem, a która stanowiła jedyną widomą różnicę pomiędzy tym dziwnym a owym zamordowanym przeze mnie okazem. Czytelnik bez wątpienia przypomina sobie, iż owa oznaka, mimo sporych rozmiarów, miała pierwotnie kształt nieokreślony, lecz z wolna – w miarę stopniowań – niepochwytłych stopniowań, w których mój rozum przez czas długi chciał się koniecznie dopatrzeć urojeń – nabrała wreszcie nieodpartej jasności zarysów. Stała się teraz odwzorem przedmiotu, którego nie mogę bez zgrozy nazwać po imieniu, a tu właśnie i tu przede wszystkim taiło się to, co mnie zmuszało do powzięcia strachu i wstrętu względem potwora i co skusiłoby mnie do pozbycia się go na zawsze, gdybym miał śmiałość po temu. Obecnie – powtarzam – była to podobizna ohydneho, złowieszczego narzędzia – podobizna Szubienicy. O grobowe i straszliwe narzędzie! Narzędzie zgrozy i zbrodni – agonii i śmierci!

Byłem oto zaiste nieszczęśliwy ponad miarę nieszczęścia dostępnego Człowiekowi. Bydlę przyziemne, którego brata znicestwiłem wzgardliwie – bydlę przyziemne zgotowało dla mnie – dla mnie, istoty stworzonej na

wzór i podobieństwo Boga Najwyższego, klęskę tak wielką i tak ponad siły! Niestety, ni dniem, ni nocą nie zaznałem odtąd słodczy spoczynku! Dniem zwierzę nie opuszczało mię ani na mgnienie, a nocą – co chwila – po to się jeno budziłem z niewypowiedziane trwożnych snów, aby wyczuwać na twarzy ciepły oddech owej namacalności i jej wiekuiście utrwalane na mym sercu niepomierne brzemię – wcielenie Zmory, z której nie mogłem się otrząsnąć!

Pod uciskiem takich męczarni zdźbło pozostałych we mnie dobrych uczuć – szczęło. Złe tylko myśli poufaliły się z mym duchem – najmroczniejsze i najnikczemniejsze ze wszystkich myśli. Właściwa memu usposobieniu posępnosć urosła aż do rozmiarów nienawiści dla wszelkiej rzeczy i wszelkiej istoty ludzkiej. Tymczasem żona moja, która się nigdy nie skarżyła, stała się – niestety – moim codziennym kozłem ofiarnym, najcierpliwszym łupem nagłych, częstych i nieposkromionych wybuchów wściekłości, której się odtąd oddawałem na oślepe.

Pewnego dnia – gwoli jakiejś domowej potrzeby – towarzyszyła mi w zejściu do piwnic starego domostwa, gdzie zamieszkaliśmy pod musem nędzy. Kot szedł za mną po stromych stopniach schodów i na wstępie, omal nie wywróciwszy mnie na głowę – rozjątrzył mój gniew aż do obłędu. Uniósłszy topora i zapomniawszy w mej wściekłości dziecinnego strachu, który dotąd dłoń moją hamował, wymierzyłem w zwierzę cios, który byłby śmiertelny, gdyby padł, jakom chciał. Wszakże cios ów powściągnęła dłoń mej żony. To pośrednictwo podjudziło mię aż do szatańskich rozścierwień. Wyszarpnąłem dłoń z jej uścisku i zanurzyłem topór w jej czaszce. Padła trupem na miejscu, nie wydawszy jęku.

Spełniwszy tę zbrodnię straszliwą, natychmiast i z wielką przytomnością umysłu zakrzętnąłem się dokoła ukrycia zwłok. Zmiarkowałem, że ani w dzień, ani w nocy nie zdołam wynieść ich z domu, nie narażając się na niebezpieczeństwo zwrócenia bacności sąsiadów. Kilka pomysłów przemknęło mi przez głowę. Była chwila, że zamierzyłem pokrajać ciało na drobne kawałki i zniszczyć je ogniem. Potem postanowiłem wyźłobić jamę w gruncie piwnicznym. Potem chciałem wrzucić ciało do studni podwórzowej – potem zapakować je do

skrzyni niby towar na sprzedaż, z przestrzeżeniem wszelkich stosownych pozorów i polecić posłańcowi, aby je wyniósł gdzieś – na miasto. Ostatecznie zatrzymałem się na pomysłe, który moim zdaniem był najlepszy ze wszystkich. Zdecydowałem się zamurować je w piwnicy na wzór mnichów średniowiecznych, którzy podobno zamuroywali swe ofiary.

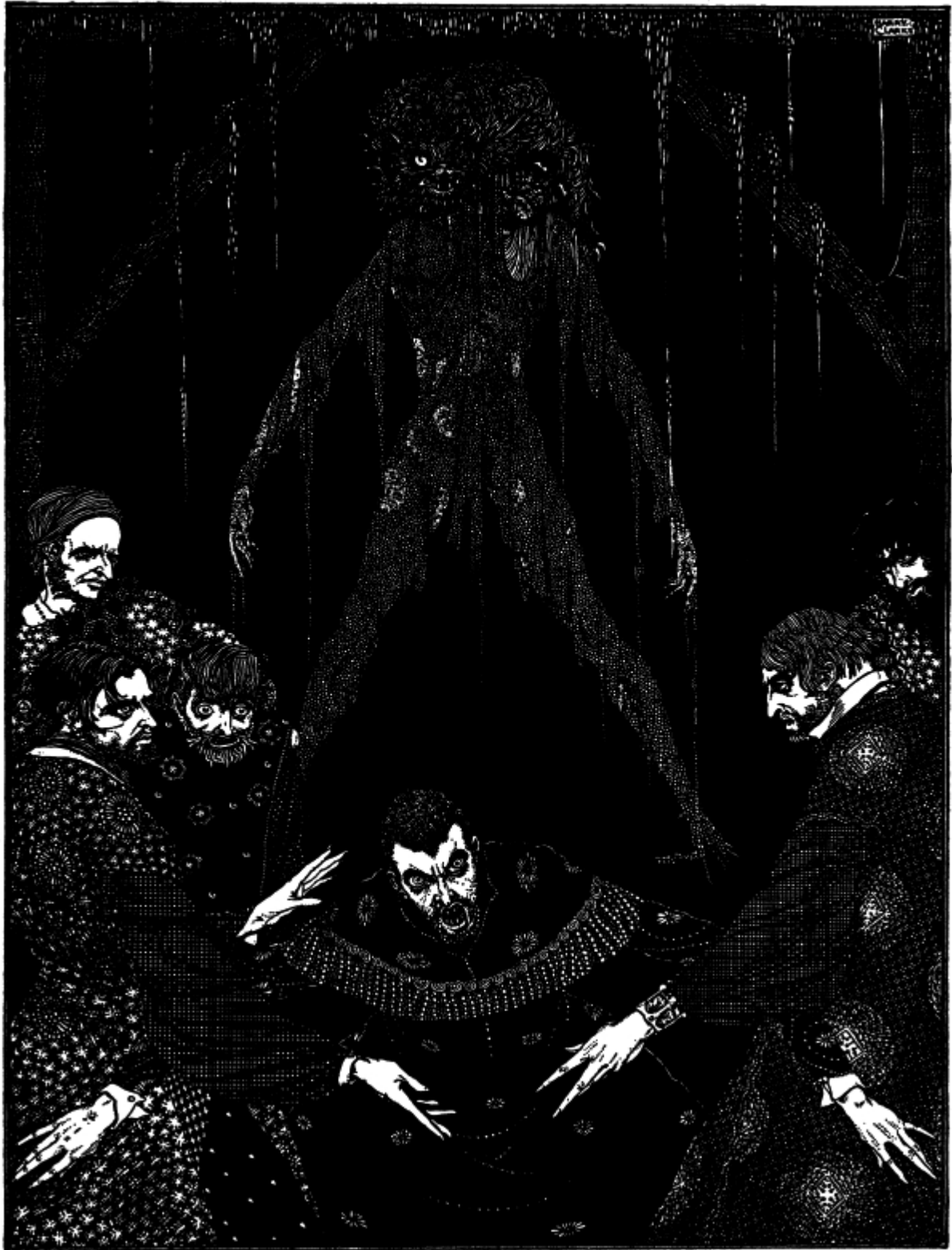
Piwnica bardzo odpowiadała wykonaniu podobnego zamiaru. Mury były zbudowane niedbale i świeżo powleczone grubym pokostem tynku, któremu wilgoć atmosfery nie dała stwardnieć. Ponadto – w jednym z murów tkwił występ, utworzony ślepym kominkiem czy też rodzajem jaskini, pokostowanej i murowanej tak samo, jak reszta piwnicy. Nie wątpiłem, iż uda mi się z łatwością wyważyć w tym miejscu cegły, wtłoczyć tam ciało i zamurować wszystko w taki sposób, ażeby niczyje oko nie zdołało wykryć nic podejrzanego.

I nie pomyliłem się w mych rachubach. Z pomocą obcęgów, bez żadnego trudu, wyszarpnąłem cegły i starannie przystosowawszy zwłoki do wewnętrznego muru, utrzymałem je w tym położeniu aż do chwili, gdy całemu obmurowaniu przywróciłem pozór pierwotny. Zaopatrzywszy się ze wszelkimi możliwymi środkami ostrożności w zaprawę wapienną, piasek i szczerk, urobiłem tynk, którego nie można było odróżnić od dawnego, i bardzo pilnie powlokłem nim nowo powstały mur. Dokonawszy pracy, zauważyłem z zadowoleniem, iż wszystko udało się jak najlepiej. Mur nie zdradzał najmniejszych śladów uszkodzenia. Z największą starannością usunąłem wszelki gruz, odarłem – że tak powiem – ziemię ze skóry. Z tryumfem rozglądałem się na okół i mówiłem sam do siebie: „Tu przynajmniej trud mój nie pójdzie na marne!”

Pierwszym moim odruchem było wypatrzenie zwierzęcia – przyczyny tak wielkich nieszczęść, gdyż w końcu postanowiłem nieodwołalnie pokarać je śmiercią. Gdybym je w tej chwili przyłapał, los jego byłby rozstrzygnięty. Lecz zmyślne zwierzę zlekło się snadź wybuchów mego gniewu i postarało się o to, aby nie napatoczyć mi się na oczy w obecnym stanie mego usposobienia. Ani opisowi, ani wyobrażeniu nie podda się głębokie i błogie uczucie ulgi, którą nieobecność nienawistnego zwierzaka

wytworzyła w mym sercu. Nie zjawił się przez noc całą, a przeto – od czasu sprowadzenia go do domu – była to pierwsza dobra noc, gdy zasnąłem krzepkim i spokojnym snem. Tak, wyspałem się wspólnie z ciężką zmaganiem zbrodni w duszy!

Przeżyłem drugi i trzeci dzień, a kot mój nie powracał. Raz jeszcze westchnąłem jak wyzwoleniec. Potwór, gnany przestępstwem, opuścił te miejsca raz na zawsze! Nigdy go już nie zobaczę! Wesołość moja nie miała granic! Zbrodnictwo potajemnego czynu niepokoiła mnie aż nadto niewiele. Dokonano dokładnie jakiegoś tam badania, lecz zaspokojono się tylko czymś. Zarządzono nawet śledztwo, które – ma się rozumieć – nic wykryć nie mogło. Uważałem moją przyszłą szczęśliwość za pewnik.



ZAMUROWAŁEM POTWORA W MOGILNEJ WNEŹE!

Na czwarty dzień po zabójstwie gromada agentów policyjnych nadspodziewanie wkroczyła do domu i ponownie dokonała dokładnego przeglądu miejsca zbrodni. Ufny wszakże w niedostępność skrytki, nie doznałem żadnego niepokoju. Urzędnicy zniewolili mnie do towarzyszenia im w ich poszukiwaniach. Nie pominęli badaniem ani jednego zakrętu, ani jednego kąta. Wreszcie po raz trzeci czy czwarty zeszli do piwnicy. Żaden muskuł nie drgnął mi w twarzy. Serce moje uderzało spokojnie jak serce nowo narodzonego. Szerokim krokiem zmierzyłem piwnicę od końca do końca, skrzyżowałem dłonie na piersi i z ochotą przechadzałem się tu i tam. Policja była najzupełniej zadowolona i sposobila się do wyjścia. Radość mego serca była zbyt wielka, abym podołał jej stłumieniu. Pałałem żądzą uronienia choćby jednego słówka, jednego tylko słówka, aby w ten sposób zatryumfować i podwoić ich przekonanie o mojej niewinności.

– Panowie – rzekłem wreszcie, gdy społem wchodzili na schody – jestem oczarowany tym, że uciszyłem wasze podejrzenia. Życzę wam wszystkim pomyślnego zdrowia i nieco większych zasobów ugrzecznienia. Mimochodem, panowie, dorzucę, iż oto – oto przed wami dom krzepko zbudowany (pod wpływem rozjuszonej żądzы ogłoszenia czegokolwiek z miną zuchwałą zaledwo wiedziałem, co mówię). – Mogę twierdzić, iż jest to dom przedziwnie krzepko zbudowany. Te mury – czy odchodzicie, panowie? – te mury są szczelnie spojone! – I tu przez rozszalałą do oblędu przekorność – uderzyłem z mocą laską, którą miałem w rękę, akurat po tej części muru, kędy tkwił trup wybranki mego serca.

O! niechże przynajmniej Bóg ma mię w swej opiece i niech mię broni przed pazurami Arcydemonia! Zaledwo echo mych uderzeń rozległo się w ciszy, a jakiś głos odpowiedział mi z wnętrza grobu – początkowo była to skarga stłumiona i przerywana jak szloch dziecięcy, który wkrótce potem wezbrał w krzyk przeciągły, donośny i nieprzerwalny, zgoła przeciwny wszelkiemu przyrodzeniu i nieludzki, w wycie i skomlenie, na wpół pełne zgrozy, a na wpół tryumfu, jakie może się wyłonić jeno z czeluści Piekieł – potworne pianie, wydzierające się jednocześnie z krtani męczonych skazańców i z gardzieli demonów zdjętych weselem potępienia!

Byłaby szaleństwem próba wysłowienia tego, co się działo we mnie. Uczułem, że tracę zmysły i chwiejnym krokiem dobrnąłem do przeciwległego muru. Przez mgnienie urzędnicy, stojąc na schodach, trwali nieruchomi, drętwi od przerażenia. W chwilę potem tuzin rąk mocnych wściekłym rzutem dopadł do muru. Mur runął jako jeden strzep. Ciało, już sporo napoczęte rozkładem i poplamione skrzeplą krwią, stało sztywnie przed oczyma widzów. Na jego głowie z krwawą, na oścież rozwartą paszczą i z jedynym skrzącym się ślepiem – gnieździło się wstrętne zwierzę, którego podstęp zniewolił mię do zbrodni, a którego głos zdradziecki wydał w ręce kata. Zamurowałem potwora w mogilnej wnęce!

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*



## Serce – oskarżycielem

**B**ez wątpienia – jestem zbyt nerwowy, strasznie nerwowy, zawszem był taki... Na jakiej wszakże zasadzie chcecie koniecznie upatrzeć we mnie szaleńca? Choroba zaostrzyła moje zmysły – nie znicestwiła ich – nie przytłumiła. Ponad innymi zmysłami – słuch mój górował niezwykłą czujnością. Słyszałem wszystko, cokolwiek działo się w niebiosach i na ziemi. Słyszałem wieleć z tego, co się działo w piekle. Skądże mi do szaleństwa? Chwila uwagi! Baczcie jeno, z jakim nadmiarem zdrowia i pogody ducha mogę wam opowiedzieć wszystko, co się stało.

Określenie tego, jakim sposobem wiadoma myśl powstała pierwotnie w mym mózgu, wymyka się wszelkim możliwościom. Wszakże od chwili powstania myśl ta przebywała we mnie dniem i nocą. Przedmiot? Myśl była bez przedmiotu. Była pozbyta wszelkiej namiętności. Lubiłem poczciwego starucha. Nigdy mi nic złego nie uczynił. Nigdy mnie nie uraził. Nie pożądałem zgoła jego złota. Przypuszczenia moje dotyczą raczej jego oka... Tak, to było to! Miał jedno oko podobne do sępiego – oko płowoniebieskie, bielmem przysłonięte. Ilekroć to oko zwracało się ku mnie, tylekroć krew we mnie stygła, i oto – z wolna – stopniowo – uknuła mi się w głowie zachcianka odebrania starcowi życia, aby w ten sposób raz na zawsze uwolnić się od jego oka.

Otóż właśnie, tu tkwi sęk! Sądzicie mnie szalonym. Szaleni nie wiedzą nic a nic. Gdybyście mogli jednak podpatrzeć, jak sprawnie działałem! – jak ostrożnie, jak zapobiegliwie, jak przebiegle zakrzętnąłem się dokoła mej roboty! Nigdy nie byłem dla starucha tak uprzejmy, jak w ciągu całego tygodnia, który poprzedzał spełnienie morderstwa. I co noc – około północy – pokręcałem zasuwę jego drzwi – i otwierałem je – o, jakże bezszmernie! I w chwili, gdym uchylał drzwi na objętość mej głowy,

wsuwałem ślepa latarnię, zamkniętą szczelnie, szczelnie zamkniętą, wzbraniającą przepustu najmniejszemu promieniowi – w ślad za nią wtlaczałem głowę. O, moglibyście się uśmieć, widząc, jak zręcznie wtlaczałem głowę. Nadawałem jej ruch powolny, bardzo, bardzo powolny, by nie zakłócić snu starca. Dobrą godzinę musiałem tracić na przewleczenie mej głowy poprzez otwór tak daleko w głąb, aby go oglądać zmożonego snem na łożu. Szaleniec – czyż zdobyłby się na taki rozsądek? I w chwili, gdy głowa moja przebywała goła w pokoju, odsłaniałem latarnię spokojnie, ostrożnie – o, jakże ostrożnie, jak ostrożnie! Zawiasa bowiem powrzaskiwała. Odsłaniałem jeno tyle, ile było trzeba, ażeby jedna, niepochwytna nić światła trafiła do sępiego ślepie. I w tej czynności ćwiczyłem się przez siedem długich nocy – co noc – o samej północy, lecz zastawałem zawsze ślepie zamknięte, nie mogłem przeto dopełnić mego zamiaru, nie starzec bowiem mnie męczył, lecz jego Złe Oko. I co rano, gdy dzień świtał, wchodziłem bezczelnie do jego pokoju, zawiązywałem z nim śmiało rozmowę, nazywając go po imieniu głosem serdecznym i zapytując, jak spędził noc. Owóż, wyznajcie, że staruch – zaprawdę – musiałby chyba posiadać duszę nadzwyczaj przenikliwą, aby wpaść na domysł, że co noc o samej północy badam go, zdjętego snem.

Ósmej nocy powziąłem większą jeszcze bacność przy rozwieraniu drzwi. Mniejsza wskazówka zegara szybciej się porusza niżli wówczas dłoń moja. Nigdy, do czasu tej nocy, nie czułem tak w pełni mych sił – bystrości mego umysłu. Pomyśleć jeno, że byłem tuż, ja – cierpliwy rozwieracz drzwi – a jemu nawet nie śniło się o tym, co czynię i co zamierzam potajemnie! Na myśl o tym – uroniłem nieco śmiechu – i być może starzec mnie posłyszał, gdyż znienacka poruszył się na łożu, jakby się ocknął. W takiej chwili – sądzicie zapewne, że się cofnąłem? – Bynajmniej! Pokój jego był czarny niby smoła – tak się w nim zagęstwiły cienie – okiennice bowiem z obawy złodziei były starannie zamknięte; tedy wiedząc, że starzec nie może dojrzeć półrozwarcia drzwi, rozchylałem je nadal coraz więcej, coraz szerzej.

Przesunąłem już mą głowę i dotarłem do chwili odsłonięcia latarni, gdy duży mój palec pośliznął się na blaszanym zamku i starzec,

wyprostowawszy się na łóżku, zawołał: „Kto tam?”.

Znieruchomiałem całkowicie i nie odrzekłem nic. Przez godzinę całą nie poruszyłem ani jednym ścięgnem i przez cały ten czas nie słyszałem, aby się do snu ponownie układał. Trwał wciąż w postawie siedzącej, na czatach – zupełnie tak samo jak ja, gdy po całych nocach nasłuchiwałem świerszcza ukrytego w murze.

Lecz oto posłyszałem wąty jęk i wnet poznałem, że był to jęk śmiertelnego przerażenia. Nie był to jęk bólu ani rozpacz – o, nie! Był to głuchy i zdławiony wydech, który się dobywa ze dna duszy zmiażdżonej przestraczem. Znałem dobrze ów wydech. Przez wiele nocy o samej północy, gdy spał świat wszystek, wrywał się on z mej własnej piersi, wyotchłaniając swym straszliwym echem widma trawiących mię przerażeń. Powtarzam: znałem go dobrze. Wiedziałem, czego doznawał starzec, i czułem dlań litość, chociaż się śmiało coś w mym sercu. Wiedziałem, że trwa ockniony od chwili pierwszego, maluczkiego szmeru, gdy się przewracał na łożu. Lęk jego wciąż się wzmagał. Starał się, ale nie mógł przekonać siebie samego, że lęk to bez przyczyny. Mówił sam w sobie: „To nic innego, jeno wiatr w kominie – to tylko mysz przemknęła wzdłuż podłogi” – albo: „To tylko świerszcz zazgrzytał”. Tak, silił się dodać sobie otuchy takimi domysłami, ale to wszystko było nadaremne. Wszystko było nadaremne, albowiem śmierć, która się zbliżała, przeszła obok niego ze swym wielkim, czarnym cieniem i spowiła weń swoją ofiarę. I właśnie żałobna przemoc niewidzialnego cienia działała, iż wyczuł (choć starzec nic nie widział i nie słyszał) pobyt mej głowy w pokoju.

Przeczekawszy czas długi – bardzo cierpliwie i nie słysząc, aby się do snu ponownie układał, postanowiłem odsłonić z lekka latarnię; lecz tak z lekka, tak z lekka, jakby wcale nic. Odsłoniłem ją wreszcie tak niepostrzeżenie, tak niepostrzeżenie, że trudno to sobie nawet wyobrazić, aż w końcu samotny, bładny promień, na kształt nici pajęczej, wysnuł się ze szczeliny i padł na sępie oko.

Rozwarte było, na oścież rozwarte i wpadłem we wściekłość w tej samej chwili, gdy je ujrzałem. Ukazało mi się z doskonałą jasnością – całe – w zadymie błękitnej i powleczone pokalaną błoną, której widok zmroził

mnie aż do szpiku kości. Z całej twarzy jednak i z całej postaci starucha nie mogłem dojrzeć nic prócz tego, com zobaczył. Skierowałem bowiem promień, jakby pod wpływem instynktu, nie gdzie indziej, jeno właśnie w samo sedno przeklętego miejsca.

Otóż tedy – czyż wam nie nadmieniałem, że to, co uważacie za szaleństwo, jest jeno przeczuleniem zmysłów? Otóż – powiadam wam – dotknął mych uszu głuchy, zdławiony, częstotliwy szmer, podobny do tego, który wytwarza zegarek owinięty w watę. Dźwięk ów – poznałem tak samo i niezgorzej... Było to bicie serca w piersi starucha. Dźwięk ów wzmógł moją wściekłość, na kształt uderzeń bębna, które podjudzają odwagę żołnierza.

Wszakże pohamowałem się raz jeszcze i trwałem nadal bez ruchu. Oddychałem z trudnością. Znieruchomiłem w dłoni latarnię. Sposobiłem się do utrwalenia promyka wręcz – na samym ślepiu. A jednocześnie serce biło na alarm coraz mocniej. Uderzenia jego nabierały co chwila pośpiechu i nabierały co chwila odgłosu. Według musowego prawdopodobieństwa – przerażenie starca dosięgało kresów ostatecznych. Odgłos owych uderzeń z każdą chwilą – powtarzam – stawał się mocniejszy i mocniejszy! Uważnież mnie słuchacie? Wszakże was uprzedziłem, że jestem nerwowy, i rzeczywiście – jestem nerwowy. I oto – w pełni nocy, wśród przeraźliwego milczenia tego starego domostwa – ów tak osobliwy szmer poraził mnie niepokonanym lękiem. W przeciągu kilku mgnień następnych wciągałem się i trwałem nieporuszenie. Lecz odgłos uderzeń wciąż wzmagał się i wzmagał. Zdawało mi się, że serce pęknie. I oto ogarnęła mnie troska nowa! Dźwięk ów mógł dolecieć uszu sąsiada! Godzina starca wybiła! Wyjając wniebogłosy, odsłoniłem nagle latarnię i wdarłem się do pokoju. Staruch wydał jeden tylko okrzyk – jeden – jedyny. W okamgnieniu cisnąłem nim na oślep o podłogę i przytłoczyłem go całym miążdzącym ciężarem łoża. I tu się dopiero uśmiechnąłem radośnie na widok tak wynagrodzonych trudów. Lecz przez kilka minut serce się ozywało zakapturzonym wydźwiękiem. Ta wszakże okoliczność nie trwożyła mię zgoła, nikt bowiem nie mógł poprzez mury dosłyszeć owego wydźwięku. A i ten się z wolna uciszył.

Staruch był martwy. Podniosłem łożę i zbadłem ciało. Tak, na miejscu padł trupem – na miejscu. Przyłożyłem mu dłoń do serca i przetrzymałem ją tam kilkanaście minut. Ani śladu tętna. Padł trupem na miejscu. Odtąd już jego ślepie nie będzie mnie dręczyło.

Jeśli trwacie w przekonaniu, że jestem szalony – przekonanie owo pierzchnie, gdy wam opiszę, jakich przebiegłych sposobów użyłem dla ukrycia trupa. Noc nadchodziła, a ja pracowałem pośpiesznie, chociaż w milczeniu. Odciąłem głowę, a potem ręce – a potem – nogi.



STARUCH WYDAŁ TYLKO JEDEN OKRZYK - JEDEN - JEDYNY



LECZ PRZEZ KILKA MINUT SERCE SIĘ OZYWAŁO  
ZAKAPTURZONYM WYDŹWIĘKIEM

A potem wyłamałem trzy deski z podłogi i złożyłem wszystek zespół pomiędzy dranicami. A potem przystosowałem deski do dawnego miejsca tak zręcznie, tak chwacko, że żadne oko ludzkie – nawet jego oko – nie mogłoby dojrzeć nic podejrzanego. I nic nie było do zmycia, ani jednej plamy, ani jednego śladu krwi. Byłem zbyt z tym zapobiegliwy. Nic nie zostało na dnie pełnego przed chwilą cebrzyka! Ha, ha!

Gdy dokonałem tych wszystkich zabiegów, była godzina czwarta i ciemno jak o północy. Podczas gdy zegar wydzwaniał godzinę, zapukano do drzwi od ulicy. Lekko mi było na sercu, gdy szedłem otworzyć – czegoż bowiem bać się mogłem – obecnie? Weszło trzech ludzi, którzy z przedoskonalonym ugrzecznieniem przedstawili mi się jako urzędnicy policyjni. Pono ktoś z sąsiadów słyszał nocą jakiś okrzyk, dzięki temu powstało podejrzenie, że zaszło coś złego – podano wiadomość do biura policji – i ci panowie (urzędnicy) przybyli właśnie jako wysłańcy gwoli zbadania miejsca.

Uśmiechnąłem się – jakież bowiem miałem powody do obaw? Gościnnie powitałem tych jegomościów. „Co do krzyku – rzekłem – sam właśnie przez sen krzyknąłem. Stary zaś człeczyna – dorzuciłem – udał się w podróż po kraju”. Oprowadziłem mych gości po całym domu. Prosiłem, aby wszędzie zajrzeli i aby zajrzeli dokładnie. Wreszcie wprowadziłem ich do jego pokoju. Pokazałem im cały jego dobytek w zgoła bezpiecznym schronieniu i w bezwzględnym ładzie. Przesadzając w zapale ufność we własne siły, wniosłem krzesła do pokoju i prosiłem ich, aby spoczęli, podczas gdy sam z zawrotną odwagą zupełnego tryumfu utwierdziłem swe krzesło w tym samym właśnie miejscu, gdzie były ukryte zwłoki ofiary.

Urzędnicy wykazali zadowolenie. Przekonało ich moje postępowanie. Czułem osobliwy błogostan. Usiedli i zagaili rozmowę byle jakiej treści, ja zaś wesoło im odpowiadałem. Lecz po upływie pewnego czasu poczułem, że blednę, i pożądałem w duszy ich odejścia. Począł mię dręczyć ból głowy i zdawało mi się, że mi dzwoni w uszach. Oni wszakże nie powstali z swych siedzeń i rozmawiali nieustannie. Dzwonienie wyrażniało. Trwało wciąż i wyrażniało coraz bardziej. Wzmogłem swoją gadatliwość, aby się

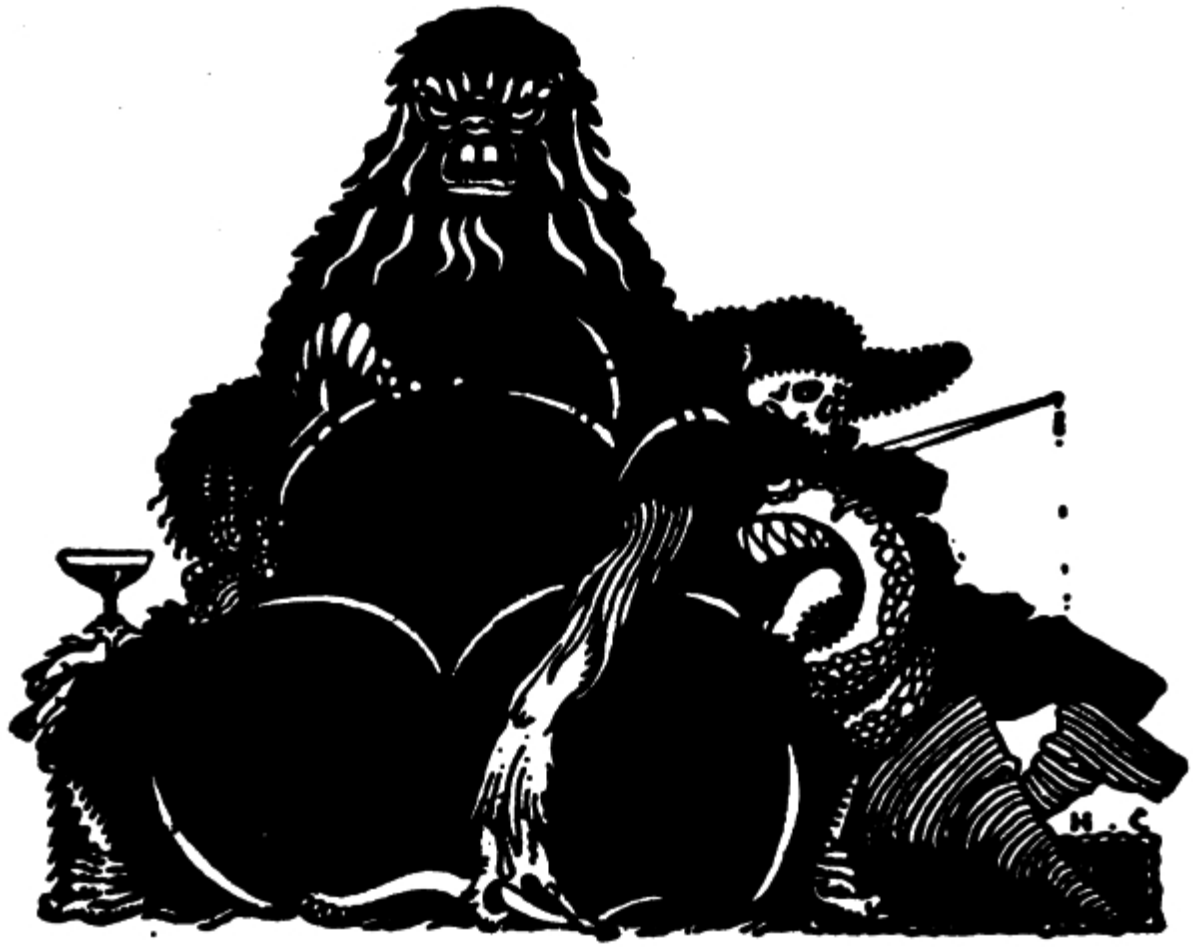


odczepić od owego wrażenia. Lecz dzwoniło dobitnie i przybrało cechy zgoła nieodparte, aż w końcu wykryłem, że to nie w uszach moich dzwoni.

Bez wątpienia – bardzo wówczas pobladłem. Lecz gawędziłem ze zdwojoną jeszcze płynnością i głosem podniesionym. Dźwięk wciąż się rozrastał – co miałem począć? Był to szmer głuchy, zdławiony, częstotliwy, szmer niezwykle podobny do tego, który wytwarza zegarek owinięty w watę. Oddychałem z trudnością. Urzędnicy nie słyszeli jeszcze. Zacząłem gadać szybciej i z większą gwałtownością, ale szmer wzmagął się nieustannie. Wstałem i wszcząłem spór o jakieś drobnostki w tonie wielce wzniosłym, z przydatkiem gestów popędliwych, lecz szmer się wzmagał – wzmagał nieustannie. Czemuż ci ludzie nie chcą stąd odejść? Tam i sam – ciężkimi i wielkimi krokami zacząłem odmierzać pokój, jakby rozjątrzony uwagami moich rozmówców. Lecz szmer wzrastał miarowo. O Boże! Cóż miałem począć? Burzyłem się – plotłem trzy po trzy – przeklinałem. Poruszałem krzesłem, na którym siedziałem, szurałem nim po podłodze. Wszakże szmer wciąż trwał i wzmagał się bez końca. Krzepnął coraz bardziej – coraz bardziej i wciąż coraz bardziej. A goście wciąż gadali – i uśmiechali się – i żartowali. Możliweż-to, że nic nie usłyszeli? Boże wszechmogący! Nie, nie! Słyszeli! – Domyślali się! – Wiedzieli! Bawili się jeno moim przerażeniem! Tak pomyślałem – i dotąd jeszcze tak myślę. Wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia, okrom tego pośmiewiska. Nie mogłem znieść dłużej tych uśmiechów! Uczułem, że albo krzyczeć muszę, albo skonać! I teraz jeszcze – czy słyszycie? – Nasłuchujcie! Coraz głośniej, coraz głośniej, wiecznie głośniej, wiecznie głośniej!

– Nikczemni! – krzyknąłem. – Nie udawajcie dłużej! Wyznaję wszystko! Zerwijcie te deski! To – tam! To – tam! To – trzepot jego straszliwego serca!

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*



# William Wilson

Co powie o tym zgryzota Sumienia,

To widmo na mej drodze?

Chamberlayne: *Pharronnida*

Niechaj mi będzie wolno przybrać do czasu miano Williama Wilsona. Czystej kartki papieru, co w tej chwili leży przede mną, nie chcę kalać właściwym mym nazwiskiem. Zbyt bowiem często bywało ono przedmiotem zgrozy, wzgardy i ohydy dla mego rodu. Czyż wicher oburzenia nie rozniósł jego niezrównanej hańby aż po najdalsze krańce ziemi? O, wyrzutku, najbardziej spodlony ze wszystkich wyrzutków! Czyż nie umarłeś na zawsze dla świata? Dla jego zaszczytów, jego kwiatów, jego dążeń złocistych? – I czyż chmura, nieprzenikniona, bezbrzeżna, złowieszcza między twymi nadziejami a niebem nie rozokoliła się na wieki?

Nie chciałbym, gdyby to nawet było dla mnie możliwe, kreślić tu dziejów z lat ostatnich niewysłowionej mej nędzy i niegodziwego łotrostwa. Na okres ten, na te lata ostatnie przypada nagły rozrost mego znikczemnienia, którego samo tylko powstanie przedstawić tu na razie zamierzam. Zazwyczaj ludzie podleją stopniowo. Ja zaś postradałem swą szlachetność jak płaszcz, co w jednej chwili obsuwa się z ramion na ziemię. Od zdrożności, dość pospolitych, ku potwornościom nieznanym nawet Heliogabalowi, zdążyłem krokami olbrzyma. Może nie nadużyję niczyjej łaskawości, gdy opowiem, jak przypadek – jak jedno, jedyne zdarzenie rozpętało we mnie te zbrodnicze popędy. Śmierć moja bliska, a wyprzedzające ją cienie ślaniają się kojąco nad moją duszą. Zanurzając się już w mroki padolne, tęsknię do życzliwości, powiedziałbym niemal, do zmiłowania ludzkiego. Pragnę przekonać mych bliźnich, iż w pewnej mierze byłem niewolnikiem okoliczności niedostępnych pojmowaniu ludzkiemu. Chciałbym, żeby idąc za szczegółami, które za chwilę przytoczę, wśród dzikiego pustkowia błędów nie pominęli małej oazy fatalności. Sądzę, iż zechcą przyznać, gdyż zaprzeczyć temu niepodobna, że jakkolwiek pokusy zawsze bywały wielkie, to jednak nie było jeszcze człowieka, który by był kuszony w ten sposób i w ten właśnie sposób pokusom tym uległ. Zdaje mi się również, iż nikt jeszcze tak jak ja nie cierpiał. Dotychczasowe me życie – nie byłoż ono istotnie snem? A teraz, kiedy godziny moje są już policzone, czyż nie jestem pastwą grozy i tajemnicy poczętej z najupiorniejszej pod słońcem wizji?

Pochodzę z rodziny, która zawsze słyęła z żywej wyobraźni i nader pobudliwego temperamentu. Już w najwcześniejszym dzieciństwie znać było po mnie, iż w całej pełni odziedziczyłem właściwości rodzinne. Z biegiem lat rozwinęły się one do tego stopnia, iż jęły niepokoić wielce mych przyjaciół i szkodzić dotkliwie mnie samemu. Stałem się samowolny, powodowałem się najdzikszyimi zachciankami i poddawałem się najnieokiełznańszymi namiętnościami. Rodzice moi, chwiejni z natury i sami obarczeni pokrewnymi narowami, niezdolni byli powściągnąć wrodzonych mych skłonności. Nieliczne, słabe i nieumiejętnie podejmowane wysiłki kończyły się zawsze całkowitą ich porażką i najzupełniejszym mym tryumfem. Odtąd głos mój znajdował posłuch w domu i w wieku, kiedy inne dzieci zwykły chodzić jeszcze na pasku, ja już rządziłem się własną wolą i w rzeczywistości zależałem we wszystkim tylko od siebie.

Najdawniejsze me wspomnienia z lat szkolnych wiążą się z wielkim, osobliwym domostwem z epoki elżbietańskiej, wznoszącym się śród mglistej osady angielskiej, gdzie rosło mnóstwo olbrzymich, sękatych drzew i gdzie wszystkie domy były niesłychanie starożytne. Niby marzeniem i ostoją dla ducha było to czcigodne, odwieczne miasto. Dziś jeszcze rozkoszuję się w wyobraźni rośną świeżością cienistych jego alei, oddycham wonią nieprzeliczonych zagajników i jakaś nieokreślona błogość przenika mnie na myśl o głębokich, głuchych dźwiękach kościelnego dzwonu, który co godzina swym nagłym, posępnym brzmieniem roztrącał mroczne powietrze, otulające do snu szczerbatą gotycką dzwonnice.

Rozpamiętywam drobiazgowo wspomnienia szkolne i towarzyszące im okoliczności, zaś z tym większym czynię to upodobaniem, iż właśnie teraz odżyły w mej duszy. Pograżonemu w niedoli – niestety, aż nazbyt rzeczywistej – niechaj będzie wolno szukać pociechy, nikłej co prawda i przemijającej, w szczegółach błahych i rozpierzchłych. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego i mogłyby nawet rozśmieszać, gdyby wyobraźnia moja nie przypisywała im szczególniejszego znaczenia ze względu na to, iż pozostają w związku z czasem i miejscowością, gdzie po raz pierwszy

doznałem niedocieczonej kaźni Przeznaczenia, które później tak straszliwie roztoczyć miało nade mną swe cienie. Oto powód, dla którego niechaj mi nikt nie wzbrania tych wspomnień.

Dom, jak nadmieniałem, był starodawny i nieregularny. Stał pośrodku bardzo przestronnego dziedzińca, opasanego mocnym i wysokim murem z cegieł, który u szczytu miał powłokę tynku najeżonego potłuczonym szkłem. Ta więzienna z wyglądu zapora stanowiła granicę naszych dziedzińców; wydostawaliśmy się poza nią tylko trzy razy w tygodniu: raz w sobotę po południu, gdy pod nadzorem dwu nauczycieli wolno nam było odbyć gromadnie krótką przechadzkę po okolicznych polach; i dwa razy w niedzielę, gdy rano i po południu podążaliśmy w tym samym, ściśle określonym porządku do miejscowego kościoła na nabożeństwo. Przełożony naszej szkoły był w tym kościele pastorem. Z jakimż głębokim uczuciem podziwu i onieśmienia zwykłem był patrzeć nań z naszej ławy, umieszczonej daleko na galerii, gdy krokiem wolnym i uroczystym wstępował na kazalnicę! Ten czcigodny kapłan z obliczem skupionym i wniebowziętym, wiejący duchowną, odświętną szatą, w nadzwyczaj starannie upudrowanej peruce, taki surowy i taki możny – czyż mógł być tym samym człowiekiem, co przed chwilą z odrażającą twarzą i w zaplamionym tabaką ubraniu przestrzegał z trzcina w ręce drakońskich przepisów szkolnych? Cóż za dziwaczny paradoks, zbyt zaprawdę potworny, by mógł znaleźć rozwiązanie!

W załomie potężnego muru szczyrzyła się jeszcze potężniejsza brama. Cała mocno kuta i zamknięta na żelazne wrzeciędzie, miała u góry rząd żelaznych, zazębionych kolców. Jakimże głębokim przejmowała nas lękiem! Stała dla nas otworem trzy razy w tygodniu, jak już poprzednio napomknąłem; poza tym zawsze bywała zamknięta. Toteż w każdym zgrzycie jej ogromnych zawiasów kryło się dla nas mnóstwo tajemnic – i powstawał cały świat zbożnych spostrzeżeń i jeszcze zbożniejszych rozpamiętywań.

Rozległy dziedziniec był nieregularnego kształtu i miał wiele obszernych ustroni. Trzy lub cztery największe spośród nich tworzyły miejsce zabaw. Było ono wyrównane i pokryte drobnym, twardym

zwirem. Pamiętam dokładnie, iż było najzupełniej ogołoczone z drzew, ławek i tym podobnych przedmiotów. Znajdowało się za domem, zaś przed nim rozstaczał się niewielki trawnik, zasadzony bukszpanem oraz innymi krzewami. Atoli w tej uświęconej okolicy bywaliśmy nader rzadko, mianowicie kiedyśmy po raz pierwszy przyjeżdżali do szkoły lub gdyśmy rozstawali się z nią na zawsze, albo wreszcie kiedy zawitał jaki krewny czy przyjaciel i ku wielkiej naszej radości zabierał nas ze sobą na święta Bożego Narodzenia lub na uroczystość świętojańską.

Lecz dom! – jakież przedziwny był i starożytny! Dla mnie był to istny przybytek czarodziejski. Jego zakręty i nieodgadnione skrytki naprawdę nie miały końca. Żaden z jego mieszkańców nie umiał bez wahania odpowiedzieć, czy w danej chwili przebywa na pierwszym, czy też na drugim piętrze. Przechodząc z jednego pokoju do drugiego, zawsze napotykało się po drodze jakieś schodki, które po kilku stopniach prowadziły w górę lub w dół. Zaś boczne odgałęzienia były tak liczne i tak niedocieczone, przy tym tak zawile, iż najściślejszy pogląd, jaki wyrobiliśmy sobie na całość domu, niezbyt różnił się od naszych pojęć o nieskończoności. Przez cały czas pięcioletniego w domu tym pobytu nie mogłem z niezawodną stanowczością oznaczyć, gdzie właściwie i w jakiej dalekiej stronie znajduje się niewielka sala, przeznaczona na sypialnię dla mnie i dla osiemnastu czy dwudziestu moich kolegów.

Sala szkolna była największa w całym domu, a jak mi podówczas się zdawało, także w całym świecie. Była bardzo długa, wąska i niemożliwie niska, miała ostrołukowe, gotyckie okna, ponad którymi wysklepiał się strop dębowy. W najdalszym, trwogą ziejącym kącie znajdowała się czworoboczna przegródka, mająca osiem do dziesięciu stóp powierzchni. Podczas lekcji tworzyła ona *sanctum* naszego przełożonego, wielbnego doktora Bransby’ego. Odznaczała się mocną budową i posiadała zamczone drzwi, których w nieobecności Domini żaden z nas nie byłby otworzył nawet pod grozą *la peine forte et dure*<sup>1</sup>. W innych kątach mieściły się jeszcze dwie podobne przedziałki, nie tak czczone, lecz omal nie mniejszym przejmujące postrachem. Jedną z nich zajmował „klasyk”, drugą nauczyciel angielskiego i matematyki. Rozrzucone po całej sali,

zbiegające się i rozbiegające nadzwyczaj nieregularnie, stały nieprzeliczone ławki i pulpity, odwieczne, pocerniałe, nadgryzione przez czas, zawałone beznadziejnie potarganymi na strzępy książkami i tak usiane inicjałami, całkowitymi nazwiskami, dziwaczными figurami oraz innymi wymyślnych scyzoryków popisami, iż zatraciły najzupełniej resztki kształtów pierwotnych, które za dni dawno zamierzchłych dostały się im zapewne w udziale. W jednym końcu sali stało olbrzymie wiadro z wodą, w drugim zaś zegar, niepojętych wprost rozmiarów.

Zamknięty w głuchych murach tej czcigodnej szkoły, spędzałem tam, bez przykrości zresztą i odrazy, lata moje chłopięce. Bujny mózg dziecięcy nie potrzebuje zewnętrznego świata zdarzeń, by znaleźć sobie zabawę czy zajęcie, i gnębiąca na pozór monotonia szkolna kryła w sobie podniety o wiele silniejsze od tych, które późniejsza młodość moja czerpała z rozpusty, a wiek dojrzały ze zbrodni. Mimo to sędzę, iż mój wczesny rozwój umysłowy miał w sobie coś niezwykłego i nazbyt był *outré*<sup>2</sup>. Na ogół wrażenia z pierwszego dzieciństwa rzadko zachowują swą wyrazistość w duszach ludzi dojrzałych. Wszystko zamiercha w szarzyźnie – staje się nikłym, bezpostaciowym wspomnieniem, mętym zbiorowiskiem mdłych radości i urojonych cierpień. Ze mną jest inaczej. Widocznie odczuwania dziecięce objawiły się we mnie z energią wieku męskiego, gdyż zarysy ich przetrwały w mej pamięci takie żywe, takie głębokie i niezatarte, jak egzergi na medalach kartagińskich.

W rzeczywistości – przynajmniej tak pojętej, jak ją zazwyczaj się pojmuje – jakżeż niewiele było tam wątku do wspomnień! Poranne wstawania i wieczorne nawoływania do snu; odrabianie lekcji i ich wydawanie; od czasu do czasu połowiczne wakacje i przechadzki; wspólne zabawy z ich zgiełkiem, rozradowaniem i knowaniami: wszystko to, mocą magii psychicznej dziś zaprzepaszczone w niepamięci, kryło w sobie przebogactwo wrażeń, całe światy przygód, bezmiary najprzeróżniejszych wzruszeń i najoblędniejszych, najbardziej roznamiętniających podniet. *Oh, le bon temps, que ce siècle de fer!*<sup>3</sup>

Ognistość, zapał i chęć przewodzenia, właściwe mej naturze, wyróżniły mnie wkrótce wśród kolegów i z czasem, stopniowo, utrwaliły mą przewagę



nad wszystkimi moimi rówieśnikami – z wyjątkiem jednego. Był to uczeń, który nie będąc wcale mym krewnym, nosił jednakże takie samo imię i nazwisko. W okoliczności tej nie ma nic nadzwyczajnego, gdyż, jakkolwiek pochodzę ze szlachty, nazwisko moje należy do rzędu tych, które od niepamiętnych czasów prawem przedawnienia stały się pospólną własnością tłumu. Oto powód, dla którego przybrałem fikcyjne miano Williama Wilsona, jako niezbyt różniące się od rzeczywistego. Śród moich kolegów, którzy w gwarze szkolnej nazywali się „naszą paczką”, tylko mój imiennik śmiał współzawodniczyć ze mną w nauce, psotach i popisach; tylko on jeden nie dowierzał na ślepo mym zapewnieniom, nie poddawał się mej woli – słowem, sprzeciwiał się we wszystkim mym samowładczym zachciankom. Jeżeli istnieje jeszcze gdzieś na świecie bezwzględny i nieograniczony despotyzm, to jest nim przewaga, jaką bogato wyposażona dusza dziecięca miewa nad mniej lotnymi umysłami swych towarzyszy.

Oporne zachowanie się Wilsona było dla mnie źródłem wielu utrapień. Wprawdzie w obecności innych udawałem, że nic sobie nie robię z niego samego i jego uroszczeń, ale w skrytości czułem, że go się boję, i nie mogłem oprzeć się myśli, iż łatwość, z jaką dotrzymywał mi współzawodnictwa, świadczyła o istotnej jego wyższości, bowiem moje tryumfy były okupowane nieustannymi wysiłkami. Atoli tej wyższości – czy tej równości – nikt nie dostrzegał prócz mnie samego; niepojęte zaślepienie naszych towarzyszy nawet jej nie przeczuwało. Trzeba przyznać, iż jego współzawodnictwo, jego oporność, zaś przede wszystkim jego natrętne i uprzykrzone mieszanie się do moich spraw nie wychodziło niemal poza obręb stosunków wyłącznie osobistych. Zdawało się, iż jest pozbawiony zarówno właściwej mi ambicji, dążącej do ciągłego przewodzenia we wszystkim, jak i namiętnej rzutkości umysłu, dzięki której mogłem tym dążeniom podołać. Toteż można było przypuszczać, iż stając ze mną do współzawodnictwa, powodował się jedynie dziwną pobudką, by mnie drażnić, zdumiewać i martwić; chociaż chwilami, przyglądając mu się bardziej, dostrzegałem z uczuciem podziwu, gniewu i upokorzenia, iż wszystkie jego wyrzuty, obelgi i sprzeciwiania się wynikały z jakiejś wysoce niewłaściwej i najzupełniej niepożądaney

względem mnie czułości. Nie mogłem pojąć tego osobliwszego postępowania i posądzałem go o wygórowaną zarozumiałość, kryjącą się pod niezbyt wytwornymi osłonkami pieczołowitości i przychylności.

Zapewne ten ostatni rys w zachowaniu Wilsona z dodatkiem tożsamości naszych nazwisk, jako też najzupełniej przypadkowej okoliczności, iż jednego i tego samego dnia wstąpiliśmy obaj do szkoły, przyczynił się do rozpowszechnienia w wyższych klasach pogłoski, jakobyśmy byli braćmi. Lecz to wiadomo, że nie jest u nich w zwyczaju zajmować się szczegółowiej sprawami swych młodszych kolegów. Jak już wspomniałem lub winien byłem wspomnieć, Wilson wcale nie był spowinowacony z mą rodziną. To pewna, iż gdyby był nas łączył węzeł braterstwa, bylibyśmy musieli być bliźniakami, bowiem już po opuszczeniu zakładu doktora Bransby'ego dowiedziałem się przypadkowo, iż mój imiennik przyszedł na świat 19 stycznia 1813 roku – co było okolicznością bądź co bądź zastanawiającą, gdyż dzień ten stanowi również dokładną datę mych urodzin.

Wyda się może rzeczą dziwną, iż mimo nieustannej obawy przed współzawodnictwem Wilsona i mimo wrodzonej mu nieznośnej przekory jakoś nie mogłem zupełnie go znienawidzić. Rzecz prosta, iż niemal codziennie przychodziło między nami do sprzeczek, w których on, przyznając mi publicznie palmę zwycięstwa, dawał jednakże w ten lub ów sposób do zrozumienia, iż właściwie jemu ona się należała; wszelako zarówno moja wyniosłość, jak i jego rzeczywista godność utrzymywały nas zawsze w karbach przyzwoitości, a przy tym w usposobieniach i uzdolnieniach naszych tyle szczególniejszego było podobieństwa, że nie mogłem go nie lubić i zapewne tylko nasz wzajemny stosunek nie pozwolił tej sympatii rozwinąć się w przyjaźń. Przyznaję, iż z trudnością przyszłoby mi określić lub co więcej opisać moje rzeczywiste względem niego uczucia. Stanowiły one mieszaninę nader pstrą i różnolitą: nieco wyzywającej niechęci, która jednakowoż nie wynikała jeszcze z nienawiści, nieco czci, nieco uznania, wiele trwogi i mnóstwo dolegliwej ciekawości. Dla moralistów zbyt będzie nadmieniać, iż stał się on moim nieodłącznym towarzyszem.

Niejasność naszych wzajemnych stosunków przejawiała się bez wątpienia w tym, iż wszystkie moje przeciw niemu zwrócone zaczepki (a było ich dużo, zarówno jawnych, jak ukrytych) znajdowały ujście raczej w pospolitych żartach i kpinach (bardzo zresztą dotkliwych, gdyż ukrywających się pod pozorami niewinnych psot) niż w głębszej i zawziętszej nieprzyjaźni. Atoli me celowe wysiłki nie zawsze zapewniały mi nad nim przewagę, nawet wówczas gdy bywały najmisterniej uknute; bowiem mój imiennik miał w swym usposobieniu dużo spokojnej i niewymuszonej męskości, która, dając uczuć ostrze swojego dowcipu, nie objawia natomiast słabostek i nie może podlegać pośmiewisku. Jakoż nie mogłem dostrzec w nim żadnej wady, jeśli pominę pewną osobistą właściwość, wynikłą prawdopodobnie z niedomagania organicznego, którą byłby uszanował każdy inny przeciwnik, mniej ode mnie doprowadzony do ostateczności: oto mój współzawodnik miał tak słabe narządy gardlane czy krtaniowe, iż nie mógł podnieść głosu ponad miarę bardzo głuchego szeptu. Gdy tylko mogłem, nie wahałem się wyzyskiwać niegodnie tej jego ułomności.

Odwety Wilsona bywały bardzo różne i objawiały się w ten sposób, iż wytrącały mnie zupełnie z równowagi. W jaki sposób przenikliwość jego wpadała na trop szczegółów nieraz błahych, lecz dla mnie bardzo nieprzyjemnych, tego nigdy nie zdołałem odgadnąć; to pewna, iż odkrywszy rzecz taką, prześladował mnie nią bez końca. Zawsze czułem odrazę do mego mało dostojnego nazwiska tudzież do nader pospolitego, jeżeli już nie gminnego imienia. Słowa te były trucizną dla moich uszu. Toteż kiedy w dzień mojego przybycia drugi William Wilson pojawił się w szkole, obruszyłem się na niego, iż nazywa się tak samo, i w dwójnasób obmierziłem sobie moje nazwisko, iż należało jeszcze do kogoś obcego i w ten sposób dwa razy częściej miało o moje obijać się uszy – że ten obcy będzie przebywał ciągle w mym towarzystwie i że ta wstrętna, przypadkowa okoliczność w zwykłym trybie szkolnego życia jego sprawy pomiesza z moimi.

Rozbudzona w ten sposób niechęć wzmagała się w miarę, jak wychodziły na jaw szczegóły wykazujące fizyczne i duchowe podobieństwo

między mną a mym współzawodnikiem. Nie wiedziałem wówczas jeszcze, iż byliśmy w tym samym wieku, lecz spostrzegłem, iż nie różnimy się wzrostem, i zauważyłem, iż w ogólnym wyglądzie i w rysach twarzy istnieje między nami osobliwsze podobieństwo. Gniewały mnie również szerzące się – jak już powyżej wspomniałem – pogłoski o rzekomym naszym pokrewieństwie. Słowem, nic nie mogło większej sprawić mi przykrości (acz nie dawałem tego poznać po sobie) niż aluzje dotyczące naszego podobieństwa w pochodzeniu, uzdolnieniu lub wyglądzie. Co prawda, poza owym domniemanym pokrewień-

stwem tudzież poza tym, co Wilson sam wiedział, nie było żadnego powodu do przypuszczeń, jakoby to podobieństwo miało zwrócić na siebie uwagę naszych kolegów lub, co więcej, stać się przedmiotem ich rozmów. To pewna, iż on znał je i śledził we wszystkich przejawach z nie mniejszą ode mnie bacnością; lecz że zdołał w nim odkryć nieprzebraną dziedzinę prześladowań, przypisuję to tylko – jak już wspomniałem – nadzwyczajnej jego bystrości.

Uwziął się, by stać się doskonałą mą kopia zarówno w słowach, jak zachowaniu, i z roli tej wywiązywał się niezrównanie. Z ubraniem poszło mu bardzo łatwo; z nie mniejszą łatwością przyswoił sobie moje ruchy i całość zachowania: nawet mój głos nie uszedł jego bacności – pomimo wrodzonej mu wady. Nie naśladował wprawdzie mych tonów wyższych, lecz barwa brzmień nie różniła się niczym do tego stopnia, iż szczególniejszy jego szept wydawał się wiernym echem mojego głosu.

Jak bardzo dręczył mnie ten dokładny portret (gdyż właściwie nie mogłem nazwać go karykaturą), tego nie zdołałem dziś opisać. Jedyłą mą pociechą było to, iż nikt widocznie nie zauważył tego naśladownictwa i że mnie tylko nękał świadomy i pełen dziwnie gorzkiego szyderstwa uśmiech mojego imiennika. Zadowolony z przykrości, którą rozmyślnie ubódł mnie do żywego, zdawał się naigrywać w głębi duszy z zadanego mi ciosu, lecz okazywał szczególniejsze lekceważenie dla oklasków, które na pewno byłby mu zjednał dowcipny jego pomysł, uwieńczony najzupełniejszym powodzeniem. Całymi miesiącami na próżno łamałem sobie głowę, dlaczego koledzy nie domyślili się jego zamiaru, nie

zauważyli, gdy go wykonał, i nie wzięli udziału w złośliwym jego tryumfie. Być może, iż podobieństwo, przyswajane stopniowo, mnie na razie rzucało się w oczy lub, co jest o wiele prawdopodobniejsze, iż zawdzięczałem me bezpieczeństwo mistrzowskiemu poczuciu kopisty, który gardząc niewolniczą wiernością (to jest tym, co dla bezmyślności ludzkiej stanowi jedyną w obrazach zaletę), odtwarzał natomiast w całej pełni ducha oryginału ku mej osobistej rozwadze i utrapieniu.

Wspomniałem już o niesmacznej pieczołowitości, z którą mi się narzucał, oraz o jego częstym, jawnym wtrącaniu się w zakres mej woli. Wtrącanie się to przybierało niejednokrotnie niemiłe cechy przestrogi – przestrogi nie tyle otwartej, ile raczej domyślnej i podsuniętej. Odpłacałem się oburzeniem, które wzmagало się z każdym rokiem. Dziś wszakże, po tylu latach, muszę mu oddać sprawiedliwość i przyznaję, że napomnienia mojego współzawodnika nie wynikały nigdy z płochości i błędów właściwych niedojrzałej i niedoświadczonej młodości, że górował nade mną może nie tyle zdolnościami i znajomością życia, ile subtelnym poczuciem moralnym, i że byłbym dziś o wiele lepszy i, co za tym idzie, o wiele szczęśliwszy, gdybym nie był tak często odtrącał rad zawartych w owych znaczących podszeptach, których z całej duszy nienawidziłem, wywzajemniając się za nie cierpką pogardą.

Z czasem doszło do tego, iż zapamiętałem się bezgranicznie przeciw tej jego uprzykrzonej opiece i coraz jawniej okazywałem mu niechęć do tego, co wydawało mi się w nim nieznośną arogancją. Powiedziałem poprzednio, iż w pierwszych latach znajomości koleżeństwo nasze mogło z łatwością przedzierzgnąć się w przyjaźń; natomiast pod koniec mojego pobytu, niemal w miarę jak łagodniała właściwa mu natarczywość, uczucia moje względem niego jęły stanowczo przeobrażać się w nienawiść. Mam powody do przypuszczenia, iż przy pewnej sposobności to zauważył i odtąd mnie unikał lub przynajmniej udawał, że unika.

Mniej więcej w tym samym czasie przyszło raz między nami do zapamiętałej sprzeczki, podczas której uniósł się więcej niż zazwyczaj, okazując w słowach i czynach otwartość, obcą niemal jego naturze. Zauważyłem wtedy – lub przynajmniej zdawało mi się, że zauważyłem –

w tonie jego głosu, w zachowaniu się i całym wyglądzie coś, co najpierw mnie przeraziło, a później głęboko zastanowiło, przywodząc na myśl zamierzchłe wizje z najwcześniejszego mego dzieciństwa – dziwne jakieś, bezładne, gnębiące wspomnienia z czasów, kiedy pamięć moja jeszcze nie istniała. By jaśniej określić wrażenie, jakie mną wówczas wstrząsnęło, dodam jeszcze, iż niełatwo mi przyszło oprzeć się przeświadczeniu, jakobym kiedyś, przed wiekami, w niezmiernie odległej przeszłości znał już stojącą przede mną istotę. Złudzenie to pierzchnęło wprawdzie równie szybko, jak powstało, a wspominam o nim jedynie dlatego, by bliżej oznaczyć dzień, w którym po raz ostatni rozmawiałem z mym osobliwszym imiennikiem.

Ogromny, starożytny dom w niezliczonych swych tajnikach miał kilka połączonych razem, obszernych pokojów, w których sypiała większość uczniów. Obok nich – jak to zwykle bywa w nie obmyślanych zawczasu budynkach – było mnóstwo wnęk i zakątków, powstałych przez zakończenia i niedokształcenia architektoniczne. Aczkolwiek przedstawiały się one jako zwykłe komórki, mogące pomieścić zaledwie jedną osobę, mimo to zmysł oszczędności, właściwy doktorowi Bransby'emu, zdołał je również przekształcić w sypialnie. Jedną z tych izb zajmował Wilson.

Pewnej nocy, pod sam koniec mego pięcioletniego w szkole pobytu i bezpośrednio po wspomnianej przed chwilą sprzeczce, gdy wszyscy już spali, wstałem z łóżka i z lampą w ręku przekradłem się gmatwaniną wąskich korytarzy do sypialni mojego współzawodnika. Od dawna przygotowywałem się do splątania mu pewnego niezmiernie dotkliwego figła, gdyż dotychczasowe najzupełniej mi się nie udawały. Zamierzałem wtedy przystąpić do wykonania mego planu i postanowiłem sobie, iż wywrę na nim wszystką złość, która mnie przepajała. Odnalazłem jego izdebkę i wszedłem do niej po cichu, pozostawiając przed drzwiami lampę osłoniętą abazurem. Postąpiłem krok naprzód i usłyszałem szmer spokojnego jego oddechu. Upewniwszy się, że śpi, wróciłem po światło i niosąc je przed sobą, znowu zbliżyłem się do łóżka. By wykonać mój plan, spokojnie i z wolna rozsunąłem kotarę, która je osłaniała. Jasne

promienie oświetlały dokładnie postać śpiącego, a równocześnie me spojrzenie spoczęło na jego twarzy. Popatrzyłem – i zlodowaciałem w nagłym osłupieniu. Pierś wezbrała, kolana się ugięły, duszę ogarnęła nieujęta i nieuskromiona groza. Dysząc ciężko, pochyliłem bliżej lampę ku jego twarzy. Czyż to podobna, by tak wyglądał William Wilson? Widziałem dobrze, że to jego rysy, lecz drżałem cały w gorączkowym majaczeniu, iż może tak nie jest. Na czymże polegało to nasze zastanawiające podobieństwo? Nie odwracałem od niego oczu, a w mózgu wirowało mi mnóstwo bezładnych myśli. Nie tak – to pewna, iż nie tak wyglądał, kiedy nie był pogrążony we śnie. To samo nazwisko, ten sam wygląd, ten sam dzień przybycia do szkoły; a potem to uprzykrzone i bezmyślne naśladownictwo mego chodu, głosu, ubrania i zachowania! Czyż podobna przypuścić, by to, co w tej chwili widziałem, było jedynie wynikiem nawykowego, szyderczego naśladownictwa? Struchlały, drżący zgasilem lampę, wyszedłem potajemnie z pokoju i wkrótce potem opuściłem starodawną szkołę, by już do niej nigdy nie wrócić.

Po kilku miesiącach próżniaczej beczynności w domu rodziców wstąpiłem do kolegium w Eton. Krótki ten okres wystarczył najzupełniej, by osłabić wspomnienia wyniesione ze szkoły doktora Bransby'ego, lub przynajmniej, by w sposobie ich odczuwania wywołać istotną zmianę. Tragiczna prawda dramatu przestała dla mnie istnieć. Jąłem powątpiewać o świadectwie mych zmysłów i coraz rzadziej wracałem do owych zdarzeń myślą, za każdym razem dziwiąc się ludzkiej łatwowierności i uśmiechając się z przewrażliwienia mej dziedzicznie nieokiełznanej wyobraźni. Tryb życia mego w Eton nie był tego rodzaju, by mógł wpłynąć na zmniejszenie podobnych wątpliwości. Bowiem od razu i bez namysłu rzuciłem się tam w wir bezmyślnych szaleństw, które spłukały z mej przeszłości wszystko, co nie było czczą pianą, zatarły rychło szczere znamię wrażeń głębszych, pozostawiając z lat ubiegłych tylko pamięć rzeczy marnych i błahych.

Nie mam zamiaru kreślić tu przebiegu mych nikczemnych wyuzdań – wyuzdań, co urągały wszelkiemu prawu, a uchodziły baczności władz szkolnych. Trzy lata szaleństw, spędzone bezpożytecznie, zakorzeniły we

mnie nałóg występku, lecz przyczyniły się w niezwykłym stopniu do mego rozwoju fizycznego. Pewnego razu, po całym tygodniu bezmyślnych rozrywek, urządziłem u siebie potajemnie orgię, na którą zaprosiłem nieliczne grono znanych ze swego zepsucia towarzyszy. Zebraliśmy się późną nocą, gdyż nasza hulanka miała się przeciągnąć do samego rana. Wino lało się szcudrze, nie zbywało także na innych, może nawet zgubniejszych pokusach i szare brzaski jeły już z wolna rozwidniać niebo, kiedy rozpasanie nasze stanęło u szczytu. Podniecony do szału pijaństwem i kartami, domagałem się właśnie, by wolno mi było wznieść potwornie niegodziwy toast, gdy z nagła uchylły się drzwi, a spoza nich rozległ się przenikliwy głos mojego służącego. Oznajmił mi, iż jakiś nieznajomy, widocznie w sprawie nie cierpiącej zwłoki, oczekuje w przedsionku i chciałby ze mną mówić.

Byłem odurzony winem do tego stopnia, iż to nieoczekiwane najście ubawiło mnie raczej, niż zaniepokoiło. Zataczając się, wybiegłem do przedsionka. Był on mały i niski, nie miał wcale lampy, a jedyne oświetlenie stanowiła w tej chwili niezmiernie nikła smuga brzasku wpadająca przez półkoliste okno. Kiedym stanął na progu, ujrzałem jakiegoś młodzieńca mniej więcej mojego wzrostu, w kaszmirowym, białym ubraniu, które było skrojone wedle najświeższej mody i niczym nie różniło się od mojego. To tylko dojrzałem w pomroce; rysów twarzy nie mogłem już rozróżnić. Gdym wszedł, rzucił się ku mnie z gestem zuchwałej niecierpliwości, uchwycił mnie za ramię i wyszeptał mi do ucha słowa: „Williamie Wilsonie!”.

W okamgnieniu otrzeźwiałem zupełnie.

W zachowaniu nieznajomego oraz w drżeniu jego wzniesionego palca, który mignął pod światło przed moimi oczyma, było coś, co napełniło mnie nieokreślonym zdumieniem; lecz nie to wstrząsnęło mną do głębi. Moc jakaś biła z tego uroczystego napomnienia, wyrzeczonego dziwnym, głuchym, syczącym głosem, zaś przede wszystkim zastanowił mnie charakterystyczny ton, a także barwa tych niewielu zwyczajnych, prostych, a jednak wyszeptanych zgłosek, co wywołały z niepamięci tysiące niepokojących wspomnień i targnęły mą duszą na podobieństwo



elektrycznego prądu. Zanim zdołałem odzyskać przytomność, nieznanego już nie było.

Wrażenie tego wypadku oddziaływało silnie na moją rozwichrzoną wyobraźnię, lecz rozwiało się nader szybko. Przez kilka tygodni istotnie rozmyślałem głęboko lub pogrążałem się w oćmie chorobliwych zadum. Nie wmawiałem bynajmniej w siebie, jakoby się mylił co do osoby tego szczególniejszego człowieka, który tak uporczywie wtrącał się w me sprawy lub naprzykrzał mi się swymi przypochlebnymi radami. Lecz kim i czym był ten Wilson? – skąd się wziął? – i co zamierzał? Na żadne z tych pytań nie znalazłem odpowiedzi – i dowiedziałem się o nim tylko tyle, że przynaglony jakimś wypadkiem w swej rodzinie, opuścił szkołę doktora Bransby’ego po południu tego samego dnia, kiedy ja stamtąd umknąłem. Niedługo wszakże zajmowałem się tą sprawą, gdyż wszystkie me myśli jęły krążyć około zamierzonego wyjazdu do Oxfordu. Udawałem się tam tym chętniej, iż nierozważna próżność mych rodziców wyposażyła mnie w środki i zasoby pozwalające mi nie tylko na zaspokajanie mych zachcianek i rozkoszowanie się zbytkiem, do którego zdążyłem już nawyknąć, lecz nawet na współzawodniczenie w wystawności i rozrzutności z najdostojniejszymi spadkobiercami najbogatszych lordów angielskich.

Rozzuchwaliły mnie te ułatwienia na drodze do występku, więc ze zdwojoną namiętnością puściłem wodze memu wrodzonemu usposobieniu i w szalonym zapamiętaniu mych rozwiązłych orgii zdeptałem najprostsze nawet względy wszelkiej godziwości. Byłoby niedorzecznym rozwodzić się tu szczegółowo nad moimi zdrożnościami. Dość nadmienić, iż w marnotrawstwie nie miałem sobie równego i że ode mnie wzięło miano mnóstwo nowych wybryków, przez co przyczyniłem się niemało do pomnożenia długiej listy występków, rozpowszechnionych na uniwersytecie osławionym w całej Europie ze swojego zepsucia.

Wyda się może niepodobieństwem, gdy powiem, iż wyzułem się wówczas z poczucia honoru do tego stopnia, że pozawiazywałem znajomości wśród najlichszych zawodowych graczy i zapoznawszy się z tajnikami ich haniebnej sztuki, posługiwałem się nimi ustawicznie, by

zwiększać moje i tak już olbrzymie dochody kosztem mych mniej rozgarniętych kolegów. A jednak tak było istotnie; zaś bezkarność moja polegała głównie, jeśli nie wyłącznie, właśnie na tym pohańbieniu wszelkich uczuć rzetelności i godności. Bo i któryż z mych najbardziej spodlonych towarzyszy nie byłby raczej zaprzeczył najjawniejszemu świadectwu własnych swych zmysłów niżby śmiał posądzić o rzecz taką wytwornego, swawolnego, wielkodusznego Williama Wilsona – najszlachetniejszego i najszczodroblewszego *commonera* w całym Oxfordzie – którego szaleństwa (jak powiadali jego pasażerzy) były tylko szaleństwami młodości i nieokiełznanej wyobraźni, którego błędy czarowały niezrównaną oryginalnością, którego najbrudniejsze sprawy były tylko przedziwnymi wybrykami dobrego humoru?

Już od dwóch lat oddawałem się z powodzeniem tej szulerce, kiedy na uniwersytecie pojawił się młody, niedawno wzbogacony szlachcic, niejaki Glendinning, o którym wieści niosły, iż był bogaty jak Herodes Atticus i że te bogactwa same wpadły mu w ręce. Zauważyłem wkrótce, iż był małej inteligencji, i upatrzyłem sobie w nim przyszłą, nader podatną ofiarę. Wciągałem go często do gry i posługując się podstępem, stosowanym przez wszystkich szulerów, przegrywałem do niego znaczne sumy, by tym silniej uwikłać go w me sidła. W końcu, gdy plan mój był już gotów, zeszedłem się z nim (postanowiwszy wprzód sobie, że spotkanie to będzie ostatnim i rozstrzygającym) w mieszkaniu naszego kolegi, Mr. Prestona, którego zarówno ze mną, jak z nim łączyły węzły ścisłej zażyłości, lecz który – co trzeba przyznać – nie tylko nie był wtajemniczony w me zamiary, lecz nawet ich nie podejrzewał. Chcąc zachować wszystkie pozory, postarałem się zawczasu, aby zebrało się towarzystwo złożone z ośmiu czy dziesięciu osób, i użyłem całej mej przebiegłości, żeby gra w karty wszczęła się niby to przypadkiem i żeby zaproszenie do niej wyszło od upatrzonego przeze mnie uczestnika. Nie chcę przedstawiać wszystkich szczegółów w całej ich ohydzie, dodam tylko, iż nie zaniedbałem żadnego nikczemnego podstępu, używanego tak powszechnie w podobnych okolicznościach, iż dziwię się, jak mogą istnieć jeszcze głupcy wpadający w podobne sidła.

Zebranie nasze przeciągnęło się do późnej nocy i w końcu udało mi się doprowadzić do tego, iż Glendinning został jedynym moim partnerem, zaś grę stanowiło ulubione przeze mnie *écarté*. Reszta towarzystwa, zaciekawiona rozmiarami naszej gry, zaprzestała swojej i zebrała się dookoła nas w roli widzów. Dorobkiewicz, którego udało się mi zawczasu spoić, mieszał, rozdawał i grał z takim podnieceniem, iż nie mogłem złożyć jego niepokoju jedynie na karb odurzenia i jałem przypuszczać jeszcze inne przyczyny. W bardzo krótkim czasie zadłużył się u mnie na znaczną sumę, po czym wychyliwszy wielką szklankę portweinu, uczynił właśnie to, co na zimno przewidywałem – mianowicie zażądał, byśmy podwoili nasze i tak już ogromne stawki. Ustąpiłem jego naleganiom z dobrze udaną niechęcią i dopiero wówczas, gdy moje kilkakrotne odmowy spotkały się z jego strony z cierpką przymówką, przez co ustępstwo moje nabrało zabarwienia urazy. Dalszy przebieg gry pogrążył go zupełnie w zastawione przeze mnie sidła; w niespełna godzinę dług jego wzrósł w czwórnasób. Już przedtem pobladła twarz jego, zaróżowiona od wina, lecz z tą chwilą ku mojemu zdumieniu zbieleła straszliwie. Powiadam – ku mojemu zdumieniu, gdyż z moich wywiadów wyniosłem przeświadczenie, iż Glendinning jest niesłychanie bogaty. Wprawdzie straty, jakie poniósł, były ogromne, lecz moim zdaniem nie powinny były go martwić, a tym mniej wyprowadzać z równowagi. Pierwszą więc myślą, jaka mi się nasunęła, było przypuszczenie, iż zmorzył go nadmiar wypitego wina; jakoż raczej ze względu na to, co pomyślał sobie moi towarzysze, niż z jakichkolwiek innych, bardziej ludzkich pobudek zamierzałem właśnie usunąć się stanowczo od dalszej gry, kiedy kilka słów wyrzeczonych obok mnie tudzież wykrzyk Glendinninga, dowodzący bezbrzeżnej rozpacz, dały mi do poznania, iż dokonałem doszczętniej jego ruiny w okolicznościach, które, czyniąc zeń przedmiot powszechnego współczucia, chroniły go tym samym od krzywd nawet ze strony wroga.

Jak podówczas należało mi się zachować, tego nie umiem powiedzieć. Żałosny stan mej ofiary rzucił na wszystko cień smutku i zakłopotania i wywołał przewlekłą chwilę głębokiego milczenia, podczas której czułem mimowolnie, iż policzki moje cierpną od płonących spojrzeń, pełnych

wzgardy i wyrzutu, którymi piętnowała mnie uczciwsza część towarzystwa. I wyznam, że zdawało mi się niemal, jakby nieznośne brzemie trwogi spadło mi na chwilę z serca, kiedy ktoś nieoczekiwany wtargnął pośpiesznie do pokoju. Wielkie, ciężkie podwoje nagle rozwarły się na oścież z taką siłą i łoskotem, iż wszystkie światła w pokoju jak na zaklęcie pogasły. Zanim jednak zgasły, zdążyliśmy zauważyć, iż wchodzący nieznajomy był mniej więcej mojego wzrostu i miał na sobie płaszcz, który osłaniał go do niepoznania. Nastąpiła ciemność tak nieprzenikniona, iż odczuwaliśmy tylko jego obecność. Natręt przemówił, nim zdążyliśmy ochłonąć z bezgranicznego osłupienia wywołanego tym zuchwalstwem.

– Panowie – odezwał się cichym, wyraźnym, niezapomnianym szeptem, co przeniknęło mnie do szpiku kości. – Nie zamierzam usprawiedliwiać mojego zachowania, gdyż postępując w ten sposób, spełniam tylko mój obowiązek. Panowie bez wątpienia nie wiecie, kim jest w rzeczywistości człowiek, który wygrał w *écarté* tej nocy wielką sumę od lorda Glendinninga. Pragnąłbym otworzyć wam oczy i radzę użyć w tym celu doraźnego – i rozstrzygającego sposobu. Zechciejcie zbadać wedle swego uznania podszewkę w zakładce jego lewego rękawa jako też kilka niewielkich paczek, które znajdziecie w nieco za obszernych kieszeniach jego ozdobnego okrycia.

Słowa jego rozlegały się w ciszy tak głębokiej, iż można było dosłyszeć szmer, jaki wydaje szpilka spadająca na posadzkę. Skończywszy oddalił się równie szybko, jak przyszedł. Czy można – czy podobna opisać me wrażenia? Mamże wyznać, iż doznałem wszystkich mąk potępieńca? To pewna, iż niewiele pozostawiono mi czasu do rozmyślań. Mnóstwo ramion obezwładniło mnie, nie pozwalając ruszyć się z miejsca, i w jednej chwili zablęły znów światła. Przystąpiono do poszukiwania. Za podszewką mojego rękawa znaleziono wszystkie ważniejsze karty potrzebne do *écarté*, zaś w kieszeniach mego okrycia kilka talii kart, które pozornie nie różniły się niczym od używanych na naszych zebraniach, lecz w rzeczywistości były – wedle gwary technicznej – *arrondées*, to znaczy, iż karty wyższe miały lekkie wypukłości po rogach, natomiast karty niższe

podobne wypukłości po bokach. Przy tym urządzeniu gracz nieświadomy, zbierając karty, jak to zazwyczaj się robi, od strony dłuższej, zbierze zawsze niechybnie na korzyść swego przeciwnika; natomiast oszust, zbierając od strony krótszej, na pewno nie zbierze na żadną kartę, która by dawała przewagę jego partnerowi.

Wybuch oburzenia mniej byłby mnie zabolął niż wzgardliwe milczenie i szyderczy spokój, z jakim przyjęto to odkrycie.

– Panie Wilsonie – rzekł nasz gospodarz, pochylając się, by podnieść nadzwyczaj wytworny płaszcz podbity drogocennym futrem. – Panie Wilsonie, oto pańska własność. – (Noc była chłodna; wychodząc z mieszkania, zarzuciłem na siebie płaszcz, lecz zdjąłem go u wejścia do pokoju, w którym gra się odbywała). – Sądzę – mówił dalej, patrząc z cierpkim uśmiechem na fałdy utrzymanego w ręku okrycia – iż nie potrzebujemy tu szukać dalszych dowodów pańskiej zapobiegliwości. Mamy ich aż nadto. Spodziewam się, iż uzna pan za stosowne opuścić Oxford – w każdym zaś razie opuścić niezwłocznie me mieszkanie.

Acz zbezczeszczony i zmieszany z błotem, byłbym jednak prawdopodobnie odpowiedział na tę obrazę niezwłoczną i czynną obelgą, gdyby całej mej uwagi nie pochłaniała w tej chwili rzecz wprost niepojęta. Płaszcz, w którym przyszedłem, była to wspaniała futrzana delia; o rzadkości i kosztowności futra wolę nie wspominać. Fantazyjny krój tego płaszcza był mego własnego pomysłu, gdyż w zdrożnych upodobaniach wymagania moje nie znały granic i wytworność w ubraniu posuwałem do niedorzeczności. Otóż kiedy Mr. Preston podawał mi szubę znaną koło drzwi na posadzce, popadłem w osłupienie, graniczące niemal z przerażeniem, gdyż spostrzegłem, iż mam już swój płaszcz na ramieniu (zapewne wziąłem go sam, nie myśląc o tym) i że ten, który mi podawano, stanowi do najdrobniejszych szczegółów dokładną podobiznę mojego. Uprzytomniłem sobie, iż tajemniczy nieznajomy, co tak złowieszco zaważył na mych losach, był otulony w płaszcz i że prócz mnie i niego nikt z obecnych nie przyszedł w płaszczu. Mimo to zachowałem nieco przytomności umysłu; wziąłem okrycie podane mi przez Prestona, umieściłem je niepostrzeżenie na moim, wybiegłem z pokoju, obrzuciwszy

zebranych spojrzeniem zuchwałym i wyzywającym, po czym jeszcze przed wschodem słońca wyjechałem z Oxfordu, podążając na stały ląd europejski z duszą mrącą od hańby i grozy.

Uciekałem na próżno. Jak gdyby w tryumfie ścigała mnie moja przeklęta dola, dając mi uczuć, iż tajemnicza jej władza dopiero się zaczęła. Zaledwo postawiłem stopę w Paryżu, a już miałem nowy dowód, iż przemierzły Wilson nie przestał zajmować się moimi sprawami. Lata mijały, lecz nie przynosiły mi ulgi. Co za nikczemnik! Z jaką niewczesną, a zarazem upiorną gotowością stanął między mną a mą ambicją w Rzymie! A potem w Wiedniu! – w Berlinie! – w Moskwie! Czyż było miejsce, gdzie by ma gorycz nie miała powodu przeklinać go z głębi duszy? W końcu, zdjęty popłochem, uciekałem przed jego niedocieczoną tyranią jak przed zarazą – i po najdalsze krańce świata uciekałem na próżno.

I raz po raz, w tajnych rozmowach z własną mą duszą, zadawałem sobie pytania: „Kto on? – skąd przybywa? – i co zamierza?”. Lecz nie mogłem znaleźć odpowiedzi. To znów badałem z drobiazgową dokładnością formy, sposoby i zasadnicze rysy jego bezczelnej pieczołowitości. Atoli i w tym kierunku nie dostrzegłem niczego, na czym byłoby można oprzeć przypuszczenia. Było to istotnie zastanawiające, iż wchodził mi w drogę tylko w takich razach, gdy trzeba było udaremnić zamiary lub zapobiec przedsięwzięciom, które w razie pomyślnego przebiegu musiałyby przynieść w końcu gorzkie rozczarowania. Zaiste, nędzne usprawiedliwienie dla przewagi przywłaszczonej z taką bezwzględnością! Marne odszkodowanie za przyrodzone prawo do samodzielności, którego mi tak uparcie i tak zelżywie odmawiano!

Nie mniej zastanawiała mnie ta okoliczność, iż mój dręczyciel, który wytrwale i z przedziwną zręcznością nie ustawał w swej manii wiernego naśladowania mnie w ubraniu, już od bardzo długiego czasu, ilekroć zdarzało się mu stawiać opór mej woli, czynił to zawsze w ten sposób, iż nigdy nie mogłem dojrzeć rysów jego twarzy. Bez względu na to, kim był ów Wilson, szczególnie ten dowodził komedianctwa lub obłądu. Czyż mógł przypuszczać chociażby przez chwilę, bym w człowieku, który mi się

naprzykrzał swymi morałami w Eton, który unicestwił mój honor w Oxfordzie, który pokrzyżował me ambicje w Rzymie, udaremnił mą zemstę w Paryżu, moją namiętą miłość w Neapolu oraz to, co mu podobało się nazwać niesłusznie mą chciwością, w Egipcie – żebym w tym arcywrogu i złym duchu miał nie poznać Williama Wilsona z mych lat dziecinnych, imiennika, towarzysza, współzawodnika – groźnego i znieawidzonego współzawodnika ze szkoły doktora Bransby’ego? To niemożliwe! – Lecz wolę przejść do ostatniej, brzemiennej w wypadki sceny mojego dramatu.

Dotychczas poddawałem się ulegle bezwzględnemu jego władaniu. Uczucie głębokiej czci, z jaką zwykłem myśleć o wzniosłym charakterze, majestatycznej mądrości, jawnej wszechmocy i wszechobecności Wilsona, w połączeniu z jakąś obawą, wywołaną niektórymi rysami jego natury oraz moimi przypuszczeniami, rozbudziły we mnie przeświadczenie o mej zupełnej bezradności i niemocy i zniewalały do kornej, acz cierpkiej i niechętniej uległości względem jego przemożnej woli. Atoli przed niedawnym czasem, kiedy największą mą rozkoszą stało się wino, pod wpływem jego roznamiętniającego oddziaływania na me wrodzone skłonności zacząłem coraz niecierpliwiej powstawać przeciwko temu nadzorowi. Jąłem szemrać – ociągać się – brać na kiel. I byłoż to tylko złudzeniem, kiedy mi się zdawało, iż w miarę jak krzepła moc moja, słabły siły mojego dręczyciela? Być może. To pewna, iż gorzałem cały ożywczą nadzieją i w najtajemniejszych mych myślach powziąłem w końcu zawzięte i rozpaczliwe postanowienie, iż nie będę dłużej znosił tej niewoli.

Było to w Rzymie 18... roku podczas karnawału. Znajdowałem się na balu maskowym w pałacu neapolitańczyka, księcia Di Broglio. Przy stole piłem więcej niż zazwyczaj i czułem się nieznośnie rozdrażniony dusznym powietrzem przepelnionych salonów. Przy tym niełatwo przyszło mi torować sobie drogę wśród tłumu, co także przyczyniało się do mojego wzburzenia; gdyż z niepokojem szukałem (wolę przemilczeć, dla jakich niegodziwych powodów) młodej, pięknej, wesołej żony starego i zniedołężniałego Di Broglio. Z nieoględną ufnością zwierzyła się mi

poprzednio, w jakim ukaże się kostiumie. Toteż ujrzawszy ją z daleka, starałem się co prędzej przedostać ku niej. W tej chwili uczułem, iż czyjaś ręka spoczęła lekko na mym ramieniu, i głuchy, przeklęty, niezapomniany szept zaszemrał mi w uchu.

---





I PATRZ OTO NA ZGON MÓJ, SPÓJRZ NA MNIE JAKO NA JAŹNI  
SWEJ ODBICIE, IŻBYŚ POJAŁ, JAK NA ZAWSZE ZABIŁEŚ SIENIE

W porywie złości odwróciłem się zniecacka ku natrętowi i uchwyciłem go mocno za kołnierz. Jak przewidywałem, miał na sobie kostium niczym nieróżniący się od mojego: płaszcz hiszpański z błękitnego aksamitu, spod którego wyzierał purpurowy pas z uwieszonym przy boku rapierem. Całą twarz jego osłaniała czarna, jedwabna maska.

– Łotrze! – zawołałem głosem zdławionym od gniewu, a każda wymówiona zgłoska podniecała jeszcze mą wściekłość. – Łotrze! Oszuście! Przeklęty nikkczemniku! Nie będziesz – nie będziesz nękał mnie do samej śmierci! Chodź ze mną lub przebiję cię na miejscu. – To mówiąc, torowałem sobie drogę z sali balowej do przyległego małego przedpokoju i wlokłem go przemocą za sobą.

Gdyśmy weszli, odepchnąłem go z wściekłością od siebie. Zatoczył się pod ścianę. Klnąc zatrzasnąłem drzwi i wezwałem go, by dobył oręża. Wahał się przez chwilę, po czym z lekkim westchnieniem wyjął z pochwy rapier i przybrał postawę obronną.

Zaiste, niedługo trwała walka. Rozpętał się we mnie wszystek szal dzikości i uczułem, że w me ramię wstępuje moc i dzielność całego tłumu. W okamgnieniu wziąłem nad nim przewagę i przyparłem go do ściany, kiedy zaś był już zdany na moją łaskę, ze zwierzęcą zaciekłością pchnąłem go kilkakrotnie rapierem w piersi.

W tej chwili ktoś poruszył klamką. Podbiegłem do drzwi, by nie wpuścić natręta, po czym niezwłocznie odwróciłem się ku memu konającemu przeciwnikowi. Lecz jakież język ludzki zdoła wysłowić me osłupienie i grozę, gdy ujrzałem, co się stało! Oto w krótkiej chwili, kiedy miałem zwrócone ku drzwiom oczy, zdążyła się dokonać widoczna zmiana w urządzeniu drugiego końca przedpokoju. Wielkie zwierciadło – jak mi w przerażeniu na razie się zdawało – pojawiło się w miejscu, gdzie go poprzednio nie było; kiedym zaś struchlały postąpił naprzód, własny mój obraz, lecz z twarzą pobladłą i ubroczoną we krwi, jął iść ku mnie chwiejnym, niepewnym krokiem.

Powtarzam: tak mi się zdawało, ale tak nie było. To mój przeciwnik – to Wilson stał przede mną w męce konania. Płaszcz jego i maska leżały na podłodze, tam gdzie je rzucił. Nie było ani jednej nitki w jego odzieniu

– ani jednej linii w niezwykłych i charakterystycznych rysach jego twarzy, która by w czymkolwiek różniła się ode mnie.

To był Wilson; lecz nie mówił już szeptem. Zdawało się mi niemal, że to ja sam mówię, gdy rzekł do mnie:

– Jestem pokonany – zwyciężyłeś! Lecz odtąd i ty nie żyjesz; umarłeś dla świata, dla nieba, dla nadziei. Istniałeś we mnie – i patrz oto na zgon mój, spójrz na mnie jako na jaźni swej odbicie, iżbyś pojął, jak na zawsze zabiłeś siebie.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> La peine forte et dure (fr.) – wysokiej i surowej kary (przyp. red.).

<sup>2</sup> Outré (fr.) – przesadny (przyp. red.).

<sup>3</sup> Oh, le bon temps... (fr.) – O, szczęśliwy to był czas, ów wiek żelaza (przyp. red.).

# Beczka Amontillado

**M** nogie przykrości, wyrządzone mi przez Fortunata, znosiłem, jak mogłem, lecz kiedy ośmielił się mnie znieważać, poprzysiągłem zemstę. Zbyt dobrze znacie naturę mej duszy, byście mogli przypuszczać, że groźba moja objawiła się w słowach. Odwet mój miał być nierychły; to było rzeczą ostatecznie postanowioną – zaś ścisłość, z jaką go obmyśliłem, wykluczała wszelką myśl o niepowodzeniu. Chodziło mi o to, by nie tylko ukarać, lecz także ukarać bezkarnie. Obraza nie zostaje powetowana, o ile kaźń dosięga tego, który ją powetował. Nie jest ona również zmazana, jeżeli mściciel nie daje się poznać temu, co go zelżył.

Nietrudno się dorozumieć, iż moje słowa i czyny nie nasunęły nigdy Fortunatowi wątpliwości co do mej dobrej woli. Uśmiechałem się jak dawniej do niego, ale nie podejrzewał, że ten mój uśmiech wynikał teraz z myśli o jego unicestwieniu.

Ten Fortunato miał swą słabostkę, jakkolwiek z innych względów zasługiwał na poszanowanie, a nawet na obawę. Chełpił się swym znawstwem wina. Niewielu Włochów posiada dar rzetelnego znawstwa. Ich zapał nagina się zazwyczaj do czasu i okoliczności, stanowiąc narzędzie do oszukańczego wyzysku milionerów angielskich i austriackich. O gemmach i obrazach Fortunato, jak wszyscy jego ziomkowie, nie miał pojęcia, ale na starych winach znał się istotnie. Pod tym względem nie ustępowałem mu bynajmniej; obeznałem się dokładnie z włoskimi winobraniami i czyniłem zakupy wszędzie, gdzie tylko się dało.

Pewnego razu, późnym już wieczorem, kiedy karnawał szalał zapamiętałe, spotkałem mojego przyjaciela. Powitał mnie z ogromną czułością, gdyż był pijany. Miał na sobie pstry kostium. Strój był wykwintny, obcisły, w różnokolorowe prążki, a dopełniała go stercząca na

głowie stożkowata czapka z dzwoneczkami. Ucieszyłem się tak bardzo, gdy go zobaczyłem, iż uściskom nie było końca.

Rzekłem do niego:

– Jakże to dobrze, mój drogi Fortunato, że cię spotykam! Wyglądasz dziś przewybornie. Lecz wiesz co? Dostałem antał czegoś, co uchodzi za Amontillado, i mam wątpliwości.

– Co? – odezwał się. – Amontillado? Cały antał? Niepodobna! I to teraz, wśród karnawału?

– Mam wątpliwości – odparłem. – I byłem taki niemądry, iż zapłaciłem jak za Amontillado, nie poradziwszy się wprzód ciebie. Nie mogłem cię odszukać, a obawiałem się nie wyzyskać sposobności.

– Amontillado!

– Mam wątpliwości.

– Amontillado!

– I chciałbym się upewnić.

– Amontillado!

– Jak widzę, jesteś zajęty, więc pójdę do Luchesiego. Jeżeli kto ma zmysł krytyczny, to właśnie on. On mi powie...

– Luchesi nie odróżni Amontillada od Sherry!

– A jednak zdarzają się tacy głupcy, którzy utrzymują, iż smak jego może współzawodniczyć z twoim.

– Chodź, pójdziemy!

– Dokąd?

– Do twoich piwnic.

– Nie, mój drogi. Nie chcę nadużywać twej dobroci. Widzę, że jesteś zaproszony. Luchesi...

– Nie jestem zaproszony; pójdź!

– Nie, mój drogi! To nie chodzi o zaproszenie, lecz o to, że jesteś mocno przeziębiony. Piwnice są niemożliwie wilgotne. Po prostu szklą się od saletry.

– To mniejsza, chodźmy. Co mi tam przeziębienie! Amontillado! Oszukano cię: co zaś do Luchesiego, to nie odróżni on Sherry od Amontillada.

To mówiąc, Fortunato ujął mnie pod ramię. Włożyłem na twarz czarną jedwabną maskę i otuliwszy się szczelnie w moją *roquelaure*<sup>1</sup>, podążyłem z nim pośpiesznie do mojego pałacu.

Służby w domu nie było; rozbiegła się na hulanki, by nie zrobić wstydu zapustom. Zapowiedziałem, iż powrócę dopiero nad ranem, i nakazałem wyraźnie, by nikt nie wychodził. Wiedziałem, iż po tym rozkazie rozpierzną się na pewno co do jednego, skoro tylko próg przestąpię.

Wyjąłem dwie pochodnie z pierścieni umieszczonych na ścianach i wręczywszy jedną z nich Fortunatowi, poprowadziłem go krętą drogą poprzez komnaty ku sklepionemu krużgankowi, skąd schodziło się do piwnic. Po czym po długich, kręconych schodach zbiegłem w dół, prosząc go, by podążył za mną ostrożnie. W końcu stanęliśmy u podnóża na wilgotnej posadzce katakumb Montresorów.

Chód mego przyjaciela był niepewny, a dzwoneczki u czapki brząkały za każdym jego stąpieniem.

– Anta! – odezwał się.

– Hen, dalej – odparłem – lecz spójrz na białą tkankę, co skrzy się na ścianach podziemia.

Odwrócił się i wytrzeszczył na mnie wilgotne oczy, zabiegłe pijackim szkliwem.

– Saletra? – zapytał w końcu.

– Saletra – odpowiedziałem. – Odkądże to nabawiłeś się tego przeziębienia?

Mój biedny przyjaciel tak zaniósł się od kaszlu, że nieprędko zdobył się na odpowiedź.

– To nic – rzekł w końcu.

– Pójdź – odparłem stanowczo – wracajmy; zdrowie twoje nazbyt jest cenne. Tyś bogaty, poważany, uwielbiany, kochany; jesteś szczęśliwy, jak ja – ongiś. Stratę twoją odczuliby wszyscy. Co innego ze mną. Wracajmy! Jeszcze mi zachorujesz, a ja nie chcę brać na siebie odpowiedzialności. Zresztą Luchesi...

– Dość tego – zawołał – kaszel to drobnostka; nie zabije mnie. Nie umrę z kaszlu.

– To prawda, nie przeczę – rzekłem na to – właściwie nie zamierzałem niepokoić cię bez potrzeby, lecz powinieneś mieć się na baczności. Łyk tego oto Medocu uchroni cię przed wilgocią.

To mówiąc, utraciłem szyjkę butelki, którą wybrałem spośród wielu innych, leżących pokotem na piaszczystej pościółce.

– Pij! – odezwałem się, podając mu wino.

Podniósł butelkę do ust, patrząc na mnie spod oka. Zawahał się i skinął mi głową, aż dzwonki zabrzęczały.

– Piję – przemówił – na cześć nieboszczyków, co spoczywają dokoła nas.

– A ja – byś żył długo!

Ujął mnie znów pod ramię i poszliśmy dalej.

– To bardzo obszerne podziemia – zagadnął.

– Montresorowie – odparłem – byli możnym i licznym rodem.

– Nie pamiętam waszego herbu.

– Potężna złota stopa w lazurowym polu. Miażdży ona prężącego się węża, który kłami wpija się w piętę.

– A dewiza?

– *Nemo me impune lacessit*<sup>2</sup>.

– Dobra! – powiedział.

Wino zaigrało mu w oczach, a dzwonki zabrzęczały. I moja wyobraźnia rozgorzała od Medocu. Mijaliśmy stosy napiętrzonych kości, przekładanych antałami i beczkami, zmierzając ku najtajemniejszym kryjóvkom katakumb. Przystanąłem znowu i pozwoliłem sobie ująć Fortunata za ramię powyżej łokcia.

– Widzisz – rzekłem – saletry coraz więcej! Omszyła całe sklepienie. Jesteśmy pod łożyskiem rzeki. Wilgoć kroplami sączy się wśród kości. Pójdź, wracajmy, nim będzie za późno. Twój kaszel...

– To nic – odparł – chodźmy dalej! Lecz przedtem napiłbym się jeszcze Medocu.

Otwarłem i podałem mu butelkę De Grâve. Wychylił ją duszkiem. Oczy jego roziskrzyły się dzikim ogniem. Zaśmiał się, podrzucił butelką w górę i uczynił gest, którego nie zrozumiałem.

Spojrzałem na niego zdumiony. Powtórzył swój gest dziwaczny.

– Czy nie rozumiesz? – zapytał.

– Nie – odrzekłem.

– A więc nie należysz do bractwa?

– Jakiego?

– Nie jesteś masonem?

– O, tak – powiedziałem. – Tak.

– Ty masonem? To niemożliwe!

– Jestem masonem – odparłem.

– Zrób znak! – rzekł do mnie.

– Patrz! – odpowiedziałem, wysuwając kielnię spod fałdów mego płaszcza.

– Żartujesz! – zawołał, odskakując ode mnie. – Lecz chodźmy do Amontillada.

– Dobrze – rzekłem, chowając narzędzie i podałem mu znów ramię. Wsparł się na nim ciężko. Poszliśmy dalej, szukając Amontillada. Przeszliśmy pod niskimi łukami sklepień, zeszliśmy po schodach, podążyliśmy jeszcze dalej, napotkaliśmy znów schody, minęliśmy je i dotarliśmy do głębokiej krypty, gdzie powietrze było tak stęchłe, iż pochodnie nasze raczej się tliły niż jarzyły.

W najdalszym kącie krypty widniała inna, nie tak obszerna. Mury jej były pokryte ludzkimi szczętami, napiętrzonymi aż po sklepienie na podobieństwo wielkich katakumb paryskich. Ozdoby te dokoła trzech wewnętrznych ścian krypty stały jeszcze nienaruszone. Od czwartej odgarnięto kości, które leżały bezładnie na ziemi, tworząc w jednym miejscu stos dość znacznych rozmiarów. W ścianie tej, ogołoconej w ten sposób z kości, dostrzegliśmy jeszcze dalszą skrytkę, głęboką mniej więcej na cztery stopy, szeroką na trzy, a wysoką na sześć lub siedem. Nie miała ona, jak się zdaje, żadnego określonego celu i stanowiła po prostu wnękę



między dwiema olbrzymimi wsporami podtrzymującymi powałę katakumb, a ograniczało ją zakole potężnej granitowej ściany.

Fortunato, podniósłszy w górę swą przygasłą pochodnię, na próżno starał się rozejrzeć w głębiach tej kryjówki. Przy słabym świetle nie mogliśmy dostrzec jej krańców.

– Idź dalej – rzekłem – tam jest Amontillado. Co do Luchesiego...

– To głupiec – przerwał mój przyjaciel, krocząc niepewnie naprzód, ja zaś podążałem tuż za nim. Po chwili dosięgnął krańca wnęki i widząc, że dalszą drogę zapierają mu głązy, zatrzymał się w bezmyślnym osłupieniu. W okamgnieniu przytwierdziłem go do granitowej ściany. Wystawały z niej w tym miejscu dwie żelazne klamry, umieszczone poziomo w odległości dwu stóp. Przy jednej wisiał krótki łańcuch, przy drugiej znajdowała się kłódka. Błyskawicznie opasałem go łańcuchem, który zamknąłem na kłódkę. Był tak zdumiony, iż nie stawiał oporu. Wyjąłem klucz z zamka i wybiegłem z wnęki.

– Przesuń ręką po ścianie! – rzekłem. – To niepodobna, byś nie wyczuł saletry. Wierz mi, tu wilgoć ogromna. Jeszcze raz zaklinam cię, byś wracał. Nie? To ostatecznie muszę cię opuścić. Lecz pierwszej uczynię dla ciebie wszystko, co tylko jest w mej mocy.

– Amontillado! – wybełkotał mój przyjaciel, nie ochłonąwszy jeszcze z osłupienia.

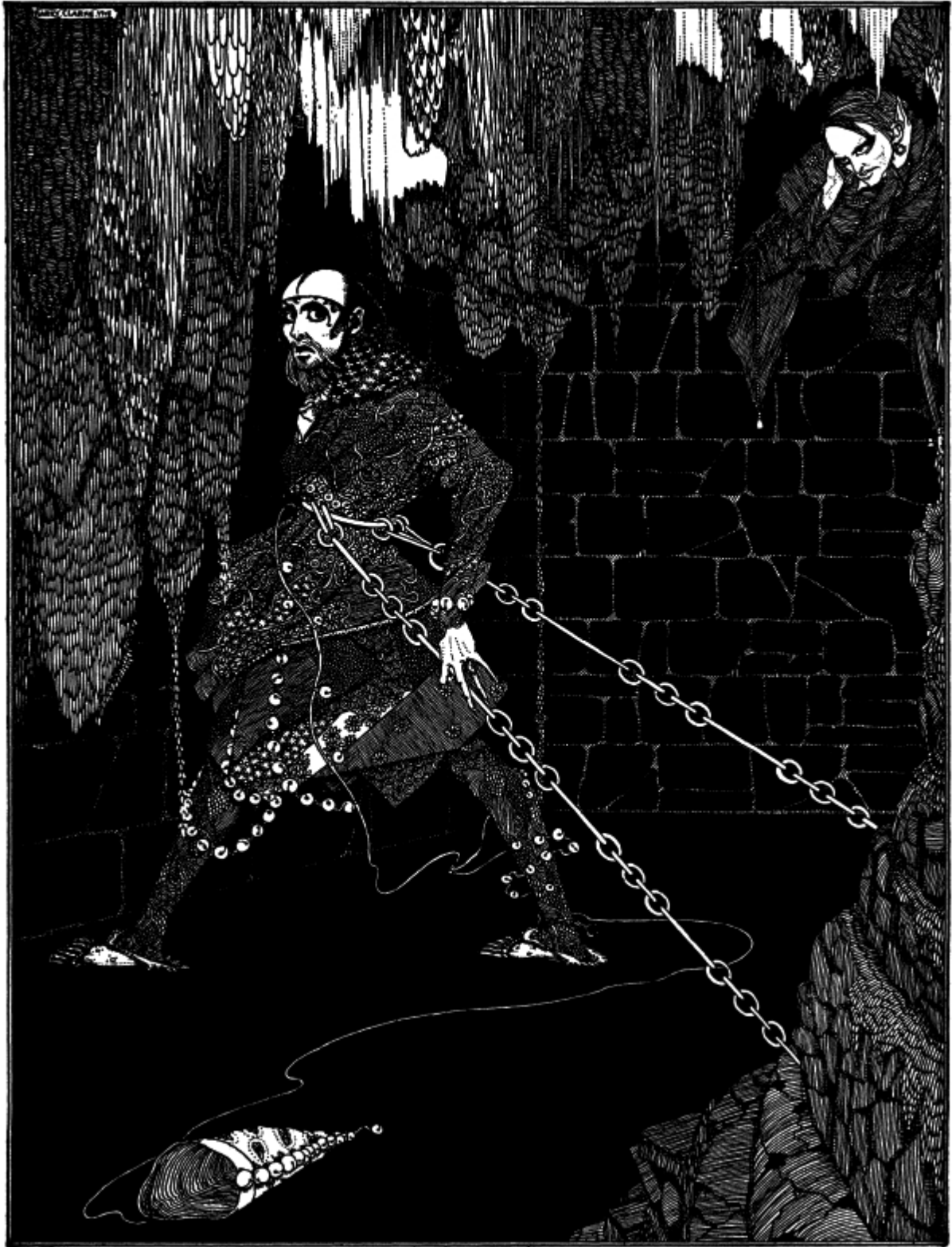
– Aha! – odparłem. – Tak, to Amontillado.

Mówiąc to, pochyliłem się nad stosem kości, o którym wspomniałem poprzednio. Rozgrzebawszy go, znalazłem rozczynione wapno i spory zapas ciosanego kamienia. Nie szczędząc budulca, przy pomocy kielni jałem skrzętnie zamurowywać wejście do wnęki.

Nie zdążyłem jeszcze ułożyć pierwszej warstwy ciosu, kiedy zauważyłem, że Fortunato znacznie otrzeźwiał. Najpierwszą tego otrzeźwienia oznaką był głuchy, żaloszny krzyk dolatujący z głębi kryjówki. Nie był to krzyk pijanego człowieka. Potem nastąpiło przewlekłe, uparte milczenie. Ułożyłem drugą, trzecią warstwę; wówczas rozległo się wściekłe szarpanie łańcucha. Zgiełk ten trwał czas jakiś, ja zaś, by rozkoszować się nim do woli, zaprzestałem pracy i usiadłem na

stosie kości. Kiedy szczęknięcie ustało, podjąłem kielnię i ułożyłem bez przeszkód piątą, szóstą i siódmą warstwę. Nowa ściana sięgała mi już niemal do piersi. Przerwałem znowu i wzniosłszy pochodnię powyżej muru, zwróciłem nagle jej światło na zamkniętą w głębi postać.

Z gardzieli zakutego w łańcuchy kształtu jęły rozlegać się kolejno przeraźliwe, ostre wrzaski, co zdały się przemocą odtrącać mnie precz. Zawahałem się na razie – i zadrzałem. Dobyłem rapieru z pochwy i jałem żgać nim w głąb wnęki, lecz po chwili namysłu odzyskałem spokój. Dotknąłem dłonią potężnych murów katakumb i uczułem, że wstępuje we mnie otucha. Powróciłem znów do swej ściany. Na wycia wołającego odpowiedziałem wyciem. Wtórowałem, przedrzeźniałem, przemogłem je siłą i natężeniem głosu. Jakoż dokazałem, że wołania ucichły.



- NA MIŁOŚĆ BOSKĄ, MONSTRESORZE!  
- TAK JEST - ADPARŁEM - NA MIŁOŚĆ BOSKĄ

Nastąpiła północ i praca moja miała się ku końcowi. Ułożyłem ósmą, dziewiątą i dziesiątą warstwę. Po czym wykończyłem w części jedenastą i zarazem ostatnią; pozostawał jeszcze tylko jeden kamień, który trzeba było włożyć na miejsce i otynkować. Podźwignąłem go z wysiłkiem; samym tylko krańcem wtłoczyłem do otworu. Wówczas ozwał się z wnętrza głuchy śmiech, od którego włosy stanęły mi na głowie. Następnie rozległ się dziwny głos, po którym niełatwo było poznać dostojnego Fortunata. Głos ów wołał:

– Ha, ha, ha! – he, he! – zaiste, wyborny pomysł, przedziwny żart! Co to będzie śmiechu w pałacu – he, he, he! – z naszego wina – he, he, he!

– Z tego Amontillada! – odezwałem się.

– He, he, he! – he, he, he! – tak, z tego Amontillada. Lecz czy to nie późno? Czyż nie oczekują nas w pałacu goście i Signora Fortunato? Chodźmy tam!

– Dobrze – rzekłem – chodźmy!

– Na miłość boską, Montresorze!

– Tak jest – odparłem – na miłość boską!

Wszelako po tych słowach na próżno oczekiwałem odpowiedzi. Jąłem się niecierpliwić. Krzyknąłem więc głośno:

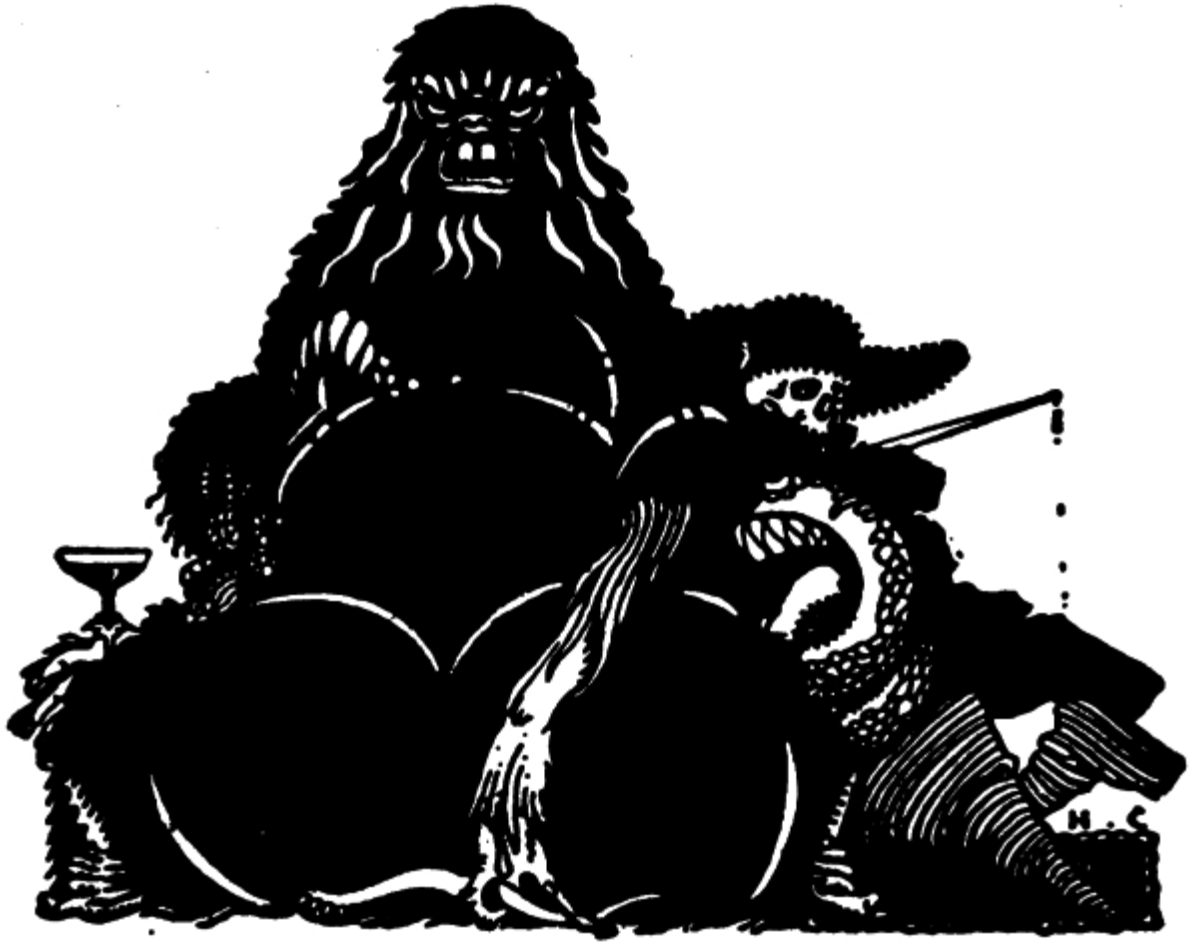
– Fortunato!

Nie odezwał się. Krzyknąłem znowu:

– Fortunato!

Nie było odpowiedzi. Wetknąłem jedną pochodnię w niezupełnie zasklepiony otwór i wrzuciłem ją do wnętrza. Odpowiedziało mi tylko brzęczenie dzwonków. Uczułem mdłość w sercu – wywołaną zapewne wilgocią katakumb. Dokończyłem pośpiesznie pracy. Wepchnąłem ostatni kamień na właściwe miejsce i pokryłem go tynkiem. Nową ścianę zasłoniłem rusztowaniem z napiętrzonych kości. Przez pół wieku nikt ich nie ruszał. *In pace requiescat!*<sup>3</sup>

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> Roquelaure (fr.) – rodzaj płaszcza (przyp. red.).

<sup>2</sup> Nemo me impune lacessit (łac.) – Nikt nie wyzwie mnie bezkarnie (przyp. red.).

<sup>3</sup> In pace requiescat (łac.) – Niech spoczywa w pokoju (przyp. red.).

# Żabi Skoczek

Nie znałem jeszcze człowieka, który by był tak całą duszą oddany krotochwili, jak król jegomość. Zdawało się, iż żyje tylko dla żartu. Dość było opowiedzieć jakąś udatną a ucieszną facecję i opowiedzieć ją dobrze, a można było na pewno utorować sobie drogę do jego łaski. Jakoż zdarzyło się, iż wszyscy jego ministrowie, jak było ich siedmiu, słynęli ze swych uzdolnień do sowizdrzalstwa. Wszyscy wzorem królewskim byli rośli, tędzy i otyli i wszyscy byli niezrównanymi żartownisiami. Czy nabrali tuszy od żartów, czy też jest coś w tuszy, co usposabia do żartów, z tego nigdy nie umiałem całkowicie zdać sobie sprawy, ale to pewna, że chudy żartowniś jest *rara avis in terris*<sup>1</sup>.

W subtelnościach czy też, jak się wyrażał, w „mrzonkach” dowcipu nie lubował się król zbyt. Uwielbiał w konceptach przede wszystkim szerokość i dla szerokości mógł niejednokrotnie pogodzić się z długością. Nadmiar wytworności nużył go. Wolałby Rabelais’go *Gargantuę* niż Wolterowskiego *Zadiga*; zaś na ogół żart w czynie nierównie więcej dogadzał jego upodobaniom niż żart w słowie.

W epoce mojego opowiadania sowizdrzali zawodowi nie zniknęli jeszcze w zupełności z dworów monarszych. Kilka wielkich lądowych mocarstw zachowało swych błaznów w pstrych przyodziewkach i w czapkach z dzwonkami. W zamian za okruszyny ze stołów królewskich musieli oni być zawsze gotowi do ostrego i przystosowanego do okoliczności kpiarstwa.

Król, o którym mówię, zatrzymał oczywiście swego błazna. To pewna, iż potrzebował czegoś w rodzaju błazeństwa – chociażby po to, by dać przeciwwagę ciężkiej mądrości siedmiu mędrców, którzy byli jego ministrami – pomijając już jego własną.

Błazen jego, czyli zawodowy wesołek, nie był jednakże tylko błaznem. W oczach królewskich trzykrotną miał wartość, ile że był zarazem karłem i kaleką. Karły bywały podówczas na dworach równie częste jak błazny i wielu monarchów nie wiedziałoby, co począć ze swymi dniami (które bywają na dworach dłuższe niż gdzie indziej), gdyby nie mieli błazna, z którym mogli się pośmiać, i karła, którego mogli wyśmiać. Atoli, jak już nadmienilem, żartownisie w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto są spaśli, krągli i ociężali – toteż nie byle jakim źródłem zadowolenia było to dla króla, że Żabi Skoczek (tak zwał się ów błazen) przedstawiał trzykrotny skarb w jednej osobie.

Nie ulega wątpliwości, iż imienia „Żabi Skoczek” nie otrzymał karzeł przy chrzcie, lecz że nadano mu je na podstawie jednomyślnej uchwały siedmiu ministrów, gdyż nie umiał chodzić jak inni ludzie. Jakoż Żabi Skoczek mógł posuwać się naprzód tylko jakimś krokiem pośrednim, co był na poły podrygiem, na poły zataczaniem się. Ruchy te wywoływały bezgraniczną uciechę i bawiły króla, który mimo wypukłego brzucha i chronicznego obrzęku twarzy uchodził na swym dworze za postać nader okazałą.

Aczkolwiek Żabi Skoczek skutkiem ułomnych nóg tylko z wielkim wysiłkiem i trudem mógł poruszać się po drodze lub posadzce, to jednak niesłychana siła, którą otrzymały od przyrody mięśnie jego ramion, jak gdyby w zamian za niemoc kończyn dolnych, pozwalała mu dokonywać cudów zręczności, gdy chodziło o drzewa, liny lub inne przedmioty, po których mógł się wspinać. Wszelako przy tych popisach podobny był raczej do wiewiórki lub małpeczki niżeli do żaby.

Nie umiem dokładnie określić, skąd Żabi Skoczek pochodził. Ojczyznę jego była jakaś barbarzyńska kraina, o której nie zdarzyło się jeszcze słyszeć nikomu – niezmiernie odległa od stolicy królewskiej. Żabiego Skoczka i młodą dziewczynę, nieco mniej karłowatą od niego (aczkolwiek nadzwyczaj kształtną i niezrównaną tancerkę), porwano przemocą z ich siedzib znajdujących się w przyległych prowincjach i na rozkaz jednego z zawsze zwycięskich generałów posłano w darze królowi.

Nie można się dziwić, iż w tych okolicznościach między dwojgiem małych jeńców zadzierzgnęła się ścisła zażyłość. Bardzo rychło poprzysięgli sobie przyjaźń. Żabi Skoczek, który mimo swych igraszek bynajmniej nie był lubiany, niezbyt mógł przysługiwać się Tripetcie; natomiast ona dzięki swej gracji i niezrównanej urodzie (mimo iż była karliczką) stanowiła przedmiot powszechnej życzliwości i podziwu, toteż posiadała wielkie wpływy i ilekroć tylko mogła, używała ich na korzyść Żabiego Skoczka.

Z powodu jakiejś wielkiej państwowej uroczystości – zapomniałem już jakiej – król postanowił urządzić bal maskowy; zaś za każdym razem, gdy na dworze miała się odbyć maskarada lub inna podobna zabawa, uzdolnienia zarówno Żabiego Skoczka, jak Tripetty znajdowały niezawodne pole do popisu. Zwłaszcza Żabi Skoczek był tak pomysłowy w urządzaniu świetnych widowisk, wynajdywaniu nowych, charakterystycznych maszkar i sporządzaniu kostiumów na bale maskowe, iż zdawało się, że niczego dokonać nie było można bez jego współudziału.

Nastał wieczór wyznaczony na ową fetę. Wspaniałą salę przystrojono pod nadzorem Tripetty wszelakimi ozdobami, które mogły przyczynić się do uświetnienia maskarady. Cały dwór opanowała gorączka oczekiwania. Wszyscy, jak z góry było można przypuszczać, wiedzieli już, w jakich ukażą się kostiumach i jakie będą wyobrażali postacie. Wielu dworaków od tygodnia, a nawet od miesiąca przemyśliwało nad stosowną dla siebie rolą. Jakoż nikt już nie wahał się prócz króla i jego siedmiu ministrów. Dlaczego się ociągali, nie umiem powiedzieć – może dla żartu. Dużo jednak jest prawdopodobieństwa, iż po prostu za trudno im było o czymś pomyśleć, gdyż byli na to za otyli. Bądź co bądź czas upływał; w ostatniej przeto chwili posłali po Tripettę i Żabiego Skoczka.

Para małych przyjaciół usłuchała wezwania królewskiego i zastała monarchę wraz z siedmiu jego doradcami przy winie; mimo to władca był widocznie w bardzo złym humorze. Wiedział on, że Żabi Skoczek nie znosi wina, które podniecało biednego kalekę niemal do szaleństwa, a szaleństwo nie jest uczuciem przyjemnym. Ale król miał upodobanie do



żartów w czynach i lubił zmuszać Żabięgo Skoczka do picia (jak się wyrażał) „na frasunek”.

– Pójdź no, Żabi Skoczku! – odezwał się, gdy błazen i jego przyjaciółka weszli do komnaty. – Wypij ten kielich na zdrowie swych nieobecnych przyjaciół (tu Żabi Skoczek westchnął) i popisz się swym dowcipem. Potrzeba nam charakterystycznych ról – czegoś, co by miało charakter, rozumiesz? – czegoś nowego, niebywałego. Nudzi nas już ta nieustanna jednostajność. Chodź tu, napij się! Wino rozjaśni ci we łbie.

Żabi Skoczek próbował, jak zwykle, bryznąć dowcipem w odpowiedzi na łaskawość królewską, ale było to nad jego siły. Przypadkiem był to dzień urodzin biednego karła, a wezwanie do picia na zdrowie „nieobecnych przyjaciół” wycisnęło mu łzy z oczu. Rzęsiste i gorzkie spadały do pucharu, gdy brał go pokornie z rąk tyrana.

– Ha! Ha! Ha! – ryknął tenże, gdy karzeł niechętnie wychylał kielich. – Widzisz, co to może szklanka dobrego wina! Aha, oczy już ci się świecą!

Biedny kaleka! Duże jego oczy raczej żarzyły się, niż świeciły, gdyż oddziaływanie wina na jego pobudliwy mózg było nie tylko potężne, lecz także niezwłoczne. Postawił nerwowo puchar na stole i spojrzał na obecnych nieprzytomnym niemal wzrokiem. Wszyscy udawali, że ich ogromnie bawi ten udatny „figiel” królewski.

– A teraz do rzeczy! – odezwał się pierwszy z ministrów, człek ogromnej tuszy.

– Tak jest – rzekł król – chodź no, Żabi Skoczku, pomóż nam! Chodzi o coś charakterystycznego, mój chwacki chłopcze; wszyscy chcielibyśmy wyglądać charakterystycznie – ha! ha! ha! – a ponieważ te słowa miały uchodzić za dowcip, więc śmiechowi jego zawtórowało chórem siedmiu dostojników.

Żabi Skoczek zaśmiał się także, aczkolwiek blado i nieco bezmyślnie.

– Rusz no się! – zawołał król niecierpliwie. – Czy nie przychodzi ci nic na myśl?

– Właśnie staram się wymyślić coś nowego – odparł karzeł z roztargnieniem, gdyż był odurzony winem.

– Starasz się? – wrzasnął tyran ze złością. – Co to ma znaczyć? Ach, rozumiem. Coś ci dolega i chciałbyś jeszcze wina. Masz, pij! – mówiąc to, nalał drugi kielich i podał go kalece, który patrzył osłupiałymi oczyma i ciężko dyszał.

– Pij, mówię ci! – ryknął tyran – lub do wszystkich diabłów...

Karzeł ociągał się. Król poczerwieniał z wściekłości. Dworacy zanieśli się od śmiechu. Tripetta ze śmiertelną bladością na twarzy podeszła do krzesła monarchy i upadłszy przed nim na kolana, jęła błagać, by miał litość nad jej przyjacielem.

Tyran patrzył na nią przez chwilę, jak gdyby nie mogąc wyjść z podziwu nad jej zuchwalstwem. Zdawał się być w niepewności, co ma uczynić czy powiedzieć – w jaki sposób najwłaściwiej objawić swe oburzenie. W końcu nie rzekłszy ani słowa, odtrącił ją mocno od siebie i bluznął jej w twarz całą zawartość kielicha.

Biedna dziewczyna zniosła to cierpliwie i nie odważywszy się nawet westchnąć, wróciła znów na szary koniec stołu.

Zaległa na jakie pół minuty tak głucha cisza, iż było można słyszeć szmer spadającego liścia lub pierza. Przerwał ją przyciszony, lecz ostry i przeciągły zgrzyt, który zdawał się dochodzić równocześnie ze wszystkich kątów komnaty.

– Co... co... co za hałasy ty tu wyprawiasz? – spytał król, zwracając się z wściekłością do karła.

Ochłonął on już widocznie w znacznej mierze z odurzenia, gdyż patrząc śmiało i spokojnie w twarz tyrana, odparł krótko:

– Ja... Ja? Czyż to możliwe?

– Szmer, jak się zdaje, dolatywał od zewnątrz – wtrącił któryś z dworaków. – Myślę, że to papuga za oknem ostrzyła dziób o pręty swej klatki.

– Być może – odparł monarcha, jak gdyby przypuszczenie to przyniosło mu ulgę – ale byłbym poprzysiągł na honor rycerski, że to ten włóczęga zgrzyta zębami.

Na te słowa karzeł zaśmiał się (król zanadto lubił wesołość, by gniewać się za czyjś śmiech), pokazując rząd dużych, silnych i nader

drapieżnych zębów. Co więcej, objawił chętną gotowość wypicia wina, którym go raczono. Monarcha się rozpogodził. Wychyliwszy bez widocznej odrazy drugi kielich, Żabi Skoczek jął od razu i z wielkim ożywieniem rozprawiać o maskaradzie.

– Nie umiałbym powiedzieć, na czym polegało to skojarzenie myśli – mówił bardzo spokojnie, jak gdyby nigdy nie przełknął wina – lecz właśnie po tym, kiedy Wasza Królewska Mość odtrącił dziewczynę i oblał ją winem – wnet po tym, kiedy Wasza Królewska Mość to uczynił i kiedy za oknem rozległ się ów dziwny szmer wywołany przez papugę – strzelił mi do głowy nadzwyczaj zabawny pomysł – figiel, znany w mej ojczyźnie i często uprawiany na balach maskowych, ale tu zupełnie nowy. Niestety potrzebna do niego aż ośmiu osób i...

– Które tu są! – zawołał król rozradowany swą przenikliwością, która zdołała to zauważyć. – Okrągło osiem! Ja i moich siedmiu ministrów. No, na czymże ten figiel polega?

– Nazywamy go – odparł kaleka – „ośmiu spętanych orangutanów” i jest to istotnie przewyborny koncept, jeśli dobrze go się wykona.

– Już my to zrobimy – zauważył król, wyciągając się i przymykając oczy.

– Urok tej zabawy – mówił dalej Żabi Skoczek – polega na popłochu, jaki wywołuje się wśród kobiet.

– Znakomicie! – ryknął monarcha, a zawtórowali mu ministrowie.

– Przebiorę Wasze Dostojności za orangutanów – podjął znowu karzeł.

– Pomyślę o wszystkim. Podobieństwo będzie tak dalece wierne, iż uczestnicy maskarady będą sądzili, że to rzeczywiste zwierzęta, i będą zarówno zdziwieni, jak przerażeni.

– O, to nadzwyczajne! – wykrzyknął król. – Zobaczysz, Żabi Skoczku, zrobię ja z ciebie człowieka!

– Łańcuchy są potrzebne, by swym szczękaniem pomnażały zaniepokojenie. Ludzie będą przypuszczali, że to małpy, co umknęły gromadnie ze swych klatek. Wasza Królewska Mość może nie zdaje sobie sprawy, jakie wrażenie wywoła na balu maskowym pojawienie się ośmiu zakutych w łańcuchy orangutanów, które ogromna większość

towarzystwa będzie uważała za rzeczywiste. Co to będzie, gdy z dzikimi wrzaskami wpadną w ciżbę wytwornie i wspaniale postrojonych pań i panów! Kontrast po prostu niezrównany.

– Musimy go wywołać! – rzekł król i całe towarzystwo zerwało się ze swych miejsc pośpiesznie (gdyż było już późno), by przystąpić do wykonania pomysłu Żabiego Skoczka.

Sposób, w jaki przebrał ich za orangutanów, był bardzo prosty, lecz najzupełniej odpowiadający jego zamierzeniom. Małpy tego rodzaju w epoce mojego opowiadania bardzo rzadko zdarzało się widywać w krajach ówczesnego cywilizowanego świata, a ponieważ maskary obmyślane przez króla miały wygląd dość zwierzęcy, a przy tym wielce potworny, przeto mniemano, iż wierności stało się zadość.

Król i jego ministrowie przede wszystkim przywdziali obcisłe, z grubej tkaniny bawełnianej sporządzone koszule i spodnie. Odzież tę nasyciono następnie mazią. Kiedy to się stało, niektórzy z uczestników jęli przemawiać za pierzem, wszelako pomysłowi temu sprzeciwił się król i przekonał ich naocznie, iż podobieństwo do sierści takiego zwierzęcia jak orangutan, da się nierównie lepiej osiągnąć za pomocą lnu. Jakoż na grube pokłady mazi nalepiono grube warstwy przedziwa. Następnie przyniesiono długi łańcuch. Łańcuchem tym opleciono w pasie króla i zawiązano; po czym opasano drugiego uczestnika i również łańcuch zawiązano. W podobny sposób postąpiono kolejno ze wszystkimi innymi. Gdy to pętanie ukończono, uczestnicy, odsunawszy się od siebie możliwie najdalej, utworzyli koło. By zaś podobieństwo uczynić jeszcze naturalniejszym, Żabi Skoczek przeciągnął pozostałą część łańcucha na kształt dwu przekątnych krzyżujących się pod kątem prostym przez środek tego koła, podobnie jak to czynią obecnie ci, co łowią szympansy i inne wielkie małpy na wyspie Borneo.

Wielki salon, w którym bal maskowy miał się odbyć, był kształtu kolistego. Światło dzienne napływało do niego tylko przez jedno okno, umieszczone pośrodku bardzo wysokiego sklepienia. Nocną porą, na którą głównie był przeznaczony, oświetlano go za pomocą wielkiego świecznika zawieszzonego na łańcuchu, który przechodził przez owo okno

górne. Do opuszczania lub podciągania tego świecznika służyły, jak zwykle, przeciwwagi, które, żeby były niewidoczne, znajdowały się na zewnątrz kopuły, na dachu.

Urządzenie wnętrza powierzono kierownictwu Tripetty, wszelako w pewnych szczegółach dawała się ona, jak się zdaje, powodować wytrawniejszemu sądowi swego przyjaciela-karła. Za jego to radą świecznik usunięto. Wosk kapiący ze świec (czemu w rozgrzanej atmosferze niepodobna było przeszkodzić) mógł poplamić kosztowne stroje gości, którzy w natłoczonej sali nie mogli przecie trzymać się z dala od jej środka – to znaczy od miejsca pod świecznikiem. Zawieszono natomiast w różnych odsłoniętych nieco miejscach kandelabry ściennie, zaś kariatydom, których pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stało dokoła sali, włożono do prawic pochodnie wydzielające słodkie wonie.

Ośmiu orangutanów, stosując się do wskazówek Żabiego Skoczka, czekało cierpliwie, by ukazać się dopiero o północy, kiedy sala będzie już pełna zamaskowanych gości. Jakoż nie wcześniej niż o dwunastej podążyli oni lub raczej potoczyli się wszyscy razem – gdyż przeszkoda, jaką stanowiły łańcuchy, była przyczyną, iż niektórzy upadli, a wszyscy potknęli się, wchodząc do sali.

Zaniepokojenie wśród zamaskowanych gości było niesłychane i napełniło serce królewskie radością. Jak przewidywano, nikt niemal z obecnych nie wątpił, iż te dziko wyglądające potwory mogą być istotnie zwierzętami, jakkolwiek niekoniecznie orangutanami. Wiele kobiet zemdłało z przerażenia i gdyby król nie był rozkazał przezornie, by usunięto wszelką broń z sali, on sam i jego towarzysze byliby mogli przypłacić swój figiel własną krwią. Wszyscy jęli tłoczyć się ku drzwiom, ale król zawczasu wydał rozkaz, by je pozamykano, skoro tylko pojawi się na sali. Klucze oddano do rąk karła, jak było umówione.

Gdy zamieszanie dosięgło szczytu i wszyscy uczestnicy balu zaczęli myśleć tylko o swym własnym bezpieczeństwie (gdyż ścisk przerażonej ciżby istotnie jął się stawać niebezpieczny), można było zauważyć, iż łańcuch, na którym zazwyczaj wisiał świecznik i który podciągnięto w górę po jego zdjęciu, zaczął stopniowo się opuszczać coraz niżej, aż

wreszcie hak, którym był zakończony, zawisł na jakie trzy stopy nad posadzką.

Wkrótce potem król i jego siedmiu towarzyszy, przebiegłszy salę we wszystkich kierunkach, znalazło się w samym jej środku i w bezpośrednim pobliżu owego łańcucha. W tej chwili karzeł, który podążał tuż za nimi i zachęcał ich do biegu, ujął łańcuch, którym byli owiązani, w tym miejscu, gdzie krzyżował się on pod kątem prostym na podobieństwo dwu przekątni przecinających koło. Z szybkością myśli zaczepił go o hak, na którym zwykle wisiał świecznik, i w okamgnieniu jakaś niewidzialna siła podciągnęła łańcuch tak wysoko w górę, iż dosięgnąć haka już nie było można, zaś nieuniknionym dalszym następstwem było to, że orangutany stłoczyły się w jedną zbitą masę twarzą w twarz do siebie.

Tymczasem zamaskowani goście, ochłonawszy nieco z przerażenia, jęli patrzeć na to wszystko jak na ucieszne widowisko i śmiali się do rozpuku z tego małpiego grona.

– Proszę zostawić ich mnie! – wrzasnął nagle Żabi Skoczek, którego przenikliwy głos dotarł do wszystkich uszu mimo wrzawy. – Proszę pozostawić ich mnie. Sądzę, że ich znam. Gdybym mógł tylko dobrze im się przyjrzeć, to zaraz odgadłbym, co to za ludzie.

Koziółkując niemal ponad głowami tłumu, zdołał dotrzeć do ściany, wziął z ręki którejś z kariatyd pochodnię, powrócił znów na środek komnaty, wspiał się ze zręcznością małpy na głowę króla, po czym przeskoczył na łańcuch, na którym zwiesił się o kilka stóp wyżej, i świecąc w dół pochodnią, jak gdyby chciał przypatrzeć się orangutanom, wrzasnął znowu: „Zaraz będę wiedział, kto to jest!”.

Po tych słowach, gdy wszyscy obecni (nie wyłączając małp) zanosili się po prostu od śmiechu, rozległ się nagle z ust wesołka przeraźliwy świst i łańcuch poderwał się śpiesznie w górę na jakie trzydzieści stóp, unosząc ze sobą zatrwożone i szamoczące się orangutany i zawieszając je w przestworzu między oknem kopuły a posadzką. Żabi Skoczek, trzymając się mocno łańcucha, nie zmienił wcale swej postawy w stosunku do kłębiących się pod nim ośmiu maszkar i wciąż jeszcze (jak gdyby nic nie

zaszło) pochylał ku nim swą pochodnię, niby to badając, kim one mogą być.

To poderwanie się łańcucha wywołało w całym towarzystwie takie osłupienie, iż na chwilę zaległa w sali głucha cisza. Przerwał ją przyciszony i ostry zgrzyt, jota w jotę podobny do owego, który poprzednio już zwrócił uwagę króla i jego doradców, kiedy monarcha bryznął w twarz Tripetty winem. Wszelako obecnie nie ulegało już wątpliwości, skąd ten szmer pochodził. Dobywał się on spomiędzy drapieźnych kłów karła, który pieniał się i zgrzytał nimi, wpatrując się z opętańczą złością w zwrócone ku niemu oblicze króla i jego siedmiu towarzyszy.

– Aha! – rzekł w końcu rozwścieczony błazen. – Aha! Zdaje mi się, że już widzę, co to za ludzie! – I jak gdyby chcąc lepiej przyjrzeć się królowi, przytknął pochodnię do lnianej przedzdy, która go okrywała. Len zajął się natychmiast jasnym płomieniem. W niespełna pół minuty gorzały już wszystkie orangutany wśród krzyków ciżby, która przerażona patrzyła na nich z dołu, nie mogąc przyjść z pomocą.

W końcu żar płomieni wzmógł się do tego stopnia, że wesołek musiał wspiąć się wyżej. Tłum, śledząc jego ruchy, pograżył się znów na chwilę w milczeniu. Skorzystał z tej sposobności karzeł i przemówił raz jeszcze:

– Teraz już widzę dokładnie, co to za maskary. To możny król i siedmiu jego doradców – król, co nie wahał się uderzyć bezbronnej dziewczyny, i ministrowie, co przyklasnęli tej zniewadze. Ja zaś jestem zwykłym sobie wesołkiem, Żabim Skoczkiem, a to jest mój figiel ostatni.

Len i znajdującą się pod nim maź pożerał płomień z taką chciwością, iż karzeł nie zdążył jeszcze ukończyć swego krótkiego przemówienia, kiedy dzieło zemsty było już dokonane. Na łańcuchach zawisło bezwładnie osiem trupów – osiem cuchnących, szerniałych, ohydnych i bezkształtnych brył. Kaleka cisnął w nie pochodnię, wspiął się bez pośpiechu aż pod samo sklepienie i znikł za oknem.

Istnieją przypuszczenia, iż Tripetta, która czekała na dachu salonu, dopomagała swemu przyjacielowi w jego okrutnym odwecie i że oboje zdołali zbiec do swej ojczyzny, gdyż nigdy już ich odtąd nie widziano.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> Rara avis... (łac.) – rzadki ptak na ziemi, tu: wyjątkowy okaz (przyp. red.).



# Studnia i wahadło

Impia tortorum longas hic turba furores

Sanguinis innocui, non satiata, aluit.

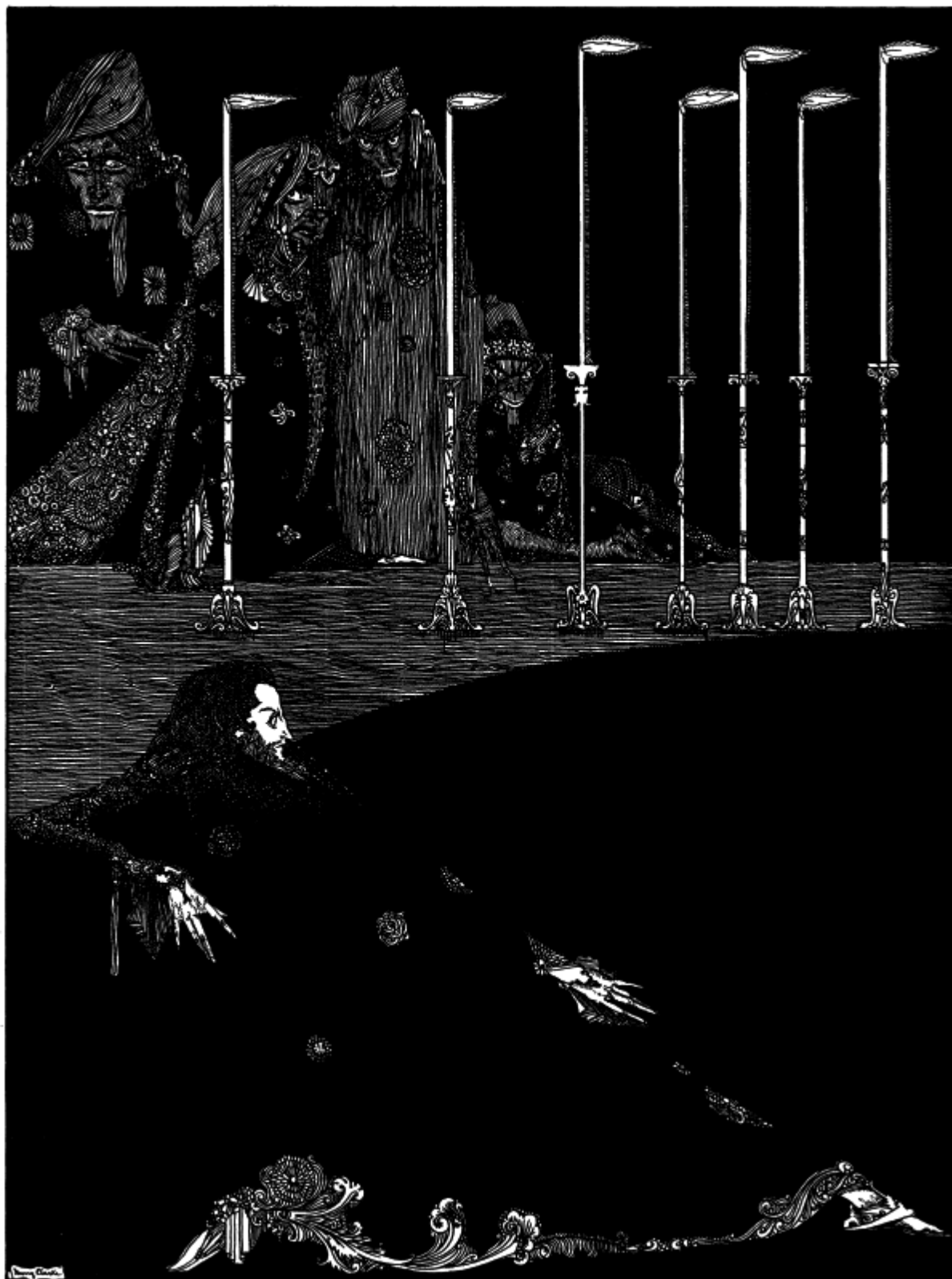
Sospite nunc patria, fracto nunc funeris antro,

Mors ubi dira fuit vita salusque patent <sup>1</sup>.

Czterowiersz przeznaczony na bramę hali  
targowej, którą miano zbudować w Paryżu  
na miejscu, gdzie dawniej wznosił się dom  
Klubu Jakobinów

**B** yłem złamany, złamany śmiertelnie tym przewlekłym konaniem i kiedy w końcu zdjęli ze mnie więzy i pozwolili mi usiąść, uczułem, iż odchodzę od przytomności. Wyrok – straszliwy wyrok śmierci – był ostatnim wyraźnym brzmieniem, które obilo się o moje uszy. Potem wydało mi się, że głosy inkwizytorów roztapiają się w jakimś sennym, nieokreślonym szumie. Wywoływał on w mej duszy wrażenie obrotu, może dlatego, że wyobraźnia moja skojarzyła go z kołem młyńskim. Trwało to bardzo krótko, gdyż wnet przestałem zupełnie słyszeć. Mimo to widziałem jeszcze czas pewien; lecz jakież straszliwy wygląd przybierało wszystko w mych oczach! Widziałem wargi przyodzianych w czerń sędziów. Wydawały mi się one białymi – bielszymi od kartki, na której kreślę te słowa – i nieprawdopodobnie cienkimi: jak gdyby ścieniały pod wpływem wytężonej stanowczości, zakrzepłej nieodwołalności i srogiej wzgardy dla męczarni ludzkiej. Widziałem, jak rozstrzygnięciem mojego losu drgały jeszcze te usta. Widziałem, jak zacinały się, orzekając kaźń śmierci. Widziałem, jak kształtowały się na nich zgłoski mojego nazwiska, i drżałem, by nie przyszła kolej na dźwięki. W nikłym mgnieniu obłędnej trwogi widziałem również lekkie i omal niedostrzegalne falowanie czarnych opon osłaniających ściany komnaty. Następnie wzrok mój padł na siedem wielkich świec ustawionych na stole. Zrazu miały one wygląd litosny i wydawały mi się białymi, smukłymi aniołami, co przyszły, by mnie ocalić; lecz wnet potem mdłość jakaś śmiertelna zalała mi duszę i nagły wstrząs przeniknął wszystkie włókna mojego ciała, jak gdybym dotknął przewodnika baterii elektrycznej, a zjawy anielskie przedzierzgnęły się w bezduszne widziadła o głowach z płomienia i zrozumiałem, że pomocy od nich spodziewać się nie można. Po chwili przez mą wyobraźnię na kształt bujnej, dźwięcznej melodii przemknęła myśl, jak słodko musi być w grobie. Myśl ta przyszła z cicha i skrycie i miałem wrażenie, że długo trwało, nim objawiła się w nieocenionej swej pełni; kiedy zaś duch mój począł w końcu właściwie ją odczuwać i nią się lubować, postaci sędziów jak na zaklęcie zniknęły mi nagle z oczu; wielkie świece zapadły w nicość; płomienie ich pierzchły; otoczyła mnie czerń mroków; wszystkie wrażenia

zdawały się przepadać w obłądnym, rwącym zamierzchu duszy odchodzącej w zaświaty. W końcu wszechświat omgłił się nocą, cichością i milczeniem.



WIDZIEŁEM JAK KSZTAŁTOWAŁY SIĘ NA NICH ZGŁOSKI  
MOJEGO NAZWISKA

Straciłem przytomność; nie powiedziałbym jednakże, iż postradałem zupełnie świadomość. Co z niej pozostało? – tego nie zamierzam określać, a tym mniej opisywać; to pewna, iż nie wszystko zanikło. Dziejeż się to w odurzeniu sennym? – nie! W obłądnie? – nie! W omdleniu? – nie! W śmierci? – nie! Nawet w grobie nie wszystko zanika. Gdyby było inaczej, nie byłby człowiek nieśmiertelny. Budząc się z najgłębszego snu, zrywamy pajęczą tkankę jakiegoś marzenia. Ale w chwilę później (tak nikła snadź była ta tkanka!) nie przypominamy już sobie, żeśmy śnili. Powracając z omdlenia do przytomności, przechodzimy dwa okresy; pierwszym jest poczucie istnienia umysłowego czy duchowego; drugim poczucie istnienia fizycznego. Gdybyśmy przechodząc do okresu drugiego, mogli wywołać wrażenia z okresu pierwszego, to wydaje mi się rzeczą możliwą, iż te wrażenia zawierałyby mnóstwo wymownych wspomnień z otchłani pozaświadomej. Czymże jest ta otchłań? I czym różnią się jej mroki od cieniów grobu? Jakkolwiek wszakże wrażenia z tego stanu, który nazwałem pierwszym okresem, nie dają wywoływać się dowolnie, to czyż po pewnym czasie nie przychodzą one same, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, skąd się wzięły? Kto nigdy nie odchodził od przytomności, ten nie dojrzy czarodziejskich grodów i potwornie znajomych twarzy w jarzących się głowniach; ten nie dostrzeże w napowietrznych przestworzach pierzchliwych, smętnych wizji, niewidzialnych dla oczu tłumów; ten nie będzie rozpamiętywał woni jakiegoś nieznanego kwiatu i nie będzie zaciekał się myślą w jakiejś nie zasłyszanej dotychczas gęźbie.

Wśród częstych i uporczywych wysiłków, by sobie przypomnieć, wśród wyteżonych starań, by natknąć się na ślady owego stanu pozornej nicości, w której pogrążyła się ma dusza, bywały chwile, kiedy marzyłem o powodzeniu; bywały krótkie, przelotne okresy, gdy wyczarowywałem wspomnienia, które później, rozpatrywane w świetle rozumu, wykazywały ścisłą swą zależność od owej rzekomej nieprzytomności. W mgławicach tych wspomnień mającą niewyraźne smukłe postacie, które wzięły mnie i uniosły w milczeniu, hen, w dół – coraz głębiej i głębiej, aż czczość zawrotna ogarnęła mnie wreszcie na samą myśl o nieskończoności

tego spadania. Pozostała także pamięć jakiegoś nieuchwytnego lęku, wywołanego nienaturalnym uspokojeniem się serca. Potem nawiedziło mnie poczucie nagłego bezruchu wszechrzeczy, jak gdyby upiorny orszak, zstępując ze mną coraz niżej, minął rubieże bezkresów i zatrzymał się znużony nieskończonością swego dzieła. Następnie owiała mnie wilgoć i opanowała niemoc; po czym nade wszystkim rozpostarł się obłąd – obłąd pamięci miotającej się wśród rzeczy piekielnych.

Wtem z nagłą wszczął się w mej duszy ruch i szmer – rozgłośny ruch serca, którego tętno rozlegało mi się w uszach. Lecz wnet nastąpiła głucha przerwa. Po niej znów szmer, ruch i drzenie, przenikliwym dreszczem rozchodzące się po ciele. Następnie pierwsza świadomość istnienia, pozbawiona myśli; stan ten trwał długo. Z kolei nagły przebłysk myśli i wstrząs grozy, i zawzięty wysilek, by zdać sobie sprawę z własnego stanu. Potem dziwna żądza, by pogrążyć się znów w beczuciu. Potem błyskawiczne przebudzenie się duszy i pomyślna próba ruchu. I oto pełna świadomość dochodzeń, sędziów, czarnych opon, wyroku, osłabienia i zemdlenia. Następne zdarzenia wypadły mi zupełnie z pamięci; dopiero znacznie później i po najgłębszym namyśle zdołałem je sobie w przybliżeniu przypomnieć.

Dotychczas nie otwierałem oczu. Czułem, że nie mam na sobie więzów i że leżę na wznak. Wyciągnąłem rękę, która spadła ciężko na coś twardego i mokrego. Nie ruszałem jej czas jakiś, usiłując odgadnąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Pragnąłem rozejrzeć się, ale nie śmiałem. Przerazała mnie myśl o pierwszym spojrzeniu na otaczające przedmioty. Nie bałem się, że ujrzę rzeczy potworne, lecz truchlałem w przypuszczeniu, iż mogę nic nie zobaczyć. W końcu z dziką rozpaczą w duszy rozwarłem śpiesznie oczy. Trapiąca mnie myśl okazała się prawdziwa. Spowijała mnie czerń wiekuistej nocy. Oddychałem z trudnością. Miałem wrażenie, że gęstość mroków gniecie mnie i dławi. Powietrze było nieznośnie duszne. Wciąż jeszcze leżałem spokojnie i starałem się skupić władze rozumu. Uprzytomniłem sobie postępowanie Inkwizycji i na tej podstawie usiłowałem zdać sobie sprawę z rzeczywistego mego położenia. Wyrok zapadł, a od tej chwili – jak mi się

zdawało – upłynął znaczny odstęp czasu. Mimo to nawet nie zakiełkowało we mnie przypuszczenie, jakobym istotnie rozstał się z życiem. Myśl taka, wbrew temu, co wypisuje się w książkach, wręcz nie da się pogodzić z bytem rzeczywistym. Ale gdzie byłem i w jakim stanie? Wiedziałem, iż skazani na śmierć ginęli zazwyczaj na stosie. Podobne *auto-da-fé* odbyło się w wigilię mojej rozprawy sądowej. Czyżby odesłano mnie z powrotem do więzienia i przeznaczono na całopalenie dopiero za kilka miesięcy? To przypuszczenie wydało mi się od razu niepodobieństwem. Potrzebowano ofiar niezwłocznie. Przy tym moje dawniejsze więzienie, jak wszystkie zresztą cele skazańców w Toledo, miało kamienną posadzkę i nie całkiem było pozbawione światła.

Wtem zaświtała mi myśl tak straszna, iż krew wrzącą strugą uderzyła mi do serca, i jeszcze raz na chwilę pogrążyłem się w beczuciu. Gdy przyszedł do siebie, zerwałem się w okamgnieniu na nogi, przeniknięty dreszczem do rdzenia. Jąłem bez namysłu wywijać ramionami na wszystkie strony, ponad sobą i dokoła siebie. Nie czułem nic; wszelako bałem się postąpić naprzód, by nie natknąć się na ścianę grobu. Pot sącył się ze mnie wszystkimi porami i w zimnych, ciężkich kroplach osadzał się na mym czole. Katusza niepewności wzmogła się w końcu ponad me siły i jąłem ostrożnie stąpać z wyciągniętymi przed siebie ramionami i występującymi z orbit oczyma, spodziewając się, iż dojrzę wreszcie chociażby najniklejszy promyk światła. Uszedłem kilka kroków, lecz zewsząd ziała czerń i próżnia. Odetchnąłem swobodniej. Widocznie los mój nie był jeszcze najgorszy.

Kiedy posuwałem się ostrożnie naprzód, zaroilo się w mej pamięci od tysiąca błędnych pogłosek o okropnościach Toledo. O więzieniach opowiadano sobie niemożliwości – baśnie, jak mniemałem – lecz tak dziwaczne i tak upiorne, iż nie dadzą się powtórzyć, chyba szeptem. Czy w tym podziemnym świecie mroków miałem zginąć z głodu, czy też zgotowano mi śmierć jeszcze straszniejszą? Poznałem dokładnie charakter mych sędziów i wiedziałem, że nie minie mnie śmierć, i to okrutniejsza, niż bywało zazwyczaj. Kiedy i w jaki sposób miało się to dokonać? – oto jedyna myśl, która mnie zastanawiała i niepokoiła.

Moje wyciągnięte ręce napotkały w końcu jakąś silną zaporę. Była to ściana, pozornie kamienna, bardzo gładka, oślizła i zimna. Jąłem stąpać wzdłuż niej ostrożnie i z niedowierzaniem rozbudzonym przez niektóre starodawne wieści. Atoli to przedsięwzięcie żadną miarą nie mogło mnie upewnić co do rozmiarów mego więzienia, gdyż mogłem je okrążyć, powrócić na miejsce, skąd wyszedłem, i bynajmniej tego nie zauważyć, tak dalece mur jego wydawał się jednostajny. Począłem więc szukać scyzoryka, który miałem w kieszeni, gdy mnie przyprowadzono do sali sądowej, ale już go nie było; zamiast ubrania miałem na sobie szorstką włosiennicę. Zamierzałem wetknąć ostrze scyzoryka w szczelinę ściany, by w ten sposób oznaczyć punkt wyjścia. Była to wprawdzie przeszkoda dość błaha, ale myśli moje błąkały się tak bezładnie, iż w pierwszej chwili wydawała mi się nie do pokonania. W końcu oddarłem kawałek rąbka od mego płaszcza i rozciągnąłem go na ziemi, pod kątem prostym do ściany. Kołując omackiem, musiałem wreszcie dojść do tego strzępu po okrążeniu całego obwodu. Przynajmniej tak sądziłem, przeliczyłem się jednak – sam nie wiem – czy na rozległości więzienia, czy też na własnym osłabieniu. Ziemia była mokra i śliska. Szedłem, ślaniając się co chwila, po czym potknąłem się i upadłem. Przemogło mnie niezmierne znużenie i zasnąłem, nie ruszając się z miejsca.

Kiedym się ocknął i wyciągnął przed siebie ramię, znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Zbyt byłem wyczerpany, by zastanawiać się nad tym zdarzeniem, lecz pożądliwie zaspokoilem głód i pragnienie. Wnet potem ruszyłem w dalszą drogę dokoła mego więzienia i z niemałym trudem dotarłem w końcu do strzępu włosiennicy. Do chwili upadku naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki, kiedym zaś podjął na nowo mój pochód, uszedłem jeszcze czterdzieści osiem kroków, zanim stanąłem przy owym strzępie. Zrobiłem więc ogółem sto kroków; licząc dwa kroki na jeden jard, wywnioskowałem, iż więzienie moje ma pięćdziesiąt jardów obwodu. Napotkałem atoli wiele załomów w murze i dlatego nie zdołałem zdać sobie sprawy z kształtu tego podziemia, nie mogłem bowiem oprzeć się przypuszczeniu, iż przebywam w podziemiu.



W poszukiwaniach moich nie było celu – a tym mniej nadziei; nie zaprzestawałem ich tylko przez jakąś nieokreśloną ciekawość. Oddaliwszy się od ściany, postanowiłem przejść me więzienie w poprzek. Zrazu szedłem nadzwyczaj ostrożnie, gdyż posadzka, aczkolwiek utworzona z twardego na pozór materiału, była zawodna i śliska. Wszelako później nabrałem otuchy i nie wahałem się stąpać pewnie, starając się, o ile możliwości, nie zboczyć z domniemanej poprzecznej linii. Zrobiłem w ten sposób około dziesięciu lub dwunastu kroków, gdy udarty rąbek włosiennicy podwinął mi się pod nogi. Nastąpiłem na niego i upadłem jak długi twarzą do ziemi.

Byłem tak oszołomiony upadkiem, iż nie zauważyłem zrazu pewnej niepokojącej okoliczności, która jednakże w chwilę później, kiedym jeszcze leżał na ziemi, zwróciła moją uwagę. Oto moja broda spoczywała na posadzce więzienia, natomiast wargi tudzież górna część głowy, jakkolwiek nachylona jeszcze niżej, już nie dotykały niczego. Równocześnie musnęły mi czoło jakieś lepkie wyziewy i osobliwszy zapach stęchłych grzybów wtargnął do moich nozdrzy. Wyciągnąłem ramię przed siebie i przekonałem się z przerażeniem, że upadłem na sam skraj kolistej studni, której rozmiarów nie mogłem – rzecz prosta – zbadać od razu. Dotykając omackiem cembrowiny tuż pod wrębem, zdołałem odłupać jakiś okruch i rzuciłem go w głębię. Przez kilka sekund słyszałem, jak spadał, odbijając się w przelocie o ściany czeluści; w końcu rozległ się posępny plusk wody, któremu zawtórowały rozległe echa. W tej samej chwili doleciał mnie z góry szmer, jak gdyby pośpiesznie otwartych i zaraz potem zamkniętych drzwi, a równocześnie nikła smuga świetlna mignęła w mrokach i znów zagasła.

Zdałem sobie sprawę z losu, który mi zgotowano, i błogosławiłem przypadek, co przyszedł w porę, by mnie ocalić. Gdybym nie był upadł, a postąpił jeszcze o krok dalej, byłbym przepadł dla świata na zawsze; śmierć, której uniknąłem, była właśnie tego rodzaju, który wydawał mi się głupstwem i zmyśleniem w opowieściach, krążących o Inkwizycji. Ofiary jej okrucieństwa miały do wyboru zgon wśród najstraszliwszych mąk cielesnych lub zatrutę wśród najprzeróżniejszych udręczeń

duchowych. Mnie to drugie przeznaczone w udziale. Długie cierpienia rozprężyły me nerwy do tego stopnia, iż wzdrygałem się na dźwięk własnego głosu i ze wszech miar nadawałem się do tortury, która mnie oczekiwała.

Drżąc na całym ciele, wróciłem omackiem pod ścianę i postanowiłem szczeznąć tam raczej, niż narazić się znów na grozę studzien, których – jak sobie wyobrażałem – w różnych miejscach mojego więzienia musiało być więcej. W innym usposobieniu umysłu nie zbywałoby mi na odwadze i byłbym przyspieszył kres mej niedoli, rzucając się w jedną z tych czeluści; ale podówczas byłem nikczemnym tchórzem. Nie mogłem również zapomnieć o tym, co zdarzyło mi się ongi czytać o tych studniach, mianowicie, iż nagłej śmierci nie miały one bynajmniej na celu.

Targany rozterką czuwałem długo; w końcu jednak zasnąłem powtórnie. Po przebudzeniu znów znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Trawiło mnie nieznośne pragnienie, więc jednym tchem wychyliłem naczynie do dna. Widocznie domieszano czegoś do wody, gdyż zaraz po jej wypiciu zmorzyła mnie nieprzewyciężona senność. Ogarnął mnie sen głęboki, podobny do śmierci. Nie wiem, jak długo spałem; kiedym jednak otworzył oczy, dostrzegłem otaczające mnie przedmioty. Jakieś dziwne, siarczane blaski, których pochodzenia nie umiałem zrazu sobie wytłumaczyć, pozwoliły mi zdać sobie sprawę z rozmiarów i wyglądu więzienia.

Co do jego wielkości pomyliłem się bardzo. Cały obwód ścian nie przenosił dwudziestu pięciu jardów. Spostrzeżenie to sprawiło mi na chwilę niewymowną, lecz błahą przykrość; błaha ona była zaiste, gdyż w straszliwych okolicznościach, w jakich się znajdowałem, cóż mogło mnie mniej obchodzić od rozmiarów mojego więzienia? Lecz moja dusza przejmowała się zapamiętałe drobnostkami, więc zaciekałem się w myślach, by obliczyć błąd popełniony przy pomiarach. W końcu zaświtała mi prawda. Gdym po raz pierwszy przystąpił do badania, naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki do chwili upadku; znajdowałem się przeto o krok lub dwa od strzępu włosiennicy i okrążyłem obwód podziemia niemal w całości. Potem zasnąłem, a po przebudzeniu musiałem pójść z powrotem i

na tej podstawie wywnioskowałem, iż obwód wynosi blisko dwa razy więcej niż w rzeczywistości. Wśród bezładnej rozterki nie zauważyłem, iż zacząłem mój pochód, mając ścianę od strony lewej, a skończyłem go, mając ją od strony prawej.

Pobłądziłem również co do kształtu mej celi. Szukając po omacku drogi, napotkałem wiele kątów i w ten sposób wytworzyłem sobie przeświadczenie o wielkiej nieregularności; tak przemożny jest wpływ nieprzeniknionych mroków na człowieka rozbudzonego z letargu lub ze snu! Kąty te były po prostu płytkimi wgłębieniami, czyli wnękami, rozmieszczonymi w nierównych odstępach. Ogólny kształt więzienia był czworoboczny. Domniemany mur wydał mi się teraz ścianą z żelaza czy też innego metalu, utworzoną z olbrzymich płyt, których szwy i spojenia były przyczyną owych wgłębień. Całą powierzchnię tej metalowej budowy pokrywały nieudolnie nabazgrane, potworne i obmierzłe symbole, poczęte z zabobonu krwiożerczych mnichów. Wszystkie ściany były skalane wyzierającymi z nich groźnie postaciami szatanów w otoczeniu kościotrupów jako też innych zjaw, w rzeczywistości o wiele okropniejszych. Zauważyłem, że zarysy tych potworów występowały dość wyraźnie, natomiast barwy wybladły i ściemniały, jak gdyby pod wpływem powietrza przesyconego parą. Z kolei przyjrzałem się posadzce: była kamienna. Pośrodku ziała kolistą studnią, której czeluści udało mi się uniknąć. Wbrew moim przypuszczeniom w całym więzieniu była ona jedyną.

Wszystko to widziałem niewyraźnie i z niemałym wysiłkiem, gdyż warunki, w jakich się znajdowałem, podczas snu wielkiej uległy zmianie. Leżałem obecnie na wznak, rozpięty na niskim drewnianym tapczanie. Przytwierdzono mnie do niego mocno długim rzemieniem, podobnym do popręgu. Opasywał on kilkakrotnie członki i ciało, pozostawiając swobodę ruchów jeno mej głowie i memu lewemu ramieniu, lecz tylko o tyle, iż z największym wyęczeniem mogłem sięgnąć po strawę do glinianej miski stojącej obok na posadzce. Zauważyłem ku mojemu przerażeniu, iż dzban zabrano. Powtarzam: ku mojemu przerażeniu, gdyż trawiło mnie

niewysłowione pragnienie. Widocznie prześladowcy moi chcieli je spotęgować, gdyż w misce znajdowało się mięso, ogromnie przesolone.

Jąłem badać oczyma strop mego więzienia. Znajdował się on na wysokości trzydziestu lub czterdziestu stóp i był zbudowany podobnie jak ściany boczne. W jednej z jego kaset osobliwsza jakaś postać przykuła wszystkim mą uwagę. Była to malowana postać Czasu, pojęta w ten sposób, jak ją się zazwyczaj wyobraża, z tą różnicą, iż zamiast kosy trzymał on coś, co na pierwsze wejrzenie wydało mi się namalowanym olbrzymim wahadłem, podobnym do tych, jakie się widuje przy starodawnych zegarach. Było atoli coś w wyglądzie tej maszyny, co zniewoliło mnie przyjrzeć się jej dokładnie. Patrząc na nią wprost w górę (gdź znajdowała się bezpośrednio nade mną), miałem wrażenie, że się porusza. W chwilę później wrażenie to stało się pewnością. Wahania jej były krótkie i powolne. Przyglądałem się jej czas jakiś z niejakim lękiem, lecz z jeszcze większym zdziwieniem. W końcu znużony jej opieszałym ruchem, zwróciłem oczy ku innym przedmiotom znajdującym się w mej celi.

Lekki szmer obudził mą czujność. Spojrzałem na posadzkę i dostrzegłem kilka olbrzymich szcurów. Wypełzły ze studni, która znajdowała się na prawo. Na oczekaniu zbiegły się tłumnie, przywabione zapachem mięsa, świecąc żarłocznymi oczyma. Zużyłem niemało bacności i siły, by się od nich opędzić.

Upłynęło pół godziny, a może nawet więcej (gdź niepodobna mi było określić dokładniej czasu), zanim znów w górę podniosłem oczy. Ujrzałem tam zjawisko, które mnie przejęło zdumieniem i przerażeniem. Odchylenie wahadła powiększyło się w wymiarach niemal o jard. Rzecz prosta, iż szybkość jego zwiększyła się również ogromnie. Lecz najwięcej zaniepokoiło mnie przeświadczenie, że wahadło widocznie się obniża. Zauważyłem także, iż dolny jego koniec miał kształt półksiężycy wykutego ze lśniącej stali, którego długość od jednego krańca do drugiego wynosiła mniej więcej stopę; zakończenia jako też brzeszczot dolny były widocznie wyostrzone na podobieństwo brzytwy. Był on osadzony na

potężnym brązowym trzpieniu i kołysał się, z sykiem przecinając powietrze.

Nie mogłem już dłużej wątpić, iż była to kaźń zgotowana mi przez pomysłówych w swym okrucieństwie mnichów. Siepacze Inkwizycji dowiedzieli się, iż nie uszło mej bacznosci istnienie studni – tej studni, przeznaczonej dla takich zuchwałych jak ja odszczepieńców, stanowiącej wyobrazenie piekła i uważanej powszechnie za *Ultima Thule*<sup>2</sup> wszelkiej katuszy. Nie wpadłem do studni jedynie dzięki łaskawości przypadku, atoli wiedziałem, iż niespodzianki i podstępny w stosowaniu tortur stanowiły niepoślednią część potworności wchodzących w skład śmiertelnych mąk więziennych. Czeluść zawiodła oczekiwania tych demonów, więc nie było celu strącać mnie do niej przemocą i nie pozostawało nic innego, jak wybrać mi zgubę odmienną i łagodniejszą. Łagodniejszą! Byłem bliski zgonu, a jednak uśmiechałem się niemal na myśl o takim słowa tego zastosowaniu.

Po cóż wspominać o długich, nieludsko długich godzinach trwogi, spędzonych na liczeniu drgnień rozważanej stali? Ruchem dającym się oznaczyć jedynie z odstępów, które były dla mnie wiekami, obsuwała się ona cal po calu – linia po linii – niżej i coraz niżej! Dnie całe minęły – może nawet wiele dni – zanim ostrze tak nisko zawisło nade mną, iż jęło mnie muskać swym przenikliwym tchnieniem. Zapach stali przeniknął do mych nozdrzy. Modliłem się, naprzykrzałem się niebu moimi modlitwami, by spadek jej przyśpieszyć. Zapamiętawszy się w szale, prężyłem się wzwyż na spotkanie rozkołysanego, straszliwego sierpa. To znów przycichałem nagle i leżałem, uśmiechając się do tej skrzącej zraty, podobnie jak dziecię uśmiecha się na widok jakiegoś niezwykłego cacka.

Następnie przyszła kolej na ponowny okres zupełnego beczucia; był on niedługi, gdyż odzyskawszy przytomność, nie zauważyłem znacniejszego obniżenia się wahadła. Zresztą, kto wie, czy nie trwał dłużej – wiedziałem bowiem, iż czuwały demony, które spostrzegłszy me omdlenie, mogły dowolnie zatrzymać ruch. Przyszedłszy do siebie, uczułem się niewymownie wyczerpany i osłabiony jak gdyby po przewlekłym niedomaganiu. Atoli nawet wśród mąk organizm mój łaknął

pożywienia. Z niemałym trudem wyciągnąłem lewe ramię tak daleko, jak na to więzy pozwalały, i zabrałem niewielką resztkę pozostawioną mi przez szczury. Gdy męś podnosił do ust, drgnęła mi w mózgu niepełna myśl radości – nadziei. Lecz czyż istniała łączność między mną a nadzieją? Jak powiedziałem, była to myśl niepełna; ludzie miewają wiele myśli, które nie osiągają pełni. Uczułem w jej drgnieniu nadzieję i radość, lecz czułem także, iż zanikła w zawiązku. Na próżno siliłem się, by ją odtworzyć – dopełnić. Długie katusze unicestwiły niemal przyrodzone władze mego ducha. Stępiełem – stałem się idiotą.

Ruch wahadła odbywał się pod kątem prostym do mej długości. Widziałem, iż ów półksiężyc miał mnie ugodzić w okolicę serca. Werźnie się w tkanekę mojego odzienia, po czym powróci i werźnie się znowu – raz po raz! Pomimo ogromnych rozmiarów opisywanego łuku (wynosił on jakichś trzydzieści stóp lub więcej) i pomimo syczącego rozmachu, z jakim odbywał się jego spadek, mocen roztrzaskać nawet te lite, żelazne ściany, na razie nie dokáže niczego więcej prócz rozszarpania mego odzienia. Na tej myśli utknąłem. Nie śmiałem zapuszczać się dalej poza tę refleksję. Trwałem przy niej z zawziętym uporem, jak gdybym tą zaciętością mógł powstrzymać kołyszące się wysoko ostrze brzeszczotu. Siliłem się, by odgadnąć szmer sierpa przecinającego mą włosiennicę – by zdać sobie sprawę z owego dziwnie przenikliwego uczucia, jakim naruszenie sukien odzywa się w nerwach. Zaciekałem się w tych drobnostkach do tego stopnia, iż jałem w końcu szczekać zębami.

Obsuwał się niżej – coraz niżej. Z obłądną rozkoszą porównywałem chyżość jego spadku z chyżością odchylen. W prawo – w lewo – szach, szach, z potępieńczym zgrzytem! I znów czyha na me serce spokojnie jak tygrys! Śmiałem się i wyłem na przemian, w miarę jak jedna lub druga myśl brała nade mną przewagę.

Niżej – niezmiennie, niezawodnie coraz niżej! Śmigał o trzy cale od mojej piersi! Wytężałem się zapamiętałe, wściekle, by oswobodzić lewe ramię. Było wolne tylko od łokcia po dłoń. Z ogromnym trudem mogłem nim sięgać do misy stojącej obok, do ust, ale nie dalej. Gdybym był mógł zerwać więzy powyżej łokcia, byłbym uchwycił wahadło i starałbym się je

zatrzymać; oczywiście z nie większym skutkiem, niż gdybym chciał unieruchomić lawinę!

Wciąż coraz niżej – nieodparcie, nieustannie coraz niżej! Dyszałem i podrywałem się za każdym drgnieniem. Wiłem się kurczowo po każdym wahnieniu. Oczy moje biegły za każdym odchyleniem z zapamiętałością obłądnej rozpacz i zamykały się spazmatycznie, gdy wahadło wracało, aczkolwiek śmierć mogła mi dać ukojenie – och, jakież niewysłowione ukojenie! Mimo to wszystkie me nerwy prężyły się na myśl, iż jeden lekki ruch mechanizmu może zanurzyć ten ostry, rozmigotany brzeszczot w mej piersi. To nadzieja napinała me nerwy i wstrząsała mym ciałem, ta sama nadzieja, co tryumfuje przy łożu tortury i nie opuszcza skazańców nawet w więzieniach Inkwizycji.

Wymiarkowałem, iż ostrze stali po jakichś dziesięciu lub dwunastu nawrotach zetknie się bezpośrednio z moją odzieżą, i wraz z tym spostrzeżeniem zawzięty, skupiony spokój rozpacz owładnął nagle mą duszą. Od wielu godzin, a może nawet od wielu dni po raz pierwszy myślałem. I oto przyszło mi do głowy, że pas czy taśma, którą mnie skrupowano, była z jednej sztuki. Nie miałem na sobie oddzielnych więzów. Pierwsze muśnięcie ostrego na kształt brzytwy półksiężycy przetnie poprzecznie rzemień w jakimś miejscu i z pomocą mej lewej ręki będę mógł odwinąć go z ciała. Lecz jak okropna będzie wówczas bliskość tej stali! Jak straszne w następstwach najłżejsze nawet drgnienie! A zresztą czyż to podobna, by moi lubi prześladowcy nie przewidzieli i nie zapobiegli tej możliwości? Czyż można przypuszczać, by oploty rzemienia krzyżowały pierś moją na linii wahadła? Drżąc, by ta nikła i – jak się zdawało – ostatnia nadzieja nie spełzła na niczym, podźwignąłem głowę o tyle, iż mogłem dokładnie obejrzeć piersi. Pas spowijał szczelnie me członki i ciało we wszystkich kierunkach, ale w zasięgu złowrogiego ostrza go nie było.

Zaledwie zdążyłem opuścić głowę na dawne miejsce, a już w mym duchu zaświtało coś, co najwłaściwiej dałoby się określić jako niedokształcona połówka owej myśli o wyzwoleniu, o której już poprzednio napomknąłem, a która połowicznie tylko i niejasno

przewinęła mi się w mózgu, kiedym podnosił pokarm do mych spieczonych warg. Zawitała tedy myśl cała – nikła, mdła jeszcze, zaledwie określona, ale zupełna. Z porywczą rzutkością rozpaczy przystąpiłem od razu do jej wykonania.

Od wielu już godzin bezpośrednio poblize niskiego tapczana, na którym leżałem, roiło się po prostu od szczurów. Były one dzikie, żarłoczne i zuchwałe; zwracały na mnie swe szklące, czerwone oczy, jak gdyby oczekiwały, kiedy znieruchomieję i stanę się ich łupem. „Do jakiejże stawy – myślałem sobie – nawykły one w tej studni?”





PRZYBYWAŁO ICH CORAZ WIĘCEJ, ROIŁY SIĘ NA MNIE I  
TŁOCZYŁY

Daremne były moje wysiłki, by je odpędzić; pożarły całą zawartość miski z wyjątkiem niewielkiej odrobiny. Nawykowo nie ustawałem w młynkowaniu, czyli wymachiwaniu ręką dokoła półmiska, atoli ta bezwiedna jednostajność ruchu postradała w końcu swe znaczenie. Plugastwo było tak żarłoczne, iż niejednokrotnie wpijało się swymi ostrymi kłami w me palce. Pozostałymi ochłapami tłustego i pieprznego mięsiwa natarłem tedy mocno me więzy wszędzie, gdzie mogłem dosięgnąć; po czym uniósłszy rękę z posadzki, przestałem się ruszać i zaparłem oddech.

Zmiana ta, to moje znieruchomienie, zrazu zatrwożyła i przeraziła żarłoczne zwierzęta. Zaniepokojone pierzchły; niektóre skryły się do studni. Trwało to wszakże niedługo. Nie przeliczyłem się na ich żarłoczności. Widząc, iż leżę nieruchomo, dwa czy trzy najśmielsze wskoczyły na tapczan i jęły obwąchiwać rzemienie. Było to znakiem do gromadnego najścia. Ze studni wypadały coraz to nowe stada. Obiegły tłumnie tapczan, wdarły się na niego i setkami okryły me ciało. Nie płoszył ich bynajmniej miarowy ruch wahadła. Unikając jego ciosów, zabrały się do ociekających tłuszczem rzemieni. Przybywało ich coraz więcej, roily się na mnie i tłoczyły. Pełzały mi po szyi; chłodne ich pyszczki łechtaly me usta; dusiłem się niemal pod ich przygniatającym natłokiem; odraza, dla której nie ma nazwania, wezbrała w mej piersi i ciężkim swym osadem zmroziła me serce. Ale czułem, iż jeszcze chwila, a będzie po wszystkim. Z całą pewnością doznawałem wrażenia, iż więzy poczynają się rozluźniać. Niezawodnie puściły już w jednym miejscu. Z nadludzką stanowczością leżałem nieruchomo.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach i nie cierpiałem na próżno. W końcu uczułem, iż jestem wolny. Rzemień opadł ze mnie strzępami. Atoli ostrze wahadła już ocierało się o moje piersi. Werznęło się we włosiennicę. Przecięło pod spodem bieliznę. Jeszcze dwa wahania – i przenikliwy wstrząs bólu targnął wszystkimi moimi nerwami. Lecz chwila ocalenia nadeszła. Na skinienie mej ręki zbawcy moi pierzchli w nieładzie. Wolno, przezornie, chyłkiem i bokiem wypelzłem z opłotów rzemienia poza zasięg sierpa. Na razie byłem wreszcie wolny.

Wolny – a w szponach Inkwizycji! Zaledwie zdążyłem zejść z mojego drewnianego łoża tortur na kamienną posadzkę więzienia, gdy ruchy piekielnej maszyny ustały i jakaś niewidzialna siła pociągnęła ją w górę poprzez otwór w sklepieniu. Była to nauczka, od której serce zawrzało mi rozpaczą. Nie ulegało wątpliwości, iż każdy mój ruch nadzorowano. Wolny! – uszedłem jednego rodzaju męczeńskiej śmierci tylko po to, by paść ofiarą czegoś jeszcze gorszego, jakiejś innej zguby. Myśląc o tym, wodziłem nerwowo oczyma po żelaznych zaporach, co mnie otaczały. Rzecz dziwna! W celi zaszła widocznie jakaś zmiana, z której na razie nie umiałem zdać sobie należycie sprawy. Owładnęło mną drżące, senne roztargnienie i przez czas jakiś zaciekałem się w jałowych, bezradnych przypuszczeniach. Dostrzegłem wówczas po raz pierwszy źródło owego siarczanego światła rozwidniającego celę. Wynikało ono ze szczeliny, szerokiej na pół cala, obiegającej wokół całe więzienie tuż przy samej ziemi, tak iż jego ściany zdawały się nie dotykać i w rzeczywistości nie dotykały wcale swej podstawy. Na próżno usiłowałem wyrzeć przez ten otwór.

Kiedym zniechęcony powstawał z ziemi, w umyśle moim rozjaśniła się nagle tajemnica zmian, które zaszły w celi. Zauważyłem dawniej, iż wprawdzie zarysy figur widniejących na ścianach dość były wyraźne, lecz barwy ich jak gdyby ściemniały i przygasły. Otóż te barwy jęły teraz nasycać się i skrzyć się tak przeraźliwie, iż widmowe i szatańskie bohomy przybrały wygląd mogący wstrząsnąć nawet silniejszymi od moich nerwami. Zewsząd, ze wszystkich miejsc, gdzie ich przedtem nie było, wyzierały ku mnie dzikie, upiorne, rozgorzałe ślepia demonów, jarząc się posępnym blaskiem ognia, co do którego na próżno siłem się przekonać mą wyobraźnię, iż jest nierzeczywisty.

Nierzeczywisty! Kiedym wszakże odetchnął, uczułem w nozdrzach zapach rozgrzanego żelaza! Duszącymi wyziewy zapełniło się więzienie! Coraz głębszym żarem nasiąkały oczy spoglądające na moje męczarnie! Coraz szczodrzej się purpura rozlewała się po ubroczonych we krwi, potwornych malowidłach. Jałem dyszeć. Zabrakło mi tchu. Nie ulegało już wątpliwości, co mieli na celu moi prześladowcy – och, jakże szatańscy

i nieubłagani! Potoczyłem się od rozżarzonego metalu ku środkowi celi. Wśród grozy ogniowej śmierci myśl o chłodzie wiejącym ze studni była dla duszy mej balsamem. Podbiegłem ku jej śmiertelnym stokom. Zapaściłem w głąb badawcze oczy. Łuna bijąca od żarzącego się stropu rozwidniała najwnętrzniesze jej tajnie. Ale w pierwszym, obłąkanym mgnieniu duch mój wzdragał się pojąć, co tam ujrzałem. W końcu jednakże przemogło – utorowało sobie drogę do mej duszy – zagrzezło ognistym piętnem w moim struchlałym mózgu. O, dajcie mówić! – o, zgrozo! – och, raczej wszystko, byle nie to! Z krzykiem targnąłem się wstecz od wrębu i ukrywszy twarz w dłoniach, zaniosłem się gorzkim łkaniem.

Skwar wzmagał się szybko, a kiedy znów podniosłem oczy, zadygotałem, jak gdybym był w gorączce. Dokonała się nowa zmiana w celi – przejawiała się tym razem w kształcie. Podobnie jak przedtem, na próżno starałem się w pierwszej chwili pojąć i zrozumieć, co zaszło. Niedługo wszakże trwała moja niepewność. Dwukrotne me ocalenie przyspieszyło zemstę Inkwizycji i niepodobna już było igrać z Widmem Grozy. Więzienie moje miało kształt czworoboku. Otóż zauważyłem, iż dwa jego żelazne kąty stały się nagle ostrymi, dwa zaś inne rozwartymi. Straszliwe to przeobrażenie odbywało się szybko, z głuchym chrzęstem i przeraźliwym zgrzytem. W okamgnieniu cela przybrała kształt rombu. Lecz nie był to jeszcze koniec zmian – ani go nie oczekiwałem, anim go nie pragnąłem. Chciałem otulić pierś moją w rozpalone do czerwoności ściany niby w szatę wiekuistego spokoju. „Śmierci – wołałem – jakiegokolwiek śmierci, byle nie w studni!” Co za szaleństwo! Czyż podobna było wątpić, iż rozpalone żelaziwo miało przemocą strącić mnie do niej? Czy mogłem oprzeć się żarowi, a gdyby nawet to się powiodło, to czyż nie uległbym naporowi? Romb spłaszczwał się coraz chyżej nie pozostawiając mi czasu na rozmyślanie. Jego środek, znajdujący się na przekątnej największego wymiaru, przypadał na sam otwór ziejącej czeluści. Targnąłem się wstecz, lecz zwierające się ściany parły mnie niepowstrzymanie naprzód. W końcu dla mego poparzonego i wijącego się ciała nie pozostało ani piędy posadzki pod stopami. Zaprzestałem oporu,

lecz tortura wydarła z mej duszy przeciągły, donośny, ostateczny krzyk rozpaczy. Uczułem, że chwieję się na cembrowinie – odwróciłem oczy...

Wtem nagle niesforny zgiełk głosów ludzkich! I gromki odzew nieprzeliczonych surm! I wściekły poryk jak gdyby tysiąca grzmotów! Płomieniste ściany rozstały się w krąg! Czyjaś wyciągnięta ręka uchwyciła mnie za ramię, gdy bezwładny staczał się w otchłań. Była to ręka generała Lasalle'a. Wojska francuskie wkroczyły do Toledo. Inkwizycja wpadła w ręce swych nieprzyjaciół.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> Impia tortorum longas hic turba furores... (łac.) – Bezbożny tłum katów niesyty krwi niewinnej dokonywał tu niekończących się szaleńczych czynów. Teraz, gdy ojczyzna jest zbawiona, po wyłamaniu grobowej jaskini – tam gdzie panowała groźna śmierć, jest miejsce na życie i zbawienie (przyp. red.).

<sup>2</sup> *Ultima Thule* – mityczna wyspa na krańcach świata (przyp. red.).

# Maska Śmierci Szkarłatnej

Śmierć Szkarłatna od dawna pustoszyła ową krainę. Nigdy dzuma nie bywała tak nieodparta, tak straszliwa. Jej oznaką widomą była – krew – czerwień i szkarada krwi. Towarzyszyły jej bóle ostre, nagły zawrót głowy, a potem – obfity przez wszystkie pory wyciek potów i rozłąka z życiem. Purpurowa plamistość ciała, a szczególnie twarzy – usuwała ofiarę poza koło żyjących, pozbawiając jej wszelkiej pomocy i wszelkiego współczucia. Napad, rozwój i skutek choroby były sprawą półgodzinnych zabiegów.

Atoli księżę Prospero – szczęśliwą miał gwiazdę, nieustraszone serce i umysł przenikliwy. Gdy dzuma na wpół wyludniła jego obszary, zwołał tysiąc dzielnych, chwackiego przyrodzenia druhów płci obojej, wybranych spośród rycerzy i dworek jego świty, i wraz z nimi usunął się od świata w ustronną samotnię jednego ze swych warownych opactw. Był to obszerny i wspaniały budynek, twór iście książęcy, w stylu cudacznym, a wszakże godnym podziwu. Tęgi a wysoki mur przysparzał mu obwodu. Ów mur spiżową miał bramę. Świta, zaledwo przedostawszy się do wnętrza, z pomocą pieców i krzepkich młotów zalutowała rygle. Postanowiono zawarować się przeciw nagłym zakusom rozpaczy od zewnątrz i zamknąć wszelki odwrót weselnym szałom od wewnątrz. Opactwo było suto zaopatrzone w żywność. Dzięki tym środkom ochronnym dwór księcia mógł drwić z zarazy. Ludność po tamtej stronie muru wedle sił i możliwości krzątała się dokoła swego zbawienia. Cokolwiek miało się zdarzyć, wszelka troska i wszelka zaduma była obecnie – szaleństwem. Księżę wszystkim dostarczył źródeł uciechy. Byli tam wesołkowie, byli żonglerzy, tancerze, grajkowie, był czar pod wszelką postacią, było – wino. Wewnątrz – zbiór wszelakich cudów i bezpieczeństwo. Zewnątrz – Śmierć Szkarłatna.

Na schyłku piątego czy szóstego miesiąca swego pobytu w warownych zaciszach, a w chwili najzapalczego po tamtej stronie murów srożenia się klęski – stało się, że księżę Prospero uraczył tysiąc swych druhów płci obojej balem maskowym niesłychanego przepychu.

Co za rozkoszna to była maskarada! Lecz niechże mi wprzód dane będzie opisać komnaty, w których się spełniła. Było ich siedem – w głównym przestrzale pałacu. W wielu zamkach ten szereg komnat tworzy długą, w prostej linii perspektywę, gdy skrzydła drzwi są na oścież, aż do zetknięcia się z obojgiem ścian rozwarte, tak że wzrok biegnie bez przeszkód do końca. W danym razie było zgoła inaczej, jak można się tego było spodziewać po księciu i po jego pochopnym do dziwów umyśle. Komnaty miały rozkład tak nieprawidłowy, iż oko nie mogło naraz ogarnąć więcej nad jedną. W odstępnie dwudziestu lub trzydziestu jardów zjawiał się nagły zakręt – i przy każdym zakręcie – widok nowy. Po prawej i lewej stronie – w pośrodku każdej ściany wysokie a wąskie okno gotyckie wychodziło na ślepy korytarz, złobiący się zgodnie z zawitym rozkładem komnat. W każdym oknie tkwiły szyby o barwach zastosowanych do głównego tonu w ozdobach komnaty należącej do okna. Na przykład – komnata we wschodnim skrzydle zamku miała obicie błękitne i okna z ciemnego błękitu. Drugą z kolei zdobiła i oblekała purpura, tedy szyby były purpurowe. Trzecia – do cna zielona z zielonymi oknami. Czwartą w stroju pomarańczowym – pomarańczowe rozwidniały okna. Piątą – biała. Szósta – fioletowa. Siódmą komnatę sztywnie oblekał czarny aksamit, przesłaniając całe sklepienie i mury, i ciężkimi zwojami opadając na dywan z tejże tkaniny i tej samej barwy. Atoli w tej wyjątkowej komnacie barwa okien nie odpowiadała wnętrzu. Szyby były szkarłatne, o skrzącej barwie krwi. Tedy – w żadnej z siedmiu komnat – wśród gęstwy obficie rozrzuconych lub przypiętych do lamperii ozdób ze złota – nie było ani lampy, ani kandelabrow. Ani lamp, ani świec. Ani śladu jakichkolwiek w tym rodzaju rozwidnień w całym długim szeregu tych komnat. Wszakże w okalających je korytarzach, tuż pod każdym oknem, tkwił olbrzymi trójnog z płonącym zarzewiem, którego promienie przenikały poprzez barwne szyby, rzęsiwym braskiem olśniewając

komnatę. Stąd był dostatek mieniących się barwą i fantastycznych widoków. Wszakże oświetlenie komnaty zachodniej, owej czarnej komnaty, kędy brzask zarzewia przez krwawe szyby strumienił się po czarnych aksamitach, było złowieszczo-straszliwe i przydawało twarzom zabłąkanych do wnętrza śmiałków wyraz tak dziwny, że szczupła jeno garstka tancerzy zdobywała się na odwagę postawienia swej stopy w magicznym przybytku tej komnaty.

W tej samej właśnie komnacie – u zachodniej ściany – stał olbrzymi zegar hebanowy. Wahadło jego kołysało się z głuchym, ciężkim, jednostajnym tykaniem i gdy wskazówka minutowa dokonała swego wokół tarczy obiegu, a godzina miała zadzwonić, z mosiężnych płuc olbrzyma dobywał się dźwięk czysty, donośny, głęboki i nad wyraz melodyjny, lecz o tonie tak swoistym i tak napiętym, że grajkowie kapeli co godzina musieli zaprzestawać na mgnienie swych akordów, aby słuchać gry godzin – tancerze wbrew woli poniechiwali swych wirowań. Chwilowy popłoch ogarniał wesołą gromadę – i widziano, jak przez cały czas brzmienia kurantów najzuchwalsi – bledli, a najstarsi wiekiem i najdojrzałsi umysłem prowadzili dłonią po czole niby w zadumie lub w gorączkowym majaczeniu. Lecz gdy ostatnie echo zamarło, skrzydlaty śmieszek przelatał po całym zgromadzeniu. Grajkowie spoglądali po sobie i uśmiechając się na myśl o własnej wrażliwości i nierozsądku, ciszkiem przyrzekali sobie nawzajem, że następny śpiew kurantów nie wywrze na nich podobnego wrażenia, a później – po upływie sześćdziesięciu minut, brzemiennych trojgiem tysiacy i sześciorgiem dziecin sekund dopełnionej godziny, następował nowy śpiew nieodparty kurantów i powtarzał się ten sam popłoch, ten sam dreszcz, te same majaczenia.

Wszakże na przekór tym przerwom orgia odznaczała się wesołością i przepychem. Upodobania księcia były zgoła osobliwe. Miał oko wprawne w dziedzinie barw i efektów. Pogardzał wszelkim decorum mody. Jego zamiary były zuchwałe i dzikie, a pomysły olśniewały przepychem barbarzyńskim. Byli tacy, którzy go posądzali o szaleństwo. Jego dworzanie czuli dobrze, iż tak nie jest. Wszakże trzeba było słyszeć go, widzieć i obcować z nim bezpośrednio, aby się upewnić, iż tak nie jest.



Ze względu na tak wielką uroczystość sam przeważnie zarządzał doborem ruchomych sprzętów w siedmiu komnatach i nakaz jego upodobań osobistych narzucił styl przebraniom. Doprawdy, były to pomysły dziwolężne. Było to wprost – wspaniałe, olśniewające! Była w tym – pokusa i fantazja – wiele z tego, co potem ujrzano w Hernanim. Były postacie całkiem arabeskowe, postrojone nedorzecznie, ukształtowane na przekór wszelkim prawidłom – dziwy potworne jak majaki. Było tam pod dostatkiem czaru, rozpusty i wybryków – żdźbło zgrozy i obfitość szkarady. Słowem, była to ciżba zmór, które kroczyły napuszyćcie – po siedmiu komnatach. I zmory owe wyprawiały wszelkiego rodzaju łamańce, brocząc barwami komnat – i rzekłbyś, iż spod ich stóp wysnuwały się dźwięki muzyki i że dziwaczne akordy kapeli były echem ich kroków. A od czasu do czasu z komnaty aksamitnej dolatał rozdzwoniony śpiew hebanowego zegara. I wówczas – na okamgnienie wszystko nieruchomiało – wszystko milkło prócz głosu zegara. Zmory stygły, drętwiały w swych ruchach. Lecz oto – echa kurantów zamierały – ich śpiew trwał jeno chwilę – i zaledwo pierzchły, a już skrzydlaty i niedotłumiony śmieszek trzepotał się wszędy. I znowu grzmiała kapela, i ożywiały się zmory – i kurczyły się w tak wesołych podrygach jak nigdy, przyswajając sobie barwy okien, poprzez które strumienił się pożar trójnogów. Lecz żadna z masek nie śmiała już zabłąkać się do komnaty, która tkwiła tam – na samym zachodzie – noc się bowiem zbliżała i wzmożone w swej czerwieni światło napływało od przekrwionych szyb, a kruczość żałobnych draperii nabrała grozy. I dla śmiałka, który dotknął stopą żałobnych dywanów, zegar hebanowy rozbrzmiewał cięższym i uroczyściej potężnym śpiewem kurantów niżli dla uszu masek wirujących w beztroskiej oddali pozostałych komnat.

Komnaty owe roily się od ludzi i życie tętniło w nich gorączkowym wrzieniem. Wir wesela trwał nieustannie, aż wreszcie północ wybiła na zegarze. Wówczas, jak już rzekłem, kapela zamarła. Kołowrotny rozpęd tancerzy – ustał i jako dawniej wszystko zaprawiło się trwożnym znieruchomieniem. Jeno tym razem krtań zegara miała dwanaście do wydzwonienia uderzeń – tedy łącznie stać się mogło, iż więcej myśli

wkradło się do zadumy tych, którzy wśród ciżby ucztujących podejmowali się – myślenia. I zapewne dla tej samej przyczyny niektóre z ciżby osoby, zanim jeszcze ostatnie echa ostatniego uderzenia roztajały w ciszy, zdążyły wypatrzeć obecność maski; która dotąd zgoła nie ściągnęła na siebie uwagi. I gdy szeptem podano sobie dokoła wieść o tym najściu, powstał wśród ciżby porozumiewawczy zgiełk i pomruk zdziwienia i niezadowolenia – a po nim nastąpił w końcu dreszcz strachu, zgrozy i wstrętu.

Trzeba było niewątpliwie aż nazbyt niezwykłego zjawiska, aby wyrzeć takie wrażenie na ciżbie takich, jak je opisałem, widziadeł. Swoboda zapustna tej nocy była wprawdzie bez mała nieograniczona, lecz osobistość, o której mowa, prześcignęła pomysły Herodowe i przekroczyła względne skądinąd granice nakazanych przez księcia pozorów. W sercu ludzi najbardziej nieczułych są struny, które lada dotyk porusza. Nawet w duszy najbezwrotniejszych zatraceniów – tych, dla których śmierć i życie jest zarówno igraszką, tkwi coś, z czym igrać nie można. Całe zatem zgromadzenie zdawało się do głębi wyczuwać niesmaczność i niewłaściwość zachowania się oraz ubioru nieznanego gościa. Osobistość była smukła i chuda, od stóp do głów opatulona w całun. Maską tającą oblicze tak trafnie wyobrażała twarz zeszywniałego trupa, że najszczegółowsze badanie z trudem wykryłoby fortel. Mimo to – wszyscy rozbawieni hulajdusze mogliby, jeśli nie pochwalić, w każdym razie ścierpieć ów żart potworny. Wszakże maska posunęła się aż do przyswojenia godeł Śmierci Szkarłatnej. Jej ubiór był pokalany krwią, a jej wysokie czoło oraz wszystkie zarysy twarzy były zbryzgane straszliwym szkarłatem.

Gdy oczy księcia Prospera padły na tę postać widmową, która ruchem powolnym, uroczystym i napuszonym, jakby dla utrzymania się w roli, kroczyła tu i tam wpośród tancerzy, zauważono w pierwszej chwili, że pokurczył go gwałtowny dreszcz strachu czy też wstrętu, lecz w mgnienie potem – czoło jego spurpurowiało od gniewu.

– Kto śmie – zapytał głosem ochryplym stojących w pobliżu dworzan – kto śmie nam urągać tymi bluźnierczymi drwinami? Pochwyćcie go i

pozbawcie maski, abyśmy poznali, kogo – skoro świt – mamy na murach stryczkiem pokarać?

A gdy to mówił, znajdował się książę Prospero w komnacie wschodniej, czyli błękitnej. Słowa jego donośnie i wyraźnie zabrzmiały po wszystkich siedmiu komnatach, gdyż książę był nieugięty i krzepki w sobie, zaś kapela zamarła na jego skinienie.

A stało się, że w komnacie błękitnej przebywał książę, mając po bokach świtę pobladyłych dworzan. Początkowo, gdy mówił, świta nieznacznym ruchem pokwapiała się ku natrętowi, który przez chwilę był dostępny, a który obecnie krokiem śmiałym i majestatycznym zbliżał się coraz do księcia. Atoli pod wpływem jakiejś nieokreślonej trwogi, która ogarnęła całe zgromadzenie na widok nedorzecznego zuchwalstwa maski, nie było nikogo, co by dłoń na niej położył, tak że nie znajdując żadnych przeszkód, zjawiony przeszedł tuż o dwa kroki od księcia i podczas gdy niezliczone tłumy, jakby jednakiemu posłuszne odruchowi, odpłynęły od środka komnaty ku murom, szedł dalej – bez przerwy – tym samym uroczystym i miarowym krokiem, który go przed chwilą cechował, z komnaty błękitnej do komnaty purpurowej – z komnaty purpurowej – do komnaty zielonej – z zielonej do pomarańczowej – z owej do białej – z tej zaś do fioletowej, zanim poruszono się, aby go stanowczo zatrzymać. Wówczas jednak stało się, że książę Prospero, rozjątrzony gniewem i wstydem chwilowego tchórzostwa, rzucił się na oślep poprzez sześć komnat, dokąd nikt za nim nie pośpieszył, gdyż strach śmiertelny owładnął całym tłumem. Potrząsając obnażonym mieczem, zbliżył się na odległość trzech czy czterech kroków do uchodzącego zjawu, gdy nagle ów ostatni, dotarwszy do krańca komnaty aksamitnej, odwrócił się znienacka, stawiając czoło swemu prześladowcy. Rozległ się krzyk przenikliwy – i miecz, błysnąwszy, ześliznął się na żałobne dywany, gdzie książę Prospero padł martwy w chwilę potem. Wówczas, zdobywając się na ślepią odwagę rozpacz, tłumy masek rzuciły się społem do czarnej komnaty – i schwyciwszy nieznanego, który na kształt wyniosłego posągu trwał wyprostowany i nieruchomy w cieniu hebanowego zegara, doznały strachu bez nazwy, stwierdzając naocznie, że pod całunem i pod trupią

larwą, których pochwylenie kosztowało je tylu nadludzkich wysiłków,  
żaden kształt namacalny nie ma swego pobytu.



MIECZ, BŁYSNAWSZY, ZEŚLIZGNAŁ SIĘ NA ŻAŁOBNE DYWANY

Rozpoznano wówczas obecność Śmierci Szkarłatnej. Przyszła jako złodziej nocny. I wszyscy biesiadnicy – jeden po drugim – padli w komnatach hulaszczych, skropionych rosą krwawego chrztu, i każdy skonał w rozpaczliwych odruchach swego upadku. I życie w zegarze hebanowym zamarło wraz z życiem ostatniego z tych wesołych chwatów. I żary trójnogów wygasły. I Ciemność, i Ruina, i Śmierć Szkarłatna rozpostarły wszędy swą władzę nieograniczoną.

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*

# Król Mór

Opowieść z alegorią

*Bogowie nieraz wybaczą królom  
Rzeczy obmierzone im u podłej tłuszczy.  
Buckhurst: Tragedy of Ferrex and Porrex*

**B** yło to za rycerskiego panowania Edwarda Trzeciego. Pewnej nocy październikowej, kiedy już miała uderzyć dwunasta, dwaj marynarze należący do załogi handlowego statku „Free and Easy”, krążącego między Sluys i Tamizą, a stojącego podówczas na kotwicy u ujścia tej rzeki – zdziwili się niepomału, gdyż zdali sobie sprawę, iż siedzą w izbie gospodniej pewnej piwiarni, położonej w dzielnicy parafialnej św. Andrzeja w Londynie. Piwiarnia ta miała za godło wizerunek „Dziarskiego Żeglarza”.

Izba, aczkolwiek niedbale sklecona, poczerniała od dymu, chyląca się do upadku i pod każdym innym względem nieróżniąca się swym wyglądem od podobnych izb karczemnych tej epoki – mimo to wcale nieźle odpowiadała swemu zadaniu, jak przynajmniej mniemali goście, co cudacznymi gromadkami rozsiedli się w niej dokoła.

Śród nich owi dwaj marynarze tworzyli – jak sędzę – grupę najbardziej zajmującą, chociaż mniej może okazałą.

Jeden z nich, jak się zdaje, starszy, którego jego towarzysz nazywał dosadnie „Drągalem”, był zarazem znacznie wyższy. Miał zapewne z jakie półsiódma stopy wysokości, zaś nawykowe przygarbienie grzbietu było u niego nieuniknionym następstwem ogromnego wzrostu. Wszelako tę nadmierną wybujałość okupywał sownie usterkami innego rodzaju. Był nadzwyczaj szczupły; toteż powiadali o nim jego towarzysze, iż kiedy był pijany, to wyglądał jak maszt z banderą u wierzchołka, kiedy zaś trzeźwy, to mógł służyć za drzewce trójkątnego żagla na przedzie okrętu. Wszelako te i tym podobne krotchwile nie zdołały nigdy wprawić w drgawki mięśni jego twarzy. Miał wystające kości policzkowe, wielki orli nos, cofniętą brodę, zapadniętą szczękę dolną i ogromne, wyłupiaste, blade oczy, zaś wyraz jego oblicza, niepozbawiony pewnej chmurnej obojętności na rzeczy i zjawiska tego świata, był bezprzykładnie, aż niewymownie poważny i uroczysty.

Młodszy marynarz stanowił z powierzchowności zupełnie przeciwieństwo swego towarzysza. Wzrostem nie przekraczał czterech stóp. Para przysadzistych, pałakowatych nóg dźwigała jego krępą, ociążałą postać, zaś niezwykle krótkie i grube ramiona, zakończone



ogromnymi pięściami, odstawały rozkołysane od jego boków na podobieństwo lotek ptaka zwanego nurkiem morskim. Małe oczka nieokreślonej barwy migotały z głębi jego czaszki. Nos zanikał w mięsistej powierzchni jego pełnej, krągłej i czerwonej twarzy. Gruba warga górna wspierała się na jeszcze grubszej dolnej z wyrazem błęgiego zadowolenia, wzmocnionego ponadto nawykiem częstego oblizywania się. Wzrost towarzysza był widocznie dla niego przedmiotem na poły podziwu, a na poły kpiny, gdyż zerkał od czasu do czasu na jego twarz, jak spogląda z dołu, o zachodzie, czerwone słońce na szczyty Ben Nevis.

Urozmaicona zaiste i pełna przygód była peregrynacja tej zacnej pary przyjaciół po różnych okolicznych gospodach o wcześniejszej porze owej pamiętnej nocy. Nawet najpokaźniejsze zasoby pieniężne nie zawsze są wiecznotrwałe; i oto zdarzyło się, że z pustymi kieszeniami zapuścili się obaj marynarze do piwnego przybytku.

W chwili, kiedy opowieść niniejsza właściwie się zaczyna, Drągał i jego towarzysz, Hugh *Tarpaulin*<sup>1</sup>, siedzieli pośrodku izby, mając łokcie wsparte na dużym, dębowym stole, a policzki ukryte w dłoniach. Spoza potężnej flaszki niezapłaconego z góry „siarczystego piwka” spoglądali spode łba na złowróżbne słowa: „Nic na kredę!”; ku ich zdumieniu i oburzeniu widniały one na drzwiach, nagryzmołone tym właśnie minerałem. Nie żeby dar odczytywania pisanych głosek – dar, który u pospółstwa owych czasów uchodził za nie mniej kabalistyczny od sztuki ich kreślenia – mógł, sumiennie rzecz biorąc, ciężać na odpowiedzialności któregośkolwiek z wychowanków morza; lecz, by rzec prawdę, w ukształtowaniu liter przejawiała się jakowaś zawiałość – w całości jakieś niewysłowione wymigiwanie się bokiem spod wiatru, które zdaniem obu marynarzy zapowiadało długotrwałą kiepską pogodę i sprawiło, że wedle obrazowych słów Drągala postanowili od razu „wypompować okręt, zwinąć wszystkie żagle i zwiać przed wiatrem”.

Załatwiwszy się zatem z pozostałą jeszcze zawartością flaszki i pozapinawszy szczelnie swe krótkie kaftany, dunęli w końcu na ulicę. Wprawdzie Tarpaulin zatoczył się przy tym dwukrotnie w otwór komina, uważając go nieopatrznie za drzwi, ale ucieczka ostatecznie jakoś im się

udała – i o godzinie wpół do pierwszej obaj bohaterowie, dojrzałi do zguby, pędzili na złamanie karku ciemną uliczką wiodącą ku schodom parafii św. Andrzeja, ścigani zawzięcie przez właścicielkę piwiarni spod „Dziarskiego Żeglarza”.

W epoce tej pełnej przygód opowieści, a także przez długie przedtem i przez długie lata potem cała Anglia, w szczególności zaś jej stolica, rozbrzmiewała co pewien czas trwożnym okrzykiem: „Zaraza!”. Miasto było bardzo wyludnione – zaś w straszliwych dzielnicach nad Tamizą, gdzie wśród ciemnych, wąskich, błotnistych zaułków i uliczek wylęgał się podobno Demon Zatrąty, pełzały tylko Lęk, Groza i Przerążenie.

Z rozkazania królewskiego pozostawały te okręgi pod klątwą i pod karą śmierci nie wolno było nikomu zakradać się w te złowrogie odludzia. Wszelako ani uniwersały królewskie, ani wysokie zapory wzniesione u wylotów ulic, ani obawa ohydnej śmierci, co z niezawodną niemal pewnością czyhała na nieszczęśników, którzy nie dali odstraszyć się od przygód żadnym niebezpieczeństwem – nie zapobiegały temu, iż opuszczone i niezajęte mieszkania stawały się łupem nocnych rabusiów, którzy ograbiali je z żelaza, mosiądzu, ołowiu tudzież tego wszystkiego, co mogło przynieść jakąkolwiek korzyść.

Kiedy corocznie zimą otwierano zapory, okazywało się zazwyczaj, iż zwłaszcza wszelkie kazamaty, kryjówki i piwnice nie stanowiły bynajmniej odpowiedniego pomieszczenia dla wielkich zapasów win oraz innych napojów, które liczni kupcy, posiadający sklepy w sąsiedztwie, chcąc uniknąć kosztów i kłopotów przewozu, pozostawiali tamże na czas swego wygnania, nie pomyślawszy o lepszym ich zabezpieczeniu.

Wszelako wśród opętanego trwogą ludu mało kto przypisywał te sprawy działalności rąk ludzkich. Duchy czarnej śmierci, czarty zarazy i licha gorączki były w mniemaniu pospólstwa tymi złoczyńcami, przy czym krążyły nieustannie takie ścinające krew w żyłach opowieści, iż w końcu całe to zbiorowisko przeklętych domostw spowiła groza w swe całuny. Jakoż niejednokrotnie zdarzało się, iż nawet rabusie pierzchali przed okropnościami, które ich własne spustoszenia wywoływały,

pozostawiając ogromny obszar tych zatraconych dzielnic na pastwę mroków, głuszy, powietrza morowego i śmierci.

Drągal i przezacny Hugh Tarpaulin, zmykając w dół ulicą, napotkali nagle na swej drodze przeszkodę, którą była jedna z tych okropnych zapór, wskazujących, iż od nich zaczyna się wyklęty okręg zarazy. O powrocie nie mogło być mowy, a nie było czasu do stracenia, gdyż prześladowcy następowali im na pięty. Wspiąć się na byle jak skleconą przeszkodę z desek było dla chwackich marynarzy igraszką. Zapamiętawszy się w podnieceniu wywołanym zarówno szybkim biegiem, jak i gorącym napojem, przeskoczyli bez namysłu w głąb zagrodzenia i podążając dalej przed siebie, dokąd ich pijane nogi niosły, wśród krzyków i nawoływań zaprzepaścili się wkrótce w gmatwaninie odrażających zaułków.

Gdyby nie byli odurzeni do nieprzytomności, chwiejne ich stopy byłyby im wrosły w ziemię z przerażenia. Powietrze było chłodne i mgliste. Kamienie brukowe, wyparte ze swych łożysk, leżały w chaotycznym nieładzie wśród wysokiej, bujnej trawy, co okręcała się dokoła stóp i kostek. Zrujnowane domy zawały ulice. Ziały zewsząd cuchnące i trujące wonie – zaś przy owej upiornej poświatli, co nawet o północy nie przestaje się przedzierać wśród przesyconego wyziewami i zabójczego powietrza, dostrzegało się leżące w przejściach i zaułkach lub rozkładające się w pozbawionych okien mieszkaniach zwłoki wielu nocnych rabusiów, których dłoń Zarazy przychwyciła na gorącym uczynku grabieży.

Wszelako nie było w mocy takich obrazów, wrażeń i przeszkód wstrzymać tych ludzi, którzy z usposobienia dzielni, a podówczas szczególnie pełni męstwa i „siarczystego piwka”, byliby nieustraszenie rzucili się, gdyby im na to pozwoliły okoliczności, wprost w paszczę Śmierci. Naprzód, wciąż naprzód kroczył chmurny Drągal, budząc swymi wrzaskami, podobnymi do przeraźliwych okrzyków wojowniczych Indian, zwielokrotnione echa wśród uroczystej głuszy; naprzód, wciąż naprzód toczył się przepłoszony Tarpaulin, czepiając się kaftana swego ruchliwego towarzysza i najudatniejsze jego popisy z zakresu muzyki wokalne

przygłuszając byczymi porykami in basso, dobywającymi się z głębin jego przepotężnych płuc.

Dotarli w końcu do samego legowiska Czarnej Śmierci. Stąpając lub taplając się, szli drogą coraz potworniejszą i okropniejszą – mijali ścieżki coraz węższe i coraz bardziej zagmatwane. Ogromne kamienie i kłody spadające dokoła nich co chwila z walących się dachów, swym głuchym i ciężkim dudnieniem świadczyły o niemałej wysokości otaczających domów; a ponieważ trzeba było nieraz torować sobie przejście wśród mnogich zwałów gruzu, więc nie należało do rzadkości, że dłoń dotykała szkieletu lub napotykała trupa nie pozbawionego jeszcze powłoki mięsnej.

Kiedy marynarze, zataczając się, dobrnęli do bramy wysokiego i upiornie mającegogo budynku, na przeraźliwszy niż zazwyczaj wrzask, dobywający się z gardzieli podochoconego Drągała, odpowiedziały nagle z wnętrza szybko po sobie następujące dzikie, rozchichotane i złowrogie piski. Nie zatrwożeni bynajmniej głosami, które swym brzmieniem w tym miejscu i o takiej porze byłyby mogły zmrozić krew w sercach mniej ognistych, pijani towarzysze ruszyli pędem ku drzwiom, wywalili je i wdarli się do wnętrza, klnąc na czym świat stoi.

Izba, do której weszli, była widocznie sklepem przedsiębiorcy pogrzebowego; wszelako przez drzwi otwarte na ścieżaj w podłodze opodal wejścia widniał długi szereg piwnic winnych, zaś donośny łoskot otwieranych właśnie butelek dowodził, iż były sownie zaopatrzone we właściwe im zapasy. Na środku izby stał stół, zaś pośrodku niego sterczała ogromna dzieża, napełniona czymś, co było zapewne ponczem. Gąsiory wszelakich win i kordiałów wraz z konwiami i pękatymi dzbanami, jako też flaszami różnej jakości i kształtu, gęsto ustawione, mieściły się obok niej na brzegach. Dokoła stołu, na kozłach używanych do ustawiania trumien, rozsiadło się towarzystwo złożone z sześciu osób. Postaram się naszkicować je kolejno.

Naprzeciw wejścia i nieco wyżej od swych towarzyszy siedziała postać, która, jak się zdaje, przewodniczyła przy stole. Postawę miała wysoką i szczupłą i Drągał był niepomału zdumiony, widząc istotę chudsza od

siebie. Twarz jej była szafranowożółta – wszelako tylko jeden rys zaznaczał się w niej wyraziście i zasługiwał na szczegółowy opis, a mianowicie czoło, tak niezwykle i potwornie wysokie, iż wyglądało jak czapka lub diadem z mięsa, nasadzony na głowę naturalną. Z ust jej, wykrzywionych i pomarszczonych, nie schodził wyraz upiornej dobroćliwości, a oczy jej, podobnie zresztą jak oczy wszystkich obecnych, mglily się pijackim szkliwem. Dżentelmena tego upowijał od głowy do stóp bogato haftowany, czarny, atlasowy całun, spływający niedbale dokoła jego kształtów na podobieństwo hiszpańskiego płaszcza. Głowę jego opasywał wieniec z czarnych pióropuszy pogrzebowych, którymi umiał powiewać niekiedy ze świadomym i krotochwilnym wdziękiem; zaś w prawicy dzierżył potężną kość, co stanowiła ongi podporę uda ludzkiego, i jak się zdawało, przynaglał nią przed chwilą do śpiewu któregoś z członków towarzystwa.

Naprzeciw niego, odwrócona ode drzwi, siedziała jakaś dama, zastanawiająca nie mniejszą swej urody osobliwością. Nie ustępując bynajmniej wzrostem osobie co tylko opisanej, nie miała jednak powodu uskarżać się na jej nieludzkie wycieńczenie. Znajdowała się widocznie w ostatnim okresie wodnej puchliny i jej postać miała niejaki podobieństwo do ogromnej baryły paździenikowego piwa, co z odbitym dnem stała tuż obok niej w kącie izby. Twarz jej była niesłychanie okrągła, czerwona i puciołowata. Wyróżniała to oblicze też sama osobliwość czy raczej tenże sam brak osobliwości, o którym już wspomniałem, mówiąc o przewodniczącym – to znaczy, że tylko jeden rys jej twarzy uwydatniał się z taką wyrazistością, iż domagał się osobnej wzmianki. Przenikliwy Tarpaulin wnet zauważył, iż to samo spostrzeżenie dawało się zastosować do każdej poszczególnej osoby, wchodzącej w skład tego zebrania; każda z nich zdawała się posiadać monopol na jakąś niezwykłość w swej fizjonomii. U owej damy niezwykle były usta. Ziały one straszliwą czeluścią od jednego ucha do drugiego – a niezbyt długie kolczyki, bujające się po obu stronach jej głowy, nieustannie wciskały się do ich wnętrza. Dokładała jednakże starań, by mieć usta zamknięte, i wyglądała dostojnie w czechle, świeżo nakroch-

malonym i wyprasowanym, które sięgało jej aż pod samą brodę suto fałdowaną krezą z wytwornego muślinu.

Po prawej jej stronie siedziała jakaś drobniutka, malutka osóbka, pozostająca widocznie pod opieką starszej matrony. W drzeniu nikłych paluszków, w sinym zabarwieniu ust, w lekkich suchotniczych rumieńcach, co przezierały przez ołowianą bladość jej cery, przejawiały się u tej delikatnej, wątłej istotki wszystkie oznaki daleko posuniętej gruźlicy. Mimo to z całej jej powierzchowności odnosiło się wrażenie krańcowego *haut ton*<sup>2</sup>; z powabną swobodą otulała się w sutą i piękną śmiertelną koszulę z najwykwintniejszego indyjskiego batystu; włosy spadały jej w pierścieniach na ramiona; słodki uśmiech igrał na jej ustach; natomiast jej nos, nadzwyczaj długi, cienki, zakrzywiony, ruchliwy i ospowaty, zwisał znacznie poniżej wargi dolnej i mimo subtelnej gracji, z jaką od czasu do czasu przesuwiała go koniuszkiem języka w jedną to w drugą stronę, nadawał jej twarzyczce wyraz nieco złowieszczy.

Naprzeciw niej, a po lewej stronie damy dotkniętej wodną puchliną, siedział mały, nadęty, sapiący i podagryczny staruszek, którego policzki opierały się na ramionach niby dwa duże bukłaki napełnione winem z Oporto. Założywszy ręce na brzuchu i umieściwszy obandażowaną nogę na stole, zdawał się wprost domagać czołobitnych hołdów. Widocznie chełpił się każdym calem swej powierzchowności, ze szczególniejszą jednak lubością starał się zwracać powszechną uwagę na swój surdut, mieniący się błyskotliwym przepychem. Jakoż istotnie musiał kosztować go niemało i leżał na nim jak ulany. Do wykonania jego posłużyła jedna z owych misternie haftowanych, jedwabnych kap, którymi w Anglii, a także gdzie indziej, miano zwyczaj przystrajać okryte chwałą tarcze herbowe, zawieszane w widocznych miejscach na przybytkach wygasłych rodów arystokratycznych.

Przy nim, a po prawicy przewodniczącego, zajmował miejsce jakiś dżentelmen w bawełnianych porciętach i długich białych pończochach. Ciałem jego wstrząsały dziwaczne drgawki, co Tarpaulin nazywał „okropnością”. Świeżo ogolone szczęki miał podwiązane mocno opaską z muślinu. W podobny sposób zaopatrzone mu również ręce w przegubach,

co nie pozwalało mu zbyt swobodnie sięgać do stołu po napoje. Przezorność ta, zdaniem Drągala, była najzupełniej na miejscu, ile że z wymokłej gęby patrzyło mu sprośne opilstwo i wszeteczny pociąg do wina. Wysterczała koło niej w przestwór izby para przeogromnych uszu, które nie wiadomo gdzie się kończyły i którymi strzygł nerwowo przy każdym szmerze wyciąganego korka.

Twarzą zwrócona do niego, usadowiła się szósta i ostatnia postać, wyglądająca dziwnie nieruchawo, ile że obezwładniona była paralizem i, mówiąc poważnie, musiała czuć się bardzo nieswojo w swym niewygodnym przyodziewku. Był on poniekąd jedyny w swoim rodzaju, gdyż stanowiła go nowa i niebrzydka trumna mahoniowa. Od góry przylegała ona do czaszki pomieszczonego w niej osobnika i okalała ją na kształt czepka, nadając całemu obliczu wyraz niewymownie zajmujący. W bocznych ścianach trumny powycinano otwory, by przepuścić ramiona, zarówno z uwagi na wytworność, jak na wygodę. Jednakże strój ten nie pozwalał swemu właścicielowi usiąść tak prosto, jak siedzieli jego towarzysze. Leżał tedy, nachylony do kozła pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a para ogromnych, zezowatych ślepi zwracała swe przeraźliwe białka ku pułapowi w bezgranicznym osłupieniu nad swą własną potwornością.

Każda z osób obecnych miała przed sobą odłamek czaszki, który służył za czarę do picia. Nad głowami wisiał szkielet ludzki, który za jedną nogę uwiązano na powrozie, przytwierdzonym do pierścienia umieszczonego pod pułapem. Inne członki, nietrzymane w ten sposób na uwięzi, odchyliły się od tułowia pod kątem prostym, skutkiem czego cały ten rozklekotany i trzeszczący gruchot bujał i wirował za każdym podmuchem wiatru, który chwilami przenikał do izby. W czaszce tego ohydneho dziwadła żarzyła się garść węgla, które swą migotliwą i jaskrawą łuną oświetlały to widowisko. Trumny i inne towary, znajdujące się na składzie w sklepie przedsiębiorcy pogrzebowego, stały napiętrzone dokoła izby i zasłaniały szczelnie okna, nie przepuszczając światła na ulicę.

Na widok tego osobliwego zebrania i jeszcze osobliwszego jego uposażenia obaj marynarze nie zachowali się z taką poprawnością, jakiej by po nich należało oczekiwać. Draǵal, oparłszy się o ścianę, przy której przypadkiem stanął, jeszcze niżej niż zazwyczaj opuścił swą dolną szczękę i wytrzeszczył jak sowa swe ogromne oczy; natomiast Hugh Tarpaulin, przykucnąwszy w ten sposób, iż nos jego znalazł się na jednym poziomie ze stołem, wsparł dłonie na kolanach i wybuchnął długim, głośnym i hałaśliwym porykiem niewczesnego i niepomiernego śmiechu.

Nie okazując mimo to urazy z powodu tej prostackiej nieobyczajności, smukły przewodniczący uśmiechnął się nader wdzięcznie do natrętów – dostojnie skinął ku nim głową przystrojoną w żałobne pióropusze – po czym, podniósłszy się z kozła, ujął obu za ramiona i poprowadził ich na miejsca, które inni członkowie towarzystwa tymczasem im przygotowali. Draǵal nie stawiał najmniejszego oporu i usiadł tam, dokąd go poprowadzono; natomiast ugrzeczniony Hugh, zabrawszy swój kozioł z wyznaczonego mu miejsca przy stole, przysiadł się do drobnej, suchotniczej osóбки, zapalał wszystkim pogodnym zadowoleniem i wychylając czaszkę czerwonego wina, trącił się z nią po przyjacielsku. Wszelako to zuchwalstwo ubodło, jak się zdaje, nader nieprzyjemnie sztywnego dżentelmena przyodzianego w trumnę; i kto wie, jak poważne wynikłyby stąd następstwa, gdyby przewodniczący nie stuknął swą buławą w stół i nie pochłonał uwagi obecnych następującym przemówieniem:

– Czyniąc zadość obowiązkowi, jakim obarcza nas niniejsza radosna okoliczność...

– Bawej! – przerwał Draǵal, spoglądając groźnie. – Postój no trochę, mówię ci! Powiedzcie nam, coście za diabły i co tu robicie, żeście się wystrychnęli na piekielne czupiradła i wyżłopujecie do cna zapasy, które porobił sobie na zimę mój przezacny kmotr Will Wimble, przedsiębiorca pogrzebowy?

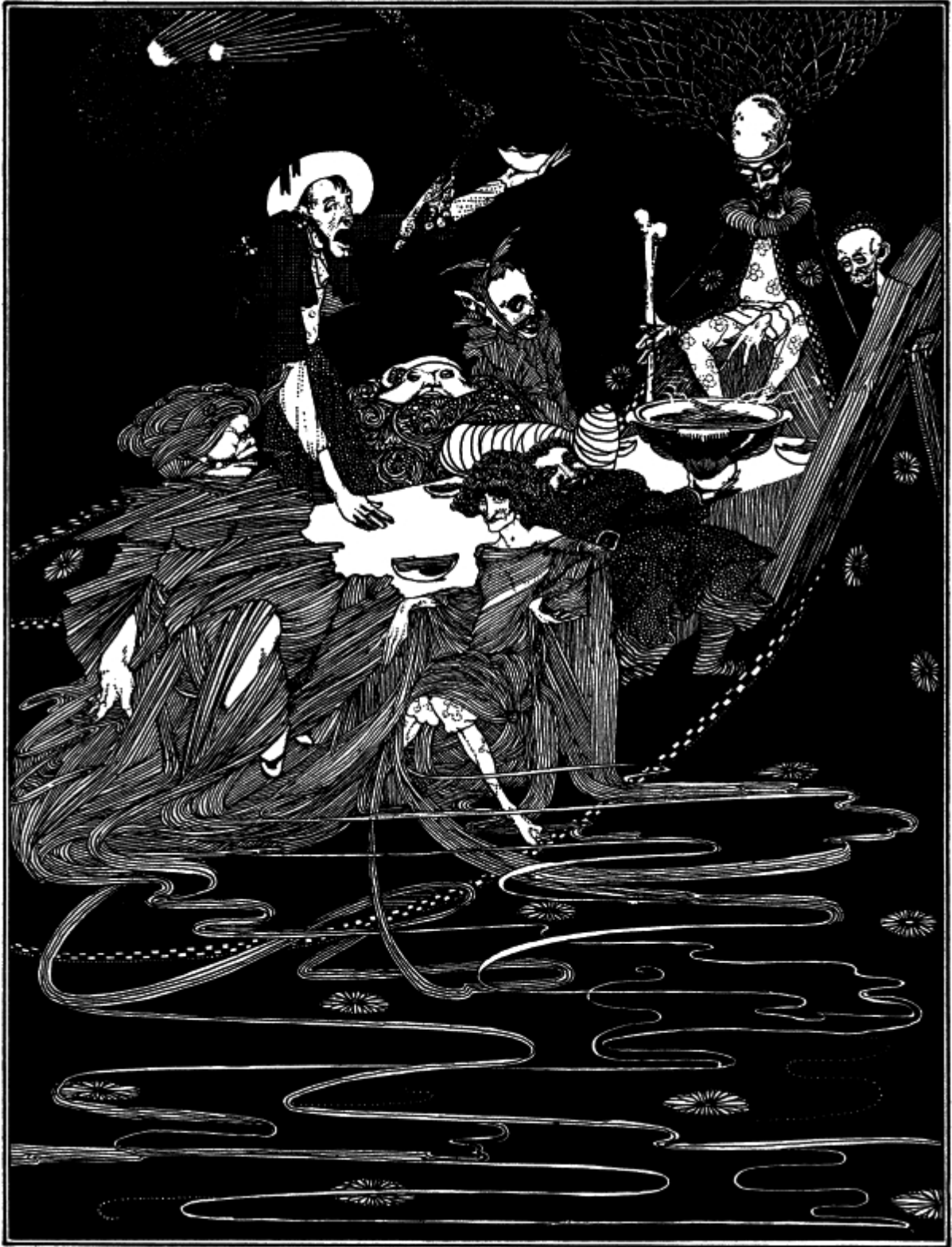
Na ten nieprzystojny przejaw złego wychowania całe towarzystwo dawniejsze zerwało się na poły ze swych miejsc i odezwało się tymiż



samymi dzikimi, szybko po sobie następującymi, złowrogimi piskami, które już przedtem obły się o uszy marynarzy. Przewodniczący pierwszy odzyskał panowanie nad sobą i zwróciwszy się do Drągala, jął mówić z wielką godnością:

– Jak najchętniej zaspokoimy wszelką godziwą ciekawość naszych znakomitych, acz nieproszonych gości. Wiedźże Waść zatem, że w tych dzierzawach ja jestem panem i władam niepodzielnie jako Król Mór Pierwszy.

Ta komnata, której waść nie wahałeś się znieważać przypuszczeniem, jakoby była sklepem Willa Wimble'a, przedsiębiorcy pogrzebowego – jakiegoś tam człowieka, którego nie znamy i którego gminne nazwisko dzisiejszej nocy po raz pierwszy drasnęło nasze uszy – ta komnata, powtarzam, jest salą tronową naszego pałacu, gdzie zwykli zbierać się na narady dostojnicy naszego królestwa i gdzie odbywają się również świątobliwe i wzniosłe obrzędy.



POSTÓJ NA TROCZĘ, MÓWIĘ CI! POWIEDZCIE NAM, COŚCIE ZA  
DIABŁY

Szlachetna pani siedząca naprzeciw to Jej Królewska Mość Morowa, nasza Miłościwa Małżonka. Inne dostojne osoby, które waść tu widzisz, należą również do naszej rodziny. Jakoż noszą godności i tytuły należne krwi królewskiej, mianowicie: Jego Miłość Arcyksiążę Pomór, Jego Miłość Książę Głodomór, Jego Miłość Książę Muchomor i Jej Miłościwa Wysokość Arcyksiężniczka Zmora<sup>3</sup>.

Na pytanie waści – mówił dalej – po cośmy się tu zebrali, pozwalam sobie odpowiedzieć, iż zebranie to ma na celu tylko nasze osobiste i królewskie sprawy i żadną miarą nie dotyczy nikogo innego. Biorąc jednakowoż pod uwagę prawa, jakie wam jako gościom i cudzoziemcom w rozumieniu waszym przysługiwać by mogły, nadmieniamy ponadto, iż przybyliśmy tu dzisiejszej nocy, poczyniwszy poprzednio głębokie studia i poszukiwania, by przeniknąć, zbadać i ostatecznie określić nieokreśloną istotę – niepojęte właściwości i przymioty owych nieocenionych skarbów smakowitości, jakimi są wina, piwa i likwory tej kwitnącej stolicy: czyniąc zaś to, dogadzamy nie tylko swym własnym zachceniom, ale także służymy dobrej sprawie tego nieziemskiego mocarza, który włada nad nami wszystkimi, którego dzierżawy nie znają granic, a którego miano jest Śmierć.

– Którego miano jest Davy Jones<sup>4</sup>! – ryknął Tarpaulin, dolewając swej towarzysze do czaszki likworu i napełniając dla siebie drugą.

– Bezecny hultaju! – odezwał się przewodniczący, zwracając się z kolei do sławetnego Hugh'a – bezecny i przemierzły łotrze! Powiedzieliśmy już, iż z uwagi na owe prawa, których nie mamy chęci naruszać nawet w twej nikczemnej osobie, zniżyliśmy się do dania odpowiedzi na twe prostackie i niewłaściwe pytania. Nie mogąc jednakowoż puścić wam płazem zdrożnego wtargnięcia na nasze zebranie, poczuwamy się do powinności skazać osobno ciebie, a osobno twego towarzysza na garniec Czarnej Juchy<sup>5</sup>, który, klęcząc, będziecie musieli jednym tchem wypić na pomyślność naszego majestatu, po czym będzie wam wolno wedle upodobania pójść swoją drogą albo też pozostać i wziąć udział w dobrodziejstwach naszego stołu.

– Byłoby to istną niemożliwością! – odparł Draǵal, u którego wyniosłość i powaga Króla Mora Pierwszego wywołała widocznie niejakie uczucie poszanowania i który, mówiąc to, podniósł się i stanął przy stole.

– Proszę Waszej Królewskiej Mości, byłoby istną niemożliwością pomieścić w moim kadłubie chociażby czwartą część tego likworu, o którym Wasza Miłość nadmieniła. Nie mówiąc już o kordiałach, które zabrało się na pokład przed południem dla balastu, i nie wspominając o różnych likworach i piwach załadowanych dzisiejszego wieczora w rozmaitych przystaniach, mam w tej chwili ogromny ładunek „siarczystego piwka”, zabrany i sumiennie zapłacony z góry w gospodzie pod „Dziarskim Żeglarzem”. Raczy tedy Wasza Królewska Mość przyjąć chęć za uczynek, gdyż żadną miarą nie chcę i nie mogę przełknąć chociażby kropli – przede wszystkim zaś ani kropli tych obrzydliwych pomyj okrętowych, które zwą się Czarną Juchą.

– Stul gębę! – przerwał Tarpaulin, zdumiony nie mniej długością przemówienia swego towarzysza, jak powodem jego odmowy. – Skończ już, ty wałkoniu! Powiadam ci, Draǵalu, że nic z twego gadania! W moim kadłubie dość jeszcze miejsca, ale przyznaję, że ty wyglądasz, jakby ci było ciężko we łbie. Jeżeli jednak chodzi o tę odrobinę ładunku, to czemu, zamiast skamlać, nie pomyślisz raczej, jak opróżnić dla niego miejsce, ale...

– To postępowanie – wtrącił przewodniczący – nie pozostaje bynajmniej w zgodzie z warunkami kaźni albo raczej wyroku, który jest w istocie swej umiarkowany i nie może być zmieniony ani odwołany. Postawione przez nas warunki muszą być spełnione co do joty i bez najmniejszego wahania – w przeciwnym bowiem razie każemy związać was razem jak dwie kłody i jako buntowników utopić w onej kadzi październikowego piwa.

– Wyrok! Wyrok! Słuszny i sprawiedliwy wyrok! Chwalebny osąd! Najrzetelniejsze, najmędrsze i najświetlejsze potępienie! – wrzasnęła chóralnie cała królewska rodzina. Król zbruździł swe czoło niezliczonymi zmarszczkami; podagryczny staruszek sapał jak para miechów; osóbką w śmiertelnej koszuli kręciła noskiem w prawo i w lewo; dżentelmen w

bawełnianych porciętach strzygł uszami; dama w czechle dyszała jak snąca ryba; a królewicz w trumnie leżał nieruchomo i przewracał ślepiami.

– Hu! hu! hu! – zaśmiał się Tarpaulin, nie bacząc na powszechne wzburzenie. – Hu! hu! hu! – hu! hu! hu! hu! hu! Chciałem powiedzieć – odezwał się – chciałem właśnie powiedzieć, kiedy pan Król Mór wtrącił swoje trzy grosze, że dla takiej tęgiej i nieprzeciążonej, jak ja, szalupy dwa czy trzy garnce Czarnej Juchy mniej lub więcej to drobnostka – ale żebym miał pić na zdrowie diabła (któremu niechaj Bóg odpuści!) i włożyć się na kolanach przed jego wszeteczną wielmożnością, skoro, mógłbym zakląć się na swą grzeszną duszę, jak świat światem, nie jest to nikt inny, tylko Tim Hurlygurly, trefny aktor, no, to co innego i z kretesem we łbie mi się nie mieści.

Nie pozwolono mu dokończyć spokojnie. Gdy wymówił nazwisko „Tim Hurlygurly”, całe towarzystwo zerwało się ze swych miejsc.

– Zdrada! – krzyknął Jego Mość Król Mór Pierwszy.

– Zdrada! – odezwał się podagryczny człowieczek.

– Zdrada! – zapiszczała Arcyksiężniczka Zmora.

– Zdrada! – zabełkotał dżentelmen z podwiązanymi szczękami.

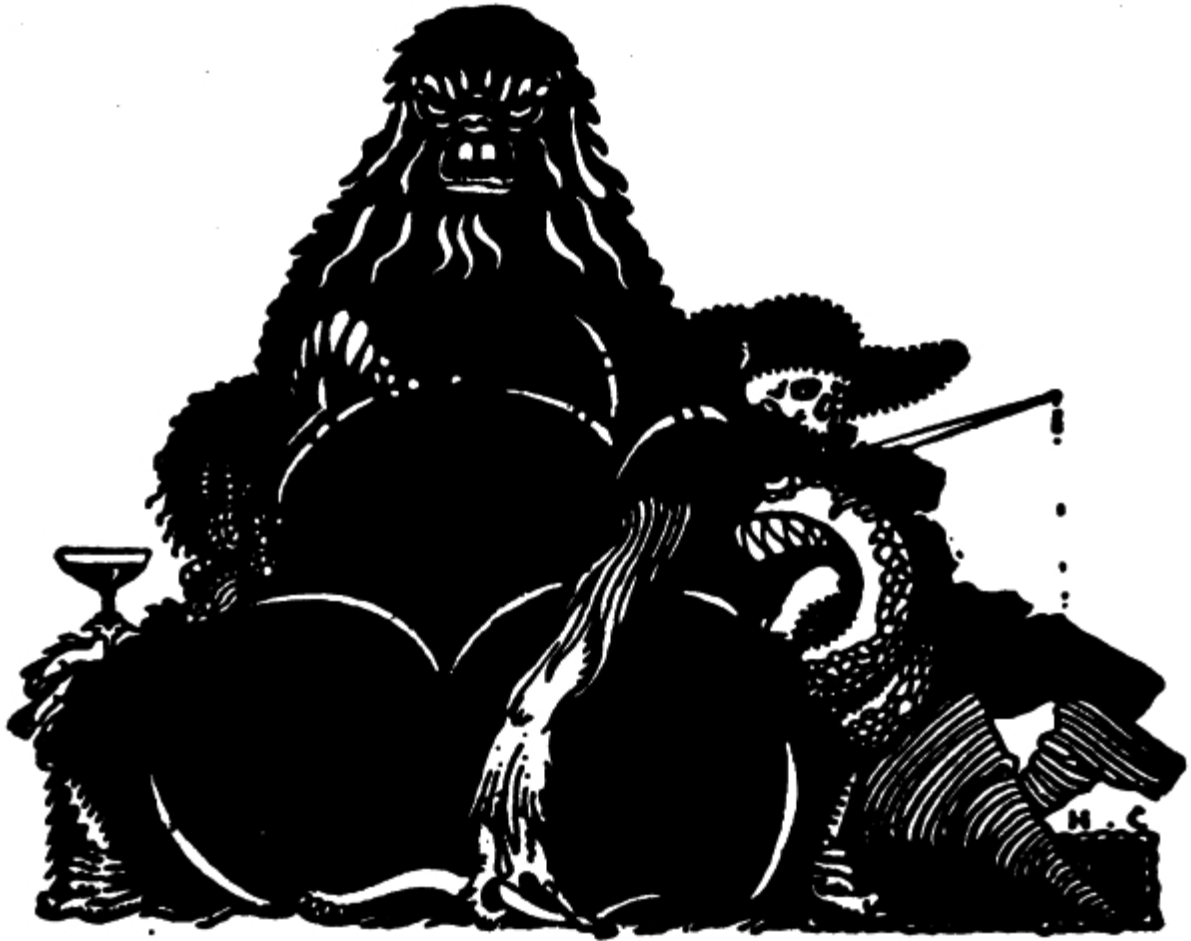
– Zdrada! – huknął królewicz z trumną.

– Zdrada! Zdrada! – wrzasnęła pyskata Jej Mość Królowa i uchwyciwszy od tyłu za szarawary nieszczęsnego Tarpaulina, który właśnie nalewał sobie do czaszki likworu, podniosła go wysoko w powietrze i wrzuciła bez ceremonii do ogromnej, otwartej kadzi ulubionego przezeń piwa. Pochybotawszy się przez jedno okamgnienie na powierzchni, niby jabłko w czarze napełnionej *toddy*<sup>6</sup>, znikł w końcu w odmęcie piany, którą jego szamotania w musującym już płynie snadnie wytworzyły.

Jednakowoż smukły marynarz nie przyglądał się beczynnemu pogromowi swego towarzysza. Strąciwszy Króla do piwnicy, waleczny Drągał zatrzasnął za nim drzwi z przekleństwem i zwrócił się ku środkowi izby. Zerwał z powroza szkielet bujający nad stołem i jął nim łomotać z takim nakładem energii i dobrej woli, iż kiedy zgasły ostatnie

błyśki światła w izbie, udało mu się przetrącić kark małemu dżentelmanowi cierpiącemu na podagrę. Rzuciwszy się następnie z rozmachem ku fatalnej kadzi pełnej październikowego piwa i Hugh'a Tarpaulina, w jednej chwili wywrócił ją na ziemię. Buchnął z niej potop płynu, taki potężny, taki rwący, taki niewstrzymany, iż zalał izbę od jednej ściany do drugiej. Zastawiony stół się przewrócił, kozły fiknęły kozła, dzieża z ponczem wpadła w czeluść komina, a damy w histerię. Stosy sprzętu pogrzebowego rozsypały się do cna. Dzbany, bańki i gąsiory popadły w zamęt, flasze oplecione wikliną starły się rozpaczliwie z butelkami oplecionymi konopnym sznurkiem. Człowiek z drgawką utonął na miejscu – mały, sztywny dżentelman bujał w swej trumnie na fali – a zwycięski Drągał, opasawszy ramieniem kibić opasłej damy w czechle, wypadł wraz z nią na ulicę i podążał jak po sznurku w kierunku „Free and Easy”; trop w trop za nim żeglował z pomyślnym wiatrem straszliwy Hugh Tarpaulin, który kichnąwszy trzy czy cztery razy, sapał teraz i parskał, wiodąc pod ramię Arcyksiężniczkę Zmorę.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> *Tarpaulin* (ang.) – dosłownie: płótno nasycone smołą. W gwarze marynarskiej: majtek (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> *Haut ton* (fr.) – wysoki ton (przyp. red.).

<sup>3</sup> Imiona potomstwa Króla Mora brzmią w oryginale: Pest-Iferous, Pest-Ilential, Tem-Pest i Ana-Pest; nie było można przełożyć ich dosłownie, gdyż zatraciłyby dowcipny kalambur, utworzony ze słowa Pest (Mór) (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Davy Jones (ang.) – imię nadane przez marynarzy duchowi mórza (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> Czarna Jucha – po angielsku Black Strap, co w gwarze oznaczało portwajn (przyp. tłum.).

<sup>6</sup> Toddy (ang.) – napój z wody, rumu, cukru i gałki muszkatołowej (przyp. red.).

# Owalny portret <sup>1</sup>

*Egli è vivo e parlerebbe se non osservasse la rigola del silenzio* <sup>2</sup>.

Napis pod obrazem włoskim,  
przedstawiającym św. Brunona



**T**rawiła mnie gorączka nadzwyczaj ostra i przewlekła. Wyżyłem już wszystkie leki, jakich można było dostać w tej dzikiej okolicy Apeninów, lecz nadaremnie. Mój służący i jedyny w odludnym zameczku towarzysz był za wrażliwy i za niezdarny, by puścić mi krew, której i tak już za wiele utraciłem w utarczce z bandytami. Nie mogłem również pozwolić, by poszedł szukać pomocy i zostawił mnie samego. W końcu przysłała mi na myśl odrobina opium, które przechowywałem w szkatułce z tytoniem; bowiem w Konstantynopolu przyzwyczailem się palić tytoń z domieszką tej trucizny. Pedro wręczył mi szkatułkę. Jąłem szukać narkotyku i po chwili go znalazłem. Gdym wszakże miał już wydzielić sobie dawkę, z konieczności począłem się wahać. Przy paleniu nie stanowi to różnicy, ile go się weźmie. Zazwyczaj napełniałem do połowy fajkę z tytoniem pokrajanym i przemieszanym pół na pół z opium. Niekiedy, wypaliwszy do dna tę mieszankę, nie odczuwałem bynajmniej jej działania; kiedy indziej już po wypaleniu trzech czwartych zawartości fajki występowały niepokojące zaburzeń umysłowych oznaki i ostrzegały mnie, bym zaprzestał. Atoli podrażnienie stopniowało się równomiernie, toteż nadużycie nie przedstawiało niebezpieczeństwa. Obecnie rzecz miała się inaczej. Jeszcze nigdy nie spożywałem opium. Zdarzało mi się już zażywać laudanum i morfinę i wahać się co do nich nie byłoby powodu. Lecz nie wiedziałem, jak z mocniejszą trzeba obchodzić się trucizną. Pedro również nic nie wiedział, gdyż zalecał mi dawkę jeszcze większą od tej, którą zamierzałem spożyć; nie pozostawało mi zatem nic innego, jak powodować się domysłem. Mimo to nie poddawałem się bynajmniej przygnębieniu, gdyż postanowiłem zażywać stopniowo. Miałem zamiar zacząć od bardzo małej dawki; gdyby zaś okazała się za słabą, powtórzyć ją i zażywać opium dopóty, dopóki nie nastąpi obniżenie gorączki i nie przyjdzie upragniony sen, którego me odurzone zmysły nie zaznawały już od tygodnia. I bez wątpienia właśnie to odurzenie zmysłów, te tępe majaczenia, w których poczynałem już się pogrążyć, nie pozwoliły mi rozpoznać nieściskości w mych rozumowaniach – zaślepiły mnie do tego stopnia, iż porównawczej zawczasu nie oznaczywszy miary, jąłem

niedorzecznie określać, co jest wielkie, a co małe. Nie przychodziło mi w tej chwili na myśl, iż to, co wydawało mi się nadzwyczaj małą dawką, może być w rzeczywistości nadzwyczaj dużą. Pamiętam dokładnie, iż o tym, ile zażyć należy, wyrokowałem na podstawie całego w moim posiadaniu znajdującego się zapasu. Dawka, którą w końcu bez namysłu połknąłem, była niewątpliwie bardzo małą częścią kawałka, który trzymałem w ręku.

Zameczek, do którego wraz z moim służącym wtargnąłem przemocą, gdyż ciężkie me rany nie pozwalały nocy na wolnym spędzić powietrzu, należał do owych zaprzepaszczonych wśród Apeninów rozwalin, co kojarzą w sobie dostojeństwo ze smętkiem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa opuszczono go bardzo niedawno i tylko tymczasowo. Rozgościliśmy się w najmniejszej i najskromniej urządzonej komnacie. Znajdowała się ona w najodleglejszej wieży zameczku. Urządzenie jej było bogate, lecz starodawne i podniszczone. Na ścianach okrytych makatami wisiały najróżnorodniejsze rycerskie trofea, a obok nich ogromne mnóstwo przeduchowionych, nowoczesnych obrazów w złożonych, arabeskowych ramach. Obrazy te, rozwieszane nie tylko na powierzchni ścian, lecz także w wielu niszach i załomach, wywołanych niezwykłą architekturą budynku, snadź pod wpływem rozbierającej mnie gorączki wielkie we mnie obudziły zajęcie. Poprosiłem tedy Pedra, by pozamykał w komnacie ciężkie okiennice – zapadała już bowiem noc – zapalił świece na wysokim świeczniku, stojącym u mojego wezgłowia, i poodślaniał ze wszystkich stron otaczające me łóżko opony z czarnego, obszytego frędzlami aksamitu. Wydałem te zarządzenia, by móc w nocy przyglądać się obrazom i rozczytywać się w znalezionym na poduszce tomiku, który zawierał krytyczny ich opis.

Długo czytałem, długo – i ze zbożnym patrzyłem zachwytem. Szybko i szczytnie mijały godziny i głęboka nastąpiła już północ. Nie dogadzało mi ustawienie świecznika, nie chciałem jednakże przerywać snu memu służącemu i z trudnością wyciągnąwszy ramię, umieściłem kandelabr tak, by więcej światła padało na książkę.

Poruszenie to nieoczekiwane spowodowało następstwa. Oto promienie wielu świec (było ich bowiem dużo) oświetliły głąb niszy znajdującej się w nogach mego łóżka, a w głębokim dotychczas pograżonej mroku. W blasku tym ujrzałem obraz, którego nie zauważyłem poprzednio. Był to wizerunek młodej dziewczyny, rozkwitającej już w kobietę. Ogarnąłem malowidło szybkim spojrzeniem i zamknąłem oczy. Zrazu sam nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego to uczyniłem. Nie rozchylając powiek, zastanawiałem się, dlaczego ich nie rozchyliam. Był to odruch, by zyskać czas na myślenie, by upewnić się, iż moja wizja mnie nie łudzi, by uspokoić i nagiąć wyobraźnię do trzeźwiejszego i niezawodniejszego patrzenia. W chwilę później znów utkwilem w obrazie oczy.

Nie mogłem i nie chciałem już wątpić, że wzrok mnie nie myli, za pierwszym bowiem połyskiem świec, co zalśnił na obrazie, pierzchła senna oćma krępująca me zmysły i roznieciło się życie na jawie.

Portret ten, jak już wspominałem, przedstawiał młodą dziewczynę. Widniały na nim tylko ramiona i głowa, wykonane sposobem tak zwanym winietowym, w stylu ulubionych główek Sully'ego. Ramiona, piersi, a nawet końce promienistych włosów zanikały niepostrzeżenie w nieokreślonych, lecz głębokich cieniach stanowiących tło całości. Rama była owalna, bogato złocona i wyrzezana na wzór rzeźb mauretańskich. Malowidło budziło podziw jako doskonałe dzieło sztuki. Nie mistrzostwo wykonania i nie wiekuista piękność oblicza wstrząsnęły mą duszą tak niespodzianie i boleśnie. Żadną również miarą wyobraźnia moja, z na wpół sennych ocucona majaczeń, nie mogła się pomylić i wziąć tej malowanej głowy za rysy żywej osoby. Winietkowość wykonania, właściwości rysunku tudzież ramy wykluczały od razu tę myśl, nie pozwalały jej nawet zakiełkować. Na poły siedząc, a na poły leżąc, rozmyślałem nad tym z jakie pół godziny i nie odwracałem oczu od portretu. W końcu, odgadnąwszy tajemnicę jego oddziaływania, opuściłem znów głowę na poduszki. Czar wizerunku polegał na tym, iż w wyrazie nie różnił się on niczym od życia, i to było przyczyną, dla której zrazu mnie zastanowił, później zaś zmieszał, opętał i przeraził. Z głęboką i korną czcią ustawiłem świecznik na dawnym miejscu. Usunąwszy sobie

w ten sposób sprzed oczu powód głębokiego wzruszenia, pośpiesznie jałem przerzucać książkę zawierającą opis i historię obrazów. I oto pod numerem oznaczającym owalny portret znalazłem te bezładne i wiele mówiące słowa:

„Była dziewczyną najprzedniejszej urody, istną słodyczą i weselem. Alić w nieszczęsną dla siebie godzinę poznała, umiłowała i poślubiła malarza. On namiętny, zadumany, pogrążony w swej pracy, miał już oblubienicę w swej sztuce; ona zaś była dziewczyną najprzedziwniejszej urody, istną słodyczą i weselem: cała promienna, uśmiechnięta i radosna jak młoda sarenka kochała i pieściła wszystko, nienawidziła zaś tylko sztuki, co była jej rywalką, wzdrygała się jeno przed paletą, pędzlami i innymi niemiłymi narzędziami, które pozbawiały ją uścisków kochanka. Jakoż okropną dla pani tej rzeczą było słuchać, jak malarz mówił, iż pragnie namalować wizerunek swej młodziutkiej małżonki. Atoli uległa była i posłuszna i całymi tygodniami przesiadywała cierpliwie w wysokiej, mrocznej komnacie na wieży, gdzie na białe płótno padało światło tylko od góry. On zaś malarz nadzieję sławy pokładał w swym dziele, które postępowało z godziny na godzinę i z dnia na dzień. A był człowiekiem namiętym, popędliwym i przykrym, co nawykł zaprzepaszczać się w marzeniach; nie chciał tedy widzieć, iż światło, co tak upiornie do samotnej wpadało wieżycy, podrywa zdrowie i siły jego małżonki, której cierpienie nietajne było nikomu innemu krom niego. Aliści ona uśmiechała się jeno i nie żaliła się wcale, wiedziała bowiem, iż malarz (a słynne w świecie było jego imię) pała wszystkim i goreje z upodobania do swego dzieła, dniem i nocą pracując nad wizerunkiem tej, co kochała go z całej duszy, lecz schła i nikła coraz bardziej. Zasię wszyscy, którzy oglądali ten obraz, o podobieństwie jego przyciszonym mówili głosem jako o niesłychanym cudzie i świadectwie nie tylko mocy twórczej malarza, lecz także jego głębokiego umiłowania tej, którą z taką malował doskonałością. Pod koniec wszakże, gdy praca była już u schyłku, nie wolno było nikomu wchodzić do wieży, bowiem malarz zapamiętał się w swym dziele i rzadko odwracał od płótna oczy, by spojrzeć na lico swej żony. I nie chciał widzieć, że barwy, kładzione przezeń na płótnie,

pochoǳą z jej policzków. Po wielu tygodniach, kiedy krom cienia jednego nad ustami i błysku jednego w oczach było zrobione juŹ niemal wszystko, znów żywiej zamigotał duch owej pani na kształt płomienia w czarze lampy. JakoŹ powiodło się cień położyć i błysk ów zaznaczyć. W zachwycie stał czas jakiś malarz przed dokonanym przez siebie dziełem; ale po chwili, wciąż jeszcze zapatrzony, zadrżał i pobladł bardzo i struchlał i wołając głośnie: „AleŹ to Życie samo”, odwrócił się szybko, by spojrzeć na swoją miłą: – JuŹ nie żyła!”<sup>3</sup>.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> Niniejszy tekst jest przekładem pierwszej wersji opowiadania, opublikowanej po raz pierwszy w 1842 roku jako „Life in Death” („Życie w śmierci”). Kolejna zachowana wersja, wydana w 1845 roku, a za nią późniejsze oryginalne wydania, nosi już tytuł „The Oval Portrait” i jest krótsza: zaczyna się od drugiego akapitu i pozbawiona jest motta. W samym tekście Poe wprowadził nieznaczne zmiany. Prezentowana tu dłuższa wersja została przetłumaczona na język polski przez Stanisława

Wyrzykowskiego, opatrzona tytułem „Owalny portret” i zamieszczona w zredagowanym przezeń zbiorze „Arabeski” w 1922 roku (patrz: „Nota edytorska” na końcu książki). Lepiej znany jest krótszy przekład Bolesława Leśmiana pt. „Portret owalny” (przyp. red.).

<sup>2</sup> *Egli è vivo...* (wł.) – Jest żywy i przemówiłby, gdyby nie przestrzegał reguły milczenia (przyp. red.).

<sup>3</sup> W pierwotnej wersji po ostatnim zdaniu następowała jeszcze pointa, pominięta przez tłumacza, a ważna ze względu na swój sens i na unikalność tej wersji opowiadania: „Wówczas malarz dodał: – Lecz czy to zaiste jest Śmierć?” (przyp. i tłum. red.).

# Zagłada Domu Usherów

*Son coeur est un luth suspendu;  
Sitôt qu'on le touche il résonne*<sup>1</sup>.

de Béranger



**P**rzez cały mroczny, głuchy i smętny dzień jesienny, pod ciężką posową obłoków, co wlokły się nisko po niebie, nie opuszczałem siodła, przebiegając samotnie na koniu dziwnie zamarłą połąć kraju i dopiero z nastaniem wieczornych zmierzchów ujrzałem przed sobą posępny Dom Usherów. Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, targnęła mą duszą – sam nie wiem dlaczego – nieuskromiona żalność. Powiadam: nieuskromiona, bowiem uczucia tego nie koły owe na wpół rozkoszne, gdyż spowite poezją wrażenia, jakich zazwyczaj doznaje umysł na widok najgroźniejszych naturalnych przejawów okropności i spustoszenia. Patrzyłem na roztaczającą się przede mną widownię – na dom i pospolite zarysy krajobrazu całej włości, na żałobne mury, na okna, zgasłym podobne źrenicom, na kępy drętowego sitowia, na białawe pnie obumarłych drzew – z bezgranicznym przygnębieniem, do którego z odczuwać ziemskich żadne snadniej przyrównać się nie da od wrażeń nałogowego palacza opium, gdy budząc się, zaprzepaszcza się znów z goryczą w szarzyźnie życia, kiedy obmierzła zapadnie zasłona. Zlodowaciała, zniżyła się, omdlała dusza – potępieńczym zrotpaczeniem przepoiła się myśl, której żadna tortura wyobraźni ku niczemu wzniosłemu pobudzić nie mogła. Dlaczego – przystanałem w zamyśleniu – dlaczego czuję się tak nieswój, spoglądając na Dom Usherów? Była w tym nieodgadniona tajemnica; na próżno pasowałem się z upiornymi zwidywaniami, co naprzykrzały się mej zadumie. Musiałem poprzestać w końcu na bynajmniej niezadowalającym wniosku, iż w przyrodzie istnieją snadź zestawienia najpospolitszych przedmiotów, którym dana jest moc oddziaływania na nas w ten właśnie sposób, jednakowoż zbadanie tej mocy należy do dziedziny niedostępnych już dla nas tajni. Jest rzeczą możliwą – myślałem sobie – iż dość jest zmienić rozmieszczenie części składowych jakiejś widowni lub szczegółów na jakimś obrazie, by się przekształciła lub snadź nawet zupełnie zanikła ich zdolność wywoływania smutnych wrażeń; rozsnuwając ten pomysł, skierowałem mego konia na urwiste zbrzeże czarnej, zasępionej topieli, co roztaczała wokół domu zastygłe w bezruchu zwierciadło, i z dotkliwszym jeszcze niż

poprzednio drzeniem spoglądałem na odbite w niej, przeinaczone obrazy szarego sitowia, upiornych pni drzewnych tudzież zgasłych niby źrenice okien.

A jednak w tym przybytku żalości zamierzałem spędzić kilka tygodni. Właściciel jego, Roderyk Usher, należał ongi do najmilszych towarzyszy mojego dzieciństwa, nie widzieliśmy się wszakże już od lat wielu. Dopiero przed niedawnym czasem, gdy przebywałem właśnie w odległych stronach, doręczono mi jego list, w którym z niezwykłą natarczywością domagał się tylko ustnej odpowiedzi. W piśmie widniały oznaki podniecenia nerwowego. Skarżył się na obłożną chorobę ciała, na dolegliwy rozstrój duchowy – i oczekiwał mnie z najgorętszym upragnieniem jako swego najlepszego i jedyne go druha, spodziewając się, iż pogodne me usposobienie może wpłynąć kojąco na jego niedomaganie. Sposób, w jaki pisał o tych i innych jeszcze rzeczach, tudzież nietajony, błagalny odzew serca nie pozwalały na zwłokę; usłuchałem też natychmiast tego osobliwego wezwania.

Jakkolwiek w dzieciństwie łączyła nas ścisła zażyłość, niewiele wiedziałem o mym przyjacielu. Powodował się zawsze przeczuloną, wrodzoną skrytością. Słyszałem atoli, iż starożytny jego ród już od niepamiętnych czasów słynął z wyjątkowej wrażliwości usposobienia, co przez długie wieki znajdowała ujście w mnogich dziełach szczytnego artyzmu, w ostatnich zaś latach przejawiała się równie często w uczynkach wielkodusznego i niedbającego o poklask miłosierdzia, jak w namiętym zamiłowaniu do niedocieczonych snadź raczej niż powszechnie uznanych i łatwo dostępnych piękności wiedzy muzycznej. Mówiono mi również o nader znamiennej okoliczności, iż czczony po wszystkie czasy szczerp rodu Usherów nie wydał nigdy trwalszego odgałęzienia, czyli że cała rodzina wyprowadzała się tylko w linii prostej i że z wyjątkiem nader nieznacznych i krótkotrwałych odstępstw bywało tak zawsze. Rozważając w myśli doskonałą zgodność, zachodzącą między charakterystycznymi cechami włości a znanymi powszechnie właściwościami rodu, oraz zastanawiając się nad możliwością wpływów, jakie w przebiegu wieków ziemi te mogły wyrzeć na swych właścicieli,

zrozumiałem, dlaczego ów brak bocznych linii i – co za tym idzie – nieodmienne przenoszenie się imienia i dziedzictwa z ojca na syna wytworzyły między jednym a drugim tak ścisłą łączność, iż pierwotne miano posiadłości zanikło w pomysłowej i dwuznacznej nazwie: „Dom Usherów” – która w rozumieniu posługującego się nią ludu zdawała się obejmować zarówno ród, jak i jego siedzibę.

Wspomniałem już, iż jedynym następstwem mojej nieco dziecinnej zachcianki, by rzucić okiem w głąb topieli – było pogłębienie pierwotnego dziwnego wrażenia. Przeświadczenie o szybkim wzroście mej zabobonnej trwogi – bo i czemuż nie mam określić jej tym słowem? – przyczyniło się niewątpliwie do przyśpieszenia tegoż wzrostu. Jest to od dawna mi znane, paradoksalne prawo wszystkich odczuwań wynikających z trwogi i snadź jego było to dziełem, iż wzniósłszy oczy ku domowi od jego odbicia w toni, uległem szczególniejszemu przewidzeniu – przewidzeniu istotnie tak śmiesznemu, iż wspominam o nim jedynie na dowód przemożnego nasilenia gnębiących mnie wrażeń. W rozkiełznaniu wyobraźni zwidziało się mi, iż włość i zabudowania spowija właściwa im oraz najbliższemu ich otoczeniu atmosfera – niemająca nic wspólnego z powietrzem przestworów, lecz podnosząca się ze spróchniałych drzew, szarych ścian i głuchej topieli zatrutym, mistycznym wyziewem, ponurym i stężonym, o ledwo widocznym zabarwieniu ołowiu,

Otrząsając się z tych sennych rojeń, bo przecież nie mogło to być nic innego, jałem zastanawiać się dokładniej nad rzeczywistym wyglądem budynku. Świadczył on przede wszystkim o niesłychanej starożytności. Wyblakły doszczętnie ściany w przebiegu wieków. Od zewnątrz omszały drobnym porostem, zwieszającym się z rynien misternie splecioną tkanką. Pomimo to nie było widać wyraźniejszych oznak zniszczenia. Nie waliły się nigdzie mury, jakkolwiek niepożyta ich krzepkość pozostawała w osobliwszej sprzeczności ze zwietrzałością poszczególnych cegieł. I przyszły mi na myśl owe stare wiązania drzewne, co butwiejąc od dawna w zatechłym, nieprzewietrzanym podziemiu zachowują do czasu pozory trwałości. Wszelako te ślady spróchnienia nie nadawały bynajmniej budynkowi wyglądu ruiny. Być może, iż oku bacznego widza nie uszłaby

jeszcze zaledwie widoczna rysa, co poczynając się od dachu, zbiegała w dół, na przedniej ścianie domu zygzakowatą znacząc się linią, i w wodach mętnej ginęła topieli.

Pogrążony w tych spostrzeżeniach minąłem krótką groblę i zatrzymałem się przed domem. Oczekującemu tam pachołkowi oddałem mojego konia i wszedłem pod gotyckie sklepienie przedsionka. Cichym krokiem podbiegł ku mnie służący i mrocznymi, krętymi korytarzami poprowadził mnie w milczeniu do komnaty swego pana. Wszystko, co spotykałem po drodze, przyczyniło się, nie wiadomo czemu, do spotęgowania wspomnianych już przeze mnie, nieujętych wrażeń. Aczkolwiek otaczające mnie przedmioty – te rzeźbione stropy, te przyćmione na ścianach obicia, te posadzki lśniące czernią hebanu i widziadlane rycerskie trofea, co szczękały za każdym mym stąpieniem – różniły się niewiele lub nie różniły się wcale od tych, do których nawykłem od dzieciństwa; aczkolwiek rozpoznawałem niezwłocznie te rzeczy, tak dobrze mi znane, mimo to nie wychodziłem z podziwu, iż zwyczajne zjawiska mogą rozniecać takie niezwykłe urojenia. Na schodach spotkałem domowego lekarza. Twarz jego mignęła mi przed oczyma wyrazem unížonej przebiegłości z domieszką zakłopotania. Pozdrowił mnie lękliwie, nie zwalnając kroku. Wtem służący rozwarł na oścież drzwi i wprowadził mnie do pokoju swojego pana.

Była to komnata bardzo obszerna i wysoka. Ostrołukowe jej okna, wąskie i długie, umieszczone były tak wysoko nad posadzką z czarnego dębu, iż niepodobna było dosięgnąć ich od wewnątrz. Nikłe smugi nasyconego purpurą światła napływały przez zakratowane szyby i uwydatniały znajdujące się w pobliżu przedmioty; natomiast do odleglejszych kątów pokoju, jako też do załomów jego sklepionego, szczerze rzeźbionego stropu niepodobna już było przeniknąć spojrzeniem. Na ścianach wisiały ciemne draperie. Urządzenie składało się z mnóstwa odwiecznych, podniszczonych i niewygodnych sprzętów. Dokoła leżały porozrzucane narzędzia muzyczne i książki, nie przyczyniając się wszakże do ożywienia całości. Owiało mnie powietrze

przesiąknięte smutkiem. Wszystko to przepojone i przytłoczone tchnieniem surowej, głębokiej i beznadziejnej melancholii.

Gdym wszedł, podniósł się Usher z sofy, na której dotychczas spoczywał, i przywitał mnie z najżywszą serdecznością, co zrazu wydała mi się wymuszonym, nawykowym odruchem przeżytego światowca. Spojrzawszy mu wszelako w oczy, przekonałem się o najzupełniejszej jego szczerości. Kiedyśmy usiedli, milczał przez chwilę, ja zaś patrzyłem nań, przeniknięty na poły współczuciem, na poły grozą. Zaiste, nie było snadź jeszcze człowieka, który by w równie krótkim czasie uległ okropniejszym zmianom od tych, jakie zaszły w Roderyku Usherze! W tej wybladłej istocie niełatwo przyszło mi rozpoznać towarzysza mych lat chłopięcych. A jednak oblicze jego zastanawiało zawsze swą wyrazistością. Śmiertelna śniadość lic; oczy duże, łzawe i niezrównanie promieniste; usta nieco cienkie i nadzwyczaj blade, lecz składające się w przedziwnie piękną krzywiznę; nos subtelnego, jak u Żydów, kształtu, o rozdętych wszelako nozdrzach, niezdarzających się zazwyczaj u tego typu; broda szlachetnie zarysowana, lecz niewystająca, co świadczyło o braku woli; wreszcie włosy, miękkie i delikatne jak przedziwo – wszystkie te rysy w połączeniu z nadmiernie rozwiniętą skronią składały się na oblicze, które niełatwo dawało się zapomnieć.

Najistotniejsze wszakże tych rysów znamiona, jako też właściwy im wyraz, uwydatniły się z czasem, co wywołało tak ogromną zmianę, iż jałem powątpiewać, do kogo mówię. Upiorna bladość twarzy oraz czarodziejska świetlistość źrenic przede wszystkim zdjęły mnie niepokojem i trwogą. Urosły mu również zaniedbane jedwabiste włosy i opływały raczej, niż okalały, jego lico dziwnym, jak gdyby pajęczym oplotem, którego arabeskowości żadną miarą nie można było pogodzić z myślą o zwykłym człowieczeństwie.

W zachowaniu się mego przyjaciela zastanowił mnie od razu pewien bezład i rozprężenie; rychło zdałem sobie sprawę, iż były one następstwem słabych i płonnych wysiłków zmierzających do opanowania ciągłego niepokoju, daleko posuniętego rozstroju nerwowego. Na podobne objawy byłem zawczasu przygotowany; uprzedziły mnie o nich nie tylko

jego listy i wspomnienia niektórych rysów z lat chłopięcych, lecz także wnioski, na jakie naprowadziły mnie właściwości jego temperamentu, jako też ustroju fizycznego. Ruchy jego były na przemian żywe, to znów opieszale. Głos jego (zwłaszcza w chwilach zupełnego odpływu sił) drżący niepewnością nabierał nagle energicznej stanowczości; po czym ważkie, urywane, powolne i stłumione dźwięki przeobrażały się w ociężałe, zrównoważone i dobitne wysłowienie, podobnie jak u nałogowych pijaków lub u ludzi opanowanych przez opium, kiedy znajdują się w okresie najsilniejszego podniecenia.

W taki sposób mówił o celu mych odwiedzin oraz o tym, iż gorąco pragnął mnie zobaczyć, spodziewając się, że dodam mu otuchy. Wyjaśniał mi obszernie, na czym polega jego choroba. Miało to być niedomaganie wrodzone i dziedziczne, na które – zdaniem jego – nie było lekarstwa. „Oczywiście, tylko najzwyczajniejszy rozstrój nerwowy – dodał niezwłocznie – który rychło przeminie”. Przejawiało się ono mnóstwem nieprawidłowych odczuwań. Gdy jął o nich opowiadać, niektóre zaciekały i przerażyły mnie zarazem, do czego w znacznej mierze przyczyniły się zapewne użyte przezeń wyrażenia oraz cały tok opowiadania. Dolegało mu wielce chorobliwe zaostrzenie zmysłów; mógł spożywać tylko mdłe potrawy; znośna dlań była odzież jeno z niektórych tkanin; sprawiała mu przykrość woń kwiatów; nawet przyćmione światło raziło jego oczy, zaś wszystkie dźwięki okrom pewnych brzmień strunowych instrumentów muzycznych były dlań nie do zniesienia.

Podlegał niewolniczo jakiemuś osobliwemu uczuciu grozy.

– Zgubi mnie – mówił – to żalosne szaleństwo, musi mnie zgubić. Wiem, iż przez nie zginę. Lękam się przyszłych zdarzeń, nie dla nich samych, lecz dla tego, co przyniosą. Wzdrygam się na myśl o każdym, najbardziej nawet błahym wypadku, gdyż może on podnieść nieukojoną rozterkę mej duszy. Nie przeraża mnie niebezpieczeństwo, lękam się tylko jego nieuniknionego następstwa: grozy. W mym skołataniu, w mym zropaczeniu czuję, iż wcześniej lub później nadejdzie chwila, gdy postradam życie i rozum w walce z potworną chimerą TRWOGI.

Z czasem urywane i niejasne napomknienia odsłoniły mi jeszcze inne zagadkowe rysy jego ustroju duchowego. Zostawał pod zaklęciem jakichś przesądnych wyobrażeń dotyczących domu, w którym mieszkał i z którego przez długie lata nie śmiał się oddalić – dotyczących również jakiegoś wpływu, którego rzekomą moc zawarł w okreś-

leniach nazbyt ciemnych, by dały się tu powtórzyć: pewne osobliwsze właściwości, utajone tylko w kształtach tudzież materialnej istocie jego rodowego gniazda, drogą długotrwałego cierpienia miały osiągnąć ten wpływ na jego ducha; zmysłowe zatem oddziaływanie szarych wieżyc i murów jako też mrocznej, odzwierciedlającej je toni przeniosło się ostatecznie w sferę jego duchowego istnienia.

Przyznawał jednakże, acz nie bez wahania, iż gnębiącą go żalność dałoby się odnieść do prostszej i snadniej uchwytniej przyczyny: była nią ciężka i zadawniona choroba, a raczej bliski już zgon ukochanej serdecznie siostry, przez długie lata jedynej towarzyszki i ostatniej jego krewnej. „Po jej śmierci – rzekł do mnie z goryczą, której nigdy nie zapomnę – złamany beznadziejnością i niemocą, będę ostatnim ze starożytnego rodu Usherów”. Gdy mówił, Lady Madeline (gdyż takie było jej imię) przesunęła się z wolna w głębi komnaty i zniknęła, nie zauważywszy mej obecności. Patrzyłem na nią ze zdumieniem niepozobawionym lęku, acz było dla mnie niepodobieństwem zdać sobie z tych uczuć sprawę. W drętwym osłupieniu podążałem spojrzeniem za odchodzącą. Kiedy podwoje zamknęły się za nią, oczy me bezwiednie i ciekawie przeniosły się na twarz brata; lecz ukrył ją w dłoniach i dostrzegłem tylko, że wychudłe jego palce powlokły się silniejszą niż zazwyczaj bladością, skroś nich zaś palące przesączały się łzy.

Zadawnionej niemocy lady Madeline na próżno starali się podolać lekarze. Przewlekła apatia, wzmagające się stopniowo wyczerpanie organizmu oraz częste, jakkolwiek przemijające objawy kataleptycznej poniekąd natury składały się na niezwykłą jej diagnozę. Dotychczas opierała się mężnie dolegliwościom choroby i nie kładła się do łóżka; ze schyłkiem wszakże pierwszego po mym przyjeździe wieczora uległa (jak mi jej brat oświadczył nocą z niewysłowionym wzruszeniem) trawiącemu

ją schorzeniu; dowiedziałem się zarazem, że owo przelotne widzenie będzie zapewne ostatnie – że żywej prawdopodobnie już jej nie zobaczę.

Przez kilka następnych dni nie wspominaliśmy obaj jej imienia; upłynęły mi one na najusilniejszych staraniach, by ukoić melancholię mojego przyjaciela. Spędzaliśmy czas na wspólnym czytaniu i malowaniu; niekiedy, snem jakby ujęty, zasłuchiwałem się w porywające improwizacje, które umiał wyczarowywać z gitary. Zacieśniająca się z każdym dniem między nami zażyłość torowała mi coraz swobodniejszy przystęp do tajników jego ducha; z tym większą atoli goryczą nabierałem przeświadczenia o płonności wszystkich zabiegów zmierzających do rozpogodzenia umysłu, którego ośma, niby jakaś nieodłączna i rzeczywista władza, osnuwała nieustającą żalością wszystkie zjawiska duchowego i zmysłowego świata.

Nie wygaśnie nigdy w mej duszy pamięć uroczystych chwil, spędzonych w towarzystwie ostatniego z Usherów. Trudno jednak byłoby mi określić dokładniej rodzaj studiów i zajęć, w które mnie wtajemniczył lub do których wytknął mi drogę. Jego czujny i nieokiełznany idealizm wszystko swym fosforycznym oblewał blaskiem. Jego długie, improwizowane pienia żałobne nieustannie dźwięczały mi w uszach. Przeboleśnie utkwiała mi w duszy jakaś parafraza i dopełnienie dzikiej melodii z Ostatniego Walca von Webera. Spomiędzy obrazów, co poczynały się z zadum jego twórczej wyobraźni i za każdym dotknięciem pędzla roztaczały się w nieokreśloność, tym przenikliwszym wstrząsały mnie dreszczem, iż drżałem, sam nie wiedząc dlaczego – spomiędzy tych obrazów (jakkolwiek tak żywo stoją mi przed oczyma) nie zdołałbym opisać żadnego okrom niewielu, pokrewnych już dziedzinie pisanego słowa. Nadzwyczajną prostotą oraz najzupełniejszym odsłonięciem swych zamierzeń przykuwał i struchlałą oczarowywał uwagę. Jeżeli człowiekowi śmiertelnemu powiodło się kiedykolwiek namalować ideę, to Roderyk Usher był tym człowiekiem. Dla mnie przynajmniej – wśród okoliczności, w jakich się znajdowałem – z czystych abstrakcji, które ten melancholik starał się wyrazić na płótnie, wiała taka przepotężna i niewysłowiona



groza, jaką płomienne, lecz nazbyt jeszcze rzeczywiste marzenia Fuseliego nie przejmowały mnie nigdy.

Pewien fantastyczny, mniej wszakże w abstrakcjach zaprzepaszczonego utworu mojego przyjaciela postaram się, acz nieudolnie, nakreślić tu w słowach. Nieduży ten obrazek przedstawiał wewnątrz jakiegoś niezmiernie długiego, prostokątnego podziemia czy tunelu o niskich ścianach, gładkich i białych, pozbawionych wszelkich przerw i ozdób. Niektóre szczegóły uboczne miały naprowadzać na domysł, że tunel ten znajduje się niesłychanie głęboko pod powierzchnią ziemi. Na całej jego ogromnej przestrzeni nie widniało nigdzie wyjście ani pochodnia lub jakiegokolwiek inne sztuczne źródło światła, a jednak powódź jas-

krawych blasków roztaczała się wszędzie i zatapiała czeluść upiorną, nieodgadnioną poświatą.

Schorzenie nerwu słuchowego, o którym już wspomniałem, sprawiło, iż okrom niektórych brzmień instrumentów strunowych nie znosił Usher muzyki. Być może, iż właśnie ów ciasny zakres, w jakim się zasklepił, grywając tylko na gitarze, grę jego fantastycznym otoczył urokiem. Wszelako ognistego polotu, jaki wiał z tych jego *impromptu*<sup>2</sup>, nie można było złożyć na karb zacieśnienia. Snadź zarówno melodie, jak i słowa rozpętanych jego fantazji (gdyż nierzadko wtórował sobie rymowanymi improwizacjami) musiały być i były istotnie wynikiem wytężonego duchowego sprzężenia i skupienia, o którym napomknąłem poprzednio, powiadając, iż daje się ono zauważyć tylko w wyjątkowych chwilach najpotężniejszego, nienaturalnego podniecenia. Słowa jednej takiej rapsodii z łatwością utkwiły mi w pamięci. Być może, iż wstrząsnęła mną ona silniej, niżeli zamierzał, gdyż zdawało mi się, że w tajemnym czy misternym toku jej znaczenia wyczułem po raz pierwszy zupełne przeświadczenie Ushera, iż szczytny jego umysł chwieje się na swym tronie. Wiersze te, noszące tytuł: Nawiedzony gród, jeżeli nie dosłownie, to niemal dosłownie brzmiały tak:

I

Śród zieleni, śród lewady,

Przez aniołów dzierzony ród,  
Niegdyś dźwignął się z posady  
Promienisty, wzniosły gród.  
Kędy Myśli królowania,  
Tam ten twór!  
Większej chwały nie osłania  
Żaden Seraf tęczą piór.

## II

Wstęgą złotą, świetną, sławną  
Wiały znaki z hełmów wież.  
(Ach, jak dawno już – tak dawno!  
Gdzież są, gdzież!)  
Niosły powiew jak posłanki  
W słodki ów dzień  
Na ocienione grodu blanki  
Pierzchliwą falę wonnych tchnień.

## III

Przez świetlistych okien dwoje  
Widział pielgrzym z obcych stron  
Płaszące duchów roje,  
Jak na dźwięcznej lutni ton  
W krąg stolicy złotolitej  
Zataczały tan  
U stóp Porfirogenety,  
Co władał jako grodu pan.

## IV

Z rubinu każdy grodu wrzeciędz,  
Blask pereł na drzwiach mży –  
Przez które lecąc, lecąc, lecąc,  
Świejące niby skry,

Wpadały Echa z każdym mgnieniem,  
Zaś ten Ech tłum  
Swym czarodziejskim wielbił pieniem  
Królewską dostojność i um.

V

Ale złe dziwy w smętku szacie  
Naszły królewski, wzniosły dom.  
(Ach, król nie ujdzie już zatracie  
I już nie będzie końca łzom!)  
A sława, co kwitnęła jaśniej  
Niż rajski kwiat,  
Jest tylko mglistym tworem baśni  
Z dawno zamierzchłych lat.

VI

Widzi dziś pielgrzym wśród lewady  
Przez okna, skrzące blaskiem łun,  
Jak się kołyszą zjaw gromady  
Przy opętańczym zgrzycie strun.  
Przez zmierzchłe dźwierze dziką zgrają,  
Miast wdzięcznych Ech,  
Tłoczą się widma, które ziają  
Nie uśmiech już, lecz śmiech.

Przypominam sobie, iż wywołana nastrojem ballady wymiana myśli nastąpiła Usherowi sposobność do wygłoszenia poglądu, o którym wspomnę nie dla jego nowości, gdyż myśli tej hołowali już inni<sup>3</sup>, lecz dla stanowczości, z jaką się przy nim upierał. Pogląd ten w swej zasadzie opiewa, iż wszystkie ustroje roślinne wyposażone są zdolnością odczuwania. Atoli w jego rozwichrzonej wyobraźni myśl ta śmielszego nabrała rozpędu i z pewnymi zastrzeżeniami ogarniała także dziedzinę świata nieorganicznego. Nie mam słów na wyrażenie całego zakresu oraz

surowej beznadziejności tych jego zapatrywań. Pozostawały one w związku (jak już poprzednio napomknąłem) z szarymi kamieniami siedziby jego praojców. Zdolność odczuwania rozwinęła się w niej – jak sobie wyobrażał – zarówno pod wpływem układu i sposobu zestawienia kamieni, jak pod wpływem porastających je plech oraz okólnych, spróchniałych pni drzewnych – przede wszystkim zaś skutkiem długiego, niezamąconego trwania tych właściwości jako też ich odbicia w cichych wodach topieli. Świadczy o niej – o owej zdolności odczuwania – (rzekł do mnie, ja zaś wzdrygnąłem się na te jego słowa) stopniowe, lecz niezawodne zgęszczanie się dokoła wód i murów pewnej właściwej im atmosfery. Następstwa – dodał jeszcze – przejawiają się w utajonym wprawdzie, niemniej wszakże przemożnym i straszliwym oddziaływaniu, co od wieków zaznaczało się w losach jego rodu, z niego zaś samego uczyniło to, czym był i czym jest obecnie. Poglądy takie nie potrzebują komentarzy, jakoż ich dawać nie zamierzam.

Książki nasze – te książki, co przez długie lata przyczyniały się niemało do jego duchowego bytowania, pozostawały – jak łatwo się domyślić – w najściślejszej łączności z tym światem przywidzeń. Zagłębialiśmy się razem w takich dziełach, jak *Vert-Vert* i *La Chartreuse Gresseta*, *Belfégor* Machiavellego, *Niebo i piekło* Swedenborga, *Podróż do krajów podziemnych* Nicholasa Klimma Holberga, *Chiromancja* Roberta Fludda, Jeana d'Indagine'a i de la Chambre'a, *Podróż w błękity* Tiecka tudzież *Miasto Słońca* Campanelli. Jedną z ulubionych jego książek było *Directorium Inquisitorium*, wydane w małej ósemce przez dominikanina Eymerica de Gironne; zaś nad niektórymi ustępami Pomponiusza Meli, gdzie jest mowa o starodawnych afrykańskich satyrach i oegipanach, mógł Usher w zadumie długie spędzać godziny. Z największym wszakże upodobaniem rozczytywał się w nadzwyczaj rzadkiej i tajemniczej gotyckiej księdze, pochodzącej z jakiegoś zapomnianego kościoła, a noszącej tytuł: *Vigiliae Mortuorum secundum Chorum Ecclesiae Maguntinae*.

Zastanawiałem się właśnie nad dziwnym rytuałem tego dzieła oraz nad przypuszczalnym jego wpływem na melancholię mojego przyjaciela,

gdy pewnego wieczora zawiadomił mnie on niespodziewanie o zgonie Lady Madeline, oświadczając zarazem, iż zamierza złożyć jej zwłoki (zanim odbędzie się pogrzeb) na jakieś dwa tygodnie w jednym z podziemi znajdujących się wśród węgielnych posad zamczyska. Jawne powody, jakimi uzasadniał to osobliwsze postanowienie, były tego rodzaju, iż sprzeciwiać się mu nie mogłem. Powziął je rzekomo pod wpływem niezwykłych przejawów chorobowych zmarłej tudzież natarczywych i badawczych nagabywań jej lekarzy, a przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, iż groby rodzinne w znacznej znajdowały się odległości i nie były należycie zabezpieczone. Przyznaję, iż uprzytomniwszy sobie złowróżbną twarz osobnika, którego w dzień przyjazdu spotkałem na schodach, nie miałem już chęci doradzać Usherowi, by odstąpił od zarządzenia, które wydawało mi się ze wszech miar słusznym i najzupełniej godziwym.

Na prośbę Ushera pomagałem mu przy tym żałobnym obrzędzie. Złożywszy zwłoki do trumny, zanieśliśmy je we dwójkę na miejsce spoczynku. Podziemie, w którym je umieściliśmy (nie otwierano go już od tak dawna, iż nasze pochodnie w stęchłym powietrzu zaledwo się jarzyły, nie pozwalając nam rozejrzeć się dokładniej), było małe, duszne i zupełnie pozbawione dopływu światła; położone zaś było ogromnie głęboko, bezpośrednio pod tą częścią skrzydła zamkowego, gdzie znajdował się mój pokój sypialny. Za dawno minionych feudalnych czasów służyło snadź ono do najgorszych celów jako loch więzienny, później zamieniono je zapewne na skład prochu czy też innych wybuchowych materiałów, gdyż zarówno część jego posadzki, jak i całe wnętrze długiego, sklepionego korytarza, który do niego prowadził, opancerzono starannie miedzią. Potężne dźwierze żelazne były również zaopatrzone w ten sam sposób. Poruszając się na zawiasach, wydawały niesłychanie przeraźliwy zgrzyt, olbrzymim spowodowany ciężarem.

Złożywszy nasze żałobne brzemie na marach wśród tego przybytku grozy, uchyliliśmy nie przytwierdzone jeszcze wieko trumny, by przyjrzeć się obliczu zmarłej. Zastanowiło mnie przede wszystkim uderzające podobieństwo między bratem a siostrą, toteż Usher, jakby odgadując me

myśli, wyszeptał kilka słów, z których się dowiedziałem, iż byli bliźniętami i że zawsze wprost niepojęta łączyła ich sympatia. Atoli spojrzenia nasze niezbyt długo spoczywały na zmarłej, gdyż nie mogliśmy patrzeć na nią bez drżenia. Choroba, która przecięła wątek młodego jej życia, pozostawiła, jak to zazwyczaj się zdarza przy wszystkich wyłącznie kataleptycznych niedomaganiach, na licu i na piersiach złudzenie lekkiego rumieńca, a na ustach ów zagadkowo tęskny uśmiech, co tak strasznie wygląda u zmarłych. Zamknęliśmy i przytwierdziliśmy wieko, po czym zasunawszy żelazne drzwi, powróciliśmy nie bez trudu do niewiele pogodniejszych komnat stanowiących wyższe piętro zamczyska.

Mijał dzień za dniem nieprzepląkanego żalu, gdy w objawach rozstroju duchowego mojego przyjaciela zaszła widoczna zmiana. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Poniechał całkiem swych zajęć lub o nich zapomniał. Błądził po komnatach bez celu szybkim i nierównym krokiem. Jeszcze upiorniejsza stała się śmiertelna bladość jego oblicza, a promieniste oczy przygasły. Przydarzająca się dawniej u niego chrypliwość głosu zanikła, zaś w brzmieniu słów znać było nieustające drżenie, jak gdyby ostatecznym wywołane przerażeniem. Zdawało mi się chwilami, iż stale podniecony jego umysł pasuje się z uciskiem jakiejś tajemnicy i sili się na potrzebną odwagę, chcąc ją wypowiedzieć. Lecz kiedy indziej składałem znów wszystko na karb niepojętych majaczeń obłądu, gdyż widywałem go, jak z wyrazem najgłębszego skupienia wpatrywał się w próżnię, niby łowiąc uchem jakieś urojone dźwięki. Nie było w tym nic dziwnego, iż stan jego przerażał mnie i zarażał. Czułem, że stopniowo poddaję się nieodpartemu wpływowi jego fantastycznych, lecz porywających przewidzeń.

Zwłaszcza siódmej czy ósmej nocy po przeniesieniu Lady Madeline do podziemia, udawszy się na spoczynek, doświadczyłem na sobie przemożnej ich potęgi. Godziny upływały, lecz sen nie miał się mego posłania. Rozumowaniem starałem się stłumić w sobie niepokój, który mną owładnął. Wmawiałem w siebie, iż głównym, jeżeli nie wyłącznym, moich odczuwań powodem był przygnębiający wpływ posępnego umeblowania komnaty – przede wszystkim ciemnych i poszarpanych

draperii, co smagane tchnieniem wszczynej się burzy trzepotały na ścianach i szeleściły u wezglowia mojego łoża. Atoli wszystkie me usiłowania były nadaremne. Nieuskromione drzenie jęło stopniowo wstrząsać całym mym ciałem, zaś w końcu nawet w mym sercu rozgościła się zhora najzupełniej płonnej trwogi. Otrząsnąłem się z niej wysiłkiem woli, po czym dysząc ciężko, dźwignąłem się na poduszkach i utkwivszy badawcze spojrzenie w nieprzeniknionych mrokach komnaty, zasłuchałem się – powodowany nie wiedzieć czym, snadź jeno nieświadomym odruchem instynktu – w jakieś głucho i nieokreślone dźwięki, co z wielkimi przerwami dolatywały nie wiadomo skąd, gdy uciszała się burza. Zdjęty dławivącym uczuciem niepojętej, lecz niezwalczonej grozy, odziałem się pośpiesznie (gdyż czułem, iż nie uda mi się zasnąć tej nocy) i szybkim krokiem jąłem przechadzać się po komnacie, by wyrwać się z tego przykrego nastroju.

Zaledwo wszakże zdążyłem przejść się kilka razy, gdy lekkie stąpanie na przyległych schodach zwróciło moją uwagę. Natychmiast poznałem po chodzie Ushera. Jakoż w chwilę później zastukał z cicha do moich drzwi i wszedł z lampą w rękę. Lico jego było jak zazwyczaj śmiertelnie blade – lecz w oczach widniała jakaś obłądna radość, a w całym zachowaniu znać było powściągane zapamiętanie się szalem. Wygląd jego zatrwożył mnie – wolałem atoli jaką bądź zmianę od dotychczasowej gnębiącej samotności i powitałem go z uczuciem ulgi.

– A ty... czy nie widziałeś tego? – odezwał się nagle po chwili niemego osłupienia. – Nie widziałeś? Ale poczekaj, zobaczysz! – To mówivac, osłonił lampę dłonią i podbiegłszy do okna, rozwarł je na oścież, nie bacząc na burzę.

Wściekły pęd wdzierającego się wichru omal nie obalił nas z nóg. Noc była burzliwa, lecz groźnie piękna – dziwna tym skojarzeniem piękności i grozy. Zamęt powietrzny czerpał widocznie swe siły gdzieś w naszym sąsiedztwie, gdyż kierunek wiatru ulegał częstym i nagłym zmianom i pomimo nadzwyczajnego zagęszczenia się chmur (co wisiały tak nisko, iż zdawały się ciążyć na wieżycach zamku) widać było chyżość, z jaką

przelatywały na podobieństwo żywych istot, nadlegając ze wszech stron, lecz nie rozpraszając się w przestworzu.

Powtarzam, iż widzieliśmy to zjawisko pomimo niesłychanego zagęszczenia się chmur – jakkolwiek nie przesiąkały przez nie promienie gwiazd ni księżyca i nie migotały błyskawice. Atoli zarówno dolna powierzchnia olbrzymiego zwału rozkołysanych obłoków, jak i wszystkie znajdujące się na ziemi, pobliskie nam przedmioty jarzyły się nienaturalną poświatą mgławych, wyraźnie dostrzegalnych wyziewów, co słańały się dokoła i spowijały zamek w swe całuny.

– Nie powinienes... nie trzeba, żebyś na to patrzył! – rzekłem wstrząśnięty do Ushera i przemocą odciągnąłem go od okna, skłaniając, aby usiadł. – Te majaki, które cię tak niepokoją, są to po prostu dość pospolite zjawiska elektryczne i najprawdopodobniej zawdzięczają swe upiorne istnienie błotnym oparom topieli. Pozwól, że zamknę okno; powietrze jest ostre i mogłoby ci zaszkodzić. Oto jedna z twych ulubionych powieści. Ja będę czytał, a ty posłuchaj – i jakoś minie nam ta przekłeta noc!

Starożytna księga, którą wziąłem do ręki, był to *Mad Trist* Sir Launcelota Canninga, atoli nazwanie jej ulubioną powieścią Ushera było raczej posępnym żartem niż rzeczywistością, bowiem cudaczna, oschła rozwlekłość tego utworu nie licowała wcale ze szczytnym i uduchowionym idealizmem mojego przyjaciela. Lecz była to jedyna książka, którą w tej chwili miałem na podorędziu, a przy tym przyświecała mi nikła nadzieja, iż bezmiar zawartych w niej bredni może wpłynąć kojąco na rozterkę, co targała duszą melancholika (gdyż dzieje zboczeń umysłowych roją się od podobnych sprzeczności). Jakoż sądząc z wyrazu niezmiernie wytężonego skupienia, z jakim słuchoł lub zdawał się słuchoć powieści, mogłem się cieszyć z powodzenia mego pomysłu.

Dotarłem w czytaniu do owego powszechnie znanego ustępu, gdzie Ethelred, bohater *Mad Trista*, widząc, iż wszelkie jego namowy, by pustelnik dobrowolnie wpuścił go do swej chaty, są bezowocne, postanawia wedrzeć się przemocą. Przypominam, iż opowiadanie brzmi następująco:



Ethelred, co z przyrodzenia chrobre miał serce, a był teraz dużo silniejszy, mocnym poprzednio pokrzepiwszy się winem, zaniechał dalszej rozmowy z eremita, który był istotnie człowiekiem upartym i złośliwym, lecz czując deszcz na karku i nadlegającą obawiając się burzy, dźwignął w górę swą pałkę i szybkimi uderzeniami rum uczynił w bierwionach dźwierzy dla swej pancernej dłoni; po czym wraziwszy ją śmiało, jął tak rwać, siepać i druzgotać do cna, że pogłosy i larum szły hen po całym lesie od trzasku suchego i próżnią odzywającego się drewna.

Pod koniec tego okresu drgnąłem i zatrzymałem się na chwilę, gdyż wydało mi się (acz uświadomiłem sobie od razu, iż rozigrana uwodzi mnie wyobraźnia), jak gdybym skądś, z jakiegoś bardzo odległego zakątka, dosłyszał szmer głuchy i przytłumiony, lecz najzupełniej podobny do owego trzasku i łomotu, który Sir Launcelot opisuje tak szczegółowo. Bez wątpienia właśnie to podobieństwo zwróciło moją uwagę, gdyż śród brzęku szyb w oknach oraz zmaconego poszumu wzmagającej się burzy szmer ten sam przez się na pewno nie byłby mnie zastanowił i zaniepokoił. Czytałem więc dalej:

Alić takiz gniew i przerażenie zdjęło mężnego najeźnika (Ethelreda), gdy przekroczywszy próg, nie zastał ani śladu złośliwego eremity; miał niego smok obmierzył cały w łuskach i z płomienistym językiem dzierzył straż przed pałacem ze złota, co miał pawiment ze srebra. Także na ścianie wisiała paiza ze szklącej miedzi, na której taka widniała legenda:

„Kto wejdzie tutaj, ten zwycięzcą będzie,

Smoka zabije i pawęż posiedzie”.

Za czym Ethelred dźwignął swą maczugę i ugodził w łeb smoka, który padł przed nim i wyzionął swe jadowite tchnienie z jękiem tak srogim i okropnym, a zarazem tak przeraźliwym, iż Ethelred dłonią zatulał uszy przed tym straszliwym wrzaskiem, jakiego przedtem nie zdarzyło mu się słyszeć.

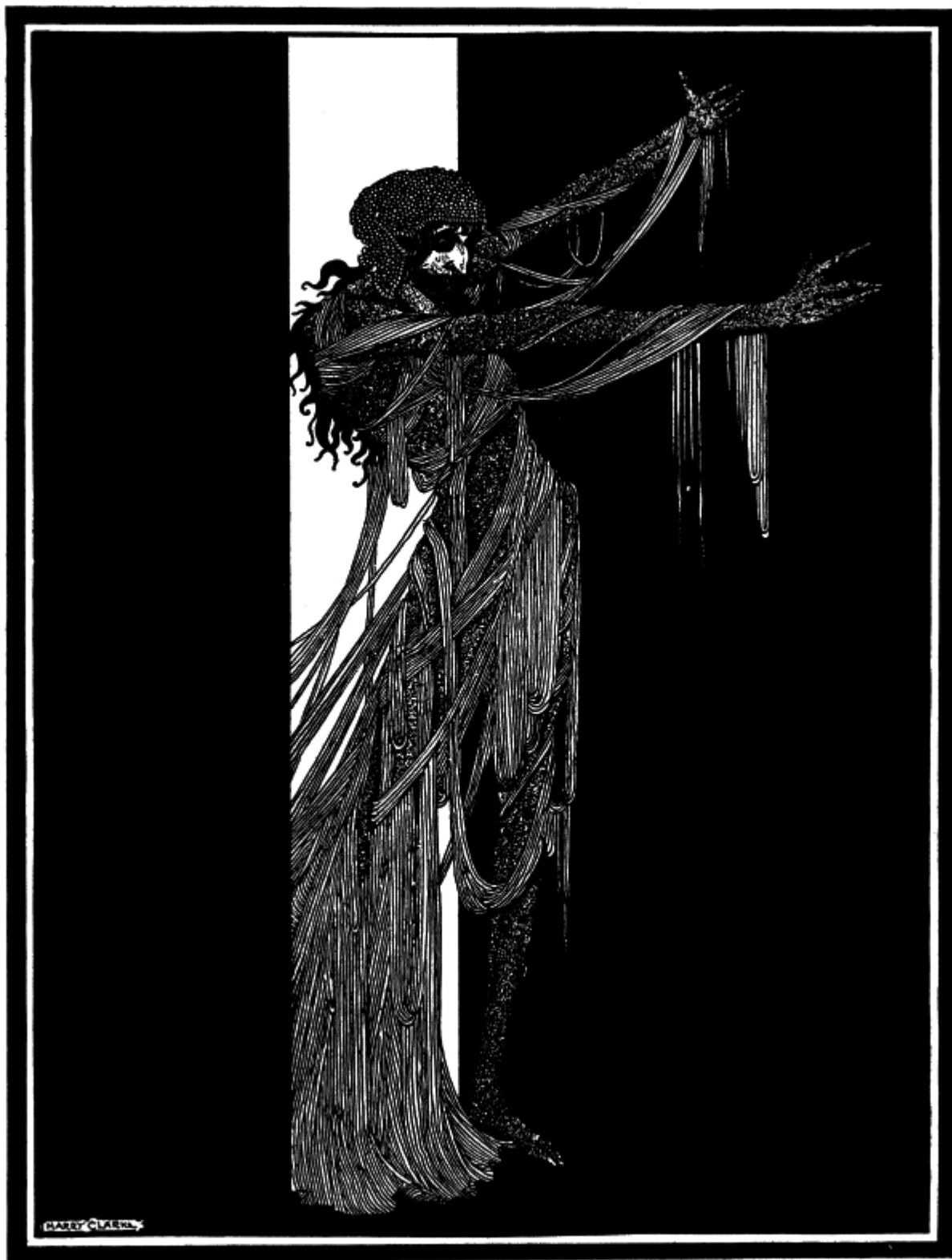
W tym miejscu urwałem znowu, tym razem z uczuciem lodowatego osłupienia – gdyż nie ulegało już wątpliwości, iż w tej chwili doleciał mnie (jakkolwiek nie umiałbym powiedzieć skąd) jakiś słaby i widocznie daleki, lecz szorstki, przeciągły i niewymownego pełen pojęku zgrzyt – niejako wtór dokładny nadprzyrodzonego ryku smoka wyczarowanego przez poetę w mej wyobraźni.

Odurzony tym ponownym i niepojętym zbiegiem okoliczności, miotany najsprzeczniejszymi wrażeniami, wśród których przeważało zdumienie i ostateczna groza, zachowałem jednakże tyle przytomności umysłu, iż żadnym niebacznym słowem nie zadrasnąłem przeczulonej wrażliwości mojego towarzysza. Nie miałem bynajmniej pewności, czy zgrzyt ów zwrócił na siebie jego uwagę, aczkolwiek w zachowaniu się jego już od pewnego czasu zaszła szczególniejsza zmiana. Usiadł był zrazu zwrócony obliczem ku mnie, po czym stopniowo tak wykręcił krzesło, iż miał przed sobą podwoje komnaty; nie widziałem przeto całej jego twarzy, dostrzegłem wszakże, iż wargi jego drżały jak gdyby bezgłośnym szeptem. Głowa zwisała mu na piersi, wiedziałem atoli, iż nie śpi, gdyż z boku mignął mi połysk jego szeroko otwartych, zakrzepłych nieruchomo oczu. Przeczyło temu także przechylenie się jego ciała – kołysał się bowiem w obie strony lekkim, lecz miarowym i nieustającym ruchem. Ogarnąwszy to wszystko jednym rzutem oka, podjąłem na nowo wątek opowieści Sir Launcelota, która w dalszym toku brzmi tak:

Jakoż uszedłszy srogiej furii smoka, najeźnik on wspomniął miedzianą paizę i zawieszoną na niej zakłęcie i usunąwszy ścierwo precz z drogi, kroczył mężnie po srebrnym pawimencie zamczyska, kędy na ścianie wisiła paiza: bawej, nie czekała jego przyścia, ale sama upadła mu pod nogi na srebrną posadzkę z ogromnym i przeraźliwym szczękiem.

Jeszcze te zgłoski nie zdążyły zamrzeć na moich wargach, gdy wtem – jak gdyby istotnie tarcza z miedzi ciężko na srebrną runęła posadzkę – doleciał mnie wyraźnie odgłos jakiś suchy, dźwięczny i metaliczny, acz widocznie przytłumiony. Truchlejąc z przerażenia, zerwałem się na równe nogi, ale Usher nie zaprzestał swego miarowego, kołyszącego się ruchu. Podbiegłem do krzesła, na którym siedział. Miał oczy nieruchomo utkwione przed siebie, a na licach wyraz kamiennego odrętwienia. Kiedym wszakże położył rękę na jego ramieniu, silny wstrząs targnął całym jego ciałem; mdły uśmiech prześliznął się po jego wargach i zauważyłem, że mówi głuchym, urywanym, rozbitym szeptem, jak gdyby nieświadom mej obecności. Pochyliwszy się nad nim, słów jego straszliwej dorozumiałem się treści:

– Jakże tego nie słyszeć? Słyszę ci ja, słyszałem już od dawna. Słyszałem dawno – dawno – dawno – przez tyle minut, tyle godzin, tyle dni! Słyszałem, lecz nie śmiałem – biadaż mnie, nieszczęsnemu! – nie śmiałem, nie miałem odwagi mówić. Myśmy ją żywcem pochowali w grobie! Czyż nie mówiłem, że mam przeczulone zmysły? A teraz powiadam ci, że słyszałem pierwsze jej lekkie poruszenia we wnętrzu trumny. Słyszałem je od wielu, wielu dni – lecz nie śmiałem – nie miałem odwagi mówić. I oto tej nocy – ten Ethelred – ha! ha! – to wywalanie drzwi u pustelnika i ten przedzgonny ryk smoka, i ten szczęk tarczy! – powiedz raczej: otwieranie trumny i zgrzyt żelaznych wrzeczadźców więziennych i jej rozpaczne błąkanie się w opancerzonym korytarzu podziemia. Och, dokąd uciekać? Nie przyjdzież tu zaraz? Nie biegnież, by mnie przeklinać za mój pośpiech? Czyż nie słyszę na schodach jej kroków? Czyż nie rozróżniam ciężkiego, bolesnego dygotania jej serca? Szaleńcze! – Nieprzytomny zerwał się z miejsca i z takim krzykiem jął wyrzucać słowa, jak gdyby wraz z nimi miał wyzionąć ducha: – Szaleńcze! Ja ci powiadam, że ona stoi już przed drzwiami!



OTWORZYŁ JE PĘD WIATRU - LECZ ZA NIEMI ISTOTNIE STAŁA  
SMUKŁA, OTULONA W CAŁUN POSTAĆ LADY MADELINE USHER

I jak gdyby w nadludzkiej głosu jego mocy kryła się jakaś czarodziejska potęga – ogromne, starożytne podwoje, na które wskazywał, rozchyliły naraz z wolna swe ciężkie hebanowe skrzydła. Otworzył je pęd wiatru – lecz za nimi istotnie stała smukła, otulona w całun postać Lady Madeline Usher. Krew zboczyła białe jej szaty, a na wynędzniałym ciele widniały wszędzie ślady przebolesnych wysiłków. Drżąc i słaniając się, stała przez chwilę w progu – po czym z jękiem przechyliła się ku wnętrzu komnaty, całym ciężarem waląc się na brata. Śród strasznych i tym razem już ostatecznych skurczów przedśmiertnych pociągnęła go za sobą na ziemię – nieżywego: zabiła go, jak przepowiedział, trwoga.

Zmartwiały z przerażenia wybiegłem z tej komnaty i z tego domu. Gdym mijał odwieczną groblę, wciąż jeszcze srożyła się burza. Wtem przede mną na drodze dziwna jakaś zamigotała poświata. Oglądnałem się, by zobaczyć, skąd ta niespodziewana jasność pochodzi, gdyż poza mną nie znajdowało się nic okrom potwornego zamczyska i jego mroków. Było to światło wschodzącego i jak gdyby okrwawionego księżyca w pełni, co przeświecał jaskrawo przez ową, ongi zaledwie dostrzegalną szczelinę, o której wspomniałem, iż wiła się zygzakowato od dachu aż do posad budynku. Gdym patrzył, szczelina nagle się powiększyła; wichur znów silniej się zakłębił; zaskrzył mi nagle w oczach cały krąg miesiąca; pociemniało mi w mózgu, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje; wionął przeciągły, rozgłośny, ogłuszający huk, niby poszum nieprzebranych wód – i u mych stóp głucho, złowrogo, nad rozwalinami Domu Usherów zawarła się czarna, posępna topiel.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> *Son coeur est...* (fr.) – Jego serce jest lutnią zawieszoną, zaledwie go dotknąć, dźwięczy (przyp. red.).

<sup>2</sup> *Impromptu* (fr.) – muzyczny utwór improwizowany (przyp. red.).

<sup>3</sup> Watson, dr Percival, Spallanzani, przede wszystkim zaś biskup z Landaff. – Patrz: *Chemical Essays*, tom V (przyp. aut.).

# Przedwczesny pogrzeb

Istnieją pewne tematy przejmujące do głębi, wszelako nazbyt okropne, iżby mogły stać się przedmiotem rzetelnej literatury powieściowej. Rzetelni pisarze muszą ich unikać, jeśli nie chcą wywołać zgorszenia lub niesmaku. Godzi się je podejmować tylko w takich razach, gdy uświęca je i usprawiedliwia surowe dostojęstwo prawdy. Drżymy na przykład wstrząsani przenikliwym dreszczem „zachwycającej męki”, gdy czytamy o przejściu przez Berezynę, o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, o dżumie w Londynie, o nocy św. Bartłomieja albo o uduszeniu stu dwudziestu trzech więźniów w Czarnej Jaskini w Kalkucie. Wszelako w tych opowieściach wstrząsają nami zdarzenia, rzeczywistość, historia. Gdyby były zmyślane, przejmowałyby nas tylko odrazą.

Przytoczyłem kilka najznamienitszych i najszczytniejszych klęsk, jakich zaznała pamięć ludzka: rozplamieniają one wyobraźnię zarówno rozmiarami, jak i swoim charakterem. Nie uważam za potrzebne zaznaczać, że z długiego i złowrogiego korowodu nieszczęść ludzkich mógłbym wybrać wiele przykładów poszczególnych, nierównie więcej obarczonych istotną męką niż wszystkie te ogromy niedoli zbiorowej. Nędza istotna, rozpacz ostateczna – bywają zaiste udziałem jednostki, nie zbiorowości. Dziękujemy miłosierdziu boskiemu, iż upiornych mąk konania doznaje jednostka ludzka, a nie ludzka gromada!

Być pogrzebanym za życia jest niewątpliwie najostateczniejszą okropnością, jaka może przydarzyć się człowiekowi śmiertelnemu. Że zdarzała się często, bardzo często – temu zapewne nie zaprzeczą ludzie myślący. Rubieże, które dzielą życie od śmierci, są co najmniej mroczne i nieokreślone. Któż może powiedzieć, gdzie pierwsze się kończy, a drugie zaczyna? Wiemy, iż istnieją choroby, w których przejawia się zupełny zastój wszystkich widomych czynności życiowych, wszelako jest on tylko

tym, co zwykliśmy nazywać zahamowaniem. Są to tylko chwilowe przerwę w niedocieczonym mechanizmie. Po pewnym czasie jakiś nieuchwytny, tajemniczy czynnik znów wprawia w ruch magiczne sprężyny i zaklęte koła. Srebrny wątek nie rozsnął się na wieki i nie roztrzaskała się bezpowrotnie złota czara. Lecz co podówczas działo się z duszą?

Pomijając atoli nieunikniony wniosek *a priori*, że podobne przyczyny muszą wywoływać podobne skutki – że znane powszechnie przykłady takiego zahamowania czynności życiowych muszą powodować od czasu do czasu przedwczesne pogrzeby – pomijając, powtarzam, te teoretyczne wnioski, posiadamy bezpośrednie świadectwa lekarzy oraz innych osób, które stwierdzają, że takie pogrzeby zdarzały się nader często. Mógłbym przytoczyć niezwłocznie, jeżeli zachodziłaby potrzeba, setki wypadków niezawodnie autentycznych. Jeden, nadzwyczaj osobliwy, którego szczegóły nie zatarły się zapewne jeszcze w pamięci moich czytelników, zdarzył się nie tak dawno temu w sąsiednim mieście Baltimore i stał się przyczyną silnego, przykrego i powszechnego wzburzenia. Małżonka jednego z najszanowniejszych obywateli – znakomitego prawnika i członka Kongresu – uległa jakiejś nagłej i niepojętej chorobie, wobec której okazała się najzupełniej bezsilna wszelka umiejętność lekarska. Po wielu cierpieniach umarła lub przynajmniej wydawało się, że umarła. Nikt nie podejrzewał i nie miał powodu do podejrzeń, że zgon jej istotnie nie nastąpił. Okazywała wszystkie zwykłe oznaki śmierci – rysy zaostrzyły się i twarz zapadła. Usta powlokły się bladością marmuru. Oczy zgasły. Chłód ogarnął członki. Tętno ustało. Zwłoki spoczywały przez trzy dni niepogrzebione i przybrały stężalność kamienia. Przyspieszono obchód żałobny, gdyż szybko dokonywało się to, co wydawało się rozkładem.

Złożono tę panią w grobowcu rodzinnym, do którego nie zajrzano następnie przez trzy lata. Otwarto go dopiero wówczas, gdy było trzeba wstawić sarkofag: lecz jakież straszliwy wstrząs przeniknął małżonka, który sam otworzył drzwi! Kiedy podwoje rozwarły się na zewnątrz, jakiś

obleczony w biel przedmiot obsunął mu się w ramiona. Był to kościotrup jego żony w nie zbutwiałym jeszcze całunie.

Staranne badania wykazały, iż powróciła do życia w jakieś dwa dni po złożeniu do grobu; skutkiem jej szamotań trumna spadła ze skraju podwyższenia na posadzkę i rozbiła się, umożliwiając jej wyzwolenie. Lampa, którą przypadkiem pozostawiono w grobowcu napełnioną olejem, była pusta; co prawda, płyn mógł wyparować. Na najwyższym stopniu schodów prowadzących do żałobnego przybytku znaleziono duży odłamek trumny, którym zapewne kołatała w żelazne drzwi, by zwrócić na siebie uwagę. Prawdopodobnie postradała przy tym przytomność lub może nawet wyzionęła ducha z samego tylko lęku. Kiedy padała, całun jej zaplątał się w żelazną kratę, której nierówności wystawały do wewnątrz. Pozostała tak, wyprostowana, i tak uległa rozkładowi.

W roku 1810 pogrzebano we Francji osobę żyjącą wśród okoliczności, które dowodzą, iż rzeczywistość bywa dziwniejsza od zmyślenia. Bohaterką tego zdarzenia była Mademoiselle Victorine Lafourcade, młoda dziewczyna ze znakomitej rodziny, bogata i bardzo piękna. Do licznych jej wielbicieli należał także Julien Bossuet, ubogi *littérateur* czy dziennikarz paryski. Zdolnościami swymi i pogodą swej natury zwrócił na siebie uwagę panny, która, jak się zdaje, szczerze go pokochała; wszelako za podszeptem dumy rodowej wyrzekła go się w końcu i poślubiła niejakiego Monsieur Renelle, bankiera i dość cenionego dyplomate. Ożeniwszy się, jął ją zaniedbywać, a nawet prawdopodobnie źle z nią się obchodzić. Po kilkoletnim nieszczęśliwym pożyciu umarła – lub przynajmniej stan jej był tak podobny do śmierci, iż złudził całe jej otoczenie. Pochowano ją, atoli nie w sklepionym grobowcu, lecz w zwykłej mogile, na cmentarzu jej wsi rodzinnej. Zrozpaczony i z duszą rozgorzałą wspomnieniami głębokiego uczucia kochanek wyjeżdża ze stolicy w dalekie strony, gdzie leży owa wioska, zamierzając odgrzebać jej zwłoki i wejść w posiadanie szczodrych jej warkoczy. Odnajduje grób. O północy odkopuje trumnę, otwiera ją i ma przystąpić do ucięcia włosów, gdy otwierają się ukochane oczy. Kobietę tę pochowano żywcem. Wszelako życie nie wygasło w niej zupełnie; z letargu, który wydawał się śmiercią,



obudziły ją pieśczoły kochanka. Wprost nieprzytomny zaniósł ją do swego mieszkania we wsi. Dzięki swej niemałej wiedzy lekarskiej umiejętnie zastosował lekarstwa pokrzepiające. Ostatecznie powróciła do życia. Poznała swego zbawcę. Pozostała z nim i z wolna, stopniowo odzyskała w zupełności zdrowie. Jej kobiece serce nie było z diamentu i rozrzewniło się tym dowodem miłości. Oddała je Bossuetowi. Nie powróciła już do męża, lecz zataiwszy swe zmartwychwstanie, wyjechała z kochankiem do Ameryki. W dwadzieścia lat później powrócili oboje do Francji w przeświadczeniu, że czas zmienił zupełnie wygląd owej pani i że znajomi nie będą mogli jej poznać. Wszelako się pomylili, gdyż przy pierwszym spotkaniu Monsieur Renelle poznał swoją żonę i upomniał się o nią. Oparła się jego żądaniom, a sąd przyznał jej słuszność, orzekłszy, iż wyjątkowe okoliczności oraz długi przeciąg czasu unieważniły nie tylko ze względów godziwości, lecz także w znaczeniu prawnym wszelkie zobowiązania małżeńskie.

„Czasopismo Chirurgiczne” lipskie – które posiada takie zasługi i znaczenie, iż należałoby je przetłumaczyć i wydać – opowiada w swym ostatnim numerze o godnym ubolewania wypadku tego samego rodzaju.

Pewien oficer artylerii, człowiek olbrzymiego wzrostu i żelaznego zdrowia, spadł z narowistego konia i doznał tak ciężkich uszkodzeń głowy, iż wystąpiły u niego od razu oznaki obłądu. Czaszka była lekko nadwerężona, wszelako nie zachodziła obawa niezwłocznego niebezpieczeństwa. Dokonano trepanacji, która się powiodła. Puszczono mu krew i zastosowano inne środki kojące. Mimo to pogrążał się coraz bardziej w beznadziejnym stanie odrętwienia i w końcu zdawało się, że umarł.

Panowały gorąca, pochowano go przeto z niewłaściwym pośpiechem na jednym z cmentarzy publicznych. Pogrzeb odbył się w czwartek. W niedzielę cmentarz zapełnił się, jak zwykle, ciżbą ludzką. Około południa wywołał ogromne zamieszanie jakiś chłop, który jął opowiadać, iż siedząc na grobie owego oficera, uczył wyraźnie, że ziemia pod nim się porusza, jak gdyby ktoś tam się szamotał. Zrazu na słowa te niewielką zwracano uwagę. Wszelako widoczne przerażenie i zawzięty upór, z jakim podtrzy-

mywał prawdziwość swego opowiadania, wywarły w końcu wrażenie na tłumie. Przyniesiono pośpiesznie łopaty i w kilka minut rozkopano haniebnie płytki grób, z którego ukazała się głowa nieboszczyka. Miał wygląd nieżywego, jednakże niemal prosto siedział w trumnie, której wieko, szamocząc się wściekle, zdołał częściowo podnieść w górę.

Odstawiono go natychmiast do najbliższego szpitala, gdzie okazało się, iż żyje jeszcze, aczkolwiek bliski uduszenia. Po kilku godzinach odzyskał przytomność, jął poznawać znajomych i urywanymi zdaniami opowiadać o swej męce w grobie.

Z opowiadania jego wynikało, iż był przytomny przez jakąś godzinę, kiedy go grzebano, i dopiero później postradał świadomość istnienia. Grób wypełniono niedbale luźną i mocno rozpulchnioną ziemią, skutkiem czego dopływało nieco powietrza. Słyszał stąpanie cizby nad sobą i robił wysiłki, by go wzajem usłyszano. Zgiełk tłumy – jak mówił – obudził go z głębokiego uśpienia; obudziwszy się, zdał jasno sobie sprawę ze straszliwej grozy swego położenia.

Chory ten miał się dobrze i był – jak się zdaje – bliski zupełnego wyzdrowienia, lecz padł ofiarą nedorzecznych eksperymentów lekarskich. Zastosowano baterię galwaniczną i wyzionął nagle ducha w przystępie ekstazy w ten sposób wywołanej.

Bateria galwaniczna wiąże się ze wspomnieniem powszechnie znanego i nadzwyczaj dziwnego wypadku; mianowicie przy jej pomocy przywołano do życia pewnego młodego adwokata londyńskiego, który przez dwa dni przebywał w grobie. Wypadek ten zdarzył się w 1831 roku, a wieść o nim wywołała wszędzie głębokie wrażenie.

Chory, Mr. Edward Stapleton, zmarł rzekomo na gorączkę tyfoidalną połączoną z jakimiś niezwykłymi objawami, które wielce zaciekały czuwających nad nim lekarzy. Po jego pozornym zgonie domagano się od rodziny, by zezwoliła na sekcję zwłok, ale pozwolenia nie otrzymano. Jak często się zdarza w podobnych wypadkach, lekarze postanowili odkopać zwłoki i dokonać sekcji po kryjomu. Wszelkie przygotowania poczyniono z łatwością przy pomocy nader licznych w Londynie złodziei, którzy kradną trupy. Trzeciej nocy po obchodzie żałobnym wydobyto domniemane zwłoki

z dołu głębokiego na osiem stóp i złożono je w sali operacyjnej pewnej lecznicy prywatnej.

Dość duże cięcia wykonane w okolicy jamy brzusznej pozwoliło stwierdzić, iż trup jest jeszcze świeży i niedotknięty rozkładem; postanowiono zatem zastosować baterię. Odbywały się doświadczenia jedne po drugich, występowały zwykłe objawy, niewykazujące atoli niczego charakterystycznego prócz dwu czy trzech wzmożonych skurczów, które były jakby oznaką życia.

Noc była późna. Miało się już ku świtaniu, więc obecni postanowili dłużej nie zwlekać i przystąpić od razu do sekcji całkowitej. Wszelako pewien student, pragnąc sprawdzić swą teorię, nalegał, by poddano działaniu baterii któryś z mięśni piersiowych. Zrobiono głębokie cięcie i połączono pośpiesznie mięsień z baterią, gdy przedmiot badań ruchem nagłym, lecz bynajmniej nie kurczowym, zerwał się ze stołu, postąpił na środek sali, rozejrzał się błędnie dokoła i przemówił. Niepodobna było zrozumieć, co mówił, ale wymawiał jakieś słowa i zgłoski brzmiały wyraźnie. Przemówiwszy, powalił się ciężko na posadzkę.

Zrazu wszystkich ubezwładniła groza – lecz opamiętali się rychło, gdyż nie było ani chwili do stracenia. Przekonali się, że Mr. Stapleton jest żywy, jakkolwiek nieprzytomny. Otrzeźwiony eterem, wnet odzyskał zdrowie i powrócił do rodziny, którą o jego zmartwychwstaniu zawiadomiono dopiero wówczas, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Nietrudno wyobrazić sobie jej zdumienie – jej osłupiałą radość.

Wszelako najbardziej wstrząsające szczegóły zawierały się w tym, co sam Mr. Stapleton opowiadał. Utrzymywał on, że ani przez jedno mgnienie nie był zupełnie nieprzytomny, że niejasno i bezładnie wiedział o wszystkim, co z nim się działo od chwili, kiedy lekarze orzekli, że jest martwy, aż do utraty przytomności w szpitalu. „Jestem żywy” – brzmiały owe niezrozumiałe słowa, które cisnęły mu się na struchlałe usta, kiedy zobaczył, że znajduje się w sali prosektoryjnej.

Z łatwością mógłbym przytoczyć jeszcze mnóstwo podobnych przykładów, lecz nie czynię tego, gdyż zaprawdę nie są one potrzebne, by dowieść, że przedwczesne pogrzeby się zdarzają. Jeżeli zważymy, jak

niezmiernie rzadkie z natury rzeczy są okoliczności, które pozwalają nam je odkryć, to musimy przypuścić, iż zdarzają się one często bez naszej wiedzy. Jakoż prawie zawsze przy uprzątnięciu cmentarzy na znaczniejszych przestrzeniach spotyka się kościotrupy, których postawy nasuwają najstraszniejsze przypuszczenia.

Straszliwe zaiste przypuszczenie, lecz stokroć straszliwszy los! Można zapewnić bez wahania, iż nie ma nieszczęścia, które by mogło w tak okropnej mierze pogłębić do ostateczności ciało i duszę, jak przedwczesne złożenie do grobu. Nieznośny ucisk płuc, duszące wyziewy wilgotnej ziemi, wpijanie się rąk w pośmiertne całuny, nieubłagana cieśń szczupłego pomieszczenia, mrok wiekuistej nocy, cisza jak ogłuszające morze, niewidzialna wprawdzie, lecz dająca się wyczuć obecność robakazwycięzcy – wszystko to w połączeniu z myślami o powietrzu i zieleni rozpostartej hen, w górze, ze wspomnieniami o ludziach nam bliskich, którzy by pośpieszyli z pomocą, gdyby wiedzieli, co z nami się dzieje, ze świadomością, iż oni o tym nigdy dowiedzieć się nie mogą, że beznadziejnym udziałem naszym jest nieunikniona śmierć – myśli te napawają serce, co jeszcze bije, takim ogromem przerażenia i nieuskromionej trwogi, iż cofa się z drzeniem przed nimi nawet najśmielsza wyobraźnia. Nie znamy niczego równie rozpaczliwego na ziemi, nie możemy wyśnić niczego bodaj na poły równie potwornego w otchłani najostateczniejszych piekieł; i dlatego opowieści z tej dziedziny są tak ogromnie zajmujące. Jest to następstwem świętej grozy, jaką wywołuje sam przedmiot, iż zajęcie to pozostaje w najzupełniejszej i najściślejszej zależności od naszego przeświadczenia o prawdzie rzeczy opowiadanej. To, co zamierzam opowiedzieć obecnie, jest mi doskonale znane – polega na mym osobistym i rzeczywistym doświadczeniu.

Od kilku lat doznawałem objawów jakiegoś dziwnego niedomagania, które lekarze uznali zgodnie za katalepsję, nie mogąc się zdobyć na ściślejsze określenie. Aczkolwiek predyspozycja, przyczyny bezpośrednie, a nawet rozpoznanie bieżące tej choroby przedstawiają się jeszcze nader niejasno, to przecież widoczne i charakterystyczne jej przejawy są już dostatecznie znane. Odmiany jej zależą głównie od nasilenia. Niekiedy

chory tylko dzień jeden lub nawet krócej znajduje się w stanie jakby wzmożonego letargu. Jest bez czucia i zewnętrznie bez ruchu, lecz słabe tętno serca daje się wciąż jeszcze wyczuwać; ciepłota w zupełności nie zanika; nikły ślad rumieńca mży jeszcze pośrodku policzków; przyłożwszy mu lusterko do ust można zauważyć opieszalą, chwiejną i nierówną czynność płuc. Innym razem odrętwienie to może trwać całymi tygodniami lub nawet miesiącami, najdokładniejsze badania, najprzenikliwsze dociekania lekarskie nie mogą wówczas wykryć istotnej różnicy między stanem, w którym znajduje się chory, a między tym, co nazywamy śmiercią. Przedwczesnemu jego pogrzebowi zapobiega zwykle tylko to, że najbliżsi wiedzieli już od dawna o jego niedomaganiu kataleptycznym, więc mają się na baczności, zaś przede wszystkim to, że nie występują oznaki rozkładu. Rozwój choroby odbywa się na szczęście stopniowo. Pierwsze objawy, aczkolwiek zmienne, są niedwuznaczne. Paroksyzmy zaznaczają się coraz wyraźniej; każdy następny przeciąga się dłużej od poprzedzającego. Na tym polega przede wszystkim zabezpieczenie przed złożeniem do grobu. Nieszczęśliwy, u którego pierwszy paroksyzm przejawiłby się od razu w formie najkrańcowszej, jak to niekiedy się zdarza, zostałby na pewno pochowany żywcem.

Mój wypadek różnił się wcale znacznie od przytaczanych w podręcznikach lekarskich. Niekiedy bez widocznej przyczyny zapadałem z wolna jak gdyby w nieprzytomność, w połowiczne omdlenie. Pozostawałem w tym stanie, nie doznając bólu, nie mogąc się ruszać ani też – by wyrazić się ściśle – myśleć, zachowując jednakże niejasne, letargiczne poczucie życia jako też osób otaczających moje łóżko, aż do chwili kiedy w chorobie następowało przesilenie i nagle powracała mi zupełna świadomość. Innym razem ulegałem jakby śpiesznemu i natarczywemu porażeniu. Przychodziły zawroty i mdłości, zastygałem, krzepłem i padałem bezwładnie na ziemię. Potem następowały długie tygodnie, kiedy wszystko ziało czczością, czernią i milczeniem, a nicość stawała się wszechświatem. Nie byłoby snadź niczym innym zupełne unicestwienie. Paroksyzmy tego rodzaju mijały tym wolniej, im poczynały się naglej. Podobnie jak świta dzień opuszczonemu, bezdomnemu

żebrakowi, co przez całą długą, beznadziejną noc zimową błąkał się po ulicach – tak samo opieszale, tak samo smętnie, tak samo radośnie rozwidniała się znów we mnie światłość duszy.

Poza tą skłonnością do paroksyzmów zdrowie moje na ogół zdawało się niezłe i nie byłbym zauważył wcale, że je podkopuje jakaś ciężka choroba, gdyby nie pewne właściwości mojego snu, które wystąpiły jako objaw dodatkowy. Po przebudzeniu nie odzyskiwałem nigdy od razu pełnego posiadania mych zmysłów tudzież pozostawałem zawsze przez czas jakiś w stanie silnego rozstroju i odurzenia, przy czym władze umysłowe w ogólności, zaś pamięć w szczególności pogrążały się w zupełnym bezwładzie i zastoju.

We wszystkich tych niedomaganiach nie było wcale cierpień fizycznych, przygnębiał mnie natomiast cały bezmiar udręczeń psychicznych. Wyobraźnia moja oblekała się całunem. Mówiłem o robakach, o mogiłach, o napisach na grobach. Zaprzepaszczałem się w marzeniach o śmierci, zaś myśl o przedwczesnym pogrzebie nieustannie snuła mi się po głowie. Czyhało na mnie upiorne niebezpieczeństwo, prześladowało mnie dniem i nocą. Za dnia tortura myśli była ogromna – w nocy stawała się bezmierną. Gdy posępne mroki zalegały ziemię i ogarniała mnie ostateczna groza mych rozmyślań, drżałem – drżałem jak chwiejne pióropusze na pojazdach żałobnych. Kiedy moje ciało nie mogło znieść dłużej bezsenności, opierałem się mimo to uśpieniu, gdyż przerażała mnie myśl, iż po przebudzeniu mogę ujrzeć się w grobie. Kiedy zaś w końcu pogrążyłem się we śnie, zapadałem natychmiast w świat widziadeł, nad którym na olbrzymich, złowieszczych, przyćmiewających wszystko skrzydłach unosiła się przemożna i jedyna świadomość żałoby.

Z niezliczonych smętnych zwidzeń, które udręczały mnie we śnie, przytoczę tylko jedno. Zdawało mi się, iż nurzam się w odrętwieniu kataleptycznym, nierównie przewleklejszym i głębszym niż zazwyczaj. Nagle czyjaś lodowata ręka spoczęła na moim czole i jakiś niecierpliwy, szwargoczący głos słowo: „Wstań!” szepnął mi do ucha.

Zerwałem się. Ciemność była nieprzebita. Nie mogłem dostrzec, kto mnie obudził. Nie mogłem zdać sobie sprawy, ani kiedy zapadłem w odrętwienie, ani gdzie obecnie przebywam. Siedziałem nieruchomo i starałem się zebrać myśli, gdy owa mroźna dłoń ujęła mnie za rękę i potrząsnęła nią zuchwale, zaś ów szwargoczący głos odezwał się znowu:

– Wstań! Czy ci już nie mówiłem, żebyś wstał?

– Ale kto – pytałem – kto ty jesteś?

– W krainie, gdzie przebywam obecnie, nie mam imienia – odparł głos posępnie. – Byłem człowiekiem, lecz jestem demonem. Byłem bezlitosny, lecz jestem pełen miłosierdzia. Czy nie czujesz, że drzę cały? Szczękają mi zęby, gdy mówię do ciebie, wszelako nie z zimna tej nocy – lecz nocy, co nie ma końca. Ta ohyda jest nie do zniesienia. Jak możesz spać spokojnie? Wołania tych mąk bezgranicznych nie pozwalają mi usnąć. Te widoki są nad moje siły. Wstawaj! Pójdź ze mną w tę noc zagrobową, a odsłonię ci tajnie. Czyż to nie obraz żalości? Patrz!

Spojrzałem; za sprawą niewidzialnej postaci, co wciąż jeszcze trzymała mnie za rękę, otwarły się przede mną groby całej ludzkości. Promieniowały wszystkie fosforyczną poświatłą rozkładu, mogłem więc zajrzeć aż do najtajemniejszych podziemi i zobaczyłem tam spowite w całuny ciała, co swe uroczyste, smętne odpoczywanie dzieliły z robactwem. Ale niestety! Tych, którzy spali, było niewiele w porównaniu z milionami tych, którzy usnąć nie mogli. Pełno tam było słabych wysiłków i wszędzie żalosny panował niepokój; i w głębi niezliczonych dołów szemrały posępnie czechła umarłych. I dostrzegłem, że wielu z tych, którzy leżeli spokojnie, zmieniło mniej lub więcej niewygodną, sztywną pozycję, w jakiej pierwotnie złożono ich do grobu. Kiedym tak patrzył, głos ów odezwał się znowu:

– Cóż... Czy nie jest to żalosny widok? – Zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, postać owa puściła mą rękę, fosforyczne światła pogasły i zatrzasnęły się nagle groby, z których zawtórował zgiełk rozpacznych okrzyków. – Nie jestże to, o Boże, przeżalosny widok?

Złowieszczy wpływ tych zwidzeń nawiedzających mnie nocą przenikał także głęboko w moje życie na jawie. Nerwy moje uległy zupełnemu

rozstrojowi i stałem się pastwą niewygasającej trwogi. Unikałem jazdy konnej, przechadzek, słowem wszystkiego, co mogłoby mnie oddalić od domu. Po prostu nie odważałem się przebywać z dala od osób, które wiedziały o mojej skłonności do katalepsji, obawiałem się bowiem, iż gdyby zdarzyło mi się ulec zwykłemu paroksyzmowi, mógłbym zostać pogrzebany, zanim zdołano by sprawdzić mój stan istotny. Powątpiewałem o troskliwości, o przywiązaniu najmilszych przyjaciół. Wzdrygałem się na myśl, iż w razie dłuższego niż zwykle paroksyzmu mogliby zachwiać się w swoim przeświadczeniu i uznać mnie za ostatecznie straconego. Posunąłem się nawet tak daleko, iż jałem się lękać, by korzystając z jakiego przewlekłego paroksyzmu, nie byli radzi, że mogą uwolnić się od wielu trosk, których byłem przyczyną, i nie uważali ich za dostateczne usprawiedliwienie, żeby pozbyć się mnie na zawsze. Na próżno starali się mnie uspokoić uroczystymi przyrzeczeniami. Wymogłem na nich najświętszą przysięgę, iż nie złożą wcześniej zwłok moich do grobu, aż zupełny rozkład uniemożliwi dalsze ich przechowywanie. Wszelako nawet wówczas mój lęk śmiertelny nie chciał słuchać głosu rozumu, nie dawał się ukoić żadnym pocieszeniem. Poczyniłem zatem mnóstwo nadzwyczaj starannie obmyślonych zarządzeń. Między innymi kazałem w ten sposób przebudować grobowiec rodzinny, żeby go można było z łatwością otworzyć od wewnątrz. Najlżejszy nacisk na długą dźwignię, sięgającą daleko w głąb sklepu grobowego, wystarczał, by żelazne podwoje rozwarły się na oścież. Były tam także urządzenia umożliwiające swobodny dopływ światła i powietrza jako też odpowiednie schowki na pokarm i wodę, znajdujące się w bezpośrednim pobliżu trumny przeznaczonej na moje przyjęcie. Trumna ta była miękko i ciepło wysłana. Posiadała wieko urządzone w taki sposób, jak podwoje grobowca, z dodatkiem sprężyn, które przy najlżejszym poruszeniu ciała uwalniały je z zamknięcia. Ponadto na dachu grobowca kazałem zawiesić wielki dzwon, od którego przez otwór w trumnie miano przeprowadzić linę łączącą go z ręką trupa. Ale niestety, czyż może mierzyć się czujność ludzka z przeznaczeniem? Mimo tych urządzeń, zapewniających zupełne bezpieczeństwo, nic nie mogło



ocalić od ostatecznych mąk mnie, nieszczęsnego, skazanego przedwiecznym wyrokiem na pochowanie żywcem w grobie!

Przyszła chwila – jak to niejednokrotnie bywało już przedtem – iż śród zupełnej nieprzytomności jęło mi świtać nikłe, nieokreślone poczucie istnienia. Z wolna – żółwym krokiem – zbliżały się mdłe, szare brzaski psychicznego rozwidnienia. Odrętwiałość niedomagania. Bezwolne poddanie się głuchej męce. Stan próżen troski, wysiłku, nadziei. Po długiej przerwie – dzwonienie w uszach; po czym, po jeszcze dłuższej – pieczenie i kłucie w kończynach; następnie pozornie wiekuisty okres rozkosznego spokoju, podczas którego budzące się odczuwania siłą się, by stać się myślami; potem krótkie, ponowne zaprzepaszczenie się w niebycie, a po nim nagłe ocknienie. W końcu lekkie drgnienie powiek i w okamgnieniu elektryczny wstrząs grozy, śmiertelnej i nieokreślonej, co sprawia, iż krew przelewa się strumieniami ze skroni ku sercu. I oto pierwszy rzeczywisty odruch myśli. I oto pierwsze drgnienie pamięci. I oto powodzenie częściowe i pierzchliwe. I zaraz potem pamięć, odzyskująca w tym stopniu swą władzę, że mogę w pewnej mierze zdać sobie sprawę z mego stanu. Czuję, iż nie budzę się ze zwykłego snu. Przypominam sobie, że jestem chory na katalepsję. I w końcu jakby ocean mnie przywalił, bo oto mój spiorunowany duch gnie się pod brzemieniem jedyne go potwornego niebezpieczeństwa – jedynej, upiornej i wiekuiście władczej idei.

Opętany przez to urojenie, leżałem czas jakiś nieruchomo. I dlaczego? Nie mogłem zdobyć się na odwagę, by się poruszyć. Nie śmiałem uczynić wysiłku, który by mi dał świadomość mego losu; a jednak było coś w moim sercu, co szeptało, iż był nieuchronny. Rozpacz, jakiej niezdolna jest wzniecić żadna inna niedola – rozpacz tylko zniewoliła mnie po długim wahaniu, bym rozwarł ciężkie powieki. Rozwarłem je. Było ciemno – wszędzie ciemno. Wiedziałem, że paroksyzm minął. Wiedziałem, że przesilenie mej niemocy dawno się skończyło. Wiedziałem, że odzyskałem w zupełności zdolność widzenia, a jednak było ciemno – wszędzie ciemno – głęboka, nieprzenikniona ciemność nocy wygasłej na wieki!

Chciałem krzyknąć; wargi moje i spieczony język drgały kurczowym wysiłkiem, ale z czeluści płuc nie dobył się głos. Jakby przywalone brzemieniem jakiejś góry, dyszały i dygotały wraz z sercem przy każdym uciążliwym i wysiłonym oddechu.

Ruch szczęk, które rozwarłem, by krzyknąć głośno, uświadomił mnie, że były podwiązane, jak zwykle u umarłych. Uczułem również, że leżę na czymś twardym i że coś podobnego zwiera się ciasno koło mnie z obu stron. Dotychczas nie śmiałem drgnąć żadnym członkiem, lecz teraz mocno szarpnąłem rękami, które spoczywały wyciągnięte i skrzyżowane powyżej dłoni. Uderzyły o jakąś silną, drewnianą zaporę, która wysklepiała się nade mną o jakie sześć cali od twarzy. Nie mogłem już wątpić dłużej, iż spoczywałem wreszcie w trumnie.

I oto wśród bezmiarów męczarni zaszemrał mi słodko cherub nadziei – gdyż pomyślałem o moich urządzeniach. Wiłem się i prężyłem z całej siły, by podnieść wieko – ani drgnęło! Macałem rękami, szukając sznura od dzwonu; nie było go! Jakoż pierchnął na zawsze mój pocieszyciel i zawładnęła tryumfująco jeszcze okrutniejsza rozpacz; nie mogłem bowiem znaleźć wyściółki, którą tak starannie przygotowałem, a ponadto nagle uczułem w nozdrzach dziwnie mocny zapach wilgotnej ziemi. Wniosek był nieodparty. Nie znajdowałem się w sklepie grobowym. Uległem paroksyzmowi gdzieś poza domem – wśród obcych ludzi. Jak i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć. Oni to pochowali mnie jak psa – zabili gwoździami w byle jakiej trumnie i zagrzebali głęboko, głęboko i na zawsze w pierwszym lepszym, bezimiennym dole.

Gdy to bolesne przeświadczenie wtargnęło do najgłębszych tajni mej duszy, wyteżyłem znów wszystkie siły, by krzyknąć na całe gardło, i tym razem mi się udało. Długi, przeciągły, dziki wrzask, a raczej potępieńcze wycie rozległo się w przestworzach podziemnej nocy.

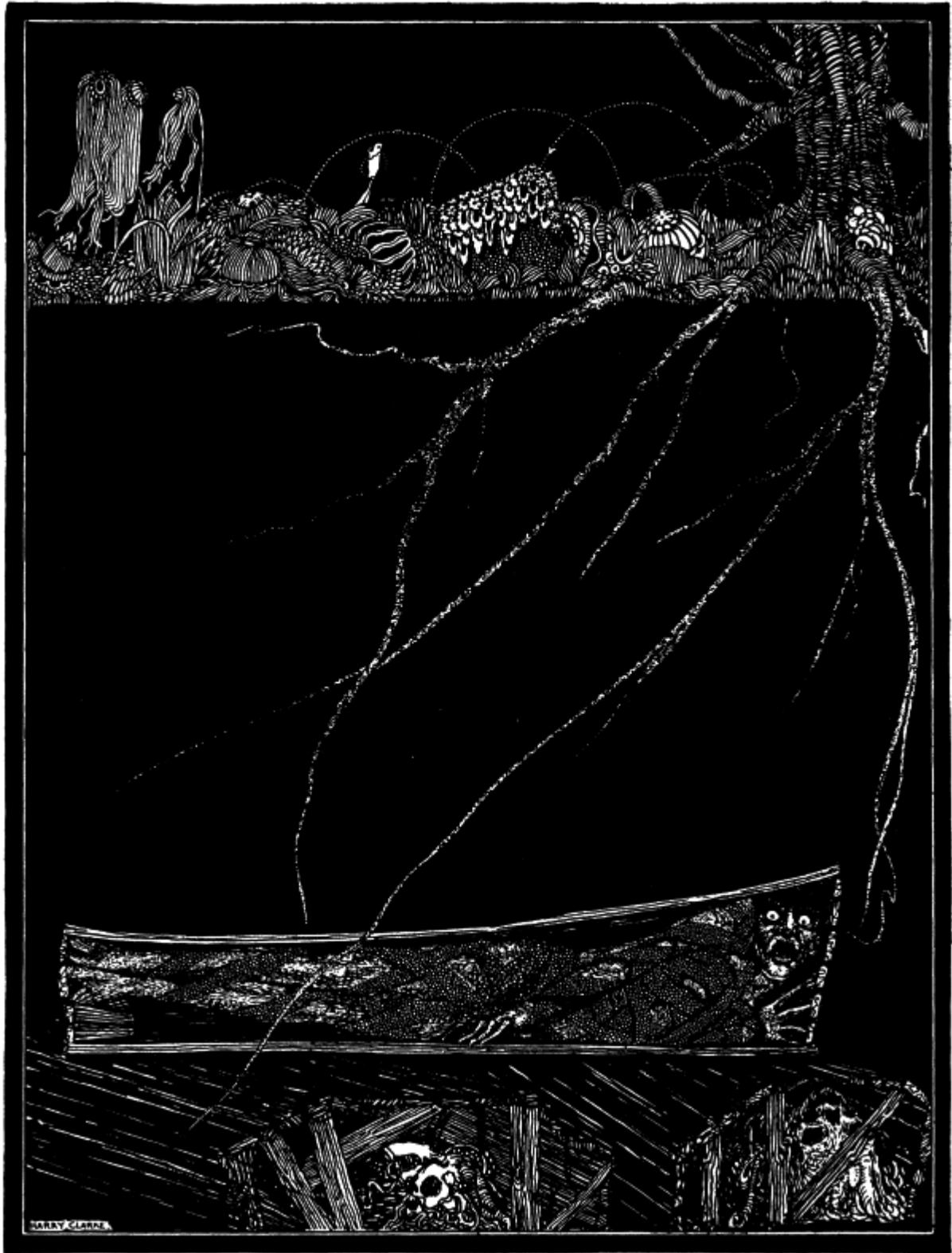
– A co tam takiego? – odpowiedział szorstko jakiś głos.

– Co mu, u diabła, się dzieje? – odezwał się drugi.

– Cicho być! – odezwał się trzeci.

– Co on sobie myśli, że drze się jak dzikie zwierzę? – rzekł czwarty, po czym szajka jakichś nieokrzesanych postaci przystąpiła do mnie i jęła

mną tarmosić bez ceremonii przez kilka minut. Nie obudzili mnie – gdyż nie spałem już wcale, kiedy krzyknąłem – lecz pomogli mi się opamiętać.



GŁĘBOKO, GŁĘBOKO I NA ZAWSZE W PIERWSZYM LEPSZYM,  
BEZIMIENNYM DOLE

Zdarzyło mi się to w pobliżu Richmond w Wirginii. W towarzystwie jednego z przyjaciół wybrałem się na polowanie o kilka mil poniżej mielizn na rzece James. Noc zbliżała się, kiedy zaskoczyła nas burza. Kabina małej szalupy, stojącej u brzegu na kotwicy i naładowanej ziemią ogrodową, była jedynym pobliskim schronieniem. Urządziliśmy się możliwie najwygodniej i spędziliśmy noc na pokładzie. Ułożyłem się do snu na jednym z dwu posłań, jakimi rozporządzała załoga statku, a nie potrzebuję chyba nadmieniać, czym są posłania w szalupie o pojemności szesnastu czy siedemnastu ton. Na tym, które zająłem, nie było wcale pościeli. Największa jego szerokość wynosiła zaledwie osiemnaście cali, zaś odległość tego tapczanu od wysklepiającego się nad nim pomostu była dokładnie taka sama. Wcisnąłem się na to łoże z największą trudnością. Mimo to spałem jak kamień. Zwidzenie moje – nie był to bowiem sen ani nocna zmora – było naturalnym następstwem nader niewygodnej pozycji. Ponadto wynikało z nawykowych skłonności mojego umysłu jako też ze wspomnianej już opieszałości, z jaką odzyskiwałem władzę nad moimi zmysłami, zwłaszcza zaś z jaką powracała mi pamięć po przebudzeniu. Ludzie, którzy mnie tarłosili, należeli do załogi szalupy, lecz było wśród nich także kilku robotników zajętych przy jej wyładowaniu. Zapach ziemi pochodził od ładunku. Opaską dokoła szczęk była jedwabna chustka, którą zawiązałem sobie głowę, nie mając pod ręką używanej zazwyczaj czapeczki nocnej.

Męczarnie, jakich podówczas doznałem, nie różniły się na pewno od rzeczywistych. Były straszliwe – były bezgranicznie ohydne; wszelako zło było początkiem dobrego, gdyż pod ich uciskiem ocknęła się odporność moich władz duchowych: – dusza moja nabrała krzepkości – nabrała hartu. Począłem dużo chodzić. Jąłem się usilnie ćwiczeń fizycznych. Oddychałem powietrzem przestworów niebieskich. Myślałem o innych rzeczach – nie o śmierci. Buchana rzuciłem w ogień. Zarzekłem się podręczników lekarskich. Nie czytywałem *Myśli nocnych* ani bająn o cmentarzach, ani karawaniarskich opowiadań takich jak niniejsze. Słowem, stałem się nowym człowiekiem i żyłem jak człowiek. Od owej pamiętnej nocy wyzbyłem się na zawsze żalobnych przewidzeń, a wraz z

nimi znikły niedomagania kataleptyczne, które prawdopodobnie były raczej ich następstwem niżeli przyczyną.

Bywają chwile, kiedy nawet dla trzeźwych oczu rozumu świat naszego nieszczęsnego człowieczeństwa staje się podobny do piekła; atoli wyobraźnia ludzka nie może, jak Carathis, badać bezkarnie wszystkich jego czeluści. Niestety! Straszliwy korowód lęków pogrzebowych nie jest tylko urojeniem. Niby owe demony, które towarzyszyły Afrasiabowi w jego podróży przez Oxus, muszą one spoczywać we śnie albo nas pochłonąć – trzeba je uspić, jeśli nie chcemy zginąć.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



# Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem

**T**rudno – doprawdy – dziwić się temu, że nadzwyczajny wypadek, jaki się zdarzył panu Waldemarowi, stał się przyczyną sporów. Cud by to był, gdyby się stało inaczej – szczególnie w takich, a nie innych okolicznościach. Chęć wszystkich stron zainteresowanych dochowania sprawie tajemnicy, przynajmniej na razie lub do czasu pozyskania sposobności nowych badań, oraz nasze ku ich uskutecznieniu wysiłki dały powód do rozpowszechnionych wśród ogółu nie uzasadnionych lub przesadnych pogłosek, które ukazując sprawę w świetle najdotkliwiej mylnym, stały się, ma się rozumieć, źródłem głębokiej niewiary.

W chwili obecnej istnieje konieczność, abym podał fakty, w tej przynajmniej postaci, w jakiej sam je rozumiem. Oto są – w streszczeniu:

W ostatnich trzech latach uwagę moją kilkakrotnie pociągały ku sobie zjawiska magnetyzmu<sup>1</sup> i mniej więcej dziewięć miesięcy temu niemal zniecka uderzyła mnie myśl, że w szeregu dotychczasowych doświadczeń popełniono jedną zastanawiającą i niewytłumaczoną lukę: nikogo nie poddano dotąd magnetyzmowi *in articulo mortis*. Wypadało tedy zbadać: po pierwsze – czy pacjent w tym stanie posiada jakąkolwiek wrażliwość na prąd magnetyczny; po wtóre – czy, w razie twierdzącym, wrażliwość owa pod wpływem danych warunków uszczupla się lub wzrasta; po trzecie – w jakim stopniu i na jaki przeciąg czasu można drogą owych doświadczeń powściągnąć zaborczość śmierci. Były i inne punkty do zbadania, lecz powyższe najbardziej podzegały moją ciekawość, szczególnie ów ostatni ze względu na niepomierną doniosłość wynikających zeń następstw.

Szukając wokół osobnika, za którego pomocą mógłbym wyjaśnić owe punkty, mimo woli zwróciłem uwagę na przyjaciela mego – Ernesta Waldemara, znanego kompilatora „Biblioteca Forensica” oraz autora (pod pseudonimem Issachara Marxa) polskich przekładów *Wallensteina* i *Gargantui*. Waldemar, który od roku 1839 przebywał głównie w Harlemie (Nowy Jork), jest lub był godny szczególnej uwagi z powodu swej niezwyklej chudości – dolną połową ciała przypominał niezmiernie Johna Randolpha – oraz z powodu białych baków, odrzynających się od czarnej czupryny w ten sposób, że każdy brał ową czuprynę za perukę. Był wyjątkowo nerwowego usposobienia i dzięki temu stanowił doskonałe narzędzie dla doświadczeń magnetycznych. Po dwakroć lub po trzykroć przyprawiłem go o sen bez zbytnich wysiłków, lecz zawiodły mnie inne oczekiwania, powzięte na zasadzie osobliwej budowy jego ciała. Nigdy wola jego nie uległa mi istotnie i całkowicie, zaś pod względem jasnowidzenia nie osiągnąłem skutków, na których mógłbym cokolwiek ugruntować. Moje w tym kierunku niepowodzenia przypisywałem zawsze chwiejnym stanom jego zdrowia. Na kilka miesięcy przed naszą znajomością lekarze stwierdzili w nim zgoła wyraźne suchoty. Miał niezaprzeczenie zwyczaj mówienia o swej bliskiej śmierci ze sporą obojętnością, jak o rzeczy nieuniknionej i nienadającej się do żalu.

Nic więc dziwnego, że gdy wyżej skreślone myśli po raz pierwszy przyszły mi do głowy, przypomniałem sobie Waldemara. Zbyt dobrze znałem poważny światopogląd tego człowieka, ażebym obawiał się jakichkolwiek z jego strony przeszkód; przy tym nie miał on w Ameryce krewnych, którzy by mogli pod pozorem słuszności wtrącić się do sprawy. Zgoła otwarcie wyznałem mu moje zamiary i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu okazał w tym kierunku bardzo gorliwą ciekawość. Rzekłem: ku wielkiemu zdziwieniu, ponieważ pomimo zawsze łaskawego udzielania mi swej osoby, gwoli doświadczeń, nigdy nie zdradzał współczucia dla mych badań. Choroba jego należała do rodzaju tych, które pozwalają na dokładne przewidzenie chwili swego rozwiązania, i koniec końcem zapadł pomiędzy nami układ, że uprzedzi mnie na



dwadzieścia cztery godziny przed owym kresem, który lekarze zgonowi jego wyznaczają.

Siedem miesięcy upłynęło obecnie od czasu, gdy od Waldemara otrzymałem list następującej treści:

„Kochany P.

Uczynisz chyba niezgorzej, jeżeli przyjdiesz teraz, D. i F. twierdzą zgodnie, iż nie przetrwam jutrzejszej północy i – moim zdaniem – rachuby ich są trafne lub też niewiele od prawdy odbiegają.

Waldemar”

Otrzymałem ów list w pół godziny po jego napisaniu i najwyżej w kwadrans potem – byłem już w pokoju konającego. Nie widziałem go od dni dziesięciu i przeraziła mnie straszliwa zmiana, która w nim zaszła w tak krótkim okresie czasu. Twarz jego miała barwę ołowiu, oczy zgoła wygasły, a wychudł tak znacznie, że skóra na policzkach popękała. Wydzieliny flegmy stały się niezwykle obfite, puls zaledwo wyczuwalny. Mimo to zachował w sposób dziwnie osobliwy wszystkie władze umysłowe oraz pewną dozę sił fizycznych. Mówił wyraźnie, sam bez niczyjej pomocy zażywał lekarstwa, które były jeno półśrodkami, i w chwili, gdym wszedł do pokoju, był zajęty kreśleniem jakichś uwag w notatniku. Znajdował się w łóżu, wsparty na poduszkach. Doktorzy D. i F. czuwali nad nim.

Uściskawszy dłoń Waldemara, wziąłem tych panów na stronę i otrzymałem od nich szczegółowe sprawozdanie ze stanu chorego. Lewe płuco od osiemnastu miesięcy znajdowało się w stanie na wpół zwapniałym lub chrząstkowym i całkowicie zatraciło zdolność jakiegokolwiek funkcji życiowej. Prawe zaś – w swej górnej okolicy było – jeśli nie doszczętnie – w każdym razie częściowo zwapniałe, podczas gdy dolna jego połać była jeno miazgą ropnych, przenikających się nawzajem wrzodów. Stwierdzono kilka głębokich rozpadów oraz w jednym miejscu – ścisły przyrost żeber. Te zmiany prawego płuca były stosunkowo świeżej daty. Wapnienie odbywało się z niezwykłą szybkością – miesiąc temu nie

wykryto jeszcze jego śladów – zaś przyrost zauważono dopiero w ostatnich trzech dniach. Niezależnie od suchot domyślano się aneurysmu aorty, lecz pod tym względem symptomaty wapnienia wzbraniały dokładnej diagnozy. Zdaniem obydwu lekarzy śmierć p. Waldemara miała nastąpić nazajutrz, w niedzielę, około północy.

Była właśnie sobota, godzina siódma wieczorem. Opuszczając łożo konającego dla rozmowy ze mną, doktorzy D. i F. pożegnali go na zawsze. Nie zamierzali doń powrócić, lecz ustępując moim prośbom, zgodzili się odwiedzić chorego około godziny dziesiątej w nocy.

Po ich wyjściu mówiłem z Waldemarem swobodnie o jego bliskiej śmierci i ze szczególnym naciskiem – o zamierzonym przez nas doświadczeniu. Okazał jak zawsze szczerą ku temu gotowość, a nawet zdradził gorącą chęć poddania się doświadczeniu i naglił mię do natychmiastowego wykonania. W pokoju do pomocy było dwoje służby – mężczyzna i kobieta, lecz nie czułem się dość na siłach, aby się podjąć tak poważnego zadania bez zapewnienia sobie skutecznego współpracownictwa niżli to, którego mogłyby udzielić wspomniane osoby w razie niespodzianego wypadku. Odsunąłem tedy doświadczenie na godzinę ósmą, kiedy przybycie znajomego mi poniekąd Teodora L. – studenta medycyny – miało mnie ostatecznie wybawić z mego zakłopotania. Pierwotnie postanowiłem wyczekiwać przyjścia lekarzy, lecz skłoniły mię do natychmiastowego rozpoczęcia doświadczeń – po pierwsze – usilne prośby Waldemara, po wtóre zaś – moje własne przekonanie, iż nie mam chwili do stracenia, gdyż było jasne, że chory kona.

P. L. był tyle uprzejmy, iż zadośćuczynił wyrażonej przeze mnie prośbie notowania wszystkiego, cokolwiek się zdarzy. I właśnie na jego sprawozdaniu, że tak powiem, wzoruję moją opowieść. Pomijając skróty, przytaczam je dosłownie.

Było mniej więcej pięć minut do ósmej, gdy ujawszy dłoń pacjenta prosiłem go, aby możliwie jasno stwierdził wobec p. L., że na jego – Waldemara – wyraźne życzenie mam go poddać doświadczeniom magnetycznym w takich a takich okolicznościach.

Odpowiedział cicho, lecz wyraźnie: – Tak, pragnę poddać się doświadczeniom magnetycznym – i natychmiast dorzucił: – Obawiam się nie bez powodu, żeś zwlekał zbyt długo.

Podczas gdy mówił, rozpocząłem ów rodzaj pasów, których skuteczność dla uspienia jego osoby była mi już wiadoma. Pierwszy ruch mej dłoni, przesuniętej po jego czole, wywarł na nim wpływ widoczny, lecz pomimo zużycia całej mojej usilności, nie osiągnąłem żadnego innego postrzegalnego skutku aż do godziny dziesiątej minut dziesięć, kiedy lekarze D. i F. przybyli zgodnie z umową. W kilku słowach wytłumaczyłem im moje zamiary i, ponieważ nie czynili mi żadnych przeszkód, twierdząc, iż pacjent jest w okresie agonii, bez wahania trwałem nadal w swej czynności, zastępując wszakże pasy poprzeczne – wzdłużnymi i skupiając wszystek mój wzrok w oku konającego.

W tym czasie puls jego stał się niewyczuwalny, zaś oddech utrudniony i nacechowany półminutowymi przerwami.

Stan ów trwał kwadrans niemal bez zmiany, po upływie tego czasu wszakże z piersi konającego wyrwało się jedno prawidłowe, chociaż straszliwie przepastne, westchnienie i chrapliwość oddechu minęła, a raczej chrapanie stało się niesłyszalne. Przerwy nie zmniejszyły się. Kończyny jego ciała były zimne jak lód.

O pięć minut do jedenastej zauważyłem nieomyślne oznaki przemocy magnetycznej. Szkliste migotania oka przybrały mozolny wyraz spojrzeń do wewnątrz, które się zdarzają jeno w wypadkach somnambulizmu i co do których nie można się pomylić. Za pomocą kilku poprzecznych, szybkich pasów zniewoliłem powieki do drgania, które nas zazwyczaj przed snem nawiedza, i przedłużając nieco tę czynność, działałem, iż zamknęły się zupełnie. Nie poprzestałem na tym i nadal wykonywałem swe ruchy dosadniej i z bardziej natężonym wysiłkiem woli, aż całkowicie sparaliżowałem członki śpiącego, nadawszy im uprzednio wygodne według wszelkich pozorów położenie. Nogi były całkowicie wyprostowane wzdłuż. Ręce, z lekka wyciągnięte, spoczywały na łóżku w umiarkowanej odległości od bioder. Głowa była bardzo nieznacznie wzniesiona.

Gdym tego dokonał, wybiła północ i zwróciłem się do obecnych z prośbą zbadania stanu, w którym się znajduje Waldemar. Po kilku próbach stwierdzili, iż znajduje się w stanie niezwykle doskonałej katalepsji *magnetycznej*<sup>2</sup>. Ciekawość obydwu lekarzy wielce urosła. Doktor D. postanowił niezwłocznie całą noc spędzić przy chorym – podczas gdy doktor F. pożegnał nas, obiecując wrócić skoro świt. P. L. i służba zostali.

Pozostawiliśmy Waldemara w całkowitym spokoju aż do godziny trzeciej z rana – wówczas zbliżyłem się doń i znalazłem go ściśle w tym samym stanie, co w chwili odejścia doktora F. – to znaczy, iż trwał w tej samej pozycji, iż miał puls niewyczuwalny, oddech słaby, zaledwo pochwytany – dostępny jeno probierzowi zbliżonego do ust zwierciadła, oczy zamknięte, a ciało sztywne i zimne jak marmur. Wszakże wygląd ogólny bez wątplenia nie był wyglądem – trupa.

Zbliżając się do Waldemara, zrobiłem coś w rodzaju półwysiłku, aby zniewolić jego prawą dłoń do stowarzyszenia się z moją w ruchach, które z lekka kreśliłem ponad nim. Dawniej, próbując tych doświadczeń z chorym, nie osiągałem nigdy całkowitego skutku i doprawdy nie miałem nadziei, że tym razem uda mi się lepiej, lecz ku memu wielkiemu zdziwieniu dłoń jego powtarzała bardzo łagodnie, chociaż z lekka jeno kreśląc, wszystkie dłońią moją wskazane kierunki. Postanowiłem narazić go na kilka słów rozmowy.

– Waldemarze – rzekłem – czy śpisz? – Nie odpowiedział, lecz zauważyłem dreszcz w jego wargach i byłem zmuszony powtórzyć moje pytanie po dwakroć i po trzykroć. Za trzecim razem nieznaczne drżenie poruszyło jego ciałem, powieki uniosły się same przez się, jak gdyby po to tylko, aby odsłonić białe pasmo ocznej gałki – wargi poruszyły się leniwie i w zaledwo pochwytanym szepcie uroniły te słowa:

– Tak – śpię teraz. Nie budźcie mnie! Pozwólcie mi umrzeć w tym stanie!

Dotknąłem ciała – było sztywne jak wprzódy. Dłoń prawa, jak przed chwilą, ulegała wskazaniom mojej dłoni. Spytałem znowu śpiącego somnambulicznie:

– Czy zawsze czujesz ból w piersi, Waldemarze?

Odpowiedź nastąpiła nie natychmiast, a była jeszcze mniej wyraźna niż pierwsza:

– Ból? – Bynajmniej. – Umieram.

Uważałem w danej chwili za niestosowne niepokojenie nadal jego osoby, toteż nie przybyły żadne słowa ani czyny aż do przyjścia doktora F., który uprzedził nieco wschód słońca i doznał zdziwienia bez granic, zastawszy chorego jeszcze przy życiu. Po zbadaniu pulsu śpiącego i zbliżeniu do ust zwierciadła prosił mię, abym doń przemówił:

– Czy wciąż śpisz, Waldemarze?

Jak wprzód, upłynęło kilka minut bez odpowiedzi i – w przeciągu tego czasu – konający zdawał się skupiać wszystkie swe siły dla pozyskania mowy. Na powtórzone po raz czwarty przeze mnie pytanie odpowiedział bardzo cicho, prawie niesłyszalnie:

– Tak, wciąż – śpię – umieram.

Było to wnioskiem, a raczej życzeniem lekarzy, aby Waldemar pozostał – bez żadnych przeszkód – w obecnym stanie widomego spokoju aż do chwili, kiedy śmierć przyjdzie, a przyjść miała – według jednogłośnego zdania – w przeciągu minut pięciu. Postanowiłem wszakże raz jeszcze doń przemówić i powtórzyłem po prostu pytanie poprzednie.

Podczas gdy mówiał, w twarzy śpiącego odbyło się znaczne przeobrażenie. Oczy, z lekka widoczne spoza przesłaniających je powiek, zapadły się w swych orbitach – skóra nabrała trupich zabarwień przypominających nie tyle pergamin, ile biały papier, i dwa okrągłe suchotnicze wypieki, które dotąd tkwiły uporczywie na środku każdego policzka, zgasły zniemacka. Używam tego określenia, ponieważ nagłość ich zaniku narzuciła mej wyobraźni raczej zgaszoną świecę niżli wszelkie inne porównania. Jednocześnie górna warga skurczyła się, uchodząc wzwyż ponad zęby, które przed chwilą szczelnie przesłaniała, podczas gdy dolna szczęka w pochwytnych niemal dla ucha podrygach opadła, pozostawiając usta w zupełnym rozwarciu i odsłaniając w pełni szerniały i obrzmiały jęzor. Przypuszczam, iż wszyscy obecni oswojeni byli z okropnościami śmiertelnego łoża, lecz wygląd Waldemara był w tej chwili

tak potworny, tak ponad wszelką wyobraźnię potworny, że wszyscy tłumnie cofnęli się precz – od obrębu łoża.

Czuję oto teraz, że doprowadziłem moją opowieść do chwili, kiedy zbuntowany czytelnik odmówi mi wszelkiego zaufania. Mimo to – uważam za swój obowiązek – ciągnąć dalej opowieść.

Zanikła w Waldemarze najślabsza oznaka życia i sądząc, że umarł, poleciliśmy go opiece służby, gdy nagle sprężysta fala ruchu zaznaczyła swą obecność w języku. Trwało to zapewne jedną chwilę. Po upływie tego czasu z wyważonych i znieruchomiałych szczęk wypłynął głos – głos taki, że próba określenia tego głosu byłaby szaleństwem. Są wszakże dwa lub trzy przymiotniki, które doń można w przybliżeniu zastosować: oto mogę powiedzieć, iż dźwięk ów był ostry, poszarpany i stłumiony, lecz potworna jego całość wymyka się określeniom, a to z powodu, że nigdy dźwięki podobne nie dotykały swym rykiem ucha ludzkiego. Były wszakże dwa szczegóły, którym, jak myślałem wówczas i myślę dotychczas, można było przypisać cechy charakterystyczne owego tonu i które zdolne były dać wyobrażenie o jego nieziemskiej poczwarności. Po pierwsze – głos zdawał się dosięgać naszych, a w każdym razie moich uszu tak, jakby wybiegał z niezmiernie odległej przestrzeni lub z podziemnej przepaści. Po wtóre (obawiam się doprawdy nieuniknionej niezrozumiałości mych słów) wywierał na mnie takie wrażenie, jakie na zmyśle dotyku wywiera lepka lub galaretowata miazga.

Mówię jednocześnie o dźwięku i o głosie. Otóż chcę zaznaczyć, iż dźwięk posiadał rozczłonkowanie wyraźne, a nawet straszliwie, przerażająco wyraźne. Waldemar zdobył się na mowę, najwidoczniej odpowiadając na zadane mu przeze mnie kilka minut temu pytanie. Czytelnik sobie przypomina, że go zapytałem, czy śpi nieustannie? Odpowiedź teraz brzmiała:

– Tak, nie – spałem, a teraz – teraz jestem martwy.

Nikt z obecnych nie próbował odeprzeć ani nawet przytłumić nieopisanego, pełnego zgrozy przerażenia, które tak nieodparcie wznieciły te nieliczne, a w ten sposób wymówione słowa. Student L. – stracił przytomność. Służba niezwłocznie pierzchła z pokoju i nic by jej

nie zmusiło do powrotu. Co się zaś tyczy moich własnych wrażeń – tych nie próbuję nawet udostępnić zrozumieniu czytelnika. Godzinę niemal krzaliśmy się w milczeniu (nikt słowa nie uronił) dokoła p. L., aby go ocucić. Gdy odzyskał zmysły, przystąpiliśmy ponownie do badań nad stanem Waldemara.

Stan ów pod każdym względem trwał w tej samej postaci, w jakiej opisałem go ostatnio, z tą jeno różnicą, że zwierciadło nie dawało już żadnej oznaki oddechu. Próba upustu krwi z ręki spełzła na niczym. Muszę też zaznaczyć, iż wspomniana część ciała odmówiła posłuszeństwa mej woli. Na próżno próbowałem zaprowadzić ją do powtarzania ruchów mej dłoni. Jedyna rzeczywista oznaka magnetycznego wpływu ujawniała się obecnie w ruchliwym trzepotaniu się języka. Ilekroć zwracałem się do Waldemara z pytaniem, zdawało się, że czyni wysiłek w celu odpowiedzi, lecz że akt jego woli nie jest dość trwały. Na pytania zadawane nie przeze mnie, jeno przez inne osoby, był bezwzględnie nieczuły, chociaż starałem się nawiązać styczność magnetyczną pomiędzy nim a każdym z obecnych. Przypuszczam, że podałem teraz wszystkie wiadomości niezbędne dla zrozumienia w danym okresie stanu śpiącego snem somnambulicznym. Pozyskaliśmy innych pielęgniarzy i o godzinie dziesiątej opuściłem mieszkanie w towarzystwie obydwu doktorów oraz p. L.

W porze popołudniowej wszyscy ponownie odwiedziliśmy pacjenta. Stan jego był bezwzględnie jednaki. Wszczęliśmy spór na temat pomyślności i możliwości obudzenia go ze snu, lecz wkrótce przyszliśmy do zgodnego wniosku, iż w ten sposób nie pozyskamy żadnych pożądaných skutków. Było jasne, iż przemoc magnetyczna powściągnęła działanie śmierci lub tego, o czym zazwyczaj słowo śmierć napomyka. Stało się dla nas wszystkich oczywistością, iż obudzenie Waldemara byłoby po prostu stwierdzeniem jego zgonu lub przyśpieszeniem śmiertelnego rozkładu.

Od owej chwili aż do końca zeszłego tygodnia – mniej więcej siedmiomiesięczny odstęp czasu – zbieraliśmy się codziennie w mieszkaniu Waldemara w towarzystwie innych jeszcze doktorów i

znajomych. W przeciągu tego czasu śpiący trwał ściśle w jednakim, opisanym już przeze mnie stanie. Dozór pielęgniarzy trwał nieustannie.

W zeszły piątek postanowiliśmy ostatecznie poddać go ocknieniu lub przynajmniej próbie ocknienia i właśnie opłakane zapewne skutki tej ostatniej próby dały powód do tylu sporów wśród kół prywatnych oraz do tylu mylnych pogłosek, w których nie mogę się nie dopatrzeć wyniku niczym nie usprawiedliwionej łatwowierności tłumu.

Dla pozbawienia Waldemara katalepsji magnetycznej uciekłem się do zwykłych pasów. Przez czas pewien nie było żadnych skutków. Jedyną oznaką powrotu do życia był częściowy opad tęczówki. Zauważyliśmy jako zjawisko wielce odmienne, iż owej zniżce tęczówek towarzyszyły bardzo obfite wydzieliny żółtawej wilgoci (spod powiek) o zapachu ostrym i niezmiernie przykrym.

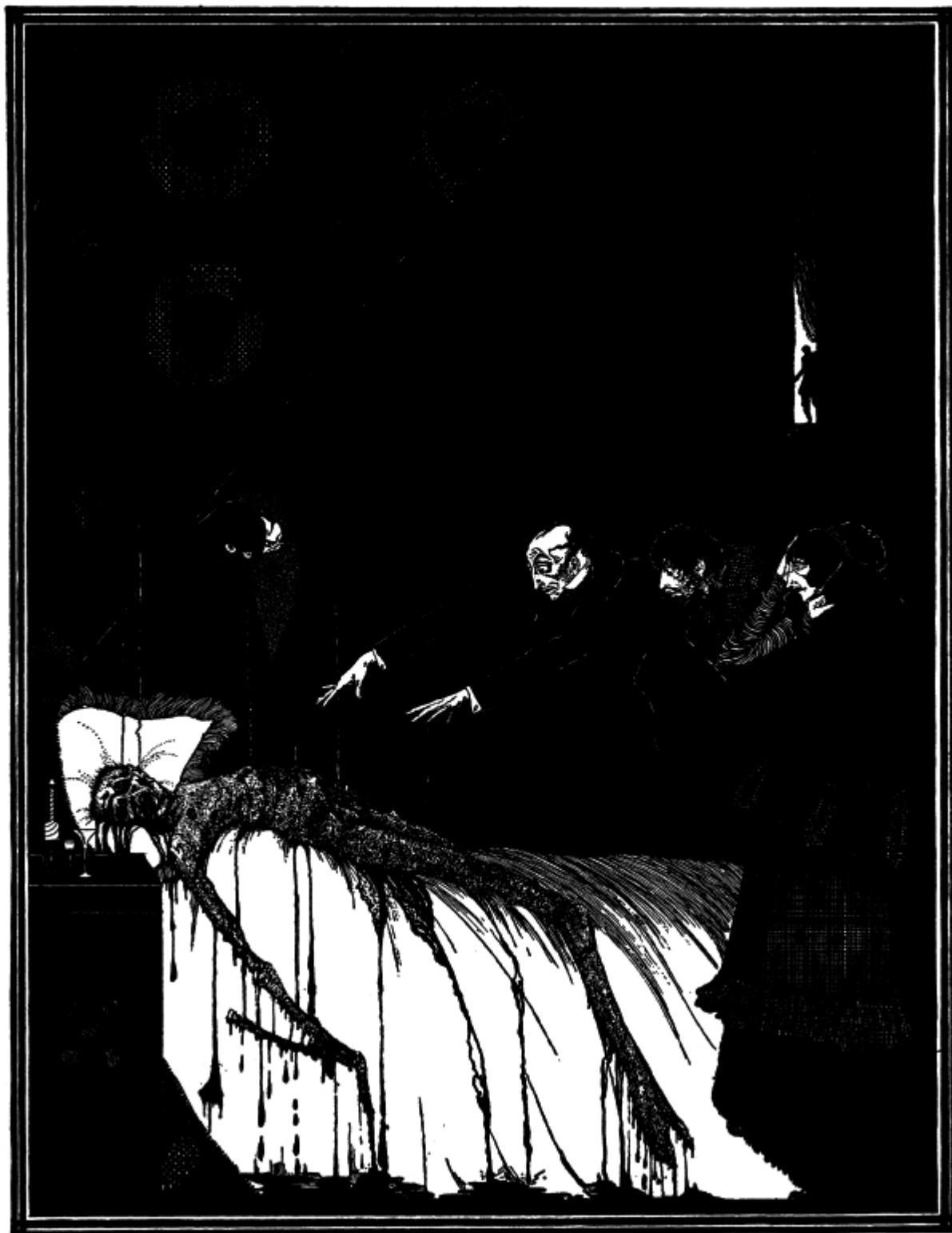
Wówczas poddano mi myśl wypróbowania mych wpływów magnetycznych na dłoni pacjenta, jak to uprzednio czyniłem. Jałem próbować, lecz nadaremnie. Doktor F. wyraził życzenie, abym zadał pacjentowi jakiegokolwiek pytanie. Uczyniłem temu zadość w sposób następujący:

– Waldemarze, czy możesz nas objaśnić, jakie uczucia lub pragnienia posiadasz obecnie?

Tu – nastąpił natychmiast powrót gorączkowych wypieków na policzki, język drgnął lub raczej zakłębił się gwałtownie w jamie ustnej (choćby szczęki i wargi zachowywały wciąż swój bezruch) i wreszcie ten sam straszliwy głos, o którym mówiłem, wyszarpnął się stamtąd:

– Na miłość Boga! Prędziej – prędziej! Pogrążcie mnie we śnie! – Lub – prędziej – zbudźcie mnie! Toć mówię wam, że martwy!





NA ŁOŻU - W OCZACH WSZYSTKICH OBECNYCH - LEŻAŁA  
WSTREŃNA, NA WPÓŁ PŁYNNNA MIAZGA - COŚ NA RODZAJU  
POTWORNEJ ZGNILIZNY

Byłem do głębi wstrząśnięty i przez chwilę wahałem się, co mam czynić. Zrobiłem zrazu wysiłek, aby uspokoić pacjenta, lecz nie osiągnąwszy w tym kierunku skutków dla zupełnego braku woli, odwróciłem zamiar i starałem się co prędzej obudzić go ze snu. Postrzegłem wkrótce, iż ten zamiar uwieńczy się zupełnym tryumfem, lub raczej roilem, iż mój tryumf będzie zupełny, i jestem pewien, iż wszyscy obecni spodziewali się ocknienia śpiącego.

Lecz żadna istota ludzka nie mogła się spodziewać tego, co się w rzeczywistości zdarzyło, wybiega to poza wszelką granicę prawdopodobieństwa.

Gdym szybko czynił pasy magnetyczne wśród okrzyków: „Martwy! martwy!”, którymi po prostu bluzgał język, nie zaś wargi śpiącego, całe jego ciało – od razu – w przeciągu minuty lub mniej niż minuty – obłuźniło się – rozpadło się na żdźbła – doszczętnie zgniło mi w rękach. Na łożu – w oczach wszystkich obecnych – leżała wstrętą, na wpół płynna miazga – coś w rodzaju potwornej zgnilizny.

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*

<sup>1</sup> Za czasów Poego zjawiskom, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, przydawano jeszcze pierwotną nazwę mesmeryzmu lub magnetyzmu, używaną i obecnie dla określenia tzw. magnetyzmu zwierzęcego (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> W procesie snu magnetycznego (hipnozy) wyróżniano trzy stany: a) letarg, b) somnambulizm, c) katalepsję (przyp. tłum.).



# Rozmowa Monosa z Uną

*Μελλοντα ταυτα.  
Są to rzeczy przyszłe.  
Sofokles: Antygone*

*Una:* „Odrodzone znowu”?

*Monos:* Tak jest, najmilsza i najpiękniejsza Uno, „odrodzone znowu”. Są to słowa, nad których mistycznym znaczeniem zastanawiałem się tak długo, odrzucając księże tłumaczenia, aż Śmierć sama rozwiązała mi ich zagadkę.

*Una:* Śmierć!

*Monos:* Dziwnym echem rozbrzmiewają w twych ustach moje słowa, Uno! Widzę chwiejność twych kroków i radosny niepokój w twych oczach. Gnębi cię i rozstraja wzniosła nowość Wiekuistego Żywota. Tak jest, mówiłem o Śmierci. Jak osobliwie dźwięczy tu to słowo, co nieciło ongi grozę we wszystkich sercach i jak śniedź się rzucało na wszelkie wesele.

*Una:* Ach, Śmierć, to widmo, co przy wszystkich zasiada biesiadach! Jakże często, Monosie, gubiliśmy się w rozmyślaniach nad jej istotą! Jak tajemniczą bywała ona zaporą dla ludzkiego szczęścia, powiadając mu, „dotąd, a nie dalej!”. Kiedy jąła kiełkować – mój ty Monosie – ta bezmierna wzajemna miłość, co gorzała w naszych duszach, jakże płocho, upojeni błogością, schlebialiśmy sobie, że szczęście nasze będzie się wzmagało z miłości naszej mocą! Rosłaż ona, lecz wraz z nią w sercach naszych rósł też, niestety, lęk przed tą złowrogą chwilą, co przyszła zwiastować rozłąkę na wieki! I w mękę z czasem przerodziła się miłość. Miłosierniejszą wtedy byłaby nienawiść.

*Monos:* Nie mów tu o tej niedoli, droga Uno – mojaś ty, moja teraz na wieki!

*Una:* Lecz czyż wspomnienie minionej niedoli nie jest radością chwili obecnej? Chciałabym jeszcze dużo powiedzieć o tym, co było. Przede wszystkim pragnęłabym bardzo dowiedzieć się, w jaki sposób odbyła się twa pielgrzymka skroś mrocznego Padołu i Cieniów?

*Monos:* Czyż cudna Una pytała kiedykolwiek swego Monosa na próżno? Opowiem ci szczegółowo o wszystkim, lecz od czego mam zacząć tę żalobną opowieść?

*Una:* Jak to od czego?

*Monos:* Chcę wiedzieć...

*Una:* Rozumiem cię, Monosie. Śmierć uświadomiła nam obojgu skłonność ludzką do określania tego, co określić się nie da. Nie mówię przeto, byś zaczął od mgnienia, kiedy twe życie zagasło, lecz od owej smętnej, bolesnej chwili, kiedy gorączka cię opuściła, kiedy bez tchu i ruchu zapadłeś w odrętwiałość, a me miłosne dłonie twe wybladłe zamykały powieki.

*Monos:* Pozwól, Uno, że wpierw wspomnę o warunkach, w jakich podówczas znajdował się człowiek. Pomnisz zapewne, iż wśród naszych przodków pojawił się jeden czy dwu mędrców – mędrców istotnych, jakkolwiek przez świat nieuznanych – którzy mieli odwagę powątpiewać o tym, czy pojęcie „doskonalenia się” daje się słusznie zastosować do postępu cywilizacji naszej. Bywały okresy, mniej więcej co pięćset lub sześćset lat bezpośrednio przed naszym zgonem, kiedy występował ten lub ów potężny intelekt, co mężnie stawał do walki o te zasady, których prawda wydaje się teraz tak oczywistą naszemu wyzwolonemu spod jarzma rozumowi – zasady, które by powinny pouczać rodzaj ludzki, że należy raczej poddawać się kierownictwu praw przyrodzonych, niżeli je śledzić. W długich odstępach ukazywały się umysły przodownicze, dla których każdy nabytek wiedzy praktycznej oznaczał cofanie się w dziedzinie użyteczności rzeczywistej. Niekiedy intelekt poetycki, najwznioślejszy, jak obecnie czujemy, ze wszystkich intelektów – zważywszy, że te prawdy, które najwyższe mają dla nas znaczenie, dają się osiągnąć jedynie za pomocą owych analogii, co przemawiają nieodparcie tylko do wyobraźni, zaś dla niedołęznego rozumu żadnej nie mają wagi – taki duch poetycki przyczyniał się zatem niekiedy do rozwikłania mętnych pojęć filozoficznych lub w paraboli mistycznej, co mówi o drzewie wiadomości oraz o jego zabronionych, śmierciodajnych owocach, wyraźną dostrzegając wskazówkę, że wiedza nie wychodzi na dobre człowiekowi, który nie posiadał jeszcze dojrzałości duchowej. Ludzie ci – ci poeci – żyjąc i marniejąc wśród wzgardy „ludzi praktycznych”, nieokrzesanych pedantów, którzy przywłaszczali sobie dostojeństwo, przysługujące właściwie tylko wzgardzonym – ludzie ci, ci poeci, marzyli boleśnie i niemniej zarazem mądrze o dawnych czasach, kiedy prostota

potrzeb ludzkich stała na równi z surowością rozrywek, kiedy wesołość była słowem nieznanym, tak uroczyste i pogłębione było szczęście – o owych świętych, górnych, błogosławionych czasach, kiedy modre rzeki toczyły się nieobwałowane groblami wśród nienaruszonych wzgórz i przepadały w niezbadanych uroczyskach leśnych, wonnych i dziewiczych.

Atoli te szlachetne wyjątki z powszechnego nierządu wzmagały go tylko, wytwarzając opozycję. Niestety, zdarzyło się nam żyć w najgorszej tego złego czasu chwili. Nastął wielki „prąd” – jak to się określało w ówczesnej gwarze: chorobliwy rozstrój moralny i fizyczny. Przemysł – słuszniej mówiąc, przemysły wydzwignęły się nade wszystko i doszedłszy do władzy, okuły w łańcuchy intelekt, co je postawił na czele. Człowiek, któremu niepodobna było nie uznać majestatu Przyrody, popadł w dziecinny zachwyty nad dokonaniem przez siebie i dalej dokonującym się ujarzmieniem jej żywiołów. Zdziecinniał, kiedy mu się przywidziało, iż oblókł się w chwałę bożą. Zaraził się, jak to zresztą z zawiązków jego rozstroju można było wywnioskować, systemami i abstrakcjami. Przystroił się w ogólniki. Śród innych niedorzecznych idei jęła się także utwierdzać zasada powszechnej równości: i w obliczu analogii, i Boga, wbrew donośnym ostrzeżeniom praw stopniowania, co z taką wyrazistością przejawiają się we wszystkim na ziemi i na niebie – wszczęły się szalone zapędy, zmierzające do wszechwładztwa demokracji. Zło to musiało jednakże wynikać ze zła głównego, mianowicie z Wiedzy. Człowiek nie może równocześnie posiadać wiedzy i być uległym. Tymczasem rozrosły się przemogie, ogromne, zadymione miasta. Wiedły zielone liście pod gorącym tchnieniem pieców fabrycznych. Cudne oblicze Przyrody zeszeptniało, jakby skażone przez jakąś obmierzłą chorobę. I zdawałoby się – kochanie ty moje – że bodaj drzemiące w nas poczucie przesilenia i rozprężenia byłoby powinno zatrzymać ludzkość wreszcie na tej drodze. Jednakowoż okazuje się teraz, iż sami przyłożyliśmy ręki do własnej zagłady, dopuszczając się znieprawienia smaku, czy raczej zaniedbując rozmyślnie kształcenia jego w szkołach. I, zaprawdę, na tym przełomie tylko smak jedynie, ta zdolność, zajmująca pośrednie miejsce między czystym intelektem a zmysłem moralnym, której nigdy bezkarnie

lekceważyć nie można – otóż smak tylko mógł nam miłośnie ułatwić powrót do Piękna, Przyrody i Życia. Lecz, niestety, na cóż się przydał czysty, kontemplatywny duch i majestatyczna intuicja Platona! Na cóż się przydała ta *μουσική*, która wedle jego słusznego poglądu najzupełniej wystarcza do wykształcenia duszy! Cóż po nim i cóż po niej! – skoro oboje byli najbardziej wzgardzeni i zapomniani właśnie wtedy, kiedy najrozpaczliwiej było ich potrzeba<sup>1</sup>.

Jakże prawdziwie powiedział Pascal, ten przez nas obojga ukochany filozof, *que tout raisonnement se réduit à céder au sentiment*<sup>2</sup>; i nie byłoby rzeczą niemożliwą, gdyby czas był na to pozwolił, że poczucie naturalności byłoby dawną odzyskało przewagę nad cierpką matematycznością szkolarskiego rozumu. Ale do tego nie przyszło. Niewstrzeźliwość w wiedzy wywołała przedwczesny uwiąd świata. Nie widziała tego większość ludzkości lub żyjąc gorączkowo, acz nieszczęśliwie, udawała, że tego nie widzi. Obeznany z dziejami Ziemi, najzupełniejszej oczekiwałem ruiny za cenę najwyższej cywilizacji. Przeświadczenia o tym, co nas spotkać miało, zaczerpnąłem przez porównanie z prostotą i krzepkością Chin, z architekturą Asyrii, z astrologią Egiptu, z Nubią wreszcie, przemyślniejszą nad inne ludy, burzliwą wszelkich Sztuk macierzą. Z historii<sup>3</sup> tych krain zaświtał mi promień przyszłości. Odosobnione rękodzielnictwo trzech ostatnich ziem było niedomaganiem miejscowym, zaś ich odosobniony upadek stanowił miejscowy środek na to niedomaganie; lecz dla zakazonego w całości świata nie widzę innego uzdrowienia prócz śmierci. Ponieważ człowiek jako rodzaj zagać nie może, przeto potrzeba, ażeby się odrodził.

I to było przyczyną – najmilsza i najdroższa – że duchy nasze codziennie osnuwaliśmy marzeniem. I bywało, że nieraz z nastaniem zmierzchu rozprawialiśmy o dniach, co przyjdą, kiedy stoczona przez Przemysł powierzchnia Ziemi dozna oczyszczenia w ogniu, który sam jeden mógł wygładzić jej prostokątne ohydy, i przyodzieje się znowu w zieleń, w stoki górskie, w uśmiechnięte, rajskie strugi i stanie się wreszcie godną siedzibą dla człowieka – dla oczyszczonego przez Śmierć człowieka – dla człowieka, którego wyszczytniony intelekt nie będzie już



znajdował trucizny w wiedzy – dla odkupionego, odrodzonego, ubłogosławionego, dla nieśmiertelnego już odtąd, lecz wciąż jeszcze materialnego człowieka.

*Una:* Dobrze pamiętam te rozmowy, drogi Monosie; atoli epoka ogniowej zagłady nie była tak bliska, jakeśmy sądzili i jak można było wnioskować na pewno z przedstawionego przez ciebie zepsucia. Ludzie żyli i marli w odosobnieniu. Ty sam, złamany chorobą, poszedłeś do grobu; wnet potem podążyła za tobą twoja wierna Una. I jakkolwiek stulecie, które odtąd upłynęło i którego schyłek znowu nas połączył, nie udręczało już naszych uśpionych zmysłów niecierpliwością przewlekania – mimo tego był to jeszcze wiek cały.

*Monos:* Powiedz raczej, mgnienie w bezkresach nieskończoności. Juźci zgon mój był następstwem skażenia Ziemi. Z sercem nadwątlonym troskami, które miały swój początek w powszechnym upadku i rozstroju, stałem się pastwą zabójczej gorączki. Po kilku dniach cierpienia tudzież przewlekłych, sennych majaczeń, pełnych zachwyty, którego objawy wydawały ci się bólem, ja zaś chociaż pragnąłem, lecz nie mogłem wyprowadzić cię z błędu – otóż po kilku dniach nastąpiło owo, jak się wyraziłaś, odrętwienie bez tchu i bez ruchu, zaś ci, co mnie otaczali, nazwali stan ten Śmiercią.

Słowa mylą. Stan mój nie pozbawił mnie zdolności odczuwania. Zdawało się mi, iż nie różni się on zbytnio od zupełnej spokojności człowieka, który przespawszy się długo i głęboko, leży rozciągnięty nieruchomo w skwarze letniego południa i poczyna z wolna oswajać się ze świadomością, jakby pod wpływem samego dosytu snem, a nie pobudek zewnętrznych.

Przestałem oddychać. Tętno ustało. Serce już nie biło. Wola pozostała, ale była bezsilna. Zmysły były nadzwyczaj czynne, jakkolwiek działalność ich była nieprawidłowa i często zdarzało się, że jedne pełniły dorywczo funkcje innych. Smak i powonienie skojarzyły się nierozdzielnie i stały się jednym zmysłem, odmiennym i nader silnym. Woda różana, którą w tkliwości swojej zwilżyłaś pod koniec me wargi, wywołała we mnie słodką zjawę kwiecica – fantastycznego kwiecica, dużo miłszego od kwiatów starej

Ziemi i przypominającego już swe prototypy, co krzewią się tutaj dokoła nas. Powieki, przejrzyste i pozbawione krwi, nie stanowiły przeszkody dla wzroku. Wprawdzie ubezwładnienie woli było przyczyną, że gałki oczne nie mogły się obracać w swych łożyskach, lecz mimo to wszystkie przedmioty znajdujące się w zasięgu półkul wzrokowych zaznaczały się mniej lub więcej wyraźnie; promienie padające na siatkówkę zewnętrzną lub dosięgające kątów ocznych działały mocniej od tych, które przenikały na wprost lub dostawały się do powierzchni wewnętrznej. Jednakże w pierwszym wypadku oddziaływanie to było niezwykle o tyle, iż dawało się mi uczuć tylko jako dźwięk – dźwięk łagodny lub szorstki, zależnie od tego, czy znajdujące się w pobliżu przedmioty były oświetlone lub pograżone w cieniu – czy też miały kształty krągłe lub ostre. Równocześnie słuch, acz pobudzony niepomiernie, nie okazywał wcale zaburzeń, odbierając rzeczywiste dźwięki z nadzwyczajną wrażliwością i dokładnością. Natomiast dotyk większym uległ zmianom. Przejmował wrażenia opieszale, lecz przechowywał je długo, a łączyło się to zawsze z ogromną rozkoszą fizyczną. Toteż gdy twe drogie palce zaciskały mi powieki, doszło to zrazu do mej świadomości tylko za pośrednictwem wzroku i dopiero w jakiś czas potem, kiedy już twych rąk na moich oczach nie było, przepełniła całą mą istotę jakaś niewysłowiona zmysłowa błogość. Mówię o błogości zmysłowej, gdyż wszystkie me wrażenia były wyłącznie zmysłowe. Tworzywa dostarczanego przez zmysły biernemu mózgowi obumarły intelekt nie ujmował zgoła w pojęcia. Bólu doznawałem niewiele, za to wiele rozkoszy; natomiast zarówno rozkoszy, jak i cierpienia psychicznego nie doznawałem wcale. Rozpaczliwe twe łkania chwycił mój słuch ze wszystkimi żalnymi załamaniem i odróżniałem w nich wszystkie smętnych tonów odmiany; atoli były one słodkimi, harmonijnymi dźwiękami i niczym więcej; nie nieciły one w zagasłej zdolności pojmowania świadomości smutku, z którego się poczęły; natomiast ciężkie, nieustanne łzy, co spływały na moje lica, mówiąc przytomnym o pękniętym sercu, przenikały każde włókno mej istoty samym tylko zachwytem. I to była istotnie Śmierć, o której

przytomni mówili szeptem, ty zaś – moje kochanie – zdławionym, przenikliwym jękiem.

Ubierano mnie do trumny; trzy czy cztery ciemne postacie krążyły skrętnie po pokoju. Na linii prostej mego widzenia przedstawiały się one jako kształty; lecz kiedy przesuwały się z ubocza, obrazy ich sprawiały na mnie wrażenie westchnień tudzież innych żałobnych przejawów żalości i grozy. Ty jedna, w swej białej szacie, wszędy snułaś się melodyjnie.

Dzień miał się ku schyłkowi, kiedy jęło się zmierzchać, doznałem nieokreślonego uczucia niepokoju – jakby lęku, który ogarnia człowieka we śnie, gdy rozlegają się nieustannie nad jego głową rzeczywiste, smętne dźwięki – jakieś głucho, dalekie gęźby dzwonów, co rozbrzmiewają uroczyście w długich, lecz równych odstępach i kojarzą się z melancholią marzeń. Nastąpiła noc, a wraz z nią wrażenie przykrew dolegliwości. Obarczyła me członki uczuciem nieznośnego brzemienia i dawała się mi ucuć. Był w niej także jakiś szmer łkający – coś jakby odległy poszum wrących fal, lecz bardziej od niego natarczywy; wszczął się on o zmierzchu i wzmagął się porównie z ciemnością. Wtem wniesiono światła do pokoju i ów poszum rozpierzchnął się na częste, nierówne podrywy tego szmeru, ale nie tak wyraźne i nie tak bolesne. Gmiotący ucisk w znacznej zelżał mierze, a z płomieni wszystkich lamp (gdyż było ich kilka) jał mnie dolatywać nieustannie odzew monotonnej melodii. Kiedy, droga Uno, zbliżyłaś się do łoża, na którym spoczywałem wyprostowany, i kiedy wonny oddech twoich słodkich ust musnął w pocałunku moje czoło, wówczas zatrzepotało coś w mojej piersi i mieszając się z wyłącznie fizycznymi wrażeniami, co roznieciły się pod wpływem okoliczności, drgnęło coś pokrewnego uczuciu – coś, co na poły wtórowało, na poły wywzajemniało się twej głębokiej miłości i żalowi; ale to uczucie nie przeniknęło do skrzepłego serca i będąc raczej cieniem niż jawą, zanikło wnet najpierw w bezmiernym ukojeniu, a następnie w wyłącznie zmysłowej błogości, podobnie jak poprzednio.

Z zastoju i bezładu wszystkich innych zmysłów jał wtedy kielkować we mnie zmysł szósty, ze wszystkich najdoskonalszy. Posługiwałem się nim ze szczególniejszą rozkoszą, ale ta rozkosz była tylko fizyczna, jako że

rozumowanie nie brało w niej udziału. Ruch w mym ustroju cielesnym ustał zupełnie. Mięśnie nie prężyły się; nerwy nie drgały; tętnice nie biły. Za to w mózgu jakby zaświtało coś, o czym wyłącznie ludzkiej inteligencji nie może dać żadne słowo nawet mętnego pojęcia. Nazwałbym to wahadłowym tętnem umysłu. Było to duchowym upostaciowaniem abstrakcyjnego ludzkiego pojęcia o Czasie. Na podstawie bezwzględego wyrównania tego – lub temu podobnego – ruchu przystosowały się wzajem do siebie obiegi ciał niebieskich. Za pomocą jego oznaczałem nieprawidłowości zegara stojącego na kominku tudzież zegarków, które miały przy sobie osoby podówczas obecne. Ich tykotanie podzwaniało donośnie w mych uszach. Najłżejsze zboczenia od właściwego rytmu, a zboczenia te były powszechne, raziły mnie zupełnie tak samo, jak naruszenia prawd abstrakcyjnych raziły za życia moje poczucie moralne. Aczkolwiek wśród chronometrów znajdujących się w komnacie nie było nawet dwu, które by wybijały sekundy dokładnie i zgodnie, mimo to zatrzymywałem bez trudu w umyśle ich tony i natychmiast zdawałem sobie sprawę z ich względnych pomyłek. I to żywe, doskonałe, samoistne poczucie trwania – to poczucie, istniejące (wbrew ludzkiemu mniemaniu, któremu wyda się jego istnienie niemożliwym) niezależnie od kolejności wypadków – ta idea – ten szósty zmysł, poczęty z perzyny innych zmysłów, był pierwszym pewnym i niezawodnym krokiem duszy, co jest poza czasem, na progu snującej się z czasu Wieczności.

Była północ, a ty wciąż jeszcze siedziałaś przy mnie. Wszyscy inni odeszli z przybytku Śmierci, włożywszy mnie do trumny. Lampy paliły się niespokojnie, poznawałem to po drganiu monotonnej melodii. Lecz nagle jął się zmniejszać jej rozmiar i wyrazistość. W końcu całkiem ustała. Nozdrza moje nie odczuwały już woni. Kształty przestały się objawiać mojemu wzrokowi. Ucisk Ciemności zelżał na mej piersi. Głuch wstrząs przeniknął na podobieństwo prądu elektrycznego moje ciało i spowodował zupełną zaturę poczucia łączności ze światem. Wszystko to, co ludzie nazywają zmysłami, rozplynęło się w samej tylko świadomości jaźni tudzież w jedynym, niezmiennym poczuciu trwania. Na zwłokach moich spoczęła w końcu dłoń złowrogiego Rozkładu.

Nie postradałem jednakowoż doszczętnie zdolności odczuwania; gdyż świadomość i poczucie trwania wyręczały ją w niektórych funkcjach przy pomocy intuicji letargicznej. Zdawałem sobie sprawę ze straszliwej zmiany, jaka dokonywała się w moim ciele, i podobnie jak człowiek śpiący odczuwa czasem fizyczną obecność pochylającej się nad nim osoby, tak samo ja – moja Uno – wciąż jeszcze czułem głucho, że jesteś przy mnie. Również następnego dnia o południu miałem niejaką świadomość, że odeszłaś ode mnie, że zamknięto mnie w trumnie, że umieszczono mnie na marach, że zaniesiono mnie do grobu, że złożono mnie w nim, że przywalono mnie ciężko ziemią i pozostawiono tak na smętne, uroczyste odpoczywanie wśród czarnej głuszy i robaczywej zgnilizny.

I tu, w tej cieśni, co niewiele odsłania tajemnic, mijały dni, tygodnie i miesiące, a dusza baczyła pilnie na mknące sekundy i bez trudu zaznaczała ich mgnienia – bez trudu i bez celu.

Rok upłynął. Świadomość bytu stawała się coraz mglistszą, a miast niej poczęła się utwierdzać świadomość zadomowienia. Idea jaźni zanikała w idei miejsca. Wąska przestrzeń otaczająca to, co było niegdyś ciałem, sama jeła stawać się ciałem. W końcu, jak często zdarza się ludziom we śnie (sen i jego świat są jedynym Śmierci obrazem) – w końcu, jak niekiedy zdarza się na Ziemi ludziom, co usnęli głęboko, że jakieś pierzchliwe światło wyrywa ich na poły z uspienia, pozostawiając jednak na poły w rozmarzeniu – tak samo i mnie, spoczywającemu w mocnym objęciu Cienia, błysło owo światło, co samo ma władzę rozbudzania – światło wiekuistej Miłości. Zabrali się ludzie do pracy nad grobem, co osnuł mnie ciemnością. Rozgrzebali duszną ziemię. Na mych próchniejącym kościach złożono trumnę Uny.

I znów nastąpiła pustka. Owa mgława poświeta zagasła. Ów nikły wstrząs rozpierzchł się w spokojności. Minęły dziesiątki lat. Proch w proch się obrócił. Robactwo nie miało już pokarmu. Poczucie istnienia ustało w końcu zupełnie, a zamiast niego, miast wszystkich rzeczy zapanowały możliwe i wieczyste potęgi: Czas i Miejsce. Dla tego, co nie było – dla tego, co nie miało kształtu – dla tego, co nie miało myśli – dla tego, co nie miało czucia – dla tego, co było niezgłębione i wyzuło się już ze

wszelkiego związku z materią – dla całej tej nicości i razem dla całej tej nieśmiertelności grób był jeszcze przybytkiem, a niszczycielskie godziny towarzyszkami.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> „Niełacno byłoby wynaleźć coś lepszego niżeli to, co już wynaleziono doświadczeniem tylu wieków; dałoby się to streścić jako gimnastyka dla ciała i muzyka dla duszy” („Rzeczpospolita”, ks. 2). „Z tego powodu wykształcenie muzyczne jest najistotniejsze, ponieważ za jego sprawą Rytm i Harmonia najgłębiej przenikają do duszy, najsilniejszy na nią wywierając wpływ, napęlniając ją pięknem i uszlachetniając człowieczy umysł. (...) Będzie wielbił i podziwiał piękno; z radością przyjmie je do swej duszy, stanie się ona jego karmią i skojarzy z nią własną dolę”. (Ibid., ks. 3) Muzyka (*μουσική*) miała atoli u Ateńczyków szersze niż u nas znaczenie. Obejmowała nie tylko harmonię taktu i melodii, lecz także wysłowienie, poczucie i twórczość poetycką w jak najszerszym znaczeniu. Studia muzyczne były u nich istotnie ogólnym kształceniem smaku – czyli zdolności poznawania piękna – w przeciwieństwie do rozumu, który zajmuje się tylko prawdą (przyp. aut.).

<sup>2</sup> *Que tout raisonnement...* (fr.) – Całe nasze rozumowanie sprowadza się do ustępowania czuciu (tłum. Tadeusz Boy-Żeleński) (przyp. red.).

<sup>3</sup> Historia od *ιστορῆν*, „rozmyślać” (przyp. aut.).

# Rozmowa Eirosa

## z Charmionem

*Πῦρ σοι προσοισω.*

*Przyniosę ci ogień.*

Eurypides: *Andromacha*

EIROS

Dlaczego nazywasz mnie Eirosem?

CHARMION

Odtąd zawsze tak zwać się będziesz. Trzeba również, byś zapomniał mojego ziemskiego miana i nazywał mnie Charmionem.

EIROS

To naprawdę nie jest snem!

CHARMION

My już snów nie znamy – lecz nie mówmy teraz o tych tajemnicach. Cieszę się, że wyglądasz żywo i rozumnie. Bielmo cienia ustąpiło już z twych oczu. Bądź dobrej myśli i nie lękaj się niczego. Przeznaczone ci dni odrętwienia minęły i jutro wtajemniczę cię w pełni radości i cudów twego nowego istnienia.

EIROS

Istotnie, nie czuję odrętwienia – bynajmniej go nie czuję. Opuściła mnie ta mdłość i okropna ciemność i nie słyszę już tego zawrotnego,

rwącego, strasznego szumu, co był gdyby „głos wielu wód”. Ale me zmysły są w osłupieniu nad przenikliwością swego odczuwania tej nowości.

CHARMION

Za kilka dni to minie – lecz rozumiem cię dobrze i współczuję z tobą. Upłynęło właśnie dziesięć ziemskich lat od czasu, kiedy doznawałem tego, czego ty doznajesz – a jednak nie otrząsałem się jeszcze z tych wspomnień. Wycierpiałeś tedy wszelką mękę, jaką masz odcierpieć w Edenie.

EIROS

W Edenie?

CHARMION

Tak jest, w Edenie.

EIROS

Och, Boże! – Miej litość nade mną, Charmionie. – Jestem przytłoczony majestatem wszechrzeczy – rzeczy nieznanych, które poznałem – zdany na domysły Przyszłości, co nurza się w dostojnej i pewnej Teraźniejszości.

CHARMION

Nie dręcz się teraz tymi myślami. Jutro pomówimy o tym. Twój umysł nęka się, więc wróć do powszednich wspomnień, a będzie to dlań ulgą w rozstroju. Nie patrz dokoła, nie patrz przed siebie – patrz wstecz! Pałam niecierpliwością poznania szczegółów owego niesłychanego wypadku, który cię sprowadził do nas. Opowiedz mi o nim. Mówmy o rzeczach codziennych dawnym, zwykłym językiem świata, co tak okropnie zakończył.

EIROS

Okropnie, okropnie! – To istotnie nie jest snem.

CHARMION

Snów już nie ma. Czy mnie bardzo opłakiwano, mój Eirosie?

EIROS

Czy cię opłakiwano, Charmionie? – Och, niezmiernie. Do ostatniej chwili brzemię posępnego żalu i smętnego rozpamiętywania obarczało twą rodzinę.

CHARMION



A ta ostatnia godzina? – Opowiedz mi o niej! Tylko pamiętaj, że prócz nagiego faktu samej katastrofy nic mi więcej nie wiadomo. Kiedym rozstawszy się z ludźmi zstępował przez Grób w otchłań Nocy – wówczas, o ile sobie przypominam, nic jeszcze nie zapowiadało nieszczęścia, które was nawiedziło. Co prawda, niezbyt zajmowałem się ówczesną filozofią spekulatywną.

## EIROS

Tego rodzaju nieszczęście, jak wspomniałeś, było zupełnie nieoczekiwane; ale podobne wypadki stanowiły już od dawna przedmiot dyskusji wśród astronomów. Nie potrzebuję ci chyba nadmieniać, mój przyjacielu, iż po twoim zgonie ludzie przyszedli do przekonania, że owe ustępy Pisma Świętego, w którym jest mowa o ostatecznym zniszczeniu wszechrzeczy przez ogień, mogą się odnosić tylko do kuli ziemskiej. Ale co do bezpośredniego czynnika zagłady, przewidywania zostały wprowadzone w błąd przez wiedzę astronomiczną, która wyzuła komety z ich ognistej grozy. Stwierdzono dokładnie nader nieznaczną gęstość ich ciał. Kiedy przechodziły wśród satelitów Jowisza, nie zauważono żadnych dostrzegalnych zmian ani w treści, ani w krążeniu tych drugorzędnych planet. Uważano te przybłądy za nadzwyczaj nikłe mgławice, które nie mogły uszkodzić naszego jędrnego globu, nawet gdyby z nim się zderzyły. A zderzenia nie obawiano się wcale, gdyż znano szczegółowo składniki wszystkich planet. Od wielu lat wydawało się rzeczą niemożliwą, aby wśród nich mogły istnieć czynniki zagrażające ognistą zagładą. Atoli w ostatnich czasach osobliwie rozkrzewiły się wśród ludzi jakieś dziwy i cudowne przywidzenia; toteż kiedy astronomowie zapowiedzieli nową kometa, nikt wprawdzie nie uląkł się jej prócz nielicznych ignorantów, lecz mimo to zapowiedź ta wywołała, nie wiadomo dlaczego, powszechne zaniepokojenie i nieufność.

Oznaczono natychmiast składniki tego szczególniejszego ciała niebieskiego i wszyscy uczeni stwierdzili zgodnie, że droga jego u peryhelium wypadnie w bezpośrednim pobliżu Ziemi. Znalazło się dwóch czy trzech podrzędniejszych astronomów, którzy nie wahali się utrzymywać, iż zderzenie jest nieuniknione. Nie umiałbym określić ci

dokładnie wrażenia, jakie ta wiadomość wywarła na ludzi. Przez kilka dni nie chciano dawać wiary zapewnieniom, których umysł ludzki, od dawna zajęty światowymi sprawami, żadną miarą nie mógł pojąć. Wszelako prawda tak ogromnie ważnego wydarzenia rychło utorowała sobie drogę nawet do najlepszych mózgów. W końcu wszyscy przekonali się, że wiedza astronomiczna nie kłamie, i oczekiwali komety. Zrazu przybliżała się niezbyt śpiesznie, a w wyglądzie jej nie dostrzegano niczego nadzwyczajnego. Mieniła się posępną czerwienią i miała słabo zaznaczający się ogon. Przez siedem czy osiem dni nie zauważyliśmy istotnego przyrostu jej dostrzegalnej średnicy, zaś barwa jej tylko nieznacznej uległa zmianie. Tymczasem poczęto zaniedbywać zwykłych spraw ludzkich i powszechne zajęcie zwróciło się ku szczegółowym rozprawom, jakie wszczęli uczeni o właściwościach komet. Nawet najwięksi nieucy wysilali swe ospałe umysły, zastanawiając się nad tymi zagadnieniami. Natomiast uczeni oddawali swój rozum i swe dusze, bądź to by uspokoić obawy, bądź też by podtrzymać ulubioną przez siebie teorię. Szukali – zapamiętywali się w poszukiwaniu słusznego poglądu. Nawoływali z uniesieniem do udoskonalonej wiedzy. Prawda jęła wyłaniać się w całej czystości swej mocy i górnego majestatu, a mędracy korzyli się przed nią z uwielbieniem.

Pogląd, jakoby z oczekiwanego zderzenia mogła wyniknąć istotna szkoda dla naszego globu lub jego mieszkańców, tracił coraz bardziej podstawy w mniemaniu uczonych, którzy posiadli nieograniczoną władzę nad rozumem i wyobraźnią tłumów. Udowodniono, że gęstość jądra komety jest o wiele mniejsza od gęstości najbardziej rozprężliwego ziemskiego gazu i zaznaczono z naciskiem, że podobny gość przeszedł spokojnie wśród satelitów Jowisza, co przyczyniło się niemało do uspokojenia popłochu. Teologowie z żarliwością roznieconą przez trwogę obstawali przy przepowiedniach biblijnych i wykładali je ludowi ze ścisłością i prostotą nieznaną w dawniejszych czasach. Z zapałem, który przekonująco udzielał się wszystkim, głosili oni, że ostatecznej zagłady kuli ziemskiej musi dokonać ogień; z drugiej jednak strony wiadomo było powszechnie, iż komety nie posiadają właściwości ogniowych, i ta prawda

koła w znacznej mierze troskę wywołaną przepowiedniami wielkiego nieszczęścia. Trzeba nadmienić, iż gminne wierzenia i ludowe przesady o wojnach i zarazach – przesady, które dotychczas szły zawsze w parze z pojawieniem się każdej komety – były tym razem nieznanne, jak gdyby rozum nagłym, kurczowym odruchem obalił stolicę zabobonu. Nawet najsłabsze intelekty nabierały mocy pod wpływem niesłychanego zaciekawienia.

Zaciekano się w pracowitych rozmyślaniach nad pytaniem, jakie pomniejsze szkody mogą wyniknąć ze zderzenia. Uczni mówili o lekkich zaburzeniach geologicznych, o możliwej zmianie klimatu i – co za tym idzie – roślinności, o przypuszczalnych wpływach magnetycznych i elektrycznych. Wielu utrzymywało, że w ogóle dostrzegalnych następstw nie będzie. W toku tych rozpraw przedmiot ich zbliżał się stopniowo, zwiększając widocznie na średnicy i coraz jaskrawszym jarząc się blaskiem. Ludzkość pobladła za jego zbliżeniem. We wszystkich czynnościach ludzkich nastąpił zastój.

Kiedy kometa przybrała wreszcie rozmiary, jakich we wspomnieniach ludzkich nie zaznano dotychczas, nastąpiła chwila epokowa w usposobieniu powszechnym. Ludzie wyzbyli się uludnej nadziei, że astronomowie mogą się mylić, i nabrali pewności nieszczęścia. Lęk przestał być urojeniem chimerycznym. Zadygotały serca w piersiach najdzielniejszych synów plemienia ludzkiego. Dość jednak było kilku dni, by nawet te uczucia przedzierzgnęły się w jeszcze nieznośniejsze. O tajemniczej tej zjawie kosmicznej niepodobna było już myśleć zwykłymi myślami. Historyczne jej atrybuty obróciły się wniwecz. Przywalała nas potworną nowością wrażenia. Nie odczuwaliśmy jej jako zjawiska astronomicznego na niebie, lecz jako zmorę serc naszych i ocmę naszych mózgów. Z niepojętą chyżością przybrała wygląd olbrzymiej płomienistej opony, rozpiętej na widnokrężnych dalach.

Dzień jeden minął – i ludzie odetchnęli swobodniej. Było wiadomo, że znajdujemy się już pod wpływem komety, a jednak żyliśmy jeszcze. Co więcej, doznawaliśmy uczucia niezwyklej gibkości ciała i żywości umysłu. Przekonaliśmy się o nadzwyczajnej nikłości przedmiotu naszych obaw.

Równocześnie w roślinności nastąpiła widoczna zmiana i ta zapowiedziana okoliczność utwierdzała naszą wiarę w przewidywania uczonych. Wszystkie rośliny okryły się nagle bujną krasą nieznanego dotychczas listowia.

Jeszcze jeden dzień upłynął, a jednak nie ze wszystkim ogarnęło nas to dziwo. Było rzeczą widoczną, że jądro jego dopiero ma nas dosięgnąć. Coś niepojętego działo się z ludźmi: oto pojawiło się pierwsze uczucie bólu i dało znak do powszechnej rozpacz i zgrozy. Polegało ono na mocnym ucisku w piersiach i płucach tudzież na nieznośnej suchości skóry. Niepodobna było zaprzeczyć, że w atmosferze naszej dokonywał się zupełny przewrót. Skład tej atmosfery tudzież możliwe zmiany, jakie miały w niej nastąpić, stały się z kolei przedmiotem dyskusji. Wynik badań był elektrycznym wstrząsem niewysłowionej grozy, co targnął sercem wszechludzkiem.

Wiadomo było od dawna, że otaczające nas powietrze jest mieszaniną tlenu i azotu, mianowicie w tym stosunku, że na sto części atmosfery przypada dwadzieścia jeden części tlenu i siedemdziesiąt dziewięć części azotu. Tlen, ów pierwiastek palny i sprawca ciepła, był bezwzględnie potrzebny dla rozwoju wszystkiego, co żyje, i stanowił najpotężniejszy i najenergiczniejszy czynnik w przyrodzie. Natomiast azot nie miał wpływu ani na palenie się, ani też na przejawy życiowe. Nienormalny nadmiar tlenu spowodowałby, jak stwierdzono, właśnie takie podniecenie duchowe, jakiego doświadczyliśmy na sobie. Rozwinięcie tej myśli, wysnucie z niej wniosków wywołało owo przerażenie. Jakież byłoby następstwo zupełnego ubytku azotu? Oto pożar niezwłoczny, przemożny, unicestwiający i nieodparty: słowem, dokładne wypełnienie do najdrobniejszych i najstraszniejszych szczegółów płomiennych i złowieszczych przepowiedni zawartych w prorocत्वach Pisma Świętego.

I po cóż mam opowiadać, Charmionie, o szale, co rozpętał się wówczas wśród ludzkości? Owa nikłość komety, co napawała nas przedtem otuchą, stała się teraz gorzkim źródłem rozpacz. Lotność jego gazów dowodziła jasno, że Przeznaczenia nie da się uniknąć. Tymczasem znów jeden dzień minął – zabierając ze sobą ostatnie widmo Nadziei. Czerwona krew

krążyła burzliwie w swych ciasnych przewodach. Obłąd opętał wszystkich ludzi; wyciągając zdrętwiałe ramiona ku złowrogim niebiosom, drżeli i zanosili się od krzyku. Bowiem jądro zabójcze pojawiło się wreszcie nad nami; nawet tu, w Edenie, nie mogę mówić o tym bez drzenia. Pozwól, że słowa moje będą krótkie – krótkie jak zagłada. Na chwilę zabłysła jakaś dziwna, posępna światłość, rozwidniająca i przenikająca wszechrzeczy. Potem – ukórzmy się, Charmionie, przed nieograniczoną chwałą wielkiego Boga! – potem rozległ się donośny, przeraźliwy głos, jak gdyby wytchnięty z własnych ust JEGO, i wszystek otaczający nas ogrom eteru buchnął nagle przepotężnym płomieniem, dla którego nieporównanej jaśni i niszczycielskiego żaru nie mają miana nawet aniołowie na wysokościach niebieskich czystej wiedzy. Taki był koniec wszystkiego.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



# Sfinks

Gdy w Nowym Jorku wybuchła straszliwa epidemia cholery, mój kuzyn zaprosił mnie do siebie na wieś, gdzie w ciszy i odosobnieniu jego *cottage orné*<sup>1</sup> nad brzegiem Hudsonu spędziłem dwa tygodnie. Mieliśmy tu wszystkie rozrywki, jakich dostarczyć może lato na wsi. I czas naprawdę upływałby nam miło na włóczęgach po lesie i rysowaniu pięknych krajobrazów, na przejażdżkach łodzią, rybołówstwie i kąpielach w rzece, na muzyce i czytaniu – gdyby nie przerażające wieści, które co rano docierały do nas z ludnego miasta. Co dnia dowiadywaliśmy się o śmierci kogoś spośród naszych znajomych. Potem, gdy wzmożła się groza, przywykliśmy co dzień oczekiwać wiadomości o stracie któregoś z przyjaciół. W końcu drżeliśmy na widok każdego posłańca. Samo powietrze napływające ku nam z południa zdawało się być przepojone śmiercią. Ta jedyna straszna myśl owładnęła moją duszą. Nie mogłem ani mówić, ani myśleć, ani nawet nocą śnić o niczym innym. Mój gospodarz miał temperament mniej pobudliwy, a chociaż sam był ponad miarę przygnębiony, mnie starał się podtrzymać na duchu. Jego intelekt znajdujący silne oparcie w filozofii nie dopuszczał do siebie urojeń. A choć nieobce mu było uczucie trwogi, dla widziadeł kryjących się w jej cieniu nie miał żadnego zrozumienia.

Starał się wszelkimi sposobami wyrwać mnie ze stanu anormalnej ponurości, jednakże jego wysiłki okazały się daremne, głównie z przyczyny pewnych ksiąg, które znalazłem w domowej bibliotece. Sama treść ich sprawiła, że zakiełkowały ukryte w mojej duszy ziarna odziedziczonych po przodkach zabobonów. Ponieważ czytałem te księgi bez wiedzy mojego kuzyna, ów często nie umiał sobie wytłumaczyć chorobliwego bez mała podniecenia mojej wyobraźni.

Ulubionym przedmiotem rozmów stała się dla mnie powszechna wśród ludzi wiara w złe i dobre znaki – wiara, której w tamtym i jedynym okresie życia gotów byłem z całą niemal powagą bronić. Prowadziliśmy na ten temat wiele długich i gorących dysput, przy czym kuzyn mój utrzymywał, że taka wiara jest najzupełniej bezpodstawna, ja natomiast dowodziłem, że przekonanie tak powszechne, a zarazem tak spontaniczne – to jest, które powstało najwyraźniej bez zewnętrznego podszeptu – musi zawierać w sobie nieodparte elementy prawdy, a co za tym idzie, zasługuje na uznanie.

Otóż rzecz w tym, że niedługo po moim przyjeździe zdarzył mi się wypadek tak niewytłumaczony i tak złowróźbny, że traktując go jako omen, mogłem doprawdy znaleźć dla siebie pewne usprawiedliwienie. Przygnębił mnie, a jednocześnie oszołomił i zadziwił, toteż upłynęło wiele dni, zanim zdobyłem się na opowiadzenie o nim kuzynowi.

Późnym popołudniem pewnego upalnego dnia siedziałem z książką przy oknie, skąd ponad brzegami rzeki roztaczał się widok otwarty na odległe wzgórze, którego stok ku mnie zwrócony ogołociło z wszystkich niemal drzew osunięcie się ziemi. Myślam przenosiłem się wciąż od czytanej książki do pobliskiego miasta, pogrążonego w beznadziejności i rozpacz. A gdy w pewnej chwili podniosłem oczy znad książki, wzrok mój padł na nagi stok wzgórza, na nim zaś – na nim ujrzałem jakąś żywą poczwagę odrażających kształtów, która z ogromną prędkością przebyła drogę od szczytu do podnóża góry, gdzie zniknęła w gęstym lesie. Zobaczywszy owego stwora, w pierwszej chwili zwątpiłem we własne zmysły, a w każdym razie w świadectwo własnych oczu; i wiele minut upłynęło, zanim zdołałem samego siebie przekonać, że ani nie jestem szalony, ani nie śnię. Ale lękam się, że kiedy opiszę poczwagę (widziałem ją wyraźnie i obserwowałem uważnie, gdy odbywała drogę w dół stoku), moim czytelnikom będzie jeszcze trudniej niż mnie uwierzyć w to, co zobaczyłem.

Porównując rozmiary monstrum z grubością pni drzew, obok których przechodziło (owych nielicznych olbrzymów puszczy, które podczas obsunięcia się ziemi uniknęły zagłady), doszedłem do wniosku, że jest

znacznie większe od największych okrętów liniowych. Wspomniałem o okręcie liniowym, ponieważ kształt stwora przywodził na myśl właśnie okręt, przy czym wielkość kadłuba któregoś z naszych siedemdziesięcioczerodziałowców może dać dość trafne pojęcie o jego konturach. Pysk zwierzęcia mieścił się na końcu trąby długości sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu stóp, o obwodzie jednak dorównującym cielsku przeciętnego słonia. U nasady trąby wyrastała kępa czarnych zmierzwionych kłaków – więcej tego było, niżby dostarczyć mogła sierść dwudziestu bawołów; spośród tych kłaków sterczały ukośnie w dół lśniące kły podobne do szabli odyńca, niepomiernie jednak większe. Równoległe z trąbą, po obu jej bokach, biegly dwa gigantyczne pręty z czystego kryształu, długości trzydziestu lub czterdziestu stóp, uformowane na wzór doskonałego graniastosłupa. Odbijały się w nich precudownie promienie zachodzącego słońca. Kadłub miał kształt stożka wierzchołkiem zwróconego ku ziemi, wyrastały zaś z niego dwie pary skrzydeł, jedna para umieszczona tuż nad drugą, przy czym długość każdego skrzydła wynosiła blisko sto jardów; skrzydła te pokryte były grubą warstwą metalicznej łuski, składającej się z cząstek o średnicy najmniej dziesięciu stóp. Zauważyłem, że górne skrzydła połączone są z dolnymi za pomocą grubego łańcucha. Jednakże najbardziej zaskakiwała w wyglądzie tego szkaradnego stwora umieszczona na piersiach podobizna trupiej czaszki, wyrysowana olśniewająco białą krechą na tle ciemnego tułowia z taką dokładnością, jakby rysunek był dziełem artysty. A gdy wpatrywałem się w to straszliwe zwierzę, zwłaszcza zaś w trupa czaszkę na jego piersiach – z przerażeniem i grozą, a także z przecuciem nadchodzącego nieszczęścia, którego rozum nie był zdolny zagłuszyć – nagle spostrzegłem, że potężne szczęki na końcu trąby rozwierają się i w tej samej chwili usłyszałem głos donośny i rozpaczliwie smutny, brzmiący mi w uszach niczym pogrzebowy dzwon. Potwór zniknął wśród lasów w dole, a wtedy ja padłem na ziemię zemdlony.

Gdy odzyskałem przytomność, pierwszą moją myślą było powiedzieć kuzynowi o wszystkim, co widziałem i słyszałem; nie potrafię jednak



teraz wytłumaczyć, jakie to uczucie niechęci powstrzymało mnie od tego kroku.

Minęło kilka dni i siedzieliśmy pewnego popołudnia w pokoju, w którym ujrzałem po raz pierwszy zjawę – ja na tym samym co wtedy miejscu przy oknie, on tuż obok, wygodnie rozparty na sofie. Czas i miejsce narzuciły mi pewne skojarzenia i pod ich wpływem obudziło się we mnie pragnienie opisanie mu stwora. Wysłuchał mnie do końca; wpiersw śmiał się serdecznie, potem raptownie i gwałtownie spoważniał, jak gdyby mój obłęd był pewnikiem niedopuszczającym żadnych wątpliwości. W tym samym momencie ponownie ujrzałem straszne monstrum, wskazałem mu je więc, podczas gdy z piersi wyrwał mi się okrzyk trwogi. Kuzyn mój spojrzał żywo i wyteżył wzrok, twierdził jednak, że nic nie widzi – chociaż opisałem mu dokładnie drogę, po której obmierzły stwór zdązał w dół nagiego zbocza.

Moje przerażenie było teraz bezgraniczne, uznałem bowiem, że widziadło jest albo zapowiedzią mojej rychłej śmierci, albo – co gorsza – zbliżającego się ataku szaleństwa. Zrozpaczony padłem na krzesło i ukrywszy twarz w dłoniach, trwałem tak kilka minut. Gdy ponownie spojrzałem, zjawy nie było już na stoku.

Tymczasem mój gospodarz, opanowawszy się najwyraźniej, zaczął mnie zasypywać drobiazgowymi pytaniami co do kształtów zjawy. Kiedy zaspokoilem jego ciekawość w tym względzie, westchnął ciężko, jak gdyby spadł mu z piersi jakiś nieznośny ciężar, i ze spokojem, który mnie się wydał okrutny, rozpoczął ze mną dyskusję na temat rozmaitych, a przedtem przez nas poruszanych zagadnień z dziedziny filozofii spekulatywnej. Pamiętam, iż między innymi ze szczególną mocą obstawał przy twierdzeniu, że głównym źródłem omyłek we wszelkich dociekaniach jest pewna skłonność umysłu ludzkiego do niedoceniań lub też przeceniania ważności przedmiotu przez wadliwe obliczenie jego odległości. – Na przykład, aby ocenić właściwie – rzekł – wpływ, jaki na całą ludzkość wywrze kiedyś ostateczne zwycięstwo i ustalenie się demokracji, należy w rachunku koniecznie wziąć pod uwagę czynnik odległości epoki, w której takie ustalenie się idei demokratycznych

zostanie przypuszczalnie osiągnięte. Czy jednak zdołasz mi wymienić jednego chociaż pisarza poświęcającego swe pióro zagadnieniom rządu, który uznałby, że ten szczególny problem wart jest w ogóle dyskusji?

Tutaj umilkł na chwilę, podszedł do szafy z książkami i wyjął z półki popularny podręcznik historii naturalnej. Potem poprosił mnie, abym zamienił z nim miejsce, przez co mógł dojrzeć lepiej drobny druk na kartach książki, usiadł w moim fotelu przy oknie, otworzył gruby tom i podjął rozmowę w tym samym co poprzednio tonie.

– Gdyby nie zdumiewająca wprost dokładność i drobiazgowość – ciągnął – z jaką opisałeś potworne zwierzę, może nigdy nie byłbym zdolny wyjaśnić ci tej tajemnicy. Pozwól, że najpierw przeczytam odpowiedni dla umysłowości uczniaka opis odmiany *Sphinx* rodziny *Crepuscularia* gatunku *Lepidoptera* rzędu *Insecta*, czyli owadów. Posłuchaj!

„Cztery błoniaste skrzydła pokryte barwną łuską o metalicznym lśnieniu; wargi tworzące rurkowatą trąbkę (co jest spowodowane przez wydłużenie się szczęk), po bokach której znajdujemy szczątkowe ślady szpecinowatych macek; dwa różki w kształcie wydłużonych pałek. Odwłok ostro zakończony. Dawnymi czasy ćma trupia główka wywoływała panikę wśród ciemnoty ludzkiej, a to z powodu melancholijnego jakby okrzyku, który z siebie wydaje, oraz rysunku przypominającego trupa czaszkę na pancerzu”.

Tu kuzyn mój zamknął księgę i pochylił się w krzesło, siadając dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ja siedziałem, oglądając poczwarną zjawę.

– Ach, widzę ją! – zawołał po chwili. – Wchodzi właśnie na stok. Przyznaję, że wygląd ma zaskakujący. Ale mimo wszystko nie jest ona tak duża ani nie znajduje się w takim oddaleniu, jak ci się zdawało, bo gdy ją teraz obserwuję wspinającą się w górę po pajęczynie, którą jakiś pajak zasnuł okno, dochodzę do wniosku, że ma co najwyżej jedną szesnastą cala długości i znajduje się w oddaleniu jednej szesnastej cala od tęczy mojego oka.

*Tłumaczyła Krystyna Tarnowska*



<sup>1</sup> Cottage orné (fr.) – pięknie urządzonego domku (przyp. red.).

# Okulary

**D**awnymi laty wyśmiewano samą ideę „miłości od pierwszego wejrzenia”; ale ci, co myślą, jak również ci, co odczuwają głęboko, dowodzili zawsze, że miłość taka istnieje. Dzięki współczesnym odkryciom w dziedzinie, którą można by nazwać estetycznym magnetyzmem czy też magnetoestetyką, stało się prawdopodobne, że najnaturalniejszymi, a co za tym idzie najprawdziwszymi i najsilniejszymi spośród ludzkich uczuć są te, które powstają w sercu jak iskra elektryczna – słowem, że najtrwalsze i najpiękniejsze więzi duchowe nawiązywane bywają od pierwszego wejrzenia. Wyznanie, które za chwilę uczynię, będzie jeszcze jednym z niezliczonych przykładów prawdziwości tego twierdzenia.

Opowiadanie niniejsze wymaga, abym był drobiazgowy. Jestem jeszcze bardzo młody, nie skończyłem dwudziestu dwu lat. Moje obecne nazwisko należy do rzędu pospolitych i trochę może gminnych – Simpson. Powiedziałem: „moje obecne nazwisko”, gdyż noszę je od bardzo niedawna. Przybrałem nazwisko Simpson mocą aktu prawnego, aby otrzymać okazały spadek zapisany mi przez krewniaka z bocznej linii, Adolfa Simpsona. Legat był uwarunkowany przyjęciem nazwiska spadkobiercy. Nazwiska, nie imienia. Na chrzcie otrzymałem imiona Napoleon Bonaparte. Raczej tylko Napoleon, to drugie jest dodatkiem.

Przyjąłem nazwisko Simpson niechętnie, ulegając bowiem wybaczalnej słabostce, dumny byłem z mojego nazwiska Froissart, jako że miałem pewne podstawy do przypuszczeń, że pochodzę od nieśmiertelnego autora *Kronik*. A skoro już zatrzymaliśmy się przy tym temacie, wspomnę o zabawnej zbieżności dźwięków w nazwiskach kilku pokoleń moich bezpośrednich przodków. Mój ojciec, niejaki Monsieur Froissart z Paryża, ożenił się z moją matką, piętnastoletnią w dniu

ślubu, Mademoiselle Croissart, najstarszą córką bankiera Croissarta, którego żona a moja babka, córka niejakiego Wincentego Voissarta, poszła do ołtarza, mając lat szesnaście. Ów Wincenty Voissart – rzecz doprawdy niezwykła – ożenił się z osobą podobnego nazwiska, panną Moissart, która wychodząc za niego za mąż, była niemal dzieckiem; także jej matka, Madame Moissart, stanęła na ślubnym kobiercu w wieku lat szesnastu. Tego rodzaju wczesne małżeństwa są we Francji czymś bardzo pospolitym. Tak więc moimi przodkami w prostej linii byli: Moissartowie, Voissartowie, Croissartowie i Froissartowie. Ale ja, powtarzam, przyjąłem na mocy aktu prawnego nazwisko Simpson; tak jednak bardzo było to przeciwne moim chęciom, że w pierwszej chwili naprawdę się zastanawiałem, czy nie odrzucić legatu wraz z jego irytującym i bezsensownym *proviso*.

Jeżeli idzie o przymioty ciała, los bynajmniej mnie nie upośledził. Przeciwnie, jestem, zdaje się, dobrze zbudowany, a moją twarz dziewięćdziesiątych ludzi na świecie nazwałoby twarzą urodziwą. Mam pięć stóp i jedenaście cali wzrostu, włosy ciemne i faliste, nos dość kształtny i duże szare oczy, po których jednak nikt by się nie domyślił, jak bardzo źle widzę. Otóż ta wada wzroku zawsze ogromnie mnie martwiła, próbowałem więc kolejno wszelkich środków – prócz noszenia okularów. Nie cierpię okularów i uparcie odmawiałem posługiwania się nimi, co jest dość zrozumiałe u człowieka tak młodego i przystojnego. Ale bo też trudno sobie wyobrazić coś, co bardziej szpeciłoby młodą twarz, co wyciskałoby na niej wyrazistsze piętno przesadnej skromności, jeśli nie zgoła świętoszkowatości, i starczego wieku. Z drugiej zaś strony mężczyzna w monoklu ma wygląd fircykowaty i afektowany. Dotąd dawałem sobie jakoś radę zarówno bez okularów, jak bez monokla. No, dość już tych szczegółów dotyczących mojej powierzchowności, ostatecznie nie są to sprawy najważniejsze. Dodam jeszcze tylko, że temperament mam sangwiniczny, charakter zaś porywczy, zapalczywy, entuzjastyczny – i że całe życie byłem gorącym wielbicielem kobiet.

Zeszłej zimy wszedłem pewnego wieczoru do loży teatru P... w towarzystwie mojego przyjaciela, pana Talbota. Wystawiano operę, a

ponieważ afisze zapowiadały nadzwyczajną atrakcję, sala wypełniona była po brzegi. Przyszliśmy jednak na czas i zdążyliśmy wykupić zarezerwowane dla nas miejsca w pierwszych rzędach, do których z trudem utorowaliśmy sobie drogę poprzez zatłoczony teatr.

Przez dwie godziny mój towarzysz, istny fanatyk muzyki, skupiał całą uwagę na scenie. Tymczasem ja zabawiałem się obserwowaniem widowni, gdzie dostrzegłem samą niemal elitę miasta. Zaspokoiwszy ciekawość w tym względzie, miałem już zwrócić oczy na primadonnę, gdy wtem wzrok mój przykuła postać w jednej z łóż bliżej sceny – postać, która dotąd uszła mojej uwagi.

Choćbym żył tysiąc lat, nie zapomnę nigdy emocji, jakich mi dostarczył ten widok. Była to postać niewieścia najpowabniejsza, jaką dotąd widziałem. Twarz zwrócona ku scenie kryła się przed moim wzrokiem, lecz kształty – kształty były boskie; żadne inne słowo nie zdoła określić doskonałości proporcji, ale nawet ten termin wydał mi się dziwnie blady, gdy go wypisałem na papierze.

Magia pięknych kobiecych kształtów, czar wdzięku kobiecego – były to moce, którym nigdy nie umiałem się oprzeć. Lecz tu oto zobaczyłem przed sobą wdzięk wcielony, ucieleśniony, *beau ideal*<sup>1</sup> najdzikszych moich i najognistszych marzeń. Nieznajoma (konstrukcja łoży pozwalała mi ją widzieć niemal całą) była wzrostu powyżej średniego i postawy prawie, jeśli nie zupełnie, majestatycznej. Radowała wzrok doskonała krągłość i *tournure*<sup>2</sup> jej kształtów. Głowa, której jedynie tył widziałem, rywalizować mogła z głową greckiej Psyche, uwydatniał zaś jej szlachetne kontury wytworny kapelusik z *gaze aérienne*, przywodzący mi na myśl *ventum textilem* Apulejusza. Piękna pani trzymała prawą rękę przewieszoną przez balustradę łoży, idealna zaś harmonia jej linii dreszczem przenikała moje ciało. Górną część ramienia krył szeroki, luźny rękaw modnego obecnie kroju. Rękaw ów sięgał nieco poniżej łokcia. Dalej był zarękawek obcisły z cienkiej materii, zakończony mankietem z suto marszczoną koronką, która opadając wdzięcznie na dłoń, ukazywała tylko smukłe palce; na jednym z nich skrzył się pierścień z brylantem ogromnej, jak to zaraz spostrzegłem, wartości. Rozkoszną krągłość

przegubu dłoni uwydatniała bransoleta o pięknych ornamentach, zapięta na wspaniałą *aigrette* z drogich kamieni, świadcząca zarówno o bogactwie, jak o wybrednym smaku właścicielki.

Wpatrywałem się w tę królewską postać najmniej pół godziny, jakbym nagle zamienił się w kamień; i w tym czasie objawiła mi się z mocą nieodpartą prawda zawarta w tym wszystkim, co zostało powiedziane lub wyśpiewane na temat „miłości od pierwszego wejrzenia”. Doświadczałem teraz uczuć zgoła innych niż wszystkie moje dotychczasowe doznania, nawet w obecności najsłynniejszych okazów niewieściej urody. Niewytłumaczona i – nie mogę tego nazwać inaczej – magnetyczna więź duszy z duszą przykuła nie tylko mój wzrok, lecz także wszystkie myśli i uczucia do zachwycającego przedmiotu moich westchnień. Zrozumiałem... czułem... widziałem, że kocham miłością szaloną, gorącą, nieodwołalną – i to zanim zobaczyłem twarz ukochanej istoty. Tak potężna była ta trawiąca mnie namiętność, iż naprawdę przypuszczam, że gdyby niewidziane dotąd rysy okazały się pospolite, nie ostudziłoby to mojego zapału; albowiem jedyna prawdziwa miłość, miłość od pierwszego wejrzenia, jest zjawiskiem natury niezwyklej i tylko w małym stopniu zależy od warunków zewnętrznych, które jedynie pomagają do jej powstania.

Gdy w zachwyceniu przyglądałem się tej uroczej zjawie, jakieś niespodziane zamieszanie na widowni sprawiło, że moja ukochana obróciła głowę nieco w moją stronę, ukazując profil. Piękno jej rysów przeszło moje oczekiwania – acz jednocześnie dojrzałem w nich coś, co mnie rozczarowało, choć nie umiałbym określić dokładnie, co to było. Powiedziałem „rozczarowało”, ale nie jest to słowo właściwe. Moja miłość jak gdyby uciszyła się i zarazem wysublimowała – mniej było teraz w moim sercu uniesienia, a więcej spokojnego zachwytu, błogiej ciszy. Uczucia te brały może swój początek w macierzyńskim wyrazie jej twarzy, przypominającej oblicze Madonny; ale zrozumiałem natychmiast, że istnieje inna jeszcze przyczyna. Było tu coś... jakaś tajemnica, której nie umiałem zgłębić... coś nieuchwytnego w tych rysach, co jednocześnie niepokoiło i zaciekało.

Słowem, znajdowałem się teraz w stanie ducha, w jakim młody a wrażliwy mężczyzna gotów jest się ważyć na każde szaleństwo. Gdyby piękna nieznajoma była sama, bez wątpienia wszedłbym do jej łoży i nie bacząc na nic, przemówiłbym do niej; ale na szczęście towarzyszyły jej dwie osoby, dżentelmen i dama olśniewającej urody, najwyraźniej kilka lat młodsza od mojej uwielbianej.

Powiedziałem sobie w duchu, że jutro muszę zostać jej przedstawiony, i rozpatrywałem tysiączne tego sposoby, teraz zaś pragnąłem lepiej przyjrzeć się tym nieziemskim wdziękom. Zmieniłbym miejsce i usiadł bliżej niej, ale uniemożliwiał mi to tłok panujący w teatrze; z drugiej zaś strony surowe dekrety mody wzbraniały ostatnimi czasy używać w tego rodzaju okolicznościach lornetki – nawet gdybym szczęśliwym trafem miał ją przy sobie. A ponieważ nie miałem, popadłem w najczarniejszą rozpacz.

W końcu zwróciłem się o pomoc do mojego przyjaciela.

– Słuchaj, mój drogi – rzekłem – masz przecież lornetkę. Pożycz mi ją na chwilę.

– Lornetkę? Ja? Uchowaj Boże! Po co mi lornetka? – I z tymi słowy odwrócił się zniecierpliwiony ku scenie.

– Och, człowieku, posłuchaj – dodałem, ciągnąc go za rękaw. – Spójrz na tę łożę. Nie, nie na tamtą... na tę dalszą. Czyś widział kiedy kobietę tak olśniewającej urody?

– Jest bardzo piękna, nie przeczę – odparł.

– Nie wiesz przypadkiem, kto to?

– Mój Boże, czyżbyś naprawdę nie wiedział? „Nie znając jej, dowodzisz, żeś jest sam nieznany”. Przecież to słynna Madame Lalande, renomowana piękność, o której mówi całe miasto. Ma ogromny majątek, a co więcej, jest wdową... wspaniała partia. Niedawno przyjechała z Paryża.

– Znasz ją?

– Tak, dostąpiłem tego zaszczytu.

– Przedstawisz mnie?

– Oczywiście, jak najchętniej. Kiedy?



– Jutro punktualnie o pierwszej wpadnę po ciebie do B...

– Doskonale. A teraz bądź łaskaw zamilknąć, jeśli to możliwe.

Chcąc nie chcąc, musiałem zastosować się do jego rady, Talbot pozostał bowiem głuchy na wszelkie moje dalsze pytania czy prośby i przez resztę wieczoru całą uwagę skupiał na scenie.

A tymczasem ja nie odrywałem oczu od Madame Lalande i w końcu, ku bezprzytomnej mojej radości, ujrzałem ją *en face*. Była to twarz nieskończenie piękna; naturalnie serce powiedziało mi o tym, jeszcze zanim Talbot zaspokoił moją ciekawość w tym względzie – nadal jednak niepokoiło mnie w niej coś nieuchwytnego, czego nie umiałem zrozumieć. Po namyśle doszedłem do wniosku, że jest to jakby powaga czy smutek lub raczej może znużenie, które, ujmując cudnemu obliczu odrobinę młodości i świeżości, obdarzało je w zamian seraficzną słodyczą i majestatem, te zaś dziesięciokroć bardziej pociągały moją naturę romantyczną i skłoną do uniesień.

Gdy tak poilem radością oczy, nagle – ogromnie zaniepokojony – zorientowałem się po prawie niedostrzegalnym drzeniu, które przebiegło zachwycającą postać, że dama poczuła na sobie mój wzrok. Fascynacja była jednak tak silna, że nawet na sekundę nie mogłem oderwać od niej oczu. Odwróciła twarz i znów widziałem tylko jej cudownie rzeźbioną głowę. Po kilku minutach, jak gdyby nagłona ciekawością, ponownie się ku mnie obróciła i ponownie jej ogromne czarne oczy spotkały mój palący wzrok. Spuściła natychmiast powieki i oblała się ciemnym rumieńcem. Ale w jak bezgraniczne popadłem zdumienie, kiedy zobaczyłem, że nie tylko nie odwraca głowy, lecz, co więcej, bierze do ręki wiszące jej u paska *lorgnon*... podnosi je... przykłada do oczu i uważnie, jawnie przygląda mi się przez kilka chwil!

Gdyby ziemia rozwarła mi się pod stopami, nie byłbym chyba bardziej osłupiały. Ale tylko osłupiały – nie czułem się ani urażony, ani zgorszony; chociaż u każdej innej kobiety postępek tego rodzaju raziłby mnie zapewne i gorszył. Jednakże jej zachowanie nacechowane było takim spokojem, taką nonszalancją i swobodą, słowem, dowodziło manier tak

wykwintnych, że nikt nie mógłby się w nim dopatrzeć zwykłego zuchwalstwa, ja zaś nie odczuwałem nic poza zdumieniem i zachwytem.

Zauważyłem, że kiedy po raz pierwszy przyłożyła *lorgnon* do oczu, zadowolona się najkrótszą inspekcją mojej osoby i już opuszczała rękę – gdy wtem, jak gdyby uderzyła ją jakaś nowa myśl, znów podniosła szkła i przyglądała mi się uważnie przez kilka minut. Pewien jestem, że najmniej przez pięć.

Ten postępek, tak niezwykły w amerykańskim teatrze, zwrócił powszechną uwagę i przyjęty został jakimś nieokreślonym szmerem, nieuchwytnym ruchem na widowni, co na kilka chwil wtrąciło mnie w niemałe zmieszanie, lecz nie wywarło najmniejszego wrażenia na Madame Lalande.

Zaspokoiwszy ciekawość – jeżeli ta była motorem jej działania – piękna pani odjęła od oczu szkła i spokojnie przeniosła wzrok na scenę; tak jak przedtem, profil jej zwrócony był ku mnie. Nadal nie odrywałem od niej oczu, chociaż rozumiałem, jak skandalicznie postępuję. Niebawem zauważyłem, że dama powoli i ostrożnie zmienia pozycję głowy, a już po chwili miałem pewność, że udając tylko zainteresowanie sceną, cały czas z wielką pilnością mnie się przygląda. Nie muszę chyba wyjaśniać, w jaki sposób podziałało to na moją pobudliwą naturę, zwłaszcza że dama tak była fascynująca.

Owa inspekcja trwała najmniej minut piętnaście, po czym piękna moja bogdanka zwróciła się do towarzyszącego jej dżentelmena, a gdy doń mówiła, zorientowałem się po rzucanych mi spojrzeniach, że rozmowa mnie dotyczy.

Umilkłszy Madame Lalande znowu przeniosła wzrok na scenę i przez kilka minut zdawała się być całkowicie pochłonięta przedstawieniem. Lecz chyba nietrudno sobie wyobrazić moje wzburzenie, gdy nagle spostrzegłem, że obróciwszy głowę po raz drugi, podnosi wiszące jej u paska *lorgnon* i nie bacząc na szmer rozlegający się na widowni, ogląda mnie od stóp do głów z tym samym, wprost cudownym opanowaniem, które tak mnie przedtem zachwycało i tak zmieszało.

Otóż to zdumiewające zachowanie się obiektu moich westchnień wtrąciło mnie w stan gorączkowego podniecenia, w istne delirium miłości, a tym samym rozzuchwaliło mnie miast onieśmielić. W bezprzytomnym zachwyceniu zapomniałem o wszystkim prócz obecności i majestatycznego piękna niebiańskiej zjawy przed moimi oczami. Czekałem na sposobną chwilę, a gdy mi się zdawało, że uwaga widowni całkowicie jest pochłonięta przedstawieniem, pochwyliłem spojrzenie Madame Lalande i ruchem lekkim, acz wyraźnym skłoniłem głowę.

Zarumieniła się gwałtownie, potem odwróciła wzrok, potem ostrożnie, ukradkiem rozejrzała się dokoła, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy mój nieopatrzny czyn został zauważony, i wreszcie pochyliła się do pana, który siedział u jej boku.

Nękała mnie teraz świadomość niewłaściwości mojego postępowania i oczekiwałem lada chwila skandalu, podczas gdy jednocześnie przed oczyma wyobraźni przemknął mi niemiły obraz pistoletów wręczanych mi nazajutrz o świcie. Toteż odczułem wielką ulgę, zorientowawszy się niemal natychmiast, że dama bez słowa wręczyła towarzyszowi program. Ale może czytelnik zdoła sobie choć w części wyobrazić, jak byłem zdziwiony, jak do głębi zdumiony, jak oszołomiony, gdy zaraz po tym, powtórnie obrzuciwszy salę ukradkowym spojrzeniem, dama mojego serca utopiła gwiazdziste spojrzenie w moich oczach i ukazując w najdelikatniejszym uśmiechu rząd zębów niczym perły, dwukrotnie w sposób wyraźny, wymowny i niedwuznaczny skinęła mi głową.

Zbędnym byłoby opisywać moją radość, moje uniesienie, moją bezgraniczną ekstazę. Jeżeli nadmiar szczęścia może doprowadzić człowieka do szaleństwa, ja byłem tamtej chwili szalony. Kochałem. Była to moja pierwsza miłość, tak to odczuwałem. Miłość wzniosła i niedająca się opisać. Miłość „od pierwszego wejrzenia”, która od pierwszego wejrzenia została dostrzeżona i odwzajemniona.

Tak, odwzajemniona. Jak mogłem... czemu bym miał w to wątpić? Czymże innym mógłbym wytłumaczyć ów ostatni postępek osoby tak pięknej i mającej, tak kulturalnej, wysoko urodzonej, należącej do najświetniejszego towarzystwa – słowem, damy tak pod każdym

względem godnej najwyższego szacunku jak Madame Lalande. Kochała mnie, porwał ją mój entuzjazm, odwzajemniła mi miłością równie ślepą i absolutną, równie niewyrachowaną i zdolną do wyrzeczeń, równie bezgraniczną jak moje do niej uczucie! Lecz oto nagle spadła kurtyna, kładąc kres moim rozkosznym rozmyśleniom i marzeniom. Publiczność wstała z miejsc, na sali zapanowało zwykle w takich wypadkach zamieszanie. Pożegnawszy czym prędzej Talbota, starałem się wszelkimi siłami utorować sobie drogę w pobliże Madame Lalande. Ścisk był jednak tak wielki, że moje usiłowania spełzły na niczym, poniechawszy więc pogoni, skierowałem się do domu; a chociaż boleśnie byłem rozczarowany, że nie mogłem choćby dotknąć kraju jej sukni, niemałą pociechę niosła mi myśl, że jutro Talbot przedstawi mnie mojej najpiękniejszej z zachowaniem towarzyskiego ceremoniału.

To wytęsknione jutro przyszło w końcu, a raczej zaświtał wreszcie dzień po długiej i nużącej nocy oczekiwania. I potem wlokące się nieznośnie, posępne, niezliczone godziny aż do pierwszej... Ale wszystko na świecie się kończy, skończyła się więc też owa męcząca zwłoka. Zegar wybił godzinę. Gdy przebrzmiało ostateczne uderzenie, wszedłem do B... i spytałem o Talbota.

– Pana Talbota nie ma w domu – odparł służący.

– Nie ma w domu! – zawołałem, postąpiwszy w tył kilka kroków. – Pozwól sobie powiedzieć, mój pocziwcze, że to jest absolutnie niemożliwe i wykluczone. Pan Talbot jest w domu. Co właściwie miałeś na myśli, mówiąc, że go nie ma?

– Nic specjalnego, proszę pana. Tylko to, że go nie ma. Zaraz po śniadaniu pojechał do S... i kazał powiedzieć, że wróci do miasta dopiero za tydzień.

Stałem skamieniały z rozpacz i wściekłości. Usiłowałem coś powiedzieć, ale język odmówił mi posłuszeństwa. W końcu pobladły z gniewu obróciłem się na pięcie i odszedłem, wysyłając w duchu całe plemię Talbotów do najgłębszych czeluści Hadesu. Mój uczynny przyjaciel, *il fanatico* Talbot, zapomniał najwyraźniej o naszym spotkaniu – i to zapomniał w chwilę po tym, jak się ze mną umówił. Zresztą nigdy

nie był człowiekiem słownym. Cóż, nie miałem na to rady; opanowawszy więc jako tako rozdrażnienie, zacząłem w posępnym nastroju przechadzać się po ulicach, zasypując każdego napotkanego znajomego daremnymi pytaniami o Madame Lalande. Jak się przekonałem, ze słyszenia znali ją wszyscy, wielu znało ją z widzenia, że jednak przebywała w mieście od kilku zaledwie tygodni, tylko nieliczni mogli się poszczycić osobistą z nią znajomością. Tych zaś łączyły z Madame Lalande stosunki tak oficjalne, że nie chcieli – lub też po prostu nie śmieli – przedstawić mnie pięknej damie podczas ceremonialnej porannej wizyty w jej domu. I gdy zrozpaczony stałem na chodniku, rozmawiając z trójką przyjaciół o przesłaniającym sobą wszystko przedmiocie moich marzeń, ówże przedmiot zjawiał się nagle we własnej osobie.

– Przebóg, to ona! – zawołał jeden z moich towarzyszy.

– Zaskakująco piękna! – dodał drugi.

– Anioł stąpający po ziemi! – wykrzyknął trzeci.

Spojrzałem. W nadjeżdżającym powoli w naszą stronę otwartym ekwipażu siedziało cudne zjawisko z opery w towarzystwie młodszej damy, która wczoraj dzieliła z nią łóżę.

– Jej towarzyszka też się dobrze trzyma – rzekł ten, który odezwał się pierwszy.

– Zdumiewająco dobrze – przyznał drugi. – Ale czego sztuka nie dokona! Na honor, ta niewiasta wygląda dziś lepiej, niż kiedy pięć lat temu widziałem ją w Paryżu. Wciąż piękna z niej kobieta. A co ty o tym myślisz, Froissart... chciałem powiedzieć, Simpson?

– Wciąż piękna! – zawołałem. – A czemuż by nie miała być piękna? Choć w porównaniu ze swoją towarzyszką jest jak ogarek świecy przy gwieździe wieczornej, jak robaczek świętojański przy Antaresie.

– Cha, cha, cha! Masz, drogi chłopcze, wprost zdumiewający talent dokonywania odkryć, i to jakich oryginalnych!

Z tym rozstaliśmy się. Odchodząc jeden z moich przyjaciół nucił wesołą piosenkę z wodewilu, z której zdołałem pochwytać te tylko słowa:

*Ninon de L'Enclos, Ninon, Ninon*

*Precz z nią, precz z nią, precz z nią...*

Ale podczas opisanej powyżej sceny jedna rzecz bardzo mnie pocieszyła, chociaż jednocześnie podsyciła namiętność trawiącą mi duszę. Gdy powóz Madame Lalande mijał nas, zauważyłem, że piękna pani mnie poznała; co więcej, uszczęśliwiła mnie uśmiechem tak anielskim, jakim nikt dotąd nie uśmiechał się na tej Ziemi.

Jeżeli idzie o możliwość nawiązania z nią znajomości, musiałem wyrzec się wszelkich nadziei aż do czasu, gdy Talbot wróci do miasta. Czekając na tę chwilę, odwiedzałem kolejno wszystkie wykwintne miejsca publicznych rozrywek i w końcu w tym samym teatrze, w którym ją po raz pierwszy ujrzałem, dostąpiłem niewypowiedzianego szczęścia. Spotkaliśmy się i po raz drugi wymieniliśmy z nią spojrzenia. Ale zdarzyło się to dopiero po upływie dwóch tygodni. W ciągu tego długiego *interim*<sup>3</sup> co dzień dopytywałem się o Talbota i co dzień ta sama odpowiedź jego lokaja – nie, jeszcze nie wrócił – doprowadzała mnie do paroksyzmów wściekłości.

Tak więc tego drugiego wieczoru, o którym mowa wyżej, znajdowałem się w stanie bliskim obłądu. Mówiono mi przecież, że Madame Lalande jest paryżanką, że niedawno przyjechała z Francji... Kto wie, czy nagle nie zechce tam wrócić, czy nie odjedzie, zanim Talbot się zjawi, i w ten sposób na zawsze zniknie mi z oczu? Ta myśl była straszna. Ponieważ w grę wchodziło przyszłe szczęście całego mojego życia, postanowiłem działać stanowczo i po męsku. Słowem, gdy skończyło się przedstawienie, podążyłem za moją bogdanką, zobaczyłem, gdzie mieszka, i nazajutrz posłałem jej długi i kunsztowny list, w którym otworzyłem przed nią serce i całą miłość wylałem na papier.

Wypowiedziałem się śmiało i swobodnie, żar namiętności bił z moich słów. Nie ukrywałem nic, nawet własnych słabostek. Napomknąłem o romantycznych okolicznościach naszego pierwszego spotkania – odważyłem się wspomnieć nawet o spojrzeniach, któreśmy wymienili. Posunąłem się aż do wyznania, że pewien jestem jej miłości. Tym zaś wewnętrznym przeświadczeniem, a także potęgą własnych dla niej uczuć usprawiedliwiałem moje skądinąd naganne i niewybaczalne zachowanie. Jako trzecie dla siebie usprawiedliwienie powołałem się na dławiący

mnie lęk, że ona może wyjechać z miasta, zanim zostaną jej formalnie przedstawiony. Zakończyłem tę najdzikszą w swoim zapale epistolę miłosną, jaką ktokolwiek kiedykolwiek napisał, uczciwą deklaracją co do mojej sytuacji życiowej i majątkowej, i wreszcie ofiarowałem lubej zarówno serce, jak i rękę.

W niewymownej udręce oczekiwałem odpowiedzi. Dni, które upłynęły, były dla mnie stuleciem. I wreszcie odpowiedź przyszła.

Tak, przyszła. Jakkolwiek się to może wydać romantyczne, naprawdę otrzymałem list od Madame Lalande – od pięknej, bogatej, uwielbianej Madame Lalande. Jej oczy, jej wspaniałe, cudowne oczy nie skłamały – podobnie jak nie skłamało to szlachetne serce. Będąc prawdziwą Francuzką, posłuchała szczerých nakazów rozumu, szlachetnych impulsów natury – wzgardziwszy konwencjonalną pruderią świata. Nie wyszydziła moich propozycji. Nie schroniła się za murem milczenia. Nie zwróciła mi listu nie odpieczętowanego. Przeciwnie, przysłała mi odpowiedź napisaną własną swą precudną ręką, odpowiedź następującej treści:

*Monsieur Simpson wibaczi mi, że nie mówi dobrze jego piękny język, jak by chciała. Przyjechała dopiero niedawno i nie miała jeszcze okazji, żeby po... go... l'étudier.*

*Przepraszam za ta... manière i teraz powim, że – hélas! Monsieur Simpson zgadła aż za dobrzi. Czy ja musi dodawać więcej? Hélas! I tak powiedziałam za dużo!*

*Eugenia Lalande*

Ucałowałem ten szlachetny w tonie liścik najmniej milion razy i zapewne popełniłem z jego powodu tysiące najrozmaitszych niedorzeczności, których teraz nie pamiętam. A Talbot wciąż nie wracał. Ach, gdyby mógł mieć najlżejsze chociaż wyobrażenie o cierpieniu, jakiego mi przyczyniał swoją nieobecnością, wrażliwe i współczujące serce natychmiast kazałoby mu pośpieszyć na ratunek. Ale cóż, kiedy nadal nie przyjeżdżał. Napisałem do niego. Odpisał mi. Zatrzymują go pilne sprawy, wróci wszakże niebawem. Zaklinał mnie jednak w liście, abym był cierpliwy, powściągnął swą namiętność, czytywał książki kojące, nie

pił trunków mocniejszych od Hocka i szukał pociechy w filozofii. Głupiec! Jeżeli nie mógł sam przyjechać, czemu nie przysłał mi listu polecającego? Napisałem powtórnie, błagając o taki list. Moje wezwanie zostało mi zwrócone przez tego lokaja, z nabazgranym na kopercie dopiskiem. Łajdak pośpieszył na wieś za swoim panem. Oto co przeczytałem:

*Wyjechał z S... wczoraj w nieznanym kierunku – nie powiedział dokąd – ani kiedy wróci – a że poznałem Pana pismo, więc pomyślałem, że lepiej zwrócić list – bo Pan to się zawsze niemożliwie śpieszy.*

*Z poważaniem*

*Stubbs*

Nie muszę chyba dodawać, że po tym zdarzeniu ofiarowałem piekielnym mocom zarówno pana, jak i sługę; lecz gniew niewiele mi pomógł, narzekanie zaś nie przyniosło żadnej ulgi.

Mogłem w jednym jeszcze tylko szukać ratunku – we wrodzonym zuchwalstwie. Dotąd dobrze mi służyło, postanowiłem więc posługiwać się nim aż do końca. Zresztą po wymianie listów z moją uwielbianą jakież to czyn sprzeczny z konwenansami mogłem popełnić, w granicach przyzwoitości, który Madame Lalande uznałaby za niestosowny? Od zdarzenia z listem przywykłem śledzić jej dom i niebawem przekonałem się, że co dzień o zmierzchu wychodzi z domu wraz z towarzyszącym jej lokajem Murzynem i przechadza się po publicznym skwerze naprzeciw swoich okien. Tu, pośród bujnych i cienistych pergoli, w niebieskoszarym zmierzchu rozkosznego letniego wieczoru, wyczekawszy sposobnej chwili, podszedłem do mojej wyśnionej piękności.

Nie chcąc wzbudzić podejrzeń idącego za nią lokaja, zbliżyłem się do niej ze swobodą, do jakiej upoważnia dawna i zażyła znajomość. Z typową dla paryżanki przytomnością umysłu Madame Lalande natychmiast podjęła grę i na przywitanie wyciągnęła do mnie najczarowniejszą małą dłoń. Lokaj natychmiast zwolnił kroku, a my z sercami przepelnionymi szczęściem rozpoczęliśmy długą i szczerą rozmowę o naszej miłości.

Ponieważ piękna pani słabiej jeszcze znała angielski w mowie niż w piśmie, nasza konwersacja z konieczności toczyła się po francusku. W



tym więc słodkim języku, tak bogatym w słowa miłosne, dałem upust entuzjazmowi mojej wybuchowej natury i z całą elokwencją, do jakiej byłem zdolny, błagałem Eugenię, aby wyraziła zgodę na natychmiastowe małżeństwo.

Uśmiechnęła się na widok mojej niecierpliwości. Przytoczyła odwieczny argument etykiety – to monstrum ohydne, przez które tak wielu zmarnotrawiło okazję do szczęścia. Dalej wytknęła mi, iż postępowałem nierozważnie, rozpowiadając wśród przyjaciół, że pragnę być jej przedstawiony, z tego bowiem wynikało, że jej dotąd nie znam – czyli że żadną miarą nie możemy ukryć daty naszego poznania. Potem rumieniąc się prześlicznie, wspomniała, że znajomość ta jest niezwykle krótkotrwała. Gdybyśmy się pobrali natychmiast, popełnilibyśmy czyn niewłaściwy, sprzeczny z etykietą, najzupełniej *outré*<sup>4</sup>. Wszystko to mówiła z uroczą naiwnością, która zachwyciła mnie, lecz zarazem zasmuciła i przekonała. Eugenia posunęła się aż do tego, że uśmiechając się wdzięcznie, oskarżyła mnie o popędliwość w działaniu, o brak rozwagi. Błagała, abym nie zapominał, że właściwie nie wiem, kim jest – do czego dąży w życiu, w jakim obraca się towarzystwie, jaką ma pozycję w świecie. Z cichym westchnieniem prosiła mnie, abym raz jeszcze zastanowił się nad swoją propozycją, i nazwała moją miłość odurzeniem, słomianym ogniem, chwilowym kaprysem, pozbawionym podstaw i przemijającym wytworem raczej wyobraźni niż serca. Gdy wypowiadała powyższe, czarodziejski mrok wokół nas gęstniał powoli; i potem nagle jednym delikatnym uściśnieniem prześlicznej małej dłoni w przeciągu jednej rozkosznej chwili obaliła wszystkie swoje rozumowe argumenty.

Odpowiedziałem najlepiej, jak tylko umiałem – jak tylko prawdziwie kochające serce potrafi. Mówiłem długo i z żarem o mojej miłości, o namiętności – o tym, jak jest piękna i jak zachwyca mnie jej uroda. Potem rozwodziłem się długo i szeroko a z przekonywającym zapałem nad niebezpieczeństwami czyhającymi zawsze na drodze miłości – na owej drodze, która nigdy nie bywa gładka; i na zakończenie wskazałem, jak niebezpiecznie jest przedłużać tę drogę.

Ten ostatni argument zachwiał ostatecznie jej niewzruszonym dotąd postanowieniem. Ustąpiła; ale zaraz dodała, że istnieje jedna jeszcze przeszkoda, której z pewnością nie brałem pod uwagę. Jest to materia bardzo delikatna – zwłaszcza kobiecie ciężko o niej mówić; poruszenie tego tematu wymagać będzie od niej dużej ofiary. Jednakże dla mnie gotowa jest ponieść każdą ofiarę. Ma na myśli sprawę wieku. Czy uświadamiam sobie, czy na pewno zdaję sobie sprawę z różnicy, jaka zachodzi między nami w tym względzie? Kiedy mąż starszy jest od żony o lat kilka, kilkanaście lub nawet dwadzieścia, świat uważa to za rzecz dopuszczalną, a nawet właściwą; ona jednak zawsze hołdowała przekonaniu, że żona w żadnym wypadku nie powinna być starsza od męża. Tak nienaturalna różnica wieku aż nazbyt często – niestety! – bywa przyczyną wielkich dramatów. Otóż ona wie, że mam nie więcej niż lat dwadzieścia dwa, czy jednak ja zdaję sobie sprawę, że moja Eugenia jest sporo starsza ode mnie?

Ze słów jej wyzierała szlachetność serca i szczerłość pełna godności, które mnie zachwyciły, oczarowały i na zawsze przykuły do niej najtrwalszymi z więzów. Szczęście moje było tak bezmierne, że wprost trudne do zniesienia.

– Najśłodsza moja Eugenio! – wykrzyknąłem. – Czyż warto o tym w ogóle wspominać? Masz kilka lat więcej ode mnie! Co z tego? Zwyczaje obowiązujące na świecie nie są niczym innym, jak czczymi forma-

mi konwenansu. Dla tych, co kochają tak, jak my kochamy, czymże rok różni się od godziny? Mam dwadzieścia dwa lata, to prawda. Ty zaś, najdroższa Eugenio, nie możesz mieć więcej niż... nie możesz mieć więcej niż... więcej niż... niż... niż... niż...

Tu umilkłem na chwilę, spodziewając się, że Madame Lalande poda mi swój prawdziwy wiek. Ale Francuzka rzadko bywa bezpośrednia i gdy usłyszy kłopotliwe pytanie, znajdzie zawsze jakieś praktyczne wyjście z niezręcznej sytuacji. W tym przypadku Eugenia, która od kilku chwil szukała czegoś na piersiach, upuściła w końcu na trawnik medalion z miniaturą. Podniosłem go natychmiast i podałem jej.

– Zatrzymaj to – rzekła, obdarzając mnie jednym z najczarowniejszych uśmiechów. – Zatrzymaj przez wzgląd na mnie, na tę, którą nazbyt pochlebnie przedstawia ten portrecik. Zresztą na odwrocie medalionu znajdziesz informację, którą, zdaje się, pragnąłeś otrzymać. Naturalnie teraz jest już zbyt ciemno, ale jutro z rana będziesz mógł do woli jej się napatrzeć. Tymczasem będziesz mi towarzyszył do domu. Moi przyjaciele urządzają dziś u mnie wieczór muzyczny, mogę ci więc obiecać trochę dobrego śpiewu. My, Francuzi, nie jesteśmy tak skrupulatni jak wy, Amerykanie, więc chyba bez trudu zdołam cię przemycić do domu jako dawnego znajomego.

Co powiedziawszy, wsunęła mi dłoń pod ramię i tak odprowadziłem ją do domu. Rezydencja była okazała i, jeśli się nie mylę, urządzona ze smakiem. Chociaż prawdę powiedziawszy, nie jestem powołany, żeby w tej drugiej kwestii wydawać sądy, było już bowiem ciemno, kiedyśmy przyszli, a podczas letnich upałów w amerykańskich wykwinnych domach światło rzadko zjawia się o tej najmilszej porze dnia. Naturalnie mniej więcej w godzinę po moim przyjsciu zapalono w głównym salonie lampę ocienioną abażurem i dzięki temu zobaczyłem, że pokój ten urządzony jest z wielkim smakiem, a nawet wspaniałością; lecz dwa pozostałe pokoje, w których towarzystwo najczęściej przesiadywało, przez cały wieczór pozostawały w miłym półmroku. Jest to zwyczaj bardzo mądry, dający gościom do wyboru światło lub cień; nasi przyjaciele zza oceanu powinni go jak najspieszniej przyjąć.

Wieczór tak spędzony był najcudowniejszym w moim życiu. Madame Lalande nie przeceniała muzycznych uzdolnień swoich przyjaciół; i nigdzie poza Wiedniem nie zdarzyło mi się słyszeć w prywatnym domu lepszego śpiewu. Muzyków występowało wielu, wszyscy nadzwyczajnie utalentowani. W części wokalne popisywały się przeważnie panie i każda z nich śpiewała co najmniej dobrze. A gdy nagle goście zaczęli dopominać się bardzo stanowczo o Madame Lalande, ona bez afektacji czy fałszywej skromności podniosła się z szezlongu, na którym siedzieliśmy we dwoje, i odprowadzona przez dwóch panów i przyjaciółkę z opery, udała się do fortepianu w głównym salonie. Sam byłbym podał jej ramię, pomyślałem

jednak, że wobec okoliczności, w jakich zostałem wprowadzony do tego domu, lepiej zrobię, nie zwracając na siebie uwagi. W ten sposób pozbawiony zostałem przyjemności patrzenia na moją ukochaną, chociaż ją słyszałem.

Śpiew jej najwyraźniej elektryzował zebranych, ale wrażenie, jakie na mnie wywarł, było czymś jeszcze silniejszym. Nie wiem doprawdy, jak je opisać. W pewnej mierze złożyła się na nie miłość przepełniająca mi serce, głównie jednak – wewnętrzne przekonanie o nadzwyczajnej wrażliwości śpiewaczki. Nadać arii czy recitativo więcej natchnionego wyrazu, niżli to robiła – ach, rzecz taka wykracza daleko poza granicę śpiewaczego kunsztu. Do dziś rozbrzmiewa mi w uszach jej głos, gdy śpiewała pieśń liryczną z *Otella*, dźwięk nadany słowom *Sul mio sasso*<sup>5</sup> w *Capulettich*. Jej niskie tony oszałamiały. Obejmowała trzy pełne oktawy, od kontraltowego D do górnego D w sopranie, a choć głos jej dość był silny, aby wypełnić dźwiękiem San Carlos, to jednak oddawała z nadzwyczajną precyzją wszystkie najtrudniejsze miejsca kompozycji wokalne – skala w górę i w dół, kadencja i *fiorituri*. W zakończeniu *Sonnambuli* cudownie odśpiewała:

*Ah! non giunge uman pensiero*

*Al contento ond'io son piena.*

W miejscu tym, naśladując Malibran, zmieniła oryginalną frazę Belliniego. Zniżywszy głos do tenorowego G, szybkim przejściem sięgnęła do G nad pięciolinia w wiolinie i w ten sposób przeskoczyła dwie oktawy.

Po dokonaniu tych cudów sztuki wokalne wstała od fortepianu i w chwilę później znów była u mego boku. Wymówiłem jej wtedy w najgorętszych słowach zachwyty; o zdumieniu natomiast nie wspominałem. A przecież byłem niepomernie i szczerze zdumiony. Pewna bowiem słabość czy może raczej drżenie i niepewność w jej głosie podczas zwykłej rozmowy nie pozwalały mi się spodziewać zbyt wiele po śpiewaczych uzdolnieniach pięknej Eugenii.

Rozmowa, którą wiedliśmy teraz, była długa, poważna, nieprzerwana i najzupełniej szczerą. Eugenia słuchała z zapartym tchem, gdy przytaczałem jej niektóre spośród zdarzeń mojego życia. Niczego przed

nią nie ukrywałem – czułem, że nie wolno mi niczego ukrywać przed jej ufną miłością. Zachęcony szczerym wyznaniem Eugenii w delikatnej materii wieku, zdobyłem się na szczerą podobną i opisałem jej dokładnie nie tylko wszystkie moje pomniejsze wady, lecz także zdałem szczegółowo sprawę z tych moralnych, a nawet fizycznych ułomności, których wyjawienie wymaga większej odwagi i jest tym samym dobitniejszym dowodem przywiązania. Wspomniałem o moich studenckich wybrykach, o rozmaitych ekstrawagancjach, o hulankach, długach, romansach. Posunąłem się aż do tego, że napomknąłem o gorączce i kaszlu, który mnie kiedyś trapił, o chronicznym reumatyzmie, o zadatkach na dziedziczną podagrę i wreszcie na zakończenie o przykrej i utrudniającej mi życie, lecz dotąd starannie ukrywanej ułomności wzroku.

– Czyniąc to ostatnie wyznanie – rzekła Madame Lalande ze śmiechem – postąpiłeś co najmniej nierozsądnie. Bo pewna jestem, że gdyby nie ono, nikt by cię nie posądził o ten mankament. Ale skoro już o tym mówimy – dodała – czy przypominasz sobie może – i tutaj mimo mroku zdawało mi się, że dostrzegam rumieniec na jej policzkach – czy przypominasz sobie może, *mon cher ami*, ten mały przedmiocik ułatwiający patrzenie, który wisi teraz na mojej szyi?

Wypowiadając powyższe słowa, obracała w palcach *lorgnon*, które wtenczas w operze wprowadziło mnie w tak bezgraniczne zmieszanie.

– Ach, aż za dobrze je pamiętam! – odparłem, ściskając maleńką rączkę, która podała mi szkła. Było to bardzo wymyślne i przepiękne cacko, bogato cyzelowane i błyszczące od klejnotów wielkiej – jak zauważyłem mimo niedostatku światła – wartości.

– *Eh bien, mon ami*<sup>6</sup> – podjęła Madame Lalande, przy czym w zachowaniu jej dało się zauważyć pewne *empressement*<sup>7</sup>, które trochę mnie zdziwiło. – *Eh bien, mon ami*, prosiłeś mnie, abym ci okazała przychyłność w sprawie, która, jak to raczyłeś określić, ma dla ciebie wartość bezcenną. Żądałeś, abym w dniu jutrzejszym została twoją żoną. Jeżeli przychylię się do tych próśb gorących – i do pragnień własnego serca

– czyż nie będę wtedy miała prawa żądać od ciebie w zamian bardzo, bardzo małej łaski?

– Powiedz, co to jest takiego! – wykrzyknąłem z zapałem, który o mało co nie zwrócił na nas uwagi wszystkich zebranych. I gdyby nie oni, natychmiast rzuciłbym się jej do nóg.

– A więc, *mon ami*, przez wzgląd na ukochaną swoją Eugenię zwalcz, proszę, ową słabostkę, o której na ostatku wspomniałeś, ową słabostkę bardziej duchową niż fizyczną, która – wierz mi – jest poniżej twojej godności, która nie przystoi człowiekowi o tak szlachetnej naturze i tak skądinąd szczerym charakterze, która, jeśli nad nią nie zapanujesz, prędzej czy później wpędzi cię w ciężkie tarapaty. Przez wzgląd na mnie zwalcz ową afektację, która, jak to sam wyznałeś, każe ci w sposób milczący zaprzeczać istnieniu wady wzroku. Zaprzeczasz jej bowiem, skoro nie chcesz się posługiwać ogólnie przyjętymi środkami łagodzącymi tę ułomność. Rozumiesz chyba, że moim życzeniem jest, abyś nosił okulary... Ach, sza!... Już się zgodziłeś nosić je przez wzgląd na mnie. Przyjmij więc, proszę, ten drobiazg, który trzymam w ręku, bo chociaż nie posiada on wielkiej wartości jako klejnot, odda ci jednak nieocenione usługi. Spójrz! Wystarczy zmienić to w ten sposób... lub w ten sposób... a szkła mogą być przystosowane do oczu albo jako okulary, albo noszone w kieszonce kamizelki jako monokl. Jednakże przyrzekłeś już, że przez wzgląd na mnie będziesz używał ich, i to stale, w tej pierwszej postaci.

Czyż muszę podkreślić, że ta prośba mojej pięknej Eugenii niepomrotnie mnie zmieszala? Lecz warunek, z którym szła w parze, wykluczał wszelkie wahania z mojej strony.

– Umowa zawarta! – zawołałem z całym entuzjazmem, na jaki mogłem się zdobyć w tym momencie. – Umowa zawarta! Zgadzam się, zgadzam z całego serca! Dla ciebie, ukochana, gotów jestem ponieść każdą ofiarę. Dzisiaj będę nosił ten monokl jako monokl, i to w kamizelce na sercu. Ale o najwcześniejszym brzasku tego błogosławionego dnia, który pozwoli mi nazwać cię żoną, umieszczę szkła na... hm... na nosie, gdzie do końca życia będę je nosił w ich mniej romantycznej, mniej wytwornej, lecz o ileż przydatniejszej postaci okularów – tak jak ty sobie tego życzysz.

Skierowaliśmy rozmowę na sprawy związane z dniem jutrzejszym. Ukochana moja powiedziała mi, że Talbot wrócił właśnie do miasta. Postanowiliśmy, że odszukam go natychmiast oraz że z jego pomocą zamówię powóz. *Soirée*<sup>8</sup> skończy się zapewne dopiero koło drugiej, a o tym czasie powóz będzie już stał przed domem gotowy do drogi; wtedy w zamieszaniu spowodowanym odjazdem gości Madame Lalande niepostrzeżenie wsiądzie do pojazdu. Pierwsze kroki skierujemy do domu pastora, który zostanie z góry powiadomiony o naszym zamiarze; tam weźmiemy ślub, następnie zaś pożegnamy Talbota i wyruszymy w krótką podróż na Wschód, pozwoliwszy ludziom z wytwornego świata mówić o całym wydarzeniu to, co im się żywnie spodoba.

Ustaliwszy wszystkie szczegóły planu, rozstałem się z ukochaną i wyruszyłem na poszukiwanie Talbota; nie mogłem się jednak powstrzymać i po drodze wstąpiłem do hotelu, gdzie za pomocą silnie powiększających szkieł Eugenii obejrzałem dokładnie miniaturę. Ach, ta twarz zadziwiająco piękna! Te oczy promienne! Ten szlachetny w rysunku grecki nos i ciemne, lśniące pukle!

– Tak – powiedziałem sobie w radosnym uniesieniu – mam przed sobą wierny wizerunek mojej ukochanej! – Odwróciłem miniaturę i na odwrocie zobaczyłem następujący napis: „Eugenia Lalande – lat dwadzieścia siedem i miesięcy siedem”.

Zastałem Talbota w domu i bez zbędnych wstępów powiadomiłem go o szczęściu, jakiego dostąpiłem. Naturalnie jego zdumienie było niepomierne, ale pogratulowawszy mi serdecznie, zaofiarował wszelką pomoc w granicach swoich możliwości. Słowem, przeprowadziliśmy nasz plan co do najdrobniejszego szczegółu. O godzinie drugiej nad ranem, dokładnie w dziesięć minut po zakończeniu ceremonii ślubnej, znalazłem się w zamkniętym powozie u boku Madame Lalande – a raczej pani Simpson. Opuszczaliśmy z wielką prędkością miasto zdążając w kierunku północno-zachodnim.

Ponieważ całą noc spędziliśmy na nogach, za radą Talbota mieliśmy zrobić pierwszy postój w C..., osadzie oddalonej o dwadzieścia mil od miasta, i tam posilić się i odpocząć. Przeto dokładnie o godzinie czwartej

powóz zatrzymał się pod drzwiami najlepszej oberży. Pomogłem ukochanej żonie wysiąść i natychmiast zamówiłem śniadanie. Zaprowadzono nas do małej bawialni, gdzie usiedliśmy, czekając na posiłek.

Na dworze było już teraz prawie – jeśli nie zupełnie – jasno. I gdy tak patrzyłem w zachwyceniu na anioła u mego boku, nagle uderzyła mnie osobliwa myśl, że po raz pierwszy od poznania słynącej z piękności Madame Lalande mam szczęście oglądać ją przy dziennym świetle.

– A teraz, *mon ami* – rzekła ona, ujmując moją rękę i tym sposobem zmieniając bieg moich myśli – a teraz, *mon cher ami*, skoro połączeni już jesteśmy nierozzerwalnymi więzami, skoro uległam twoim namiętnym błaganiom i dotrzymałam mojej części umowy, teraz ty zapewne przypomnisz sobie, żeś winien wyświadczyć mi w zamian pewną łaskę... dotrzymać maleńkiej obietnicy. Ach, niech pomyślę... niech się zastanowię! Tak, przypominam sobie dokładnie słowa miłej obietnicy, którą złożyłeś Eugenie wczorajszego wieczoru. Posłuchaj. Tak mówiłeś: „Umowa zawarta! Zgadzam się, zgadzam z całego serca! Dla ciebie, ukochana, gotów jestem ponieść każdą ofiarę. Dzisiaj nosić będę monokl jako monokl, i to w kamizelce na sercu. Ale o najwcześniejszym brzasku tego błogosławionego dnia, który mi pozwoli nazwać cię żoną, umieszczę szkła na... hm... na nosie, gdzie do końca życia będę je nosił w ich mniej romantycznej, mniej wytwornej, lecz o ileż przydatniejszej postaci okularów – tak jak ty sobie tego życzysz”. Takich dokładnie użyłeś słów, ukochany mój mężu. Czy dobrze powtórzyłam?

– Doskonale, najdroższa Eugenio – odparłem. – Masz znakomitą pamięć. Ale zapewniam cię, moja miła, że nie zamierzam cofnąć drobnej obietnicy, którą ci złożyłem. Spójrz! Przyjrzyj mi się dobrze! Chyba mi w nich... do twarzy... prawda? – I tu, przystosowawszy szkła do noszenia ich w postaci okularów, umieściłem je ostrożnie na właściwym miejscu. Tymczasem moja małżonka poprawiła czepek i usiadła w krześle wyprostowana, z założonymi rękami, w nieco sztywnej i nienaturalnej – a prawdę mówiąc, w niezbyt wdzięcznej pozie.



– Boże miłosierny! – wrzasnąłem w tym samym momencie, w którym oprawa okularów dotknęła mojego nosa. – O, Boże miłosierny! Co to... co się dzieje z tymi okularami? – Zdjąłem szkła czym prędzej, przetarłem jedwabną chustką i ponownie je włożyłem.

Ale jeśli w pierwszej chwili przeniknęło mnie zdziwienie, już w chwili następnej zdziwienie to przerodziło się w zdumienie; w zdumienie głębokie, bezgraniczne, rzecz mogę – w zdumienie przerażające. Co to, w imię wszystkich mocy piekielnych, mogło znaczyć? Czy mogę wierzyć własnym oczom? Czy mogę? Czy... czy to jest róż? A to... to... czy to są zmarszczki na twarzy Eugenie Lalande? I och – na Jowisza i wszystkich małych i wielkich bogów i boginie Olimpu! – Co... co... co się stało z jej zębami? Zerwałem okulary, cisnąłem je o podłogę i skoczywszy na nogi, stanąłem wyprostowany na środku pokoju. Rękami podparłem boki i spoglądałem na panią Simpson, piniąc się i straszliwie wykrzywając twarz, z wściekłości jednak i przerażenia nie mogąc dobyć głosu.

Wspominałem już, że Madame Eugenia Lalande... to jest, pani

Simpson, słabiej jeszcze znała angielski w mowie niż w piśmie i z tej przyczyny w normalnych okolicznościach nigdy nie próbowała nim się posługiwać. Ale wściekłość potrafi doprowadzić kobietę do ostateczności. W tym przypadku doprowadziła panią Simpson do ostateczności zaiste zadziwiającej, to jest do próby prowadzenia rozmowy w języku, który zaledwie rozumiała.

– No i co, Monsieur? – rzekła, przyjrząwszy mi się najpierw z wielkim i nie ukrywanym zdziwieniem. – No i co, Monsieur? Co się stało? O co idzie, Monsieur? Czy tańczy tańca święty Wita? Jak się Monsieur ja nie podoba, po co kupił kot w worku?

– Ty nędznico! – rzekłem, odzyskawszy mowę. – Ty... ty stara, wstrętna wiedźmo!

– Wiedźma? Stara? Wcale nie taki stara! Ani jeden dzień więcej, jak osiemdziesiąt dwa lata.

– Osiemdziesiąt dwa lata! – jęknąłem, zatoczywszy się pod ścianę. – Osiemdziesiąt dwa tysiące diabłów piekielnych! Na miniaturze było napisane dwadzieścia siedem lat i siedem miesięcy!

– Pewnie! Tak napisane! Bardzo tak! Ale było namalowane pięćdziesiąt pięć lat temu! Jak wychodziłam za mój drugi mąż, Monsieur Lalande, kazałam namalować dla moja córka z pierwszym mąż, Monsieur Moissart!

– Moissart! – powtórzyłam.

– Tak, Moissart! – rzekła, przedrzeźniając mój akcent, który, prawdę mówiąc, wcale nie był najlepszy. – I co z tego? Co wiesz o Moissart?

– Nic, ty ohydne straszycie. Nic a nic o nim nie wiem. Tylko kiedyś miałem przodka o tym nazwisku.

– Tym nazwisku! Tym? Co ci się nie podoba w to nazwisko? To bardzo dobre nazwisko. I Voissart też bardzo dobre nazwisko. Moja córka, Mademoiselle Moissart, wyszła za pan Voissart. Oba dobre nazwisko.

– Moissart! – wykrzyknęłam. – I Voissart! O czym ty mówisz, stara czarownico?

– O czym mówisz? O Moissart i Voissart. A jak mi się spodoba, o Croissart i Froissart też będę mówić. Córka moja córka, Mademoiselle Voissart, ona wyszła za pan Croissart, a wnuczka moja córka, Mademoiselle Croissart, ona wyszła za pan Froissart. A ty pewno mówić, że nie bardzo dobre nazwisko?

– Froissart! – jęknęłam, prawie mdlejąc. – Przecież nie powiedziałaś chyba Moissart i Voissart, i Croissart, i Froissart?

– Powiedziałaś – odparła, rozsiadając się wygodnie w fotelu i wyciągając daleko przed siebie nogi. – Moissart, Voissart, Croissart i Froissart. Ale Monsieur Froissart on był bardzo wielki dureń, bardzo wielki osioł jak ty, bo wyjechał z *la belle France*<sup>9</sup> i przyjechał do ta głupia Ameryka, a jak tu przyjechał, miał jeden bardzo, bardzo głupi syn... Tak mi mówili, bo go jeszcze nie poznała, ani moja towarzyszka, Madame Stefania Lalande, też go nie poznała. Nazywa się ten głupiec Napoleon Bonaparte Froissart, ale ty zaraz mówisz, że to niedobre nazwisko? Co?

Albo długość, albo może natura tej przemowy doprowadziły panią Simpson do stanu niezwykłego podniecenia. Zaledwie z wielkim trudem domęczyła ostatnie zdanie do końca, już jak oszalała zerwała się z fotela, przy czym na podłogę upadło wielkie mnóstwo poduszczyków, usztywnień,

podkładek spod tiurniury jej sukni. Gdy była już na nogach, zaczęła zgrzytać sztucznymi zębami, wymachiwała rękami, zakasywała rękawy sukni, podsuwała mi pięść pod nos i na zakończenie tego przedstawienia zerwała czepek z głowy, a wraz z nim ogromną perukę z pięknych czarnych włosów, którą z wrzaskiem cisnęła na podłogę, po czym jęła ją tratować i wytańcowywać na niej *fandango*<sup>10</sup> w zupełnie zdumiewającym paroksyzmie wściekłości.

A tymczasem ja padłem na fotel, z którego wstała.

– Moissart i Voissart – powtórzyłem z namysłem, gdy ona wycinała jedną z dzikich figur swojego pokraccznego tańca. – Croissart i Froissart, i Napoleon Bonaparte Froissart! – dodałem, gdy wycinała drugą. – Słuchaj, ty obmierzła, stara żmijo! Przecież to ja – ja! Czy mnie słyszysz? To ja! – wrzeszczałem z wszystkich sił. – To ja! Ja jestem Napoleon Bonaparte Froissart. A jeżeli nie ożeniłem się z własną praprababką, niech mnie piekło na zawsze pochłonie!

Tak, Madame Eugenia Lalande, *quasi*-Simpson, z pierwszego męża Moissart, była moją praprababką. W młodości odznaczała się wielką urodą i do osiemdziesiątego drugiego roku życia zdołała zachować majestatyczną postawę, piękny kształt głowy, wspaniałe oczy i grecki profil z lat młodości. Dzięki nim, a także z pomocą pudru, różu, sztucznych włosów, sztucznych zębów i wreszcie dzięki staraniom najzręczniejszych paryskich modystek potrafiła dotąd utrzymać się na poczesnym miejscu wśród piękności *un peu passées*<sup>11</sup> francuskiej metropolii. W tym względzie można ją było uważać za godną następczynię słynnej Ninon de L'Enclos.

Posiadała ogromny majątek, a gdy bezdzietna owdowiała po raz drugi, przypomniała sobie o moim istnieniu. Postanowiwszy uczynić mnie swoim spadkobiercą, wyprawiła się do Stanów Zjednoczonych w towarzystwie młodziutkiej wdowy, dalekiej i niezwykle pięknej kuzynki swojego drugiego męża, Madame Stefanii Lalande.

W operze moja praprababka spostrzegła, że obserwuję ją z wielką pilnością, a gdy przypatrzyła mi się uważniej, uderzyło ją w mojej twarzy pewne rodzinne podobieństwo. To ją zaintrygowało, a ponieważ

wiedziała, że praprawnuk, którego poszukuje, jest w mieście, zwróciła się do swojego towarzysza o informacje. Pan ów znał mnie z widzenia, powiedział jej więc, kim jestem. To ją skłoniło do powtórnych i dokładniejszych oględzin mojej osoby, a wtedy ja, ponad miarę rozzuchwalony, postąpiłem w niedorzeczny a wyżej opisany sposób. Ona jednak – przekonana, że jakimś dziwnym trafem odgadłem jej tożsamość – oddała mi ukłon. Kiedy zwiedziony własną krótkowzrocznością, a także sztucznymi wdziękami obcej damy spytałem o nią Talbota, ów wnioskując, że pytam o młodszą piękność, odparł mi zgodnie z prawdą, że jest to „słynna wdowa, Madame Lalande”.

Nazajutrz moja praprababka spotkała na ulicy Talbota, którego znała dobrze z jego czasów paryskich, i naturalnie ja stałem się głównym przedmiotem ich rozmowy. Wtedy właśnie Madame Lalande dowiedziała się o mojej krótkowzroczności, która to ułomność była wszystkim znana, z czego ja zupełnie nie zdawałem sobie sprawy. Moja zacna stara krewniaczka zasmuciła się szczerze, gdy spostrzegłszy swoją pomyłkę, zrozumiała, że bynajmniej nie odkryłem jej tożsamości, a tylko ośmieszałem się, robiąc jawnie w teatrze słodkie oczy do starej i nieznanym kobiecie. Aby mnie ukarać za tę nieroztropność, uknuła z Talbotem spisek. On unikał mnie rozmyślnie, abym nie żądał wprowadzenia mnie do Madame Lalande. Kiedy dopytywałem się na ulicy o „piękną wdowę, Madame Lalande”, wszyscy naturalnie przypuszczali, że mam na myśli młodszą damę; w ten sposób wyjaśnia się moja rozmowa z trzema przyjaciółmi, których spotkałem w chwilę po wyjściu z hotelu od Talbota, jak również staje się zrozumiała aluzja do Ninon de L’Enclos. Ani razu nie widziałem Madame Lalande w dzień i z bliska, próżność zaś wzbraniająca mi nosić okulary sprawiła, że podczas urządzanego u niej muzycznego *soirée* nie zdołałem zorientować się w jej wieku. Kiedy towarzystwo dopominało się, aby Madame Lalande śpiewała, wszyscy naturalnie mieli na myśli młodszą damę; ona też wstała spełnić życzenie gości, moja praprababka zaś podniosła się z szeszlangu w tym samym momencie i odprowadziła ją do fortepianu w głównym salonie, aby tym prawdopodobniejszym uczynić oszustwo.

Gdybym przypadkiem postanowił pójść za nią, zamierzała dać mi do zrozumienia, że postąpię grzeczniej, pozostając tam, gdzie jestem; jednakże okazało się to niepotrzebne dzięki mojej własnej pruderii. Pieśni, które wzbudziły we mnie taki zachwyt, a co więcej, utwierdziły mnie w przekonaniu, że moja ukochana jest kobietą młodą, odśpiewała naturalnie Madame Stefania Lalande. Szkła zostały mi ofiarowane, aby tym wymowniejszy stał się morał odegranej komedii – jako dodatkowe żądło w epigramacie oszustwa. A ich wręczenie dało okazję do wygłoszenia nauki o afektacji, która wywarła na mnie tak szczególnie budujący wpływ. Nie potrzebuję chyba wyjaśniać, że szkła, którymi posługiwała się stara dama, zamienione zostały przez nią na inne, bardziej dostosowane do mojego wieku. Muszę przyznać, że pasują doskonale.

Pastor, który naturalnie tylko udawał, że zawiązuje ów fatalny węzeł, nie był żadnym duchownym, a tylko towarzyszem hulanki Talbota. Zdjąwszy sutannę, ubrał się w płaszcz stangreta, wsiadł na kozioł i powoził kareta, którą „szczęśliwa młoda para” opuszczała miasto. Talbot usiadł obok niego. W ten sposób obaj łajdacy „asystowali przy śmierci”, czyli stojąc przy półotwartym oknie oberży, zabawiali się, obserwując *dénouement*<sup>12</sup> dramatu. Wydaje mi się, że będę chyba musiał wyzwąć ich na pojedynek.

Niemniej jednak nie jestem mężem własnej praprababki i ta myśl przynosi mi nieskończoną ulgę. Jestem natomiast mężem Madame Lalande – Madame Stefanii Lalande – z którą mnie moja zacna stara krewniczka wyswatała, czyniąc mnie ponadto jedynym swoim spadkobiercą w chwili śmierci – jeżeli naturalnie umrze kiedykolwiek. Na zakończenie dodam: skończyłem raz na zawsze z liścikami miłosnymi, za to nikt nigdy nie zobaczy mnie bez okularów.

*Tłumaczyła Krystyna Tarnowska*

<sup>1</sup> Beau idéal (fr.) – piękny ideał (przyp. red.).

<sup>2</sup> Tournure (fr.) – tu: linia (przyp. red.).

- [3](#) Interim (łac.) – przerwa (przyp. red.).
- [4](#) Outré (fr.) – przesadny (przyp. red.).
- [5](#) Sul mio sasso (wł.) – na mojej skale (przyp. red.).
- [6](#) Eh bien, mon ami (fr.) – więc dobrze, mój przyjacielu (przyp. red.).
- [7](#) Empressement (fr.) – pośpiech, skwapliwość, gorliwość (przyp. red.).
- [8](#) Soirée (fr.) – wieczór (przyp. red.).
- [9](#) La belle France (fr.) – (z) pięknej Francji (przyp. red.).
- [10](#) Fandango – taniec hiszpański (przyp. red.).
- [11](#) Un peu passées (fr.) – już nieco przekwitłych (przyp. red.).
- [12](#) Dénouement (fr.) – rozwiązanie, koniec (przyp. red.).

# Anioł dziwnych przypadków

## Opowieść ekstrawagancka

**B** było chłodne listopadowe popołudnie. Siedziałem samotny w jadalni, z nogami opartymi o kratę kominka. Tuż pod ręką stał mały stolik, który przysunąłem do ognia. Przed chwilą zjadłem niezwykle obfity obiad, w którym ciężkostrawne trufle stanowiły bynajmniej nie najbliższy punkt menu. Na stoliku stało coś, co z biedą można było nazwać deserem, oraz kilka różnych butelek wina, wódki i likieru. Przedpołudnie spędziłem na czytaniu *Leonidasa* Glovera, *Epigoniady* Wilkie'ego, *Pielgrzymki* Lamartine'a, *Kolumbiady* Barlowa, *Sycylii* Tuckermanna i *Ciekawostek* Griswolda. Wyznam więc chętnie, że o tej porze czułem się z lekka otępiały. Próbowałem się orzeźwić, popijając często Lafitte, a gdy wszystkie te próby zawiodły, zabrałem się w rozpaczy do jakiejś zarzuconej gazety. Przeczytałem uważnie jedną szpalnę ogłoszeń o „domach do wynajęcia”, następnie drugą o „zagubionych psach”, potem dwie o „zbiegłych żonach i czeladnikach” i wreszcie z całą determinacją zaatakowałem artykuł wstępny. Przeczytałem go od początku do końca, nie zrozumiawszy ani sylaby, wobec czego uznałem, iż jest on zapewne napisany po chińsku, i przeczytałem go ponownie od końca do początku – z nie lepszym rezultatem. Zamierzałem odrzucić z obrzydzeniem to „czterostronicowe *folio*, szczęśliwe dzieło, którego nawet poeci nie krytykują”, kiedy uwagę moją pobudziła następująca krótka wzmianka:

Liczne i zadziwiające są drogi do śmierci. Jeden dziennik londyński pisze o szczególnej śmierci pewnego człowieka. Bawił się on w „wydmuchnij strzałę”. Gra polegała na tym, iż długą igłę nawleczoną odrobiną włóczki wydmuchuje się do celu przez blaszaną rurkę.

Człowiek ten umieścił igłę w złym końcu rurki i wzięwszy głęboki oddech, aby z całą siłą wydmuchnąć „strzałę”, wciągnął sobie igłę w tchawicę. Dostała się do płuc i w ciągu kilku dni zabiła go.

Na widok tej notatki, sam właściwie nie wiem dlaczego, wpadłem we wściekłość.

– Ta historia – wykrzyknąłem – to nędzne łgarstwo, marna bujda, fusy wyciśnięte z wyobraźni jakiegoś żalosego pismaka, jakiegoś nieszczęsnego kompilatora wydarzeń w krainie pieczonych gołąbków. Znając niezwykle łatwowierność naszego wieku, te nędzne figury wysilają cały swój rozum, aby wymyślić jakieś niewiarygodne okoliczności, „dziwaczne przypadki” – jak to nazywają. Jednak dla człowieka roztrząsającego wszystko (tak jak ja – dodałem nawiasowo, przykładając mimo woli wskazujący palec do nosa), dla inteligencji analitycznej, takiej, jaką sam rozporządzam, wydaje się rzeczą oczywistą od pierwszego wejrzenia, iż najdziwaczniejszym ze wszystkich przypadków jest na pewno niezwykle wzmożenie się tych „dziwacznych wydarzeń” notowane ostatnio. Co do mnie, to od tej chwili zamierzam podawać w wątpliwość wszystko, co ma jakikolwiek posmak „dziwności”.

– *Mein Gott*, fienc tso ty pyć sa glupiec – odpowiedział jeden z najniezwyklejszych głosów, jakie w życiu słyszałem. Z początku wziąłem to za dudnienie w uszach, takie, jakiego czasem człowiek doświadcza, kiedy się upije, ale po namyśle uznałem, że przypomina to bardziej odgłos dobywający się z pustej beczki uderzanej grubym kijem. W istocie byłbym przekonany, że to ten właśnie dźwięk, gdybym nie rozpoznawał słów i sylab. Nie jestem wcale lękliwy z natury, a wino Lafitte, choć wypilem go bardzo niewiele, ośmieliło mnie jeszcze bardziej, tak że bez drżenia wzniosłem w górę oczy i uważnie rozejrzałem się po pokoju, szukając intruza. Nie mogłem jednak dojrzeć nikogo.

– Hm! – podjął znów głos, podczas gdy rozglądałem się dalej – musisz chypa pyć pijany jak fiepsz, szepy mnie nie fitsieć, jak sietsę tu pszy tfoim poku.

Słyszając to, wpadłem na myśl, by spojrzeć wprost przed siebie – i rzeczywiście naprzeciw mnie przy stole siedział osobnik do nikogo



niepodobny, choć nie jest niepodobieństwem go opisać. Jego korpus stanowiła baryłka wina lub waza rumu – czy też coś w tym rodzaju, co robiło prawdziwie falstaffowskie wrażenie. W dolną część baryłki wsadzono dwie małe beczułki, które według wszelkich danych zdawały się służyć za nogi. Z górnej części korpusu dyndały zamiast ramion dwie długie butle, których szyjki zwrócone na zewnątrz zastępowały ręce. Coś, co było podobne do heskiej manierki, przypominającej wielką tabakierę z otworem w pokrywie, zastępowało głowę potwora – a przynajmniej nic innego dostrzec nie mogłem. Manierka skierowana była otworem ku mnie i osadzona na bakier na korpusie (na jej czubku tkwił lejek jak kawaleryjskie czako spuszczone na oczy); przez otwór, ściągnięty w grymas jak usta afektowanej starej panny, stwora ta wydawała dudniące i burczące dźwięki, i najwyraźniej chciała, by uznano je za zrozumiałą mowę.

– Mófię – powiedział – sze musisz pyć pijany jak fiepsz, sze tam sietsisz i nie fitsisz, sze ja tu sietsę, i mófię tesz, sze musisz pyć fienkszy głupiec nisz genś, sze nie fieszysz, co jest trukofane f truku. To fszysko prafta – oto, co to jest – kaszte slofo!

– Kto pan jest, proszę? – powiedziałem, starając się mimo zakłopotania mówić z wielką godnością. – Jak się pan tu dostał i o czym właściwie mówi?

– Jak tu pszyszlem – odpowiedziała postać – to nie tfoja sprafa, a co tyczy teko, co mófię, to mófię, co ufaszam sa fłaścife. Co saś to teko, kto ja jestem, to po to pszecziesz tu pszyszlem – szepys sam sopaczyl.

– Jest pan pijanym włóczęgą – powiedziałem. – Zadzwoń i każę memu lokajowi wyrzucić pana kopniakiem na ulicę.

– Hi, hi, hi – zaśmiał się stwór – ha, ha, ha, teko sropić nie moszesz!

– Nie mogę zrobić! – zawołałem. – Co pan ma na myśli? Czego nie mogę zrobić?

– Satsfonic – odpowiedział, próbując uśmiechnąć się złośliwie swymi małymi ustami.

Na te słowa spróbowałem wstać, aby wykonać swą groźbę, ale drab z całą flegmą sięgnął po prostu ręką przez stół i uderzywszy mnie silnie w

czoło szyjką jednej z długich butelek, pchnął z powrotem na fotel, z którego na poły się podniosłem. Osłupiałem ze zdumienia i przez chwilę zupełnie nie wiedziałem, co począć, a tymczasem stwór gadał dalej.

– Fitsisz – powiedział – najlepiej jest sietsieć spokojnie; a teraz tofiesz się, kto jestem. Patsz na mnie! Fitsisz? Jestem Aniołem Tsifnych Pszypatkóf.

– I to dość dziwnym, istotnie – odważyłem się powiedzieć. – Zawsze byłem przekonany, że anioł ma skrzydła.

– Skszytła! – zawołał wielce zaperzony. – Tso ja pym ropił se skszytłami? *Mein Gott!* Czy myślisz, sze jestem kurczenciem?

– Nie, o nie! – odpowiedziałem bardzo zaniepokojony. – Z pewnością nie jest pan kurczęciem!

– No to sietś i sachofuj się, jak naleszy, po inaczej snofu uteszę cię pienścią. Kurcze ma skszytła i sofa ma skszytła, i chochlik ma skszytła, i fóts tiaplóf ma skszytła, ale anioł nie ma skszyteł, a ja jestem Anioł Tsifnych Pszypatkóf.

– A jaki masz do mnie interes?...

– Jaki interes! – wykrzyknęła stwora. – Co sa śle fychofany kuntel pyć s ciepie, szepy sie pytać tszentelmena, i na topitkę anioła, jaki ma interes!

Ten straszny bełkot był dla mnie nie do zniesienia – nawet u anioła. Zebrawszy więc odwagę, chwyciłem solniczkę stojącą w zasięgu mojej ręki i cisnąłem nią w głowę intruza. Musiałem jednakże chybić albo też on uchylił się zręcznie, dość że jedynym moim osiągnięciem było rozbicie kryształowego szkła chroniącego tarczę zegara na kominku. Anioł zareagował na mój atak dwukrotnym lub trzykrotnym uderzeniem mnie w czoło – tak jak poprzednio. To doprowadziło mnie natychmiast do całkowitej uległości i niemal ze wstydem wyznaję, że – czy to z bólu, czy z irytacji – kilka łez nabiegło mi do oczu.

– *Mein Gott* – powiedział Anioł Dziwnych Przypadków, który na widok mej niedoli wyraźnie złagodniał – *mein Gott*, ten człofiek jest alpo partso skruszony, alpo partso pijany. Nie tszepa tyle pić. Musisz tolefać foty to fina. No, masz tu, fypij no to kszecznie i nie placz, nie placz.

To mówiąc, Anioł Dziwnych Przypadków napełnił na nowo mój kielich (którego jedną trzecią zajmował portwein) bezbarwnym płynem – wylanym z jednej z jego butelek-rąk. Zauważyłem, że na szyjkach tych butelek nalepione były etykiety z napisem „Kirschenwasser”. Ta troskliwa dobroć Anioła rozbroiła mnie w znacznym stopniu i wreszcie – z pomocą wody, którą Anioł kilkakrotnie rozcieńczał mój portwein – odzyskałem na tyle równowagę ducha, że mogłem słuchać jego zupełnie niezwykłej gadaniny. Nie sądzę, bym potrafił powtórzyć wszystko, co mi opowiedział, ale z jego słów dorozumiałem się, iż był to duch patronujący wszystkim *contretemps*<sup>1</sup> spotykającym rodzaj ludzki. Jego to zadaniem było ściągać na ludzi owe dziwaczne wypadki, które ustawicznie zdumiewają sceptyków. Próbowałem raz czy dwa wyrazić całkowite niedowierzanie wobec tych roszczeń, ale wpadał wówczas w taką złość, że wreszcie uznałem, iż mądrzej będzie siedzieć cicho i pozwolić mu mówić, co zechce. Gadał więc przez długi czas, a ja z zamkniętymi oczyma na wpół leżałem w fotelu i zabawiałem się żuciem rodzyneków, a ogonki rozrzucałem po pokoju przytknięciem palca. Wkrótce jednak zachowanie to Anioł wytłumaczył sobie jako objaw lekceważenia. Zerwał się w okropnej wściekłości, nasunął lejek na oczy, zaklął straszliwie, wypowiedział jakąś groźbę, której dokładnie nie zrozumiałem – a wreszcie złożył mi niski ukłon i opuścił pokój, życząc mi w języku arcybiskupa w Gil Blasie: *beaucoup de bonheur et un peu plus de bon sens*<sup>2</sup>.

Poczułem ulgę, kiedy sobie poszedł. Te parę szklanek Lafitte, które wysączyłem, zrobiło mnie sennym i poczułem ochotę na krótką, piętnasto- lub dwudziestominutową drzemkę, jak to było moim zwyczajem po obiedzie. Miałem wyznaczone ważne spotkanie na szóstą i było nieodzowne, bym stawił się punktualnie. Polisa ubezpieczeniowa na mój dom wygasła poprzedniego dnia, a ponieważ wynikły pewne kwestie sporne, miałem się spotkać, jak ustalono, z radą dyrektorów towarzystwa o szóstej i ustalić warunki odnowienia polisy. Spojrzawszy na zegar na kominku (byłem bowiem zbyt senny, aby wyciągnąć z kieszeni swój zegarek) z radością stwierdziłem, że do wyjścia pozostało mi jeszcze

dwadzieścia pięć minut. Było wpół do szóstej, a do biura ubezpieczeń mogłem bez pośpiechu dojść w pięć minut. Ponieważ zaś wiedziałem z doświadczenia, że moja zwykła poobiednia siesta nigdy nie przekroczyła dwudziestu pięciu minut, czułem, że mogę spokojnie jej się oddać, i bez zwłoki ułożyłem się do drzemki.

Przespawszy się dostatecznie, spojrzałem znów w stronę kominka i byłem na pół skłonny uwierzyć w możliwość nadzwyczajnych wydarzeń, kiedy odkryłem, że zamiast zwykłych piętnastu czy dwudziestu minut drzemałem tylko trzy. Do wyznaczonej godziny brakowało bowiem jeszcze dwudziestu siedmiu minut. Zabrałem się znów do drzemki, a kiedy wreszcie obudziłem się po raz drugi, stwierdziłem z osłupieniem, że do godziny szóstej brakowało wciąż dwudziestu siedmiu minut. Zerwałem się, aby sprawdzić zegar, i stwierdziłem, że stoi – spojrzawszy zaś na mój zegarek, przekonałem się, że było już wpół do ósmej i że oczywiście spóźniłem się na umówione spotkanie z powodu tej dwugodzinnej drzemki. „Ach, to jest bez znaczenia – powiedziałem sobie. – Mogę przecież zajść do biura ubezpieczeń jutro rano i usprawiedliwić się, a tymczasem muszę zobaczyć, co się stało z tym zegarem”. Zbadawszy zegar, przekonałem się, że jeden z ogonków od rodzyneków, które w czasie gadaniny Anioła Dziwnych Przypadków rozsiewałem przytkaniem palca po pokoju, przedostał się przez strzaskane szkło ochronne do zegara. Dziwnym zbiegiem okoliczności utkwiał w otworze do nakręcania zegara i wystając stamtąd – zatrzymał wskazówkę minutową.

– Ach – powiedziałem – widzę teraz, co się stało. Ta rzecz tłumaczy się sama. Jest to zupełnie naturalny wypadek i co jakiś czas może się zdarzyć!

Nie zastanawiałem się dłużej nad tą historią i położyłem się do łóżka o zwykłej porze. Ustawiłem świeczkę na pulpicie do czytania w głowach łóżka, lecz pech zrządził, że po przeczytaniu kilku stron z dzieła pt. *O wszechobecności Boga* zasnąłem w ciągu niecałych dwudziestu sekund, zostawiając palącą się świecę.

Wizja Anioła Dziwnych Przypadków zakłócała straszliwie moje sny. Zdawało mi się, że stoi w nogach łóżka, odsuwa na bok firanki i grozi mi

okropną zemstą za lekceważenie, z jakim go potraktowałem – przemawiając głuchym i wstrętnym głosem, jakby wydostającym się z wazy do rumu. Zakończył swą przemowę, zdejmując z głowy czapkę-lejek, po czym wsadził mi rurkę w przelyk i zalał mnie istnym oceanem Kir-

schenwasser, którą toczył nieprzerwanym strumieniem z jednej z zastępujących mu ramiona butelek o wydłużonych szyjkach. Wreszcie moja udreka stała się nie do zniesienia. Obudziłem się w samą porę, by dostrzec szczura uciekającego z palącą się świecą porwaną z pulpitu – lecz zbyt późno, by przeszkodzić mu w ucieczce. Wkrótce moje nozdrza uderzył silny, dławiący smród; dom, jak to wyraźnie dostrzegłem, płonął. W ciągu kilku minut wielki płomień buchnął z furją i w niewiarygodnie krótkim czasie cały budynek objęły języki ognia. Z pokoju mogłem wydostać się tylko przez okno. Wszelkie inne drogi wyjścia były odcięte. Tłum ludzi przed domem szybko jednak wy dostał skądś długą drabinę i oparł jej koniec o okno. Spuszczałem się po niej bardzo szybko i, jakby się zdawało, z zupełnym bezpieczeństwem. Nagle ogromna świnka, której okrągły brzuch, cały wygląd i mina przypomniały mi Anioła Dziwnych Przypadków i która do tej pory drzemała spokojnie w błocie, doszła do wniosku, że musi sobie o coś potrzebować lewą łopatkę. Najwygodniejszym zaś pieńkiem do ocierania wydała się jej noga drabiny. W jednej chwili zleciałem na ziemię i złamałem sobie nieszczęśliwie ramię.

Wypadek ten, połączony ze stratą polisy ubezpieczeniowej na dom i z jeszcze poważniejszą dla mnie stratą moich włosów, które spaliły się w ogniu, skłonił mnie do poważnych refleksji, tak że wreszcie postanowiłem się ożenić. Kojący balsam mych zakłębionych ofiarowałem zbolącej duszy pewnej bogatej wdowy, niepokieszanej po stracie siódmego męża. Gdy na me błagania udzieliła niechętniej zgody, ukląknę u jej stóp pełen wdzięczności i uwielbienia. Zarumieniona schyliła się, jej bujne sploty zetknęły się z lokami, których dostarczył mi tymczasowo Grandjean. Nie wiem, jakim sposobem nasze włosy się splątały, ale tak się właśnie stało. Powstałem z klęczek z nagą, świecąca czaszką, bez peruki, a ona, rozgniewana i pełna wzgardy, siedziała zagrzebana w cudzych włosach. Tak to z powodu wypadku, którego oczywiście nie można było

przewidzieć, ponieważ wywołany został naturalną kolejnością wydarzeń, wzięły w łeb moje nadzieje na zdobycie wdowy.

Nie poddając się jednak rozpaczy, zacząłem oblegać mniej nieubłagane serce. Losy były mi znowu przychylne przez krótki okres, ale jeszcze raz błahy incydent pokrzyżował moje plany. Spotykając narzeczoną w alei wypełnionej elitą towarzyską z całego miasta, śpieszyłem ku niej, by złożyć jej jeden z mych najbardziej wystudiowanych ukłonów, gdy nagle drobny ułamek jakiejś obcej materii utkwiał mi w kąciuku oka i na krótki moment całkowicie mnie oślepił. Zanim odzyskałem wzrok, pani mego serca znikła – dotknięta i obrażona nie do przebłagania tym, iż przeszedłem mimo niej bez pozdrowienia, co raczyła uznać za świadome i rozmyślnie grubiaństwo. Ja zaś stałem zupełnie osłupiały tym nieoczekiwanym fatalnym wypadkiem (który mógł się jednakże wydarzyć każdemu człowiekowi pod słońcem) i gdy tak wciąż nie mogłem nic dojrzeć – podszedł do mnie Anioł Dziwnych Przypadków i z uprzejmością, której nie miałem powodów od niego się spodziewać, zaoferował mi pomoc. Z ogromną delikatnością i uprzejmością zbadał moje obolałe oko, wyjaśnił mi, że utkwiał w nim jakiś okruch, i (czymkolwiek był ten „okruch”) wyjął go, przynosząc mi wielką ulgę.

Zdecydowałem teraz, że skoro los tak się na mnie zawziął i tak mnie prześladowuje – najwyższy już czas skończyć z sobą. Skierowałem się więc ku najbliższej rzece i zrzucając z siebie ubranie (nie widzę bowiem przyczyny, dlaczego byśmy nie mieli umrzeć tak, jakżeśmy się urodzili), skoczyłem z impetem do strumienia. Jedynym świadkiem mego losu była samotna wrona, która skusiła się na zboże pozostałe po nalewce spirytusowej i, zamoczona, odbiła od swych towarzyszek. Gdy tylko znalazłem się w wodzie, ptak wpadł na pomysł ucieczki z najbardziej niezbędną częścią mego ubrania. Porzuciłem więc tymczasem swój samobójczy zamysł i ruszyłem w pogoń za złodziejem z taką szybkością, jakiej wymagała sytuacja i na jaką pozwalały mi okoliczności, wsadziłem bowiem po prostu dolne kończyny w rękawy marynarki i tak biegłem. Lecz mój zły los stale mi towarzyszył. Pędząc z nosem zadartym w górę, z uwagą skierowaną wyłącznie na złodzieja mej własności, zorientowałem

się nagle, że nie stąpam już po *terra firma*<sup>3</sup>; istotnie spadałem w przepaść i roztrzaskałbym się niechybnie na kawałki, gdybym szczęśliwie nie uchwycił za koniec długiej liny zwieszającej się z przelatującego balonu.

Gdy tylko odzyskałem zmysły na tyle, by zrozumieć, w jak straszliwym położeniu się znajduję albo, powiedzmy ściślej, wiszę, próbowałem, dobywając wszystek dech z płuc, zawiadomić o tym pilota nad moją głową. Lecz przez długi czas wszelkie wysiłki okazywały się daremne. Był to albo dureń, który nie mógł, albo łotr, który nie chciał mnie dojrzeć. Maszyna wznosiła się tymczasem z wielką szybkością, ale mnie siły opuszczały jeszcze szybciej. Miałem już wkrótce poddać się swemu losowi i spokojnie wpaść do morza, gdy nagle głuchy, dudniący głos, który usłyszałem nad sobą, ożywił mnie i dodał mi ducha. Głos ten zdawał się leniwie podśpiewywać jakąś arię operową. Spojrzawszy w górę, dostrzegłem Anioła Dziwnych Przypadków. Skrzyżowawszy ramiona, opierał się o brzeg kosza balonu. Bez pośpiechu i z wielką nonszalancją pykał sobie fajeczkę i zdawał się być w doskonałej komitywie z całym światem i z samym sobą. Byłem zbyt wyczerpany, by mówić, i spojrzałem tylko w górę ku niemu z błagalnym wyrazem twarzy. Przez kilka minut nie mówił nic, choć patrzył mi prosto w twarz. Wreszcie raczył przemówić, przesunawszy starannie fajeczkę z prawego kąta ust w lewy.

– Kto ty pyć? – zapytał. – I co, u tiapła, tam ropisz?

Na ten bezczelny, okrutny i fałszywy wybryk mogłem tylko wykrzyknąć: „Ratuj!”.

– Ratuj! – przedrzeźniał mnie łotr jak echo. – Nie ja, to pewna! Masz tu putelkę, opłusz się sam i niech cię tiapli porfą!

Z tymi słowy upuścił ciężką butelkę Kirschenwasser, która spadła mi prosto na głowę, tak iż wyobrażałem sobie, że mózg mi roztrzaskała. Pod tym wrażeniem miałem właśnie puścić linę i z wdziękiem wyzionąć ducha, kiedy powstrzymał mnie okrzyk Anioła, nakazujący mi trzymać się dalej.

– Tszymaj się – powiedział – nie spiesz się, nie spiesz. Czy chcesz trugą putelkę, czy tesz fytsześfiałeś i fróciłeś to rosumu?

Na to pośpiesznie kiwnąłem głową dwukrotnie, raz przecząco, co miało oznaczać, że w obecnej sytuacji wolałbym zrezygnować z drugiej butelki, a raz twierdząco, co miało dać Aniołowi do zrozumienia, że byłem trzeźwy i że w istocie przyszedłem do rozumu. To ułagodziło nieco Anioła.

– Fienc f końcu fieszysz? – zapytał. – Fieszysz f moszliwośc istnienia tsifnych pszypatkóf?

Znowu kiwnąłem twierdząco głową.

– I masz taksze fiarę fe mnie, f Anioła Tsifnych Pszypatkóf?

Potaknąłem znowu.

– I pszysnajesz, sze jesteś pijany i głupiec asz to ślepoty?

Jeszcze raz kiwnąłem głową.

– Fopec teko, na snak supełneko pottania się Aniołofi Tsifnych Pszypatkóf, fsać sfoją prafą rękę to lefej kiszeni ot spotni.

Z przyczyn oczywistych uznałem to za rzecz zupełnie niewykonalną. Po pierwsze – złamałem sobie lewe ramię, spadając z drabiny, nie mogłem więc puścić liny prawą ręką, oznaczałoby to bowiem puszczenie jej zupełnie, po drugie – aż do czasu powtórnego spotkania wrony pozbawiony byłem spodni. Musiałem więc z wielkim żalem potrząsnąć głową odmownie – zamierzając tym sposobem dać do zrozumienia Aniołowi, że w danym momencie wypełnienie jego całkiem rozsądnego żądania było dla mnie bardzo niewygodne. Ledwie jednak skończyłem przeczyć, Anioł Dziwnych Przypadków ryknął:

– A fienc ić to tiapła!

Mówiąc to, ostrym nożem przeciągnął po linie, u której byłem uwieszony. Ponieważ zaś przelatywaliśmy wtedy akurat nad moim domem, który w czasie tych wędrówek został pięknie odbudowany, wpadłem głową w dół przez szeroki komin i wylądowałem na palenisku kominka w jadalni.

Kiedy wróciła mi przytomność (upadek ten bowiem gruntownie mnie ogłuszył), przekonałem się, że była mniej więcej czwarta nad ranem. Leżałem rozciągnięty tam, gdzie spadłem z balonu, z głową walającą się w popiołach wygasłego kominka a nogami opartymi o wywrócony, połamany stolik – wśród resztek różnorodnych rodzajów deseru i podartych



gazet, wśród potłuczonego szkła, rozbitych butelek i pustego dzbanka po Schiedam Kirschenwasser. Tak to zemścił się na mnie Anioł Dziwnych Przypadków.

*Tłumaczyła Anna Staniewska*



<sup>1</sup> Contretemps (fr.) – przeciwności, nieszczęśliwe przypadki (przyp. red.).

<sup>2</sup> Beaucoup de bonheur... (fr.) – dużo szczęścia i trochę więcej zdrowego rozsądku (przyp. red.).

<sup>3</sup> Terra firma (łac.) – ład stały (przyp. red.).

# Złoty żuk

*What ho! What ho! this fellow is dancing mad!*

*He hath been bitten by the Tarantula<sup>1</sup>.*

*All in the Wrong*

**D**awnymi laty nawiązałem zażyłą znajomość z Mr. Williamem Legrandem. Pochodził on ze starodawnej hugonockiej rodziny i był niegdyś zamożny, lecz cały szereg niepowodzeń zubożył go doszczętnie. Chcąc uniknąć przykrości, jakie stąd dlań wynikły, porzucił Nowy Orlean, gdzie znajdowało się gniazdo rodzinne jego przodków, i osiedlił się na wyspie Sullivan koło Charlestonu, w Karolinie Południowej.

Wyspa ta jest nader osobliwa. Składa się wyłącznie z piasków morskich i ma około trzech mil długości. Szerokość jej nie wynosi nigdzie więcej niż ćwierć mili. Od lądu dzieli ją zaledwie dostrzegalna cieśnina, pełzająca leniwie śród bezmiaru trzciny i namułu i stanowiąca ulubione miejsce pobytu kurek wodnych. Roślinność jest skąpa i nikła. Drzew dorodniejszych nie widać wcale. U krańca zachodniego, gdzie wznosi się Fort Moultrie i stoi kilka nędznych klitek drewnianych, zamieszkiwanych w lecie przez przybyszów z Charlestonu, co uchodzą stamtąd przed malarią i kurzem, spotyka się co prawda szczeciniastą palmę karłowatą; natomiast całą wyspę, z wyjątkiem owego zachodniego skrawka, jako też przykraj, białawej smugi wybrzeża morskiego, pokrywają gęste chaszczki wonnego mirtu, wielce cenione przez ogrodników angielskich. Krzew ten miewa tam często piętnaście do dwudziestu stóp wysokości i tworzy nieprzeniknione niemal gąszcze, które przesycają powietrze swym zapachem.

W najtajemniejszym ustroniu tych zarośli, opodal od wschodniego, czyli dalszego krańca wyspy, wybudował sobie Legrand własnoręcznie niewielką chatę, którą zamieszkiwał, kiedy po raz pierwszy przypadkowo zdarzyło mi się go poznać. Znajomość ta rychło przedzierzgnęła się w przyjaźń, gdyż pustelnik ów miał niejedną zaletę zasługującą na cześć i uznanie. Przekonałem się, że był człowiekiem dobrze wychowanym i uposażonym niezwykle potężnym umysłem, lecz zatrutym mizantropią oraz podległym chorobliwym mrzonkom naprzemiennego entuzjazmu i melancholii. Miał u siebie wiele książek, ale zaglądał do nich rzadko. Głównym jego zajęciem było myślistwo i rybołówstwo, jako też włóczęgi po wybrzeżu i śród mirtów w poszukiwaniu muszli oraz okazów

entomologicznych; zbiorów mógł mu pozazdrościć nawet Swammerdamm. Na tych wycieczkach towarzyszył mu zazwyczaj stary Murzyn, zwany Jupiterem, który odzyskał wolność jeszcze przed niepowodzeniami rodzinnymi Legrandów, lecz żadną groźbą ni obietnicą nie można go było skłonić do wyrzeczenia się tego, co uważał za swe prawo do czuwania nad postępkami młodego – jak go nazywał – Massy Willa. Być może, iż krewni Legranda, uważając go za człowieka o chwiejnym umyśle, postarali się utwierdzić w tym uporze Jupitera, mając nadzieję, że będzie on towarzyszem i opiekunem tułacza.

Pod szerokością geograficzną wyspy Sullivan zimy ostrzejsze należą do rzadkości i nieczęsto się zdarza, by pod koniec roku trzeba było zapalać ogień dla ciepła. Mimo to około połowy października 18... roku nastął dzień nadzwyczaj chłodny. Na krótko przed zachodem słońca torowałem sobie drogę wśród wiecznie zielonych chaszczy do chaty mojego przyjaciela, którego nie widziałem już od kilku tygodni, mieszkałem bowiem podówczas w Charlestonie o jakie dziewięć mil od wyspy, a ułatwienia w podróży tam i z powrotem bynajmniej nie dorównywały jeszcze dzisiejszym. Stanąwszy przed chatą, zastukałem swym zwyczajem, a nie otrzymawszy odpowiedzi, poszukałem klucza w wiadomej mi skrytce, otworzyłem drzwi i wszedłem do wnętrza. Na kominie rozkosznie płonął ogień. Była to niespodzianka – i trzeba przyznać, że nader miła. Zdjąłem płaszcz, przysunąłem sobie krzesło do trzaskających głowni i czekałem cierpliwie powrotu mych gospodarzy.

Pojawili się o zmierzchu i powitali mnie bardzo serdecznie. Jupiter, szczerząc zęby od ucha do ucha, zakrzętnął się około przygotowania kurek wodnych na wieczerzę. Legrand był znów w przystępie – gdyż nie wiem, jak to inaczej nazwać – entuzjazmu. Znalazł nieznanego skorupiaka, przedstawiającego nową odmianę, i co więcej, schwytał przy pomocy Jupitera jakiegoś żuka, który wedle niego był zupełną nowością, lecz co do którego pragnął jeszcze zasięgnąć nazajutrz mojego zdania.

– Czemuż nie dzisiaj? – spytałem, zacierając ręce nad ogniem i cały gatunek żuków posyłając w duchu do diabła.

– Ach, gdybym był wiedział, że przyjdiesz! – odparł Legrand. – Lecz nie widziałem cię już tak dawno; jakże mogłem przypuszczać, że mnie odwiedzisz właśnie dzisiejszego wieczora? Idąc z powrotem, spotkałem po drodze porucznika G. z fortu i zrobiłem to głupstwo, że pożyczyłem mu chrząszcza do obejrzenia; nie możesz go zatem wcześniej zobaczyć aż jutro rano. Przenocuj dziś u mnie, a o świcie Jup pójdzie po niego. To istne czarodziejstwo!

– Co? Świt?

– Nie pleć! Żuk. Lśni cały jak złoto, jest wielkości dużego orzecha, ma dwie ogromne czarne plamki po jednej stronie odwłoku i trzecią, nieco większą, po drugiej. Macki są...

– On nie ma nijakich macek, Massa Will, idę o zakład – przerwał Jupiter. – Ten chrząszcz to złoty chrząszcz: on cały ze szczerego złota, i w środku, i wszędzie, oprócz skrzydeł. Jeszczem w życiu nie widział takiego ciężkiego chrząszcza.

– Zgoda, przypuścmy, że tak jest istotnie, Jup – odrzekł Legrand, jak mi się zdawało, nieco poważniej, niż tego wymagały okoliczności – ale czy dlatego masz przypalić nasze kurki? Barwa – mówił dalej, zwracając się do mnie – przemawia rzeczywiście do pewnego stopnia za przypuszczeniem Jupitera. Nie zdarzy ci się chyba widzieć bardziej metalicznego połysku niżli na łuskach tego owada, lecz będziesz mógł o tym sądzić dopiero jutro. Tymczasem chciałbym ci dać wyobrażenie o jego kształcie. – Z tymi słowy usiadł przy małym stoliku, na którym znajdował się atrament i pióro, lecz nie było papieru. Sięgnął po niego do szuflady, ale i tam nic nie znalazł.

– Co tam! – rzekł w końcu. – To wystarczy. – Wyjął z kieszonki od kamizelki jakiś świstek, który wydał mi się nadzwyczaj brudnym kawałkiem papieru welinowego, i piórem naszkicował rysunek. Kiedy to się działo, nie ruszałem się z miejsca, bo wciąż jeszcze było mi chłodno. Ukończywszy rysunek, podał mi go, nie powstając z krzesła. Miałem już szkic w ręku, gdy rozległo się głośne skomlenie i coś zachrobotało za drzwiami. Otworzył je Jupiter i do izby wpadł wielki nowofundlandczyk będący własnością Legranda; wsparł się łapami na mych ramionach i nie

szczędził mi pieśczoć, wywzajemniając się za pieczołowitość, jakiej już niejednokrotnie doznawał ode mnie poprzednio. Gdy przestał się łąsić, spojrziałem na papier i prawdę mówiąc, byłem nieco zakłopotany dziwołagiem mojego przyjaciela.

– Hm! – rzekłem po kilku minutach. – Trzeba przyznać, że ten żuk istotnie jest niezwykły i stanowi dla mnie nowość; nie widziałem jeszcze niczego podobnego, chyba że byłaby to czaszka lub trupia głowa, którą bodaj przypomina najwięcej wśród widywanych przeze mnie przedmiotów.

– Co, trupia głowa? – zapytał Legrand. – Ach, tak, tak, bez wątpienia, jest niejake podobieństwo na papierze. Dwie górne, czarne plamki wyglądają jak oczy, nieprawdaż? A ta podłużna na odwłoku niby pyszczek? Przy tym kształt całości jest owalny.

– Być może – odparłem – ale coś mi się zdaje, że nieszczególnym jesteś artystą, poczekam, aż zobaczę tego owada na własne oczy i sam powezmę wyobrażenie o jego wyglądzie.

– Zgoda, choć nie wiem... – rzekł z lekką w głosie urazą. – Rysuję znośnie lub przynajmniej powinien bym, miałem niezłych nauczycieli i pochlebiam sobie, że nie jestem w ciemię bity.

– Ależ, mój drogi, ty chyba żartujesz – odezwałem się – to wcale poprawna czaszka, powiedziałbym nawet: doskonale naszkicowana czaszka, jeśli zgodzimy się na poglądy obowiązujące powszechnie w osteologii; a twój żuk musi być najosobliwszym żukiem na świecie, skoro jest do niej podobny. Można by na karb jego złożyć jaką zabobonna okropność. Myślę, że nazwiesz tego chrząszcza *scarabeus caput hominis*<sup>2</sup> lub dasz mu inne, zbliżone nazwanie, zwłaszcza że podobne miana spotyka się często w naukach przyrodniczych. Ale gdzie są macki, o których mówiłeś?

– Macki! – zachnął się Legrand, który, jak mi się zdawało, zapalił się niepomierne do przedmiotu naszej rozmowy. – Musisz je widzieć, tego jestem pewny! Narysowałem je najdokładniej wedle oryginału i myślę, że to wystarczy.

– Nie przeczę, nie przeczę – powiedziałem – być może, iż narysowałeś, ale ja ich nie widzę – i wręczyłem mu papier, nie dodając już ani słowa, by

nie podniecać jego rozdrażnienia; wszelako byłem niepomału zdziwiony tym obrotem rzeczy. Jego zły humor wprowadził mnie w zakłopotanie – co zaś do rysunku chrząszcza, macek na pewno nie było widać, a całość okazywała nadzwyczajne podobieństwo do zwykłych kształtów trupiej głowy.

Sięgnął po papier bardzo niechętnie i już miał zmiąć go, chcąc zapewne rzucić w ogień, gdy przypadkowy rzut oka na rysunek przykuł nagle, jak mi się zdawało, całą jego uwagę. Poczerwieniał zrazu na twarzy, po czym przybladł mocno. Przez kilka minut, nie ruszając się z miejsca, badał szczegółowo rysunek. W końcu wstał, wziął świecę ze stołu i odszedłszy opodal, usiadł na skrzyni w najdalszym kącie izby. Tu znowu jął oglądać drobiazgowo papier, obracając go na wszystkie strony. Wszelako nie wyrzekł ani słowa ku wielkiemu mojemu zdziwieniu; zdawało mi się przeto, iż będzie najrozsądniej nie robić żadnych uwag i nie powiększać wzmagającego się rozstroju jego usposobienia. Ostatecznie wyjął z kieszeni portfel, włożył do niego starannie papier i schował do biurka, które zamknął na klucz. Znać było po nim niejakię uspokojenie, ale poprzedni jego zapał znikł doszczętnie. Mimo to wydawał mi się nie tyle zaszępiiony, co roztargniony. Z biegiem wieczoru coraz bardziej pogrążał się w zadumie i nie dawał się z niej wyprowadzić żartami. Poprzednio miałem zamiar przenocować w chacie, jak to czyniłem już niejednokrotnie, ale widząc roztargnienie mojego gospodarza, uważałem za stosowne pożegnać się z nim. Nie należał wcale, bym pozostał, lecz na pożegnanie uścisnął mnie serdeczniej niż zwykle.

W jakiś miesiąc później (a przez cały ten czas nie miałem zgoła wieści od Legranda) odwiedził mnie w Charlestonie jego służący, Jupiter. Nie widziałem przedtem nigdy poczciwego starego Murzyna w podobnym przygnębieniu i jałem się obawiać, czy jakie wielkie nieszczęście nie spotkało mojego przyjaciela.

– No cóż, Jup! – zagadnąłem. – Co tam słyhać nowego? Co porabia twój pan?

– Żeby prawdę powiedzieć, Massa, nie wiecie mu się tak dobrze, jak by powinno.

– Niedobrze! Co ty mówisz? To mnie martwi. Cóż mu dolega?

– Otóż to! Nie skarży się na nic, ale jest bardzo chory.

– Bardzo chory, Jup? A czemużeś tego nie powiedział od razu? Czy leży w łóżku?

– Ej, nie! Z nim nigdzie nie jest dobrze – i tu właśnie jest sęk – bardzo mi ciężko na duszy, bo mnie smuci Massa Will.

– Słuchaj no, Jup, chciałbym coś zrozumieć z tego, co pleciesz. Więc powiadasz, że twój pan niezdrów? Czy ci nie mówił, co go boli?

– Ej, Massa, nie warto łamać sobie nad tym głowy! Massa Will mówi, że mu nic nie jest, ale dlaczego łązi z kąta w kąt zamyślony, zgarbiony, ze spuszczoną głową i blady jak gęś? A potem dlaczego robi cięgiem te kulasy?

– Co robi, Jupiter?

– No, takie kulasy i figury na tabliczce – jeszcze takich figur nie widział. Aż skóra cierpnie na mnie, mówię panu. Nie mogę ani na chwilę spuścić go z oka. Onegdaj wymknął mi się przed wschodem słońca i poszedł gdzieś i nie było go przez cały święty dzionek. Jużem był sobie wyciął tęgi kij, żeby wygnać z niego te diabły, kiedy przyjdzie, alem był taki osioł, że mi nie stało kurażu... Tak źle, biedactwo, wyglądał!

– Co ty mówisz, naprawdę? Mnie się jednak zdaje, że lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz nazbyt srogi dla tego biedaka. Nie trzeba go tykać, Jup! Być może, iż nie zniósłby tego. Ale czy nie przychodzi ci na myśl, co mogło spowodować tę chorobę, a raczej tę zmianę w usposobieniu twego pana? Czy nie miał jakiej przykrości od czasu, jak się z wami widziałem?

– Nie, Massa, potem nic przykrego się nie zdarzyło. Ale boję się, czy przedtem... tego samego dnia, kiedyście, panie, byli u nas.

– Co takiego? Co ci się zdaje?

– No, tak, Massa, myślę, że to ten chrząszcz.

– Co znowu?

– Ten chrząszcz. Jestem przekonany, że mego Massę Willa ugryzł gdzieś w głowę ten złoty chrząszcz.



– Skądże ci przyszło do głowy takie przypuszczenie, Jup?

– Bo ma dość kleszczy, Massa, a i pysk niezgorszy. Jeszczem w życiu nie widział takiego diabelskiego robaka – łapie i gryzie wszystko, co mu się nawinie. Massa Will pierwszy go chwycił, lecz wnet puścił, słowo daję... i to wtedy pewnikiem go ugryzł. Mnie się jakoś od razu nie podobał ten chrząszcz i jego pysk, toteż nie sięgnąłem po niego palcami, alem znalazł kawałek papieru i takem go złapał. Owinąłem go w papier i wepchnąłem mu kawałek tego papieru do pyska – takem to zrobił!

– Więc myślisz, że twego pana naprawdę ugryzł ten owad i że od tego ukąszenia on się rozchorował?

– Ja nic nie myślę – gdzieżby tam! Ino dlaczego śni mu się ciągiem o złocie, jeśli go nie ugryzł ten złoty chrząszcz? Ja jużem niejedno słyszał o tych złotych chrząszczach...

– Skądże ty wiesz, że mu się śni o złocie?

– Skąd ja wiem? Bo ciągiem przez sen o nim gada – stąd wiem.

– Hm, Jup, być może, iż masz słuszość, ale jakiejże to szczęśliwej okoliczności zawdzięczam, żeś raczył dziś mnie odwiedzić?

– Hej, co Massa gada?

– Czy masz jakie wieści od Mr. Legranda?

– Nic, Massa, przyniosłem ino ten kwitek. – Tu Jupiter podał mi list, który brzmiał, jak następuje:

*Mój Drogi!*

*Dlaczego nie zaglądasz do mnie już od dawna? Myślę, że nie byłbyś zdolny obrazić się na mnie za jakąś tam przymówkę – nie, to niepodobna.*

*Nie zachodziłeś do mnie, a ja tu przeżywam tymczasem ciężką rozterkę. Miałbym coś do opowiedzenia, lecz doprawdy nie wiem, jak to powiedzieć i czy w ogóle powiedzieć.*

*Byłem w ostatnich dniach trochę niezdrów; starowina Jup nudził mnie nieznośnie swą poczciwą troskliwością. Czybyś uwierzył? Kilka dni temu przygotował sobie spory kij, żeby mnie skarcić za to, iż dałem przed nim nura i przewalałem się samotnie cały dzień wśród wzgórz, na lądzie. Coś mi się zdaje, że tylko dzięki memu złemu wyglądowi zdołałem ujść ciągów.*

*Od naszego ostatniego spotkania nie przybyło nic do mych zbiorów.*

*Przybądź do mnie wraz z Jupiterem, jeśli tylko możesz i jeśli nie będzie to dla Ciebie zbyt niedogodne. Przyjdźże! Chciałbym widzieć się z Tobą dzisiejszego wieczora w pewnej ważnej sprawie. Zapewniam Cię, że to sprawa nadzwyczaj ważna.*

*Szczerze Ci oddany*

*William Legrand*

Było coś w tonie tego listu, co mnie dotknęło nader nieprzyjemnie. Cały jego styl różnił się tak bardzo od stylu Legranda. Co mu się roziło? Jaki nowy bzik zalał się w tym niespokojnym mózgu? Do jakiej to „nadzwyczaj ważnej sprawy” miał zamiar przystąpić? Opowiadanie Jupitera nie zapowiadało niczego dobrego. Jąłem się obawiać, czy nieustanny ucisk niedoli nie wykoleił w końcu umysłu mojego przyjaciela. Nie zwlekając przeto ani chwili, wybrałem się w drogę z nieodstępnym Murzynem.

Kiedy przybyliśmy do przystani, spostrzegłem na dnie oczekującej nas łodzi kosę i trzy łopaty, zupełnie nowe.

– Co to wszystko znaczy, Jup? – zagadnąłem.

– To kosa, Massa, i łopaty.

– Wiem, ale skąd one się tu wzięły?

– Massa Will kazał kupić dla siebie w mieście tę kosę i te łopaty, i diablo dużo to kosztowało.

– Lecz, na wszystkie tajemnice, co ten twój Massa Will zamierza począć z kosą i z łopatami?

– Niby to ja wiem wszystko? I niech mnie diabli wezmą, jeśli on wie więcej ode mnie. Ale to wszystko przez tego chrząszcza!

Widząc, że niczego więcej nie dowiem się od Jupitera, którego umysł kołował widocznie tylko dokoła „chrząszcza”, wszedłem do łodzi i rozpiąłem żagiel. Sprzyjał nam rzeźwy i dość silny wietrzyk; rychło zawinęliśmy do niewielkiej zatoki na północ od Fortu Moultrie, skąd pieszo podążyliśmy do chaty oddalonej o niespełna dwie mile. Była trzecia po południu, gdy stanęliśmy na miejscu. Legrand oczekiwał nas z ogromną niecierpliwością. Podał mi dłoń nerwowym ruchem, który mnie

zaniepokoił i utwierdził w powziętych już podejrzeniach. Twarz miał bladą jak upiór, a jego głęboko osadzone oczy jarzyły się niezwykle blaskiem. Najpierw zapytałem go o zdrowie, po czym nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, zagadnąłem, czy odebrał już żuka od porucznika G.

– O, tak – odparł, mieniając się na twarzy – otrzymałem go nazajutrz rano. Za nic w świecie nie rozstałbym się z tym żukiem! Czy wiesz, że Jupiter miał co do niego zupełną słuszność?

– Jak to? – zapytałem pełen smutnych przeczuć.

– Bo przypuszczała, że ten chrząszcz jest szczeroloty! – Powiedział to z głębokim przekonaniem, które sprawiło mi niewymowną przykrość.

– Ten chrząszcz przyniesie mi szczęście – mówił dalej z tryumfującym uśmiechem – i odda mi z powrotem dobra rodzinne. Cóż więc dziwnego, że go cenię? Skoro fortuna uważała za stosowne dać mi go w ręce, trzeba będzie tylko odpowiednio nim się posłużyć, a znajdę złoto, którego jest zwiastunem. Jup, przynieś mi tego żuka!

– Co, żuka, Massa? Wolę ja nie mieć z nim nijakiej sprawy! Niech go Massa sam weźmie. – Na te słowa Legrand podniósł się z miejsca poważnym i wyniosłym ruchem i wyjął chrząszcza ze szklanego naczynia, gdzie go trzymał w zamknięciu. Był to piękny skarabeusz, podówczas nieznanym jeszcze przyrodnikom i posiadający dlatego istotną naukową wartość. Miał dwie czarne cętki po jednej stronie odwłoku, a trzecią podłużną po drugiej. Łuski jego były nadzwyczaj twarde i lśniące i miały wygląd polerowanego złota. Ciężar owada był nader znaczny, biorąc przeto wszystko pod uwagę, trudno było mieć za złe Jupiterowi jego poglądy; natomiast za cenę życia żadną miarą nie zdołałbym być podówczas pojąć, jak Legrand mógł godzić się na nie.

– Posłałem po ciebie – odezwał się pompatycznym tonem, gdy ukończyłem badanie chrząszcza – posłałem po ciebie, bo mi będzie potrzebna twa rada i pomoc, kiedy pocznie się iść zrządzenie Przeznaczenia i żuka...

– Mój drogi – przerwałem – tyś zapewne niezdrów i powinien byś mieć się nieco na baczności. Połóż się do łóżka, a ja zostanę przy tobie, aż to przejdzie. Masz gorączkę i...

– Zbadajże mi tętno – odpowiedział.

Wziąłem go za rękę i prawdę mówiąc, nie wyczułem najmniejszych oznak gorączki.

– Ale ty możesz być chory i nie mieć gorączki. Pozwól mi tym razem zająć się tobą. Po pierwsze, połóż się do łóżka. Następnie...

– Mylisz się – wtrącił. – Czuję się o wiele lepiej, niżli można by wnioskować z mojego podniecenia. Jeśli naprawdę pragniesz mojego dobra, ulżyj mi w nim!

– A jakże tego dokonać?

– Bardzo łatwo. Wybieram się wraz z Jupiterem na wyprawę śród wzgórz, na stałym lądzie, i potrzebuję do pomocy kogoś, na kim można by polegać. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Podniecenie, które we mnie dostrzegasz, ustąpi bez względu na to, czy spotka mnie zawód, czy tryumf.

– Dopomogę ci chętnie we wszystkim – odrzekłem – ale czy twoim zdaniem ten piekielny owad pozostaje w jakimś związku z twą wyprawą do wzgórz?

– Oczywiście.

– W takim razie nie mogę wziąć udziału w tym niedorzecznym przedsięwzięciu.

– Przykro mi, bardzo mi przykro! Zatem będziemy musieli próbować sami.

– Co... sami? Czyś ty istotnie oszalał? Zaczekaj no! Na jak długo się wybierasz?

– Prawdopodobnie na całą noc. Wyruszymy natychmiast, a o świcie będziemy z powrotem.

– A kiedy ta twoja chimera minie i kiedy ta zabawa z chrząszczem (mój ty Boże!) skończy się dla ciebie pomyślnie, czy mi zaręczysz słowem honoru, że powrócisz do domu i będziesz słuchał ślepo mych rad, jak gdybym był twoim lekarzem?

– Zgoda, przyrzekam; a teraz dalej w drogę, bo nie mamy czasu do stracenia!

Z ciężkim sercem podążyłem za moim przyjacielem. Wyruszyliśmy po czwartej – Legrand, Jupiter, ja i pies. Jupiter zabrał kosę i łopaty i uparł się, że to wszystko sam poniesie, więcej, jak mi się zdawało, z obawy, by które z tych narzędzi nie dostało się w ręce jego pana, niżli z nadmiernej gorliwości i pilności. Był po prostu w psim usposobieniu i poza słowami „ten diabelski chrząszcz” nie powiedział nic przez całą drogę. Mnie dostały się przy podziale dwie ślepe latarki, natomiast Legrand zadowolił się samym tylko żukiem, którego przytwierdził na końcu sznurka i potrząsał nim, idąc z miną spiskowca. Patrząc na ten oczywisty dowód zbroczenia umysłowego mojego przyjaciela, zaledwie zdołałem powściągnąć łzy, które cisnęły mi się do oczu. Zdawało mi się jednak, iż postąpię właściwiej, gdy będę pobłażał jego urojeniom, przynajmniej na razie lub do czasu, gdy będzie można zastosować energiczniejsze środki zaradcze, nie narażając się na niepowodzenie. Tymczasem czyniłem nadaremne usiłowania, by dowiedzieć się odeń czegoś dokładniejszego o celu tej naszej wyprawy. Udało mu się wymóc na mnie, że będę mu towarzyszył, ale widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę o jakichkolwiek szczegółach podrzędniejszego znaczenia i na wszystkie moje zapytania nie raczył dawać innej odpowiedzi prócz: „Zobaczymy”.

Przeprawiliśmy się czołnem u przylądka wyspy na wybrzeże stałego lądu i pnąc się wciąż w górę, w kierunku północno-zachodnim, szli-

my przez okolicę nadzwyczaj dziką i pustynną, gdzie zgoła nie było śladów ludzkiej stopy. Legrand prowadził nas nadzwyczaj pewnie, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by rzucić okiem na jakieś widocznie znane mu znaki, które zapewne przy innej sposobności zakarbował sobie w pamięci.

Szliśmy tak ze dwie godziny i słońce miało się już ku zachodowi, kiedy otoczyło nas pustkowie, nieskończenie posępniejsze od okolic, które pozostały za nami. Był to jakby płaskowyż położony u szczytu niedostępnego niemal wiszaru, zalesiony gęsto od dołu do samej góry i usiany ogromnymi złomami, które zdawały się leżeć luźno na ziemi i niejednokrotnie nie staczały się w dół jedynie dlatego, że stały oparte o

drzewa. Głębokie jary przebiegające w różnych kierunkach przymnażały jeszcze krajobrazowi wyrazu uroczystej głuszy.

Wyżynę, na którą wspięliśmy się w końcu, porastały tak gęsto chaszczce jeżyny, iż wnet przekonaliśmy się, że nie utworzymy sobie drogi bez kosy. Jupiter na rozkaz swego pana jął trzebić ścieżkę do stóp ogromnego tulipanowca, który wznosił się na płaszczyźnie w otoczeniu ośmiu czy dziewięciu dębów i przewyższał je, podobnie jak wszystkie inne drzewa, które kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, krasą ulistnienia i kształtu, rozłożystością konarów oraz okazałością wyglądu. Gdy stanęliśmy pod drzewem, Legrand zwrócił się do Jupitera i zapytał go, czy potrafi na nie wejść. Stary Murzyn zawahał się nieco na to pytanie i na razie nic nie odpowiedział. Po chwili zbliżył się do potężnego pnia, obszedł go z wolna wokoło i obejrzał bardzo dokładnie. Ukończywszy te badania, rzekł krótko:

– Jużcić, Massa, nie ma takiego drzewa, na które Jup nie wlezie.

– Zatem włącz co rychlej, bo wnet się ściemni i nie będziesz widział, co robimy.

– Jak wysoko trzeba wleźć, Massa? – zagadnął Jupiter.

– Wespnij się najpierw na pień, a potem ci powiem, którądy masz wspinać się dalej. Zaczekaj no jeszcze! Weź ze sobą tego chrząszcza!

– Chrząszcza, Massa Will? Złotego chrząszcza? – zawołał Murzyn, cofając się lękliwie. – Po cóż mam zabierać tego chrząszcza na drzewo? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli go wezmę!

– Co, Jup, ty, taki wielki, silny Murzyn, boisz się wziąć ze sobą nieszkodliwego, martwego chrząszczyka, którego można ponadto nieść jeszcze na tym sznurku? No, jeśli ty go tak lub owak nie weźmiesz, to doprowadzisz mnie do ostateczności i rozwalę ci łeb tą łopata!

– Co też Massa gada! – odezwał się Jup, widocznie zawstydzony i skłonny do uległości. – Massa musi zawsze gderać na starego Murzyna! To był tylko żart! Ja bym bał się chrząszcza? Ja kpię z niego! – Z tymi słowy ujął ostrożnie sam koniec sznurka i trzymając owada możliwie daleko od siebie, począł wspinać się na drzewo.

Tulipanowiec, czyli *Liriodendron tulipifera*, jest najwspanialszym drzewem borów amerykańskich. Za młodu pień jego bywa nadzwyczaj gładki, a boczne konary poczynają się nieraz dopiero na znacznej wysokości. Ale z latami kora staje się sękata i chropawa, i mnóstwo krótkich gałązek pojawia się na pniu. Trudność zatem wejścia na to drzewo była raczej pozorna niż rzeczywista. Obejmując możliwie mocno ramionami i kolanami potężny trzon drzewny, czepiając się rękami sęków i wpijając bosc stopy w zagłębienia, piął się Jupiter w górę i narażając się kilkakrotnie na niebezpieczeństwo upadku, wśliznął się w końcu w pierwsze wielkie rozwidlenie, gdzie, jak się zdawało, uznał swe dzieło za skończone. Jakoż wielkie trudności istotnie były już pokonane, jakkolwiek Murzyn zawisł na wysokości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stóp nad powierzchnią ziemi.

– Którędy leżć teraz, Massa Will? – zapytał.

– Wspinaj się po najgrubszym konarze z tej strony pnia! – rzekł Legrand. Murzyn usłuchał go chętnie i bez żadnego już wysiłku pełzał coraz wyżej, aż w końcu krzepka jego postać znikła zupełnie wśród gęstego listowia. Głos jego dolatywał z wysoka niby nawoływanie:

– Czy leżć jeszcze wyżej?

– A gdzież ty jesteś? – zapytał Legrand.

– Tak wysoko – odrzekł Murzyn – że widzę już niebo przez wierzchołek drzewa.

– Tu nie chodzi o niebo, ale o to, co ci powiem. Spójrz w dół na pień i policz konary pod sobą po tej stronie. Ile masz konarów pod sobą?

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć – mam już pod sobą pięć grubych konarów, Massa, po tej stronie.

– Zatem wleż jeszcze o jeden konar wyżej.

Po chwili Jupiter zawiadomił, że dotarł już do siódmego konara.

– No, a teraz, Jup – krzyknął Legrand z niehamowanym już uniesieniem – posuwaj się po tej gałęzi tak daleko, jak tylko możesz. A gdy zobaczysz coś niezwykłego, daj mi znać!

Jeśli miałem dotychczas jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co do stanu umysłowego mego biednego przyjaciela, to w tej chwili pierzchły one

zupełnie. Z konieczności trzeba było go uznać za obłąkanego i już naprawdę niepokoiłem się myślą, w jaki sposób odprowadzę go do domu. Kiedy rozmyślałem, jak należy postąpić, głos Jupitera rozległ się znowu:

– Boję się leżeć za daleko po tej gałęzi, prawie cała uschnięta!

– Powiadasz, że ta gałąź jest uschnięta, Jup? – zawołał Legrand drżącym głosem.

– Tak jest, Massa, sucha jest jak pieprz, całkiem na pewno, nie ma w niej ani krzty życia.

– Na miłość boską, co teraz począć? – zapytał Legrand, upadając widocznie na duchu.

– Pytasz, co począć? – podchwyciłem, korzystając ze sposobności, bym mógł wreszcie zabrać głos w tej sprawie. – Pójść do domu i położyć się do łóżka! Chodźże! Bądź grzeczny, mój drogi! Pora już późna, a przy tym chciej pamiętać o swej obietnicy.

– Jup! – krzyknął, nie zwracając zgoła na mnie uwagi – słyszysz mnie?

– Tak jest, Massa, słyszę doskonale.

– Zatnij tę gałąź nożem i zobacz, czy drzewo już bardzo spróchniało?

– Spróchniało – odparł Murzyn po chwili – ale trzyma się lepiej, niż myślałem. Mógłbym jeszcze poleżeć trochę dalej po tej gałęzi, ale sam.

– Sam! Co to znaczy?

– Bo mam chrząszcza. To bardzo ciężki chrząszcz! Gdybym go cisnął w dół, to pewno ta gałąź nie ułamałaby się pod takim jak ja Murzynem.

– Ty diabli synu! – krzyknął Legrand z widoczną ulgą. – Co ty mi pleciesz? Spróbuj tylko rzucić chrząszcza, a dostaniesz ode mnie po łbie. Hej, Jup! Czy mnie słyszysz?

– Jużć! Massa znów gdera na biednego Murzyna.

– Nie pleć i słuchaj! Posuń się po tej gałęzi, jak daleko będzie można, i nie upuść przy tym chrząszcza, a dam ci srebrnego dolara, gdy zejdziesz na dół.

– Dobrze, Massa Will! Ja nie od tego – odrzekł Murzyn ochoczo. – Zaraz będę na końcu.



– Na końcu! – odezwał się żałośnie Legrand. – Czy jesteś już na końcu gałęzi?

– Zaraz będę, Massa – O-o-och! Chryste Panie, zmiłuj się nade mną! Co to takiego na tym drzewie?

– Aha! - odkrzyknął Legrand rozradowany. – Cóż tam takiego?

– Ej! Co by tam jak nie czaszka! Ktoś zostawił głowę na tym drzewie, a kruki obskubały ją z mięsa.

– Czaszka, mówisz? Doskonale! Jak jest przytwierdzona do gałęzi? Co ją przytrzymuje?

– Jużci trzyma się dobrze. Zaraz zobaczę. A to ci dziwo, daję słowo! W czaszce tkwi wielki gwóźdź, którym jest przybita do drzewa.

– Bardzo dobrze, Jup! Zrób dokładnie, co ci każę! Słyszysz mnie?

– Tak jest, Massa.

– No, to uważaj! Poszukaj lewego oka u tej czaszki.

– Hm, to dobre! Ale ona nie ma lewego oka.

– Bodaj cię lichy wzięło z twoją głupotą! Czy możesz odróżnić swą prawą rękę od lewej?

– Jużci, że wiem – ja wszystko wiem. Moja lewa ręka to ta, którą łupię drzewo.

– Dobrze mówisz, bo jesteś mańkut: otóż twe lewe oko jest po tej samej stronie, co twa lewa ręka. A teraz myślę, że potrafisz znaleźć lewe oko u tej czaszki albo też miejsce, gdzie ono kiedyś być musiało. Czy znalazłeś?

Nastąpiło długie milczenie. W końcu Murzyn zapytał:

– Czy lewe oko tej czaszki jest po tej samej stronie, co lewa ręka tej czaszki? Cóż, kiedy ta czaszka nie ma wcale rąk – ani jej się śni! Ale to nie szkodzi! Mam już lewe oko, dalibóg, mam! A teraz co z nim zrobić?

– Przesuń przez nie chrząszcza i spuszcza go na sznurku w dół aż do samego końca. Tylko pamiętaj, żebyś nie wypuścił sznurka z ręki!

– Jużem gotów, Massa Will! To nie sztuka puścić chrząszcza przez dziurę, zaraz go Massa zobaczy.

Jupitera podczas tej rozmowy wcale nie było widać, natomiast spuszczały przezeń w dół owad ukazał się po chwili na końcu sznurka i niby bryłka polerowanego złota zamigotał w pierzchającej jaśni

zachodzącego słońca, co nikłymi promieniami rozwidniało jeszcze okoliczną wyżynę. Żuk zawisł wolno wśród gałęzi i gdyby miał spaść, byłby upadł tuż u naszych stóp. Legrand pochwyił kosę i wytrzebił nią kolistą przestrzeń o średnicy do czterech jardów, tuż poniżej owada. Po czym, dokonawszy tej pracy, kazał Jupiterowi puścić z ręki sznurek i zejść z drzewa.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie chrabąszcz upadł, wbił mój przyjaciel w ziemię drewniany kołek i wyjął z kieszeni taśmę mierniczą. Przytwierdziwszy jeden jej koniec do pnia tulipanowca w miejscu, skąd było najbliżej do kołka, jął ją rozwijać; aż dosięgła tegoż kołka, i rozwijał dalej w kierunku wytyczonym przez pień drzewa i kołek, na odległość piętnastu stóp. Jupiter zaś tymczasem wycinał krzewy kosą. Osiągnąwszy ten najdalszy punkt, Legrand wbił tam drugi kołek i posługując się nim jako środkiem, opisał dokoła niego pobieżnie koło, którego średnica miała mniej więcej cztery stopy długości. Następnie ujął Legrand jedną łopatę, podał drugą Jupiterowi, a trzecią mnie i prosił nas, byśmy zabrali się skrzętnie do kopania.

Wyznaję szczerze, iż nie czułem nigdy nadzwyczajnego zamiłowania do podobnych rozrywek i właśnie wtedy byłbym najchętniej od tej pracy się wymówił, gdyż noc zapadała i dolegało mi już znużenie po przebytych trudach; ale nie wiedziałem, do jakich uciec się pozorów, a przy tym obawiałem się, by odmowa nie wytrąciła znów z równowagi mego biednego przyjaciela. Gdybym był wiedział, że mogę liczyć na pomoc Jupitera, nie wahałbym się ani chwili i przemocą byłbym zabrał szaleńca do domu; zbyt jednak dobrze znałem charakter Murzyna i musiałem wyrzec się nadziei, by kiedykolwiek stanął po mej stronie w zatargu ze swym panem. Nie wątpiłem, że Legrand dał się opętać zabobonnym wierzeniom, które krążą na Południu o zakopanych skarbach, i że utwierdził się w tych mrzonkach, znalazłszy żuka, lub też może uległ wpływowi Jupitera, który uporczywie utrzymywał, że „ten chrząszcz jest ze szczerego złota”. Umysł skłonny do obłędu łatwo poddaje się podobnym podszeptom, zwłaszcza jeżeli schlebiają one wprzód powziętym, ulubionym ideom. Ponadto przyszło mi na myśl, co ten nieszczęśnik

powiedział o żuku, iż „wskaże mu drogę do fortuny”. Słowem, byłem ogromnie zakłopotany i udręczony, lecz ostatecznie postanowiłem z konieczności poświęcić się i zabrałem się ochoczo do kopania, by tym rychlej przekonać naocznie szaleńca o płonności jego urojeń.

Zapaliliśmy latarnie i jęliśmy się pracy z gorliwością godną rozsądniejszego celu; kiedy zaś zamigotało światło na naszych osobach i narzędziach, nie mogłem oprzeć się myśli, że tworzymy nadzwyczaj malowniczą grupę i że przygodnemu wędrowcowi, który by nas przypadkiem dostrzegł, zajęcie nasze wydałoby się zapewne nader podejrzane i dziwne.

Kopaliśmy wytrwale ze dwie godziny. Mówiliśmy niewiele, a najwięcej naprzykrzało się nam ujadanie psa, który z niesłychanym zajęciem śledził przebieg naszej pracy. Stał się w końcu do tego stopnia hałaśliwy, iż zlekliliśmy się, by nie obudził czujności okolicznych włóczęgów. Takie przynajmniej były obawy Legranda, bowiem dla mnie wszelkie zamieszanie byłoby wówczas bardzo pożądane, gdyż pozwoliłoby mi doprowadzić mego niepoczytalnego przyjaciela do domu. Ujadanie to poskromił w końcu nader skutecznie Jupiter, który z diabelnie stanowczą miną wyskoczył z jamy, zawiązał psu pysk swą szelką i z pełnym godności uśmiechem zabrał się znowu do roboty.

Po upływie oznaczonego czasu wkopaliśmy się w ziemię do głębokości pięciu stóp, lecz skarbów nie było ani śladu. Nastąpiła dłuższa przerwa i już począłem radować się nadzieją, że cała ta krotchwila ma się wreszcie ku końcowi. Atoli Legrand, jakkolwiek widocznie przygnębiony, otarł w zamyśleniu czoło i jał się pracy na nowo. Cały okrąg o średnicy czterech stóp był już rozkopany; poszerzyliśmy go zatem z wolna i pogłębiliśmy jeszcze na dwie stopy. Nic jednak nie znaleźliśmy. W końcu szukający skarbów marzyciel, którego było mi serdecznie żal, z wyrazem gorzkiego rozczarowania na twarzy wygramolił się z jamy i począł opieszale wdziewać na siebie zdjętą poprzednio kurtkę. Nie rzekłem na to ani słowa. Jupiter na znak swego pana pozbierał narzędzia. Gdy to się stało, zdjęliśmy psu więzy z pyska i w głębokim milczeniu szliśmy ku domowi.

Nie odeszliśmy wszakże dalej niż na jakieś dwanaście kroków, gdy Legrand z głośnym przekleństwem rzucił się na Jupitera i porwał go za kołnierz. Osłupiały Murzyn wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta, upuścił łopaty i padł na kolana.

– Ty hultaju! – krzyczał Legrand przez zaciśnięte zęby. – Ty diabelski powsinogo! Mów, odpowiedz mi natychmiast bez wykrętów, które... które jest twoje lewe oko?

– Och, mój złoty Massa Will! Toć to jest na pewno moje lewe oko! – zaskrzeczał przerażony Jupiter, kładąc rękę na swym prawym narzędziu wzroku i przyciskając ją z rozpaczliwą zawziętością, jak gdyby się obawiał, że jego pan wydrze mu oko.

– Tak też sobie myślałem! To od razu przyszło mi do głowy! Hura! – darł się Legrand, puszczając Murzyna i wykonując jakieś łamańce i skoki ku zdumieniu swego służącego, który podźwignąwszy się z ziemi, wodził kolejno oczyma od swego pana do mnie, to znów ode mnie do swego pana.

– Chodź! Wracajmy! – odezwał się tenże. – Jeszcze nie po wszystkim! – i poprowadził nas znowu w stronę tulipanowca.

– Jup! – zawołał, gdyśmy stanęli pod drzewem. – Chodź no tutaj! Czy ta czaszka zwrócona była twarzą ku górze, czy też twarzą ku gałęzi?

– Twarz była zwrócona ku górze, Massa, dlatego kruki mogły z łatwością wydziobać jej oczy.

– No, dobrze; a przez które oko przesunąłeś chrząszcza, przez to czy przez to? – pytał Legrand, dotykając na przemian oczu Murzyna.

– Przez to, Massa, przez lewe oko, jak Massa rozkazał – tłumaczył się służący, wskazując wciąż swe prawe oko.

– Zobaczmy! Spróbujmy jeszcze raz!

Z tymi słowy mój przyjaciel, w którego szaleństwie jałem teraz, jak mi się przynajmniej zdawało, dostrzegać niejaki oznaki celowości, wyjął z ziemi kołek tkwiący w miejscu, gdzie chrząszcz upadł, i przesunął go trzy cale dalej ku zachodowi. Następnie przeciągnął taśmę mierniczą od najbliższego punktu pnia do tego kołka, podobnie jak poprzednio, i poprowadził ją dalej w linii prostej na odległość pięćdziesięciu stóp; w ten

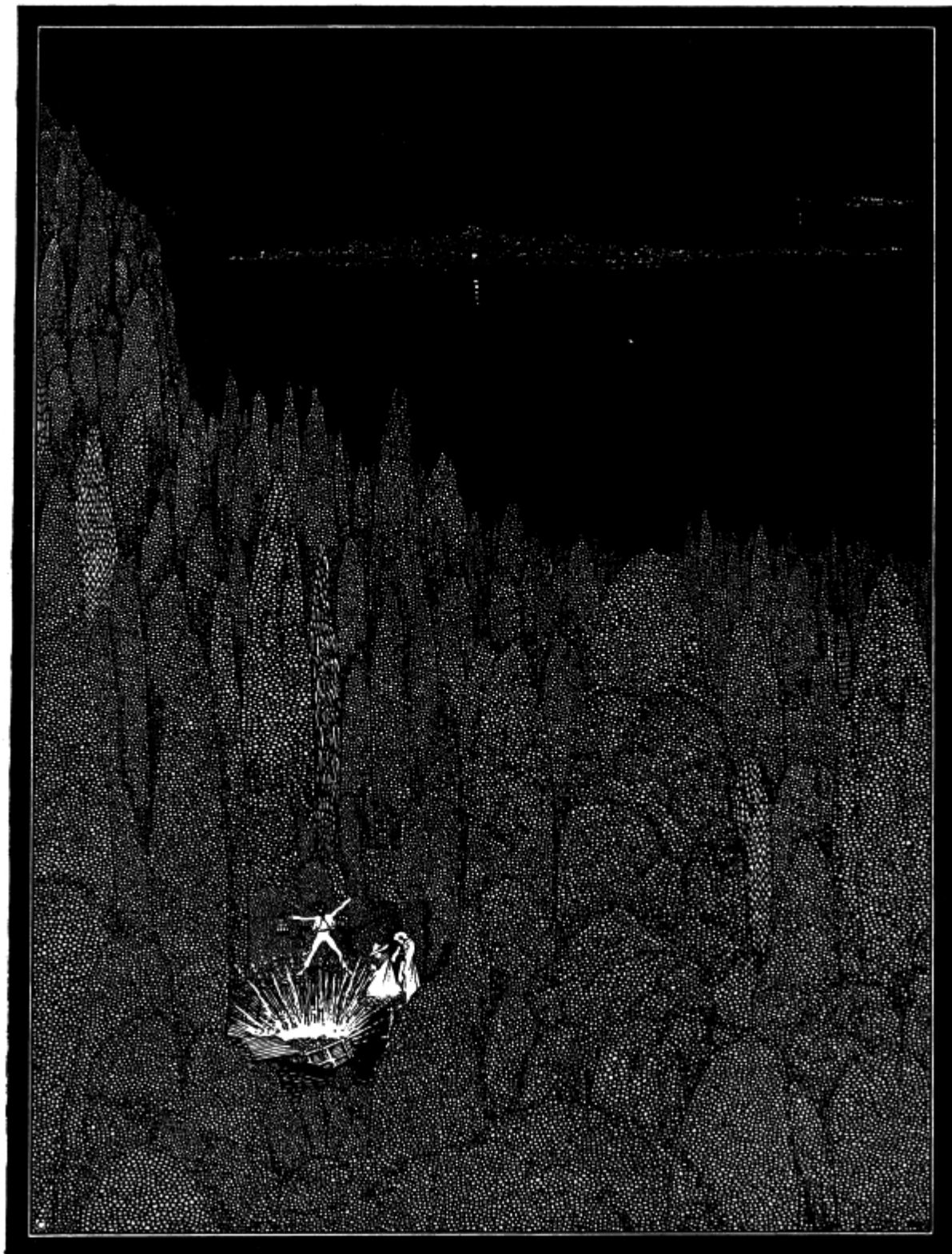
sposób znalazł punkt oddalony o kilka jardów od miejsca, gdzie kopaliśmy poprzednio.

Dokoła tego nowego środka opisał koło, nieco większe od dawniejszego, i znowu zabraliśmy się do łopat. Znużony byłem niewymownie, lecz w umyśle moim, nie wiadomo dlaczego, dokonała się zmiana i nie odczuwałem już nazbyt wielkiej odrazy do tej narzuconej mi pracy. Zaciekawilem się nią niesłychanie, co więcej, zapaliłem się do niej. Być może, iż w chimerycznym zachowaniu Legranda taił się jakiś zamysł czy zamierzenie, któremu poddałem się poniewolnie. Kopałem skrzętnie i od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, iż z uczuciem bardzo podobnym do oczekiwania poszukuję oto urojonego skarbu, którego wizja opętała mego nieszczęsnego towarzysza. Minęło blisko półtorej godziny i moje myśli jęły właśnie wałęsać się wśród mglistych rozmarzeń, kiedy ponownie przerwało nam pracę donośne naszczekiwanie psa. Jego niepokój, który za pierwszym razem był po prostu objawem rozchucania czy rozbawienia, stał się teraz przykrzejszy i poważniejszy. Kiedy Jupiter chciał mu znowu nałożyć kaganiec, opierał się ze wszystkich sił i wskoczywszy do jamy, darł zapamiętałe ziemię łapami. W okamgnieniu wygrzebał mnóstwo ludzkich kości, tworzących dwa całkowite szkielety, wśród których znaleźliśmy kilka metalowych guzików oraz coś, co wydawało się nam jakby resztkami zetlonej wełny. Za jednym zamachem łopaty wydobyliśmy brzeszczot wielkiego hiszpańskiego noża, a potem dokopaliśmy się jeszcze trzech czy czterech złotych i srebrnych monet, luźno leżących w ziemi.

Na ich widok radość Jupitera nie miała granic, ale z oblicza pana nie schodził wyraz gorzkiego rozczarowania. Mimo to przynaglał nas do pracy, lecz zaledwie dokończył swych słów, kiedy potknąłem się i upadłem przed siebie, zaczepiwszy końcem buta o wielki żelazny pierścień, który tkwił jeszcze na poły w miałkim piasku.

Pracowaliśmy tedy dalej ze zdwojoną gorliwością i nie zdarzyło mi się odtąd przeżyć drugich dziesięciu minut równie potężnego uniesienia. Wnet zdążyliśmy odwalić ziemię z podłużnej drewnianej skrzyni, której ściany były tak znakomicie zachowane i tak przedziwnie twarde, iż

zapewne musiała być kiedyś impregnowana jakimś roztworem mineralnym – prawdopodobnie dwuchlorkiem rtęci. Skrzynia ta miała półczwartej stopy głębokości. Umocniono ją silnymi wstęgami z kowanego żelaza, które tworzyły jakby kratę pospajaną na skrzyżowaniach nitami. Po obu jej stronach, bliżej wieka, znajdowały się po trzy pierścienie żelazne – było ich zatem sześć – przy pomocy których mogło skrzynię podźwignąć sześć osób. Dołożywszy wszystkich sił, zdołaliśmy zaledwie poruszyć ją nieco w łożysku. Przekonaliśmy się rychło, iż żadną miarą nie sprostamy takiemu ogromnemu ciężarowi. Na szczęście wieko przytrzymały tylko dwa wrzeciędzie. Oderwaliśmy je, drżąc i dysząc z uniesienia. Mignął przed nami skarb nieocenionej wartości. Gdy światło latarni rozwidniło nieco jamę, olśniła nasze oczy promienista roztecz nagromadzonego bezładnie złota i klejnotów.



OLŚNIŁA NASZE OCZY PROMIENISTA ROZTECZ

Nie zdołam wysławić wrażeń, jakich doznałem na ten widok. Oczywiście górowało nad wszystkimi osłupienie. Legrand był widocznie wyczerpany nadmiarem wzruszeń i nie odzywał się prawie. Twarz Jupitera powlokła się na chwilę taką śmiertelną bladością, jakiej nie widywałem jeszcze u Murzyna. Skamieniał i wyglądał jak spiorunowany. Potem rzucił się w jamie na kolana i zanurzył obnażone ramiona aż po łokcie w złocie, jakby lubując się rozkoszą kąpieli. W końcu z głębokim westchnieniem zawołał, niby przemawiając do siebie:

– A wszystko to zrobił ten złoty chrząszcz, mój śliczny złoty chrząszcz! Mój biedny złoty chrząszczyk, którego przeklinałem i obmawiałem! Czy nie wstyd ci, Murzynie? Powiedz sam!

Ostatecznie nie było innego sposobu, jak wezwać do opamiętania pana i służącego, i zwrócić im uwagę, iż należałoby zabrać się co rychlej do uprzątnięcia skarbu. Pora była już późna i wypadało się śpieszyć, jeżeli mieliśmy wszystko poznosić przed świtem do domu. Niełatwo przyszło nam zdać sobie sprawę z tego, co należało uczynić, i zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na naradach – do tego stopnia nie mogliśmy zebrać myśli. Wreszcie postanowiliśmy wyjąć ze skrzyni dwie trzecie zawartości, ażeby była lżejsza, i dopiero wówczas udało się nam, acz nie bez trudu, wydźwignąć ją z jamy. Przedmioty, wyjęte poprzednio, ukryliśmy w krzakach i pozostawiliśmy przy nich na straży psa, któremu Jupiter nakazał surowo, by pod żadnym pozorem nie oddalał się z miejsca i nie ważył się otwierać pyska aż do naszego powrotu. Po czym podążyliśmy pośpiesznie ze skrzynią do domu; przybyliśmy do chaty bez przygód, lecz znużeni niesłychanie, o pierwszej w nocy. Zmęczenie nasze przewyższało ludzkie siły, więc niepodobna było myśleć o natychmiastowym powrocie. Pozostaliśmy przeto do drugiej i spożyliśmy wieczerzę. Wnet potem szliśmy znowu ku wzgórzom, zaopatrzeni w trzy spore worki, które na szczęście znaleźliśmy w chacie. Na kilka minut przed czwartą stanęliśmy na miejscu, podzieliliśmy między siebie możliwie równo resztę łupu i nie zasypawszy jam, wyruszyliśmy z powrotem do siedziby Legranda, gdzie złożyliśmy po raz wtóry swe drogocenne brzemiona, kiedy już pierwsze nikłe smugi brzasku jęły się jarzyć nad drzewami od wschodu.



Byliśmy wyczerpani doszczętnie, lecz przemożne podniecenie nie pozwoliło nam na dłuższy spoczynek. Po niespokojnej kilkugodzinnej drzemce pozrywaliśmy się jak umówieni i przystąpiliśmy do obejrzenia naszych skarbów.

Skrzynia była napełniona po brzegi; potrzeba było całego dnia i znacznej części następnej nocy, by rozejrzeć się w jej zawartości. Nie było w niej ładu ni składu. Snadź wrzucono do niej wszystko, nie dbając o porządek. Podzieliliśmy zatem różne przedmioty wedle ich jakości i przekonaliśmy się, że weszliśmy w posiadanie znacznie większego skarbu, niżeli na razie nam się zdawało. Same monety przedstawiały wartość przeszło czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów – a oceniliśmy je możliwie dokładnie wedle bieżących kursów giełdowych. Nie było wśród nich ani odrobiny srebra. Wyłącznie złoto, bardzo stare i nader rozmaite: pieniądze francuskie, hiszpańskie i niemieckie, trochę gwinei angielskich jako też kilka liczmanów, jakich dotychczas nikt z nas nie widział. Znaleźliśmy także kilka monet bardzo wielkich i ciężkich, lecz tak już uszkodzonych, że nie mogliśmy odczytać napisów. Pieniądzy amerykańskich nie było wcale. Trudniej przyszło nam oznaczyć wartość drogich kamieni. Naliczyliśmy sto dziesięć diamentów, wśród nich kilka nadzwyczaj wielkich i pięknych, zaś ani jednego małego; osiemdziesiąt wspaniałych rubinów; trzysta dziesięć cudownych szmaragdów; dwadzieścia jeden szafirów i wreszcie jeden opal. Wszystkie te kamienie wyłamano z opraw i wrzucono bezładnie do skrzyni. Oprawy znaleźliśmy oddzielnie wśród innych złotych przedmiotów, lecz pogruchotane młotem, jakby z rozmysłem, by nikt ich nie rozpoznał. Ponadto było tam niesłychane mnóstwo szczerozłotych klejnotów; blisko dwieście kosztownych pierścieni i kolczyków, trzydzieści – jak mi się zdaje – wspaniałych łańcuchów; osiemdziesiąt trzy nadzwyczaj wielkie i ciężkie krucyfiksy; pięć złotych kadzielnic nadzwyczajnej wartości; ogromna złota waza ponczowa, szczerze ozdobiona misternie cyzelowanymi liśćmi winnymi i korowodem bachantek; dwie przedziwne rzeźbione rękojeści mieczów tudzież bardzo wiele innych drobniejszych przedmiotów, których już nie pamiętam. Waga tych kosztowności wynosiła przeszło trzysta

pięćdziesiąt funtów, nie wliczając do nich trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu drogocennych, złotych zegarków, z których trzy były warte co najmniej po pięćset dolarów. Niektóre z nich były nader stare i jako czasomierze nie nadawały się już do użytku, gdyż mechanizmy ich ucierpiały wielce od rdzy – ale wszystkie były szczerze ozdobione drogimi kamieniami i mieściły się w ogromnie cennych kopertach. Całą zawartość skrzyni oceniliśmy tej nocy na półtora miliona dolarów; wszelako później, gdyśmy jeszcze raz przejrzeni wszystkie kosztowności i klejnoty, przekonaliśmy się, o ile nie doceniliśmy wartości naszego skarbu, aczkolwiek niektóre przedmioty przeznaczaliśmy oddzielnie do własnego użytku.

Przyszedł wreszcie czas, że ukończyliśmy obliczenia i że niezmierne nasze podniecenie nieco się ukoilo. Legrand wiedział, że umieram z niecierpliwości, szukając rozwiązania tej zdumiewającej zagadki, i wyjaśnił mi ją szczegółowo wraz ze wszystkimi okolicznościami.

– Pamiętasz – mówił – ów wieczór, kiedy podałem ci pobieżnie nakreślony szkic, co miał przedstawiać żuka. I przypominasz sobie zapewne, iż po prostu uraził mnie upór, z jakim utrzymywałeś, że mój rysunek ma podobieństwo do trupiej głowy. Gdyś to powiedział po raz pierwszy, sądziłem, że żartujesz; lecz potem przyszły mi na myśl osobliwsze cętki na odwłoku chrząszcza i wydało mi się, że twe spostrzeżenie jest poniekąd uzasadnione. Mimo to twe kpiny z mych zdolności graficznych rozdrażniły mnie – gdyż uchodzę za dobrego rysownika – i dlatego, gdyś mi podał ów pergaminowy świstek, chciałem ze złości zmiąć go i rzucić w ogień.

– Ale to chodziło o papierowy świstek – odezwałem się.

– Nie; miał on wygląd papieru i zrazu uważałem go za papier, ale kiedy zacząłem na nim rysować, przekonałem się, że mam do czynienia z kawałkiem bardzo cienkiego pergaminu. Jak wiesz, był on bardzo brudny. Otóż kiedy miałem go już zmiąć, spojrzałem na szkic, który oglądałeś przede mną i wyobraź sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem istotnie rysunek trupiej głowy na tym samym miejscu, gdzie – jak mi się zdawało – naszkicowałem owada. Przez chwilę nie mogłem się opamiętać i skupić

myśli. Wiedziałem już, iż mój rysunek różnił się wielce w szczegółach od tego, na który patrzyłem, aczkolwiek było niejako podobieństwo w najogólniejszych zarysach. Wziąłem tedy świecę i usiadłszy w najdalszym kącie izby, zabrałem się do ściślejszego zbadania pergaminu. Odwróciwszy go, ujrzałem swój szkic na przeciwnej stronie, na pewno ten sam. Pierwsze me wrażenie streszczało się wyłącznie w zdumieniu nad istotnie zastanawiającym podobieństwem konturów, jako też nad szczególniejszym zbiegiem okoliczności, że po drugiej stronie pergaminu mogła widnieć nieznana mi czaszka, tuż pod moją podobizną żuka, i że ta czaszka nie tylko konturem, ale także rozmiarem mogła tak bardzo upodobnić się do mojego rysunku. Jak już powiedziałem, ten osobliwszy zbieg okoliczności wprowadził mnie na razie w osłupienie. Jest to zwykłe w takich razach zjawisko. Umysł sili się, by wykazać związek, mianowicie łączność przyczyny i skutku, i nie mogąc temu podołać, ulega jakby chwilowemu obezwładnieniu. Otrząsnąwszy się jednak z tego bezwładu, jąłem stopniowo nabierać przeświadczenia, które przeniknęło mnie nierównie silniej niż ów zbieg okoliczności. Uprzytomniłem sobie bowiem dokładnie i szczegółowo, że na pergaminie nie było ani śladu jakiegokolwiek rysunku, gdy przystępowałem do szkicowania żuka. Nabierałem pewności, że tak było istotnie, gdyż pozostało mi to w pamięci, że spojrzałem najpierw na jedną stronę, a potem na drugą, szukając możliwie najczystszej miejsca. Gdyby podówczas widniała tam czaszka, byłbym na pewno ją zauważył. Była w tym już jakaś zagadka, ale czułem, że nie podołam jej rozwiązaniu; wszelako już wówczas, w tej wczesnej chwili, w najodleglejszych i najtajniejszych skrytkach mojego umysłu zamigotało nagle, na podobieństwo robaczka świętojańskiego, poczucie tej prawdy, która w przygodach ubiegłej nocy znalazła takie świetne potwierdzenie. Zerwałem się nagle z miejsca i chowając starannie pergamin, odłożyłem dalsze rozmyślania do czasu zupełnej samotności.

Po twym odejściu, kiedy Jupiter usnął jak zabity, zabrałem się do metodycznego rozpatrzenia tej sprawy. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę, w jaki sposób przyszedłem do posiadania owego pergaminu.

Miejsce, gdzie dostrzegliśmy żuka, znajdowało się na wybrzeżu stałego lądu, o jaką milę na wschód od wyspy i bardzo blisko od granicy najwyższego przyływu morza. Kiedy sięgnąłem po niego, ugryzł mnie mocno i musiałem wypuścić go z ręki. Jupiter ze swą zwykłą ostrożnością, zanim przystąpił do schwywania uciekającego przed nami owada, obejrzał się za liściem lub czymś podobnym, przez co byłoby można go ująć. Otóż w tej chwili ujrzeliśmy obaj równocześnie ów skrawek pergaminu, który zresztą wydał mi się papierem. Był on na pół zagrzebany w piasku i wystawał zeń tylko jednym rożkiem. Opodal od miejsca, gdzie go znaleźliśmy, zauważyłem szczątki kadłuba, który kiedyś był zapewne częścią wielkiej okrętowej łodzi. Ten gruchot, jak mi się zdawało, musiał tam leżeć już od dawna, gdyż niełatwo dawało się w nim dostrzec podobieństwo do wiązania łodzi.

Jupiter podniósł tedy pergamin, owinął weń chrząszcza i podał mi go. Wnet potem szliśmy z powrotem do domu i spotkaliśmy po drodze porucznika G. Pokazałem mu owada, on zaś poprosił mnie, żebym mu pozwolił wziąć go ze sobą do fortu. Kiedym się zgodził, włożył go natychmiast do kieszonki swej kamizelki bez pergaminu, w który zawinałem żuka i którego przez cały czas naszej rozmowy nie wypuszczałem z ręki. Być może, iż obawiał się, bym nie zmienił zdania, i sądził, że najlepiej będzie wejść od razu w posiadanie zdobyczy – wiesz przecie, jak on się zapala do wszystkiego, co pozostaje w związku z wiedzą przyrodniczą. Równocześnie snadź musiałem bezwiednie włożyć pergamin do kieszeni.

Może pamiętasz jeszcze, że kiedy usiadłem przy stole, by narysować żuka, nie znalazłem papieru na zwykłym miejscu. Zajrzałem do szuflady, ale i tam go nie było. Przeszukiwałem kieszenie, by znaleźć jakiś bezużyteczny list, i wtedy nawinął mi się pod rękę pergamin. Rozwodzę się tak szczegółowo nad sposobem, w jaki przyszedłem do jego posiadania, gdyż te okoliczności wywarły na mnie nadzwyczaj silne wrażenie.

Pomyślisz sobie zapewne, żem narwaniec, lecz zdążyłem już dopatrzeć się pewnego związku. Społem dwa ogniwa wielkiego łańcucha. Na

brzegu morskim leżała łódź, a opodal od niej ten pergamin – nie papier! – z rysunkiem przedstawiającym czaszkę. Oczywiście spytasz: gdzie jest ten związek? Odpowiem na to, że czaszka, czyli trupia głowa, jest powszechnie znanym godłem korsarzy. Podczas swych wypraw wywieszali oni zawsze flagę z trupią głową.

Wspomniałem już, że ów świstek był z pergaminu, nie z papieru. Pergamin jest bardzo trwały – niemal niezniszczalny. Rzeczy mniejszej wagi rzadko powierzano pergaminowi, ile że do zwykłego pisania czy rysowania nadaje się on o wiele mniej od papieru. Ta refleksja poddała mi myśl, że trupia głowa nie może być bez znaczenia. Zwróciłem również uwagę na kształt pergaminu. Wprawdzie jeden z jego rogów uległ, skutkiem jakiegoś wypadku, zniszczeniu, mimo to widziało się od razu, że pierwotny jego format musiał być podłużny. Był to zatem kształt karty, jakiej używano ongi do dokumentów – do upamiętnienia czegoś, co jest bardzo ważne i winno być troskliwie przechowywane.

– Ależ – przerwałem – powiedziałaś, że czaszki nie było na pergaminie, kiedy zaczynałeś rysować żuka. Jakże mogłeś dopatrywać się związku między czaszką i łodzią, skoro, jak sam twierdzisz, pojawiła się ona (Bóg tylko wie, w jaki sposób i za czyją sprawą!) dopiero w jakiś czas potem, gdy szkic twój był już ukończony?

– Ach, to właśnie jest osią całej tajemnicy, aczkolwiek ten zagadkowy szczegół nie nastrecał mi przy rozwiązaniu większych trudności. Mój pochód był pewny i zmierzał wprost do celu. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób: kiedy rysowałem żuka, czaszki na pergaminie nie było. Ukończywszy rysunek, podałem ci go i nie spuszczałem cię z oka aż do chwili, gdy mi go zwróciłeś. Zatem ty nie narysowałeś czaszki i nie było tam nikogo innego, kto by mógł ją narysować. Nie powstała więc za ludzkim przyczynieniem. A jednak, mimo wszystko, istniała.

Dotarłszy w mych rozumowaniach do tego punktu, starałem się przypomnieć i z całą dokładnością przypominałem sobie istotnie wszystko, co zaszło w tym czasie. Było chłodno (co za niezwykły i szczęśliwy wypadek) i na kominku gorzał ogień. Byłem zgrzany po wycieczce i usiadłem przy stole. Ty natomiast przysunąłeś sobie krzesło

aż do samego ogniska. Kiedy podałem ci pergamin i kiedy jąłeś go oglądać, wpadł do pokoju mój nowofundlandczyk, Wilk, i wsparł ci się łapami na ramionach. Lewą ręką głaskałeś i odpychałeś go równocześnie, natomiast prawą rękę, w której trzymałeś pergamin, opuściłeś niedbale na kolana, bezpośrednio w pobliżu ognia. Była chwila, kiedy mi się zdawało, że pergamin zajmie się od płomienia, i chciałem cię przestrzec, lecz zanim zdążyłem odezwać się, już rękę cofnąłeś i zabrałeś się do oglądania rysunku. Rozważywszy wszystkie te okoliczności, przyszedłem natychmiast do przekonania, że gorąco było tym czynnikiem, który wywołał na pergaminie ową czaszkę. Wiesz dobrze, iż istnieją obecnie i że zawsze istniały odczynniki chemiczne, za pomocą których można pisać na papierze lub welinie w ten sposób, iż nakreślone litery występują na jaw dopiero pod działaniem silniejszego ciepła. Używano w tym celu niekiedy szafranu, rozczynionego w *aqua regia*<sup>3</sup> i rozpuszczonego następnie w cztery razy większej ilości wody; otrzymywano tym sposobem atrament zielony. Sól kobaltowa rozpuszczona w spirytusie saletrowym daje atrament czerwony. Barwy te zanikają po pewnym czasie, gdy tkanka, na której nimi pisano, ulegnie oziębieniu, i ukazują się znowu po ponownym zastosowaniu ciepła.

Poddałem z kolei trupa głowę drobiazgowemu badaniu. Zewnętrzne jej zarysy – to znaczy zarysy bliższe krańców welinu – były znacznie wyraźniejsze niż inne kreski. Z tego wywnioskowałem, że działanie ciepła było albo niezupełne, albo też niejednostajne. Zapaliłem niezwłocznie ogień i ogrzałem mocno całą powierzchnię pergaminu. Jedynym na razie następstwem było wzmocnienie się nikłych linii czaszki; powtarzając atoli tę próbę, dostrzegłem wreszcie w kącie owego świstka, wprost naprzeciw miejsca, gdzie widniała trupa głowa, coś, co w pierwszej chwili wydało mi się rysunkiem kozy. Po dokładniejszym jednakże obejrzeniu przekonałem się, że miało to przedstawiać kozłą.

– Ha, ha! – odezwałem się. – Nie mam już cię prawa natrzęsać się z ciebie – półtora miliona dolarów to nie kpiny! Ale coś mi się zdaje, że nie uda ci się włączyć trzeciego ogniwa do twego łańcucha; bo czyż zdołasz wykazać, że istnieje jakiś szczególniejszy związek między twymi

korsarzami a kozą? Korsarze, jak wiesz, nie mają nic wspólnego z kozami, które należą do dziedziny gospodarstwa wiejskiego.

– Ależ powiedziałem ci, że ów rysunek nie przedstawiał kozy!

– Zatem kozłę – to na jedno wychodzi.

– Jużcić, że wychodzi, ale nie zawsze – odparł Legrand. – Może obito ci się o uszy nazwisko niejakiego kapitana Kidda<sup>4</sup>? Otóż rysunek tego zwierzęcia wydał mi się od razu rodzajem logogryficznego lub hieroglificznego podpisu. Powiadam: podpisu; bowiem w takim miejscu znajdował się na welinie, że nasunęła mi się ta myśl. Trupia czaszka umieszczona w rogu przeciwnym z tego samego względu wywoływała wrażenie pieczęci czy godła. Ale było mi markotno, że nie mogłem znaleźć reszty – mianowicie treści marzonego przeze mnie dokumentu – tekstu zgodnego z moją myślą.

– Przypuszczam, iż spodziewałeś się jakiegoś pisma między godłem a podpisem.

– Czegoś podobnego. To pewna, iż nieodparcie przenikało mnie przecucie jakiegoś zbliżającego się niezmiernego szczęścia. Nie umiem ci powiedzieć dlaczego. Być może zresztą, iż było to raczej pragnienie niż istotna wiara; lecz czybyś uwierzył, że niedorzeczna gadanina Jupitera, jakoby ów żuk był szczerozłoty, oddziaływała silnie na moją wyobraźnię? A potem to mnóstwo przypadków i zgodnych okoliczności, czyż nie było naprawdę nadzwyczajne? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece było to przypadkiem, że wszystko to przydarzyło się właśnie w tym jednym dniu całego roku, kiedy było lub mogło być dość chłodno, by trzeba było zapalić na kominku, i że bez ognia tudzież bez udziału psa właśnie w tej chwili, kiedy wpadł do izby, nigdy nie byłbym dostrzegł trupiej czaszki i co za tym idzie, nigdy nie byłbym posiadał owych skarbów?

– Mówże dalej! Czekam niecierpliwie.

– No dobrze; oczywiście musiało obić ci się o uszy mnóstwo rozpowszechnionych pogłosek – tysiące niejasnych wieści, krążących o skarbach zakopanych gdzieś na wybrzeżu atlantyckim przez Kidda i jego towarzyszy. Te pogłoski musiały jużcić opierać się na rzeczywistości. Istniały one od tak dawna i powtarzały się tak uporczywie, iż nie mogłem

tłumaczyć sobie tego inaczej, jak tylko tą okolicznością, że zakopane skarby wciąż jeszcze spoczywały w ziemi. Gdyby Kidd był ukrył swe łupy tylko na jakiś czas i później je wydobył, pogłoski te nie docierałyby do nas w bieżącej, niezmienionej formie. Może zdarzyło ci się zauważyć, że tego rodzaju opowieści mówią zawsze o ludziach, którzy szukają skarbów, nigdy zaś o tych, którzy je znajdują. Gdyby korsarz był odzyskał swe mienie, sprawa ta byłaby przycichła. Mnie się zdaje, że jakiś wypadek – powiedzmy, utrata dokumentu, który wskazywał miejsce, gdzie je ukryto – uniemożliwił mu wydobycie skarbu. Sądzę również, że o tym wypadku doszły słuchy do jego towarzyszy, którzy w przeciwnym razie nic w ogóle nie wiedzieliby o zakopanych kosztownościach, i że to oni po nadaremnych, bo pozbawionych wskazówek poszukiwaniach, najpierw skrycie, a potem zupełnie jawnie jęli rozpowszechniać wieści znajdujące się obecnie w obiegu. Czy słyszałeś już kiedy o jakim wielkim skarbie wykopanym na wybrzeżu?

– Nie, nigdy.

– Otóż wiadomo powszechnie, że bogactwa Kidda były ogromne. Dlatego wydawało mi się rzeczą pewną, iż spoczywają jeszcze w ziemi; i nie zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że żywiłem nadzieję, spotęgowaną niemal do zupełnego przeświadczenia, iż ów w tak osobliwy sposób znaleziony pergamin zawiera zaginione wskazówki o miejscu, gdzie te bogactwa ukryto.

– Cóż więc zrobiłeś dalej?

– Ogrzewałem welin coraz silniej nad ogniem, ale nic się nie ukazało. Pomyślałem sobie zatem, iż kto wie, czy powłoka brudu nie jest przyczyną tego niepowodzenia: opłukałem więc pergamin starannie, polewając go ciepłą wodą, a potem włożyłem do cynowego rondla, czaszką na dół i postawiłem rondel na piecu, w którym napaliłem węglem drzewnym. Po kilku minutach, kiedy rondel dobrze się rozgrzał, wyjąłem ów świstek i przekonałem się ku nieopisanej swej radości, że w kilku miejscach wystąpiły na nim plamki, które wydawały mi się znakami połączonymi w rzędkie. Włożyłem go znów do rondla na parę minut. Po wyjęciu zobaczyłem już wszystko i zaraz ci to pokażę.



Po tych słowach Legrand ogrzał na nowo pergamin i podał mi go do obejrzenia. Między trupa czaszką a koźlęciem ujrzałem następujące znaki, nakreślone nieudolnie czerwonym atramentem:

53ψψ †305))6x;4826)4ψ.)4ψ);806x;48†8I60))85;1ψ(;;ψx8†83  
(88)5x†;46(;88x96x?;8)xψ(;485);5x†2:xψ(;4956x2(5x-4)8I8x;  
4069285);)6†8)4ψψ;1(ψ9;48081;8:8ψ1;48†85;4)485†528806x  
8l(ψ 9;48;(88;4(ψ?34;48)4ψ;161;:188;ψ?;

– Mój drogi – rzekłem, oddając mu świstek – wciąż jeszcze jestem jak tabaka w rogu. Gdybym w zamian za rozwiązanie tej zagadki miał posiadać wszystkie skarby Golkondy, nie zdołałbym na pewno dokazać tego.

– A jednak – odpowiedział Legrand – rozwiązanie to bynajmniej nie jest tak trudne, jakby za pierwszym, pobieżnym obejrzeniem tych znaków wydawać się mogło. Te znaki, jak łatwo się domyślić, są szyfrem, to jest, mają pewne znaczenie; wszelako z tego, co wiem o Kiddzie, nie sądzę, żeby był zdolny do obmyślenia zawilszych kryptogramów. Od razu przyszło mi na myśl, że muszą być nader proste – oczywiście w tej mierze, iż nieokrzesany umysł marynarza bez pomocy klucza przenigdy rozwiązać ich nie zdoła.

– A czy ty je istotnie odczytałeś?

– Z łatwością; odczytywałem już inne, tysiąc razy zawilsze. Okoliczności, a także pewna skłonność umysłu sprawiły, iż zajmowałem się podobnymi łamigłówkami, i wątpię bardzo, czy bystrość ludzka może obmyślić taką zagadkę, której przenikliwość innego człowieka przy pomocy odpowiednich sposobów rozwiązać by nie mogła. Skoro więc powiodło mi się wykryć czytelne i połączone ze sobą znaki, nie myślałem już wcale o trudnościach, jakie nastęrczały się przy ich odczytaniu.

W danym wypadku – podobnie zresztą jak wszędzie, gdzie chodzi o pismo tajemne – pierwszym zagadnieniem jest język szyfru, ponieważ zasady rozwiązania, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z mniej zawiłymi szyframi, pozostają w związku i mogą ulegać zmianom zależnie od ducha tego języka. Na ogół nie ma innego sposobu, jak kierując się możliwościami, próbować po kolei wszystkich znanych języków, aż

znajdzie się ten, o który chodzi. W szyfrach, które mamy przed sobą, wszelkie trudności usuwa podpis. Łamigłówka ze słowa Kidd jest możliwa tylko w języku angielskim. Gdyby nie ta okoliczność, byłbym rozpoczął poszukiwania od hiszpańskiego i francuskiego, gdyż korsarz rozbijający się na wodach hiszpańskich napisałby oczywiście swą tajemnicę w jednym z tych dwu języków. Wyszedłem atoli z założenia, że kryptogram ten jest angielski.

Jak widzisz, nie ma w nim odstępów między słowami. Gdyby one były, zadanie byłoby bez porównania łatwiejsze. Byłbym zaczął w takim razie od zestawienia i rozbioru krótszych słów, a napotkawszy słowo o jednej tylko literze, na przykład „a” lub „I”<sup>5</sup>, byłbym uważał rozwiązanie za rzecz pewną. Ponieważ odstępów nie ma, zacząłem od oznaczenia głosek, zarówno tych, które najczęściej, jako też tych, które najrzadziej się powtarzają. Zliczywszy wszystkie, zestawilem następującą tablicę:

Znak	8	powtarza się	33	razy
;	”	”	26	”
4	”	”	19	”
ψi)	”	”	16	”
x	”	”	13	”
5	”	”	12	”
6	”	”	11	”
( „	”	”	10	”
† i l	”	”	8	”
0	”	”	6	”
9 i 2	”	”	5	”
: i 3	”	”	4	”
?	”	”	3	”
I	”	”	2	”

-	„ „	l	raz
---	-----	---	-----

Otóż w języku angielskim spotyka się najczęściej głoskę „e”. Po niej następują z kolei: „a o i d h n r s t u y c f g l m w b k p q x z”. „E” ma taką przewagę, iż trudno jest znaleźć jakiś dłuższy zwrot, gdzie by go nie było.

Od samego więc początku mamy zasadę, która nadaje się do czegoś więcej niż do płonnych tylko przypuszczeń. Powszechny użytek, jaki można mieć z tej tablicy, jest widoczny, wszelako w szczególności przy tym szyfrze będzie nam ona niezbyt pomocną. Ponieważ przeważa znak 8, przeto zaczniemy od przypuszczenia, że jest to „e” naturalnego abecadła. By sprawdzić to przypuszczenie, zobaczmy, jak często znak 8 spotyka się parami – gdyż „e” nader często podwaja się w języku angielskim w takich słowach, jak na przykład: *meet*, *feet*, *speed*, *see*, *agree*<sup>6</sup> itd. W danym wypadku podwaja się ono aż pięć razy, aczkolwiek cały kryptogram jest krótki.

Przyjmijmy zatem, że 8 oznacza „e”. Ze wszystkich słów w języku angielskim najczęściej używa się *the*<sup>7</sup>; zobaczmy przeto, czy nie uda nam się znaleźć kilkakrotnie powtórnego zestawienia trzech znaków, z których 8 będzie na końcu. Jeśli spotkamy kilkakrotnie takie zestawienie znaków, to nader prawdopodobnie będzie to oznaczało słowo *the*. Przeglądając kryptogram, znajdujemy aż siedem takich zestawień, złożonych ze znaków ;48. Możemy więc przypuścić, że ; oznacza „t”, 4 oznacza „h”, a 8 oznacza „e” – przy czym ostatnie znaczenie potwierdza się już stanowczo. Zrobiliśmy przeto krok naprzód.

Oznaczywszy w ten sposób jedno słowo, będziemy mogli z kolei oznaczyć rzecz nader ważną, mianowicie kilka początków i zakończeń innych słów. Weźmy bodaj jeden taki przykład, w którym spotyka się zestawienie ;48 niedaleko od końca szyfru. Wiemy, że znak ; który następuje bezpośrednio potem, jest początkiem słowa i że z sześciu znaków, które następują po owym *the*, pięć jest już nam znanych. Zastąpmy teraz te znaki literami, których mamy znaczenie, pozostawiając dla nieznanymi wolne miejsce:

t eeth.

Od razu możemy odrzucić „th”, jako niewchodzące w skład słowa zaczynającego się od pierwszego „t”, gdyż przeglądając cały alfabet w poszukiwaniu litery, którą można by wstawić w wolne miejsce, przekonywamy się, iż niepodobna jest utworzyć takiego słowa, w którym to „th” mogłoby stanowić część składową. Ograniczmy się zatem tylko do:

t ee

i przeszukując znów w razie potrzeby cały alfabet, dojdziemy do słowa tree (drzewo) jako jedyne go możliwego rozwiązania. Uzyskujemy przy tym inną literę, a mianowicie „r” oznaczone znakiem ( jako też skojarzenie słów *the tree*.

Nieco dalej spotykamy znów zestawienie ;48 i posługujemy się nim jako zakończeniem tego, co je bezpośrednio poprzedza. Otrzymamy w ten sposób kombinację następującą:

the tree ;4(ψ?34 the

i podstawivszy w miejsce wiadomych znaków odpowiednie litery, odczytujemy:

the tree thrψ?3h the.

Jeżeli teraz zamiast znaków nieznanych pozostawimy wolne miejsca lub wstawimy miast nich kropki, to otrzymamy:

the tree thr ... h the,

przy czym słowo *through* (przez) natychmiast przychodzi na myśl.

Odkrycie to zapoznaje nas ponadto z nowymi trzema literami „o, u, g”, oznaczonymi ψ ? oraz 3.

Szukając dalej w szyfrze zestawień wiadomych znaków, spotykamy niedaleko od początku kombinację taką:

83(88 czyli egree,

co oczywiście jest zakończeniem słowa „*degree*” (stopień) i poddaje nam znowu jedną literę, mianowicie „d” oznaczone †.

O cztery litery dalej za słowem *degree* znajdujemy zestawienie:

;46(;88.

Przekładając znane znaki i zastępując, jak poprzednio, kropkami znaki nieznanne, otrzymamy:

th . rtee.

Jest to kombinacja, która natychmiast podsuwa domyślności naszej słowo thirteen (trzynaście) i dorzuca nam dwie nowe głoski „i, n” oznaczone 6 i x.

Wracając następnie do początku kryptogramu, widzimy zestawienie:

53ψψ†.

Przełożywszy je, jak to czyniliśmy poprzednio, dostajemy:

good,

co zarazem upewnia nas, że pierwszą literą jest A i że dwa pierwsze słowa brzmią: A *good* (dobry).

By uniknąć zamieszania, należałoby teraz zestawić w jedną tablicę nasz klucz, o ile jest już nam znany. Będzie przedstawiała się ona tak:

5	oznacza	a
†	„	d
8	„	e
3	„	g
4	„	h
6	„	i
x	„	n
ψ	„	o
(	„	r
;	„	t
?	„	u

Mamy już zatem aż dziesięć najważniejszych liter i nie potrzebujemy dalej gromadzić szczegółów, by dotrzeć do rozwiązania. Wykazałem ci dostatecznie, że szyfry tego rodzaju są łatwe do odczytania, i zapoznałem cię po trosze z rozumową metodą ich odgadywania. Wiedz atoli, iż okaz, który mamy przed sobą, należy do najłatwiejszego rodzaju kryptogramów. Pozostaje mi tylko dać ci zupełny przekład znaków

widniejących na pergaminie, jakby były już rozwiązane. Brzmi on, jak następuje:

*A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat forty-one degrees and thirteen minutes northeast and by north main branch seventh limb east side shoot from the left eye of the death's head a bee-line from the tree through the shot fifty feet out.*

*(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut północny wschód i na północ główny pień siódmy konar od wschodu spuścić z lewego oka trupiej czaszki linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).*

– Ależ – rzekłem – ta łamigłówka jest mi jeszcze tak samo niejasna, jak poprzednio. Bo czyż można dorozumieć się czegoś z tego galimatiasu, z tych „diablich siedzeń”, „trupich czaszek” i „biskupich hotelów”?

– Przyznaję – odrzekł Legrand – że na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko jeszcze dość zawile. Toteż pierwszym moim staraniem było dokonać naturalnego rozdziału zdań, zgodnie z zamierzeniami tego, co je układał.

– To znaczy położyć znaki pisarskie, nieprawdaż?

– Coś w tym rodzaju.

– W jakim sposobie można to zrobić?

– Pomyślałem sobie, że piszący umyślnie zaniedbał podziału na zdania, by utrudnić rozwiązanie. Wszelako człowiek nie wyposażony nadzwyczajną bystrością, który podejmie się takiego zadania, na pewno popadnie w przesadę. Kiedy bowiem układając swój kryptogram, dojdzie do przerwy wśród zdań, która z natury rzeczy wymagałaby kropki lub pauzy, wówczas nie zdoła oprzeć się pokusie, by właśnie w tym miejscu nie skupić swych znaków gęściej niż zazwyczaj. Obejrzyj rękopis, o którym mówimy, a z łatwością znajdziesz aż pięć takich objawów niezwykłego nagromadzenia. Powodując się tą wskazówką, dokonałem podziału w następujący sposób:

*A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat – forty-one degrees and thirteen minutes – northeast and by north – main branch*

*seventh limb east side – shoot from the left eye of the death’s-head – a bee-line from the tree through the shot fifty feet out.*

*(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła – czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut – północny wschód i na północ – główny pień siódmy konar od wschodu – spuścić z lewego oka trupiej czaszki – linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).*

– Nawet przy tym podziale – odezwałem się – wciąż jeszcze nic nie wiem.

– Ja także nic nie wiedziałem – odrzekł Legrand – ale tylko przez kilka dni. Spędziłem je na skrzętnych poszukiwaniach w okolicy wyspy Sullivan, wywiadując się o budynek, który by nosił nazwę Bishop’s Hotel (hotel biskupa), gdyż oczywiście nie dałem się stropić przestarzałemu słowu *hostel*<sup>B</sup>. Nie dowiedziawszy się niczego, zamierzałem już rozszerzyć zakres moich poszukiwań i prowadzić je nadal bardzo systematycznie, gdy pewnego poranka strzeliło mi nagle do głowy, że ten Bishop’s Hostel może pozostawać w związku ze starożytną rodziną Bessopów, która w zamierzchłych czasach posiadała odwieczne zamczysko o cztery mile na północ od wyspy. Udałem się więc na plantację i jałem wypytywać najstarszych z okolicznych Murzynów. W końcu pewna sędziwa staruszka powiedziała mi, że słyszała o miejscu zwanym Bessop’s Castel (zamek Bessopa) i że mogłaby mnie tam zaprowadzić, lecz że nie jest to zamek ani gospoda, ale wysoka skała.

Obiecałem, że ją hojnie wynagrodzę, więc po chwili namysłu podjęła się być moją przewodniczką. Dotarliśmy na miejsce bez trudu. Odprawiłem babinę i począłem się rozglądać. „Zamek” składał się z bezładnego nagromadzenia wiszarów i skał, z których jedna wyróżniała się wielce zarówno wysokością, jak odosobnieniem, i jak gdyby sztucznym wyglądem. Wspiąłem się na jej szczyt i byłem bardzo zakłopotany, co dalej czynić należy.

Kiedy pograżyłem się w myślach, oczy moje padły na wąski brzeżek u wschodniego zbocza skały, położony o jaki jard niżej wierzchołka, na którym stałem. Brzeżek ten sterczał zaledwie na osiemnaście cali i miał niespełna stopę szerokości, zaś wnęka w wiszarze, która widniała tuż

ponad nim, czyniła go poniekąd podobnym do owych krzesel z wygłębionym oparciem, którymi posługiwali się nasi przodkowie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że jest to owo „siedzenie diabła”, o którym znajdowała się wzmianka w rękopisie, i utwierdziłem się w przeświadczeniu, że uda mi się w zupełności rozwiązać tę zawiłą łamigłóvkę.

Wiedziałem, iż przez „dobre szkła” należy rozumieć tylko teleskop, gdyż marynarze słowa „szkła” rzadko kiedy w innym używają znaczeniu. Zdałem sobie natychmiast sprawę, iż trzeba będzie uciec się do pomocy teleskopu i posłużyć się nim z pewnego, ściśle określonego punktu, nie dopuszczającego żadnego zboczenia. Nie powątpiewałem również, iż zwroty: „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” jako też „północny wschód i na północ” są wskazówkami, jak należy skierować teleskop. Podniecony niezmiernie tymi odkryciami, pośpieszyłem do domu, postarałem się o teleskop i powróciłem z nim na skałę.

Zsunąłem się po niej na ów brzezek i przekonałem się, że można tam usiąść tylko w pewnej określonej pozycji. Ta okoliczność potwierdziła moje poprzednie przypuszczenia. Zabrałem się z kolei do teleskopu. Słowa „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” mogły oczywiście odnosić się tylko do elewacji powyżej widzianego widnokręgu, natomiast kierunek poziomy wyraźnie podawała wzmianka „północny wschód i na północ”. Oznaczyłem ten kierunek za pomocą kompasu kieszonkowego, następnie ustawiłem możliwie najdokładniej mój teleskop pod czterdziestym pierwszym kątem elewacji i dopóty poruszałem nim ostrożnie w górę i na dół, aż dostrzegłem kolisty otwór, czyli jakby okienko wśród listowia wielkiego drzewa, które górowało w oddali nad wszystkimi innymi. W środku tego okienka zauważyłem białą plamę, lecz nie mogłem zrazu rozpoznać, co to było. Dopiero nastawiwszy ostrzej soczewkę, przekonałem się, że była to trupia czaszka.

Po tym odkryciu zagadka wydała mi się już rozwiązana, gdyż zwroty „główny pień, siódmy konar, od wschodu” mogły jużcić odnosić się tylko do umieszczenia czaszki na drzewie, zaś „spuścić z lewego oka trupiej czaszki” tylko poszukiwanie zakopanego skarbu mogło mieć na względzie.



Dorozumiałem się, iż rzecz polega na tym, ażeby z lewego oka czaszki spuścić jakąś gałkę i przeprowadzić linię prostą od najbliższego punktu pnia przez „kulę” (to znaczy przez miejsce, gdzie owa gałka upadnie), a następnie prowadzić ją dalej na odległość pięćdziesięciu stóp i w ten sposób otrzymać określony punkt, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ukryto skarby w ziemi.

– Wszystko to – przemówiłem – jest nadzwyczaj jasne i olśniewa swą pomysłowością, zachowując przy tym prostotę i dokładność. Cóż stało się dalej, gdy powróciłeś z Bishop’s Hotel?

– Zanim poszedłem do domu, zapamiętałem sobie dokładnie owo drzewo. Było to potrzebne, gdyż zszedłszy z „siedzenia diabła”, straciłem zaraz owo koliste okienko z oczu i z żadnego innego miejsca dojrzeć go już nie mogłem. Jak mi się zdaje, całe mistrzostwo tej zagadki da się sprowadzić do tej okoliczności, iż okienko to widne jest tylko z wąskiego brzeżka u skalnej ściany.

Na wyprawę do „hotelu biskupa” zabrałem ze sobą Jupitera, który zapewne już na kilka tygodni przedtem zauważył moje roztargnienie i dokładał wszelkich starań, żebym nie był sam. Lecz zaraz następnego dnia wstałem bardzo wcześnie, wymknąłem się przed nim po kryjomu i poszedłem na wzgórze, by odszukać owo drzewo. Zmitrężyłem niemało czasu, zanim zdołałem je znaleźć. Gdy nocą powróciłem do domu, mój służący miał chętkę mnie obić. Co dalej się stało, wiesz równie dobrze jak ja sam.

– Sądzę – odezwałem się – iż twoja pomyłka przy pierwszym kopaniu wyniknęła z głupoty Jupitera, który spuścił żuka przez prawe, a nie przez lewe oko czaszki.

– Tak też było istotnie. Błąd ten spowodował różnicę półtrzecia cala u „kuli” – to znaczy w miejscu, gdzie tkwił palik wbity najbliżej drzewa; gdyby skarb znajdował się tuż pod „kulą”, pomyłka ta nie miałaby znaczenia; atoli ta „kula” wraz z najbliższym punktem pnia były jedynie dwiema wytycznymi kierunku: przeto błąd, aczkolwiek zrazu nieznaczny, powiększał się w miarę przedłużania linii i kiedy przeprowadziliśmy ją na odległość piętnastu stóp, stał się przyczyną nader znacznego

zbożenia. Gdyby nie moje głębokie przeświadczenie, że gdzieś w pobliżu skarb ten przecież znajdować się musi, wszystka nasza praca byłaby poszła na marne.

– A ta twoja pompatyczność, te twoje igraszki z żukiem – cóż to było za dziwactwo? Byłem przekonany, że oszalałeś. I dlaczego upierałeś się tak bardzo, żeby z oka czaszki spuścić tego chrząszcza, zamiast użyć do tego jakiej gałki?

– Mój drogi, wyznam ci szczerze, iż drażniły mnie nieco twe powątpiewania o moim zdrowiu, więc postanowiłem skarcić cię moim zwyczajem spokojnie i obmyśliłem na chłodno tę maleńką mistyfikację. Dlatego wymachiwałem żukiem i kazałem spuścić go z drzewa. Pomysł ten poddało mi twe spostrzeżenie, że jest bardzo ciężki.

– Rozumiem cię. A teraz jeszcze jedna rzecz, która mnie zaciekawia! Co myślisz o szkieletach, które znaleźliśmy w jamie?

– Na to pytanie nikt z nas nie zdoła odpowiedzieć. Wszelako zdaje mi się, iż dałoby się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób – jakkolwiek moje przypuszczenie jest tak okropne, iż trudno w nie uwierzyć. To pewna, że Kidd – oczywiście, jeśli to Kidd zakopywał te skarby, o czym zresztą nie wątpię – otóż to pewna, że musiał mieć pomocników przy pracy. Kiedy jednak była już na ukończeniu, uznał zapewne za rzecz potrzebną pozbyć się swych towarzyszy, którzy znali jego tajemnicę. Być może, iż wystarczyły dwa krzepkie uderzenia motyką, gdy jego pomocnicy byli jeszcze zajęci w dole. A może tych uderzeń trzeba było znacznie więcej – kto to wie?

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> What ho! What ho!... (ang.) – Hej ha! Hej ha! Ten człowiek tańczy jak szalony! Ukąsiła go tarantula (motto pominięte przez tłumacza – przyp. i tłum. red.).

<sup>2</sup> Scarabeus caput hominis (łac.) – skarabeusz głowa ludzka (przyp. red.).

<sup>3</sup> Aqua regia (łac.) – woda królewska (przyp. red.).

<sup>4</sup> Kidd – po angielsku: koźlę (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> I (ang.) – ja (przyp. red.).

<sup>6</sup> Meet, feet, speed, see, agree (ang.) – spotkać, stopy, szybkość, widzieć, zgodzić się (przyp. red.).

<sup>7</sup> The (ang.) – rodzajnik określony (przyp. red.).

<sup>8</sup> Hostel – dawna pisownia hotel (przyp. tłum.).

# Zabójstwo przy rue Morgue

*Jakie pieśni śpiewały Syreny lub jakie imię przybrał  
Achilles, gdy ukrywał się między kobietami?  
Są to zagadnienia wprowadzie kłopotliwe, ale nie leżące poza obrębem  
wszelkich przypuszczeń.*

Sir Thomas Browne: *Urn Burial*

**Z**dolności umysłowe zwane analitycznymi nie nadają się w swej istocie zbyt do analizy. Oceniamy je tylko wedle ich wyników. Wiemy o nich między innymi, iż dla osób, które posiadają je w nieposzednim stopniu, bywają one zawsze źródłem najwyższej radości. Podobnie jak człowiek silny cieszy się swą cielesną krzepkością i lubuje w ćwiczeniach, które wymagają sprawności jego mięśni, tak samo analityk szuka chwały w czynności umysłowej, która polega na rozwikływaniu. Lubuje się nawet w zajęciach najpospolitszych, które nastroją mu sposobność do zastosowania swych uzdolnień. Przepada za łamigłówkami, zagadkami, hieroglifami. Okazuje we wszystkich swych rozwiązaniach tyle przenikliwości, iż w pojmowaniu zwyczajnym wydaje się ona nadprzyrodzona. Wyniki jego, osiągnęte przez najistotniejszą treść i ducha metody, mają rzeczywiście wszystkie znamiona intuicji.

Ta zdolność rozkładania zjawisk złożonych wzmaga się wielce pod wpływem wiedzy matematycznej, w szczególności zaś pod wpływem najznamienitszej jej gałęzi, nazywanej niesłusznie i jedynie ze względu na jej działanie wsteczne analizą, jak gdyby to była analiza par excellence. Bowiem kalkulacja nie jest w swej istocie analizą. Na przykład szachista stosuje pierwszą, nie uciekając się wcale do pomocy drugiej. Wynika stąd, iż wpływu gry w szachy na podłoże psychiczne zupełnie się nie rozumie. Nie piszę obecnie rozprawy, lecz zwykłą przedmowę do nieco osobliwej opowieści i rzucam pobieżne spostrzeżenia. Korzystam zatem ze sposobności, by zapewnić, że subtelniejsze władze intelektu refleksyjnego o wiele istotniejsze i o wiele pożyteczniejsze znajdują zastosowanie przy niepozornej grze w warcaby niż przy pracowitej czczości szachów. W grze ostatniej, w której figury mogą wykonywać ruchy rozmaite i dziwaczne oraz posiadają różną i zmienną wartość, złożoność uchodzi mylnie (błąd nader pospolity!) za głębokość. Uwaga ma w niej ogromne znaczenie. Dość, by osłabła na chwilę, by coś się przeoczyło, a wyniknie stąd porażka lub przegrana. Ponieważ posunięcia możliwe są nie tylko różnorodne, lecz także niejednakie co do swego znaczenia, przeto prawdopodobieństwo owych przeoczeń wielce się pomnaża; i w dziewięciu wypadkach na dziesięć wygrywa raczej gracz

uważniejszy niż bystrzejszy. Natomiast w warcabach, gdzie ruchy są proste i przedstawiają niewiele odmian, prawdopodobieństwa nieuwagi się zmniejszają, zaś sama tylko baczność względnie niewielkie ma zastosowanie, skutkiem czego przewaga bywa po stronie przenikliwości bystrzejszej. Pomińmy te ogólniki i wyobraźmy sobie grę w warcaby, gdzie figury są ograniczone do czterech królów, więc na przeoczenie liczyć nie można. Ponieważ żaden z graczy nie ma przewagi, przeto o zwycięstwie ostatecznym może rozstrzygnąć tylko przezorna taktyka, będąca wynikiem potężnego wysiłku intelektualnego. Pozbawiony zwykłych środków pomocniczych analityk wnika w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i niejednokrotnie od pierwszego rzutu oka odkrywa sposób (niekiedy do nedorzeczności prosty), jak go wciągnąć w zasadzkę lub popchnąć w błędne obliczenia.

Wist od dawna już jest znany ze swego wpływu na zdolności kalkulacyjne i bywają ludzie uposażeni najlotniejszą inteligencją, którzy znajdują w nim niezrozumiałe na pozór upodobanie, a natomiast lekceważą szachy jako grę błahą. Jakoż bez wątpienia nie ma podobnej rozrywki, która by w równej mierze zaprzętała zdolność analityczną. Najlepszy w całym chrześcijaństwie szachista nie może być niczym innym jak tylko najlepszym szachistą, gdy tymczasem pomysłowość w wście zawiera zapowiedź powodzenia w tych wszystkich nierównie ważniejszych przedsięwzięciach, gdzie umysł pasuje się z umysłem. Mówiąc o pomysłowości, mam na myśli ową doskonałą umiejętność gry, która mieści w sobie znajomość wszystkich źródeł mogących zapewnić rzetelne korzyści. Są one nie tylko różnolite, lecz także różnorodne i kryją się często w głębiach myślowych najzupełniej niedostępnych dla pospolitego pojmowania. Czynić spostrzeżenia uważnie jest to przypominać sobie dokładnie; z tego względu szachista bardzo uważny będzie również dobrze grał w wista, ile że reguły Hoyle'a (opierające się na najprostszym mechanizmie gry) są łatwe i powszechnie zrozumiałe. Dość zatem mieć dobrą pamięć i „trzymać się podręcznika”, żeby wedle przyjętego mniemania osiąść to wszystko, co jest potrzebne do dobrej gry. Atoli dopiero w szczegółach, które wybiegają poza obręb reguł,

przejawia się pomysłowość analityka. W milczeniu gromadzi on spostrzeżenia i wnioski. Być może, iż w podobny sposób postępują także jego towarzysze, zaś różnicę w nabytej przez nich znajomości rzeczy stanowi nie tyle wartość wniosków, co jakość spostrzeżeń. Najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, co należy obserwować. Nasz gracz nie ogranicza się tylko do siebie i jakkolwiek gra jest przedmiotem jego uwagi, nie pomija wniosków z rzeczy, które z grą nie mają nic wspólnego. Przygląda się twarzy swego partnera i porównywa jej wyraz starannie z wyrazem każdego z jego przeciwników. Zastanawia się nad sposobem rozdawania kart przez każdego partnera i często ze spojrzeń rzucanych na karty liczy kolejno wszystkie atuty i wszystkie honory. Zwraca uwagę na wszystkie zmiany, jakie zachodzą w wyrazach twarzy w miarę postępu gry, gromadząc zasób myśli z naprzemiennych przejawów pewności siebie, niespodzianki, tryumfu lub przygnębienia. Ze sposobu zagarniania lewy wnioskuje, czy zagrywającemu uda się wziąć następną. Poznaje kartę zagraną na podrywkę ze sposobu rzucenia jej na stół. Mimowolne lub nierozważne słowo; przypadkowo odwrócona lub upuszczona karta, którą podnosi się pośpiesznie lub niedbale; liczenie lew oraz porządek, w jakim je się układa; zakłopotanie, wahanie, zapalczywość lub lękliwość – wszystko to objaśnia go o istotnym stanie rzeczy i sprzyja jego przenikliwości, na pozór intuicyjnej. Po dwu lub trzech pierwszych kolejkach wie on już dokładnie, co jest w czyich rękach, i może odtąd wygrywać swe karty, z taką ścisłością zmierzając do celu, jak gdyby wszyscy inni gracze pokazali mu swoje.

Zdolności analitycznej nie należy mieszać ze zwykłą bystrością, gdyż o ile analityk jest nieodzownie bystry, o tyle człowiek bystry bywa często najzupełniej niezdolny do analizy. Zręczność konstruktywna lub kombinacyjna – którą ta bystrość zazwyczaj się objawia i której frenologowie wyznaczyli (zdaniem moim błędnie) osobny narząd, uważając ją za władzę pierwszorzędną – spotykana jest tak często u osobników, których intelekt graniczy poza tym z matołkowatością, iż zwróciło to już powszechną uwagę psychologów. Między bystrością a uzdolnieniem analitycznym istnieje zaiste znacznie większa różnica

aniżeli między fantazją a wyobraźnią, aczkolwiek co do charakteru są one najzupełniej podobne. Jakoż można sprawdzić, iż ludzie bystrzy powodują się zawsze fantazją, gdy ludzie uposażeni istotną wyobraźnią stale bywają analitykami.

Opowieść następująca będzie dla czytelnika niejako komentarzem rozwidniającym zasady co tylko wyłuszczone.

Spędzając w Paryżu wiosnę i część lata 18... roku, zawarłem znajomość z niejakim C. Augustem Dupinem. Wytworny ten młodzieniec pochodził z poważnej – ba, nawet znakomitej rodziny, atoli całe mnóstwo niepomyślnych wydarzeń pograżyło go w takim ubóstwie, iż ugięła się moc jego charakteru i przestał torować sobie drogę w życiu, nie troszcząc się już o odzyskanie swych majątkości. Uprzejmość wierzycieli pozostawiła mu niewielkie szczęty dziedziczonego mienia. Były one dla niego źródłem dochodów, które przy zachowaniu najściślejszej oszczędności wystarczały mu na najkonieczniejsze potrzeby życia, a o rzeczy zbyteczne zgoła się nie troszczył. Toteż książki były jedynym jego zbytkiem, o który w Paryżu nietrudno.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w podrzędnej księgarni przy rue Montmartre; poszukiwaliśmy obaj tego samego, nadzwyczaj rzadkiego i cennego dzieła, i to nas zbliżyło. Później widywaliśmy się coraz częściej. Wielce zajęła mnie pewna historia z życia jego rodziny, o której opowiadał mi szczegółowo i najzupełniej szczerze, jak to zazwyczaj czynią Francuzi, gdy mówią o swych osobistych sprawach. Zadziwiła mnie wszechstronność jego odczytania, zaś przede wszystkim ujęła mnie za serce dziwna ognistość i bujna świeżość jego wyobraźni. Szukając w Paryżu pewnych rzeczy, które podówczas jedynie mnie obchodziły, zrozumiałem, iż towarzystwo takiego człowieka może stać się dla mnie bezcennym skarbem, i wyznałem mu otwarcie, co myślę o nim. Postanowiliśmy tedy, że będziemy żyli razem przez cały czas mego pobytu w stolicy; a ponieważ moje sprawy doczesne nieco mniej wtedy były zawile aniżeli jego, przeto podjąłem się wynająć i urządzić w stylu fantastycznej melancholii współczesnych naszych upodobań odwieczne i dziwaczne domostwo, opustoszałe od dawna skutkiem jakichś zabobonów – o które wcale nie



dowiadaliśmy się – chylące się do upadku i położone w ustronnej i odludnej połaci Faubourg St.-Germain.

Gdyby wiedziano o trybie naszego życia w tym domu, bylibyśmy uważani za szaleńców – aczkolwiek być może za nieszkodliwych. Osamotnienie nasze było zupełne. Nikt u nas nie bywał. Zachowywaliśmy w najgłębszej tajemnicy miejsce naszego pobytu przed dawniejszymi moimi znajomymi. Dupin już wiele lat temu przestał znać kogokolwiek i być znany w Paryżu. Poprzestawiliśmy wyłącznie na sobie samych.

Dziwacznym wybrykiem (nie wiem zresztą, jak to nazwać) wyobraźni mojego przyjaciela było jego umiłowanie nocy dla niej samej; poddałem się spokojnie temu dziwactwu, podobnie zresztą jak wszystkim innym, zupełnie ulegając osobliwym jego zachciankom. Posępne bóstwo nie mogło przecież stale przebywać z nami, ale było w naszej mocy wywołać sztucznie jego obecność. Z pierwszym brzaskiem zamykaliśmy szczelnie okiennice naszej starożytnej rudery, po czym zapalaliśmy parę nasyconych wonnościami gromnic, jarzących się ogromnie nikłą i bladawą poświatą. Zagłębialiśmy się przy tym świetle w marzeniach, czytając, pisząc lub rozmawiając aż do chwili, kiedy zegar zwiastował nam nastanie rzeczywistej ciemności. Wziąwszy się wzajem pod ramię, zaprzepaszczaaliśmy się wtedy w gmatwaninie ulic, snuliśmy dalej wątek naszych dziennych rozmów i wałęsaliśmy się do późnej nocy, szukając w igraszce światła i cieni ludnego miasta tej nieskończoności pobudzeń umysłowych, których doznać można jedynie przez spokojną obserwację.

W podobnych chwilach zastanawiała mnie i napełniała podziwem osobliwsza zdolność analityczna Dupina, aczkolwiek znając już jego szczodry idealizm, mogłem jej po nim się spodziewać. Zdawało się, iż wykazywanie jej – jeżeli nawet nie popisywanie się nią – sprawiało mu jakąś żywą rozkosz, której zresztą nie taił i przyznawał się otwarcie, że jest pod jej urokiem. Chełpił się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego śmiechu, iż większość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi zdumiewającymi dowodami dokładnej znajomości mej własnej natury. Zachowanie jego w takich chwilach bywało oziębłe i

roztargnione; oczy pozbywały się wyrazu; piękny, tenorowy jego głos przedzierzał się w dyszkant i byłby się stawał niemal wyzywający, gdyby nie posiadał akcentu rozwagi tudzież ogromnej wyrazistości wysłowienia. Rozmyślając o tych jego właściwościach, pogrążałem się nieraz w zadumie nad starodawną teorią Duszy Dwoistej i snułem marzenia o Dupinie podwójnym – twórcy i analityku.

Niechaj nikt sobie nie wyobraża po tym, co powiedziałem, że zamierzam zgłębiać jakąś tajemnicę lub pisać powieść. To, co było godne zastanowienia w mym przyjacielu Francuzie, wynikało z inteligencji podnieconej do najwyższego stopnia, a może nawet chorobliwej. Atoli przykład da lepsze wyobrażenie o charakterystycznych właściwościach jego ówczesnych spostrzeżeń.

Pewnej nocy szliśmy długą i brudną ulicą przebiegającą w pobliżu Palais-Royal. Pogrążeni w myślach nie przemówiliśmy do siebie ani słowa co najmniej przez jakieś piętnaście minut. Naraz Dupin przerwał milczenie słowami:

– Masz słuszność, to istny karzeł i nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

– O tym chyba nikt nie wątpi – odparłem bezwiednie, nie zdając sobie zrazu sprawy (tak bardzo byłem pogrążony w zadumie) ze szczególniejszej zgodności, jaka zachodziła między tymi słowami a moimi myślami. Lecz wnet opamiętałem się i moje osłupienie nie miało granic.

– Dupin – rzekłem poważnie – to przechodzi moje pojęcie. Wyznaję otwarcie, że jestem zdumiony i nie wiem, czy mam ufać mym zmysłom. Skąd ty możesz wiedzieć, że myślałem o...?

Nie dopowiedziałem umyślnie, by upewnić się, że wie istotnie, o kim myślałem.

– O Chantillym – rzekł. – Dlaczego nie kończysz? Pomyślałeś sobie, że jego niepozorna postać nie nadaje się do tragedii.

Właśnie dokoła tego tematu snuły się moje rozmyślenia. Chantilly był podrzędnym szewczykiem z rue St.-Denis, dostał bzika teatralnego, porwał się na rolę Kserksesa w tragedii Crébillona i stał się przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

– Wyjaśnij mi, na miłość boską, metodę – zawołałem – jeżeli w tym jest taka metoda, za pomocą której zdołałeś przeniknąć mą duszę!

Istotnie byłem znacznie więcej stropiony, aniżeli chciałem mu to okazać.

– To przekupień z owocami – odparł mój przyjaciel – naprowadził cię na wniosek, że ten łatacz obuwia nie ma odpowiedniego wzrostu na Kserksesa *et id genus omne*<sup>1</sup>.

– Przekupień! Co ty mówisz! Nie znam żadnego przekupnia!

– Człowiek, który wpadł na ciebie, gdyśmy skręcali w tę ulicę przed jakimiś piętnastu minutami.

Przypomniałem sobie istotnie jakiegoś niezdarnego przekupnia, który niósł na głowie wielki kosz jabłek i omal mnie nie przewrócił, gdyśmy skręcali z rue C... w bocznicę, na której się zatrzymaliśmy. Lecz co to miało wspólnego z Chantillym, nie mogłem żadną miarą zrozumieć.

W Dupinie nie było ani cienia szarlatanerii.

– Wytłumaczę ci – powiedział. – Chcąc jednak, żebyś zrozumiał wszystko dokładnie, wyłuszczę ci przede wszystkim kolejny przebieg twoich rozmyślań od chwili, kiedy mówiłem do ciebie, aż do zderzenia z owym przekupniem. Dalsze ogniwa łańcucha są następujące: Chantilly, Orion, dr Nichols, Epikur, stereotomia, kamienie brukowe, przekupień.

Niewiele jest osób, które by w pierwszym okresie swego życia nie zabawiały się odnajdywaniem śladów, co je doprowadziły do takich lub owakich wniosków. Zajęcie to miewa niekiedy duże znaczenie; podejmując je po raz pierwszy, nie można się dość nadziwić pozornej niespójności i bezgranicznej oddali, która dzieli punkt wyjścia od celu. Jakież zatem było moje osłupienie, gdy usłyszałem słowa wypowiedziane przez Francuza i musiałem przyznać, że mówił prawdę. Tymczasem ciągnął on dalej:

– Pamiętam dokładnie, iż wychodząc z rue C..., mówiliśmy o koniach. Był to ostatni przedmiot naszej rozmowy. Gdyśmy skręcili w ulicę, którą idziemy obecnie, jakiś przekupień z wielkim koszem na głowie, przechodząc śpiesznie obok nas, popchnął cię na kupę kamieni, przygotowanych w tym miejscu do naprawy bruku. Nastąpiłeś na jakiś

chwiejący się kamień, pośliznąłeś się, z lekka wywichnąłeś sobie nogę, wyglądałeś na podrażnionego czy rozgniewanego, mruknąłeś kilka słów, odwróciłeś się, by spojrzeć na kamienie, a potem szedłeś dalej w milczeniu. Nie zwracałem zbytnio uwagi na to, co robiłeś, ale obserwacja jest dla mnie ostatnio po prostu koniecznością.

Oczy utkwiełeś w ziemię i spoglądałeś jak gdyby gniewnie na koleiny i wyboje w bruku (a miałeś przy tym taką minę, iż mogłem wywnioskować, że wciąż jeszcze myślisz o kamieniach), aż doszliśmy do niewielkiej ulicy zwanej Lamartine, wybrukowanej na próbę kostkami drewnianymi, ściśle i spoiście ze sobą połączonymi. Tu twarz ci się rozjaśniła, zauważyłem, że poruszasz ustami, i nie wątpilem ani przez chwilę, że szepczesz słowo „stereotomia”, używane nader pretensjonalnie na określenie tego rodzaju bruku. Wiedziałem, że nie mógłbyś wymówić słowa „stereotomia”, nie pomyślawszy przy tym o atomach, a następnie o teoriach Epikura, ponieważ rozmawialiśmy niedawno o tym przedmiocie, przy czym zdarzyło mi się zauważyć, że luźne przypuszczenia znakomitego Greka, nie zwróciwszy niemal niczyjej uwagi, znalazły jednak przedziwne potwierdzenie w nowoczesnej kosmogonii mgławicowej, przeto wyczułem, że nie zdołasz się powstrzymać od spojrzenia na wielką mgławicę Oriona, i oczekiwałem na pewno, że to uczynisz. Jakoż spojrzałeś w górę; miałem więc wszelką pewność, że podążam istotnie twoim śladem. Zaś w złośliwej kpinie z Chantilly’ego, która pojawiła się we wczorajszym „Musée”, satyryk, czyniąc uszczypliwe aluzje do zmiany nazwiska przez szewca, co włożył koturny, przytacza wiersz łaciński, o którym niejednokrotnie zdarzało się nam rozmawiać. Mam na myśli wiersz:

*Perdidit antiquum littera prima sonum* <sup>2</sup>.

Powiedziałem ci, iż odnosi się on do Oriona, pierwotnie pisanego Urion, i z utarczki wywołanej tym wyjaśnieniem wyniosłem przeświadczenie, że nie mogłeś o tym zapomnieć. Było zatem rzeczą oczywistą, iż niezawodnie skojarzysz pojęcia Oriona i Chantilly’ego. Żeś je istotnie skojarzył, poznałem z uśmiechu, którym drgnęły twe usta. Myślałeś o unicestwieniu biednego szewczyka. Do tej chwili stąpałeś

przygarbiony, lecz potem wyprostowałeś się w całej okazałości swego wzrostu. Nabrałem przeto pewności, że zastanawiasz się nad pokraczną figurką Chantilly'ego. Wówczas to przerwałem twą zadumę uwagą, że ten Chantilly to istny karzeł i że nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

W jakiś czas potem, przeglądając wieczorne wydanie „Gazette des Tribunaux”, znaleźliśmy wzmiankę następującą:

#### NIEZWYKŁE ZABÓJSTWO

Dziś około godziny trzeciej z rana mieszkańców dzielnicy Saint-Roch obudziły przeraźliwe krzyki rozlegające się, jak się zdawało, z czwartego piętra domu przy rue Morgue, zamieszkałego w całości przez niejaką Madame L'Españaye oraz jej córkę, Mademoiselle Camille L'Españaye. Po niejakiej zwłoce, wywołanej daremnymi usiłowaniami, by wejść do domu w zwykły sposób, wyważono bramę drągiem żelaznym i ośmiu czy dziesięciu sąsiadów w towarzystwie dwu żandarmów wtargnęło do kamienicy. Tymczasem krzyki ucichły; kiedy jednak przybysze wdarli się na pierwsze piętro, dosłyszeli zawziętą kłótnię dwu czy więcej chrapliwych głosów, które zdawały się dolatywać z górnej części domu. Gdy weszli na drugie piętro, zgiełk ten również ustał i zaległa zupełna cisza. Obecni rozproszyli się, przetrząsając pokój po pokoju. Gdy dotarli do obszernej komnaty położonej od tyłu na czwartym piętrze i wyważyli drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz, ukazał się im widok przejmujący zarówno grozą, jak osłupieniem.

Pokój znajdował się w najdzikszym nieładzie: meble były pogruchatane i porozrzucane na wszystkie strony. Było tam tylko jedno łóżko, z którego pościel wyjęto i rzucono na posadzkę. Na krześle leżała brzytwa zboczona krwią. W kominku spostrzeżono dwa czy trzy długie i grube pasma siwych ludzkich włosów, które także były okrwawione i wyglądały, jak gdyby mocnym szarpnięciem wyrwano je wraz z korzonkami. Na posadzce znaleziono cztery napoleony, kolczyk z topazem, trzy duże łyżki srebrne, trzy mniejsze z tak zwanego *métal d'Algér* oraz dwie sakiewki, zawierające prawie cztery tysiące franków w złocie. Szuflady komody stojącej w kącie były otwarte i, jak się zdaje,

ograbione, aczkolwiek pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów. Niewielką żelazną szkatułkę znaleziono pod pościelą (nie pod łóżkiem). Była otwarta; klucz tkwił jeszcze w zamku. Nie było w niej nic prócz kilku starych listów tudzież kilku innych, niezbyt ważnych papierów.

Śladów Madame L'Esplanaye niepodobna było zrazu odszukać, wszelako zauważono niezwykłą ilość sadzy na palenisku, zaczęto szukać w kominie i w końcu (strach powiedzieć!) wydobyto stamtąd trupa jej córki, wtłoczonego przez ciasny otwór głową na dół i wsuniętego dość znacznie w górę. Zwłoki były jeszcze zupełnie ciepłe. Przy badaniu okazało się, że skóra była w wielu miejscach pocięta, co było bez wątplenia następstwem silnego wtłaczania i nie mniej z kolei silnego wyciągania trupa z komina. Twarz była mocno podrapana, a na szyi widniały ciemne sińce i głębokie ślady paznokci, jak gdyby zmarła padła ofiarą uduszenia.

Po najstaranniejszym przetrząśnięciu całego domu, które jednakże nie dostarczyło żadnych dalszych poszlak, zebrani wybiegli na niewielkie brukowane podwórze okalające budynek od tyłu. Leżały tam zwłoki staruszki, której szyja była przecięta tak głęboko, iż kiedy chciano trupa podnieść, głowa odpadła od tułowia. Całe ciało wraz z głową było straszliwie pokaleczone i zaledwie zachowało podobieństwo kształtów ludzkich.

Do rozwikłania tej okropnej tajemnicy nie ma dotychczas, o ile nam wiadomo, żadnych poszlak.

Nazajutrz w tymże samym dzienniku znajdowały się następane szczegóły dodatkowe:

#### TRAGEDIA PRZY RUE MORGUE

Przesłuchano wiele osób celem wyświecenia tej osobliwej i przerażającej zbrodni, wszelako nie dowiedziano się niczego, co by mogło dostarczyć jakichkolwiek poszlak. Podajemy poniżej zeznania świadków.

Paulina Dubourg, praczka, zeznaje, iż od trzech lat znała obie nieboszczki, gdyż najmowały ją do prania. Wzajemne stosunki między staruszką a jej córką były, jak się zdaje, dobre – kochały się bardzo. Płaciły hojnie. Nie może nic powiedzieć o ich sposobie życia ani o

środkach utrzymania. Przypuszcza, że Madame L'Esplanaye dla zarobku trudniła się wróżbiarstwem. Mówiono o niej, że zebrała oszczędności. Pracznica nie spotykała nigdy w tym domu nikogo, gdy zabierała lub odnosiła bieliznę. Wie na pewno, iż nie było tam służby. Zdaje się jej, że – prócz czwartego piętra – mebli nie było w całym domu.

Piotr Moreau, właściciel sklepiku z tytoniem, zeznaje, iż od niespełna czterech lat dostarczał Madame L'Esplanaye niewielkich ilości tytoniu i tabaki. Urodził się w sąsiedniej dzielnicy i stale w niej mieszka. Nieboszczka oraz jej córka od przeszło sześciu lat mieszkały w domu, w którym znaleziono ich zwłoki. Poprzednio zajmował go pewien jubiler, który odnajmował górne piętra różnym osobom. Dom był własnością Madame L'Esplanaye. Niezadowolona z lokatora, który rujnował jej kamienicę, sprowadziła się na jego miejsce sama i przestała odtąd wynajmować mieszkania. Staruszka była zdziecinniała. Świadek widział jej córkę może pięć czy sześć razy przez całe sześć lat. Obie żyły nadzwyczaj samotnie – i uchodziły za bogate. Sąsiedzi mówili, jakoby Madame L'Esplanaye zajmowała się wróżbiarstwem – ale on temu nie wierzył. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktokolwiek wchodził do bramy tego domu prócz staruszki i jej córki, ponadto zachodził tam ze dwa razy jakiś posługacz i z osiem lub dziesięć razy lekarz.

Wiele innych osób z sąsiedztwa potwierdza powyższe zeznania. Nie widywano nigdy, by ktokolwiek bywał w tym domu. Nikt nie wiedział, czy Madame L'Esplanaye i jej córka miały jakich krewnych. Okiennice od strony frontowej rzadko stały otworem, od podwórka bywały zawsze zamknięte, prócz okiennic wielkiego pokoju położonego od tyłu na czwartym piętrze. Dom jest niezły i niezbyt stary.

Izydor Musèt, żandarm, zeznaje, iż wezwano go do tego domu około trzeciej z rana i że przed bramą zastał ze dwadzieścia lub trzydzieści osób, które chciały wejść do wnętrza. Otworzył ją w końcu bagnetem, a nie drągiem żelaznym. Przyszło mu to nietrudno, gdyż brama ta składa się z podwoi i nie była zamknięta na zasuwę ani od góry, ani od dołu. Krzyki trwały do chwili otwarcia bramy, po czym nagle ucichły. Były to jakby wrzaski jednej czy kilku osób katowanych – głośne i przeciągłe, a

nie krótkie i urywane. Świadek wbiegł na schody. Na pierwszym piętrze usłyszał dwa głosy ścierające się w donośnej i gniewnej sprzeczce – jeden chrapliwy, drugi znacznie ostrzejszy – dziwny jakiś głos. Udało mu się rozróżnić kilka słów głosu pierwszego, który brzmiał z francuska. Nie był to na pewno głos kobiecy. Usłyszał słowa *sacré* i *diable*. Głos przenikliwy brzmiał z cudzoziemska. Nie jest pewny, czy był to głos męski, czy kobiecy. Słów nie mógł się dorozumieć, lecz przypuszcza, że były hiszpańskie. To, co świadek zeznaje o pokoju i zwłokach, nie różni się niczym od naszego opisu wczorajszego.

Henryk Duval, sąsiad, z zawodu złotnik, zeznaje, iż należał do osób, które jako pierwsze wtargnęły do domu. Potwierdza na ogół zeznania Musèta. Kiedy wraz z innymi wpadł do sieni, zamknął bramę, by nie wpuścić tłumu, który jął się gromadzić mimo wczesnej godziny. Głos przenikliwy, zdaniem tego świadka, brzmiał z włoska. Na pewno nie był to głos Francuza. Nie jest pewien, czy był to głos męski. Mógł być także kobiecy. Świadek nie zna włoskiego języka. Nie mógł rozróżnić słów, lecz z intonacji odniósł wrażenie, że były wyrzeczone przez Włocha. Znał Madame L'Españaye i jej córkę. Często rozmawiał z nimi. Jest przekonany, że głos przenikliwy nie był głosem ani matki, ani córki.

Odenheimer, restaurator. Zgłosił się na świadka niewzywany. Nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Pochodzi z Amsterdamu. Przechodził obok owego domu, kiedy rozległy się krzyki. Trwały kilka minut – może do dziesięciu. Były przeciągłe i głośnie – żalosne i rozdzierające. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Potwierdził zeznania poprzednie, wszelako z jednym zastrzeżeniem. Jest pewien, że głos ostry był głosem mężczyzny – Francuza. Słów wyrzeczonych rozróżnić nie mógł. Były głośnie i prędkie – brzmiały nierówno – jakby rzucone w trwodze i zarazem w gniewie. Głos był szorstki – nie tyle przenikliwy, co szorstki. Nie mogłby go nazwać głosem przenikliwym. Głos chrapliwy powtórzył kilkakrotnie *sacré*, *diable*, raz powiedział *mon Dieu*.

Juliusz Mignaud, bankier z firmy Mignaud et Fils, rue Deloraine. Jest starszym z braci Mignaudów. Madame L'Españaye posiadała pewien



kapitał. Miała w jego banku otwarty rachunek od wiosny roku... (od jakichś lat ośmiu). Często składała w banku niewielkie sumy, nie wybierała natomiast nic. Dopiero na trzy dni przed swą śmiercią podjęła osobiście cztery tysiące franków. Pieniądze te wypłacono w złocie i polecono woźnemu, aby je odniósł do mieszkania Madame L'Esplanaye.

Adolf Le Bon, woźny domu bankowego Mignaud et Fils, zeznaje, że w przeddzień zbrodni około południa odprowadzał Madame L'Esplanaye do jej mieszkania, niosąc cztery tysiące franków w dwu woreczkach. Po otwarciu bramy ukazała się Mademoiselle L'Esplanaye, która wzięła od niego jeden woreczek; drugi oddał staruszce, ukłonił się i odszedł. Nie widział o tej porze na ulicy nikogo. Jest to zaułek bardzo odludny.

William Bird, krawiec, zeznaje, iż należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Jest Anglikiem. Przebywa w Paryżu od dwóch lat. Jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał, jak się kłóciły owe głosy. Głos chrapliwy brzmiał z francuska. Zdołał dosłyszeć kilka słów, ale nie wszystkie już pamięta. Słyszał wyraźnie *sacré* i *mon Dieu*. Doleciał go wówczas zgiełk, jak gdyby kilka osób się mocowało – była to niby bójka i szarpanina. Głos przenikliwy był bardzo donośny – donośniejszy niż chrapliwy. Jest pewien, że nie był to głos Anglika; raczej Niemca. Mógł to być głos kobiety. Nie umie po niemiecku.

Czterech z wymienionych świadków na ponowne wezwanie oświadczyło, iż drzwi pokoju, w którym znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Esplanaye, były zamknięte na klucz od wewnątrz, kiedy ludzie nadbiegli. Panowała tam zupełna cisza – ani szmerów, ani jęków. Po wywaleniu drzwi nie zastano nikogo. Oba okna, zarówno frontowe, jak tylne, były szczelnie zamknięte od wewnątrz. Drzwi prowadzące z pokoju do pokoju były zamknięte, ale nie na klucz. Drzwi, którymi wychodziło się z pokoju frontowego na korytarz, były zamknięte na klucz, który tkwił od wewnątrz. Pokoik frontowy na czwartym piętrze, u wejścia na korytarz, stał otworem; drzwi były uchylone, pełno w nim było starych łóżek, kufrów i tym podobnych przedmiotów. Poodsuwano je i przetrząśnięto bacznie. Przeszukano jak najstaranniej cal po calu wszystkie części domu. Polecono przetrzeć miotłami kominy. Dom był czteropiętrowy i

miał pokoje na poddaszu. Drzwiczki prowadzące na dach były przybite mocno gwoździami i prawdopodobnie nie otwierane od lat. Czas, jaki upłynął od chwili, kiedy usłyszano spierające się głosy, do wyłamania drzwi od pokoju, był różnie podawany przez świadków. Wedle jednych wynosił nie więcej niż trzy minuty, wedle innych przeszło pięć. Drzwi wyważono z niemałą trudnością.

Alfonzo Garcio, przedsiębiorca pogrzebowy, zeznaje, iż mieszka przy rue Morgue. Pochodzi z Hiszpanii. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Na schody nie wchodził. Jest nerwowy i obawiał się następstw podniecenia. Słyszał kłótnię głosów. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Słów rozróżnić nie mógł. Głos przenikliwy brzmiał z angielska – jest tego pewien. Nie zna języka angielskiego, ale sądzi z intonacji.

Alberto Montani, cukiernik, zeznaje, iż jako jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał owe głosy. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Rozróżnił kilka słów. Były to jakby napomnienia. Słów przenikliwego głosu nie dosłyszał. Był on przyspieszony i nierówny. Sądzi, że był to głos Rosjanina. Zeznania innych świadków na ogół potwierdza. Jest Włochem. Nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem.

Kilku świadków, zapytywanych ponownie, zeznaje, iż we wszystkich pokojach czwartego piętra kominy były za wąskie, by mogły przepuścić istotę ludzką. Miotły, o których mówili poprzednio, były to walcowate szczotki używane przez kominiarzy. Szczotki te przeciągano przez wszystkie dymniki. Nie ma tylnego wyjścia, którym by mógł ktoś uciec, gdy ludzie wbiegli na schody. Zwłoki Mademoiselle L'Esplanaye były tak mocno wtłoczone w komin, iż zdołało je wyciągnąć dopiero kilka osób.

Paweł Dumas, lekarz, zeznaje, iż wezwano go do obejrzenia ciał nad ranem. Oba trupy leżały na łóżku w pokoju, w którym znaleziono Mademoiselle L'Esplanaye. Ciało dziewczyny znaczyły liczne otarcia i zmiżdżenia. Tłumaczą się one dostatecznie wtłoczeniem zwłok w komin. Skóra na szyi była zdarta. Tuż pod brodą widniało kilka głębokich zadraśnień oraz szereg zabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców. Twarz była straszliwie bezbarwna; gałki oczne wysadzone na wierzch. Język był częściowo przecięty. W okolicy

dołka podsercowego zaznaczał się ogromny siniec, wywołany prawdopodobnie uciskiem kolana. Wedle mniemania Monsieur Dumasa Mademoiselle, L'Esplanade została uduszona przez jedną lub kilka nieznaną osob. Ciało matki uległo potwornemu zniekształceniu. Wszystkie kości prawej nogi i ramienia były mniej lub więcej pogruchotane. Lewa goleń zmiażdżona, tak samo wszystkie żebra lewej strony. Całe ciało okropnie pokaleczone i zmienione. Niepodobna powiedzieć, w jaki sposób dokonano tych uszkodzeń. Ciężka pałka drewniana, wielki drąg żelazny, stołek, jakaś duża, ciężka i tępą broń – mogłyby wywołać takie następstwa, gdyby dostały się w ręce nadzwyczaj silnego mężczyzny. Kobieta nie zdołałaby zadać takich ciosów żadną bronią. Głowa zmarłej, gdy ją świadek zobaczył, była zupełnie oddzielona od tułowia i również pogruchotana. Gardziel była przecięta jakimś ostrym narzędziem – prawdopodobnie brzytwą.

Aleksander Etienne, chirurg, wezwany wraz z Monsieur Dumasem do obejrzenia zwłok. Przyłącza się do zeznania Monsieur Dumasa.

Ponadto nie dowiedziano się niczego ważniejszego, aczkolwiek przesłuchiowano jeszcze kilka innych osób. Równie tajemnicze i równie zawile w szczegółach zabójstwo nie zdarzyło się jeszcze dotychczas w Paryżu – jeżeli w ogóle może być mowa o zabójstwie. Policja zupełnie straciła głowę – niezwykle wypadek w sprawach podobnego rodzaju. Co prawda, nie ma ani cienia jakichkolwiek poszlak.

Wieczorne wydanie dziennika donosiło, iż w dzielnicy Saint-Roch panuje w dalszym ciągu ogromne wzburzenie, że miejsce zbrodni poddano ponownemu starannemu badaniu, że zarządzono powtórne przesłuchanie świadków, lecz na darmo. Dopisek nadmieniał, iż aresztowano i uwięziono Adolfa Le Bon, aczkolwiek poza przytoczonymi już szczegółami nic nie przemawiało przeciw niemu.

Dupin zdawał się z niezmiernym zajęciem śledzić przebieg tej sprawy – tak przynajmniej sądziłem z jego zachowania, gdyż nie wspomniał o niej ani słowem. Dopiero po przeczytaniu wiadomości, że Le Bona uwięziono, zapytał mnie, co myślę o tej zbrodni.

Mogłem tylko podzielić zdanie całego Paryża, że jest to niedocieczona tajemnica. Nie pojmowałem zgoła, w jaki sposób można by wytropić zabójcę.

– Nie należy wnioskować o sposobach – rzekł Dupin – z tego powierzchownego śledztwa. Policja paryska, którą tak bardzo wychwala się za jej przenikliwość, jest przebiegła, nic więcej. Kieruje się w swym postępowaniu tylko metodą dyktowaną przez okoliczności. Lubi popisywać się rozległością swych zarządzeń, ale niejednokrotnie są one tak niewłaściwie zastosowane do sprawy, o którą chodzi, iż przypomina się wyrażenie Monsieur Jourdaina, który domagał się swej *robe de chambre – pour mieux entendre la musique*<sup>3</sup>. Wyniki przez nią osiągnięte bywają nieraz zdumiewające, lecz przeważnie są one owocem zwyczajnej zapobiegliwości i sprężystości. Gdzie te zalety nie wystarczają, system zawodzi. Vidocq na przykład miał zmysł śledczy i dużą wytrwałość. Ale niewycwiczony w myśleniu, popełniał nieustannie błędy, wynikające właśnie z usilności jego śledczych poszukiwań. Umniejszył swą zdolność widzenia, patrząc na przedmioty z nazbyt bliskiej odległości. Był snadź zdolny dostrzec jeden lub dwa szczegóły z niepospolitą bystrością, lecz skupiając uwagę na nich, tracił oczywiście z oczu rzecz w całości. Tak to bywa, gdy ktoś chce być za głęboki. Prawda nie zawsze znajduje się w studni. Toteż mniemam, iż poszlaki większej wagi leżą zawsze na wierzchu. Prawdy szuka się w dolinach, ale znajduje się ją na wysokościach gór. Przy badaniu ciał niebieskich objawiają się typowe źródła i właściwości błędów tego rodzaju. Spoglądając na gwiazdę przelotnie – patrząc na nią ukośnie, mianowicie w ten sposób, iż zwraca się ku niej boczną cząstkę siatkówki (znacznie wrażliwszą na słabe oddziaływanie światła niżeli jej ośrodek), dostrzega się ową gwiazdę dokładnie – ocenia się najwłaściwiej jej świetlistość, która słabnie w miarę, jak zwracamy ku niej spojrzenie na wprost. Wprawdzie w drugim wypadku pada na oko więcej promieni, ale za to w pierwszym istnieje subtelniejsza pobudliwość na wrażenia wzrokowe. Nadmierne pogłębienie osłabia i mąci jasność myśli. Jakoż byłoby rzeczą możliwą, że nawet

Wenus znikłaby nam z roztoczy niebieskiej, gdybyśmy jęli śledzić ją z usilnością zbyt skupioną, zbyt wytężoną, zbyt bezpośrednią.

Zastanówmy się nieco nad owymi zabójstwami, zanim ustalimy nasze poglądy. Śledztwo będzie dla nas rozrywką (w zestawieniu z tragizmem zdarzenia określenie to wydało mi się dziwaczne, ale nie rzekłem ani słowa), przy tym Le Bon wyświadczył mi raz pewną przysługę, za którą chciałbym się mu wywdzięczyć. Pójdziemy przyjrzeć się domostwu własnymi oczyma. Znam prefekta policji i sądzę, że otrzymamy bez trudu potrzebne pozwolenie.

Pozwolenia nam udzielono i udaliśmy się niezwłocznie na rue Morgue. Jest to jedna z owych nędznych przecznic łączących rue Richelieu z rue Saint-Roch. Było już pod wieczór, gdyśmy tam przybyli, jako że owa dzielnica znajduje się w znacznej odległości od naszej. Dom odszukaliśmy z łatwością, gdyż po przeciwnej stronie ulicy wciąż jeszcze gromadziło się mnóstwo przechodniów gapiących się na zamknięte okiennice z bezmyślną ciekawością. Była to zwyczajna kamienica paryska z bramą wjazdową, obok której znajdowała się oszklona nisza, a w niej ruchome okienko, świadczące, że mieściła się tu *loge du concierge*<sup>4</sup>. Zanim weszliśmy do bramy, chodziliśmy czas jakiś po ulicy i bocznym zaułkiem okrążyliśmy dom dokoła. Dupin przyglądał się mu i całemu otoczeniu z wytężoną uwagą, ja natomiast nic ciekawego dostrzec nie mogłem.

Następnie zawróciliśmy, podeszliśmy ku domostwu od strony frontowej, zadzwoniliśmy i pokazaliśmy nasze upoważnienia agentowi, który nas wpuścił do wnętrza. Po schodach weszliśmy do pokoju, gdzie znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Esplanaye i gdzie leżały jeszcze obie zmarłe. Nieładu panującego w pokoju nie tknięto, jak to zazwyczaj czyni się w podobnych wypadkach. Nie zauważyłem niczego więcej ponad to, o czym już czytałem w „Gazette des Tribunaux”. Dupin badał wszystko – nie wyłączając zwłok ofiar. Obejrzelśmy z kolei inne pokoje, a potem zeszliśmy na podwórze. Żandarm nie odstępował nas ani na krok. Śledztwo trwało do zmierzchu, po czym powróciliśmy do naszego mieszkania. Po drodze mój towarzysz wstąpił do biura jednego z pism codziennych.

Wspomniałem już, że mój przyjaciel miał mnóstwo dziwactw. *Je les ménageais*<sup>5</sup> (wyrażam się po francusku, gdyż na to określenie nie mogę znaleźć odpowiednika). Strzeliło mu coś do głowy i nie chciał rozmawiać ze mną o owych zabójstwach aż do południa następnego dnia. Wówczas zagadnął mnie, czy nie zauważyłem niczego osobliwego na miejscu zbrodni.

Słowo „osobliwego” wymówił tak dziwnie, iż drgnąłem, sam nie wiedząc dlaczego.

– Nie, nic osobliwego – odparłem – przynajmniej nic innego niż to, o czym obaj czytaliśmy w dzienniku.

– Lękam się – rzekł na to – iż „Gazette” nie wniknęła należycie w niewysłowioną grozę tego zdarzenia. Lecz dajmy pokój gazeciarskiej czczej gadaninie. Sądzę, iż ta tajemnica uchodzi za niemożliwą do rozwikłania właśnie z tego powodu, dla którego należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania – a mianowicie z powodu niesłuchaności swych objawów. Policję stropił oczywisty brak motywów nie samego zabójstwa, lecz okrucieństwa tegoż zabójstwa. Wprawiała ją również w zakłopotanie pozorna niemożliwość pogodzenia kłótni owych głosów z tą okolicznością, iż na górze nie znaleziono nikogo prócz nieżywej Mademoiselle L’Espanaye oraz że niepodobna było umknąć stamtąd bez wiedzy osób wbiegających na schody. Dziki nieład w pokoju; zwłoki wtłoczone głową w dół w komin; straszliwie pokaleczone ciało staruszki – te okoliczności, skojarzone z już przytoczonymi, jako też z tymi, o których mówić nie potrzebuję, wystarczyły, by ubezwładnić władze i zmylić najzupełniej sławioną przenikliwość agentów państwowych. Popełnili oni grubą, lecz pospolitą pomyłkę pomieszania niezwykłości z niedocieczonością. Wszelako właśnie dzięki tym odstępstwom od powszedniego porządku rzeczy rozum może wysledzić drogę – o ile ona w ogóle istnieje – która wiedzie do prawdy. Prowadząc śledztwo takie jak obecne, nie tyle należy zwracać uwagę na to, „co się stało”, ile na to, „czego dotychczas nigdy jeszcze nie było”. Jakoż łatwość, z jaką przeniknę lub już przeniknąłem tę tajemnicę, pozostaje w prostym stosunku do oczywistej niemożności jej rozwikłania w mniemaniu policji.

Patrzyłem na mówiącego z niemym osłupieniem.

– Oczekuję obecnie – mówił dalej, spoglądając ku drzwiom naszego pokoju – oczekuję obecnie osoby, która prawdopodobnie nie była sprawcą tej rzezi, ale w pewnej mierze musiała w niej uczestniczyć. Najcięższe brzemie odpowiedzialności za popełnione zbrodnie snadź na nią nie spada. Mam nadzieję, że moje przypuszczenia nie zawiodą, gdyż na nich to właśnie oparłem przewidywania, iż uda mi się rozwiązać całą zagadkę. Oczekuję tego człowieka tutaj – w tym pokoju – lada chwila. Może co prawda nie przyjsć; istnieje jednakże prawdopodobieństwo, że przyjdzie. O ile by przyszedł, musi tu pozostać. Oto pistolety; a obaj wiemy, jak się z nimi obchodzić w razie potrzeby.

Wziąłem pistolety, zaledwie wiedząc, co czynię, i nie dowierzając niemal własnym uszom. Tymczasem Dupin mówił dalej, jak gdyby sam do siebie. Napomknąłem już o jego roztargnieniu w podobnych chwilach. Zwracał swe słowa do mnie, ale głos jego, acz bynajmniej nie donośny, miał tę intonację, jakiej używa się zazwyczaj, mówiąc do kogoś na znaczną odległość. Oczy jego straciły wyraz i patrzyły tylko na ścianę.

– Iż spierające się głosy, które słyszeli ludzie na schodach, nie były głosami owych kobiet, to w zupełności wykazało dochodzenie. Nie może być zatem mowy o pytaniu, czy przypadkiem staruszka nie zabiła najpierw córki, a potem nie popełniła samobójstwa. Poruszam tę wątpliwość jedynie ze względu na metodę, gdyż siły Madame L'Esplanaye nie mogłyby żadną miarą podołać tak silnemu wtłoczeniu trupa córki w otwór komina; ponadto rodzaj ran na jej własnym ciele nie dopuszcza zupełnie myśli o samobójstwie. Zabójstwo to popełniły zatem jakieś istoty trzecie i właśnie kłótnia tych trzecich była słyszana przez ludzi na schodach. Niechaj mi będzie wolno zwrócić teraz twoją uwagę nie na całość zeznań dotyczących owych głosów, lecz na pewną osobliwość tych zeznań. Czy nie zauważyłeś w nich niczego osobliwego?

Odpowiedziałem, że o ile wszyscy świadkowie przypuszczali zgodnie, iż głos chrapliwy był głosem Francuza, o tyle różnili się wielce co do głosu przenikliwego, który jeden z nich nazwał szorstkim.

– To było oczywiste – rzekł Dupin – ale nie na tym polegała osobliwość tej oczywistości. Nie zauważyłeś rzeczy najznamienniejszej; a jednak można ją zauważyć. Świadkowie, jak powiedziałeś, nie różnili się co do głosu chrapliwego; zeznali zgodnie. Natomiast o ile chodzi o głos przenikliwy, istnieje pewna osobliwość; polega ona nie na rozbieżności zeznań, lecz na tym, iż Włoch, Anglik, Hiszpan, Holender i Francuz, kiedy chcieli go określić, wszyscy wyrażali się o nim jako o głosie cudzoziemca. Każdy z nich jest pewien, że nie był to głos ziomka. Każdy porównywa go nie z głosem przedstawiciela obcego narodu, którego język jest mu znany, lecz wręcz przeciwnie. Francuz przypuszcza, że był to głos Hiszpana, i „mógłby był rozróżnić niektóre słowa, gdyby umiał po hiszpańsku”. Holender utrzymuje, że był to głos Francuza, wszelako stwierdzono, że świadek ten nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Anglikowi się zdaje, że był to głos Niemca, ale nie zna języka niemieckiego. Hiszpan „jest pewien”, że „brzmiał z angielska”, lecz „sądzi z intonacji”, gdyż nie zna języka angielskiego. Włoch mniema, że był to głos Rosjanina, lecz nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem. Drugi Francuz różni się od pierwszego i wie na pewno, że był to głos Włocha, wszelako nie znając włoskiego języka, „odnosi wrażenie” – podobnie jak Hiszpan – „z intonacji”. Otóż jak dziwnie niezwykle musiał być ten głos, skoro takie o nim zebrano zeznania – skoro w jego tonach mieszkańcy pięciu wielkich połaci Europy nie mogli dosłyszeć niczego swojskiego! Mógłbyś odpowiedzieć, że może był to głos Azjaty lub Afrykanina. Azjatów i Afrykanów nie ma zbyt wielu w Paryżu; atoli nie przecząc tej możliwości, chciałbym zwrócić twą uwagę na trzy punkty. Jeden ze świadków określa głos ten jako „raczej szorstki niż przenikliwy”. Dwu innych wyraża się o nim, że był „przyśpieszony i nierówny”. Żaden z nich nie mógł rozróżnić ani słów, ani dźwięków, które by były do słów podobne.

– Nie wiem – ciągnął dalej Dupin – co myślisz o dotychczasowych mych wywodach, lecz mimo to nie waham się twierdzić, że uzasadnione wnioski bodaj z tej części zeznań – mianowicie części dotyczącej głosu chrapliwego i przenikliwego – już wystarczają, by powziąć podejrzenie,



które winno by stać się myślą przewodnią dalszych dochodzeń w tej tajemniczej sprawie. Powiedziałem: wnioski uzasadnione, ale zwrot ten nie odpowiada w zupełności mojemu mniemaniu. Chciałem zaznaczyć, iż tylko te wnioski są słuszne i że to podejrzenie jest ich nieodzownym następstwem jako jedyny ich wynik. Nie powiem ci jednak od razu, na czym podejrzenie owo polega. Chciałbym tylko przekonać ciebie, że to podejrzenie było najzupełniej wystarczające, by nadać poszukiwaniom moim na miejscu zbrodni pewną dążność – określoną celowość.

Przenieśmy się teraz myślą do owego pokoju. Czegóż będziemy tam szukali? W jaki sposób zdołali ujść zabójcy? Byłoby chyba rzeczą zbyteczną nadmieniać, że obaj nie wierzymy w zdarzenia nadprzyrodzone. Madame i Mademoiselle L'Esplanaye nie zginęły z ręki duchów. Sprawcy czynu byli materialni i umknęli w sposób najzupełniej materialny. Lecz jak? Na szczęście w tej sprawie można rozumować tylko na jedną modłę i to musi nas doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Zbadajmy kolejno wszystkie możliwe sposoby ucieczki. To pewne, iż zabójcy byli w pokoju, gdzie znaleziono Mademoiselle L'Esplanaye, lub może w pokoju sąsiednim, gdy tłum wbiegał na schody. Tylko w tych dwu pokojach należy zatem szukać wyjścia. Policja pozrywała posadzki, poobijała wszędzie w tynku sklepienia i ściany. Żadne wyjście tajne nie mogło ujść jej baczości. Nie dowierzając wszakże cudzym oczom, przyglądałem się wszystkiemu własnymi. Otóż nie ma tam ukrytego wyjścia. Dwoje drzwi prowadzących z pokoi na korytarz było mocno zamkniętych na klucz od wewnątrz. Przyjrzyjmy się kominom. Mają one zwykłą szerokość do wysokości jakichś ośmiu lub dziesięciu stóp ponad paleniskiem i nie zdołaby się przecisnąć przez nie nawet duży kot. Ujść jedną z dróg tylko co wymienionych jest rzeczą bezwarunkowo niemożliwą; pozostają więc tylko okna. Frontowymi nie mógł nikt umknąć, gdyż dostrzegłby go tłum zgromadzony na ulicy. Zabójcy uciekli zatem przez okna pokoju tylnego. Otóż doszedłszy w tak niezawodny sposób do tego wniosku, nie możemy pominąć go, jako zwolennicy ścisłego rozumowania, ze względu na pozorne niemożliwości.

Pozostaje nam tylko dowieść, że te pozorne „niemożliwości” bynajmniej nimi nie są.

W pokoju tym są dwa okna. Jedno z nich nie jest zastawione meblami i jest całkiem widoczne. Dolną część drugiego zasłania szczelnie do niego przysunięte wielkie wezgłowie łóżka. Jak się okazało, pierwsze było mocno zamknięte od wewnątrz. Oparło się wszystkim wysiłkom osób, które chciały je podnieść. W lewej jego ramie zauważono wielki otwór wywiercony świdrem, a w nim duży gwóźdź, wbity niemal aż po łepiek. Przy oglądaniu drugiego okna dostrzeżono także gwóźdź wbity w podobny sposób; mimo wyteżenia wszystkich sił nie udało się go również podnieść w górę. Policja była zatem najzupełniej przekonana, iż ucieczka nie nastąpiła w tym kierunku. I dlatego wydało się rzeczą zbyteczną wyjąć gwoździe i otworzyć okna.

Moje badania były nieco szczegółowsze, a to z powodów tylko co przytoczonych – mianowicie wiedziałem, iż chodzi o to, aby wykazać, że wszystkie pozorne niemożliwości bynajmniej niemożliwymi nie są.

Rozumowałem przeto dalej *a posteriori*. Zabójcy uszli przez jedno z tych okien. Uczyniwszy to, nie mogli z powrotem przytwierdzić ram od wewnątrz, jak je zastali przytwierdzone. Było to tak oczywiste, że położyło kres dalszym badaniom policyjnym w tym zakresie. A jednak ramy były przytwierdzone. Musiały zatem zamykać się same. Wniosku tego uniknąć nie było podobna. Podszedłem do okna niezastawionego, wyciągnąłem gwóźdź z niejaką trudnością i próbowałem podnieść je w górę. Oparło się wszystkim moim wysiłkom, jak zresztą przewidywałem. Pojąłem tedy, iż musi istnieć ukryta sprężyna; to potwierdzenie mojej myśli zasadniczej przekonało mnie co najmniej o słuszności moich założeń, aczkolwiek wciąż jeszcze niejasna była sprawa gwoździ. Staranne poszukiwania doprowadziły rychło do wykrycia tajnej sprężyny. Nacisnąwszy ją i zadowolony się odkryciem, nie uważałem już za potrzebne podnosić okna.

Włożyłem następnie gwóźdź z powrotem na jego miejsce i przyglądałem się mu uważnie. Osoba wychodząca przez okno mogła je zamknąć i sprężyna byłaby chwyciła; ale gwoździa nie można było

umieścić z powrotem. Wniosek był ścisły i znów zwęził zakres mych poszukiwań. A więc zabójcy musieli ujść przez drugie okno. Wychodząc z założenia, iż sprężyny u obu okien były takie same, trzeba było przyjąć, iż zachodziła różnica między gwoździami lub przynajmniej między sposobami ich wbicia. Stanąwszy na łóżku, uważnie przyglądałem się sponad wezglowia ramie okiennej. Przesunąwszy następnie rękę poza skraj łóżka, z łatwością odszukałem i nacisnąłem sprężynę, która – jak przypuszczałem – nie różniła się niczym od sąsiedniej. Przyjrzałem się potem gwoździowi. Był tak samo duży jak poprzedni i wbity na pozór w ten sam sposób, niemal aż po łupek.

Zapewne wyobrażasz sobie, iż byłem zakłopotany; jeżeli jednak sądzisz w ten sposób, to chyba nie zdajesz sobie sprawy z natury mych wnioskowań. Mówiąc gwarą myśliwską, nie „zmyliłem tropu ani razu”. Węch nie zawiódł mnie ani na chwilę. Nie było skazy na żadnym ogniwie łańcucha. Prześledziłem tajemnicę aż do jej krańcowego punktu, a tym punktem był ów gwóźdź. Jak już wspomniałem, nie różnił się on niczym w wyglądzie od gwoździa z drugiego okna. Wszelako nie miało to żadnego znaczenia (jakkolwiek wydawało się zakończeniem wszystkiego) w porównaniu z przeświadczeniem, że punkt ten był kresem ostatecznym. „Coś tu musi być nie w porządku – powiedziałem sobie – z tym gwoździem”. Dotknąłem go i główka wraz z calowym odłamkiem została mi w palcach. Reszta ułamanego gwoździa pozostała w wywierconym otworze. Złamanie musiało nastąpić już dawno (gdyż brzegi pokrywała rdza) i pochodziło zapewne od uderzenia młota, które zagłębiło częściowo łupek w brzegu ramy. Włożyłem znowu odłamek gwoździa, zakończony główką, starannie w zagłębienie, z którego go wyjąłem, i podobieństwo do gwoździa całkowitego było zupełne – złamania nie było widać. Nacisnąwszy sprężynę, podniosłem z lekka ramę na kilka cali w górę; główka gwoździa uniosła się wraz z nią, lecz ani nie drgnęła w swym łożysku. Zamknąłem okno i podobieństwo do nienaruszonego gwoździa znów było zupełne.

Powiodło mi się zatem dokonać rozwiązania zagadki. Zabójca uciekł przez okno przytykające do łóżka. Nie wiadomo, czy po jego ucieczce

zatrzasnęło się samo, czy też zatrzasnęła je czyjaś ręka; to pewne, iż sprężyna zaskoczyła na swe miejsce. I ona to przytrzymała okno, a nie gwóźdź, jak mylnie sądziła policja, uważając z tego powodu dalsze dochodzenie za niepotrzebne.

Nasunęło się z kolei zagadnienie, w jaki sposób zabójca spuścił się na dół. Rozwiązałem je, przechadzając się z tobą dokoła domu. Na jakie półszósta stopy od owego okna przebiega lina druciana od gromochronu. Z liny tej niepodobieństwem jest dosięgnąć okna ani też wejść na nie. Zauważyłem jednakże, iż okiennice czwartego piętra są tego szczególniejszego rodzaju, który stolarze paryscy nazywają *ferrades*; okiennic takich rzadko używa się obecnie, ale widuje się je często w prastarych domostwach Lyonu i Bordeaux. Mają one kształt zwyczajnych drzwi (całkowitych, a nie złożonych z podwoi), od których różnią się tylko tym, iż część dolna jest powyrzynana na wylot, podobnie jak dzierzgana krata, i dzięki temu stanowi doskonałe oparcie dla rąk. W wypadku, o którym mowa, szerokość okiennic wynosi przeszło półczwartej stopy. Gdyśmy patrzyli na nie z dołu, były obie uchylone do połowy, to znaczy tworzyły z murem kąt prosty. Prawdopodobnie urzędnicy policyjni oglądali kamienicę także od tyłu, podobnie jak ja; jednakże patrząc na te *ferrades* od strony ich szerokości (bo nie mogli patrzeć inaczej), nie zwrócili uwagi na rozmiary tejże szerokości lub – co na jedno wychodzi – nie wzięli ich należycie pod rozwagę. Przyszedłszy bowiem do przekonania, iż ucieczka z tej strony była niemożliwa, zadowolili się oczywiście tylko pobieżnym obejrzeniem. Dla mnie natomiast było rzeczą jasną, iż gdyby okiennicę od okna u wezłowania łóżka odchylić aż do samego muru, to znalazłaby się ona o jakie dwie stopy od drucianej liny gromochronu. Zdawałem sobie również sprawę, iż istota, wyposażona niepoślednią przedsiębiorczością i odwagą, mogłaby w ten sposób przedostać się z owej liny na okno. Znalazłszy się bowiem w odległości półtrzeciej stopy (o ile przyjmiemy, że okiennica była otwarta w zupełności), złoczyńca mógł się uchwycić mocno dzierzganej kraty. Puściwszy się następnie liny, zapałszy się nogami w ścianę i odepchnąwszy się od niej, mógł silnym szarpnięciem spowodować

zamknięcie się okiennicy i wskoczyć do pokoju, jeżeli okno było podówczas otwarte.

Pragnąłbym, byś przede wszystkim zapisał sobie głęboko w pamięci to, co powiedziałem o arcyniepospolitym stopniu energii, jaka była potrzebna do pomyślnego wykonania tak trudnego i karkołomnego przedsięwzięcia. Zamierzam najpierw dowieść ci, iż było ono możliwe, następnie zaś – i o to głównie mi chodzi – zwrócić twoją uwagę na niesłychany i niemal nadnaturalny charakter zręczności, która zdołała się go podjąć.

Powiesz zapewne, posługując się wyrażeniem prawniczym, iż chcąc „rozdać sprawę”, powinien bym raczej umniejszać znaczenie energii okazanej w tym wypadku, niż dokładać starań, aby wyszła na jaw w całej pełni. Być może, iż tak bywa w sądach, ale inne są wymagania rozumu. Moim ostatecznym celem jest czysta prawda. Bezpośrednim zaś moim zamierzeniem jest skłonić cię do zestawienia tej nader niezwyklej energii, o której przed chwilą wspomniałem, z owym arcyprzenikliwym (czy szorstkim) i nierównym głosem, którego narodowości nie zdołały oznaczyć zgodnie bodaj dwie osoby i w którego brzmieniu nikt nie mógł dosłyszeć podziału na zgłoski.

Pod wpływem tych słów mglista i jeszcze nieukształtowana świadomość poglądu Dupina zaświtała mi w mózgu. Zdawało mi się, że jestem na pograniczu zrozumienia, wszelako zrozumieć nie mogłem, podobnie jak to bywa czasem z ludźmi, którzy wahają się już na skraju przypomnienia, a jednak w zupełności przypomnieć sobie nie są zdolni. Tymczasem mój przyjaciel mówił dalej:

– Jak widzisz, zagadnienie, w jaki sposób odbyła się ucieczka, przekształciłem w zagadnienie, jak nastąpiło wtargnięcie. Zamierzeniem moim było wykazać, iż zarówno wejście, jak wyjście dokonało się w ten sam sposób i na tym samym miejscu. Wróćmy teraz do wnętrza pokoju. Rozejrzyjmy się w jego wyglądzie. Szuflady komody rzekomo uległy grabieży, chociaż pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów wchodzących w skład kobiecego stroju. Wnioskowanie to jest niedorzeczne. To tylko przypuszczenie – niemądre przypuszczenie – nic

więcej. Skądże wiadomo, iż przedmioty znalezione w szufladach nie stanowiły całkowicie pierwotnej ich zawartości? Madame L'Esplanaye i jej córka żyły samotnie – nie bywały w towarzystwach – rzadko wychodziły z domu – nie miały potrzeby zmieniać często swych strojów. Te, które znaleziono, nie ustępowały bynajmniej jakością innej odzieży stanowiącej własność tych pań. Jeżeli złoczyńca zabrał cokolwiek, to czemuż nie wziął rzeczy najcenniejszych – czemu nie zabrał wszystkich? Słowem, dlaczego porzucił cztery tysiące franków w złocie, a obarczył się pękiem bielizny? Złoto pozostało. Niemal całą sumę, o której wspomniał bankier Mignaud, znaleziono w workach na posadzce. Pragnąłbym więc wyplenić z twych myśli bałamutną ideę zysku, wylęgłą w mózgach policji pod wpływem zeznań o pieniądzach doręczonych u bramy kamienicy. Zbieżności dziesięciokrotnie ważniejsze od przytoczonej (doręczenie pieniędzy i zbrodnia popełniona po upływie trzech dni na osobie, która je odebrała) zdarzają się co godzina w naszym życiu, a jednak nawet przelotnie nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Zresztą zbieżności są w ogóle wielkimi kamieniami obrazy, zawałającymi drogę tej kategorii myślicieli, którzy nie mają pojęcia o teorii możliwości – a jej to właśnie najszczytniejsze dziedziny badań ludzkich zawdzięczają chwałę swych rozwidnień. Gdyby w wypadku, który nas obchodzi, złoto znikło, to okoliczność doręczenia go na trzy dni przedtem byłaby czymś więcej niż zbieżnością. Stanowiłaby potwierdzenie owej idei zysku. Jeżeli wszakże, mając rzeczywisty stan rzeczy na uwadze, przypuścimy, iż złoto było powodem tej napaści, to musimy również przyjąć, że sprawca był do tego stopnia niezdara i matołkiem, iż wyrzekł się złota oraz motywu, który nim powodował.

Nie zapominając tedy ani przez chwilę o szczegółach, które ci wyłuszczyłem – a więc o owym osobliwym głosie, o nadzwyczajnej zręczności jako też o tym, iż ta wyjątkowo potworna zbrodnia wykazuje zastanawiający brak motywów – pozwól, iż przyjrzymy się z kolei samej rzezi. Oto czyjeś ręce zadławiły na śmierć kobietę i wtłoczyły ją w komin, głową na dół. Zbrodniarze zwyczajni nie posługują się podobnymi sposobami zabójstwa. Przede wszystkim zaś nie obchodzą się tak dziwnie ze zwłokami swych ofiar. Ze sposobu, w jaki wtłoczono trupa w przewód

komina, wywnioskujesz przecie, iż zaszło coś bezgranicznie dziwnego – coś bezwarunkowo niedającego się pogodzić z właściwym nam pojmowaniem czynności ludzkich, nawet w takim razie, jeżeli przypuścimy, iż sprawcy byli najostatniejszymi wyrzutkami ludzkości. Zastanów się ponadto, jak olbrzymia musiała być siła, która zdołała wtłoczyć zwłoki w przewód z taką mocą, iż zaledwo połączone wysiłki kilku osób zdołały je wydobyć z powrotem!

Zwróćmy następnie uwagę na inne oznaki tej nieuskromionej siły. Na palenisku znajdowały się grube pasma – bardzo grube pasma – siwych ludzkich włosów. Wyrwano je wraz z korzonkami. Wiesz dobrze, jak znacznej siły potrzeba, by wyrwać naraz z głowy chociażby tylko dwadzieścia lub trzydzieści włosów. Widziałeś te kłaki tak samo jak ja. U nasady (co za ohydny widok!) były pozlepiane krwawymi strzępami skóry – niezawodna oznaka zdumiewającej mocy, jakiej użyto, by wyrwać wraz z korzonkami za jednym zamachem jakie pół miliona włosów. Gardziel staruszki była w ten sposób przecięta, iż głowa po prostu odpadła od tułowia – a narzędziem była zwykła brzytwa. Pragnąłbym, byś uprzytomnił sobie zwierzęcą dzikość tych czynów. Obrażenia na ciele Madame L'Esplanaye pominię. Monsieur Dumas i jego szanowny asystent, Monsieur Etienne, orzekli, iż zadano je jakimś tępym narzędziem, i mieli najzupełniejszą słuszość. Owym tępym narzędziem był kamienny bruk podwórka, na które spadła ofiara z okna przytykającego do łóżka. Pomysł ten, choć na pozór najzupełniej zwyczajny, nie powstał w mózgach policji dla tego samego powodu, dla którego szerokość okiennic uszła tej uwagi: tak szczelnie zagwoździły jej zdolność pojmowania owe gwoździe, iż nie przypuszczała, by okna w ogóle mogły być otwierane.

Jeżeli na domiar wzięłeś należycie pod rozwagę cudaczny nieład w pokoju, to będziemy mieli wszystkie dane, by skojarzyć pojęcia przedziwnej zręczności, nadludzkiej siły, zwierzęcej dzikości, bezcelowej zbrodni, cudactwa, którego groteskowa groza nie ma nic wspólnego z człowieczeństwem, a także głosu, którego ton brzmiał obco w uszach ludzi wielu narodowości i był najzupełniej pozbawiony wyraźnego i

zrozumiałego podziału na zgłoski. Do jakiegoż zatem dochodzisz wniosku? Jakie wrażenie wywarłem na twojej wyobraźni?

Dreszcz jakiś przebiegł moje ciało, gdy Dupin postawił mi to pytanie.

– Szaleniec – rzekłem – dopuścił się tego czynu; jakiś obłąkany maniak, co zbiegł z pobliskiego domu wariatów.

– Są okoliczności – odparł – które przemawiają za twoim zdaniem. Wszelako głosy szaleńców, nawet w chwilach najdzikszego ich rozpętania, nie dadzą się żadną miarą pogodzić z owym szczególniejszym głosem zasłyszonym na schodach. Każdy wariat należy do jakiegoś narodu, a język jego, acz bezładny w słowach, wykazuje zawsze ład w zgłoskowaniu. Ponadto włosy szaleńców różnią się od tych, które w tej chwili trzymam w dłoni. Wyskubałem oto ten mały kosmyk z odrętwiałych i zaciśniętych palców Madame L'Esplanade. Powiedz mi, co sądzisz o nich?

– Dupin! – rzekłem, wstrząśnięty do głębi. – To jakieś dziwne włosy – to nie są ludzkie włosy!

– Bynajmniej tego nie utrzymywałem – odezwał się – zanim jednak coś o nich postanowimy, chciałbym, byś rzucił okiem na rysunek skreślony przeze mnie na tym oto papierze. Jest to rysunkowa podobizna tego, co jedni świadkowie określili jako „ciemne sińce i głębokie ślady paznokci” na gardzieli Mademoiselle L'Esplanade, inni zaś (mianowicie Messieurs Dumas i Etienne) jako „szereg nabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców”.

– Jak widzisz – mówił dalej mój przyjaciel, rozpościerając papier na stole – rysunek ten daje wyobrażenie krzepkiego i pewnego chwytu. Jakichkolwiek ześliznień nie widać. Każdy palec wytrwał – prawdopodobnie aż do zgonu ofiary – w straszliwym ucisku, z jakim pierwotnie się zagłębił. Spróbujże teraz umieścić od razu swe palce w odpowiednich śladach, które tu masz zaznaczone.

Spróbowałem, ale nadaremnie.

– Być może, iż zabieramy się do rzeczy w niewłaściwy sposób – powiedział. – Papier ten leży na powierzchni płaskiej, a gardziel ludzka jest walcowata. Oto walec drewniany, który ma ten obwód, co sżyja ludzka. Owiń dokoła niego rysunek i spróbuj raz jeszcze.



Postąpiłem wedle jego wskazówek, lecz trudność jeszcze się wzmogła.

– Nie, to nie są ślady ręki ludzkiej – rzekłem.

– Przeczytajże teraz – odparł Dupin – ten ustęp z Cuviera.

Był to drobiazgowy opis anatomiczny wielkiego brunatnego orangutana z Archipelagu Wschodnioindyjskiego. Olbrzymia postawa, niesłychana zręczność i siła, niepohamowana dzikość i właściwości naśladowcze tego ssaka są wszystkim dostatecznie znane. Pojąłem od razu całą potworność zabójstwa.

– Opis palców – powiedziałem, skończywszy czytać – wykazuje najzupełniejszą zgodność z tym rysunkiem. Przekonywam się, że żadne inne zwierzę prócz orangutana z wymienionego tu gatunku nie mogło pozostawić śladów uwidoczniionych na twoim rysunku. Także ten kosmyk brunatnej sierści odpowiada najzupełniej potworowi z opisu Cuviera. Wszelako żadną miarą nie mogę zdać sobie sprawy ze szczegółów tej przerażającej tajemnicy. Przy tym słyszano sprzeczkę dwu głosów, z których jeden był na pewno głosem Francuza.

– To prawda – i przypominasz sobie zapewne wykrzyknik, przypisywany przez świadków niemal jednomyślnie owemu głosowi; miał on brzmieć: *mon Dieu!* Słowa te ze względu na towarzyszące okoliczności słusznie określił jeden ze świadków (cukiernik Montani) jako wyraz wyrzutu czy upomnienia. Na nich to polegała przede wszystkim moja nadzieja zupełnego rozwiązania zagadki. Jakiś Francuz wiedział o tym zabójstwie. Jest rzeczą możliwą – a nawet więcej niż prawdopodobną, iż jest najzupełniej niewinien współudziału w krwawym dziele. Być może, iż orangutan mu uciekł. Być również może, iż podążył jego śladem, lecz wśród wstrząsających okoliczności, jakie tam nastąpiły, nie zdołał pojmać go z powrotem. Zwierzę jest jeszcze na wolności. Nie będę snuł dalej tych przypuszczeń, gdyż nie mam prawa odwoływać się do nich – jako mgławice rozumowań, które służą im za podstawę, sięgają zaledwie tak głęboko, iż mogą być ocenione tylko przez mój własny rozum; nie mogę zatem dążyć do uprzystępnienia ich zrozumieniu cudzemu. Nazywajmy je tedy tylko przypuszczeniami i nie uważajmy ich za nic innego. Jeżeli ów Francuz, jak mniemam, istotnie jest niewinien tego okrucieństwa, to

ogłoszenie, które wczoraj wieczorem, gdyśmy wracali do domu, oddałem do zamieszczenia w redakcji „Le Monde” (dziennik poświęcony sprawom żeglarskim i czytany powszechnie przez marynarzy), powinno go sprowadzić w nasze progi.

NADZWYCZAJ DUŻEGO ORANGUTANA z gatunku żyjącego na Borneo schwytano wczesnym rankiem dnia... (tu następowała data morderstwa) w Bois de Boulogne. Właściciel jego (o którym wiadomo, iż jest marynarzem i należy do załogi statku maltańskiego) może go odebrać po dostatecznym stwierdzeniu tożsamości i uiszczeniu niewielkiego wynagrodzenia za schwytanie i żywienie zwierzęcia. Wiadomości zasięgnąć można pod nrem... przy rue..., Faubourg Saint-Germain, trzecie piętro.

– Skądże ty możesz wiedzieć – zagadnąłem – że ów człowiek jest marynarzem i należy do załogi maltańskiego statku?

– Toteż nie wiem tego – odparł Dupin. – Przynajmniej nie jestem pewien. Lecz spójrz, proszę cię, na ten strzęp wstążki, która – jak domyślam się z kształtu i zatłuszczonego wyglądu – służyła zapewne do wiązania włosów w owe długie harcapy stanowiące chlubę marynarzy. Ponadto takiego węzła nikt nie zdoła zawiązać prócz marynarzy, w szczególności zaś Maltańczyków. Znalazłem tę wstążkę pod gromochronem. Nie należała na pewno do ofiar wypadku. Zresztą, jeżeli nawet się mylę, wnioskując z tej wstążki, iż ów Francuz należy do załogi maltańskiego statku, to ogłoszenie moje nie wyrządzi przecież krzywdy nikomu. Gdybym pobłądził, pomyśli sobie po prostu, iż wprowadziła mnie w błąd jakaś okoliczność, i nie zechce trudzić się poszukiwaniem. Jeżeli natomiast mam słuszość, to wygrałem wielką stawkę. Wiedząc o zabójstwie, Francuz, acz niewinny, będzie się wahał, czy usłuchać wezwania – czy domagać się zwrotu orangutana. Będzie rozumował w ten sposób: jestem niewinny; jestem biedny; mój orangutan ma wielką wartość – dla człowieka w moich warunkach to niemal majątek – czemuż mam go się pozbyć dla jakichś urojonych niebezpieczeństw? Jest do odebrania. Znaleziono go w Bois de Boulogne – bardzo daleko od widowni krwawego wypadku. Czyż ktoś może przypuszczać, by nierozumne

zwierzę było sprawcą tego czynu? Policja jest w błędzie – nie zdołała znaleźć najłżejszej poszlaki. Gdyby nawet wytropiono zwierzę, to jeszcze byłoby rzeczą niemożliwą dowieść mi, że wiem o zbrodni, lub poczytać mi za winę, że o niej wiedziałem. To jednak pewne, iż ktoś wie o mnie. Ogłoszenie w dzienniku wyraża się o mnie jako o właścicielu zwierzęcia. Nie jestem pewien, jak daleko te wiadomości sięgają. Jeżeli zaniedbam się upomnieć o tak cenną własność, o której wiadomo, że do mnie należy, to zwierzę może stać się przyczyną podejrzeń. Nie wyszłoby mi na dobre, gdyby zwrócono uwagę czy to na mnie, czy też na małpę. Pójdę za wezwaniem, odbiorę orangutana i będę go trzymał w zamknięciu, aż cała ta sprawa przycichnie.

W tej chwili usłyszeliśmy stąpanie na schodach.

– Miej pistolety w pogotowiu – rzekł Dupin – ale ich nie pokazuj i nie strzelaj, dopóki nie dam znaku.

Brama domu stała otworem, przybysz wszedł przeto, nie dzwoniąc, i jął wstępować na schody. Wnet jednak jakby się zawahał. Po chwili począł schodzić na dół. Dupin szybko podbiegł ku drzwiom, wszelako w tejże samej chwili nieznajomy zmienił kierunek; podążył znowu w górę. Nie zawrócił ponownie, lecz stąpał dalej stanowczym krokiem i zapukał w końcu do drzwi naszego pokoju.

– Proszę! – odezwał się Dupin pogodnym i serdecznym głosem.

Nieznajomy wszedł do pokoju. Był to niewątpliwie marynarz – człowiek rostry, barczysty i muskularny, z miną zadzierzystą, jakby kpił sobie z wszystkich diabłów, niepozabawioną jednak ujmującego wyrazu. Twarz jego, mocno opalona, zatracala się na poły w gęstwinie wąsów i bokobrodów. Dzierżył potężny kij dębowy, lecz nie miał zapewne przy sobie innej broni. Skłonił się niezgrabnie i powitał nas słowami „dobry wieczór” z francuskim akcentem, skążonym nieco neufchatelskim nalotem, lecz świadczącym mimo to dostatecznie o pochodzeniu paryskim.

– Proszę siadać – rzekł Dupin. – Przychodzi pan zapewne po swego orangutana? Niemal go panu zazdroszczę; daję słowo! Nadzwyczaj piękne

i niewątpliwie bardzo cenne zwierzę. Jak pan przypuszcza, w jakim może być wieku?

Marynarz odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu ciężki kamień spadł z serca, i odparł pewnym głosem:

– To trudno powiedzieć, lecz nie może mieć więcej niż cztery lub pięć lat. Czy ma go pan tutaj?

– O, nie, nie było tu dla niego pomieszczenia. Trzymam go w wynajętej stajni, tuż obok, przy rue Dubourg. Mogę go oddać panu jutro rano. Czy potrafi pan udowodnić, iż jest pańską własnością?

– To się rozumie.

– Nielatwo mi przyjdzie rozstać się z nim – odezwał się Dupin.

– Nie żądam przecie usług za darmo – rzekł nieznajomy. – Ani mi przez myśl nie przeszło coś podobnego! Zapłacę chętnie wynagrodzenie za schwytanie zwierzęcia – ma się rozumieć, umiarkowane.

– Zgoda! – odparł mój przyjaciel. – To bardzo pięknie z pańskiej strony. Czego by tu zażądać? Zaraz... już wiem. Moje wynagrodzenie będzie polegało na tym, iż dowiem się wszystkiego, co tylko pan wie, o zabójstwie przy rue Morgue.

Ostatnie słowa wyrzekł Dupin bardzo cicho i bardzo spokojnie. Z nie mniejszym spokojem podszedł do drzwi i zamknął je na klucz, który włożył do kieszeni. Po czym wyjął pistolet z zanadrza i nie śpiesząc się, położył go na stole.

Marynarzowi krew uderzyła do głowy, jak w przystępie duszności. Zerwał się z miejsca i zacisnął kij w pięści, lecz po chwili powalił się znów ciężko na krzesło, drżąc na całym ciele. Z rysów jego wyzierało śmiertelne przerażenie. Nie rzekł ani słowa. Żal mi go było serdecznie.

– Mój przyjacielu – rzekł Dupin dobrotliwie – niepotrzebnie pan się niepokoi, naprawdę niepotrzebnie! Nie chcemy sprawić panu przykrości. Daję słowo uczciwego człowieka i Francuza, że nie wyrządzimy panu krzywdy. Wiem najzupełniej dokładnie, że okrucieństwa przy rue Morgue nie były pańskim dziełem. Nie znaczy to jednak, jakobym przeczył, iż w pewnej mierze pan w nich uczestniczył. Z tego, co już powiedziałem, domyślił się pan zapewne, iż mam sposoby, za pomocą których udało mi

się zasięgnąć o tej sprawie wiadomości – sposoby, o jakich panu nigdy się nie śniło. Otóż rzecz przedstawia się tak: nie uczynił pan nic takiego, czego można było uniknąć, i na pewno nie dopuścił się pan niczego, co by czyniło pana winowajcą. Nie popełnił pan nawet kradzieży, jakkolwiek mógł pan kraść bezkarnie. Nie ma pan nic do ukrycia. Nie ma pan powodu do ukrywania. Jest więc najprostszym obowiązkiem honoru wyznać wszystko, co panu wiadomo. Uwięziono niedawno niewinnego człowieka, podejrzanego o zbrodnię, której sprawcę pan może wskazać.

Podczas przemówienia Dupina marynarz odzyskał w znacznej mierze przytomność umysłu, atoli dawniejsze jego zuchwalstwo znikło zupełnie.

– Bodajby mnie Bóg skarał – rzekł po krótkiej chwili – jeśli nie powiem panu wszystkiego, co wiem o tej sprawie; wszelako nie spodziewam się, żeby mi pan uwierzył, chociażby w połowie; byłbym wariatem, gdybym spodziewał się czegoś podobnego. Atoli jestem niewinny i wyznam wszystko, nawet gdybym miał to przypłacić życiem.

Opowieść jego brzmiała w streszczeniu następująco. Niedawno odbywał podróż po Archipelagu Indyjskim. Gromada marynarzy, do której należał, wylądowała na Borneo i wybrała się na wycieczkę w głąb wyspy. Przy pomocy jednego z towarzyszy udało mu się schwytać orangutana. Towarzysz ten umarł i zwierzę stało się wyłączną jego własnością. Po wielkich przykrościach, spowodowanych podczas podróży powrotnej nieuskromioną dzikością małpy, powiodło mu się w końcu umieścić ją w swym mieszkaniu w Paryżu. By uniknąć nieznośnej ciekawości sąsiadów, trzymał zwierzę w zamknięciu, co miało trwać aż do wygojenia mu się rany w nodze skaleczonej drzazgą na pokładzie okrętu. Ostatecznie zamierzał je sprzedać.

Powróciwszy z jakiejś koleżeńskiej hulanki do domu nocą, a raczej wczesnym rankiem tego dnia, kiedy nastąpiło zabójstwo, zastał małpę w swej sypialni, do której włamała się z przyległej komórki, gdzie – jak mu się dotychczas zdawało – przebywała w bezpiecznym zamknięciu. Z brzytwą w ręce i cała umazana mydłem siedziała przed lustrem i próbowała się golić, w czym zapewne podpatrzyła poprzednio swego pana przez dziurkę od klucza. Struchlały na widok tego niebezpiecznego

narzędzia w rękach tak dzikiego zwierzęcia, które znakomicie umiało się nim posługiwać, marynarz nie wiedział zrazu, co począć. Przyzwyczajony jednakowoż do poskramiania nawet najwścieklejszych wybuchów małpy za pomocą bata, zamierzał posłużyć się nim i tym także razem. Na widok bata orangutan wybiegł przez otwarte drzwi pokoju, stoczył się po schodach i wyskoczył na ulicę przez okno, które na nieszczęście stało otworem.

Zrozpaczony Francuz puścił się w pogoń; małpa, nie wypuszczając brzytwy z ręki, zatrzymywała się co chwila, by spojrzeć poza siebie, i stroiła miny do swego prześladowcy; kiedy zaś już ją dopędzał, uciekała dalej. Pościg ten trwał dość długo. Na ulicach panowała głęboka cisza, gdyż była zaledwie trzecia rano. W wąskiej uliczce, co przebiega tuż obok rue Morgue, zauważyła uciekająca małpa światło jarzące się z otwartego okna pokoju, który Madame L'Esplanaye zajmowała na czwartym piętrze swego domu. Podbiegłszy do muru, dostrzegła linę gromochronu, wspięła się na nią z niepojętą zręcznością, uchwyciła się okiennicy uchylonej aż do samego muru i przy jej pomocy wskoczyła na wezglowie łóżka. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Orangutan, wdzierając się do pokoju, kopnięciem nogi znów otworzył na oścież okiennice.

Tymczasem marynarz zarazem cieszył się i trwożył. Miał bowiem niepłonną nadzieję, iż oto uda się mu odzyskać zwierzę, które wpadło w pułapkę i mogło wydostać się z niej tylko po linie, gdzie było nietrudno przeszkodzić jego ucieczce. Równocześnie ogarniał marynarza niepokój, gdy nasuwało mu się pytanie, co małpa może splatać w tym domu. Myśl ta kazała mu nie ustawać w pościgu. Wspiąć się na linę gromochronu nie jest zbyt trudno, zwłaszcza dla marynarza. Kiedy jednak znalazł się na wysokości okna, które znajdowało się na lewo od niego, musiał się zatrzymać; mógł uczynić zaledwie tyle, by wyprostować się i zajrzeć do wnętrza pokoju. Zajrzawszy jednak, omal nie postradał równowagi z przerażenia. Było to wówczas, kiedy wśród ciszy nocnej rozległy się straszliwe krzyki, budząc ze snu struchlałych mieszkańców rue Morgue. Madame L'Esplanaye i jej córka, obie ubrane do snu, były – jak się zdaje – zajęte porządkowaniem jakichś papierów we wspomnianej już żelaznej

szkatułce wyciągniętej na środek pokoju. Była otwarta, a jej zawartość leżała obok na posadzce. Ofiary siedziały zapewne odwrócone od okna, zaś z czasu, jaki upłynął między wtargnięciem zwierzęcia a krzykami, wynika, że nie dostrzegły go od razu. Stuknięcie okiennicy przypisywały zapewne wiatrowi.

Kiedy marynarz zajrzał do środka, potworne zwierzę ujęło Madame L'Esplanade za włosy (które były rozpuszczone, gdyż właśnie się czesała) i jęło wymachiwać brzytwą dokoła jej twarzy, naśladując ruchy golarza. Córka leżała nieruchomo na posadzce; postradała przytomność. Pod wpływem krzyków i szamotania się staruszki (której mała wyrwała przy tym włosy) pokojowe – jak się zdaje – zamiary orangutana zamieniły się we wściekłość. Stanowczym ruchem potężnego ramienia niemal odciął jej głowę od tułowia. Na widok krwi gniew jego rozplomieniał się do szału. Zgrzytając zębami i sypiąc skrami z oczu, rzucił się na ciało dziewczyny, wpił straszliwe szpony w jej gardło i dzikie spojrzenie zwróciło się w tej chwili ku wezgiłowi łóżka, znad którego wyjrzała właśnie twarz jego pana, zakrzepła z przerażenia. Wściekłość potwora, który bez wątpienia nie zapomniał jeszcze okrutnego bata, przedzierzgnęła się natychmiast w trwogę. Widząc, iż zasłużył na karę, i jak gdyby pragnąc ukryć swe krwawe czyny, miotał się w przystępie nerwowego podniecenia po pokoju, przewracał i druzgotał co krok meble i wyrzucał materace z łóżka. W końcu porwał najpierw trupa dziewczyny i wtłoczył w komin, gdzie go znaleziono, następnie zaś zwłoki staruszki, które głową na dół niezwłocznie wyrzucił przez okno.



ZGRZYTAJĄC ZĘBAMI I SYPIĄC ISKRAMI Z OCZU, RZUCIŁ SIĘ  
NA CIAŁO DZIEWCZYNY



Gdy małpa z okaleczonym ciałem podbiegła do okna, struchlały marynarz przyłgął znów do liny i ślizgając się raczej niż czepiając, opuścił się na ziemię – po czym natychmiast pobiegł do domu i wzdrygając się na myśl o następstwach tej rzezi, wyrzekł się, strwożony, dalszych poszukiwań orangutana. Słowa zasłyszane na schodach były to okrzyki, którymi Francuz wyrażał swą grozę i przerażenie i na które odpowiadały mu szatańskie skowyty potwora.

Niewiele pozostaje mi do nadmienienia. Orangutan uciekł zapewne z pokoju po linie, kiedy przystępowano do wyłamania drzwi. Wyskakując z okna, zatrzasnął je snadź za sobą. Ostatecznie zdołał go pojmać sam właściciel, który sprzedał go drogo do Jardin des Plantes. Le Bon został wypuszczony natychmiast z więzienia, gdyśmy w biurze prefekta policji opowiedzieli, co zaszło, a Dupin oświetlił wypadki po swojemu. Prefekt, acz nader życzliwie usposobiony do mojego przyjaciela, nie mógł mimo to całkiem ukryć niezadowolenia z takiego obrotu sprawy i pozwolił sobie na jedną czy dwie złośliwostki o osobach, co wtrącają się do nie swoich rzeczy.

– Niechaj sobie gada – rzekł Dupin, który nie uważał za stosowne mu odpowiedzieć. – Niechaj się wyskarży! To ulży jego sumieniu. Jestem zadowolony, iż zwyciężyłem go w jego własnej dziedzinie. Nie pojmuję tylko, dlaczego tak bardzo wydziwia, iż nie powiodło się mu rozwiązać tej zagadki, gdyż mówiąc prawdę – nasz przyjaciel prefekt zbyt jest szczywany, aby mógł być głęboki. Jego znajomość rzeczy nie ma kręgosłupa. Jest tylko głową, a nie ciałem, jak wizerunki bogini Laverny – lub co najwyżej głową i ramionami na podobieństwo dorsza. Lecz mimo wszystko to człowiek wcale przyzwoity. Lubię go za przedziwny w jego naturze rys cantu, któremu zawdzięcza wygórowane mniemanie o swych zdolnościach. Mam mianowicie na myśli jego właściwość *de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas*<sup>6</sup>.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> Et id genus omne (łac.) – i to jest cały rodzaj (przyp. red.).

<sup>2</sup> Perdidit antiquum... (łac.) – Pierwsza litera straciła dawne brzmienie (przyp. red.).

<sup>3</sup> Robe de chambre... (fr.) – szlafroka, aby lepiej słuchać muzyki (przyp. red.).

<sup>4</sup> Loge du concierge (fr.) – stróżówka, portiernia (przyp. red.).

<sup>5</sup> Je les ménageais (fr.) – Oszczędzałem je (przyp. red.).

<sup>6</sup> Rousseau: „Nowa Heloiza” (przyp. aut.).

De nier ce qui... (fr.) – Przeczenie temu, co jest, równa się tłumaczeniu tego, czego nie ma (przyp. red.).

# Tajemnica Marii Rogêt<sup>1</sup>

*Es gibt eine Reihe idealistischer Begebenheiten, die der Wirklichkeit parallel läuft. Selten fallen sie zusammen. Menschen und Zufälle modifizieren gewöhnlich die idealistische Begebenheit, so dass sie unvollkommen erscheint, und ihre Folgen gleichfalls unvollkommen sind. So bei der Reformation; statt des Protestantismus kam das Lutherthum hervor.*

Istnieje szereg zjawisk natury idealistycznej, które przebiegają równoległe do rzeczywistości. Rzadko się z nią zbiegają. Ludzie i przypadki wywierają zwykle swój wpływ na tego rodzaju zjawisko, tak że występuje ono w formie niezupełnie prawidłowej; tak że jego skutki również są nieprawidłowe. Podobnie było z Reformacją: zamiast protestantyzmu nastąpił luteranizm.

Novalis: *Moralische Ansichten*

Niewiele jest osób, nawet wśród najspokojniejszych myślicieli, które by w pewnych razach nie ulegały przypiętom nieuchwytej, lecz niemniej wstrząsającej do rdzenia, połowicznej wiary w rzeczy nadprzyrodzone, gdy jakiś zbieg okoliczności przybierze tak osobliwy na pozór charakter, że intelekt nie może pogodzić się z wnioskiem, jakoby to był tylko zbieg okoliczności. Odczuwania tego rodzaju – gdyż połowiczne wierzenia, o których mowa, nie miewają nigdy pełnej mocy myśli – odczuwania takie rzadko kiedy dają się całkowicie stłumić, i to tylko przy pomocy teorii przypadkowości, czyli – jak brzmi nazwa techniczna – rachunku prawdopodobieństwa. Rachunek ten jest w swej istocie wyłącznie matematyczny; i oto mamy do czynienia z taką osobliwością, iż surowa ścisłość wiedzy znajduje zastosowanie do świata cieniów i do duchowości zjawisk, najbardziej nieuchwytnych w dziedzinie spekulacji.

Nadzwyczajne zdarzenia, które na życzenie podaję obecnie do wiadomości publicznej, tworzą – jak to się okaże z kolejności czasu – pierwsze odgałęzienie szeregu zaledwie przystępnych pojmowaniu ludzkiemu zbiegów okoliczności, którego następczą, czyli ostateczną część znajdują czytelnicy w opowieści o zabójstwie Marii Cecylii Rogers w Nowym Jorku.

Gdym przed jakimś rokiem w pracy zatytułowanej *Zabójstwo przy rue Morgue* przystępował do skreślenia kilku nader znamiennych rysów umysłowości mojego przyjaciela, Chevaliera C. Augusta Dupina, ani nie przechodziło mi przez myśl, że mogę jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Odmalowanie tej umysłowości było jedynym mym celem, a cel ten został zupełnie osiągnięty w toku szczególniejszych okoliczności rozwidniających właściwości psychiczne Dupina. Mógłbym być przytoczyć jeszcze inne przykłady, nie byłbym jednak wykazał niczego więcej. Atoli ostatnie wypadki oraz ich osłupiający przebieg rozbudziły nagle we mnie wspomnienia dalszych zdarzeń, które wniosą do mej opowieści jakby nastrój wymuszonego wyznania. Dowiedziawszy się jednak tego, co

niedawno słyshałem, byłbym zaprawdę postąpił dziwnie, gdybym dłużej milczał o tym, co widziałem i słyshałem tak dawno już temu.

Po rozwikłaniu tragedii, co osnuwała śmierć Madame L'Esplanaye i jej córki, Chevalier przestał nagle zajmować się tą sprawą i pogрузił się znowu w swym dawnym nawyku posępnego marzycielstwa. Mając zawsze skłonność do abstrakcyjności, przystosowałem się z łatwością do jego usposobienia. Mieszkaliśmy dalej w naszych pokojach na Faubourg Saint-Germain, zdaliśmy przyszłość na cztery wiatry i śniliśmy spokojnie w terażniejszości, omotując marzeniami czczość otaczającego nas świata.

Wszelako w marzeniach tych zdarzały się przerwy. Jak łatwo się domyślić, współudział mego przyjaciela w dramacie przy rue Morgue nie pozostał bez wpływu na wyobraźnię policji paryskiej. Nazwisko Dupina nabrało rozgłosu wśród jej agentów. Prostota wnioskowań, za pomocą których zdołał przeniknąć tę tajemnicę, nie była znana prefektowi ani też nikomu innemu prócz mnie samego; nie było zatem nic dziwnego w tym, że sprawę tę rozdepto niemal do rozmiarów cudu, a zdolności analityczne Chevaliera wywołały podziw dla jego intuicji. Właściwa mu szczerść byłaby go skłoniła niewątpliwie do prostowania tych mylnych mniemań o nim, ale niedbałość jego usposobienia nie pozwalała mu nadal zajmować się przedmiotem, który już od dawna przestał go obchodzić. Zdarzyło się zatem, iż sam nie wiedząc kiedy, stał się jakby gwiazdą przewodnią policyjnych oczu i niejednokrotnie zwracano się do niego, by przyjął służbę w prefekturze. Jednym z najbardziej pamiętnych zdarzeń było zabójstwo młodej dziewczyny nazwiskiem Maria Rogêt.

Wypadek ten nastąpił w jakieś dwa lata po okropnościach przy rue Morgue. Maria, której imię chrzestne i nazwisko rodowe przypomni niewątpliwie nieszczęsną „robotnicę z fabryki cygar”<sup>2</sup>, była jedyną córką wdowy Estelli Rogêt. Ojciec odumarł ją w dzieciństwie. Odtąd matka i córka mieszkały razem przy rue Pavée Saint-André<sup>3</sup>, skąd dziewczyna wyprowadziła się dopiero na osiemnaście miesięcy przed zabójstwem, które stanowi przedmiot niniejszego opowiadania. Matka przy pomocy Marii utrzymywała pensjonat. Trwało to aż do czasu, kiedy dziewczyna ukończyła dwudziesty pierwszy rok życia i kiedy wielka jej uroda

zwróciła uwagę pewnego właściciela perfumerii. Miał on sklep w suterrenach Palais-Royal, a klientela jego składała się przeważnie z zuchwałych rzezimieszków niepokojących sąsiednie dzielnice miasta. Monsieur Le Blanc<sup>4</sup> zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mogły wyniknąć dla niego z obecności pięknej Marii w sklepie. Nie skąpił obietnic, które bardzo podobały się dziewczynie, natomiast u matki spotkały się z pewnym niedowierzaniem.

Zabiegi sklepikarza odniosły w końcu skutek i jego firma nabrała wkrótce rozgłosu dzięki powabom uroczej gryzетки. Była u niego zajęta przez jakiś rok, po czym znikła nagle, co wywołało wielkie zaniepokojenie wśród jej wielbicieli. Monsieur Le Blanc nie umiał nic powiedzieć o powodach jej nieobecności; a Madame Rogêt szalała z niepokoju i przerażenia. Dzienniki zajęły się natychmiast tą sprawą, zaś policja zamierzała już przystąpić do ścisłego śledztwa, gdy pewnego pięknego poranka, po upływie tygodnia, Maria, najzupełniej zdrowa, acz nieco smutniejsza niż zazwyczaj, zajęła znowu swe miejsce przy kasie sklepowej. Wszystkie wywiady, prócz poufnych, natychmiast ustały. Monsieur Le Blanc tak samo nic nie wiedział, jak poprzednio. Maria i jej matka odpowiadały na wszystkie pytania, iż ubiegłego tygodnia przebywała na wsi u swych krewnych. Sprawa ta przycichła i poszła w zapomnienie, gdyż dziewczyna, chcąc widocznie ujść natrętnej ciekawości, rozstała się wkrótce ze swym pracodawcą i powróciła do mieszkania przy rue Pavée Saint-André.



JEGO FIRMA NABRAŁA WKRÓTCE ROZGŁOSU DZIĘKI  
POWABOM UROCZEJ GRYZETKI

W jakieś pięć miesięcy po tym powrocie pod dach rodzicielski znowu znikła nagle ku zaniepokojeniu swych przyjaciół. Trzy dni upłynęły, a nie było o niej wieści. Czwartego dnia znaleziono jej zwłoki płynące po Sekwanie<sup>5</sup> w pobliżu brzegu położonego naprzeciw dzielnicy, do której należy rue Saint-André, opodal odludnej połąci Barrière du Roule<sup>6</sup>.

Okrucieństwo zabójstwa (gdyż od razu było widoczne, że popełniono zabójstwo), młodość i uroda ofiary, zaś przede wszystkim rozgłos, jaki zdążyła pozyskać, złożyły się na wywołanie silnego wzburzenia umysłów wśród wrażliwej ludności paryskiej. Nie przypominam sobie, by jaki inny podobny wypadek wywołał odruch równie powszechny i równie potężny. Przez kilka tygodni nawet najważniejsze, bieżące sprawy polityczne gubiły się w dyskusjach nad tym wszechpochłaniającym zagadnieniem. Prefekt zdobył się na niezwykłą energię, a władze całej policji paryskiej rozwinęły nadzwyczaj sprężystą działalność.

Po znalezieniu zwłok zrazu nie przypuszczano, by zabójca mógł długo ukrywać się przed dochodzeniami, które niezwłocznie wdrożono. Nie wcześniej niż dopiero po jakimś tygodniu uznano za właściwe ogłosić nagrodę za wykrycie zbrodniarza; wszelako nagroda ta wynosiła zaledwie tysiąc franków. Równocześnie dochodzenia odbywały się energicznie, acz nie zawsze roztropnie, i przesłuchano mnóstwo osób, ale bezskutecznie. Tymczasem ta niemożność znalezienia jakichkolwiek poszlak zmierzających do rozwidnienia tajemnicy podniecała wielce wzburzenie tłumu. Pod koniec dziesiątego dnia uznano za konieczne podwoić wyznaczoną pierwotnie sumę, kiedy zaś po upływie dwu tygodni niczego nie udało się wykryć i kiedy uprzedzenie, które istnieje zawsze w Paryżu względem policji, znalazło upust w kilku poważniejszych zajściach ulicznych, prefekt z własnego popędu postanowił ofiarować sumę dwudziestu tysięcy franków za „wskazanie zbrodniarza” lub, gdyby się okazało, że było ich więcej, za „wskazanie jednego ze zbrodniarzy”. W ogłoszeniu urzędowym zawiadamiającym o wyznaczeniu tej nagrody przyrzeczono ponadto zupełną bezkarność tym uczestnikom zbrodni, którzy by zechcieli wydać swych towarzyszy. Obok tych ogłoszeń porozlepiano wszędzie prywatne plakaty komitetu obywatelskiego, który



do sumy wyznaczonej przez prefekturę dodawał od siebie dziesięć tysięcy franków. W całości wynosiła zatem nagroda aż trzydzieści tysięcy franków. Co było sumą wprost niesłychaną, jeżeli się zważy, iż chodziło o dziewczynę z ludu, i jeżeli się uwzględni, że zabójstwa tego rodzaju nader często zdarzają się w wielkich miastach.

Nikt już nie wątpił, iż tajemnica tej zbrodni niezwłocznie wyjdzie na jaw. Jakoż uwięziono jedną czy dwie osoby, których zeznania miały rzekomo rozwidnić tę ciemną sprawę, lecz okazało się, że podejrzenia o współudział były niesłuszne, i natychmiast zarządzono uwolnienie. Mogłoby się wydawać rzeczą dziwną, iż trzy tygodnie upłynęły już od znalezienia zwłok, nie rzucając żadnego światła na to zagadnienie, a jednak nawet najpobieżniejsza pogłoska o wypadku, który tak bardzo roznamiętniał umysły publiczności, nie dotarła do uszu Dupina i moich. Zajęci badaniami, które pochłaniały nas całkowicie, niemal od miesiąca nie wychodziliśmy z domu i nie przyjmowaliśmy gości, a w dziennikach przeglądaliśmy zaledwie naczelne artykuły polityczne. Pierwszą wiadomość o tej zbrodni przyniósł nam prefekt G. we własnej osobie. Zawitał do nas zaraz po południu trzynastego lipca 18... roku i pozostał do późnej nocy. Był do żywego dotknięty niepowodzeniem wszystkich swych wysiłków zmierzających do wytropienia zabójców. Jego reputacja – jak utrzymywał w tonie iście paryskim – była narażona. Nawet jego honor był zagrożony. Cała publiczność miała zwrócone oczy na niego i zaiste nie było ofiary, na którą by się nie zdobył dla przeniknięcia tej tajemnicy. Swe nieco zabawne przemówienie zakończył komplementem na cześć tego, co podobało się mu nazwać taktem Dupina, i bez ogródek uczynił mu bezsprzecznie ponętą propozycję, o której szczegółowiej mówić mi nie wypada, tym bardziej że nie należy ona właściwie do zakresu mego opowiadania.

Za komplement wywzajemnił się mój przyjaciel nie mniejszą uprzejmością, wszelako propozycję przyjął bez wahania, aczkolwiek jej korzyści były tylko przejściowe. Doszedłszy do porozumienia, prefekt jął od razu roztaczać swe poglądy, przeplatając je rozwlekłymi komentarzami do materiału śledczego, którego jednakowoż jeszcze nam

nie dostarczył. Mówił długo i bez wątpienia uczenie, pozwoliłem sobie atoli wtrącić uwagę o senności, jaka zwykła towarzyszyć spóźnionej porze. Dupin, nie ruszając się ze swego fotela, zdał się uosobieniem skupionej uwagi. Nie zdejmował okularów, odkąd zaczęła się rozmowa. Ukradkowe spojrzenia, które rzucałem od czasu do czasu za zielone szkła, przekonały mnie w zupełności, iż spał sobie głęboko i najspokojniej przez siedem czy osiem godzin, które wlokły się jak po smole, zanim prefekt uznał za właściwe nas pożegnać.

Nazajutrz rano wydostałem w prefekturze cały materiał śledczy, zaś w redakcjach dzienników wszystkie numery zawierające ważniejsze wiadomości o tej przykrej sprawie. Po odrzuceniu naleciałości, na pewno niewiarygodnych, ogrom tych informacji dał się streścić, jak następuje:

Maria Rogêt wyszła z mieszkania swej matki przy rue Pavée Saint-André około dziewiątej rano w niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca 18... roku. Wychodząc powiedziała Monsieur Jacques Saint-Eustache<sup>7</sup>, i tylko jemu jednemu, że wybiera się na cały dzień do ciotki mieszkającej przy rue des Drômes. Rue des Drômes jest krótkim i wąskim, lecz ludnym zaułkiem, przebiegającym w pobliżu pobraża rzeki i oddalonym, w możliwie najkrótszej linii, o jakie dwie mile od pensjonatu Madame Rogêt. Saint-Eustache był po słowie z Marią, mieszkał i jadał w pensjonacie. Umówili się, że przyjdzie po swą narzeczoną o zmierzchu i odprowadzi ją do domu. Wszelako po południu jęło lać jak z cebra; przypuszczając zatem, iż pozostanie na noc u swej ciotki (jak to nieraz czyniła przedtem w podobnych okolicznościach), nie uważał za potrzebne dotrzymać obietnicy. Gdy noc zapadła, Madame Rogêt (siedemdziesięcioletnia zniedołężniała staruszka) wyraziła obawę, iż „już Marii więcej nie zobaczy”, ale na te słowa nikt podówczas nie zwrócił uwagi.

W poniedziałek przekonano się, iż dziewczyny przy rue des Drômes nie było, i dopiero kiedy cały dzień minął, a wieści o niej nie nadchodziły, zarządzono spóźnione poszukiwania w kilku punktach miasta i okolicy. Jednakże na czwarty dzień po jej zniknięciu udało się zasięgnąć pewniejszych wiadomości. Dnia tego (we środę, dwudziestego piątego

czerwca) niejaki Monsieur Beauvais<sup>8</sup>, który wraz ze swym przyjacielem poszukiwał Marii w pobliżu Barrière du Roule po drugiej stronie Sekwany, naprzeciw rue Pavée Saint-André, dowiedział się, iż jakiś rybak tylko co wyłowił trupa, którego ponosił prąd rzeki. Ujrzawszy zwłoki, Beauvais po niejakiemu namyśle rozpoznał w nich pannę z perfumerii. Jego przyjaciel doszedł do tego rozpoznania rychlej.

Twarz była umazana czarną krwią, co sączyła się po części z ust. Nie zauważono piany, którą widuje się u topielców. Tkanka komórkowa nie uległa odbarwieniu. Dokoła gardzieli widniały sińce i odciski palców. Ręce były sztywne i złożone na piersiach. Prawa dłoń była zaciśnięta, lewa częściowo otwarta. Powyżej przegubu lewej ręki zaznaczały się dwa koliste otarcia, pochodzące widocznie od powrozów lub jednego powrozu okręconego kilka razy. Część prawej pięści wykazywała również mocne uszkodzenie naskórka, podobnie jak całe plecy, przede wszystkim zaś łopatki. Wyciągając trupa na brzeg, rybak obwiązał go powrozem, ale owe uszkodzenia nie pochodziły od tego powroza. Kark był silnie obrzękły. Skaleczeń lub sińców spowodowanych uderzeniami nie dostrzeżono. Natomiast znaleziono kawałek sznurka, tak mocno okręconego dokoła szyi, iż na razie nie było go widać. Wrzynał się on głęboko w ciało i był zawiązany na węzeł poniżej lewego ucha. Wystarczyło to jedno, by spowodować śmierć. Orzeczenie lekarskie stwierdziło nienaganne prowadzenie się zmarłej dziewczyny. Miano dopuścić się na niej zwierzęcego gwałtu. Zwłoki, gdy je znaleziono, były w takim stanie, iż znajomi poznali ją z łatwością.

Odzież była poszarpana i w zupełnym nieładzie. Z odzienia wierzchniego wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, ale go nie oderwano. Był on okręcony trzy razy dokoła kibici i zadzierzgnięty na krzyżu jakby w pętlę. Bezpośrednio pod suknią zmarła miała na sobie spódniczkę z cienkiego muślinu. Wydarto z niej również, lecz już całkowicie, strzęp na osiemnaście cali szeroki; wydarcia dokonano bardzo równo i nadzwyczaj starannie. Strzęp ten wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł. Ów strzęp muślinu i kawałek sznurka kryły się pod wstążką, na której zwisał kapelusz. Końce

wstążki były zawiązane na węzeł, jakim nie posługują się kobiety; znać po nim było rękę marynarza.

Po rozpoznaniu zwłok nie odesłano ich do kostnicy (gdyż ta formalność była zbyteczna), lecz pogrzebano pośpiesznie opodal wybrzeża, gdzie je znaleziono. Dzięki zabiegom Beauvais'go, dokładano w miarę możliwości starań, by sprawa nie nabrała rozgłosu, i dopiero po kilku dniach powstało zaniepokojenie wśród publiczności. W końcu zajął się nią pewien tygodnik<sup>9</sup>. Dokonano ekshumacji zwłok i zarządzono ponowne dochodzenia, nie osiągnięto jednak żadnych innych wyników prócz tych, które były już znane. Uznano jednak za potrzebne pokazać odzież matce i znajomym zmarłej i okazało się, że była ta sama, w której dziewczyna wyszła z domu.

Tymczasem rozdrażnienie wzmagало się z godziny na godzinę. Kilka osób uwięziono i wypuszczono znów na wolność. Zwłaszcza Saint Eustache wydawał się mocno podejrzany; zrazu nie umiał zdać szczegółowo sprawy z tego, co porabiał tej niedzieli, kiedy Maria wyszła z domu. Wszelako później przedłożył prefektowi G. najszczegółowszy i poparty dowodami affidavit ze wszystkich godzin owego dnia. W miarę jak czas mijał, a śledztwo nic nie wykrywało, jęło krążyć tysiące najsprzecznieszych pogłosek, a dziennikarze wysilali się na sugestie. Śród nich jedna zwróciła powszechną uwagę; ktoś utrzymywał, iż Maria Rogêt żyje, a z Sekwany wyłowiono zwłoki jakiejś innej nieszczęśliwej. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć kilka ustępów nadmieniających o tym przypuszczeniu. Przełożono je dosłownie z dziennika „L'Etoile”<sup>10</sup>, redagowanego na ogół nader umiejętnie.

Mademoiselle Rogêt wyszła z mieszkania swej matki w niedzielę rano, dwudziestego drugiego czerwca 18... roku. Jak się wyraziła, miała zamiar odwiedzić swą ciotkę lub innych krewnych mieszkających przy rue des Drômes. Od tej chwili podobno nikt jej nie widział. Wszelki ślad po niej zaginął. (...) Nikt się nie zgłosił, kto by poświadczył, iż zdarzyło się mu widzieć ją tego dnia, od kiedy przestąpiła próg mieszkania swej rodzicielki. (...) Nie mamy wprawdzie dowodu, że w niedzielę dnia

dwudziestego drugiego czerwca po godzinie dziewiątej rano Maria Rogêt znajdowała się wśród żywych, lecz wiemy na pewno, że do tej godziny jeszcze żyła. We środę około południa dostrzeżono ciało kobiece unoszone przez fale koło wybrzeża Barrière du Roule. Otóż gdybyśmy nawet przypuścili, że Marię Rogêt wrzucono do rzeki w trzy godziny po wyjściu jej z domu, to od tej chwili upłynęłoby zaledwie trzy dni – ani godziny więcej! Atoli byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo – jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa – mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Kto obarcza swe sumienie taką potworną zbrodnią, ten woli mroki nocne niż światło dzienne. (...) Z tego widzimy, że jeżeli zwłoki znalezione w rzece były istotnie ciałem Marii Rogêt, to przebywały w wodzie półtrzecia dnia lub co najwyżej trzy dni. Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu. Zapytujemy tedy, co w tym wypadku mogło wywołać odstępstwo od naturalnego porządku rzeczy? (...) Gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców. Jest także rzeczą nader wątpliwą, żeby trup mógł tak rychło wypłynąć na powierzchnię, nawet jeżeli się przypuści, iż wrzucono go do wody w dwa dni po śmierci. Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne, żeby złoczyńcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody, nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania.

Autor artykułu usiłuje dowieść dalej, iż zwłoki musiały przebywać w wodzie „nie trzy dni, ale co najmniej pięć razy po trzy dni”, ponieważ rozkład ich był posunięty tak daleko, iż Beauvais z niemałą trudnością zdołał je rozpoznać. Szczegół ostatni był jednakże najzupełniej niezgodny z prawdą. Przytaczam dalszy ciąg wywodów:

Na czym tedy opiera Monsieur Beauvais swe oświadczenie, iż owe zwłoki są niewątpliwie trupem Marii Rogêt? Odwinął rękaw u sukni i znalazł – jak utrzymuje – znamiona, które miały dowieść mu identyczności. Publiczność przypuszczała powszechnie, iż owe znamiona stanowiły jakieś blizny. Przesunął ręką po ramieniu i znalazł na nim włosy – coś tak, naszym zdaniem, nieokreślonego, jak tylko można sobie wyobrazić – coś równie mało znaczącego, jak znalezienie rękawa u sukni. Monsieur Beauvais nie powrócił na noc do domu, lecz o godzinie siódmej we środę wieczorem posłał do Madame Rogêt zawiadomienie, iż śledztwo dotyczące jej córki jest jeszcze w toku. Jeżeli nawet przyjmiemy, że Madame Rogêt, przyciśniona wiekiem i bólem, nie mogła udać się na miejsce wypadku (a dalej w swych przypuszczeniach pójść nie możemy!), to na pewno byłby się znalazł ktoś, kto uważałby, iż warto pójść tam i być obecnym przy śledztwie, gdyby nasuwała się myśl, że owe zwłoki mogą być ciałem Marii. Ale nikt nie przyszedł. W mieszkaniu przy rue Pavée Saint-André ani nie mówiono o tej sprawie, ani nawet nie słyszano o pogłoskach, które krążyły wśród mieszkańców tego samego domu. Monsieur Saint-Eustache, wielbiciel i narzeczony Marii, który mieszkał w pensjonacie jej matki, zeznaje, iż o znalezieniu zwłok swej narzeczonej dowiedział się dopiero nazajutrz rano, kiedy Monsieur Beauvais wpadł do jego pokoju i opowiedział mu o tym zdarzeniu. Zastanawia nas niepomął, iż tak ważna wiadomość spotkała się z takim chłodnym przyjęciem.

Dziennik usiłuje wywołać w ten sposób wrażenie, jakoby rodzina i znajomi Marii zachowywali się apatycznie, co oczywiście nie godziłoby się z przypuszczeniem, jakoby wierzyli, iż zwłoki te są istotnie zwłokami Marii. Wygląda to, jakby chciano wmówić, iż Maria w porozumieniu ze swymi najbliższymi znikła z miasta dla powodów uwłaczających jej czci dziewiczej i że ci najbliżsi, kiedy w Sekwanie znaleziono zwłoki nieco podobne do niej, korzystając z tej okoliczności, starali się rozpowszechnić wśród publiczności przeświadczenie o jej zgonie. Wszelako

„L'Etoile” przebrała w pośpiechu miarę. Okazało się niezawodnie, iż rzekoma apatia nie istniała; mianowicie staruszka była zbyt osłabiona i popadła w taki rozstrój, iż nie była zdolna do niczego, zaś Saint-Eustache nie tylko że nie przyjął owej wiadomości obojętnie, lecz wprost szalał z bólu i zachowywał się do tego stopnia niepoczytalnie, że Monsieur Beauvais poprosił jednego ze swych krewnych, z którym żył w przyjaźni, by czuwał nad nim i nie pozwolił mu być obecnym przy sekcji zwłok po ich ekshumacji. Aczkolwiek „L'Etoile” utrzymywała ponadto, jakoby powtórne pochowanie zwłok odbyło się na koszt publiczny, jakoby uczynionej propozycji pogrzebania zmarłej prywatnie rodzina bezwarunkowo przyjąć nie chciała i jakoby nikt z rodziny nie był obecny na obchodzie żałobnym; jakkolwiek – powtarzam – „L'Etoile” podawała te wiadomości jako zupełnie pewne, by w ten sposób wzmocnić jeszcze wrażenie, które zamierzała wywołać, to jednak okazały się one nieprawdziwe. W dalszych numerach tegoż samego dziennika jęto podawać w podejrzenie nawet Beauvais'go. Publicysta pisze:

W sprawie tej zaszła obecnie zmiana. Słyszeliśmy, iż pewnego razu, kiedy u Madame Rogêt znajdowała się Madame B., Monsieur Beauvais, który zabierał się do wyjścia, powiedział jej, że lada chwila nadejdzie żandarm i żeby ona, Madame B., nic żandarmowi nie mówiła, aż on powróci, i pozostawiła wszystko jemu. (...) W obecnym stanie rzeczy Monsieur Beauvais zasklepił – jak się zdaje – całą tę sprawę we własnym mózgu. Niepodobna zrobić kroku bez Monsieur Beauvais'go; gdziekolwiek się obrócić, wszędzie się go spotyka. (...) Nie wiadomo, czemu postanowił, iż nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego, zaś krewnych – jak sami utrzymują – w nader osobliwy sposób odsunął na bok. Podobno czynił wszystkie wysiłki, by rodziny nie dopuszczono do obejrzenia zwłok.

Podejrzenia rzucane na Beauvais'go nabrały barw nieco żywszych skutkiem następującego wypadku: na kilka dni przed zniknięciem dziewczyny zaszedł ktoś do jego biura i nie zastawszy go tam, zauważył w

dziurce od klucza różę, zaś na podręcznej tabliczce wypisane słowo „Maria”.

Powszechnie przeświadczenie, o ile zdołaliśmy wyłowić je z dzienników, zdawało się streszczać w tym, iż Maria padła ofiarą szajki bandytów, którzy przewieźli ją przez rzekę, zbeczcścili i zabili. Wszelako „Le Commercial”<sup>11</sup>, dziennik nader wpływowy, zwalczył ten rozpowszechniony pogląd. Przytoczę jeden czy dwa ustępy z jego artykułów:

Jesteśmy przekonani, iż pościg podążał dotychczas mylnym tropem, gdyż zwracał się w stronę Barrière du Roule. Jest rzeczą niemożliwą, by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo; gdyby zaś ktokolwiek był ją zobaczył, to pamiętałby o tym na pewno, gdyż budziła zajęcie wśród wszystkich swych znajomych. Ulice roiły się od ludzi, kiedy wyszła z domu. (...) Niepodobna, żeby idąc w stronę Barrière du Roule lub na rue des Drômes, nie była poznana przez jaki tuzin osób, a jednak nikt się nie zgłosił, kto by ją widział poza obrębem rodzicielskiego mieszkania, i prócz jedyne go świadectwa, które stwierdza, iż mówiła o swym zamiarze, nie ma nawet pewności, czy w ogóle wyszła z domu. Kawałek jej sukni oddarto, okręcono dokoła jej kibici i zawiązano w ten sposób, iż trupa było można nieść jak pakunek. Gdyby zabójstwa dokonano koło Barrière du Roule, to takie przygotowania byłyby niepotrzebne. Ta okoliczność, iż zwłoki znaleziono koło Barrière, nie wyjaśnia bynajmniej, gdzie je wrzucono do wody. (...) Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny, długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła szyi i zawiązano na karku prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa.

Wszelako na dzień czy dwa przed pojawieniem się u nas prefekta policji udało się zasięgnąć nader ważnej wiadomości, która zdawała się obalać najważniejszą część argumentacji „Le Commercial”. Dwaj malcy, synowie niejakiej Madame Deluc, wałęsając się po zaroślach w pobliżu Barrière du Roule, zabłąkali się przypadkiem w gęstwinę, gdzie leżały



trzy czy cztery duże kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym leżała biała spódniczka; na innym szarfa jedwabna. Znaleziono tam również parasolkę, rękawiczki i chustkę do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Rogêt”. Na pobliskich krzakach cierniowych odkryto strzępy ubrania. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźnie ślady walki. Między gęstwina a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy.

Tygodnik „Le Soleil”<sup>12</sup> dodał do opisu tego odkrycia następujący komentarz, który był jakby echem poglądów całej prasy paryskiej:

Rzeczy te leżały tam widocznie co najmniej trzy lub cztery tygodnie; wszystkie zbutwiały od deszczu i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono. (...) Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek; drugi był zakładką, nie rąbkiem. Wyglądały jak oddarte i wisiały na cierniach na jaką stopę od ziemi. (...) Nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni.

Bezpośrednio po tym odkryciu pojawił się nowy świadek. Madame Deluc zeznała, iż jest właścicielką przydrożnej gospody położonej niedaleko brzegu rzeki, naprzeciw Barrière du Roule. Okolica jest odludna, bardzo odludna. W niedzielę zwykły tam bywać wyrzutki miejskie, przepływające się przez rzekę łodziami. Około trzeciej po południu pamiętnej niedzieli przybyła do gospody młoda dziewczyna w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze. Para ta zatrzymała się tam jakiś czas. Odchodząc poszli drogą wiodącą w głąb pobliskich gąszczy. Madame Deluc zwróciła uwagę na suknię dziewczyny, gdyż była podobna do stroju jej zmarłej kuzynki. Zwłaszcza zapamiętała dokładnie szarfę.

Wnet po odejściu tej pary pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, i przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem.

Wnet po nastaniu ciemności tego samego wieczora Madame Deluc oraz jej najstarszy syn usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody. Krzyki te były przeraźliwe, lecz trwały krótko. Madame Deluc rozpoznała nie tylko szarfę znaną w gęstwinie, lecz także suknię, w której wyłowiono zwłoki. Konduktor omnibusu, Valence<sup>13</sup>, zeznał również, iż widział owej niedzieli Marię Rogêt, jak w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze przepływała Sekwanę promem. Ów Valence znał Marię i nie mógł pomylić się co do jej osoby. Przedmioty znalezione w gęstwinie rozpoznała z łatwością rodzina Marii.

To mnóstwo zeznań i wiadomości, zebranych przeze mnie z dzienników na życzenie Dupina, uzupełniało się jeszcze jednym szczegółem – wszelako był to szczegół ogromnie ważny. Oto wnet po odkryciu odzieży w sposób poprzednio opisany znaleziono w pobliżu domniemanego miejsca zbrodni nieżywe lub raczej bliskie zgonu ciało Saint-Eustache'a, narzeczonego Marii. Obok niego leżała próżna flaszczyka z napisem „laudanum”. Z oddechu można było wnioskować, że zażył truciznę. Umarł w milczeniu. Miał przy sobie list, w którym wyznawał pokrótce swą miłość do Marii i zamiary samobójcze.

– Nie potrzebuję ci mówić – rzekł Dupin, skończywszy przegląd mych notatek – iż jest to wypadek o wiele bardziej zawiły niż zabójstwo przy rue Morgue, od którego różni się pod jednym nader ważnym względem. Chodzi tu mianowicie o zabójstwo okrutne, lecz zwyczajne. Nie ma w nim nic, co by było *outré*<sup>14</sup>. Jak widzisz, z tego względu tajemnica ta wydawała się rzeczą łatwą, tymczasem właśnie z tego względu powinna była uchodzić za niezmiernie trudną do rozwiązania. Dlatego to na razie nie uważano za potrzebne wyznaczyć nagrody. Podwładni prefekta G. zdołali zrozumieć od razu, w jaki sposób i dlaczego mógł się takiego okrucieństwa ktoś dopuścić. Zwidywał się im w wyobraźni sposób – wiele

sposobów, i motyw – wiele motywów; a ponieważ nie było rzeczą niemożliwą, żeby jeden z tych mnogich sposobów i motywów mógł być właśnie tym jedynym, przeto uważali za rzecz dowiedzioną, że jeden z nich być nim musi. Tymczasem łatwość, z jaką te różne domysły snuto, oraz pozory słuszności, jakie miał każdy z nich, winny były ostrzegać, iż rozwiązanie zagadki będzie raczej trudne niż łatwe. Zauważyłem, iż rozum w poszukiwaniu prawdy winien torować sobie drogę tylko szczytami, co wznoszą się ponad poziom zwyczajności, i że w podobnych wypadkach nie tyle właściwe jest pytanie: co się stało?, ile pytanie: co się stało takiego, czego przedtem nigdy jeszcze nie było? Podczas śledztwa w domu Madame L'Esplanaye<sup>15</sup> agenci prefekta G. byli zakłopotani i zniechęceni niezwykłością wypadku, która dla prawidłowego intelektu była właśnie najniezawodniejszą zapowiedzią powodzenia; natomiast tenże sam intelekt mogłaby przypisać o rozpacz zwyczajność tego wszystkiego, co objawia się w zdarzeniu z dziewczyną z perfumerii i z czego dotychczas nie wynikło nic prócz płonnych tryumfów urzędników prefektury.

Kiedy chodziło o Madame L'Esplanaye i jej córkę, to już od samego początku śledztwa nie ulegało wątpliwości, iż popełniono zabójstwo. Od razu dało się wykluczyć przypuszczenie samobójstwa. W obecnym wypadku możemy być również pewni, iż zmarła nie targnęła się na swe życie. Znaleziono jej zwłoki przy Barrière du Roule w takich okolicznościach, iż nie potrzebujemy łamać sobie głowy nad tym ważnym szczegółem. Wszelako poddawano myśl, że trup ten nie jest zwłokami Marii Rogêt. Za wykrycie jej zabójcy czy zabójców wyznaczono nagrodę i ona to stanowi jedyną podstawę umowy naszej z prefektem. Dobrze znamy obaj tego pana. Nie należy na nim zbyt wiele polegać. Jeżeli zaczniemy nasze śledztwo od znalezionej zwłoki i tropiąc następnie zbrodniarza, odkryjemy, że są to zwłoki innej osoby, a nie Marii, lub jeżeli przyjmujemy, że Maria żyje, i znajdziemy ją istotnie żywą – to w obu wypadkach praca nasza pójdzie na marne, gdyż trzeba pamiętać, z jakim to panem mamy do czynienia. W imię więc własnego dobra, jeśli już nie w

imię sprawiedliwości, jest rzeczą niezbędną, byśmy zaczęli od stwierdzenia, iż owe zwłoki są zwłokami zaginionej Marii Rogêt.

Śród publiczności wywody zamieszczone w „L'Etoile” nie przeszły bez wrażenia. Że redakcja tego dziennika sama jest przeświadczona o ich ważności, widać to z tonu, w jakim rozpoczyna jeden ze swych artykułów omawiających tę sprawę: „Kilka dzienników porannych – brzmi ten początek – wspomina o rozstrzygającym sprawę artykule, który pojawił się w naszym numerze poniedziałkowym”. Dla mnie artykuł ten rozstrzyga zaledwie o pochoptności do oskarżeń. Nie zapominajmy, iż na ogół dążeniem dzienników naszych jest raczej pościg za sensacją, łechtanie ciekawości niż sprzyjanie prawdzie. To ostatnie tylko wówczas ma się na uwadze, gdy daje się pogodzić z pierwszym. Pismo, które pozostaje w zgodzie z poglądem utartym (choćby najlepiej uzasadnionym), nie znajduje uznania śród tłumu. W pojmowaniu gawiedzi głębokość polega tylko na jaskrawym przeciwieństwie do powszechnego zdania. W dziedzinie rozumowania, podobnie jak w literaturze, najbezpośredniejsze i najpowszechniejsze powodzenie miewa epigram. Tymczasem zarówno w jednej, jak w drugiej zajmuje on miejsce najpośledniejsze.

Chciałbym przez to powiedzieć, iż pomysł, jakoby Maria Rogêt jeszcze żyła, przemówił do przekonania redakcji „L'Etoile” i spotkał się z przychylnym przyjęciem publiczności raczej dlatego, iż jest mieszaniną epigramu i melodramatu, niż dla swej rzeczywistej słuszności. Przyjrzyjmy się wytycznym rozumowania tego dziennika i miejmy się na baczności przed bezładem, który w nich zasadniczo się przejawia.

Pierwszym zamierzeniem publicysty jest wykazać na podstawie krótkości czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem pływającego trupa, iż nie mogą to być zwłoki Marii. Sprowadzenie tej odległości czasu do możliwie najniklejszych rozmiarów staje się przede wszystkim przedmiotem jego rozumowania. W rączym pościgu za tym przedmiotem zaprzepaszcza się na ślepo w czczych domysłach. „Byłoby niedorzecznością mniemać – powiada – aby zabójstwo, jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa, mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli

wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Zapytujemy od razu i najzupełniej po prostu: dlaczego? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, iż zabójstwa dokonano w pięć minut po wyjściu dziewczyny z domu? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, że zabójstwa dokonano o każdej dowolnej porze dnia? Zdarzały się zabójstwa w różnych porach. Skoro jednak zabójstwo nastąpiło w jakiejś chwili między dziewiątą w niedzielę rano a trzy kwadranse na dwunastą przed północą, to zawsze znalazło się dość czasu, by „wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Ten domysł zmierza zatem prostą drogą do wniosku, że zabójstwa w niedzielę w ogóle nie dokonano; jeżeli zaś zgodzimy się na ten wniosek redakcji „L’Etoile”, to moglibyśmy zgodzić się również na wszystkie inne. Można by sobie wyobrazić, iż ustęp zaczynający się od słów: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo...”, acz ogłoszony drukiem w tej formie, przedstawiał się rzeczywiście w mózgu autora jak następuje: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo – jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa – mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Byłoby niedorzecznością – powtarzamy – mniemać coś podobnego, a równocześnie przypuszczać (jak postanowiliśmy), iż zwłok nie wrzucono wcześniej jak dopiero po północy” – zdanie, na ogół niezbyt logicznie zbudowane, lecz mimo to nie wysrane tak bardzo z palca, jak to, które pojawiło się w druku.

Gdyby mym zamierzeniem – mówił dalej Dupin – było tylko wykazanie nicości tego ustępu w rozumowaniach publicysty z „L’Etoile”, to na pewno pozostawiłbym go w spokoju. Wszelako nie chodzi nam o „L’Etoile”, lecz o prawdę. Zdanie rzeczony ma w swym brzmieniu tylko jedno znaczenie, które ustaliłem dokładnie; jest atoli rzeczą istotną, byśmy pod pokrywką słów poszukali myśli, którą te słowa usiłowały nam podsunąć, acz bez powodzenia. Publicysta pragnął powiedzieć, iż bez względu na to, o jakiej porze dnia lub nocy owej niedzieli zabójstwa tego dokonano, było jednakże niepodobieństwem, żeby zabójcy odważyli się zanieść trupa do rzeki przed północą. I na tym właśnie polega domysł, nad którym ubolewam. Przypuszcza się mianowicie, jakoby zabójstwo popełniono w takim miejscu i w takich okolicznościach, iż trzeba było

zanieść zwłoki do rzeki. Otóż zabójstwo mogło nastąpić albo na brzegu rzeki, lub też wprost na rzece; wrzucenie zatem trupa do wody mogło odbyć się o każdej porze dnia czy nocy, jako przejaw najprostszej i najbezpośredniejszej czynności. Pojmujesz zapewne, iż nie staram się podać niczego, co by było w mym przekonaniu prawdopodobniejsze lub zgodniejsze z moimi poglądami. Dotychczasowe moje zamierzenia nie dotyczą wcale faktów tej sprawy. Pragnę tylko, byś miał się na baczności przed tonem, który sugestywnie rozbrzmiewa z „L’Etoile” i zwrócił uwagę na charakterystyczną *parti pris*<sup>16</sup>, objawiającą się od samego początku.

Określiwszy tedy granice, przystosowane do swych z góry powziętych poglądów; przypuściwszy następnie, iż jeżeli istotnie były to zwłoki Marii, to mogły pozostawać w wodzie tylko bardzo krótko – dziennik pisze dalej:

Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu.

– Zapewnienia te przyjęły w milczeniu wszystkie dzienniki paryskie prócz „Le Moniteur”<sup>17</sup>. Pismo to zwalcza tylko tę część ustępu, która odnosi się do „topielców”, przytaczając pięć czy sześć przykładów dowodzących, iż zwłoki osób, o których wiadano na pewno, że utonęły, wypływały na powierzchnię w krótszym czasie, aniżeli podaje „L’Etoile”. Atoli jest coś krańcowo niefilozoficznego w dążności „Le Moniteur”, który zasadnicze twierdzenia redakcji „L’Etoile” chce zwalczać przykładami poszczególnymi. Gdyby nawet udało się przytoczyć piętnaście przykładów, a nie pięć, zwłok, które wypłynęły na powierzchnię wody pod koniec drugiego czy trzeciego dnia, to te piętnaście przykładów należałoby właściwie uważać tylko za wyjątki z reguły ogłoszonej przez „L’Etoile”, aż do chwili, kiedy samą regułę powiodłoby się obalić. O ile przyjmie się tę regułę (a „Le Moniteur” jej nie przeczy, upierając się tylko przy wyjątkach), to argument redakcji „L’Etoile” nie postrada nic ze swej

mocy, gdyż argument ten ma na celu tylko jedno zagadnienie, mianowicie zagadnienie, czy zwłoki mogą wypłynąć na powierzchnię w czasie nieprzekraczającym trzech dni; zaś możliwość ta wychodzi na korzyść poglądów redakcji „L’Etoile”, ile że przykłady, które przytoczono w tak dziecinny sposób, są dość liczne, by ustalić regułę wręcz przeciwną.

Pojmiesz zapewne od razu, iż wszelka argumentacja tego rodzaju winna się zwracać przeciwko tejże samej regule, zaś w tym celu należy dokonać analizy rozumowej tej reguły. Otóż ciało ludzkie nie jest na ogół ani lżejsze, ani cięższe niż woda w Sekwanie, to znaczy, iż ciężar gatunkowy ciała ludzkiego w normalnych warunkach równa się mniej więcej ciężarowi słodkiej wody przez nie wypartej. Ciała osób otyłych i mięsistych o drobnych kościach, przede wszystkim zaś kobiet, są lżejsze niż ciała osób szczupłych i grubokościstych, osobliwie mężczyzn; zaś ciężar gatunkowy wody rzecznej podlega niejakim wahaniom, o ile daje się w niej odczuwać przyływ od morza. Pomijając jednakże sprawę przyływu, można powiedzieć, iż bardzo niewiele ciał ludzkich idzie na dno, nawet w wodach słodkich, z powodu swych właściwości przyrodzonych. Wszyscy ludzie, którym zdarzy się wpaść do rzeki, mogliby utrzymywać się na powierzchni, gdyby starali się wyrównać ciężar gatunkowy wody z ciężarem gatunkowym własnym – to znaczy, gdyby dokładali starań, żeby, o ile to możliwe, prawie całe ciało było pod wodą. Właściwą pozycją dla człowieka nieumiejącego pływać jest prostopadła postawa ludzi stąpających po suchym lądzie, przy czym głowa winna być odrzucona wstecz i tak zanurzona, by tylko usta i nozdrza znajdowały się ponad powierzchnią. Po przystosowaniu się do tych warunków możemy pływać bez trudności i bez wysiłku. Rozumie się samo przez się, iż ciężar ciała i ciężar wypartej wody znajdują się podówczas w stanie doskonałej równowagi i dość jest drobnostki, by przeważało ciało lub woda. Wystarczy na przykład wynurzyć ramię z wody i pozbawić go w ten sposób oparcia, żeby ten dodatkowy ciężar spowodował zanurzenie całej głowy; odwrotnie, pomoc przypadkowo spotkanego najmniejszego kawałka drewna pozwala wynurzyć głowę z wody i rozejrzeć się dokoła. Otóż ludzie nieobeznani z pływaniem, kiedy

pasują się z wodą, wyrzucają zawsze ramiona w górę i równocześnie starają się utrzymać głowę w zwykłej pozycji pionowej. Skutkiem tego ulegają zanurzeniu usta i nozdrza, zaś odruchy, by odetchnąć pod powierzchnią, wprowadzają wodę do płuc. Wiele jej wnika również do żołądka i całe ciało staje się cięższe z powodu różnicy, jaka zachodzi między ciężarem powietrza, które pierwotnie napełniało te narządy, a ciężarem napełniającej je teraz wody. Różnica ta wystarcza w zasadzie, by ciało poszło na dno; wszelako nie jest ona dostateczna, gdy chodzi o osoby z drobnymi kośćmi lub też wyróżniające się nadmierną obfitością pulchnych i tłustych tkanek. Takie osoby pływają nawet po utopieniu.

Trup znajdujący się przypuszczalnie na dnie rzeki pozostaje tam aż do chwili, kiedy dla tych lub owych powodów jego ciężar stanie się mniejszy od ciężaru wypartej przez niego wody. Może to nastąpić skutkiem rozkładu lub innych przyczyn. Rozkład powoduje wywiązanie się gazów, które rozpulchniają tkanki, wypełniają jamy wnętrza i są przyczyną potwornego dla oczu naszych obrzęku. Gdy to rozdęcie poczyni takie postępy, iż objętość zwłok znacznie się powiększy, wszelako bez równoczesnego przyrostu miąższości, czyli wagi, to ich ciężar gatunkowy staje się mniejszy od ciężaru wypartej wody i natychmiast pojawiają się na powierzchni. Atoli w rozkładzie wywołują zmiany nieprzeliczone okoliczności – przyśpiesza się on lub opóźnia pod wpływem przemnogich czynników. Zależy to na przykład od ciepłoty pory roku; od tego, czy woda jest czysta lub też nasycona składnikami mineralnymi; czy jest głęboka lub płytka; czy jest bieżąca lub stojąca; od właściwości przyrodzonych ciała, wreszcie od tego, czy było przed zgonem zdrowe, czy też dotknięte jakimś zakażeniem. Z tego widać, iż niepodobna jest dokładnie określić czasu, kiedy zwłoki wypłyną na powierzchnię pod wpływem rozkładu. W pewnych razach może to nastąpić już po godzinie, w innych może nie nastąpić wcale. Istnieją rozczyzny chemiczne, za pomocą których można na zawsze uchronić organizm przed rozkładem; należy do nich dwuchloran rtęci. Wszelako niezależnie od rozkładu może się wytwarzać i wytwarza się nader często gaz w żołądku skutkiem fermentacji kwaśnej składników roślinnych (w innych zaś jamach wskutek innych przyczyn);



jest on wystarczający, by wywołać rozdęcie, które wynosi zwłoki na powierzchnię wody. Następstwa spowodowane wystrzałem działowym są po prostu przejawem wstrząsu. Może on uwolnić zwłoki, które ugrzęzły w pokładzie sypkiego osadu czy namułu, i ułatwić im wydobycie się na powierzchnię, o ile inne czynniki już je do tego przygotowały; albo też rozluźnić spoistość jakiejś przegniłej tkanki i przyczynić się w ten sposób do rozdęcia jam wewnętrznych pod ciśnieniem gazu.

Posiadłszy tedy całkowitą filozofię tego przedmiotu, możemy z łatwością sprawdzić twierdzenia publicystów z „L’Etoile”. „Doświadczenie poucza – powiada jeden z nich – iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu”.

Cały ten ustęp przedstawia się nam obecnie jako gmatwanina bezładu i niekonsekwencji. Doświadczenie wcale nas nie poucza, jakoby „trupy topielców” dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegały do tego stopnia rozkładowi, iżby mogły wypłynąć na powierzchnię. Zarówno nauka, jak doświadczenie wykazują, iż czas, w jakim one pojawiają się na powierzchni, jest i z konieczności musi być nieokreślony. Ponadto jeśli zwłoki wypłyną na wierzch skutkiem wystrzału działowego, to nie „pójdą znów na dno, jeśli pozostawi się je sobie samym”, o ile rozkład nie postąpi tak daleko, iż ujście nagromadzonych gazów jest możliwe. Wszelako pragnąłbym zwrócić twą uwagę na rozróżnienie, jakie uczyniono między „trupami topielców” a „zwłokami osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej”. Aczkolwiek autor uwzględnia tę różnicę, to jednak zalicza jedne i drugie do tej samej kategorii. Wykazałem, w jaki sposób ciało tonącego człowieka staje się gatunkowo cięższe od ciężaru wody; wykazałem również, że nie zagłębiałoby się ono wcale w wodę, gdyby nie szamotania, przy których ramiona wynurzają się z wody, i gdyby nie chwytność oddechu pod jej powierzchnią – skutkiem czego

dostaje się ona do płuc i wypiera stamtąd powietrze. Atoli te szamotania i to chwywanie powietrza nie odbywają się w „zwłokach osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej”. Toteż w takich razach zwłoki w zasadzie nie powinny wcale iść na dno – jest to zjawisko, o którym publicyści z „L’Etoile” widocznie wcale nie wiedzą. Gdy rozkład poczyni bardzo znaczne postępy – gdy powłoka mięsna w znacznej mierze opadnie z kości – wówczas dopiero, ale nie wcześniej, trup niknie nam z oczu pod wodą.

Cóż teraz poczniemy z argumentem, iż zwłoki znalezione nie mogą być trupem Marii Rogêt, ponieważ wypłynęły na wierzch już po trzech dniach? Gdyby ją utopiono, mogłaby, jako kobieta, w ogóle nie pójść na dno lub gdyby poszła na dno, mogłaby wypłynąć znowu na powierzchnię w dwadzieścia cztery godziny lub nawet w krótszym czasie. Wszelako nikt nie przypuszcza, że ją utopiono; skoro zaś wrzucono ją do rzeki już nieżywą, to można było znaleźć ją później na powierzchni w czasie dowolnym.

„Ale – pisze „L’Etoile” – gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Zrazu trudno jest przeniknąć intencję tego rozumowania. Otóż autor jego stara się zapobiec temu, co, jak mu się zdaje, mogłoby być zarzutem przeciw jego teorii – mianowicie, że zwłoki pozostawione przez dwa dni na brzegu mogły ulec szybkiemu rozkładowi – znacznie szybszemu, niż gdyby znajdowały się w wodzie. Przypuszcza, że gdyby to zaszło, to byłyby mogły ukazać się na powierzchni we środę, i sądzi, że tylko pod tym warunkiem mogły istotnie się ukazać. Pośpiesza zatem, by wykazać, że zwłoki te nie przebywały na brzegu, gdyby bowiem tak było, „to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Uśmiechniesz się zapewne z tego wniosku. Nie zdoła ci się pomieścić w głowie, dlaczego samo tylko pozostawienie zwłok na brzegu miałoby przyczynić się do pomnożenia śladów po zabójcach. Mnie się nie mieści także.

„Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne – brzmia dalej słowa owego dziennika – żeby złoczyńcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody, nie obciążwszy go przedtem celem

zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”. Zwróć, proszę cię, uwagę na to zabawne poplątanie myśli. Nikt – nawet „L’Etoile” – nie zaprzecza, iż na zwłokach znalezionych dopuszczono się zbrodni. Oznaki gwałtu zbyt są wyraźne. Zadaniem rozumującego publicysty jest po prostu dowieść, iż zwłoki te nie są zwłokami Marii. Chodzi mu o to, by wykazać, że Maria nie padła ofiarą zabójstwa – nie zaś o to, że padł jego ofiarą ów trup. Tymczasem jego rozumowania dowodzą właśnie tego ostatniego. Oto zwłoki, do których nie przytwierdzono ciężaru. Zabójcy, wrzucając je do rzeki, byliby niezawodnie przytwierdzili ciężar. Z tego wynika, iż nie wrzucili ich zabójcy. Oto wszystko, czego dowiedziono, jeśli w ogóle było czego dowodzić. Zagadnienia identyczności nawet nie poruszono i „L’Etoile” była w wielkim kłopotcie, gdy trzeba było zaprzeczyć temu, co utrzymywało się przed chwilą. „Jesteśmy najzupełniej przekonani – pisze – iż zwłoki znalezione są zwłokami zabitej kobiety”.

I nie jest to odosobniony przykład, nawet w jednej i tej samej części wywodów, że rozumujący publicysta zwraca się bezwiednie w swych rozumowaniach przeciwko sobie samemu. Oczywistym jego zadaniem jest – jak już wspomniałem – zmniejszyć możliwie najbardziej przedział czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem trupa. Atoli przekonaliśmy się, iż obstaje przy tym, jakoby nikt nie widział dziewczyny od chwili, kiedy przekroczyła próg mieszkania. „Nie mamy dowodu – powiada – że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano Maria Rogêt znajdowała się wśród żywych”. Ponieważ jego rozumowanie świadczy wyraźnie o *parti pris*, przeto byłby lepiej zrobił, gdyby ten szczegół pominął milczeniem; gdyby bowiem znalazł się ktoś, kto by zeznał, iż widział Marię w poniedziałek lub we wtorek, to wspomniany przedział mógłby doznać znacznego uszczuplenia i wedle jego własnego wnioskania wielce zmniejszyłoby się prawdopodobieństwo, że owe zwłoki nie są zwłokami gryzетки. Zabawną wszelako jest rzeczą, gdy się widzi, że „L’Etoile” upiera się przy tym szczególnie w niewzruszonym przeświadczeniu, iż wychodzi on na korzyść rozumowania zasadniczego.

Przejrzyj teraz powtórnie tę część wywodów, która odnosi się do rozpoznania zwłok przez Beauvais'go. Co się tyczy owych włosów na ramieniu, to „L'Etoile” objawia najwyraźniej złą wolę. Monsieur Beauvais nie jest idiotą i stwierdzając tożsamość zwłok, nie mógł żadną miarą wnioskować o tym tylko na podstawie włosów na ramieniu. Nie ma ramienia bez włosów. Ogólnikowość wyrażen w „L'Etoile” jest po prostu przekręcaniem słów świadka. Niewątpliwie mówił on o jakiejś szczególniejszej właściwości tych włosów. Musiała to być właściwość barwy, ilości, długości lub rozmieszczenia. „Stopy miała drobne – powiada dziennik – ale stóp takich jest tysiąc. Jej podwiązki nie dowodzą niczego, tak samo jej obuwie, gdyż podwiązek i obuwia sprzedaje się na tysiące. To samo dałoby się powiedzieć o kwiatkach przy jej kapeluszu. Monsieur Beauvais upiera się zawzięcie przy tej okoliczności, iż, jak okazało się, podwiązki były zwięzione skutkiem przesunięcia sprzączki. Nie upoważnia to do żadnych wniosków, gdyż większość kobiet woli zabrać kupione podwiązki do domu i poczynić w nich zmiany odpowiednio do objętości swych nóg, niż przymierzać je w sklepie”.

Zaiste, trudno jest przypuścić, by mógł ktoś w ten sposób rozumować poważnie. Skoro Monsieur Beauvais, poszukując zwłok Marii, zdołał znaleźć trupa przypominającego z ogólnych kształtów i wyglądu zaginioną dziewczynę, to miał wszelkie powody mniemać (nawet nie biorąc pod uwagę odzieży), iż poszukiwania jego nie poszły na marne. Jeżeli prócz ogólnego zarysu kształtów znalazł na ramieniu osobliwsze kosmate znamię, które zdarzyło się mu zauważyć u Marii, kiedy była jeszcze żywa – to mógł słusznie utwierdzić się w swym przeświadczeniu, zaś przyrost jego pewności pozostawał zapewne w prostym stosunku do osobliwości czy niezwykłości owego kosmatego znamienia. Jeżeli Maria miała drobne stopy, zaś stopy trupa były również drobne, to przyrost przeświadczenia, że owe zwłoki są zwłokami Marii, mógł wzmóc się już nie w stosunku arytmetycznym, lecz nawet geometrycznym, czyli spotęgowanym. Dodaj do tego wszystkiego obuwie, najzupełniej nieróżniące się od tego, które widziano na jej stopach w dniu, kiedy wyszła z domu, a przeświadczenie twoje, lubo takie obuwie sprzedaje się

podobno „na tysiące”, stanie u granicy pewności. To, co samo przez się nie stanowiłoby jeszcze oznaki identyczności, nabiera dzięki swemu znaczeniu pomocniczemu mocy dowodu. Uwzględnij na ostatek kwiaty u kapelusza, zgodne z kwiatami, które nosiła zaginiona gryzетка, a dalsze poszukiwania okażą się zbyteczne. Gdyby chodziło tylko o jeden kwiat, to już nie pozostawałoby nic do życzenia – cóż zatem powiedzieć, jeśli ma się ich dwa, trzy lub więcej? Każdy następny jest dowodem zwielokrotnionym – nie dowodem dodanym do dowodu, lecz stokrotnie czy tysiąckrotnie pomnożonym. Na domiar widzimy u zmarłej podwiązki podobne do tych, jakich używała żywa – i zaiste, dalsze poszukiwania wydają się szaleństwem! Aliści okazuje się, że te podwiązki są zacieśnione przez przesunięcie sprzączek właśnie w ten sposób, jak to ze swoimi uczyniła Maria na krótko przed wyjściem z domu. Dalsze wątplenie byłoby matołkowatością lub obłudą. To, co „L’Etoile” powiada o zacieśnieniu tych podwiązek, które jakoby miało być czymś powszechnie przyjętym, dowodzi tylko uporczywości w błędzie. Elastyczność podwiązek tego rodzaju świadczy wymownie o wyjątkowości ich zacieśnienia. Przedmiot sporządzony w ten sposób, iż sam się przystosowuje, nader rzadko potrzebuje pomocy do swego przystosowania. Widocznie zaszło coś takiego, iż zacieśnienie tych podwiązek okazało się potrzebne. One jedne wystarczałyby w zupełności, by ustalić identyczność Marii. Wszelako nie stało się w ten sposób, żeby znaleziony trup miał oddzielnie czy to podwiązki zaginionej dziewczyny, czy jej obuwie, czy jej kapelusz, czy kwiaty u jej kapelusza, czy jej stopy, czy osobliwsze znamię na ramieniu, czy wreszcie jej ogólny kształt i wygląd – lecz okazało się, że ów trup nie tylko że ma te cechy, lecz że ma je wszystkie razem. Gdyby można było dowieść, iż publicysta z „L’Etoile” mimo tych okoliczności naprawdę wątpi, to nie trzeba by zwoływać dla niego komisji *de lunatico inquirendo*<sup>18</sup>. Zdawało mu się, że dowiedzie przenikliwości, gdy stanie się echem gawęd prawników, którzy przeważnie zadowolają się tym, iż wtórują prostolinijnym orzeczeniom trybunałów sądowych. Pozwolę sobie nawiasowo zauważyć, iż bardzo wiele z tego, co dla sądów nie ma mocy dowodu, jest właśnie najlepszym dowodem dla intelektu. Pochodzi to

stąd, iż sądy, kierując się ogólnymi zasadami dowodzenia – zasadami uznanymi i skodyfikowanymi – są przeciwne wszelkim odchyleniom ku dowodom faktów poszczególnych. To niezłomne przestrzeganie zasady ze ścisłym pomijaniem sprzecznych wyjątków jest na dłuższy przeciąg czasu niezawodnym sposobem osiągnięcia tego maksimum prawdy, jakie dano nam osiągnąć<sup>19</sup>. Praktyka *en masse* jest zatem filozoficzna; nie da się jednakże zaprzeczyć, iż wynikają stąd wielkie pomyłki w razach wyjątkowych.

Jeżeli weźmie się pod uwagę podejrzenia zwrócone przeciw Beauvais'mu, to dość jest dmuchnąć, aby rozwiały się wniwecz. Przeniknąłeś już zapewne właściwy charakter tego pocziwca. To wartogłów o zapędach nader romantycznych i o kiepskiej głowie. Ludziom o takim ustroju psychicznym, kiedy są naprawdę wzburzeni, zdarza się zachowywać w ten sposób, iż narażają się na podejrzenia lisów zbyt szczywanym lub osób niechętnych. Monsieur Beauvais (jak okazuje się z twych notatek) rozmawiał kilkakrotnie z redaktorem „L'Etoile” i dotknął go, pozwalając sobie wyrazić pogląd, iż ów trup wbrew teorii tego publicysty jest niezawodnie ciałem Marii. „Upiera się – pisze dziennik – utrzymując, iż zwłoki te są zwłokami Marii, ale prócz szczegółów już przez nas oświetlonych nie umie przytoczyć niczego, co by mogło utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”. Otóż pomijając już, iż niepodobna jest przytoczyć bardziej niezbitych dowodów, które by mogły „utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”, bez trudności można wyobrazić sobie człowieka, który w podobnych razach sam jest najmocniej przekonany, a mimo to nie jest zdolny przytoczyć ani jednego argumentu dla przekonania innych. Nic nie jest bardziej nieuchwytnie od wrażenia czyjejs identyczności. Każdy z nas rozpoznaje swego sąsiada, a jednak tylko w rzadkich wypadkach jesteśmy w możności uzasadnić to nasze rozpoznanie. Publicysta z „L'Etoile” nie ma zatem prawa czuć się urażony nieuzasadnionym przeświadczeniem Monsieur Beauvais'go.

Podejrzone okoliczności, w których się zagmatwał, o wiele lepiej dadzą się pogodzić z moją hipotezą romantycznego wartogłowstwa niż z zarzutem winy, o którą go posądza rezonujący publicysta. Wyszedłszy z

pobłażliwego założenia, bez trudności zdamy sobie sprawę z róży w dziurce od klucza; ze słowa „Maria” na tabliczce; z „usuwania krewnych na bok”; „z niedopuszczenia rodziny do obejrzenia zwłok”; z polecenia danego Madame B., by nie mówiła z żandarmem, dopóki on, Beauvais, nie powróci; wreszcie z postanowienia, iż „nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Beauvais był wielbicielem Marii, że go kokietowała, i że pochlebiał sobie, jakoby był jej najbliższy i posiadał zupełne jej zaufanie. Nie będę rozwodził się dłużej nad tym szczegółem; ponieważ zaś zeznania świadków obaliły w zupełności twierdzenie publicysty z „L’Etoile”, jakoby matka i inni krewni okazywali apatię (która zresztą nie godzi się z przypuszczeniem, iż nie wierzyli, jakoby owe zwłoki były zwłokami panny z perfumerii) – przeto będziemy odtąd prowadzili nasze badania w ten sposób, jak gdyby sprawa identyczności była załatwiona ku najzupełniejszemu naszemu zadowoleniu.

– A co myślisz – zagadnąłem – o zapatrywaniach „Le Commercial”?

– Że w zasadzie zasługują więcej na uwagę niż wszystkie inne. Wnioski wysnute z założeń są filozoficzne i świadczą o przenikliwości; atoli założenia, przynajmniej w dwu wypadkach, opierają się na niedokładnych spostrzeżeniach. „Le Commercial” podsuwa myśl, jakoby Marię pojmała jakaś szajka znikczemniałych hulaków opodal mieszkania jej matki. „Jest rzeczą niemożliwą – powiada – by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo”. Jest to rozumowanie człowieka od dawna mieszkającego w Paryżu – rozgłośnego działacza, którego wędrówki po mieście ograniczały się przeważnie do sąsiednich urzędów publicznych. Wie, iż rzadko zdarza mu się oddalić o dwadzieścia domów od swego biura, by go ktoś nie poznał i nie pozdrowił. I mając na myśli, jak wiele osób sam zna tudzież jak wielu jest znany, porównywa swą wziętość z wziętością panny z perfumerii, nie widzi między nimi wielkiej różnicy i od razu dochodzi do wniosku, iż chodząc po mieście, równie łatwo podlegała rozpoznaniu, jak on sam. Byłoby to słuszne tylko w takim razie, gdyby jej wędrówki miały również ten sam niezmienny, metodyczny

charakter i gdyby się odbywały – podobnie jak to z nim bywa – w tym samym ograniczonym zasięgu. Idzie i wraca w odstępach regularnych, nie przekracza ograniczonego terenu, gdzie pełno jest ludzi, którzy zwracają uwagę na jego osobę, gdyż jego zajęcia są pokrewne z ich zajęciami. Natomiast wędrowni Marii – jak trzeba przypuszczać – miały na ogół charakter raczej wałęsania się. W wypadku, który przede wszystkim nas zajmuje, należy uważać za rzecz nader prawdopodobną, iż wybrała drogę odbiegającą wielce od tych, którymi zwykła była chodzić. Równorzędność, która zdaniem moim wytworzyła się w umyśle publicysty z „Le Commercial”, mogłaby mieć uzasadnienie tylko w takim razie, gdyby wzięło się pod uwagę dwie osoby chodzące po całym mieście. W tym wypadku, jeżeli przyjmiemy, że liczba ich znajomości jest równa, istnieje prawdopodobieństwo, iż liczba spotkanych znajomych będzie także równa. Osobiście uważałbym za rzecz nie tylko możliwą, lecz nawet więcej niż prawdopodobną, iż Marii zdarzyło się chodzić o różnych porach i różnymi drogami prowadzącymi z jej mieszkania do mieszkania jej ciotki i nie spotykać przy tym ani jednej osoby, którą by znała lub przez którą byłaby znana. Chcąc ujrzeć to zagadnienie w pewnym i właściwym świetle, nie można zapominać ani na chwilę o bezmiernej różnicy, jaka zachodzi między ilością znajomych najbardziej nawet znanego w Paryżu człowieka a liczbą wszystkich mieszkańców tej stolicy.

Jeżeli jednak domysł „Le Commercial” może przedstawiać jeszcze jaką wartość, to zmniejszy się ona wielce, gdy weźmiemy pod uwagę godzinę, o której dziewczyna wyszła na miasto. „Ulice roily się od ludzi – pisze „Le Commercial” – kiedy wyszła z domu”. Tymczasem stało się inaczej. Była dziewiąta rano. Otóż o dziewiątej każdego dnia w tygodniu, prócz niedzieli, ulice miasta istotnie roją się od ludzi. O dziewiątej w niedzielę mieszkańcy są przeważnie w domu i przygotowują się, by pójść do kościoła. Człowiek niepozbawiony zmysłu spostrzegawczego musi zauważyć szczególnie opustoszały wygląd miasta od ósmej do dziesiątej rano co niedziela. Od dziesiątej do jedenastej rano ulice są zatłoczone, nie dzieje się to atoli o tak wczesnej porze, jak w dzienniku podano.



Jest jeszcze inny szczegół, co do którego spostrzegawczość „Le Commercial” nie dopisała. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny – powiada on – długi na dwie stopy i szeroki na jedną oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić krzyk. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”. O ile ten pogląd jest lub nie jest uzasadniony, przekonamy się później; jednakże publicysta mniema, iż owymi „złoczyńcami, którzy nie mieli nawet chustki do nosa” były najnędniesze rzezimieszki. Tymczasem ci właśnie należą do ludzi, którzy nawet wówczas posiadają chustki do nosa, gdy nie mają na grzbiecie koszuli. Zauważyłeś zapewne, jak od pewnego czasu chustka do nosa stała się wprost niezbędną dla skończonych opryszków.

– A cóż należy myśleć – zapytałem – o artykule w „Le Soleil”?

– Jaka to szkoda, że redaktor tego czasopisma nie urodził się papugą, gdyż byłby niewątpliwie znakomitością wśród tej ptasiej odmiany. Powtórzył on po prostu poglądy już ogłoszone, szperając za nimi z chwalebnią zapobiegliwością po różnych dziennikach. „Rzeczy te leżały tam widocznie – powiada on – co najmniej ze trzy lub cztery tygodnie” i „nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”. Szczegóły przytoczone ponownie przez „Le Soleil” nie nadają się zaiste do rozproszenia mych wątpliwości w tej sprawie i przyjdzie nam je szczegółowiej zbadać w związku z innym działem tego zagadnienia.

Obecnie musimy się zająć odmiennymi dochodzeniami. Niepodobna, żebyś nie zauważył, jak pobieżnie dokonano badania zwłok. Zapewne, iż zagadnienie identyczności nie przedstawiało lub przynajmniej nie powinno było przedstawiać większych trudności; atoli pozostawały jeszcze inne szczegóły do sprawdzenia. Czy dopuszczono się na tych zwłokach jakiej kradzieży? Czy zmarła miała na sobie jakie kosztowności, gdy wychodziła z domu? Jeżeli zaś miała, to czy je odnaleziono? Są to zagadnienia wielkiej wagi, zupełnie pominięte przy śledztwie; a znalazłyby się inne, nie mniej ważne, na które nie zwrócono uwagi. Poczynimy starania, by dowiedzieć się o tym wszystkim na własną rękę. Sprawę Saint-Eustache’a należy poddać ponownemu zbadaniu. Nie mam

go w podejrzeniu, ale należy działać metodycznie. Musimy się upewnić nad wszelką wątpliwość co do wiarygodności affidavitów zaświadczających, gdzie przebywał kolejno owej pamiętnej niedzieli. Dokumenty tego rodzaju bywają niejednokrotnie środkiem mistyfikacji. Jeżeli okażą się bez zarzutu, to pominiemy Saint-Eustache'a przy dalszych dochodzeniach. Jego samobójstwo, które przyczyniałoby się do wzmocnienia podejrzeń, gdyby w owych affidavitach odkryto jakieś kręctwa, nie jest – o ile się ich nie znajdzie – bynajmniej czymś nieprzeniknionym lub czymś, co by zniewalało nas do zboczenia od zwyczajnej analizy.

W tym, co obecnie mam na celu, zamierzam pominąć wewnętrzne szczegóły tej tragedii, a skupić całą uwagę na jej zarysach zewnętrznych. W dochodzeniach takich jak niniejsze popełnia się zazwyczaj ten błąd, iż ogranicza się śledztwo do szczegółów bezpośrednich, a nie dba się zupełnie o zdarzenia uboczne lub okolicznościowe. Jest to nader niewłaściwe ze strony sądów, iż zacieśniają zeznania i dyskusję do tego, co namacalnie mieści się w zakresie danej sprawy. Bowiem doświadczenie już wykazało, a prawdziwa filozofia będzie zawsze wykazywała, że znaczna, może nawet większa część prawdy wynika z okoliczności pozornie ze sprawą niezwiązanych. Z ducha tej zasady, jeżeli niekoniecznie z jej litery, pochodzi to zjawisko, że wiedza nowoczesna skłonna jest uwzględniać nieprzewidziane. Ale może ty mnie nie rozumiesz? Dzieje wiedzy ludzkiej dowodziły z taką nieprzerwaną ciągłością, iż zdarzeniom ubocznym, przypadkowym i nieistotnym zawdzięczamy najliczniejsze i najważniejsze odkrycia, że w końcu trzeba było, licząc się z przyszłością dalszego postępu, poczynić nie tylko wielkie, ale nawet bardzo wielkie ustępstwa dla wynalazków poczynających się z przypadku i znajdujących się poza obrębem oczekiwań zwyczajnych. Niefilozoficznie już jest szukać oparcia na minionej wizji tego, co być powinno. Trzeba pozwolić, by przypadek stał się częścią podwalin. Dla nas jest on przedmiotem ścisłego rozumowania. Podporządkujemy to, co jest niedościgłe dla wyobraźni, czemu nie może sprostać przewidywanie, matematycznym formułom naukowym.

Jest już więcej niż pewnikiem – powtarzam raz jeszcze – iż większa część wszelkiej prawdy bierze początek ze zjawisk ubocznych. Będzie to więc najzupełniej zgodne z duchem zasady zawartej w tym twierdzeniu, gdy w sprawie, która nas obchodzi, odstąpię od badań na ubitym i dotychczas jałowym gruncie samego zdarzenia i zwrócę się do współczesnych okoliczności, których jest ono ośrodkiem. Ty zabierzesz się do sprawdzania wiarygodności affidavitów, o których mówiliśmy, ja zaś zajmę się zbadaniem dzienników nieco szczegółowiej, niż ty to czyniłeś. Dotychczas rozglądaliśmy się tylko po polu badania; lecz byłoby zaiste rzeczą dziwną, gdyby rozumowy przegląd pism codziennych, którego się podejmę, nie dostarczył nam kilku drobnych wskazań, pomocnych do ustalenia kierunku dochodzeń.

Wywiązując się z zadania poruczonego mi przez Dupina, poddałem dokładnemu badaniu sprawę affidavitów. Wynikiem było niewzruszone przeświadczenie o ich wiarygodności i – co za tym idzie – o niewinności Saint-Eustache'a. Tymczasem mój przyjaciel pograżył się z drobiazgowością, która wydawała mi się najzupełniej zbyteczną, w przeglądaniu wycinków z różnych dzienników. Pod koniec tygodnia przedłożył mi wypisy następujące:

Mniej więcej półczwarta roku temu powstało zamieszanie, nader podobne do obecnego, wywołane zniknięciem tejże samej Marii Rogêt z perfumerii Monsieur Le Blanca w Palais-Royal. Wszelako pod koniec tygodnia pojawiła się znowu przy kasie sklepowej, najzupełniej zdrowa, acz nieco bledsza niż zazwyczaj. Monsieur Le Blanc i jej matka rozgłaszali, iż przebywała na wsi u jakiejś przyjaciółki, i cała ta sprawa rychło przycichła. Przypuszczamy, iż nieobecność terażniejsza jest podobnym wybrykiem i że po upływie tygodnia lub może miesiąca znowu do nas zawita („Evening Paper”<sup>20</sup> z poniedziałku 23 czerwca).

Jeden z dzienników wieczornych w nrze wczorajszym napomyka o poprzednim zagadkowym zniknięciu Mademoiselle Rogêt. Wiadomo powszechnie, iż zniknąwszy z perfumerii Le Blanca, przebywała przez

tydzień w towarzystwie młodego oficera marynarki, znanego rozpustnika. Podobno jakaś sprzeczka sprowadziła ją z powrotem do domu. Znamy nazwisko rzezonego Lotharia, który obecnie przebywa w Paryżu, lecz dla łatwo zrozumiałych powodów nie uważamy za właściwe podawać go do wiadomości publicznej („Le Mercurie”<sup>21</sup>, wtorek rano, 24 czerwca).

Ohydnej zdrożności dopuszczono się przedwczoraj rano w pobliżu miasta. Pewien pan, w towarzystwie swej żony i córki, ugodził się o zmierzchu z sześciu młodzieńcami, których łódź krążyła bez celu w pobliżu mielizn na Sekwanie, iż przewiozą go przez rzekę. Podpłynawszy do przeciwległego brzegu, troje pasażerów wysiadło i odeszło tak daleko, iż łodzi nie było już widać, kiedy dziewczyna zauważyła, iż zapomniała parasolki. Wróciła po nią, lecz wpadła w ręce owych złoczyńców, którzy zabrali ją ze sobą na rzekę, związali, nikczemnie sponiewierali i w końcu wysadzili na ląd opodal miejsca, gdzie poprzednio wsiadła do łodzi ze swymi rodzicami. Niegodziwcom udało się ujsć na razie, ale policja jest na ich tropie i wkrótce kilku z nich uwięzi („Morning Paper”<sup>22</sup>, 25 czerwca).

Otrzymaliśmy jeden czy dwa listy, które chcą zwalić na Mennais’go<sup>23</sup> ohydę niedawno popełnionej zbrodni; ponieważ jednak śledztwo sądowe wykazało zupełną jego niewinność, zaś argumenty niektórych korespondentów naszych wynikają – jak się zdaje – raczej z zapalczywości niż rozwagi, przeto nie uważamy za właściwe podawać ich do wiadomości publicznej („Morning Paper”, 28 czerwca).

Otrzymaliśmy kilka energicznie brzmiących komunikatów, pochodzących zapewne z różnych źródeł. Utrzymują one z całą stanowczością, iż nieszczęśliwa Maria Rogêt padła ofiarą jednej z licznych szajek opryszków wałęsających się co niedziela w pobliżu miasta. Wedle naszego mniemania przypuszczenia te są najzupełniej słuszne. Postaramy się wkrótce omówić szerzej niektóre z podanych argumentów („Evening Paper”<sup>24</sup>, wtorek 31 czerwca).

W poniedziałek jeden z przewoźników, pozostających na służbie władz skarbowych, zauważył na Sekwanie pustą łódź, ponoszoną prądem rzeki. Na dnie tej łodzi leżały żagle. Przewoźnik zawlókł ją na linie do urzędu portowego. Następnego ranka zabrał ją ktoś stamtąd bez wiedzy urzędników. Ster pozostał w urzędzie portowym („Le Diligence”<sup>25</sup>, czwartek 26 czerwca).

Czytając te wypisy, doznawałem wrażenia, iż nie mają nic wspólnego ze sprawą, i nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób można by je z nią powiązać. Oczekiwałem zatem wyjaśnień od Dupina.

– Nie jest obecnie moim zamierzeniem – odezwał się – kłaść nacisk na pierwsze dwa wypisy. Przepisałem je głównie w tym celu, by wykazać ci krańcowe niedbalstwo policji, która – o ile dowiedziałem się od prefekta – nie postarała się bynajmniej o wywiad w sprawie wzmiankowanego oficera marynarki. Ależ to istne szaleństwo utrzymywać, iż między jednym a drugim zniknięciem Marii nie ma przypuszczalnego związku! Wyjdźmy z założenia, iż pierwsza ucieczka skończyła się sprzeczką między kochankami i powrotem pod dach rodzicielski zawiedzionej dziewczyny. Pozwoli to nam uważać powtórna ucieczkę (o ile uznamy, iż była to ucieczka) raczej za wskazówkę wznowionych starań uwodziciela niż za wynik umizgów jakiegoś nowego wielbiciela – czyli jesteśmy przygotowani do poglądu, iż było to raczej „sklejenie” dawniejszej miłości niż nawiązanie nowej. Przemawia za tym dziesięć przeciw jednemu, że człowiek, który już raz uciekał z Marią, mógł ją łatwiej namówić do ponownej ucieczki, niż żeby Maria, którą namówił przedtem do ucieczki jeden człowiek, dała się do niej nakłonić drugiemu. Tutaj pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na tę okoliczność, iż przedział czasu między pierwszą sprawdzoną a drugą domniemaną ucieczką różni się zaledwie o parę miesięcy od okresu, w jakim zwykły przebywać na pełnym morzu nasze okręty wojenne. Czy owemu kochankowi w jego pierwszej niegodziwości przeszkodziła konieczność wyjazdu na morze i czy po

powrocie skorzystał z pierwszej sposobności, by wznowić swe nikczemne zabiegi, jeszcze niezupełnie zakończone? Nic o tym wszystkim nie wiemy.

Mógłbyś jednak powiedzieć, że w drugim wypadku mamy do czynienia tylko z domniemaną ucieczką. Zapewne – lecz czyż możemy utrzymywać, że nie było zamiarów udaremionych? Poza Saint-Eustache'em i może Beauvais'em nie wiemy nic o uznanych, jawnych, godnych wielbicielach Marii. Nie mówiono o nikim innym. Któż zatem jest owym tajemniczym kochankiem, o którym krewni (przynajmniej ich większość) nic nie wiedzą, lecz z którym Maria spotyka się w niedzielę rano i w którym takie pokłada zaufanie, iż nie waha się przebywać z nim aż do samego zmierzchu w ustronnych zagajnikach przy Barrière du Roule? Któż jest – powtarzam – owym tajemniczym kochankiem, o którym przynajmniej większość krewnych nic nie wie? I co znaczyła osobliwa przepowiednia Madame Rogêt, która rano, po odejściu Marii, powiedziała: „Obawiam się, że Marii już nigdy nie zobaczę”?

Skoro jednak niepodobna podejrzewać, że Madame Rogêt wiedziała o zamiarze ucieczki, to czyż przynajmniej nie można przypuszczać, iż zamiar ten dziewczyna powzięła? Wychodząc z domu, uprzedziła, iż wybiera się do swej ciotki przy rue des Drômes, zaś Saint-Eustache miał przyjść po nią o zmierzchu. Otóż na pierwszy rzut oka okoliczność ta pozostaje w jaskrawej sprzeczności z moim przypuszczeniem; ale zastanówmy się dokładniej! Wiadomo jest, iż znalazła po drodze jakiegoś towarzysza, że przeprowiła się z nim przez rzekę i wysiadła na ląd koło Barrière du Roule późno, gdyż dopiero około trzeciej po południu. Wszelako zgadzając się towarzyszyć owemu osobnikowi (dla jakiegoś celu – znanego lub nieznanego jej matce), myślała niewątpliwie o tym, co powiedziała, wychodząc z domu tudzież o zdumieniu i podejrzeniach, jakie musiałyby zalać się w umyśle jej narzeczonego, Saint-Eustache'a, gdyby przyszedłszy o umówionej godzinie na rue des Drômes, nie zastał jej tam i gdyby na domiar, powróciwszy do pensjonatu z tą niepokojącą wiadomością, dowiedział się, że wciąż jeszcze jest nieobecna. Powtarzam, iż musiała myśleć o tym. Musiała przewidywać zmartwienie Saint-Eustache'a i podejrzenia całej swej rodziny. Niepodobna, żeby nie

myślała, iż po powrocie narazi się na te podejrzenia, które natomiast stawały się czymś nader błahym, jeżeli przyjmiemy, iż nie zamierzała powrócić.

Można by sobie wyobrazić, iż tok jej myśli był następujący: „Mam się spotkać z kimś celem ucieczki lub dla jakichś innych powodów, znanych tylko mnie samej. Trzeba urządzić się tak, żeby nic nie stanęło na przeszkodzie – trzeba zyskać na czasie, byśmy mogli ująć pościgu – rzucę od niechcienia, że wybieram się na cały dzień do mej ciotki przy rue des Drômes – powiem narzeczonemu, żeby przyszedł po mnie dopiero o zmierzchu – w ten sposób nieobecność moja przeciągnie się możliwie długo, nie budząc zaniepokojenia i podejrzeń, ja zaś więcej zyskam na czasie, niż gdybym postąpiła inaczej. Jeżeli poproszę Saint-Eustache’a, by przyszedł po mnie o zmierzchu, to na pewno nie przyjdzie wcześniej; jeżeli natomiast nie poproszę go o to wcale, to czas nadający się do ucieczki znacznie się zmniejszy, gdyż wszyscy będą oczekiwali, że powrócę wcześniej, a nieobecność moja rychlej wywoła zaniepokojenie. Gdybym w ogóle zamierzała powrócić, gdybym chciała tylko odbyć wycieczkę z osobą mi wiadomą – to nie byłoby dowcipnie z mej strony prosić Saint-Eustache’a, by przyszedł po mnie, gdyż przyszedłszy, dowiedziałby się na pewno, że wyprowadziłam go w pole – o czym mógłby zupełnie nie wiedzieć, gdybym wyszła z domu, nie mówiąc mu o swych zamiarach, powróciła przed zmierzchem, a następnie opowiedziała, iż byłam u ciotki przy rue des Drômes. Ponieważ jednak nie zamierzam wcale powrócić – lub też powrócę po kilku tygodniach, albo wówczas, kiedy zdążę się z czymś ukryć – zysk na czasie jest jedynym względem, o który muszę się troszczyć”.

Zaznaczyłeś w swych notatkach, iż powszechnie mniema się i mniemało od samego początku, jakoby ta dziewczyna padła ofiarą szajki opryszków. Otóż opinii publicznej nie należy w pewnych razach lekceważyć. Jeżeli poczyną się sama przez się, jeżeli objawia się wprost odruchowo, trzeba uważać ją za przejaw podobny do intuicji, która jest właściwością jednostek genialnych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto polegałbym na jej orzeczeniach. Wszelako jest rzeczą

ważną, by nie nosiła śladów jakiejś sugestii. Opinia winna być ściśle własnym odruchem publiczności i niejednokrotnie jest nader trudno wy-  
czuć tę różnicę i ją określić. Zdaje mi się, iż w wypadku obecnym ta „opinia publiczna”, o ile chodzi o ową szajkę, dała się powodować zdarzeniu ubocznemu, przytoczonemu w trzecim moim wypisie. Cały Paryż jest podniecony odkryciem zwłok Marii, dziewczyny młodej, pięknej i znanej. Zwłoki te, sponiewierane znamionami okrucieństwa, znaleziono pływające po rzece. I oto rozchodzi się wiadomość, iż w tym samym lub niemal w tym samym czasie, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na dziewczynie tej dopuszczono się zabójstwa, zdarzyła się inna niegodziwość, podobna do tej, której uległa zmarła, aczkolwiek nie tak potworna, i że sprawcami jej była szajka młodych złoczyńców, zaś ofiarą również młoda kobieta. Czyż jest w tym coś dziwnego, iż znane szkaradzieństwo może oddziaływać na opinię publiczną także w stosunku do nieznanego? Opinia ta domagała się wskazówek, a owa zbrodnia znana następczo je tak pochopnie! Przy tym Marię znaleziono w rzece, zaś owej zbrodni znanej dokonano nad tą samą rzeką! Łączność zachodząca między tymi dwoma zdarzeniami była tak bardzo namacalna, iż byłoby dziwem nad dziwami, gdyby lud zaniedbał pochwycić ją i ocenić. Tymczasem rzecz przedstawia się tak, że jedna okropność, o której wiadomo, w jaki sposób została dokonana, jest niemal niezawodną wskazówką, że druga okropność, której dopuszczono się prawie równocześnie, nie będzie dokonana w ten sam sposób. Byłoby zaiste cudem, gdyby nastąpił taki zbieg okoliczności, iż kiedy jedna szajka złoczyńców popełnia w danej miejscowości niesłychaną niegodziwość, omal równocześnie pojawia się inna, podobna szajka, w podobnej miejscowości w tym samym mieście, w tych samych okolicznościach, rozporządzająca takimi samymi środkami i posługująca się nimi w ten sam sposób dla dokonania jota w jotę podobnej ohydy! W cóż jednak każe nam wierzyć przypadkowo zasugerowana opinia publiczna, jeśli nie w taki osłupiający zbieg okoliczności?

Zanim podążymy dalej, zastanówmy się nad domniemaną widownią zabójstwa w gęstwinie koło Barrière du Roule. Zarośla te, aczkolwiek



gęste, rozpościerają się tuż obok gościńca. W ich głębi leżą trzy czy cztery wielkie kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym znaleziono białą spódniczkę, zaś na innym szarą jedwabną. Leżała tam również parasolka, rękawiczki i chustka do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Rogêt”. Na pobliskich krzakach widniały strzępy odzieży. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady zacieklej walki.

Mimo poklasku, z jakim odkrycie tej gęstwiny przyjęła prasa, i mimo jednomyślności, z jaką przypuszczano, iż stanowi ona właściwą widownię zbrodni, trzeba przyjąć, iż istnieje sporo nie byle jakich względów, które każą o tym wątpić. Iż była widownią, można wierzyć lub nie wierzyć, ale wątpieniu oprzeć się nie można. Jeżeli rzeczywista widownia znajdowała się – jak domyśla się „Le Commercial” – w pobliżu rue Pavée Saint-André, to sprawców tej zbrodni, którzy wedle mojego przypuszczenia przebywają wciąż jeszcze w Paryżu, ogarnęło niezawodnie przerażenie, gdy przekonali się, iż uwaga publiczna zdołała z taką przenikliwością zwrócić się we właściwe łożysko; zaś w pewnego rodzaju umysłach mogło od razu rozbudzić się poczucie, iż trzeba coś uczynić, by odwrócić tę uwagę w inną stronę. A ponieważ gęstwina koło Barrière du Roule wydawała się już podejrzana, przeto mógł zrodzić się pomysł umieszczenia tam przedmiotów, które później znaleziono. Wbrew temu, co „Le Soleil” przypuszcza, nie ma istotnych dowodów, że przedmioty znalezione leżały dłużej niż kilka dni w zaroślach; natomiast więcej przemawia za tym, iż nie mogły pozostawać tam, nie zwracając niczyjej uwagi, przez dwadzieścia dni, które upłynęły między fatalną niedzielą a owym popołudniem, kiedy znaleźli je chłopcy. „Wszystkie zbutwiały od deszczu – wyraża się »Le Soleil«, przywłaszczając sobie mniemania swych poprzedników – i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujala trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono”. Jeżeli jest mowa o tym, że trawa „wybujala dokoła i po części je zakryła”, to oczywista, że szczegół ten mógł znaleźć

potwierdzenie tylko w słowach, którymi przejawiały się wspomnienia dwóch malców, gdyż ci malcy zabrali owe przedmioty i zanieśli je do domu, zanim zdążył zobaczyć je ktoś trzeci. Przy tym trawa, jeśli pogoda jest ciepła i wilgotna (a taka właśnie była w okresie owego zabójstwa), może urósć w przeciągu jednego dnia na dwa do trzech cali. Parasolka położona na świeżo kiełkującej murawie może zniknąć zupełnie sprzed oczu w przeciągu tygodnia pod bujnie rozwijającą się zielenią. Co zaś do owej pleśni, przy której publicysta z „Le Soleil” obstaje z taką uporczywością, iż używa tego słowa aż trzy razy w krótkim ustępie, tylko co przytoczonym, to czyż podobna, żeby naprawdę nie zdawał sobie sprawy z rodzaju tej pleśni? Czy trzeba go pouczać, iż jest to jedna z licznych odmian grzybka, którego najpospolitsza właściwość polega na tym, iż pleni się i zanika w przeciągu dwudziestu czterech godzin?

Widzimy zatem od pierwszego wejrzenia, iż to, co tak tryumfująco przytaczano na poparcie poglądu, jakoby owe przedmioty leżały „co najmniej trzy lub cztery tygodnie” w gęstwinie, jest skończoną niedorzecznością, o ile chodzi o jakiegokolwiek uzasadnienie. Z drugiej strony jest nadzwyczaj trudno uwierzyć, żeby owe przedmioty mogły leżeć w rzeczony gęstwinie dłużej niż tydzień – dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej. Kto zna trochę okolice Paryża, ten wie, jaką ogromną trudność przedstawia znalezienie ustronia, o ile go się nie szuka w znacznej odległości od krańców miasta. Zakątek niezbadany lub bodaj nieczęsto odwiedzany w tych lasach i zagajnikach nie da się wprost pomyśleć. Jeżeli jakiś szczerzy miłośnik przyrody, uwięziony swymi obowiązkami wśród kurzu i skwaru tej wielkiej metropolii, zechce chociażby w dzień powszedni ugasić pragnienie samotności wśród zmiennych uroków przyrody, która bezpośrednio nas otacza – to nie zdąży postąpić nawet dwu kroków, żeby wszczyńającego się zaklęcia nie rozproszyło nawoływanie lub osobiste pojawienie się jakiegoś hultaja czy szajki zapitych opryszków. Będzie szukał zacisza wśród najgęstszego listowia, ale na próżno. Właśnie w tych ustroniach roi się po prostu od ludzkiego niechlujstwa – są to najbardziej zbezczeszczone świątynie. Z niesmakiem w duszy wróci wędrowiec pośpiesznie do Paryża, by zapaść w

stek ohydy, wszelako mniej odrażającej, gdyż nie tak bezecnej. Skoro więc okolice podmiejskie w dni powszednie są tak nawiedzane, to cóż dopiero mówić o niedzieli! Jest to dzień, kiedy, wyzwolone z pęt pracy lub pozbawione zwykłej sposobności do występku, wszelkie szumowiny miejskie wyruszają za miasto, nie z upodobania do uroków sielskich, którymi w głębi duszy gardzą, lecz żeby uniknąć przymusów i nawyków kulturalnych. Pożądamy one nie tyle świeżego powietrza i zieleni drzew, co nieskrępowanej swawoli, jakiej używa wieś. Tutaj, w przydrożnej karczmie lub w cieniu drzew, czując, że nie śledzi ich już spojrzenie niczyje prócz oczu godnych towarzyszy, pograżają się te wyrzutki w rozpasaniu kłamanej wesołości – co jest pomiotem rumu i swobody. Nie nadmienię nic ponad to, co każdemu nieuprzedzonemu a spostrzegawczemu człowiekowi po prostu rzuca się w oczy, wszelako powtarzam, iż byłoby niemal cudem, gdyby zdarzyło się, że rzeczony przedmioty pozostawałyby nietknięte w jakiejkolwiek gęstwinie tuż pod Paryżem dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej.

Atoli istnieją jeszcze inne powody do przypuszczeń, iż owe przedmioty umieszczono w gęstwinie celem odwrócenia uwagi od właściwej widowni zbrodni. Przede wszystkim pozwolę sobie zwrócić twą uwagę na datę znalezienia tych przedmiotów. Zestaw ją z datą piątego mojego wypisu z dzienników. Przekonasz się, że odkrycie to nastąpiło niemal bezpośrednio po rozesłaniu natarczywych komunikatów do dzienników wieczornych. Komunikaty te, aczkolwiek różne i na pozór z różnych pochodzące źródeł, zmierzają wszystkie ku temu samemu celowi – mianowicie, by zwrócić uwagę na szajkę sprawców zbrodni i na okolicę Barrière du Roule jako domniemaną jej widownię. Otóż podejrzenie polega nie na tym, iż skutkiem owych komunikatów czy też uwagi publicznej przez nie pokierowanej malcy znaleźli te przedmioty; lecz mogłoby i może polegać na tym, że dzieci nie znalazły wcześniej tych przedmiotów, ponieważ ich w zaroślach nie było. Umieścili je tam równocześnie z datą lub na krótko przed datą owych komunikatów ich winni autorzy.

Te zarośla były osobliwe – nader osobliwe. Odznaczały się nadzwyczajną gęstością. W okolu ich samorodnych ścian znajdowały się

trzy szczególniejsze kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Zaś gęstwina ta, pełna uroków przyrodzonego artyzmu, znajdowała się w bezpośrednim pobliżu, o kilka prętów od mieszkania Madame Deluc, której malcy mieli zwyczaj starannie przetrząsać chaszce, poszukując kory sassafrasu. Czyż nie można by iść o zakład – postawić tysiąc przeciw jednemu – iż nie było dnia, żeby przynajmniej jeden z tych chłopców nie ukrywał się w tym cienistym przybytku, nie zasiadał na tym naturalnym tronie? Kto by wahał się iść o taki zakład, ten albo nigdy nie był chłopcem, albo zapomniał chłopięcej natury. Powtarzam, iż jest niesłychanie trudno pojąć, w jaki sposób owe przedmioty mogły pozostawać niepostrzeżone w gęstwinie dłużej niż jeden lub dwa dni; istnieją zatem, wbrew dogmatycznej bezmyślności publicysty z „Le Soleil”, wszelkie powody do przypuszczeń, iż je tam względnie dość późno umieszczono.

Istnieją wszelako jeszcze inne argumenty, znacznie mocniejsze od już przytoczonych, które każą wierzyć, że je tam podłożono. Zwróć, proszę cię, uwagę na nader sztuczne rozmieszczenie tych przedmiotów. Na górnym kamieniu widniała biała spódniczka; na drugim szarfa jedwabna; porozrzućane dokoła leżały rękawiczki, parasolka i chustka z napisem „Maria Rogêt”. Jest to właśnie takie rozmieszczenie, jakiego naturalnie dokonałby ktoś niezbyt przenikliwy, a chcący porozkładać te przedmioty naturalnie. Atoli nie jest to bynajmniej rozmieszczenie naprawdę naturalne. Wolałbym raczej widzieć wszystkie te rzeczy leżące na ziemi i podeptane nogami. W ciasnocie tego ustronia byłoby rzeczą prawie niemożliwą, aby spódniczka i szarfa pozostały nieporuszone na kamieniach wśród kotłowaniny wynikłej z szamotania się wielu osób. „Znać było – jak powiadają – ślady walki; ziemia była zdeptana, krzewy połamane”, ale spódniczka i szarfa leżały, gdy je znaleziono, jak na półkach. „Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek. Wyglądały jak oddarte”. W tym miejscu „Le Soleil” posługuje się bezwiednie zwrotem nader podejrzanym. Opisane kawałki wyglądają istotnie „jak oddarte”, ale ręcznie i umyślnie.

Jest to wypadek nadzwyczaj rzadki, by pod działaniem jakiegoś kolca taki kawałek jak ten, o którym mowa, „oddzierał się” od odzieży. Z właściwości naturalnych wszelkiej tkaniny wynika, że gwóźdź lub kolec, który o nią zaczepi, rozdziera ją prostokątnie – rozdziela ją dwiema szczelinami podłużnymi, pozostającymi w stosunku do siebie pod kątem prostym i stykającymi się u wierzchołka, to jest w tym miejscu, gdzie kolec zaczepił; natomiast jest rzeczą prawie niemożliwą wyobrazić sobie kawałek „oddarty”. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem, i ty także. By odedrzeć kawałek tkaniny, trzeba niemal zawsze dwu sił określonych, działających w różnych kierunkach. Jeżeli tkanina ma dwa brzegi – jak na przykład chustka do nosa – i chce się udrzeć z niej kawałek, to w takim razie, lecz tylko w takim razie, wystarcza jedna siła. Wszelako w wypadku obecnym chodzi o suknię, która ma tylko jeden brzeg. Wydrzeć kawałek ze środka, gdzie nie ma brzegu, można by tylko jakimś cudownym sposobem przy współdziałaniu wielu kolców, nigdy zaś jednego. Atoli nawet tam, gdzie jest brzeg, potrzeba by dwu kolców, z których jeden działałby w dwu kierunkach określonych, a drugi w jednym. Przy tym należy przyjąć, że brzeg jest nieobrębiony. Jeżeli jest obrębiony, to prawie nie ma o czym mówić. Widzimy zatem, jak znaczne i liczne nastręczają się przeszkody, gdy chodzi o oddarcie kawałka przez zwyczajne „ciernie”; tymczasem żąda się od nas, byśmy uwierzyli, że w ten sposób oddarł się nie jeden kawałek, lecz kilka. Przy tym jeden z nich był rąbkiem od sukni! Zaś drugi częścią zakładki, nie rąbkiem – to znaczy, że był wydarty zupełnie przez ciernie ze środka, a nie ze skraja spódnicy. Są to, zdaniem moim, rzeczy takie, że można wybaczyć, jeśli im się nie wierzy; wszelako, razem wzięte, stanowią snadź mniej zastanawiający motyw podejrzenia niż ta osłupiająca okoliczność, że przedmioty owe mogły być pozostawione w chaszczach przez zabójców, którzy byli o tyle przezorni, iż usunęli zwłoki. Nie zrozumiałeś mnie jednakowoż, jak należy, jeżeli przypuszczasz, jakobym przeoczył, iż gęstwina ta była widownią zbrodni. Mogło tam stać się coś złego lub, co prawdopodobniejsze, zaszło coś u Madame Deluc. Lecz w zasadzie jest to szczególniej podrzędniejszego znaczenia. Podjęliśmy się odszukać nie

miejsce, ale sprawców zbrodni. Wszystko to, co przytoczyłem, aczkolwiek było nader drobiazgowo, nie miało przecież nic innego na celu, jak wykazać ci najpierw niedorzeczność stanowczych i pochopnych zapewnień publicysty z „Le Soleil”, następnie zaś, i przede wszystkim, poprowadzić cię jak najprostszą drogą ku dalszemu, wątpliwemu zagadnieniu, czy to zabójstwo było dziełem szajki, czy też nie było.

Ograniczę się w tej sprawie do napomknienia o wstrząsających szczegółach zeznanych przez chirurga na śledztwie. Dość powiedzieć, iż jego wnioski, które dostały się do wiadomości publicznej, a dotyczyły liczby rzezimieszków, przez wszystkich wybitniejszych anatomów paryskich zostały słusznie ośmieszone jako błędne i wszelkiej pozbawione podstawy. Nie dlatego, żeby nie mogło się stać, jak wywnioskował, lecz że nie było przesłanek do tego wniosku – a czyż nie było ich więcej do innego?

Zastanówmy się teraz nad „śladami walki” i zapytajmy, czego tymi śladami chciano by nam dowieść. Szajki. Lecz czyż nie dowodzą one raczej nieobecności szajki? Jakaż to walka – walka tak zacięta i przewlekła, iż pozostawiła ślady na wszystkie strony – mogła się odbyć między słabą i bezbronną dziewczyną a szajką domniemanych rzezimieszków? Ujęłoby ją w milczeniu kilka tęgich ramion i wszystko byłoby skończone. Ofiara musiałaby poddać się z bezwzględną uległością ich woli. Uprzytomnijże sobie teraz, iż argumenty przemawiające przeciwko temu, jakoby ta gęstwina była widownią zbrodni, tylko o tyle mają zastosowanie, o ile mówi się o niej jako o widowni zbrodni popełnionej przez więcej niż jednego osobnika. Skoro jednak wyobrazimy sobie tylko jednego napastnika, to wówczas – lecz jeno wówczas – możemy zrozumieć walkę tak zaciętą i tak upartą, iż mogła pozostawić widoczne „ślady”.

I jeszcze jedno. Napomknąłem już o podejrzeniach, jakie wynikają z tej okoliczności, iż rzeczony przedmioty mogły pozostać nietknięte w gęstwinie, gdzie je znaleziono. Wydaje się rzeczą prawie niemożliwą, by te dowody winy pozostawiono tam przypadkowo. Nie zbywało na przytomności umysłu (jak się przypuszcza), by zabrać zwłoki; natomiast

dowody, bardziej istotne niż te zwłoki (których rysy mogły szybko zmienić się pod wpływem rozkładu), porzucono wyzywająco na widowni zbrodni: mam na myśli chustkę z nazwiskiem zmarłej. Jeżeli zdarzył się taki przypadek, to nie szajce. Możemy go sobie wyobrazić tylko jako przypadek, który spotkał jednostkę. Zastanówmy się! Jakiś osobnik dopuścił się zbrodni. Jest sam z widziadłem zmarłej. Przejmuje go grozą to, co leży przed nim nieruchomo. Szał namiętności minął i w jego opustoszałym sercu jawi się odruchowy lęk przed popełnionym czynem. Nie ma tej otuchy, jaką napawa zawsze obecność towarzyszy. Jest sam z zabiją. Drży i truchleje. Trzeba jednakże zająć się trupem. Niesie go ku rzece, lecz pozostawia za sobą inne dowody winy, gdyż jest rzeczą trudną, a nawet niemożliwą zabrać wszystko od razu. Łatwiej będzie wrócić po to, co jeszcze zostało. Wszelako trwoga jego zwielokrotnia się w tym uciążliwym pochodzie. Dokoła niego szemrzą głosy życia. Raz po raz słyszy lub zdaje się mu, że słyszy, stąpanie jakiegoś przechodnia. Przerażają go nawet światła, co jarzą się od strony miasta. Jednakże w końcu, po długich i częstych przystankach pełnych niewysłowionej grozy, staje nad zbrzeżem rzeki i pozbywa się swego upiornego brzemienia, posługując się zapewne łodzią. Ale teraz – czyż są takie skarby świata, czy istnieją takie groźby zemsty, które by mogły skłonić tego samotnego zbrodniarza, żeby tą samą znojną i niebezpieczną ścieżyną powrócił do owej gęstwiny i do wylęgłych w niej wspomnień, co mrozą krew w żyłach? Nie, niechaj będzie, co chce – on nie wróci! Nie mógłby powrócić, chociażby nawet chciał. Jedyna jego myśl – to myśl o natychmiastowej ucieczce. Odwraca się raz na zawsze od tych straszliwych zarośli i pierzcha jak przed pościgiem zbliżającej się kaźni.

Jakże inaczej działałoby się z szajką! Sama liczba dodawałaby im odwagi, jeżeli w ogóle zbywało jej kiedykolwiek skończonym szubienicznikom, a tylko z takich skończonych szubieniczników mogła się składać owa domniemana szajka. Sama ich liczba – powtarzam – zapobiegłaby owej osłupiałej i nieopamiętanej grozie, która wedle mego mniemania obezwładniłaby odosobnioną jednostkę. Jeżeli przypuścimy, że nie dopatrzył czegoś jeden, nie dopatrzyło dwu lub trzech, to na pewno

dopatrzył czwarty. Nie pozostawiliby nic po sobie, gdyż było ich tylu, że mogli od razu zabrać wszystko. Nie byliby potrzebowali wracać.

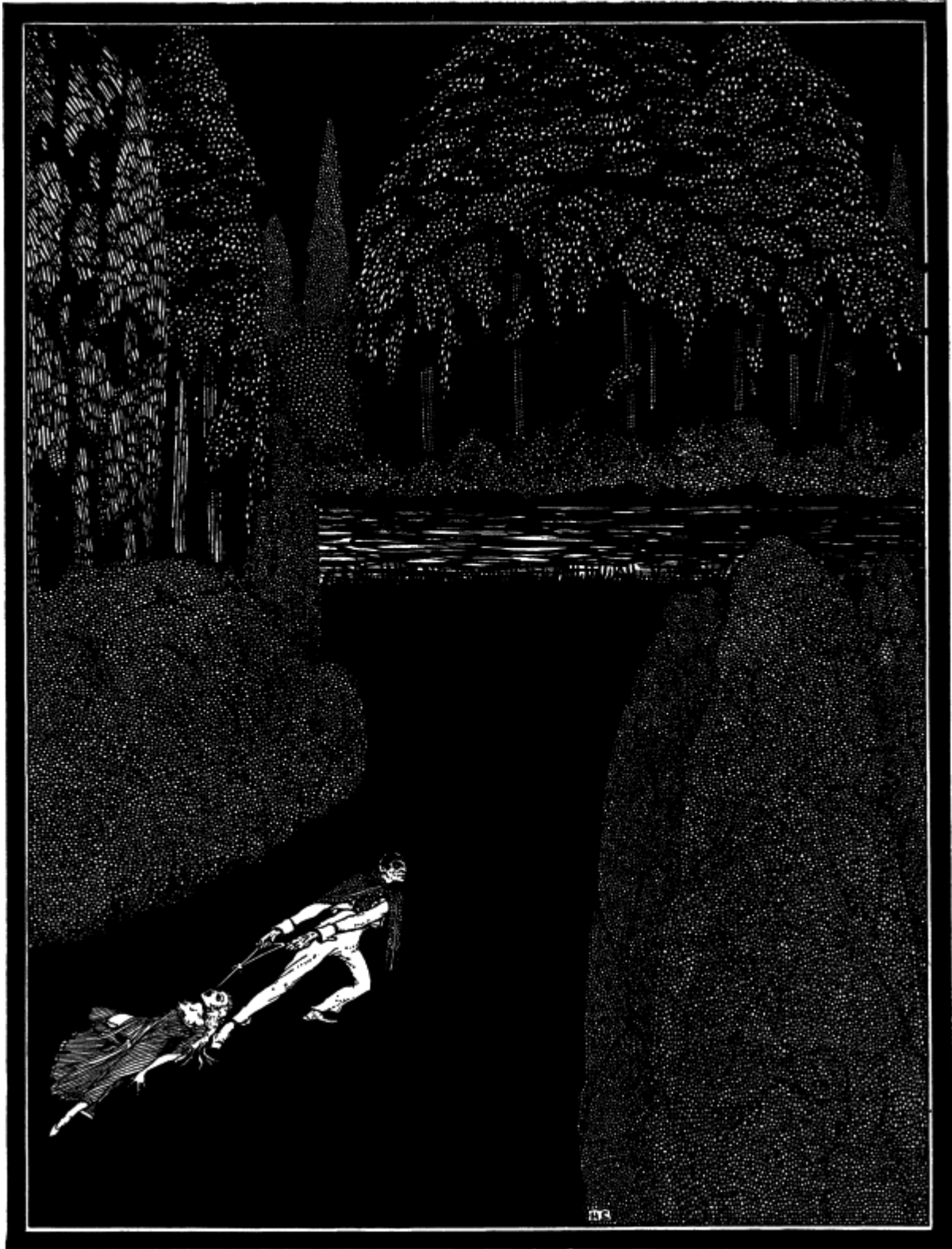
Zastanów się teraz nad tą okolicznością, że ze zwierzchniego odzienia trupa „wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, który okręcono trzy razy dokoła kibici i zadziergnięto na krzyżu jak gdyby w pętlę”. Uczyniono to w oczywistym zamiarze sporządzenia czegoś w rodzaju rączki, za którą było można nieść zwłoki. Czyżby kilku ludziom przyszło do głowy posługiwać się podobnym urządzeniem? Dla trzech czy czterech członki trupa przedstawiałyby ujęcie nie tylko dostateczne, lecz możliwie najdogodniejsze. Jest to pomysł jednostki, który naprowadza nas na ten szczegół, że „między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy”. Ale czyżby kilku ludzi zadawało sobie zbyteczny trud walenia parkanu, by przeciągnąć na drugą stronę trupa, skoro mogli w oka mgnieniu podnieść go w górę i przerzucić przez każdą zaporę? I czyżby kilku ludziom chciało się wlec w ten sposób zwłoki, by pozostały po nich widoczne ślady?

Wypadnie nam tu wziąć pod uwagę pewien szczegół z „Le Commercial”. Nad szczegółem tym już nieco się zastanawiałem. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny – pisze ów dziennik – długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”.

Zaznaczyłem już przedtem, że skończony opryszek nie obywa się nigdy bez chustki do nosa. Wszelako nie o to obecnie mi chodzi. Że nie dla braku chustki posłużono się tą opaską – jak sobie wyobraża „Le Commercial” – świadczy dostatecznie chustka pozostawiona w gęstwinie. Że nie zamierzano „tłumić” w ten sposób „krzyków”, dowodzi ta okoliczność, iż użyto opaski, zamiast użyć czegoś, co by znacznie lepiej odpowiadało temu zamierzeniu. Natomiast zeznania śledcze wyrażają się o owym strzępie, iż „wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł”. Słowa te są dość ogólnikowe, lecz różnią się istotnie od określeń „Le Commercial”. Strzęp ten miał osiemnaście cali szerokości, więc



złożony lub skręcony podłużnie mógł utworzyć mocną taśmę, aczkolwiek był z muślinu. Jakoż przekonano się istotnie, że był skręcony. Mój wniosek brzmi, jak następuje. Samotny zbrodniarz, poniosłszy zwłoki (z gęstwiny czy skądinąd, przy pomocy opaski okręconej dokoła kibici) na pewną odległość, przekonał się, że ten sposób dźwigania przewyższa jego siły. Postanowił zatem wlec swe brzemie – a są ślady, że wleczono jakiś ciężar. By ten zamiar wykonać, trzeba było przytwierdzić coś w rodzaju powroza do którejś kończyny. Najwłaściwiej było uwiązać go dokoła karku, gdyż nie mógł ześliznąć się przez głowę. Zabójca zamierzał niewątpliwie posłużyć się opaską okręconą dokoła lędźwi i byłby jej użył, gdyby nie to, że opasywała trupa, że przeszkadzała mu pętla, na którą ją zadzierzgnął, i że „niezupełnie była oddarta” od odzieży. Łatwiej było udrzeć nowy pas ze spódniczki. Udarł go, uwiązał dokoła szyi i powłókł w ten sposób swą ofiarę aż na brzeg rzeki. Ze tej „opaski”, jedynej, jaka dała się sporządzić z trudem i stratą czasu, a jednak niezupełnie odpowiadała swemu celowi – że tej opaski w ogóle użyto, świadczy to, iż konieczność jej użycia wyniknęła z okoliczności, które się wytworzyły, kiedy chustki do nosa nie było już pod ręką, to znaczy, kiedy winowajca – jak to wyobrażaliśmy sobie – wynurzył się już z gęstwiny (o ile z niej wyszedł) i znajdował się w drodze między gęstwiną a rzeką.



WSZELAKO TRWOGA JEGO ZWIELOKROTNIA SIĘ W TYM  
UCIĄŻLIWYM POCHODZIE

Ale odpowiesz na to, iż Madame Deluc wyraźnie nadmienia w swych zeznaniach o obecności szajki w pobliżu tej gęstwiny i mniej więcej o tej samej porze, kiedy nastąpiło zabójstwo. Przyznaję. Nie wątpię nawet, iż cały tuzin szajek, podobnych do opisaney przez Madame Deluc, mógł wałęsać się w pobliżu Barrière du Roule podczas owej tragedii. Atoli szajka, która ściągnęła na siebie stanowczą niechęć, objawiona w nieco spóźnionych i mocno podejrzanym zeznaniach Madame Deluc, wedle oświadczenia tej zacnej i w rzeczach sumienia nader drażliwej matrony, jedynie najadła się u niej ciastek i pokrzepiła się u niej wódką, nie pomyślawszy o zapłacie. *Et hinc illae irae!*<sup>26</sup>

Jakież jest dokładne brzmienie zeznania Madame Deluc? „Pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem”.

Otóż ten „wielki pośpiech” wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wydał się jeszcze większy oczom Madame Deluc, kiedy rozmyślała, smętna i bolejąca, o pochłoniętych ciastkach i piwie, do ostatniej chwili żywiąc nikłą nadzieję na zapłatę. Bo w innym razie dlaczegóż by, kiedy miało się ku zmierzchowi, przejmowała się tak bardzo tym pośpiechem? Zaiste, nie można się dziwić, że nawet szajka opryszków śpieszy się z powrotem do domu, gdy trzeba przepłynąć rzekę w wątych łodziach przy zapadającej nocy i nadciągającej burzy.

Powiadam: zapadającej, gdyż noc jeszcze nie zapadła. Miało się dopiero ku zmierzchowi, kiedy nieprzyzwoity pośpiech tych „oprysków” skaził czyste spojrzenie Madame Deluc. Aliści wmawia się w nas, że właśnie tego samego wieczora Madame Deluc i jej najstarszy syn „usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody”. A jakimiż to słowy określa Madame Deluc tę chwilę wieczorną, kiedy owe krzyki się rozległy? Było to wnet po nastaniu ciemności. Jednakże „wnet po nastaniu ciemności” oznacza co najmniej ciemności, natomiast przez słowa „miało się ku zmierzchowi” należy bezsprzecznie rozumieć światło dzienne. Jest zatem rzeczą najzupełniej jasną, iż szajka opuściła już Barrière du Roule, kiedy

Madame Deluc „przesłyszały się” owe krzyki. I aczkolwiek we wszystkich licznych sprawozdaniach ze śledztwa te dwa powiedzenia powtarzają się nieodmiennie i jota w jotę tak samo, jak je przytoczyłem w rozmowie z tobą, to jednak żaden dziennik ani żaden urzędnik policyjny nie zauważył dotychczas ogromnej sprzeczności, jaka między nimi zachodzi.

Dorzucę jeszcze tylko jeden argument przeciwko owej szajce; wszelako jest to argument, który, przynajmniej w moim przekonaniu, jest wprost nieodparty. Jeżeli się zważy szczerą nagrodę i zupełną bezkarność, przyrzeczoną publicznie za wydanie w ręce władz zbrodniarzy, to niepodobna ani przez chwilę pomyśleć, by nie znalazł się ktoś wśród szajki spodlonych rzezimieszków czy też innej gromady ludzkiej, który by nie zdradził swych współwinowajców. Uczestnicy takich szajek nie tyle dbają o nagrody i drżą o swe ocalenie, co lękają się zdrady. Zdradzają sami chętnie i rychło, by nie być zdradzonymi. Że tajemnicy nie ujawniono, jest to najlepszym dowodem, iż istotnie jest ona tajemnicą. Okropność tego piekielnego czynu znana jest jednej lub dwu istotom ludzkim i Bogu.

Streśćmy teraz szczupły, lecz niezawodny plon naszej długiej analizy. Doszliśmy do przeświadczenia, iż albo targnięto się na życie pod dachem Madame Deluc, albo dopuszczono się zbrodni w gęstwinie koło Barrière du Roule i że sprawcą był kochanek lub przynajmniej zaufany i tajny towarzysz zmarłej. Ma on cerę śniadą. Ta cera, pętla opaski oraz „węzeł” zadzierzgnięty na wstążce od kapelusza każą domyślać się marynarza. Poufałość jego ze zmarłą, lekkomyślną, lecz bynajmniej nie znikczemniałą dziewczyną, dowodzi, iż jest czymś więcej niż zwykłym marynarzem. Za przypuszczeniem tym również przemawiają dobrze napisane i natarczywe komunikaty rozesłane do dzienników. Przypomniany przez „Le Mercurie” szczegół o pierwszej ucieczce każe skojarzyć tego marynarza z owym „oficerem marynarki”, o którym wiadomo, iż pierwszy sprowadził nieszczęśliwą na złe drogi.

I oto we właściwą porę nasuwa się pytanie, czym tłumaczyć sobie przewlekłą nieobecność tego człowieka o śniadej cerze. Trzeba tu zaznaczyć, iż cera jego jest smagła i śniada; nie była to zwykła śniadość, skoro zarówno dla Valence’a, jak dla Madame Deluc stanowiła jedyny

szczegół zapamiętany. Ale dlaczego ten człowiek jest nieobecny? Czy zginął z rąk szajki? Jeżeli tak, to czemuż pozostały ślady tylko po zabitej dziewczynie? Widownia obu zabójstw musiałaby być oczywiście ta sama. I gdzie są jego zwłoki? Zabójcy byliby z obojgiem postąpili najprawdopodobniej w ten sam sposób. Atoli mógłby ktoś powiedzieć, że ten człowiek żyje, lecz nie chce, żeby wiadano o nim, z obawy, iż mógłby być posądzony o zabójstwo. Wzgląd ten mógłby oddziaływać na niego teraz – w obecnym, późnym okresie – kiedy w śledztwie się okazało, iż widziano go w towarzystwie Marii, ale nie mógł mieć dlań znaczenia w okresie zbrodni. Pierwszy odruch niewinnego człowieka nakazywałyby mu donieść o przestępstwie, przyczynić się do odszukania złoczyńców. Skłoniłaby go do tego bodaj roztropność. Widziano go z dziewczyną. Przeplýwał z nią rzekę na odkrytym promie. Wskazanie zabójców wydawałoby się w takich okolicznościach nawet idiotcie najpewniejszym i jedynym sposobem uniknięcia podejrzeń. Nie możemy przypuścić, żeby nocą owej pamiętnej niedzieli nie tylko był niewinny, lecz także nic nie wiedział o popełnionej zbrodni. A jednak tylko w takim razie można by zrozumieć, dlaczego zaniedbał, jeżeli żyje, wskazać zabójców.

Jakimiż środkami rozporządzamy, by dowiedzieć się prawdy? Środki te będą się pomnażały i nabierały wyrazistości w miarę dalszych naszych postępów. Przesiejmy przez gęste sito historię pierwszej ucieczki. Poznajmy dokładnie owego „oficera”, okoliczności, w jakich obecnie się znajduje, i co porabiał, kiedy dokonywała się zbrodnia. Porównajmy starannie rozesłane do wieczornych dzienników różne komunikaty, których zadaniem było zwalić odpowiedzialność na szajkę. Zrobiwszy to, porównajmy styl, pismo i wygląd ich rękopisów z rękopisami listów rozesłanych poprzednio do dzienników prasowych, a oskarżających zapamiętane Mennais’go. Kiedy zaś to wszystko już będzie zrobione, przystąpmy do porównania tych komunikatów ze znanymi rękopisami tegoż oficera. Przesłuchajmy ponownie Madame Deluc, jej malców i konduktora omnibusu, Valence’a, ażeby dowiedzieć się więcej o powierzchowności i zachowaniu się „człowieka o śniadej cerze”. Za pomocą pytań umiejętnie zadawanych wydobędzie się niewątpliwie od

któregoś z tych świadków wiadomości dotyczące tego szczegółu (albo też innych) – wiadomości, z których posiadania ci świadkowie sami nie zdają sobie sprawy. Zajmijmy się potem sprawą łodzi złowionej przez przewoźnika w poniedziałek rano, dnia dwudziestego trzeciego czerwca, a zabranej następnie przez kogoś z urzędu portowego bez wiedzy służbowego urzędnika i bez steru, na krótko przed znalezieniem trupa. Przy odpowiedniej przezorności i wytrwałości zdołamy niezawodnie wysledzić tę łódź, gdyż pozna ją zapewne przewoźnik, który ją znalazł, a ponadto mamy ster w rękę. Steru żaglowej łodzi nie pozostawiłby na przepadłe człowiek, który ma czyste sumienie. Nasuwa się tu jeszcze jedno zagadnienie. Nie było zawiadomienia publicznego o znalezieniu tej łodzi. Po cichu ją sprowadzono do urzędu portowego i po cichu ją stamtąd zabrano. Czymże to jednak wytłumaczyć sobie, iż jej właściciel czy dzierżawca zdołał już we wtorek rano, bez zawiadomienia publicznego, dowiedzieć się, gdzie znajduje się łódź złowiona w poniedziałek – jeżeli nie przyjmiemy, że pozostaje on w jakimś stosunku do marynarki – w jakimś stosunku, osobistym i stałym, ułatwiającym znajomość drobiazgowych spraw i miejscowych nowinek?

Mówiąc o samotnym złoczyńcy, wlokącym swe brzemię ku rzece, napomknąłem już, że prawdopodobnie posłużył się łodzią. Możemy więc dorozumiewać się, że Marię Rogêt wyrzucono z łodzi. Odbył się to najzupełniej po prostu. Zwłok niepodobna było powierzyć płytkim wodom przybrzeżnym. Osobliwsze znamiona na plecach i barkach ofiary przypominają zebrowania na dnie łodzi. Umacnia w tym przeświadczeniu także ta okoliczność, iż do zwłok nie przywiązano ciężaru. Byłyby obciążone, gdyby je wrzucono z brzegu. Nie przytwierdzono ciężarów prawdopodobnie dlatego, iż zabójca nie był dość przezorny, by zaopatrzyć się w nie, zanim odbił od brzegu. Wrzucając trupa do wody, zauważył niezawodnie swe przeoczenie, ale nie miał nic pod ręką, by temu zaradzić. Wolał narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, niż powrócić do straszliwego brzegu. Pozbywszy się swego upiornego brzemienia, zabójca podążył pośpiesznie ku miastu. Wylądował zapewne w jakiejś niepozornej przystani. Czy jednak pomyślał o zabezpieczeniu łodzi? Zbyt się śpieszył,

żeby zajmować się takimi rzeczami. Przy tym, przywiązując łódź w przystani, byłby doznawał wrażenia, iż przytwierdza oto dowód, który go obwini. Najprostszą jego myślą było odtrącić możliwie najdalej od siebie wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z jego zbrodnią. Nie tylko sam pragnął ująć z przystani, ale też nie mógł pozwolić, żeby tam łódź pozostała. Najpewniej odepchnął ją od brzegu i puścił z prądem. Podążajmy dalej za naszą wyobraźnią. Nazajutrz rano nikczemnika ogarnął niewysłowiony lęk, gdy zobaczył, że łódź przytrzymano i odstawiono do miejsca, dokąd codziennie uczęszczał – do miejsca, w którym snadź musiał bywać z obowiązku. Następnego nocy zabrał ją, nie odważając się upomnieć o ster. Gdzież jest zatem ta łódź pozbawiona steru? Najpierwszym naszym zadaniem będzie ją odszukać. Zaświta jutrzeńka naszego powodzenia, skoro tylko czegoś się o niej dowiemy. Z chyżością, która nas samych zadziwi, poprowadzi nas łódź ta do człowieka, który posłużył się nią w nocy owej złowrogiej niedzieli. Dowody będą wynikały z dowodów i wpadniemy na trop zbrodniarza.

Dla powodów, których nie wymieniamy, lecz które są aż nadto jawne dla całej rzeszy naszych czytelników, pozwalamy sobie pominąć tę część dostarczonego nam rękopisu, która zawiera szczegółowy opis śledztwa, przeprowadzonego wedle nikłych na pozór poszlak wykrytych przez Dupina. Uważamy tylko za właściwe nadmienić, że cel pożądaný osiągnięto i że prefekt wywiązał się sumiennie, acz niechętnie ze swej umowy z Chevalierem. Mr. Poe kończy swą pracę następującymi słowami [27](#):

– Rozumie się samo przez się, iż mówię o zbiegu okoliczności i niczym więcej. To, co powiedziałem poprzednio o tym przedmiocie, winno wystarczyć. W głębi duszy nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Żaden człowiek myślący nie zaprzeczy, iż czym innym jest Bóg, a czym innym przyroda. Że Bóg, stworzywszy przyrodę, może nią wedle swej woli władać i ją przekształcać, to nie ulega również wątpliwości. Powiadam „wedle swej woli”, gdyż jest to zagadnienie woli, nie zaś, jak nedorzeczna logika przypuszcza, potęgi. Nie chodzi o to, jakoby Bóstwo nie mogło

zmienić swych praw, lecz o to, iż bluźnimy Mu, wyobrażając sobie, jakoby zmiany były potrzebne. Od samego początku prawa te były postanowione w ten sposób, iż ogarniały wszechmożliwości, jakie by mogła przynieść z sobą Przyszłość. Dla Boga wszystko jest Teraźniejszością.

Powtarzam zatem, iż mówię o tych rzeczach jedynie jako o zbiegach okoliczności. I dodam jeszcze: opowieść moja wykazuje, iż między dołą nieszczęsnej Marii Cecylii Rogers, przynajmniej o ile dola ta jest nam znana, a dołą niejkiej Marii Rogêt aż po pewien okres jej historii zachodzi tak przedziwnie dokładna równoległość, iż rozum pogrąża się w zakłopotaniu. Powiadam, iż zaznacza się to nader wyraziście. Wszelako niechaj nikt ani na chwilę nie przypuszcza, iż snując żalostną opowieść o Marii od chwili co tylko wspomnianej i śledząc osłaniającą ją tajemnicę aż do jej rozwikłania, zamierzałem skrycie uwydatnić rozciągłość tej równoległości lub chociażby poddać myśl, jakoby zarządzenia poczynione w Paryżu celem wykrycia zabójcy gryzетки albo też zarządzenia oparte na jakichkolwiek podobnych podstawach rozumowych mogły dać podobne wyniki.

Albowiem, o ile chodzi o drugą część tego przypuszczenia, trzeba zważyć, iż najdrobniejsza odmienność okoliczności w obu zdarzeniach mogłaby stać się przyczyną najzupełniej błędnego wnioskowania, gdyż wywołałaby zupełną rozbieżność między dwoma prądami wypadków. Stałoby się podobnie jak w arytmetyce, gdzie błąd, który sam w sobie może być nieznaczny, w dalszym przebiegu skutkiem oddziaływania wielokrotności staje się w końcu przyczyną wyniku niezmiernie odbiegającego od prawdy. Jeżeli zaś powrócimy jeszcze do części pierwszej, to nie można zapominać, że tenże sam rachunek prawdopodobień-

stwa, na który się powoływałem, zabrania wszelkiej myśli o rozciąganiu tej równoległości – zabrania jej ze stanowczością niezłomną i surową, ile że zgodność ta posiada już swą ścisłość i rozciągłość. Jest to jedna z tych zasad nieprawidłowych, które pozornie odwołują się do myśli niemającej nic wspólnego z matematyką, a jednak w całej pełni uznane być mogą tylko przez matematyków. Nie ma nic na przykład



trudniejszego niż przekonać niewtajemniczonego w te zagadnienia czytelnika, że jeżeli komuś grającemu w kości zdarzy się wyrzucić raz po raz szóstkę, to można założyć się o największą stawkę, iż za trzecim razem szóstki nie da się wyrzucić. Pomysł takiego następstwa zazwyczaj odtrąca intelekt od razu. Nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby dwa rzuty, już dokonane i pogrążone bezwzględnie w Przeszłości, mogły mieć wpływ na rzut, który istnieje dopiero w Przyszłości. Traf wyrzucenia szóstki wydaje się dokładnie takim samym jak kiedy indziej – to znaczy, zależnym tylko od wpływu różnych innych rzutów, które można wykonać kością. Refleksja ta ma pozory takiej niezawodnej oczywistości, iż przecząc jej, spotyka częściej drwiący uśmiech niż odruch pełnej poszanowania uwagi. Tego błędu – grubego błędu, trącającego szkodliwością – nie mogę wykazać w granicach, które na teraz sobie wytyczyłem; zresztą umysłem filozoficznym nie potrzeba go wykazywać. Dość będzie, gdy powiem, że stanowi on cząstkę nieskończonych szeregów pomyłek, które powstają na drodze Rozumu skutkiem właściwej mu skłonności do szukania prawdy w szczegółach.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> Przy pierwotnym ogłoszeniu drukiem opowiadania o Marii Rogêt dołączone obecnie przypiski mogły wydawać się zbyteczne. Upłynęło już jednak kilka lat od czasu, kiedy zdarzyła się tragedia, która posłużyła temu opowiadaniu za ośnowę, i okazała się potrzeba umieszczenia ich jako też dodania kilku słów wyjaśniających myśl przewodnią. W pobliżu Nowego Jorku padła ofiarą zbrodni młoda dziewczyna, Maria Cecylia Rogers, i aczkolwiek śmierć ta wywołała silne i długotrwałe zaniepokojenie, spowijającej ją tajemnicy nie zdołano przeniknąć do chwili, kiedy niniejsza nowela została napisana i pojawiła się w druku (listopad 1842). Pod płaszczykiem opowieści o losach gryzетки paryskiej autor wdał się tu w drobiazgowy wywód szczegółów istotnych, jako też równoległych z nimi szczegółów nieistotnych rzeczywistego zabójstwa

Marii Rogers. W ten sposób wszelkie dowodzenie oparte na zmyśleniu daje się zastosować do prawdy, zaś celem było właśnie poszukiwanie prawdy.

„Tajemnica Marii Rogêt” była pisana z dala od widowni zbrodni i bez żadnych innych środków śledczych prócz zebranych przygodnie dzienników. Wiele zatem szczegółów uszło uwagi autora, który byłby się z nimi zapoznał, gdyby był na miejscu i zajął osobiście do wszystkich zakątków. Wypada jednakowoż nadmienić, że zeznania dwu osób (z których jedną jest Madame Deluc z noweli), poczynione w różnych czasach i na długo przed ogłoszeniem opowieści, potwierdziły nie tylko wniosek ostateczny, lecz bezwzględnie wszystkie ważniejsze szczegóły hipotetyczne, które do wyprowadzenia tego wniosku posłużyły (przyp. aut.).

<sup>2</sup> Ofiara zbrodni wspomnianej w przypisku autora (przyp. tłum.).

<sup>3</sup> Nassau Street w Nowym Jorku (przyp. aut.).

<sup>4</sup> Anderson (przyp. aut.).

<sup>5</sup> Hudson (przyp. aut.).

<sup>6</sup> Weehawken (przyp. aut.).

<sup>7</sup> Payne (przyp. aut.).

<sup>8</sup> Crommelin (przyp. aut.).

<sup>9</sup> „The New York Mercury” (przyp. aut.).

<sup>10</sup> „The New York Brother Jonathan”, redagowany przez Mr. Hastingsa Welda (przyp. aut.).

<sup>11</sup> Nowojorski „Journal of Commerce” (przyp. aut.).

<sup>12</sup> Filadelfijska „Saturday Evening Post”, redagowana przez Mr. C.I. Petersona (przyp. aut.).

<sup>13</sup> Adam (przyp. aut.).

<sup>14</sup> Outré (fr.) – przesadne (przyp. red.).

<sup>15</sup> Zob. „Zabójstwo przy rue Morgue” (przyp. aut.).

<sup>16</sup> Parti pris (łac.) – z góry powzięta opinia (przyp. red.).

<sup>17</sup> „New York Commercial Advertiser”, redagowany przez płk. Stone’a (przyp. aut.).

<sup>18</sup> De lunatico inquirendo (łac.) – badanie mające wykazać, czy osoba badana jest chora umysłowo (przyp. red.).

<sup>19</sup> Teoria oparta na właściwościach jednego przedmiotu nie może osiągnąć rozwoju, który by pozwolił jej ogarnąć wszystkie wchodzące w jej skład przedmioty; kto zaś porządkuje zjawiska wedle ich przyczyn, ten przestaje je oceniać wedle ich wyników. Jakoż dowodzi prawodawstwo wszystkich narodów, iż prawa przestają być sprawiedliwością, kiedy staną się nauką i systemem. Błędy, w jakie ślepa uległość względem zasad klasyfikacji wtrąciła prawo zwyczajowe, nietrudno jest dostrzec, kiedy się zważy, jak często władze ustawodawcze musiały śpieszyć z pomocą słuszności, która zdążyła się zatracić w swych schematach (Landor) (przyp. aut.).

<sup>20</sup> „New York Express” (przyp. aut.).

<sup>21</sup> „New York Herald” (przyp. aut.).

<sup>22</sup> „New York Courier and Inquirer” (przyp. aut.).

<sup>23</sup> Mennais był jedną z osób, zrazu podejrzanych i aresztowanych; rychło go jednak uwolniono dla zupełnego braku dowodów (przyp. aut.).

<sup>24</sup> „New York Evening Post” (przyp. aut.).

<sup>25</sup> „New York Standard” (przyp. aut.).

<sup>26</sup> Et hinc illae irae (łac.) – i stąd te gniewy (przyp. red.).

<sup>27</sup> Przypisek redakcji czasopisma, w którym ta praca po raz pierwszy się ukazała (przyp. aut.).

# Skradziony list

*Nil sapientiae odiosius acumine nimio.*<sup>1</sup>

Seneka

**B** yło to w Paryżu, jesienią 18... roku. Pewnego burzliwego wieczora, wnet po nastaniu ciemności, zażywałem podwójnej rozkoszy zadumy i fajki piankowej, siedząc w towarzystwie mojego przyjaciela, C. A. Dupina, w jego niewielkiej bibliotece lub raczej wypełnionej książkami pracowni, na trzecim piętrze domu nr 33 przy rue Dunôt, Faubourg Saint-Germain. Już od jakiejś godziny zachowywaliśmy głębokie milczenie. Komuś, kto by nas wówczas przypadkowo podpatrzył, mogłoby się wydawać, iż jesteśmy wyłącznie i skrzętnie zajęci kłębiącymi się odmętami dymu, który przesycił atmosferę pokoju. Jeśli jednak chodzi o mnie, to roztrząsałem w duszy pewne zagadnienia, o których rozmawialiśmy poprzednio owego wieczora. Mam mianowicie na myśli zbrodnię przy rue Morgue oraz tajemnicę zabójstwa Marii Rogêt. Dopatrywałem się właśnie w nich niejakich zbieżności, gdy drzwi się otwarły i wszedł do pokoju dawny nasz znajomy, Monsieur G., prefekt policji paryskiej.

Powitaliśmy go serdecznie; człowiek ten miał bowiem w swej naturze tyleż właściwości ujmujących, co niegodnych, i nie widzieliśmy go już od kilku lat. Siedzieliśmy po ciemku, więc Dupin podniósł się z miejsca, by zapalić lampę, lecz usiadł znowu, gdy G. oznajmił, iż przyszedł poradzić się nas, a raczej zasięgnąć zdania mojego przyjaciela w pewnej sprawie urzędowej, która czyni mu mnóstwo kłopotu.

– Jeżeli jest to coś, co wymaga skupienia – powiedział Dupin, powstrzymując się od zapalenia światła – to będzie lepiej zastanowić się po ciemku.

– Jak widzę, uroił pan sobie jeszcze jedną dziwną mrzonkę – rzekł prefekt, dla którego wszystko, co nie mieściło się w jego pojęciu, było „dziwaczne”, więc plątał się przez całe życie wśród nieprzebranego mnóstwa „dziwaczności”.

– Istotnie – odparł Dupin, częstując swego gościa fajką i podsuwając mu wygodny fotel.

– A jakież to ma pan kłopot? – zapytałem. – Spodziewam się, iż nie chodzi o nowe zabójstwo?

– Och, nie, nic podobnego! Sprawa jest w rzeczywistości nader prosta i nie wątpię, iż poradzilibyśmy z nią sobie sami; ale przyszło mi na myśl, że Dupina zaciekawilyby jej szczegóły, ponieważ jest ogromnie dziwaczna.

– Prosta i dziwaczna – odezwał się Dupin.

– Ależ tak, chociaż mówiąc ściślej, nie w jednakiej mierze. To pewna, iż jesteśmy mocno zakłopotani, ponieważ ta sprawa, aczkolwiek taka prosta, zupełnie zbija nas z tropu.

– A może nadzwyczajna jej prostota wprowadza was w błąd? – zagadnął mój przyjaciel.

– Co za głupstwa pan gada! – odparł prefekt, śmiejąc się serdecznie.

– Może tajemnica jest nieco za przejrzysta? – rzekł Dupin.

– Na miłość boską! Czy kto słyszał kiedy coś podobnego?

– Może za bardzo leży jak na dłoni?

– Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! Ho, ho, ho! – rżał nasz gość, niezmiernie ubawiony. – Och, Dupin, ja umrę kiedyś przez pana!

– O cóż jednakże w końcu chodzi? – zapytałem.

– Owszem, powiem panom – odpowiedział prefekt i puszczając w zadumie nieustanne i gęste kłęby dymu, zasiadł w fotelu. – Opowiem wszystko w kilku słowach; lecz zanim rozpocznę, uważam za konieczne ostrzec panów, iż jest to sprawa wymagająca najgłębszej tajemnicy i że straciłbym najprawdopodobniej moje stanowisko, gdyby się dowiedziano, że mówiłem o niej komukolwiek.

– Proszę przystąpić do rzeczy – odezwałem się.

– Albo nie – rzekł Dupin.

– Więc będę mówił! Zawiadomiono mnie, i to z bardzo wysokich sfer, iż z pokojów królewskich skradziono nadzwyczaj ważny dokument. Wiadomo, kto skradł; nie ulega to wątpliwości; widziano, jak go zabrał. Wiadomo również, iż dokument ten znajduje się wciąż jeszcze w jego posiadaniu.

– Skądże to wiadomo? – zapytał Dupin.

– Wynika to niezawodnie z treści dokumentu oraz stąd, iż nie było pewnych następstw, które musiałyby od razu się objawić, gdyby przestał

znajdować się w posiadaniu złodzieja – to znaczy, gdyby został tak użyty, jak tenże w końcu użyć go zamierza.

– Proszę wyrazić się jaśniej – rzekłem.

– Dobrze, posunę się tak daleko, iż dodam, że ten papier użycza osobie, która nim się wykaże, pewnej władzy w pewnym miejscu, gdzie ta władza jest niezmiernie cenna.

Prefekt był wielbicielem cantu dyplomatycznego.

– Niezupełnie jeszcze rozumiem – przemówił Dupin.

– Nie? A więc, o ile by dokument ten stał się dostępny komuś trzeciemu, którego nazwiska nie wymienię, to mógłby wyniknąć stąd uszczerbek czci dla osoby wysoce dostojnej; skutkiem tej okoliczności przywłaszczyciel tego dokumentu ma przewagę nad ową dostojną osobą, której spokój i cześć są wielce narażone.

– Wszelako ta przewaga – przerwałem – zależy od tego, czy złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzonej. Któż by śmiał...

– Złodziejem – odparł prefekt – jest minister D., który odważa się na wszystko... na rzeczy godne i niegodne mężczyzny. Sposób kradzieży był nie mniej pomysłowy jak zuchwały. Dokument ów – powiedzmy otwarcie, list – otrzymała osoba okradzona, kiedy znajdowała się sama w buduarze królewskim. Zajęta była właśnie czytaniem tego listu, gdy przeszkodziło jej nagłe wejście innej dostojnej osoby, przed którą przede wszystkim pragnęła go ukryć. Na próżno starała się pośpiesznie wrzucić go do szuflady i musiała w końcu położyć go na stole tak, jak był otwarty, wszelako odwróciła go adresem do góry, treść zatem nie była widoczna i nie zwracała uwagi. Kiedy to się działo, wszedł minister D. Jego rysie oczy natychmiast dostrzegły ten papier; poznał pismo na adresie, zauważył zmieszanie osoby, do której list był pisany, i przeniknął jej tajemnicę. Załatwiwszy na łeb, na szyję, jak to zwykł czynić, kilka spraw, wyjął jakiś list, nieco podobny do leżącego na stole, otworzył go, udał, że czyta, i położył tuż obok poprzedniego. Po czym znów rozmawiał przez jakieś piętnaście minut o sprawach publicznych. W końcu pożegnał się i wziął ze stołu list, który do niego nie należał. Widziała to osoba

poszkodowana, ale nie śmiała przecie mówić o tym, co się stało, w obecności osoby trzeciej, stojącej u jej boku. Minister wyszedł, pozostawiając na stole swój list, pisany w jakiejś błażej sprawie.

– Masz zatem – rzekł Dupin do mnie – właśnie to, o co ci chodzi, by przewaga była zupełna; mianowicie złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzonej.

– Tak jest – potwierdził prefekt – zaś władzę w ten sposób zdobytą wyzyskuje od kilku miesięcy dla swych celów politycznych w rozmiarach wprost niebezpiecznych. Osoba poszkodowana z dnia na dzień utwierdza się w przekonaniu, iż trzeba będzie odzyskać ten list. Nie można jednak zrobić tego jawnie. W końcu, doprowadzona do rozpacz, zwróciła się w tej sprawie do mnie.

– Bo czyż można było – rzekł Dupin, nurzając się w istnym obłoku dymu – wyszukać lub bodaj wyobrazić sobie urzędnika równie roztropnego?

– Pochlebia mi pan – odpowiedział prefekt – wszelako jest rzeczą możliwą, iż istotnie utarła się o mnie taka opinia.

– To pewne – powiedziałem – iż spostrzeżenie pańskie jest słuszne i że list ten znajduje się jeszcze w posiadaniu ministra; bowiem posiadanie tego listu, nie zaś jego użycie, zapewnia władzę. Gdyby go zużytkował, władza by pierzchła.

– Istotnie – odparł G. – i w tym przeświadczeniu przystąpiłem do rzeczy. Zająłem się przede wszystkim przeszukaniem pałacu ministra, zaś kłopot sprawiała mi głównie konieczność szukania bez jego wiedzy. Poza tym musiałem mieć się na baczności przed niebezpieczeństwem, jakie by wynikło, gdyby dostarczyło się mu powodu do podejrzenia naszych zamiarów.

– Ależ – napomknąłem – w tej dziedzinie jest pan jak u siebie w domu! Policja paryska niejednokrotnie już czyniła takie poszukiwania.

– Właśnie, i dlatego nie zwątpiłem. Przy tym nawyknięcia ministra wielce ułatwiają mi zadanie. Często nie bywa w domu całymi nocami. Służbę ma niezbyt liczną. Sypia ona dość daleko od pokojów swego pana i składa się głównie z neapolitańczyków, których łatwo spoić. Wiecie



panowie zapewne, iż mam klucze, którymi można otworzyć wszystkie pokoje i skrytki w całym Paryżu. Od trzech tygodni nie było ani jednej nocy, żebym osobiście nie szperał w pałacu D. Chodzi tu o mój honor, a przy tym – wyznam panom w wielkiej tajemnicy – nagroda jest olbrzymia. Toteż nie ustawałem w poszukiwaniach, aż przekonałem się niezawodnie, iż złodziej jest przebieglejszy ode mnie. Mniemam, iż przetrząsałem w całym domu wszystkie kąty i zakamarki, w których można ukryć papier.

– Czy wszakże nie byłoby rzeczą możliwą – zauważyłem – żeby ten list, acz znajdujący się niewątpliwie w posiadaniu ministra, był jednakże schowany gdzie indziej niż w jego własnym mieszkaniu?

– Nie, to niemożliwe! – odezwał się Dupin. – Szczególniejszy obecnie stan spraw dworskich, przede wszystkim zaś intryg, w które D., jak wiadomo, jest wplątany, sprawia, iż natychmiastowe zużytkowanie tego dokumentu – możliwość okazania go w każdej chwili – jest niemal równie ważne, jak samo posiadanie.

– Możliwość okazania go każdej chwili? – zagadnąłem.

– Aby można go zniszczyć, gdy zajdzie potrzeba – odpowiedział Dupin.

– To prawda – rzekłem. – Papier znajduje się zatem niewątpliwie w mieszkaniu. Bo żeby minister przechowywał go przy sobie, o tym chyba nie może być mowy.

– Istotnie – odezwał się prefekt – dwukrotnie był zatrzymywany niby to przez rzezimieszków, przy czym przetrząsnęto dokładnie całą jego odzież pod moim osobistym nadzorem.

– Mógł pan sobie oszczędzić tego kłopotu – powiedział Dupin. – D., jak sądzę, jeszcze nie całkiem ma bzika, przewidział zatem te napaści jako rzecz nieuniknioną.

– Jeszcze nie całkiem ma bzika – powtórzył G. – ale jako poeta niedaleki jest od niego.

– Zapewne – odparł Dupin, puszczając po długim namyśle kłąb dymu z fajki – aczkolwiek ja także mam na sumieniu jakieś tam wierszydła.

– Czy mógłby pan nam opowiedzieć szczegółowo o swych poszukiwaniach? – spytałem.

– Mogę zaręczyć, że nie marnowaliśmy czasu i szukaliśmy wszędzie. Nabrałem dużo doświadczenia w tych sprawach. Przetrzęsaliśmy budynek, pokój po pokoju, poświęcając na każdy wszystkie noce całego tygodnia. Zbadaliśmy najpierw meble. Pootwieraliśmy wszystkie możliwe szuflady, a zapewne wiecie panowie, iż dla dobrze wyćwiczonego agenta policyjnego skrytki nie istnieją. Byłby kpem, gdyby przy podobnych szperaniach jaka „skrytka” uszła jego uwagi. To rzecz taka prosta! W każdym pokoju ma się do obliczenia pewną ilość brył przestrzeni. Są na to dokładne prawidła. Nie można się omylić ani o włos. Po pokojach przyszła kolej na krzesła. Poduszki przeszukaliśmy za pomocą cienkich, długich igieł. Pokazywałem już panom, jak to się robi. Ze stołów zdejmowaliśmy wierzchy.

– Po co?

– Zdarza się, iż ludzie chcący coś ukryć zdejmują wierzch stołu lub podobnie sporządzonego mebla, po czym wydrążają nogę, chowają ów przedmiot w wydrążeniu i przytwierdzają wierzch z powrotem. W podobny sposób przeszukuje się również od góry i dołu nogi u łóżek.

– A czy nie można znaleźć takiego wydrążenia za pomocą opukiwania? – zapytałem.

– Bynajmniej, jeżeli ktoś, wkładając przedmiot, owinie go grubo watą. Przy tym musieliśmy unikać wszelkiego hałasu.

– Przecież nie mogliście rozbierać – nie mogliście rozkładać na kawałki wszystkich mebli, które nadawałyby się do urządzenia schowka w sposób przez pana wspomniany! List można zwinąć w cienką rurkę spiralną, nieróżniącą się kształtem ni rozmiarem od wielkiej iglicy do dzierzgania, i umieścić na przykład w poręczy krzesła. Czyście rozbierali wszystkie krzesła?

– Oczywiście, że nie; lecz poradziliśmy sobie inaczej – zbadaliśmy poręcze wszystkich krzeseł w pałacu oraz spojenia wszystkich mebli za pomocą silnych szkieł powiększających. Wszelkie ślady jakichkolwiek niedawnych zmian bylibyśmy dostrzegli niezawodnie. Jedna drobna trocinka pozostała po użyciu świderka byłaby przybrała rozmiary jabłka.

Dość byłoby najmniejszej niedokładności w sklejeniu – jakiegokolwiek nieszczelności w spojeniu, a bylibyśmy zaraz odnaleźli skrytkę.

– Przypuszczam, iż obejrzelicie lustra, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie zachodzą za ramy, że przeszukaliście łóżka, kapy jako też portiery i dywany.

– Oczywiście, kiedy zaś przejrzeliliśmy najdokładniej całe urządzenie mieszkania, przystąpiliśmy do zbadania samego domu. Podzieliliśmy całą powierzchnię na odcinki i oznaczyliśmy je liczbami, aby żadnego nie pominąć; po czym badaliśmy kolejno za pomocą szkieł powiększających każdy cal kwadratowy pałacu oraz obu domów przyległych.

– Obu domów przyległych? – zawołałem. – Ależ to było połączone z ogromnym trudem!

– Zapewne, lecz nagroda, którą mi obiecano, jest także ogromna.

– A nie pominęliście ziemi dokoła domów?

– Wszystkie podwórza są wybrukowane ceglami. Nie mieliśmy z nimi zbyt wiele kłopotu. Zbadaliśmy mech między ceglami i przekonaliśmy się, że był nietknięty.

– Przejrzelicie oczywiście papiery ministra i książki w bibliotece?

– Tak jest, przeglądaliśmy wszystkie zwitki i pliki; otwieraliśmy wszystkie książki i odwracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie, nie zadowolając się bynajmniej samym tylko potrząśnięciem, jak to czynią niektórzy oficerowie naszej policji. Mierzyliśmy również najdokładniej grubość każdej okładki i poddawaliśmy je nieubłaganemu badaniu przez szkła powiększające. Gdyby w którejkolwiek okładce umieszczono jakiś przedmiot, to nie byłby on na pewno uszedł naszej uwagi. Pięć czy sześć tomów, które tylko co wyszły z pracowni introligatorskiej, przeszukaliśmy iglicami.

– Czy badaliście posadzki pod kobiercami?

– Niewątpliwie. Zdejmowaliśmy wszystkie dywany i oglądaliśmy deski przez szkła powiększające.

– A tapety na ścianach?

– Tak jest.

– Zajrzeliście do piwnic?

– Oczywiście.

– Zatem – rzekłem – jest pan na błędnym tropie; tego listu nie ma w pałacu, jak panu się zdaje.

– Obawiam się, że ma pan słuszość – odparł prefekt. – Cóż teraz robić, panie Dupin?

– Przeszukać jeszcze raz cały pałac.

– Ależ to jest najzupełniej bezcelowe! – zawołał G. – Ręczę własną głową, że tego listu nie ma w pałacu.

– Nie mogę dać panu lepszej rady – rzekł Dupin. – Zapewne ma pan dokładny opis tego listu?

– O, tak! – I wyjąwszy notatnik z kieszeni, prefekt jął czytać głośno szczegółowy opis wewnętrznego, zaś przede wszystkim zewnętrznego wyglądu zaginionego dokumentu. Przeczytawszy ten opis, pożegnał się wkrótce i odszedł z takim wyrazem przygnębienia, jakiego przedtem nie zdarzyło mi się u niego widzieć.

W jakiś miesiąc później odwiedził nas powtórnie i zastał mniej więcej przy tych samych zajęciach. Przyjął podaną fajkę i usiadłszy w fotelu, jął gawędzić o rzeczach potocznych. W końcu zagadnąłem:

– No, a cóż słyhać o skradzionym liście? Sądzę, iż w końcu pogodził się pan z myślą, że to niełatwa rzecz podołać ministrowi.

– Bodaj go licho wzięło! Wszelako zrobiłem, co radził Dupin, i przetrząsałem wszystko raz jeszcze – ale cała praca poszła na marne, jak to zresztą przewidywałem z góry.

– Ile wynosi naznaczona nagroda? Pan coś mówił... – rzekł Dupin.

– No... jest duża, bardzo hojna – ale nie mogę dokładnie powiedzieć... To tylko powiem, że gotów byłbym dać czek na pięćdziesiąt tysięcy franków człowiekowi, który by mi postarał się o ten list. Z dnia na dzień nabiera on coraz większego znaczenia. Nagrodę w ostatnich czasach podwojono. Lecz gdyby ją nawet potrojono, nie mógłbym nic więcej zrobić, niż zrobiłem.

– Czemu by nie? – mówił Dupin przeciągle, pykając swą piankową fajkę. – Naprawdę mnie się zdaje, że pan się nie wyteżył, nie dotarł do dna tej sprawy. Mógł pan zrobić... nieco więcej. Tak mi się zdaje, nie?

– Co? W jaki sposób?

– Ależ – puf, puf – mógłby pan – puf, puf – zasięgnąć rady, he? – puf, puff, puff. – Pamięta pan anegdotkę o Abernethym?

– Nie! Do diabła z Abernethym!

– Nic nie mam przeciw temu! Niechaj będzie do diabła, jeśli pan tak chce. Otóż zdarzyło się raz, że pewien bogaty skąpiec powziął zamiar wykpienia od tegoż Abernethy'ego porady lekarskiej. By cel ten osiągnąć, związał z nim w przygodnym towarzystwie rozmowę, w której opowiedział mu o swych własnych niedomaganiach, mówiąc niby to o jakimś zmyślonym chorym. „Przypuśćmy – mówił skąpiec – że objawy są takie a takie. Cóż by pan przepisał, panie doktorze?” „Co? – odparł Abernethy. – Poradziłbym mu, oczywiście, żeby się poradził”.

– Ależ – odezwał się prefekt nieco zmieszany – jestem najzupełniej gotów zasięgnąć porady i za nią zapłacić. Ofiarowałbym naprawdę pięćdziesiąt tysięcy franków osobie, która by mi dopomogła w tej sprawie.

– W takim razie – odparł Dupin, otwierając szufladę i wyjmując z niej książeczkę czekową – niechże pan wypełni mi czek na tę sumę. Skoro pan go podpisze, wręcę panu list.

Oślupiałem. Prefekt był po prostu spiorunowany. Na chwilę znieruchomiał i oniemiał. Rozchyliwszy usta, spoglądał niedowierzająco na mojego przyjaciela, a oczy jego zdawały się występować z orbit. Po czym, odzyskawszy w niejkiej mierze panowanie nad sobą, uchwycił pióro, zawahał się, spojrział kilka razy czczym wzrokiem, lecz w końcu wypełnił i podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy franków. Dokonawszy tej formalności, podał go przez stół Dupinowi. Ten przejrzał go uważnie i włożył do swego portfela. Następnie otworzył sekretarzyk, wyjął stamtąd list i wręczył go prefektowi. Urzędnik uchwycił go, nieprzytomny z radości, rozłożył drżącymi rękami, powiódł oczyma po jego treści, rzucił się z rozmachem ku drzwiom i wybiegł bez ceremonii z pokoju, nie rzekłszy ani słowa od chwili, kiedy Dupin zagadnął go o podpisanie czeku.

Po jego odejściu przyjaciel mój jał wyluszczać przebieg sprawy.

– Policja paryska – mówił – jest nadzwyczaj biegła w swym zawodzie. Urzędnicy jej są wytrwali, pomysłowi, chytry i doskonale obeznani z tymi gałęziami wiedzy, które należą do zakresu ich obowiązków. Toteż gdy G. opowiedział nam, w jaki sposób przetrząsano pałac D., byłem najzupełniej przeświadczony, że poszukiwania odbyły się należycie – w tej mierze, na jaką było go stać.

– W tej mierze, na jaką było go stać? – zagadnąłem.

– Tak jest – odparł Dupin – poczynione zarządzenia były nie tylko najlepsze w swoim rodzaju, lecz także doprowadzone do ostatecznej doskonałości. Gdyby list ów znajdował się w zasięgu ich poszukiwań, to byłiby go niewątpliwie znaleźli.

Uśmiechnąłem się tylko, aczkolwiek zdawał się mówić to najzupełniej poważnie.

– Zarządzenia zatem – mówił dalej – były dobre w swym rodzaju i dobrze wykonane; wadliwość ich polegała na tym, iż nie dawały się zastosować ani do człowieka, ani do wypadku, o który chodziło. Pewien zestrój nadzwyczaj pomysłowych środków stanowi dla prefekta rodzaj łoża Prokrusta, w które wtłacza przemocą swe zamierzenia. Wszelako myli się nieustannie, gdyż jest albo za głęboki, albo za płytki dla sprawy, którą się zajmuje, i wielu uczniów rozumuje lepiej od niego. Znałem pewnego ośmioletniego chłopca, którego powodzenia w odgadywaniu przy grze „para, nie-para” wywoływały podziw powszechny. Gra ta jest łatwa; używa się do niej krągłych kamyczków. Jeden z graczy trzyma w garści pewną ilość tych kamyczków i zapytuje drugiego, czy liczba ich jest parzysta, czy nieparzysta. Jeżeli zgadujący odpowie trafnie, to zyskuje jeden kamyczek, jeżeli zaś się pomyli, to jeden traci. Chłopczyk, o którym nadmieniałem, wygrał wszystkie kamyczki w całej szkole. Odgadywał on wedle pewnej zasady, która polegała tylko na spostrzegawczości i na przystosowaniu się do bystrości swych przeciwników. Kiedy na przykład przeciwnik jego był skończonym głuptasem i podniósłszy zaciśniętą rękę, pytał: „Para czy nie-

-para”, dzieciak odpowiadał: „Nie-para” i przegrywał. Wszelako za następnym razem już wygrywał, gdyż powiadał sobie w duszy: „Głuptas

przy pierwszej kolejce wziął w rękę parzystą ilość kamyczków, ale jego przebiegłość sięga zaledwie tak daleko, iż za drugą kolejką weźmie nieparzystą, powiem zatem: »nie-para«; mówi tak i wygrywa. Natomiast mając do czynienia z przeciwnikiem nie tak ograniczonym, rozumował w ten sposób: „Ten chłopiec wie, iż za pierwszym razem powiedziałem: »nie-para«, kiedy więc kolej przyjdzie na drugi, zaświta mu w pierwszej chwili myśl najprostszej odmiany, mianowicie, by po parze wziąć nie parę, jak to uczynił pierwszy głuptas; wszelako później pomyśli sobie, że ta odmiana zbyt jest prosta, i ostatecznie weźmie ilość parzystą, jak poprzednio. Będę zatem zgadywał: »para«”. Powiada: „para” i wygrywa. Otóż ten sposób rozumowania, którzy koledzy uczniaka nazywali: „szczęściem” – czymże jest, gdy go wyłuskamy do ostatka?

– Jest to po prostu – rzekłem – identyfikowanie się umysłu rozumującego ze swym przeciwnikiem.

– Istotnie – odparł Dupin – kiedy zaś zapytałem tego chłopca, w jaki sposób osiąga tę zupełną identyfikację, która stanowi o jego powodzeniu, odpowiedział: „Gdy chcę wiedzieć, w jakim stopniu jest ktoś mądry czy głupi, dobry lub zły, i co myśli w danej chwili, staram się możliwie najdokładniej uzgodnić wyraz mojej twarzy z wyrazem jego twarzy, a następnie śledzę, jakie myśli i uczucia rozbudzą się w moim mózgu i moim sercu, i niejako uzgodnią się i upodobnią do wyrazu przeze mnie przybranego”. Ta odpowiedź dziecka sięga dużo głębiej niż kłamane głębie przypisywane La Rochefoucauldowi, La Bruyère’owi, Machiavellemu i Campanelli.

– Zaś ta identyfikacja umysłu rozumującego z umysłem swego przeciwnika zależy – o ile dobrze cię pojmuję – od ścisłości, z jaką ocenia się intelekt tegoż przeciwnika.

– Praktyczne jej znaczenie zależy od tego warunku – odpowiedział Dupin. – Prefekt i jego podwładni myślą się tak często dlatego, iż po pierwsze, nie są zdolni do owej identyfikacji, po wtóre zaś, że przystosowują się niewłaściwie lub raczej nie przystosowują się wcale do intelektu, z którym mają do czynienia. Mają na oku tylko swe własne przebiegłe pomysły i kiedy szukają czegoś ukrytego, myślą tylko o tym, w

jaki sposób oni by je ukryli. Mają słusność o tyle, że ich pomysłowość jest wiernym obrazem pomysłowości tłumu; kiedy jednak chytrość występnej jednostki różni się swymi właściwościami od ich chytrości, złoczyńca bierze nad nimi górę. Zdarza się to zawsze, gdy przewyższa ich przebiegłością, i nader często, gdy im w niej nie dorównywa. Nie umieją zmieniać zasad, na których opierają swe dochodzenia śledcze; w najlepszym razie, kiedy przynagli ich jakaś ostateczna konieczność, jakaś niezwykajna nagroda, przeholowują do przesady swe dawne sposoby praktyczne, nie tykając przy tym swych zasad. Co na przykład uczyniono, kiedy chodziło o sprawę ministra D., by zastosować zmienione zasady działania? Czymże jest to wiercenie, przetrząsanie, sondowanie, badanie za pomocą szkieł powiększających, rozkładanie powierzchni budynku na ponumerowane całe kwadratowe – czymże jest to wszystko, jeśli nie przesadą w zastosowaniu jednej zasady czy też całej więzi zasad śledczych opartych na jedynym skojarzeniu pojęć o pomysłowości ludzkiej, do którego prefekt nawykł w długoletniej rutynie służbowej? Czyś nie zauważył, iż dla niego jest rzeczą dowiedzioną, jakoby wszyscy ludzie, którzy chcą ukryć jakiś list, posługiwali się – jeśli niekoniecznie otworem wywierconym w nodze od krzesła, to przynajmniej jakimś otworem czy kryjówką nadzwyczaj osobliwą, a podsuniętą przez to samo skojarzenie myśli, które zniewala do chowania listów w otworach wywierconych w nodze od krzesła? I czy nie zdajesz sobie sprawy, że takie wyszukane skrytki bywają używane w pospolitych okolicznościach i przez umysły pospolite, gdyż ilekroć chodzi o jakąś rzecz ukrytą, wszelki wyszukany sposób jej ukrycia od razu daje się odgadnąć i bywa też zawsze odgadywany; toteż znalezienie jej bynajmniej nie zależy od przenikliwości, lecz tylko od pilności, cierpliwości i stanowczości szukającego. Kiedy jednak chodzi o rzecz ważną lub o coś, co w oczach policji ma to samo znaczenie, mianowicie o szcudrą nagrodę, wszystkie te zalety na pewno zawodzą. Sądzę, iż zrozumiesz teraz, co miałem na myśli, powiadając, iż gdyby skradziony list był ukryty w zasięgu poszukiwań prefekta – czyli, wyrażając się innymi słowy, gdyby zasada jego ukrycia mieściła się w zasadach prefekta, to odszukanie jego nie



nasuwałoby bynajmniej wątpliwości. Tymczasem urzędnik ten dał się najzupełniej zbić z tropu, a pierwotnej przyczyny jego porażki należy szukać w przeświadczeniu, że minister ma bzika, ponieważ dał się poznać jako poeta. Wszystkie półgłówki są poetami wedle mniemania prefekta – i cała jego pomyłka polega na *non distributio medi*<sup>2</sup>, na wysnutym stąd wniosku, iż wszyscy poeci są półgłówkami.

– Jestże on naprawdę poetą? – spytałem. – O ile wiem, ma brata, który również zasłynął na polu literackim. Minister podobno znany jest z cennej pracy o rachunku różniczkowym. Jest zatem matematykiem, a nie poetą.

– Mylisz się, znam go dobrze; jest jednym i drugim. Jako poeta i matematyk nawykł do ścisłego rozumowania. Gdyby był tylko matematykiem, nie rozumowałby wcale i byłby zdany na łaskę prefekta.

– Zdziwiasz mnie – rzekłem – tymi poglądami, które pozostają w sprzeczności z powszechnie przyjętą opinią. Sądzę, iż nie zamierzasz unicestwić przeświadczeń ustalonych przez wieki. Rozum matematyczny uchodzi od dawna za rozum par excellence.

– *Il y a à parier* – odparł Dupin, cytując Chamforta – *que toute idée publique, toute convention reçue, est une sottise, car elle a convenu au plus grand nombre*<sup>3</sup>. Zgadza się z tobą, że matematycy przyczynili się wielce do rozpowszechnienia utartego błędu, o którym mówisz, a który mimo to jest błędem, uważanym za prawdę. Z artyzmem godnym lepszej sprawy przyzwyczaili nas, na przykład, do używania słowa „analiza” w zastosowaniu do algebry. Francuzi pierwsi dali początek temu pomieszaniu pojęć, a jednak, jeżeli słownictwo ma jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli słowa wyprowadzają swą wartość z zastosowania, to analiza odpowiada algebrze mniej więcej w tej samej mierze co łacińskie słowo *ambitus* – ambicji, *religio* – religii lub *homines honesti* – zespołowi ludzi szanowanych.

– Coś mi się zdaje, że będziesz miał zatarg z niejednym algebraikiem paryskim, ale mów dalej.

– Podaję w wątpliwość znaczenie, a wraz z nim wartość rozumu kształconego w jakiś inny sposób niż abstrakcyjno-logiczny. W

szczegółności zaś podaję w wątpliwość rozum wykształcony na studiach matematycznych. Wiedza matematyczna jest nauką formy i wielości, zaś rozumowanie matematyczne najzwyczajniejszą logiką, zastosowaną do badania kształtu i wielości. Wielki błąd tkwi w mniemaniu, jakoby pewniki algebry – tak zwanej czystej – były pewnikami abstrakcyjnymi czy powszechnymi. Zaś błąd ten jest tak ogromny, iż słuپیę nad jednomyślnością, z jaką go przyjęto. Pewniki matematyczne nie są pewnikami prawdy powszechnej. Co jest prawdą względności – formy i wielości – to bywa często grubym błędem, na przykład w dziedzinie nauk moralnych. W dziedzinie tej zazwyczaj jest nieprawdą, iż części składowe równają się całości. W chemii pewnik ten również zawodzi. Nie dopisuje także, gdy chodzi o czynniki ruchowe, jeżeli bowiem dwa czynniki ruchowe, których siły są znane, połączymy razem, to otrzymana w ten sposób siła wypadkowa niekoniecznie musi się równać sumie sił składowych. Jest jeszcze wiele innych prawd matematycznych, które są prawdziwe tylko w granicach względności. Atoli matematyk wnioskuje nawykowo wedle swych prawd ograniczonych, jak gdyby miały one zastosowanie absolutne i nieograniczone – co zresztą powszechnie im się przyznaje. Bryant w swej nader cenionej *Mitologii* wspomina o podobnym źródle błędu, mówiąc, iż „jakkolwiek nikt nie wierzy w baśnie pogańskie, to jednak zapomina się o tym nieustannie i wyprowadza się z nich wnioski, jak gdyby z istniejącej rzeczywistości”. Jakoż algebraicy, którzy sami są poganami, wierzą w „baśnie pogańskie” i wyprowadzają z nich wnioski nie tyle dlatego, że im pamięć nie dopisuje, ile z powodu niepojętej zaśniedziałości mózgów. Słowem, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać czystego matematyka, na którym można by polegać poza jego równaniami i pierwiastkami lub który by nie uznawał potajemnie za dogmat swej wiary, iż  $x^2+px$  równa się bezwarunkowo i absolutnie  $q$ . Spróbuj powiedzieć któremuś z tych panów, jeżeli cię to bawi, iż zdaniem twoim mogą zajść okoliczności, kiedy  $x^2+px$  niekoniecznie równać się będzie  $q$ , jednakże powiedziawszy, co masz na myśli, usuń się mu co rychlej i najuprzejmiej spod ręki, gdyż na pewno będzie chciał cię grzmotnąć.

– Chcę przez to powiedzieć – mówił dalej Dupin, któremu przerwałem na chwilę, śmiejąc się z tych jego spostrzeżeń – iż gdyby minister był tylko matematykiem, to prefekt nie byłby musiał wręczyć mi tego czeku. Wiem jednakże, iż jest matematykiem i zarazem poetą, więc przystosowałem swe postępowanie do jego uzdolnień, uwzględniając przy tym okoliczności, w jakich się znajdował. Wiem również, iż jest dworakiem i zuchwałym intrygantem. Niepodobna, żeby taki człowiek – pomyślałem sobie – nie znał zwyczajnych policyjnych metod działania. Zapewne przewidział – a wypadki późniejsze potwierdziły, iż przewidział istotnie – przygotowane na niego zasadzki. Musiał się liczyć – rozumowałem – z tajemnymi poszukiwaniami w swym pałacu. Nie bywał często nocami w domu, co prefekt powitał jako niezawodną zapowiedź swego powodzenia, ja zaś uważałem tylko za podstęp zmierzający do tego, by ułatwić policji szczegółowe szperanie i tym rychlej wpoić w nią przeświadczenie, do którego G. istotnie doszedł, iż listu w pałacu nie ma. Wyczułem również, iż cały ten tok myśli, o których ci tylko co nadmieniałem, a które odnoszą się do nieodmiennych zasad czynności policyjnych przy poszukiwaniu ukrytych przedmiotów – wyczułem, powtarzam, iż cały ten tok myśli przemknął niezawodnie przez umysł ministra. Musiało go to stanowczo skłonić do wyrzeczenia się wszelkich kryjówek zwyczajnych. Niepodobna – rozumowałem – żeby był taki słaby i nie wiedział, iż najnieodostępniejsze i najtajemniejsze skrytki jego pałacu będą równie jawne jak najpospolitsze schowki dla oczu, iglic, świdrów i szkieł powiększających prefekta. W końcu uświadomiłem sobie, że nieodzownie będzie musiał dążyć do prostoty, jeżeli nie rozmyślnie, to z wrodzonego upodobania. Może jeszcze pamiętasz, jak do rozpuku śmiał się prefekt, kiedy za pierwszą jego bytnością wyraziłem się, że owa zagadka może dlatego jest tak bardzo kłopotliwa, iż zanadto leży jak na dłoni.

– Tak jest – odparłem – przypominam sobie, jaką miał uciechę. Myślałem już, że dostanie drgawek.

– Świat materialny – wyłuszczał dalej Dupin – pełen jest nader ścisłych analogii ze światem niematerialnym i stąd to pochodzi, iż

niejakie zabarwienie prawdy posiada ów dogmat retoryczny, który utrzymuje, iż przenośnia czy porównanie nadają się równie dobrze do poparcia jakiegoś argumentu jak do upiększenia jakiegoś opisu. Zasada tak zwanej *vis inertiae*<sup>4</sup> jest na przykład, jak się zdaje, jednakowa w dziedzinie fizycznej i metafizycznej. Nie mniej jest ona prawdziwa, kiedy utrzymuje, iż ciało większe trudniej jest puścić w ruch niż ciało mniejsze i że wynikłe stąd *momentum* jest wprost proporcjonalne z ową trudnością – jak kiedy twierdzi, iż umysły o rozleglejszej zdolności pojmowania, ponieważ są zarazem możniejsze, krzepsze i bardziej nieobliczalne w swych poruszeniach niż umysły niższego rzędu, trudniej też dają się wprawić w ruch oraz większym ulegają wahaniom i nieomogom w pierwszych początkach swego postępu. Albo też: czyś kiedy zastanawiał się, jakie godła sklepowe najwięcej zwracają uwagę?

– Nie przyszło mi to nigdy na myśl – odparłem.

– Istnieje gra polegająca na odgadywaniu, do której używa się mapy. Jeden z graczy domaga się od drugiego, by odnalazł jakieś słowo – nazwę miasta, rzeki, kraju lub państwa – na prostrej i pogmatwanej płaszczyźnie mapy. Ktoś, kto jeszcze nie umie grać, na ogół stara się wprowadzić w zakłopotanie swych przeciwników, zadając im do odgadnięcia nazwy uwidocznione najdrobniejszym drukiem, natomiast gracz doświadczony wybiera słowa rozwleczone, nakreślone wielkimi literami od jednego krańca mapy do drugiego. Uchodzą one uwagi podobnie jak godła i plakaty uliczne wypisane nadmiernie wielkimi głoskami, gdyż są zanadto widoczne. Otóż to przeoczenie fizyczne jest joto w jotę podobne do roztargnienia psychicznego, które sprawia, iż umysł nie ogarnia spostrzeżeń zbyt namacalnie i wyraźnie oczywistych. Wszelako jest to przejaw, który – jak się zdaje – znajduje się powyżej czy poniżej umysłowości prefekta. Nie wydawało mu się nigdy rzeczą prawdopodobną lub bodaj możliwą, żeby minister mógł umieścić ów list wprost na oczach całego świata i w ten sposób najniezawodniej uczynić go niewidzialnym dla pewnych jednostek, zaliczających się do tegoż świata.

W miarę jednak jak zastanawiałem się nad śmiałą, rzutką i przezorną umysłowością ministra D., nad tym, iż dokument ów musiał mieć zawsze

pod ręką, o ile chciał go użyć we właściwej chwili, wreszcie nad niewzruszoną pewnością, z jaką utrzymywał prefekt, iż nie jest on dostępny dla zwykłych jego poszukiwań – tym silniejszego nabierałem przeświadczenia, iż minister, chcąc ukryć ów list, wpadł na przenikliwy i roztropny pomysł, by nie ukrywać go wcale.

Mając głowę nabitą tymi refleksjami, zaopatrzyłem się w zielone okulary i pewnego pięknego poranka zaszedłem niby to przypadkiem do pałacu ministerialnego. D. był w domu – jak zwykle ziewający, rozleniwiony i rozpróżniaczony. Udawał, że po prostu zatracą się w bezmiarze nudy. Tymczasem jest to może najenergiczniejszy człowiek, jaki obecnie żyje na świecie – ale tylko wówczas, gdy nikt go nie widzi.

Żeby mu dorównać, jałem uskarżać się na słaby wzrok i ubolewać, że muszę używać okularów. Zajęty pozornie rozmową z mym gospodarzem, rozglądałem się spoza nich bacznie i skrzętnie po całym mieszkaniu.

Szczególniejszą baczność zwróciłem na duże biurko, przy którym siedział, zavalone bezładnie wszelkiego rodzaju listami oraz innymi papierami. Spomiędzy nich wyzierało kilka książek tudzież jeden czy dwa instrumenty muzyczne. Mimo długich i nader uważnych badań nie dostrzegłem tam jednak niczego, co by mogło wydawać się podejrzanym.

W końcu wzrok mój, błędząc po całym pokoju, zatrzymał się na niepozornym *porte-cartes*<sup>5</sup>, ozdobionym świecidełkami i zawieszonym za pomocą przybrudzonej niebieskiej wstążki na gwoźdźniku mosiężnym, który wysterczał nad gzymsem kominka. Ów *porte-cartes* miał trzy czy cztery przegródki, zawierające pięć lub sześć biletów wizytowych i jeden jedyny list. Był on mocno zabrudzony i pomiętoszony. Przedarto go przez środek niemal na dwoje i wyglądał, jak gdyby w pierwszej chwili chciano go podrzeć zupełnie niby rzecz bezwartościową, lecz później zamiar ten zmieniono lub niezupełnie go wykonano. Miał wielką czarną pieczęć, na której zaznaczał się bardzo wyraźnie monogram ministra, i był zaadresowany do tegoż drobnym kobiecym pismem. Wtłoczono go niedbale i nawet – jak się zdawało – nieco pogardliwie w jedną z przedziałek górnych.

Rzuciwszy okiem na ten list, wywnioskowałem natychmiast, że jest to przedmiot moich poszukiwań. Nie da się zaprzeczyć, iż z wyglądu różnił się najzupełniej od dokumentu opisanego nam tak drobiazgowo przez prefekta. Ten miał pieczęć wielką i czarną z monogramem D., tamten zaś małą i czerwoną z książęcymi herbami rodziny S. Na tym adres do ministra był nakreślony drobnym pismem kobiecym; tamten zaadresowany był do pewnej osoby z domu królewskiego ręką śmiałą i stanowczą. Podobne były do siebie jedynie z rozmiaru. Atoli krańcowa sprzeczność tych różnic: przedarcie, niechlujny i pomiętoszony wygląd tego papieru, niedający się pogodzić z isticie pedantycznymi nawykami ministra D. i jakby zmierzający do wprowadzenia widza w błędne mniemanie o błahości tego dokumentu – wszystko to wraz z natrętnym po prostu jego umieszczeniem, rzucającym się w oczy każdego przybysza i przeto najzupełniej zgodnym z poprzednimi moimi wnioskami – wszystko to, powtarzam, mogło wielce utwierdzić w podejrzeniach człowieka, który przyszedł już pełen podejrzliwości.

Przewlekałem moją wizytę możliwie najdłużej i podtrzymując nader ożywioną rozmowę o przedmiocie, który – jak już wiedziałem – ministra bardzo obchodzi, skupiałem wyteżoną uwagę na owym liście. Przy tym oglądaniu zakarbowywałem sobie w pamięci jego zewnętrzny wygląd oraz przegródkę, w której go umieszczono; w końcu zaś zdążyłem dokonać spostrzeżenia, które rozproszyło do ostatka moje, nikłe już zresztą, wątpliwości. Przypatrując się mianowicie brzegom papieru, zauważyłem, iż są więcej poprzecierane, niż to widuje się zazwyczaj. Wyglądały jak przełamane, co dzieje się tylko wówczas, kiedy sztywny papier złoży się i przygniecie mocno jakimś narzędziem, po czym znów się rozłoży i pozagina na wywrót, ale w ten sposób, aby nowe zgięcia czy brzegi odpowiadały dokładnie załamaniom poprzednim. Odkrycie to zadowoliło mnie zupełnie. Widocznie list wywrócono jak rękawiczkę, złożono na nowo i nową zaopatrzone pieczęcią. Pożegnałem ministra i odszedłem śpiesznie, pozostawiając na stole złotą tabakierkę.

Nazajutrz zaszedłem po tabakierkę i znów wdaliśmy się w zajmującą rozmowę z dnia poprzedniego. Byliśmy już w niej pogrążeni, kiedy rozległ

się donośny huk, jak gdyby wystrzał pistoletowy, tuż pod oknami pałacu, a hukowi temu zawtórowały wrzaski i okrzyki przerażonego tłumu. D. podbiegł do okna, otworzył je i wyjrzał na ulicę. Równocześnie przystąpiłem do *porte-cartes*, wyjąłem z przegródki list, schowałem go do kieszeni, a na jego miejsce włożyłem podobny (przynajmniej co do wyglądu zewnętrznego), który zawczasu przygotowałem w domu, naśladowując nader udatnie pieczęć z monogramem D. takąż pieczęcią z chleba.

Zajście na ulicy wywołał swoim niepoczytalnym zachowaniem się jakiś człowiek uzbrojony w muszkiet. Wystrzelił z niego w ciżbę dzieci i kobiet. Jednakże okazało się, że strzał był ślepy, więc puszczono wolno tego draba, uważając go za pijaka lub wariata. Kiedy poszedł, D. oddalił się od okna, dokąd podążyłem za nim, zapewniwszy sobie posiadanie listu. Wnet potem pożegnałem się z nim. Rzekomy wariat był przekupiony przeze mnie.

– Lecz w jakim celu – spytałem – zastąpiłeś ów list podobizną? Czyż nie było można już za pierwszym razem zabrać go bez ogródek i pójść sobie?

– D. – odparł Dupin – jest człowiekiem porywczym i zdolnym do wszystkiego. Przy tym w pałacu ma służbę nader sobie oddaną. Gdybym był postąpił, jak powiadasz, mógłbym być swe odwiedziny u ministra przyplacić życiem. Poczciwy ludek paryski nie usłyszałby już o mnie. Ale poza tymi względami miałem na oku jeszcze coś innego. Znasz moje sympatie polityczne. W sprawie tej działałem jako zwolennik kobiety poszkodowanej. Przez osiemnaście miesięcy minister miał nad nią przewagę. Teraz ona ma ją nad nim – ponieważ nie wiedząc, że listu już nie posiada, będzie dopuszczał się dalej swych nadużyć, jak gdyby go posiadał. To musi przyprawić go niezwłocznie o zgubę polityczną. Przy tym upadek jego będzie nie tylko nagły, ale także niezdarny. Łatwo to mówić o *facilis descensus Avernus*<sup>6</sup>, atoli przy wszelkiego rodzaju wspinaniach można by powiedzieć to, co Catalani mówiła o sztuce śpiewania, mianowicie, iż łatwiej jest wznieść się, niż zejść na dół. W obecnym wypadku nie mam wcale sympatii – ba, nawet współczucia dla

tego, który stacza się w dół. To *monstrum horrendum*<sup>7</sup> – człowiek genialny, ale wyzuty z wszelkich zasad. Wyznaję jednakże, iż bardzo rad bym wiedzieć, co też sobie pomyśli, gdy wyzwany do walki przez kobietę, którą prefekt nazywa „pewną osobą”, będzie musiał poprzestać na otworzeniu listu, który mu pozostawiłem w przegródce *porte-cartes*.

– Co? Czy list ten zawiera coś osobliwszego?

– No, nie wydawało mi się rzeczą właściwą, by nic nie zawierał w swym wnętrzu; wyglądałoby to na obelgę. D. wypłatał mi w Wiedniu złośliwego psikus; powiedziałem mu wówczas z całą pogodą ducha, że mu tego nie zapomnę. A ponieważ wiem, że będzie nieco ciekaw dowiedzieć się, kto go tak wyprowadził w pole, więc pomyślałem sobie, iż szkoda byłoby nie udzielić mu pewnych wskazówek. Zna on dobrze charakter mego pisma, więc pośrodku białej karty wypisałem słowa:

...un dessein si funeste,

S'il n'est digne d'Atrée, est digne de Thyeste<sup>8</sup>.

Mozesz je znaleźć w *L'Atrée Crébillona*.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> *Nil sapientiae...* (łac.) – Nic nie jest bardziej wrogie mądrości niż dzielenie włosa na czworo (przyp. red.).

<sup>2</sup> *Non distributio medii* (łac.) – niedzielenie środka (przyp. red.).

<sup>3</sup> *Il y a à parier...* (fr.) – Można iść o zakład, że wszelka myśl powszechna, wszelkie odziedziczone przekonanie jest głupie, ponieważ dogadzało większości (przyp. red.).

<sup>4</sup> *Vis inertiae* (łac.) – siła bezwładu (przyp. red.).

<sup>5</sup> *Porte-cartes* (fr.) – portfel na wizytówki (przyp. red.).

<sup>6</sup> *Facilis descensus Averni* (łac.) – Zejście do piekieł jest łatwe (ale powrót trudny) (przyp. red.).

<sup>7</sup> *Monstrum horrendum* (łac.) – okropny potwór (przyp. red.).



<sup>8</sup> *Un dessein si funeste...* (fr.) – Zamiar tak zgubny, o ile nie jest godny Atreusza, godny jest Tyestesa (przyp. red.).

# Tyś nim jest!

Wystąpię teraz w roli Edypa, rozwiązującego zagadkę Rattleborough. Wyjaśnię wam – a ja to tylko mogę uczynić – tajemnicę machinacji, które spowodowały cud w Rattleborough – jedyny, prawdziwy, uznany, niezaprzeczony i niezaprzeczalny cud, który położył kres niewierze wśród mieszkańców Rattleborough i przyczynił się do nawrócenia na prawdziwą wiarę naszych babek tych wszystkich grzeszników, którzy przedtem ośmielali się być sceptykami.

Wydarzenie to, o którym nie powinienem mówić tak niestosownym, frywolnym tonem, miało miejsce w lecie roku 18... Pan Barnaba Shuttleworthy – jeden z najbogatszych i najbardziej cenionych obywateli miasteczka – zaginął od kilku dni w okolicznościach pozwalających domyślać się jakiejś nieczystej sprawy. Pewnej soboty wczesnym rankiem pan Shuttleworthy wyruszył konno z Rattleborough z nieukrywanym zamiarem udania się do miasta odległego około piętnastu mil, skąd miał wrócić wieczorem tego samego dnia. Jednakże w dwie godziny po jego odjeździe powrócił koń bez jeźdźcy i bez bagaży przytroczonych do siodła przed wyruszeniem w drogę. Zwierzę było ranne i pokryte błotem. Okoliczności te wywołały zrozumiałą niepokój wśród przyjaciół zaginionego, a kiedy w niedzielę rano stwierdzono, że jeszcze go nie ma, całe miasteczko udało się *en masse* na poszukiwanie ciała.

W zorganizowaniu tego przedsięwzięcia przodował i wykazywał najwięcej energii serdeczny przyjaciel pana Shuttleworthy'ego – niejaki pan Karol Goodfellow<sup>1</sup>, zwany powszechnie Karolkiem Goodfellowem lub „pocziwym Karolkiem Goodfellowem”. Nigdy nie udało mi się stwierdzić, czy jest w tym przedziwny zbieg okoliczności, czy też samo imię ma jakiś niedostrzegalny wpływ na charakter, niemniej pozostaje niezaprzeczalnym faktem, że nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby

mężczyzna noszący imię Karol nie był szczerym, dzielnym, uczciwym człowiekiem o pogodnej naturze i otwartym sercu, o przyjemnym, dźwięcznym, kojąco działającym głosie, człowiekiem patrzącym zawsze prosto w oczy, tak jakby jego wzrok mówił: „Mam czyste sumienie, nie boję się nikogo i daleki jestem od tego, aby czynić źle”. I tak na scenie każdy przyjemny, beztroski statysta o miłej prezencji z pewnością będzie miał na imię Karol.

Jakkolwiek „pocziwy Karolek Goodfellow” był w Rattleborough nie dłużej niż sześć miesięcy czy coś koło tego i jakkolwiek nie wiadano o nim nic przed jego osiedleniem się w tych stronach, łatwo mu przyszło zawrzeć znajomość ze wszystkimi poważnymi obywatelami miasta. Wkrótce nie znalazł się w mieście mężczyzna, który nie byłby gotów pożyczyć mu w każdej chwili tysiąca, i to wyłącznie na słowo honoru; jeśli chodzi o kobiety, trudno wprost wyrazić, czego by nie uczyniły, aby mu dogodzić. A wszystko wynikało po prostu z tego, że na chrzcie dano mu imię Karol i że w rezultacie posiadał szczerę oblicze, które, jak głosi przysłowie, jest najlepszym „listem polecającym”.

Mówiłem już o tym, że pan Shuttleworthy był jednym z najbardziej szanowanych obywateli w Rattleborough i bez wątpienia najbogatszym oraz że „pocziwego Karolka Goodfellowa” łączyły z nim tak bliskie stosunki, jak gdyby byli rodzonymi braćmi. Obydwaj starsi panowie mieszkali w niedalekim sąsiedztwie, a chociaż pan Shuttleworthy rzadko odwiedzał „pocziwego Karolka”, a może nigdy tego nie czynił, i nie słyszano, aby jadał w jego domu, nie przeszkadzało im to jednak, jak przed chwilą wspomniałem, w nawiązaniu niezwykle serdecznych stosunków. Albowiem „pocziwy Karolek” niemal każdego dnia wstępował przynajmniej trzy lub cztery razy do swego sąsiada, żeby zobaczyć, jak mu się powodzi, i bardzo często zostawał na śniadaniu lub podwieczorku, a prawie zawsze na obiedzie.

Trudno określić, jaką ilość wina wypijali wtedy obaj kompani za jednym posiedzeniem. Ulubionym trunkiem „pocziwego Karolka” było Château Margaux, a panu Shuttleworthy’emu robiło się miło na sercu, gdy widział, jak jego towarzysz wychyla kwartę po kwarcie. Toteż

pewnego dnia, kiedy przybyło wina w żołądku, a skutkiem tego ubyło nieco rozumu, pan Shuttleworthy rzekł do swego kompana, klepiąc go po plecach:

– Wiesz co, mój poczciwy Karolku, jesteś bez porównania najmorowszym gościem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu, a skoro tak bardzo lubisz pociągać to winko, niech mnie licho porwie, jeśli nie dam ci w prezencie dużej skrzynki Château Margaux. Niech mnie kaczkę zdepczą – pan Shuttleworthy miał przykry zwyczaj kląć, chociaż rzadko używał mocniejszych słów niż: „niech mnie kaczkę zdepczą” albo: „do psa starego”, albo: „do jasnej ciasnej”. – Niech mnie kaczkę zdepczą – mówił – jeśli jeszcze dziś po południu nie wyślę zamówienia na podwójną skrzynkę najlepszego wina, jakie można dostać, i nie dam ci jej w prezencie! Dam! Ani słowa teraz... mówię ci, że dam, i koniec; a więc czekaj na nie – nadejdzie pewnego pięknego dnia, akurat wtedy, gdy się go będziesz najmniej spodziewał! – Wymieniam ten drobny przykład szczodrości ze strony pana Shuttleworthy’ego po prostu dlatego, by pokazać wam, jak bardzo bliskie więzy łączyły obydwu przyjaciół.

Nie widziałem nigdy kogoś bardziej wstrząśniętego, niż był „poczciwy Karolek Goodfellow” owego niedzielnego ranka, o którym mowa, gdy stało się jasne, że pan Shuttleworthy padł ofiarą jakiegoś niecnego czynu. Kiedy usłyszał po raz pierwszy, że koń wrócił do domu bez pana i bez bagaży, cały zakrwawiony od kuli z pistoletu, która przeszła pierś biednego zwierzęcia, nie zabijając go od razu, kiedy usłyszał o tym wszystkim, zbladł tak bardzo, jak gdyby zaginiony był jego własnym ukochanym bratem lub ojcem, trząsł się i drżał na całym ciele jak w febrze.

Początkowo był zbyt przybity nieszczęściem, aby cokolwiek uczynić czy też podjąć jakikolwiek plan działania, tak że przez długi czas usiłował doradzać innym przyjaciołom pana Shuttleworthy’ego, aby nie poruszali całej tej sprawy, uważając, że najlepiej będzie poczekać jakiś czas – powiedzmy, tydzień lub dwa, miesiąc lub dwa – i zobaczyć, czy coś nie wypłynie albo czy pan Shuttleworthy nie wróci po prostu sam, by wytłumaczyć, dlaczego odesłał konia z drogi. Śmiem twierdzić, że często

obserwowaliście podobną skłonność do zwlekania i odkładania spraw na później u ludzi dotkniętych ciężkim zmartwieniem. Ich zdolność myślenia ulega niejako przytępieniu, tak że czują po prostu strach przed wszystkim, co ma jakiś związek z działaniem, i chcieliby nade wszystko w świecie leżeć spokojnie w łóżku i „piastować swój ból”, jak mawiają starsze panie – to znaczy rozmyślać nad swym zmartwieniem.

Mieszkańcy Rattleborough mieli tak wysokie mniemanie o mądrości i rozsądku „pocziwego Karolka”, że większość ich była skłonna zgodzić się z nim i nie ruszać sprawy, aż „coś wypłynie”, jak się wyraził ten zacny obywatel, i jestem przekonany, że taka byłaby mimo wszystko powszechna decyzja, gdyby nie nader podejrzana interwencja ze strony siostrzeńca pana Shuttleworthy’ego, młodego człowieka o bardzo rozluźnionych obyczajach i raczej złym charakterze. Siostrzeniec ten, nazwiskiem Pennifeather, nie chciał słuchać o żadnym wyczekiwaniu, lecz żądał, aby natychmiast szukać „trupa zamordowanego”. Użył takiego właśnie zwrotu i pan Goodfellow zrobił wtedy trafną uwagę, że jest to „określenie co najmniej dziwne”. Ta uwaga „pocziwego Karolka” wywarła wielkie wrażenie na zebranych, przy czym usłyszano, jak jeden z obecnych zapytał z naciskiem: „Jak to się stało, iż młody pan Pennifeather zna tak dobrze okoliczności związane ze zniknięciem swego bogatego wuja, że czuje się upoważniony do tego, aby twierdzić tak jasno i wyraźnie, iż wuj został zamordowany?”. Po czym nastąpiło pewne zamieszanie i sprzeczki między poszczególnymi osobami w tłumie, a zwłaszcza między „pocziwym Karolką” i panem Pennifeatherem, jakkolwiek ten ostatni incydent nie był w żadnym wypadku nowością, bowiem w ciągu ostatnich trzech czy czterech miesięcy niewiele widziało się dobrej woli w stosunkach między tymi panami. Sprawy posunęły się nawet tak daleko, że pan Pennifeather ni mniej, ni więcej tylko sprzął przyjaciela swego wuja, podobno z okazji nadużycia przez niego gościnności w domu pana Shuttleworthy’ego, gdzie zamieszkiwał też siostrzeniec. Mówiono, że „pocziwy Karolek” zachował się wówczas z przykładnym umiarkowaniem i prawdziwie chrześcijańskim miłosierdziem. Podniósł się z ziemi, poprawił ubranie i nie próbował

wcale się odwzajemnić, mrużąc tylko pod nosem kilka słów o tym, „że gruntownie zemści się przy najbliższej okazji”, co było naturalnym i usprawiedliwionym wybuchem gniewu bez żadnego znaczenia i niewątpliwie słowa te poszły w zapomnienie z chwilą, gdy zostały wypowiedziane.

Bez względu jednak na tę sytuację, niemającą zresztą związku ze sprawą, którą zajmujemy się w tej chwili, jest pewne, że mieszkańcy Rattleborough, głównie za namową pana Pennifeathera, podjęli w końcu decyzję, aby rozejść się po okolicy w poszukiwaniu zaginionego pana Shuttleworthy'ego. Chciałem właściwie powiedzieć, że taka była ich pierwsza decyzja. Kiedy bowiem postanowiono już, że należy rozpocząć poszukiwania, uważano za rzecz całkiem naturalną, aby szukając rozproszyli się – to znaczy podzielili się na grupy – by tym dokładniej zbadać okoliczny teren. Nie pamiętam jednak, jaki to genialny sposób rozumowania pozwolił „pocziwemu Karolkowi” przekonać zebranych, że jest to najmniej rozsądny plan działania. Przekonał ich jednak wszystkich – z wyjątkiem pana Pennifeathera – i w końcu zdecydowano, że obywatele miasteczka wyruszą *en masse*, by wszcząć pieczołowite i bardzo dokładne poszukiwania, a sam „pocziwy Karolek” będzie ich prowadził.

Trudno było doprawdy o lepszego szperacza niż „pocziwy Karolek”, który, jak wszyscy wiedzieli, posiadał wzrok rysia; lecz chociaż prowadził ich do najprzeróżniejszych odległych dziur i zakątków takimi drogami, których istnienia w tej okolicy nikt by się nawet nie domyślał, i chociaż poszukiwania trwały bez przerwy dzień i noc prawie przez cały tydzień, w dalszym ciągu nie można było natrafić na żaden ślad pana Shuttleworthy'ego. Jeśli powiedziałem „żaden ślad”, nie należy tego brać dosłownie, ponieważ jakiś ślad znaleziono z całą pewnością. Wyznaczony odbiciem kopyt jego konia, bardzo charakterystycznych, prowadził on do miejsca położonego na głównej drodze do miasta i znajdującego się trzy mile na wschód od Rattleborough. Tutaj ślad skręcał na boczną ścieżkę wiodącą poprzez zalesiony teren, przy czym ścieżka ta wychodziła z powrotem na główną drogę, skracając w ten sposób właściwą odległość o

około pół mili. Idąc za śladem kopyt wzdłuż tej ścieżki, natrafiono w końcu na zanieczyszczoną sadzawkę po prawej stronie dróżki, zasłoniętą do połowy krzewami, i na wprost sadzawki ślad ginął zupełnie. Widać było jednak, że musiała się tu rozegrać jakaś walka, przy czym wydawało się, iż jakieś duże i ciężkie ciało, znacznie większe i cięższe od człowieka, wleczono ze ścieżki do sadzawki. Przeszukano ją dokładnie dwa razy, lecz nie znaleziono niczego, i poszukujący mieli już właśnie odchodzić, straciwszy nadzieję na uzyskanie jakiegoś rezultatu, gdy Opatrzność podsunęła panu Goodfellowowi myśl, że byłoby rzeczą celową odprowadzić wodę. Projekt ten przyjęto z aplauzem, nie szczędząc „pocziwemu Karolkowi” komplementów z powodu jego mądrości i rozwagi. Ponieważ wielu obywateli przyniosło ze sobą łopaty, przypuszczając, że będą musieli odkopać zwłoki, szybko i sprawnie odprowadzono wodę i skoro tylko dno stało się widoczne, ujrzano w samym środku pozostałego błota czarną kamizelkę z jedwabnego aksamitu, którą prawie wszyscy obecni rozpoznali natychmiast jako własność pana Pennifeathera. Kamizelka była mocno podarta i zaplamiona krwią, a wśród zebranych znalazło się kilka osób, które dobrze pamiętały, że pan Pennifeather miał ją na sobie tego samego ranka, kiedy wuj jego odjeżdżał do miasta; byli tam również inni, gotowi w razie potrzeby zeznać pod przysięgą, że pan Pennifeather ani razu nie nosił wspomnianego odzienia w ciągu reszty tego pamiętnego dnia, nie można było także znaleźć nikogo, kto by mógł stwierdzić, że widział pana Pennifeathera w tej kamizelce kiedykolwiek po zaginięciu pana Shuttleworthy’ego.

Sprawa przybrała teraz bardzo poważny obrót dla pana Pennifeathera i, co niewątpliwie potwierdzało podejrzenia skierowane przeciw niemu, zaobserwowano, że zbladł on straszliwie, a kiedy zapytano go, co powie na swą obronę, nie potrafił wykrztusić ani słowa. Nieliczni przyjaciele, których posiadał jeszcze mimo swego hulaszczego trybu życia, opuścili go jak jeden mąż, domagając się natychmiastowego aresztowania w sposób bardziej stanowczy niż dawni i nieukrywani wrogowie. Natomiast wielkoduszność pana Goodfellowa świeciła dla kontrastu tym większym blaskiem. Wystąpił on z gorącą i pełną swady obroną pana Pennifeathera,

czyniąc przy tym kilkakrotnie aluzję do szczerego przebaczenia, jakiego sam udzielił temu niesfornemu młodemu człowiekowi, „spadkobiercy czcigodnego pana Shuttleworthy’ego”, za obrazę, jaką on, młody człowiek, niewątpliwie w porywie złości uważał za stosowne wyrządzić jemu (panu Goodfellowowi). Przebacza mu z całego serca i jeśli chodzi o niego samego (pana Goodfellowa), to daleki jest od wyciągania skrajnych wniosków z podejrzanych okoliczności, które, przykro mu powiedzieć, rzeczywiście przemawiają przeciwko panu Pennifeatherowi, i użyje wszelkich środków, jakimi rozporządza, posłuży się całą swą niewielką elokwencją, jaką posiada, aby... aby... aby... rozjaśnić o tyle, o ile mu na to pozwoli sumienie, najciemniejsze aspekty tej rzeczywiście zagmatwanej sprawy.

Pan Goodfellow przemawiał w tym tonie jeszcze przez jakieś pół godziny, dając tym samym dowód zarówno sprawności swego umysłu, jak i dobroci serca. Ale ludzie o gorącym sercu rzadko czynią trafne uwagi; w zapale niesienia pomocy przyjacielowi robią głupstwa, strzelają gafy, przejęzyczają się i w ten sposób, mając najlepsze w świecie intencje, wyrządzają całej sprawie więcej szkody niż korzyści.

Tak się też stało i w tym wypadku, przy całej elokwencji „pocziwego Karolka”. Choć bowiem mozolił się on uczciwie w obronie podejrzanego, to jakoś każde słowo wypowiedziane z oczywistym, lecz nieświadomym dążeniem, aby samemu nie wywyższać się w opinii słuchaczy, wzmacniało w rezultacie podejrzenia w stosunku do osobnika, którego bronił, i budziło przeciw niemu wściekłość tłumu.

Jednym z najbardziej niezrozumiałych błędów, jakie popełnił mówca, była jego aluzja do podejrzanego jako do „spadkobiercy czcigodnego pana Shuttleworthy’ego”. Przedtem ludzie właściwie wcale o tym nie pomyśleli. Pamiętali jedynie, że rok czy dwa lata temu wuj, który nie miał na świecie prócz siostrzeńca żadnych krewnych, zagroził mu wydziedziczeniem, i dlatego też uważali sprawę wydziedziczenia za załatwioną. Takimi to prostodusznymi ludźmi byli mieszkańcy Rattleborough. Jednakże uwaga „pocziwego Karolka” natychmiast zmusiła ich do zastanowienia się nad tą sprawą i nasunęła im przypuszczenie, iż groźba nie była niczym więcej jak tylko groźbą. I zaraz



potem powstało oczywiste pytanie *cui bono?* – pytanie, które bardziej niż kamizelka zmierzało do przypisania straszliwej zbrodni młodemu człowiekowi. Aby nie był źle zrozumiany, pozwólcie mi uczynić w tym miejscu maleńką dygresję, mającą na celu stwierdzenie, że to niezwykle krótkie i proste wyrażenie łacińskie, którego użyłem, jest ciągle źle tłumaczone i pojmowane. We wszystkich pierwszorzędnych powieściach i innych – na przykład u pani Gore, autorki *Cecil*, kobiety, która przytacza cytaty we wszystkich językach od chaldejskiego do Chickasaw i której „w miarę potrzeby” pomaga w zdobywaniu wiedzy systematycznie i planowo pan Beckford – we wszystkich pierwszorzędnych powieściach, powtarzam, od powieści Bulwera i Dickensa do powieści Turnapenny’ego i Ainswortha, te dwa krótkie łacińskie słowa *cui bono* tłumaczy się „w jakim celu” albo jakby to było *quo bono*, „dla jakiego dobra”. Jednak prawdziwe znaczenie tych słów jest „na czyją korzyść”. *Cui* – komu, *bono* – czy na dobre? Jest to wyrażenie czysto prawnicze, stosowane właśnie w takich wypadkach jak ten, który rozważamy, to znaczy, gdy prawdopodobieństwo dokonania czynu przez sprawcę zależy od prawdopodobieństwa korzyści wynikających dla tej lub innej osoby z popełnienia danego czynu. W obecnym wypadku pytanie *cui bono?* bardzo wyraźnie wskazywało na pana Pennifeathera. Wuj jego, zapisawszy mu swój majątek, zagroził później, że go wydziedziczy. Groźby tej jednak nie wykonał i jak się okazało, pierwotny testament pozostał niezmienny. Gdyby zmienił testament, jedynym przypuszczalnym motywem zbrodni, jakim mógłby się kierować podejrzany, byłaby zwykła chęć zemsty, ale i ten motyw równoważyłaby nadzieja pozyskania z powrotem łaski wuja. Skoro jednak testament nie uległ zmianie, a groźba taka wisiała nad głową siostrzeńca, najbardziej prawdopodobna pobudka zbrodni stała się natychmiast oczywista; do takiego też wniosku doszli bardzo roztropnie czcigodni obywatele Rattleborough.

Toteż pan Pennifeather został z miejsca aresztowany i po krótkich dalszych poszukiwaniach cały tłum udał się z powrotem, prowadząc ze sobą więźnia. Po drodze zaszła jeszcze jedna okoliczność potwierdzająca te przypuszczenia. Zauważono mianowicie, że pan Goodfellow, który z

gorliwości zawsze nieco wyprzedzał całą grupę, nagle pobiegł kilka kroków do przodu, schylił się, a następnie podniósł z trawy jakiś mały przedmiot. Przyjrząwszy mu się przez chwilę, próbował schować do kieszeni marynarki, ale, jak powiedziałem, manewr ten zauważono i w rezultacie udaremniiono. Przedmiot ten okazał się nożem hiszpańskim, który, jak stwierdziło tuzin osób, należał do pana Pennifeathera. Co więcej, inicjały jego były wyrzeźbione na rękojeści. Ostrze noża było obnażone i pokryte krwią.

Nikt nie miał już teraz najmniejszych wątpliwości co do winy siostrzeńca i zaraz po przybyciu do Rattleborough stanął on przed urzędnikiem sądowym do spraw śledczych.

Tutaj sprawa przybrała jak najbardziej niekorzystny obrót dla pana Pennifeathera. Kiedy zapytano więźnia, co robił tego ranka, gdy zginął pan Shuttleworthy, miał on śmiałość twierdzić, że tego samego ranka polował ze strzelbą na sarny w najbliższej okolicy sadzawki, w której dzięki roztropności pana Goodfellowa znaleziono zakrwawioną kamizelkę.

Ten ostatni wystąpił teraz naprzód i ze łzami w oczach poprosił, aby zechciano go przesłuchać. Powiedział on, że surowe poczucie obowiązku wobec Stwórcy i wobec bliźnich nie pozwala mu już dłużej milczeć. Do tej pory najszczerze uczucia do tego młodego człowieka (mimo iż ten wyrządził krzywdę jemu, panu Goodfellowowi) kazały mu rozpatrywać wszelkie przypuszczenia, jakie tylko nasuwała wyobraźnia, aby spróbować wyjaśnić to, co wydawało się podejrzanym w tych okolicznościach, które tak poważnie przemawiały przeciw panu Pennifeatherowi; ale skoro okoliczności te są obecnie zbyt przekonywujące, zbyt obciążające, nie będzie się dłużej wahał i wyjawি wszystko, co wie, choć mu (panu Goodfellowowi) z pewnością pęknie przy tym serce. W dalszym ciągu stwierdził, że po południu dnia poprzedzającego wyjazd pana Shuttleworthy'ego do miasta zaczął ten obywatel oznajmiać swemu siostrzeńcowi w jego (pana Goodfellowa) obecności, iż wybiera się nazajutrz do miasta celem zdeponowania w banku „Farmers and Mechanics” wyjątkowo dużej sumy pieniędzy; wtedy

też właśnie wymieniony pan Shuttleworthy wyraźnie powiadomił wspomnianego siostrzeńca o swym nieodwołalnym postanowieniu unieważnienia uprzednio sporządzonego testamentu i wydziedziczenia go. On (świadek) wzywa teraz uroczyście oskarżonego, aby stwierdził, czy złożone przez niego (świadka) zeznania zgodne są z prawdą we wszystkich istotnych szczegółach. Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych pan Pennifeather szczerze przyznał, że tak.

Urzędnik prowadzący śledztwo uważał teraz za swój obowiązek wysłać dwóch policjantów, aby przeszukali pokoje oskarżonego, znajdujące się w domu jego wuja. Powrócili stamtąd natychmiast, przynosząc ze sobą dobrze znany skórzany portfel rdzawego koloru ze stalowym obramowaniem, który pan Shuttleworthy zwykł nosić od lat. Brak było jednak cennej zawartości portfela i urzędnik śledczy na próżno starał się wydobyć od oskarżonego, jaki z niej zrobiono użytek lub gdzie została ukryta. Oskarżony uporczywie zaprzeczał, jakoby cokolwiek o tym wiedział. Poza tym policjanci wykryli między łóżkiem a siennikiem tego nieszczęśnika koszulę i szalik z jego inicjałami, straszliwie wymazane krwią.

W tym krytycznym momencie zakomunikowano, że koń zamordowanego właśnie zdechł w stajni na skutek odniesionej rany, i pan Goodfellow zaproponował, aby natychmiast przeprowadzić pośmiertne oględziny zwierzęcia w celu ewentualnego znalezienia kuli. Tak też uczyniono i aby wykazać ponad wszelką wątpliwość winę oskarżonego, pan Goodfellow po długich poszukiwaniach we wnętrzu klatki piersiowej konia zdołał odnaleźć, a następnie wydobyć kulę o niezmiernej wprost wielkości, która, jak się okazało, dokładnie pasowała do strzelby pana Pennifeathera, a była o wiele za duża do czyjejkolwiek strzelby w Rattleborough i okolicy. Sprawa stała się jeszcze bardziej oczywista, kiedy wykryto, że kula ta ma pęknięcie czy szczelinę pod prostym kątem do zwykłego spojenia, i kiedy po zbadaniu okazało się, że szczelinka ta odpowiada dokładnie przypadkowej wypukłości czy grzbiecikowi znajdującemu się w parze form do odlewania kul, które, jak stwierdził oskarżony, są jego własnością. Po znalezieniu kuli urzędnik prowadzący

śledztwo odmówił słuchania dalszych zeznań, kierując natychmiast sprawę do sądu i słusznie odmawiając w tym wypadku zwolnienia oskarżonego za kaucją, chociaż pan Goodfellow niezmiernie gorąco protestował przeciw takiej surowej decyzji, ofiarując się złożyć porękę bez względu na żadaną sumę. Ta wspaniałomyślność ze strony „pocziwego Karolka” była jak najbardziej zgodna z rycerską i szlchetną postawą tego człowieka w czasie całego jego pobytu w Rattleborough. W tym wypadku nadmiernie gorące współczucie tak dalece go poniosło, że ofiarując się służyć kaucją za swego młodego przyjaciela, wydawał się całkiem zapominać, iż on sam (pan Goodfellow) nie posiada na całej powierzchni ziemskiej niczego, co by miało wartość choć jednego dolara.

Dalszy bieg wypadków po aresztowaniu pana Pennifeathera łatwo można odgadnąć. Wśród głośnych przekleństw całego Rattleborough pan Pennifeather został sprowadzony na rozprawę w najbliższej sesji sądu karnego, kiedy to cały łańcuch poszlak – wzmocniony w dodatku pewnymi obciążającymi faktami, których nie pozwoliło zataić panu Goodfellowowi jego czułe sumienie – uznany został za tak nierozdzielny i tak ostateczny, że przysięgli, nie opuszczając nawet swych miejsc, wydali natychmiast werdykt: „Winien zabójstwa”. Wkrótce potem nieszczęsny winowajca otrzymał wyrok śmierci i został odesłany do więzienia okręgowego, aby oczekiwać tam nieubłaganej kary prawa.

Tymczasem szlchetne postępowanie „pocziwego Karolka Goodfellowa” zjednało mu jeszcze większy szacunek obywateli miasteczka. Popularność jego wzrosła dziesięciokrotnie, a naturalnym rezultatem gościnności, z jaką go podejmowano, było to, że i on musiał odstąpić nieco od niezwykle oszczędnego sposobu życia, do którego skłaniała go dotychczas bieda. Toteż urządzał bardzo często w swym domu niewielkie przyjęcia, gdzie panowały niepodzielnie dowcip i wesołość, naturalnie od czasu do czasu tłumione z lekka wspomnieniem nieszczęsnego i smutnego losu, jaki zawisł nad głową siostrzeńca zmarłego, nieodżałowanego pana Shuttleworthy’ego, który był serdecznym przyjacielem hojnego pana domu.

Pewnego pięknego dnia ten szlachetny starszy pan zdziwił się przyjemnie, otrzymawszy następujący list:

---

WIELMOŻNY PAN KAROL GOODFELLOW  
RATTLEBOROUGH  
*Od H. F. B. i S-ka*

*Chât. Mar. A - No. 1-6 tuz. butelek (1/2 grosa)*

---

*Wielmożny Pan Karol Goodfellow:*

*Szanowny Panie! Zgodnie z zamówieniem złożonym w naszej firmie około dwóch miesięcy temu przez naszego cenionego klienta Pana Barnabę Shuttleworthy'ego mamy zaszczyt przesłać dziś rano pod pańskim adresem podwójną skrzynkę Château Margaux gatunku antylopa, z fioletową pieczęcią. Numer i znakowanie skrzynki tak jak powyżej.*

*Pozostajemy z głębokim szacunkiem  
HOGGS, FROGS, BOGS i S-ka<sup>2</sup>*

*Miasto ..., 21 czerwca 18... roku*

*P.S. Skrzynka zostanie doręczona wozem następnego dnia po otrzymaniu przez Pana niniejszego listu. Łączymy wyrazy szacunku dla pana Shuttleworthy'ego.*

*H. F. B. i S-ka*

Faktem jest, że od czasu śmierci pana Shuttleworthy'ego pan Goodfellow stracił całkiem nadzieję otrzymania kiedykolwiek obiecane Château Margaux i dlatego uważał, że teraz jest to dla niego swego rodzaju specjalne zrządzenie Opatrzności. Naturalnie ucieszył się niezmiernie i w przyływie radości zaprosił sporą paczkę przyjaciół, aby oblać prezent „starego poczciwego pana Shuttleworthy'ego” na *petit souper*<sup>3</sup>. Nie znaczy to wcale, że wspomniał on choć słowem o „starym poczciwym panu Shuttleworthym”, kiedy wysyłał zaproszenia. Faktem jest, że myślał wiele nad tym i postanowił nic nie mówić. Jeśli dobrze pamiętam, nie wspomniał też nikomu, że otrzymał Château Margaux w prezencie. Po prostu zaprosił swych przyjaciół, aby przyszli i pomogli mu

wypić coś niezmiernie wyborowego w gatunku i wyśmienitego w smaku, co zamówił w mieście dwa miesiące temu i miał otrzymać nazajutrz. Zastanawiałem się często, próbując sobie wytłumaczyć, dlaczego „pocziwy Karolek” doszedł do wniosku, iż nie powinien mówić o tym, że dostał wino w prezencie od swego starego przyjaciela, ale nigdy nie mogłem dokładnie zrozumieć powodów jego milczenia, jakkolwiek miał ku temu jakieś niewątpliwie wzniosłe i bardzo szlachetne powody.

Wreszcie nadszedł dzień następnny, a z nim w domu pana Goodfellowa pojawiło się bardzo liczne i wielce zacne towarzystwo. W istocie była tam połowa miasteczka – a w tej liczbie i ja – ale ku wielkiemu utrapieniu pana domu Château Margaux pojawiło się dość późno, gdy goście zdążyli już okazać ponad wszelką wątpliwość, jak bardzo smakowała im wystawna kolacja zafundowana przez „pocziwego Karolka”. Wreszcie jednak wino nadeszło – olbrzymia skrzynia – a ponieważ całe towarzystwo było w niezmiernie dobrym humorze, zdecydowano jednogłośnie, by skrzynkę postawić na stole, a następnie opróżnić jej wnętrze.

Jak powiedziano, tak też natychmiast zrobiono. Wziąłem się do pomocy i w mgnieniu oka umieściliśmy skrzynię na stole wśród butelek i kieliszków, których niemało uległo zniszczeniu w tym zamieszaniu. „Pocziwy Karolek”, który miał już dobrze w czubie i był mocno czerwony na twarzy, zajął honorowe miejsce przy stole i udając powagę, walił wściekle karafką o stół, przywołując zebranych, aby zachowywali porządek „w czasie ceremonii wydobywania skarbu”.

Po krótkich hałasach przywrócono wreszcie spokój i, jak to bywa w podobnych wypadkach, nastąpiła głęboka i osobliwa cisza. Poproszono mnie następnie, abym otworzył skrzynię, na co zgodziłem się naturalnie z jak największą przyjemnością. Wsadziłem dłuto, uderzyłem w nie kilka razy młotkiem i wierzch skrzyni odskoczył nagle do góry, a w tym samym momencie znalazł się w siedzącej pozycji, zwrócony twarzą w kierunku pana domu, pokaleczony, zakrwawiony i bliski rozkładu trup zamordowanego pana Shuttleworthy’ego. Przez kilka chwil wpatrywał się nieruchomo i ze smutkiem psującymi się i pozbawionymi blasku oczyma

prosto w oblicze pana Goodfellowa, a potem wypowiedział wolno, lecz wyraźnie i z naciskiem słowa: „Tyś nim jest!”. Następnie, jakby go to zupełnie zadowoliło, przechylił się przez skrzynię, wyciągając swe drgające członki na stole.

Sceny, jaka teraz nastąpiła, nie da się w ogóle opisać. Rzucono się gwałtownie w kierunku drzwi i okien, a najsilniejsi nawet mężczyźni mdleli na miejscu ze strachu. Ale po pierwszym gwałtownym wybuchu przerażenia oczy wszystkich skierowały się na pana Goodfellowa. Jeśli dożyję nawet tysiąca lat, nigdy nie zapomnę tej więcej niż śmiertelnej agonii, jaka malowała się na jego przerażonej twarzy, tak niedawno różowionej tryumfem i winem. Przez kilka minut siedział nieruchomo jak posąg z marmuru, a rozszerzone, puste oczy zdawały się być zwrócone do wewnątrz i pogrążone w kontemplacji własnej nieszczęsnej, zbrodniczej duszy. Wreszcie wyraz ich zmienił się nagle, powracając błyskawicznie do zewnętrznego świata: zerwał się z krzesła, rzucając się ciężko głową i ramionami na stół, i dotykając trupa, wyznał szybko i gwałtownie, choć zarazem szczegółowo, iż winien jest ohydnej zbrodni, za którą pan Pennifeather został uwięziony i skazany na śmierć.

Wyznanie jego wyglądało w istocie tak: towarzyszył on swej ofierze do sadzawki, tam strzelił do konia z pistoletu, zabił jeźdźca ręką, zabrał portfel, a przypuszczając, że koń jest nieżywy, zawlókł go z wielkim wysiłkiem do krzewów obok sadzawki. Załadował na własnego konia zwłoki pana Shuttleworthy'ego i w ten sposób przewiózł je przez las do odległej i pewnej kryjówki.

Kamizelkę, nóż, portfel i kulę ulokował tam, gdzie je później znaleziono, zamierzając w ten sposób zemścić się na panu Pennifeatherze. Za jego też sprawą odnaleziono zakrwawiony szal i koszulę.

Pod koniec tego mrozącego w żyłach wyznania słowa łotra załamywały się i stawały coraz bardziej przytłumione. Gdy wreszcie skończył, podniósł się, zatoczył do tyłu i upadł – nieżywy.

\*\*\*

Środki, dzięki którym uzyskano tę spowiedź w tak szczęśliwie wybranym momencie, jakkolwiek skuteczne, były w istocie proste. Nadmiar szczerości ze strony pana Goodfellowa napawał mnie wstrętem i od samego początku wzbudzał we mnie podejrzenia. Byłem obecny wtedy, jak pan Pennifeather uderzył go, a diabelski wyraz, jaki pojawił się, choć wprowadzie tylko przez chwilę, na twarzy pana Goodfellowa, upewnił mnie, że spełni on swą groźbę, jeżeli tylko mu się uda. Dlatego też byłem przygotowany na to, aby oglądać manewry „pocziwego Karolka” w innym świetle niż pocziwi obywatele Rattleborough. Spostrzegłem natychmiast, że wszystkie obciążające odkrycia pochodzą bezpośrednio lub pośrednio od niego. Faktem, który całkiem otworzył mi oczy na prawdziwy stan rzeczy, była historia z kulą znalezioną przez pana Goodfellowa w ciele zwierzęcia. Albowiem ja nie zapominałem, tak jak zapomnieli mieszkańcy Rattleborough, że był tam jeden otwór, którym kula weszła, i drugi, którym wyszła. Jeśli znaleziono kulę w ciele zwierzęcia po jej wyjściu z ciała, jasnym było dla mnie, że musiał ją tam umieścić ten, który ją znalazł. Zakrwawiona koszula i szalik potwierdziły moje podejrzenia, albowiem krew okazała się po zbadaniu niczym innym jak po prostu pierwszorzędnym czerwonym winem. Kiedy zacząłem zastanawiać się nad tym, jak również nad ostatnim wzrostem hojności i wydatków ze strony pana Goodfellowa, powziąłem podejrzenia, które wcale nie traciły na słuszności dlatego, że trzymałem je wyłącznie dla siebie.

Tymczasem rozpocząłem na własną rękę energiczne poszukiwania ciała pana Shuttleworthy’ego i słusznie szukałem w miejscach jak najbardziej oddalonych od tych, do których prowadził swą wyprawę pan Goodfellow. W rezultacie natrafiłem po kilku dniach na starą, wyschłą studnię, której otwór był niemal zakryty krzewami, i tu znalazłem to, czego szukałem.

Tak się zdarzyło, że podsłuchałem ową rozmowę między dwoma kompanami, kiedy to panu Goodfellowowi pochlebstwem udało się wyłudzić od gospodarza obietnicę skrzynki Château Margaux. Podsunęło mi to pewien pomysł. Zdobyłem kawałek fiszbinu, wepchnąłem go do gardła trupa i ułożyłem ciało w starej skrzyni od wina, starając się tak je

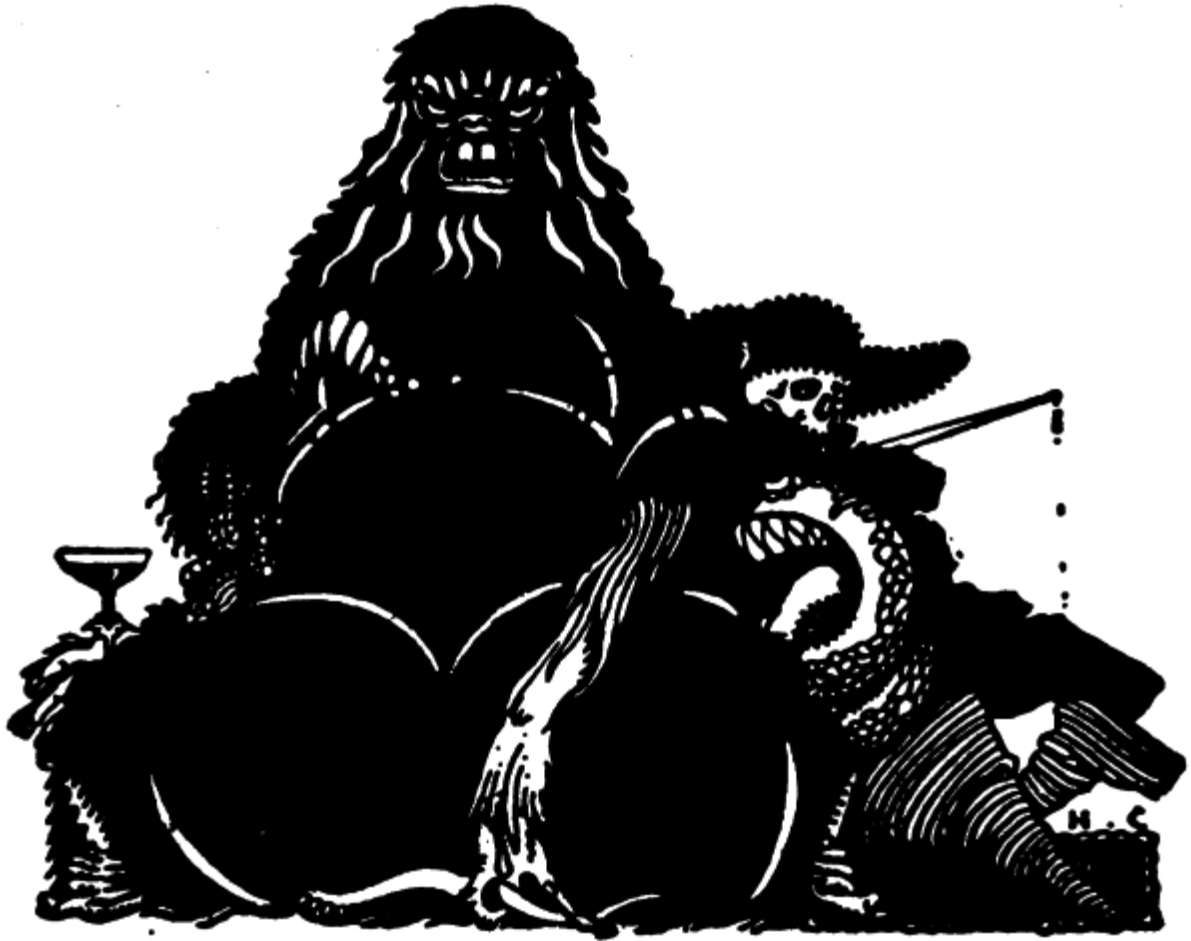


zgiąć na pół, aby razem z nim zgiął się fiszbin. W tym celu musiałem silnie naciskać wierzch skrzyni, aby przytrzymać go, zanim przybiję gwoździe, przewidując naturalnie, że skoro je później wyciągnę, wierzch odskoczy na bok, a ciało do góry.

Przygotowawszy skrzynię w ten sposób, oznaczyłem ją, opatrzyłem numerem i adresem, tak jak już wspomniałem, a następnie napisałem list w imieniu firmy, od której pan Shuttleworthy kupował wino, i dałem polecenie swemu służącemu, aby na dany przeze mnie znak przywiózł skrzynię na taczkach do drzwi pana Goodfellowa. Jeśli chodzi o słowa, które miał wypowiedzieć trup, polegałem na własnych zdolnościach brzuchomówcy, a jeśli chodzi o ich skutek, liczyłem na sumienie zbrodniarza.

Sądzę, że nic więcej nie trzeba wyjaśniać. Pan Pennifeather został z miejsca zwolniony, odziedziczył fortunę wuja, skorzystał z lekcji doświadczenia, naprawił dawne błędy i prowadził odtąd do końca szczęśliwe, nowe życie.

*Tłumaczył Wiesław Furmańczyk*



<sup>1</sup> Dosłownie „dobry człowiek” (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Hoggs, Frogs, Bogs – wieprzki, żaby i błotka (przyp. tłum.).

<sup>3</sup> Petit souper (fr.) – kolacyjka (przyp. red.).

# Człowiek tłumy

*C'est grand malheur, de ne pouvoir être seul*<sup>1</sup>.

La Bruyère

**S**łusznie powiedziano o pewnej książce niemieckiej: *es lässt sich nicht lesen* – nie daje się czytać. Bywają tajemnice, które nie dają się wypowiedzieć. Ludzie konają nocami w swych łóżach, ściskając dłonie upiornych spowiedników i patrząc im żałośnie w oczy – konają z rozpaczą w sercu i zdławionym gardłem z powodu tajemnic, które nie znoszą, aby je wyjawiano. Zdarza się, niestety, że sumienie ludzkie dźwiga tak ciężkie brzemie okropności, iż może pozbyć się go tylko w grobie. Stąd to istota wszelkiej zbrodni pozostaje w ukryciu.

Niedawno temu, późnym wieczorem jesiennym, siedziałem u wielkiego, sklepionego okna kawiarni D. w Londynie. Chorowałem przedtem przez kilka miesięcy, lecz już powracałem do zdrowia i z przybytkiem sił poczułem się w owym błogim usposobieniu, co stanowi wręcz przeciwieństwo do *ennui*<sup>2</sup> i jest najbystrzejszą przenikliwością – kiedy rozprasza się obłok, co tłumiał jasność widzenia duchowego, i zelektryzowany intelekt ponad swój stan zwyczajny w nie mniejszej wydźwiga się mierze niż żywe, lecz przejrzyste rozumowanie Leibniza wznosi się ponad bałamutną i nikłą retorykę Gorgiasza. Już oddychanie sprawiało mi przyjemność i byłem zdolny czerpać rzeczywiste rozkosze nawet z istotnych źródeł bólu. Zwracałem spokojną, lecz badawczą uwagę na wszystko. Z cygarem w ustach i jakimś dziennikiem na kolanach spędziłem znaczną część popołudnia bądź to zagłębiając się w

ogłoszeniach, bądź też przypatrując się mieszanemu towarzystwu, co zapełniało kawiarnię, lub wreszcie wyglądając przez zamglone szyby na ulicę.

Stanowi ona jeden z głównych szlaków miasta i roła się od ludzi przez cały dzień. Lecz z nastaniem ciemności natłok wnet się powiększył, zaś kiedy światła zapalono, dwa gęste i nieprzerwane nurty ludzkie krążyły przede drzwiami. O tej porze wieczora nie bywałem nigdy w podobnym usposobieniu, toteż zgiełkliwe morze głów ludzkich napełniło mnie nowymi i rozkosznymi wrażeniami. Już od dawna przestałem zwracać uwagę na to, co działo się w kawiarni, i skupiłem całą swą bacność na widowni ulicznej.

Spostrzeżenia moje przybierały zrazu obrót abstrakcyjny i uogólniający. Spostrzegałem przechodniów tłumami i zdawałem sobie sprawę z ich wzajemnych, zbiorowych stosunków. Ale wnet przeszedłem do szczegółów i z drobiazgowym rozpatrywałem zajęciem nieprzebraną rozmaitość postaci, strojów, zachowania się, wyglądu, rysów i wyrazów twarzy.

Przeważająca większość wyglądała na ludzi zadowolonych i oddanych swym zajęciom, co myśleli tylko o tym, by utorować sobie drogę śród tłoku. Brwi mieli zmarszczone i spojrzenia żywe; gdy ich potracił kto z sąsiednich przechodniów, nie okazywali zniecierpliwienia, lecz poprawiali ubranie i śpieszyli dalej. Inni, dość jeszcze liczni, mieli niespokojne ruchy i podniecone twarze; gestykulowali i mówili do siebie, jakby w poczuciu samotności, zaczerpniętym z przeświadczenia o gęstwie okolnego tłumu. Napotkawszy przeszkodę, przestawali nagle mamrotać, lecz podwajali swe gesty i z roztargnionym, wymuszonym uśmiechem czekali, by przechodzień ustąpił im z drogi. Potrąceni wywzajemniali się ukłonami i nie posiadali się z zakłopotania. Poza tym, o czym już wspomniałem, te dwie liczne gromady ludzkie nie zaznaczały się niczym osobliwszym. Odzież ich była tego rodzaju, który daje się określić dokładnie słowem: przyzwoity. Byli to niewątpliwie: szlachta, kupcy, adwokaci, przemysłowcy, spekulanci giełdowi – eupatrydzi i zwykła gawiedź – próżniacy i ludzie czynni, zajęci własnymi sprawami, prowadzący swe

przedsiębiorstwa na własną odpowiedzialność. Ci niezbyt pobudzili moją uwagę.

Zawodowych subiektów poznawało się od razu; rozróżniłem wśród nich dwie charakterystyczne odmiany. Pierwszą stanowili pośledniejsi subiekci z podrzędnych przedsiębiorstw – młodzieńcy w obcisłej odzieży i lakierowanym obuwiu, o wypomadowanych włosach i pretensjonalnych minach. Pomijając pewną układność ruchów, którą dla braku innego określenia nazwałbym gracją sklepową, zachowanie się ich wydawało mi się dokładną podobizną tego, co przed dwunastu lub osiemnastu miesiącami uchodziło za ostatni wyraz *bon ton*<sup>3</sup>. Stroili się w znoszoną już wytworność arystokracji; jest to, jak sądzę, najlepsze określenie tej klasy.

Co do drugiej odmiany starszych subiektów z poważnych firm handlowych, czyli co do tak zwanych statecznych starszych panów, niepodobna było się pomylić. Wyróżniali się wygodnym krojem surdutów i pantalonów czarnych lub brunatnych, białymi kamizelkami i krawatami, przestronnym, dobrze odrobionym obuwiem oraz grubymi pończochami lub kamaszami. Wszyscy byli lekko łysawi i u każdego prawe ucho, za którym zwykło tkwić pióro, nawykowo odstawało na końcu. Zauważyłem, że zawsze wkładali i zdejmowali kapelusze obiema rękami i posługiwali się zegarkami na krótkich złotych łańcuszkach staroświeckiej, porządnej roboty. Dbali o pozory szanowności – jeśli w ogóle można przyswoić sobie tak zaszczytne pozory.

Zdarzało się także wielu osobników odrażającej powierzchowności; z łatwością dostrzegałem w nich bezczelnych złodziei kieszonkowych, co są plagą każdego wielkiego miasta. Przyglądałem się tym wytwornisiom z wielką bacznością i niełatwo przyszło mi pojąć, jak ludzie z towarzystwa mogą się mylić do tego stopnia, by uważać ich za równych sobie. Przestronne rękawy oraz pozory niezwyklej towarzyskiej swobody pozwalały odgadnąć ich od razu.

Szulerzy – a widziałem ich niemało – byli jeszcze łatwiejsi do poznania. Przesuwali się, ubrani nader rozmaicie, od desperackich alfonsów w welwetowych kamizelkach, fantastycznych krawatach, z

połączanymi dewizkami i misternymi spinkami, aż do duchownych, tak nieskazitelnie poprawnych w stroju, że wprost niepodobna było powziąć podejrzania. Atoli wszyscy dawali się rozpoznać po wymokłych, śniadych twarzach, mętnych, przymglonych oczach, jako też bladych i zaciśniętych wargach. Ponadto były jeszcze dwa inne rysy, po których domyślałem się ich niezawodnie: oględne tłumienie głosu w rozmowie tudzież większe niż zazwyczaj odchylenie wielkiego palca pod kątem prostym do innych palców. Nader często w towarzystwie tych oszustów dostrzegałem ludzi o nieco odmiennym wyglądzie, lecz były to ptaki z jednego gniazda. Można by ich określić jako dżentelmenów żyjących psim swędem. Czyhają oni na publiczność w dwu zastępach: salonowców i wojskowych. Głównym znamięm pierwszych są bujne fryzury i uśmiechy, drugich – wcięte żakiety i marsowe spojrzenia.

Zstępując po drabinie tego, co zowie się *gentility*<sup>4</sup>, napotykałem ciemniejsze i gęstsze tematy do rozmyślań. Widziałem żydowskich kramarzy, których oczy błyskały jak u jastrzębi, zaś rysy nie wyrażały nic innego prócz nikczemnej uniżoności; zuchwałych, zawodowych żebraków ulicznych, spoglądających spode łba na ubogich lepszego pokroju, których tylko rozpacz zmusiła po nocy żebrac miłosierdzia; słabych i wynędzniałych inwalidów, na których ręka śmierci spoczywała już niechybnie i którzy ślaniali się i potykali wśród tłuszczy, spoglądając wszystkim błagalnie w oczy jakby w poszukiwaniu przypadkowej pociechy czy postradanej nadziei; młode, skromne dziewczęta, wracające po długiej pracy do nędznego domostwa i wzdrygające się ze łzami raczej niż z oburzeniem pod spojrzeniami rozpustników, których spotkania nie udało im się uniknąć; dziewczki uliczne wszelkiego wieku i rodzaju; doskonałe piękności w pełnym kobiecej urody rozkwicie, przypominające posągi z Lucjana, o powłokach z paryjskiego marmuru i o wnętrzach pełnych niechlujstwa – i ohydne, beznadziejnie upadłe trędowate w łachmanach – i pomarszczone, umalowane, obwieszane klejnotami wiedźmy, co żadną miarą nie chciały rozstać się z młodością – wreszcie istne dzieci o nierozwiniętych jeszcze kształtach, lecz obeznane już pod wpływem otoczenia ze wstrętnymi umizgami swego rzemiosła i pałające

niepohamowaną chętką, by dorównać swym starszym mistrzyniom w występny zawodzie; niezliczonych i niedających się opisać opojów: jednych obdartych lub okrytych łatami, zataczających się, bełkocących, z obrzękłymi twarzami i przygasłymi oczyma – drugich w całej jeszcze, lecz brudnej odzieży, z lekka zawadiackich, o grubych, zmysłowych wargach i dobrodusznym, rozczzerwienionym twarzach – innych w ubraniach wytwornej niegdyś roboty i wciąż jeszcze starannie utrzymanych – na koniec ludzi stąpających nienaturalnie silnym, sprężystym krokiem, których twarze były straszliwie blade, a oczy potwornie błędne i zaognione, i którzy, przewalając się wśród tłoku, sięgali drżącymi palcami po wszystkie pobliskie przedmioty; prócz nich cukierników, posługaczy, węglarzy i kominiarzy; katarzyniarzy, kuglarzy i pieśniarzy ulicznych; tych, co sprzedają ballady i co je śpiewają; obszarpanych rzemieślników i znużonych robotników wszelkiego rodzaju – zaś wszystko to wrzało zgiełkliwym i bezładnym ożywieniem, które zgrzytało niemile w uszach i raziło oczy.

W miarę jak mroki nocne gęstniały, zaciekawiałem się coraz bardziej tą widownią uliczną, gdyż nie tylko ogólny charakter tłumu zasadniczej uległ zmianie (mianowicie wraz ze stopniowym odpływem lepszych części ludności jęły zanikać szlachetniejsze jego rysy, a jaskrawiej występować lichsze, ile że spóźniona pora wywabiła wszelkie męty z kryjówek), lecz także światło lamp gazowych, niemogące zrazu sprostać dogorywającej jasności dziennej, wzięło w końcu górę i roztaczało dokoła swe migotliwe, skrzące blaski. Wszystko było mroczne, lecz świetne – na podobieństwo owego hebanu, do którego przyrównano niegdyś styl Tertuliana.

Poddając się urokowi niezwykłego oświetlenia, począłem badać twarze ludzkie; i jakkolwiek chyżość, z jaką roztęcz świetlna płasała przed oknem, nie pozwalała mi zwykle dostrzeżonego oblicza więcej niż jednym obrzucić spojrzeniem, mimo to miałem wrażenie, iż dzięki osobliwшему skupieniu mojego umysłu mogłem niejednokrotnie dzieje długich lat odczytywać w tym krótkim mgnieniu jednego spojrzenia.

Z czołem opartym o szybę oddawałem się zatem studiom nad gawiedzią, gdy wtem mignęła mi przed oczyma twarz (jakiegoś sześćdziesięcioletniego- lub siedemdziesięcioletniego, przeżytego starca), która bezwzględną osobliwością swego wyrazu natychmiast przykuła i opętała wszystką mą uwagę. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć bodaj przybliżonego wyrazu. Pamiętam, iż na jego widok błysnęła mi myśl, że Retzch, gdyby go ujrzał, postawiłby go wyżej od swych własnych, malowanych uosobień szatana. Gdym w przelotnej chwili pierwszego okamgnienia chciał zanalizować istotę odniesionych wrażeń, bezładnie i paradoksalnie zakłówały mi w mózgu pojęcia wielkiej potęgi ducha, przezorności, nędzy, chciwości, chłodu, złości, krwiożerczości, tryumfu, radości, niewysłowionej grozy i bezmiernej, ostatecznej rozpacz. „Jak dziwne – rzekłem sobie – muszą być dzieje zapisane w tej duszy”. I ogarnęła mnie gorąca chęć, by nie stracić tego człowieka z oczu – by czegoś więcej dowiedzieć się o nim. Pośpiesznie zarzuciłem na siebie płaszcz, porwałem kapelusz i laskę i wybiegłszy na ulicę, jałem sobie torować drogę wśród tłumu w obranym przezeń kierunku, gdyż zdążył już gdzieś zniknąć. Z niejaką trudnością udało mi się w końcu go odszukać, więc zbliżywszy się do niego, podążałem za nim z bliska, lecz ostrożnie, by nie zwrócić na siebie jego uwagi.

Miałem teraz dobrą sposobność przyjrzenia się jego osobie. Był niewielkiego wzrostu, bardzo szczupły i widocznie bardzo wątły. Odzież jego była na ogół zniszczona i podarta, ale od czasu do czasu, kiedy stawał w mocniejszym blasku lampy, miałem sposobność zauważyć, że bielizna jego była wprawdzie brudna, lecz wytwornego wyrobu, i jeżeli mnie oczy nie myliły, przez dziurę w szczelnie zapiętym i widocznie z drugiej ręki nabytym płaszczu, który go całego otulał, dostrzegłem jakby połysk brzeszczotu i diamentu. Te spostrzeżenia powiększyły jeszcze moją ciekawość i postanowiłem iść za nieznanym choćby na kraj świata.

Noc była już głęboka, miasto nurzało się w gęstej, wilgotnej mgle, co rychło rześnistym zakończyła się deszczem. Zmiana pogody oddziaływała na tłumy, które od razu innym drgnęły ruchem i okryły się mnóstwem parasoli. Zamieszanie, natłok i zgiełk wzmożyły się ogromnie. Osobiście



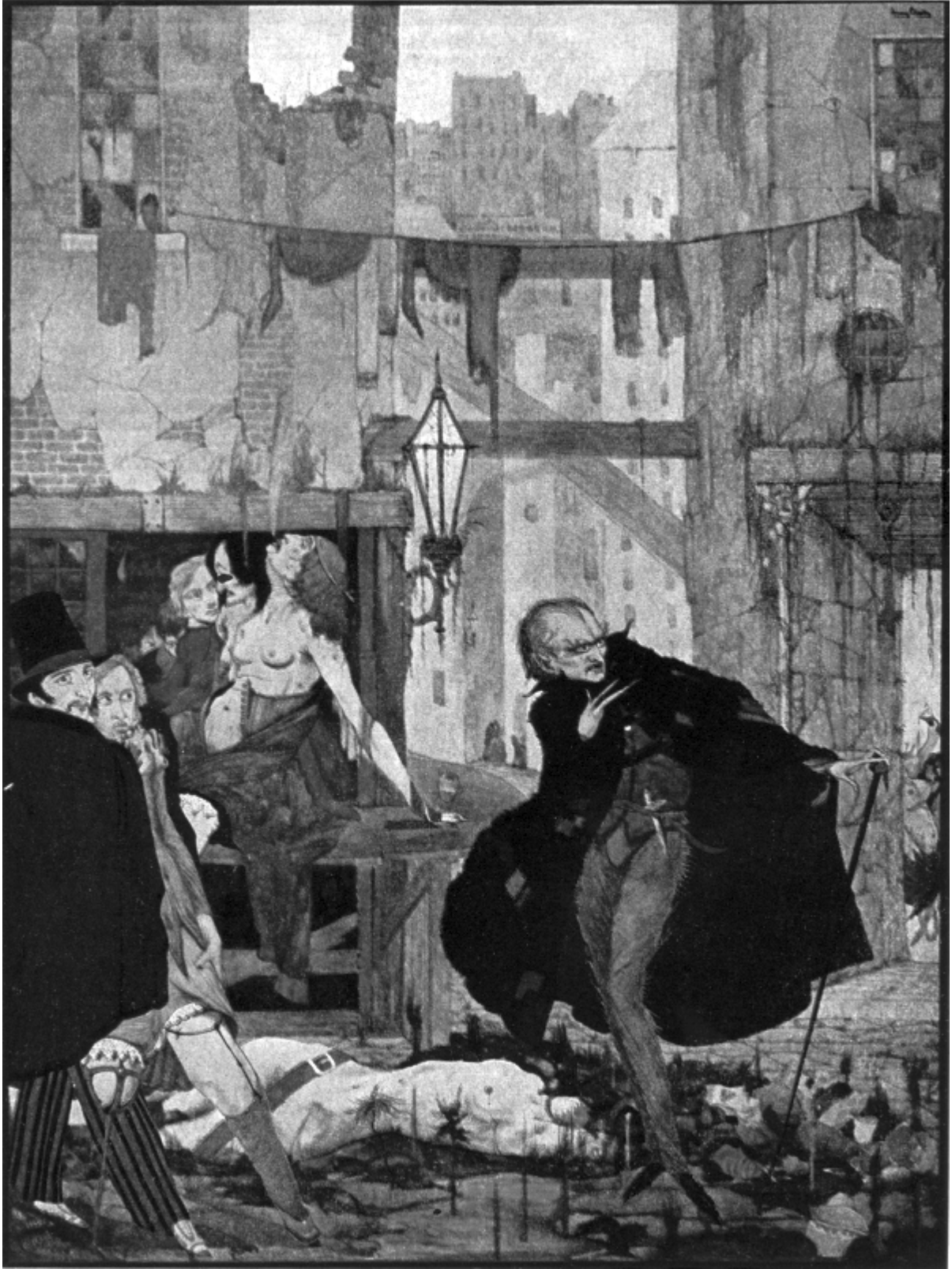
deszcz mi nie sprawił przykrości, gdyż czułem jeszcze w sobie utajoną gorączkę, dla której wilgoć była niebezpieczną, co prawda, przyjemnością. Osłoniwszy chustką usta, brnąłem dalej. Przez jakie pół godziny starzec podążał z trudem główną ulicą, ja zaś szedłem tuż za nim, obawiając się, że mógłbym stracić go z oczu. Ani razu nie odwrócił się, by spojrzeć poza siebie, po prostu nie zważał na mnie. Następnie skręcił w jakąś przecznicę, która wprawdzie roiała się od ludzi, ale mniej była natłoczona od owego szlaku głównego. Tu w zachowaniu się jego zaszła widoczna zmiana. Stąpał wolniej i nie z taką jak przedtem stanowczością – jakby się ociągając. Przechodził z jednej strony ulicy na drugą i wracał znowu bez widocznej potrzeby, zaś ciżba była jeszcze tak gęsta, iż w takich chwilach musiałem iść trop w trop za nim. Ulica ta jest wąska i długa, zaś włóczęga jego trwała tam niemal godzinę: tymczasem natłok przechodniów zmniejszył się stopniowo mniej więcej do tej liczby, jaką około południa widuje się na Broadwayu w pobliżu parku – tak wielka jest różnica między zaludnieniem Londynu i Nowego Jorku, tego najładniejszego amerykańskiego miasta. Skręcił powtórnie – i wyszliśmy na plac rześiście oświetlony, kipiący wrzawą i życiem. Nieznajomy jał znowu zachowywać się jak poprzednio. Broda opadła mu na piersi, a oczy miały spod zmarszczonych brwi posępne spojrzenia na gawieź, co go zewsząd otaczała. Dążył przed siebie statecznie i wytrwale. Zdziwiłem się, gdy obszedłszy plac, zawrócił i jał go okrążyć ponownie. Zaś zdziwienie moje wzrosło jeszcze bardziej, kiedy powtórzył tę przechadzkę kilkakrotnie – przy czym omal mnie nie zauważył, zawróciwszy raz z miejsca nagłym ruchem.

Na tym błakaniu się spędził drugą godzinę, ale pod jej koniec mniej już doznawaliśmy przeszkód ze strony przechodniów niż poprzednio. Deszcz padał rześisty; powietrze oziębiło się; ludność wracała do domów. Z gestem zniecierpliwienia zawrócił wędrowiec w jakąś boczną uliczkę względnie dość pustą. Całą jej długość, wynoszącą z jakie ćwierć mili, przebiegł z chyżością, o której nie marzyło się mi nawet u człowieka w tak podeszłym wieku i której niełatwo przyszło mi sprostać. W kilka minut znaleźliśmy się wśród wielkiego i gwarne go bazaru, z którym nieznajomy

był widocznie dobrze obeznany i gdzie dziwaczne jego zachowanie objawiło się znów w całej pełni, gdy bez celu torował sobie przejście wśród ścisku kupujących i sprzedających.

Blisko półtorej godziny spędzonej w tym miejscu musiałem mieć się na baczności, by nie zgubić go w tłumie, nie zwracając przy tym na siebie jego uwagi. Włożyłem na szczęście kalosze i mogłem stąpać prawie bez szmeru. Ani razu nie spostrzegł, że go śledzę. Chodził od sklepu do sklepu, nie pytał o nic, nie odzywał się wcale i spoglądał na wszystko zakrzepłymi, czczymi oczyma. Zdumienie moje tym jego postępowaniem nie miało już granic i nie wcześniej postanowiłem odejść, aż dowiem się o nim czegoś pewniejszego.

Zegar donośnie wybił jedenastą i bazar opustoszał w jednej chwili. Jakiś przekupień, zamykając okiennicę, potrącił starca, który w moich oczach drgnął mocno na całym ciele. Wybiegł na ulicę, rozglądał się przez chwilę trwożnie dokoła siebie, po czym podążył z niesłychaną szybkością krętymi i bezludnymi uliczkami ku owemu głównemu szlakowi, z któregośmy wyszli – mianowicie ku ulicy, gdzie stał hotel D. Ale nie miała już ona tego samego wyglądu. Wprawdzie wciąż jeszcze jarzyła się od płomieni gazowych, lecz deszcz lał jak z cebra i ludzi było bardzo niewiele. Nieznajomy pobladł. Chmurnie kroczył przez chwilę ludną niegdyś ulicą, po czym z ciężkim westchnieniem zawrócił w stronę rzeki i zanurzywszy się w gmatwaninę bocznych uliczek, stanął w końcu przed jednym z głównych teatrów. Właśnie miano go zamknąć i u wyjścia tłoczyła się publiczność. Widziałem, że usta starca rozchyliły się ciężkim oddechem, zanim pogrążył się w tłumie, lecz zdawało mi się zarazem, że bezmierny lęk umniejszył się nieco na jego twarzy. Znów pochylił głowę na piersi i wyglądał jak wówczas, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. Zauważyłem, iż obrał drogę, na której gęściej roili się przechodnie, lecz na ogół coraz trudniej przychodziło mi zdać sobie sprawę z dziwaczności jego postępowania.



BYŁA TO NAJOHYDNIJSZA DZIELNICA LONDYNU

W miarę jak ludzi ubywało, jęło ogarniać go znowu jego dawniejsze zakłopotanie i niepewność. Przez jakiś czas nie odstępował gromadki złożonej z dziesięciu lub dwunastu hałaśliwych włóczęgów; lecz wnet zaczęli się rozchodzić i zaledwie trzech pozostało w wąskiej, ciemnej, odludnej uliczce. Nieznajomy przystanął i pogrążył się na chwilę w zamyśleniu; lecz wnet z widocznym niepokojem obrał drogę, która zaprowadziła nas aż na kraniec miasta, w okolice nader różne od tych, w których dotychczas przebywaliśmy. Była to najohydniejsza dzielnica Londynu, gdzie wszystko nosiło haniebne piętno żalosnej nędzy i rozzuchwalonego występku. Przy mdłym świetle nielicznych latarni widniały chylące się do upadku, wysokie, odwieczne, stoczone przez czerwie drewniane domostwa, rozrzucone tak przypadkowo i bezładnie, że zaledwie było można dojrzeć wśród nich przejścia. Kamienie brukowe leżały w rozsypce, wyparte ze swych łożysk przez bujną krzewiącą się trawę. Przerażliwym niechlujstwem cuchnęły zaplugawione kanały. Atmosfera dyszała opuszczeniem. Wnet atoli jęło znów budzić się szemranie ludzkiego życia i ujrzeliśmy wielkie tłumy najnikczemniejszych wyrzutków Londynu, wałęsających się dokoła. Serce starca drgnęło na ten widok jak lampa, co dogasa. Raz jeszcze krok jego odzyskał dawną sprężystość. Skręciliśmy nagle na rogu ulicy, zamigotały nam w oczach jaskrawe światła i stanęliśmy przed ogromnym przedmiejskim przybytkiem niewstrzeźliwości – przed pałacem, gdzie króluje demon Gin.

Miało się już ku świtaniu; mimo to mnóstwo wynędzniałych opojów cisnęło się u pompatycznego wejścia. Tłumiąc okrzyk radości, utorował sobie starzec drogę do wnętrza i przybrawszy od razu swój zwykły wygląd, jął przechadzać się tam i z powrotem wśród ciżby bez widocznego celu. Nie trwało to jednak długo, gdyż wkrótce wszczął się ruch ku wyjściom na znak, iż wkrótce miano zamknąć na noc gospodę. To, co wówczas odmalowało się na twarzy tego osobliwego człowieka, którego z takim śledziłem uporem, było silniejsze od rozpacz. Mimo to nie zwlekał w swym przedsięwzięciu i z opętańczą zawziętością jął wracać niezwłocznie ku ośrodkom ogromnego Londynu. Szedł szybko i długo, ja

zaś podążałem za nim z bezmiernym zdumieniem, poprzysięgając sobie nie wyrzec się dochodzeń, które rozbudziły we mnie najwyższe zajęcie. Słońce wzeszło, gdy byliśmy jeszcze w drodze; kiedy zaś dotarliśmy do najruchliwszej ludnego miasta dzielnicy i weszliśmy na ulicę, gdzie stoi hotel D., panował tam zgiełk i gwar, nie mniejszy niż poprzedniego wieczora. I długo tutaj wśród nieustannie wzmagającego się zamieszania dotrzymywałem kroku w pościgu za nieznanym. Ale jak zwykle chodził on tam i z powrotem i przez cały dzień nie opuszczał cizby rojącej się na tej ulicy. O zmierzchu drugiego wieczora byłem znużony śmiertelnie i zastąpiwszy drogę włóczędze, spojrzałem mu natarczywie w oczy. Nie zwrócił na mnie uwagi i nie zatrzymał się w swym uroczystym pochodzie, ja zaś, zaprzestawszy dalszego pościgu, stanąłem pogrążony w zadumie. „Ten starzec – powiedziałem sobie w końcu – jest typem i geniuszem wielkiej zbrodni. Nie znosi samotności. Jest człowiekiem tłumu. Śledzić go dalej byłoby rzeczą nadaremną, gdyż nie dowiem się już niczego więcej ani o nim, ani o jego uczynkach. Serce, najgorsze na świecie, jest księgą niedostępniejszą niż *Hortulus Animae* i może jest to wielką łaską Bożą, że *es lässt sich nich lesen*”.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> C'est grand malheur... (fr.) – Nie móc być samym to wielkie nieszczęście (przyp. red.).

<sup>2</sup> Ennui (fr.) – nuda (przyp. red.).

<sup>3</sup> Bon ton (fr.) – dobry ton (przyp. red.).

<sup>4</sup> Gentility (ang.) – szlachtetne urodzenie (przyp. red.).

# W bezdni Maelströmu

*Drogi Boże porównie w Przyrodzie, jak w Opatrzności nie są na podobieństwo dróg naszych; a kształty, które my tworzymy, nie dają się żadną miarą zestawić z bezmiarem, głębią i niedocieczonością Jego dzieł, co są otchłanniejże niż studnia Demokryta.*

Joseph Glanvill

**D**otarliśmy wreszcie na szczyt najwyższego wiszaru. Zdawało się przez chwilę, iż starzec nie może odzyskać głosu z nadmiernego zmęczenia.

– Niedawno jeszcze temu – odezwał się w końcu – przyprowadzić tu kogoś było mi równie łatwo, jak memu najmłodszemu synowi; lecz przed trzema niespełna laty zdarzyła się mi przygoda, jakiej jeszcze nie doznała żadna istota śmiertelna – lub co najmniej – z jakiej jeszcze nikt nie uszedł z życiem, by ją opowiedzieć. Przeżyłem wówczas sześć godzin śmiertelnego lęku, co złamał mnie na duszy i ciele. Panu zapewne się zdaje, że zgrzybiały starzec – lecz tak nie jest. Dość było niecałego dnia, by krucze me włosy okryć siwizną, osłabić me członki i do tego stopnia rozprząć mi nerwy, iż drzę za najlżejszym wysiłkiem i lękam się własnego cienia. Czy pan uwierzy, iż patrząc w dół z tego marnego urwiska, bliski jestem zawrotu głowy?

„Marne urwisko”, na którego skraju spoczywał tak niedbale, iż cięższa część jego ciała zwieszała się już nad przepaścią, zaś jedynym oparciem dla jego łokci, co go chroniły od upadku, była oślizła krawędź skalna – owo „urwisko” przedstawiało się jako skrzesana iglica czarnej, lśniącej turni, co wśród kamiennego świata jeżących się pod nami szczytów

wystrzelała do pięciuset lub sześciuset stóp wysokości. Za nic w świecie nie byłbym się zbliżył na sześć stóp do jej krawędzi. Niebezpieczna pozycja mojego towarzysza wprawiła mnie w taki rozstrój, iż rzuciłem się jak długi na ziemię, uczepiłem pobliskich krzewów i nie śmiałem nawet podnieść oczu ku niebu – zaś równocześnie na próżno starałem się otrząsnąć z przypuszczenia, iż wściekłość wichru zagraża górze w samych jej posadach. Trzeba było długiego czasu, zanim zdobyłem się na tyle odwagi, by usiąść i spojrzeć przed siebie w oddal.

– Niech pan się pozbędzie tych przywidzeń – rzekł mój przewodnik – przyprowadziłem tu pana, by pokazać widownię zdarzenia, o którym już wspomniałem, i żeby pan wysłuchał mego opowiadania, patrząc na to miejsce z bliska, własnymi oczyma.

– Znajdujemy się obecnie – mówił dalej z właściwą sobie drobiazgowością – tuż u wybrzeża Norwegii, pod sześćdziesiątym ósmym stopniem szerokości geograficznej w wielkiej prowincji nordlandzkiej i w posepnym okręgu Lofotów. Góra, na której szczycie spoczywamy, zwie się Helseggen – Zachmurzona. A teraz niech pan uniesie się nieco wyżej – proszę trzymać się trawy, jeśli panu nieswojo – tak – i niech pan wyjrzy poza tę obręcz obłoków, co legła pod nami, w dół, na morze.

Spojrzałem na poły nieprzytomnie i dostrzegłem rozokolony przestwór oceanu, którego wody mieniły się taką głęboką czernią, iż przyszło mi na myśl opowiadanie nubijskiego geografą o *Mare Tenebrarum*. Beznadziejnie zamarłego krajobrazu nie zdoła wyśnić żadna wyobraźnia ludzka. W prawo i w lewo, jak daleko sięgnąć okiem, widniały na kształt przedmurzy świata rzędy straszliwie czarnych i nawisłych skał, których posepność uwydatniała się jeszcze wyraźniej wśród rozedrganej toni, co z nieustannym wyciem i skowytem chłostała je widmową bielą swej grzywy. Naprzeciw przylądka, na którym się znajdowaliśmy, w odległości pięciu lub sześciu mil majaczyła niewielka, zaprzepaszczona wśród morza wysepka; czyli raczej – by wyrazić się ściśle – miejsce, w którym się znajdowała, zaznaczało się dzikim wrzeniem spowijającego ją odmętu. Nieco bliżej, na dwie mile od brzegu, wznosiła się druga, mniejsza,



przeraźliwie jałowa i kamienista, okolona gdzieniegdzie poszczerbioną ciemnych skał smugą.

Wygląd oceanu między odleglejszą wysepką a wybrzeżem miał w sobie coś niezwykłego. Jakkolwiek w kierunku lądu dał właśnie wiatr tak silny, iż dwumasztowiec, widniejący w oddali na pełnym morzu, pruł falę na ukos, zastawiając się podwójnie nawleczonym żaglem i zapadając mimo to co chwila całym kadłubem w głębię, jednakże na tym miejscu nie było ani śladu prawidłowego przelewania się fali; w krótkich, ostrych, drgających podrzutach chełbotały się wody, rozbiegając się we wszystkich kierunkach – zarówno pod wiatr, jak i przeciw niemu. Poza bezpośrednim pobliżem skał pian było tam niewiele.

– Wyspę hen, w dali – podjął znów starzec – nazywają Norwegowie Vurrgh; tę zaś pośrodku – Moskoe. Owa o milę na północ – to Ambaaren. Inne zwą się: Islesen, Hotholm, Keildhelm, Suarven i Buckholm. Jeszcze dalej, między Moskoe a Vurrgh, leży Otterholm, Flimen, Sandflesen i Stockholm. Takie są ich właściwe nazwy. Lecz dlaczego w ogóle uważano za stosowne ponadawać im nazwy, tego niepodobna pojąć ani mnie, ani panu. – Czy pan coś słyszy? – Czy zauważył pan zmianę w wodzie?

Już od dziesięciu minut znajdowaliśmy się na szczycie Helseggenu, dokąd weszliśmy od wnętrza Lofotów, nie widząc wcale morza, które dostrzegliśmy dopiero z wierzchołka. Kiedy starzec mówił, rozległ się donośny i stopniowo wzmagający się zgiełk, podobny do poryku nieprzeliczonego stada bawołów na preriach amerykańskich; równocześnie zauważyłem, iż to, co żeglarze nazywają chełbotaniem oceanu, przeobraziło się nagle w prąd zwracający się ku wschodowi. Prąd ten w mych oczach przybierał niesłychaną szybkość. W okamgnieniu zwiększał się jego pęd – nawałnicowy jego rozmach. W pięć minut cały przestwór morski aż po wyspę Vurrgh zawrzał nieuskromioną wściekłością; najsilniejszy wszakże zamęt wszczął się między Moskoe a wybrzeżem. Olbrzymia roztocz wodna poryła się i poradliła tysiącem roztrącających się wzajem nurtów, zwichrzyła się w potępieńcze kłęby, zakotłowała się, kipiąc, sycząc i skręcając się w nieprzeliczone ogromne

leje – po czym wirowym ruchem runęła ku wschodowi z chyżością, jaką zazwyczaj miewa tylko woda staczająca się ze stromej wysokości.

W kilka chwil później na całej widowni zaszła inna najzupełniejsza zmiana. Powierzchnia morza wygładziła się nieco, wiry jeden po drugim poznikały, natomiast w miejscach, gdzie ich przedtem nie było, wystąpiły potworne smugi piany. Smugi te, rozpostarłszy się na wielkiej przestrzeni i połączywszy się ze sobą, wszczęły obrotowy ruch zanikłych już lejów i jęły tworzyć zawiązek nowego, jeszcze większego. W okamgnieniu przybrał on widome i określone formy wśród kręgu o przeszło milowej średnicy. Wręby wiru zaznaczyły się szeroką kresą skrzęcej się piany; nie dostawała się ona wszakże ani w odrobinie do straszliwej gardzieli leja, którego wnętrze, o ile można było dosięgnąć okiem, przedstawiało się jako gładka, lśniąca i ogromnie czarna ściana wody, nachylona do poziomu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, kołująca zawrotnie krętym, mdlejącym obrotem i wyrzucająca w przestrzeń przeraźliwy, coś z wrzasku i ryku mający w sobie głos, jakim w śmiertelnych podrzutach nie ziejże nigdy ku niebu nawet potężny wodospad Niagara.

Góra drżała w posadach i chwiała się głązy. Przejęty nerwowym podnieceniem padłem twarzą na ziemię, czepiając się nikłego zielska.

– To musi być – rzekłem w końcu do starca – wielki wir Maelströmu, nieprawdaż?

– Tak go istotnie niekiedy nazywają – odpowiedział. – My, Norwegowie, zwiemy go Moskoe-ström, od wyspy Moskoe znajdującej się pośrodku.

Zwykle opisy nie mogły żadną miarą stanowić dla mnie przygotowania do tego, co ujrzałem. Najobszerniejszy, jak się zdaje, z nich wszystkich, skreślony przez Jonasa Ramusa, nie jest w stanie dać najlżejszego wyobrażenia ani o wspaniałości, ani o straszliwości tego widowiska – tym mniej o bezkresnie osłupiającym wrażeniu niezwykłości, jakie przenika widza. Nie jestem pewien, z którego miejsca i o jakiej porze przyglądał mu się wspomniany pisarz; lecz nie mogło to być ani ze szczytu Helseggen, ani też podczas burzy. Mimo to znajduje się w jego opisie kilka ustępów, które warto przytoczyć dla zawartych w nich

szczegółów, aczkolwiek ich dobitność jest nadzwyczaj słaba w zestawieniu z wrażeniem samego widowiska.

„Między Lofotami a Moskoe – powiada on – głębokość wody wynosi od trzydziestu sześciu do czterdziestu sążni; atoli po drugiej stronie, w pobliżu Ver (Vurrgh), zmniejsza się ona tak bardzo, iż nie stanowi dogodnego szlaku dla statków, które narażają się na rozbicie o skały, nawet podczas najbardziej sprzyjającej pogody. Gdy morze przybiera, prąd na przestrzeni między Lofotami a Moskoe bieży z nawałnicową chyżością, zaś ryku, z jakim nieukrócony jego odpływ zdąża ku morzu, niepodobna porównać z łoskotem najgłośniejszych i najstraszliwszych wodospadów – słyhać go na kilka mil wkoło; leje, czyli wyrwy, dochodzą do takiej głębokości i rozmiarów, iż okręt, który dostanie się w zasięg ich przyciągania, ulega niechybnie wessaniu, idzie na dno i rozbija się na miazgę o skały, kiedy zaś wody się uśmierzą, szczęty jego wypływają znów na powierzchnię. Wszelako te chwile ciszy zdarzają się tylko w przerwach między odpływem a przyływem, przy pomyślnej pogodzie, i nie trwają dłużej niż kwadrans, po czym bystrość prądu znów stopniowo się wzmacnia. Gdy prąd zakipi, a wściekłość jego spotęguje się przez burzę, niebezpiecznie jest zbliżyć się ku niemu na odległość mili norweskiej. Niejednokrotnie chłonał już łodzie, statki i okręty, które dostawały się w jego okrąg, zanim zdołano się opatrzyć. Zdarza się dość często, iż wieloryby, podpłynawszy za blisko do prądu, ulegają jego przemocy, a wówczas wprost niepodobna opisać ich wycia i ryku wśród nadaremnych wysiłków, by znów się oswobodzić. Raz niedźwiedź, który chciał przedostać się wpław z Lofotów na Moskoe, został pochwycony przez prąd i poszedł na dno, rycząc tak okropnie, iż słyszano go na wybrzeżu. Ogromne pnie jodłowe i świerkowe, pochłonięte przez wir, wynurzają się następnie zmiażdżone i poszarpane do tego stopnia, iż wyglądają, jak gdyby porosły szczecią. Dowodzi to oczywiście, iż dno jest zjeżone ostrymi skałami, wśród których te bierwiona się taczały. Prąd ten jest regulowany przez przyływ i odpływ morza, który podnosi i obniża zwierciadło wody co sześć godzin. W Niedzielę Mięsopestną 1645 roku wczesnym rankiem

szalał on i huczał tak wściekle, iż z pobrzeżnych domostw kamienie jęły spadać na ziemię”.

Nie mogłem pojąć, w jaki sposób zdołano zmierzyć głębokość wody w bezpośredniej bliskości wiru. Owych „czterdzieści sążni” znaleziono zapewne jeno w tych częściach kanału, które przylegają do wybrzeża bądź to Moskoe, bądź też Lofotów. W samym środku Moskoe-strömu głąb musi być nieporównanie większa; by się o tym przekonać, dość jest wejść na najwyższy wiszar Helseggenu i spojrzeć stamtąd ukośnie w bezdeń wiru. Patrząc z tego szczytu na wyjący pode mną Flegeton, nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu z prostoduszności, z jaką przezacny Jonas Ramus opowiada jako rzeczy trudne do uwierzenia swe anegdotki o wielorybach i niedźwiedziach; zdało mi się bowiem rzeczą samą przez się zrozumiałą, iż największy z okrętów liniowych, któremu zdarzyłoby się dostać w zasięg tego złowrogiego przyciągania, równie nie mógłby stawiać mu oporu, jak nie może ostać się pierze na wietrze, i uległby niechybnie doszczętej zgubie.

Hipotezy zmierzające do wyjaśnienia tego zjawiska – a były wśród nich takie, które kiedyś przemawiały do mego przekonania – ukazały się mi teraz w najzupełniej odmiennym i niewystarczającym świetle. Wedle powszechnie przyjętego poglądu „wyłączną przyczyną zarówno tego wiru, jak trzech mniejszych, znajdujących się między wyspami Ferroe, jest to, iż równomiernie z przyływem i odpływem morza wzdymające się i opadające fale uderzają o grzbiety obrzeżających wodę skał i ławic, po czym odbite staczają się na podobieństwo wodospadów; im więc wyżej wzbija się fala, tym głębiej musi ona spaść, zaś koniecznym następstwem bywa wir, czyli odmęt chłonny, znany już dostatecznie z pomniejszych przykładów”. – Tak powiada *Encyclopaedia Britannica*. Kircher i inni przypuszczają, iż w samym środku Maelströmu znajduje się czeluść przenikająca na wylot kulę ziemską i posiadająca ujście w jakichś odległych stronach; ktoś z nich wymienił nawet nazbyt pochopnie Zatokę Botnicką. Kiedym patrzył, ku pogładowi temu, mimo całej jego bezpodstawności, skłaniała się najchętniej moja wyobraźnia; wspomniałem o nim memu przewodnikowi i byłem zdziwiony, gdy

usłyszał w odpowiedzi, iż jest to mniemanie utarte powszechnie wśród Norwegów, lecz że on go nie podziela. Poprzedniego zaś zapatrywania, jak sam wyznał, niezdolny był pojąć; pod tym względem zgadzałem się z nim zupełnie – gdyż to, co daje się wywnioskować na papierze, staje się wprost niepojęte lub nawet niedorzeczne pośród rozhuików otchłani.

– Miał pan sposobność przyjrzeć się dobrze wirowi – odezwał się starzec. – Niechże pan teraz wśliźnie się za tę skałę, która nas zasłoni od wichru i zagłuszy ryk morza, a ja opowiem mą przygodę na dowód, iż zdarzyło mi się poznać Moskoe-ström dokładniej.

Umieściłem się wedle jego wskazówek, on zaś mówił:

– Współ z moimi dwoma braćmi byłem ongi właścicielem wybornie zaopatrzonego dwumasztowca, około siedemdziesięciu ton pojemności, na którym krążyliśmy, łowiąc swym zwyczajem ryby pośród wysp rozsianych poza Moskoe a w pobliżu Vurrgh. Przy wzburzonym morzu miewa się zawsze obfity połów, o ile ktoś potrafi wyzyskać sprzyjającą chwilę i posiada niezbędną do tego przedsięwzięcia odwagę; atoli z całej pobrzeżnej ludności Lofotów tylko nas trzech zapuszczało się stale na swych wyprawach aż ku wyspom, jak to już panu wspomniałem. Zwykle miejsca połowu znajdują się znacznie dalej na południe. Można tam łowić ryby o każdej porze i bez wielkiego niebezpieczeństwa, dlatego miejsca te są bardziej uczęszczane. Natomiast wybrane przez nas topiele, położone opodal, między skałami, dostarczają ryb w doborowej różnaitości i znacznie większą posiadają ich obfitość, toteż w jednym dniu łowiliśmy nieraz więcej aniżeli bojaźliwsi nasi towarzysze w całym tygodniu. Jęliśmy się po prostu niejako rozpaczliwego przedsiębiorstwa, do którego zamiast pracy wnosiliśmy pogardę śmierci, a zamiast kapitału – odwagę.

Dwumasztowiec nasz stał o jakie pięć mil stąd – hen, powyżej, w niewielkiej przystani; podczas sprzyjającej pogody, korzystając z przerwy między odpływem a ponownym przyływem, przeprawialiśmy się pośpiesznie przez główne koryto Moskoe-strömu, jak najdalej od leja, po czym zarzucaliśmy kotwicę w pobliżu Otterholmu lub Sandflesenu, gdzie morze nie burzy się tak mocno, jak gdzie indziej. Pozostawialiśmy tam zazwyczaj aż do chwili, kiedy morze znów poczynało przycichać,

podnosiliśmy kotwicę i odpływaliśmy z powrotem. Nie wyruszyliśmy nigdy w drogę, o ile nie mieliśmy pewności, że wiatr niezmiennie będzie nam sprzyjał zarówno w jedną, jak w drugą stronę, i rzadko myliliśmy się w tym względzie. W ciągu sześciu lat tylko dwa razy musieliśmy spędzić całą noc na kotwicy z powodu ciszy morskiej, która w naszych stronach zdarza się nadzwyczaj rzadko; innym zaś razem, wygłodzeni śmiertelnie, nie ruszyliśmy się z naszych topielisk niespełna tydzień, zatrzymani przez wiatr, co zerwał się wnet po naszym przybyciu i do tego stopnia wzburzył łożysko prądu, iż niepodobna było myśleć o powrocie. Groziło nam wówczas, iż fala nas uniesie na pełne morze (gdyż wiry miotały nami wokół tak wściekle, iż w końcu musieliśmy zwolnić kotwicę i wlec ją za sobą), powiodło się nam wszakże zdać się na wolę jednego z nieprzeliczonych poprzecznych prądów – pojawiają się one i znikają nieustannie – który zaniósł nas w zaciszne miejsce pod Flimen, gdzie udało się nam wreszcie stanąć na kotwicy.

Nie zdołałbym panu opowiedzieć ani dwudziestej części niebezpieczeństw, jakie zdarzały się nam na topieliskach – niedobre to miejsce nawet podczas sprzyjającej pogody – udawało się nam jednakże nawet skręty Moskoe-strömu przebywać szczęśliwie, jakkolwiek serce podchodziło mi zawsze do gardła, ilekroć wypływaliśmy na uśmierzone wody o minutę za wcześniej lub za późno. Czasami wiatr nie był tak silny, jak zdawało się nam na wyjeździe; wówczas wbrew swym życzeniom płynęliśmy wolniej, zwłaszcza że prąd nie pozwalał kierować statkiem. Najstarszy mój brat miał osiemnastoletniego syna, ja również dwu dzielnych chłopców. Byliby nam oni wielce pomocni zarówno w takich chwilach przy robieniu wiosłem, jak i później przy połowie ryb; nie szczędząc jednakże siebie samych, nie mieliśmy odwagi narażać na niebezpieczeństwo naszych dzieci, gdyż – mówiąc bez ogródek – niebezpieczeństwo było naprawdę straszne.

Za kilka dni będzie trzy lata, gdy zdarzyło się to, co zamierzam panu opowiedzieć. Było to 10 lipca 18... roku. Dzień to niezapomniany dla mieszkańców tej części kuli ziemskiej, szalała bowiem dnia tego najstraszliwsza burza, jaką kiedykolwiek zesłały na świat niebiosa; a

jednak przez cały ranek i znaczniejszą część popołudnia powiewał stale łagodny wietrzyk południowo-zachodni, a słońce lśniło tak jasno, iż najstarszy żeglarz nie mógł przewidzieć, co miało nastąpić.

We trójkę – gdyż byli ze mną dwaj moi bracia – dotarliśmy do wysp koło godziny drugiej po południu i rychło napełniliśmy łódź naszą przednimi rybami, których dnia tego było takie mnóstwo, jakiego dotychczas nie zauważyliśmy jeszcze nigdy. Była właśnie siódma na moim zegarku, gdy podnieśliśmy kotwicę i wyruszyliśmy w drogę, by przebyć najgorszą część prądu podczas uśmierzenia wód, co – jakeśmy wiedzieli – miało nastąpić o ósmej.

Wy płynęliśmy, mając lekki wietrzyk od strony prawej, i przez jakiś czas żeglowaliśmy najspokojniej, ani myśląc o niebezpieczeństwie, gdyż istotnie nie było najlżejszego powodu do jakichkolwiek obaw. Najniespodziewaniej zawiął ku nam wiatr od Helseggenu. Było to zjawisko niezwykle – nie zdarzyło się nam ono dotychczas nigdy. Zaniepokoiłem się nieco, sam nie wiedząc dlaczego. Ustawiliśmy się pod wiatr, atoli wzburzone fale zaparły nam drogę, zamierzałem więc już doradzać, byśmy powracali do miejsca, gdzie zazwyczaj stawaliśmy na kotwicy, gdy wtem, obejrzawszy się poza siebie, dostrzegliśmy, iż cały widnokrąg przysłania osobliwa, miedzianej barwy chmura, roztaczająca się z chyżością wprost nadzwyczajną.

Tejże samej chwili przycichł powiew, w którym płynęliśmy dotychczas, i znaleźliśmy się wśród martwej ciszy, zdani na wolę wszystkich prądów. Zjawisko to jednak trwało tak krótko, iż nie zdążyliśmy nad nim się zastanowić. W okamgnieniu burza zawisła nad nami – w chwilę później zaciągnęło się chmurami całe niebo – po czym zarówno od chmur, jak od pędzonej wichrem piany stało się tak ciemno, iż trudno nam było dojrzeć się wzajem na pokładzie.

I zadał huragan urągający wszelkim opisom. Równego jemu nie zaznali najstarsi żeglarze norwescy. Zdążyliśmy zwinąć wszystkie żagle, zanim wicher nas dopadł, atoli pod pierwszym jego naporem oba maszty jak podcięte piłą runęły w morze; maszt główny porwał ze sobą mego najmłodszego brata, który przezornie uwiązał się do niego.

Łódź nasza stała się nagle najlżejszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek igrał na wodzie. Cały jej pokład był kryty i miał tylko jedne drzwiczki, które swym zwyczajem zamykaliśmy zawsze, ilekroć przepływaliśmy Moskoe-ström, mając się na baczności przed wzburzoną falą. Gdyby nie to, bylibyśmy poszli od razu na dno – gdyż chwilami znajdowaliśmy się zupełnie pod wodą. W jaki sposób starszy mój brat uniknął wówczas zagłady, nie umiem powiedzieć; zbieg okoliczności nie pozwolił mi nigdy zapytać go o to. Co do mnie – skorom tylko opuścił żagiel przedni, rzuciłem się jak długi na pokład, wparłem nogi w wąski zakąt burty, a rękami uchwyciłem się pierścienia umocowanego u nasady przedniego masztu. Postąpiłem niewątpliwie najwłaściwiej, lecz uczyniłem to tylko odruchowo, pod wpływem instynktu, gdyż nazbyt byłem ogłuszony, by powodować się rozważą.

Jak już wspomniałem, chwilami pogrążyliśmy się zupełnie w wodzie; przez cały ten czas zapierałem oddech i zaciskałem dłonie dokoła pierścienia. Gdym już nie mógł wytrzymać dłużej, unosiłem się na kolanach i nie odejmując rąk od pierścienia, wychylałem głowę ponad powierzchnię fali. Wtem mała łódź nasza drgnęła niby pies, co wydobywa się z wody, i wychynęła nieco z toni morskiej. Jałem właśnie powracać do przytomności i skupiać swe rozpierzchłe myśli na tym, co czynić należy, gdy ktoś uchwycił mnie za ramię. Był to mój brat – i serce zatrzepotało we mnie z radości, gdyż byłem już pewien, iż porwała go fala; lecz radość moja przeistoczyła się w grozę, gdy przybliżył usta do mego ucha i wykrzyknął słowo: „Moskoe-ström!”.

Nikt nie zdołał pojąć wrażeń, jakich doznałem w tej chwili. Zadrzałem od głowy do stóp, jak gdyby na skutek najsilniejszej gorączki. Wiedziałem aż nadto dobrze, co się mieści w tym jednym słowie – wiedziałem, co chce mi przez nie powiedzieć. Z wichrem, co nas teraz ponosił, podążaliśmy w sam wir prądu i nie było dla nas ocalenia!

Zrozumiał pan zapewne, iż przepływając nurt prądu, omijaliśmy zawsze wir z daleka, nawet przy najpomyślniejszej pogodzie, po czym musieliśmy czuwać i bacznie wyczekiwać uśmierzenia fali – teraz natomiast pędziliśmy wprost do otchłani, i to jeszcze wśród takiego



huraganu! „To pewna – pomyślałem sobie – iż zdążymy tam na chwilę uśmierzenia, jest więc jeszcze trochę nadziei” – lecz zaraz potem przeklinałem własną głupotę, co śmiała jeszcze marzyć o nadziei. Wiedziałem dobrze, iż byliśmy niezawodnie zgubieni, nawet w takim razie, gdybyśmy się znajdowali na korabiu zbrojnym setkami dział.

Przesiliła się już podówczas wściekłość burzy lub przynajmniej nie odczuwaliśmy jej tak bardzo, jak kiedy nas gnała przed sobą; atoli wody, które poprzednio płaszczyły się zapienione pod naporem wichru, jęły piętrzyć się teraz w istne góry. Na niebie zaszła również szczególniejsza zmiana. Wokół, na wsze strony, było ono jeszcze czarne jak smoła, natomiast niemal prostopadle nad naszymi głowami rozwarła się nagle kolista szczelina jasnego błękitu – tak jasny i modry nie wydawał mi się on przedtem nigdy! – zaś z tej szczeliny wyrżał księżyc w pełni z taką świetnością, jakiej poprzednio nie zdarzyło mi się widzieć. Oświetlił wszystko dokoła nas z niesłychaną wyrazistością – lecz, o Boże, co za obraz ukazał się nam w jego blasku!

Niejednokrotnie próbowałem przemówić do mego brata – lecz za każdym razem wzmagał się ryk fal z niepojętych dla mnie powodów do tego stopnia, iż nie zdołał usłyszeć ani słowa, jakkolwiek wyteżądałem głos, krzycząc mu w samo ucho. Naraz potrząsnął głową i blady jak śmierć, podniósł palec w górę, jak gdyby chciał rzec: słuchaj!

Na razie nie mogłem pojąć, o co mu chodzi, lecz nagle straszliwa myśl błysnęła mi w głowie. Dobyłem zegarka z kieszeni. Nie szedł. Spojrzałem na jego tarczę przy świetle miesiąca i zalawszy się łzami, rzuciłem go hen, w morze. Przystał iść o godzinie siódmej. Czas uśmierzenia już przeminął i wir Maelströmu kipiał z nieukróconą wściekłością!

Gdy łódź jest dobrze zbudowana, należycie zaopatrzona i niezbyt przeciążona, przy silnym wietrze i na pełnym morzu fale zdają się rozstępować pod nią – ku wielkiemu podziwowi przybyszów z lądu; zjawisko to w gwarze żeglarskiej zwie się kłusowaniem. Otóż wszystko szło dobrze, dopóki kłusowaliśmy ręczo na wzdętej fali; lecz obecnie przepotężne morze jęło nas brać w swe szpony i dźwigać się wraz z nami w górę – w górę – hen, pod obłoki. Nie wyobrażałem sobie nigdy, by fala

mogła wzbić się tak wysoko. Po czym zniżaliśmy się znowu wśród takiego ślania się, ślizgania i zapadania, iż dostawałem zawrotu głowy i odchodziłem od zmysłów, jak gdybym spadał we śnie ze szczytu wysokiej góry. Zdążyłem wszakże, gdyśmy byli w górze, rozejrzeć się szybko dokoła – i dość mi było tego jednego spojrzenia. Zdałem sobie sprawę z naszego położenia w okamgnieniu. Wir Maelströmu znajdował się o niecałe ćwierć mili na wprost przed nami – lecz jakiś zupełnie inny niż zazwyczaj, gdy wir, jak go teraz widzimy, przypomina odmęt wywołany przez uderzenia kół młyńskich. Gdybym nie był wiedział, gdzie się znajdowaliśmy i co nas czeka, nie zdołałbym rozpoznać tego miejsca. Na taki widok, jaki się przede mną roztaczał, oczy me mimowolnie zamknęły się ze zgrozą. Jak gdyby w skurczu zacisnęły się mocno powieki.

Nie upłynęło od tej chwili nawet dwu minut, gdy uczuliśmy nagle, że fala opada, i znaleźliśmy się w obłoku pian. Łódź skręciła szybkim półobrotem w lewo i pomknęła w nowym kierunku na kształt błyskawicy. Równocześnie gromowy poryk morza zgłuchł zupełnie w jakimś przeraźliwym rozwrzasku, o którym przybliżone wyobrażenie dać by panu mogło nieprzeliczone mnóstwo parowców wypuszczających równocześnie ze swych kotłów parę. Znajdowaliśmy się obecnie w otoku pian, co tworzy się zawsze dokoła wiru; myślałem tedy, iż za chwilę runiemy w otchłań, której dna nie dozwalał nam dojrzeć niesłychany pęd, z jakim lecieliśmy przed siebie. Łódź zdawała się wcale nie zanurzać w wodzie, lecz niby bańka powietrzna unosiła się na powierzchni morskiego wrzątku. Po prawej stronie naszej łodzi znajdował się wir, po lewej roztaczał się opuszczony przez nas świat oceanu. Wznosił się on na kształt olbrzymiego powyginanego muru między nami a widnokręgiem.

Rzecz dziwna, iż uczułem się o wiele spokojniejszy, gdyśmy znaleźli się już w samej paszczęce bezdni, niż kiedy zbliżaliśmy się do niej. Pozbywszy się ostatka nadziei, otrząsnąłem się zarazem w znacznej mierze z przerażenia, co z początku ubezwładniało me męstwo. Jak się zdaje, rozpacz skrzepiła mi nerwy.

Będzie to może wyglądało na przechwałkę, lecz mówię szczerą prawdę: oto jałem się zastanawiać, jak wspaniale jest umierać w podobny sposób i

jak nierozumnie postępowałem, przejmując się taką błahostką jak me indywidualne istnienie wobec cudownego objawienia wszechmocy bożej. Pomnę, iż zarumieniłem się ze wstydu, gdy ta myśl zaświtała mi w mózgu. Po chwili ogarnęła mnie nieprzeparta ciekawość poznania wnętrza wiru. Czułem istotną chęć zbadania jego głębi nawet za cenę ofiary, jaką miałem ponieść; zaś najważniejszą mą troską było to, iż nigdy nie będę mógł opowiedzieć starym towarzyszom z pobrzeża o tajemnicach, które będzie mi dane ujrzeć. Jużciż było to dziwactwem snuć takie pomysły w ostatniej chwili i później nieraz nasuwało mi się przypuszczenie, iż krążenie łodzi dokoła otchłani musiało wywołać u mnie chwilowe pomieszanie zmysłów.

Zaszła jeszcze inna okoliczność, która dopomogła mi do odzyskania władzy nad sobą. Mianowicie ustał wiatr, nie mógł już nas osiągnąć w miejscu, w którym znajdowaliśmy się obecnie, gdyż, jak to pan sam zauważył, pierścień piany leży poniżej zwierciadła oceanu, co spiętrzał się nad nami wysokim, czarnym, urwistym zboczem. Jeżeli nie zdarzyło się panu nigdy przebywać na morzu podczas silnej wichury, to nie zdoła pan pojąć oszołomienia, o jakie przyprawia wiatr pospołu z rozpryskiem fali. Oślepia, ogłusza, dławi, odbiera wszelką zdolność działania i myślenia. Otóż podówczas byliśmy zwolnieni od tych niedogodności – podobnie jak skazanym na śmierć złoczyńcom używa się w więzieniu pewnych drobnych usług, niedostępnych dla nich, jak długo nie zapadnie wyrok potępienia.

Niepodobna mi powiedzieć, ile razy przebiegliśmy po okręgu pierścienia. Krążyliśmy wokół z jakąś godzinę, lecąc raczej niż płynąc, obsuwając się najpierw stopniowo ku ośrodkowi wrącego koliska, po czym zaś coraz bliżej ku jego straszliwemu, wewnętrznemu wrębowi. Przez cały ten czas nie wypuszczałem z rąk owego żelaznego kółka. Mój brat znajdował się z tyłu, trzymając się pustej beczułki na wodę, przytwierdzonej mocno do kadzi, umieszczonej w zakolu burty; był to jedyny przedmiot na pokładzie, którego nie zmiótł w morze pierwszy podmuch nawałnicy. Gdyśmy się wszakże zbliżyli ku skrajowi czeluści, brat zerwał się ze swojego miejsca i rzucił ku żelaznemu pierścieniowi, od

którego w śmiertelnym lęku jał odrywać me dłonie, gdyż pierścień był za mały, by zapewnić nam obu bezpieczne ujęcie. Nie czułem nigdy głębszego bólu, niż kiedy pojąłem, o co mu chodzi – aczkolwiek rozumiałem, iż czynił to w obłądnie, w przystępie szału wywołanego nadmierną grozą. Nie zamierzałem bynajmniej spierać się z nim. Wiedziałem, iż nie stanowi to żadnej zgoła różnicy, kto z nas pozostanie na miejscu, więc odstąpiłem mu pierścień, a sam poszedłem ku beczulce. Nie było to zbyt trudne do wykonania, gdyż dwumasztowiec nasz krążył dość miarowo i nie wychodził z równowagi, słaniając się tylko w tę i ową stronę w takt olbrzymich kołysań i rozkipień wiru. Zaledwie zdążyłem się ustalić na nowym miejscu, gdy statek nasz wykonał szybki zwrot w prawo i potoczył się nagle w przepaść. Wyszeptałem śpiesznie westchnienie do Boga i byłem przekonany, że wszystko skończone.

---



ZDAŁO SIĘ, IŻ DZIĘKI JAKIEMUŚ CZARODZEJSTWU ŁÓDŹ  
NASZA, SPADAJĄC, ZAWISŁA W POŁOWIE DROGI, NA

# WEWNĘTRZNEJ POCHYŁOŚCI LEJA

Kiedym doznał mdlącego zawrotu, spowodowanego gwałtownym spadkiem, instynktownie przygarnąłem beczułkę silniej do siebie i zamknąłem oczy. Przez kilka sekund nie śmiałem otworzyć ich w oczekiwaniu natychmiastowej zguby i dziwiłem się, że nie wszczęły się jeszcze me śmiertelne zapasy z wodą. Lecz mijała chwila za chwilą. Żyłem jeszcze. Przestało mi dolegać uczucie spadania, statek poruszał się podobnie jak poprzednio, gdyśmy przebywali jeszcze w odmęcie piany, z tą tylko różnicą, iż nieco więcej się pochyłał. Nabrałem odwagi i jednym spojrzeniem ogarnąłem widownię.

Nie zapomnę nigdy wrażeń grozy, trwogi i podziwu, jakich doznawałem, rozglądając się dokoła siebie. Zdało się, iż dzięki jakiemuś czarodziejstwu łódź nasza, spadając, zawisła w połowie drogi, na wewnętrznej pochyłości leja olbrzymiego obwodu i niesłychanej głębi; niezrównanie gładkie jego ściany miałyby wygląd hebanu, gdyby nie osłupiający pęd, z jakim wirowały dokoła, i gdyby nie odbłyскиwały upiornie jarzącym się lśnieniem na promienie miesiąca, co wyzierał w pełni z opisanej już przeze mnie kolistej szczeliny wśród obłoków, spływając po czarnych zboczach świetlną powodzią złotego blasku i wnikając hen, głębiej, aż w najwnętrzniesze tajniki otchłani.

Ośłupienie moje było zrazu zbyt wielkie, bym mógł czemukolwiek przyjrzeć się dokładnie. Spiorunowany byłem ogólnym wrażeniem straszliwej wzniosłości. Gdym nieco ochłonął, spojrzenie moje zwróciło się instynktownie w dół. Z łatwością udało mi się dostrzec, w jaki sposób nasz statek zawisł na pochyłej płaszczyźnie czeluści. Nie wyszedł on wcale z równowagi – to znaczy, że pokład jego ustawiony był równolegle do zwierciadła wody, które jednakże nachylało się pod kątem przeszło czterdziestu pięciu stopni, skutkiem czego zdawało się, że łódź nasza pokłada się bokiem. Nasunęło mi się spostrzeżenie, iż mimo to zaczepienie rąk i oparcie nóg nie przedstawiało dla mnie większej trudności, niż kiedy znajdowaliśmy się na poziomej płaszczyźnie, co, jak sądzę, trzeba złożyć na karb chyżości, z jaką wirowaliśmy dokoła.

Promienie miesiąca zdawały się docierać aż do samego dna głębokiej czeluści; pomimo to nie zdołałem niczemu przyjrzeć się dokładniej, gdyż

wszystko dokoła spowijała gęsta mgła, nad którą zawisła wspaniała tęcza na kształt owego wąskiego i chwiejnego mostu, co – zdaniem muzułmanów – stanowi jedyny pomost między Czasem a Wiecznością. Ta mgła czy piana była niewątpliwie następstwem ścierania się wielkich ścian leja przy zetknięciu się u dna otchłani, zaś wycia, co ziało z niej ku niebu, niepodobna mi opisać.

Spadając w otchłań z górnego koliska piany, zrazu stoczyliśmy się bardzo po pochyłości, atoli później nie obsuwaliśmy się już z tą samą chyżością. Wirowaliśmy wokoło – wszelako obrót nasz nie odbywał się jednostajnym ruchem, lecz zawrotnymi wahnieniami i podrywami, co raz ponosiły nas naprzód tylko o kilkaset jardów, to znów o cały niemal obwód leja. Przy każdym poruszeniu obniżaliśmy się z wolna, lecz dostrzegalnie.

Rozglądając się dokoła po olbrzymich przestworzach płynnego hebanu, co nas ponosił, przekonałem się, iż łódź nasza nie była jedynym przedmiotem ogarniętym przez skręty wiru. Powyżej i poniżej widniały szczęty okrętów, wielkie złomy budulca, pnie drzewne tudzież mnóstwo drobniejszych przedmiotów, jak sprzętów gospodarskich, pogruchotanych skrzyń, beczek i klepek. Wspomniałem już o dziwnej ciekawości, co owładnęła mną po pierwszym odruchu trwogi. Jęła ona zwiększać się w miarę, jak dopełniała się chwila okrutnego mego przeznaczenia. Z niesłychanym zajęciem zacząłem przyglądać się licznym przedmiotom, co unosiły się w naszym pobliżu. Byłem snadź nieprzytomny, gdyż doznawałem istnej przyjemności, zastanawiając się nad różnicą przyśpieszenia, z jaką obsuwały się one w dół, ku pianom. W pewnej chwili zauważyłem, iż mówię do siebie: „Na pewno ta jodła zanurzy się najpierwsza i przepadnie nieszczęsna w bezdni” – po czym doznawałem rozczarowania, widząc, jak szczt jakiegoś holenderskiego okrętu kupieckiego wyprzedzał ją i pierwej ginął na dnie. W końcu, kiedym uczynił kilka przypuszczeń tego rodzaju i za każdym razem spotkałem się z najzupełniejszym zawodem, te nieustanne pomyłki nasunęły mi szereg myśli, co znów wprawiły me członki w drzenie i jeszcze raz przyśpieszyły tętno mego serca.



Nie nowy lęk wszakże tak mnie przenikał, lecz brzask silniejszej odeń nadziei. Nadzieja ta wynikała po części ze wspomnień, po części zaś z obecnych spostrzeżeń. Przyszła mi na myśl ogromna rozmaitość rozsianego na pobrzeżach Lofotów napływowego gruchotu, który Moskoe-ström wchłonał, po czym znów ze siebie wyrzucił. Przedmioty te w przeważającej większości były podruzgotane do niepoznania – takie poszarpane i postrzępione, iż wyglądały jak pokryte drzazgami; pamiętam jednakże dokładnie, iż niektóre z nich nie nosiły bynajmniej oznak uszkodzeń. Różnicy tej nie umiem sobie inaczej wytłumaczyć aniżeli na podstawie przypuszczenia, iż tylko poszarpane szczęty ulegały zupełnemu wessaniu, zaś inne albo dostawały się w wir w późniejszym już okresie przyboru, albo też, dostawszy się tam, obsuwały się w głąb z jakiegoś powodu tak wolno, iż nie zdążyły dotrzeć do dna przed nawrotem przyływu czy odpływu. W obu wypadkach zdało się mi rzeczą możliwą, że ruchem wirowym mogły one znów wydostawać się na poziom, uniknąwszy losu tych, którym zdarzyło się albo popaść w wir wcześniej, albo też ulec śpieszniejszemu wessaniu. Dokonałem również trzech ważnych spostrzeżeń. Pierwsze i najogólniejsze polegało na tym, iż im większy bywał przedmiot, tym szybciej obsuwał się w dół; drugie, że z dwu przedmiotów jednakich rozmiarów, z których jeden był kulisty, drugi zaś jakiegoś innego kształtu, kulisty zapadał z większym przyśpieszeniem; trzecie, iż z dwu przedmiotów jednakich rozmiarów, z których jeden był walcowaty, drugi zaś miał kształt odmienny, przedmiot walcowaty ulegał powolniejszemu wessaniu. Po ocaleniu niejednokrotnie gawędziłem o tym ze starym bakałarzem naszego okręgu i od niego to nauczyłem się używania słów „walec” i „kula”. Dowodził mi on – jakkolwiek nie pamiętam już tych jego dowodzeń – iż to, co spostrzegłem, było naturalnym wynikiem kształtu pływających szczętów, i pokazywał mi, w jaki sposób walec pływający w wirze większy stawia opór wessaniu i trudniej idzie na dno niżli ciało tej samej wielkości, ale odmiennego kształtu<sup>1</sup>.

Pewna niepokojąca okoliczność przyczyniła się w znacznej mierze do utwierdzenia mnie w tych spostrzeżeniach i zniewoliła do lęklivego ich

sprawdzania. Było nią to, iż za każdym obrotem mijaliśmy bądź to beczułkę, bądź też reję lub maszt okrętowy. Kiedym po raz pierwszy ujrzał czarodziejstwa wirującej otchłani, przedmioty te znajdowały się na jednym z nami poziomie; obecnie zaś krążyły wysoko ponad nami i zdawało mi się, że niezbyt oddaliły się od swego pierwotnego położenia.

Nie wahałem się dłużej, jak postąpić. Postanowiłem przywiązać się mocno do beczułki stanowiącej dotychczas moje oparcie, przeciąć powróż, który ją przytrzymał, i rzucić się wraz z nią w wodę. Dawałem znaki bratu, starając się zwrócić jego uwagę na przepływające tuż obok nas beczki, i uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, by dać mu do zrozumienia, co zamierzam zrobić! Zdawało mi się wreszcie, że zrozumiał mój zamiar, lecz mimo to potrzasał rozpaczliwie głową i nie dał się namówić do porzucenia swego miejsca przy pierścieniu. Dostać się do niego było niepodobieństwem, groza przynagłała; z ciężkim więc sercem zdałem go na łaskę losu, przywiązałem się do beczki powrozem, na którym była umocowana, i nie zwlekając ani chwili dłużej, rzuciłem się w morze.

Wynik nie zawiódł mych oczekiwań. Słyszając o tym zdarzeniu z własnych mych ust – widząc, iż uszedłem zguby, i znając już sposób, w jaki to się stało, domyśli się pan niezawodnie dalszego ciągu mojego opowiadania; postaram się przeto wkrótce je zakończyć. W jakąś godzinę później opuszczony przeze mnie statek, obniżywszy się znacznie ku dołowi, wykonał kolejno trzy czy cztery błyskawiczne obroty i przepadł bezpowrotnie w chaosie pian, porywając ze sobą mego drogiego brata. Beczułka, do której się uwiązałem, zdążyła przebiec zaledwie połowę odległości dzielącej dno czeluści od miejsca, gdzie skoczyłem w morze, gdy w wyglądzie wiru wielka zaszła zmiana. Pochyłe ściany olbrzymiego leja jęły zatracać swą stromość. Wolniały stopniowo kołujące straszliwie skręty wiru. Zanikła z wolna tęcza i piana, a dno otchłani jęło jak gdyby dźwigać się nieznacznie ku górze. Niebo jaśniało pogodą, wichry ucichły, zaś księżyc w promienistej pełni swych blasków chylił się już ku zachodowi, kiedym znalazł się już na powierzchni oceanu, wprost wybrzeża Lofotów i opodal od miejsca, gdzie ziała przedtem czeluść

Moskoe-strömu. Była to godzina uśmierzenia wód – lecz wciąż jeszcze w olbrzymie zwały spiętrzało się rozkołysane przez burzę morze. Miotany falą, dostałem się w łożysko prądu, który zaniósł mnie w okamgnieniu na topieliska rybacze pod wybrzeżem. Łódź jakaś wyłowila mnie całkowicie wyczerpanego z morza i (kiedy niebezpieczeństwo już minęło) oniemiałego pod wpływem wspomnień przebytej grozy. Znalazłem się na pokładzie łodzi dzięki pomocy starych druhów i nieodstępnych mych towarzyszy – lecz nie poznali mnie oni, podobnie jak nie poznaliby pielgrzyma powracającego z krainy duchów. Włosy me, co jeszcze dzień temu mieniły się czernią kruczych piór, zbieleły – jak pan widzi – zupełnie. Dowiedziałem się od towarzyszy, iż zmienił się również cały wyraz mej twarzy. Opowiedziałem im moją przygodę – nie wierzyli. Teraz opowiadam ją panu, nie spodziewając się bynajmniej, by spotkała się z większym dowierzaniem niżli wśród jowialnych rybaków lofockich.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*



<sup>1</sup> Patrz: Archimedes, De Incidentibus in Fluido, księga II (przyp. aut.)  
(przypis pominięty przez tłumacza – przyp. red.).

# Rękopis znaleziony w butli

*Kto ma za chwilę umrzeć,  
Ten nie ma już nic do zatajenia.*

Quinault: *Atys*

O mojej ojczyźnie i o mojej rodzinie niewiele mam do powiedzenia. Powikłania życiowe i przedział czasu działały, iż jedna i druga zarówno są mi – obce. Otrzymana spuścizna ułatwiła mi pozyskanie niezgorszego wykształcenia, a skłonność umysłu do pogłębień umożliwiła ujęcie w ład metody całego dobytku wiedzy, pilnie nagromadzonej przedwcześnie dojrzałą usilnością. Ponad wszystko – dzieła filozofów niemieckich były dla mnie źródłem najwyższej rozkoszy, a przyczyniał się do tego nie podziw płochy dla ich wymownych szarów, jeno poparta nawykiem do surowej analizy uciecha z powodu wyławiania ich błędów. Zarzucano mi częstokroć oschłość mego geniuszu, brak wyobraźni poczytano mi za zbrodnię i słynąłem zawsze jako niedowiarek. W rzeczy samej – żarliwy pęd do filozofii przyrodoznawczej przesycił – niestety – mój umysł najpowszechniejszymi błędami wieku – mam na myśli nałóg warunkowania zasadami tej wiedzy zjawisk nawet w najmniejszym stopniu niepodległych tego rodzaju warunkom. Przede wszystkim nikt nie był mniej ode mnie narażony na zatracenie surowych probierzy prawdy w pogoni za błędnymi ognikami zabobonu. Uważałem za stosowne obwarowanie się tą przedmową w obawie, aby niewiarogodnej opowieści, którą poniżej przytoczę, nie posądzono raczej o szaleńczy wytwór bezładnej wyobraźni, zamiast w niej dostrzec wynik ścisłych doświadczeń umysłu, dla którego mrzonki wyobraźni są literą martwą i znikomą.

Po kilku latach spędzonych w dalekiej podróży wsiadłem na okręt w roku 18... w Batawii, stolicy bogatej i ludnej Jawy, aby odbyć wycieczkę po Archipelagu Sundajskim. Wyruszyłem w drogę jako włóczęga, nie mając innych pobudek prócz nerwowej żądzy zmian, która mię nagliła jako zły duch.

Okręt nasz miał około czterechset ton pojemności, obity był miedzią i zbudowany w Bombaju z malabarskiej teki. Wiózł ładunek wełny, bawełny i oliwy indyjskiej. Mieliśmy też na pokładzie powrozy z włókien kokosowych, cukier palmowy, zapasy topionego masła, orzechy kokosowe i kilka skrzyń makowca. Obładowano go nieodpowiednio, toteż chylił się burtą ku wodzie.

Podaliśmy żagle prądowi wiatru i przez dni kilka trzymaliśmy się wzdłuż wschodniego brzegu Jawy. Żaden przypadek nie przerwał monotonii naszej podróży prócz chyba kilku drobnych, spotkanych po drodze odnóg Archipelagu, do którego granic okręt nasz dotarł.

Pewnego wieczoru, wsparty na parapecie strażnicy, postrzegłem na północo-zachodzie wielce osobliwy, samotny obłok. Zwracał na się uwagę zarówno barwą, jak i tą okolicznością, że był pierwszym obłokiem, któryśmy postrzegli od czasu naszego odjazdu z Batawii. Badałem go uważnie aż do zachodu słońca. W tym okresie – rozsnął się nagle od wschodu do zachodu, obsaczając widnokrąg szczelnym pasmem tumanów i przybierając kształt długiego pasma o nisko zwisających pobrzeżach. Wkrótce potem uwagę moją przykuł brunatno-purpurowy brzask księżyca i szczególny wygląd morza. To ostatnie podlegało szybkiej zmianie i woda zdawała się bardziej niż zazwyczaj przejrzyste. Mogłem wyraźnie oglądać dno, chociaż zarzucony przeze mnie zgłębnik wskazał, iż znajdujemy się na wysokości piętnastu sążni. Powietrze zaprawiło się nieznośnym upałem i przepełniło się spiralnie rozedrganymi podmuchami żaru na wzór tych, które unoszą się ponad rozpalonym do czerwoności żelazem. Z nadejściem nocy wszelki powiew ustał i ogarnęła nas cisza tak całkowita, że niedostępna zrozumieniu. Płomień świecy jarzył się na przedzie bez pochwytneho dla oka ruchu, a długi włos – włos ujęty wskazującym i dużym palcem, padał poziomo bez najmniejszego

drgnienia. Wszakże, ponieważ kapitan twierdził, iż nie widzi żadnych oznak niebezpieczeństwa i ponieważ zboczyliśmy z drogi do lądu w kierunku poprzecznym, tedy rozkazał zwinąć żagle i zarzucić kotwicę. Nikogo ze straży okrętowej nie postawiono na czatach i załoga, złożona przeważnie z Malajczyków, bez troski pokładła się na pomoście. Zszedłem do kajuty nie bez wyraźnego przeczucia jakiejś klęski. I rzeczywiście – wszystkie te znamiona budziły we mnie obawy – samumu. Zwierzyłem się z mych obaw kapitanowi, lecz nie zwrócił uwagi na moje słowa i odszedł, nie racząc odpowiedzieć. Wszakże niepokój zakłócał mi sen i około północy wyszedłem na pokład. Gdym postawił stopę na ostatnim szczeblu przesłoniętej brezentem drabiny, przeraził mię głuchy zgiełk, podobny do tego, który wytwarza bystry obrót koła młyńskiego, i zanim zdołałem zbadać przyczynę, uczułem, że okręt dygoce – od wewnątrz. W tej samej niemal chwili nawała morska odrzuciła nas na bok i, rwąc ponad nami, wymiotła wszystek pokład od końca do końca.

Zapalczywy rzut wichru w sporej części przyczynił się do ocalenia okrętu. Chociaż całkowicie pogrążony w wodzie, tak że masztami dosięgał jej powierzchni, w chwilę potem podniósł się powoli i przez mgień kilka kołyszając się pod potężną przemocą burzy, utwierdził się ostatecznie w swych posadach.

Nie mogę wytłumaczyć, jakim cudem uszedłem śmierci? Ogłuszony pociskiem wody, znalazłem się po odzyskaniu przytomności pomiędzy tramem a sterem. Z wielkim trudem powstałem na nogi i, obłądnie poglądając wokół, pomyślałem z przerażeniem, żeśmy wpadli na rafy – tak dalece bowiem, ponad wszelką wyobraźnię, był pełen grozy wir tego olbrzymiego i spienionego morza, w którym zaprzepaściliśmy się zgoła. Po kilku chwilach doleciał mię głos starego Szweda, który wsiadł na nasz okręt w chwili, gdyśmy opuszczali przystań. Jąłem go nawoływać z całej mocy, aż chwiejnym krokiem przywłókł się do mnie – na tył okrętu. Zrozumieliśmy wkrótce, że jesteśmy jedynymi świadkami klęski. Woda, prócz nas, zmiotła z pokładu do morza wszystko, cokolwiek się na nim znajdowało. Kapitan i marynarze zginęli w czasie snu, ponieważ morze zatopiło kajuty. Pozbawieni pomocy, nie mogliśmy zbyt wielkiej pokładać

nadziei w naszych ku ocaleniu okrętu wysiłkach, i zabiegi nasze paraliżowało poczucie tej pewności, że lada chwila utoniemy. Lina nasza pękła jak szpagat pod pierwszym naciskiem huraganu, w przeciwnym razie morze pochłonęłoby nas natychmiast. Mknęliśmy przodem fal z przeraźliwą szybkością i woda przysparzała nam szczerb widocznych. Tylny kościec okrętu był do cna nadwerężony i pod każdym niemal względem doznaliśmy szkód krwawych, lecz ku wielkiej radości stwierdziliśmy, iż pompy nie były zatkane mułem i że nasz ładunek nie poniósł strat zbyt wielkich. Najsroższa wściekłość burzy minęła i mogliśmy już nie obawiać się przemocy wichrów, lecz z przerażeniem myśleliśmy o chwili, gdy wicher zgoła ustanie, w tym przeświadczeniu, iż po doznanych szkodach nie zdołamy oprzeć się straszliwym rozchwiejom wodnym, które po burzy nastąpią. Wszakże chwila, gdy obawy nasze miały się sprawdzić, była, zda się, niezbyt bliska. Przez pięć nocy i pięć dni całkowitych, w czasie których żywiliśmy się kilkoma kawałkami cukru palmowego, z wielkim wysiłkiem dobywanego z przedniej na pokładzie powały, okręt nasz mknął z nieobliczalną szybkością pod naporami wichru, które szybko następowały po sobie, a które, nie dorównywając pierwotnym szalom samumu, były wszakże straszliwsze niż wszelka dotychczas zaznana przeze mnie burza. Przez pierwsze cztery dni droga nasza, pomijając bardzo nieznaczące odskoki, zdążyła na południo-wschód z uchyleniem ku południu, i w ten sposób dotarliśmy do brzegów Nowej Holandii. Piątego dnia chłód wzmógł się do najwyższego stopnia, chociaż wiatr odwrócił się nagle ku północy. Słońce, wschodząc, żółtym i schorzałym tliło się pobrzaskiem i, wspiąwszy się zaledwo na kilka stóp ponad widnokręgiem, nie wydało ani jednego szczerzego promienia. Nie było żadnego na pozór obłoku, lecz mimo to wiatr zrywał się i zrywał, poświstując w napadach wściekłości. Około południa lub, ileśmy mogli sądzić, mniej więcej w tym czasie uwagę naszą znów przykuł widok słońca. Zamiast promieni, w ścisłym tego słowa znaczeniu, wyłaniało ze siebie rodzaj mroczonego się i posępnego żaru bez odbłasku, jakby wszystkie promienie były spolaryzowane. Właśnie w chwili, gdy się pograżyło we wzbierającym morzu, jego rdzeń ognisty znikł nagle, jakby

go zniecka zdmuchnęła jakaś tajemna potęga. A gdy już je chłonał ocean niezgłębiony, było jeno bladą, srebrnej barwy obręczą.

Nadaremnie wyczekiwaliśmy świtu dnia szóstego. Dzień ów dla mnie jeszcze nie nastał – dla Szweda nie nastał nigdy. Byliśmy pogrzebani w ciemnościach tęgich jak smoła, tak że nie widzieliśmy przedmiotów odległych o dwadzieścia kroków od okrętu. Spowijała nas noc wiekuista, nie łagodzona nawet fosforycznym pobrzaskiem morza, do którego przyzwyczailiśmy się pod zwrotnikiem. Postrześliśmy też, że chociaż burza i nadal szaleje bez przerwy, wszakże nie znajdujemy żadnych śladów pluskających fal oraz tzw. baranków, które nam dotąd towarzyszyły w drodze. Wokół nas nie było nic prócz grozy, zgęszczonego mroku i czarnej pustyni płynnego hebanu. Strach zabobonny wnikał kropla po kropli do piersi starego Szweda, mój zaś duch pograżył się w niemym zdrętwieniu. Poniechaliśmy wszelkich dokoła okrętu zabiegów dla ich zbyteczności i uczepieni z całych sił za odłamek przedniego masztu, z rozpaczą wodziliśmy oczyma po bezmiarach oceanu. Nie mieliśmy żadnych środków obliczenia czasu i nie mogliśmy zgoła połapać się w naszym położeniu. Mimo to byliśmy aż nadto pewni, iż posunęliśmy się na północ dalej niż jakikolwiek z żeglarzy – naszych poprzedników, i dziwił nas wielce brak po drodze zwykłych zapór lodowych. A tymczasem każda chwila tuiła groźbę chwili ostatniej – każda olbrzymia fala biegła, aby nas zmiądzzyć. Niepokój fal po burzy przeszedł wszelkie możliwe mrzonki mojej wyobraźni, i był to cud, co chwila wznawiany, żeśmy nie zatonęli. Towarzysz mój mówił o lekkości ładunku i przypominał mi doskonałe zalety naszego okrętu, lecz nie mogłem nie doznawać zgoła na wszystko ślepej rozpaczy i melancholijnie sposobilem się do śmierci, której przyjscia najdalej za godzinę nic opóźnić nie mogło, ponieważ z każdym sążniem, który okręt przebiegał, niepokój fal po burzy na tym czarnym i dziwnym morzu nabierał coraz posępniejszej grozy. Często kroć na wysokościach, do których albatros nie dolata, zatracaliśmy dech – a kiedy indziej chwycił nas zawrót głowy, gdyśmy ze straszliwą szybkością spadali w czeluście piekieł wodnych, gdzie był zastój powietrza i gdzie żaden dźwięk nie mógł zakłócić drzemoty polipów.



Byliśmy właśnie w padołach jednej z owych otchłani, gdy nagły krzyk mego towarzysza złowróźnie zabrzmiał w mroku. – Spójrz, spójrz! – krzyczał mi w same uszy. – Na Boga, spójrz, spójrz! – Gdy tak mówił, postrzegłem światło szkarłatne o mroczącym się i posępnym blasku, które chwiała się u wylotu bezdennej, wchłaniającej nas czeluści i miotało na nasz pokład pełgające smugi rozwidnień. Uniósłszy do góry oczy, ujrzałem widok, który krew mi zmroził. Na wysokości przeraźliwej, tuż ponad nami i na samym obrzeżu otchłani bujał okręt olbrzymi – pojemności zapewne czterech tysięcy ton. Chociaż zagnieżdżony na grzbiecie wału morskiego, który go stokrotnie ogromem przerastał, zdawał się rozmiarami przekraczać zakres liniowca lub okrętów Towarzystwa Indyjskiego. Jego niewiarogodnie olbrzymi kadłub miał barwę głęboko czarną, której nie ożywiała żadna ze zwykłych ozdób okrętowych. Pojedynczy szereg dział dłużył się w rozwartych strzelnicach i miotał przed się, odbity od swych szklistych powierzchni, poblask niezliczonych latarni wojennych, które się chwiałały w swych obsadach. Lecz najbardziej zdjęła nas przerażeniem i podziwem ta okoliczność, że płynął na wszystkich żaglach wbrew temu, wszelkiej rzeczywistości przeczącemu morzu i wbrew tej burzy rozszalałej. Początkowo, gdyśmy go zoczyli, mogliśmy oglądać tylko jego dziób, ponieważ powoli wypełzał z czarnej i straszliwej otchłani, którą pozostawił w tyle. Na jedną chwilę – chwilę nateżonych przerażeń – przystanął na tym zawrotnym wierzchole, jakby odurzony własnym wniebowstąpieniem, potem drgnął – pochylił się – i wreszcie stoczył się wzdłuż po skłonie.

Nie wiem, co za nagły spokój opanował w tej chwili mego ducha. Odkoczywszy możliwie najdalej – ku tyłom okrętu, wyczekiwałem bez drżenia klęski, która nas miała zmiażdżyć. Nasz własny okręt – koniec końcem – zaprzestał walki z morzem i szedł na dno brzemieniem swego dziobu. Cios rozpędnej bryły ugodził go przeto w zatopioną część kadłuba i w nieuniknionym następstwie przerzucił mię w sieć obcego okrętu.

Gdym upadł, okręt ów, dotarłszy do punktu martwego, wspiął się ku górze i przewalił się na tamtą stronę. Sądzę, iż tylko dzięki zamieszaniu, które powstało, zdołałem ujść baczości załogi. Niewiele miałem

przeszkód po temu, aby niepostrzeżenie utorować sobie drogę do głównych drzwi na pokładzie, które tkwiły w miejscu widocznym, i zdarzyła mi się wkrótce pomyślna sposobność ukrycia się na spodzie okrętu. Nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego tak uczyniłem. Przyczyną, która mnie do ukrycia się zniewoliła, był zapewne nieokreślony lęk, który mnie w pierwszej chwili ogarnął na widok nowych żeglarzy. Ani mi w głowie było zdać się na łaskę okazów ludzkich, które na pierwszy a doraźny rzut oka zdradzały cechy niepochwytnej dziwaczności i dały mi tyle powodów do obaw i uprzedzeń. Dlatego też uważałem za stosowne sporządzenie dla się skrytki na spodzie okrętu. Zerwałem część poszycia okrętowego w ten sposób, aby utworzyć sobie schronienie bezpieczne pomiędzy olbrzymimi członkami okrętu.

Zaledwom dokonał mej pracy, odgłos kroków w piwnicznych izbach okrętowych znaglił mię do wyzyskania mej czatowni. Ktoś przechodził koło mej kryjówki słabym i niezbyt pewnym krokiem. Nie mogłem dojrzeć jego twarzy, lecz z łatwością oglądałem całokształt jego postaci. Miał wszelkie pozory niemocy i zgrzybiałości. Kolana jego uginały się pod brzemieniem lat i cała jego istota dygotała od starości. Mówił sam do siebie, pomrukiwał głosem cichym i złamanym jakieś słowa w języku, którego nie mogłem zrozumieć – i szperał w kącie, gdzie spiętrzoneo dziwaczego pozor narzędzia i zmurszałe mapy morskie. Była w nim osobliwa gmatwanina dąsów powtórnego dzieciństwa i uroczystej godności boga. Po pewnym czasie – wrócił na pokład i straciłem go z oczu.

Uczucie, dla którego nie znajduję wysłowień, owładnęło mym duchem – uczucie, które się wzbrania analizie, które nie ma swych określeń w słownikach przeszłości, a którego i przyszłość nawet – obawiam się, że nie zdoła odcyfrować. Dla umysłu tego co mój pokroju owo ostatnie przypuszczenie było istną męczarnią. Nigdy nie zdołam – czułem, że nie zdołam nigdy zbadać istoty mych myśli! Nie dziw jednak, że myśli owe nie poddawały się tłumaczeniom jako zaczerpnięte ze źródeł tak całkowicie nowych. Nowe uczucie – nowa treść wzbogaciła mego ducha.

Już kawał czasu upłynął od chwili, gdy po raz pierwszy dotknąłem stopą pokładu tego straszliwego okrętu, a promienie mych przeznaczeń

zbiegały się snadź i wyczerpywały w jednym ognisku. Nieodgadnieni ludzie! Spowinięci w zadumę, której treści domyśleć się nie mogłem, przechodzili obok mnie, nie postrzegając mej osoby. Trwanie w ukryciu było z mej strony istnym szaleństwem, gdyż ów rodzaj ludzki nie chce widzieć. Nie dalej jak chwilę temu przesunąłem się tuż przed oczyma drugiego z kolei. Niedawno zapędziłem się aż do kajuty samego kapitana i tam właśnie zaopatrzyłem się w środki niezbędne dla spisania bieżących i ubiegłych zdarzeń. Od czasu do czasu będę uzupełniał mój dziennik. Wprawdzie nie mogę znaleźć żadnych sposobów przekazania go światu, wszakże nie zaniebam wszelkich po temu prób. Gdy przyjdzie chwila ostatnia, zawrę rękopis w butli i wrzucę wszystko do morza.

Zaszła pewna okoliczność, która znów mi dała pole do rozmyślań. Czy podobne zdarzenia są wynikiem dowolnego przypadku? Wbiegłem na pokład i nie zwracając niczyjej uwagi, wyciągnąłem się na stosie powrozów i starych żagli zgromadzonych na dnie czółna. Pochłonięty zadumą o dziwacznych przeznaczeniach, bezmyślnie bazgrałem pędzlem od smoły po rąbkach starannie zwiniętego półżagla, który leżał w mym pobliżu na beczce. Półżagiel obecnie powiewa na swym drzewcu, a bezwiedne rzuty pędzlem ułożyły się w słowo: „Odkrycie”.

Poczyliłem świeżo kilka postrzeżeń w sprawie budowy okrętu. Myślę, że pomimo pilnego uzbrojenia nie jest to okręt wojenny. Jego strój, jego budowa, cały jego rynsztunek wykluczają tego rodzaju przypuszczenie. Z łatwością zgaduję – czym nie jest. Wszakże boję się, iż nie potrafię określić, czym jest. Nie wiem, jak się to stało, lecz badając jego dziwaczny ustrój i osobliwe kształty masztów, jego rozmiary olbrzymie, niezwykle zespoły żagli, jego dziób, z surową wykonany prostotą, i jego tył w stylu pradawnym – czułem chwilami, że duszę mą przenika na kształt błyskawicy wrażenie czegoś, co nie jest mi nieznanie – i zawsze do owych rozwiewnych cieni wspomnień przysnuwał się nieokreślony sen o prastarych, zamorskich legendach i o niezmiernie zamierzchłych wiekach.



NIEODGADNIENI LUDZIE! SPOWINIĘCI W ZADUMĘ, KTÓREJ TREŚCI DOMYSLEĆ SIĘ NIE MOGŁEM, PRZECHODZILI OBOK

MNIE, NIE POSTREZGAJĄC MEJ OSOBY

Uważnie przyjrzałem się kośćcowi okrętu. Sklecono go z niewiedomego mi budulca. Zastanowiła mnie ta okoliczność, iż drzewo jego posiada przymioty czyniące go niezdatnym do użytku, który stanowi jego przeznaczenie. Mam na myśli jego niezmierną porowatość, stwierdzoną niezależnie od wyźłobień robactwa, które są wynikiem żeglugi po tych morzach, oraz od próchna spowodowanego starością. Postrzeżenie moje spotka się zapewne z zarzutem zbyt małej nieco przenikliwości, lecz zdaje mi się, że drzewo owo ma wszelkie cechy dębu hiszpańskiego, o ile dąb hiszpański można sztucznie zolbrzymić.

Odczytując zdanie ostatnie, przypomniałem sobie osobliwe przysłowie pewnego Holendra, starego wilka morskiego. „Jest to pewnik – mawiał zawsze, ilekroć powątpiewano niejako o jego prawdomówności – tak samo, jak jest pewnikiem to, że istnieje morze, na którym okręt tyje niezgorzej od żywego cielska marynarza”.

Mniej więcej przed godziną zdobyłem się na odwagę zmieszania się z gromadką ludzi należących do załogi. Nie mieli pozoru istot, które widzą moją osobę, i chociaż tkwiłem tuż w pośrodku nich, zdawali się zgoła nieświadomi mej obecności. Podobnie jak ów, którego po raz pierwszy ujrzałem na spodzie okrętu, mieli na sobie szczyrby głębokiej starości. Ich kolana drżały od niemocy, ramiona garbiły się pod brzemieniem zgrzybiałości, powiędła skóra kurczyła się na wietrze – ich głos był cichy, drżący i złamany, z ich oczu sączył się połyskliwy śluz starości, a ich siwe czupryny straszliwie rozwiewały się na wicherze. Wokół nich, po każdej stronie pokładu, leżały w beładzie narzędzia matematyczne wielce zamierzchłego ustroju, który zgoła wyszedł z obiegu.

Wspomniałem nieco wyżej o półzagli, który przytwierdzono do masztu. Od owej chwili okręt, wichrem gnany, nie zaprzestawał swych straszliwych wprost ku północy rozpędów, zbarczony wszystkimi, jakie miał w rozporządzeniu, żaglami, poczynając od skuwek na masztach, a kończąc na rejach najniższych – i zanurzał przy tym kończyny rej znad bocianiego gniazda w piekielnym odmęcie, którego groza prześcigała wszelkie możliwe pomyslenie ludzkie. Opuściłem przed chwilą pokład, nie mogąc ustać na żadnym jego miejscu, wszakże załoga nie zdradzała

zbytniej troski. Zdaniem moim jest to cud nad cudami, że ciężar tak olbrzymi nie zatonął natychmiast i na zawsze. Byliśmy niewątpliwie skazani na to, aby wiekuiście płynąć po brzegu wieczności i nigdy nie dać ostatecznego nura w bezdnie. Mknęliśmy ze szparkością jaskółki morskiej po falach tysiąckroć groźniejszych niż te, które kiedykolwiek widywałem – olbrzymie wały wodne wspinały swe łby powyżej nas jak demony otchłani, lecz jak demony działające jeno w ścisłym zakresie pogroźek, a którym zakazano niszczenia. Jestem zmuszony do przypisania nieustannych omijań klęski jedynej przyrodzonej przyczynie, która zdoła uzasadnić tego rodzaju zjawisko. Przypuszczam, że okręt trzymał się na powierzchni dzięki jakimś potężnym prądom lub wirom podwodnym.

Widziałem kapitana oko w oko i w jego własnej kajucie, lecz, jak się tego spodziewałem, nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Chociaż w całokształcie jego postaci na pierwszy rzut oka nie ma nic z tego, co by zdradzało wyższość lub niższość jego istoty, wszakże do zaznanego przeze mnie na jego widok zdziwienia dołączyło się uczucie czci i niepokonanego strachu. Jest on mniej więcej mego wzrostu, to znaczy około pięciu stóp i ośmiu cali wysokości. Jest bardzo kształtny i dobrze zbudowany, lecz owa budowa nie zdradza ani szczególnej krzepkości, ani w ogóle żadnych niezwykłych znamion. Wszakże osobliwość wyrazu panującego na jego obliczu oraz nieodparta, straszliwa, oszłamiająca oczywistość tak całkowitej, tak bezwzględnej starości – były właśnie przyczyną, która narzuciła mej duszy uczucie – wrażenie nieopisane. Czoło jego, aczkolwiek niewiele pomarszczone, zdawało się nosić pieczęć miriadów lat. Jego siwe włosy były zabytkami przeszłości, a oczy, jeszcze siwsze, były Sybillami przyszłości. Pułap jego kajuty był zawałony cudacznymi o żelaznych klamrach foliałami, przestarzałymi narzędziami wiedzy i zamierzchłymi mapami w stylu zgoła zapomnianym. Głowę wsparł na dłoniach, a żarliwym i niespokojnym wzrokiem pożerał pismo, które wziąłem za jakieś zlecenie, a które w każdym razie nosiło pieczęć królewską. Mówił sam do siebie, jak ów pierwszy marynarz, którego widziałem na spodzie okrętu, i głosem cichym a smutnym wymrukiwał

jakieś sylaby w języku nieznanym. A chociaż byłem tuż obok niego, zdawało mi się, że głos jego dolata mnie z odległości milowej.

Okręt wraz z całą swoją zawartością na wskroś jest przeniknięty duchem czasów zamierzchłych. Załoga snuje się na kształt cieni wieków poległych w mogile. W ich oczach płonie zaduma żarliwa i niespokojna, i gdy dłonie ich grzęzną w obłądnym świetle latarni rozwidniających drogę moim oczom, doznaję uczuć, których nigdy dotąd nie doznawałem, chociaż przez całe życie miałem zapal szaleńczy dla zabytków starożytności i chociaż nurzałem się w cieniu ruin Balbeku, Tadmoru i Persepolisu, tak że w końcu duch mój sam w sobie stał się ruiną.

Gdy się rozglądam wokół, wstydzę się mych poprzednich lęków. Jeżeli burza, która nas dotąd ścigała, zniewoliła mię do strachu, czyliż nie winienem doznać przerażeń wobec tego najazdu wichury i oceanu, o którym zwykle określenia, jak wir i samum nie mogą dać najmniejszego pojęcia? Okręt, ściśle mówiąc, pogrzebał się w ciemnościach nocy wiekuiestej i w chaosie wód, które już stały się – bezpieczne. Lecz od każdej strony na odległość mniej więcej jednej mili dano nam było niewyraźnie i chwilami oglądać niewiarogodnie olbrzymie szańce lodowe, które się piętrzą ku pustyni podniebnej i zdają się przedmurzem wszechświata!

Zgodnie z moim domysłem okręt znajduje się widocznie w dziedzinie prądu, jeśli, ściśle mówiąc, można tym słowem nazwać wezbranie wód, które wyjąc i rycząc, rwą wskroś białe widma lodowców, zwiastując swój pęd od południa piorunem wścieklejszym niżli huk pionowo spadającej katarakty.

Zrozumienie przerażeń, które padły na me zmysły, uważam za niemożliwość, a jednak ciekawość zajrzenia do tajemnic tych straszliwych dziedzin przewyższa jeszcze samą rozpacz i wystarcza, abym się pogodził z najpotworniejszym widziadłem śmierci. Było to oczywistością, że mkniemy na oślep ku jakiemuś porywającemu odkryciu – ku jakiejś niewysłowionej tajemnicy, której świadomość jest brzemienna śmiercią. Być może, iż prąd uniósł nas aż na sam biegun południowy. Trzeba przyznać, iż owo tak dziwne na pierwszy rzut oka przypuszczenie ma wszelkie dane za sobą.



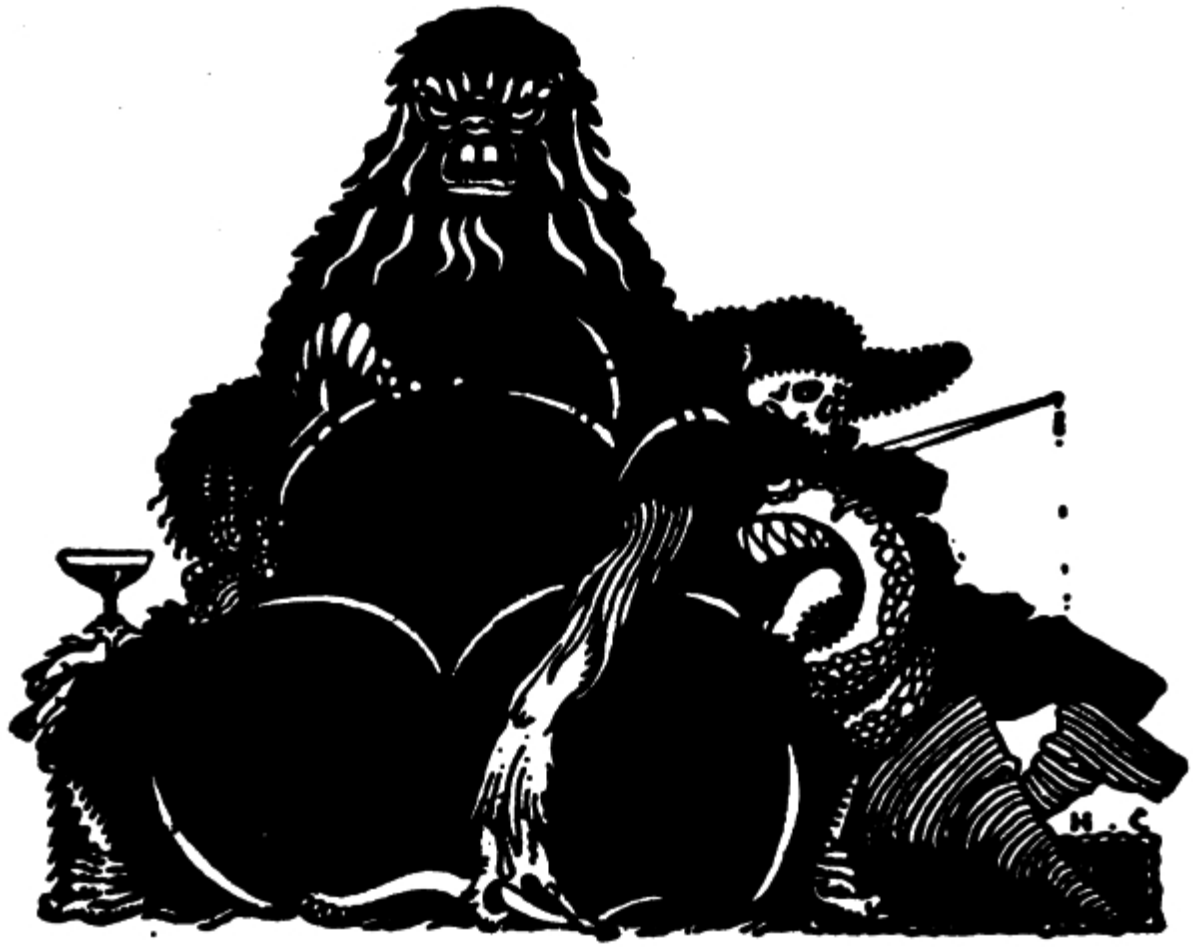
Załoga przechadza się po pokładzie krokiem chwiejnym i niespokojnym, lecz na wszystkich obliczach panuje raczej wyraz płomiennej nadziei niż skamieniałej rozpaczy.

Wszakże wiatr wciąż nas gna naprzód i dzięki gromadzie żagli okręt chwilami polata, zgoła nie tykając morza. O, zgrozo zgróz! Lodowce ukazują się nagle na prawo i lewo i kołujemy zawrotnie w olbrzymich koncentrycznych okręgach wokół brzegów olbrzymiego amfiteatru, który wierzchołki swych murów zatracą w ciemności i bezmiarze. Wszakże zostaje mi jeno okruch czasu dla rozmyślań o własnym losie. Okręgi zwężają się raptownie, zanurzamy się na oślep w cieśninie wirów i wśród wycia, ryku i huku oceanu okręt drży – na Boga – zapada się – tonie!

Nota:

*Rękopis znaleziony w butli* zjawił się w druku po raz pierwszy w roku 1831, a dopiero po upływie lat wielu zapoznałem się z mapami Mercatora, na których widać ocean czworgiem ujść wpadający do polarnych otchłani (na północy) i znikający we wnętrzach ziemi – sam biegun przedstawiono w kształcie czarnej skały, która wznosi się na wysokość niepomiarową. (E. A. P.)

*Tłumaczył Bolesław Leśmian*



# Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket

## Wstęp

**K**ilka miesięcy temu, gdy wróciłem do Stanów Zjednoczonych po wielu nadzwyczajnych przygodach na morzach południowych i w innych okolicach, o czym będę mówić dalej, przypadkowo znalazłem się w Richmond, stan Wirginia, w towarzystwie kilku dżentelmenów, których ogromnie zainteresowały wszystkie szczegóły dotyczące zwiedzonych przeze mnie okolic i którzy ustawicznie wmawiali mi, że obowiązkowo powinienem opublikować moje wspomnienia. Miałem jednak różne powody, by nie dać posłuchu tym naleganiom – częściowo prywatne, które nie mogą interesować nikogo poza mną samym, częściowo nieco odmiennej natury. Jednym ze względów powstrzymujących mnie od publikacji był fakt, że przez większą część mojej podróży nie prowadziłem dziennika; obawiałem się więc, iż nie potrafię napisać z pamięci relacji tak konkretnej i dokładnej, by rzeczywiście odpowiadała prawdzie moich przeżyć, nie wykazywała natomiast naturalnej i nieuniknionej przesady, do jakiej jesteśmy skłonni, gdy opowiadamy o wydarzeniach pobudzających łatwo imaginację. Z drugiej strony – przygody, o których musiałbym opowiadać, były tak nadzwyczajne, że w braku jakichkolwiek dowodów na poparcie moich twierdzeń (poza świadectwem jednego tylko człowieka, i to Metysa) mógłbym znaleźć wiarę chyba tylko u mojej rodziny oraz wśród tych moich przyjaciół, którzy znają mnie od dawna i mają wszelkie podstawy, by wierzyć w moją prawdomówność. Istniała możliwość, że szerokie koła publiczności uznają to, co napiszę, za bezwstydną i zuchwałą zmyślenie. Poza tym niewiara w moje możliwości

pisarskie stanowiła jeden z zasadniczych powodów powstrzymujących mnie od zastosowania się do sugestii moich znajomych.

Wśród dżentelmenów z Wirginii, którzy wyrażali najgłębsze zainteresowanie moim opowiadaniem, a zwłaszcza jego częścią dotyczącą Oceanu Antarktycznego, znajdował się pan Poe, ostatnio redaktor „Southern Literary Messenger”, pisma wydawanego przez pana Thomasa W. White’a w mieście Richmond. Między innymi namawiał mnie usilnie, bym przygotował dokładną relację z tego, co widziałem i przeżyłem, i zdał się na zdrowy rozsądek i krytycyzm publiczności – perswadując mi bardzo uprzejmie, że nawet jeśli nie wykażę zdolności literackich, książka znajdzie powodzenie, a ewentualna surowość stylu tym bardziej świadczyć będzie o autentyczności opowiadania.

Mimo to nie mogłem się zdecydować na jego propozycje. Potem widząc, że nie zabieram się do rzeczy, zaproponował, bym mu pozwolił opisać własnymi słowami opowieść o pierwszej części moich przygód według faktów przeze mnie podanych i opublikować ją w „Southern Messenger”, w dziale literatury pięknej. Na to, nie mając żadnych zastrzeżeń, wyraziłem zgodę, zastrzegając tylko, by zachowano moje prawdziwe nazwisko. Dwa numery „Messengera” zawierające to opowiadanie ukazały się kolejno w styczniu i lutym 1837 roku, a pragnąc, by publiczność przyjęła je jako zwykłą fikcję literacką, w spisie treści miesięcznika zostało wspomniane nazwisko pana Poego jako autora tego utworu.

Reakcja czytelników na taki trick skłoniła mnie wreszcie do podjęcia wyczerpującego opracowania i publikacji wymienionych wydarzeń, ponieważ przekonałem się, że mimo atmosfery baśni, tak przemyślnie rozsnutej wokół tej części mojej relacji, która ukazała się w „Messengerze” (bez zmiany ani przekręcenia najdrobniejszego nawet faktu), publiczność bynajmniej nie była skłonna do przyjęcia tego utworu jako fikcji literackiej i pod adresem pana Poego wysłano wiele listów otwarcie wyrażających wprost przeciwne przekonanie. W związku z tym doszedłem do wniosku, że fakty mojej opowieści same w sobie są

wystarczającym dowodem swej autentyczności i dlatego nie potrzebuję się zbytnio obawiać, iż spotkam się z powszechną niewiarą.

Dokonawszy tego *exposé*, chciałem wyjaśnić, jakiej części opowiadania jestem autorem; należy zwrócić uwagę, że żaden fakt nie został podany fałszywie na pierwszych nielicznych stronach pisanych przez pana Poego. Nie sądzę, by nawet tym czytelnikom, którzy nie widzieli „Messengera”, potrzebne było wskazywanie, gdzie kończy się tekst pana Poego, a zaczyna mój; różnica stylu rzuca się w oczy.

A. G. Pym

Nowy Jork, lipiec 1838

## Rozdział I

Nazywam się Artur Gordon Pym. Ojciec mój był znanym kupcem – dostawcą okrętowym. Mieszkał w Nantucket, gdzie i ja się urodziłem. Mój dziadek po kądzieli był adwokatem z rozległą praktyką. Miał we wszystkim szczęście i zrobił kilka korzystnych spekulacji akcjami banku Edgartona. Tymi i innymi środkami doszedł do niezgorszej fortuny. Kochał mnie – jak mi się zdaje – więcej niż kogokolwiek innego na świecie, toteż po śmierci dziadka spodziewałem się odziedziczyć większą część jego majątku. Gdy doszedłem do lat sześciu, posłał mnie do szkoły pana Rickettsa, jegomościa o jednej ręce i bardzo ekscentrycznych manierach, znanego każdemu, kto miał okazję przebywać w New Bedford. Pozostawałem w tej szkole do szesnastego roku życia, po czym przeniosłem się do akademii pana E. Ronalda. Tam zawarłem przyjaźń z synem pana Barnarda, kapitana żeglugi, który zwykle pływał na okrętach firmy Lloyd i Vredenburgh. Pan Barnard jest znaną osobą w New Bedford i ma, zdaje się, rodzinę w Edgarton. Synowi jego na imię było August i lat miał o dwa więcej ode mnie. Odbył z ojcem wyprawę na statku wielorybniczym „John Donaldson” i teraz opowiadał bezustannie o swych przygodach na południowym Pacyfiku. Zachodziłem często do niego, spędzałem z nim całe dni, a czasami nawet i noce. Spaliśmy w jednym łóżku i mój towarzysz do świtu nie dawał mi zasnąć, opowiadając

historie o mieszkańcach wysp Tinian lub innych okolic, które zwiedził w czasie swych podróży. Skończyło się na tym, że niesłuchanie przejęty tymi opowieściami sam zapragnąłem udać się na morze. Miałem wtedy żaglówkę pod nazwą „Ariel” wartości około siedemdziesięciu pięciu dolarów. Była to półpokładówka z kajutą, zbudowana podobnie do szalupy. Nie przypominam sobie jej tonażu, ale wiem, że mogła pomieścić wygodnie z dziesięć osób. Na tym to statku urządzaliśmy obaj najbardziej szalone wyprawy i kiedy dziś o nich myślę, uważam za cud, że jeszcze żyję.

Opowiem jedną z tych przygód jako wstęp do dłuższej i ważniejszej opowieści. Pewnego wieczoru pan Barnard podejmował gości. Obaj z Augustem byliśmy pod koniec niezgorzej podchmieleni. Jak zwykle w takich wypadkach, zamiast wracać do domu, wolałem przespać się z nim na jednym łóżku. Była już prawie pierwsza, gdy towarzystwo się rozeszło. August poszedł dziwnie spokojnie do łóżka, nie poruszając ani słowem ulubionego tematu. Leżeliśmy może pół godziny i właśnie zdrzemnąłem się, gdy August nagle się zbudził i wśród okropnych przekleństw oświadczył mi, że nawet dla wszystkich Arturów Pymów na całym świecie nie myśli leżeć w łóżku, gdy z południowego zachodu wieje tak wspaniała bryza. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. Nie mogłem zrozumieć, czego mój przyjaciel chce, i sądziłem, że nadmiar wina czy innych napojów alkoholowych pozbawił go zmysłów. On jednak zaczął tłumaczyć mi spokojnym tonem, że zdaje sobie sprawę, o co go posądzam, jednakowoż nigdy jeszcze w życiu nie był tak trzeźwy, jak właśnie teraz. Ma już dosyć tylko, dodał, leżenia w łóżku jak pies i jest zdecydowany ubrać się i odbyć wesołą przejażdżkę łodzią. Nie potrafię powiedzieć, co mnie opętało; ale zaledwie te słowa wyszły z jego ust, poczułem takie podniecenie i byłem tak zachwycony, że ten szalony projekt wydał mi się najrozkoszniejszy i najmądrzejszy w świecie. Wiatr na dworze urastał prawie do rozmiarów sztormu i było wściekle zimno, zbliżał się bowiem koniec października. Mimo to wyskoczyłem jak gdyby w obłędzie z łóżka i oświadczyłem przyjacielowi, że jestem równie dzielny i odważny jak on, że i mnie nuży leżenie w łóżku i jestem równie gotów na wszystkie

przejazdźki i szaleństwa, jak pierwszy lepszy August Barnard z Nantucket.

Nie tracąc czasu, ubraliśmy się szybko i pośpieszyliśmy do łodzi. Stała ona przy starym, zrujnowanym pomoście koło składu drzewa firmy Pankey i S-ka i objęła się burtami o grube belki. August wszedł do łodzi i zaczął wylewać wodę, którą była do połowy napełniona. Gdy uporał się z tą robotą, wciągnęliśmy kliwer i główny żagiel i puściliśmy się śmiało na pełne morze.

Wiatr, jak już wspomniałem, dął bardzo silnie z południowego zachodu. Noc była jasna i mroźna. August ujął ster, a ja usiadłem obok masztu na dachu kajuty. Mknęliśmy niesłychanie szybko; żaden z nas nie odezwał się słowem od chwili, gdy odpłynęliśmy z przystani. Zapytałem wreszcie mego towarzysza, jaki kurs ma zamiar wziąć i kiedy zamyśla powrócić do domu. Gwizdał przez kilka minut i wreszcie odpowiedział opryskliwie: – Ja płynę na morze, ty możesz wracać do domu, jeżeli uznasz to za właściwe! Spojrzałem na niego i zauważyłem, że mimo pozornego spokoju jest silnie rozdrażniony. W świetle księżyca mogłem go widzieć dość wyraźnie: twarz jego była bledsza od marmuru, a ręka drżała mu tak silnie, że ledwie mógł w niej utrzymać ster. Widząc, że coś jest nie w porządku, zląkłem się poważnie. W owym czasie nie byłem zbyt wprawny w kierowaniu łodzią i byłem zdany całkowicie na umiejętności żeglarskie mego towarzysza. W dodatku wiatr przybrał jeszcze na sile i z szybkością strzały oddalaliśmy się od wybrzeża. Wstydzilem się jednak okazać zaniepokojenie i przez pół godziny więcej się nie odzywałem. Wreszcie jednak nie mogłem dłużej znieść tej sytuacji i wspomniałem Augustowi o potrzebie powrotu do domu. Tak jak poprzednio, upłynęła minuta, zanim zwrócił uwagę na tę radę i odpowiedział mi: – Nic pilnego. Jest dużo czasu, nie ma co śpieszyć się z powrotem. Oczekiwałem wprawdzie podobnej odpowiedzi, ale w głosie przyjaciela zabrzmiało coś takiego, że ogarnęła mnie nieopisana trwoga. Przyjrzałem się uważnie Augustowi. Wargi mu całkiem zbieleły, a kolana tak drżały, że ledwie mógł ustać na nogach. – Na miłość boską, Auguście! – zawołałem śmiertelnie przerażony. – Co tobie? Co się stało? Co chcesz zrobić? – Co

się stało? – wybełkotał na pozór zdziwiony, puszczając równocześnie ster i padając na dno łodzi. – Co się stało? Nic... się... nie... stało. Płynęmy do domu... diabli... widzisz... Wtedy zrozumiałem wszystko. Przyskoczyłem doń i podniosłem go. Był pijany, pijany do nieprzytomności. Nie mógł stać, mówić ani widzieć. Oczy miał szkliste i gdy w rozpaczy mej go puściłem, runął jak kłoda na dno łodzi do wody, z której go wydobyłem. W każdym razie musiał wieczorem pić znacznie więcej, niż przypuszczałem, i jego zachowanie się w łóżku było wynikiem upicia się do ostatnich granic, w którym to stanie pijak – podobnie jak to bywa z obłąkanym – często robi wrażenie człowieka zupełnie trzeźwego i rozumnego. Chłodne powietrze nocy wywarło wkrótce swój zwykły skutek – podniecenie alkoholem ustąpiło nieco pod jego wpływem, a niewyraźna świadomość niebezpieczeństwa przyśpieszyła katastrofę. Teraz był najzupełniej bezwładny i musiałem się liczyć z tym, że stan ten potrwa wiele godzin.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie było moje przerażenie. Wino wywietrzało mi z głowy i byłem teraz po wytrzeźwieniu podwójnie przerażony i niezdecydowany. Wiedziałem, że jestem absolutnie niezdolny do sterowania łodzią i że silny wiatr w połączeniu z odpływem rzuca nas w objęcia śmierci. Za nami zbierała się burza. Nie mieliśmy kompasu ani żywności. Było jasne, że jeżeli nie zmienimy kursu, o świcie stracimy już ład z oczu. Te i mnóstwo innych równie okropnych myśli przelatywało z oszałamiającą szybkością przez mój umysł i na kilka chwil obezwładniło mnie do tego stopnia, że byłem niezdolny do najmniejszego wysiłku. Pruliśmy wodę z szaloną szybkością, pod pełnymi żaglami. Ani kliwer, ani główny żagiel nie były zrefowane, a dziób całkowicie zanurzał się w pianie. Cud nad cudy, że łódź dotychczas się nie przewróciła, ponieważ, jak wspomniałem, August puścił ster, a ja byłem zbyt wzburzony, aby pomyśleć o ujęciu go samemu. Na szczęście jednak powoli zacząłem odzyskiwać przytomność umysłu. Wiatr nadal w zastraszający sposób przybierał na sile i ilekroć spod fali wynurzył się dziób łodzi, morze atakowało nas od rufy i znowu zalewało wodą. Byłem tak skostniały, że prawie zupełnie straciłem czucie. Wreszcie jednak z jakąś rozpaczliwą decyzją rzuciłem się do głównego żagla i zdarłem go. Jak było do



przewidzenia, żagiel frunął nad dziobem łodzi i nasiąknąwszy wodą, pociągnął poza burtę maszt. Ten wypadek uratował nas od niechybnej zagłady. Pod samym tylko kliwrem pędziliśmy z wiatrem atakowani przez olbrzymie fale, ale uwolnieni od obawy natychmiastowej śmierci. Ująłem ster i odetchnąłem lżej, widząc, że pozostaje nam jeszcze jedna nadzieja ocalenia. August nadal bezwładnie leżał na dnie łodzi, a ponieważ groziło mu tam niebezpieczeństwo zatonięcia (wody było w tym miejscu na stopę wysoko), podniosłem go trochę i aby go tylko utrzymać w postawie siedzącej, opasałem liną, której koniec przywiązałem do żelaznego pierścienia na daszku kajuty. Urządziwszy wszystko, jak tylko mogłem najlepiej, skostniały i przerażony poleciłem się Bogu i postanowiłem znosić to, co mnie spotkać może, z całą dzielnością, do jakiej byłem zdolny.

Ledwie powziąłem takie postanowienie, gdy nagle usłyszałem przeciągły ryk, który jakby z gardzieli tysiąca szatanów się wydobywając, wstrząsnął nami i łodzią. Nigdy, jak długo będę żyć, nie zapomnę uczucia konania z przestachu, jakiego wtedy doznałem. Włosy stanęły mi na głowie, czułem, że krew mi w żyłach krzepnie, a serce przestaje bić. I zanim jeszcze zdołałem ustalić przyczynę mego przerażenia, upadłem bezwładnie głową naprzód na ciało mego przyjaciela.

Gdy przyszedłem do siebie, znajdowałem się w kabynie wielkiego statku wielorybniczego „Pingwin”, który płynął do Nantucket. Kilka osób stało nade mną, a August blady jak śmierć rozcierał mi ręce. Gdy ujrzał, że otwieram oczy, tak się ucieszył, że jego radosne wrzaski wywołały na przemian śmiech i łzy wśród otaczających nas srogich postaci. Rychło wytłumaczono mi tajemnicę naszego ocalenia. Zatopił nas statek wielorybniczy, który lawirował skośnie do wiatru, przebijając się do Nantucket pod wszystkimi żaglami, jakie tylko można było rozwinąć w taką porę. W rezultacie szedł niemalże pod kątem prostym do naszego kursu. Kilku ludzi stało na „oku” i zobaczyło nas w chwili, gdy już nie można było uniknąć zderzenia. Ich okrzyki przestrogi były właśnie tym rykiem, który mnie tak przeraził. Ogromny statek przejechał się po nas z taką łatwością, z jaką by nasza łódź przeszła przez piórko. Wypadek nie

zdołał ani na chwilę wstrzymać jego biegu, a z naszego pokładu nie zabrzmiał ani jeden okrzyk. Wśród wycia wichru i ryku fal usłyszano tylko odgłos jak gdyby rozdarcia w chwili, gdy kil statku rozpruł naszą kruchą łódź. To było wszystko. Kapitan „Pingwina”, pan E. T. V. Block, uważając naszą łódź (była pozbawiona masztu) za jakiś bezwartościowy szczątek – chciał płynąć dalej, nie trapiąc się taką drobnostką. Na szczęście dwaj ludzie z wachty przysięgali stanowczo, że widzieli kogoś u steru i utrzymywali, że istnieje możliwość uratowania tej osoby. Wynikła stąd burzliwa wymiana zdań. Kapitan Block wpadł w gniew i powiedział coś w tym rodzaju, że nie jest zobowiązany wiecznie troszczyć się o byle śmieć na wodzie, że nie zawróci statku z drogi dla takiego głupstwa, a jeżeli ktoś zatonął – sam ponosi winę. Może się topić i iść do diabła! Pierwszy oficer, porucznik Henderson, nie dał jednak za wygraną i ujął się za rozbitkami. Tak on, jak i reszta załogi byli słusznie oburzeni słowami kapitana, zdradzającymi okrucieństwo i brak serca. Czując, że załoga jest po jego stronie, Henderson mówił bez ogródek. Powiedział kapitanowi, że uważa go za łotra godnego szubienicy i że, co się jego tyczy, jest zdecydowany sprzeciwić się jego rozkazom, choćby go za to miano na łądzie powiesić. Pobiegł na rufę, potracając przy tym kapitana, który zbladł, ale nie odezwał się słowem. Potem ujął ster i zawołał silnym głosem: – Ster pod wiatr! – Załoga pobiegła na stanowiska i statek obrócił się. Wszystko to zajęło około pięciu minut i uratowanie człowieka, choćby nawet istotnie był w łodzi, zdawało się już niemożliwe. Jednakże, jak to już czytelnikowi wiadomo, zostaliśmy wyłowieni, a nasze ocalenie zawdzięczamy jednemu z tych cudownych wypadków, które ludzie mądrzy i pobożni przypisują zazwyczaj Opatrzności.

Gdy bieg statku został wstrzymany, porucznik kazał spuścić łódź ratunkową i wskoczył do niej z dwoma majtkami, którzy mnie widzieli u steru. Zaledwie wypłynęli za zawietrzną – księżyc ciągle jeszcze jasno świecił – gdy statek ciężko obrócił się do wiatru. Henderson porwał się z ławki i krzyknął na ludzi, aby płynęli do rufy. Nie rzekł nic więcej, jak tylko „do rufy, do rufy!”, i powtarzał swój rozkaz niecierpliwie. Majtkowie wiosłowali najspieszniej, jak tylko można było, ale przez ten czas okręt

obrócił się zupełnie i począł iść z wiatrem, chociaż na pokładzie cała załoga pracowała nad zwinięciem żagli. Pomimo ogromnego niebezpieczeństwa, jakim groził ten manewr, porucznik uchwycił się łańcuchów steru, gdy tylko zdołał ich dosięgnąć. Nowa olbrzymia fala rzuciła statkiem, odsłaniając jego prawy bok niemal do samego kilu. Teraz dopiero spostrzeżono przyczynę przerażenia Hendersona. Ujrzano ciało człowieka przyczepione w szczególny sposób do błyszczącego i gładkiego spodu („Pingwin” był obity miedzią) i bijące gwałtownie o miedziane blachy przy każdym ruchu statku. Po wielu bezskutecznych usiłowaniach (a każda próba groziła łódce zmiążdżeniem przez statek powracający z wychylenia do normalnej pozycji) zostałem wreszcie odczepiony i wyciągnięty na pokład – to ciało bowiem to byłem ja. Okazało się, że spod miedzi wystawał w jednym miejscu drewniany kołek, który zatrzymał mnie, gdy się bezwładny przesuwiał pod statkiem, przytwierdzając w tak dziwny sposób do jego dna. Ostrze kółka przebiło kołnierz mojej flanelowej kurtki, wbiło się w kark i utkwilo między dwoma ścięgnami tuż pod prawym uchem. Złożono mnie natychmiast na łóżku, choć zdawało się, że życie już we mnie zgasło. Na okręcie nie było lekarza, ale czuwał nade mną troskliwie sam kapitan, zapewne po to, aby uniewinnić się w oczach załogi ze swego nieludzkiego postępowania na początku przygody.

Tymczasem Henderson oddalił się znów od statku, mimo że wiatr przybrał rozmiary orkanu. Po kilku minutach natrafił na szczątki naszego jachtu, a jeden z majtków, którzy znów z nim płynęli, zapewnił go, że słyszy od czasu do czasu poprzez ryk burzy wołanie o ratunek. To zachęciło śmiałych żeglarzy do kontynuowania swych poszukiwań przez całe pół godziny, mimo że kapitan Block bezustannie wzywał ich sygnałami do powrotu, a każda minuta spędzona na morzu w słabej łódce groziła im śmiercią. Doprawdy trudno jest pojąć, jakim cudem ta mała łódka nie poszła natychmiast na dno. Była jednak zbudowana do połowu wielorybów i w związku z tym, jak się później dowiedziałem, zaopatrzona w komory powietrzne na wzór łodzi ratunkowych używanych na wybrzeżu Walii.

Znużeni wreszcie bezskutecznymi poszukiwaniami, postanowili wracać na statek. Zaledwie powzięli tę myśl, gdy usłyszeli słaby krzyk dochodzący z jakiegoś ciemnego przedmiotu, który szybko przesunął się obok. Rzucili się w pogoń za nieznanym przedmiotem i wkrótce go dopędzili. Był to daszek z kajuty „Ariela”. August już ostatnim wysiłkiem walczył obok niego z falą. Schwytali go i spostrzegli, że jest przywiązany liną do pływającej belki. Była to ta sama lina, którą opasałem jego ciało dla utrzymania go w pozycji siedzącej, i ona to, jak się zdaje, uratowała mu życie. „Ariel” był słabo zbudowany i przy zderzeniu rozleciał się w kawałki. Daszek kajuty pod naporem wody został zmyty i wraz z innymi szczątkami pływał na powierzchni. August zaś, pływając razem z nim, uniknął niechybnej śmierci.

Tak zatem i on został wciągnięty na pokład „Pingwina”, ale upłynęła dobra godzina, zanim dał znak życia i pojął, co się stało z naszym statkiem. Wreszcie oprzytomniał zupełnie i mówił długo o wrażeniach, jakich doznawał, unosząc się na falach. Najpierw zrozumiał, że znajduje się na powierzchni wody i kręci nadzwyczaj szybko, dokoła zaś szyi zaciska mu się owinięta kilka razy lina. W następnej chwili uczuł, że z nieprawdopodobną szybkością unosi się w górę. Nagle uderzył głową o coś twardego i powtórnie popadł w omdlenie. Potem znowu odzyskał świadomość, choć wszystko dokoła niego wydawało się dziwnie zamglone i niewyraźne. Ale wtedy już wiedział, że zdarzył się jakiś wypadek i że jest naprawdę w wodzie. Na szczęście jednak znajdował się na powierzchni i mógł z łatwością oddychać. Kabina płynęła szybko z wiatrem i unosiła Augusta. Dopóki mógł się utrzymać w położeniu na grzbiecie, nie groziło mu zatonięcie. Wkrótce potem fala wyrzuciła go na daszek. Usiłował utrzymać się na nim, wołając od czasu do czasu o pomoc. Na chwilę przedtem, nim usłyszał go Henderson, August puścił wskutek wyczerpania daszek i zmyty w morze uważał się za bezpowrotnie zgubionego. Gdy tak walczył o życie, na próżno starał się dojść przyczyny swojej przygody – najlżejsze wspomnienie „Ariela” czy innej rzeczy związanej z katastrofą nie przyszło mu do głowy. Zmieszane uczucia przerażenia i rozpaczły zmąciły mu umysł i zabrały resztki

energii. Gdy go wreszcie wyłowiono, przytomność opuściła go zupełnie i, jak już wspomniałem, dopiero w godzinę potem zrozumiał, co mu się przydarzyło. Co do mnie, byłem bliski śmierci. Przez trzy i pół godziny bezskutecznie próbowano różnymi sposobami przywrócić mnie do życia. Wreszcie udało się to, gdy za poradą Augusta zaczęto mnie mocno nacierać flanelą umaczną w gorącej oliwie. Mimo straszego wyglądu rana na szyi okazała się lekka i prędko się zagoiła.

O dziewiątej rano zawinął „Pingwin” do portu, zwalczywszy jedną z najsilniejszych burz, jakie kiedykolwiek widziano w okolicy Nantucket. Obaj z Augustem pojawiliśmy się punktualnie na śniadanie w domu pana Barnarda. Śniadanie to z powodu pijatyki, jaka miała miejsce poprzedniego wieczoru, było trochę spóźnione. Sądzę, że wszyscy zebrani u stołu sami byli zbyt wyczerpani zabawą, aby zauważyć nędzny nasz wygląd. Zresztą jeszcze jako chłopcy w szkole dokazywaliśmy cudów oszukaństwa i żaden z naszych towarzyszy w Nantucket nie powziął najmniejszego podejrzenia, że owa okropna historia, jaką opowiadali na mieście niektórzy marynarze, o zderzeniu się na morzu z jakimś statkiem (przy czym utonęło jakoby trzydziestu czy czterdziestu biednych ludzi) ma związek z moim przyjacielem Augustem lub ze mną samym.

## Rozdział II

Jeśli człowiek jest do jakiejś sprawy uprzedzony – czy to w sensie negatywnym czy pozytywnym – to nie potrafi wyciągnąć ścisłych wniosków nawet z najbardziej prostych faktów. Można by przypuszczać, że wyżej opisana katastrofa musiała znacznie ostudzić moją rosnącą namiętność ku morzu. Tymczasem przeciwnie, w tydzień po naszym cudownym ocaleniu uczułem tak gwałtowny pociąg do dzikich przygód żeglarskiego życia jak nigdy przedtem. Ten krótki okres wystarczył w zupełności, aby zatrzeć w mej pamięci wszystkie ponure strony przygody, a pozostawić wrażenie rozkosznie podniecające. Coraz częściej rozmawiałem z Augustem i poruszaliśmy tematy coraz bardziej zajmujące i rzeczowe. Jego sposób opowiadania swych przygód (dziś

podejrzewam, że przynajmniej w połowie były one wysrane z palca) działał bardzo silnie na mój temperament i mą ognistą, choć nieco ponurą wyobraźnię. Co było w tym ciekawego, to fakt, że opis najokropniejszych cierpień lub rozpaczy żeglarzy najsilniej podniecał mój zapal do marynarskiego życia. Dla jaśniejszych stron tych opisów miałem zawsze bardzo małą sympatię. Roilem zawsze o rozbiciach, o głodzie, o śmierci czy niewoli u dzikich, o ciężkim żywocie w smutku i łzach na samotnej skale wśród bezmiernego oceanu. Takie myśli, obrazy i pragnienia – gdyż naprawdę były to pragnienia – są bardzo pospolite, jak mi potem powiedziano, u całej rzeszy melancholików zamieszkujących świat. W czasie jednak, który opisuję, widziałem w tym tylko objaw przeznaczenia i sądziłem, że przeznaczeniu temu muszę ulec. August potrafił doskonale wżyć się w stan mego umysłu. Jest rzeczą prawdopodobną, że nasza przyjaźń wpłynęła na wzajemne ukształtowanie naszych charakterów.

W półtora roku po rozbiciu „Ariela” firma Lloyd i Vredenburg postanowiła naprawić i wyekwipować do połowu wielorybów bryg „Grampus”. Było to stare, zrujnowane pudło, które nawet po odrestaurowaniu ledwie było zdadne do utrzymania się na wodzie. Dlaczego wybrano ten statek, a nie któryś z dobrych okrętów należących do tych samych armatorów, nie wiem, dość że tak było. Dowództwo miał objąć pan Barnard, a August miał jechać wraz z nim. August też nalegał na mnie usilnie, abym skorzystał z nadarzającej się sposobności i popłynął na „Grampusie”, zaspokajając moje ciągoty podróżnicze. Miałem szczerą chęć usłuchać go, lecz rzecz nie była łatwa do przeprowadzenia. Ojciec się wprawdzie nie sprzeciwiał, ale matka na samą wzmiankę o podróży dostawała ataku nerwowego, a co gorsza dziadek przysiągł, że nie zostawi mi ani szylinga, jeśli jeszcze raz w rozmowie z nim powrócę do tego tematu. Ale te trudności zamiast ostudzić mój zapal, dodały tylko żaru do ognia. Postanowiłem mimo wszystko popłynąć, a gdy oznajmiłem Augustowi moje postanowienie, zaczęliśmy się zastanawiać nad sposobem urzeczywistnienia naszego zamiaru. Przede wszystkim wystrzegałem się przed krewnymi wszelkich wzmianek o podróży, a ponieważ ostentacyjnie zajmowałem się studiami, sądzono, że porzuciłem

mój projekt. Od owego czasu wielokrotnie, z mieszanymi uczuciami niesmaku, zadowolenia i zdziwienia, powracałem myślą do mojego zachowania w tej sprawie. Wielka hipokryzja, jaką okazałem, starając się osiągnąć swój cel (hipokryzja ta oładnęła na długo wszystkimi moimi słowami i czynami), da się usprawiedliwić jedynie tym, że serce moje rozsadały marzenia o nowych doznaniach, do których się rwałem, aby zaspokoić rozbudzone od dawna pragnienie podróŜowania.

Dążąc do celu, musiałem ustawicznie naradzać się z Augustem, który przez większą część dnia był zajęty na „Grampusie”, gdzie przystosowywał dla swego ojca kabinę. Spotykaliśmy się jednak wieczorami i wtedy rozprawialiśmy o naszych nadziejach. Upłynął prawie miesiąc, a my jeszcze ciągle nie mieliśmy żadnego planu mogącego zapewnić powodzenie, gdy nagle August oświadczył, że już wszystko obmyślił. Miałem krewnego nazwiskiem Ross, który mieszkał w New Bedford; czasem spędzałem u niego parę tygodni. Ponieważ bryg miał wyruszyć w połowie czerwca 1827 roku, postanowiliśmy, że na dwa dni przed wypłynięciem mój ojciec otrzyma bilecik od pana Rossa, w którym ten zaprosi mnie do swojej posiadłości, abym tam spędził dwa tygodnie w towarzystwie jego synów, Roberta i Emmeta. Zredagowania listu i wysłania go pocztą podjął się August. Miałem udać, że jadę do New Bedford, a w rzeczywistości połączyć się z moim towarzyszem, który już mi przygotował kryjówkę na „Grampusie”. Kryjówka ta, jak mnie zapewniał, jest wybornie urządzone i będę w niej mógł wygodnie przebywać niespostrzeŜony kilka dni. Dopiero gdy bryg odpłynie tak daleko, że nie będzie mowy o powrocie, zostanę wprowadzony do kajuty. Co się tyczy ojca Augusta, będzie się na pewno serdecznie śmiał z tego figla. Po drodze spotkamy dość okrętów i będę mógł za pośrednictwem któregoś z nich przesłać do domu list objaśniający całą tę przygodę.

Nadszedł wreszcie czerwiec i plan nasz dojrzał. List od Rossa został napisany i wysłany. Pewnego poniedziałku opuściłem rankiem dom rodzinny, aby, jak wszyscy sądzili, odpłynąć statkiem pocztowym do New Bedford. Tymczasem poszedłem wprost na spotkanie z Augustem, który mnie oczekiwał na rogu ulicy. Według pierwotnego planu miałem

poczekać do wieczora i wtedy dopiero wśliznąć się na bryg. Jednakże sprzyjała nam gęsta mgła i postanowiłem, nie tracąc czasu, od razu ukryć się pod pokładem. Aby mnie nikt nie poznał, włożyłem gruby marynarski płaszcz przyniesiony przez Augusta i szedłem parę kroków za przyjacielem, który prowadził mnie do przystani. Nie minęliśmy dwóch skrzyżowań, kiedy nagle wpadłem omal na pana Petersona, mojego własnego dziadka. – Gordon, na mą duszę! – zawołał starzec. – Co to, co to, czyjeś ty łachmany włożył na siebie? – Szybko orientując się w sytuacji, przyjąłem obrażony wyraz twarzy i przemówiłem najgrubszym, na jaki się mogłem zdobyć, głosem: – Panie, pan się coś myli! Nie nazywam się Gordon, to jedno, a po drugie, panie taki a owaki, jak pan śmiesz nazywać mój płaszcz łachmanem! – Ledwo mogłem się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem na dziwną reakcję staruszka, który po moich słowach cofnął się dwa kroki, najpierw zbladł, potem poczerwieniał na twarzy, podniósł na czoło okulary, znowu je osunął i ruszył ku mnie do ataku z parasolem. Jednakże nim mnie zdołał uderzyć, stanął jak wryty, obrócił się na pięcie i ruszył w dół ulicy, trzęsąc się z gniewu i mrużąc pod nosem: – Muszę kupić nowe okulary, myślałem, że to Gordon, a to jakiś drań marynarz.

Po tym niespodziewanym spotkaniu szliśmy bardzo ostrożnie. Wreszcie szczęśliwie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Na pokładzie było tylko paru majtków, którzy coś majstrowali przy luku przednim. Kapitan Barnard poszedł w interesach do kantoru Lloyda i Vredenburgha i miał tam pozostać do wieczora; z tej więc strony nie groziło nam nic. August wszedł pierwszy na pokład, a ja po krótkiej chwili podążyłem za nim, niespostrzeżony przez pracujących ludzi. Udaliśmy się natychmiast do kajuty kapitana; nie zastaliśmy tam nikogo. Była urządzona nadzwyczaj pięknie i wygodnie – rzecz niezwykła na statku wielorybniczym. W głębi znajdowały się cztery wnęki z szerokimi, wygodnymi kojami dla oficerów. Zauważyłem również duży piec i bardzo gruby oraz kosztowny dywan przykrywający podłogę kajuty. Kajuta miała siedem stóp wysokości. Wszystko razem wydawało mi się znacznie obszerniejsze i przyjemniejsze, niż przypuszczałem. Mój przyjaciel nie



pozwoił mi jednak dłużej zaspokajać ciekawości i nalegał, abym czym prędzej się ukrył. Wprowadził mnie do swej własnej kabiny znajdującej się po prawej stronie brygu i zamknął drzwi na zasuwkę. Zdawało mi się, że nigdy nie widziałem ładniejszej kabiny jak ta, w której się właśnie znajdowałem. Miała około dziesięciu stóp długości i tylko jedną koję, która podobnie jak oficerskie była szeroka i wygodna. W kabinie było także dość miejsca na stół, krzesło i wiszące półki z książkami, głównie o tematyce morskiej i podróżniczej. Znajdowało się tu wiele innych potrzebnych przedmiotów, z których wymienić należy coś w rodzaju lodówki. August z dumą pokazał mi znajdujące się tam smakołyki i napitki.

Wreszcie nacisnął palcami pewne miejsce w rogu dywanu i pokazał mi, że część podłogi – około szesnastu cali kwadratowych – została zręcznie wypilowana, a następnie z powrotem ściśle wprawiona. Pod naciskiem deska ta uniosła się cokolwiek z jednej strony, tak że można było podłożyć pod nią palce i wyjąć całą klapę wraz z dywanem przytwierdzonym do niej małymi gwoździami. Zobaczyłem, że otwór ten prowadzi do ładowni statku. August zapalił fosforową zapalką małą świeczkę i wstawiwszy ją do ślepej latarki, zszedł przez otwór na dół, kazał mi iść za sobą. Uczyniłem, jak mówił, a wtedy on założył z powrotem klapę na miejsce, pociągnąwszy za hak przybity z przeciwnej strony. Dywan na podłodze przybrał naturalnie swe pierwotne położenie i otwór był znowu dokładnie zakryty.

Świeca rzucała tak słabe światło, że z wielką trudnością orientowałem się wśród mnóstwa bezładnie rozrzuconych rzeczy, które mnie otaczały. Stopniowo jednak moje oczy oswoiły się z ciemnością i zacząłem posuwać się łatwiej, trzymając mego towarzysza za poję surduta. Wreszcie po przejściu mnóstwa krętych i wąskich korytarzyków wśród bagażu znalazłem się przed wielką okutą żelazem paką, podobną z wyglądu do skrzyń, w których przewozi się drogą porcelaną. Miała prawie cztery stopy wysokości, sześć długości i była niezmiernie wąska. Stały na niej ogromne, puste beczki do tranu, a na nich mnóstwo mat słomianych, ułożonych aż do sufitu. Wokoło znajdował się bezlik innych przedmiotów,

porozrzucanych w wielkim nieładzie. Rozmaite zapasy okrętowe, beczki, koszyki, skrzynie, klatki, baryłki, maty i rogoże, tak niedbale ustawione po sam sufit, że cudem mi się wydało, iż zdołaliśmy znaleźć drogę do owej paki. Dowiedziałem się później, że August celowo rozrzucił ładunek, aby mi zapewnić idealną kryjówkę, a drogę pośród tego utorował z jeszcze jednym pomocnikiem, który nie miał płynąć na brygu.

August pokazał mi następnie, że jedna ze ścian paki swobodnie się odsuwa. Zobaczyłem wnętrze paki, które mnie mocno uradowało. Na dnie leżał jeden z materaców zabranych z kajuty, znajdowały się tam również wszystkie przedmioty pierwszej potrzeby, jakie tylko się dały zgromadzić w ciasnej przestrzeni; pozostawało dość miejsca, abym mógł wygodnie siedzieć lub też nawet wygodnie się wyciągnąć. Obok wielu innych rzeczy znalazłem tu parę książek, pióro, atrament, papier, trzy koce, wielki dzban pełen wody, baryłkę sucharów, kilka ogromnych kielbas bolońskich, wielką szynkę, udziec barani i pół tuzina flaszek wódki. Zaraz też objąłem w posiadanie mój szczupły apartament, zapewne z uczuciem większej radości niż ta, której doświadcza monarcha, wchodząc po raz pierwszy do nowego pałacu. August pokazał mi jeszcze, jak zamykać ruchomą ścianę paki, po czym podniósłszy świecę aż do sufitu, zwrócił uwagę na zwisający stamtąd koniec czarnego sznurka. Ten sznurek, jak mnie objaśnił, poczyna się u kryjówki, wije się wśród ładunku i kończy wreszcie u gwoźdźcia wbitego w pomost tuż obok otworu prowadzącego do kabiny. Z pomocą tego sznurka mogłem łatwo odnaleźć drogę, w razie gdyby nieoczekiwane wypadki zmusiły mnie do tego kroku. Wreszcie August pożegnał się, zostawiając latarnię i duży zapas świec i obiecując składać wizyty tak często, jak mu tylko warunki pozwolą. Było to siedemnastego czerwca.

Pozostawałem w mej kryjówce, jak mi się zdawało, trzy dni i trzy noce, wychodząc przez ten czas tylko dwa razy dla wyprostowania członków. Przez cały ten czas nie miałem żadnej wiadomości od Augusta, byłem jednak zupełnie spokojny, gdyż wiedziałem, że bryg lada chwila wyruszy, a wśród przygotowań do odjazdu niełatwo jest Augustowi znaleźć czas na wizytę. Wreszcie usłyszałem, jak kłapa się otwiera i

zamyka, i zaraz potem August przyciszonym głosem zapytał mnie, czy wszystko jest w porządku i czy sobie czego nie życzę. – Niczego – odparłem. – Czuję się tak dobrze, jak tylko być może. Kiedy odpływamy? – Nim minie pół godziny – odpowiedział. – Przyszedłem ci to powiedzieć, abyś się nie niepokoił, gdyż może się zdarzyć, że przez kilka dni nie będę mógł przyjść. Na górze wszystko w porządku. Kiedy zamknę klapę, przyjdź, trzymając się sznurka, a koło haka klapy znajdziesz mój zegarek; może ci się przydać, bo nie widząc światła, nie zdajesz sobie sprawy z rachuby czasu. Dziś mamy dwudziestego, a więc siedzisz dopiero trzy dni. Chętnie bym ci przyniósł zegarek do paki, ale obawiam się, że mogą zauważyć moją nieobecność. – Po tych słowach odszedł.

Mniej więcej w godzinę po jego odejściu poczułem, że odpływamy. Powinszowałem sobie, że wreszcie rozpoczynam podróż na dobre. Uradowany tą myślą postanowiłem cierpliwie czekać na bieg wypadków tak długo, aż mi będzie dozwolone zmienić ciasną pakę na większą, choć może niewiele wygodniejszą kabinę. Pierwszą moją myślą było wejść w posiadanie zegarka. Zostawiłem w pace zapaloną świecę i trzymając się sznurka, szedłem po omacku tak zawiłą i skomplikowaną drogą, że zajęło mi to dużo czasu, nim dotarłem do haka, i zabrawszy zegarek, szczęśliwie powróciłem do mej kryjówki. Przejrzałem książki, w które mnie August zaopatrzył, i wybrałem dziennik ekspedycji Lewisa i Clarke'a do ujścia rzeki Kolumbia. Spędziłem pewien czas na czytaniu, po czym uczuwszy senność, zgasłem świecę i wkrótce zasnąłem.

Gdy się obudziłem, miałem dziwny zamęt w głowie. Upłynęła dłuższa chwila, zanim sobie wszystko przypomniałem. Zapaliłem świecę, chcąc zobaczyć, która godzina; zegarek jednak stał i nie mogłem wskutek tego ocenić, jak długo trwał mój sen. Byłem cały zeszywniały i musiałem znowu wyjść z paki, aby się nieco rozprostować. Poczułem gwałtowny głód i pomyślałem o baraniej pieczeni, której kawałek zjadłem ze smakiem przed zaśnięciem. Jakież jednak było moje zdumienie, gdy stwierdziłem, że pieczeń zupełnie zgniła! Ta okoliczność zaniepokoiła mnie w wysokim stopniu, gdyż zestawiając ją z poprzednim zamętem w głowie – doszedłem do przekonania, że sen mój trwał niesłychanie długo.

Prawdopodobnie przyczyniła się do tego ciężka i duszna atmosfera ładowni okrętu, co z czasem mogło mieć dla mnie jak najgorsze skutki. Strasznie bolała mnie głowa. Oddychałem z trudnością i pełen byłem najczarniejszych myśli. Pomimo to nie ośmieliłem się otworzyć klapy, gdyż mogłem przez to popsuć całe przedsięwzięcie. Nakręciłem zatem zegarek i starałem się o ile możliwości pogodzić z losem.

Przez następne długie dwadzieścia cztery godziny nikt do mnie nie zajrzał. W myślach oskarżałem Augusta o karygodną wprost obojętność. Najbardziej niepokoił mnie ewentualny brak wody, gdyż w dzbanku pozostało najwyżej pół kwarty, a ja właśnie cierpiałem okropne pragnienie, zjadłszy po utracie baraniny znaczną ilość kielbasy bolońskiej. Opanował mnie lęk, nie mogłem zainteresować się książkami. Zawładnęła mną ogromna senność i drżałem na myśl o poddaniu się jej, sądząc, że powietrze ładowni statku zawiera jakieś zgubne dla życia składniki, podobnie jak czad węglowy. Po specyficznym kołysaniu poznałem, że statek jest na pełnym morzu, a głuchy szum dochodzący mych uszu przekonywał mnie, że sroży się sztorm. Nie mogłem sobie wytłumaczyć przyczyny tak długiej nieobecności Augusta. Byliśmy już, jak sądzę, dość zaawansowani w podróży, abym mógł ukazać się na pokładzie. Augustowi mogło, co prawda, wydarzyć się coś złego, jednakże poza nagłą śmiercią lub utonięciem nie znajdowałem usprawiedliwienia dla jego obojętności wobec mnie. Było także możliwe, że wskutek niepomysłnych wiatrów znajdowaliśmy się jeszcze ciągle blisko Nantucket. Wkrótce jednak zarzuciłem tę myśl, gdyż w takim wypadku zmienilibyśmy często kurs, a tymczasem z ciągłego pochylenia na prawą burtę wywnioskowałem, że płyniemy pod stałym wiatrem w jednym kierunku. Przyjąwszy nawet, że nadal jesteśmy w pobliżu lądu, nie widziałem powodu, dlaczego August nie miałby mnie odwiedzić i powiadomić o tym. Ciągle rozmyślając nad moim samotnym i rozpaczliwym położeniem, postanowiłem wreszcie przeczekać jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a jeżeli pomoc do tego czasu nie nadejdzie, podejść do klapy i albo porozumieć się z Augustem, albo odetchnąć przynajmniej świeżym powietrzem i zaopatrzyć się w nowy zapas wody z

jego kajuty. Wśród tych niewesołych rozmyślań popadłem wbrew wszelkim usiłowaniom w głęboki sen, a raczej rodzaj oszołomienia czy nieprzytomności. Miałem straszne sny. Okropności i klęski wszelkiego rodzaju spadały na mą głowę. Zdawało mi się, że ponure i drapieżne demony duszą mnie pod ogromnymi poduszkami. Olbrzymie węże owijały mnie splotami i wpatrywały się w mą twarz strasznie błyszczącymi oczyma. Potem poczęły otwierać się przede mną bezkresne pustynie, martwe i wzbudzające przerażenie. Potem wysokie drzewa, szare i bezlistne w niekończących się rzędach, jak daleko oko mogło sięgnąć. Ich korzenie zanurzały się w rozległym trzęsawisku, którego wody były czarne, nieruchome, okropne. Wydawało mi się, że te dziwaczne drzewa obdarzone są ludzkim życiem i poruszając szkieletami gałęzi, krzyczą do martwych wód przeraźliwymi i okropnymi głosami agonii i rozpacz, błagając o litość. Stałem samotny pośród Sahary, a u nóg mych leżał skulony drapieżny ogromny lew. Nagle otworzył dzikie oczy i spojrzał na mnie. Zerwał się na nogi i pokazał mi dwa rzędy okropnych zębów. Z czerwonej gardzieli wydobył się ryk podobny do gromu, a ja runąłem na ziemię. Zesztywniały z przerażenia, częściowo wróciłem do przytomności. Ale mój sen nie był tylko snem. Odzyskałem już zmysły. Łapy jakiegoś potwora ciężko ugniatały mi klatkę piersiową, gorący jego oddech owiewał mi twarz, a jego białe, upiorne idy błyszczały nade mną w ciemności.

Gdybym mógł uratować życie jednym ruchem lub wymówieniem jednej sylaby – nie potrafiłbym uczynić i tego. Potwór siedział mi na piersi, nie atakując jednak ani nie raniąc, a ja zupełnie bezwładny leżałem pod nim i zdawało mi się, że umieram. Czułem, jak władze fizyczne i umysłowe szybko mnie opuszczają – jednym słowem, czułem, że życie ze mnie ucieka, że umieram z samego przestrawu. Umysł mój nie działał, wzrok odmawiał mi posłuszeństwa i nawet błyszczące nade mną oczy coraz bardziej się zacierały. Ostatnim wysiłkiem wyszeptalem modlitwę i tak poleciwszy Bogu ducha, przygotowałem się na śmierć. Dźwięk mego głosu obudził, jak mi się zdawało, tłumioną wściekłość zwierzęcia i potwór rzucił się jak długi na moje ciało. Ale jakież było moje zdumienie, gdy zwierz z cichym skowytem zaczął wśród oznak najgłębszej

radości lizać mią twarz i ręce! Byłem ogłuszony, zupełnie wyprowadzony z równowagi. Jednakże o pomyłce nie mogło być mowy. Zbyt dobrze znałem charakterystyczne skomlenie Tygrysa, mego nowofundlandzkiego psa, i jego szczególny sposób przymilania się, abym miał dłużej wątpić. To on! Czułem, że mi krew gwałtownie napływa do skroni, i opanowało mnie zawrotne, oszalamiające uczucie wyzwolenia. Zeskoczyłem z materaca i objąwszy rękami szyję mego wiernego przyjaciela, ukryłem twarz na jego piersi i wybuchnąłem płaczem, dając folgę znękanemu sercu.

Jak już raz poprzednio, uczułem i teraz po wstaniu z materaca, że moje władze umysłowe znajdują się w stanie zupełnego zamętu i zamieszania. Przez dłuższy czas nie mogłem powiązać z sobą żadnych myśli. Stopniowo jednak powróciła mi zdolność myślenia; uprzytomniłem sobie, gdzie jestem. Na próżno jednak starałem się wytłumaczyć sobie obecność Tygrysa i dałem wreszcie za wygraną, ciesząc się po prostu z obecności drogiego mi przyjaciela, który tu przybył, aby dotrzymać mi towarzystwa i pocieszyć swym łaszeniem się, gdy upadnę na duchu. Wielu ludzi lubi swoje psy, ale moje przywiązanie do Tygrysa było daleko gorętsze i zapewne nigdy żadne stworzenie bardziej na to nie zasługiwało. Przez siedem lat byliśmy nierozłącznymi towarzyszami i w wielu okolicznościach Tygrys dał mi dowody głębokiego przywiązania i innych przymiotów, jakie cenimy w zwierzęciu. Gdy był mały, wydarłem go z rąk złośliwego ulicznika, który uwiązawszy mu powróż na szyi, chciał go wciągnąć do wody. Pies, dorósłszy, spłacił swój dług, ratując mnie w trzy lata później od pałki jakiegoś ulicznego rabusia.

Wziąłem zegarek i przyłożywszy do ucha, stwierdziłem, że znowu stoi; nie zdziwiło mnie to jednak, gdyż z zamętu w głowie wywnioskowałem, że podobnie jak pierwej musiałem spać nadmiernie długo. Jak długo, na to nie mogłem odpowiedzieć. Trawiła mnie okropna gorączka i pragnienie dokuczało mi nie do zniesienia. Zacząłem po omacku szukać dzbanka z resztkami wody, gdyż świeca wypaliła się do ostatka, a nie mogłem na razie znaleźć pudełka z fosforem. Gdy wreszcie znalazłem dzbanek, okazało się, że jest pusty. Tygrys nie zdołał zapewne opanować pragnienia, zwłaszcza że zjadł także resztę baraniny, której kość do

czysta ogryziona leżała u wejścia do paki. Zepsute mięso nie mogło mi się na nic przydać, ale na myśl o wodzie doznawałem skurczu serca. Byłem do tego stopnia osłabiony, że przy najlżejszym ruchu lub wysiłku drżałem na całym ciele jak gdyby w paroksyzmie febry. Na dobitkę bryg chwiał się teraz i kołysał tak gwałtownie, że baryłki na tran umieszczone na mojej pace groziły w każdej chwili upadkiem i zamknięciem jedyne go wyjścia z mej kryjówki. Cierpiałem także okropnie wskutek morskiej choroby i wszystkie te względy skłoniły mnie do natychmiastowej wędrówki ku klapie i szukania ratunku, zanim jeszcze stanę się zupełnie do tego niezdolny. Powziąwszy to postanowienie, zacząłem znów szukać po omacku świec i pudełka z fosforem. Nie bez trudu odszukałem po pewnym czasie fosfor, nie znalazłem jednak świec, zapomniałem bowiem, gdzie je ostatnio położyłem. Zaprzestałem na razie dalszych poszukiwań i nakazawszy Tygrysowi spokojnie leżeć, puściłem się w drogę do wyjścia.

Przy tej próbie ujawniło się jeszcze wyraźniej moje niesłychane osłabienie. Mogłem zaledwie wlec się z ogromną trudnością i bardzo często nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Gdy upadłem na twarz, leżałem nieraz przez kilka minut w stanie bliskim omdlenia. Jednakże powoli posuwałem się naprzód, drżąc na myśl, że gdy stracę przytomność w tym zawikłanym labiryncie, nie mogę się spodziewać niczego oprócz śmierci. Nagle – właśnie zrobiłem z całą energią, do jakiej byłem zdolny, kilka raźniejszych kroków – uderzyłem czołem o ostry brzeg żelazem okutej paki. Ogłuszyło mnie to tylko na kilka chwil, ale gdy przyszedłem do siebie, zauważyłem ku wielkiej rozpacz, że kołysanie okrętu rzuciło mi na drogę skrzynię, zupełnie tamując przejście. Pomimo największych wysiłków nie mogłem ani na cal ruszyć paki z miejsca, gdyż była mocno wciśnięta pomiędzy inne skrzynie i sprzęt okrętowy. Nie pozostawało zatem nic innego, jak zrezygnować ze sznura i szukać innej drogi bądź też przeleźć przez przeszkodę i iść dalej tą samą drogą. Pierwszy sposób przedstawiał zbyt wiele trudności i niebezpieczeństw, abym mógł o nim myśleć bez drżenia. Wyczerpany na duchu i ciele niechybnie bym zabłądził i zginął marnie w ponurym i wstrętnym labiryncie ładowni.

Zebrałem więc wszystkie siły i odwagę, jaka mi pozostała, i zdecydowałem się przeleźć przez pękę.

Gdy się w tym celu podniosłem, spostrzegłem, że mam do spełnienia daleko trudniejsze zadanie, niż to sobie wyobrażałem. Po obu stronach ciasnego przejścia wznosiła się ściana złożona z różnych ciężkich przedmiotów i najmniejsza nieostrożność z mojej strony mogła spowodować upadek tej masy na moją głowę. Gdyby nawet to się nie zdarzyło, mogłem mieć odwrót zavalony górą rupieci i znaleźć się przed nową przeszkodą. Sama paka była bardzo wysoka i masywna, a noga nie znajdowała na niej żadnego oparcia. Na próżno usiłowałem uchwycić się górnego brzegu skrzyni w nadziei, że uda mi się unieść w górę siłą ramion. Gdybym nawet zdołał osiągnąć kant paki, zapewne nie miałbym dość sił, aby się unieść w górę, i ostatecznie lepiej, że mi się to nie udało. Gdy znowu usiłowałem bezskutecznie poruszyć pękę z miejsca, uczułem pod ręką jak gdyby drgnienie deski. Szybko przesunąłem ręką po szczelinach i przekonałem się, że jedna bardzo szeroka deska trzyma się zupełnie luźno. Z pomocą noża, który na szczęście miałem przy sobie, udało mi się po dłuższej pracy zupełnie ją oderwać. Gdy wlałem przez otwór do wnętrza paki, przekonałem się, że po przeciwnej stronie w ogóle nie ma ściany, czyli innymi słowy, że brakowało wierzchu, a ja utorowałem sobie drogę przez dno. Odtąd szedłem już bez większych trudności dalej, dopóki nie natrafiłem na hak. Wyprostowałem się i z bijącym sercem ostrożnie popchnąłem klapę. Nie uniosła się tak łatwo, jak się spodziewałem, więc pchnąłem silniej, ciągle jeszcze w obawie, że w kajucie może być kto inny, nie August. Klapa jednak ku memu zdziwieniu nie drgnęła nawet. Zacząłem się niepokoić, wiedząc, że pierwaj podnosiła się już za lekkim naciśnięciem. Popchnąłem ją mocniej – nie poruszyła się; wytężyłem wszystkie siły – bez rezultatu; biłem w nią z wściekłością, szalełem i rozpaczę, jednak klapa opierała się wszelkim wysiłkom. Widoczne było z tego niewzruszonego oporu, że albo klapa została odkryta i zabita gwoździami, albo też złożono na niej jakiś olbrzymi ciężar, o którego podniesienie nie mogłem się pokusić.



Uczułem najwyższą trwogę i na próżno usiłowałem spokojnie zastanowić się nad przyczyną zamurowania mnie żywcem w tym grobie. Nie mogłem uchwycić logicznego związku między moimi myślami i poddałem się bez oporu ponurym wizjom, w których śmierć z głodu, pragnienia, uduszenia i przedwczesny pogrzeb stały mi w całej swej grozie przed oczyma jako najbliższa przyszłość. Wreszcie jednak odzyskałem nieco przytomności umysłu. Podniosłem się i poszukałem palcami brzegów i szczelin klapy, które skrupulatnie zbadałem, czy nie przepuszczają choć odrobiny światła z kajuty. Nie dostrzegłem ani śladu jasności. Wsunąłem więc ostrze noża do jednej ze szczelin i natrafiłem na coś twardego. Gdy stuknąłem nożem w nieznanego przedmiot, poznałem po dźwięku, że musi to być żelazo, a po falowaniu noża, jakie wyczułem, przesuwając ostrzem wśród szczeliny, domyśliłem się, że mam zapewne do czynienia z ogromnym łańcuchem kotwicznym. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do mojej paki, w której albo ulegnę smutnemu losowi, albo też obmyślę w spokoju jakiś plan ocalenia. Rozpocząłem natychmiast odwrót i po niezliczonych trudnościach dotarłem wreszcie do kryjówki. Zupełnie wyczerpany opadłem na materac, a Tygrys położył się koło mnie, jak gdyby chciał mnie pocieszyć w moim nieszczęściu i dodać odwagi.

Zachowanie jego jednak było tak dziwne, że musiałem wreszcie zwrócić nań uwagę. Polizawszy kilka razy moją twarz i ręce, nagle lizać przestawał i wydawał głuchy skowyt. Gdy dotykałem go ręką, leżał niezmiennie na grzbiecie z łapami wyciągniętymi w górę. Powtórzyło się to kilka razy i to szczególne zachowanie bardzo mnie zdziwiło, ale na próżno usiłowałem je sobie wytłumaczyć. Ponieważ zdawał się cierpieć, sądziłem, że jest zraniony. Zbadałem dokładnie jego łapy, ale nie znalazłem ani śladu skaleczenia. Sądząc, że jest głodny, dałem mu kawałek szynki, którą wprawdzie łakomie pożarł, ale potem znów rozpoczął swe osobliwe manewry. Pomyślałem wtedy, że cierpi zapewne jak i ja męki pragnienia, i już miałem pozostać przy tym wniosku, jako najprawdopodobniejszym, gdy nagle przypomniałem sobie, że przecież zbadałem mu tylko łapy, i że Tygrys mógł mieć ranę w jakimkolwiek

innym miejscu na korpusie lub głowie. Obmacałem mu głowę bardzo starannie, ale nie znalazłem najmniejszego zadrażnienia. Przesuwając jednak ręką wzdłuż grzbietu, uczułem, że w pewnym miejscu włos nastroszony jest lekko. Zbadałem bliżej to miejsce i odkryłem sznur, którym zwierzę było opasane. Przy dokładniejszym poszukiwaniu natrafiłem na mały rulonik. Sznurek przeciągnięty był w ten sposób, że rulonik znajdował się pod lewą łopatką zwierzęcia.

### Rozdział III

Zaraz mi przyszło na myśl, że to list od Augusta, który wskutek nieprzewidzianego wypadku nie mógł wyzwolić mnie z tego więzienia i obmyślił tego rodzaju sposób powiadomienia mnie o prawdziwym stanie rzeczy. Drżąc z niecierpliwości, zacząłem nerwowo szukać zapalek i świec. Miałem niejasne wspomnienie, że je gdzieś starannie przed zaśnięciem odłożyłem. Być może przed ostatnią wyprawą do kłapy byłbym jeszcze zdolny je znaleźć, ale teraz na próżno usiłowałem przywołać w pamięci miejsce ich ukrycia i spędziłem całą godzinę na bezużytecznym i do najwyższego stopnia denerwującym szukaniu tych przeklętych przedmiotów. Nigdy zapewne żaden człowiek nie przechodził tak okropnych mąk trwogi i niepewności. Nagle, gdy tak wokoło siebie macając, wychyliłem głowę poza obręb paki, dostrzegłem jakby słaby błysk światła. Niezmiernie zdumiony usiłowałem do niego dotrzeć, gdyż zdawało mi się tylko o kilka stóp odległe. Zaledwie jednak posunąłem się o krok, straciłem to światło zupełnie z oczu i dopiero powróciwszy do paki i stanąwszy w pierwotnej pozycji, ujrzałem je znowu. Poruszając głowę w tę i ową stronę, domyśliłem się, że dojdę do światła, nie tracąc go z oczu, jeśli popełnę w kierunku przeciwnym do pierwszej obranego. Tak też i zrobiłem. Przebywszy z niesłychanym trudem niezliczone ciasne zakręty, przekonałem się, że światło pochodzi z resztek moich własnych fosforowych zapalek rozsypanych w przewróconej na bok próżnej beczce. Dziwiłem się, skąd się tam znalazły, gdy nagle natrafiłem ręką na kilka szczątków świecy, najwidoczniej pożutej przez psa. Wywnioskowałem, że

Tygrys pożarł cały zapas mych łożówek, i natychmiast zwątpiłem zupełnie w możliwość odczytania listu Augusta. Kawałki świec były tak pomieszane z różnymi śmieciami w beczce, że nie mogły mi się już przydać, zostawiłem je więc tam, gdzie były. Parę jednak okruszyn fosforu zebrałem starannie i zaniósłem do paki, gdzie spokojnie czekał na mnie Tygrys.

Doprawdy nie wiedziałem, co robić. Ładownia była pogrążona w tak głębokich ciemnościach, że nie widziałem własnej ręki, choćbym ją nie wiem jak zbliżył do twarzy. Zaledwie dostrzegałem biały pasek papieru i to nie patrząc nań wprost, lecz spoglądając z ukosa. Można sobie zatem wyobrazić, jak ciemno było w moim zamknięciu, a list przyjaciela, jeżeli w ogóle to był list, powiększał tylko mój niepokój, dręcząc i tak już udręczony i osłabiony umysł. Na próżno wymyślałem coraz niedorzeczniejsze sposoby uzyskania światła – sposoby, na które by mógł wpaść chyba tylko człowiek pozostający w niespokojnym śnie po zażyciu opium. Rozwazałem je wszystkie po kolei. Wydawały mi się to najgłupsze, to znów najmądrzejsze pod słońcem, zależnie od tego, czy w mym udręczonym umyśle brał górę rozum, czy też chorobliwa fantazja. Wreszcie jednak przysłała mi do głowy myśl zupełnie rozsądna i dziwiąc się, że wcześniej na nią nie wpadł, zabrałem się do wykonania planu. Położyłem papier na grzbiecie jednej z książek i rozsypałem na nim okruchy fosforu. Szybko i silnie potarłem dłonią całą powierzchnię listu. Jasne światło rozlało się natychmiast po kartce i gdyby było na niej cokolwiek napisane, pewny jestem, że odczytałbym litery bez żadnych trudności. Ale na kartce nie było ani sylaby, nic, tylko smutna, rozpaczliwa pustka. Po kilku chwilach światło znikło i czułem, jak serce ścisza mi skurcz konania.

Mówiłem już nieraz o tym, że mój umysł znajdował się przez cały czas w stanie granicznym z obłędem. Były co prawda chwile, w których odzyskiwałem w całej pełni nie tylko władze umysłowe, ale nawet energię, chwile te jednak były rzadkie. Należy zrozumieć, że od wielu dni oddychałem zatrutą atmosferą ciasnej ładowni wielorybniczego statku i przez większą część tego czasu byłem niedostatecznie zaopatrzonej w

wodę. W ciągu ostatnich czternastu lub piętnastu godzin nie miałem jej już wcale i przez tyleż godzin nie spałem. Ostro solone mięso było moim głównym, a od utraty baraniny jedynym pożywieniem, nie mówiąc o sucharach okrętowych, zbyt twardych i suchych dla mego opuchłego i wyschłego gardła. Miałem teraz wysoką gorączkę i czułem się zupełnie chory. To mnie usprawiedliwia, dlaczego spędziłem wiele długich godzin w rozpacz i przygnębieniu, zanim wpadłem na myśl, że przecież zbadałem tylko jedną stronę papieru. Nie będę opisywał uczucia wściekłości (gniew przeważał w owym czasie nad wszelkimi innymi uczuciami), jakie mnie opanowało, gdy sobie przypomniałem moją okropną omyłkę. Pomyłka sama przez się byłaby nieistotna, gdyby nie moja głupota i niepohamowana irytacja. W pierwszej bowiem chwili, rozczarowany, że nie znalazłem oczekiwanych kilku słów na papierze, z dziecinną złością podarłem go na kawałki i wyrzuciłem nie wiadomo gdzie.

W najcięższej części zadania, gdy chodziło o znalezienie szczątków listu – dopomogła mi zmyślność Tygrysa. Po dłuższym szukaniu znalazłem kawałek kartki i umieściwszy ją Tygrysowi pod nosem, starałem się dać mu do zrozumienia, że należy przynieść resztę. Ku memu zdziwieniu (gdyż nie uczyłem go nigdy zwykłych sztuk, z których słynie jego rasa) natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi, i pociągnawszy kilka razy nosem, szybko przyniósł dość duży kawałek papieru. Trąc nosem o moją rękę, zdawał się oczekiwać uznania za to, czego dokonał. Pogłaskałem go po głowie i pies powrócił do swego zajęcia. Teraz upłynęło kilka minut, zanim powrócił – ale przyniósł i tym razem duży kawałek papieru, który uzupełniał, jak się okazało, list – rozdarłem go bowiem tylko na trzy części. Na szczęście znalazłem bez trudności resztę fosforu, kierując się mdłym blaskiem, jaki wydawały trzy czy cztery ostatnie okruchy. Dotychczasowe niepowodzenia nauczyły mnie rozwagi i dłuższy czas zastanawiałem się nad tym, co mi uczynić wypada. Najprawdopodobniej – myślałem – jest zapisana ta strona, której nie oglądałem. Ale która to strona? Złożenie kawałków nie dawało mi żadnej wskazówki w tym kierunku i pozostawała tylko pewność, że znajdę

wszystkie wyrazy (jeżeli w ogóle było tam cokolwiek) z jednej strony i w niezmienionym porządku. Sprawdzenie tego było rzeczą pierwszorzędnej wagi, gdyż ilość fosforu była absolutnie niewystarczająca na trzecią próbę, gdyby ta, jaką zamierzałem zrobić, nie udała się. Jak poprzednio, położyłem cały papier na książce i siedziałem przez kilka minut, opracowując starannie dalszy plan działania. Wreszcie wpadłem na myśl, że jest przecie niemożliwe, aby strona zapisana nie odznaczała się jakąś bodaj najmniejszą nierównością, którą mógłbym odkryć przy pomocy zmysłu dotyku. Postanowiłem zrobić próbę. Przesunąłem delikatnie palcem po papierze, lecz nie wyczułem nic. Odwróciłem więc papier i ułożywszy go znowu na książce, powtórzyłem zabieg. Ujrzałem słaby, ale dość wyraźny błysk, gdy potarłem palcem o powierzchnię papieru. Jasne było, że błysk ten pochodził z małych cząsteczek fosforu pozostałych po pierwszej próbie. A więc na odwrotnej stronie znajdowało się pismo, o ile w ogóle był to jakiś list. Jeszcze raz odwróciłem kartkę i wziąłem się do dzieła w sposób identyczny z poprzednim. Potarłem fosfor i w jasnym świetle ujrzałem wyraźnie kilka wierszy dużego, jakby czerwonym atramentem skreślonego pisma. Światło, choć dostatecznie wyraźne, trwało jednak krótko. Gdybym nie był tak podniecony, z łatwością odczytałbym te trzy zdania, bo tyle ich naliczyłem. W pośpiechu jednak i zdenerwowaniu chciałem objąć wzrokiem wszystko naraz i zdołałem odczytać zaledwie kilka ostatnich słów, które brzmiały, jak następuje:

„...krwią. Pozostań w ukryciu, jeśli ci życie miłe”.

Gdybym nawet zdążył odczytać wszystko i poznał całą treść ostrzeżenia – gdyby nawet to ostrzeżenie zawierało opis najokropniejszej katastrofy – nie mogłoby to jeszcze wstrząsnąć mną tak strasznie, jak ten niezrozumiały urywek. A wyraz „krew”, tak zawsze brzemienny tajemnicą, cierpieniem i trwogą, jakże okropny wydał mi się teraz! To słowo, oderwane od słów poprzednich, które go uzupełniały i nadawały mu znaczenie, to okropne słowo „krew” opadło lodowatym ciężarem na mą udręczoną duszę.

Jeżeli August radził mi pozostać w ukryciu, uzależniając od tego moje życie, miał ku temu niewątpliwie dostatecznie ważne przyczyny.

Zacząłem snuć tysiące przypuszczeń, ale żadne nie naprowadziło mnie na rozwiązanie zagadki. Gdy powracałem z mej ostatniej wyprawy do klapy, postanowiłem – zanim jeszcze dziwne zachowanie Tygrysa zwróciło moją uwagę – dać załodze jakiś znak życia albo, gdyby mi się to nie udało, utorować sobie drogę przez dolny pokład. Pewność, że jeden z tych dwóch planów musi się udać, dodawała mi odwagi (której bym inaczej nie miał) do zniesienia wszystkich okropności mego położenia. I oto tych kilka słów odebrało mi resztę nadziei; po raz pierwszy uczułem całą swą bezsilność. W ataku rozpaczry rzuciłem się na materac i przeleżałem może całą dobę w stanie zupełnej apatii, przerywanej tylko od czasu do czasu przebłyskami świadomości i rozumu.

Wreszcie powstałem raz jeszcze i zacząłem rozmyślać nad grozą sytuacji. Było możliwe, że wytrwam jeszcze jedną dobę bez wody, ale nie dłużej. Z początku raczyłem się obficie napojami alkoholowymi, w jakie zaopatrzył mnie August, ale one podniecały tylko moją gorączkę, nie zaspokajając pragnienia. Obecnie pozostało jeszcze ćwierć kwarty jakiegoś likieru brzoskwiniowego, który przyprawiał mnie o nudności. Kiełbasy dawno zjadłem, z szynki pozostała tylko skórka, a cały zapas sucharów pożarł Tygrys, zostawiając zaledwie kilka okruchów. Jakby dla dopełnienia mych trosk czułem, że z każdą chwilą wzrasta okropny ból głowy i że towarzyszy mu rodzaj obłądzenia, który dręczył już mnie po pierwszym śnie. Od kilku godzin oddychałem z największą trudnością, a teraz każdy oddech wywoływał bolesny skurcz w piersiach, co mnie bardzo zatrważało. Ale miałem jeszcze jedną przyczynę niepokoju, tak okropną, że wynikająca z niej trwoga kazała mi wreszcie podnieść się z materaca. Przyczyną tą było zachowanie się psa.

Już podczas pierwszej próby rozcierania fosforu dostrzegłem zmianę w jego zachowaniu. Właśnie gdy byłem tym zajęty, oparł nos o moją rękę i zaczął cicho warczeć. W owej chwili jednak byłem zbyt podniecony, aby zwrócić uwagę na tę okoliczność, i wnet o niej zapomniałem, zwłaszcza że wkrótce potem rzuciłem się na materac i popadłem w rodzaj letargu. Po chwili usłyszałem szczególny świst w pobliżu ucha i przekonałem się, że to Tygrys, sapiąc i dysząc w stanie najwyższego podniecenia, spogląda na

mnie świecącymi w ciemności oczyma. Gdy się doń odezwałem, odpowiedział głuchym warczeniem, a potem legł spokojnie. Następnie popadłem znowu w odrętwienie i znowu zostałem w podobny sposób zbudzony. Powtórzyło się to kilka razy i zachowanie się Tygrysa nabawiło mnie wreszcie takiego lęku, że rozbudziłem się zupełnie. Teraz pies leżał tuż obok wejścia do paki, warcząc i kłapiąc zębami, jak gdyby go dręczyły konwulsje. Nie miałem już wątpliwości, że brak wody w połączeniu z trującą atmosferą luku nabawiły go wścieklizny, i nie wiedziałem, co począć. Ze wstrętem odrzucałem myśl zabicia Tygrysa, a jednak zdawało się, że nie ma innego wyjścia. Widziałem jego oczy wpatrzone we mnie z wyrazem śmiertelnej nienawiści i każdej chwili spodziewałem się, że na mnie skoczy. W końcu jednak uczułem, że nie zniosę dłużej tej potwornej sytuacji, i postanowiłem za wszelką cenę wyjść z paki i skończyć z nim, gdyby mnie doprowadził do tej ostateczności. Aby wydostać się z paki, trzeba było przejść wprost przez jego ciało, a on tymczasem, jakby znając mój zamiar, powstał na przednie łapy – odgadłem to po zmianie położenia oczu – i wyszczerzył białe zęby, co dostrzegłem bez trudności. Wziąłem skórkę z szynki i flaszkę likieru i przycisnąłem je do siebie wraz z wielkim nożem pozostawionym mi przez Augusta, po czym owinąwszy się szczelnie płaszczem, ruszyłem ku wyjściu z paki. Ledwie się posunąłem, gdy pies z głośnym skowytym skoczył mi do gardła. Całym ciężarem ciała uderzył mnie w prawe ramię, tak że runąłem gwałtownie na lewe. Rozwścieczone zwierzę przeleciało przeze mnie. Upadłem na kolana i ukryłem głowę w kocach, co uchroniło mnie od drugiego równie wściekłego napadu. Czułem, że pies z całej siły wpija ostre zęby w zwał wełny, którym otoczyłem szyję, lecz na szczęście nie może przegryźć wszystkich warstw. Leżałem więc pod wściekłym zwierzęciem i każdej chwili mogłem się znaleźć zupełnie w jego mocy. Rozpacz dodała mi sił. Gwałtownym ruchem strąciłem go z siebie, po czym uniósłszy koce w górę, rzuciłem je wszystkie na niego i zanim zdołał się z nich wyplątać, wyskoczyłem z paki, zasunąwszy deskę, by nie mógł mnie gonić. W walce tej straciłem jednak skórkę od szynki i całym moim zapasem żywności było obecnie ćwierć kwarty likieru. Gdy to sobie uprzytomniłem, dałem

się ponieść jakiemuś uczuciu przekory, jakiemu czasami ulegają rozpieszczone dzieci, i wypróżniłem flaszkę do ostatniej kropli, po czym rozbiłem ją z wściekłością o podłogę.

Zaledwie przebrzmiał brzęk tłuczonego szkła, gdy usłyszałem swoje imię wymówione przyciszonym głosem gdzieś między pakami. Było to wrażenie tak nieoczekiwane i tak potężne, że na próżno starałem się odpowiedzieć. Utraciłem zupełnie zdolność mówienia. Umierając z obawy, że towarzysz mój, uważając mnie za umarłego, zaprzestanie poszukiwań, stałem u drzwi paki i drżąc konwulsyjnie, usiłowałem wydobyć głos z krtani. Na próżno. Gdyby los tysiąca światów zależał od wymówienia jednej jedynej zgłoski – nie potrafiłbym jej wymówić. Usłyszałem jakiś niewyraźny, słaby odgłos gdzieś przede mną, wśród okrętowych gratów. Wkrótce szmer stał się mniej wyraźny – potem ucichł zupełnie. Nigdy nie zapomnę, czegom wtedy doświadczył. On odchodził! Mój przyjaciel, mój towarzysz, moja jedyna nadzieja – odchodził, opuszczał mnie, odszedł! Chce więc, abym zginął tu marnie, skonał w tym najokropniejszym i najobrzydliwszym więzieniu! Ach, jedno słówko mogło mnie uratować! Jeden krótki dźwięk! I tego jednego dźwięku nie mogłem wydać. Jestem przekonany, że doznałem w owej chwili mąk tysiąc razy gorszych, niżby mogła je zgotować śmierć. Zakręciło mi się w głowie i śmiertelnie osłabiony runąłem na kraniec paki.

Gdy upadłem, wysunął mi się z za pasa nóż i z dźwięcznym łoskotem uderzył o podłogę. Nigdy jeszcze żaden dźwięk nie zabrzmiał tak rozkosznie niby czarodziejska muzyka w moim uchu! Z bijącym sercem nasłuchiwałem, chcąc się przekonać, czy łoskot doszedł uszu Augusta, wiedziałem bowiem, że osobą, która wymówiła moje imię, nie mógł być nikt inny jak tylko on. Chwilę było cicho. Potem znowu usłyszałem wyraz „Artur”, kilkakrotnie powtórzony cichym, wahającym się głosem. Budząca się nadzieja rozwiązała mi język i wrzasnąłem, jak tylko mogłem najgłośniej: – Auguście, ach, Auguście! – Pst! Cicho! Milcz, na miłość boską! – odpowiedział głosem drżącym ze wzruszenia. – Zaraz przyjdę do ciebie, niech tylko utworzę sobie drogę poprzez te graty. – Przez długi czas słyszałem, jak się poruszał wśród stosu skrzyń. Każda



chwila wydawała mi się wiekiem. Wreszcie uczułem jego rękę na ramieniu, a równocześnie przysunął mi butelkę wody do ust. Ten tylko, kto nagle został wydarty z objęć śmierci albo znosił męki pragnienia wśród okoliczności tak przerażających jak te, w których ja się znajdowałem, może sobie wyobrazić nieopisaną rozkosz, jaką mi sprawił długi łyk tego najcudowniejszego, najbardziej błogosławionego na świecie płynu.

Gdy już w pewnym stopniu zaspokoilem pragnienie, August wydobył z kieszeni kilka zimnych ugotowanych kartofli, które pochłonałem ze zwierzęcą chciwością. Przyniósł też z sobą ślepą latarnię, a jej światło sprawiło mi nie mniejszą radość niż woda i pożywienie. Lecz z największą niecierpliwością oczekiwałem wyjaśnień dotyczących jego długiej nieobecności. Zaczął więc na moją prośbę opowiadać, co zaszło na okręcie podczas mego pobytu w zamknięciu.

#### Rozdział IV

Bryg wyruszył – jak mi się słusznie wydało – w godzinę po zostawieniu mi przez Augusta zegarka. Było to dwudziestego czerwca. Jak sobie czytelnik przypomina, znajdowałem się wtedy od trzech dni w zamknięciu i przez ten czas panował na statku, a zwłaszcza w kabinach oficerskich, tak ożywiony ruch, że August nie mógł przyjść do mnie z obawy, aby nie zdradzić tajemnicy naszej kłapy. Gdy po tym czasie nareszcie przyszedł, zapewniałem go, że się czuję zupełnie dobrze, i dlatego w ciągu następnych dwu dni mało się o mnie troszczył, ciągle jednak wypatrując sposobności odwiedzenia mnie. Znalazł ją wreszcie czwartego dnia. W przeciągu tego czasu kilka razy próbował wyznać wszystko ojcu i wezwać mnie na górę, ale znajdowaliśmy się jeszcze ciągle w pobliżu Nantucket, a z kilku słów kapitana Barnarda wywnioskował, że ten powróci natychmiast, gdy się dowie o mojej obecności na statku. Zresztą po rozpatrzeniu całej sytuacji nie przypuszczał, aby mi mogło czego brakować, albo żebym w razie potrzeby nie dał znać o sobie przez klapę. Tak więc rozważywszy wszystko, postanowił na razie zostawić

mnie własnej przemyślności, a zejść do mnie dopiero wtedy, gdy się nadarzy ku temu sposobność. Nastąpiło to na czwarty dzień od przyniesienia zegarka, a na siódmy od mego zamieszkania w ładowni. Zszedł więc, nie biorąc z sobą wody ani prowiantu, miał bowiem zamiar przywołać mnie do kłapy i tam podać z kabiny wszystko, czego bym potrzebował. Zbliżywszy się do mojej kryjówki, stwierdził, że śpię, gdyż – jak mi opowiadał – chrapałem bardzo głośno. Było to prawdopodobnie owo nieszczęsne odrętwienie, w które popadłem, wróciwszy z zegarkiem – sen, który musiał trwać więcej niż trzy dni i trzy noce. Później z własnego doświadczenia oraz opowiadań innych wiedziałem już, jak potężne własności usypiające ma zapach starego tranu, jeśli się przebywa w zamknięciu. Gdy pomyślę o tym, jak długo pozostawałem w ładowni i jak wiele lat ładownia ta służyła do przewożenia tranu, dziwię się raczej temu, że się w ogóle obudziłem, niż temu, że spałem tak długo.

August zawołał mnie naprzód po cichu, a gdy nie odpowiedziałem, odsunął klapę i odezwał się głośniejsz, a potem bardzo głośno. Mimo to nie przestałem chrapać. Nie wiedział, co robić. Obawiał się też, że ojciec zauważy jego nieobecność, gdyż wzywał syna co chwila, aby ten doprowadzał do porządku i przepisywał papiery okrętowe. Po krótkim namyśle postanowił zatem wrócić i czekać następnej sposobności odwiedzenia mnie. Skłoniła go do tego jeszcze druga okoliczność, a mianowicie mój sen wydawał mu się bardzo głęboki i spokojny, August zaś nie sądził, abym doznawał jakichś niewygód w mojej kryjówce. Namyślał się właśnie nad tym wszystkim, gdy uwagę jego zwrócił jakiś hałas dochodzący z kabin. Skoczył, jak tylko mógł najprędzej, ku kłapie i zamknąwszy ją, postąpił ku drzwiom. Zaledwie jednak postawił nogę na progu, wystrzelono mu z pistoletu tuż koło twarzy, a jednocześnie uderzeniem drąga powalono na ziemię.

Silna ręka przykuła go do podłogi i ścisnęła za gardło. Mimo to mógł widzieć, co się dzieje dokoła. Jego ojciec, uwiązany za ręce i nogi, wisiał głową na dół na schodni, a z głębokiej rany w czole tryskała mu strumieniem krew. Nie odzywał się ani słowem i robił wrażenie umierającego. Nad nim pochylał się pierwszy oficer, patrząc mu w twarz z

wyrazem diabelskiego szyderstwa i przeszukiwał starannie kieszenie, z których wyciągnął gruby pugilares i zegarek. Siedmiu z załogi (między nimi Murzyn kucharz) rozbiegło się w poszukiwaniu broni po kabinach oficerskich na bakburcie i wkrótce wszyscy byli zaopatrzeni w muszkiety i amunicję. Prócz Augusta i kapitana Barnarda było ogółem dziewięciu ludzi w kabinie – najgorszych i najniebezpieczniejszych łotrów z całej załogi brygu. Bandyci wyszli teraz na pokład, prowadząc za sobą mego przyjaciela ze związanymi na plecach rękoma. Poszli wprost do przedniego luku, który jednak zastali zamknięty. Dwóch buntowników stało przy nim z toporami, dwóch obok głównego wjazdu. Pierwszy porucznik zawołał głośno: – Słyszycie, wy tam na dole? Dalej na górę! Jeden po drugim, prędko i bez gadania! – Upłynęło kilka minut, zanim ktoś ośmielił się ukazać. Wreszcie wyszedł młodszy marynarz, Anglik, i płacząc żałośnie, błagał porucznika o darowanie życia. Jedyną odpowiedzią był silny cios toporem w czoło. Biedny człowiek runął na pokład, nie wydawszy jęku, a czarny kucharz wziął go jak dziecko na ręce i spokojnie wrzucił w morze. Pozostali pod pokładem, usłyszawszy uderzenie i stuk padającego ciała, nie dali się poruszyć teraz ani przez groźby, ani przez obietnice. Wreszcie ktoś zaproponował wykurzenie ich dymem. Wtedy ukryci rzucili się nagle do ataku i przez chwilę zdawało się, że bryg będzie odzyskany. W końcu jednak udało się buntownikom zamknąć szczelnie wjazd do luku, zanim więcej niż sześciu przeciwników zdołało wydostać się na pokład. Tych sześciu, liczebnie słabszych, a przy tym pozbawionych broni, poddało się po krótkiej walce. Porucznik uczynił im piękne obietnice, w tym celu zapewne, aby zachęcić i pozostałych do poddania się, gdyż w luku słychać było wszystko, co się mówiło na pokładzie. Skutek dowiódł zarówno jego przenikliwości, jak i szatańskiej złośliwości. Wszyscy uwięzieni w luku wyrazili gotowość natychmiastowego poddania się. W miarę jak wychodzili, chwymano ich jednego po drugim i związanym rzucono na ziemię obok sześciu poprzednich. W ten sposób unieszkodliwiono dwudziestu siedmiu ludzi załogi nienależących do buntu.

Teraz nastąpiła okropna rzeź. Powiązanych majtków wleczono do parapetu. Stał tam czarny kucharz i z zimną krwią kolejno uderzał każdą ofiarę toporem w głowę. W ten sposób zamordowano dwudziestu dwóch i August, uważając się za straconego, czekał z trwogą na swoją kolej. Ale zdaje się, że bandyci byli zbyt zmęczeni czy też obrzydła im krwawa robota, gdyż czterech ostatnich więźniów wraz z Augustem pominięto. Byli na razie ocaleni. Porucznik posłał na dół po rum i banda morderców rozpoczęła pijacką orgię, racząc się alkoholem do zachodu słońca. Teraz zaczęli się sprzeczać o los czterech pozostałych przy życiu, którzy, leżąc o kilka stóp od nich, nie stracili ani słowa z tej okropnej dyskusji. Na niektórych alkohol zdawał się wywierać wpływ łagodzący, gdyż podniosły się głosy żądające uwolnienia więźniów pod warunkiem, że się przyłączą do buntu w zamian za udział w zyskach. Jednakże kucharz, który pod każdym względem był wcieleniem diabła, a miał wpływ równy, jeżeli nie większy niż porucznik, nie chciał nawet słuchać podobnych propozycji i raz po raz powstawał, aby podjąć swą katowską robotę przy parapecie. Na szczęście jednak był tak pijany, że kilku mniej krwiożerczym z bandy udało się bez trudu go powstrzymać. Znajdował się między nimi niejaki Dirk Peters, syn Indianki z plemienia Upsaroka, które żyje w okolicach fortu Black Hills u źródeł Missouri. Jego ojciec, o ile wiem, był handlarzem futrami, a w każdym razie miał coś wspólnego z placówkami handlowymi nad rzeką Lewis. Peters odznaczał się najdzikszą powierzchownością, jaką kiedykolwiek widziałem. Był niski, nie wyższy nad cztery stopy i osiem cali wzrostu, ale atletycznie zbudowany... W Nantucket między ludźmi morza krążyło mnóstwo anegdot o tej niezwyklej istocie. Anegdoty mówiły o jego potwornej sile, gdy się rozgniewał, a niektóre podawały w wątpliwość jego rozum. Buntownicy na „Grampusie” raczej kpili z niego, niż go szanowali. Jeżeli opisałem go tak wyczerpująco, to dlatego, że człowiekowi temu, mimo jego pozornej dzikości, August zawdzięczał w głównej mierze swe ocalenie. Będę też o nim często wspominał w moim opowiadaniu – opowiadaniu, które, powiedzmy otwarcie, w dalszej swej części będzie zawierało wydarzenia natury tak dalece przekraczającej granice ludzkiego zrozumienia, że nie

mam nadziei, by znalazły wiarę u ludzi. Ufam jednak, że czas i postęp wiedzy potwierdzą najważniejsze i najbardziej nieprawdopodobne z moich twierdzeń.

Po dłuższym wahaniu buntownicy postanowili wreszcie puścić na morze wszystkich więźniów (z wyjątkiem Augusta, którego Peters uparł się zatrzymać dla swego użytku w charakterze pisarza) w najmniejszej z łódek wielorybicznych. Porucznik zszedł do kajuty zobaczyć, czy kapitan Barnard jeszcze żyje, gdyż – jak to sobie łatwo przypomnieć – buntownicy, wychodząc na pokład, zostawili go na dole. Wkrótce ukazali się obaj. Kapitan był blady jak śmierć, ale przyszedł już trochę do siebie po osłabieniu wskutek zadanej rany. Ledwie dosłyszalnym głosem przemówił do ludzi, błagając, aby go nie zostawiali samego na morzu. Zachęcał ich do powrotu na drogę obowiązku, obiecując wysadzić, gdzie tylko zechcą, i nie czynić żadnych kroków w celu oddania ich w ręce sprawiedliwości. Równie dobrze mógł mówić do wiatru. Dwóch okrutników chwyciło go i wrzuciło przez burtę do łodzi, którą spuszczone, gdy porucznik bawił w kabinie. Resztę więźniów uwolniono z pęt, po czym otrzymali rozkaz zejścia do łodzi, co uczynili bez szemrania. August, który nadal był skrupowany, na próżno się miotał i błagał o smutną pociechę pożegnania się z ojcem. Podano nieszczęśliwcom garść sucharów i dzban wody, ale pozostawiono ich bez masztu, żagli, wiosł i kompasu. Potem wleczono łódkę na holu przez kilka minut, póki buntownicy się jeszcze raz nie naradzili, i wreszcie puszczone ją samopas. Tymczasem zapadła noc. Nie było widać gwiazd ani księżyca, na morzu powstały krótkie i silne fale, choć wiatr nie był zbyt silny. Łódź zniknęła w okamgnieniu i nieszczęśliwi mogli mieć tylko bardzo nikłą nadzieję ocalenia. Wszystko to wydarzyło się na 35°30' szerokości północnej i 61°20' długości zachodniej, to znaczy w niewielkiej odległości od Bermudów. August pocieszał się myślą, że łódka może dojść do lądu albo przynajmniej zbliżyć się doń na tyle, aby spotkać któryś ze statków przybrzeżnych.

Rozwinięto wszystkie żagle i bryg wziął z powrotem swój dawny kurs na południowy zachód. Buntownicy planowali, jak się zdaje, napad

piracki i, o ile August mógł zrozumieć, chodziło im o zatrzymanie jakiegoś okrętu płynącego z Wysp Zielonego Przylądka do Porto Rico. Na Augusta nie zwracano uwagi. Rozwiązano mu ręce i pozostawiono swobodę ruchów aż do schodni prowadzącej do kabin. Dirk Peters odnosił się do niego z pewnego rodzaju życzliwością i raz nawet obronił go przed brutalnością kucharza. Jego położenie było jednak jeszcze ciągle bardzo niebezpieczne, gdyż ludzie stale byli pijani i nie można było przewidzieć, czy ich dotychczasowy stosunek do niego utrzyma się, czy też za chwilę ulegnie całkowitej zmianie. Najbardziej jednak – jak mnie zapewniał – dręczył go niepokój o mnie. Nie miałem doprawdy przyczyny wątpić w szczerść jego słów. Nieraz postanawiał zawiadomić zbuntowanych o mojej obecności na okręcie, zawsze jednak powstrzymywała go bądź to pamięć okropności, których był świadkiem, bądź też nadzieja, że będzie mógł przyjść mi z pomocą. Bezustannie wypatrywał sposobności po temu, ale niestety mimo najczujniejszej uwagi nie znalazł żadnej, choć upłynęły już trzy dni od spuszczenia łódki na morze. Na koniec trzeciego dnia powiał nagle mocny szkwał ze wschodu i wszyscy ludzie zostali zwołani do zwijania żagli. Dzięki zamieszaniu, jakie nastąpiło, mógł niepostrzeżenie zejść na dół i wśliznąć się do swojej kajuty. Jak wielkie było jednak jego zmartwienie i przerażenie, gdy zobaczył, że kabinę zamieniono na skład najróżnorodniejszych rupieci okrętowych i że kawał starego łańcucha, leżący poprzednio pod schodnią, został umieszczony właśnie na klapie! Usunąć go bez zwrócenia uwagi było niepodobieństwem i August powrócił, jak tylko mógł najprędzej, na pokład. W chwili gdy wszedł na górę, chwycił go porucznik za gardło, pytając, co robi w kabinie. Miał go właśnie, nie czekając odpowiedzi, wyrzucić za burtę, gdy nadszedł Dirk Peters i jeszcze raz uratował Augustowi życie. Założono mu wtedy kajdany na ręce (było ich kilka par na okręcie) i związano nogi. Następnie zniesiono go do kubryku i rzucono do jednej z dolnych koi tuż przy dziobówce, zapewniając, że nie postawi więcej nogi na pokładzie, chyba że „bryg przestanie być brygiem”. Tak wyraził się kucharz, który go niósł do koi. Trudno powiedzieć, jakie szczególne znaczenie kryło się w tych słowach. Ostatecznie jednak, jak

się wkrótce przekonamy, cała ta sprawa przysłużyła się tylko do mego ocalenia.

## Rozdział V

Po odejściu kucharza August pograżył się na pewien czas w najgłębszej rozpacz, obawiając się, że nie wyjdzie już żywy z tej koi. Postanowił tedy pierwszego człowieka, którego zobaczy, zawiadomić o mej obecności, gdyż sądził, że lepiej jest próbować mego ocalenia z pomocą buntowników, niż dać mi zginąć z pragnienia na dnie okrętu. Upłynęło bowiem dziesięć dni, odkąd wszedłem do paki, a dzban wody pozostawiony mi przez Augusta nie starczał nawet na cztery. Kiedy rozmyślał nad tym, przyszło mu nagle na myśl, że może zdołałby przedostać się do mnie przez główny luk, od którego dzieliła go zaledwie jedna przegroda. W innych okolicznościach zaniechałby może swego zamiaru, zważywszy wszelkie niebezpieczeństwa i trudności przedsięwzięcia, teraz jednak tak mało żywił nadziei utrzymania się przy życiu, że nie miał nic do stracenia i zaczął się zastanawiać nad wykonaniem planu.

Przede wszystkim zajął się kajdankami. Z początku nie mógł znaleźć sposobu zdjęcia ich i sądził, że wszystko na nic, ale po bliższym zbadaniu stwierdził, że może po prostu, ścisnąwszy ręce, wysunąć je z okucia. Tego rodzaju kajdany są raczej nieskuteczne dla młodych osób, które mają elastyczne kości. Następnie rozwiązał nogi i ułożywszy sznur w ten sposób, aby go w razie czyjegoś nadejścia mógł zaraz na powrót zacisnąć – zaczął oglądać przegrodę w miejscu, gdzie przytykała do koi. Przegroda była wykonana z miękkich desek sosnowych i zrobienie w niej otworu nie przedstawiało większych trudności. Podczas tego dał się słyszeć jakiś ruch na schodni i ledwie August zdołał wsunąć prawą rękę w kajdany (lewej nie wyciągał) i zacisnąć sznur dokoła kostek, gdy wszedł Dirk Peters, prowadząc za sobą Tygrysa, który natychmiast wskoczył do koi i położył się obok mego przyjaciela. Psa przyprowadził na pokład August, który znając moje przywiązanie do Tygrysa, myślał, że przyjemnie mi

będzie mieć go ze sobą przez cały czas podróży. Zaraz po moim zamknięciu wziął psa z mego domu, ale przynosząc mi zegarek, zapomniał o tym powiedzieć. Od chwili buntu widział go August po raz pierwszy. Był pewny, że pies zginął, sądząc, że któryś z łotrów należących do bandy porucznika wyrzucił go za burtę. Stało się jednak inaczej. Pies zlaźł do jakiejś dziury pod jedną z łodzi i utkwiał tam, bezskutecznie próbując się wydostać, gdyż nie miał dość miejsca na obrócenie się. Z tej niemiłej sytuacji uwolnił go dopiero Peters i kierując się uczuciem litości i szlachetnością, którą mój przyjaciel umiał ocenić, przyprowadził go z sobą, aby dotrzymywał więźniowi towarzystwa. Równocześnie przyniósł trochę solonego mięsa, kartofli i dzbanek wody, po czym pożegnał się, obiecując następnego dnia przynieść więcej jedzenia.

Gdy odszedł, August uwolnił obie ręce z kajdanów i rozwiązał nogi. Potem zagiął materac i zaczął scyzorykiem (zbóje uważali za zbyt cenne go rewidować) nacinać jedną z desek, możliwie najbliżej dna koi. Wybrał to miejsce dlatego, by w razie czyjegoś nadejścia móc momentalnie zamaskować całą robotę, zasłaniając ją materacem. Ale nikt go przez resztę dnia nie niepokoił. W nocy August całkowicie przeciął deskę. Należy dodać, że nikt z załogi nie sypiał więcej w kubryku na dziobie okrętu. Od wybuchu buntu spędzali cały czas w kapitańskiej kajucie, zapijając się winem kapitana Barnarda i zjadając jego zapasy, a nawigacji poświęcali tylko tyle czasu, ile tego wymagała konieczność. Wszystkie te okoliczności były dla Augusta niezmiernie pomysłówne, gdyż inaczej nie mógłby się do mnie dostać. W takich to warunkach działał z wiarą w wykonanie swego planu. Jednakże zaświtał dzień, nim udało się przepiłować deskę w drugim miejscu, blisko na stopę powyżej pierwszego. W ten sposób powstał otwór, przez który z łatwością można było się prześliznąć. Następnie August dostał się bez trudu do dolnego luku, chociaż w drodze musiał przełazić przez całe góry baryłek z tranem tak wysoko ułożonych, że zaledwie pozwalały precyzyjnie się pod sufitem. Gdy dotarł do luku, zauważył, że Tygrys idzie jego śladem między dwoma szeregami baryłek. Było jednak zbyt późno, aby dojść do mnie, gdyż główna trudność polegała na przedostaniu się przez ładunek dolnej



ładowni. August zdecydował się tedy powrócić i czekać następnej nocy. Tymczasem jednak zaczął otwierać pokrywę wjazdu do ładowni, aby nie tracić na to czasu, gdy przyjdzie następnym razem. Zaledwie jednak podniósł ją trochę w górę, Tygrys skoczył gwałtownie ku otworowi i z cichym skowytem zaczął drapać, jakby chciał zupełnie otworzyć wjazd. Jasne było, że Tygrys czuje moją obecność w ładowni, i August pomyślał, że pies trafiłby do mnie bez wątpienia, gdyby tylko go puścił. Wtedy wpadł na myśl wysłania listu przez Tygrysa, gdyż pilne było ostrzeżenie mnie, abym nie usiłował wydostać się na pokład, a August nie miał pewności, czy uda mu się jeszcze tej nocy do mnie dotrzeć. Przebieg następnych wypadków wykazał w całej pełni, jak szczęśliwa była ta myśl, bo gdybym nie otrzymał żadnej wiadomości, zdecydowałbym się na rozpaczliwy plan zaalarmowania załogi, co w konsekwencji spowodowałoby zapewne pozbawienie nas obu życia.

Gdy August powziął już myśl wysłania listu, zastanowił się nad tym, skąd zdobyć materiały piśmienne. Stara piórkowa wykałaczką do zębów zamieniła się wnet w pióro do pisania. Temperował ją na ślepo, gdyż pod pokładem było ciemno jak w grobie. Papieru dostarczyła pusta kartka oddarta od starego listu – a właściwie brulionu fałszywego listu od pana Rossa: August po pierwszej próbie stwierdził, że charakter pisma nie jest dość wiernie skopiowany, napisał więc drugą epistołę, a pierwszą wsunął na szczęście do kieszeni surduta i znalazł w samą porę. Brakowało teraz tylko atramentu, ale temu zaradził zaraz, zaciąwszy się scyzorykiem w koniec palca. Krew, jak zwykle z ran w tym miejscu zadanych, trysnęła w dostatecznej ilości i August napisał do mnie, najczytelniej jak tylko mógł w takich okolicznościach i w takiej ciemności. Pismo objaśniało mnie w krótkich słowach o buncie i spuszczeniu kapitana Barnarda na morze, kazało oczekiwać w najbliższym czasie pomocy i prowiantu, a kończyło się wreszcie następującym ostrzeżeniem: „Piszę to krwią. Pozostań w ukryciu, jeśli ci życie miłe”.

Uwiązawszy kartkę sznurkiem na szyi psa, puścił go za kłapę, a sam powrócił do luku na dziobie, gdzie nie znalazł śladu niczyich odwiedzin podczas swojej nieobecności. Aby ukryć dziurę w przepierzeniu, wbił

ponad nią swój nóż i zawiesił na nim grubą marynarską kurtkę, którą znalazł w łóżku. Po czym z powrotem związał sobie nogi i nałożył na ręce kajdany.

Zaledwie się z tym uporał, gdy wszedł Dirk Peters, kompletnie zalany, ale w dobrym humorze, niosąc swemu przyjacielowi żywność na cały dzień. Składała się z tuzina ogromnych pieczonych kartofli i dzbanka wody. Usiadł na jakiejś skrzynce obok koi i zaczął otwarcie mówić, co myśli o poruczniku i o wszystkich wypadkach, jakie zaszły na pokładzie. Jego zachowanie było zupełnie nieobliczalne i groteskowe. Przez chwilę nawet August miał porządnego stracha. Wreszcie jednak Dirk zabrał się do odejścia, mrużąc przy tym obietnice, że nazajutrz przyniesie więźniowi lepszy obiad. W ciągu dnia zaszło do niego dwóch harpunników w towarzystwie czarnego kucharza – wszyscy spici do ostatecznych granic. Podobnie jak Peters, wyłuszczali mu przerywanym czkawką głosem wszystkie swoje projekty zupełnie otwarcie i bez żadnych zastrzeżeń. Zdaje się, że zdania były bardzo podzielone i tylko co do jednego punktu zgadzali się, mianowicie w sprawie napadu na płynący z Wysp Zielonego Przylądka okręt, którego pojawienia spodziewano się lada chwila. O ile August mógł zmiarkować, przyczyną buntu była nie tylko chciwość; głównym powodem była osobista nienawiść porucznika do kapitana Barnarda. Teraz, jak się wydawało, banda rozbiła się na dwie partie. Na czele jednej stał porucznik, na czele drugiej – kucharz. Jedna chciała zdobyć pierwszy napotkany statek i wyekwipować go na którejś z wysp Zachodnich Indii na okręt piracki. Drugie jednak, silniejsze stronnictwo, do którego należał Dirk Peters, skłaniało się ku projektowi, by zachować dotychczasowy kurs na południowy Pacyfik, a gdy tam się znajdą, zająć się połowem wielorybów albo też inaczej postąpić, zależnie od tego, jak się ułożą okoliczności. Opowiadania Petersa, który już poprzednio często odwiedzał te strony, miały wielki wpływ na buntowników. W ciągłych marzeniach o dobrobycie i zdobyczach wahali się, który z projektów zaakceptować. W przekonujący sposób przedstawiał im Dirk świat pełen nieznanymi nowościami i rozkoszy, jakie znaleźć można na niezliczonych wyspach Pacyfiku, mówił o pełnym

bezpieczeństwie i swobodzie, jakiej by tam używali, ale najwięcej zachęcał szczególnie pięknym i łagodnym klimatem, obfitością dobrego jedzenia i urodą tamtejszych kobiet. Dotychczas nic jeszcze nie postanowiono, ale barwne opowiadania Metysa silnie działały na wyobraźnię majtków i było bardzo prawdopodobne, że jego projekt zostanie przyjęty.

Po godzinie trzech goście odeszli i przez resztę dnia nikt już nie wchodził do luku. August leżał w zupełnym spokoju aż do nadejścia nocy. Wtedy uwolnił się z kajdan i powroza i przygotował do nowej wyprawy. W jednej z koi znalazł flaszkę i napełnił ją wodą z dzbanka pozostawionego mu przez Petersa, po czym napchał sobie do kieszeni zimnych kartofli. Ku wielkiej swej radości znalazł latarnię z kawałkiem świecy, którą mógł w każdej chwili zapalić, gdyż miał przy sobie pudełko fosforowych zapalek. Gdy noc zapadła, wysliznął się przez otwór, ułożywszy poprzednio koce w ten sposób, aby naśladowały kształt leżącego człowieka. Gdy przelazł, zawiesił kurtkę na powrót, po czym zasłonił otwór deską, którą był wyciął. Był teraz pod dolnym pokładem i odbył tę samą drogę co przedtem, aż do ładowni przeciskając się między baryłkami. Doszedłszy tam, zaświecił świecę i przy jej mdłym świetle poszedł dalej, z największą trudnością znajdując drogę wśród ładunku okrętowego. Już po kilku minutach przeraził go okrutny zaduch, jaki panował na spodzie, i wydało mu się niemożliwe, abym mógł jeszcze żyć w tej zatrutej atmosferze. Zawołał mnie kilka razy po imieniu, a gdy mu nie odpowiedziałem, utwierdził się w swym przypuszczeniu. Bryg kołysał się gwałtownie i fale waliły o jego boki z takim łoskotem, że byłoby bezcelowe nasłuchiwać odgłosów ewentualnego chrapania czy oddychania. Podniósł zatem latarnię, jak tylko mógł najwyżej, abym dostrzegł światło i zrozumiał – jeżeli jeszcze żyję – że pomoc nadchodzi. Gdy jednak nie dawałem żadnego znaku życia, był już zupełnie pewny, że nie żyję, i zawahał się, co robić. Postanowił wreszcie – jeżeli to będzie możliwe – utorować sobie drogę do mojej paki i przekonać się naocznie, czy słuszne były jego obawy. Przez pewien czas posuwał się naprzód w godnym pożałowania przerażeniu, gdy nagle znalazł drogę tak

zatarasowaną, że nie mógł postąpić dalej ani kroku. Wtedy zmożony tylu przeciwnościami rzucił się w rozpacz na bezładną kupę rupieci i rozplakał jak dziecko. W tej samej chwili usłyszał brzęk tłuczonej przeze mnie butelki. Wypadek ten, choć niepozorny, zadecydował o moim życiu. Dowiedziałem się jednak o tym dopiero znacznie później. Jakiś wstyd i wyrzut, że był tak słaby i niezdecydowany, nie pozwolił Augustowi wyznać mi od razu tego, co mi później, wobec naszej ścisłej przyjaźni, już bez obaw opowiedział. Widząc bowiem na swej drodze przeszkody, których zwalczyć nie był w stanie, postanowił wrócić do koi. Nim się go potępi, trzeba wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, jakie go skłoniły do powzięcia tego postanowienia. Noc mijała szybko i gdyby nie wrócił do łóżka przed świtem, spostrzeżono by na pewno jego nieobecność. Świeca się dopalała; byłoby niezmiernie trudno wracać po omacku i w ciemnościach odnaleźć klapę luku. Prócz tego wszystko przemawiało za tym, że już nie żyję, a w takim razie ja bym na jego dojściu do paki nic nie zyskał, a on naraziłby się zupełnie niepotrzebnie na wielkie niebezpieczeństwo. Jedenaście dni i jedenaście nocy poprzestawałem na małej ilości wody, którą mi przyniósł August, i niewątpliwie nie oszczędzałem jej z początku, licząc na rychłe wyjście z kryjówki. Atmosfera ładowni musiała się wydać człowiekowi przybywającemu ze świeżego powietrza wprost zatrutą, o wiele gorszą, niż wydała się mnie, gdym obejmował mą kryjówkę w posiadanie – było to bowiem po kilkumiesięcznym przewietrzeniu okrętowego pudła. Do tego wszystkiego trzeba jeszcze dodać przelew krwi i inne okropności, których mój przyjaciel był świadkiem, jego uwięzienie, niewygody, cudowne ocalenie od śmierci, niepewność i strach, w których jeszcze żył – jednym słowem wszystkie okoliczności składające się na zupełną depresję moralną – a będziemy wtedy patrzyli na jego rzekomy upadek przyjaźni i wierności z uczuciem raczej smutku niż oburzenia.

Choć dźwięk szkła słychać było całkiem wyraźnie, August nie był pewny, czy hałas ten pochodzi ode mnie. Ale sama wątpliwość już była dostatecznym bodźcem do czynu. Wylazł po ładunku aż prawie pod samą górę i wyczekawszy chwili ciszy, zawołał mnie, jak tylko mógł najgłośniejszym,

nie dbając już o to, czy go załoga usłyszy, czy nie. Wiemy już o tym, że ten niespodziewany wypadek wytrącił mnie tak dalece z równowagi, że nie byłem w stanie wydobyć głosu. Wówczas przekonany, że brzęk nie pochodzi ode mnie i że jego obawy były zupełnie słuszne, zszedł z ładunku i postanowił czym prędzej wracać. Przebył już znaczną część drogi, gdy odgłos padającego noża znowu go powstrzymał. Powrócił natychmiast i włazłszy powtórnie na ładunek, znów poczekał, aż się uciszy, i znowu zawołał mnie po imieniu. Wtedy odpowiedziałem. Przekonawszy się, że żyję, August uniesiony radością postanowił przewyciężyć wszystkie trudności i niebezpieczeństwa i dojść do mnie za wszelką cenę. Błądził przez pewien czas między pakami, lecz znalazłszy wreszcie jakieś wolniejsze przejście, trafił w końcu do mojej paki zupełnie wyczerpany wypadkami.

## Rozdział VI

Kiedy znajdowaliśmy się obok paki, August przedstawił mi to wszystko tylko w krótkości, dopiero później dowiedziałem się szczegółów. Mój przyjaciel drżał z obawy, aby nie dostrzeżono jego nieobecności, a ja znowu pragnąłem wyrwać się jak najprędzej z mego ohydneho więzienia. Postanowiliśmy zatem udać się natychmiast do otworu za koją, obok którego miałem na razie pozostać, podczas gdy August uda się na zwiady. Nie mogliśmy jednak zdecydować się na pozostawienie zamkniętego w pace Tygrysa swojemu losowi, a nie mieliśmy pojęcia, jak postąpić inaczej. Zwierzę leżało teraz zupełnie spokojnie, a po przyłożeniu ucha do ścian paki nie słyszeliśmy nawet jego oddechu. Byłem przekonany, że pies nie żyje, i zdecydowałem się otworzyć drzwi. Znalezliśmy go w stanie zupełnego odrętwienia, ale jeszcze żywego. Nie było czasu do stracenia, a ponieważ nie mogłem opuścić zwierzęcia, które dwa razy uratowało mi życie, z niezmiernym trudem pociągnęliśmy je wspólnymi siłami za sobą. August przełaził przeszkody, trzymając olbrzymiego nowofundlandczyka w objęciach, a musiał to robić sam, gdyż ja byłem niezdolny do najmniejszego wysiłku. Dotarliśmy wreszcie do klapy luku. August

przelazł pierwszy, a potem przepchnęliśmy Tygrysa. Wszystko było w porządku i nie zapomnieliśmy podziękować Bogu za cudowne ocalenie. Ułożyliśmy, że ja pozostanę obok otworu, przez który będę mógł z łatwością odbierać potrawy od Augusta i oddychać względnie świeżym powietrzem, a on wejdzie do koi.

Czytelnikom, którzy widzieli okręt dobrze załadowany, dziwne się mogą wydać moje opisy dotyczące ładunku na „Grampusie”. Muszę więc wyjaśnić bez zwłoki, że sposób załadowania statku przez kapitana Barnarda jest dowodem wielkiej jego lekkomyślności. Ojciec Augusta nie był niestety tak starannym ani doświadczoneym żeglarzem, jakby tego wymagała pełna ryzyka służba, jaką pełnił. Ładunek umieszcza się pod pokładem z pewnym systemem i z wielką starannością, zważywszy, że najniebezpieczniejsze wypadki, o których słyszałem, pochodziły nieraz z niedbałego i nieumiejętnego ładowania. Statki żeglugi przybrzeżnej, które ładują i rozładowują fracht w stałym pośpiechu i krzątaniu, szczególnie narażone są na wypadki wynikające z niewłaściwego ustawienia ładunku. Najważniejszą rzeczą jest, aby ładunek czy balast nie mógł się poruszyć z miejsca nawet podczas najgwałtowniejszego kołysania statku. Uwagę zwracać należy nie tylko na ciężar i objętość, ale również i na sam rodzaj ładunku, a także czy okręt będzie załadowany całkowicie, czy częściowo. Przy większości towarów umiejscowienie osiąga się zaklinowaniem. W wypadku przewożenia tytoniu czy mąki wszystko jest zaklinowane i ściśnięte tak mocno, że baryłki ulegają znacznemu spłaszczeniu i potrzeba dłuższego czasu, by odzyskały swój pierwotny kształt. Klinowanie stosowane jest przede wszystkim tam wszędzie, gdzie zależy nam na najlepszym wykorzystaniu miejsca w ładowni, przy pełnym bowiem ładunku takich towarów jak tytoń czy mąka nie ma obawy żadnych przesunięć baryłek, a w każdym razie szkoda z tego nie wyniknie wielka. Znane są natomiast wypadki, gdy klinowanie, czyli nadmierne sprasowanie towarów, przyniosło skutki opłakane z przyczyn zupełnie odmiennych niż na przykład przesunięcie się ładunku na dnie luku. Ładunek bawełny nadmierne sprasowany i zaklinowany w pewnych okolicznościach przyczyniał się, przez rozprężenie w wilgoci, do

zatonienia statku. Nie ma wątpliwości, że taki sam przypadek zdarzyć się może z ładunkiem tytoniu, który zgodnie ze swoimi prawami podlega procesowi fermentacji, gdyby nie przeciwdziałały temu wolne miejsca uzyskane przez okrągłość beczulek.

Przesuwanie się towarów najbardziej grozi wtedy, gdy ładownia jest tylko po części wypełniona, i wtedy należy przedsięwziąć szczególne środki ostrożności, aby zapobiec podobnemu nieszczęściu. Tylko ci, którzy przetrwali sztorm na morzu albo raczej doświadczyli bujania okrętu w nagłej ciszy po sztormie, zdają sobie w pełni sprawę z wielkiej siły nagłych ruchów i straszliwych konsekwencji przesunięć skrzyń na dnie ładowni. Wtedy dopiero staje się oczywista konieczność starannego ustawienia i klinowania mniejszych partii towaru. Okręt, który źle trzyma się na fali, a idzie z bocznym wiatrem, często kładzie się omal na burtę; zdarza się to przeciętnie co piętnaście czy dwadzieścia minut, jednakże nie przynosi większej szkody, jeżeli ładunek jest dobrze umocowany. Jeżeli natomiast zaniedbano ostrożności, przy pierwszym pochyleniu wszystko przewala się na jedną stronę i okręt, nie mogąc odzyskać równowagi, nabiera wody i tonie. Bez przesady można powiedzieć, że w połowie wypadków toną podczas burzy okręty, w których przesunął się ładunek.

Kiedy na pokład bierze się drobnicę, powinna ona być po składnym ułożeniu pokryta równo deskami i zaklinowana następnie aż po belkowanie pokładu stemplami. Przy ładunku zboża lub innych tym podobnych ziaren konieczne są dodatkowe środki ostrożności. Ładownia pełna zboża po samą klapę luku w porcie załadowania okaże się tylko w trzech czwartych pełna w porcie docelowym; chociaż nawet i wtedy, jeśli odbiorca wymierzy ziarno buszel po buszlu, okaże się, że ilość jest większa, niż wykazuje faktura. Dzieje się to w wyniku spuchnięcia ziarna, natomiast pozorne zmniejszenie zaobserwowane w ładowni jest wynikiem osiadania w czasie podróży i znajduje się w ścisłym stosunku do doświadczonej w tym okresie pogody. Jeśli ziarno luźno załadowane na statek jest zabezpieczone deskami i stemplami, wynikną z tego w podróży skutki niesłychanie opłakane dla bezpieczeństwa. Chcąc tego

uniknąć, należy przed wyjściem z portu uczynić wszystko, aby ładunek osiadł. Do tego celu służy wiele urządzeń, między innymi kliny drewniane, które wbija się w zboże. Nawet po tych wszystkich staraniach i założeniu z niezmierną uwagą stempli żaden marynarz nie wie, co przydarzyć się może podczas burzy, gdy wiezie się pod pokładem zboże albo inne sypkie towary. Jednakże są setki statków przybrzeżnej żeglugi oraz setki okrętów w portach Europy, które codziennie wyruszają w drogę z drobnicą najniebezpieczniejszego gatunku i nie troszczą się o przedsięwzięcie żadnych środków ostrożności. Godny zastanowienia jest fakt, że w tej sytuacji nie zdarza się więcej wypadków. Tragiczne skutki podobnej bezmyślności znane mi są z wypadku kapitana Joela Rice'a ze szkunera „Świetlik”, który wypłynął z portu Richmond w Wirginii, kierując się na Maderę z ładunkiem zboża w roku 1825. Kapitan odbył wiele podróży bez poważniejszego wypadku, chociaż znana była jego lekkomyślność wobec frachtu i zwyczaj zabezpieczania go w najbardziej powierzchowny sposób. Nigdy dotychczas nie wiozł on zboża. Zostało ono wrzucone do ładowni i nie zajmowało więcej niż połowy przestrzeni. Przez pierwszą część podróży okrętowi towarzyszyła jedynie burza, ale na odległość jednego dnia żeglugi od Madery zerwała się silna wichura z północnego wschodu, która zmusiła kapitana do położenia statku w dryf. Szkuner, tylko pod podwójnie zrefowanym fokiem, trzymał się dobrze na fali i nie czerpał ani kropli wody. Przed nocą wichura trochę ucichła, morze tylko kołysało bardziej niż poprzednio, ale szkuner spisywał się świetnie, póki nagle fala nie rzuciła go na sterburtę. Usłyszano przesypywanie się ziarna, gdyż siła uderzenia wyrwała przegrodę w połowie ładowni. Szkuner zatonął w mgnieniu oka. W pobliżu znalazł się mały żaglowiec z Madery, który wyłowił jednego majtka (tylko jeden ocalał) i sam przeżył wicherę pomyślnie, co uczyniłby i szkuner pod lepszym kapitanem.

Ładunek na „Grampusie” umieszczony został w sposób niezmiernie nieudolny, jeżeli w ogóle można nazwać ładunkiem ten chaotyczny stos baryłek na tran i ekwipunku okrętowego. Mówiłem już o stanie ładowni. Na dolnym pokładzie baryłki były tak ułożone, że pozostawało między



nimi a górnym pokładem dosyć miejsca, aby człowiek mógł się precyzyjnie przemieszczać. Dużą wolną przestrzeń pozostawiono wokół luku głównego i w dziobówce. Obok otworu zrobionego przez Augusta można było postawić beczkę i to miejsce wydało mi się na razie zupełnie wygodne.

Dzień już świtał, gdy mój przyjaciel założył więzy i wszedł do koi. Był już zresztą najwyższy czas, gdyż ledwie to wszystko załatwiliśmy, wszedł Dirk Peters w towarzystwie porucznika i kucharza, wszyscy na mocno chwiejących się nogach. Mówili przez pewien czas o oczekiwanym okręcie z Wysp Zielonego Przylądka i zdawali się mocno zaniepokojeni jego nieobecnością. Wreszcie kucharz usiadł na koi Augusta koło wezgłowia. Z mego ukrycia widziałem i słyszałem wszystko doskonale, gdyż nie było już czasu włożyć deski na powrót i dziura była otwarta. Drżałem teraz z obawy, by Murzyn nie oparł się o kurtkę zasłaniającą otwór, gdyż poczułby próżnię, wszystko by się wykryło, a my dwaj zginęlibyśmy niewątpliwie. Mieliśmy jednak znowu szczęście, bo choć kilka razy dotknął kaftana, jednak za mało go poruszył, żeby się nasza tajemnica wykryła. U dołu kurtka była zręcznie przymocowana do przepierzenia, pomimo więc silnego kołysania, otwór nie został odsłonięty. Przez cały ten czas Tygrys leżał pod koją i zdawał się powracać do zdrowia, gdyż widziałem, jak od czasu do czasu otwierał oczy i oddychał głęboko.

Po kilku minutach porucznik i Murzyn odeszli, pozostawiając samego Petersa, który usiadł na miejscu zajętym poprzednio przez kucharza i rozpoczął zupełnie przyjacielską pogawędkę z Augustem. Przekonaliśmy się wtedy, że jego upicie, bardzo widoczne w obecności towarzyszy, było w znacznej części udane, gdyż odpowiadał na pytania mego przyjaciela z największą łatwością. Dowodził, że kapitan Barnard zdołał zapewne się uratować, gdyż w dniu spuszczenia go na morze widziano na horyzoncie co najmniej pięć statków żaglowych. Było widoczne, że chce pocieszyć Augusta, co mnie równie zdziwiło, jak ucieszyło. Zacząłem żywić nadzieję, że może uda nam się z pomocą Petersa zawładnąć na nowo statkiem, i przy pierwszej sposobności podzieliłem się tą myślą z Augustem. Podobnie jak ja uznał rzecz za możliwą, lecz uważał, że trzeba postępować z największą ostrożnością, gdyż Metys kierował się jedynie

kaprysem i trudno było doprawdy osądzić, czy jego umysł jest całkiem w porządku. W godzinę później Peters odszedł i wrócił dopiero w porze obiadowej, niosąc dla Augusta potężny kawał pekielejszu i dużą porcję puddingu. Gdy zostaliśmy sami, wziąłem z radością udział w tej uczcie, nie zadając sobie trudu przełazenia z powrotem przez otwór. Przez resztę dnia nikt już do nas nie schodził, a gdy zapadła noc, wyciągnąłem się rozkosznie w koi Augusta i spałem smacznie do samego świtu, po czym zostałem obudzony przez mego towarzysza, zaniepokojonego jakimś szelestem na pokładzie, i powróciłem jak najspieszniej do mojej kryjówki. Gdy się zupełnie rozjaśniło, ujrzeliśmy, że Tygrys odzyskał zdrowie i nie okazuje żadnych oznak wścieklizny. Pił chciwie wodę podaną mu przez Augusta, a w ciągu dnia powróciły mu zupełnie siły i apetyt. Jego szczególny szal był bez wątpienia spowodowany długim oddychaniem trującą atmosferą i nie miał nic wspólnego z wścieklizną. Nie mogłem się dość nacieszyć, że się uparł zabrać go z paki i ocalił mu w ten sposób życie. Było to trzydziestego czerwca, upłynął trzynasty dzień od wyjazdu z Nantucket.

Drugiego lipca przyszedł do nas porucznik pijany jak bela i w niezwykle dobrym usposobieniu. Zbliżył się do koi Augusta i klepiąc go po ramieniu, zapytał, czy obiecuje dobrze się sprawować, gdy wyjdzie na wolność, i czy przyrzeka nie wchodzić do swej dawnej kajuty. August odpowiedział naturalnie twierdząco, a wtedy opryszek oswobodził go z więzów, zmusiwszy ponadto do wypicia rumu, którego flaszkę wydobyl z kieszeni. Wyszli wtedy razem na pokład i nie widziałem Augusta przez trzy godziny. Po powrocie oznajmił mi, że pozwolono mu spacerować dowolnie aż do głównego masztu, a spać będzie nadal w kubryku. Przyniósł mi zarazem dobry obiad i sporo wody. Bryg jeszcze ciągle poszukiwał okrętu z Wysp Zielonego Przylądka i właśnie spostrzeżono żagiel należący, jak sądzono, do oczekiwanego statku. W ciągu następnych ośmiu dni nie zaszło nic o większym znaczeniu i nie mają one specjalnego związku z ważnymi wydarzeniami mego opowiadania; dlatego podaję je w formie pamiętnika, jako że nie chciałbym ich w ogóle opuścić.

*3 lipca.* August zaopatrzył mnie w trzy koce, z których urządziłem sobie wygodne legowisko w mojej kryjówce. Przez cały dzień nikt nie przychodził na dół poza moim przyjaciele. Tygrys ulokował się na koi i spał mocno, jakby jeszcze nie przyszedł do siebie po chorobie. Pod wieczór zerwał się gwałtowny szkwał, uderzył w bryg, zanim zdążono zwinąć żagle, i omal go nie wywrócił. Jednakże wiatr natychmiast się uspokoił, nie wyrządzając żadnych szkód poza zerwaniem foktopsla. Dirk Peters odnosił się do Augusta przez cały dzień bardzo życzliwie i prowadził z nim długą rozmowę o Oceanie Spokojnym i wyspach południowych, które zwiedził. Mówił, że byłoby lepiej i przyjemniej przedsięwziąć podróż mającą na celu zbadanie tamtych stron, i narzekał, że większość załogi skłania się niestety ku projektom porucznika. August oświadczył, że z przyjemnością wzięłby udział w takiej wyprawie, ponieważ nie może zrobić nic lepszego, i że woli wszystko inne, byle nie życie korsarza.

*4 lipca.* Spostrzeżony okręt okazał się małym brygiem z Liverpoolu i pozwolono mu przejść spokojnie. August spędzał większą część czasu na pokładzie, aby się jak najwięcej dowiedzieć o projektach buntowników. Często wybuchały między nimi gwałtowne kłótnie i w jednej z nich harpunnika nazwiskiem Jim Bonner wyrzucono za burtę. Stronnictwo porucznika zyskało przez to na sile, gdyż Bonner, tak jak i Peters, należał do partii czarnego kucharza.

*5 lipca.* O świcie powiała mocna bryza z zachodu, która w południe wzmogła się do rozmiarów sztormu. Zwinięto wszystkie żagle z wyjątkiem kliwra i foka. Podczas zwijania foktopsla wpadł w morze marynarz Simms, człowiek z bandy kucharza; był kompletnie pijany i utonął, gdyż nikt nie dołożył najmniejszych starań, by go uratować. Teraz na statku było ogółem trzynastu ludzi: Dirk Peters, Seymour – czarny kucharz, Jones, Greely, Hartman Rogers i William Allen, ci wszyscy stanowili jedną bandę. Następnie porucznik, którego nazwiska nigdy się nie dowiedziałem, Absalon Hicks, Wilson, John Hunt i Ryszard Parker reprezentowali partię przeciwną. Prócz wymienionych był jeszcze August i ja.

*6 lipca.* Przez cały dzień trwała burza, a towarzyszył jej gwałtowny wiatr. Prócz tego padał bezustannie deszcz. Bryg nabrał wody i jedna z pomp nie ustawała w pracy. Augusta zmuszono do pracy wraz z innymi. Gdy zapadła noc, przesunął się obok nas jakiś wielki okręt, ale zauważono go dopiero wtedy, gdy się oddalił na odległość głosu. Przypuszczano, że był to właśnie okręt od dawna wyglądany, i porucznik wołał za nim, ale głos rozplynął się w wyciu burzy. Około północy wielki grzywacz uderzył w środek okrętu i zmiotł znaczną część parapetu bakburty, wyrządzając wiele pomniejszych szkód. Potem wiatr się uspokoił, a o wschodzie słońca ucichł zupełnie.

*7 lipca.* Przez cały dzień musieliśmy znosić silną chwiejbę i lekki bryg miotał się okropnie na fali. Z mojej kryjówki słyszałem wyraźnie, jak różne paki obijają się w ładowni. Cierpiałem bardzo wskutek morskiej choroby. Peters miał tego dnia długą rozmowę z Augustem, w której mu opowiedział, że dwaj ludzie z jego partii, Greely i Allen, przeszli na stronę porucznika i oświadczyli się za korsarstwem. Postawił Augustowi kilka pytań, których ten nie rozumiał dobrze. Wieczorem spostrzeżono, że okręt nabiera coraz więcej wody. Trudno było coś na to poradzić, gdyż sfatygowany bryg puszczał wodę w spojeniach. Poświęcono jeden żagiel na uszczelnienie szpar i przeciek począł się zmniejszać.

*8 lipca.* O świcie powiała lekka bryza ze wschodu i porucznik kazał wziąć kurs na wyspy Zachodnich Indii, gdzie chciał zacząć realizować swe pirackie plany. Ani Peters, ani kucharz nie sprzeciwili mu się – przynajmniej August nic o tym nie wiedział. Zarzucono już zupełnie myśl napadu na okręt płynący z Wysp Zielonego Przylądka. Żagiel, który służył za uszczelnienie, wyciągnięto z powrotem. W ciągu dnia minęliśmy dwa małe szkunery.

*9 lipca.* Pogoda piękna. Wszyscy ludzie zajęci naprawą parapetu. Peters miał znowu długą rozmowę z Augustem i tłumaczył się jaśniej niż dotychczas. Oświadczył, że za nic w świecie nie zgodzi się na projekt porucznika, i wspomniał nawet o zamiarze odebrania mu dowództwa okrętu. Zapytał mego przyjaciela, czy może liczyć na jego pomoc w razie potrzeby. August bez wahania odpowiedział twierdząco. Wtedy Peters

powiedział, że musi jeszcze wybadać innych ludzi ze swojej partii, i odszedł. Przez resztę dnia August nie znalazł sposobności porozumienia się z nim.

## Rozdział VII

*10 lipca.* Spotkaliśmy bryg płynący z Rio do Norfolk. Mgła i słaby wiatr wschodni. Dziś zmarł Hartman Rogers. Ósmego dostał nagle silnych kurczów po wypiciu szklanki grogu. Był członkiem bandy kucharza i Peters najwięcej na niego liczył. Dirk podejrzewał, że biedak został otruty przez porucznika, i oświadczył, że musi się mieć na baczności, aby i jego nie spotkał ten los. Tak więc partia Petersa składała się teraz z niego, Jonesa i kucharza; porucznik miał pięciu ludzi. Dirk zwierzył się Jonesowi z projektu odebrania dowództwa porucznikowi, ale gdy myśl ta została przyjęta bardzo chłodno, przestał nalegać i nie wspomniał o niej ani słowem kucharzowi. Ostrożność ta nie okazała się zbyt uczynna, gdyż tego samego dnia kucharz oświadczył, że ma zamiar przejść na stronę pierwszego oficera, co formalnie uczynił. Równocześnie Jones zaczął szukać zwady z Petersem i zagroził wyjawieniem jego planu porucznikowi. Teraz nie było czasu do stracenia i Peters zdecydował się za wszelką cenę opanować statek, byle tylko August użyczył mu pomocy. Mój przyjaciel zapewnił go natychmiast, że może na niego liczyć, a sądząc, że nadeszła odpowiednia po temu sposobność, wyjawiał Dirkowi moją obecność na okręcie. Metys był tym zarówno zdziwiony, jak i zachwycony, zwłaszcza że nie mógł więcej rachować na Jonesa, którego uważał już za członka bandy porucznika. Zeszli natychmiast na dół, August zawołał mnie i zaraz poznaliśmy się z Petersem. Postanowiliśmy przy najbliższej sposobności opanować okręt. Usunęliśmy Jonesa od wszelkich narad nad tym. W razie powodzenia mieliśmy zawinąć do najbliższego portu i oddać się w ręce władz. Peters, który wskutek rozpadnięcia się bandy kucharza zrezygnował już z podróży na wyspy południowe (wyprawa nie mogła się odbyć bez załogi), miał nadzieję, że albo zostanie uniewinniony ze względu na swą niepoczytalność –

przysięgał nam najsolennie, że w dniu wybuchu buntu nie był przy zdrowych zmysłach – albo w razie uznania go za winnego uzyska łaskę za wstawiennictwem Augusta i moim. Nagle naszą naradę przerwało wołanie: „Wszyscy do zwijania żagli!”, więc Peters i August pobiegli na pokład.

Jak zwykle wszyscy ludzie byli kompletnie pijani i zanim żagle zostały zwinięte, gwałtowny szkwał prawie położył bryg na falach. Wprawdzie po chwili statek się wyprostował, ale nabrał wiele wody. Zaledwie doprowadzono wszystko do ładu, gdy kolejny szkwał uderzył w bryg, a po chwili jeszcze jeden, choć nie wyrządził żadnych szkód. Było widoczne, że zbliża się burza, wiatr bowiem w krótkim czasie wzmógł się bardzo i dał z furją z północnego zachodu. Przygotowaliśmy się na spotkanie sztormu i jak zwykle w takich okolicznościach położyliśmy statek w dryf pod jednym tylko fokiem, i to dobrze zrefowanym. Gdy zapadła noc, wiatr przybrał jeszcze na sile, morze było bardzo wzburzone. Peters przyszedł teraz do dziobówki wraz z Augustem i podjęliśmy na nowo nasze rozważania.

Uznaliśmy, że nie ma lepszej sposobności do wykonania naszych planów, bo nikt z przeciwników nie spodziewał się chyba napadu w takich okolicznościach. Ponieważ bryg został położony w dryf, nie zachodziła potrzeba manewrowania żaglami, póki nie nastanie pogoda, a wtedy, jeśli nasz zamiar się uda, będziemy mogli wypuścić jednego lub dwóch ludzi, by nam pomogli doprowadzić statek do portu. Główna trudność polegała na nierówności sił. Nas było trzech, a w kajucie siedziało dziewięciu buntowników. Poza tym cała broń, z wyjątkiem dwóch małych pistoletów i noża marynarskiego, jakie Peters nosił za pasem, była w ich ręku. Pewne okoliczności, jak na przykład to, że topór i bosak zniknęły ze swych zwykłych miejsc, kazały nam się domyślać, że pierwszy oficer powziął już – co do Petersa przynajmniej – podejrzenia i wyczekuje tylko dogodnej chwili, aby się go pozbyć. Było jasne, że jeżeli mamy coś przedsięwziąć, to nie należy zwlekać ani chwili. Trzeba było jednak działać z największą ostrożnością.

Peters miał wejść na pomost i rozpocząć rozmowę z marynarzem na wachcie (był nim Allen), a następnie, wykorzystując pierwszą sposobność, bez hałasu i zamieszania wrzucić go w morze. August i ja mieliśmy potem schwycić pierwszą lepszą broń z pokładu i opanować wspólnymi siłami trap do kajuty, zanim by spróbowano oporu. Sprzeciwiłem się jednak temu projektowi, nie sądząc, aby sprytny przeciwnik dał się tak łatwo podejść. Sam fakt postawienia wachty na pokładzie dowodził, że porucznik ma się na baczności, zwłaszcza że na ogół rzadko, i to tylko na tych statkach handlowych, gdzie surowo przestrzegana jest dyscyplina, wystawia się wachtę na pokładzie, gdy statek leży w dryfie podczas sztormu. Ponieważ zwracam się głównie, jeśli nie wyłącznie, do czytelników, którzy nigdy nie byli na morzu, dobrze będzie, gdy wyjaśnię sytuację statku w pewnych okolicznościach. Położenie statku w dryf albo innymi słowy „ustawienie statku w dryf” jest stosowane w różnym celu i osiągnane rozmaitym sposobem. Przy umiarkowanym wietrze przyświecać może temu chęć całkowitego zatrzymania się, aby poczekać na towarzyszący statek, lub jakiś podobny powód. Jeśli dryfujący okręt jest pod żaglami, wykonuje się ten manewr przez obrócenie części żagli, które odbiorą wiatr i zahamują ruch statku. Ale nas obchodzi położenie statku w dryf podczas sztormu. Robi się to wtedy, gdy dmie od przodu, i to zbyt gwałtownie, by można było płynąć pod żaglami, nie narażając się na wywrócenie statku. Czasami stosuje się to również wtedy, gdy wiatr jest słaby, lecz morze zbyt niespokojne i statek źle trzyma się na fali. Jeżeli statek idzie z wiatrem przy wzburzonym morzu, mogą wyrządzić wielkie szkody zarówno fale przelewające się przez rufę, jak też nagłe skoki okrętu do przodu. Z tego więc widać, że statek kładzie się w dryf tylko wtedy, gdy zachodzi tego specjalna konieczność. Kiedy natomiast statek przecieka, należy tego unikać, i nawet przy wzburzonym morzu lepiej ustawiać go z wiatrem, gdyż przy dryfowaniu szpary z pewnością powiększą się jeszcze bardziej wobec wzmożonego nacisku na kadłub. Natomiast gdy statek płynie z wiatrem, napór fal jest nieco mniejszy. Czasami płynięcie z wiatrem konieczne jest też wtedy, gdy siła wichru jest tak wielka, że drze na strzępy żagiel, którego się używa do

naprowadzania statku na wiatr, albo kiedy wskutek błędów konstrukcji okrętu czy innych przypadków nie można postąpić inaczej.

W czasie sztormu statki kładzie się w dryf różną metodą, zależnie od ich konstrukcji. Niektóre dryfują najlepiej pod fokiem i to jest, jak mi się wydaje, żagiel najczęściej używany. Wielkie okręty mają specjalne żagle do dryfowania, nazywane żaglami sztormowymi. Czasami używa się kliwra, czasami kliwra i foka razem lub tylko podwójnie zrefowanego foka, czasami pożyteczne są apsole. Bardzo często wielką usługę w tym celu oddają foktopsle. Na „Grampusie” wykorzystywano przede wszystkim zrefowany fok.

Kiedy chce się okręt położyć w dryf, dziób ustawia się do wiatru na tyle, aby ledwo wypełnić żagiel ustawiony po przekątnej statku. W takim położeniu oś statku znajduje się o kilka stopni od kierunku, z którego wieje wiatr, i nawietrzna odbiera naturalnie cały napór fal. Dobry okręt tak ustawiony przetrwa bez trudu największą burzę, nie czerpiąc kropli wody i bez potrzeby specjalnych znojów ze strony załogi. Ster zwykle się blokuje, ale to jest niezbyt potrzebne (poza tym, że ster niezablokowany robi dużo hałasu), ster bowiem nie ma żadnego wpływu na okręt, który dryfuje. Lepiej nawet jest czasem ster puścić luzem, niż zablokować bardzo silnie, gdyż potężne fale gotowe są go urwać, jeśli nie będzie swobodnie ustępował pod ich naporem. Tak długo, jak żagle wytrzymają, dobrze zbudowany statek nie popadnie w kłopoty i utrzyma się na każdej fali. Jeśli jednak potęga wiatru podrze żagiel na strzępy (a do tego potrzeba co najmniej huraganu), niebezpieczeństwo zaistnieje bardzo srogie. Okręt traci poparcie wiatru i zdany zostaje na pastwę szarpiących go fal. Jedynym ratunkiem jest ustawić go wówczas z wiatrem i pozwolić płynąć na fali, póki nie uda się wciągnąć jakiegokolwiek innego żagla. Niektóre okręty dryfują na morzu zgoła bez żagli, ale ufności w taką metodę mieć nie można.

Porzucając jednak tę małą dygresję, wracam do naszej sprawy. Nie jest w zwyczaju, by kapitan wystawiał wachtę na pokładzie w czasie dryfowania okrętu podczas sztormu, i fakt, że wachta stała na pokładzie „Grampusy”, w połączeniu z innymi okolicznościami, jak na przykład



zniknięciem topora i bosaka, w pełni nas przekonał, że załoga ma się na baczności przed takim zaskoczeniem, jakie właśnie miał na myśli Peters. Trzeba się było jednak zdecydować na cokolwiek, gdyż raz podejrzanego Petersa buntownicy zabiliby niewątpliwie przy najbliższej sposobności.

August podsunął wtedy myśl, że gdyby się udało pod jakimś pozorem usunąć łańcuchy, które leżą na klapie w jego kabinie, moglibyśmy wypaść z ładowni na niespodziewających się niczego ludzi porucznika. Okręt jednak zbyt się kołysał, aby móc sobie pozwolić na tego rodzaju próby.

Nagle wpadłem na szczęśliwą myśl wykorzystania zabobonów i nieczystego sumienia pierwszego oficera. Jak sobie przypominamy, rano tego dnia umarł Hartman Rogers. Przed dwoma dniami dostał konwulsji po wypiciu pewnej ilości alkoholu i wody. Peters wyraził wobec nas zdanie, że ten człowiek został otruty przez porucznika, i twierdził, że ma na to niezbite dowody, których jednak nie chciał podać mimo naszych nalegań. Należy wspomnieć, że ta niespodziewana odmowa łączyła się z innymi dziwacznymi rysami charakteru Petersa. Czy jednak miał podstawy do podejrzenia oficera, czy nie miał, rzecz mniejszej wagi. Bardzo łatwo przyjęliśmy jego podejrzenia i postanowiliśmy odpowiednio działać.

Rogers umarł koło godziny jedenastej w okropnych konwulsjach i ciało jego w kilka minut po śmierci przedstawiało najokropniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałem. Brzuch był potwornie rozdęty, jak u topielca, który kilka tygodni leżał w wodzie, ręce spuchły niemożliwie, pomarszczona, kredowej białości twarz miała w dwu czy trzech miejscach szkarłatne plamy jak u chorego na różę. Jedna z tych plam przecinała całą twarz, przesłaniając oko jakby czerwoną wstęgą. Okropne ciało wyniesiono z kajuty około południa, aby je wrzucić w morze, gdy nagle porucznik zobaczywszy je (po raz pierwszy po zgonie) i tknięty wyrzutami sumienia albo przerażony tym okropnym widokiem, kazał je zaszyć w płótno i urządzić nieboszczykowi zwykły pogrzeb morski. Wydawszy te polecenia, zszedł na dół, by uniknąć widoku swej ofiary. Podczas przygotowań wybuchła nagle burza i ceremonię odłożono. Trup

samotnie leżący został zmyty do ścieku bakburty, kołysząc się i tłukąc przy każdym poruszeniu okrętu.

Obmyśliwszy plan, wzięliśmy się jak najprędzej do wykonania go. Peters wyszedł na pomost i – jak to przewidział – natknął się na Allena, który stał na wachcie, raczej by zważać na dziobówkę niż na cokolwiek innego. Los tego łotra rozstrzygnął się szybko. Peters bowiem zbliżył się do niego z miną obojętną, jakby chcąc coś powiedzieć, zacisnął mu palce na gardle i zanim napadnięty mógł wydać jeden okrzyk, wyrzucił go za burtę. Wtedy zawołał nas i wyszliśmy natychmiast. Pierwszym zadaniem było zdobyć broń. Postępowaliśmy w tym celu naprzód z ogromną ostrożnością, gdyż trudno było stać na pokładzie, nie trzymając się mocno czegokolwiek. Ogromne fale co chwila przelewały się przez pokład. Trzeba było jednak działać szybko, gdyż spodziewaliśmy się, że lada chwila wyjdzie porucznik i każe uruchomić pompy, było bowiem widoczne, że bryg nabiera wiele wody. Po krótkich poszukiwaniach nie znaleźliśmy niczego oprócz dwóch rączek od pomp. August wziął jedną – ja drugą. Potem, zdjawszy z trupa Rogersa koszulę, wrzuciliśmy go do morza. Peters i ja zeszliliśmy na dół, zostawiając Augusta na straży na pokładzie, w tym samym miejscu, gdzie stał Allen, plecami do trupu kajuty, tak że gdyby wyszedł ktoś z bandy porucznika, myślałby, że wachtowy stoi na posterunku.

Gdy tylko zszedłem na dół, zacząłem się przebierać, aby upodobnić się do trupa Rogersa. Zdjęta z niego koszula bardzo się nam przydała, gdyż miała specyficzny krój i deseń łatwy do zapamiętania. Był to rodzaj trykotu w białe pasy, który nieboszczyk wkładał na wierzch ubrania. Włożywszy ją, wypchałem sobie potworny brzuch na podobieństwo trupa. Osiągnąłem cel z łatwością, używając do tego kołdry. Na ręce włożyłem bawełniane rękawice, wypchawszy je poprzednio wszystkimi gałganami, jakie tylko mogliśmy znaleźć. W końcu Peters ubieł mi twarz kredą, a potem zaciąwszy się w palec, pomazał w stosownych miejscach krwią. Nie zapomniał namalować okropnego pasa przez oko, co nadało mej powierzchowności wygląd zupełnie odrażający.

## Rozdział VIII

Gdy wreszcie przy mętłym świetle sztormowej latarni przyjrzałem się sobie w kawałku lustra wiszącym w służbowej kabinie, ogarnęło mnie na widok strasznej maski uczucie jakiejś nieokreślonej trwogi, tak że zacząłem gwałtownie drżeć i ledwie zdołałem opanować się na tyle, aby móc do końca odegrać swą rolę. Trzeba było działać szybko i stanowczo, więc obaj z Petersem wyszliśmy na pokład.

Wszystko było w porządku i nikt nam nie stał na zawadzie. Zaczęliśmy posuwać się ostrożnie wzdłuż burty i doszliśmy w ten sposób do trapu kajuty. Właz był uchylony i nawet podparto go kawałkami drzewa, aby się nie zamknął. Widzieliśmy całe wnętrze kajuty przez szczeliny koło zawiasów. Wielkie szczęście dla nas, żeśmy nie próbowali napaść ich niespodziewanie, gdyż wszyscy mieli się na baczności. Jeden tylko spał, leżąc tuż koło schodów i trzymając muszkiet obok siebie. Reszta siedziała na materacach wydobytych z koi i rzuconych na podłogę. Prowadzili jakąś poważną rozmowę. Pomimo libacji, o której świadczyły dwa próżne dzbany i kilka rozrzuconych na podłodze kubków, byli mniej pijani niż zwykle. Wszyscy mieli noże, a paru pistolety. Na koi tuż pod ręką leżała cała kupa strzelb.

Przez pewien czas nastawialiśmy ucha, namyślając się, jak postąpić. Dotychczas nie zdecydowaliśmy się na nic konkretnego poza tym, że spróbujemy sparaliżować ich odwagę przez ukazanie im widma Rogersa. Zbóje rozmawiali o swych pirackich planach i usłyszeliśmy, że mają zamiar połączyć się z załogą szkunera „Hornet” i od tej chwili rozpocząć wspólną akcję korsarską na wielką skalę. Szczegółów jednak nie mogliśmy już zrozumieć.

Jeden z ludzi wspomniał coś o Petersie, porucznik odpowiedział na to po cichu, ale nie mogliśmy zrozumieć co. Wkrótce jednak dodał trochę głośniejsze, że „Peters ma wiecznie do czynienia w kubryku ze smarkaczem kapitana i że im prędzej obaj wylecą za burtę, tym lepiej dla sprawy”. Na te słowa nikt nie odpowiedział, ale było widoczne, że wszyscy zgadzają się na ten projekt, a najbardziej ucieszony wydawał się Jones. Byłem w owej

chwili ogromnie wzburzony, gdyż wiedziałem, że August i Peters jeszcze ciągle są niezdecydowani, jak działać. W każdym razie postanowiłem drogo sprzedać swe życie i nie tracić odwagi do końca.

Straszliwy hałas spowodowany wyciem wichru, uderzeniami bałwanów przelewających się przez pokład i trzaskaniem lin pozwalał nam słyszeć rozmowę tylko podczas chwilowego uciszenia się żywiołów. W jednym z takich momentów usłyszeliśmy, jak porucznik mówił do któregoś ze swoich, aby poszedł i kazał tym podłym psom, czyli Petersowi i Augustowi, zejść do kabiny, tu bowiem będzie ich miał na oku, a nie myśli znosić jakichś tajemnic na brygu. Szczęściem dla nas kołysanie okrętu było w tej chwili tak silne, że nie można było natychmiast spełnić rozkazu. Potem kucharz powstał ze swego materaca, aby iść do nas, gdy nagle fala tak wielka, iż myślałem, że nam zniesie maszty, rzuciła go głową o drzwi jednej z kabin oficerskich na bakburcie. Drzwi otworzyły się i powstało wiele zamieszania. Na szczęście żaden z nas nie przewrócił się, mogliśmy więc uciec śpiesznie i obmyślić naprędce jakiś plan działania, zanim ukazał się posłaniec, a raczej zanim wysunął głowę, nie wyszedł on bowiem na pokład. Nie dostrzegając nieobecności Allena, wrzasnął tylko, powtarzając rozkaz oficera. Peters odpowiedział mu zmienionym głosem „dobrze, dobrze!” i kucharz cofnął się natychmiast, nie podejrzewając niczego.

Wtedy obaj moi towarzysze zeszli do kajuty. Peters zamknął drzwi za sobą, tak samo jak pierwej. Porucznik przyjął ich z udaną serdecznością i oświadczył Augustowi, że ponieważ zachowywał się przez cały czas nienagannie, wolno mu zamieszkać w swej dawnej kabynie i uważać się za równego wszystkim. Następnie podał mu pół szklanki rumu i zmusił do wypicia. Widziałem i słyszałem wszystko, gdyż poszedłem za towarzyszami i gdy tylko zamknęły się drzwi, zająłem moje dawne stanowisko. Miałem przy sobie obie rączki do pomp i położyłem je na szczycie trapu, aby w razie potrzeby mieć je pod ręką.

Ustawiłem się teraz możliwie najdogodniej, aby nie tracić z oczu wypadków w kabynie, i starałem się zachować jak najwięcej zimnej krwi i energii, aby spokojnie wejść między łotrów, gdy Peters da mi umówiony

znak. Ten starał się skierować rozmowę na krwawe szczegóły buntu i stopniowo doszedł do opowiadania o tysiącnych zabobonach rozpowszechnionych wśród marynarzy. Nie mogłem wprawdzie wszystkiego słyszeć, ale skutek tej rozmowy był aż nadto widoczny na twarzach buntowników. Najbardziej wzburzony zdawał się porucznik, a gdy ktoś wspomniał o okropnym wyglądzie trupa Rogersa, zdawało się, że nędznik lada chwila zemdleje. Peters zapytał go teraz, czy nie uważa za stosowne wyrzucić trupa za burtę, gdyż zbyt okropnie wygląda, jak się tłucze w ścieku. Wtedy porucznik zaczął z trudem chwytać powietrze, jak gdyby się dusił, po czym powiódł błagalnym wzrokiem po twarzach załogi z niemą prośbą, aby który z nich podjął się tego zadania. Nikt się jednak nie ruszył, było widoczne, że całe towarzystwo doszło do najwyższego stopnia nerwowego podniecenia. Teraz Peters dał mi znak. Otworzyłem natychmiast kłapę i nie mówiąc ani słowa, zszedłem po trapie i stanąłem nagle pośród buntowników.

Straszne wrażenie, jakie moje niespodziane ukazanie się wywarło na zebranych, nie zadziwi nikogo, gdy uwzględnimy wszystkie okoliczności towarzyszące temu zdarzeniu. Zazwyczaj w wypadkach tego rodzaju rodzi się w umyśle widza jakaś wątpliwość co do rzeczywistości zjawy, którą ma przed sobą, zachowuje on choćby najsłabszą nadzieję, że ma do czynienia z mistyfikacją, a nie z postacią przychodzącą naprawdę z zaświatów. Można z całą stanowczością utrzymywać, że podobnym wypadkom towarzyszy prawie zawsze niedowiarstwo, a śmiertelną trwogę, jaką one wywołują, trzeba nawet w wypadkach największego przerażenia przypisać raczej obawie, aby zjawa nie okazała się czymś nadprzyrodzonym, niż rzeczywistemu przekonaniu, że się ma z takim nierealnym zjawiskiem do czynienia. Ale w obecnej chwili nie powstał w umyśle buntowników ani cień podobnej myśli. Samotność brygu i niemożność zbliżenia się do brzegu sprawiły, że zebrani nie mogli powziąć najmniejszego podejrzenia. Od dwudziestu czterech dni byli na morzu, a przez cały ten czas okrzyknięto tylko jeden statek. Cała załoga zresztą – nie domyślając się niczyjej oprócz nich obecności na okręcie – była zebrana w kajucie, z wyjątkiem Allena postawionego na straży; co się

tego tyczy, to zbyt dobrze znali jego olbrzymią postać (miał sześć stóp i sześć cali wzrostu), aby mogli choć przez chwilę przypuszczać, że to on jest tym straszliwym zjawiskiem. Dodajmy do tego ponury nastrój wywołany burzą, temat rozmowy prowadzonej przez Petersa, głębokie wrażenie, jakie ohydny trup wywarł z rana na wyobraźni tych ludzi, doskonałość mego przebrania i niepewne światło, przy którym mnie ujrzeli (jedyna latarnia kabiny, chwiejąca się wraz z okrętem, rzucała tylko drżące i nikłe blaski), a nie zdziwimy się, że skutek naszego podstępu był o wiele silniejszy, niż mogliśmy się nawet spodziewać. Porucznik podskoczył na materacu, na którym leżał, po czym runął bez słowa martwy na podłogę kabiny, a gdy okręt zakołysał się silniej, potoczył się jak kłoda pod ścianę. Z siedmiu pozostałych trzech tylko zachowało odrobinę zimnej krwi. Reszta siedziała jak przykuta do podłogi – najbardziej godne litości ofiary trwogi i rozpacz, jakie oczy moje widziały. Opór spotkał nas jedynie ze strony kucharza, Johna Hunta i Ryszarda Parkera. Dwóch pierwszych zastrzelił natychmiast Peters, a Parkera ja palnąłem rączką od pompy w głowę. Jednocześnie August porwał jeden z muszkietów leżących na podłodze i strzelił do Wilsona. Pozostało już tylko trzech, ale przez ten czas otrząsnęli się już oni ze swego osłupienia i zrozumieli zapewne, że padli ofiarą podstępu, gdyż rzucili się do walki z rezygnacją i wściekłością straceńców i gdyby nie wyjątkowa siła Petersa, mogliby wziąć nad nami górę. Tych trzech to byli Jones, Greely i Absalon Hicks. Jones powalił Augusta na podłogę i zadał mu kilka pchnięć nożem w prawe ramię. Byłby go bez wątpienia prędko zamordował (Peters i ja nie mogliśmy od razu pokonać naszych przeciwników), gdyby nie przyszedł mu z odsieczą przyjaciel, na którego żaden z nas nie liczył. Wybawcą tym był Tygrys. Z głuchym warczeniem wskoczył do kabiny w najkrytyczniejszej dla Augusta chwili i rzuciwszy się na Jonesa, powalił go w jednej chwili na podłogę. Mój przyjaciel był jednak zbyt silnie poraniony, aby nam przyjść z pomocą, a mnie przeszkadzało niezmiernie moje niewygodne przebranie. Pies trzymał ciągle Jonesa za gardło, a Peters był dostatecznie silny, aby dać sobie radę z obu przeciwnikami, i byłby z nimi dawno skończył, gdyby mu nie

przeszkadzała ciasnota kajuty i gwałtowne kołysanie okrętu. Wreszcie udało mu się chwycić ciężki stółek leżący na podłodze i rozbić nim czaszkę Greely'ego właśnie w chwili, gdy ten przykładał strzelbę do ramienia, aby do mnie wypalić. W tej chwili gwałtowne pochylenie okrętu rzuciło go na Hicksa, którego Peters udusił momentalnie jednym uściskiem swych potężnych rąk. W ten sposób w krótszym czasie, niż trwa opowiadanie, staliśmy się panami brygu.

Jedynym z przeciwników, który pozostał przy życiu, był Ryszard Parker. Jak już wspomniałem, na początku walki uderzyłem tego człowieka rączką od pompy w głowę. Leżał teraz nieruchomo pod drzwiami kajuty, ale gdy Peters dotknął go nogą, poruszył się i zaczął prosić o litość. Cios ogłuszył go tylko, miał głowę trochę rozbitą, poza tym nie odniósł żadnego szwanku. Podniósł się i na razie związaliśmy mu ręce do tyłu. Tygrys, warcząc wściekle, ciągle jeszcze trzymał za gardło Jonesa. Przypatrzwszy się uważnie, przekonaliśmy się, że łotr już nie żył, a krew płynęła strumieniem z głębokiej rany, jaką mu zadały ostre kły zwierzęcia.

Była pierwsza godzina nad ranem, a wiatr dał bezustannie z niezmierną gwałtownością. Bryg ucierpiał podczas burzy więcej, niż można się było spodziewać, trzeba było koniecznie coś na to zaradzić. Przy każdym przechyleniu na zawietrzną czerpał wodę, a podczas naszej walki dużo wody dostało się do kajuty, gdyż schodząc, zostawiłem klapy otworem. Cały parapet na bakburcie został zmyty, podobnie jak kambuz wraz z łodzią umocowaną na rufówce. Główny maszt chwiał się i trzeszczał, grożąc w każdej chwili upadkiem. By zyskać więcej miejsca w ładowni rufowej, piętę tego masztu zamocowano między pokładami (karygodne rozwiązanie stosowane niekiedy przez nieudolnych budowniczych statków), tak że zachodziło stałe niebezpieczeństwo, iż maszt zostanie wyrwany z osady. Dla ukoronowania naszych nieszczęść okazało się przy sondowaniu, że kokpit zawiera co najmniej siedem stóp wody.

Pozostawiliśmy więc trupy w kabinie i zabraliśmy się natychmiast do pomp. Parker został naturalnie uwolniony z więzów i użyty do pomocy.

Augustowi założyliśmy bandaże, jak najlepiej umieliśmy, i biedny chłopiec robił, co mógł, to znaczy bardzo niewiele. Przekonaliśmy się jednak, że pracując ciągle jedną pompą, opanujemy napływ wody i nie damy mu się powiększyć. Ponieważ na brygu pozostało nas tylko czterech, była to okropnie ciężka robota, krzepiliśmy się jednak nadzieją nadejścia świtu, aby przez ścięcie głównego masztu ulżyć nieco brygowi.

Tak przebyliśmy noc pełną trwogi i nieludzkiego wyczerpania. Gdy wreszcie nadszedł świt, burza grzmiała dalej z tą samą furią i nie było najmniejszej oznaki zwiastującej jej koniec. Wywlekliśmy wtedy ciała na pokład i wrzuciliśmy w morze. Następnym naszym zadaniem stało się pozbycie masztu. Po koniecznych przygotowaniach Peters zabrał się do rąbania masztu (znaleźliśmy topory), a my staliśmy przy olinowaniu. Gdy bryg przechylił się pod podmuchem wiatru, Peters dał znak do przecięcia lin i cała masa drzewa i takielunku runęła poza burtę, nie wyrządzając żadnych większych szkód. Spostrzegliśmy teraz, że statek mniej cierpi od wiatru, ale położenie nasze było jeszcze ciągle bardzo groźne, ponieważ nawet pracując przy dwóch pompach, nie mogliśmy zmniejszyć przyboru wody. Usługi Augusta były zupełnie nieznaczące. Jakby dla powiększenia naszych strapień olbrzymia fala, uderzając w bryg od nawietrznej, zepchnęła go o kilka rumbów od wiatru i zanim statek odzyskał równowagę, druga fala przewaliła go i rzuciła całkowicie na burtę. Wtedy balast runął całą masą na zawietrzną (co do ładunku, ten od dawna miotał się w różne strony) i przez kilka chwil myśleliśmy, że statek się przewróci. Po chwili jednak wyprostował się trochę, ale ponieważ balast pozostał przy bakburcie, zaprzestaliśmy dalszego pompowania, nie mogąc i tak już nic robić, zwłaszcza że wskutek wyteżonej pracy mieliśmy ręce okropnie poranione i zakrwawione.

Zaczęliśmy wtedy wbrew zdaniu Parkera obalać fokmaszt. Dokonanie tego nie było łatwe z powodu dużego nachylenia brygu. Maszt przewalając się przez burtę, porwał ze sobą bukszpryt i zamienił bryg w kompletną ruinę.

Dotychczas mogliśmy mieć nadzieję na ratunek w szalupie, której dotąd nie uszkodziła żadna z fal przelewających się przez pokład, ale



uciecha nasza nie trwała długo, gdyż po utracie fokmasztu i oczywiście foka, który utrzymywał statek w stałym położeniu, każda fala uderzała teraz wprost na nas i w ciągu pięciu minut mieliśmy pokład od dziobu do rufy ogołcony ze wszystkiego. Morze porwało łódź, zniosło parapet sterburty i rozbiło na kawałki windę kotwiczną. Doprawdy trudno się znaleźć w bardziej opłakanym położeniu.

W południe zdawało się, że burza nieco ucichła, ale doznaliśmy srogiego zawodu, gdyż po chwili spokoju wybuchła z większą jeszcze gwałtownością. O czwartej po południu nie można było ustać na nogach pod uderzeniami wichru, a gdy noc zapadła, nie miałem już ani cienia nadziei, żeby okręt wytrzymał do rana.

O północy bryg zanurzył się w wodzie aż do dolnego pokładu. Wkrótce potem fala wyrwała i uniosła ster, a następnie podrzuciła tak wysoko rufę okrętu, że byliśmy pewni, iż bryg tonie. Mieliśmy dotychczas nadzieję, że ster wytrzyma do końca, był bowiem nadzwyczaj mocny i osadzony w sposób, jakiego nigdy ani przedtem, ani później nie widziałem: przytwierdzony do tylnicy za pomocą szeregu potężnych klamer żelaznych z kółkami, przez które przechodziła wielka sztaba z kutego żelaza. Jak olbrzymia była siła fali, dowodzi fakt, że wszystkie klamry, choć zanitowane, co do jednej wyrwane zostały z twardego drzewa.

Zaledwie ochłonęliśmy po tym okropnym wstrząśnieniu, gdy nowa fala, jedna z najstraszniejszych, jakie widziałem, runęła na pokład, zalała luki, zerwała trap i wypełniła wodą cały kadłub statku.

## Rozdział IX

Na szczęście przywiązaliśmy się jeszcze przed nadejściem nocy do szczytków windy kotwicznej i leżeliśmy przytuleni do pokładu. Ta ostrożność ocaliła nas od zagłady. Runął na nas olbrzymi bałwan i wszyscy czterej byliśmy mniej lub więcej ogłuszeni kolosalnym ciężarem wody, który nas literalnie zgniótł. Kiedy wreszcie woda spłynęła, czuliśmy się zupełnie zdruzgotani. Gdy tylko zdołałem odetchnąć,

zawołałem, jak mogłem najgłośniej, na moich towarzyszy niedoli. Odpowiedział tylko August. – Koniec nadchodzi – mówił. – Polećmy dusze Bogu! – Po pewnym czasie i tamci odzyskali mowę; zachęcali nas do odwagi, tłumacząc, że zatonięcie brygu jest niepodobieństwem ze względu na rodzaj jego ładunku i że z całą pewnością można się spodziewać uspokojenia burzy nad ranem. Słowa te ożywiły mnie na nowo, było bowiem istotnie rzeczą jasną, że okręt naładowany pustymi baryłkami nie może zatonać. Dotychczas nie zastanowiłem się nad tym, nie mogąc ze strachu skupić myśli, i uważałem zatonięcie za najbliższe i najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Pokrzepiony nadzieją korzystałem z każdej odpowiedniej chwili, aby zacisnąć linę, którą byłem przywiązany do resztek windy kotwicznej, i wkrótce przekonałem się, że moi towarzysze czynili to samo. Noc była okropnie ciemna i niepodobna opisać straszliwego chaosu, jaki nas otaczał. Pokład brygu znajdował się na jednym poziomie z powierzchnią morza i byliśmy stale otoczeni olbrzymim wałem piany, której część przelewała się co chwila przez nas. Bez przesady mogę powiedzieć, że przez dwie sekundy na trzy znajdowaliśmy się pod wodą. Pomimo że leżeliśmy tuż obok siebie, nie mogliśmy ani widzieć się nawzajem, ani też dostrzec niczego na brygu, z którym razem doznawaliśmy tak niemiłosiernych wstrząsów. Od czasu do czasu nawoływaliśmy się wzajemnie, chcąc sobie dodać otuchy i pocieszyć tego, który w danej chwili najwięcej pociechy potrzebował. August był tak osłabiony, że najbardziej lękaliśmy się o niego. Ze zranioną prawą ręką nie mógł zapewne dobrze zacieśnić sznurów i obawialiśmy się, że w każdej chwili zostanie zmyty za burtę, a o niesieniu mu jakiegokolwiek pomocy ani mowy być nie mogło. Na szczęście miał on najlepsze miejsce z nas wszystkich, gdyż górną część ciała osłaniały mu szczątki windy, przez co siła fal uderzających w niego była znacznie mniejsza. W każdym innym położeniu (nie wybrał go, lecz dostał się tam przypadkiem) z nadejściem ranka już byłby nie żył. Dzięki bardzo silnemu nachyleniu brygu groziły nam uderzenia fal w znacznie mniejszym stopniu, niż miałyoby to miejsce w innym położeniu. Bryg, jak już wspomniałem, leżał całkiem na boku, woda sięgała stale do połowy pokładu. Fale odbijały się tylko od sterburty

i dopiero wtedy nas obryzgiwały. Te zaś, które przychodziły z drugiej strony, uderzały nas w plecy – gdyż leżeliśmy twarzą do pokładu – co nie groziło nam zerwaniem lin.

Przetrwaliśmy w tym strasznym położeniu aż do nadejścia dnia, który pozwolił nam ujrzeć wreszcie całą grozę sytuacji. Bryg był tylko kawałem drzewa, rzuconym na wszystkie strony przez rozhukane fale. Wiatr, zamiast się uciszyć, przybierał bezustannie na sile i w końcu wzmógł się do rozmiarów prawdziwego orkanu. Nie mieliśmy żadnych widoków ocalenia. Przez kilka następnych godzin nie odzywaliśmy się ani słowem, spodziewając się każdej chwili, że albo pękną przytrzymujące nas liny, albo fala zmyje szczątki windy, albo wreszcie, że któryś z ogromnych bałwanów ryczących wokoło nas zanurzy nasz wrak tak głęboko, że utoniemy przed ponownym wydostaniem się na powierzchnię. Jednakże miłosierdzie boże ocaliło nas od wszystkich tych niebezpieczeństw i około południa powitały nas pierwsze promienie błogosławionego słońca. Wkrótce potem wiatr zaczął słabnąć i August odezwał się po raz pierwszy od poprzedniego wieczoru, pytając Petersa leżącego przy nim, czy jest jakaś nadzieja ocalenia. Z początku nie było odpowiedzi i wszyscy myśleliśmy, że Metys utonął, zalany wodą, tam gdzie leżał, ale wkrótce ku naszej radości przemówił, aczkolwiek bardzo słabym głosem. Powiedział, że strasznie cierpi, gdyż ścisnął się zbyt silnie sznurem w pasie, i że musi albo rozluźnić pęta, albo zginąć, bo nie zniesie dłużej takiej tortury. Byliśmy tym bardzo zaniepokojeni i żalowaliśmy Petersa z całego serca, ale nie było ani mowy o niesieniu pomocy, gdyż co chwila zalewały nas fale. Zachęcaliśmy go do odważnego znoszenia cierpień, obiecując przy pierwszej dogodnej sposobności przyjść mu z pomocą. Odpowiedział, że wkrótce będzie już za późno, że zanim się ta sposobność nadarzy, dawno już skona z bólów. Potem jęczał jeszcze przez kilka minut i wreszcie umilkł. Myśleliśmy wszyscy, że umarł.



BRYG BYŁ TYLKO KAWAŁEM DRZEWA, RZUCANYM NA  
WSZYSTKIE STRONY PRZEZ ROZHUKANE FALE

Nad wieczorem morze uspokoiło się znacznie i wiatr też stracił na sile, choć ciągle jeszcze dął mocno. Żaden z moich towarzyszy nie odzywał się już od kilku godzin; zwołałem naprzód na Augusta, ale odpowiedź była tak słaba, że nic nie mogłem zrozumieć. Odezwałem się wtedy do Petersa, a potem do Parkera, ale nie odpowiedzieli ani słowem.

Wkrótce potem popadłem w stan półprzytomności, w którym najrozkoszniejsze i najpiękniejsze obrazy przesuwają się w moim umyśle: zielone drzewa, falujące łany dojrzałego zboża, orszaki tańczących dziewcząt, szwadrony kawalerii i inne zjawiska. Pamiętam, że we wszystkich widzeniach ruch odgrywał największą rolę. Nie śniłem wcale o przedmiotach nieruchomych jak dom albo góra, tylko o wiatrakach, okrętach, wielkich ptakach, balonach, jeźdźcach, pojazdach pędzących niesłychanie szybko i innych ruchomych przedmiotach, które z błyskawiczną szybkością ukazywały mi się w nieskończonej serii. Gdy się ocknałem z tego stanu, słońce było już od godziny, jak mi się zdawało, na niebie. Tylko z wielką trudnością zdołałem sobie przypomnieć szczegóły mego położenia i przez pewien czas byłem najmocniej przekonany, że jestem jeszcze ciągle w ładowni brygu, a ciało Parkera leżące obok mnie brałem uparcie za Tygrysa.

Gdy wreszcie zupełnie odzyskałem zmysły, spostrzegłem, że poprzedni orkan jest już tylko słabą bryzą, a morze jest prawie całkiem spokojne. Moja lewa ręka wyrwała się z więzów i była silnie zraniona powyżej łokcia, a dłoń i palce prawej były okropnie spuchnięte wskutek zaciśnięcia sznurem. Ogromne cierpienia sprawiał mi także drugi sznur, którym się owiązałem w pasie i który teraz zaciśnięty był do niemożliwości. Patrząc na moich towarzyszy, przekonałem się, że Peters żyje, chociaż był tak okrutnie ściśnięty liną w pasie, że wyglądał jak przecięty we dwoje. Zaledwie się poruszyłem, zrobił słaby ruch, wskazując mi na sznur. August nie dawał znaku życia, leżąc cały zgięty i potłuczony pod resztkami windy. Parker zobaczył, że się ruszam, i natychmiast zapytał, czy mam dość sił, aby go uwolnić z jego położenia, mówiąc, że jeśli zdobędę się na wysiłek rozwiązania go, może jeszcze będziemy mogli ocalić życie, w przeciwnym zaś wypadku wszyscy zginiemy. Powiedziałem mu, żeby był spokojny, a ja spróbuję go rozwiązać. Obmacawszy kieszenie spodni, znalazłem scyzoryk,

który udało mi się otworzyć po kilku nieudanych próbach. Lewą ręką rozciąłem więzy krępujące prawe ramię, a następnie przeciąłem resztę sznurów. Chcąc jednak ruszyć się z miejsca, spostrzegłem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa i że nie mogę się podnieść; nie mogłem także poruszać prawym ramieniem. Gdy oznajmiłem to Parkerowi, poradził mi, abym spokojnie posiedział kilka minut trzymając się lewą ręką windy, a krew zacznie prawidłowo krążyć. Posłuchałem jego rady i istotnie odrętwienie zaczęło stopniowo słabnąć. Wkrótce mogłem poruszać naprzód jedną, potem drugą nogą, po pewnym zaś czasie odzyskałem częściowo władzę i w prawym ramieniu. Wtedy, nie próbując powstać, podpełzłem z wielką ostrożnością do Parkera i rozciąłem mu więzy. Po krótkim czasie i on częściowo odzyskał władzę w rękach i nogach. Teraz jak najszybciej przecięliśmy linę, którą był okręcony Peters. Przetarła ona w pasie jego wełniane spodnie i dwie koszule i werżnęła się w żywe ciało, z którego po przecięciu liny obficie trysnęła krew. Ale zaledwieśmy to uczynili, Peters doznawszy nagłej ulgi, zaczął mówić i poruszać się nawet daleko swobodniej niż ja i Parker, co zawdzięczał prawdopodobnie temu mimowolnemu upustowi krwi.

August natomiast nie dawał znaku życia i mieliśmy słabą nadzieję, by przyszedł do siebie. Podeszedłszy jednak do niego, przekonaliśmy się, że tylko zemdlął z utraty krwi, gdyż woda zerwała bandażę, którymi owinęliśmy mu ramię. Żaden ze sznurów, którymi był przywiązany do brzoju, nie był do tego stopnia zacieśniony, by mógł spowodować śmierć. Uwolniwszy go z lin i wyciągnawszy spod windy, położyliśmy go w suchym miejscu na nawietrznej, głową w dół, i zaczęliśmy we trójkę energicznie rozcierać jego ciało. W jakie pół godziny przyszedł trochę do siebie, ale dopiero następnego ranka zaczął nas rozpoznawać i przemówił. Podczas tych zajęć zapadła noc, niebo zaciągnęło się chmurami, a myśmy drżeli ze strachu przed nową burzą, gdyż wobec naszego zupełnego wyczerpania nic by nas już nie ocaliło od zagłady. Na szczęście jednak przez całą noc pogoda była możliwa, a morze uspokajało się z minuty na minutę, tak że odzyskaliśmy wreszcie nadzieję utrzymania się przy życiu. Łagodna bryza wiała ciągle z północnego zachodu, ale nie było wcale zimno. Ponieważ August jeszcze ciągle nie miał dość sił, aby się sam utrzymać,

przywiązaliśmy go starannie, aby przy silniejszym wstrząśnieniu nie spadł za burtę. Wobec nas podobna ostrożność była już zbyt duża. Siedzieliśmy teraz przytuleni do siebie i trzymając się kawałków lin windy kotwicznej, naradzaliśmy się nad sposobami wyjścia z okropnego położenia. Pozwoliliśmy sobie nawet na taki komfort, jak zdjęcie i wyjęcie ubrań. Gdyśmy je włożyli z powrotem, wydały się nam dziwnie ciepłe i przyjemne, i przyczyniły się niemało do odzyskania sił. Następnie zdjęliśmy ubranie z Augusta i uczyniliśmy to samo, a i on doznał natychmiast ogromnej ulgi.

Najbardziej jednak trapił nas głód i pragnienie, a gdyśmy przemyśleli nad sposobami ich zaspokojenia, serca przestawały nam bić i żalowaliśmy, żeśmy umknęli mniej okropnej śmierci przez zatonięcie. Usiłowaliśmy jednak pocieszać się nadzieją, że wkrótce zabierze nas jakiś napotkany okręt, i dodawaliśmy sobie wzajemnie odwagi do zniesienia wszystkich cierpień, jakie nam jeszcze były przeznaczone.

Zabłysnął wreszcie ranek czternastego lipca, pogoda była jeszcze wciąż piękna i łagodna ze stałą, choć bardzo słabą bryzą z północnego zachodu. Morze było zupełnie spokojne, a ponieważ z niewiadomej przyczyny bryg znacznie się wyprostował, pokład był stosunkowo suchy i mogliśmy chodzić po nim zupełnie swobodnie. Trzy dni i trzy noce pozostawaliśmy już bez jadła i napoju. Trzeba było koniecznie spróbować, czy nie uda się wydostać czegoś z dołu. Ponieważ jednak bryg był pełen wody, wzięliśmy się do dzieła bez większej ochoty, nie licząc prawie na możliwość wydobycia czegoś. Zrobiliśmy rodzaj grabi, wbijając kilka gwoździ, wyrwanych z resztek budki nad trapem, do dwóch kawałków drzewa. Złożyliśmy je na krzyż i umocowawszy na końcu sznura, wrzuciliśmy do kabiny, przesuwając tym przyrządem tu i ówdzie ze słabą nadzieją, że może zaczepimy o coś, czym się będziemy mogli pożywić lub przynajmniej co nam dopomoże do zdobycia żywności. Spędziliśmy znaczną część poranka przy tym zajęciu, jednakowoż bezskutecznie; wyłowiliśmy tylko kilka koców, które z łatwością zaczepiły się o gwoździe. Przyrząd nasz był tak niezgrabny i prymitywny, że nie mogliśmy liczyć na lepsze rezultaty.

Potem szukaliśmy ratunku w kubryku – również bez skutku – i zaczęliśmy się już poddawać rozpacz, gdy Peters nagle wpadł na myśl nurkowania do kajuty. Powitaliśmy ten projekt z radością i zachwytem, jaki



tylko może wzbudzić w ludzkim sercu odzyskana nadzieja. Dirk zdjął natychmiast ubranie, z wyjątkiem spodni, po czym opasaliśmy go pod ramionami mocnym sznurem, tak aby się nie mógł wysliznąć. Przedsięwzięcie przedstawiało wiele trudności i niebezpieczeństw. Nie mogliśmy się spodziewać znalezienia zapasów żywności w samej kajucie – nurek musiał zatem, osiągnąwszy dno, skierować się w prawo, przejść dziesięć do dwunastu stóp ciasnym korytarzykiem wiodącym do spiżarni, nabrać żywności i, nie oddychając, powrócić tą samą drogą.

Gdy wszystko było gotowe, Peters zszedł po trapie, dopóki woda nie dosięgała mu do brody. Potem zanurzył się głową naprzód, skręcił w prawo i usiłował wejść do spiżarni. Nie miał jednak szczęścia przy tej pierwszej próbie. Gdy upłynęło pół minuty, uczuliśmy gwałtowne szarpnięcie sznurem. Był to umówiony znak, po którym mieliśmy go wyciągnąć na wierzch. Pociągnęliśmy natychmiast, ale tak nieostrożnie, że potłukliśmy go okropnie o trap. Nie przyniósł ze sobą niczego i w korytarzu przeszedł tylko bardzo małą przestrzeń, bo musiał bezustannie walczyć z wodą unoszącą go do góry. Po wyjściu z kabiny był ogromnie wyczerpany i musiał odpoczywać dobrych piętnaście minut, zanim się odważył powrócić do kajuty.

Druga próba była jeszcze bardziej nieszczęśliwa, gdyż zostawał tak długo pod wodą, nie dając znaku, że wreszcie zaniepokojeni wyciągnęliśmy go sami; był na pół żywy i, jak utrzymywał, szarpał już kilka razy sznurem, a myśmy tego nie czuli. Prawdopodobnie przyczyną była balustrada u dołu drabiny, o którą zaczepiła się lina. Ta balustrada stanowiła taką przeszkodę, że postanowiliśmy ją zwalić, zanim przystąpimy do dalszych prób. Ponieważ nie mieliśmy żadnych narzędzi, zesłaliśmy wszyscy czterej, jak tylko można było najgłębiej, i pchając wspólnymi siłami, zdołaliśmy ją wreszcie obalić.

Trzecia próba okazała się równie bezskuteczna, jak dwie poprzednie, i było jasne, że nie uzyskamy niczego z powodu naporu wody unoszącej nurka w górę. Trzeba było zatem zaopatrzyć go w jakiś duży ciężar. Długo patrzyliśmy wokoło siebie, szukając czegoś, co by mogło posłużyć do tego celu, i odkryliśmy wreszcie jeden łańcuch od windy, tak rozluźniony, że oderwaliśmy go z łatwością. Peters uwiązał go mocno u jednej z kostek i po raz czwarty skoczył w wodę. Tym razem dotarł do drzwi spiżarni. Ale ku

wielkiemu zmartwieniu zastał je zamknięte i musiał powrócić, nie mogąc nawet przy największym wysiłku wytrzymać pod wodą dłużej niż minutę. Nasza sytuacja przedstawiała się więc rozpaczliwie. Obaj z Augustem nie mogliśmy powstrzymać się od łez, widząc dokoła same trudności, a żadnej nadziei. Ale słabość nasza nie trwała długo. Uklękliśmy i błagaliśmy Boga o pomoc w wielu niebezpieczeństwach, jakie nas jeszcze czekają, po czym ze wznowioną nadzieją, wzmocnieni i pokrzepieni na duchu, wstaliśmy, aby się naradzić nad sposobami ocalenia.

## Rozdział X

Wkrótce potem nastąpiło wydarzenie, które jestem skłonny uważać za najbardziej wstrząsające – jak również pełne krańcowych uczuć: najpierw radości, a później grozy – ze wszystkich tysięcy przygód, jakie mi się przytrafiły w ciągu następnych dziewięciu lat, wypełnionych najokropniejszymi zdarzeniami, niejednokrotnie najbardziej niepojętej natury i najbardziej niewiarygodnymi. Leżeliśmy na pokładzie obok trupu kabiny i mówiliśmy znowu o możliwościach dostania się do spiżarni, gdy nagle spojrzałem na Augusta i zauważyłem, że śmiertelnie zbladł, a wargi jego drżą w jakiś dziwny i niewytłumaczony sposób. Zaniepokojony odezwałem się doń, lecz nie otrzymawszy odpowiedzi, zacząłem myśleć, że nagle zachorował. Wtem zauważyłem jego osłupiały wzrok utkwiony w czymś znajdującym się poza mną. Odwróciłem się i nigdy nie zapomnę uczucia szalonej, niewysłowionej radości, jaka mnie opanowała na widok dużego brygu płynącego wprost w naszą stronę i odległego nie więcej niż dwie mile morskie. Skoczyłem na równe nogi, jak trafiony kulą w serce, i wyciągając ramiona w kierunku zbawczego okrętu, stałem bez ruchu, nie mówiąc ani słowa. Peters i Parker byli również silnie wzruszeni, ale każdy okazywał to w inny sposób. Pierwszy skakał i tańczył po pomoście jak wariat, to plotąc najpotworniejsze nedorzeczności, to rycząc i bluźniąc, drugi zaś wybuchnął płaczem i łkał jak małe dziecko.

Zauważony okręt był dużym brygiem holenderskiej budowy, czarno lakierowanym i o niesmacznie złożonym dziobie. Musiał przebyć wiele burz i przypuszczaliśmy, że najwięcej ucierpiał podczas ostatniego orkanu tak

złowieszczego dla nas, gdyż utracił fokbombramsztengę i część parapetu sterburty. Gdyśmy go dostrzegli, był, jak już wspomniałem, oddalony o jakie dwie mile, płynął z wiatrem i zbliżał się do nas. Bryza była bardzo nieznaczna i zdziwiło nas, że statek miał rozwinięty tylko grot i kliwer. Płynął wskutek tego bardzo powoli, a my szaleliśmy tymczasem z niecierpliwości. Mimo jednak ogromnego podniecenia uderzyło nas wszystkich niezmiernie niedołążne sterowanie brygiem. Robił takie zwroty, że za każdym razem obawialiśmy się, że załoga nas nie widzi albo że zauważyła nasz statek, ale nie spostrzegając nikogo na pokładzie, ma zamiar zawrócić i popłynąć w innym kierunku. Za każdym razem podnosiliśmy wrzask, ile nam tylko sił starczyło, i obcy okręt zdawał się wtedy zmieniać zamiar i zwracał się ku nam. Powtórzyło się to kilka razy, ale ruchy statku były tak dziwne i jakby bezmyślne, że nie mogliśmy sobie inaczej tego wytłumaczyć, jak tylko faktem pijaństwa sternika.

Nie widzieliśmy nikogo na pokładzie, dopóki statek nie zbliżył się na ćwierć mili. Wtedy spostrzegliśmy trzech ludzi, którzy, sądząc z ubrania, mogli być Holendrami. Dwóch leżało na kilku starych żaglach na dziobie statku, a trzeci stał oparty o parapet koło bukszprytu i zdawał się nam przyglądać z ogromną ciekawością. Ten ostatni był dużym, silnym człowiekiem o bardzo ciemnej skórze. Wyglądał, jakby chciał nas zachęcić do cierpliwości, gdyż kiwał ku nam wesoło głową i śmiał się bezustannie, ukazując rząd białych, błyszczących zębów. Gdy okręt się zbliżył, zauważyliśmy, że czerwona flanelowa czapeczka spadła mu z głowy do wody, on jednak nie zwrócił na to uwagi, powtarzając bezustannie swe dziwaczne uśmiechy i gesty. Opisuję te rzeczy i okoliczności szczegółowo, należy jednak zrozumieć, że opisuję je w ten sposób, jak nam się wydawały.

Bryg zbliżał się ku nam powoli w prostym już kierunku i (dziś jeszcze nie mogę spokojnie mówić o tym wypadku) serca były nam gwałtownie w piersiach. Całą duszę przelewaliśmy w jeden wielki krzyk radości i dziękczynienia Bogu za tak bliskie, a tak zupełnie niespodziewane i cudowne ocalenie. Nagle doleciał nas ze znajdującego się już blisko okrętu smród tak okropny, że nie ma słów na jego określenie. Fetoru takiego nie czułem jeszcze nigdy w życiu: piekielny, duszący, nie do zniesienia, niepojęty! Zaczerpnąłem powietrza i spojrzawszy na towarzyszy,

zobaczyłem, że zbledli jak płótno. Ale nie mieliśmy czasu zastanawiać się lub zgadywać przyczyny zjawiska, gdyż bryg znajdował się zaledwie o pięćdziesiąt stóp od nas i chciał widocznie podpłynąć wprost do naszej rufy, aby sobie zaoszczędzić trudu spuszczenia łodzi na morze. Rzuciliśmy się gwałtownie ku rufie, gdy nagle silny powiew wiatru zepchnął tajemniczy statek pięć do sześciu rumbów z poprzedniego kursu. Bryg przepłynął koło nas i mogliśmy obejrzeć dokładnie cały jego pokład. Czy zapomnę kiedy straszliwą grozę tego widoku? Dwadzieścia czy trzydzieści trupów, między nimi wiele kobiet, leżało między rufą a kambuzem – wszystkie w stanie ostatecznego, najobrzydliwszego rozkładu. Widzieliśmy wyraźnie, że na tym przeklętym statku nie ma żywej duszy. A myśmy przed chwilą wzywali te trupy na pomoc! Tak, długo i głośno błagaliśmy w szaleńczej nadziei, że te milczące i odrażające postacie zatrzymają się dla nas, nie pozwolą, byśmy się stali takimi jak one, że przyjmą nas do swego godnego towarzystwa! Szaleliśmy teraz ze zgrozy i rozpaczy, obłąkani okropnym rozczarowaniem.

Gdyśmy wydali pierwszy okrzyk przerażenia, odpowiedział nam z dziobu tajemniczego statku jakiś głos. Było w nim coś tak podobnego do ludzkiego krzyku, że i najdelikatniejsze ucho dałoby się oszukać. W tej samej chwili nowy podmuch wiatru zwrócił ku nam dziób okrętu i natychmiast dowiedzieliśmy się, skąd ów krzyk pochodzi. Zobaczyliśmy owego dużego, silnego człowieka, wciąż jeszcze opartego o burtę i chwiejącego głową, ale twarz miał tak odwróconą, że nie mogliśmy jej zobaczyć. Ramiona jego spoczywały na wyciągniętym sznurze, a ręce zwisały na zewnątrz. Kolana były mocno wplątane w linę idącą od nasady bukszprytu ku kotbelce. Na jego plecach, gdzie spod rozerwanej koszuli świeciło nagie ciało, siedziała wielka mewa i żarłocznie się opychała. Pazurami i dziobem głęboko wpiła się w ciało, a jej białe upierzenie było umazane ohydną krwią. Gdy bryg przesuwał się tuż koło nas, ptak wydobył ociężale głowę z krwawej jamy i popatrzywszy na nas przez chwilę, jakby w osłupieniu, oderwał się leniwie od zwłok, przy których uctował, i wzleciał w górę. Kołysał się przez chwilę nad nami, trzymając w dziobie kawałek gąbczastego mięsa. Ohydny strzęp upadł wreszcie z głuchym klaśnięciem u nóg Parkera. Niechaj mi Bóg przebaczy, ale wtedy w pierwszej chwili przebiegła mi przez głowę myśl, której tu nawet nie powtórzę! Uczułem, że robię krok ku zakrwawionemu

miejscu. Podniosłem oczy i spotkałem spojrzenie Augusta – patrzył na mnie tak wymownie i z takim oburzeniem, że opanowałem się natychmiast. Szybko doskoczyłem i z okropnym drżeniem wrzuciłem wstrętną rzecz do morza.

Trup, z którego ten kawałek został wyrwany, był, jak już wspomniałem, zawieszony na linach i chwiał się przy każdym poruszeniu ptaka. Ten to ruch sprawił, że wzięliśmy go początkowo za istotę żywą. Teraz jednak, gdy mewa oswobodziła go od swego ciężaru, zachwiał się i przewalił na pól przez wyciągniętą linę, tak że ujrzeliśmy dokładnie jego twarz. Nigdy jeszcze – możecie mi wierzyć – nie widziałem czegoś tak potwornego. Oczu nie było wcale w tej okropnej masce, a wyjedzone wargi odsłaniały zupełnie zęby. Taki więc był ten uśmiech, który nam dodawał nadziei! – Taki był... lecz dość już! Bryg, jak powiedziałem, przesunął się koło naszej rufy i płynął powoli, ale konsekwentnie w dawnym kierunku. Wraz z nim i jego okropną załogą znikły wszystkie nasze nadzieje. Płynął tak powoli, że może byśmy znaleźli sposób dostania się nań, gdyby nagle rozczarowanie i straszliwe odkrycie nie pozbawiły nas na pewien czas władz fizycznych i umysłowych. Widzieliśmy i czuliśmy, ale zdolność myślenia i działania powróciła nam dopiero wtedy, gdy już było za późno. Jak silnie wypadek ten przyćmił naszą inteligencję, można osądzić po tym, że gdy bryg oddalił się już tak, że mogliśmy widzieć zaledwie połowę jego kadłuba, zaczęliśmy się zastanawiać nad tym, czy nie byłoby dobrze doścignąć go w pław.

Od tego czasu usiłowałem nieraz wytłumaczyć sobie okropną tajemnicę osłaniającą losy nieznanego okrętu. Jego budowa i wygląd ogólny kazały nam, jak wspomniałem, przypuszczać, że mamy do czynienia z holenderskim statkiem handlowym; strój załogi umocnił nas w tym mniemaniu. Z łatwością mogliśmy odczytać nazwę statku i porobić inne obserwacje, które by się niewątpliwie przyczyniły do wyjaśnienia jego ponurej tajemnicy, gdyby gwałtowne wzruszenie nie oślepiło nas i nie pozbawiło zdolności myślenia. Z szafranowej żółtości tych ciał, które nie uległy jeszcze zupełnemu rozkładowi, wywnioskowaliśmy, że wszyscy wymarli od żółtej febry lub innej zarazy tego rodzaju. Jeżeli tak się stało (trudno doprawdy przypuścić coś innego), w takim razie śmierć – o ile można było wnioskować z położenia ciał – spadła na tych ludzi nagle jak

piorun, zupełnie inaczej niż przy wszystkich, nawet najbardziej śmiertelnych zarazach znanych ludzkości. Być może, że jakaś trucizna dostała się przypadkowo do zapasów żywności i spowodowała katastrofę, może jedli jakąś nieznaną, jadowitą rybę albo ptaka, albo inne jakieś zwierzę morskie? Na próżno będę zgadywał, a zupełnie zbyteczne jest tworzyć hipotezy na temat wypadku, który jest i pozostanie dla mnie zawsze najokropniejszą i najbardziej niezgłębianą tajemnicą.

## Rozdział XI

Resztę dnia spędziliśmy w tępych, bezmyślnym odrętwieniu, ciągle patrząc za odpływającym statkiem, dopóki nie osłoniła go ciemność. Wtedy trochę oprzytomnieliśmy. Męki głodu i pragnienia odezwały się na nowo, tłumiąc wszelkie inne uczucia. Przed rankiem nie mogliśmy jednak niczego przedsięwziąć, ułożywszy się więc jak najwygodniej, staraliśmy się choć trochę usnąć. Mnie udało się to wcale dobrze i spałem aż do świtu, dopóki mniej pod tym względem szczęśliwi ode mnie towarzysze nie zbudzili mnie, aby rozpocząć na nowo dalsze próby zdobycia żywności.

Panowała zupełna cisza i morze było tak gładkie, jak go jeszcze nigdy nie widziałem, a czas ciepły i przyjemny. Zabraliśmy się raźnie do dzieła. Odczepiliśmy z trudem jeszcze jeden łańcuch i przywiązaliśmy oba u nóg Petersa, który usiłował, tak ubezpieczony, dojść znowu do spiżarni. Liczył na to, że uda mu się wysadzić zamknięte drzwi, byle tylko prędko się do nich dostał, tym bardziej że nasz wrak leżał spokojnie na fali.

W rzeczy samej dotarł szybko do spiżarni i tam odczepiwszy jeden łańcuch, próbował nim wywalić drzwi, ale na próżno – okazały się daleko mocniejsze, niż przypuszczał. Był po powrocie zupełnie wyczerpany i któryś z nas musiał go zastąpić. Natychmiast zaofiarował się Parker, ale po trzech nieudanych wędrówkach nawet nie doszedł do drzwi. Udział Augusta z jego zranionym ramieniem był oczywiście wykluczony. Tak więc przyszła na mnie kolej oddania wszystkich swych sił dla wspólnego ocalenia.

Peters zostawił jeden łańcuch w korytarzu, postanowiłem więc za pierwszym zanurzeniem odnaleźć tylko ten drugi ciężar, gdyż jednym łańcuchem byłem za mało obciążony. Macałem w tym celu po podłodze

korytarza i natknąłem się na jakiś twardy przedmiot. Porwałem przedmiot, nie mając czasu na sprawdzenie, czym jest, i powróciłem na powierzchnię. Zdobyć okazała się butelką i można sobie wyobrazić naszą radość, gdyśmy odkryli, że jest pełna portweinu. Dziękując Bogu za tę niespodziewaną pomoc, odkorkowaliśmy butelkę za pomocą scyzoryka, po czym każdy z nas napił się bardzo umiarkowanie po jednym łyku. Ożywcze ciepło i przypływ nowych sił podniosły nas na duchu i ciele. Zakorkowaliśmy flaszkę na nowo i powiesiliśmy ją swobodnie w chustce od nosa, tak że nie mogła w żaden sposób się rozbić.

Wypocząwszy trochę po tej szczęśliwej próbie, zanurzyłem się powtórnie. Teraz odnalazłem łańcuch i natychmiast powróciłem z nim na górę. Przywiązałem go sobie u nogi i zszedłem po raz trzeci. Potem przekonałem się, że w tym położeniu wszelki trud jest zbyt ciężki i że nie potrafię nigdy wywalić drzwi. Zrozpaczony powróciłem z niczym.

Teraz wypadało porzucić wszelką nadzieję, a w twarzach moich towarzyszy czytałem już zupełną rezygnację i przygotowanie na śmierć. Jak się zdaje, wypite wino wprowadziło ich w rodzaj delirium, od którego mnie uchroniło zapewne bezpośrednio zanurzenie w zimnej wodzie. Mówili bezładnie i składowo o rzeczach niemających żadnego związku z naszym położeniem. Peters zasypywał mnie pytaniami o Nantucket, August z poważną miną prosił o grzebień kieszonkowy, gdyż, jak mówił, ma pełno rybiej łuski we włosach i chciałby je oczyścić przed wylądowaniem, jedynie Parker zdawał się bardziej przytomny i namawiał mnie, abym raz jeszcze się zanurzył i przyniósł, co mi tylko wpadnie w rękę. Zgodziłem się na to i po całominutowym pobycie pod wodą wyłowilem skórzaną walizkę kapitana Barnarda. Otworzyliśmy ją natychmiast w nadziei, że będzie w niej coś do jedzenia lub picia, ale znaleźliśmy tylko kilka brzytw i dwie płócienne koszule. Zanurzyłem się znowu, lecz powróciłem z pustymi rękoma. Gdy wypłynąłem na powierzchnię, usłyszałem na pokładzie brzęk; po wyjściu z wody przekonałem się, że moi towarzysze skorzystali nędznie z mojej nieobecności, aby wypić resztę portweinu, i chcąc szybko postawić butelkę na miejscu, zanim to zobaczą, upuścili ją i stłukli. Wyrzucałem im brak serca i August rozplakał się. Dwaj inni usiłowali, śmiejąc się sztucznie, obrócić wszystko w żart. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszę takiego

śmiechu. Konwulsyjny grymas ich twarzy był doprawdy przerażający. Było widoczne, że wypite wino wywołało w ich pustych żołądkach skutek gwałtowny i momentalny: wszyscy byli okropnie pijani. Z największą tylko trudnością zdołałem ich nakłonić, aby się położyli, po czym zapadli natychmiast w ciężki sen połączony z rżeniem i chrapaniem.

Byłem więc właściwie sam na brygu i opanowały mnie najczarniejsze myśli. Nie miałem żadnych widoków na przyszłość poza powolną śmiercią głodową lub, w najlepszym razie, zatonięciem podczas najbliższej burzy, gdyż w obecnym stanie wyczerpania nie mogliśmy mieć nadziei na przetrwanie jeszcze jednej.

Potworny głód, który mnie bezustannie dręczył, stawał się nie do zniesienia. Czułem się zdolny do popełnienia wszystkiego, co by mogło go uśmierzyć. Odciąłem nożem kawałek skóry z walizki i próbowałem ją zjeść, a chociaż nie mogłem tego przełknąć, zdawało mi się, że żując i wypluwając po małym kawałeczku, sprawiam sobie pewną ulgę. Pod wieczór obudzili się moi towarzysze jeden po drugim, wszyscy w stanie nieopisanego osłabienia i trwogi spowodowanej wypiciem wina, które już im wywietrzało z głów. Drżeli jak w febrze i w najrozpaczliwszy sposób wołali o wodę. Stan ich wstrząsnął mną do głębi, cieszyłem się jednak, że sprzyjający zbieg okoliczności przeszkodził mi w nadużyciu wina i uniknąłem w ten sposób ich politowania godnego stanu. Zachowanie towarzyszy zaniepokoiło mnie wreszcie poważnie, gdyż było widoczne, że jeżeli nie nastąpi w ich stanie zwrot ku lepszemu, nie będą mi mogli dopomóc w dalszych próbach wspólnego ocalenia. Nie zarzuciłem jeszcze myśli wydobywania czegoś z dołu, ale mogłem o tym myśleć dopiero wtedy, gdy ktoś z nich odzyska na tyle panowanie nad sobą, aby móc mnie utrzymać na linie, gdy się zanurzę. Ponieważ Parker zdawał się być przytomniejszy od pozostałych, starałem się otrzeźwić przede wszystkim jego. Przypuszczając, że kąpiel w morskiej wodzie dobrze mu zrobi, opasałem go liną (był zupełnie bezwładny i bierny) i pociągnawszy do trapu kajuty, wrzuciłem do wody, po czym natychmiast wydobyłem z powrotem. Mogłem sobie powinszować pomysłu, gdyż po wyjściu z wody zdawał się jakby na nowo ożywiony i zapytał całkiem przytomnie, dlaczego się z nim tak obchodzę. Gdym mu to wytłumaczył, podziękował serdecznie, powiedział, że czuje się po kąpieli znacznie lżej, i



zaczął mówić bardzo rozsądnie o naszym położeniu. Postanowiliśmy teraz powtórzyć ten sam zabieg z Augustem i Petersem, co też uczyniliśmy niezwłocznie, a skutek był u obu równie dobry. Ten pomysł nagłego zanurzenia w wodzie nasunął mi się z pewnej książki medycznej, którą czytałem i w której mówiono o doskonałych skutkach prysznicu.

Widząc wreszcie, że mogę powierzyć towarzyszom trzymanie sznura, zanurzyłem się jeszcze kilka razy, pomimo że noc już nadeszła i silna, jakkolwiek łagodna fala kołysała mocno naszym wrakiem. Podczas tych prób zdobyłem dwa składane noże, pusty trzylitrowy dzban i kołdrę – niczego jednak, co by zaspokoiło nasz głód. Czyniłem potem dalsze próby aż do zupełnego wyczerpania, ale wszystkie spełzły na niczym. W ciągu nocy zanurzali się kolejno Peters i Parker, ale nie zobaczyli niczego, i w końcu zarzuciliśmy te bezskuteczne usiłowania, słusznie sądząc, że szkoda marnować ostatki sił zupełnie niepotrzebnie.

Resztę nocy spędziliśmy w stanie najokropniejszych tortur fizycznych i moralnych, jakie sobie tylko można wyobrazić. Zajaśniał wreszcie ranek szesnastego lipca i oczy nasze na próżno szukały zbawczego statku na horyzoncie. Morze było ciągle prawie gładkie. Upływał już szósty dzień, odkąd nie mieliśmy nic w ustach oprócz odrobiny portweinu, i było widoczne, że nie wytrzymamy długo, jeśli w najbliższym czasie nie znajdziemy czegoś do jedzenia. Nie widziałem nigdy i nigdy nie chciałbym widzieć tak wynędzniałych istot ludzkich, jak August i Peters. Gdybym w tym stanie spotkał obu gdziekolwiek na lądzie – nie poznałbym ich z pewnością. Rysy mieli tak zmienione, że zaledwie mogłem uwierzyć, że są to te same osoby, z którymi spędziłem razem ostatnie dni. Parker, chociaż ogromnie wymizerowany i tak osłabiony, że nie mógł zwieszanej głowy podnieść z piersi, był jednak znacznie mniej wyniszczony od tamtych. Cierpienia swoje znosił bardzo spokojnie, nie podnosząc skarg i wszelkimi sposobami starając się dodać nam otuchy. Co do mnie, to mimo że ciężko chorowałem na początku podróży i byłem zawsze wątłej budowy, znosiłem jednak wszelkie cierpienia lepiej niż inni, najmniej straciłem na wadze i zachowałem w zadziwiającym stopniu władzę umysłową. Tymczasem tamci wydawali się nienormalni, zupełnie zdziecinniali, płatali głupie figle, uśmiechali się idiotycznie i pletli najniedorzeczniejsze głupstwa. Chwilami

jednak powracała im nagle przytomność i wtedy zdawali sobie sprawę z naszego położenia. Zrywali się wtedy na równe nogi, jakby pod wpływem nagłego napływu sił, i mówili w sposób zupełnie roztropny – oczywiście pogrążeni w najgłębszej rozpacz. Zresztą być może, że moi towarzysze myśleli o swoim stanie to samo, co ja o moim, i że bezwiednie popełniałem te same głupstwa i dziwactwa co oni. Niestety, nie mogę już tego dzisiaj sprawdzić.

Około południa Parker nagle oświadczył, że widzi ziemię od bakburty. Zaledwie zdołałem go powstrzymać, aby nie rzucił się ku niej w pław. Peters i August nie zwrócili uwagi na jego słowa i zdawali się być pogrążeni w jakichś posępnych rozmyślaniach. Spojrzawszy we wskazanym przez Parkera kierunku, nie dostrzegłem ani śladu wybrzeża. Wiedziałem zresztą aż nadto dobrze, w jakiej odległości znajdujemy się od wszelkiego lądu, aby na chwilę krzepić się podobną nadzieją. Gdy wytłumaczyłem Parkerowi jego pomyłkę, wybuchnął potokiem łez, łkał jak małe dziecko, krzyczał i szlochał. Trwało to kilka godzin, dopóki nie usnął z wyczerpania.

Peters i August usiłowali teraz bezskutecznie przełknąć kilka strzępów skóry. Radziłem im żuć ją i wypluwać, ale umysły ich były do tego stopnia nieczynne, że nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi. Ja sam nie przestawałem żuć skóry i sprawiało mi to pewną ulgę. Głównie dolegał mi brak wody i ledwie zdołałem się powstrzymać od picia wody morskiej, wiedząc, jakie skutki pociągnęło to za sobą u osób, które znajdując się w tym samym co my położeniu, starały się słoną wodą ugasić pragnienie.

W ten sposób upłynął cały dzień, gdy nagle dostrzegłem żagiel na wschodzie, przed dziobem naszego wraku. Był to, jak mi się zdawało, duży statek płynący w poprzek naszej drogi i oddalony jakie dwadzieścia do piętnastu mil od nas. Żaden z moich towarzyszy nie dostrzegł go jeszcze, a ja nie wspominałem na razie ani słowem o moim odkryciu z obawy przed nowym rozczarowaniem. Gdy jednak statek się przybliżył, przekonałem się, że pod pełnymi żaglami płynie prosto w naszą stronę. Wtedy nie mogłem już dłużej wstrzymać się i wskazałem go moim towarzyszom niedoli. Skoczyli natychmiast na równe nogi i zaczęli znowu w najdziwaczniejszy sposób okazywać swą radość. Płakali, śmiali się głupkowato, tańczyli i skakali po pokładzie, wyrywając sobie włosy z głowy i przeplatając to wszystko

modlitwą i klątwami. Ich radość udzieliła się wreszcie i mnie, zwłaszcza że ocalenie wydało mi się tym razem zupełnie pewne. Nie mogłem dłużej zapanować nad sobą i przyłączyłem się do nich. Dając upust wezbranej wdzięczności i radości, zacząłem szaleć, wywracając na pokładzie koziołki, klaszcząc w ręce, rycząc i popełniając różne dzieciństwa, dopóki nie zostałem z powrotem wtrącony w otchłań najgłębszej rozpacz, gdy spostrzegłem, że zbawczy statek odwrócił się nagle i płynie w zupełnie przeciwnym kierunku.

Dużo czasu upłynęło, zanim zdołałem przekonać mych towarzyszy o prawdzie nowego nieszczęścia – absolutnie nie mogli w to uwierzyć. Na wszystkie moje zapewnienia odpowiadali osłupiałym wzrokiem i gestami mającymi oznaczać, że nie dadzą się bynajmniej zwieść podobnym żartom. Martwiło mnie zwłaszcza zachowanie Augusta. Nie zwracał wcale uwagi na to, co mówię, i utrzymywał uparcie, że statek zbliża się ku nam, a nawet zaczął się przygotowywać do przeprawy. Wskazując kępkę morskich traw przepływających obok brygu, dowodził, że jest to łódź wysłana po nas. Płacząc i krzycząc rozdzierająco usiłował na nią skoczyć. Musiałem go gwałtem powstrzymać od rzucenia się w morze.

Gdyśmy się wreszcie trochę uspokoili, obserwowaliśmy w dalszym ciągu okręt, dopóki nie rozplynął się w oddali. Niebo się zamgliło, poczęła wiać lekka bryza. Gdy okręt zniknął, Parker spojrzał na mnie z takim wyrazem twarzy, że wstrząsnął mną dreszcz. Patrzył zimno i spokojnie; zanim jeszcze usta otworzył, serce mi już zdradziło, co chce powiedzieć. Zaproponował mi wreszcie krótkimi słowy, żeby jeden z nas poświęcił swe życie dla uratowania życia drugich.

## Rozdział XII

Mnie samemu przychodziło już od pewnego czasu na myśl, że możemy być doprowadzeni do tej strasznej ostateczności, równocześnie jednak postanowiłem raczej ponieść śmierć, obojętne jakiego rodzaju i w jakich okolicznościach, niż uciec się do podobnego środka. Postanowienie to nie osłabło we mnie nawet wobec okropnego głodu, jaki teraz cierpiałem. Ani August, ani Peters nie słyszeli propozycji, wziąłem więc Parkera na stronę i

modląc się w duchu do Boga, by dał mi siłę wyperswadowania mu straszliwego zamiaru, który powziął, starałem się wybić mu z głowy tę potworną myśl. Błagałem go gorąco przez długi czas, zaklinałem na wszystkie świętości, przekonywałem wszelkimi możliwymi argumentami, jakie mi groza chwili nasuwała, wszystko w nadziei, że od zamiaru odstąpi, wreszcie prosiłem usilnie, aby tamtym dwóm nic nie wspominał.

Wysłuchał moich słów, nie usiłując nawet się sprzeciwić, tak że nabrałem nadziei, iż zdołam go skłonić do porzucenia swej myśli. Zaledwie jednak przestałem mówić, odparł, że zgadza się ze mną najzupełniej, że na równi ze mną uważa tę myśl za najohydniejszą, na jaką człowiek wpaść może, jednak on już wycierpiał tyle, ile może znieść, i uważa, że śmierć wszystkich jest zbędna, gdy śmierć jednego ocalić może pozostałych. Do tego dodał, że niepotrzebnie się trudzę, usiłując go przekonać, gdyż postanowienie jego jest nieodwołalne, a powziął je jeszcze przed pojawieniem się okrętu i gdyby nie ów okręt, byłby już wtedy je wypowiedział.

Prosiłem go, aby odłożył wykonanie zamiaru przynajmniej do następnego dnia, bo może nadpłynie jeszcze jakiś statek z pomocą. Zacząłem go przekonywać na nowo, dobierając argumentów dla jego surowej natury, ale na próżno. Odpowiedział, że zwlekał z wyjawieniem swego projektu do ostatniej chwili, ponieważ jednak czuje, że dłużej bez pożywienia żyć nie może, wykonanie zamiaru cokolwiek później na nic się jemu nie przyda.

Widząc, że dobrocią nic u niego nie wskóram, zmieniłem ton i powiedziałem, że zapewne zauważył, że ucierpiał mniej od innych i jestem wskutek tego najsilniejszy ze wszystkich, silniejszy nie tylko od niego, ale nawet od Augusta i Petersa, i potrafię użyć siły, jeżeli zajdzie tego potrzeba. Poza tym zagroziłem mu niechybnym wrzuceniem w morze, jeżeli piśnie pozostałym choć jedno słówko o swym kanibalskim projekcie. W tejże samej chwili Parker chwycił mnie za gardło i wydobywszy nóż, kilkakrotnie próbował dźgnąć w brzuch, na szczęście bezskutecznie. Tylko jego wielkiemu osłabieniu miałem do zawdzięczenia, że mnie wtedy nie zabił. Teraz ja popadłem we wściekłość i pchnąłem go gwałtownie w stronę burty, mając silny zamiar zepchnąć do morza. Jednakże przeszkodził temu Peters,

który rozdzielił nas i zapytał o powód bójkę. Wtedy Parker powiedział mi, o co chodzi, zanim zdołałem temu przeszkodzić.

Wrażenie wywołane jego słowami było gorsze, niż się spodziewałem. August i Peters, jak się zdaje, powzięli już pierwiej skrycie tę samą myśl i teraz po słowach Parkera zaczęli nalegać, abyśmy się natychmiast wzięli do wykonania projektu. Liczyłem na to, że choć jeden z nich okaże tyle hartu ducha, żeby się sprzeciwić Parkerowi i stanąć po mojej stronie, a wtedy bylibyśmy wspólnymi siłami na pewno przeszkodzili ohydному morderstwu. Teraz jednak, gdy się moje nadzieje rozwiały, zrozumiałem, że muszę przede wszystkim pomyśleć o własnym bezpieczeństwie, gdyż dłuższy opór z mej strony mógłby stać się dla tych doprowadzonych do ostateczności ludzi wystarczającym powodem do krótkiego załatwienia się ze mną w dramacie mającym się za chwilę rozegrać.

Oświadczyłem zatem, że zgadzam się na wszystko, i prosiłem tylko o godzinę zwłoki, w czasie której opadnie, być może, otaczająca nas mgła i uda nam się znów dojrzeć stracony z oczu okręt. Zgodzili się wreszcie z wielką niechęcią na to opóźnienie, ale chociaż zawiąła, jak przewidywałem, rześka bryza i mgła opadła, żaden okręt się nie ukazał. Przygotowaliśmy się tedy do losowania o życie.

Z najwyższym obrzydzeniem przystępuję do opisanie ohydnej sceny, jaka się teraz rozegrała. Żadne późniejsze wrażenia nie potrafiły jej zatrzeć w moim umyśle. Pamiętam ją do dnia dzisiejszego z najdrobniejszymi szczegółami. Straszne to wspomnienie zatruje mi w przyszłości każdą chwilę mego życia. Niechaj mi wolno będzie załatwić się z tym opisem jak najprędzej, o ile charakter wypadków, które się rozegrały, pozwoli na to. Mieliśmy do wyboru tylko jeden sposób tego potwornego losowania – ciągnięcie słomek. W miejsce słomek postanowiliśmy użyć drzazg drzewnych i wszyscy się zgodzili, że ja będę je trzymał. Oddaliłem się na jeden koniec wraku, podczas gdy moi nieszczęśni towarzysze stanęli na drugim, odwrócenie do mnie plecami. Ze wszystkich momentów naszego dramatu chwila układania patyczków była dla mnie najstraszniejsza. Była to jedna z tych chwil, w których człowiek w bliskości niebezpieczeństwa przechodzi błyskawicznie w myśli wszystkie sposoby przedłużenia sobie życia i wyteżga w tym celu całą swą inteligencję, czepiając się najbliższych

szczegółów. Im słabsza jest nić łącząca z życiem, tym silniejsze staje się owo podniecenie. Obecnie rodzaj narzuconego mi zajęcia miał charakter tak spokojny, surowy, ścisły i jasno określony, tak bardzo niepodobny do pełnych zgiełku i rozpętania niebezpieczeństw szalejącej burzy lub też stopniowo wzrastających mąk głodowych, że pozwalał mi dokładnie zdać sobie sprawę, jak nikłe miałem szanse ujścia przed najokropniejszą śmiercią, jaką sobie wyobrazić można. Jednocześnie zdawałem sobie doskonale sprawę z pożyteczności tej śmierci, co wszystko razem wzięte odebrało mi resztę tak długo podtrzymywanej energii i wydało na pastwę najnędniejszego, najnikczemniejszego w świecie uczucia strachu. Z początku nie miałem nawet dość siły, aby przyciąć i odpowiednio ułożyć patyczki. Palce odmawiały mi posłuszeństwa, a kolana tłukły gwałtownie jedno o drugie. Umysł mój pracował gwałtownie nad wyszukaniem jakiegoś sposobu, by nie brać udziału w losowaniu, ale choć przebiegałem w myśli cały szereg najdziwaczniejszych wybiegów, nie znalazłem niczego. Raz miałem ochotę paść towarzyszom do nóg i błagać ich o pozwolenie usunięcia się od losowania, innym razem chciałem rzucić się na jednego z nich i zabić go, tak by losowanie nie było już potrzebne, jednym słowem, myślałem o wszystkim, tylko nie o zadaniu, jakie miałem wykonać. Dużo czasu straciłem na tych bezpłodnych rozmyślaniach, gdy głos Parkera przywołał mnie wreszcie do przytomności. Nalegał, abym wreszcie położył koniec grozie oczekiwania. Jeszcze ciągle jednak nie byłem w stanie zająć się ułożeniem patyczków. Zacząłem znów rozmyślać o fortelach i przyszło mi na myśl, czy nie mógłbym jakimś podstępem wsunąć któremu z towarzyszy krótszego patyczka. Umówiliśmy się bowiem, że ten, kto wyciągnie krótszy, poniesie śmierć dla ocalenia pozostałych. Zanim ktoś mnie zechce potępić za tak podle myśli, niech się wpierw znajdzie w tym samym co ja położeniu!

Jednakże nie można już było dalej zwlekać; serce omal mi nie wyskoczyło z piersi, gdy kroczyłem w stronę dziobu, gdzie mnie oczekiwali towarzysze. Wyciągnąłem ku nim rękę z ukrytymi w niej do połowy patyczkami. Peters natychmiast wyciągnął. Był wolny – jego drzazga nie była najkrótsza! Ja zatem miałem jedną mniej szansę ocalenia. Zebrałem wszystkie siły i podałem losy Augustowi. Pociągnął bez wahania i także wyszedł cało. Z pozostałym Parkerem miałem teraz równe szanse życia i

śmierci. W owej chwili zagościła w mym sercu iście tygrysia dzikość i uczułem do Parkera, mego towarzysza i bliźniego, najgłębszą, wprost szatańską, nienawiść. Uczucie to jednak nie trwało długo i ostatecznie trzęsąc się konwulsyjnie, podałem mu pozostałe patyczki, zaciskając równocześnie powieki. Upłynęło pełnych pięć minut, zanim zdecydował się wyjąć jeden z nich. Przez cały czas trwania tej potwornej niepewności nie otworzyłem oczu ani razu. W końcu uczułem, że jeden z patyczków wyszarpięto mi gwałtownie z ręki. Rozstrzygnięcie zatem nastąpiło, ale na czyją korzyść? Nikt nie wyrzekł słowa, a ja nie śmiałem położyć kresu mej niepewności, patrząc na pozostałą w mej ręce drzazgę. Wreszcie Peters ujął mnie za rękę. Gdy chciałem już otworzyć dłoń, poznałem z wyrazu twarzy Parkera, że jestem ocalony, a on skazany na śmierć. Wtedy z trudem chwyając oddech, runąłem bez zmysłów na pokład.

Powróciłem jednak do przytomności dość wcześnie, aby być świadkiem rozwiązania tragedii śmiercią tego, który jako autor pomysłu stał się niejako swym własnym zabójcą. Nie stawiał najmniejszego oporu i pchnięty w plecy nożem przez Petersa padł trupem w mgnieniu oka. Nie wolno mi się rozwodzić nad bezprzykładną okropnością odbytej natychmiast uczty. Tego rodzaju scenę można sobie wyobrazić, ale żadne na świecie słowa nie są w stanie odmalować jej istotnej potworności i grozy. Niech wystarczy wzmianka, że zaspokoiwszy do pewnego stopnia szalone pragnienie we krwi ofiary i odciawszy za wspólną zgodą dłonie, stopy i głowę, któreśmy wraz z wnętrznościami wyrzucili w wodę, spożywaliśmy resztę ciała kawałek po kawałku przez cztery następne, nigdy niezapomniane dni siedemnastego, osiemnastego, dziewiętnastego i dwudziestego lipca.

Dziewiętnastego lipca spadł ulewny deszcz, trwający piętnaście do dwudziestu minut. Udało się nam zebrać trochę słodkiej wody, wykorzystując prześcieradło wyłowione z kajuty zaraz po burzy. Ilość zebranej w ten sposób wody nie wynosiła więcej jak pół galona, ale i ta skromna racja pokrzepiła nas znacznie i dodała nadziei na przyszłość.

Dwudziestego pierwszego lipca znajdowaliśmy się znowu w ostatecznej rozpacz. Pogoda była ciągle ciepła i przyjemna; czasami spadała mgła, z północnego zachodu wiała rześka bryza.

Dwudziestego drugiego, gdy siedzieliśmy we trójkę przytuleni do siebie i pogrążeni w posępnym rozmyślaniu nad naszym położeniem, jak promień słońca w ciemności zaświtała mi nagle myśl. Przypomniałem sobie mianowicie, że w chwili rąbania fokmasztu Peters, stojący wówczas w olinowaniu, rzucił mi stamtąd siekierę z prośbą, abym ją złożył w bezpiecznym miejscu, i że na chwilę przed zalaniem brygu ukryłem tę siekierę w jednej z bakbortowych koi kubryku. Przyszło mi więc na myśl, że gdyby się nam udało siekierę odzyskać, moglibyśmy wyrąbać otwór w pokładzie nad spizarnią i dobrać się do złożonych w niej zapasów.

Gdy podzieliłem się tym planem z towarzyszami, przyjęli go słabymi okrzykami radości, po czym udaliśmy się we trójkę do przedniego luku. Trudniej jednak było się tam dostać niż poprzednio do kajuty, gdyż otwór był znacznie węższy. Należy nadmienić, że cała nadbudówka nad trapez do kabiny była zniesiona, podczas gdy zrębica luku przedniego, a właściwie zwykłego wjazdu o szerokości około trzech stóp – pozostała. Nie zraziło mnie to jednak i opasawszy się liną, przepchnąłem się przez otwór, po czym zanurzyłem się nogami naprzód. Odnalazłem od razu koję i chwyciwszy siekierę wyostałem się z nią na powierzchnię. Powitano mnie rykiem tryumfu i radości, a łatwe odnalezienie siekiery uważaliśmy za dobry omen na przyszłość.

Rzuciliśmy się z Petersem – August nie mógł pomagać wskutek rany w ręce – do wyrąbywania pomostu z całą energią odzyskanej nadziei. Robota szła bardzo powoli, byliśmy bowiem osłabieni i wycieńczeni głodem tak dalece, że musieliśmy się zmieniać co dwie minuty, odpoczywając co chwila. Spostrzegliśmy się, że przy takim postępowaniu praca potrwa kilka godzin. Byliśmy jednak niezrażeni i pracowaliśmy przez całą noc przy świetle księżyca, aż nareszcie dwudziestego trzeciego lipca otwór był wyrąbany.

Peters wyraził gotowość zanurzenia się i z zachowaniem wszelkich ostrożności opuścił się na linie, przynosząc w krótkim czasie kamienny dzban napełniony oliwkami. Pochłonęliśmy je wspólnie z największą chciwością, po czym Peters zanurzył się powtórnie. Tym razem miał więcej szczęścia, niż można było sobie wymarzyć, powrócił bowiem z ogromną szynką i butelką madery. Wina wypiliśmy tylko po skąpym hańcie, znając z doświadczenia zgubne skutki nadużycia tego napoju. Z wyjątkiem dwóch



funtów przy kości szynka była niestety zupełnie zepsuta wskutek zetknięcia się z wodą morską. Rozdzieliliśmy między siebie tę część, która nadawała się do jedzenia. Peters i August nie mogli się opanować i zjedli swe porcje w mgnieniu oka. Ja byłem ostrożniejszy i zjadłem tylko mały kawałek, obawiając się pragnienia, jakie po szynce musiało nastąpić. Teraz odpoczęliśmy trochę po pracy, która nas bardzo wyczerpała.

Około południa, czując się trochę lepiej, wzmocnieni i odświeżeni, ponowiliśmy próby zdobycia prowiantu. Zanurzaliśmy się z Petersem na przemian z mniejszym lub większym powodzeniem do zachodu słońca. Przez ten czas znaleźliśmy na szczęście jeszcze cztery małe dzbany z oliwkami, drugą szynkę i wielką butlę zawierającą ze trzy galony znakomitego wina. Najwięcej jednak ucieszyło nas znalezienie małego żółwia z gatunku Galapagos. Gdy „Grampus” opuszczał port, kapitan Barnard kupił większą ilość tych zwierząt od kapitana szkunera „Mary Pitts”, który je przywiózł z wyprawy na Pacyfik.

W dalszych rozdziałach niniejszej opowieści będę miał wielokrotnie okazję powrócić do tego gatunku żółwia. Znaleźć go można, jak większość moich czytelników zdaje sobie z tego sprawę, w rejonie wysp Galapagos, które uzyskały swoje miano właśnie od owych żółwi. Hiszpańskie słowo „galipago” oznacza właśnie słodkowodnego żółwia. Ze względu na ich dziwny kształt oraz powolne ruchy nazywa się je też czasem słoniami morskimi. Bardzo często dochodzą one do olbrzymiej wielkości. Ja sam widziałem wiele okazów wagi od tysiąca dwustu do tysiąca pięciuset funtów, chociaż nie przypominam sobie, aby jakiś kapitan wspominał o żółwiu większym niż osiemset funtów. Ich wygląd jest bardzo szczególny, a nawet powiem, odrażający. Ich ruchy są niesłychanie ciężkie, powolne, jakby wymierzone. Ciało unoszą się stopę ponad ziemią. Mają niespodziewanie cienkie szyje, a długość ich wynosi od osiemnastu cali do dwóch stóp, co jest rzeczą zupełnie normalną, a mnie udało się nawet zabić jednego, którego długość szyi wynosiła trzy stopy i dziesięć cali. Głowy tych żółwi do złudzenia przypominają głowy węży. Niewiarygodną ilość czasu mogą przetrwać bez pokarmu, a znane są przypadki, że wrzucone do ładowni, po dwóch latach okazywały się w równie rześkim stanie, jak kiedy je tam składano. Pod jednym względem te nadzwyczajne zwierzęta przypominają

dromadera albo wielbłąda pustynnego. W torbie podgardlanej posiadają stały zapas wody. W pewnych wypadkach, gdy zabito je po roku pozbawiania pokarmu, w torbach znajdowano do trzech galonów świeżej, dobrej wody. Pokarmem tych żółwi są przeważnie selery, mchy i dzikie trawy. Zwłaszcza na dzikiej trawie, która w wielkiej ilości obrasta zbocza wzgórz i brzegi wysp Galapagos, czują się one najlepiej. Żółwie te są bardzo dobrym i niesłychanie odżywczym pokarmem i nie mam wątpliwości, że uratowały życie tysięcy marynarzy i rybaków zatrudnionych przy połowie wielorybów lub wypływających w innych celach na Pacyfik.

Żółw, o którym wspomniałem, był nieduży, ważył bowiem nie więcej jak sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu funtów. Była to samica w doskonałym stanie i nadzwyczaj tłusta. W worku na podgardlu miała prawie kwartę czystej, słodkiej wody. Był to prawdziwy skarb, toteż padliśmy na kolana, dziękując Bogu za cudowną pomoc.

Tylko z ogromną trudnością udało się nam przeciągnąć zwierzę przez otwór, stawiało bowiem wściekły opór, a było wprost nie do uwierzenia silne. O włos nie wydarło się Petersowi i nie wpadło z powrotem w wodę. Wreszcie August zarzucił mu na szyję pętlę. Mocno ją ściągawszy, przytrzymał żółwia tak długo, dopóki nie skoczyłem ku otworowi, by pomóc Petersowi dźwignąć zwierzę w górę.

Starannie wycisnęliśmy wodę z worka do jednego z dzbanków, które, jak wiadomo, wyciągnęliśmy poprzednio z kajuty. Uporawszy się z tym, odbiliśmy szyjkę jednej z butelek i ponieważ otwór zatkany był korkiem, utworzyliśmy w ten sposób rodzaj szklanki, objętości około ćwierci kwarty. Napiliśmy się każdy po takiej szklance, postanawiając nie wypijać dziennie więcej, aby zapas wystarczył nam na długo.

Ostatnimi dniami pogoda była sucha, przyjemna i ciepła, toteż wydobyta z kajuty pościel i nasze ubrania wyschły na słońcu tak doskonale, że noc z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty spędziliśmy względnie wygodnie. Posiliwszy się oliwkami, szynką i małym łykiem wina, spaliśmy przez noc całą mocnym, niczym nieprzerwanym snem. Nie chcąc, by niektóre z naszych zapasów wypadły w ciągu nocy za burtę, jeśli zerwie się bryza, przymocowaliśmy wszystko sznurami do szczątek windy kotwicznej. Żółwia zaś, którego chcieliśmy jak najdłużej przechować

żywcem, obróciliśmy łapami do góry i tak ułożonego na grzbiecie, aby nie mógł się zerwać, uwiązaliśmy równie starannie.

## Rozdział XIII

*24 lipca.* Tego ranka uczuliśmy się dziwnie pokrzepieni i wzmocnieni na siłach. Jednakże nasze położenie było wciąż bardzo niebezpieczne. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się znajdujemy, i pozostawała nam tylko ta pewność, że jesteśmy bardzo daleko od wszelkiego lądu. Prowiantu mieliśmy przy największej oszczędności najwyżej na czternaście dni, wody nie mieliśmy prawie zupełnie i byliśmy zdani na łaskę wiatru i fal na nędznym, potrzaskanym wraku. Ale nieskończone nieszczęścia i niebezpieczeństwa, z których w ostatnim czasie i tak opatrnościowo zostaliśmy ocaleni, pozwalały nam uważać, że teraz nasza sytuacja jest wcale nie najgorsza. Tak oto względne są pojęcia dobra i zła. O świcie zajęliśmy się znów wydobywaniem zapasów ze spiżarni. Podczas tej pracy spadł ulewny deszcz, zabraliśmy się więc natychmiast, tak jak poprzednio, do łapania słodkiej wody w prześcieradło. Rozciągnęliśmy prześcieradło w powietrzu, obciążwszy je w środku ogniwami łańcucha. Woda ściekała do powstałego w ten sposób zagłębienia, a stamtąd sączyła się powoli do podstawionego dzbanka. Był już prawie pełen, gdy nagle uderzył silny szkwał z północy i zmusił nas do przerwania naszych czynności, wrak bowiem począł się kołysać tak silnie, że ledwie mogliśmy utrzymać się na nogach. Udaliśmy się na dziób i tam, przywiązawszy się jak poprzednio do szczątków windy, oczekiwaliśmy dalszych wypadków z nieprawdopodobnym wprost, jak na takie okoliczności, spokojem. Około południa dał już silny wiatr (przy takim wietrze na statku skraca się żagle do drugiego refbantu), a w nocy wiatr wzmógł się do rozmiarów silnej wichury i piętrzył ogromne góry wodne. My jednak, nauczeni doświadczeniem, przywiązaliśmy się doskonale, tak że noc spędziliśmy nie najgorzej, mimo że co chwila zalewała nas woda i że lada moment mogła splukać nas poza burtę fala. Na szczęście było tak ciepło, że ta przymusowa kąpiel była dla nas raczej rozrywką niż przykrością.

*25 lipca.* Tego ranka wichura przekształciła się w umiarkowany wiatr, morze się uspokoiło do tego stopnia, że prawie przestało zalewać pokład.

Jakież było jednak nasze zmartwienie, gdyśmy spostrzegli, że dwa dzbanki z oliwkami i cała szynka zostały zmyte mimo wielkiej staranności, z jaką je przymocowaliśmy. Postanowiliśmy jednak nie zabijać jeszcze zółwia i poprzestaliśmy na skromnym śniadaniu, złożonym z kilku oliwek i miarki wody zaprawionej do połowy winem. Napój ten znakomicie nas pokrzepił, nie doprowadzając do zaburzeń jak poprzednio portwein. Morze ciągle było jeszcze zbyt wzburzone, abyśmy mogli cokolwiek wydostać z zatopionej spiżarni. Kilka przedmiotów bez znaczenia (w naszej obecnej sytuacji) wypłynęło w ciągu dnia przez otwór w pokładzie i natychmiast wyleciało za burtę. Stwierdziliśmy, że nasz wrak położył się znacznie bardziej na bok; nie mogąc wcale ustać na nogach, musieliśmy pozostać nadal przywiązani. Z tego powodu spędziliśmy ten dzień niewygodnie i w ogromnie posępnym nastroju. W południe słońce stanęło prawie prostopadle nad nami i nie ulegało wątpliwości, że gnani różnymi wiatrami północnymi i północno-zachodnimi dopłynęliśmy w pobliże równika. Pod wieczór ukazało się kilka rekinów. Jeden z nich, szczególnie wielki, zbliżał się do nas tak zuchwale, żeśmy się porządnie zlekli. Raz potężny bałwan zanurzył wrak głęboko pod wodę i wtedy potwór znalazł się literalnie nad naszymi głowami, zaczepił o luk kajutowy i potężnie walnął Petersa ogonem. Ku naszej wielkiej uldze nowa fala zepchnęła rekina z pokładu. Przy spokojniejszym morzu bylibyśmy go niezawodnie schwytali.

*26 lipca.* Ponieważ wiatr bardzo się zmniejszył, a morze tylko nieznacznie falowało, postanowiliśmy zająć się znowu wylawianiem zapasów ze spiżarni. Po całodziennych trudach przekonaliśmy się, że niczego już nie zdobędziemy. Podczas burzy bowiem usunęła się przegroda i wszystkie zapasy runęły do ładowni okrętu. Jak można się domyślić, odkrycie to wtrąciło nas w czarną rozpacz.

*27 lipca.* Morze jest prawie gładkie, lekka bryza nadal z północnego zachodu. Po południu pojawiło się słońce i zrobiło się bardzo gorąco, zajęliśmy się więc suszeniem odzieży. Kąpiel ugasiła nieco nasze pragnienie i znacznie nas pokrzepiła, musieliśmy jednak zanurzać się ogromnie ostrożnie z obawy przed rekinami, których mnóstwo widzieliśmy w ciągu dnia wokół wraku.

*28 lipca.* Nadal piękna pogoda. Wrak zaczął w tak zastraszający sposób kłaść się na bok, żeśmy się zlekli, aby nie przewrócił się dnem do góry. Zaczęliśmy się nawet przygotowywać na podobną ewentualność, aby nas wypadek nie zaskoczył. Przywiązaliśmy żółwia, dzban z wodą i dzbanki z oliwkami na zewnątrz naszego wraku, umieszczając je jak najdalej na nawietrznej, poniżej łańcuchów steru. Morze przez cały dzień gładkie jak lustro, wiatru nie było zupełnie albo bardzo słaby.

*29 lipca.* Pogoda nadal taka sama. Na zranionym ramieniu Augusta ukazały się symptomy gangreny. Uskarżał się na ociążałość i pragnienie, ale bólów nie odczuwał żadnych. Nie mogliśmy mu w żaden sposób pomóc, natarliśmy tylko jego rany sokiem z oliwek, ale to nie pomogło. Poza tym czyniliśmy dlań wszystko, co było w naszej mocy, i potroiliśmy jego rację wody.

*30 lipca.* Szczególnie upalny dzień bez śladu wiatru. Olbrzymi rekin towarzyszył nam przez całe przedpołudnie. Próbowaliśmy wielokrotnie pochwycić go na pętlę, ale bez skutku. Z Augustem coraz gorzej. Wskutek odniesionych ran i braku odpowiedniego pożywienia nikł nam w oczach. Modlił się wciąż o wyzwolenie ze swych męczarni, nie pragnąc niczego oprócz śmierci. Tego wieczoru spożyliśmy ostatnie oliwki i stwierdziliśmy, że woda w dzbanku jest tak nieświeża, że bez domieszki wina nie moglibyśmy jej w ogóle przełknąć. Postanowiliśmy zabić żółwia nazajutrz rano.

*31 lipca.* Po całej nocy trwogi i wyczerpania wskutek położenia wraku – zabraliśmy się do zabicia i poćwiartowania naszego żółwia. Okazał się mniejszy, niż się nam zdawał, choć dość tłusty. Mięsa otrzymaliśmy z niego nie więcej jak dziesięć funtów. Część mięsa odłożyliśmy na zapas i, aby się jak najdłużej w dobrym stanie przechowało, pokrajaliśmy na cienkie kawałki i ułożywszy w pozostałych nam dzbankach i butelce po winie, zalaliśmy octem z oliwek. W ten sposób odłożyliśmy trzy funty mięsa, dając sobie równocześnie słowo, że nie tkniemy tego zapasu, póki nie zjemy reszty. Postanowiliśmy zadowolić się czterema uncjami mięsa dziennie na osobę. W ten sposób zapas starczyłby nam na blisko trzynaście dni. Nad wieczorem lunął rześisty deszcz z błyskawicami i gromami, lecz trwał tak krótko, że zdołaliśmy zebrać ledwie pół kwarty wody. Za wspólną zgodą

oddaliśmy ją całą Augustowi, który zdawał się bliski śmierci. Sącyliśmy mu wodę w usta wprost z prześcieradła, w którym się zbierała, nie mieliśmy bowiem żadnego wolnego naczynia do zlewania jej. W butli było jeszcze wino, a w kamiennym dzbanku zepsuta woda. Do zbierania wody należałoby opróżnić butlę albo dzbanek.

Jak się zdaje, woda niewiele pomogła choremu. Ramię szerniało mu od przegubu po bark, a nogi miał zimne jak lód. Obawialiśmy się, że lada chwila skona. Był potwornie wychudły. Przy wyjeździe z Nantucket ważył sto dwadzieścia siedem funtów, a teraz chyba czterdzieści lub najwyżej pięćdziesiąt. Oczy miał głęboko zapadłe i ledwie je można było dostrzec, a skóra policzków obwisała mu tak dalece, że tylko z największą trudnością mógł żuć pokarm lub przełykać wodę.

*1 sierpnia.* Pogoda ciągle ta sama, ten sam spokój i duszący upał. Cierpieliśmy okropnie wskutek pragnienia, woda w dzbanku zaroila się od robactwa. Mimo to przełknęliśmy jej trochę zmieszanej z winem, lecz to niewiele pomogło. Bardzo nas za to pokrzepiła kąpiel w morzu, ale przeszkadzały nam rekiny okrążające bezustannie nasz wrak. Dla Augusta nie było już ratunku – widzieliśmy to jasno. Agonia była widoczna już od kilku godzin. Cierpiał, jak się zdaje, niesłuchanie, a nie można mu było w niczym ulżyć. Wreszcie około południa wyzionął ducha w strasznych konwulsjach, nie wyrzekłszy ani słowa. Śmierć jego napełniła nas najposepniejszymi myślami i oddziałała na nas tak przygnębiająco, żeśmy przez resztę dnia siedzieli bez ruchu przy zwłokach, zamieniając tylko z rzadka kilka słów szeptem. Dopiero z nastaniem nocy zdobyliśmy się na to, aby powstać i wyrzucić trupa poza burtę. Już teraz zwłoki wyglądały przerażająco; ich rozkład postąpił tak dalece, że gdy je Peters podnosił, jedna noga oderwała się od kadłuba i pozostała mu w ręku. Gdyśmy tę masę zgnilizny wrzucili wreszcie w morze, opłynął ją rozedrgany, fosforyczny odblask, przy którym ujrzeliśmy wyraźnie siedem czy osiem rekinów, jak się rzuciły na zdobycz. Trzask ich zębów, jaki się rozlegał przy rozszarpywaniu zwłok, słycać było pewnie na milę wokoło, a nas przejął on drzeniem głębokiej grozy.

*2 sierpnia.* Ta sama zastraszająca cisza i upał. Gdy zaczęło szarzeć, byliśmy w pożałowania godnym stanie moralnego i fizycznego wyczerpania.

Woda w dzbanku była nie do użycia, zamieniła się bowiem w gęstą, galaretowatą, pełną robactwa masę o obrzydliwym wyglądzie. Wypłukaliśmy dzbanek starannie w morzu, po czym włąliśmy doń nieco octu z marynowanego mięsa. Pragnienie było nie do zniesienia i na próżno próbowaliśmy ugasić je winem; napój ten działał na nas jak oliwa na ogień, z miejsca pojawiały się oznaki silnego zatrucia alkoholem. Próbowaliśmy mieszać wino z morską wodą, ale dostaliśmy od tego takich nudności, że nie powtórzyliśmy już tej próby po raz drugi. Dzień cały czekaliśmy z upragnieniem sposobności do kąpieli, ale wrak był obleżony przez rekiny, niezawodnie te same, które wczoraj zjadły naszego towarzysza. Teraz oczekiwały drugiej podobnej uczt. Ta sytuacja doprowadzała nas do rozpacz i budziła najgorsze obawy. Kąpiel zawsze ogromnie wzmacniała; być teraz obrabowanym z jedyne dobrodziejstwa, jakie pozostało, to więcej, niż mogliśmy znieść. Poza tym bezustannie byliśmy wystawieni na ogromne niebezpieczeństwo, gdyż każde pośliźgnięcie się, każdy fałszywy krok groził wpadnięciem prosto w paszcze żarłocznych bestii, które płynąc na zawietrznej, wyskakiwały niejednokrotnie wprost na nas. Na próżno wrzeszczeliśmy z całych sił, wymachując ramionami – potwory jakby tego nie widziały. Nawet kiedy Peters palnął największego z nich siekierą i ciężko zranił, potwór nie przestał się na nas rzucać. Nad wieczorem ukazała się chmura, ale ku naszej rozpacz zaraz rozplynęła się w dali, nie uroniwszy ani kropli deszczu. Niepodobna sobie wyobrazić okropnych mąk pragnienia, jakich wtedy doznawaliśmy. Wskutek tego, a także z obawy przed rekinami, przepędziliśmy całą noc bezsennie.

*3 sierpnia.* Żadnej nadziei ratunku. Wrak kładł się coraz bardziej i bardziej na bok, tak że nie mogliśmy już w ogóle stać na pokładzie. Przed wszystkim zajęliśmy się zabezpieczeniem wina i żółwiego mięsa, aby – gdy okręt się przewróci – nie załować poniewczasie. Wyciągnąwszy dwa grube sworznie z łańcucha, wbiliśmy je mocno siekierą w nawietrzną burtę statku, na wysokości jakich dwu stóp nad powierzchnią wody, to znaczy tuż koło kilu, bryg bowiem był bliski przewrócenia się. Do tych sworzni przywiązaliśmy nasze zapasy. Były tu lepiej zabezpieczone niż w poprzedniej pozycji. Przez cały dzień dręczyło nas okropne pragnienie i nie

mogliśmy się nawet wykąpać z powodu rekinów towarzyszących nam bez przerwy. Nie zmrużyliśmy oka.

*4 sierpnia.* Na krótko przed świtem spostrzegliśmy, że wrak zaczyna się przewracać, zaczęliśmy więc robić wszelkie możliwe wysiłki, aby przy tym obrocie nie utonąć. Z początku obrót odbywał się bardzo powoli i stopniowo, tak że udało się nam przepelznąć na nawietrzną do lin przywiązanych do sworzni, gdzie umieściliśmy zapasy. Nie obliczyliśmy jednak przyśpieszenia ruchu obrotowego, który był coraz szybszy, tak szybki, żeśmy nie mogli mu nadażyć – i zanim pojeśliśmy, co się stało, zostaliśmy strąceni w morze i zatopieni kilka sążni pod powierzchnią. Potężny kadłub statku kołysał się wprost nad nami.

Wpadając w wodę, puściłem linę, a gdy spostrzegłem, że jestem pod okrętem i że mnie wszystkie siły opuściły, przez kilka chwil nie uczyniłem najmniejszego wysiłku, by się ratować, i oczekiwałem tylko śmierci. Myliłem się jednak znowu, bom nie uwzględniłem naturalnego odskoku, jakiemu musiał ulec kadłub od podwietrznej. Oto gdy okręt odskoczył, woda zaczęła przecieć ku górze i powstały w ten sposób wir wyniósł mnie na powierzchnię szybciej jeszcze, niż mnie poprzednio zanurzył. Znalazłem się wtedy o jakich dwadzieścia łokci od wraku, który leżąc kilem do góry, kołysał się wściekle na obie strony. Morze wokoło było silnie wzburzone i pełne wirów. Petersa nie mogłem nigdzie zauważyć. Niedaleko mnie płynęła pusta baryłka, a tu i ówdzie dostrzegałem rozmaite przedmioty z brygu.

Co mnie teraz najbardziej niepokoiło, to rekiny. Aby je więc od siebie odstraszyć, płynąc ku wrakowi, pluskałem rękami i nogami, jak mogłem najmocniej, zakrywając się cały pianą. Nie wątpię, że temu prostemu manewrowi zawdzięczam moje ocalenie. Przed wywróceniem się statku tak się naokoło mrowiło od tych bestii, że nie czując tego, musiałem się o nie prawie ocierać w czasie mojej przeprawy. Los był mi jednak przychylny i dopłynąłem do okrętu bez przeszkody, żywy i zdrów, byłem jednak tak wyczerpany, że nigdy nie zdołałbym wdrapać się na statek, gdyby nie pomoc Petersa, który się tam już jakimś cudem znajdował i rzucił mi koniec liny – jednej z dwu lin, któreśmy przymocowali do sworzni.

Ledwieśmy ochłonęli po owych niebezpieczeństwach, gdy stanęło przed nami inne groźne widmo: głód. Wszystkie nasze zapasy mimo starannego



zabezpieczenia zostały zmyte, a że o zdobyciu innych i mowy być nie mogło, oddaliśmy się obaj najgłębszej rozpacz, płacząc głośno jak dzieci i nie usiłując wcale dodawać sobie nawzajem otuchy. Taką rozpacz trudno sobie uzmysłować. I dla tych, którzy nigdy nie znaleźli się w podobnych warunkach, wyda się to w istocie nienormalne. Ale trzeba przecież pamiętać, że nasza świadomość podlegała tylu zaburzeniom w ciągu długiego okresu niedostatku i obaw o życie, jakie było naszym udziałem, iż trudno nas oceniać jak inne rozumne istoty. We wszystkich niebezpieczeństwach, które w przyszłości miały stać się moim udziałem, a wielkością swoją dorównywały, jeśli nie przewyższały obecne, okazałem hart ducha wobec wszelkich przeciwności losu, a Peters – jak to się okaże – ujawnił stoicką filozofię tak niewiarygodną, jak i obecna dziecięca głupota i bezmyślność. Cała różnica polegała właśnie na stanie naszych umysłów.

Przewrócenie się brygu i wynikająca stąd utrata wina i żółwiego mięsa nie pogorszyły zbyt naszej sytuacji – wyjąwszy oczywiście stratę prześcieradła, w które łapaliśmy wodę deszczową, i dzbanka, w który ją zbieraliśmy – całe dno bowiem i boki okrętu aż do kilu pokryte były grubą warstwą mięczaków, które okazały się nadzwyczaj pożywne i znakomite w smaku. Tak zatem w dwu punktach wypadek, z początku tak groźny, przyniósł nam raczej korzyść niż szkodę. Dostarczył nam obfitej żywności na cały miesiąc i zmienił położenie statku na daleko wygodniejsze i bezpieczniejsze.

Sama jednak trudność zdobycia wody czyniła nas ślepych na wszystkie dogodności nowego położenia. Zdjęliśmy z siebie koszule, aby ich w razie deszczu używać tak jak poprzednio prześcieradła, wiedzieliśmy jednak, że przy najbardziej sprzyjających okolicznościach nie zdobędziemy więcej niż jedna ósma kwarty naraz. Dzień nie przyniósł ani jednej chmurki, a pragnienie stawało się nie do zniesienia. W nocy Peters znalazł godzinę spokojnego snu – mnie pragnienie nie pozwoliło zmrużyć oczu ani na chwilę.

*5 sierpnia.* Łagodna bryza poniosła nas między wodorosty, gdzieśmy złowili jedenaście małych krabów. Zjedliśmy je z ogromnym apetytem, wraz ze skorupami, były bowiem bardzo miękkie – i stwierdziliśmy, że znacznie mniej zaostrzają nasze pragnienie niż mięczaki. Widząc, że między

wodorostami nie ma rekinów, zaczęliśmy się kąpać. Spędziliśmy cztery do pięciu godzin w wodzie, co nam niezmiernie ulżyło i zmniejszyło trawiące nas pragnienie. Znakomicie odświeżeni spędziliśmy tę noc znacznie lepiej niż poprzednią, a nawet cokolwiek spaliśmy.

*6 sierpnia.* Tego dnia spadł wreszcie błogosławiony deszcz trwający od rana do zmroku. Żałowaliśmy teraz gorzko utraty dzbana i butli, na pewno napełnilibyśmy je po brzegi. Musieliśmy się więc zadowolić w inny sposób: kładliśmy nasze koszule na deszczu, a gdy zupełnie nasiąkły wodą, wykręcaliśmy je sobie wprost do ust, rozkoszując się błogim napojem. Na tym zajęciu spędziliśmy cały dzień.

*7 sierpnia.* Równo ze świtem obaj równocześnie ujrzeliśmy na wschodzie żagiel płynący prosto w naszą stronę. Powitaliśmy go długim, choć słabym okrzykiem radości i zaczęliśmy dawać najrozmaitsze znaki, aby zwrócić na siebie uwagę załogi. Powiewaliśmy koszulami i skakaliśmy jak najwyżej, krzycząc równocześnie z całych sił, mimo że okręt był oddalony najmniej o piętnaście mil. Żeglował jednak konsekwentnie w naszą stronę i zbliżał się coraz bardziej, nie ulegało więc wątpliwości, że dostrzec nas musi. W godzinę później widzieliśmy już wyraźnie ludzi na jego pokładzie. Był to długi, niski szkuner o licznej, jak się zdawało, załodze. Teraz ogarnął nas śmiertelny niepokój, że jakkolwiek zostaliśmy zauważeni, kapitan gotów jest nas jednak ominąć i zostawić swemu losowi. Chociaż nieprawdopodobne się wydają podobne akty okrutnego barbarzyństwa, niemniej zdarzały się czasem na morzach, i to w bardzo podobnych okolicznościach, z woli istot roszcących sobie pretensje do miana ludzi<sup>1</sup>. Tym razem jednak dzięki Bogu nie spełniły się nasze obawy, gdyż nagle dostrzegliśmy poruszenie na pokładzie. Wywiesiwszy banderę Wielkiej Brytani, okręt płynął prosto ku nam. W pół godziny potem byliśmy już w kajucie. Szkuner nazywał się „Jane Guy”, płynął pod kapitanem Guyem z Liverpoolu na połów fok i podróż pionierską po Pacyfiku i morzach południowych.

## Rozdział XIV

„Jane Guy” był to piękny szkuner o stu osiemdziesięciu tonach pojemności i niezmiernie wydłużonym dziobie. Przy umiarkowanym wietrze

mało który okręt dorównywał mu w szybkości. Mniej się jednak nadawał do dalekich podróży, gdyż miał za wysoki kil, jeśli się weźmie pod uwagę cel, do którego go przeznaczono. Do połowu fok lepszy jest większy statek, lekko zbudowany, powiedzmy – o pojemności trzystu do trzystu pięćdziesięciu ton, trzymasztowy na wzór barek, a nie konstrukcji używanej w żegludze na morzach południowych. Konieczne jest również odpowiednie uzbrojenie. Statek taki powinien mieć, powiedzmy, dziesięć albo dwanaście karronad dwunastofuntowych oraz dwa albo trzy długie działa, a na każdym pokładzie wodoszczelne komory amunicyjne. Kotwice i łańcuchy także powinny posiadać większą moc, niż to jest potrzebne w innych wypadkach i typach okrętów, a poza wszystkim załoga musi być większa i bardziej kwalifikowana, czyli na okręcie powyżej przeze mnie opisanym nie może być mniej niż pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu pełnowartościowych ludzi. „Jane Guy” miała, nie licząc kapitana ni pierwszego oficera, trzydziestu pięciu ludzi załogi – samych wyszkolonych żeglarzy, ale nie była w tym stopniu uzbrojona i wyekwipowana, jakby mógł sobie życzyć człowiek znający trudności i niebezpieczeństwa żeglugi.

Kapitan Guy był niezmiernie miły i dystyngowany, znakomicie obeznany z warunkami handlu na południowych morzach, gdyż większą część życia poświęcił temu zajęciu. Brakło mu jednak energii i ducha przedsiębiorczości, które są tu absolutnie niezbędne. Był współwłaścicielem statku i miał nieograniczone pełnomocnictwa. Miał pływać we wszystkich kierunkach i ładować statek wedle upodobania.

Szkuner opuścił Liverpool dziesiątego lipca, dwudziestego piątego przepłynął zwrotnik Raka, dwudziestego dziewiątego zaś zarzucił kotwicę w Sal, na jednej z Wysp Zielonego Przylądka, gdzie zaopatrzył się w sól i inne niezbędne artykuły do podróży. Trzeciego sierpnia opuścił Zielony Przylądek i skierował się na południowy zachód, ku Brazylii, tak że przebył równik między 28° a 30° długości zachodniej. Jest to zwykła droga statków żeglujących z Europy do Przylądka Dobrej Nadziei lub też dalej, do Indii Wschodnich. Trzymając się szlaku, unika się cisz i silnych prądów przeciwnych, stale panujących u wybrzeży Gwinei, i można skorzystać z nigdy nie zawodzących wiatrów zachodnich, z których pomocą łatwo osiągnąć Przylądek. Jest to zatem droga najkrótsza. Kapitan Guy

postanowił, z nieznanego mi powodu, zatrzymać się najpierw na Kerguelen. Tego dnia, w którym nas wyłowiono, szkuner minął Przylądek Św. Rocha i znajdował się na 31° długości zachodniej, to znaczy, że w czasie naszej mimowolnej wędrówki na wraku przebyliśmy nie mniej jak pięć stopni i dwadzieścia minut z północy na południe!

Na pokładzie „Jane Guy” przyjęto nas tak gościnnie, jak tylko tego wymagało nasze opłakane położenie. W ciągu czternastu dni – płynęliśmy przez ten czas przy pięknej pogodzie ciągle ku południowi – wraz z Petersem wyleczyliśmy się ze skutków naszych przygód. Nie chcieliśmy wprost wierzyć, by przeżyte przez nas okropności były rzeczywistością, i uważaliśmy je raczej za straszny sen. Jak to później stwierdziłem, zapomnienie takie jest częstym skutkiem nagłego przejścia od smutku do radości lub odwrotnie, a stopień zapomnienia stoi zazwyczaj w stosunku wprost proporcjonalnym do siły kontrastu. Ja na przykład nie byłem w stanie uprzytomnić sobie pełni swoich cierpień. Choć przypominałem sobie wypadki, nie pamiętałem wrażenia, jakie na mnie wywierały. Wiedziałem tylko, że w miarę jak po sobie następowały, byłem za każdym razem zdania, że nic już gorszego spotkać mnie nie może.

Przez kilka tygodni nie wydarzyło się nam nic ważniejszego poza przypadkowymi spotkaniami ze statkami wielorybniczymi lub też czarnymi (czyli właściwymi) wielorybami, nazywanymi tak dla odróżnienia od spermaceti, które spotyka się zwykle na południe od dwudziestego piątego równoleżnika. Dopiero szesnastego września, już w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei, szkuner wpadł w pierwszą od wyjazdu z Liverpoolu większą burzę. W tych okolicach, a zwłaszcza na południe i na wschód od Przylądka (my znajdowaliśmy się po zachodniej stronie), żeglarze często muszą walczyć z burzami północnymi, które srożą się ze wściekłą furją. Łączą się one zawsze z wielką falą, a przy tym cechują je bardzo niebezpieczne gwałtowne zmiany kierunku wiatru, co następuje zwykle w kulminacyjnym punkcie burzy. W jednej chwili może dać huragan z północy albo północnego wschodu, a w następnej nie odczuje się nawet jednego powiewu z tego kierunku, natomiast wiatr z niewiarygodną wprost siłą uderza z południowego zachodu. Symptodem poprzedzającym to zjawisko

jest jasna plama na niebie, na południu, i to umożliwia załogom statków podjęcie niezbędnych środków ostrożności.

Było koło godziny szóstej rano, gdy uderzył w nas, jak zwykle z północy, biały szkwał. O ósmej wzrósł niebezpiecznie na sile i miotał na nas najokropniejsze fale, jakie kiedykolwiek widziałem. Na statku wszystko w miarę możliwości przygotowano do burzy, ale szkuner źle się trzymał, wykazując poważne braki konstrukcyjne: utykał dziobem w każdej prawie fali i zanim się spod niej z największą trudnością wynurzył, zalewała go następna. Przed samym zachodem słońca ludzie, którzy specjalnie w tym celu stali na obserwacji, dostrzegli w południowo-zachodniej stronie nieba ową jasną plamę i w godzinę potem mały sztaksel, pod którym szliśmy, zatrzepotał bezwładnie o maszt. W dwie minuty później, mimo wszelkich przygotowań, leżeliśmy całkowicie na jednej burcie, a masa spienionej wody przeszła przez nas na poprzek. Na szczęście uderzenie wiatru z południowego wschodu trwało tylko chwilę i bez żadnych szkód udało się nam podnieść statek do właściwego położenia. Jeszcze kilka godzin później niepokoiła nas ciężka fala, ale nad ranem znajdowaliśmy się w prawie tak dobrym stanie, jak przed burzą. Kapitan Guy był zdania, że tylko cudem uniknęliśmy śmierci.

Trzynastego października dopłynęliśmy do Wyspy Księcia Edwarda, na 46°53' szerokości południowej i 37°46' długości wschodniej. W dwa dni później byliśmy w pobliżu Wyspy Zdobycznej, okrążyliśmy Wyspy Crozeta na 42°59' szerokości południowej i 48° długości wschodniej, wreszcie osiemnastego osiągnęliśmy Wyspę Kerguelena w południowej części Oceanu Indyjskiego. Tu zarzuciliśmy kotwicę w Porcie Bożego Narodzenia, na głębokości czterech sążni.

Wyspa ta, a raczej grupa wysp, znajduje się na południowy wschód od Przylądka Dobrej Nadziei i jest od niego odległa o prawie osiemset mil morskich. Odkryta została w roku 1772 przez barona de Kerguelena czy też Kergulena, Francuza, który myśląc, iż ma przed sobą nowy południowy kontynent, powiózł wiadomość tej treści do Francji, co w owym kraju wywołało wielkie poruszenie. Rząd, przemyślawszy sprawę, następnego roku wysłał barona w ponowną podróż w celu dokładnego zbadania faktu. Wtedy też pomyłka Kerguelena wyszła na jaw. W roku 1777 kapitan Cook

trafił na tę samą grupę wysp i najważniejszej z nich nadał miano Posepnej, na które ona wielce zasługuje. Jednakże podróżnik zbliżający się do lądu może mieć zupełnie inne wyobrażenie, gdyż zbocza wielu wzgórz od września do marca pokryte są żywą zielenią. Ten wprowadzający w błąd widok zawdzięczać należy karłowatej roślinie z rodziny mchów, która bujnie pokrywa przegniłe warstwy mchów z lat poprzednich. Poza tą jedyną zielenią trudno na wyspie znaleźć ślady innej roślinności, z wyjątkiem rzadkiej ostrej trawy w pobliżu zatok, jakiejś paproci i krzewów zbliżonych wyglądem do wybujałego nasiennego pędu kapusty. Liście tych krzewów są gorzkie i kwaskowate w smaku.

Ukształtowanie wyspy jest górzyste i chociaż żadnego ze wzgórz nie można nazwać wysokim, wierzchołki pokryte są wiecznym śniegiem. Wyspa posiada wiele dogodnych do kotwiczenia zatok, z których najlepszy jest Port Bożego Narodzenia. Znajduje się on na północnym wybrzeżu, jako pierwsza zatoka po minięciu Przylądka Franciszka, płynąc kursem na północny wschód. Bardzo ciekawe ukształtowanie północnego brzegu wyspy służy jako znakomity drogowskaz do zatoki, która otoczona jest wysokim przylądkiem skalnym. Wejście do zatoki znajduje się dokładnie na 48°40' szerokości południowej i 69°6' długości wschodniej. Dobre miejsce zakotwiczenia znaleźć można pod osłoną jednej z wielu małych wysepek, które z powodzeniem chronią przed wschodnim wiatrem. Płynąc w kierunku wschodnim od jednego z tych miejsc zakotwiczenia, wpływa się do Zatoki Komarów, która stanowi najlepszą przystań Portu Bożego Narodzenia. Statek zanurzony cztery sążnie może tam śmiało wejść i znaleźć odpowiednie miejsce do rzucenia kotwicy nawet na dziesięć sążni, a począwszy od trzech. Dno zatoki jest gliniaste, a sama zatoka całkowicie zasłonięta od morza. Każdy okręt może tam stać na kotwicy rok cały bez najmniejszego ryzyka. Od strony zachodniej do zatoki wypływa źródło świętej wody, którą łatwo jest pobierać.

Na Wyspie Kerguelena po dziś dzień znaleźć można jeszcze pewne gatunki fok oraz słoni morskich. Ptactwa znajduje się tam mnóstwo najrozmaitszego gatunku. Wiele także pingwinów, i to czterech rozmaitych odmian. Największym z nich jest pingwin królewski, nazwany tak z powodu wspaniałego upierzenia. Górną część korpusu ma przeważnie szarą, a

czasem z lekkim odcieniem fioletu, podbrzusze zaś śnieżnobiałe. Łeb ma błyszczący i czarny, w tej samej barwie łapy. Najpiękniejsze w tym upierzeniu są jednak szerokie pasma złotych piór od głowy do podgardla. Dziób królewskiego pingwina jest zawsze długi, o barwie różowej bądź jaskrawego szkarłatu. Ptaki te chodzą wyprostowane i noszą się iście po królewsku. Trzymają wysoko głowy, skrzydła opuszczone niby para ramion. A kiedy skrzydła te stykają się z tyłu, podobieństwo do człowieka ubranego we frak jest uderzające i może oszukać każdego, kto przygląda się tym ptakom o wieczornym zmroku. Królewskie pingwiny, które napotkaliśmy na Wyspie Kerguelena, są nieco większe od gęsi. Pozostałe trzy odmiany są znacznie mniejsze, mają upierzenie mniej piękne i w ogóle wyglądają zupełnie inaczej.

Poza pingwinami na wyspie znajduje się wiele gatunków innego ptactwa, z których wymienić by należało kurki morskie, niebieskie petrele, cyranki i inne kaczki, dzikie kury, gołębie, jaskółki morskie, mewy i rybitwy, gęsi, wielkie petrele, no i albatrosy.

Wielki petrel nie ustępuje wielkością zwykłemu albatrosowi i jest mięsożerny, często go też nazywają „łamikość”; petrelowi nie brak odwagi. Kiedy dobrze je przyrządzić, są smacznym pokarmem. Często fruwać tuż nad samą powierzchnią morza, trzymając szeroko rozwinięte skrzydła, i wydaje się wtedy, że wcale nimi nie poruszają ani nie dokonują najmniejszego wysiłku, unosząc się w powietrzu.

Albatros jest jednym z największych i najokrutniejszych ptaków południowych mórz. Należy do rodziny mew i zdobycz swoją unosi na skrzydle. Na ląd zstępuje tylko w celu wysiadywania jaj. Bardzo dziwna przyjaźń istnieje między tym ptakiem a pingwinem. Gniazda zakładają nieodmiennie według tych samych zasad, zgodnie z planem powstałym widocznie w wyniku porozumienia między tymi dwoma gatunkami: gniazdo albatrosa znajduje się zawsze pośrodku kwadratu wyznaczonego gniazdami czterech pingwinów. Kapitanowie żeglugi przywykli określać takie zbiorowisko gniazd albatrosów i pingwinów łęgowiskiem. Często już opisywano takie łęgowiska, ale być może wielu czytelników nigdy nie miało okazji z tym się zapoznać i, jako że w przyszłości będę miał jeszcze okazję

mówić o pingwinach i albatrosach, nie będzie źle, jeśli od razu coś wspomnę o ich zwyczajach.

Kiedy zbliża się okres lęgu, ptaki zbierają się w wielkich gromadach i przez wiele dni jak gdyby obradują nad najlepszą metodą przystąpienia do dzieła. Wybrany zostaje wreszcie teren płaski, przeważnie o powierzchni trzech czy czterech akrów, i położony możliwie najbliżej morza, a jednak poza zasięgiem jego fal. Miejsce wybrane, jak powiedziałem, musi być jak najbardziej płaskie, a także możliwie mało zaśmiecone kamieniami. Skoro to już jest ustalone, ptaki rozpoczynają jednocześnie i jakby pod kierunkiem jednej myśli wytyczać z matematyczną dokładnością albo kwadrat, albo trapez, w zależności od tego, co bardziej odpowiada ukształtowaniu terenu. Tak wytyczona przestrzeń akurat mieści tę ilość ptaków, które się uprzednio zebrały, a to prawdopodobnie w tym celu, aby uniemożliwić przyszłym opieszalym przybyszom wykorzystanie owoców pracy pozostałych. Jedna krawędź wytyczonego placu biegnie równoległe do brzegu morza i pozostaje otwartą jako wyjście i wejście.

Określiwszy granice lęgowiska, całe bractwo zabiera się do oczyszczenia terenu z jakiegokolwiek śmiecia, kamień po kamieniu wynosząc tuż poza wytyczone linie, aby powstał wał po trzech bokach odleglejszych od morza. Powierzchnia wewnątrz tego wału jest płaska, a przez środek prowadzi aleja szerokości sześciu do ośmiu stóp, która ma służyć jako wspólne miejsce promenady.

Następną fazą pracy jest podzielenie pozostałej powierzchni na mniejsze kwadraty równej wielkości. Osiąga się to przez wytyczenie w poprzek i wzdłuż całego lęgowiska wąskich ścieżek, przecinających się pod kątem prostym. Na każdym skrzyżowaniu ścieżek zakłada sobie gniazdo albatros, natomiast w środku powstałych kwadratów znajduje się gniazdo pingwina. W ten sposób każde gniazdo albatrosa otoczone jest czterema gniazdami pingwinów, a każde gniazdo pingwina czterema gniazdami albatrosów. Gniazdo pingwina to bardzo płytka dziura w ziemi, zagłębiona właściwie tylko tyle, aby mieściło się tam bezpiecznie przed wytoczeniem jedno jajko. Albatrosy uciekają się do bardziej skomplikowanej konstrukcji, wznosząc pagórki wysokie na stopę i dwie stopy szerokie. Budują je z ziemi, traw morskich i muszli. Wreszcie na samym wierzchołku znajduje się gniazdo.



W okresie lęgu żadne z gniazd nawet na chwilę nie jest opuszczane, a i potem nie, aż do czasu, kiedy małe są dostatecznie silne, by same sobie dać radę. Podczas gdy ojciec udaje się na zdobywanie pożywienia, matka pełni straż i tylko po powrocie samca oddala się na przechadzkę. Jaj nie pozostawia się ani na chwilę odkrytych. Jeśli matka wychodzi, ojciec, który spoczywa tuż obok, natychmiast przykrywa jajo. Wszystkie te środki ostrożności są konieczne ze względu na skłonności do kradzieży, które są częste w lęgowisku. Każdy z sąsiadów bez żadnych skrupułów przy pierwszej lepszej okazji gotów jest ukraść cudze jajko.

Chociaż znaleźć można lęgowiska, gdzie jedynymi mieszkańcami są albatros i pingwin, to jednak w większości przyjmowane są inne gatunki ptactwa morskiego, i to na pełnych prawach obywatelstwa. (Ich gniazda porozrzucane są tu i tam, gdzie tylko znajdzie się wolna przestrzeń, jednakże nigdy nie zawadzają one gniazdom pingwinów i albatrosów). Widok z morza na takie lęgowisko jest w istocie zdumiewający. Powietrze ponad nim cały czas gęste jest od wielkiej ilości albatrosów i mniejszych ptaków, które latają w tę i w tamtą stronę, bądź ku morzu, bądź z powrotem. Jednocześnie widzi się tłum pingwinów, idących w jedną i drugą stronę małymi alejkami bądź przechadzających się wojskowym krokiem, tak dla nich charakterystycznym, po głównej promenadzie lęgowiska. Można na to wszystko spoglądać z różnym nastawieniem, ale zawsze zdumiewać nas będzie rozsądek tych upierzonych istot, który zadziwiać musi każdego myślącego człowieka.

Następnego ranka po naszym przybyciu do Portu Bożego Narodzenia pierwszy oficer Patterson kazał spuścić szalupy, zamyślając udać się na połów cieląt morskich (choć pora była jeszcze trochę za wczesna). Kapitana oraz jego młodego siostrzeńca wysadzono na jałowym cyplu u zachodniego wybrzeża, gdzie mieli do załatwienia jakieś nieznane mi bliżej sprawy. Kapitan Guy zabrał ze sobą butelkę z zapieczętowanym wewnątrz listem i udał się na najwyższy pagórek, chcąc prawdopodobnie złożyć tam pismo dla statku, który miał później nadpłynąć. Kiedyśmy go stracili z oczu (znajdowaliśmy się z Petersem w łodzi pierwszego oficera), popłynęliśmy wzdłuż brzegów w poszukiwaniu fok. Trzy tygodnie straciliśmy na przeglądaniu każdego kąta nie tylko Wyspy Kerguelena, ale i innych

wysepek w sąsiedztwie. Nasze zajęcie nie przyniosło nam większych korzyści. Widzieliśmy dużo fok odpowiednich na futra, ale były tak płochliwe, że po niesłychanych wysiłkach udało nam się zdobyć zaledwie trzysta pięćdziesiąt skór. Słoni morskich było wprawdzie bez liku, ale udało się nam złowić tylko dwadzieścia sztuk, i to z wielkim trudem. Na małych wysepkach widzieliśmy sporo fok włochatych, ale tych nie zaczepialiśmy. 11 listopada powróciliśmy wreszcie z naszą zdobyczą na pokład szkunera, gdzie oczekiwał nas już kapitan Guy ze swym siostrzeńcem. Sprawozdanie ich o wnętrzu wyspy brzmiało bardzo niepomyślnie – była to najposępniejsza i najnieurodzajniejsza okolica w świecie. Ponieważ drugi oficer nie zrozumiał wydanego mu polecenia, iż ma przysłać po nich łódź ze szkunera, spędzili dwie noce pod gołym niebem.

## Rozdział XV

12 listopada wyruszyliśmy z Portu Bożego Narodzenia pod pełnymi żaglami, płynąc ku zachodowi tą samą drogą, którą przybyliśmy, i zostawiając po lewej stronie wyspę Marion należącą do Wysp Crozeta. W ten sam sposób minęliśmy Wyspę Księcia Edwarda i sterując bardziej ku północy, dopłynęliśmy po dwóch tygodniach do wysp Tristan da Cunha.

Tę dziś powszechnie znaną, z trzech okrągłych wysp złożoną grupę odkryli Portugalczycy, a następnie odwiedzili później Holendrzy w 1643 i Francuzi w 1767 roku. Owe trzy wyspy tworzą razem trójkąt i są rozdzielone od siebie wygodnymi kanałami szerokości około dziesięciu mil. Wszystkie są wyżynne, zwłaszcza zaś właściwa Tristan da Cunha. Jest ona zarazem największą z nich, liczy piętnaście mil obwodu i sterczy tak wysoko nad powierzchnią morza, że przy pięknej pogodzie można ją dojrzeć z odległości osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu mil. Część lądu od strony północnej wznosi się prostopadle z morza na tysiąc stóp i na tej wysokości niby stół biegnie w głąb wyspy, pokrywając prawie całą jej powierzchnię. Z równiny tej wznosi się samotnie jeden stożek podobny do Teneryfy. Dolna jego część porośnięta jest drzewami sporej wielkości, natomiast górne rejony są gołą skałą, przeważnie spowitą chmurami i przez większą część roku okrytą śniegiem. W pobliżu wyspy nie ma płycizn i innych

niebezpieczeństw, brzegi są silne, a woda przy nich głęboka. Na północno-zachodnim wybrzeżu znajduje się zatoka z plażą o czarnym piasku, gdzie lądowanie łodziami jest dosyć łatwe, pod warunkiem, że wiatr dmie południowy. Na wyspie jest pełno doskonałej wody słodkiej, do której dostęp nie sprawia trudności. U brzegu łowić można różnorodność ryb zwykłą wędką.

Druga co do wielkości i najbardziej wysunięta na zachód wyspa nazywa się Nieprzystępna. Leży dokładnie na 37°17' szerokości południowej i 12°24' długości zachodniej. Ma siedem do ośmiu mil obwodu, a wszystkie jej brzegi są niedostępne i strome. Jest to płaskowyż, całkowicie jałowy, nie rośnie tu nic poza karłowatymi krzakami.

Wyspa Słowicza, najmniejsza i najbardziej na południe położona, leży na 37°26' szerokości południowej i 12°12' długości zachodniej. U jej południowego cypla ciągnie się rząd skalistych wysepek (kilka podobnych znajduje się po stronie północnej). Ziemia jest skalista i jałowa, a głęboka dolina dzieli wyspę na dwie części.

Wybrzeża tych wysp obfitują w różne gatunki fok i mnóstwo ptaków. W okolicy jest dużo wielorybów. Łatwość połowu ściąga ku wyspom od czasu ich odkrycia bardzo wielu żeglarzy. Holendrzy i Francuzi przybywają tu od bardzo dawna. W roku 1790 niejaki kapitan Patten z Filadelfii na statku „Przemysł” pozostawał w okolicy przez siedem miesięcy (od sierpnia do kwietnia 1791 roku), polując na foki. Uzbierał nie mniej niż pięć tysięcy sześćset skór, a zapewniał, że w ciągu trzech tygodni mógłby naładować tranem największy choćby okręt. Przebywając tu, nie widział żadnych czworonogów oprócz nielicznych dzikich kóz; teraz wyspa obfituje we wszystkie najbardziej pożyteczne zwierzęta domowe, sprowadzone tu przez następców Pattena.

O ile wiem, w niedługi czas potem kapitan Colquhoun z amerykańskiego brygu „Betsey” zatrzymał się dla wypoczynku na największej z wysp. Sadził on cebulę, ziemniaki, kapustę i wiele innych jarzyn, które teraz spotyka się tu w obfitości.

W roku 1811 niejaki kapitan Haywood na statku „Nereus” odwiedził wyspy Tristana. Znalazł trzech Amerykanów trudniących się garbowaniem foczych skór i wyciskaniem tranu, a jeden z nich, Jonathan Lambert, sam się koronował na króla tego kraju. Wykarczował i uprawił około

sześćdziesięciu akrów ziemi z zamiarem założenia plantacji kawy i trzciny cukrowej (w sadzonki zaopatrzył go poseł amerykański w Rio de Janeiro). Amerykanie jednak opuścili tę osadę i w roku 1817 wyspy objął w posiadanie rząd brytyjski, który w tym celu wysłał oddział wojska z Przylądka Dobrej Nadziei. Jednakże wojsko nie utrzymało się długo; tylko po ogłoszeniu wysp za posiadłość brytyjską osiedliły się tam dwie czy trzy angielskie rodziny bez wiedzy rządu. Dwudziestego piątego marca 1825 roku kapitan statku „Berwick”, pan Jeffrey, płynąc z Londynu do Ziemi van Diemena, znalazł na wyspie Anglika nazwiskiem Glass, byłego kaprała artylerii, który uważał się za gubernatora wyspy i miał za podwładnych dwudziestu jeden mężczyzn i trzy kobiety. Zdał on bardzo pozytywne sprawozdanie o zdrowym klimacie i urodzajności gleby. Ludność zajmowała się preparowaniem skór foczych i tranu, które sprzedawano na Przylądku Dobrej Nadziei dzięki temu, że Glass miał swój szkuner. W czasie naszego pobytu gubernator jeszcze rezydował, a ilość jego podwładnych wzrosła i wynosiła sześćdziesiąt pięć głów, nie licząc małej osady na Wyspie Słowiczej, gdzie żyło siedem osób. Bez żadnych trudności zaopatrzyliśmy się we wszelkiego rodzaju zapasy – owce, świnie, woły, ptactwo, najróżnorodniejsze ryby i jarzyny. Zarzuciwszy kotwicę na głębokości osiemnastu sążni w pobliżu największej z wysp, mogliśmy wszystko wygodnie ładować na pokład. Kapitan Guy kupił również od Glassa pięćset skór foczych i nieco fiszbinu. Pozostaliśmy tu przez tydzień. Pogoda była nieco mglista, wiatry przeważnie z północy i północnego zachodu. Piątego listopada wyruszyliśmy w kierunku południowo-zachodnim, z zamiarem dokonania poszukiwań grupy wysp znanych pod nazwą Wysp Aurory, co do których istnienia panowały bardzo sprzeczne opinie.

Podobno wyspy te odkrył jeszcze w 1762 roku kapitan okrętu „Aurora”. W roku 1790 kapitan Manuel de Oyarvido na hiszpańskim statku „Księżniczka” przepłynął między tymi wyspami albo przynajmniej tak twierdził. W roku 1794 korweta hiszpańska „Atrevida” wyruszyła w celu ustalenia dokładnego położenia Wysp Aurory. W publikacji Królewskiego Towarzystwa Hydrograficznego z roku 1809 mówi się między innymi o tej ekspedycji: „Korweta »Atrevida« od dwudziestego pierwszego do dwudziestego siódmego stycznia krążyła w bezpośredniej bliskości wysp,

prowadząc konieczne obserwacje i za pomocą chronometrów przeprowadzała pomiary, usiłując ustalić różnicę w długości geograficznej między tymi wyspami a portem Soledad na Manilach. Grupa składa się z trzech wysp, leżą one prawie na tym samym południku; centralna wyspa jest dość płaska, dwie pozostałe znajdują się od niej w odległości około dziewięciu mil”. Obserwacje dokonane z pokładu „Atrevidy” pozwoliły na dokładne określenie położenia geograficznego każdej z tych wysp. Dane te są następujące: 52°37'24” szerokości południowej, 47°43'15” długości zachodniej dla wyspy najbardziej wysuniętej na północ; środkowa leży pod 53°2'40” szerokości południowej, 47°55'15” długości zachodniej; południowa – pod 53°15'22” szerokości południowej, 47°57'15” długości zachodniej.

Dwudziestego siódmego stycznia 1820 roku kapitan James Weddell z marynarki brytyjskiej również wyruszył na poszukiwanie Wysp Aurory. Stwierdza on, że przeprowadził jak najdokładniejsze poszukiwania i nie tylko osiągnął punkty wskazane przez komendanta „Atrevidy”, ale krążył we wszystkich kierunkach po okolicy, jednak nie znalazł żadnych śladów lądu. Te sprzeczne ze sobą relacje pobudziły różnych żeglarzy do poszukiwania Wysp Aurory i, o dziwo, gdy jedni zbadali każdy cal morza w okolicy, gdzie jakoby miały się one znajdować, i nic nie znaleźli, inni twierdzą, że rzeczywiście widzieli wyspy, a nawet podpłynęli blisko do ich brzegów. Kapitan Guy miał zamiar dołożyć wszelkich starań, by wyjaśnić tę sporną kwestię<sup>2</sup>.

Trzymaliśmy kurs na południowy zachód przy zmiennej pogodzie, póki nie znaleźliśmy się w kwestionowanej okolicy, osiągając 53°15' szerokości południowej, 47°58' długości zachodniej – to znaczy bardzo blisko miejsca, na którym rzekomo znajduje się najbardziej południowa z Wysp Aurory. Nie dostrzegając żadnych śladów lądu, posuwaliśmy się dalej na zachód wzdłuż pięćdziesiątego trzeciego równoleżnika, póki nie osiągnęliśmy pięćdziesiątego trzeciego stopnia długości zachodniej. Potem wróciliśmy ku północy aż do pięćdziesiątego drugiego równoleżnika i płynęliśmy na wschód, przeprowadzając dwa razy w ciągu doby dokładne pomiary naszego położenia geograficznego. Osiągnąwszy w ten sposób na wschodzie ten sam południk, który przechodzi przez zachodnie wybrzeże Georgii, płynęliśmy wzdłuż niego, póki nie dotarliśmy znowu do punktu wyjścia. Następnie

poczęliśmy robić skośne kursy na całej opisanej wyżej przestrzeni, w ciągu trzech tygodni prowadząc baczna obserwację z bocianiego gniazda, przy czym przez cały czas utrzymywała się piękna pogoda bez żadnej mgły. Mogliśmy niezbitnie stwierdzić, że jeśli kiedykolwiek istniały jakieś wyspy w tej okolicy, dziś nie zostało już z nich ani śladu. Po moim powrocie do domu dowiedziałem się, że te same okolice zbadał z równą dokładnością w roku 1822 kapitan Johnson na amerykańskim szkunerze „Henryk” i kapitan Morell na szkunerze „Osa” – obaj z takim samym rezultatem, jak my.

## Rozdział XVI

Kapitan Guy miał pierwotnie zamiar, po upewnieniu się co do Wysp Aurory, przebyć Cieśninę Magellana i płynąć wzdłuż zachodniego wybrzeża Patagonii; ale informacje, które uzyskał na Tristan da Cunha, skłoniły go do wzięcia kursu na południe w nadziei, że natknie się na grupę małych wysp w okolicach sześćdziesiątego równoleżnika i 41°20' długości zachodniej. Na wypadek, gdybyśmy nie mogli odnaleźć tych wysp, kapitan zamierzał przy sprzyjającej pogodzie przebijać się do bieguna. W związku z tym dwunastego grudnia wyruszyliśmy w zamierzonym kierunku. Osiemnastego znaleźliśmy się w punkcie oznaczonym przez Glassa i przez trzy dni krążyliśmy dokoła, nie znajdując śladu wysp, o których wspomniał. Dwudziestego pierwszego przy pięknej pogodzie wzięliśmy kurs na południe, zamierzając przedostać się tak daleko, jak tylko będzie możliwe. Zanim przystąpię do dalszej części opowiadania, uważam za rzecz pożyteczną krótkie poinformowanie tych czytelników, którzy niezbyt interesowali się historią odkryć w wymienionych rejonach, o dotychczasowych, nielicznych zresztą, próbach dotarcia do południowego bieguna.

Kapitan Cook jest pierwszym badaczem, o którym mamy pewną wiadomość. W roku 1772 wyruszył na południe na statku „Zdecydowanie”, a towarzyszył mu porucznik Furneaux na statku „Przygoda”. W grudniu osiągnął już pięćdziesiąty ósmy równoleżnik pod 26°57' długości wschodniej. Natknął się tu na wąskie pola kry o grubości od ośmiu do dziesięciu cali, ciągnące się z północnego zachodu na południowy wschód. Pola te składały

się z dużych brył lodu, tak spiętrzonych, że statek z wielką trudnością torował sobie przejście. W tym czasie kapitan Cook przypuszczał, że znajduje się blisko lądu, wnioskuje z napotykanym wciąż ogromnym stad ptactwa i z innych zjawisk. Mimo przykrego zimna utrzymywał kurs na południe, póki nie dotarł do sześćdziesiątego czwartego równoleżnika pod  $38^{\circ}14'$  długości wschodniej. Tu przez pięć dni trwała ładna pogoda z umiarkowanymi wiatrami, a termometr wskazywał trzydzieści sześć stopni. W styczniu 1773 roku statki przebyły antarktyczne koło polarne, ale nie udało się im posunąć dalej, ponieważ na szerokości  $67^{\circ}15'$  natknęły się na ogromne i zwarte masy lodu zamykające cały południowy horyzont, jak oko mogło sięgnąć. Ten lód miał różnorodną konsystencję, a ogromne kry o kilkumilowym obwodzie tworzyły zbitą masę, wznoszącą się na osiemnaście do dwudziestu stóp nad wodą. Ze względu na spóźnioną porę i brak wszelkiej nadziei przebycia tych przeszkód kapitan Cook z żalem zawrócił ku północy.

W listopadzie ponowił swe badania w Antarktydzie. Na szerokości  $59^{\circ}40'$  natknął się na silny prąd płynący w kierunku południowym. W grudniu statki znajdowały się pod  $67^{\circ}31'$  szerokości i  $142^{\circ}54'$  długości zachodniej, panowało przejmujące zimno, gwałtowne wiatry i mgła. Tu także widziano mnóstwo ptactwa, szczególnie albatrosy, pingwiny i petrele. Na szerokości  $70^{\circ}23'$  pojawiło się kilka ogromnych wysp lodowych, a niebawem zauważono na południu śnieżnobiałe chmury, co wskazywało na bliskość pól lodowych. Na szerokości  $71^{\circ}10'$  i  $106^{\circ}54'$  długości zachodniej żeglarzy zatrzymał, podobnie jak poprzednim razem, ogromny przestwór lodu, który wypełniał cały południowy horyzont. Północna krawędź pól lodowych na przestrzeni jednej mili była poszarpana i piętrzyła się wałami lodu, zupełnie niemożliwymi do przebycia. Dalej zamarznęta przestrzeń była stosunkowo gładka na dość szerokim odcinku, a z tyłu zamykały ją łańcuchy gór lodowych wznoszące się jedne nad drugimi. Kapitan Cook przypuszczał, że to ogromne lodowisko sięga do samego bieguna lub przylega do jakiegoś kontynentu. Pan J. N. Reynolds, którego wysiłki i wytrwałość doprowadziły do zorganizowania narodowej wyprawy, mającej między innymi na celu zbadanie tych okolic, mówi w ten sposób o ekspedycji Cooka: „Nie dziwi nas, że kapitan Cook nie mógł się przedostać poza  $70^{\circ}10'$ , ale jesteśmy zdumieni,

że próbował znaleźć przejście pod 106°54' długości zachodniej. Ziemia Palmera leży na południe od Szetlandii na szerokości sześćdziesiątego czwartego równoleżnika i rozciąga się dalej na północ i zachód, niż jakikolwiek badacz zdołał dotychczas dotrzeć. Cook posuwał się w kierunku tego lądu, póki nie zatrzymały go lody; oczywiście nie mogło się to skończyć inaczej w tej okolicy i o takiej porze roku (szósty stycznia) – nie zdziwilibyśmy się, gdyby część opisanych pól lodowych należała do Ziemi Palmera albo jakiegoś innego lądu, leżącego bardziej na północ i zachód”.

W roku 1803 Aleksander, car rosyjski, wysłał kapitanów Kreutzensterna i Lisowskiego w celu opłynięcia kuli ziemskiej. Usiłowali oni przedostać się jak najdalej na południe, ale dotarli tylko do 59°58', 70°15' długości zachodniej. Natrafili tu na silne prądy w kierunku wschodnim. Widzieli mnóstwo wielorybów, ale nie zauważyli żadnych lodów. W związku z tą wyprawą pan Reynolds uważa, że gdyby Kreutzenstern przybył na to miejsce o wcześniejszej porze roku (wymieniony punkt osiągnął w marcu) – musiałby natknąć się na lody. Wiatry wiejące przeważnie z południa i zachodu oraz prądy znoszą krę w rejony Georgii, na wschód od wysp Sandwich Południowy i Orkadów Południowych oraz na zachód od Szetlandów Południowych.

W roku 1822 kapitan James Weddell z marynarki brytyjskiej na dwóch małych statkach wdarł się dalej na południe niż którykolwiek z jego poprzedników, i to nie napotykając żadnych szczególnych trudności. Twierdzi on, że aczkolwiek lody często tamowały drogę przed osiągnięciem siedemdziesiątego drugiego równoleżnika, jednak gdy przekroczył ten równoleżnik, nie widział już kawałka lodu i do szerokości 74°15' nie dostrzegł żadnych pól lodowych, tylko pływające góry. Jest rzeczą charakterystyczną, że choć zaobserwowano duże stada ptaków i inne oznaki wskazujące na bliskość ziemi, a także choć na południe od Szetlandów widać było z bocianiego gniazda zarysy jakiegoś wybrzeża, Weddell nie skłania się ku pogładowi, iż istnieje jakiś ląd w okolicach bieguna południowego.

Jedenastego stycznia 1823 roku Benjamin Morell, kapitan amerykańskiego szkunera „Osa”, wyruszył z Wysp Kerguelena z zamiarem dotarcia na południe tak daleko, jak się tylko uda. Pierwszego lutego



znalazł się na  $64^{\circ}52'$  szerokości południowej i  $118^{\circ}27'$  długości wschodniej. Oto cytat z dziennika okrętowego z tego dnia: „Umiarkowany wiatr o szybkości około 11 węzłów. Skorzystaliśmy ze sposobności, by wziąć kurs na zachód; będąc jednocześnie przekonani, że im dalej posuniemy się na południe po przekroczeniu sześćdziesiątego czwartego równoleżnika, tym mniej należy spodziewać się lodów, zbaczaaliśmy lekko w kierunku południowym, póki nie znaleźliśmy się na szerokości  $69^{\circ}15'$ . Na tej szerokości nie ma w ogóle pól lodowych i zaobserwowano tylko bardzo nieliczne dryfujące kry”.

Pod datą czternastego marca znalazłem taką notatkę: „Morze jest teraz całkowicie wolne od pól lodowych i zaobserwowano nie więcej niż tuzin dryfujących wysp lodowych. Jednocześnie temperatura powietrza i wody jest przynajmniej o trzynaście stopni wyższa, niż kiedykolwiek zdołaliśmy zaobserwować na południu, między sześćdziesiątym a sześćdziesiątym drugim równoleżnikiem. Znajdujemy się teraz na szerokości  $70^{\circ}14'$  szerokości południowej i temperatura powietrza wynosi czterdzieści siedem stopni, a wody – czterdzieści cztery. Stwierdziliśmy deklinację igły magnetycznej o  $14^{\circ}27'$  w kierunku wschodnim... Wielokrotnie przekraczałem w różnych punktach południowe koło polarne i zawsze stwierdzałem, że temperatura zarówno powietrza, jak i wody wzrasta stopniowo, im dalej posuwamy się na południe od sześćdziesiątego piątego równoleżnika, a odchylenie igły magnetycznej zmniejsza się w tej samej proporcji. Natomiast bardziej na północ (to znaczy między sześćdziesiątym a sześćdziesiątym piątym równoleżnikiem) tylko z największą trudnością można znaleźć przejście dla statku wśród ogromnych przestworów lodowych, przy czym spotyka się wyspy lodowe od mili do dwóch mil obwodu, wznoszące się ponad pięćset stóp nad powierzchnię wody”.

Ponieważ brakło już opału i wody oraz odpowiednich instrumentów do prowadzenia badań, a także ze względu na spóźnioną porę roku, kapitan Morell udał się w powrotną drogę, nie próbując posuwać się dalej na zachód, choć miał przed sobą całkowicie wolne morze. Wyraża on zdanie, że gdyby nie te niesprzyjające okoliczności, mógłby dotrzeć, jeśli nie do samego bieguna, to przynajmniej do osiemdziesiątego piątego równoleżnika. Przedstawiłem poglądy dotyczące tych spraw dość obszernie, by czytelnik

miał okazję zorientować się, o ile znalazły one potwierdzenie w moich późniejszych doświadczeniach.

W roku 1831 kapitan Briscoe na zlecenie panów Enderby, właścicieli statku wielorybniczego z Londynu, wyruszył w podróż na morze południowe na brygu „Żwawy”, któremu towarzyszył kuter „Tula”. Dwudziestego ósmego lutego osiągnął  $66^{\circ}30'$  szerokości południowej i  $47^{\circ}13'$  długości wschodniej. Briscoe opisuje ląd i „całkowicie pozbawione śniegu czarne szczyty łańcucha górskiego ciągnącego się ze wschodu na południowy wschód”. Pozostawał on w pobliżu tych gór przez cały następny miesiąc, ale nie mógł się zbliżyć do wybrzeża bardziej niż na dziesięć mil morskich, ze względu na burzliwą pogodę. Widząc, że w tym sezonie nie zdoła już dokonać żadnych odkryć, zawrócił na północ, by przezimować w Ziemi van Diemena.

Z początkiem roku 1832 znowu począł posuwać się na południe i czwartego lutego dostrzegł ląd w kierunku południowo-wschodnim na szerokości południowej  $67^{\circ}15'$  i długości zachodniej  $69^{\circ}29'$ . Stwierdzono, że jest to wyspa znajdująca się w pobliżu poprzednio odkrytego lądu. Dwudziestego pierwszego tegoż miesiąca Briscoe udało się wylądować. Objął ten kraj w posiadanie w imieniu Williama IV, nadając mu nazwę Wyspy Adelajdy na cześć angielskiej królowej. Skoro powiadomiono o tych szczegółach Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Londynie, wysnuło ono wniosek, że „istnieje obszar stałego lądu między  $47^{\circ}30'$  długości wschodniej a  $69^{\circ}29'$  długości zachodniej, wzdłuż sześćdziesiątego szóstego czy sześćdziesiątego siódmego równoleżnika szerokości południowej”. W związku z tą konkluzją pan Reynolds stwierdza: „Nie wydaje nam się, by to twierdzenie było słuszne, i odkrycia Briscoe nie upoważniają nas do wysnuwania takiego wniosku. Przecież właśnie na tym obszarze Weddell płynął na południe, wzdłuż południka biegnącego na wschód od Georgii, wysp Sandwich Południowy, Orkady Południowe i Szetlandy Południowe”. Jak się potem okaże, moje własne doświadczenia dobitnie potwierdzają fałszywość wniosków Towarzystwa Królewskiego.

Wyliczyłem tu główne próby przedostania się na dalekie południe i należy zwrócić uwagę, że przed podróżą „Jane” południowy krąg polarny nie był jeszcze przekroczony na przestrzeni przynajmniej trzystu stopni

długości geograficznej. Bez wątpienia mieliśmy ogromne pole dla odkryć i z największym zainteresowaniem usłyszałem, że kapitan Guy wyraził decyzję, by odważnie przedzierać się w kierunku bieguna.

## Rozdział XVII

Zaniechawszy odszukania owych opisanych przez Glassa wysp, płynęliśmy przez cztery dni ku południowi, nie spotykając lodów. Dwudziestego szóstego grudnia w porze obiadowej znajdowaliśmy się pod  $63^{\circ}23'$  szerokości południowej i  $41^{\circ}25'$  długości zachodniej. Ujrzeiliśmy wtedy kilka dużych złomów kry i pierwsze niewielkie pole lodowe. Wiatry wiały na ogół z południowego lub północnego wschodu, były jednak bardzo słabe. Kiedy zawaiał wiatr zachodni, co zdarzało się bardzo rzadko, towarzyszyły mu zawsze rzęsiste ulewy. Śnieg padał codziennie w większej lub mniejszej ilości. Dwudziestego siódmego grudnia termometr wskazywał 35 stopni Fahrenheita.

*1 stycznia 1828 roku.* Tego dnia ze wszystkich stron otoczyły nas lody i położenie nasze stało się prawdziwie smutne. Silny wichur dał gwałtownie z północnego wschodu, napędzając na ster i rufę ogromne złomy lodowe z taką siłą, że drżeliśmy z obawy, aby okręt nie rozleciał się w drzazgi. Pod wieczór wichura wzmogła się jeszcze, ale na szczęście usunęło się przed nami duże pole lodowe i otworzyło nam drogę dość szeroką, aby pod pełnymi żaglami przedostać się na niewielką przestrzeń wolną od lodów. Zbliżając się tam, ściągaliśmy stopniowo żagle i wreszcie legliśmy w dryf pod pojedynczo zarefowanym fokiem.

*2 stycznia.* Pogoda względnie znośna. Około południa stwierdziliśmy, że znajdujemy się na  $69^{\circ}10'$  szerokości południowej i  $42^{\circ}20'$  długości zachodniej, przekroczyliśmy więc południowy krąg polarny. Urządziliśmy rodzaj sondy z wielkiego żelaznego garnka objętości dwudziestu galonów, zawieszono go na dwustuszązniowej linie. Odnależliśmy prąd rwący ku południowi z szybkością jednej czwartej mili na godzinę. Temperatura wynosiła  $33^{\circ}$ , a deklinacja igły magnetycznej  $14^{\circ}29'$  na wschód.

*5 stycznia.* Płynęliśmy wciąż na południe bez żadnych większych przeszkód. Dziś na  $73^{\circ}15'$  szerokości południowej i  $42^{\circ}10'$  długości

zachodniej natknęliśmy się znów na wielkie pole lodowe odgradzające nas od wolnego morza po drugiej stronie. Nie wątpiliśmy jednak, że zdołamy tę przeszkodę pokonać. Wziąwszy kurs na wschód i płynąc wzdłuż brzegów pola lodowego, znaleźliśmy wreszcie przejście szerokości prawie mili i zapuściliśmy się w nie jeszcze przed zachodem słońca. Dostaliśmy się teraz na wodę usianą co prawda mnóstwem kry, ale wolną od pól lodowych, i posuwaliśmy się śmiało naprzód. Mróz nie przybierał, chociaż prawie ciągle padał śnieg, a od czasu do czasu i gwałtowny grad. Ogromne stada albatrosów przelatowały dziś nad szkunerem z południowego wschodu na północny zachód.

*7 stycznia.* Morze było jeszcze ciągle stosunkowo czyste, tak że mogliśmy zachować dawny kurs. Na zachodzie ujrzeliśmy nieprawdopodobnej wielkości góry lodowe, a po południu przepłynęliśmy tuż obok jednej z nich. Na oko licząc, wznosiła się najmniej czterysta sążni nad poziom morza, jej podstawa wynosiła ze trzy ćwierci mili obwodu, a ze szczelin po bokach tryskały liczne strumyki. Jeszcze przez dwa dni widzieliśmy tego kolosa, dopóki nie zakryła go mgła.

*10 stycznia.* Tego ranka zdarzył się nam nieszczęśliwy wypadek, w którym zginął jeden z naszych ludzi. Był to Amerykanin nazwiskiem Piotr Vedenburgh i pochodził z Nowego Jorku. Był jednym z najlepszych marynarzy na statku. Idąc po bukszprycie, pośliznął się i wpadł między dwie kry, po czym nie ukazał się więcej. W południe tego dnia osiągnęliśmy 78°30' szerokości i 40°15' długości zachodniej. Zimno było tego dnia niesłychane i padał bezustannie grad z północnego wschodu. W tej samej stronie widać było góry lodowe i wyglądało na to, że pola lodowe, leżące jedno za drugim, zamykają cały horyzont. Wieczorem dostrzegliśmy kawały drzewa płynące po wodzie, nad nimi zaś unosiły się stada albatrosów, petreli i mew oraz jakiś duży ptak o lśniącym niebieskim upierzeniu. Zboczenie igły magnetycznej było tu znacznie mniejsze niż w okolicach kręgu polarnego.

*12 stycznia.* Znowu zwątpiliśmy w możliwość posuwania się ku południowi, gdyż w tym kierunku widzieliśmy bezgraniczną, jednolitą masę lodu, zamkniętą w dali spiętrzonymi górami o wyźbionych szczytach.

Krajobraz ten wyglądał tak groźnie, że popłynęliśmy na zachód w nadziei znalezienia jakiegoś kanału.

*14 stycznia.* Tego ranka dotarliśmy do zachodniego krańca pola lodowego, a okrążywszy je, wydostaliśmy się znów na otwarte morze, najzupełniej wolne od lodu. Żeglowaliśmy tedy bez żadnych przeszkód ku południowi do szesnastego stycznia. Zapuściwszy sondę na głębokość dwustu sążni, odkryliśmy prąd płynący na południe o szybkości pół mili na godzinę. Temperatura powietrza wynosiła 47°, temperatura wody 34°. W południe tego dnia znajdowaliśmy się na 81°21' szerokości i 42° długości zachodniej. Znowu zapuściliśmy sondę i stwierdziliśmy, że prąd nadal płynie ku południowi z szybkością trzech czwartych mili na godzinę. Odchylenie igły magnetycznej zmniejszyło się, powietrze łagodne i przyjemne, termometr podskoczył do 51°. Lodu nie można było spostrzec ani okruszyny. Cała załoga była mocno przekonana, że dotrzemy do bieguna.

*17 stycznia.* Dzień ten roił się od wydarzeń. Z południa przelatywały nad nami niezliczone stada ptaków. Ustrzeliliśmy kilka z nich, a jeden w rodzaju pelikana okazał się bardzo smaczny. Około południa dostrzeżono z masztu niedużą krę, a na niej jakby jakieś wielkie zwierzę. Ponieważ pogoda była spokojna, kapitan Guy rozkazał spuścić dwie szalupy, aby zbadać, co to za zwierzę. Razem z Dirkiem Petersem towarzyszyłem pierwszemu oficerowi w większej łodzi. Dopłynęliśmy do kry, przekonaliśmy się, że leży na niej ogromna bestia z gatunku niedźwiedzi polarnych, ale tak olbrzymia, że największe osobniki tego rodzaju były wobec niej drobne. Byliśmy dobrze uzbrojeni i zaatakowaliśmy zwierzę bez namysłu. Strzały nasze były celne i trafiły, ale nie zdawały się wcale potworowi szkodzić. Jedynym ich skutkiem było to, że niedźwiedź zsunął się leniwie z kry i z otwartą paszczą ruszył prosto w naszą stronę. Wskutek tak nieoczekiwanego manewru straciliśmy głowę i nie zdołaliśmy jeszcze przygotować broni do powtórnych strzałów, gdy już potwór wtoczył się połową cielska na naszą łódź i pochwycił jednego z wiosłarzy za biodro. Z tego niebezpieczeństwa wybawił nas Peters. Z wielką przytomnością umysłu wskoczył na grzbiet bestii i wbił jej nóż w kark, trafiając akurat w rdzeń pacierzowy. Potwór runął w jednej chwili nieżywy w wodę, pociągając za sobą Petersa. Ten jednak zaraz wydobył się na wierzch i pochwycił

rzuconą mu linę, opasał nią cielsko potwora i dopiero zabezpieczywszy w ten sposób zdobycz, wskoczył do łodzi. Powróciliśmy w tryumfie na szkuner, wlokąc za sobą nasze trofeum. Po wymierzeniu ciała okazało się, że niedźwiedź miał piętnaście stóp długości. Sierść miał śnieżnobiałą, twardą i krętą. Oczy krwistoczerwone, znacznie większe niż u innych niedźwiedzi polarnych, a pysk zaokrąglony, przypominający mordę buldoga. Mięso jego było wprawdzie delikatne i kruche, ale jakby zjełczałe i przesiąknięte rybim zapachem. Mimo to nasi ludzie spożyli je z chciwością i chwalili jako wyborne.

Ledwieśmy wydobyli naszą zdobycz na pokład, gdy z bocianiego gniazda dał się słyszeć okrzyk: „Ziemia!”. Wszyscy wyteżyli wzrok, a że dał właśnie bardzo sprzyjający wiatr północno-wschodni, szybko podплыliśmy do brzegu. Była to niska, skalista wysepka, niecałej mili obwodu, zupełnie pozbawiona roślinności, wyjąwszy pewnego rodzaju kaktus, który tam rósł obficie. Od północnej strony miała skalisty występ wrzynający się w morze, podobny do sprasowanych beli bawełny. Za tym występem od strony zachodniej znajdowała się mała zatoczka, w której nasze łodzie znalazły wygodną przystań.

Nie straciliśmy zbyt wiele czasu na zwiedzenie wyspy i nie znaleźliśmy na niej nic godnego uwagi z wyjątkiem może jednego szczegółu. Mianowicie na południowym cyplu, blisko brzegu, znaleźliśmy pod kupą kamieni kawał drewna, stanowiący niegdyś, jak się zdaje, dziób łodzi. Można też było zauważyć na tej kłodzie jakby próby pierwotnej rzeźby. Kapitan Guy dowodził nawet, że rozpoznaje wizerunek żółwia, ja jednak nie mogłem odkryć tego podobieństwa. Oprócz tego nie natrafiliśmy na całej wyspie na żaden ślad istnienia ludzi lub jakichkolwiek stworzeń żyjących. Wokoło wyspy pływały kry lodowe, aczkolwiek nieliczne. Wysepka (którą kapitan Guy nazwał Wysepką Benneta na cześć swego współnika i współwłaściciela szkunera) leży dokładnie na 82°50' szerokości południowej i 42°20' długości zachodniej.

Już wówczas posunęliśmy się o osiem stopni bliżej bieguna niż wszyscy nasi poprzednicy, a jednak mieliśmy przed sobą niezamarznięte morze. Zauważyliśmy też, że zboczenie magnetyczne zmniejszało się z każdą chwilą, zaś temperatura powietrza, a potem i wody, stopniowo łagodniała.

Można nawet powiedzieć, że pogoda była piękna. Stała, lubo łagodna bryza wiała sprzyjająco od północy. Niebo było z reguły czyste, niekiedy tylko nad południowym horyzontem podnosił się lekki opar, ale na krótki czas. Wyłoniły się jednak pewne przykrości: mieliśmy mało opału i u załogi wystąpił skorbut. Kapitan Guy zaczął myśleć o powrocie. Ja, będąc przekonany, że natrafimy wkrótce na nieznaną łódź o lepszych warunkach klimatycznych i większej urodzajności gruntu, gorąco nalegałem na kapitana, aby choć kilka dni jeszcze płynąć w obranym kierunku. Kusiła mnie perspektywa rozwiązania wielkiej zagadki Antarktydy i z oburzeniem patrzyłem na wahanie się i obawy kapitana. Zdaje mi się, że istotnie moje namowy skłoniły kapitana do wytrwania, i mimo krwawych wydarzeń, jakie nas w ciągu dalszej podróży spotkały, nie mogłem się oprzeć uczuciu dumy i satysfakcji, że byłem niejako narzędziem wielkiego odkrycia i że przyczyniłem do otworzenia oczu Wiedzy na jedną z najbardziej zastanawiających tajemnic, jakimi się umysł ludzki kiedykolwiek zajmował.

## Rozdział XVIII

*18 stycznia.* Tego ranka<sup>3</sup> dalej płynęliśmy w tym samym kierunku przy niezmiennie pięknej pogodzie. Morze było spokojne, dość ciepły powiew z północnego zachodu, temperatura wody 53°. Zapusciliśmy znowu sondę i znów odnaleźliśmy ów prąd, rwący teraz do bieguna z szybkością mili na godzinę. Ten stały ciąg ku południowi, zarówno w wietrze, jak w wodzie, pobudził nas do rozmyślań i wywołał pewien niepokój w załodze, a także u kapitana. Kapitan Guy jest jednak bardzo wrażliwy na szyderstwo i wreszcie udało mi się go przekonać, wyśmiewając jego obawy. Zboczenie igły magnetycznej prawie nie istniało. W ciągu dnia spotkaliśmy kilka ogromnych wielorybów i chmary albatrosów. Wyłowiliśmy także krzak pokryty jagodami podobnymi do głogu i zwłoki jakiegoś szczególnego zwierzęcia lądowego. Miało ono trzy stopy długości – a ledwie sześć cali wzrostu – i cztery krótkie łapy zakończone długimi, szkarłatnymi, jak gdyby z koralu, pazurami. Ciało pokryte było długą, jedwabistą, śnieżnobiałą sierścią. Ogon był ostro zakończony jak u szczura i długi na półtorej stopy.

Głowa tego zwierzęcia przypominała kocią, z wyjątkiem uszu obwisłych jak u psa. Zęby z tej samej szkarłatnej substancji co pazury.

*19 stycznia.* Dziś na 83°20' szerokości i 43°5' długości zachodniej (morze miało szczególnie ciemną barwę) znowu z bocianiego gniazda dostrzeżliśmy ziemię i po bliższym zbadaniu okazało się, że jest to jedna z grupy dużych wysp. Brzeg miała urwisty, a wewnątrz zdawało się obficie zalesione, co nas bardzo ucieszyło. W cztery godziny potem zarzuciliśmy kotwicę na głębokości dziesięciu sążni w piaszczystym dnie, o milę od wybrzeża, gdyż silne wiry utrudniały zbliżenie. Spuszczono dwie największe szalupy, a silnie uzbrojony oddział, do którego należałem ja i Peters, udał się na poszukiwanie wolnego przejścia wśród raf otaczających całą wyspę. Odkryliśmy wreszcie kanał i w chwili, gdyśmy się weń zapuszczali, ujrzeliśmy nagle cztery łodzie pełne ludzi, odbijające od brzegu. Wszyscy wydawali się dobrze uzbrojeni. Stanęliśmy, aby ich przypuścić do siebie, a łodzie płynęły tak szybko, że po chwili słychać było ich głosy. Kapitan Guy kazał na końcu wiosła wywiesić białą chustkę do nosa i w tej chwili dzicy zatrzymali się i zaczęli coś głośno bełkotać. Niekiedy rozbrzmiewał wyraźniejszy okrzyk. Rozróżnialiśmy wyrazy: „Lama-lama!” i „Anamu-mu!”. Hałasowali w ten sposób dobre pół godziny i przez ten czas mogliśmy się im dokładnie przypatrzeć.

W czterech łodziach, długich na pięćdziesiąt, a szerokich na pięć stóp, znajdowało się stu dziesięciu dzikich. Byli wzrostu przeciętnego Europejczyka, zbudowani jednak daleko silniej i muskularniej. Wszyscy byli czarni jak smoła, a ich wełniste włosy były gęste i długie. Odzież mieli dość zręcznie przykrojoną z czarnego futra z długim jedwabistym włosem nieznanym nam zwierząt i obróconą futrem do wnętrza z wyjątkiem obramowania przy szyi, przegubach i kostkach nóg. Za broń służyły im po większej części pałki z czarnego i, jak się zdaje, bardzo twardego drewna. Zauważyłem jednak także kilka włóczy z krzemiennymi ostrzami i parę proc. Dna łódek były wypełnione czarnymi kamieniami wielkości dużego jaja.

Gdy skończyli naradę (bo naradą było, jak się nam zdawało, owo bełkotanie), jeden z nich, prawdopodobnie wódz, stanął na przodzie swej pirogi i zaczął nam dawać znaki, abyśmy się do niego zbliżyli. Udawaliśmy,



że go zgoła nie rozumiemy, sądząc, że jest znacznie rozsądniej trzymać się z dala, zwłaszcza że dzikich było co najmniej cztery razy tyle co nas. Wódz to widocznie zrozumiał, bo rozkazał reszcie pozostać na miejscu i podpłynął do nas sam. Zbliżywszy się dostatecznie, wskoczył szybko do naszej największej szalupy i usiadł obok kapitana Guya, wskazując jednocześnie palcem na nasz szkuner i powtarzając bezustannie swoje: „Anamu-mu!” i „Lama-lama!”. Zawróciliśmy ku okrętowi, a cztery pozostałe pirogi płynęły niedaleko za nami.

Znalazłszy się na pokładzie, wódz okazał ogromne zdziwienie i radość, klaskał w ręce i uderzał się po udach i piersi, wybuchając co chwila ogromnym śmiechem. Płynący za nami jego towarzysze rozweselili się również, a powstały stąd wrzask i hałas był doprawdy ogłuszający. Gdy się wreszcie uspokoili, kapitan Guy rozkazał wciągnąć łodzie, a dzikiemu wodzowi (nazywał się Tu-wit, jak się później dowiedzieliśmy) dał do zrozumienia, że nie wpuści na pokład więcej niż dwudziestu jego ludzi naraz. Wódz zdawał się chętnie godzić na ten warunek i wydał pozostałym odpowiednie polecenia, po czym jedna z piróg podpłynęła do szkunera, a reszta czekała w odległości pięćdziesięciu jardów. Dwudziestu dzikich wskoczyło na pokład i rozbiegło się po całym okręcie, szperając wszędzie z największą ciekawością i zachowując się tak swobodnie, jak u siebie w domu. Było widoczne, że nigdy dotąd nie oglądali ludzi rasy białej, gdyż barwa naszej skóry wydawała im się zdumiewająca. Zdali się brać „Jane Guy” za żywą istotę i nawet przezornie podnosili swe dzidy w górę, aby jej nie ukłuć. Całą załogę ubawiło zwłaszcza zachowanie się Tu-wita. Właśnie kucharz rąbał drewno koło kambuza i przypadkowo uderzył siekierą w pokład, przez co zrobił dosyć dużą szczerbę. W tej chwili przybiegł wódz, odepchnął silnie kucharza i zaczął płaczliwie zawodzić, jakby współczując ze zranionym szkunerem. Głaskał ręką rzekomą ranę, ciskał się z nią jak z chorym dzieckiem i nawet obmył ją morską wodą z wiadra stojącego w pobliżu. Byliśmy zupełnie nieprzygotowani na tak niesłychaną pierwotność, a mnie przyszło mimo woli na myśl, że całe to zachowanie jest trochę udawane.

Kiedy goście nasi zadowolili swą ciekawość na pokładzie, sprowadziliśmy ich na dół. Tu zdumienie ich nie miało granic. Po prostu osłupieli i tylko od

czasu do czasu wydawali ciche okrzyki zdumienia. Szczególnie zastanawiała ich nasza broń. Pozwoliliśmy im oglądać ją z bliska, ale nie sądzę, aby się domyślali, do jakiego celu służy. Zdaje się, że uważali ją za wyobrażenia bożków, widząc, jak się z nią pieczołowicie obchodzimy i jak obserwujemy ich ruchy, gdy brali ją do ręki. Jeszcze bardziej zaimponował im widok dział, do których zbliżali się z oznakami najwyższej czci i nie śmieli oglądać ich z bliska. Dwa lustra wiszące w kabinie dopełniły miary. Pierwszy spostrzegł je Tu-wit, gdy stanął w środku kabiny zwrócony twarzą do jednego, a plecami do drugiego zwierciadła. Gdy ujrzał swe odbicie w szkle, myślałem, że oszaleje. Odwrócił się, aby uciec od dziwnego zjawiska, lecz w tej chwili zobaczył się w drugim lustrze. Zdawało się, że ze strachu ducha wyzionie. Nic by go nie zdołało skłonić do spojrzenia w lustro po raz wtóry. Padł plackiem na ziemię i ukrywając twarz w dłoniach, leżał bez ruchu, aż musieliśmy go wyciągnąć na pokład.

W ten sposób odwiedzili nas wszyscy dzicy, zawsze po dwudziestu, Tu-witowi zaś pozwoliliśmy przebywać na statku przez cały czas. Nie spostrzeżliśmy u nich żadnych skłonności do kradzieży, nie podczas odwiedzin nie przepadło, a zachowywali się nadzwyczaj życzliwie. Niekiedy ich zachowanie wydawało się nam jednak zupełnie niezrozumiałe. Na przykład nie mogliśmy ich zachęcić, by zbliżyli się do niektórych całkiem niewinnych przedmiotów, jak żagle, jajko, otwarta książka lub miska z mąką. Próbowaliśmy się dowiedzieć, czy nie posiadają jakich artykułów odpowiednich do handlu zamiennego, lecz nie mogliśmy się porozumieć. W końcu jednak dowiedzieliśmy się ze zdumieniem, że wyspy roją się od większego gatunku żółwi galapagos, a jednego miał nawet Tu-wit w swej łodzi. W ręku jednego z dzikich ujrzelśmy także trepanga, chciwie pożeranego na surowo. Wszystkie te anomalie razem wzięte podnieciły tylko kapitana Guya do dokładnego zbadania wyspy, zwłaszcza że przyświecała mu nadzieja korzystnych transakcji. Co do mnie, rad bym był także zbadać bliżej tę nieznaną krainę, ale daleko bardziej wolałbym płynąć bez zwłoki na południe. Mieliśmy teraz piękną pogodę, ale nie można było przewidzieć, jak długo to jeszcze potrwa. Znajdowaliśmy się już na osiemdziesiątym czwartym równoleżniku, mając przed sobą otwarte morze i prąd południowy, a za sobą korzystny wiatr. Toteż niecierpliwiłem się

niesłuchanie, gdy była mowa o dłuższej zwłoce, i nalegałem na kapitana, aby zabawił tylko tak długo, ile tego wymaga nabranie żywności i opału, a potem ruszył w dalszą drogę. Przedstawiłem mu, że wyspy będzie można zwiedzić w drodze powrotnej i nawet przezimować na nich, w razie gdyby nam kry zagroziły drogę. Ostatecznie dał się przekonać (zdobyłem duży wpływ na niego, choć sam nie wiem, jak do tego przyszło) i postanowił, nawet w razie znalezienia większych ilości trepangów, pozostać na archipelagu najwyżej tydzień, a potem płynąć dalej ku biegunowi. Poczyniwszy odpowiednie przygotowania, popłynęliśmy pod przewodnictwem Tu-wita ku wybrzeżu, a ominąwszy dzięki jego wskazówkom wszystkie podwodne skały, uwiązaliśmy na kotwicy „Jane Guy” w wybornej zatoce o milę od lądu. Zatoka miała dziesięć sążni głębokości, jej dno było wyścielone czarnym piaskiem, a u wejścia do niej były trzy źródła, dostarczające, jak nam później powiedziano, słodkiej i dobrej wody. Na wyspie zaś rosły obfite lasy. Pozostałe cztery łodzie płynęły za nami, zawsze w przyzwoitej odległości. Tylko Tu-wit pozostał przy nas, a gdyśmy zarzucali kotwicę, zaprosił nas na brzeg, byśmy obejrzeliby wnętrza osady. Kapitan Guy przystał na to pod warunkiem, że dziesięciu dzikich pozostanie w charakterze zakładników na pokładzie szkunera, po czym dwunastu naszych udało się na ląd. Zaopatrzyliśmy się starannie w broń, tak jednak nieznamnie, aby nie obudzić nieufności. Na statku nabito i przygotowano działa, porozsuwano parapety i w ogóle zabezpieczono się przeciw możliwej zasadzce. Pierwszy oficer otrzymał surowy zakaz wpuszczania podczas naszej nieobecności czarnych na pokład, a w razie gdybyśmy do dwunastu godzin nie powrócili, miał wysłać po nas uzbrojony w armatę kuter.

Postępując w głąb wyspy, z każdym krokiem nabieraliśmy przekonania, że ziemia, którą zwiedzamy, różni się zasadniczo od wszystkich innych dotąd ludziom cywilizowanym znanych. Nie można było dostrzec niczego takiego, do czego przywykliśmy w życiu dotychczasowym. Podobnych drzew nie widzieliśmy nigdy w strefie gorącej, zimnej czy umiarkowanej ani nawet w dopiero co przebytych okolicach Antarktydy. Nawet skały wyglądały inaczej. Odmienną miały budowę, zabarwienie i uwarstwienie. Jakkolwiek wyda się to nieprawdopodobne, nawet woda była tak dziwna, tak inaczej

płynęła niż na całej ziemi, żeśmy się wahali ją pić, podejrzewając, że jest sztucznie zmieniona. Przy pierwszym napotkanym strumyku Tu-wit zatrzymał się wraz z całym orszakiem, by ugasić pragnienie. Nie wzięliśmy w tym udziału, przekonani, że woda jest zanieczyszczona, i dopiero później przekonaliśmy się, że tak wyglądają wszystkie wody tego archipelagu. Nie wiem, jak mógłbym dać czytelnikowi wyobrażenie o wyglądzie tej cieczy, i nie będę go w tym celu nudził długim opisem. Mimo że z pochyłości spływała tak jak każda inna woda, zwyczajny, jasny i przezroczysty wygląd miała tylko przy bardzo stromych spadkach i kaskadach. Była jednakowoż istotnie znakomicie przezroczysta jak każda inna woda, a różnica leżała tylko w wyglądzie. Na pierwszy rzut oka, zwłaszcza w miejscach mało pochyłych, robiła wrażenie gęstego roztworu gumy arabskiej w wodzie. To jednak było najmniej dziwne. Woda nie była bezbarwna, ale nie miała też żadnej barwy jednostajnej. Mieniła się w swym biegu wszystkimi odcieniami purpury, podobnie jak jedwabna tkanina. Ta gra barw pochodziła z przyczyny, która po odkryciu wywołała w nas nie mniejsze zdumienie niż widok luster w Tu-wicie. Zaczerpnąwszy mianowicie cieczy w naczynie i pozwolewszy się jej uspokoić, odkryliśmy, że cała ta płynna masa składa się z ogromnej ilości rozmaitych żyłek, z których każda miała inny odcień. Żyłki te nie mieszały się ze sobą, choć cząsteczki łatwo się spajały. Po przesunięciu ostrza noża w poprzek żyłek woda zamykała się natychmiast po wyjęciu stali, tak jak każda inna, i nie można było spostrzec śladu manipulacji. Gdy jednak ostrze weszło pomiędzy dwie żyłki, pozostawała po wyjęciu noża wyraźna szczelina, niknąca dopiero po jakimś czasie. Fenomenalna ta woda była tylko pierwszym ogniwem całego łańcucha dziwów, wśród których mieliśmy się obecnie obracać.

## Rozdział XIX

Do wioski weszliśmy dopiero po trzech godzinach marszu, była bowiem oddalona o dziewięć mil w głąb wyspy, a droga wiodła przez dziką okolicę. Po drodze przyłączały się do orszaku Tu-wita (orszak ten liczył stu dziesięciu ludzi z wszystkich pirog) coraz to nowe gromadki czarnych. Zjawiali się po dwu, sześciu lub siedmiu, a wychodzili na różnych zakrętach

drogi, stykając się z nami niby przypadkiem. W tym wszystkim dał się odczuwać pewien system, który wzbudził we mnie podejrzenia. Zwierzyłem się z mych obaw kapitanowi Guyowi, za późno jednak już było wracać, postanowiliśmy więc pozornie zaufać uczciwości Tu-wita i nie okazywać najmniejszej obawy. Szliśmy zatem dalej, bacznie obserwując ruchy dzikich i nie pozwalając im mieszać się w nasze szeregi. W ten sposób przebyliśmy wreszcie ciasną, stromą rozpadlinę i zbliżyliśmy się do wsi – jak nam powiedziano, jedynej osady, jaka istniała na wyspie. Gdyśmy stanęli od niej na odległość wzroku, wódz zaczął wydawać okrzyki, powtarzając wielokrotnie wyraz „Klok-Klok”. Nie wiedzieliśmy, czy jest to nazwa tej wioski, czy też wyraz oznaczający wioski w ogóle.

Schroniska tubylców – niesłychanie nędzne i niedające się nawet porównać z mieszkaniem choćby najdzikszych plemion znanych ludzkości – nie miały jednakowego wyglądu. Najelegantsze były schronienia należące do Wampu czy też Jampów, czyli arystokracji. Był to gruby pień, przecięty na wysokości około czterech stóp od korzeni, z którego zwieszała się duża, czarna, aż do ziemi opadająca skóra. Pod nią gnieździli się dzicy. Inne schronienia zbudowane były ze zwykłych nieociosanych gałęzi drzew, jeszcze z uschniętymi liśćmi. Gałęzie ustawiono pod kątem czterdziestu pięciu stopni do gliniastego zbocza, a właściwie ponarzucono jedno na drugie bez żadnego ładu i składu na wysokość pięciu czy sześciu stóp. Jeszcze inne pomieszczenia były po prostu jamami w ziemi, wykopanymi prostopadle i również pokrytymi gałęziami, które odsuwało się, gdy ktoś chciał wejść, i na powrót potem zasuwowało. Zauważyliśmy także parę domostw zbudowanych w rozwidleniu gałęzi na drzewach, z tym że górne gałęzie były przecięte i nagięte do niższych, aby stworzyć lepszą osłonę przed złą pogodą. Największa ilość domostw znajdowała się jednak w płytkich pieczarach, wydłubanych w stromych ścianach z czarnego kamienia, którymi cała wieś była z trzech stron otoczona. Wejście do każdej z tych pieczar przysłaniał wielki kamień, starannie zasuwany na miejsce przez opuszczającego legowisko mieszkańca. W jakim celu przedsięwzięto te środki ostrożności, trudno mi było stwierdzić, gdyż kamień nigdy nie zasłaniał więcej niż jednej trzeciej otworu do pieczary.

Wioska – jeśli podobna osada zasługuje na tę nazwę – leżała w głębokiej dolinie otwartej tylko od południa, a z trzech pozostałych stron zamkniętej urwistymi skałami, o których już wspomniałem. Przez jej środek płynął ów czarodziejski strumień, a wokoło pomieszkań leżały osobliwe zwierzęta, prawdopodobnie domowe. Największe z nich budową i ryjem przypominało naszą świnię. Ogon jednak miało puszysty, a nogi smukłe jak u antylopy. Poruszało się bardzo niezgrabnie i nigdy nie zauważyłem tych zwierząt biegnących. Spostrzegliśmy też inne stworzenia podobne do opisanych, lecz o dłuższym tułowiu, pokrytym czarną sierścią. Wokoło poruszała się masa drobiu stanowiącego, jak się zdaje, podstawę pożywienia krajowców. Odkryliśmy także oswojone czarne albatrosy, które w odpowiednich okresach wylatywały na morze na żer, ale zawsze wracały do wsi, a na południowym brzegu w pobliżu wysiadywały młode. Przyłączały się do nich jak zwykle zaprzyjaźnione z nimi pingwiny, ale nigdy nie towarzyszyły im do siedzib ludzkich. Z innych gatunków oswojonego ptactwa zauważyliśmy kaczki, mało różniące się od naszych rodzimych kaczek, czarne gęsi i wielkie ptaki podobne z wyglądu do kruków, ale nie mięsożerne. Ryb było tu całe mnóstwo. W czasie naszych odwiedzin spostrzegliśmy wielkie ilości suszonego łososa, sztokfisze, dorsze, delfiny, makrele, węgorze, barweny, flądry i sole, i całe bogactwo innych gatunków. Zauważyliśmy także, że większość z nich była bardzo podobna do ryb, jakie spotkać można w pobliżu Wysp Aucklanda na 51° szerokości południowej. Ucieszyliśmy się ze znalezienia wielkiej ilości żółwi galapagos. Dzikich zwierząt, a zwłaszcza większych, prawie nie spotykaliśmy, zaś spostrzeżone nie przypominały niczym znanych gatunków. Kilka razy zastąpiły nam drogę ogromne węże, ale ponieważ krajowcy nie zwracali na nie uwagi, wywnioskowaliśmy, że nie są jadowite.

Gdyśmy wkraczali do wioski, wybiegły na nasze spotkanie tłumy ludu, wydając dzikie wrzaski, z których odróżniliśmy znane nam już „Lama-lama” i „Anamu-mu”. Ku naszemu ogromnemu zdziwieniu wszyscy byli nadzy, z wyjątkiem jednego czy dwóch. Okazało się, że tylko ludzie z łodzi nosili futra. Oni też musieli być wyłącznymi posiadaczami wszelkiej broni, gdyż u mieszkańców wioski nie zauważyliśmy jej wcale. W tłumie było też wiele dzieci i kobiet, niektóre wcale piękne. Wysokie, smukłe, dobrze

zbudowane, a ruchy miały tak wdzięczne i swobodne, że nawet kobiety cywilizowane nie mogą się z nimi równać. Wargi jednak, podobnie jak mężczyźni, miały tak grube i mięsiste, że nawet przy uśmiechu nie odsłaniały zębów. Włosy ich były delikatniejsze niż u mężczyzn. Po pewnej chwili pomiędzy nagusami zauważyliśmy jednak dziesięciu czy dwunastu mieszkańców ubranych w skóry, tak jak orszak Tu-wita, i uzbrojonych w dzidy i pałki. Zwracano się do nich z oznakami uszanowania, tytułując Wampu. Byli to owi arystokratyczni właściciele skórzanych namiotów. „Pałac” Tu-wita znajdował się pośrodku wsi i był znacznie większy i w pewnym sensie lepiej zbudowany niż wszystkie inne. Drzewo, które stanowiło jego bazę, ucięto na wysokości stóp dwunastu lub coś koło tego od korzeni, z tym że poniżej tej wysokości pozostawiono wiele gałęzi odrastających w bok. Służyły one do podtrzymywania pokrycia i tym sposobem nie obijały się o pień. Pokrycie składało się z czterech dużych skór zszytych razem drewnianymi kołeczkami i było dodatkowo przymocowane do ziemi kołkami. Wnętrze tego schronienia wyמושczono suchymi liśćmi.

Poprowadzono nas uroczyście do owej chaty, a za nami wtłoczyło się mnóstwo krajowców. Tu-wit usiadł na liściach, dając nam znaki, abyśmy zrobili to samo. Usłuchaliśmy, choć położenie nasze stawało się przez to nie tylko niewygodne, ale wprost niebezpieczne. Siedziało nas dwunastu na ziemi, a wokoło tłoczyło się ze czterdziestu dzikich, tak że w razie zaczepki nie moglibyśmy użyć broni ani nawet powstać. Tłok był straszny, nie tylko w namiocie, ale także wokoło niego, gdyż cała ludność wioski zgromadziła się w tym miejscu. Jedyłą rękojmią bezpieczeństwa była obecność Tu-wita między nami, toteż postanowiliśmy trzymać się przy nim, mieć go pod ręką i nie oszczędzać jego osoby w razie najmniejszych objawów wrogości.

Gdy wreszcie ucichła nieco wrzawa, wódz miał do nas przemowę bardzo długą i bardzo podobną do tej, którą nas przyjął w łodzi. Różniła się od tamtej tylko większym naciskiem, jaki kładł na słowo „Anamu-mu” niż na „Lama-lama”. Wysłuchaliśmy w głębokim milczeniu tej mowy do końca, po czym kapitan Guy odpowiedział, zapewniając wodza o swej przyjaźni i życzliwości, a dla podkreślenia tych uczuć ofiarował Tu-witowi kilka niebieskich paciorków i nóż. Na widok pierwszych zadarł wódz pogardliwie nosa, za to nóż sprawił mu widoczną radość. Tu-wit rozkazał też

natychmiast podać obiad. Podano go do namiotu z rąk do rąk nad głowami zebranych, a składał się z drgających jeszcze wnętrzości jakiegoś dziwnego zwierzęcia, prawdopodobnie owej świni na cienkich nogach. Widząc, że nie wiemy, jak się zabrać do tego przysmaku, wódz dał nam przykład, pożerając potrawę wprost, kawałek po kawałku. Nie mogliśmy znieść tego widoku i okazaliśmy nasze obrzydzenie tak wyraźnie, że wódz zdumiał się w równej mierze jak przedtem na widok luster. Mimo szczerej zachęty gospodarza nie tknęliśmy obiadu, zapewniając go, że jesteśmy po sutym śniadaniu.

Gdy wreszcie monarcha ukończył ucztę, poczęliśmy go z ręcznie (o ile to przy nieznajomości języka było w ogóle możliwe) wypytywać, jakie produkty wydaje ta ziemia, chcieliśmy się bowiem dowiedzieć, czy by nie można stąd wyciągnąć korzyści. Zdawał się na koniec rozumieć, o co nam chodzi, i zaofiarował się sam poprowadzić nas na pewien punkt wybrzeża, gdzie, jak zapewniał, znajdziemy mnóstwo trepangów, przy czym wskazywał na trzymany w ręku jeden egzemplarz tego mięczaka. Przychylił się natychmiast do tego projektu, aby przy tej sposobności wydostać się z tłoku, i zaczęliśmy nalegać na pośpiech, nie chcąc tracić czasu. Wyszliśmy więc wraz z wodzem z namiotu, kierując się ku południowemu cypłowi wyspy, leżącemu niedaleko naszego statku, a cała ludność towarzyszyła nam aż na miejsce. Tam czekaliśmy blisko godzinę, zanim nadpłynęły cztery łodzie dzikich, po czym wsiedliśmy na nie i popłynęliśmy wzdłuż skał podwodnych aż do daleko wysuniętej rafy. Tu ujrzeliśmy taką ilość trepangów, o jakiej z pewnością nie marzyli najstarsi marynarze zwiedzający archipelagi południowe. Zatrzymaliśmy się przy rafach tak długo, dopóki nie nabraliśmy przekonania, że gdybyśmy mieli dwanaście statków, moglibyśmy je wszystkie owym towarem naładować. Wróciliśmy potem na „Jane Guy”, a Tu-wit musiał nam przy pożegnaniu przyrzec, że w ciągu dwudziestu czterech godzin przywiezie nam tyle kaczek i zółwi Galapagos, ile się na jego łodziach pomieści. Zreasumowawszy teraz wszystkie wrażenia z pobytu na wyspie, doszliśmy do przekonania, że krajowcy nie dali najmniejszego powodu do obaw, wyjąwszy chyba owo systematyczne łączenie się podczas pochodu w głąb wyspy.



Wódz dotrzymał słowa i zaopatrzył nas wkrótce w obfite i świeże zapasy. Żółwie były lepsze od najlepszych, jakieśmy znali, a kaczki przewyższały w smaku najdelikatniejsze gatunki naszej dziczyzny. Prócz tego dzicy przywieźli nam masę brunatnych selerów i kolearii (ziela leczącego szkorbut), a także pełną łódź świeżych i suszonych ryb. Selery okazały się wyborne, a kolearia była tak skuteczna, że w krótkim czasie nikt nie figurował na liście chorych. Otrzymaliśmy także masę innych świeżych produktów, z których warto wymienić mięczaki podobne do jadalnych ślimaków, ale o smaku ostryg, krewetki i małe raczki, jaja albatrosów i nieznanego nam pochodzenia jaja o ciemnej barwie skorupki. Przyjęliśmy także okazałe ilości świeżej wieprzowiny, o której już wspomniałem. Większość naszych ludzi chwaliła sobie to mięso, ale mnie wydawało się ono niesmaczne i cuchnące rybą. W zamian za to ofiarowaliśmy krajowcom paciorki, świecidełka, ozdoby z mosiądzu, ćwieki, noże i sztuki czerwonego perkalu. Radość ich była ogromna. Urządziliśmy na wybrzeżu formalne targowisko, oczywiście w zasięgu naszych armat, a dzicy odnosili się do nas z zaufaniem i wykazywali przy tym takie poczucie porządku, jakiego nie oczekiwaliśmy, sądząc po ich zachowaniu się we wsi.

Ten życzliwy stosunek trwał kilka dni, w ciągu których odwiedzały nasz szkuner gromadki krajowców, a my urządzaliśmy wycieczki w głąb lądu bez żadnych przeszkód. Kapitan Guy widząc, jak łatwo z pomocą wyspiarzy może załadować statek trepangami, postanowił nawiązać pertraktacje z Tu-witem. Zaproponował mu zatem wybudowanie odpowiednich szop, w których by ludność gromadziła towar podczas naszej wyprawy na południe, a który my byśmy, wracając, zabrali, płacąc naszymi artykułami. Wódz bardzo chętnie zgodził się na podobny układ, który zawarliśmy zatem z obopólną korzyścią, dla nas i dla mieszkańców wyspy. Zostało postanowione, że po wykonaniu pewnych koniecznych przygotowań, jak wyrównanie gruntu pod szopy, wzniesienie części wiązań i inne tym podobne czynności, do których potrzebna była cała nasza załoga, szkuner uda się w swoją drogę, pozostawiając na wyspie trzech ludzi, którzy zajmą się dozorem nad właściwym magazynowaniem trepangów i pouczą tubylców, jak należy je suszyć. Jeśli chodzi o warunki tej umowy, wynagrodzenie miało zależeć od pilności dzikich w czasie naszej dalszej

podróży. Za swoje wysiłki mieli oni otrzymać określoną ilość niebieskich paciorków, noży, czerwonego perkalu i tym podobnych rzeczy, a ilość ta była ściśle zależna od ilości przygotowanych i wysuszonych trepangów.

Być może dokładniejszy opis tego ważnego artykułu handlu i metoda zbierania go zainteresuje moich czytelników i nie widzę naprawdę, w jakim innym miejscu mojej narracji mógłbym lepiej tematowi temu poświęcić parę słów. Poniższa notatka o trepangach pochodzi z najnowszej historii jednej z wypraw na morza południowe:

„Trepangi z Oceanu Indyjskiego znane są w handlu pod francuską nazwą *bouche de mer*, czyli kasek z morza. Jeśli się nie mylę, sławny Cuvier nazywa je *Gasteropeda pulmonifera*. Trepangi znaleźć można w olbrzymich ilościach na brzegach wysp Pacyfiku i przeznacza się je przeważnie na chiński rynek, gdzie uzyskać można za nie wysoką cenę, prawdopodobnie równie wysoką, jak za owe sławne gniazda ptasie, które, jeśli się nie mylę, budowane są właśnie z żelatynowej substancji zbieranej przez pewne gatunki jaskółek z ciała trepangów. Trepangi nie posiadają ani skorupy, ani nóg, ani żadnej wystającej części korpusu, z wyjątkiem dwóch przeciwstawnych organów: pochłaniania i wydzielania. Jednakże korzystając z prężności mięśni, potrafią one jak gąsienice lub liszki czołgać się w płytkiej wodzie, gdzie często spostrzegają je właśnie specjalnego gatunku jaskółki o ostrym dziobie. Przebijają tymi dziobami miękkie ciało trepanga i ssą gumiastą ciecz, która wysychając, spaja bardzo silnie ścianki ptasich gniazd. Stąd też naukowa nazwa trepangów: *Gasteropeda pulmonifera*.

Trepangi są podłużne, omal cylindryczne, różnej wielkości, od trzech do osiemnastu cali długości. Widziałem nawet parę, które nie były ani o cal mniejsze od dwóch stóp. Jak powiedziałem, są one niemal okrągłe, może troszkę spłaszczone z jednej strony, tej, która posuwa się po dnie morza. W przekroju cylindrycznym mają około ośmiu cali. Wypełzają na płytką wodę o pewnej porze roku, najprawdopodobniej w celach rozrodczych, gdyż często znajdujemy je parami. W okresach, kiedy słońce najbardziej operuje na wodę i ogrzewa ją do temperatury letniej, trepangi zbliżają się do brzegu i często wczolgują się na takie płycizny, że w okresach odpływu wysychają spalone gorącym słońcem. Nigdy jednak nie sprowadzają one swojego

potomstwa na płytke wody. Nigdy właściwie nie można ujrzyć ich potomstwa. Dorosłe zaś bez wyjątku wyczołgują się na płycizny z głębokiej wody. Karmią się przeważnie tworami morskimi, które produkują koral.

Trepangi przeważnie łowi się w wodzie głębokiej na trzy do czterech stóp, wynosi na brzeg i rozcina z jednego końca. Nacięcie to jest głębokie na cal lub więcej, zależnie od wielkości danego okazu. Przez ten otwór wyciska się wnętrzności, a te są podobne do wnętrzności każdego innego mieszkańca głębokich wód. Potem trepangi się myje, a następnie gotuje przez okres czasu, który nie może być ani za krótki, ani za długi. Następnie trzeba je zakopać na cztery godziny, po czym znowu krótko gotować. Wreszcie wyklada się je do suszenia na słońcu bądź przy ogniu. Wysuszone na słońcu mają najwyższą cenę. Jednakże w czasie, kiedy na słońcu wysuszy się jeden pikul (133 1/3 funta), przy ogniu zdąży się wysuszyć trzydzieści. Dobrze wysuszone dadzą się przechowywać w suchym miejscu przez dwa albo trzy lata bez żadnego ryzyka, jednakże trzeba je przeglądać co parę miesięcy, powiedzmy, cztery razy do roku, aby sprawdzić, czy nie zakradła się wilgoć.

Chińczycy, jak już powiedziałem, uważają trepangi za wielki przysmak, mówiąc, że dają one siłę i posiadają wielką wartość odżywczą oraz są bardzo potrzebne przy kuracji organizmu wyczerpanego nierozsądnym nadużywaniem uciech. Pierwszy gatunek trepangów uzyskuje bardzo wysoką cenę w Kantonie, prawie dziewięćdziesiąt dolarów za pikul. Drugi gatunek przynosi siedemdziesiąt pięć dolarów, trzeci pięćdziesiąt. Z kolei czwarty trzydzieści dolarów, piąty dwadzieścia, szósty dwanaście, siódmy osiem, ósmy cztery. Małe ilości uzyskują czasami lepszą cenę w Manili, Singapurze i Batawii”.

Po zawarciu porozumienia przenieśliśmy na ląd wszystko, co potrzebne było do zamierzonych robót, i oczyściliśmy grunt. Wybraliśmy równe miejsce niedaleko zatoki – gdzie w obfitości znajdowało się zarówno drzewo, jak i woda – a przy tym niezbyt odległe od raf, na których łowiono trepangi. Pracowaliśmy tak gorliwie, że wkrótce ścięliśmy odpowiednią ilość drzew i wznieśliśmy szkielet budynku, który niezmiernie zdumiał dzikich. Po trzech dniach posunęliśmy się tak daleko, że można było śmiało powierzyć wykończenie budowy trzem towarzyszom mającym pozostać na wyspie,

Johnowi Carsonowi, Alfredowi Harrisowi i Petersenowi, wszystkim trzem z Londynu. Sami oni ofiarowali się na to stanowisko.

Ostatniego dnia miesiąca ukończyliśmy przygotowania do podróży, postanowiliśmy jednak przed wyruszeniem złożyć Tu-witowi wizytę pożegnalną w jego wsi, a on sam zdawał się przywiązywać do tego ogromną wagę i usilnie nalegał, abyśmy dotrzymali przyrzeczenia. My też obawialiśmy się obrazić wodza przez ostateczną odmowę. Sądzę, że żadnemu z nas nie przyszło wówczas na myśl powątpiewać w życzliwość dzikich. Zachowywali się bardzo grzecznie, ochotnie pomagali nam w pracy i znosili produkty swego kraju, często bez żadnej zapłaty, szanowali naszą własność, niczego sobie nie przywłaszczając, aczkolwiek przedmioty, które posiadaliśmy, miały dla nich wielką wartość, gdyż manifestowali ogromną swą radość, ilekroć otrzymali jakiś podarunek. Zwłaszcza kobiety były pod każdym względem bardzo uprzejme, tak że biorąc to wszystko pod rozwagę, musielibyśmy być najbardziej podejrzliwymi istotami pod słońcem, gdyby nasunęła się nam choćby jedna myśl, iż ci ludzie, którzy odnoszą się do nas tak serdecznie, mogą planować zdradę. Aż nadto prędko mieliśmy się przekonać, że ta pozorna przychylność była tylko wyrefinowaną przebiegłością, była planem z góry obmyślonym i precyzyjnie przeprowadzonym dla dopełnienia naszej zguby. Ci wyspiarze, których prawie zaczęliśmy szanować, byli najdzikszyimi, najokrutniejszymi i najpodlejszymi łotrami, jakich kiedykolwiek wydała ziemia.

Pierwszego lutego wyszliśmy na ląd, by złożyć ceremonialną wizytę, a mimo że byliśmy wolni od obaw, nie zaniedbaliśmy zwykłych ostrożności. Sześciu ludzi zostało na pokładzie szkunera z rozkazem ciągłego czuwania i niedopuszczania nikogo podczas naszej nieobecności. Nabito działa podwójnie kartaczami, a garłacze – siekańcami. Statek stał przynajmniej o milę od brzegu, żadna więc łódź nie mogła podpłynąć niespodzianie, nie narażając się na natychmiastowy ogień.

Na ląd wyszło nas trzydziestu dwóch, uzbrojonych od stóp do głów w muszkiety, pistolety, kordelasy i długie marynarskie noże. Stu czarnoskórych wojowników oczekiwało nas na brzegu, by towarzyszyć nam po drodze. Zastanawiało nas, że byli nieuzbrojeni, a gdyśmy zapytali o to Tu-wita, odpowiedział: „Matti non we pa pa si”, co miało znaczyć, że tam,

gdzie wszyscy są braćmi, wszelka broń jest zbyteczna. Wzięliśmy to za dobrą monetę i ruszyliśmy w drogę.

Przekroczyliśmy już wspomniane poprzednio źródło i strumień i wkroczyliśmy w ciasny wąwóz wijący się kręto wśród skalistych wzgórz otaczających wioskę. Droga była kamienista i poszarpana i dała się nam już przy pierwszej wędrówce dobrze we znaki. Wąwóz długości półtorej do dwóch mil stanowił prawdopodobnie łożysko wyschłego strumienia, był bardzo kręty, załamywał się w różne strony, tak że nawet dwudziestu jardów nie biegł prosto. Ściany jego miały przeciętnie siedemdziesiąt do osiemdziesięciu stóp wysokości, a miejscami wznosiły się tak bardzo, że nie dopuszczały prawie światła dziennego. Przeciętna jego szerokość wynosiła czterdzieści stóp, ale niekiedy zwężał się tak dalece, że ledwie pięciu czy sześciu ludzi mogło postępować obok siebie. Krótko mówiąc, w całym wąwozie nie znalazłoby się jednego miejsca, które by nie było wymarzone do urządzenia zasadzki, toteż przed zapuszczeniem się w tę zdradziecką gardziel opatrzyliśmy starannie broń. Gdy dziś jeszcze o tym wszystkim pomyślę, nie mogę pojąć, jak mogliśmy być tak głupi i nieostrożni, aby się dać wciągnąć w niebezpieczną szczelinę i zdać się w ten sposób na łaskę i niełaskę dzikich, dopuszczając, by otwierali i zamykali nasz pochód. A jednak uczyniliśmy to głupstwo, ufni w siłę i wyższość cywilizacji, w pozorne rozbrojenie Tu-wita i jego ludzi, wreszcie w broń palną, której działania nie znali jeszcze dzicy; wierzyliśmy przy tym święcie w szczerą życzliwość tych łotrów. Pięciu czy sześciu otwierało nasz pochód, pokazując nam niby drogę i z ostentacyjną uprzejmością usuwając przed nami kamienie. Szliśmy za nimi zbitą gromadą, bacząc tylko, aby nikt między nas się nie wsunął, a za nami postępowały główne siły dzikich, zachowując wzorowy porządek i spokój.

Dirk Peters, ja i niejaki Wilson Allen szliśmy z prawego boku oddziału, przypatrując się osobliwemu uwarstwieniu groźnie nad nami zwieszonych ścian wąwozu. W jednym miejscu zauważyliśmy szczelinę w miękkiej skale, tak szeroką, że człowiek mógłby swobodnie się w niej poruszać. Szczelina szła jakieś dwadzieścia stóp w głąb ściany, a potem zakręcała na lewo. O ile mogliśmy stwierdzić, wysokość jej wynosiła jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stóp. Rosły tam dwa karłowate krzaki przypominające

naszą leszczynę. Chcąc się im bliżej przypatrzeć, podskoczyłem do szczeliny i zerwałem szybko kilka orzechów. Chciałem właśnie wrócić, gdy spostrzegłem, że Peters i Allen pobiegli za mną. Prosiłem ich, żeby wrócili, bo tu nie ma miejsca na dwie osoby, a orzechów i tak im przyniosę. Zaczęli się więc cofać do wyjścia i Allen był właśnie na samej krawędzi, gdy nagle doznaliśmy wstrząśnienia tak niezwykłego, jakiego jeszcze w życiu nie przeżyłem. Pomyślałem – o ile w ogóle byłem w stanie myśleć w owej chwili – że oto runęły fundamenty naszego globu i wstaje dzień skończenia świata.

## Rozdział XXI

Gdy zdołałem nieco zebrać zmysły, uczułem, że jestem na pół uduszony wśród zupełnej ciemności, w masie miałkiej ziemi, i że to ziemia przygniata mnie, zasypuje i grozi pogrzebaniem za życia. Ogarnęła mnie śmiertelna trwoga. Wyteżyłem wszystkie siły, aby stanąć na nogach, i w końcu mi się to udało. Potem stałem chwilę nieruchomy, na próżno usiłując zdać sobie sprawę z tego, co zaszło i gdzie się znajduję. W tej chwili usłyszałem głęboki jęk tuż koło mnie, a potem zduszony głos Petersa błagającego o pomoc w imię Boga. Postąpiłem kilka kroków i potknąłem się o ciało mego towarzysza zupełnie zasypanego ziemią i na próżno usiłującego się spod niej wydobyć. Zacząłem energicznie odrzucać piasek i pomogłem mu się wydostać na wierzch.

Gdyśmy ochłonęli z przestrawu na tyle, aby móc rozsądnie rozumować, zgodziliśmy się obaj na to, że ściany szczeliny, do której wskoczyliśmy, zawaliły się czy to skutkiem trzęsienia ziemi, czy pod wpływem własnego ciężaru, i że jesteśmy obaj zgubieni, pogrzebani za życia. Wpadliśmy wówczas w szaloną rozpacz, w rozpacz, o której pojęcia mieć nie może ten, kto się w podobnym położeniu nie znajdował. Dziś jeszcze, rozpatrując rzecz na zimno, twierdzę, że ze wszystkich bólów i nieszczęść, jakie się przytrafić mogą człowiekowi, żadne nie przysparza tak potwornych mąk fizycznych i moralnych, jak pogrzebanie żywcem. Bezwzględna, ciemna noc wokół ofiary, straszliwy ucisk w płucach, duszące wilgotne wyziewy ziemi! A wszystkie te cierpienia zwiększa jeszcze przerażające poczucie, że nie ma najmniejszej nadziei, że człowiek już znajduje się w grobie. Wywołuje to w ludzkim sercu

uczucie zimnej grozy i dławiącego strachu, uczucie nie do zniesienia i nie do opisanego.

Wreszcie Peters poddał myśl, że należy zbadać ogrom naszego nieszczęścia i przede wszystkim obmacać nasze więzienie, gdyż – jak słusznie zauważył – może znajdziemy gdzieś jakiś otwór, który nas powiedzie do życia. Chwyciłem się i ja tej wątpliwej nadziei, a zebrawszy całą energię, począłem torować sobie drogę przez sypką ziemię. Zaledwie postąpiłem jeden krok, gdy zauważyłem cieniutką, ledwie dostrzegalną smugę światła, która choć bardzo nikła, jednak dodała nam otuchy. W każdym razie nie groził nam zupełny brak powietrza. Udało się nam wdrapać na wyższą warstwę gruzów w kierunku światła, gdzie łatwiej się było poruszać, i zmniejszył się bolesny ucisk w płucach. Wkrótce było już dostatecznie jasno, aby się przekonać, gdzie jesteśmy. Spostrzeżliśmy, że stoimy prawie na samym zakręcie. Jeszcze kilka wysiłków i oto weszliśmy w zakręt. Z radością odkryliśmy długą szparę idącą ku górze pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a czasem jeszcze bardziej stromą. Nie mogliśmy objąć wzrokiem całej długości tej szczeliny, ponieważ jednak przepuszczała ona szeroką smugę światła, uważaliśmy, że wydostawszy się na górę, będziemy ocaleni.

Nagle przypomniałem sobie, że przecież trzech nas skoczyło do szczeliny i że brakuje Allena. Powróciliśmy więc w ciemność, aby go znaleźć. Po długich i niebezpiecznych poszukiwaniach wśród bezustannie obsuwającej się ziemi Peters oznajmił, że natrafił na nogę Allena i stara się go bezskutecznie wyciągnąć spod kupy ziemi. Pośpieszyłem mu z pomocą i po usunięciu ziemi przekonaliśmy się, że Allen nie żyje i że musiał już dawno skonać. W głębokim smutku opuściliśmy zwłoki i powróciliśmy znów na zakręt korytarza. Ale odkryta przez nas rozpadlina była tak wąska, że zwątpiliśmy w możliwość wydostania się przez nią.

Łańcuch górski, w którym byliśmy uwięzieni, był zbudowany z miękkiego kamienia podobnego do steatytu. Toteż zbocze szczeliny, po którym musieliśmy się wdrapywać, było tak śliskie i mokre, że nogi osuwały się nam bezustannie, z rzadka tylko znajdując punkt oparcia na wystających gdzieniegdzie nierównościach. Miejsca bardziej strome utrudniały posuwanie się do tego stopnia, żeśmy całkiem stracili nadzieję.

Nabraliśmy jednak nieco otuchy, wpadłszy na dobry pomysł. Zaczęliśmy wycinać nożami rodzaj schodów w miękkiej skale i w ten sposób powoli się posuwając, zagrożeni co chwila śmiertelnym upadkiem ze znacznej wysokości, na jakiej byliśmy zawieszeni, dotarliśmy do naturalnej platformy, skąd widać było błękit nieba w górze i lesisty wąwóz pod nami. Byliśmy tak wyczerpani tą przeprawą, że ledwie mogliśmy ustać na nogach i mówić. Peters miał ochotę wystrzelić w powietrze, by w ten sposób dać znać o sobie pozostałym towarzyszom, pistolety bowiem mieliśmy jeszcze przy sobie, podczas gdy muszkiety i kordelasy zgubiliśmy wśród gruzów. Gorzko byłoby nam przyszło żałować, gdybyśmy wtedy dali ognia. Na szczęście jednak powziąłem już wtedy cień podejrzenia, czy nie padliśmy ofiarą zamachu ze strony dzikich, i powstrzymałem Petersa, uważając zdradzenie naszej kryjówki za ryzykowne i niebezpieczne.

Odpczawszy z godzinę, poczęliśmy posuwać się dalej ku górze, gdy nagle usłyszeliśmy potworne wycie i ryki. Wydostawszy się wreszcie na powierzchnię (dotąd wędrowaliśmy pod kamiennym sklepieniem), podpełzliśmy ostrożnie do bliskiego otworu w skale, skąd można było objąć wzrokiem całą okolicę. Spojrzawszy, zrozumieliśmy w jednej chwili, co spowodowało owo mniemane trzęsienie ziemi.

Znajdowaliśmy się na jednym z najwyższych szczytów łańcucha wzgórz steatytowych. Fatalny wąwóz biegł jakie pięćdziesiąt stóp na lewo od nas. Zauważyliśmy, że na przestrzeni co najmniej stu łokci zasypany był i prawie wypełniony skłębioną masą ziemi i kamieni. Wszystko to – w przybliżeniu ponad milion ton – zostało sztucznie strącone. Metoda, jakiej użyto dla wykonania tego zamachu, była bardzo prosta, a tłumaczyła się sama, gdyż naokoło pozostało mnóstwo niedwuznacznych śladów morderczej roboty. Na wschodnim brzegu wąwozu (znajdowaliśmy się po stronie zachodniej) sterczały w różnych miejscach powbijane w ziemię drewniane pale. W tych miejscach ziemia się nie obsunęła. Ale wzdłuż brzegów nowej przepaści, powstałej wskutek zawalenia się skał, widać było wyraźnie ślady takichże pali oddalonych o jard jeden od drugiego na przestrzeni około trzystu stóp. Na pozostałych palach wisały jeszcze silne liny z winnych łodyg, co dowodziło, że takie sznury musiały być przywiązane do każdego pala. Szczególne uwarstwienie skał i mała spójność poszczególnych warstw ze



sobą, o czym już wspominałem, ułatwiły dzikim robotę. Znając bowiem owe właściwości gruntu, wyzyskali je do urządzenia morderczej zasadzki. Spowodowali mianowicie sztuczne obsunięcie się skał za pomocą szeregu pali opatrzonych sznurami, które jako potężne dźwignie posłużyły im do poruszenia jednej warstwy i strącenia jej w wąwóz. Każdy dziki miał tylko na dany sygnał pociągnąć za sznur, a katastrofa musiała się udać. Nie było wątpliwości, że wszyscy nasi towarzysze padli ofiarą tego sztucznego kataklizmu i że my byliśmy jedynymi białymi na wyspie.

## Rozdział XXII

Położenie nasze – zrozumieliśmy to natychmiast – było niewiele lepsze niż wtedy, gdyśmy się uważali za żywcem pogrzebanych. Czego mogliśmy się spodziewać? Śmierci z rąk dzikich albo nędznego życia w niewoli. Mogliśmy co prawda ukrywać się jeszcze jakiś czas wśród pagórków czy też w szczelinie, z której się wydostaliśmy. Z nadejściem jednak długiej zimy podbiegunowej musielibyśmy skonać z głodu i zimna lub zdradzić naszą obecność przy poszukiwaniu żywności.

Cała okolica roiła się od dzikich, a coraz przybywały nowe łodzie z sąsiednich wysp, prawdopodobnie dla pomocy przy zdobyciu i splądrowaniu „Jane”. Statek stał jeszcze ciągle spokojnie na kotwicy, a pozostali na nim towarzysze nie mieli pojęcia o grożącym im niebezpieczeństwie. Jakże chcielibyśmy znaleźć się wraz z nimi w tej chwili, ostrzec ich przed napadem, walczyć i zginąć razem lub dopomóc im w ucieczce. Nie było jednak sposobu ostrzeżenia ich bez zwrócenia na siebie uwagi dzikich, co równałoby się śmierci, a i wtedy nasi towarzysze zapewne nie zrozumieliby danego przez nas hasła. Wystrzał z pistoletu uważaliby zapewne za zapowiedź nieszczęścia, nie objaśniłby ich jednak, co należy robić. Nie pouczyłby ich, że jedynym sposobem ratunku jest odpłynąć natychmiast, bez względu na nieaktualne wobec śmierci kolegów prawidła solidarności i honoru. Nawet zatem gdyby usłyszeli strzał, nie usposobiłby on ich lepiej do obrony, do której i tak byli przygotowani. Wobec tych wątpliwości postanowiliśmy się wstrzymać od bezużytecznego alarmu.

Następnie przyszło nam na myśl, czy by się nie dało odzepić jednej z czterech stojących w zatoce łodzi i dopłynąć na niej do statku. Rychło jednak doszliśmy do przekonania, że przedsięwzięcie nie mogłoby się udać wobec tego, że wybrzeże roilo się od dzikich, czających się za drzewami i załomami skał, by ich nie dostrzeżono ze szkunera. Tuż pod naszym pagórkiem zgromadził się cały oddział wojowników w czarnych futrach, z Tu-witem na czele, i blokując jedyną ścieżkę, którą mogliśmy dostać się na brzeg, zdawał się oczekiwać posiłków, zanim rzuci się do ataku. Łodzie stojące u wejścia do zatoki były też zajęte przez czarnych, bez broni wprawdzie, ale musieli ją mieć w pobliżu. Zdecydowaliśmy się więc mimo niecierpliwości i niepokoju, jaki nami miotał, pozostać w naszym ukryciu i być bezczynnymi świadkami bitwy, jaka wkrótce miała nastąpić.

Po upływie pół godziny dostrzegliśmy sześćdziesiąt do siedemdziesięciu łodzi i tratw – wszystkie pełne dzikich – okrążających południowy cypel u wejścia do zatoki. Prócz krótkich maczug i kamieni wyścielających dna łódek nie mieli dzicy innego uzbrojenia. Po chwili nadpłynął z drugiej strony drugi oddział, tak samo uzbrojony, choć liczebnie daleko silniejszy. Cztery wielkie łodzie stojące w zatoce napełniły się też dzikimi wyskakującymi zza krzaków i podążyły za resztą. W krótszym czasie, niż trwa ten opis, została „Jane Guy” obleżona przez tłum desperatów gotowych na wszystko, aby tylko zdobyć statek.

Że napad musi się udać – o tym nie wątpiłem ani przez chwilę. Sześciu naszych ludzi nie było w stanie dostatecznie szybko nabijać dział i musiało wkrótce ulec. Przypuszczałem nawet, że nie będą stawiali oporu, omyliłem się jednak, gdyż nastawili działa przeciw łodziom oddalonym wówczas na strzał z pistoletu. Pierwsza salwa chybiła zupełnie, prawdopodobnie wskutek wzruszenia i podniecenia strzelających. Nie trafiono ani jednej łodzi, nie raniono ani jednego dzikiego – strzały były za krótkie i poszły rykoszetem nad ich głowami. Niespodziewany jednak huk i dym oszołomił dzikich i przez kilka chwil myślałem, że zrezygnują ze swych zamiarów i uciekną do brzegu. Stałoby się tak niewątpliwie, gdyby nasi ludzie dali salwę z broni ręcznej, która ze względu na to, że łodzie były tak blisko, byłaby skuteczna, a w każdym razie powstrzymałaby atakujących, póki nasi nie nabiją ponownie dział. Nasi towarzysze jednak pobiegli na bakburtę,

aby się z tej strony zabezpieczyć, a tymczasem pierwsza banda ochłonęła z przestrachu i przekonawszy się, że strzały nie przyniosły jej najmniejszych szkód, płynęła dalej ku statkowi.

Skutek salwy z bakburty wynagrodził przez chwilę pierwsze niepowodzenia. Podwójne ładunki wielkich dział rozerwały na sztuki siedem czy osiem łodzi i zabiły około czterdziestu dzikich na miejscu. Około setki wpadło do wody, wśród nich wielu ciężko rannych. Reszta przerażona do utraty zmysłów uciekała w nieładzie, nie usiłując nawet zabrać rannych, którzy trzepocząc się w wodzie, wzywali przeraźliwie pomocy. Ten wielki sukces przyszedł jednak za późno i nie zdołał uratować naszych ludzi. Pierwsi napastnicy podpłynęli bez przeszkód pod okręt i w mgnieniu oka około stu pięćdziesięciu dzikich wdrapało się po łańcuchach do góry i wskoczyło na pokład, zanim zdążono ponownie nabić działa. W jednej chwili nasi ludzie zostali obaleni, zdeptani i literalnie poszarpani w kawały.

Widząc to, dzicy z tratw też nabrali odwagi, zapomnieli o swym przerażeniu i tłumnie wpadli na okręt, by wziąć udział w rabunku. W pięć minut stała się „Jane Guy” widownią przerażającego spustoszenia i największego wandalizmu. Porąbano w mgnieniu oka pokład, powyrywano belki, porwano liny i żagle. Z czarodziejską niemal szybkością zniszczono takielunek, działa i przyrządy. Zerwano łańcuch kotwiczny i powleczono okręt do brzegu, gdzie czekał już ze swoim sztabem Tu-wit, który jak doświadczony generał z dala przypatrywał się walce, a dopiero gdy zwycięstwo było zupełne, nadbiegł wraz z wojownikami w czarnych futrach, aby otrzymać swój udział w łupach.

Odejście Tu-wita ze stanowiska pod nami umożliwiło nam opuszczenie kryjówek i rozejście się po okolicy. Uszedłszy jakie pięćdziesiąt jardów, znaleźliśmy źródło, przy którym ugasiliśmy trawiące nas pragnienie. W pobliżu rosło mnóstwo krzaków obsypanych orzeszkami, o których już raz wspomniałem. Skosztowaliśmy orzeszków. Były znakomite, w smaku podobne do naszych laskowych. Nazbieraliśmy ich sporo do kapeluszy i zsypanwszy w jednym kącie rozpadliny, zaczęliśmy znów zbierać. Przeraził nas nagle jakiś szelest w zaroślach i już mieliśmy uciekać, gdy się ukazał wielki czarny ptak z gatunku bąków, który podleciał powoli a ciężko nad krzaki. Stałem bezradnie, nie wiedząc, co począć, ale Peters szybko

podbiegł do niego i chwycił za szyję. Ptak wyrwał się z takim wrzaskiem, że omal nie musieliśmy wypuścić go, aby nam dzikich nie sprowadził. Zabił go wreszcie Peters nożem, po czym powlekliśmy go do kryjówki, gratulując sobie powodzenia, gdyż szczęśliwy ten przypadek dostarczył nam mięsa na cały tydzień.

Wysunęliśmy się powtórnie z ukrycia i uszliśmy spory kawał drogi na południe w nadziei znalezienia żywności, ale nie znaleźliśmy niczego. Zaczęliśmy zbierać drzewo, lecz spostrzegłszy z daleka dwie bandy krajowców wracających z łupem, cofnęliśmy się szybko do rozpadliny.

Teraz zajęliśmy się gorliwie ubezpieczeniem naszej kryjówki. Zakryliśmy chrustem otwór, który po raz pierwszy wskazał nam błękit nieba, a zostawiliśmy tylko małe okienko, przez które można było obserwować zatokę. Zapewniało nam to zupełne bezpieczeństwo, dopóki pozostawaliśmy w rozpadlinie. Było widoczne, że dzicy zupełnie nie znali tej jamy – nic nie wskazywało na to, żeby tu kiedykolwiek zaglądali. Gdy zastanowiliśmy się, doszliśmy do wniosku, że dostaliśmy się do tego miejsca przez szczelinę powstałą wskutek wstrząsu i że nie było tu innego dojścia. Wtedy przestaliśmy się cieszyć zbytnio z tego, że nikt nas tu znaleźć nie może, natomiast poczęliśmy się bać, iż w żaden sposób nie uda nam się stąd wyjść. Postanowiliśmy przy pierwszej sposobności zbadać dokładnie szczyt naszego pagórka, a tymczasem śledziliśmy ruchy dzikich.

Właśnie ukończyli rabowanie i niszczenie okrętu i postanowili dokończyć dzieła ogniem. Po chwili ujrzeliśmy gęste kłęby dymu wydobywające się z głównego luku, a bezpośrednio po nich potężne płomienie strzelające z dziobówki. Maszty, resztki olinowania i żagli oraz cały szkielet okrętu zajęły się w jednej chwili i płomienie rozlały się na całą długość pokładu. Mimo to pozostało na płonącym statku mnóstwo dzikich wyrrywających zasuwy, klamry, zawiasy i wszelkie żelazne lub mosiężne części. Na wybrzeżu, na łodziach i tratwach, w bezpiecznej odległości od płonącego okrętu, kręciło się jeszcze najmniej dziewięć tysięcy czarnych, nie licząc band wracających z łupem w głąb wyspy lub na wyspy sąsiednie. Oczekiwaliśmy jak najrychlejszej katastrofy i nie pomyliliśmy się. Pierwszym symptomem było silne wstrząśnienie, które odczuliśmy nawet z tak wielkiej odległości – niby lekkie dotknięcie prądem elektrycznym – potem nastąpiła cisza i nic nie

zdradzało, że za chwilę nastąpi eksplozja. Dzicy byli trochę załęknieni i zaprzestali na chwilę pracy i wrzasków. Otrząsnęli się jednak i właśnie chcieli kontynuować dzieło zniszczenia, gdy ze środkowego pomostu buchnęła masa gęstego czarnego dymu, podobna do ciężkiej naładowanej elektrycznością chmury, a z wnętrza jej strzeliła wysoka, jaskrawa kolumna ognia, może na ćwierć mili w górę. Płomień nagle załamał się i jakby zatoczył koło. W mgnieniu oka całe powietrze, niby pod wpływem jakiegoś piekielnego hokus-pokus, zmieniło się w dziki chaos pełen kawałków drewna, metalu i ludzkich członków latających wokół. Dopiero potem rozległ się huk w całej swej grozie, tak straszliwy, żeśmy runęli jak uderzeni obuchem w pierś. Pagórki i skały odbijały wielokrotnym echem odgłosy okropnego grzmotu, a gęsty deszcz mniejszych odłamków z kuźni zniszczenia spadł wokół nas ze wszystkich stron.

Spustoszenie wśród dzikich przeszło nasze najśmielsze oczekiwania; zebrali obfite i zasłużone plony swej zdrady. Co najmniej tysiąc dzikich straciło życie, podczas gdy drugie tyle odniosło ciężkie rany i skaleczenia. Cała zatoka była dosłownie usiana drgającymi ciałami szamoczących się i tonących łotrów, a na wybrzeżu było jeszcze gorzej. Cały tłum stał jak skamieniały nagłością i rozmiarami klęski, a przerażenie tak dalece odebrało im zmysły, że nikt się nie poruszył, by ratować siebie lub innych. Nagle zauważyliśmy całkowitą zmianę w ich zachowaniu. Z zupełnego osłupienia wpadli w najwyższe podniecenie, poczęli się tłoczyć i biec do pewnego punktu wybrzeża, okazując przy tym gwałtowny strach, gniew i ciekawość i wyjąc z całych sił: „Tekeli-li! Tekeli-li!”.

Zaraz potem jeden oddział zapuścił się między pagórki, skąd niebawem powrócił, niosąc drewniane kołki. Poniesiono je do tego miejsca, gdzie tłok był największy, tłum się rozstał otwierając im drogę i poznaliśmy wtedy przyczynę wzruszenia dzikich. Ujrzelśmy coś białego leżącego na ziemi, ale nie mogliśmy zrazu rozpoznać, co to jest. Dopiero po pewnym czasie spostrzegliśmy, że było to ciało dziwnego białego zwierzęcia o szkarłatnych zębach i pazurach, złowionego przez nas jeszcze osiemnastego stycznia. Kapitan Guy miał zamiar je wypchać i zabrać do Anglii, a przed naszym przybyciem na wyspę kazał zanieść okaz do kajuty i złożyć w osobnej skrzyni. Eksplozja wyrzuciła ową skrzynię w powietrze i zwierzę wypadło

na ziemię, dlaczego jednak jego widok wzniecał tak wielki popłoch między dzikimi, tego nie mogliśmy zrozumieć. Otoczyli zwierzę zwartą kupą, ale w pewnej odległości od zwłok. Nikt nie śmiał się przybliżyć do osobliwego tworu. Wreszcie ogrodzono całe miejsce kołami, po czym tłum ruszył w głąb wyspy, wyjąc przeraźliwie: „Tekeli-li! Tekeli-li!”.

### Rozdział XXIII

Przez sześć czy siedem następných dni pozostawaliśmy w naszej rozpadlinie, oddalając się tylko z rzadka, i to na krótko, z zachowaniem wszelkich ostrożności, po wodę lub orzechy. Urządziliśmy sobie na platformie rodzaj szałas z pościelą z suchych liści i trzema płaskimi kamieniami służącymi nam za palenisko i stół. Ogień wznicaliśmy bez większych trudności, trąc o siebie dwa kawałki drewna, miękkiego i twardego. Mięso z upolowanego ptaka okazało się bardzo smaczne, choć cokolwiek łykowate. Nie był to ptak morski, ale rodzaj pelikana z dziobem czarnym i puszystym upierzeniem, a skrzydłami maleńkimi w proporcji do reszty ciała. Potem widzieliśmy jeszcze trzy podobne ptaki w okolicy przesmyku, prawdopodobnie zajęte poszukiwaniem tego, którego schwytaliśmy. Ale ponieważ nigdy nie zbliżyły się do nas na odpowiednią odległość, nie mieliśmy okazji ich upolować.

Dopóki mieliśmy tę pieczeń, położenie nasze nie było najgorsze, z chwilą jednak gdy mięso się skończyło, trzeba było pomyśleć o nowych zapasach. Orzeszki nie mogły zaspokoić głodu, gdyż spożyte w większej ilości spowodowały gwałtowne kurcze żołądka i silne bóle głowy. Na wybrzeżu na wschód od naszego szczytu widzieliśmy kilka dużych żółwi. Można je było łatwo złapać, gdyby się nam udało tam podejść, nie zwracając uwagi na dzikich.

Zaczęliśmy się posuwać południowym korytem, które przedstawiało najmniejsze do pokonania trudności. Nie przeszliśmy stu jardów, kiedy (jak to przewidzieliśmy zresztą, oceniając z góry) trafiliśmy na rozwidlenie, w którym był zginął nasz towarzysz. Potem posuwaliśmy się korytem mniej więcej ze ćwierć mili, gdy zatrzymała nas przepaść wielkiej głębokości.

Ponieważ nie udało się znaleźć żadnego oparcia dla stóp na jej krawędzi, zawróciliśmy do głównego koryta.

Teraz skierowaliśmy kroki ku wschodniej stronie, ale niestety również bez powodzenia. Po godzinnym przedzieraniu się, ryzykując wielokrotnie skręcenie karku, zawędrowaliśmy do głębokiej rozpadliny w czarnym granicie. Dno tej rozpadliny pokryte było drobnym pyłem, a jedynym wyjściem zdawała się droga, którą tu przyszliśmy. Wydostawszy się z trudem, spróbowaliśmy z kolei północnego zbocza wzgórza. Tutaj musieliśmy zachować wielką ostrożność, gdyż najmniejsze wychylenie mogło skończyć się odkryciem nas przez mieszkańców wioski. Czołgaliśmy się więc na rękach i nogach, a czasami nawet musieliśmy całym ciałem przywierać do ziemi i podciągać się na rękach, czepiając przy tym rozmaitych krzaków. W ten ostrożny sposób przebyliśmy spory odcinek drogi, kiedy dalszy pochód zahamowany został nową rozpadliną, głębszą niż jakakolwiek z napotkanych dotychczas i prowadzącą prosto do głównego przesmyku. Tak więc nasze obawy znalazły pełne potwierdzenie. Byliśmy całkowicie odcięci od świata. Wyczerpani dotychczasowymi wysiłkami powróciliśmy, choć z trudnością, na nasze legowisko z liści i zapadliśmy w sen głęboki i spokojny.

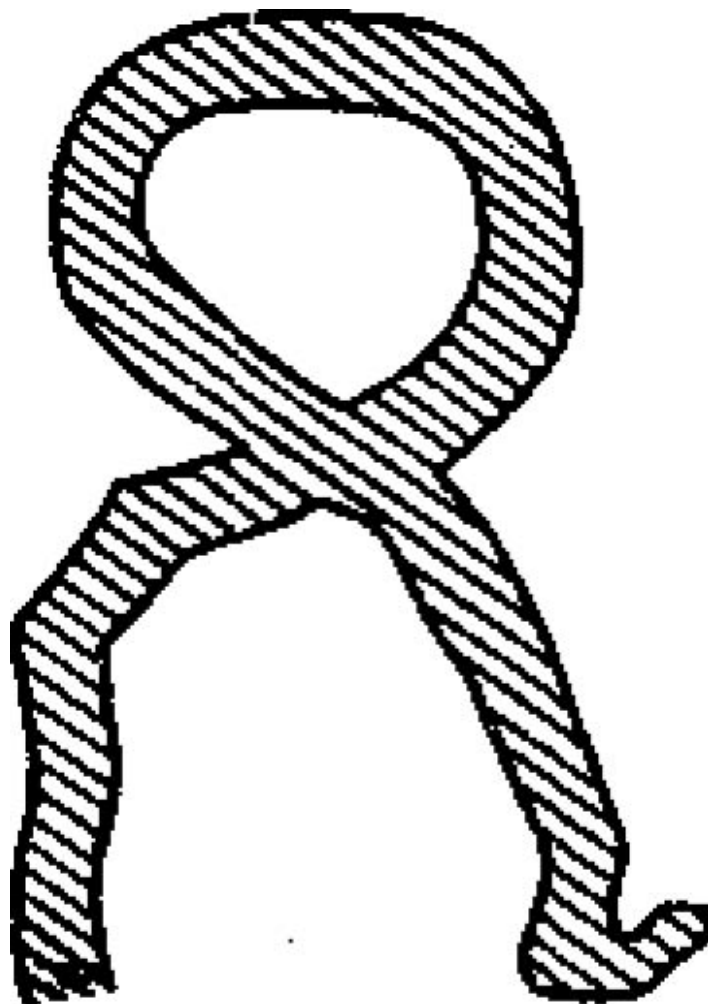
Zwątpiwszy na razie w możliwość wyswobodzenia się, spędziliśmy kilka następnych dni na przeszukiwaniu wyższych rejonów góry w nadziei znalezienia żywności. Nie znaleźliśmy jednak nic poza znanymi już orzeszkami i kępą kolearii, którą skonsumowaliśmy bardzo prędko. Piętnastego lutego, o ile sobie przypominam, zabrakło jej zupełnie, a i orzeszków było mało<sup>4</sup>. Szesnastego spuściliśmy się po raz wtóry do szczeliny, w której byliśmy zasypani, ze słabą nadzieją odkrycia jakiegoś otworu prowadzącego do wąwozu. Nie wskóraliśmy niczego, ale znaleźliśmy zgubioną strzelbę.

Siedemnastego wyruszyliśmy jeszcze raz z zamiarem ponownego zbadania granitowej rozpadliny, którą odkryliśmy podczas pierwszej naszej wyprawy. Przypomniałem sobie mianowicie, że za pierwszym razem nie dość uważnie zbadaliśmy jedną ze szczelin, która biegła wzdłuż skalistej ściany, i przyszło mi na myśl spróbować tam szczęścia raz jeszcze.

Jak poprzednio, tak i teraz nie mieliśmy większych trudności z dostaniem się w głąb tej rozpadliny, a obecnie byliśmy na tyle opanowani, że

mogliśmy ją zwiedzić z większą dokładnością. W istocie okazała się jednym z najdziwniejszych miejsc, jakie można sobie wyobrazić, i nie mogliśmy uwierzyć, iż wszystko, co nas otacza, jest dziełem natury. Rozpadlina, licząc od wschodniego do zachodniego jej krańca, miała około pięciuset jardów długości, biorąc wszystkie zakręty, natomiast ta sama odległość w prostej linii (przypuszczam tylko, gdyż nie miałem możliwości dokładnego stwierdzenia) wynosiła nie więcej niż czterdzieści lub pięćdziesiąt jardów. Na jakieś sto jardów od szczytu wzgórza obie boczne ściany rozpadliny różniły się znacznie od siebie i prawdopodobnie nigdy nie tworzyły jednej całości. Jedna pochodziła z gatunku steatytów, druga zdradzała charakter wapienny, a obie posiadały dodatek jakiejś metalicznej substancji. Odległość między ścianami wynosiła prawdopodobnie około sześćdziesięciu stóp, ale jak powiedziałem, trudno nam było spostrzec jakiegokolwiek podobieństwo formacji. Niżej natomiast, to znaczy poniżej stu jardów od wierzchołka, odległość obu ścian zmniejszała się i biegły one omal równoległe do siebie, chociaż w dalszym ciągu różniły się pochodzeniem. Natomiast poniżej pięćdziesięciu stóp od dna rozpadliny obie ściany stawały się identyczne i obie były z bardzo czarnego i błyszczącego granitu. Odległość między nimi, równa na całej długości rozpadliny, wynosiła około dwudziestu stóp. Ukształtowanie rozpadliny będzie najlepiej zrozumiałe, jeśli załączę rysunek wykonany na miejscu, gdyż szczęśliwym zbiegiem okoliczności miałem przy sobie notes i ołówek, które to rzeczy z wielką starannością przechowywałem w czasie wszystkich następnych przygód i dzięki którym mogłem czynić notatki na wiele tematów mogących w innym wypadku pójść w niepamięć.

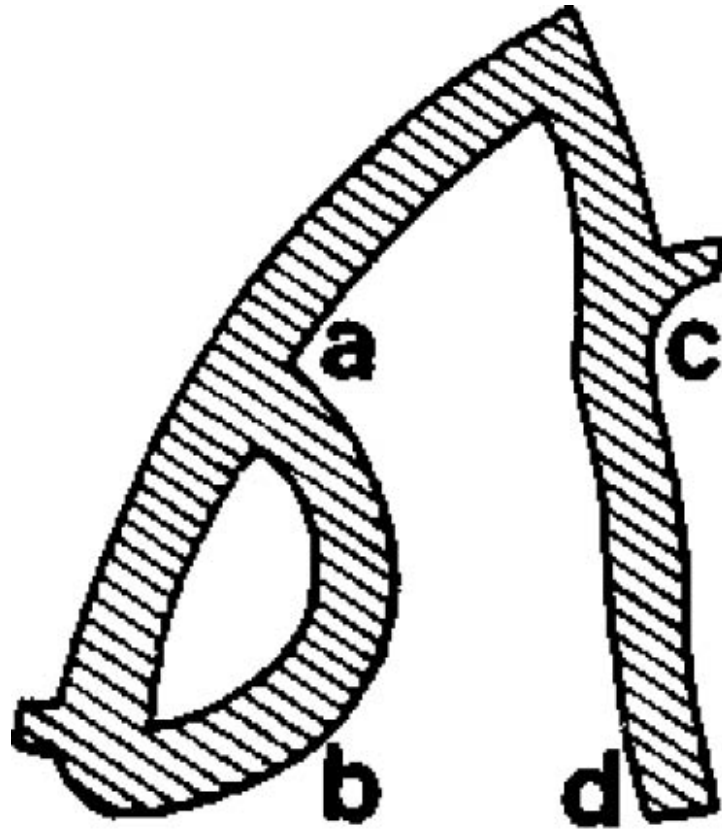




Szkic 1

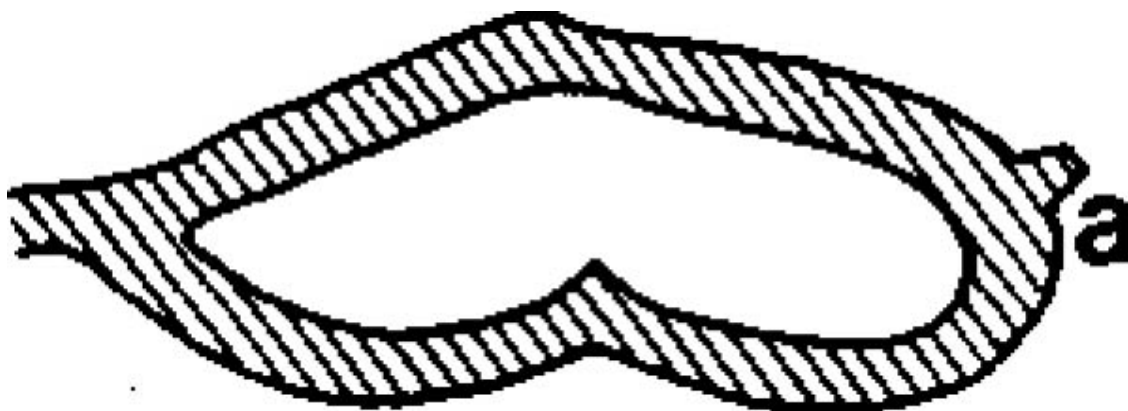
Rysunek ten (patrz szkic 1) pokazuje ukształtowanie rozpadliny bez wykazywania mniejszych zagłębień, których było bardzo wiele, a każdemu towarzyszyło identyczne zagłębienie po stronie przeciwnej. Dno rozpadliny pokrywał na głębokość trzech czy czterech cali pył najdrobniejszy, jaki sobie można wyobrazić, a pod nim znajdował się znowu czarny granit. Po prawej ręce, w najniższej części, jak to widać na rysunku, znajdował się początek jakiegoś przejścia czy kanału i celem naszej drugiej wizyty było zbadać go dokładniej niż za pierwszym razem. Zabraliśmy się do tego z energią, wycinając po drodze wielką ilość krzaków głogu, które nam przeszkadzały, i usuwając całe sterty ostrych kamyków, kształtem przypominających nieco groty do strzał. Zachęcało nas do wysiłków to, że ujrzeliśmy – jak się nam zdawało – promyk światła. Wreszcie udało nam się dostać na jakieś trzydzieści jardów w głąb i stwierdziliśmy, że kanał ten jest regularnie

sklepiony, a dno jego pokrywa ten sam pył, o którym już była mowa. Uderzyło nas teraz silne światło i wyszedłszy poza mały zakręt, znaleźliśmy się w obszernej rozpadlinie podobnej pod każdym względem do tej, jaką poprzednio opuściliśmy. Dokładny jej kształt obrysowałem i załączam jako szkic 2.



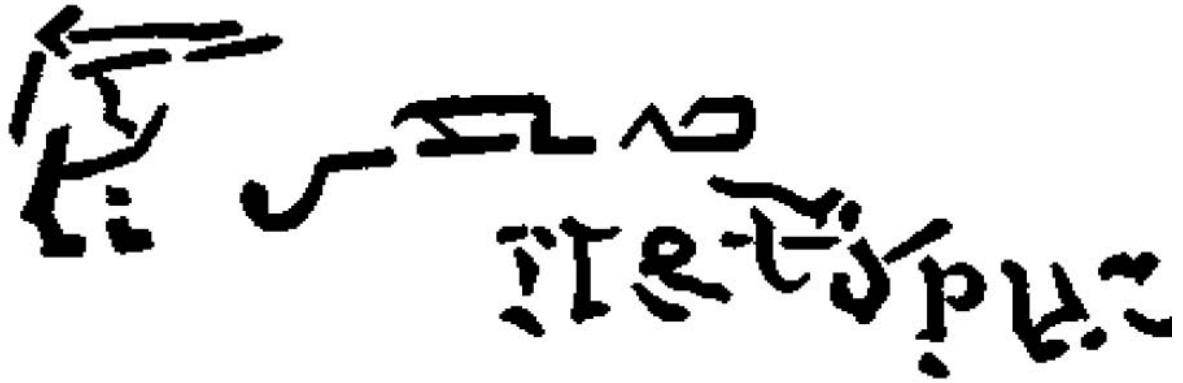
Szkic 2

Długość tej nowej rozpadliny, poczynając od punktu *a* poprzez zagięcie *b* aż do końca oznaczonego *d*, wynosi sto pięćdziesiąt jardów. W punkcie *c* znaleźliśmy mały kanał podobny do tego, jakim się tu przedostaliśmy z pierwszej rozpadliny. Ten również zarośnięty był krzakami głogu i zasypany białymi kamykami w kształcie grotów do strzał. Przepchnęliśmy się przez niego – a miał około czterdziestu stóp długości – i dostaliśmy do trzeciej rozpadliny przypominającej pierwszą z wyjątkiem kształtu, który był następujący:



Szkic 3

Długość korytarza wynosiła około stu dwudziestu jardów. W punkcie *a* znaleźliśmy nowy kanał szerokości około sześciu stóp i zagłębiający się około piętnastu stóp w skałę. Tam jednak kończył się w ścianie wapiennej i, jak przypuszczaliśmy, poza nią nie było już więcej rozpadlin. Mieliśmy już opuścić ten kanał, w którym było bardzo mało światła, kiedy Peters zwrócił moją uwagę na rząd dziwnie wyglądających wyźłobień w skale wapiennej stanowiącej zakończenie tego *cul-de-sac*<sup>5</sup>. Z odrobiną wyobraźni można było przyjąć, że pierwsze wyźłobienie po lewej, czyli od północy, stanowi niezgrabny rysunek stojącego człowieka z rozpostartymi ramionami. Reszta znaków przypominała litery jakiegoś alfabetu, w każdym razie Peters był skłonny uwierzyć, że tak jest naprawdę. Przekonywałem go jednak zdecydowanie, że jest w błędzie, co mi się chyba udało, gdy zwróciłem jego uwagę na leżące na ziemi kawałki wapnia, najwidoczniej odpryski z owych wyźłobień na ścianie i niektóre do nich dokładnie pasujące. Z pewnością jakieś wstrząsy spowodowały pęknięcie powierzchni wapnia i oto mieliśmy dowód, że wszystko, co widzimy, jest dziełem natury. Szkic 4 przedstawia dokładną kopię znalezionych przez nas wyźłobień w ścianie.



Szkic 4

Doszedłszy do przekonania, że nie tędy droga z naszego więzienia, wróciliśmy zgnębieni na szczyt pagórka. W ciągu następných dwudziestu czterech godzin nie zdarzyło się nic godnego wzmianki. Odkryliśmy tylko we wschodniej ścianie trzeciej rozpadliny trzy głębokie trójkątne kominy z czarnego granitu, ale nie próbowaliśmy ich badać, uważając je za naturalne studnie bez wyjścia. Wszystkie miały po dwadzieścia stóp obwodu. Przedstawiam je na szkicu 5.



Szkic 5

*20 lutego.* Widząc, że niepodobna dłużej wyżyć samymi orzeszkami, które przyprawiły nas o gwałtowne bóle żołądka, postanowiliśmy zaryzykować ostatnią rozpaczliwą próbę i spuścić się południowym stokiem pagórka. Ściana przepaści zbudowana była z najmniejszego steatytu i opadała na głębokość przynajmniej stu pięćdziesięciu stóp, a w niektórych miejscach nawet wyginała się łukiem. Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy wąski występ około dwudziestu stóp poniżej krawędzi urwiska nad zatoką. Peters skoczył na niego, przy czym ja ubezpieczałem go przy pomocy związanych chustek. Po nim skoczyłem ja, lubo z większą trudnością. Postanowiliśmy teraz zejść na dół w ten sam sposób, w jaki wznosiliśmy się przed kilku dniami w górę, to jest wyrzynać schody w kamieniu i po nich zstępować. Trudno sobie wprost wyobrazić, jak niesłychanie niebezpieczna była ta droga, ale musieliśmy się na nią odważyć, nie mając innego wyboru.

Na występie, na którym staliśmy, rosło kilka krzewów orzechowych. Do jednego z nich przymocowaliśmy koniec powiązanych chustek, a drugi Peters przywiązał sobie do pasa. Następnie opuścił się w dół na długość zaimprovizowanej liny, po czym zaczął wiercić w skale dziurę głęboką na osiem do dziesięciu cali, nad nią ściał skośnie skałę na stopę wysokości, a w dziurę wbił kolbę pistoletu mocny kołek. Dźwignąłem go wtenczas o cztery stopy wyżej, gdzie Peters powtórzył swą czynność, uzyskując w ten sposób punkty oparcia dla rąk i nóg. Wtedy odwiązałem koniec chustki z krzaka i rzuciłem go Petersowi, który przywiązał go do kołka i opuścił się znów na długość chustek, to jest o trzy stopy niżej niż na początku. Tutaj wywiercił drugą dziurę i wbił następny kołek. Potem podciągnął się, aby oprzeć stopy w dziurze przed chwilą wygrzebanej, a rękami uchwycił się kołka w białego powyżej. Teraz trzeba było odwiązać chustki z najwyższego kołka w celu przywiązania go do drugiego. Stwierdził przy tym, że popełnił błąd, wycinając dziury w skale zbyt daleko od siebie. Po paru niebezpiecznych próbach osiągnięcia węzła (przez cały czas trzymał się jedną ręką, a drugą próbował rozwiązać supeł) zdecydował się wreszcie uciąć chustki, pozostawiając około sześciu cali przy kołku. Przywiązawszy z kolei zaimprovizowany sznur do drugiego kołka, opuścił się znowu o parę stóp, zwracając jednak tym razem uwagę, by nie obsunąć się zbyt nisko. Tym

sposobem (nie wymyśliłbym nigdy tego sam i ratunek zawdzięczam przemyślności i zdecydowaniu Petersa) memu towarzyszowi wreszcie się udało, od czasu do czasu pomagając sobie występami w skale, bez przypadku opuścić się na dno.

Zebrawszy całą odwagę, na jaką mnie było stać, puściłem się za nim. Peters przed odejściem zostawił mi swą koszulę. Związawszy ją z moją, otrzymałem linę niezbędną do takiego przedsięwzięcia. Potem rzuciłem strzelbę na dół, a następnie przyczepiłem jeden rękaw do krzaka i zacząłem jak najspieszniej się opuszczać, robiąc szybkie i gwałtowne ruchy, by zagłuszyć ogarniający mnie strach. Z początku szło jako tako, ale w miarę posuwania się moja wyobraźnia zaczęła podsuwać mi najokropniejsze sceny, malując dobitnie niesłychaną wysokość, z jakiej schodzę, niepewne umocowanie kołków, oślizłość skały i tym podobne. Na próżno starałem się powstrzymać tok myśli i trzymać wzrok w płaszczyźnie wznoszącej się nade mną skały. Im bardziej starałem się nie myśleć, tym żywsze stawały się przerażające obrazy i tym okropniejsza moja sytuacja. Wreszcie nastąpił ów kryzys wyobraźni, który jest tak niebezpieczny we wszystkich podobnych wypadkach. Zaczynamy wtedy czuć, że musimy spaść, malujemy sobie słabość i oszołomienie, ostatnią walkę, półomdlenie i ostateczną klęskę: lot głową na dół. Nagle poczułem, że te wszystkie fantazje stają się rzeczywistością i że wyimaginowane strachy zaczynają rzeczywiście mnie ogarniać. Nie wolno mi było odrywać oczu od skały, jednakże z gwałtownym, nieokreślonym uczuciem na pół grozy, na pół ulgi spojrzałem w ziejącą otchłań. Przez chwilę palce me zaciskały się kurczowo na kołku, a myśl o możliwości ocalenia przemknęła jakby lekkim cieniem przez głowę. Lecz natychmiast zapanowała w mej duszy niepodzielnie ogromna, niepoohamowana żądza runięcia w dół i jakaś niezmierna tęsknota do otchłani. Puściłem kołek i na pół odwróciwszy się od przepaści, drżałem na całym ciele. Uczułem zawrót w głowie, a jakiś przeraźliwy głos krzyczał mi w samo ucho. Mglista, posępna postać zjawiała się tuż przede mną, uczułem, że mi serce pęka, i spadłem w objęcia widma. Zemdlałem.

Peters pochwycił mnie, gdy spadałem. Patrząc na mnie z dołu, zrozumiał, co się dzieje, i próbował dodać mi odwagi, jednakże oszołomienie mego umysłu było tak wielkie, że zupełnie nie słyszałem tego, co mówił, ani

nawet nie uświadamiałem sobie, że coś mówi. Wreszcie widząc, że się chwieję, pośpieszył mi z pomocą i uczynił to w sam czas, by mnie ocalić od zguby. Gdybym był runął całym ciężarem, płócienny sznur byłby się urwał, a ja leżałbym na dnie przepaści. Dzięki jednak pomocy Petersa, który pobiegł kilka stopni w górę, osuwałem się nie tak szybko i zawisłem bezpiecznie na sznurze, póki nie wróciła mi przytomność. Trwało to około piętnastu minut. Potem moje przerażenie zniknęło całkowicie; poczułem się zupełnie kim innym i z niewielką pomocą mego towarzysza opuściłem się bezpiecznie do samego dna.

Znajdowaliśmy się niedaleko od wąwozu, który był grobem naszych towarzyszy – na południe od miejsca katastrofy. Okolica wokół nas była wyjątkowo dzika i widok jej przypominał mi opisy pustynnych okolic Babilonu. Oprócz gruzów z rozsypujących się skał, które na północy tworzyły coś w rodzaju poszarpanego wału, cała przestrzeń usiana była kopcami wyglądającymi na ruiny jakiejś olbrzymiej budowli. Po bliższym jednak przpatrzeniu się niepodobna było wykryć w nich śladu ręki ludzkiej. Leżało między nimi mnóstwo żużlu, bezkształtne bloki czarnego granitu i również czarnego marglu (na wyspie wszystko było czarne, trudno było znaleźć cokolwiek o jasnej barwie), przy czym zarówno granit, jak i margiel usiane były ziarnkami jakiegoś metalu. Jak dalece sięgał wzrok, nie widzieliśmy żadnych śladów roślinności. Zobaczyliśmy tylko kilka ogromnych skorpionów i różnych gadów, których nigdy się nie spotyka na tych szerokościach geograficznych.

Ponieważ najważniejszą sprawą była teraz dla nas żywność, postanowiliśmy iść w stronę brzegu morza – odległego stąd nie dalej niż pół mili – z zamiarem schwytania kilku żółwi. Widzieliśmy ich wiele z naszej kryjówki na wzgórzu. Uszliśmy jakich sto jardów, wybierając ostrożnie drogę między olbrzymimi skałami i kopcami, gdy nagle z małej jaskini za zakrętem wypadło na nas pięciu dzikich, a jeden z nich uderzeniem maczugi powalił Petersa na ziemię. Widząc go upadającego, rzucili się wszyscy na swą ofiarę, dając mi dość czasu do opanowania się i ochłonięcia z przestachu. Miałem wprawdzie muszkiet, ale ponieważ lufa uszkodziła się przy rzucaniu w przepaść, wolałem użyć pistoletów, którym nic nie brakowało. Trzymając je w rękach, pośpieszyłem przeciw napastnikom i

wystrzeliłem szybko raz po raz. Dwóch dzikich padło, a trzeci, który chciał właśnie przebić oszczepem Petersa, skoczył na równe nogi. Skoro mój towarzysz został w ten sposób uwolniony, byliśmy już pewni wygranej. Peters, mimo że miał pistolet, wołał polegać na swej olbrzymiej sile i wyrwawszy jednemu z dzikich maczugę, roztrzaskał nią trzema uderzeniami głowy trzech pozostałych napastników. Byliśmy panami sytuacji.

Wszystko nastąpiło tak szybko, że staliśmy dłuższy czas przy trupach, spoglądając na nie osłupiałym wzrokiem, i stalibyśmy jeszcze czas jakiś, gdyby nas nie przywołał do przytomności daleki krzyk. Było rzeczą jasną, że strzały zaalarmowały dzikich i że teraz mamy mało szans, by nas nie zauważyli. Nie można było wrócić na skałę, gdyż musielibyśmy biec w tę stronę, skąd doleciał nas krzyk, a gdyby nawet udało się nam ją osiągnąć, nie moglibyśmy na nią wejść niespostrzeżeni. Położenie było groźne i nie wiedzieliśmy, dokąd uciekać. Nagle jeden z dzikich, do którego strzelałem i którego uważałem za zabitego, zerwał się do ucieczki. Pochwyciliśmy go i chcieliśmy zabić, gdy Petersowi przyszło na myśl, żeby go zachować przy życiu i zmusić, by nam pomógł w ucieczce. Powlekliśmy dzikusa między pagórki, dając mu do zrozumienia, że w razie oporu czeka go śmierć. Stał się zupełnie uległy i biegł przy nas w kierunku wybrzeża.

Minęliśmy wreszcie wzgórza zasłaniające widok i morze błysnęło przed nami w całej pełni w odległości może dwustu jardów. Gdy wybiegliśmy na odkrytą przestrzeń, spostrzegliśmy, że z różnych stron wyspy pędzą ku nam dzicy, wymachując rękami w straszliwej wściekłości i wyjąc jak zwierzęta. Mieliśmy już zamiar zawrócić znów ku wzgórzom, gdy ujrzeliśmy dzioby dwóch łodzi wystające zza skały. Wyteżyliśmy wszystkie siły i dobiegliśmy do nich. Okazało się, że łodzie nie są strzeżone i nie ma na nich żadnego ładunku poza trzema dużymi zółwiami Galapagos i wiosłami dla sześćdziesięciu wiosłarzy. Natychmiast wskoczyliśmy do jednej z łodzi, zmusiliśmy jeńca do wejścia i poczęliśmy wiosłować z całych sił.

Teraz jednak pożałowaliśmy, żeśmy zostawili czarnym drugą łódź. Dzicy byli jeszcze dwa razy dalej od brzegu niż my, ale zbliżali się szybko. Nie mieliśmy chwili czasu. Istniała wątpliwa nadzieja, że zdążymy ubiec dzikich w



zawładnięciu łodzią. W razie powodzenia byłibyśmy ocaleni, w przeciwnym razie czekała nas niechybna śmierć.

Łódź miała przód i tył zupełnie jednakowy, tak że zmieniliśmy tylko kierunek wiosłowania. Gdy dzicy to dostrzegli, ich wrzaski i pośpiech jeszcze się wzmogły. Zbliżali się z niesłychaną szybkością. Wiosłowaliśmy z rozpaczliwą energią i dopłynęliśmy w ostatniej chwili, tylko jeden dziki dopadł łodzi. Człowiek ten drogo swą szybkość biegu opłacił, gdyż padł natychmiast, zastrzelony przez Petersa. Tymczasem nadbiegali inni, znajdowali się już o jakieś dwadzieścia do trzydziestu kroków. Najpierw próbowaliśmy ściągnąć łódź na głęboką wodę i uniemożliwić dzikim wejście na nią, ale zbyt głęboko zaryła się w piasku. Widząc, że nie ma czasu na namysły, Peters dwoma potężnymi uderzeniami kolby muszkietu wybił duże dziury w dziobie i jednej z burt łodzi. Natychmiast odbiliśmy od brzegu. Dwóch krajowców chwyciło się naszej łodzi, nie chcąc jej puścić, tak że byliśmy zmuszeni odpędzić ich nożami. Uwolnieni w ten sposób ruszyliśmy na pełne morze. Główne siły dzikich, osiągnąwszy zniszczone czółno, poczęły wydawać przeraźliwe ryki wściekłości i rozczarowania. W rzeczy samej z tego wszystkiego, co widziałem u tych łotrów, wynika, że są oni najbardziej złośliwą, pełną hipokryzji, mściwą, krwiożerczą i w ogóle łajdacką rasą ze wszystkich ludzi na całej kuli ziemskiej. Jest rzeczą jasną, że nie mogliśmy się spodziewać litości, gdybyśmy wpadli w ich ręce. Próbowali ścigać nas w uszkodzonym czółnie, widząc jednak, że się to nie uda, dali upust swej wściekłości serią ohydnych wrzasków i popędzili znowu w stronę wzgórz.

Byliśmy na razie ocaleni, ale położenie nasze nie przedstawiało się wesoło. Wiedzieliśmy, że dzicy mają cztery łodzie, a więc pozostałe dwie mogły wypłynąć w pościg za nami. Nie mieliśmy jeszcze pojęcia o tym (nasz jeniec wyznał to później), że obie łodzie uległy zniszczeniu podczas eksplozji prochu na szkunerze. Chwilowo spodziewaliśmy się więc pościgu, gdy tylko nasi wrogowie okrążą zatokę (odległość około trzech mil) do miejsca, gdzie łodzie były zwykle przycumowane. Bojąc się tego, staraliśmy się jak najszybciej oddalić od wyspy i wiosłowaliśmy z całych sił, zmusiwszy nawet jeńca do pomocy. W pół godziny potem, gdyśmy się już oddalili o pięć czy sześć mil na południe, ujrzeliśmy wielką flotę tratów wypływającą z zatoki z

zamiarem ścigania nas. Przekonawszy się jednak, że to był trud bezowocny, dzicy porzucili ten zamiar i tratwy wróciły do przystani.

## Rozdział XXV

Znajdowaliśmy się samotni wśród rozległych, pustych mórz Antarktycznego Oceanu, na szerokości około 70°, w małej kruchej łodzi, za jedyne pożywienie mając trzy żółwie. Zawisło nad nami widmo długiej, polarnej zimy, należało się więc dobrze zastanowić, w jakim mamy popłynąć kierunku. Widzieliśmy sześć czy siedem wysp z tego samego archipelagu, odległych jedna od drugiej o około sześciu mil morskich, ale nie mieliśmy zamiaru lądować na żadnej z nich. Na północ nie było po co płynąć, gdyż jeszcze na „Jane Guy” przebyliśmy w tamtej stronie największe lody. Podążając na południe ku biegunowi, płynęliśmy (jakkolwiek może się to wydać sprzeczne z powszechnie przyjętymi pojęciami) w strefy cieplejsze. Nedorzeczną byłoby zatem leżeć w paszczę zimy, gdy na południu mogliśmy napotkać jakąś wyspę lub ląd o łagodniejszym klimacie.

Obawiając się, że dotychczasowy spokój atmosferyczny, właściwy okolicom polarnym, może nagle się zmienić, postanowiliśmy, o ile środki pozwolą, zabezpieczyć naszą łódkę przed burzą. Dno łodzi zrobione było z kory nieznanego nam drzewa, a spojenia z bardzo mocnej i giętkiej łożyny. Długa była na pięćdziesiąt stóp, a szeroka na sześć. Głębokość jej wynosiła cztery i pół stopy, a mocna i zgrabna budowa różniła ją zupełnie od łodzi używanych zwykle przez znane nam plemiona południowych mórz. Toteż nie mogliśmy wprost uwierzyć, by była dziełem rąk owych czarnych barbarzyńców. W kilka dni potem dowiedzieliśmy się od naszego jeńca, że łodzie pochodzą od mieszkańców wysp położonych na południe od archipelagu i tylko przypadkowo dostały się w ręce jego ziomków. Niewiele niestety mieliśmy możliwości zabezpieczenia naszej łodzi. Odkryliśmy kilka szczelin zarówno na dziobie, jak i na rufie. Zatkaliśmy je szmatami z wełnianego kaftana, ze zbędnych wiosł urządziliśmy na dziobie rodzaj rusztowania dla ochrony przed falami, a z dwóch innych wiosł dwa maszty naprzeciw siebie ustawione, do których w braku żagli przymocowaliśmy nasze płócienne koszule. Przyszło nam to z trudem, gdyż jeniec w żaden

sposób nie chciał nam w tej czynności dopomóc, choć na ogół pracował chętnie. Widok białego płótna zdawał się go osobliwie przerażać i nie dał się skłonić, by go dotknąć lub się doń przybliżyć. Próbowaliśmy go do tego zmusić, ale zaczął drzeć na całym ciele, krzycząc przeraźliwie: „Tekeli-li! Tekeli-li!”.

Ubezpieczywszy w ten sposób łódkę, pozełgaliśmy ku południowi. Nie mogliśmy się uskarżać na pogodę: łagodny wietrzyk wiał ustawicznie od północy i nieprzerwanie trwał dzień. Nigdzie nie spotkaliśmy lodów; w ogóle muszę podkreślić, że od przekroczenia równoleżnika, na którym leży Wysepka Benneta, nigdzie nie widzieliśmy ani kawałka zamarznętej wody. Temperatura jej była tak wysoka, że lód, gdyby nawet istniał, musiałby się roztopić. Zabiliśmy największego żółwia, który dostarczył nam pod dostatkiem pożywienia, i tak płynęliśmy siedem czy osiem dni bez żadnych przygód. Musieliśmy zapewne przebyć sporo drogi, gdyż wiatr i silny prąd pchały nas stale w obranym przez nas kierunku.

*1 marca*<sup>6</sup>. Wiele niezwykłych zjawisk w naturze zwiastowało nam, że zbliżamy się do kraju, gdzie dziwy były zjawiskiem powszednim. Na południowym horyzoncie ukazała się wysoka warstwa lekkiej, szarawej mgły. Raz wystrzelała długimi promieniami, lecąc ze wschodu na zachód lub z zachodu na wschód, to znów spływała jednolitym murem, aby za chwilę przyjąć kształt regularnie zbudowanej góry. Jednym słowem wszystkie wariacje, jakie zachodzą przy zorzach polarnych, można było zaobserwować w tych oparach. Temperatura morza podnosiła się z każdą chwilą i można było zauważyć znaczną zmianę w jego kolorze.

*2 marca*. Tego dnia udało się nam wydobyć od naszego jeńca wiele szczegółów odnoszących się do jego rodzinnej wyspy i zwyczajów jej mieszkańców. Nie będę nudził czytelnika powtarzaniem wszystkiego, wspomnę tylko, że archipelag składał się z ośmiu wysp pozostających pod władzą jednego króla nazwiskiem Tsalemon czy Psalemon, który rezydował na najmniejszej wysepce. Czarne skóry służące wojownikom za odzież pochodziły z jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia, spotykanego tylko w dolinie obok rezydencji króla. Wyspiarze umieli budować jedynie tratwy, a cztery łodzie pochodziły z wielkiej wyspy na południowym zachodzie i tylko przypadkiem wpadły w ich ręce. Nasz jeńiec nazywał się Nu-Nu. O Wysepce

Benneta nigdy nie słyszał, jego zaś wyspa nazywała się Tsalal. Wyrazy „Tsalemon” i „Tsalal” wymawiał z niemożliwym do naśladowania świstem podobnym do kwiku czarnego ptaka zabitego przez nas na pagórkach.

*3 marca.* Woda stała się niezwykle ciepła i zmieniła barwę. Nie była już przejrzysta, ale miała wygląd i kolor mleka. Po bokach łódki mieliśmy zupełną gładź, ale często ze zdziwieniem dostrzegaliśmy w różnej od nas odległości gwałtowne i zajmujące dużą przestrzeń falowanie powierzchni wody. Zauważyliśmy wreszcie, że drganie oparów na południu poprzedzało zawsze ten ruch fal.

*4 marca.* Bryza z północy widocznie zmaląła, wydobylem więc chustkę, aby powiększyć żagiel. Nu-Nu siedział przy mnie i płótno przypadkowo musnęło go po twarzy. Dostał natychmiast gwałtownych konwulsji, po których nastąpiło osłupienie i apatia, przerywane tylko cichym, monotonnym mruzeniem: „Tekeli-li! Tekeli-li!”.

*5 marca.* Wiatr ustał zupełnie, ale mimo to płynęliśmy wciąż szybko na południe, porwani najwidoczniej przez potężny prąd. Mimo że wszystkie te zjawiska mogły nas zaniepokoić, nie doświadczyliśmy żadnego podobnego uczucia. Twarz Petersa nie zdradzała najmniejszej obawy, przybierając tylko niekiedy jakiś nieuchwytny i niepodobny do opisu wyraz. Zima polarna widocznie nadciągała – nie niosła jednak nic ze swej zwyczajnej grozy. Odczuwałem pewną szczególną tępotę w ciele i umyśle, rodzaj marzycielskiej zadumy – to było wszystko.

*6 marca.* Szare opary wzniosły się o parę stopni ponad horyzont i z wolna traciły swój szary koloryt. Woda bardzo ciepła, niemal gorąca, a jej mleczne zabarwienie stało się jeszcze wyraźniejsze. Szczególnie gwałtowne wzburzenie wody wystąpiło dziś tuż przy samej łódce. Towarzyszyło mu silne migotanie oparów u szczytu chmury, która na chwilę oddzieliła się od podstawy. Subtelny białawy pył podobny do popiołu zaczął padać i zasypywać łódź oraz całą powierzchnię morza, po czym ustało falowanie i drganie oparów. Wówczas Nu-Nu rzucił się twarzą na dno łodzi i w żaden sposób nie dał się skłonić do powstania.

*7 marca.* Staraliśmy się dowiedzieć od Nu-Nu, jakie powody skłoniły jego rodaków do pomordowania naszych towarzyszy, ale zdawał się być tak przerażony, że nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Leżał uparcie na dnie

łodzi, a gdyśmy go pytali o przyczynę strachu, odpowiadał idiotycznie gestami, unosząc na przykład górną wargę i pokazując zęby. Były zupełnie czarne. Po raz pierwszy widzieliśmy zęby mieszkańca Tsalalu.

*8 marca.* Dziś przepłynęło koło nas jedno z owych białych zwierząt, które w mieszkańcach Tsalalu wzbudziło tak szalony strach. Miałem ochotę je złować, ale ogarnęła mnie nagle dziwna obojętność i przestałem o tym myśleć. Peters nie odzywał się słowem i nie wiedziałem, co myśleć o jego apatii. Woda stała się tak gorąca, że nie można było w niej ręki utrzymać. Nu-Nu ciężko oddychał i był to jedyny znak życia z jego strony.

*9 marca.* Ów podobny do popiołu pył padał teraz nieprzerwanie i to w ogromnych ilościach. Ława oparów wzniosła się ponad horyzont i nabrała wyraźniejszych zarysów. Porównać ją można tylko z olbrzymią, bezmierną kaskadą, toczącą się bez szmeru z jakiegoś ogromnego, gubiącego się w niebiosach wału. Gigantyczna zasłona zakrywała cały horyzont południowy. Panowała nieprzerwana cisza.

*21 marca.* Posępna ciemność unosiła się nad nami, ale z mlecznych głębi oceanu wynurzyła się poświata ślizgająca się po bokach naszej łodzi. Byliśmy zupełnie przysypani białym pyłem, który leżał na nas i łądzi całą okrył grubymi warstwami, wpadłszy jednak do morza, topił się natychmiast. Szczyt kaskady zniknął zupełnie w ciemnej oddali. Czuliśmy jednak, że płyniemy ku niej z przerażającą szybkością. Chwilami zasłona rozdierała się, ukazując przez szczeliny cały chaos obrazów niewyraźnych i drżących. Czasami wiały przez te same szczeliny potężne, choć bezgłośnie wiatry, burząc i marszcząc w locie rozpaloną powierzchnię oceanu.

*22 marca.* Ciemności były coraz większe i tylko mleczna poświata oceanu odbita od białej kaskady rozświetlała tę dziwną noc. Mnóstwo olbrzymich, upiornie białych ptaków wylatywało bezustannie spoza mglistej zasłony, a nawet gdy nam znikły, słyszeliśmy jeszcze ich wieczne: „Tekeli-li! Tekeli-li!”. Nu-Nu poruszył się wtedy na dnie łodzi, ale gdyśmy go dotknęli, okazało się, że dusza jego opuściła już ciało. W tej chwili pędziliśmy z niesamowitą szybkością do krawędzi kaskady, a bezdenne czeluście otwarła się, aby nas wciągnąć. Lecz oto nagle wynurzyła się przed nami osłonięta całunem postać ludzka, nieskończenie większa i potężniejsza od któregokolwiek z

mieszkańców ziemi. A barwa skóry tej postaci lśniła oślepiającą białością śniegu...

## Uwagi

Bliższe szczegóły niespodziewanej śmierci pana Pyma znane są publiczności za pośrednictwem prasy. Zachodzi obawa, że ostatnie, uzupełniające i wyjaśniające może całość rozdziały jego pamiętnika, które nosił dla przeglądu przed oddaniem do druku przy sobie, zginęły bezpowrotnie w wypadku, którego sam padł ofiarą. Może być jednak, że rękopis ocalał i jeśli kiedykolwiek się odnajdzie, zostanie opublikowany.

Staraliśmy się usilnie uzupełnić te braki. Można przypuszczać, że człowiek, którego nazwisko wspomniano w przedmowie, mógłby się tego zadania podjąć, odmówił jednak udziału, przyznając się otwarcie, że ostatnie rozdziały uważa za nie bardzo zgodne z prawdą. Wprawdzie żyje jeszcze Peters, podobno w Illinois, ale odszukać go na razie nie można. Miejmy nadzieję, że kiedyś udzieli on nam wiadomości uzupełniających dziennik pana Pyma.

Zginęły wprawdzie tylko dwa albo trzy rozdziały, ale jest to strata nieodżałowana, bowiem nie ulega wątpliwości, że zawierały one szczegóły dotyczące samego bieguna lub okolic bezpośrednio do niego przyległych. Ponieważ rząd przygotowuje właśnie wielką ekspedycję do południowego bieguna – prawdziwość tych relacji łatwo dałaby się stwierdzić lub zaprzeczyć.

## Do „Uwag” na końcu

W związku z jednym punktem opowiadania nasuwa się kilka uwag: autorowi niniejszego dodatku sprawi wielkie zadowolenie, jeśli to, co napisze, pomoże wzbudzić zaufanie do rzeczywiście niezwykłych relacji autora. Mamy tu na myśli groty odkryte na wyspie Tsalal oraz wszystkie rysunki na stronach: 647, 648, 649.

Pan Pym podał te rysunki bez komentarzy i mówi kategorycznie o nacięciach odkrytych na ścianie groty najbardziej wysuniętej na zachód,

mających dziwne podobieństwo do liter alfabetu, aczkolwiek z pewnością nie były literami. To twierdzenie podane jest w tak prosty sposób i poparte tak oczywistymi dowodami, na przykład tym, że kawałki kamienia znalezione w pyle przystawały ściśle do nacięć na ścianie, że jesteśmy zmuszeni wierzyć autorowi i żaden rozsądny czytelnik nie będzie wątpił w słuszność jego wniosków. Ponieważ jednak fakty odnośnie wszystkich tych rysunków są jak najbardziej niezwykle (zwłaszcza w połączeniu z innymi szczegółami opowiadania), nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów – tym bardziej że omawiane fakty bez wątpienia wymknęły się uwadze pana Poego.

Szkic pierwszy, drugi, trzeci oraz piąty połączone z sobą w tym samym porządku, w jakim szły grotty, a następnie pozbawione drobniejszych odgałęzień czy łuków (które, jak pamiętamy, służyły tylko jako przejścia między głównymi jaskiniami i miały zupełnie inny charakter) tworzą rdzenny wyraz etiopski



– „być ciemnym” – od którego wyprowadza się wszystkie pochodne mające związek z pojęciem cienia i ciemności.

W związku z nacięciami według szkicu 4 „na lewo, czyli najbardziej na północ” należy stwierdzić, iż jest więcej niż pewne, że Peters miał słuszność, i te niewyraźne kreski rzeczywiście były dziełem sztuki i przedstawiały człowieka.

Czytelnik może stwierdzić na podanym rysunku, o ile takie przypuszczenie jest lub nie jest słuszne, ale pozostała część nacięć potwierdza przypuszczenie Petersa. Górny rząd znaków przedstawia bez wątpienia arabski wyraz



– „być białym”, od którego biorą początek wszystkie pochodne mające związek z pojęciem jasności i białości. Dalszy rząd nie jest tak łatwy do odczytania. Litery są nieco uszkodzone i pozacierane, mimo to nie można wątpić, iż w swym pierwotnym stanie formowały one egipskie słowo

**II&UYPHC**

– „strefa południowa”. Należy zwrócić uwagę, że te wyjaśnienia potwierdzają zdanie Petersa o „najbardziej południowym” z tych znaków.

Ramię wskazuje na południe.

Te konkluzje otwierają szerokie pole do rozmyślań i najbardziej sensacyjnych przypuszczeń. Być może, iż należałoby to wszystko rozpatrywać w związku z niektórymi niezbyt uwypuklonymi przez autora wydarzeniami, aczkolwiek łańcuch związków nie jest bynajmniej kompletny. „Tekeli-li!” – wołali przerażeni krajowcy Tsalalu na widok zwłok białego zwierzęcia wyłowionego z morza. Ten sam okrzyk przerażenia wydobywał się z ust jeńca na widok białych przedmiotów będących w posiadaniu pana Pyma. Ten sam krzyk wydawały ogromne białe ptaki, wynurzające się z białych oparów południa. Nic białego nie można było dostrzec w Tsalalu i jego okolicach. Nie jest nieprawdopodobne, że „Tsalal”, nazwa wyspy grot, wykazuje po dokładnym zbadaniu filologicznym pewien związek ze słowem „grota”, a także pozostaje w pewnym stosunku do etiopskich liter wyźłobionych tak tajemniczo w tych grotach.

„Wyryłem to we wnętrzu gór, a zemstę moją wypisałem w pyle skał”.

*Tłumaczył Marian Stemar*



<sup>1</sup> Za przykład niech posłuży wypadek brygu „Polly” z Bostonu. Jego los w wielu momentach tak podobny jest naszemu, że trudno mi się powstrzymać od jego przytoczenia. Okręt ten z ładunkiem stu trzydziestu ton, wioząc żywność i tarcicę do Santa Cruz, wypłynął z Bostonu dnia dwunastego grudnia roku 1811. Dowodził nim kapitan Casneau, poza którym na pokładzie znajdowało się ośmiu ludzi: pierwszy oficer, czterech majtków, kucharz oraz pan Hunt i należąca doń czarna dziewczyna. Dnia piętnastego, po przepłynięciu Cieśniny Jerzego, bryg zaczął przeciekać w



czasie huraganu dmącego z południowego wschodu. Wreszcie położył się na wodzie, jednakże szybko też i wyprostował, ponieważ maszt główny porwały fale. Rozbitkowie pozbawieni ognia, schronienia, z bardzo małą ilością żywności przebywali na pokładzie na poły zatopionego statku już dni sto dziewięćdziesiąt jeden (od piętnastego grudnia do dwudziestego czerwca). Wreszcie kapitan Casneau i Samuel Badger, jedyni pozostali przy życiu członkowie załogi, zostali uratowani przez okręt „Sława” z Hull, płynący do portu macierzystego z Rio de Janeiro, pod dowództwem kapitana Featherstone’a. Miało to miejsce na 28° szerokości północnej i 13° długości zachodniej, czyli że wrak brygu dryfował blisko dwa tysiące mil! Dziewiątego lipca „Sława” spotkała na morzu bryg „Dromeo” pod dowództwem kapitana Perkinsa, który przyjął obu rozbitków i wysadził ich na ląd w Kennebeck. Opowieść, z której cytuję powyższe szczegóły, kończy się następującymi słowami:

„Rzeczą naturalną jest zadać sobie pytanie, jak rozbitkowie »Polly« mogli przebyć na wraku dwa tysiące mil najbardziej uczęszczanym szlakiem Atlantyku i nie zostać zauważeni ani razu? Nie, to niemożliwe. Przepłynęło koło nich co najmniej dwanaście żagli, a jeden z nich nawet tak blisko, iż rozróżnić można było ludzi na pokładzie. Jednakże ku rozpaczce zmarzniętych i wygłodzonych rozbitków kapitan nie dopełnił obowiązku pomocy, podniósł żagiel i okrutnie pozostawił wrak swojemu losowi” (przyp. aut.).

<sup>2</sup> Wśród statków, które w różnych okresach miały napotkać Wyspy Aurory, należy wymienić okręt „San Miguel” w roku 1769, okręt „Aurora” w roku 1774, bryg „Perła” w roku 1779 i okręt „Dolores” w roku 1790. Kapitanowie tych statków stwierdzają zgodnie, iż wyspy leżą w okolicy pięćdziesiątego trzeciego równoleżnika (przyp. aut.).

<sup>3</sup> Określeń: „ranek” i „wieczór” używam tylko po to, aby, jeśli to możliwe, uniknąć nieporozumień, i oczywiście nie należy przyjmować ich w zwykłym sensie. Od długiego czasu nie mieliśmy nocy w ogóle. Stąd też podaję daty według czasu morskiego, a dane o położeniu – według kompasu. Chciałbym również zauważyć, że w pierwszej części tych notatek nie mogę pretendować do ścisłej dokładności co do dat, jak też szerokości i długości geograficznej, ponieważ nie prowadziłem dziennika regularnie i na bieżąco, lecz dopiero

później. Dlatego też w wielu wypadkach musiałem polegać na pamięci (przyp. aut.).

<sup>4</sup> Dzień ów jest godziną odnotowania, albowiem na południu zaobserwowaliśmy kilka olbrzymich kłębow szarawej mgły, o której nadmieniam niżej (przyp. aut., pominięty przez tłumacza – tłum. red.).

<sup>5</sup> Cul-de-sac (fr.) – ślepa uliczka (przyp. red.).

<sup>6</sup> Ze zrozumiałych powodów nie mogę ściśle ustalić dat. Podaję je tylko w tym celu, aby sprawozdanie nabrało przejrzystości. Daty przytaczam tak, jak je znajduję w mych ołówkowych notatkach (przyp. aut.).

# Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla

*Powściągam serce, którego szal  
Nieuskromiony rwie się;  
Pała grot mój – powietrzny koń  
Gubi się ze mną w bezkresie.  
Pieśń Toma O'Bedlama*

**W**edle najświeższych wiadomości z Rotterdamu miasto to ma znajdować się w osobliwszym stanie podniecenia filozoficznego. Jakoż zaszły tam zdarzenia tak dalece nieoczekiwane – tak zupełnie nowe – tak bezwzględnie niezgodne z utartymi poglądami, iż bynajmniej nie wątpię, że niebawem zakipi cała Europa, że wszelka wiedza fizyczna popadnie w zamęt, zaś rozum pocznie wodzić się za łeb z astronomią.

Wiadomo, iż dnia ... roku ... (nie jestem pewien daty) nieprzejrzana cizba ludzka dla nieznanym bliżej powodów zaległa wielki plac Giełdowy dostatniego miasta Rotterdamu. Dzień jak na tę porę roku był niezwykle ciepły – nie odczuwało się niemal najmniejszego powiewu, zaś tłumowi bynajmniej nie sprawiało to przykrości, iż od czasu do czasu skrapiał go łagodnie przelotny deszczyk, co mżył z wielkich białych kłębow chmur rozsianych gęsto w błękitnym przestworzu niebios. Wszelako około południa lekkie, lecz widoczne poruszenie dało się zauważyć wśród ciizby; dało się słyszeć mlaśnięcie dziesięciu tysięcy języków i wnet potem dziesięć tysięcy twarzy zwróciło się ku niebu, dziesięć tysięcy fajek ześliznęło się równocześnie z kątów dziesięciu tysięcy ust i skroś całego miasta Rotterdamu oraz wszystkich jego okolic przeciągle, głośno i wściekle zahuczał okrzyk, który dałby się przyrównać tylko do poryku Niagary.

Przyczyna tego zgiełku stała się wkrótce dostatecznie widoczna. Spoza ogromnego obłoku, co tworzył częśćkę jednego z owych już wspomnianych a wyraziście się uwydatniających kłębow chmur, jał wynurzać się na wolną przestrzeń czystego błękitu jakiś przedmiot niezwykle, nieokreślony, acz bezsprzecznie materialny, o tak cudacznym kształcie i tak dziwacznie sklecony, iż wśród gromady statecznych obywateli, którzy gapili się nań z otwartymi ustami, nikt nie mógł go pojąć, a tym mniej dostatecznie mu się nadziwić. Co to mogło być? Do wszystkich diabłów rotterdamskich, co to miało zwiastować? Nikt nic nie wiedział; nikt nie miał wyobrażenia; nikt – nawet sam burmistrz, Mynheer Superbus van Underduk, nie miał najlżejszych wskazań do rozwikłania tej zagadki. Ponieważ nie pozostawało nic innego, przeto wszyscy obywatele jak jeden mąż umieścili z powrotem swe fajki w kątach ust i nie spuszczać oka z

owego zjawiska, zakopcili, zatrzymali się na chwilę, kiwnęli się w jedną stronę i chrząknęli znacząco – po czym kiwnęli się w drugą stronę, chrząknęli, zatrzymali się na chwilę i w końcu... zakopcili znowu.

Tymczasem coraz niżej i niżej zlatywał ku sławetnemu miastu przedmiot tej nadmiernej ciekawości i przyczyna tego nadmiernego kopcenia. W kilka minut zniżył się już tak bardzo, iż było można dokładnie go obejrzeć. Prawdopodobnie był to – nie! to był na pewno rodzaj balonu; nie ulega jednak wątpliwości, iż takiego balonu nikt dotychczas nie widział w Rotterdamie. Bo czy słyszał kto kiedy o balonie skleconym w całości z brudnego papieru gazetowego? W Holandii nikt, na pewno! A jednak w tej chwili, tuż pod samym nosem ludu, a raczej nieco powyżej jego nosa, ukazała się rzecz takowa, utworzona właśnie z materiału, o którym poprzednio nikt nie myślał, aby mógł służyć do podobnego celu. Była to niesłychana obelga, wyrządzona zdrowemu rozsądkowi obywatelstwa rotterdamskiego. Zaś kształt owego zjawiska był jeszcze drożniejszy, gdyż przedstawiał po prostu olbrzymią czapę błazeńską, zwróconą dnem ku dołowi. Podobieństwo to nie umniejszyło się bynajmniej, gdy po bliższym zbadaniu zobaczyła ciżba, iż od tego dna zwiesza się potężny kutas, zaś górny brzeg, czyli podstawę stożka, wieńczy krąg drobnych instrumencików, niby dzwoneczków owczych, co pobrzękiwały nieustannie na nutę „Betty Martin”. Lecz była rzecz jeszcze gorsza. Oto od szczytu owej fantastycznej maszyny zwisał na błękitnych wstęgach podobny do łodzi, olbrzymi, szary kapelusz bobrowy o niesłychanie szerokich kresach, uwypuklony na kształt półkuli opasanej czarną wstążką ze srebrną klamrą. Bądź co bądź było rzeczą zastanawiającą, iż wielu obywateli rotterdamskich zaklinało się, że ten sam kapelusz niejednokrotnie widywali już poprzednio; jakoż oczy zebranego tłumu przyglądały się mu niby czemuś, co znały już dobrze i od dawna, zaś vrow Grettel Pfaall, ujrawszy go, wydała okrzyk pełen radosnej niespodzianki, i oświadczyła, że jest to na pewno kapelusz jej lubego małżonka. Należało tedy wziąć pod uwagę tę okoliczność, iż ów Pfaall znikł był z Rotterdamu wraz z trzema towarzyszami w nagły i niepojęty sposób, że stało się to mniej więcej przed pięciu laty i że do

chwili, kiedy zaszły opowiedziane poprzednio wypadki, wszelkie starania, by zasięgnąć o nich wiadomości, spełzły na niczym. Co prawda w odległej, wschodniej połaci miasta udało się niedawno odszukać trochę kości, które wyglądały jak ludzkie i były pomieszane z jakimiś dziwnymi rupieciami; byli też ludzie, którzy w swych przypuszczeniach posuwali się tak daleko, iż mniemali, jakoby w owym miejscu dokonano ohydnych morderstw i że to właśnie Hans Pfaall wraz z towarzyszami padł jego ofiarą. Ale wróćmy do rzeczy.

Balon (gdyż bez wątpienia nie było to nic innego) znajdował się obecnie na wysokości stu stóp ponad ziemią i pozwalał dokładnie przyjrzeć się osobie, która w nim przebywała. Zaprawdę był to osobnik nadzwyczaj osobliwy. Nie mógł mieć więcej niż dwie stopy wysokości. Wszelako nawet przy tym wzroście, aczkolwiek niepokąźnym, mógłby był utracić równowagę i wypaść ze swego maleńkiego pojazdu, gdyby nie zapobiegała temu kolistą listewką sięgająca mu do piersi i przytwierdzona do lin balonu. Ciało tego człowieka było nadmiernie przysadziste i nadawało całej jego postaci wygląd wprost nieprawdopodobnej kulistości. Nóg jego oczywiście nie było widać. Ręce były potwornie wielkie. Siwe włosy miał splecione w harcap. Nos był niesłychanie długi, haczykowaty i zaczerwieniony; oczy wylupiaście, ogniste i świdrujące; broda i policzki, acz zbrzdżzone wiekiem, były pełne, pucółowate i mięsiste; natomiast niczego podobnego do uszu niepodobna było dostrzec po obu stronach jego głowy. Ten pokraczny dżentelmen miał na sobie suty surdut z błękitnej jak niebo satyny oraz obcisłe pantalone, odpowiednio dobrane i zaciśnięte poniżej kolan srebrnymi sprzączkami. Kamizelka była z jakiejś jaskrawożółtej tkaniny; na głowie miał włożoną na bakier czapeczkę z białej kitajki; wreszcie dla dopełnienia tego stroju czerwona jak krew chusta jedwabna owijała jego szyję i związana w fantastyczny węzeł wprost niesłychanych rozmiarów, z pretensjonalną gracją opadała mu na piersi.

Opuściwszy się, jak już nadmieniono, do wysokości około stu stóp ponad powierzchnię ziemi, karłowaty staruszek jął nagle drzeć na całym ciele i bynajmniej nie okazywał ochoty wylądowania na *terra firma*<sup>1</sup>.

Wyrzucił przeto pewną ilość piasku z płóciennego worka, który podźwignął z wielką trudnością, i zatrzymał się na chwilę nieruchomo. Po czym pośpiesznie i niespokojnie jął wyciągać z bocznej kieszeni swego surduta wielki portfel z safianowej skóry. Zważył go podejrzliwie w dłoni i spojrział nań z najwyższym zdumieniem, jak gdyby zdziwiony jego ciężarem. W końcu otworzył go i wyjąwszy zeń ogromny list, opieczętowany purpurowym woskiem i związany starannie sznurkiem takiejże barwy, rzucił go tuż pod stopy burmistrza Superbusa van Underduka. Jego ekscelencja pochylił się, by pismo to podnieść. Wszelako aeronauta, wciąż mocno zaniepokojony i nie mając widocznie nic więcej do czynienia w Rotterdamie, jął teź samej chwili czynić spieszne przygotowania do odlotu; ponieważ zaś potrzeba było pozbyć się części balastu, by balon mógł wznieść się znowu, wyrzucił kolejno pół tuzina worków, nie zadając sobie trudu ich opróżnienia. Nieszczęsny przypadek chciał, iż worki te spadały jeden po drugim na grzbiet burmistrza i przygięły go do ziemi aż sześć razy w obecności wszystkich mieszkańców Rotterdamu. Nie należy jednakowoż przypuszczać, jakoby dostojny Underduk pozwolił, aby nikczemny starowina znieważał go bezkarnie. Wręcz przeciwnie, jak utrzymywano z całą stanowczością, na każdy z owych sześciu ciosów odpowiedział nie mniej niż sześć razy stanowczymi i namiętnymi zakopceniami, co wybuchnęły z jego fajki, której przez cały czas i ze wszech sił nie wypuszczał z ust i – da Bóg! – nie wypuścił aż do samej śmierci.

Tymczasem balon frunął jak skowronek i unosząc się nad miastem, znikł w końcu najspokojniej za obłokiem podobnym jota w jotę do owego, z którego w tak osobliwy sposób przed chwilą się wynurzył; pierzchł kędyś na zawsze sprzed osłupiałych oczu przezacnych obywateli rotterdamskich. Cała uwaga skupiła się tedy na owym liście, którego doręczenie oraz tegoż następstwa odbiły się tak ujemnie zarówno na osobie, jak na osobistej godności jego ekscelencji van Underduka. Mimo wszystko dostojnik ten, ryjąc nosem w ziemię, nie postradał przytomności umysłu i nie zaniedbał schować listu, który, jak się okazało, dostał się do rąk najwłaściwszych, gdyż był zaadresowany do niego samego oraz do

profesora Rubaduba, jako do urzędownie powołanego prezydenta i wiceprezydenta Rotterdamskiego Kolegium Astronomicznego. Dostojnicy ci otworzyli list natychmiast i znaleźli w nim następujące, nadzwyczaj osobliwe i zaprawdę nader poważne oświadczenie:

„Do Ich Ekscelencji van Underduka i Rubaduba, Prezydenta i Wiceprezydenta Państwowego Kolegium Astronomicznego w mieście Rotterdamie.

Wasze Ekscelencje przypominają sobie zapewne skromnego rzemieślnika, niejakiego Hansa Pfaalla, który był z zawodu łataczem miechów i mniej więcej przed pięciu laty znikł z Rotterdamu wraz z trzema towarzyszami w sposób rzekomo niepojęty. Otóż za pozwoleniem Waszych Ekscelencji, ja, który piszę te słowa, jestem właśnie owym Hansem Pfaallem we własnej osobie. Wiadomo jest wielu moim współobywatelom, iż przez czterdzieści lat zamieszkiwałem mały domek ceglany, położony u wylotu uliczki zwanej Sauerkraut, i że przebywałem tam do chwili mojego zniknięcia. Przodkowie moi mieszkali tam również od niepamiętnych czasów i podobnie jak ja, stale zajmowali się szanownym i nader zyskownym zawodem łatania miechów; gdyż, mówiąc prawdę, aż do ostatnich czasów, kiedy lud dostał bzika na punkcie polityki, porządny obywatel rotterdamski nie mógł ani wymarzyć, ani upatrzeć sobie szlachetniejszego rzemiosła niż to, które stało się moim udziałem. Kredyt nie zawodził, zamówień miałem w bród, nie zbywało ani na pieniądzach, ani na dobrej woli. Wszelako, jak już się rzekło, odczuliśmy wnet następstwa wolności, przewlekłej gadaniny, radykalizmu i tym podobnych rzeczy. Ludzie, którzy bywali poprzednio najlepszymi klientami na świecie, nie mieli teraz czasu myśleć o nas. Znajdowali go zaledwie na to, by rozczytywać się o rewolucjach lub śledzić rozwój intelektualny i ducha czasu. Gdy trzeba było rozniecić ogień, używali do tego dzienników; w miarę zaś jak rząd stawał się coraz węższy, nabierałem pewności, iż skóra i żelazo zyskają w odpowiednim stosunku na trwałości; jakoż w krótkim czasie nie było w całym Rotterdamie ani jednej pary miechów, które by potrzebowały łąty albo



domagały się pomocy młota. Ten stan rzeczy był nie do zniesienia. Zszedłem wkrótce na psy, a ponieważ miałem do wyżywienia żonę i dzieci, uczulem w końcu, iż brzemień to przewyższa moje siły, i całymi godzinami jałem przemyśliwać nad najlepszym sposobem odebrania sobie życia. Wszelako pijawki lichwiarskie nie pozostawiały mi zbyt wiele czasu do rozmyślań. Dom mój był dosłownie oblężony od rana do nocy. Zwłaszcza trzech wierzyciele dręczyli mnie ponad wszelką miarę i nie odstępowali od moich drzwi, odgrażając mi się sądem. Tym trzem poprzysiągłem najzawziętszą zemstę, skoro tylko dzięki sprzyjającej sposobności będę mógł ich dostać w swe szpony; i zdaje mi się, że tylko te radosne przewidywania zapobiegły niezwłocznemu urzeczywistnieniu mych samobójczych zamiarów i nie pozwoliły mi palnąć sobie w łeb z dwururki. Sądziłem jednakowoż, iż będzie lepiej nie okazywać im swego gniewu i zbywać ich obietnicami i słodkimi słówkami aż do chwili, kiedy szczęśliwy przypadek nastreczy mi sposobność do odwetu.

Pewnego dnia wymknąwszy się im po kryjomu i czując się bardziej przygnębiony niż zazwyczaj, wałęsałem się długo i bez celu po najciemniejszych zaułkach, aż w końcu natknąłem się gdzieś, na jakimś rogu, na nędzną księgarenkę. W sklepiku znajdował się fotel do użytku klientów; rzuciłem się weń w psim usposobieniu i niemal bezwiednie otworzyłem pierwszą lepszą książkę, która znajdowała się pod ręką. Okazało się, że była to niewielka rozprawa z zakresu astronomii spekulatywnej, napisana przez profesora Enckego z Berlina czy też przez jakiegoś Francuza, który miał podobne nazwisko. Miałem niejaki wiadomości z tego zakresu i tak stopniowo pogrążyłem się w książce, iż zdążyłem przeczytać ją dwa razy, zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje dokoła mnie. Mrok już zapadał, więc podążyłem z powrotem do domu. Wszelako rozprawa ta (w połączeniu z odkryciem z zakresu pneumatyki, o którym w wielkiej tajemnicy opowiadał mi niedawno mój kuzyn z Nantes) zapisała się mi niezatarcie w umyśle; toteż włócząc się po mrocznych ulicach, odtwarzałem sobie szczegółowo w pamięci osobliwsze i niejednokrotnie wprost niepojęte rozumowania jej autora. Były tam zwłaszcza niektóre ustępy, co oddziaływały na mą wyobraźnię z

niesłychaną siłą. Im dłużej zastanawiałem się nad nimi, tym bardziej wzmagало się rozbudzone we mnie zainteresowanie. Szczupłość mego wykształcenia ogólnego, w szczególności zaś moja niewiedza w dziedzinie filozofii przyrodniczej, miał uczynić mnie nieufnym względem własnych zdolności zrozumienia tego, co przeczytałem, miał rozbudzić we mnie wątpliwości co do wielu nieokreślonych myśli, które następnie się rozwinęły, stała się jedynie tym potężniejszym bodźcem dla wyobraźni i byłem o tyle próżny czy też o tyle rozumny, iż stawiałem sobie pytanie, czy owe pierwotne idee, co rozwijają się w umysłach niedokształconych, nie posiadają często, nie tylko z pozoru, ale także w istocie rzeczy, wszelkich sił, wszelkiej żywotności tudzież innych cech charakterystycznych, wchodzących w skład instynktu czy też intuicji.

Było już późno, gdy przyszedłem do domu i udałem się niezwłocznie na spoczynek. Wszelako zasnąć nie mogłem, gdyż umysł mój zbyt był zajęty, przeleżałem zatem całą noc, pogrążony w rozmyślaniach. Wstałem bardzo wcześnie, podążyłem pośpiesznie do owej księgarenki i wydałem niemal wszystko, co jeszcze miałem w gotówce, na zakupno kilku dzieł o mechanice i astronomii praktycznej. Powróciwszy szczęśliwie do domu, poświęciłem wszystkim mój czas, wolny od innych zajęć, na rozczytywanie się w nich i wkrótce poczyniłem takie postępy w tym zakresie, iż zdawało mi się, że jestem dostatecznie przygotowany do wykonania pewnego zamiaru, którym natchnął mnie – sam nie wiem – szatan czy też mój dobry duch. Równocześnie czyniłem wszelkie starania, by ugłaskać owych trzech wierzycieli, którzy sprawiali mi tyle kłopotu. Ostatecznie udało mi się to – częścią w ten sposób, iż sprzedałem nieco mych sprzętów i spłaciłem połowę długu, częścią zaś, iż obiecałem uiścić resztę po urzeczywistnieniu pewnego pomysłu, który plątał mi się po głowie i wymagał ich współudziału. W ten sposób (gdyż byli to ludzie ciemni) powiodło się mi bez wielkiego trudu pozyskać ich dla moich zamierzeń.

Załatwiwszy te sprawy, zabrałem się przy pomocy mej żony, z największą przezornością i w najgłębszej tajemnicy, do rozporządzenia moim pozostałym mieniem oraz do wypożyczenia w niewielkich sumach i pod różnymi pozorami wcale znacznej ilości gotówki, nie zważając

bynajmniej na to (wyznaję to ze wstydem), w jaki sposób przyjdzie mi ją później zwrócić. Dzięki temu powiększeniu się mych zasobów udało mi się stopniowo zakupić sporo najlepszego muślinu w sztukach po dwanaście jardów, zapas sznurów, pewną ilość pokostu kauczukowego, wielki i głęboki kosz z łożyny wykonany na zamówienie, jako też kilka innych przedmiotów potrzebnych do zbudowania i zaopatrzenia balonu ogromnych rozmiarów. Poleciałem mojej żonie uszyć go możliwie najrychlej i udzieliłem jej wszelkich potrzebnych wskazówek, jak to zrobić należy. Równocześnie uplotłem z powrozów sieć dostatecznych rozmiarów, przytwierdziłem do niej obręcz i niezbędne liny oraz zakupiłem mnóstwo materiałów i przyrządów potrzebnych do doświadczeń w górnych warstwach atmosfery. Następnie pod osłoną nocy przewiozłem w odludną okolicę, na wschód od Rotterdamu, pięć beczek z obręczami żelaznymi oraz szóstą, większą; sześć rur blaszanych odpowiednio ukształtowanych, o średnicy trzech cali i długości dziesięciu stóp; sporą ilość pewnej substancji metalicznej lub raczej na poły metalicznej, której nazwy wymienić nie mogę, tudzież dwanaście wielkich balonów szklanych z nader pospolitym kwasem. Gaz, który miał powstać z owych składników, przez nikogo dotychczas nie był jeszcze wytwarzany prócz mnie – lub przynajmniej przez nikogo dotychczas nie był jeszcze używany do podobnego celu. Pozwalam sobie tylko nadmienić, że jest to ciało lotne wchodzące w skład azotu, o którym dotychczas mniemano, iż nie daje się wydzielić i że gęstość jego jest 37,4 razy mniejsza od gęstości wodoru. Nie ma smaku, ale oddziałuje na powonienie; pali się, gdy jest czysty, zielonawym płomieniem i niezwłocznie wpływa zabójczo na istoty żyjące. Nie wahałbym się z odsłonięciem zupełnym jego tajemnicy, gdyby nie to, że jest ona własnością (jak już wspomniałem) pewnego obywatela francuskiego z Nantes, który mi jej warunkowo udzielił. Tenże sam osobnik, nie wiedząc nic o moich zamiarach, zapoznał mnie również z metodą budowania balonów z pewnej błony zwierzęcej, przez którą uchodzenie gazu staje się niemal niemożliwe. Wszelako doszedłem do przeświadczenia, iż ten sposób jest zbyt kosztowny i że mocny muślin, powleczony warstwą kauczuku, może oddać te same usługi. Wspominam

o tej okoliczności, ponieważ przypuszczam, iż rzeczony osobnik mógłby kiedyś spróbować wznoszenia balonu za pomocą nowego gazu i wspomnianego powyżej materiału, więc nie chciałbym pozbawić go zaszczytu nadzwyczaj pomysłowego wynalazku.

Na miejscach, gdzie miały znajdować się beczki podczas napełniania balonu, wykopałem potajemnie niewielkie jamy; jamy te utworzyły koło o dwudziestu pięciu stopach średnicy. W środku tego koła, gdzie miała być pomieszczona większa beczka, wykopałem również jamę, tylko nieco głębszą. W każdej z mniejszych jam umieściłem puszkę z pięćdziesięciu funtami prochu strzelniczego, zaś w największej jamie baryłkę, zawierającą sto pięćdziesiąt funtów tego materiału wybuchowego. Tę baryłkę i te puszki połączyłem we właściwy sposób krytymi przewodnikami, po czym włożywszy do jednej z puszek koniec lontu długiego na cztery stopy, zasypałem jamę i ustawiłem na niej beczkę, ale zrobiłem to tak, że drugi koniec lontu wystawał na jaki cal z ziemi i był zaledwie widoczny obok beczki. Następnie zarównałem resztę jam i umieściłem na nich beczki w odpowiednich miejscach.

Prócz przedmiotów już wymienionych przewiozłem do składu i ukryłem tamże ulepszony aparat Grimma do zgęszczania powietrza atmosferycznego. Doszedłem jednakowoż do przekonania, iż ta machina wymaga znacznych zmian, jeżeli ma posłużyć do celu, do którego jej użyć zamierzałem. Atoli dzięki usilnej pracy i nieugiętej wytrwałości zdołałem w końcu skutecznie wszystkie moje przygotowania z najzupełniejszym powodzeniem. Mój balon wkrótce był gotów. Mógł zawrzeć przeszło czterdzieści tysięcy stóp sześciennych gazu; jak obliczałem, mógł mnie unieść z łatwością wraz ze wszystkimi moimi przyrządami, włączając w to także sto siedemdziesiąt pięć funtów balastu niezbędnego do miarkowania wznoszenia. Powlekały go trzy warstwy pokostu, przy czym przekonałem się, iż muślin w zupełności zdoła zastąpić jedwab, gdyż jest równie mocny, aczkolwiek znacznie tańszy.

Gdy wszystko już było gotowe, wymogłem na mej żonie przysięgę, iż zachowa w tajemnicy całą moją działalność od dnia, w którym zaszedłem po raz pierwszy do księgarenki; w zamian przyrzekłem jej, iż powrócę,

skoro tylko okoliczności pozwolą, oddałem jej odrobinę pieniędzy, które mi jeszcze pozostały, i czule się z nią pożegnałem. Jakoż nie miałem żadnych co do niej obaw. Była kobietą, jak to ludzie powiadają, zapobiegliwą i mogła dać sobie radę ze wszystkim bez mojej pomocy. Zdaje mi się, iż nie rozminę się z prawdą, gdy powiem, iż zawsze uważała mnie za lenia – za jakąś przywieszkę – za istotę zdolną tylko do budowania zamków na lodzie – i była raczej zadowolona, że mnie się pozbędzie. Noc była ciemna, gdy żegnałem się z nią raz jeszcze. Zabrawszy, jako swych *aides-de-camp*<sup>2</sup>, trzech wierzycieli, którzy mi tyle sprawili kłopotu, przewiozłem przy ich pomocy balon wraz z urządzeniem okólną drogą do miejsca, gdzie znajdował się skład innych przedmiotów. Zastaliśmy je nietknięte, więc niezwłocznie przystąpiłem do dzieła.

Był 1 kwietnia. Noc, jak nadmieniłem, była ciemna; gwiazd nie było widać, zaś deszcz, co mżył chwilami, dawał się nam bardzo nieprzyjemnie we znaki. Wszelako główną mą troską był balon, który mimo ochronnej powłoki pokostu jął nasiąkać wilgocią; proch mógł także zamoknąć. Zaprząłem przeto trzech moich lichwiarzy do usilnej pracy, każąc im rozbijać lód dokoła beczki środkowej i mieszać kwas w innych beczkach. Naprzykrzali się mi atoli pytaniami, co zamierzam uczynić z tymi wszystkimi przyrządami, i uskarżali się na uciążliwość zajęcia, którym ich obarczyłem. Nie mogli pojąć, jak powiadali, co dobrego może wyniknąć z tego ich przemoknięcia do suchej nitki, krom współudziału w tym straszliwym czarodziejstwie. Poczęło mi być nieswojo i pracowałem ze wszech sił, gdyż uwierzyłem naprawdę, iż ci głupcy podejrzewali mnie, jakobym wdał się w układy z diabłem i jakoby we wszystkim, co teraz czyniłem, było coś takiego, co być nie powinno. Ogarnęła mnie trwoga, by mnie nie pozostawili samego. Usiłowałem ich przeto uspokoić, obiecując, że zapłacę im wszystko do ostatniego grosza, skoro tylko ukończę rozpoczętą pracę. Oczywiście, że tłumaczyli sobie te słowa na swój sposób, przypuszczając zapewne, iż bądź co bądź uda mi się osiąść ogromną ilość gotówki; bylebym zaś uiścił się im z długu i dał coś ponadto za udzieloną pomoc, byliby z lekkim sercem nie dbali o to, co stanie się z moją duszą i mym zewłokiem.

W jakieś cztery i pół godziny balon wedle mego rozumienia był już dostatecznie wypełniony. Przytwierdziłem przeto kosz i umieściłem w nim wszystkie moje urządzenia – teleskop, barometr znacznie zmieniony, termometr, elektrometr, kompas, igłę magnetyczną, zegarek sekundowy, przyrząd do mówienia na odległość i tym podobne rzeczy; ponadto szklany balon, opróżniony z powietrza i zatkany starannie korkiem. Nie zapomniałem także o aparacie zgęszczającym, o odrobinie niegaszonego wapna, o wosku do pieczętowania, o obfitym zapasie wody i sporej ilości pożywienia, jak na przykład pemikanu, który przy względnie małej objętości przedstawia wielką wartość odżywczą. Zabrałem również do kosza parę gołębi i kota.

Miało się już ku świtaniu, więc pomyślałem, że czas najwyższy przystąpić do odlotu. Opuściwszy niby to przypadkiem żarzące się cygaro, pochyliłem się, żeby je podnieść, i przy tej sposobności zapaliłem lont, który, jak już wspomniałem, wystawał nieco z ziemi obok dolnej obręczy jednej z beczulek. Trzej lichwiarze nie zauważyli zgoła mego podstępu. Skoczyłem tedy do kosza, przeciąłem niezwłocznie jedyną linę, która mnie łączyła z ziemią, i ku niewymownej radości uczułem, że balon z niesłychaną chyżością wzbija się w górę, porywając z taką łatwością sto siedemdziesiąt pięć funtów ołowiu, co służył jako balast, iż nie ulegało wątpliwości, że mógł unieść znacznie więcej. Gdym opuszczał ziemię, barometr wskazywał trzydzieści cali, zaś stustopniowy termometr 19°.

Zaledwie wszakże zdołałem się wznieść na wysokość pięćdziesięciu jardów, wśród straszliwego, ogłuszającego szczyku i poryku buchnął spode mnie taki zwichrzony odmęt ognia i żwiru, i płonącego drzewa, i rozżarzonego metalu, i poszarpanych członków ludzkich, iż serce zalękło się we mnie i powaliłem się na dno kosza, drżąc z przerażenia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że przebrałem miarę i że głównych następstw wybuchu należy jeszcze się spodziewać. Jakoż w okamgnieniu krew z całego ciała napłynęła mi do skroni i wnet potem wstrząs, którego jako żyw nie zapomnę, targnął ciemnościami i zdawał się rozrywać na dwoje sklepienie widnokręgu. Gdym później miał już czas na rozmyślanie, zdałem sobie sprawę, dlaczego tak okropnie dał mi się wybuch we znaki –

otóż znajdowałem się prostopadle ponad nim, na linii najsilniejszego oddziaływania. Kiedy jednak nastąpił, myślałem tylko o ocaleniu życia. Balon zrazu się skurczył, po czym wydał się gwałtownie i jał wirować wokoło z chyżością odurzającą, w końcu zaś, zataczając się i przewracając niby pijanica, przerzucił mnie poza obręb kosza. Zawisłem przeto na zawrotnej wysokości, głową w dół, twarzą na zewnątrz, zaplątany na szczęście lewą nogą w długim na trzy stopy kawałku cienkiego sznura, co zwisał przez szczelinę w dnie kosza. Jest niepodobieństwem – zupełnym niepodobieństwem wyobrazić sobie bodaj w przybliżeniu grozę mojego położenia. Rozwartymi ustami chwytałem rozpaczliwie powietrze – dreszcz, jak gdyby wywołany ciężką chorobą, przenikał me mięśnie i nerwy – czułem, że oczy wychodzą mi na wierzch – zawładnęła mną mdłość straszliwa – w końcu postradałem przytomność i zapadłem w omdlenie.

Nie umiem powiedzieć, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Bądź co bądź musiało to trwać dość długo, kiedy bowiem odzyskałem jaką taką świadomość istnienia, było już widno, balon znajdował się na niesłychanej wysokości ponad otchłanią oceanu, zaś na całym widnokrężnym bezbrzeżu nie było ani śladu ziemi. Odczuwania moje po tym oprzytomnieniu nie były tak potworne, jakby to można było przypuszczać. Było coś z obłądu w niewzruszonym spokoju, z jakim jałem rozmyślać o mym położeniu. Podniosłem kolejno do oczu obie me ręce i zastanawiałem się, czemu przypisać należy obrzęk żył i przeraźliwie poczerwiałe paznokcie. Następnie starannie zbadałem mą głowę, potrząsając nią kilkakrotnie i wodząc po niej dokładnie palcami, aż doszedłem wreszcie do zadowalającego przeświadczenia, iż nie była wcale – jak to mi się uroiło – większa od balonu. Po czym, jak człowiek, który zna się na rzeczy, włożyłem ręce do kieszeni od spodni i nie znalazłszy tam notatnika i pudełka z wykałaczkami, jałem zastanawiać się, co z nimi się stało, czując zaś, że nie podołam temu zadaniu, poddałem się niewymownemu przygnębieniu. W końcu wydało mi się, iż doznaję mocnego bólu w stawie lewej nogi, i niejasna świadomość mego położenia jęła świtać mi w mózgu. Wszelako – rzecz dziwna! – nie byłem ani

zdumiony, ani przerażony. Jeżeli w ogóle odczuwałem cokolwiek, to chyba rozchichotane zadowolenie na myśl o przebiegłości, jakiej przyjdzie mi użyć, by wywikłać się z tego dylematu; i ani przez chwilę nie zapatrywałem się na sprawę mojego ostatecznego ocalenia jako na rzecz niepewną. Na kilka minut pogrążyłem się w najgłębszym zamyśleniu. Pamiętam dokładnie, iż kilkakrotnie zaciskałem usta, przykładałem palec wskazujący do nosa oraz posługiwałem się innymi gestami i grymasami, na podobieństwo ludzi, co, usiadłszy w wygodnym fotelu, zastanawiają się nad rzeczami ważnymi czy zawiłymi. Zebrawszy w końcu, jak mi się zdawało, dostatecznie swe myśli, z nadzwyczajną ostrożnością i rozwagą założyłem ręce w tył i odpiąłem wielką sprzączkę żelazną, co przytrzymywała pasek u mych spodni. Sprzączka ta miała trzy zęby, które były nieco zardzewiałe i z wielką trudnością obracały się dokoła osi. Udało mi się wszakże po jakimś wysiłku ustawić je pod kątem prostym do trzonu sprzączki i uradowałem się wielce, gdy stwierdziłem, że trzymają się mocno. Dzierżąc w zębach przyrząd w ten sposób przygotowany, jałem z kolei rozwiązywać węzeł mojego krawata. Musiałem odpoczywać kilka razy, zanim zdołałem tego dokonać, w końcu jednak dopiąłem celu. Do jednego końca krawata przytwierdziłem sprzączkę, drugi zaś koniec dla większej pewności obwiązałem mocno dokoła mej pięści. Podźwignąwszy się niesłychanym wysiłkiem mięśni w górę, zdołałem od razu przerzucić sprzączkę przez brzeg kosza i to w ten sposób, iż wpiła się – jak przewidywałem – w obwódkę, co wieńczyła go u góry.

Ciało me tworzyło obecnie ze ścianą kosza kąt około czterdziestu pięciu stopni; nie należy wszelako rozumieć, iż znajdowałem się tylko o czterdzieści pięć stopni poniżej prostopadłej. Daleko mi było do tego; wciąż jeszcze leżałem niemal na poziomie płaszczyzny widnokręgu, gdyż zmiana położenia, którą udało mi się skutecznym, spowodowała odpowiednie odepchnięcie dna kosza, co zagrażało mi wielkim niebezpieczeństwem. Godzi się zauważyć, iż gdybym, wypadłszy z kosza, był zwrócony twarzą do balonu, a nie w stronę przeciwną, jak to miało miejsce obecnie – ponadto, gdyby powróż, na którym zawisłem, zwieszał



się z górnego krańca, nie zaś ze szczeliny u dna kosza, z łatwością stać by się mogło, iż nie byłbym mógł dokonać tego, czego dokonałem, i że moje odkrycia byłyby na zawsze stracone dla potomności. Miałem przeto wszelkie powody, by błogosławić los; zbyt jednakże byłem otumaniony, by zdobyć się na cokolwiek, i wisiałem z jaki kwadrans w tej osobliwszej pozycji, zgoła nie czyniąc dalszych wysiłków, pełen dziwnego uspokojenia i idiotycznego rozradowania. Wszelako to uczucie wnet pierzchno, ustępując miejsca grozie, przerażeniu, przeświadczeniu o zupełnej bezsilności i niechybnej zgubie. Pochodziło to stąd, iż krew moja, od dawna nagromadzona w naczyniach głowy i szyi i wywołująca stan omroczenia duchowego, jęła obecnie wracać do właściwych przewodów, zaś wyrazistość, co pomnażała we mnie dzięki tej okoliczności świadomość niebezpieczeństwa, służyła tylko po to, by pozbawić mnie panowania nad sobą i odwagi. Wszelako to osłabienie na szczęście nie trwało długo. W samą porę przysłała mi w pomoc odwaga rozpacz, więc wśród opętańczych wrzasków i podrzutów jąłem miotać się w górę; jakoż zdołałem w końcu wpić się żelaznym chwytem w upragniony brzeg i przerzucić przezeń me ciało w ten sposób, iż przewaliłem się głową na dół, cały drżący, na dno kosza.

Dopiero po pewnym czasie przyszedłem o tyle do siebie, iż mogłem zająć się balonem. Obejrzałem go starannie i przekonałem się z niemałym zadowoleniem, że jest nieuszkodzony. Wszystkie me przyrządy znalazłem w dobrym stanie i na szczęście nie postradałem ani balastu, ani żywności. Trzeba przyznać, iż tak dokładnie przytwierdziłem je na odpowiednich miejscach, że nie mogło być mowy o jakimkolwiek wypadku. Spojrzałem na zegarek; wskazywał szóstą. Wciąż jeszcze pośpiesznie wznosiłem się w górę i wedle barometru znajdowałem się na wysokości trzech i trzech czwartych mili. Prostopadle pode mną widniał na oceanie jakiś drobny czarny przedmiot, nieco wydłużony, wielkości mniej więcej kostki do gry w domino i w ogóle bardzo do niej podobny. Zwróciłem nań mój teleskop i przekonałem się, że był to wojenny okręt angielski o dziewięćdziesięciu czterech działach, co włókł się, zapadając

ciężko w morze, w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim. Prócz tego okrętu widziałem tylko ocean, niebo i słońce, które już dawno wzeszło.

Sądzę, iż czas już najwyższy wyjawić Waszym Ekscelencjom cel mej podróży. Wasze Ekscelencje przypominają sobie zapewne, iż niepowodzenia moje w Rotterdamie popchnęły mnie w końcu do myśli samobójczych. Nie stało się to dlatego, jakoby samo życie mi obmierzło, lecz że byłem udręczony ponad wszelką miarę nędzą kłopotów wynikających z mojego położenia. W tym więc stanie umysłu, kiedym pragnął żyć jeszcze i zarazem uginałem się pod brzemieniem życia, rozprawa naukowa z księgarzki w połączeniu z odkryciem, dokonany przez mojego kuzyna z Nantes, otwarła ujście mojej wyobraźni. Powziąłem ostateczne postanowienie. Zamierzałem odejść, ale pozostać przy życiu – opuścić świat, ale zachować swe istnienie, słowem, by skończyć już raz z niedomówieniami, postanowiłem, nie oglądając się na nic, utworować sobie drogę na Księżyc, jeśli to będzie rzeczą możliwą. By mnie wszelako nie uważano za większego narwańca, nizeli nim jestem istotnie, pragnąłbym obecnie wyłuszczyć szczegółowo, w miarę mej możliwości, powody, które mi pozwalały przypuszczać, iż przedsięwzięcie tego rodzaju, aczkolwiek bez wątpienia trudne i najeżone niebezpieczeństwami, nie leżało bynajmniej dla nieustraszonego ducha poza obrębem możliwości.

Wziąłem przede wszystkim pod uwagę rzeczywistą odległość, jaka dzieli Ziemię od Księżyca. Otóż przybliżona, czyli średnia odległość między ośrodkami obu planet wynosi 59,9643 promieni równikowych ziemskich, czyli zaledwie około 237 000 mil angielskich. Powiadam, odległość średnia, czyli przybliżona – trzeba jednakże uprzytomnić sobie, iż kształt orbity księżycowej jest elipsą o odchyleniu wynoszącym nie mniej niż 0,05484 pólosi większej tejże elipsy, i że środek Ziemi znajduje się w jej ognisku; gdyby przeto powiodło się mi spotkać Księżyc w jego perigeum, rzeczona odległość znacznemu uległaby zmniejszeniu. O ile by jednak pominęło się nawet na razie tę możliwość, to mimo wszystko było rzeczą pewną, iż od nowych 237 000 mil należałoby odjąć promień Ziemi, czyli 4000, i promień Księżyca, czyli 1080, ogółem 5080; pozostawałoby

mi zatem do przebycia 231 920 mil angielskich odległości. Otóż ta przestrzeń w moim pojęciu nie była znowu niczym nadzwyczajnym. Niejednokrotnie odbywano już podróże lądowe z chyżością sześćdziesięciu mil na godzinę i wszystko przemawia za przypuszczeniem, iż dałoby się osiągnąć chyżość znacznie większą. Wszelako nawet przy tej szybkości potrzebowalibyśmy zaledwie 161 dni, by wylądować na powierzchni Księżyca. Nie zbywało mi jednakże na wskazaniach, iż przybliżona chyżość tej podróży mogłaby o wiele przekroczyć sześćdziesiąt mil na godzinę; ponieważ te rozważania wywarły wielki wpływ na mój umysł, przeto zamierzam pomówić jeszcze o nich obszerniej.

Dalsza sprawa, którą należało z kolei wziąć pod uwagę, była nierównie ważniejsza. Wiadomo ze wskazówek, jakie nam daje barometr, iż wzniósłszy się ponad powierzchnię Ziemi na wysokość tysiąca stóp, mamy pod sobą mniej więcej jedną trzydziestą część całkowitej warstwy powietrza atmosferycznego; że na wysokości 10 600 stóp znajdujący się pod nami pokład wynosi już około jednej trzeciej, zaś na wysokości 18 000 stóp, czyli niewiele wyżej od Cotopaxi, pozostaje pod nami połowa owej warstwy, czyli, ściślej się wyrażając, połowa ważkiego ciała lotnego, które jako powietrze przylega do naszego globu. Obliczono również, iż na wysokości nieprzekraczającej setnej części średnicy ziemskiej, to znaczy nie wyżej jakichś osiemdziesięciu mil – rozrzedzenie jest tak znaczne, iż istoty żyjące żadną miarą znieść go nie mogą, i co więcej, że najsubtelniejsze sposoby, jakimi rozporządzamy, by sprawdzić istnienie atmosfery, dla tej wysokości okazują się najzupełniej niewystarczające. Zdołałem jednakowoż zauważyć, iż te ostatnie obliczenia polegają jedynie na naszej wiedzy eksperymentalnej o właściwościach powietrza, jak też na prawach mechanicznych, regulujących jego rozrzedzenie i zgęszczenie w tym zakresie, który by można nazwać, wyrażając się przez porównanie, bezpośrednim sąsiedztwem Ziemi. Równocześnie przyjmuje się,

jakoby istoty żyjące nie były i nie mogły być zdolne do przystosowywania się do warunków na niedostępnych wysokościach ponad powierzchnią Ziemi. Otóż wszelkie rozumowania tego rodzaju, nieposiadające żadnych innych podstaw, muszą z konieczności

poprzestawać na analogiach. Najznacniejsza wysokość, na jaką dotychczas wznosił się człowiek, wynosi 25 000 stóp; osiągnęła ją ekspedycja napowietrzna Bay-Lussaca i Biota. Jest to wysokość nieznaczną w porównaniu z owymi osiemdziesięciu milami, o których wspomniałem; i nie mogę oprzeć się przypuszczeniu, iż sprawa ta nasuwa mnóstwo wątpliwości i pozostawia obszerne pole do dalszych badań.

Jest wszelako rzeczą niezawodną, iż skoro osiągnie się pewną, jakąkolwiek wysokość, to ważka ilość powietrza, które ma się jeszcze nad sobą, przy stopniowym wznoszeniu się nie pozostaje bynajmniej w stosunku prostym do dodatkowej wysokości osiągananej w dalszym ciągu (jak to jasno wynika z tego, co było powiedziane poprzednio), lecz w stosunku nieustannie się zmniejszającym. Z tego widać, iż bez względu na wysokość, na jaką wzniesć się można, niepodobna jest, wyrażając się ściśle, znaleźć rubieży, poza którą już nie ma atmosfery. Wywnioskowałem, że musi istnieć, aczkolwiek może istnieć w stanie bezgranicznego rozrzedzenia.

Z drugiej strony było mi wiadomo, iż nie brak argumentów dowodzących istnienia rzeczywistej i ostatecznej rubieży atmosferycznej, poza którą zupełnie nie ma już powietrza. Wszelako ci uczeni, którzy przemawiali za istnieniem owej rubieży, przeoczyli moim zdaniem jedną okoliczność, która jeśli nie obalała w zupełności ich poglądu, to przynajmniej zasługiwała na baczną uwagę. Porównując okresy, zachodzące między kolejnymi pojawieniami się komety Enckego u jej perihelium, i uwzględniając przy tym z całą ścisłością wszystkie zaburzenia powodowane przyciąganiem planetarnym, uzyskuje się przeświadczenie, że okresy te stopniowo się zmniejszają; znaczy to, że oś większa elipsy tejże komety staje się coraz krótsza w powolnym, lecz nadzwyczaj prawidłowym tempie. Otóż właśnie tę okoliczność należy wziąć w rachubę, przypuszczając, iż kometa spotyka się z oporem nadzwyczaj rzadkiego przewodnika eterycznego, co wypełnia okolice jej orbity. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż taki przewodnik, zwalniając chyżość komety, musi wzmacniać jej siłę dośrodkową, a natomiast osłabiać jej siłę odśrodkową. Innymi słowy, przyciąganie Słońca uzyskiwałoby

statecznie coraz większą władzę i powodowałyby coraz znaczniejsze zbliżanie się komety za każdym obrotem. Jakoż w inny sposób niepodobna zdać sobie sprawy z tego zбочenia. Ponadto zauważono jeszcze, iż średnica rzeczywista tejże komety kurczy się gwałtownie w miarę zbliżania się Słońca i rozpręża się z nie mniejszą chyżością, kiedy powraca znów do swego aphelium. Czyż więc nie miałem słuszności, przypuszczając wraz z M. Valzem, że to oczywiste stężenie objętości wynika ze zgęszczenia tegoż samego przewodnika eterycznego, o którym już nadmienilem, a który jest tym gęstszy, im znajduje się bliżej Słońca? Zjawisko kształtu soczewki, zwane także światłem zodiakalnym<sup>3</sup>, zasługiwałoby również na uwagę. Ta poświata, co przejawia się tak widocznie w okolicach podzwrotnikowych i nie może żadną miarą uchodzić za jakiegokolwiek światło meteoryczne, podnosi się od widnokregu ukośnie w górę i podąża zasadniczo w tym samym kierunku, co równik słoneczny. Moim zdaniem pochodzi ona z rozrzedzonej atmosfery, co rozciąga się od Słońca poza orbitę Wenerę i, jak sądzę, sięga bezgranicznie dalej. Jakoż niepodobna przypuszczać, by ten przewodnik ograniczał się do elipsy, po której krąży kometa, lub do bezpośredniego pobliza Słońca. Wręcz przeciwnie, łatwiej jest wyobrazić sobie, iż przenika on wszechobszary naszego systemu planetarnego, zgęszczając się u planet w to, co zwiemy atmosferą, i być może dokoła niektórych ulegając pewnym zmianom natury wyłącznie geologicznej, to znaczy, zmieniając się lub przeobrażając w swych stosunkach lub w samejże swej istocie pod wpływem ciał lotnych wydzielanych przez owe globy.

Przyjąwszy ten pogląd, przestałem się wahać. Przypuszczając, iż w mej podróży będę miał do czynienia z atmosferą w istocie rzeczy taką samą, jak na powierzchni Ziemi, pomyślałem sobie, iż przy pomocy doskonałego aparatu Grimma będę mógł z łatwością zgęszczać ją w ilości potrzebnej do oddychania. Udało się mi przeto usunąć główną przeszkodę, co stała mi na drodze do Księżyca. Zużyłem sporo pieniędzy i mnóstwo pracy, by przystosować ten aparat do zamierzonego celu, i miałem najzupełniejszą ufność, że nie zawiedzie w zastosowaniu, o ile

zdołam odbyć tę podróż w odpowiednio krótkim czasie. I oto znów wracam do zagadnienia, w jakim czasie można byłoby ją skutecznie.

Wiadomo, iż balony w pierwszym okresie swego wzlotu podnoszą się z chyżością dość umiarkowaną. Otóż siła wzlotu zależy wyłącznie od znaczniejszej ciężkości powietrza atmosferycznego w porównaniu z gazem wypełniającym balon. Z pozoru nie wydaje się rzeczą prawdopodobną, żeby balon w miarę, jak podnosi się coraz wyżej i co za tym idzie, wzbija się stopniowo w warstwy powietrzne, których gęstość gwałtownie się zmniejsza – powtarzam, nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby pierwotna chyżość tego balonu, wzbijającego się w górę, miała podlegać przyśpieszeniu. Z drugiej strony nie przypominam sobie, by w jakimkolwiek opisie wzlotu nadmieniano o zmniejszaniu się absolutnej chyżości wznoszenia się, aczkolwiek powinno tak być, chociażby z powodu uchodzenia gazu z balonów nieszczelnych i nieposiadających innej powłoki prócz zwyczajnego pokostu. Zdaje się przeto, iż następstwa tego ulatniania się gazu wystarczały zaledwie, by zrównoważyć przyśpieszenie, jakiego nabywa balon w miarę oddalania się od środka ciężkości. Otóż doszedłem do wniosku, że o ile bym w mym wzlocie przeniknął w pokład przewodnika, który by odpowiadał moim wyobrażeniom, dalej, o ile okazałoby się, że nie różniłby się on w swej istocie od tego, co nazywamy powietrzem atmosferycznym – to byłoby rzeczą względnie obojętną, jak wielkie mogłoby być jego rozrzedzenie – oczywiście w stosunku do mej siły wzlotnej – gdyż nie dość, że gaz w balonie uległby podobnemu rozrzedzeniu (mógłbym bowiem, zależnie od okoliczności, wypuścić odpowiednią jego ilość, by uniknąć wybuchu), lecz ponadto, będąc tym, czym jest, byłby zawsze gatunkowo lżejszy od jakiegokolwiek związku czystego tlenu i azotu. Istniała zatem możliwość, istniało nawet wielkie prawdopodobieństwo, iż w żadnym okresie mego wzlotu nie będzie punktu, w którym połączony ciężar mego ogromnego balonu wraz z zawartym w nim aż do ostatecznych granic rozrzedzonym gazem, wraz z koszem i tym wszystkim, co w nim się znajdowało, mógłby zrównać się z ciężarem otaczającej warstwy atmosferycznej; a jak nietrudno pojąć, to właśnie byłoby jedyną okolicznością, która by mogła

mnie zatrzymać w dalszym wzlocie. Wszelako gdybym nawet dotarł do takiego punktu, miałem jeszcze do rozporządzenia balast oraz inne przedmioty wagi około trzystu funtów. Równocześnie przyciąganie ziemskie winno by się stale zmniejszać w prostym stosunku do kwadratów odległości i oto z chyżością zawrotnie przyśpieszoną mógłbym dostać się w owe dalekie przestwory, gdzie siła przyciągania ziemskiego ustępuje miejsca sile przyciągania księżycowego.

Istniała jeszcze inna trudność, która była dla mnie przedmiotem niejakiego zaniepokojenia. Mianowicie zauważono, iż kiedy balon wzniesie się do znacznej wysokości, prócz przeszkód w oddychaniu przejawia się uczucie dotkliwego niedomagania w głowie i całym ciele, połączone często z krwotokami z nosa tudzież innymi objawami, nie mniej niepokojącymi, a wzmagającymi się w odpowiednim stosunku do osiągniętej wysokości<sup>4</sup>. Był to szczegół nieco zatrważający. Czyż nie należało przypuszczać, iż te objawy mogły się wzmacniać i powodować w końcu śmierć? Po rozwadze doszedłem do przeświadczenia, że nie. Wedle mego mniemania były one następstwem stopniowego zmniejszania się zwykłego dla ciała nacisku atmosferycznego na powierzchnię i wynikającego stąd rozszerzania się powierzchownych naczyń krwionośnych – natomiast nie zagrażały istotnym rozprężeniem ustroju cielesnego, jak to mogło mieć miejsce z utrudnieniem w oddychaniu, przy którym gęstość atmosfery mogłaby się okazać chemicznie niewystarczająca do prawidłowego odnawiania krwi w komorze sercowej. Pomijając te zaburzenia w składzie chemicznym krwi, nie mogłem dopatrzeć się przyczyny, dla której życie nie miałoby istnieć nawet w próżni, gdyż rozszerzanie się i zwięzanie klatki piersiowej, pospolicie zwane oddychaniem, jest objawem wyłącznie mięśniowym i powodem, nie zaś wynikiem czynności oddechowej. Słowem, doszedłem do przekonania, iż w miarę jak organizm będzie się przyzwyczajał do stopniowego zmniejszania się nacisku atmosferycznego, owe niedomagania będą stopniowo ustępowały – ponadto ufałem, iż żelazna krzepkość mego ustroju fizycznego zdoła je przetrzymać.

Wyłuszczyłem tedy, za pozwoleniem Waszych Eksceleńcji, niektóre, acz nie wszystkie względy, które mnie skłoniły do podjęcia podróży na Księżyc. Winienem teraz z kolei zdać sprawę z przebiegu tego przedsięwzięcia, tak niesłychanie zuchwałego w pomyśle i bądź co bądź bezprzykładnego w dziejach ludzkości.

Osiągnąwszy wspomnianą poprzednio wysokość – to znaczy trzy i trzy czwarte mili – wyrzuciłem z kosza trochę pierza i przekonałem się, że wciąż wznoszę się z chyżością dostateczną; nie było zatem potrzeby wyrzucania balastu. Byłem z tego zadowolony, gdyż pragnąłem zachować możliwie najwięcej ciężaru dla tej prostej przyczyny, że nie wiedziałem nic pewnego ani o przyciąganiu, ani też o gęstości atmosferycznej Księżyca. Jak dotychczas nie doznawałem żadnej dolegliwości, oddychałem zupełnie swobodnie i wcale nie miałem bólu głowy. Kot leżał sobie najspokojniej na mym płaszczu, z którego się rozebrałem, i przyglądał się niedbale gołębiom. Były one przywiązane za nóżki, aby nie uciekły, i zajmowały się skrzętnie dziobaniem ryżu, którego rzuciłem im trochę na dno kosza.

O godzinie szóstej minut dwadzieścia wzniesienie wedle barometru wynosiło 26 400 stóp, czyli bez mała pięć mil. Widok był niezmierny. Przy pomocy geometrii sferycznej nietrudno jest obliczyć, jak wielki obszar powierzchni ziemskiej miałem przed oczyma. Wypukła powierzchnia jakiegokolwiek odcinka kuli ma się tak do całej powierzchni tejże kuli jak sinus owego odcinka do średnicy kuli. W moim wypadku sinus – to znaczy długość odcinka, który znajdował się pode mną – równał się niemal memu wzniesieniu, czyli wzniesieniu punktu widzenia powyżej powierzchni. „Jak pięć mil do ośmiu ich tysięcy” – oto jak wyrażałby się stosunek obszaru widzianego przeze mnie do obszaru Ziemi. Innymi słowy widziałem tysięczną sześćsetną część całkowitej powierzchni ziemskiej. Morze zdawało się mieć gładkość zwierciadła, aczkolwiek przy pomocy teleskopu udało się mi dostrzec, iż było mocno wzburzone. Okręt już nie był widoczny; zapewne popłynął ku wschodowi. Jałem doznawać od czasu do czasu przykrego bólu głowy, zwłaszcza koło



uszu – ale wciąż jeszcze oddychałem dość swobodnie. Kot i gołębice nie zdawały się doznawać jakichkolwiek dolegliwości.

Dwadzieścia minut przed siódmą balon wtargnął w pokłady gęstych chmur, które sprawiły mi wiele kłopotu, gdyż uszkodziły mój aparat zgęszczający i przemoczyły mnie do nitki. Bezsprzecznie było to spotkanie osobliwszego rodzaju, gdyż nie przypuszczałem, by chmury mogły unosić się tak wysoko. Wydało się mi przeto rzeczą stosowną wyrzucić dwa pięcioletnie kawałki balastu, pozostawiając jeszcze w zapasie sto sześćdziesiąt pięć funtów. Dzięki temu minąłem szybko przeszkodę i zauważyłem niezwłocznie ogromny przyrost chyżości. Zaledwie zdążyłem opuścić chmury, olśniewająca błyskawica targnęła nimi od końca do końca i zapaliła je na całej ogromnej przestrzeni, iż wyglądały niby warstwa rozżarzonego węgla. A trzeba pamiętać, iż stało się to za białego dnia. Nie ma wyobraźni, która zdołałaby wyśnić wspaniałość podobnego zjawiska wśród mroków nocnych. Zaiste, byłoby ono wiernym obrazem piekła. Włosy stawały mi na głowie, gdy spoglądałem z wysoka w ziejące otchłanie, pozwalając wyobraźni ślaniać się i błędzić skroś dziwnie sklepionych komnat, skroś tęczujących purpurą zatok, skroś upiornie czerwonych czeluści potwornego i niezgłębionego ognia. Udało mi się ujść szczęśliwie. Gdyby balon był pozostał w chmurach nieco dłużej – to znaczy, gdyby dojmująca wilgoć nie była mnie skłoniła do wyrzucenia balastu – byłbym prawdopodobnie nie uniknął zguby. Niebezpieczeństwa tego rodzaju, aczkolwiek niezbyt brane pod uwagę, są snadź dla balonów najgroźniejsze. Zdołałem jednak wzbić się tymczasem na taką wysokość, iż nie potrzebowałem już obawiać się niczego.

Wznosiłem się zatem szybko i o godzinie siódmej barometr wskazywał nie mniej niż dziewięć i pół mili wysokości. Jąłem doznawać wielkich utrudnień w oddychaniu. Głowa bolała mnie nieznośnie. Od pewnego już czasu czułem coś wilgotnego na policzkach i przekonałem się w końcu, że była to krew, co sączyła się nieustannie z bębenków moich uszu. Dolegały mi również oczy. Przesuwając po nich dłonią, miałem wrażenie, iż wysunęły się znacznie z oczodołów; toteż wszystkie przedmioty w koszu wraz z balonem przybrały dla mnie wygląd cudaczny. Te objawy przeszły

moje oczekiwania i nieco mnie zaniepokoiły. Przynaglony nimi, nader nierozważnie i bez namysłu wyrzuciłem z kosza trzy pięcioletnie kawałki balastu. Skutkiem wywołanego w ten sposób przyspieszenia dostałem się nagle i bez właściwego stopniowania w nadzwyczaj rozrzedzoną warstwę atmosfery, co omal nie pociągnęło za sobą zgubnych następstw dla mnie samego i dla mej wyprawy. Złapał mnie nagle skurcz, trwający przeszło pięć minut, wszelako nawet później, kiedy już nieco zwolniał, chwytałem oddech tylko z długimi przerwami i jakby zachłyśnięty, przy czym krew sączyła się mi obficie z nosa i z uszu, a nawet nieco z oczu. Gołębie miały się nieprzytomne, jak gdyby rwały się do ucieczki; kotka miauczała żałośnie i z wywieszonym ozorem zataczała się w koszu niby pod wpływem jakiejś trucizny. Za późno zdałem sobie sprawę z nieogłędnego pośpiechu w wyrzuceniu balastu i niepokój mój wzmógł się ponad wszelką miarę. Oczekiwałem śmierci, i to bardzo rychłej. Moje niedomagania fizyczne przyczyniły się również do tego, by mnie uczynić prawie niezdolnym do jakiegokolwiek próby ocalenia życia. Przytomność umysłu niemal mnie odbiegła, a ból głowy zdawał się wzmacniać nieustannie. Czułem, że za chwilę zemdleję, i ująłem już linę do otwierania balonu, by opuścić się na dół, gdy myśl o zbrodni, którą popełniłem, wprowadzając w zasadzkę trzech lichwiarzy, i o jej możliwych w razie mego powrotu następstwach sprawiła, iż zawahałem się na chwilę. Położyłem się na dnie kosza i starałem się zebrać myśli. Powiodło mi się o tyle, iż postanowiłem puścić sobie krew. Ponieważ nie miałem lancetu, musiałem dokonać tej operacji w inny sposób, i ostatecznie postawiłem na swoim, otwierając sobie żyłę lewego ramienia ostrzem scyzoryka. Skoro tylko krew zaczęła się sączyć, doznałem wielkiej ulgi, kiedy zaś utoczyłem jej z jakie pół miski, niemal wszystkie przykre objawy ustąpiły zupełnie. Mimo to nie wydawało mi się rzeczą właściwą od razu spróbować, czy zdołam utrzymać się na nogach; obandażowałem zatem jako tako me ramię i jeszcze z jakiś kwadrans leżałem spokojnie. W końcu powstałem i uświadomiłem sobie, że od pięciu kwadransów, to znaczy od chwili mojego wzlotu, nigdy nie czułem się równie czerstwy i swobodny. Co prawda, trudność oddychania zmniejszyła się tylko bardzo

nieznacznie i trzeba było niezwłocznie przystąpić do zastosowania mojego aparatu zgęszczającego. Przypadkiem spojrzałem na kotkę, która znów wylegiwała się rozkosznie na moim płaszczu, i z ogromnym zdumieniem spostrzegłem, iż podczas mojego niedomagania zdążyła okocić się i wydać na świat troje kociąt. Było to pomnożenie ilości podróźnych zgoła przeze mnie nieoczekiwane; mimo to sprawiło mi uciechę. Dało mi bowiem możliwość sprawdzenia pewnej okoliczności, która więcej niż wszystko inne skłoniła mnie do podjęcia mojego wlotu. Mianowicie wyobrażałem sobie, że przyzwyczajenie do ciśnienia atmosferycznego na powierzchni Ziemi, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w znacznej mierze jest przyczyną dolegliwości, jakim ulegają istoty żyjące, gdy znajdują się na pewnej wysokości ponad powierzchnią. Gdyby kocięta miały ulegać przypadłościom w tym samym stopniu co ich matka, byłbym zmuszony przyznać, iż byłem w błędzie, miałem atoli przeciwny dowód przed oczyma i mogłem go uważać za niezawodne potwierdzenie mej teorii.

O godzinie ósmej znajdowałem się na wysokości siedemnastu mil ponad powierzchnią Ziemi. Zaświtało mi wówczas w myślach nie tylko to, że chyżość mojego wlotu doznała przyśpieszenia, lecz także i to, że owo przyśpieszenie, w mniejszym co prawda stopniu, byłoby nastąpiło nawet w takim razie, gdybym nie był wyrzucił balastu. Ból głowy i uszu wzmagał się chwilami bardzo silnie i wciąż jeszcze puszczała mi się krew z nosa; wszelako na ogół cierpiałem znacznie mniej, aniżeli się spodziewałem. Oddychałem jednakowoż z coraz większą trudnością i każdy oddech był połączony z nieprzyjemnym skurczem klatki piersiowej. Wydobyłem tedy aparat zgęszczający i poczyniłem przygotowania do niezwłocznego użytku.

Widok Ziemi w tym okresie mojego wlotu był istotnie wspaniały. Ku zachodowi, ku północy i ku południu roztaczała się niezmierna płaszczyzna pozornie spokojnego oceanu, co z każdą chwilą coraz mocniejszym nasycił się błękitem. W ogromnej odległości, hen, ku wschodowi, widniały wyraziście wyspy Wielkiej Brytanii, całe wybrzeże atlantyckie Francji i Hiszpanii wraz z wąską smugą północnej połaci lądu afrykańskiego. Śladu jakichkolwiek zabudowań dostrzec nie było

podobna i najdumniejsze miasta ludzkości znikły zupełnie z oblicza Ziemi.

Śród rzeczy, co pozostały pode mną, zadziwiła mnie przede wszystkim widoczna wklęsłość powierzchni kuli ziemskiej. Nie zastanowiwszy się rozważnie, mniemałem, iż ujrzę, jak jej rzeczywista wypukłość będzie się uwydatniała w miarę mojego wzlotu; wszelako dość było chwili namysłu, bym zdał sobie sprawę z tej sprzeczności. Linia przeprowadzona od punktu, w którym się znajdowałem, prostopadle do Ziemi, byłaby utworzyła prostopadłą trójkątą prostokątnego, którego podstawa przebiegałaby od kąta prostego do widnokręgu, zaś przeciwprostokątna od widnokręgu do mej pozycji. Wszelako moje wzniesienie było niemal nic nie znaczące w porównaniu z rozległością mego widoku. Innymi słowy, podstawa i przeciwprostokątna domniemanego trójkąta były w tym wypadku i w porównaniu z prostopadłą tak długie, iż mogłyby niemal uchodzić za równoległe. Oto przyczyna, dla której widnokrąg napowietrznego żeglarza zda się zawsze znajdować na poziomie kosza balonu. Ponieważ punkt znajdujący się bezpośrednio pod stopami tego żeglarza wydaje się mu i jest istotnie w ogromnej pod nim głębokości, przeto ulega on wrażeniu, iż ów punkt znajduje się również w ogromnej głębokości poniżej widnokręgu. Stąd wrażenie wklęsłości; wrażenie to musi trwać dopóty, dopóki między wzniesieniem a rozległością widoku nie wytworzy się różnica tak wielka, iż pozorna równoległość podstawy i przeciwprostokątnej zaniknie.

Wydało mi się, iż gołębie bardzo się męczą, więc postanowiłem wypuścić je na wolność. Odwiązałem najpierw jednego, pięknego podpalanego gołębia i posadziłem go na brzegu kosza. Zdawał się bardzo niepokoić, spoglądał trwożnie dokoła, trzepotał skrzydłami i gruchał żałośnie, ale nie mógł odważyć się na opuszczenie swego miejsca. W końcu wzięłem go w rękę i wyrzuciłem na jakie sześć jardów z balonu. Mimo to nie próbował, jak przypuszczałem, zlecieć w dół, lecz rwał się zapamiętale do powrotu, wydając nadzwyczaj ostre i przenikliwe krzyki. W końcu udało mu się usiąść na dawnym miejscu, lecz wnet potem zwiesił głowę na piersi i potoczył się martwy w głąb kosza. Los jego

następcy był znacznie pomyślniejszy. Nie chcąc, by poszedł za przykładem swego towarzysza i znów powrócił, rzuciłem go z całej siły w dół i ucieszyłem się, że zlatywał chyżo coraz niżej, poruszając lekko i najzupełniej naturalnie skrzydłami. Bardzo rychło znikł mi z oczu i jestem pewien, że szczęśliwie dotarł do swego gołębnika. Kotka, u której objawy niedomagania przeszły już niemal zupełnie, urządziła sobie wyborną ucztę z martwego ptaka i najzupełniej zadowolona ułożyła się do snu. Kocięta były bardzo ożywione i nie doznawały żadnych dolegliwości.

O kwadrans na dziewiątą, nie mogąc już dłużej oddychać bez nieznośnego bólu, jałem dokoła kosza rozpinać przyrząd stanowiący część aparatu zgęszczającego. Przyrząd ten będzie wymagał pewnych wyjaśnień i Wasze Ekscelencje raczą uświadomić sobie, iż moje zadanie polegało przede wszystkim na tym, by siebie wraz z koszem oddzielić całkowicie oponą od wielce rozrzedzonej atmosfery, w której przebywałem, jako też wprowadzić do wnętrza owej opony za pomocą aparatu zgęszczającego odpowiednią ilość tejże samej atmosfery, wszelako odpowiednio zgęszczonej i nadającej się do oddychania. Mając cel ten na oku, przygotowałem wór kauczukowy, bardzo mocny, nieprzepuszczający powietrza i wielce rozciągliwy. Wór ten posiadał odpowiednie rozmiary i poniekąd mieścił w sobie cały kosz, to znaczy otaczał dno kosza, obejmował jego ściany i sięgał wzdłuż lin wyżej, aż do pierścienia, który przytrzymywał sieć. Zaciągnąwszy worek i utworzywszy w ten sposób szczelne zamknięcie ze wszystkich stron, trzeba było z kolei zabezpieczyć jego wierzch, czyli wylot, wciągając materię kauczukową aż poza pierścień sieci, czyli innymi słowy aż do miejsca pomiędzy siecią a pierścieniem. Co atoli miało podtrzymywać kosz w chwili, kiedy należało oddzielić sieć od pierścienia, by przeciągnąć tamtędy brzeg worka? Otóż sieć nie była przymocowana na stałe do pierścienia, lecz przyczepiona za pomocą szeregu luźnych pętli lub węzłów. Rozwiązywałem tedy równocześnie tylko po kilka węzłów, podczas gdy na innych w dalszym ciągu zwieszał się kosz. Przesunąwszy następnie część tkaniny tworzącej górny skraj wora, przytwierdziłem z powrotem węzły – wszelako nie do pierścienia, gdyż skutkiem

przesunięcia opony stało się to niemożliwe – ale do szeregu wielkich guzów przymocowanych do samejże opony o jakie trzy stopy poniżej wylotu wora w ten sposób, że odstępy między guzami odpowiadały odstępom między węzłami. Zrobiwszy to, odwiązałem znów kilka węzłów z pierścienia, przesunąłem dalszą część opony i rozluźnione węzły zaciągnąłem znów mocno dokoła odpowiednich guzów. Tym sposobem udało się mi przeciągnąć całą górną część wora między siecią a pierścieniem. Oczywiście, iż po tym wszystkim pierścień musiał spaść do kosza, ponieważ cały tegoż ciężar wraz ze wszystką zawartością zależał odtąd wyłącznie od siły guzów. Z pozoru nie przedstawiało to dostatecznego zabezpieczenia; wszelako w rzeczywistości tak nie było, nie tylko dlatego, że poszczególne guzy były bardzo mocne, ale i dlatego, iż znajdowały się tak blisko siebie, że na każdy z nich przypadała tylko nieznaczna część całego ciężaru. Sądzę, iż gdyby kosz wraz z całą zawartością był nawet trzy razy cięższy, nie byłoby do jakichkolwiek obaw żadnego powodu. Następnie wewnątrz opony kauczukowej podsunąłem znów pierścień w górę i podparłem go mniej więcej na poprzedniej wysokości trzema lekkimi drążkami, przygotowanymi w tym celu. Zrobiłem to, by rozszerzyć wór u góry i utrzymać dolną część sieci we właściwej pozycji. Pozostawało tylko zamknąć wylot opony; nie przedstawiało to żadnej trudności, gdyż dość było zebrać wszystkie fałdy tkaniny razem i skrócić je bardzo mocno od wnętrza za pomocą odpowiedniego zwornika.

W ścianach opony, rozpiętej w ten sposób dokoła kosza, znajdowały się trzy okrągłe okienka z grubego, lecz przezroczystego szkła, przez które mogłem widzieć wszystko, co działo się dokoła mnie w płaszczyźnie poziomej. W części opony, która stanowiła dno, mieściło się czwarte, podobne okienko, odpowiadające niewielkiemu otworowi w dnie kosza. Mogłem przez nie spoglądać prostopadle w dół. Natomiast trudno było pomyśleć o podobnym urządzeniu w górze z powodu właściwego sposobu zamknięcia otworu i wynikającego stąd sfałdowania tkaniny; musiałem przeto wyrzec się widoku przedmiotów znajdujących się wprost nade

mną. Nie miało to zresztą dla mnie większego znaczenia, gdyż takie okienko umiejscowione u góry byłoby w zupełności zasłonięte balonem.

Na stopę poniżej jednego z bocznych okienek znajdował się okrągły otwór o średnicy trzech cali, obrzeżony mosiężną kresą, która od strony wewnętrznej miała urządzenie odpowiadające skrętom śruby. W kresę tę wkręcona była wielka rura aparatu zgęszczającego, którego część główna mieściła się oczywiście w komorze kauczukowej. Za pomocą próżni wytwarzanej wewnątrz maszyny napływało przez tę rurę powietrze, które ulegało zgęszczeniu i wypuszczone do wnętrza komory mieszało się z jej rozrzedzonym powietrzem. Po kilkakrotnym powtórzeniu tej operacji uzyskiwało się w komorze atmosferę odpowiadającą w zupełności potrzebom oddychania. Wszelako w przestrzeni tak zacieśnionej powietrze musiało rychło, skutkiem częstego stykania się z płucami, ulegać zepsuciu i stawać się szkodliwe dla zdrowia. Usuwało się je przeto przez niewielki wentyl znajdujący się w dnie kosza, ile że powietrze gęste z łatwością opadało w rozrzedzoną warstwę znajdującą się poniżej atmosfery. By uniknąć niedogodności wynikających z wytwarzania co chwila zupełnej próżni w komorze, oczyszczania tego nie dokonywało się nigdy od razu, lecz stopniowo, mianowicie w ten sposób, iż otwierało się wentyl tylko na krótką chwilę, po czym zamykało się znowu, ażeby jedno lub dwa pociągnięcia pompy aparatu zgęszczającego zdołały wypełnić miejsce powietrza usuniętego. Z upodobania do doświadczeń włożyłem kotkę wraz z kociętami do małego koszyka i zawiesiłem go po zewnętrznej stronie kosza na guzie, co znajdował się pod dnem, tuż obok wentylatora, przez który mogłem podawać zwierzętom pokarm w razie potrzeby. Zrobiłem to przed zamknięciem wylotu komory i z niejaką trudnością, chcąc bowiem dosięgnąć dna kosza, musiałem posłużyć się jednym z drążków, na których wspierał się pierścień. Z chwilą gdy zgęszczone powietrze napłynęło do komory, pierścień i drążki nie były już potrzebne, gdyż parcie zamkniętej atmosfery rozdymało znakomicie oponę kauczukową.

Kiedy zdążyłem ukończyć mą pracę i napełnić komorę zgęszczonym powietrzem, zbywało zaledwie dziesięć minut do godziny dziewiątej.

Przez cały czas spędzony na tych zajęciach doznawałem najokropniejszych cierpień wywoływanych trudnością oddychania. Gorzko żałowałem zaniedbania lub raczej nedorzecznego zuchwalstwa, którego się dopuściłem, odkładając tak ważną sprawę do ostatniej chwili. Wszelako załatwiwszy się z nią, rychło jałem korzystać z dobrodziejstwa swej pomysłowości. Znów oddychałem z największą swobodą i łatwością – bo dlaczegóż miałoby być inaczej? Doświadczyłem również miłej niespodzianki, kiedy uczułem znaczną ulgę w dotkliwych bólach, co udręczały mnie dotychczas. Lekki ból głowy, połączony z wrażeniem obrzęku czy rozdęcia w okolicy stawu nadgarstkowego, stawu skokowego i gardła – oto niemal wszystko, co mi jeszcze dolegało. Okazało się zatem, iż znaczniejsza część niedomagań spowodowanych usunięciem ciśnienia atmosferycznego znikła – jak przewidywałem – zupełnie, jako też że mnóstwo cierpień, których doznawałem w przeciągu dwu ostatnich godzin, należało przypisać wyłącznie następstwom niedostatecznego oddychania.

Na dwadzieścia minut przed dziewiątą – to znaczy na krótko przed zamknięciem komory – rtęć dosięgła swych granic i spadła na dół w barometrze, o którym już wspomniałem, że był znacznych rozmiarów. Wskazywał mi on podówczas wysokość 132 000 stóp, czyli dwudziestu pięciu mil, co oznaczało, iż obejmowałem w tej chwili spojrzeniem nie mniej niż trzechsetną dwudziestą część całkowitej powierzchni ziemskiej. O godzinie dziewiątej straciłem ponownie z oczu ląd w kierunku wschodnim, zdążyłem jednak zauważyć przedtem, iż balon zwrócił się nagle ku północno-północnemu zachodowi. Ocean, rozokolony pode mną wciąż jeszcze sprawiał wrażenie wklęsłości, jakkolwiek zasłaniały mi go często wałęsające się zwałami w przestworach obłoki.

O godzinie wpół do dziesiątej wykonałem doświadczenie z pierzem, którego garść wyrzuciłem przez wentyl. Piórka nie pofrunęły, jak się spodziewałem, lecz jęły spadać na dół prostopadle, en masse, jak kula, i z ogromną chyżością znikły mi wnet z oczu. Nie wiedziałem zrazu, co myśleć o tym szczególniejszym zjawisku, gdyż nie mogłem uwierzyć, by moja chyżość wznoszenia się nabyła nagle takiego zawrotnego



przyśpieszenia. Lecz wnet przyszło mi na myśl, iż atmosfera znajdowała się już w stanie takiego rozrzedzenia, że nie mogła utrzymać nawet pierza; że spadało ono istotnie, jak zresztą mi się zdawało, z ogromną chyżością; i że wprawiała mnie w osłupienie skojarzona chyżość ich spadku i mego własnego wzlotu.

O godzinie dziesiątej zdałem sobie sprawę, iż na razie pozostaje mi bardzo niewiele do czynienia. Wszystko szło składnie i byłem pewien, że balon wzbija się z chyżością wciąż wzrastającą, aczkolwiek nie miałem już sposobu, by sprawdzić to przyśpieszenie. Nic mnie nie bolało ani mi nie dolegało i nigdy nie czułem się lepiej, odkąd opuściłem Rotterdam. Zajmowałem się tedy bądź to badaniem mych różnych przyrządów, bądź też odświeżaniem powietrza w komorze. Postanowiłem dokonywać tego odświeżania w regularnych odstępach, co czterdzieści minut, nie tyle ze względu na niezbędną konieczność, co z uwagi na zachowanie mojego zdrowia. Nie mogłem się przy tym powstrzymać od snucia różnych przypuszczeń. Marzenie pławiło się w tajemniczych, snem osnutych przestworzach księżycowych. Wyobraźnia, stargawszy wreszcie wszelkie pęta, błędziła swobodnie wśród wiecznie zmiennych dziwów mrocznej i niedocieczonej krainy. Raz były to okryte szronem, praodwieczne bory, to znów urwiska skalne lub wodospady staczające się wśród rozhluków w bezdenne otchłanie. Po czym przenosiłem się nagle w ustronia ciche i ubłogosławione południowym słońcem, dokąd nie docierały nigdy wichry widnokrężne i gdzie w rozemdlone dale roztaczały się nieprzejrzone stępy, pałające makami i jakimś liliowosmukłym kwieciem, ponurzonym w wiekiustą nieruchomość i milczenie. Stamtąd odbywałem dalekie podróże w jakieś inne kraje, gdzie nie było nic prócz głuchych, posępnych jezior, obrzeżonych pierścieniami mgieł. Wszelako nie tylko takie obrazy przebłyskiwały mi w mózgu. Niejednokrotnie umysł mój stawał się pastwą najstraszliwszych i najbardziej przerażających okropności, co wstrząsały do najwnętrznieszych głębi mą duszę samym tylko ich możliwości przypuszczeniem. Atoli nie mogłem pozwalać, by moje myśli pograżały się na dłużej w podobnych zadumach, mniemając słusznie, iż

rzeczywiste i uchwytnie niebezpieczeństwa podróży winny niepodzielnie zaprzętać mą uwagę.

O godzinie piątej po południu, zajmując się odświeżeniem atmosfery w mej komorze, miałem sposobność zajrzeć przez wentyl do kotki z kociętami i poczynić nad nimi spostrzeżenia. Kotka – jak mi się zdawało – doznawała znów dotkliwych cierpień, które przypisałem bez wahania tylko trudnościami w oddychaniu; natomiast eksperyment z kociętami doprowadził do nader osobliwych wyników. Oczekiwałem, jak łatwo się dorozumieć, że będą podlegały niedomaganiom, acz w mniejszym stopniu niż ich matka; byłoby to dla mnie dostatecznym potwierdzeniem poglądu dotyczącego nawykowej odporności na ciśnienie atmosferyczne. Nie byłem natomiast przygotowany, iż zastanę je w doskonałym zdrowiu, że będą oddychały z największą łatwością i prawidłowością, nie objawiając przy tym najlżejszych oznak osłabienia. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak poszerzyć mą teorię i przyjąć, że mocno rozrzedzona atmosfera nie jest snadź – jak mniemałem na pewno – chemicznie niewystarczająca do podtrzymania życia i że istota zrodzona w takim środowisku mogłaby zgoła nie doznawać żadnych przykrości przy oddychaniu – przeniesiona natomiast w gęstsze warstwy powietrzne, bliżej Ziemi, mogłaby doświadczyć takich samych udręczeń, jakich ja do niedawna na sobie doświadczałem. Niemałą później było dla mnie przykrością, iż nieszczęsny wypadek przyprawił mnie wnet potem o utratę kociej rodziny i pozbawił możliwości głębszego wniknięcia w owo zagadnienie, wymagające dalszych i nieprzerwanych doświadczeń. Kiedy mianowicie przesunąłem rękę przez wentyl, by podać kotce miseczkę z wodą, zaczepiłem rękawem od koszuli o węzeł, który podtrzymywał koszyk, i nagłym szarpnięciem odwiązałem go z guza. Gdyby miał on błyskawicznie rozwiać się w powietrzu, nie byłby mi znikł z oczu naglej i niespodziewaniej. Śmiało mogę utrzymywać, iż między odwiązaniem się koszyka a zupełnym jego zniknięciem nie upłynęła nawet dziesiąta część sekundy. Posłałem w ślad za nim najlepsze me życzenia, ale oczywiście nie miałem nadziei, by kotka i jej maleństwa uszły cało i były w możności opowiedzieć na Ziemi historię swego nieszczęścia.

O godzinie szóstej zauważyłem, iż wielka połać widzianej powierzchni ziemskiej zanurzyła się od wschodu w mrocznych cieniach, które posuwały się naprzód z wielką chyżością, zaś na pięć minut przed siódmą cała przestrzeń dostępna dla mojego wzroku spowila się ciemnością nocy. Atoli dopiero znacznie później promienie zachodzącego Słońca przestały oświecać balon; okoliczność ta, wprawdzie najzupełniej przewidziana, mimo to niewymowną sprawiła mi radość. Zdałem sobie sprawę, iż rankiem będę oglądał wzejście kręgu słonecznego o wiele godzin wcześniej niż obywatele rotterdamscy, jakkolwiek znajdowali się ku wschodowi znacznie dalej ode mnie; i tak z dnia na dzień, w odpowiednim stosunku do wysokości osiąganey, będę mógł radować się jaśnią słoneczną coraz dłużej. Postanowiłem odtąd prowadzić dziennik podróży, licząc na dobę dwadzieścia cztery bieżących godzin, bez względu na przerwy spowodowane ciemnością.

O godzinie dziesiątej zebrało mi się na sen i postanowiłem już resztę nocy przeznaczyć na wypoczynek, gdy wtem wyłoniła się trudność, która mimo swej oczywistości uchodziła mej uwagi aż do ostatniej chwili. Gdybym ułożył się do snu, jak zamierzałem, w jaki sposób miało się odbywać tymczasem odświeżanie atmosfery w komorze? Oddychać nią dłużej niż godzinę było wprost niepodobieństwem; gdyby zaś przedłużyło się ten czas bodaj do pięciu kwadransów, następstwa mogłyby być opłakane. Zagadnienie to przyczyniło mi niemałej troski i wierzyć się po prostu nie chce, że po przebytych niebezpieczeństwach mogłem je brać sobie tak bardzo do serca, iż zwątpiłem o powodzeniu moich zamierzeń i gotów już byłem uznać konieczność powrotu na Ziemię. Wszelako to wahanie było tylko chwilowe. Jałem rozumować, iż człowiek jest istnym niewolnikiem swych nawyków i że mnóstwo szczegółów powszedniego trybu jego istnienia wydaje się czymś istotnie ważnym, jest zaś nim tylko o tyle, o ile niezbędnym uczyniło je przyzwyczajenie. Nie mogłem jużcić obejść się bez snu, lecz mogłem z łatwością wymóc na sobie, iż nie będę odczuwał przykrości, gdy przyjdzie mi co godzina przerwać sobie odpoczynek. Trzeba było zaledwie pięciu minut, by dokonać zupełnego odświeżenia atmosfery, i jedyną rzeczywistą trudnością było obmyślenie

sposobu, który by mi pozwolił budzić się do tej czynności zawsze we właściwej chwili. Było to jednakże zagadnienie, którego rozwiązanie – by wyznać szczerze – sprawiło mi niemało kłopotu. Kiedyś słyszałem o studencie, który obawiając się zasnąć nad książkami, trzymał w ręce miedzianą kulę; kula ta, padając z łoskotem do miednicy z tegoż samego metalu, ustawionej obok jego krzesła na podłodze, budziła go, ilekroć zdarzyło się mu zdrzemnąć. Co prawda moje warunki były zupełnie odmienne i nie nastroczały sposobności do zastosowania podobnego sposobu; nie chodziło mi bowiem o to, by nie zasnąć, lecz by się budzić w określonych odstępach czasu. W końcu wpadłem na pomysł, który mimo swej pierwotności wydał mi się w chwili odkrycia wynalazkiem nie mniej ważnym niż teleskop, maszyna parowa lub nawet sztuka drukarska.

Godzi się przede wszystkim zaznaczyć, iż balon, wzniósłszy się do określonej wysokości, podążał dalej w górę równym, miarowym pędem i że kosz unosił się za nim nadzwyczaj równomiernie i bez najlżejszych wahań. Okoliczność ta sprzyjała wielce projektowi, który zamierzałem uskuteczyć. Mój zapas wody znajdował się w baryłkach, z których każda miała pięć galonów pojemności i była przytwierdzona nader mocno we wnętrzu kosza. Odwiązałem jedną z nich, po czym wzięłem dwa powrozy i przywiązałem je do przeciwległych brzegów kosza w ten sposób, iż przebiegały poprzecznie i równoległe przez kosz, tworząc jakby półkę szerokości jednej stopy; na półce tej umieściłem i umocowałem poziomo ową baryłkę. Na osiem cali poniżej owych powrozów i na cztery stopy ode dna kosza urządziłem drugą podobną półkę – wszelako nie ze sznurów, lecz z cienkiej deseczki, która była jedynym tego rodzaju przedmiotem z drzewa, znajdującym się podówczas w moim posiadaniu. Na tej niższej półce i tuż poniżej brzeżka owej baryłki ustawiłem niewielki gliniany dzbanek. Następnie wywierciłem otwór na skraju baryłki ponad owym dzbankiem; otwór ten zaopatrzyłem w czop z miękkiego drzewa, wystrugany stożkowato. Wkładałem i wyjmowałem go kolejno, aż wreszcie po wielu próbach osadziłem go dokładnie w ten sposób, iż woda, sącząc się z baryłki i ściekając do podstawionego dzbanka, napełniała go po wręby w przeciągu sześćdziesięciu minut. Dało się to ustalić bardzo

rychło i łatwo, obserwując stosunek, w jakim do pewnej wysokości napełniał się dzban w określonym czasie. Uporawszy się z tym wszystkim, nie miałem już dalszych trudności. Moje posłanie było w ten sposób umieszczone na dnie kosza, iż gdy się położyłem, głowa moja znajdowała się bezpośrednio pod dziobem dzbana. Nie ulegało wątpliwości, iż po upływie godziny dzban musi się przepełnić i woda przeleje się przez dziób umieszczony nieco poniżej wrębu. Było również rzeczą pewną, iż woda, spadając z wysokości przeszło czterech stóp, musi dosięgnąć mej twarzy i spowodować natychmiastowe me przebudzenie, gdybym nawet usnął jak kamień.

Było już dobrze po jedenastej, kiedy ukończyłem te urządzenia i udałem się niezwłocznie na spoczynek z zupełną ufnością w skuteczność mojego wynalazku. Jakoż nie spotkałem się z zawodem. Dokładnie co sześćdziesiąt minut budził mnie mój niezawodny czasomierz; wypróżniwszy dzban do baryłki i puściwszy w ruch aparat zgęszczający, kładłem się znowu. Te regularne przerwy w śnie sprawiały mi o wiele mniej przykrości, niżeli pierwotnie przypuszczałem; kiedym zaś w końcu wstał już na dobre, była godzina siódma i Słońce jaśniało wysoko nad linią mojego widnokręgu.

*3 kwietnia.* Zauważyłem, że balon znajduje się na niesłychanej wysokości i że wypukłość Ziemi zaznaczyła się wreszcie z ogromną wyrazistością. Pode mną na oceanie widnieją kępy czarnych plamek; są to niezawodnie wyspy. Nade mną niebo czarne jak smoła, rozmigotane od najdokładniej widocznych gwiazd; wygląd ich w niczym się nie zmienił od pierwszego dnia mojego wlotu. Hen ku północy dostrzegłem na skraju widnokręgu jakąś linię czy smugę, ciekawą, białą i nadzwyczaj lśniąca, która od razu wydała mi się południowym krańcem lodozwałów na Północnym Oceanie Lodowatym. Zaciekawienie moje wzmożło się niepomierne, gdyż miałem nadzieję podążyć znacznie dalej ku północy i być może znaleźć się w pewnej chwili tuż nad samym biegunem. Nie mogłem tedy powstrzymać się od ubolewania, iż zawrotna wysokość, na której się znajdowałem, nie pozwoli mi zapewne poczynić tak dokładnych

spostrzeżeń, jakbym tego pragnął. Mimo to niejedno dałoby się jeszcze zauważyć.

Poza tym przez cały dzień nie zaszło nic nadzwyczajnego. Mój aparat spełniał swe zadanie prawidłowo, zaś balon ciągle podążał w górę bez dostrzegalnych wahań. Zimno było przejmujące i zmusiło mnie do przywdziania ciepłego płaszcza. Gdy ciemność zaległa ziemię, udałem się na spoczynek, jakkolwiek jeszcze przez wiele godzin nie opuszczało mnie jasne światło dzienne. Mój zegar hydrauliczny nie zawiódł ani razu pokładanych w nim nadziei, więc spałem aż do rana znakomicie, z wyjątkiem koniecznych cogodzinnych przerw.

*4 kwietnia.* Wstałem, zdrów na duchu i na ciele, i byłem zdumiony szczególniejszą zmianą, jaka zaszła w wyglądzie morza. Postradało ono w znacznej mierze głęboki nalot błękitu, który je dotychczas powlekał, i przybrało odcień białawoszary o połysku, co zrywał oczy. Wypukłość oceanu uwydatniała się z taką mocą, iż wszystek ogrom dalekich jego wód zdawał się przelewać błyskawicznie w otchłań widnokręgu i byłem niemal gotów wspiąć się na palcach i nastawić ucha, by posłuchać ech dolatujących od potężnego wodogrzmotu. Wysp już nie było widać i nie umiem powiedzieć, czy przesunęły się poza widnokrąg ku południowemu wschodowi, czy też stało się to za sprawą wciąż zawrotniejszej wysokości, iż straciłem je z oczu. Mimo wszystko byłem skłonny przypuszczać raczej to ostatnie. Smuga lodowa od strony północnej wyrzynała się coraz wyraźniej. Ziąb znacznie złagodniał. Nie zaszło nic ważniejszego. Spędziłem cały dzień na czytaniu, gdyż nie zaniedbałem zaopatrzyć się w książki.

*5 kwietnia.* Byłem świadkiem szczególniejszego zjawiska: oto Słońce już weszło, a niemal cała widzialna powierzchnia Ziemi wciąż jeszcze nurzała się w ciemności. Wnet wszakże jęły blaski roztaczać się wokół i znów ujrzałem lodową smugę od strony północnej. Zaznaczała się teraz bardzo wyraziście i mieniła się barwą znacznie ciemniejszą niż wody oceanu. Zbliżałem się widocznie ku niej z wielką chyżością. Zdawało mi się, iż dostrzegałem skrawek lądu od wschodu i takież sam od zachodu,

wszelako nie byłem pewny. Temperatura umiarkowana. Ważniejszych zdarzeń dnia tego nie było. Poszedłem wcześniej spać.

*6 kwietnia.* Zdumiałem się, ujrzawszy smugę lodową w bardzo nieznaczonej odległości, a tuż za nią niezmiernie przestwory lodowe, rozkolone hen aż po widnokrąg od strony północnej. Nie ulegało już wątpliwości, iż o ile balon zachowa dotychczasowy kierunek, będę unosił się wkrótce nad Oceanem Lodowatym i wreszcie ujrzę biegun. Przez cały dzień podążałem coraz bliżej ku lodom. Pod wieczór rubieże mojego widnokładu rozprzestrzeniły się z nagłą i widocznie; pochodziło to prawdopodobnie stąd, iż Ziemia ma kształt spłaszczonego sferoidu, ja zaś zdążyłem dotrzeć w okolicę tego spłaszczenia, znajdującą się w pobliżu koła podbiegunowego. Kiedy wreszcie ciemność mnie ogarnęła, udałem się na spoczynek z wielką obawą, iż mogę minąć przedmiot tak bardzo zajmujący i postradam sposobność przyjrzenia się mu dokładniej.

*7 kwietnia.* Wstałem wcześniej i ku niewymownej swej radości dostrzegłem w końcu to, co bez wahania narzuciło się memu pojęciu jako rzeczywisty Biegun Północny. Niewątpliwie był to biegun i znajdował się wprost pod moimi stopami; ale niestety, unosiłem się już tak wysoko, iż nie mogłem niczego widzieć dokładnie. Jakoż sądząc z postępu liczb, wskazujących różnicę moich wzniesień w stosunku do różnicy czasokresów między godziną szóstą po południu dnia drugiego kwietnia a godziną ósmą minut czterdzieści wieczorem tego samego dnia (kiedy barometr opadł na dół) – można było ze wszelkim prawdopodobieństwem przypuszczać, iż w chwili obecnej, to znaczy o godzinie czwartej rano dnia siódmego kwietnia, balon wzbił się do wysokości na pewno nie mniejszej niż 7254 mil ponad powierzchnię morza. Wzniesienie to może się wydać czymś niesłychanym, wszelako obliczenie, na którym ono się opiera, dało niezawodnie wynik o wiele niższy od rzeczywistego. To pewna, iż miałem przed oczami całkowitą większą średnicę Ziemi; cała półkula północna leżała pode mną niby mapa w rzucie pionowym, zaś wielkie koło równikowe tworzyło rubież mojego widnokładu. Wasze Ekscelencje pojmy chyba z łatwością, iż połączenie dotychczas niezbadane, a zamknięte w okręgu koła biegunowego, jakkolwiek znajdowały się wprost pode mną i

mogły być przeto widziane pozornie bez skrótu, były mimo to zbyt pomniejszone i od punktu widzenia zbyt odległe, iżbym mógł być dokonać jakichkolwiek dokładniejszych badań. Bądź co bądź to, co można było zobaczyć, przedstawiało się nadzwyczaj zajmująco i osobliwie. Na północ od owej potężnej zawory, o której już wspomniałem, a która, z niejakimi zastrzeżeniami, stanowi granicę ludzkich odkryć w tych stronach, rozpościera się nieprzerwana lub niemal nieprzerwana skorupa lodowa. Od samego prawie skraju powierzchnia jej obniża się bardzo wyraźnie, dalej przechodzi w płaszczyznę, a wreszcie, tworząc wcale znaczne zagłębienie, kończy się u samego bieguna kolistym ośrodkiem, ostro zakreślonym, którego średnica widoczna przebiegała w stosunku do balonu pod kątem sześćdziesięciu pięciu sekund. Ośrodek ten był barwy ciemnej o zmiennym natężeniu, wszelako stale ciemniejszej od każdego innego punktu zaznaczającego się na półkuli; niekiedy barwa ta pogłębiała się do zupełnej czerni. Poza tym niewiele dawało się rozróżnić. Około dwunastej kolisty ośrodek zmniejszył się widocznie, zaś około siódmej po południu straciłem go zupełnie z oczu, gdyż balon przepłynął ponad zachodnim krańcem lodów i zdążył pośpiesznie ku równikowi.

*8 kwietnia.* Stwierdziłem znaczne zmniejszenie się widocznej średnicy Ziemi, której wygląd i barwa na ogół wielce się zmieniły. Cała powierzchnia dostrzegalna tęczała odcieniami bladej żółcizny, zaś tu i ówdzie nabierała połysku, wprost przykrego dla oczu. Niemałą również dla badań moich przeszkodą była gęsta atmosfera osłaniająca powierzchnię i przetkana zwałami obłoków, które tylko od czasu do czasu pozwalały mi ujrzeć skrawek Ziemi. Ta trudność niezamąconego patrzenia już od czterdziestu ośmiu godzin dawała mi się mniej lub więcej we znaki; wszelako niesłychana wysokość, na której obecnie się znajdowałem, przybliżała jeszcze lotne ogromy wyziewów, zaś owa niedogodność musiała stawać się oczywiście coraz dotkliwsza w miarę dalszego mojego wzlotu. Bądź co bądź zdołałem zauważyć bez trudu, iż balon unosi się nad wielkimi jeziorami Ameryki Północnej i że zmierza wprost na południe, dzięki czemu mogłem znaleźć się wkrótce w okolicach podzwrotnikowych. Okoliczność ta sprawiła mi niemałe



zadowolenie i powitałem ją jako zapowiedź ostatecznego powodzenia. Kierunek, w którym poprzednio podążałem, napełniał mnie niepokojem, było bowiem rzeczą oczywistą, iż gdyby nie miał ulec zmianie, nie mógłbym myśleć o wylądowaniu na Księżycu, którego orbita nachyla się do ekliptyki zaledwie pod niewielkim kątem  $5^{\circ}8'48''$ . Aczkolwiek wyda się to czymś niepojętym, muszę wyznać, iż dopiero w ostatniej chwili jałem pojmować, jak wielkiego dopuściłem się błędu, nie wybierając do odlotu takiego miejsca na Ziemi, które by leżało w płaszczyźnie elipsy księżycowej.

*9 kwietnia.* Średnica Ziemi ogromnie dziś się zmniejszyła, a żółta barwa jej powierzchni pogłębiała się z godziny na godzinę. Balon podążał nieustannie na południe i o godzinie dziewiątej wieczorem znajdował się nad północnym krańcem Zatoki Meksykańskiej.

*10 kwietnia.* Dziś około godziny piątej rano obudził mnie ze snu donośny i straszliwy trzask, z którego żadną miarą nie umiem zdać sobie sprawy. Trwał bardzo krótko i nie był podobny do żadnego zgiełku, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć na Ziemi. Nie potrzebuję chyba dodawać, iż zaniepokoiłem się niepomiernie, mniemając w pierwszej chwili, że trzask ten jest zwiastunem pęknięcia balonu. Zbadałem tedy z największą dokładnością wszystkie me aparaty, lecz nie zdołałem odkryć żadnego uszkodzenia. Spędziłem znacznie większą część dnia na rozważaniu tego osobliwszego zdarzenia, lecz mimo to nie zdołałem pojąć, czemu je należy przypisać. Udałem się na spoczynek wielce strapiony, pełen obawy i zaniepokojenia.

*11 kwietnia.* Stwierdziłem niesłychane zmniejszenie się widocznej średnicy ziemskiej, a natomiast znaczne i po raz pierwszy dostrzegalne zwiększenie się średnicy Księżyca, którego pełnia miała nastąpić za kilka dni. Potrzeba było długiej i uciążliwej pracy, zanim powiodło mi się uzyskać w komorze dostateczne zgęszczenie powietrza atmosferycznego, niezbędnego do oddychania.

*12 kwietnia.* W kierunku lotu balonu nastąpiła osobliwsza zmiana; przewidywałem ją wprawdzie od dawna, lecz mimo to sprawiła mi nieporównaną radość. Dotarłszy mniej więcej do dwudziestego

równoleżnika szerokości południowej, zwrócił się on nagle pod kątem ostrym ku wschodowi i podążał tak przez cały dzień, pozostając stale w płaszczyźnie elipsy księżycowej. Godzi się zauważyć, iż ta zmiana kierunku wywołała wyraźne wahania kosza, które dawały się odczuwać w mniejszym lub większym stopniu przez kilka godzin.

*13 kwietnia.* Zaniepokoiło mnie znów wielce powtórzenie się owego donośnego trzasku, który przeraził mnie po raz pierwszy dziesiątego bm. Zastanawiałem się długo nad nim, lecz nie zdołałem znaleźć zadowalającego rozwiązania. Widoczna średnica Ziemi zmniejsza się pośpiesznie; w stosunku do balonu przebiega ona pod kątem zaledwie nieco większym od dwudziestu pięciu stopni. Księżyc nie widziałem wcale, gdyż znajduje się on niemal u mego zenitu. Podążałem wciąż w płaszczyźnie elipsy, lecz przesunąłem się nieco ku wschodowi.

*14 kwietnia.* Nadzwyczaj pośpieszne zmniejszanie się średnicy ziemskiej. Doznałem dziś silnego wrażenia na myśl, iż balon podąża obecnie po linii apsyd, zmierzając ku perigeum – czyli innymi słowy, iż bieży w kierunku, który doprowadzi go wprost do Księżyca w części jego orbity położonej najbliżej Ziemi. Księżyc znajdował się bezpośrednio nad moją głową, był więc dla mnie niewidoczny. Znojna i długa praca nad odpowiednim zgęszczeniem atmosfery.

*15 kwietnia.* Nawet zarysów lądów i mórz na kuli ziemskiej już niepodobna było rozróżnić dokładnie. Około południa usłyszałem po raz trzeci ów przeraźliwy łoskot, który wprawiał mnie w osłupienie poprzednio. Wszelako tym razem trwał dłużej i wzmagał się w miarę trwania. W końcu, kiedy struchlały i znieruchomiały oczekiwałem, sam nie wiem jak potwornego zniszczenia, kosz zakołysał się z niesłychaną siłą i gigantyczna, płomienista bryła jakiegoś materiału, którego nie zdążyłem rozróżnić, z rozhukiem tysiąca gromów, rycząc i wirując, przeleciała obok balonu. Gdy zdołałem ochłonąć nieco ze zdumienia i grozy, doszedłem z łatwością do wniosku, iż był to zapewne potężny odłam wulkaniczny, wyrzucony ze świata, do którego z takim pośpiechem się zbliżałem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa złom ów należało zaliczyć do owych szczególniejszych głazów, które niekiedy bywają

znajdowane na ziemi i w braku dokładniejszego określenia noszą nazwę aerolitów.

*16 kwietnia.* Kolejno spoglądając dziś w górę przez oba boczne okna, dostrzegłem z niemałą uciechą malutki skrawek kręgu księżycowego, wystający po obu stronach spoza ogromnej bani balonu. Ogarnęło mnie niewysłowione wzruszenie, nie ulegało już bowiem najmniejszej wątpliwości, iż moja niebezpieczna podróż wkrótce się zakończy. Praca przy aparacie zgęszczającym wzmogła się do ostatecznych granic i nie pozwalała mi wcale na wypoczynek. O śnie niemal nie było mowy. Zaniemogłem i jałem drżeć na całym ciele z wyczerpania. Było niepodobieństwem, żeby natura ludzka mogła podolać dłużej takiemu ogromowi cierpienia. Podczas krótkich już teraz ciemności nocnych znów jakiś aerolit przeleciał obok mnie. Częstość tych zjawisk poczyna mnie mocno niepokoić.

*17 kwietnia.* Dzisiejszy ranek miał dla mej podróży znaczenie epokowe. Trzeba pamiętać, iż trzynastego bm. Ziemia w stosunku do balonu rozpościerała się pod kątem dwudziestu pięciu stopni. Czternastego nastąpiło znaczne zmniejszenie, które piętnastego jeszcze się wzmogło, zaś nocą szesnastego kwietnia kąt ów wynosił zaledwie około  $7^{\circ}15'$ . Jakież zatem było me osłupienie, gdy ocknąwszy się siedemnastego rano z krótkiej i niespokojnej drzemki, spostrzegłem, iż powierzchnia globu, rozpostarta pode mną, tak nagle i tak cudacznie powiększyła swą objętość, że widoczna jej średnica nachylała się pod kątem co najmniej trzydziestu dziewięciu stopni! Byłem spiorunowany! Nie ma po prostu słów na wyrażenie ostatecznej, bezgranicznej grozy i zdumienia, które mną owładnęły, przemogły mnie i pognębiły. Kolana ugięły się pode mną – zęby szczękały – włosy się zjeżyły. „A zatem balon pękł?!” Oto pierwsze moje myśli, które zakłębiły mi się bezładnie w mózgu: „Balon istotnie pękł! Spadałem, spadałem z zawrotną, niesłychaną chyżością! Sądząc po niezmierzonej wysokości, do której zdążyłem wlecieć tak snadnie, za dziesięć minut runę na Ziemię i pograżę się w unicestwieniu!”. Atoli rozwaga przyszła mi w końcu z pomocą. Zatrzymałem się; zamyśliłem; jałem wątpić. To było niemożliwe.

Nie mogłem żadną miarą tak rychło się obniżyć. Ponadto jakkolwiek zbliżałem się śpiesznie do powierzchni widniejącej pode mną, rzeczywistość ma chyżość była najzupełniej niewspółmierna z szybkością, która zrazu mi się uroiła. Te rozważania uśmierzyły znaczne wzburzenie mojego umysłu i ostatecznie zdołałem spojrzeć na to zjawisko z właściwego punktu widzenia. Widocznie przerażenie przyprawiło mnie o utratę przytomności, iż nie mogłem dojrzeć ogromnej różnicy, jaka zachodziła w wyglądzie między rozpostartą pode mną powierzchnią a rodzinną mą Ziemią. Znajdowała się ona wysoko, nad moją głową, zasłonięta przez balon – natomiast pode mną, u moich stóp, widniał Księżyc, Księżyc w chwale swojego przepychu!

Odurzenie i zdumienie wywołane niesłychaną zmianą stanu rzeczy było snadź w rzędzie mych przygód tym epizodem, który nadaje się do wyjaśnień. Bowiem to *bouleversement*<sup>5</sup> było nie tylko czymś naturalnym i nieuniknionym, lecz także od dawna oczekiwanym jako okoliczność, która była przewidywana w punkcie zwrotnym mojej podróży, mianowicie w tej chwili, kiedy przyciąganie planety ulegnie przyciąganiu satelity – czyli, wyrażając się ściślej, kiedy ciężenie balonu ku Ziemi stanie się słabsze od tegoż ciężenia ku Księżycowi. To pewna, iż ocknąłem się z głębokiego snu i mając zmysły jeszcze w zupełnym nieładzie, jałem zastanawiać się nad osłupiającym zjawiskiem, wprawdzie oczekiwanym, lecz nieoczekiwanym w tej chwili. Przewrót sam dokonał się zapewne z lekka i stopniowo i bynajmniej nie wmawiam w siebie, jakobym obudziwszy się we właściwej porze, mógł być zauważyć jakiś wewnętrzny objaw odwrócenia – to znaczy, jakieś zaburzenie czy niedogodność bądź to w samym sobie, bądź też w mych przyrządach.

Nie potrzebuję chyba nadmienić, iż skoro tylko zdążyłem zdać sobie sprawę z mojego położenia i ochłonąć z lęku, co obezwładnił wszystkie władze mej duszy, cała moja uwaga skupiła się przede wszystkim na ogólnym wyglądzie Księżyca. Roztaczał się pode mną na kształt mapy – i aczkolwiek w mym mniemaniu znajdował się jeszcze we wcale znacznej oddali, nierówności jego powierzchni uwydatniały się w mych oczach z osobliwszą i wprost niepojętą wyrazistością. Najznamienniejszą

właściwością jego budowy geologicznej – właściwością, która zwróciła od razu moją uwagę – była zupełna nieobecność oceanów, mórz, jezior, rzek lub jakichkolwiek innych wodozbiorów. Mimo to, ku niemałemu swemu zdziwieniu, widziałem rozległe połacie płaszczyzn o charakterze wybitnie napływowym, aczkolwiek przeważająca część półkuli widzialnej jeżyła się od niezliczonego mnóstwa gór wulkanicznych stożkowatego kształtu, wyglądających raczej na wyniosłości sztuczne niż naturalne. Najwyższa pomiędzy nich nie przekraczała trzech i trzech czwartych mili wzniesienia pionowego; wszelako mapa wulkanicznej połaci Campi Phlegraei może dać Waszym Ekscelencjom lepsze pojęcie o ogólnym ich ukształtowaniu, niżeli jakikolwiek nieudolny opis, na który mógłbym się zdobyć. Przeważająca część tych wulkanów znajdowała się w stanie czynnym i dawała mi straszliwie uczuć swe opętanie i potęgę, ziejąc nieustannie głazami, które noszą niewłaściwą nazwę meteorytów; głazy te, miotane obecnie z dołu ku górze, przelatowały coraz częściej obok balonu, napełniając mnie trwogą.

*18 kwietnia.* Dzień dzisiejszy był dniem olbrzymiego powiększenia księżycowej bryły – a wzmagające się przyśpieszenie mojego obniżania się jęło wielce mnie niepokoić. Uważam za właściwe przypomnieć, iż w najwcześniejszym okresie moich rozmyślań o możliwości podróży na Księżyc liczyłem się wielce z istnieniem okalającej go atmosfery, której gęstość miałaby pozostawać w prostym stosunku do rozmiarów planety; liczyłem się z nią wbrew wielu teoriom sprzecznym i, trzeba dodać, wbrew powszechnej niewierze w istnienie jakiegokolwiek księżycowej atmosfery. Atoli w łączności z tym, co już nadmieniałem o komecie Enckego i o świetle zodiakalnym, utwierdziły mnie jeszcze w mych poglądach niektóre spostrzeżenia Schroetera von Lilienthal. Czynił on swe spostrzeżenia nad Księżycem, nieliczącym więcej niż półtrzecia dnia, wieczorem, zaraz po zachodzie Słońca, zanim ciemna jego część nie stała się widoczna, i nie spuszczał go z oka aż do chwili, kiedy stawała się widoczna. Oba poroża zdawały się wybiegać w nader ostre, nikłe przedłużenia, których krańce mgiły się już mdłą poświatą słonecznych promieni, zanim którakolwiek część ciemnej półkuli zdążyła się ukazać.

Wnet potem cały ciemny rąbek jawił się w świetle. Te przedłużenia poroży poza sierpem wedle mojego mniemania musiały pochodzić od załamania się promieni słonecznych w atmosferze księżycowej. Obliczyłem również, iż grubość atmosfery (która mogła załamywać dość światła w swej ciemnej półkuli, by wytwarzać pomrok świetlistszy niżli światło załamane przez Ziemię, kiedy Księżyc znajduje się około 32 stopni od nowiu) wynosi 1356 stóp paryskich; mając to na względzie, przypuszczałem, iż największa grubość zdolna załamywać promienie słoneczne mierzy 5376 stóp. Moje poglądy na tę sprawę znajdowały również potwierdzenie w pewnym ustępie osiemdziesiątego drugiego tomu Rozpraw filozoficznych, gdzie jest powiedziane, iż kiedy następuje zakrycie satelitów Jowisza, trzeci z nich znika po jednej lub dwu sekundach przymglenia, czwarty zaś staje się niewidoczny w pobliżu krawędzi<sup>6</sup>.

Od oporu albo, inaczej się wyrażając, od współdziałania atmosfery istniejącej w urojonym przeze mnie stanie gęstości zależało zatem całkowicie bezpieczeństwo mojego wylądowania. Gdyby jednak mimo wszystko miało się okazać, iż byłem w błędzie, musiałbym oczekiwać na zakończenie mych przygód, że roztrzaskam się na miazgę o chropawą powierzchnię satelity. Jakoż miałem obecnie wszelkie do obaw tych powody. Oddalenie moje od Księżyca było nieznaczące, a tymczasem praca przy aparacie zgęszczającym bynajmniej się nie zmniejszała i nie mogłem dostrzec żadnych oznak zwiastujących zmniejszone rozrzedzenie powietrza.

*19 kwietnia.* Dziś około godziny dziewiątej rano, kiedy Księżyc znajdował się już straszliwie blisko, a me troski wzmogły się niepomierne, pompa aparatu zgęszczającego ku niewysłowionej mej radości zaznaczyła wreszcie zmianę w atmosferze. Około dziesiątej miałem wszelkie powody do przypuszczeń, że jej gęstość znacznie się zwiększyła. O jedenastej aparat już wymagał bardzo niewiele pracy, zaś o dwunastej odważyłem się z niejakim wahaniem odśrubować zwornik i przekonawszy się, że nie miało to ujemnych następstw, rozwarłem w końcu komorę kauczukową i zdjąłem ją z kosza. Jak można się było

spodziewać, natychmiastowe kurcze, połączone ze straszliwym bólem głowy, wykazały mi niedorzeczność i szkodliwość tego pośpiechu. Atoli te i tym podobne niedomagania, wynikające przede wszystkim z zaburzeń w oddychaniu, nie były tak wielkie, by miały zagrażać memu życiu. Postanowiłem tedy znosić je w miarę możliwości, spodziewając się, iż ustaną, skoro tylko zbliżę się do gęstszych warstw przylegających do Księżyca. Zbliżanie to odbywało się wciąż jeszcze z niesłychanym rozpędem i wnet nabrałem niepokojącej pewności, iż gęstość atmosfery będzie prawdopodobnie odpowiadała objętości satelity, lecz że byłem w błędzie, przypuszczając, jakoby gęstość ta, chociażby tuż przy samej powierzchni, mogła sprostać wielkiemu ciężarowi, zawartemu w koszu mojego balonu. Tak wprawdzie być by powinno, i to w tym samym stopniu co na powierzchni Ziemi, o ile się przyjmie, iż na jednej i drugiej planecie ciężar ciał pozostaje w prostym stosunku do zgęszczenia atmosferycznego. Tak jednakże nie było, czego dostatecznym dowodem był mój zawrotny spadek. Dlaczego zaś nie było? Na to pytanie tylko pośrednią można by dać odpowiedź, powołując się na możliwość owych zaburzeń geologicznych, o których już nadmieniłem. To pewna, iż znajdowałem się nad planetą i zlatywałem z przerażającym rozmachem. Nie tracąc ani chwili, wyrzuciłem najpierw wszystek mój balast, potem baryłki z wodą, aparat zgęszczający, komorę kauczukową, a wreszcie wszystkie inne przedmioty zawarte jeszcze w koszu. Wszelako nie przydało się to na nic. Wciąż spadałem z niesłychaną chyżością; od powierzchni dzieliło mnie zaledwie jakie pół mili. Pozbywszy się kolejno płaszcza, butów i kapelusza, uciekłem się wreszcie do ostateczności: oto odciąłem nawet kosz, który miał niepoślednią wagę, i uczepiwszy się obiema rękami sieci, zaledwie zdążyłem zauważyć, iż cały kraj pode mną, jak okiem zasięgnąć, gęsto był pokryty malutkimi zabudowaniami. W ten sposób runąłem w sam środek jakiegoś fantastycznego miasta, w nieprzejrzaną cizbę małych, brzydkich potworków, z których żaden nie wyrzekł ni słowa i nie zadał sobie trudu, by przyjść mi z pomocą, lecz z założonymi rękami stał jak skończony idiota, szczerząc głupkowato zęby i spoglądając spode łba na mnie i na mój balon. Odwróciłem się od nich z

pogardą i pierzchając spojrzeniem hen ku Ziemi, którą opuściłem, i być może opuściłem na zawsze, zauważyłem, iż ma ona wygląd ogromnego, posępnego, miedzianego kręgu o średnicy dwu stopni, zawieszzonego nieruchomo w otchłani niebios i obrzeżonego na jednym skraju sierpem świetlistego złota. Łądów i mórz nie było ani śladu; na tarczy majaczyły jakby jakieś plamy, a opasywały ją smugi równika i zwrotników.

Tak więc, za pozwoleniem Waszych Eksceleńcji, po całym mnóstwie niewysłowionych obaw, niesłychanych niebezpieczeństw i cudownych ocalań powiodło mi się wreszcie dziewiętnastego dnia po mym odlocie z Rotterdamu zakończyć szczęśliwie mą podróż, niewątpliwie najosobliwszą i najpamiętniejszą, jaką kiedykolwiek obmyślił, przedsięwziął i wykonał zwyczajny mieszkaniec kuli ziemskiej. Wszelako pozostaje mi jeszcze zdać sprawę z moich przygód. Wasze Eksceleńcje pojmą chyba z łatwością, iż po pięcioletnim pobycie na planecie, niezwykle zajmującej ze względu na swe szczególniejsze właściwości, lecz dwakroć jeszcze ciekawszej z uwagi na ścisłą łączność, jaka istnieje między nią a światem zamieszkałym przez ludzi – mógłbym powierzyć poufnie Państwowemu Kolegium Astronomów tajemnice nierównie ważniejsze niżeli szczegóły – co prawda, wprost zdumiewające – samej tylko podróży odbytej z takim powodzeniem. Tak też jest istotnie. Mam wiele, bardzo wiele do powiedzenia i uczyniłbym to z największą radością. Poczyniłem wiele spostrzeżeń nad klimatem planety; nad szczególniejszą zmiennością zimna i ciepła; nad nieuskromionym i płomienistym skwarem słonecznym, który trwa przez dwa tygodnie, po czym z kolei ustępuje miejsca dwutygodniowym mrozom, silniejszym niżeli zimna podbiegunowe; nad nieustannym przenoszeniem wilgoci za pomocą destylacji, podobnie jak w próżni, z punktu położonego tuż pod Słońcem do punktu najbardziej odeń odległego; nad zmienną strefą bieżącej wody; nad mieszkańcami; nad ich zwyczajami, obyczajami i ustrojem politycznym; nad osobliwszą budową ich ciała; nad ich brzydotą; nad brakiem u nich uszu, które są zbytecznym narządem w atmosferze tak bardzo odmiennej; nad wynikającą stąd nieznaną mową, jej właściwością i jej użytku; nad ich szczególniejszym sposobem



porozumiewania się między sobą, zastępującym mowę; nad niedocieczoną łącznością między każdą jednostką ludzką z Księżyca a takąż samą jednostką z Ziemi – łącznością, która wykazuje takie podobieństwo i zależność wzajemną, jakie istnieją między kręgiem planety i kręgiem satelity, i zarazem jest przyczyną, że żywoty i przeznaczenia mieszkańców Ziemi splatają się z żywotami i przeznaczeniami mieszkańców Księżyca; przede wszystkim zaś, jeśli Wasze Ekscelencje pozwolą – przede wszystkim nad owymi posępnymi i ohydnyimi tajemnicami, które odbywają się na zewnętrznej półkuli Księżyca – półkuli, która dzięki czarodziejskiej niemal zbieżności obrotu satelity dokoła swej osi z jego obrotem syderecznym dokoła Ziemi nie odwróciła się jeszcze ku nam dotychczas i – da Bóg – nie odwróci się nigdy, by mogły ją zbadać teleskopy ludzkie. To wszystko i jeszcze więcej – znacznie więcej – pragnąłbym jak najrychlej podać do wiadomości. Wszelako, by sprawy dłużej nie przewlekać, domagam się nagrody. Pragnąłbym jak najrychlej powrócić do mej rodziny i mego domu. Otóż w zamian za dalsze wiadomości, którymi rozporządzam, a które mogą rozwidnić nadzwyczaj ważne dziedziny wiedzy fizycznej i metafizycznej, musiałbym uzyskać za staraniem Waszego Czcigodnego Kolegium przebaczenie zbrodni. Dopuszciliem się jej, przyprawiając o śmierć moich wierzycieli, kiedy wyruszałem z Rotterdamu. Taki jest zatem cel niniejszego listu. Doręczy go pozyskany przeze mnie mieszkaniec Księżyca, któremu udzieliłem odpowiednich wskazówek, w jaki sposób ma wywiązać się ze swego posłannictwa na Ziemię. Będzie on oczekiwał łaskowości Waszych Ekscelencji i zabierze ze sobą owo przebaczenie, jeżeli uda się je otrzymać.

Mam zaszczyt pozostać najniższym sługą Waszych Ekscelencji  
HANS PFAALL”

Ukończywszy czytanie tego nadzwyczaj osobliwego pisma, profesor Rubadub opuścił – jak powiadają – z nadmiaru zdumienia fajkę na ziemię, zaś Mynheer Superbus van Underduk zdjął okulary, przetarł je, włożył do kieszeni i tak dalece zapomniał o swej osobie i swej godności, iż

okręcił się trzy razy na pięcie, dając w ten sposób wyraz swemu osłupieniu i podziwowi. Nie było najmniejszej wątpliwości, iż przebaczenie da się uzyskać. Tak przynajmniej zaklinał się na całe gardło profesor Rubadub i tak też myślał dostojny van Underduk, który wzięwszy pod ramię swego uczonego przyjaciela, szedł w milczeniu ku domowi, by rozważyć i poczynić odpowiednie zarządzenia. Kiedy jednak stanęli u drzwi mieszkania burmistrza, profesor zdobył się na uwagę, iż przebaczenie nie przyda się na nic, skoro posłaniec uznał za właściwe drapnąć – widocznie przerażony śmiertelnie srogim wyglądem obywateli rotterdamkich – nikt zaś inny prócz przybysza z Księżyca nie zechce się podjąć tak dalekiej podróży. Burmistrz przychylił się do słuszności tego spostrzeżenia i sprawa na tym się zakończyła. Inaczej atoli było z domysłami i pogłoskami. Kiedy list ogłoszono, rozpętało się mnóstwo plotek. Byli tacy mądrale, którzy się ośmieszyli, utrzymując, że cała ta przygoda była tylko bujdą. Wszelako, jak sędzę, bujdą dla ludzi tego rodzaju jest wszystko, co nie mieści się w granicach ich pojmowania. Wprost nie rozumiem, na jakich danych opierali to oskarżenie. Zastanówmy się więc nad tym, co mówią:

Po pierwsze, iż pewne sowizdrzały rotterdamkie mają pewne, określone niechęci do pewnych burmistrzów i astronomów.

Po wtóre, że pewien cudaczny karzeł, z zawodu kuglarz igrający butelkami, któremu za jakieś przestępstwo odcięto tuż przy samej głowie oboje uszu, znikł przed kilku dniami z sąsiedniego miasta, Brugii.

Po trzecie, że dzienniki, którymi oklejono całkowicie mały balon, pochodzący z Holandii, nie mogły być zatem sporządzone na Księżycu. Były to brudne gazeciska – bardzo brudne – a drukarz Gluck gotów był przysiąc na swą Biblię, iż były drukowane w Rotterdamie.

Po czwarte, że tego złajdaczzonego pijacznę Hansa Pfaalla w towarzystwie trzech nicponiów zwanych jego wierzycielami widziano nie dawniej jak dwa lub trzy dni temu w pewnej podmiejskiej gospodzie, gdzie pili, wróciwszy właśnie z jakiejś zamorskiej wyprawy, sownie zaopatrzeni w pieniądze.

Po ostatnie, że wedle opinii powszechnie przyjętej lub przynajmniej takiej, która powinna być powszechnie przyjęta, Kolegium Astronomiczne w mieście Rotterdamie, podobnie zresztą jak wszystkie inne podobne kolegia w innych stronach świata – nie wspominając już o kolegiach i astronomach w ogóle – nie jest, by nie rzec więcej, ani odrobinę lepsze, możniejsze i mądrzejsze, niż być powinno.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> Terra firma (łac.) – ląd stały (przyp. red.).

<sup>2</sup> Aides-de-camp (fr.) – adiutanci, pomocnicy (przyp. red.).

<sup>3</sup> Światło zodiakalne jest prawdopodobnie tym, co starożytni zwali Trabes. Emicant Trabes quos docos vocant – Pliniusz, księga II, str. 26 (przyp. aut.).

<sup>4</sup> Już po pierwszym ogłoszeniu „Hansa Pfaalla” drukiem dowiedziałem się, że Mr. Green, jeden ze śmiałków, którzy wsławili się lotem balonem „Nassau”, a za nim późniejsi aeronauci, obalają przypuszczenia Humboldta w tej kwestii i mówią o zmniejszającym się niedomaganiu – w zupełnej zgodności z przedstawioną tutaj teorią (przyp. aut., pominięty przez tłumacza – tłum. red.).

<sup>5</sup> Bouleversement (fr.) – wzburzenie (przyp. red.).

<sup>6</sup> Heweliusz pisze, iż przy zupełnie pogodnym niebie, kiedy bywały widoczne nawet gwiazdy szóstej i siódmej wielkości, zdarzało mu się niejednokrotnie zauważyć, że pomimo tej samej wysokości Księżyca, tej samej odległości od Ziemi oraz tego samego doskonałego teleskopu Księżyc i jego plamy nie zawsze występowały z jednakową wyrazistością. Ze szczegółów tych spostrzeżeń wynika, iż przyczyny tego zjawiska nie należy szukać ani w naszym powietrzu, ani w przyrządzie, ani w Księżycu, ani w oku widza, lecz w czymś (w atmosferze?), co istnieje dokoła Księżyca.

Cassini poczynił spostrzeżenia, że Saturn, Jowisz oraz gwiazdy stałe, w chwili kiedy dokonywało się ich zasłonięcie przez Księżyc, zmieniały kształt kolisty na kształt owalny, natomiast przy innych zasłonięciach

kształty ich wcale nie ulegały zmianie. Można by stąd wnioskować, iż czasami, lecz nie zawsze, spowija Księżyc jakaś gęsta obsłona, w której załamują się promienie gwiazd (przyp. aut.).

# Tysiączna i druga opowieść Szeherezady

Prawda jest bardziej zadziwiająca niż bajka.  
Stare powiedzenie

Niedawno w trakcie przeprowadzania badań dotyczących Wschodu miałem sposobność zaczerpnąć wiedzy z *Powiedznomi jestakczynie*, pracy, która (podobnie jak *Zohar* Simeona Joachidesa) mało komu jest znana, nawet w Europie. Nigdy też, o ile mi wiadomo, nie powołał się na nią żaden Amerykanin – wyjąwszy może tylko autora *Ciekawostek literatury amerykańskiej*. Trafiła mi się więc, jak to już wspomniałem, sposobność przerzucenia kilku stron wyżej cytowanego wybitnego dzieła i niemało byłem zdumiony, odkrywszy, że jakimś przedziwnym sposobem świat literacki, przyjmując za prawdziwą tę wersję, którą podają *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*, pozostawał dotychczas w błędzie co do losu córki wezyra – Szeherezady. Tymczasem zakończenie, które tam znajdujemy, jeśli nawet niezupełnie rozmija się z prawdą w tym, co podaje, ma jednak tę wadę, że nie podaje nam nic więcej.

Jeśli wnikliwy czytelnik pragnie uzyskać wyczerpujące informacje co do tej interesującej kwestii, muszę go odesłać do *Powiedznomi jestakczynie*, lecz tymczasem myślę, że wybaczycie mi, jeśli podam wam w skrócie to, co tam znalazłem.

W potocznie znanej wersji *Opowieści* – jak pamiętamy – pewien władca, mając poważne podstawy do zazdrości, nie tylko skazuje na śmierć swą królową, lecz ślubuje na Proroka i na swą brodę, iż każdej

nocy poślubi najpiękniejszą dziewicę w swym królestwie, a następnego ranka wyda ją w ręce kata.

Przez wiele lat władca ślubowanie to wypełniał co do joty i jego płynące z motywów religijnych skrupulatność i metodyczność zjednały mu wielkie uznanie, jako człowiekowi nabożnemu i obdarzonemu rzadkim rozumem. Pewnego popołudnia odwiedził monarchę (przeszkadzając mu bez wątpienia w jego modlitwach) wielki wezyr, którego córce, jak się zdaje, przyszła do głowy ciekawa myśl.

Szeherezada – takie było jej imię – ułożyła sobie, że albo wyzwoli kraj od wyludniającego haraczu z pięknych dziewczic, albo zginie, usiłując zamiar ten przeprowadzić, tak jak to się dzieje utartym zwyczajem z wszystkimi bohaterkami.

Stosownie do swego planu i mimo że nie był to rok przestępny (co czyni jej ofiarę jeszcze godniejszą uznania), Szeherezada wysłała ojca swego, wielkiego wezyra, aby zaofiarował królowi jej rękę. Rękę tę król przyjął skwapliwie (zamierzał i tak jej zażądać i odkładał tę sprawę z dnia na dzień jedynie ze strachu przed wezyrem), przyjmując ją jednak teraz, bardzo wyraźnie dał do zrozumienia stronie zainteresowanej, że nie ma najmniejszego zamiaru ani na jotę odstąpić od swego ślubowania lub też zrzec się swego przywileju, czy to będzie córka wezyra, czy nie wezyra. Kiedy więc piękna Szeherezada upierała się, że pragnie poślubić króla, i poślubiła go naprawdę mimo doskonałej rady swego ojca, aby nie czyniła nic w tym guście – kiedy, powtarzam, postanowiła go poślubić i uczyniła to, muszę wyznać, chcę czy nie chcę, że pięknymi oczyma widziała tak jasno, na co się decyduje, jak to tylko było możliwe.

Wydaje się jednak, że ta przemyślna panienska (która bez wątpienia studiowała Machiavellego) ułożyła sobie w główce bardzo chytrą małą intrygę. Nie pamiętam już, pod jakim to pozornie istotnym pretekstem zdołała ona przeprowadzić to, że w noc poślubną siostra jej zajęła łóżko stojące blisko łoża pary królewskiej, tak iż Szeherezada mogła swobodnie rozmawiać z nią ze swego posłania. Na krótko przed pianiem kogutów Szeherezada zatroszczyła się, by obudzić dobrego króla – swego męża (który zamierzał wprawdzie skrócić jej kark nadchodzącego ranka, lecz

nie okazywał jej niechęci z tego powodu); zdołała więc go obudzić (choć dobre trawienie i sumienie niczym nie zmacone pozwalały mu spać smacznie) dzięki niezmiernie interesującej opowieści (zdaje się, że była to historyjka o szczurze i czarnym kocie), którą (oczywiście cały czas szeptem) opowiadała swojej siostrze. Tak się złożyło, że opowiadanie to nie zostało całkowicie ukończone, gdy dzień zaświtał, i że z natury rzeczy Szeherezada nie mogła go dokończyć, ponieważ był już czas najwyższy, aby wstała i została uduszona szarfą – co jest prawie tak nieprzyjemne jak powieszenie, tylko że w lepszym tonie.

Ze wstydem muszę przyznać, że ciekawość króla wzięła jednak górę nawet nad jego niezachwianymi religijnymi zasadami i sprawiła, że tym razem odłożył wykonanie ślubowania aż do następnego ranka. Miał bowiem nadzieję, że tej nocy usłyszy, co się ostatecznie stało z czarnym kotem (był to, zdaje się, czarny kot) i ze szczurem.

Ale gdy noc nadeszła, pani Szeherezada nie tylko zakończyła opowiadanie o czarnym kocie i szczurze (szczur był niebieski), lecz zanim sobie dobrze zdała sprawę, do czego zmierza, już głęboko zabrnęła w pełną niezwykłych powikłań opowieść odnoszącą się (o ile mnie pamięć nie myli) do różowego konia (z zielonymi skrzydłami), który poruszał się, i to z niezwykłą szybkością, dzięki mechanizmowi nakręcanemu szafirowym kluczem. Król zainteresował się tym opowiadaniem jeszcze bardziej niż poprzednim i ponieważ dzień zaświtał, zanim królowa zdołała je dokończyć (mimo że starała się ze wszystkich sił zdążyć na czas, by zostać uduszoną), nie było innej rady, tylko odłożyć ceremonię na dwadzieścia cztery godziny, jak poprzednio. Następnej nocy zdarzył się podobny wypadek – z takim samym rezultatem. To samo stało się podczas dalszych nocy. Aż wreszcie dobry monarcha – nieuchronnie pozbawiony wszelkich możliwości wykonania swego ślubu przez całych tysiąc i jedną noc – albo zapomniał o nim całkowicie po upływie tego czasu, albo, jak to się zazwyczaj praktykuje, rozgrzeszył się z niego lub też (co jest prawdopodobniejsze) złamał wręcz swoje ślubowanie, a przy sposobności rozbił łeb swemu ojcu spowiednikowi. W każdym razie Szeherezada, która wywodziła się od Ewy, odziedziczyła po niej może

wszystkie siedem koszyków z gadaniem, znalezionych, jak wiemy, przez tę panią pod drzewami rajskiego ogrodu. Ostatecznie Szeherazada odniosła więc, jak mówią, zwycięstwo i haracz z pięknych dziewic został zniesiony.

Otóż zakończenie tej historii (a takie przekazały nam dokumenty) bez wątpienia jest wysoce przyjemne i właściwe, lecz jak wiele przyjemnych rzeczy – niestety, bardziej przyjemne niż prawdziwe; możliwość sprostowania tego błędu zawdzięczam też całkowicie dziełu *Powiedznomi jestakczynie*. Francuskie przysłowie powiada: „Lepsze jest wrogiem dobrego” i gdy wspomniałem, że Szeherazada odziedziczyła po Ewie siedem koszyków z gadaniem, powinienem był dodać, że oddała je na procent składany, aż rozmnożyły się do siedemdziesięciu i siedmiu sztuk.

– Moja droga siostrze – rzekła Szeherazada w tysięczną i drugą noc (w tym miejscu cytuję *verbatim* słowa *Jestakczynie*) – moja droga siostrze – rzekła – teraz, kiedy ta drobna przykrość, jaką była groźba uduszenia, rozviała się, a ohydny haracz został szczęśliwie zniesiony, czuję ze skruchą, iż popełniłam rzecz lekkomyślną i nierozważną. Zataiłam mianowicie przed tobą i przed królem (który, jak stwierdzam z przykrością, chrapie, czego nie uczyniłby żaden dżentelmen) pełne zakończenie historii Sindbada Żeglarza. Człowiek ten doświadczył o wiele więcej przygód, i to bardziej interesujących niż te, które wam opowiedziałam. Prawdę powiedziawszy, w tę właśnie noc, kiedy o nich mówiłam, byłam bardzo senna i uległam pokusie skrócenia ich; to bardzo niewłaściwy postępek z mej strony i pocieszam się tylko, że Allah mi go wybaczy. Ale nawet i teraz nie jest za późno naprawić me wielkie niedbalstwo; uszczypnę więc tylko króla raz lub dwa, przez co rozbudzi się przynajmniej na tyle, by przestać tak strasznie hałasować, a potem zaraz będę cię bawić (a także i mego małżonka, jeśli będzie miał ochotę) dalszym ciągiem tej niezwykłej historii.

Jak podaje *Jestakczynie*, siostra Szeherazady słysząc to nie okazała szczególnie żywego zadowolenia, za to król po kilku uszczypnięciach przestał wreszcie chrapać i powiedział: „hem”, a potem „ooo”. Wówczas królowa uznała, że słowa te (bez wątpienia arabskie) oznaczają, iż



zamienił się w słuch i uczyni, co tylko w jego mocy, aby więcej nie chrapać, wobec czego – ułożywszy wszystko po swej myśli – bez zwłoki zaczęła ponownie opowiadać o Sindbadzie Żeglarzu.

– Wreszcie na starość (są to słowa samego Sindbada powtórzone przez Szeherezadę), wreszcie na starość, kiedy przeżyłem wiele spokojnych i szczęśliwych lat na ojczystej ziemi, ogarnęło mnie znów przemożne pragnienie odwiedzenia obcych krajów. Pewnego więc dnia związałem w kilka węzełków te z moich towarów, które były najcenniejsze i zajmowały najmniej miejsca, wynająłem tragarza, aby je niósł za mną, i nic nie mówiąc rodzinie o mych zamiarach, udałem się wraz z nim nad brzeg morza, gdzie zamierzałem czekać, czy nie zjawi się przypadkiem okręt i nie wywiezie mnie z tego królestwa do jakichś jeszcze mi nieznanych krain.

Złożyliśmy bagaż na piasku i siedliśmy pod kępą drzew, mierząc wzrokiem ocean w nadziei, że dostrzeżemy jakiś okręt, ale przez kilka godzin zaden się nie pojawił. Wreszcie wydało mi się, że słyszę dziwny, brzęczący czy też buczący dźwięk, a tragarz nasłuchując przez chwilę, stwierdził, że także go słyszy. Wkrótce dźwięk stał się głośniejszy, a potem wzmógł się jeszcze bardziej, tak że nie mieliśmy już wątpliwości, iż przedmiot, który go wydawał, zbliża się ku nam. Na koniec dojrzeliliśmy na skraju horyzontu czarny punkt, który rósł gwałtownie, aż rozpoznaliśmy w nim ogromnego potwora pływającego po morzu, przy czym znaczna część jego cielska sterczała ponad powierzchnią. Zbliżał się ku nam z niewiarygodną szybkością, tnąc piersią wodę i wyrzucając w górę potężne zwały piany. Długa linia ognia sięgającego daleko w przestrzeń oświetlała tę część morza, przez którą przepływał.

Kiedy potwór zbliżył się, ujrzeliśmy go bardzo wyraźnie. Długością dorównywał trzem najwyższym drzewom, a szeroki był jak sala audiencyjna w twym pałacu, o najwyższy i najbardziej szczodry z kalifów. Cielsko jego, nie przypominające zwykłej ryby, twarde było jak skała; ta część, która wznosiła się nad wodą, lśniła czernią, odbijała od niej jedynie czerwona jak krew pręga opasująca cały tułów poczwary. Brzuch bestii znajdował się pod wodą, mogliśmy tylko przelotnie dostrzec, jak błyskał,

gdy potwór unosił się i opadał na morskich bałwanach. Brzuch ten pokrywała metalicznie połyskująca łuska, z barwy podobna do księżyca w lisiej czapce. Grzbiet potwora był płaski i prawie biały; sterczało z niego w górę sześć ostrych kolców, tak długich jak połowa całego cielska.

Ta przerażająca stwora nie miała paszczy, a przynajmniej żadnej nie mogliśmy dostrzec. Za to, jak gdyby chcąc nadrobić ten niedostatek, miała co najmniej czterdzieści par oczu, które wystawały z orbit jak oczy zielonej łątki i umieszczone były w dwóch rzędach wokół całego ciała, jeden nad drugim – równolegle do krwistoczerwonej pręgi, która zdawała się spełniać rolę brwi. Dwoje lub troje z tych straszliwych oczu było o wiele większych od reszty i wyglądało jak zrobione z ciężkiego złota.

Chociaż, jak już powiedziałem, bestia zbliżała się do nas ze straszliwą szybkością, poruszać się musiała wyłącznie za pomocą czarów, ponieważ nie miała ani skrzel jak ryba, ani płetwiastych nóg jak kaczka, ani skrzydeł jak muszla morska pchana naprzód wiatrem podobnie do okrętu; nie poruszała się też, jak to czynią węgorze, skręcając i rozkręcając swe zwoje. Głowa i ogon bestii miały taki sam kształt, z tą tylko różnicą, że niedaleko ogona znajdowały się dwa niewielkie otwory służące potworowi za nozdrza, przez które z zadziwiającą gwałtownością i z przykrym, rozdzierającym uszy hałasem wyrzucał swój gęsty oddech.

Byliśmy bardzo przerażeni, widząc tę ohydłą stworę, ale większe jeszcze od strachu było nasze zdumienie, kiedy przyjrząwszy się bliżej, dostrzegliśmy na jej grzbiecie wielką liczbę zwierząt, z kształtu i wzrostu podobnych do ludzi i ogólnie ich przypominających, gdyby nie to, że nie nosili ubrań jak ludzie, lecz okryci byli (niewątpliwie przez naturę) brzydką i niewygodną powłoką. Podobna ona była do materiału, lecz tak ciasno przylegała do skóry, że aż do śmieszności krępowała nieszczęsne stworzenia w ruchach i najwidoczniej sprawiała im dotkliwy ból. Na czubkach głów mieli coś w rodzaju kwadratowych pudełek, które na pierwszy rzut oka wziąłem za odpowiedniki turbanów, lecz wkrótce odkryłem, że były one niezwykle ciężkie i twarde, i wywnioskowałem z tego, iż wymyślono taki sposób, aby głowy zwierząt utrzymać na karkach w równowadze i bezruchu. Stworzenia te miały szyje opasane czarnymi

obrożami, takimi, na jakich trzymamy nasze psy (bez wątpienia oznakami niewoli), były one jednak o wiele szersze i sztywniejsze, tak że biedacy nie mogli obrócić głów w żadnym kierunku bez obrócenia się jednocześnie całym ciałem. Tak więc skazani byli na ustawiczne przyglądanie się własnym nosom, a były one przerażająco i zadziwiająco krótkie i zadarte.

Gdy potwór niemal dosięgnął wybrzeża, na którym staliśmy, wysunął nagle daleko przed siebie jedno ze swoich oczu i wypuścił z niego straszliwy błysk ognia, któremu towarzyszyła gęsta chmura dymu i łoskot dający się porównać jedynie do grzmotu. Gdy dym się rozwiął, ujrzeliśmy jednego z owych cudaczych zwierzoludów, stojącego blisko głowy wielkiej bestii. Trzymał w ręku trąbę, którą przyłożył do ust, i wkrótce usłyszeliśmy, że zwrócił się do nas chrapliwym, donośnym i przykrym głosem, który może wzięlibyśmy za jakiś język, gdyby nie wydobywał się całkowicie przez nos.

Widząc, że najwyraźniej zwraca się do nas, nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ponieważ w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, co mówił. W tym kłopotcie zwróciłem się do tragarza, który niemal odchodził od przytomności ze strachu, i zapytałem go, czy nie wie, cóż to może być za potwór i jakie stworzenia roją się na jego grzbiecie. Ów odpowiedział mi tak składnie, jak tylko mu na to pozwalało gwałtowne drżenie, że słyisał już przedtem o tym potworze morskim. Jego zdaniem był to okrutny demon o wnętrzościach z ognia, krwi i siarki – stworzony przez złe duchy na to, by sprowadzać nieszczęście na ród ludzki. Tragarz sądził, że stworzenia na grzbiecie potwora były robactwem – takim, jakie obsiada niekiedy psy i koty – tylko trochę większym i bardziej zajadłym. Obecność robactwa miała swój cel, aczkolwiek zły, gryząc bowiem i kęsając potwora, insekty te zadawały mu męki, które doprowadzały go do stanu furii, a wówczas potwór ryczał i popełniał niegodziwe czyny, stając się narzędziem wykonującym mściwe i nikczemne zamiary złych duchów.

Wysłuchawszy tego opowiadania, zdecydowałem się wziąć nogi za pas i nie obejrzawszy się nawet za siebie, pogałem całym pędem, chroniąc się wśród pagórków. Tragarz biegł równie szybko, za to prawie w

przeciwnym kierunku – tym więc sposobem uciekł na dobre z moimi węzłkami, którymi, jestem pewien, czule się zaopiekował, choć nie mogę tego ustalić, ponieważ, o ile pamiętam, nigdy go już więcej nie ujrzałem.

Co do mnie, to chmara tych ludzi-robaków ścigała mnie tak zajadle (przybili do brzegu w łódkach), że wkrótce mnie doścignęli, związali mi ręce i nogi i przywieźli na bestię, która natychmiast odpłynęła znów na środek morza.

Gorzko teraz żałowałem, że byłem tak szalony i opuściłem wygodny dom, by narażać życie w takich przygodach. Ponieważ jednak żal na nic się nie zdał, postanowiłem dostosować się do swej sytuacji, jak mogłem najlepiej, i dołożyłem wszelkich starań, by zapewnić sobie przychyłność zwierzoluda posiadającego trąbę, zdawał się on bowiem sprawować władzę nad swymi towarzyszami. Próba ta powiodła się tak dalece, że w ciągu paru dni zwierzolud okazał mi wiele dowodów swej łaski i wreszcie zadał sobie nawet trud nauczania mnie podstaw tego, co z dostatecznym zarozumiałstwem nazywał swoim językiem. Mogłem wreszcie rozmawiać z nim bez trudności i udało mi się wytłumaczyć mu, jak gorąco pragnąłem zwiedzić świat.

«Ryjek, myjek, kwik, Sindbadzie, hej, hop, hop, burczy, murczy, furczy, bzyk, syk, ćwik – powiedział do mnie jednego dnia po obiedzie – ale przepraszam stokrotnie! zapomniałem, że wasza wysokość nie jest obeznany z językiem Bzykoszczeków<sup>1</sup> (tak nazywały się zwierzoludy: dlatego, przypuszczam, iż język ich był czymś pośrednim między szczekaniem a bzykaniem). Za pozwoleniem waszej wysokości będę to teraz tłumaczył. Ryjek, myjek itd. – znaczy: z przyjemnością stwierdzam, drogi Sindbadzie, że jesteś w istocie pierwszorzędnym kompanem, zamierzamy teraz dokonać czegoś, co zwie się okrążeniem świata, ponieważ zaś tak bardzo pragniesz poznać świat, przekroczę nieco swe uprawnienia i dam ci wolny przejazd na grzbiecie tej bestii».

Kiedy pani Szeherezada doszła do tego punktu swej opowieści, król, jak czytamy w *Jestakczynie*, obrócił się z lewego boku na prawy i rzekł:

– W istocie to bardzo dziwne, moja droga królowo, żeś dotychczas przemilczała te dalsze przygody Sindbada. Czy wiesz, że uważam je za

bardzo zajmujące i niezwykle?

Źródło nasze podaje, że gdy król wypowiedział swe zdanie, piękna Szeherezada podjęła opowieść w następujących słowach:

– Sindbad tak dalej opowiadał: „Podziękowałem zwierzoludowi za jego dobroć i wkrótce zadomowiłem się całkowicie na potworze, który płynął przez ocean ze zdumiewającą szybkością, choć powierzchnia oceanu w tej części świata nie jest bynajmniej płaska, lecz przypomina owoc granatu, tak iż przez cały czas potwór posuwał się naprzód, jakby wspinając się po zboczu wzgórza albo zjeżdżając z niego”.

– Myślę, że to było bardzo niezwykle – przerwał król.

– Lecz mimo to całkiem prawdziwe – odparła Szeherezada.

– Mam co do tego pewne wątpliwości – odrzekł król – lecz proszę, bądź tak dobra i ciągnij dalej opowiadanie.

– Zamierzam tak uczynić – powiedziała królowa. – „Bestia – opowiadał dalej Sindbad kalifowi – płynęła, jak już mówiłem, w górę i w dół, aż wreszcie przybyliśmy do wyspy, która mimo iż miała wieleset mil obwodu, zbudowana została w środku morza przez kolonię stworzeń maleńkich jak gąsienice<sup>2</sup>”.

– Hm! – powiedział król.

– „Opuszczając tę wyspę – rzekł Sindbad (musimy bowiem podkreślić, że Szeherezada nie zwróciła uwagi na niegrzeczny okrzyk jej męża) – przybyliśmy do innej. Na tej lasy były z grubego kamienia i tak twarde, że najostrzejsze siekiery, którymi próbowaliśmy je ścinać, rozlatywały się w kawałki<sup>3</sup>”.

– Hem – powiedział znowu król, ale Szeherezada, nie zwracając na niego uwagi, ciągnęła dalej słowami Sindbada:

– „Minawszy ostatnią wyspę, dojechaliśmy do Kraju, w którym była grota sięgająca na trzydzieści lub czterdzieści mil do wnętrza ziemi. Było w niej więcej wspanialszych i obszerniejszych pałaców, niż można zobaczyć w Damaszku i Bagdadzie. Miriady klejnotów przypominających brylanty, lecz większych niż ludzie, zwisały z dachów tych pałaców, a śród ulic utworzonych przez wieże, piramidy i świątynie płynęły ogromne, czarne jak heban rzeki, rojące się od ryb bez oczu<sup>4</sup>”.

– Hm – powiedział król.

– „Następnie popłynęliśmy w inne okolice morza, gdzie ujrzelśmy wyniosłą górę; z jej boków spływały potoki płynnego metalu, niektóre z nich szerokie na dwanaście mil, a na sześćdziesiąt długie<sup>5</sup>, zaś z czeluści na szczycie wylatywała taka masa popiołu, że zaćmił on zupełnie słońce na niebie i zrobiło się ciemniej niż podczas najciemniejszej nocy. W istocie, było tak ciemno, że gdy znajdowaliśmy się w odległości stu pięćdziesięciu mil od góry, nie mogliśmy dojrzeć najbliższego przedmiotu, nawet trzymając go całkiem blisko oczu<sup>6</sup>”.

– Hm! – powiedział król.

– „Po opuszczeniu tego wybrzeża potwór ciągnął dalej podróż, aż dotarliśmy do kraju, gdzie porządek natury wydawał się odwrócony, ponieważ ujrzelśmy tam jezioro, na którego dnie – głębiej niż sto stóp pod powierzchnią wody – rósł i rozwijał się pokryty zielonym liściem las wysokich i bujnych drzew<sup>7</sup>”.

– Ho, ho – powiedział król.

– „O jakie sto mil dalej dotarliśmy do strefy, w której atmosfera była tak gęsta, że stal lub żelazo mogły utrzymać się w powietrzu, tak jak u nas utrzymują się w powietrzu pióra<sup>8</sup>”.

– Terefer! – powiedział król.

– „Posuwając się wciąż w tym samym kierunku, przybyliśmy w końcu do najwspanialszych okolic w świecie. Na przestrzeni kilku tysięcy mil wiła się tamtędy wspaniała rzeka o niewypowiedzianej głębokości i przejrzystości doskonalszej od bursztynu. Miała trzy do sześciu mil szerokości, a na jej brzegach, wznoszących się pionowo po obu stronach na wysokość tysiąca dwustu stóp, rosły wiecznie kwitnące drzewa i niewiędnące kwiaty o upajającym zapachu, które z całego terenu czyniły jeden przepyszny ogród. Lecz ta bujna, kwitnąca ziemia była królestwem okropności, a zapuszczenie się w głąb tej krainy równało się nieuniknionej śmierci<sup>9</sup>”.

– Fiu! – powiedział król.

– „Opuszciliśmy pośpiesznie to królestwo i po paru dniach przybyliśmy do innego, gdzie ze zdumieniem dostrzegliśmy miriady potwornych

zwierząt z rogami na głowach, przypominającymi kosy. Te wstrętne stworzenia kopią sobie w ziemi przestronne pieczary w kształcie leja i wykładają ich ściany skałami ustawionymi do siebie pod takim kątem, że zapadają się natychmiast, kiedy stąpną na nie z góry inne zwierzęta. W ten sposób wpadają one do jaskini potworów, które natychmiast wysysają z nich krew, a potem z pogardą wyrzucają ich ciała na wielką odległość od pieczar śmierci<sup>10</sup>”.

– Phy – powiedział król.

– „Podróżując dalej, ujrzelśmy kraj obfitujący w rośliny, które nie rosły na ziemi, lecz w powietrzu<sup>11</sup>. Niektóre strzelały w górę z łodyg innych roślin<sup>12</sup>, inne jeszcze ciągnęły pożywienie z ciał żywych zwierząt<sup>13</sup> – a inne znowuż jarzyły się całe intensywnym ogniem<sup>14</sup>. Niektóre poruszały się do woli z miejsca na miejsce<sup>15</sup>, a co jeszcze dziwniejsze, odkryliśmy kwiaty, które żyły, oddychały i poruszały wedle upodobania gałązkami, a poza tym przejawiały ohydłą namiętność, właściwą rodzajowi ludzkiemu, do czynienia innych stworzeń swymi niewolnikami i do zamykania ich w strasznych i odosobnionych więzieniach, dopóki nie wypełnią naznaczonych im zadań<sup>16</sup>”.

– Ba! – powiedział król.

– „Opusciwszy ten kraj, przybyliśmy do innego, w którym ptaki i pszczoły są tak genialnymi i wykształconymi matematykami, że codziennie udzielają mędrcom królestwa wskazówek w nauce geometrii. Monarcha tego kraju obiecał nagrodę za rozwiązanie dwóch bardzo trudnych zadań i oba zostały natychmiast rozwiązane – jedno przez pszczoły, a drugie przez ptaki. Król jednak zachował te wyniki w sekrecie i dopiero po najwnikliwszych badaniach i pracy, po napisaniu w ciągu wielu lat nieskończonej liczby książek matematycy-ludzie doszli wreszcie do tych samych rezultatów, które pszczoły i ptaki podały od razu<sup>17</sup>”.

– A to dopiero! – powiedział król.

– „Ledwieśmy to królestwo stracili z oczu, a już byliśmy przy następnym, z którego brzegów uniosło się i przefrunęło ponad naszymi głowami stado ptaków dwieście czterdzieści mil długie, a na milę szerokie; choć robiły milę na minutę, trwało dłużej niż cztery godziny,

nim wszystkie ptaki przeleciały nad nami, a w stadzie było ich kilka miliardów<sup>18</sup>”.

– Ojej! – powiedział król. .

– „Ledwieśmy się uwolnili od tych ptaków, których przelot bardzo nas zmęczył i znudził, kiedy przeraziło nas ukazanie się innego gatunku ptaka. Był on nieskończenie większy nawet od roka, spotykanego przeze mnie w poprzednich moich podróżach morskich, większy niż największa kopuła na twoim seraju, o najhojniejszy z kalifów. Nie mogliśmy dostrzec, by ptak ten miał głowę, cały był jednym olbrzymim, tłustym, okrągłym brzuchem. Zdawał się zrobiony z miękkiej materii, był gładki, lśniący i pokryty różnokolorowymi pasami. Do swego podniebnego gniazda potwór ten unosił w szponach dom, z którego zerwał dach, a w którego wnętrzu ujrzeliśmy wyraźnie ludzi, pogrążonych niewątpliwie w strasznej rozpacz na myśl o czekającym ich okropnym losie. Krzyczeliśmy z całej mocy w nadziei, że wystraszymy ptaka, a on puści swą zdobycz, lecz parsknął tylko czy prychnął, jakby rozwścieczony, i upuścił na nasze głowy ciężki worek napełniony, jak się okazało, piaskiem”.

– Bzdura! – powiedział król.

– „Wkrótce po tym wydarzeniu natrafiliśmy na ląd olbrzymich rozmiarów i zadziwiająco twardy, który mimo to utrzymywał się w całości na grzbiecie niebieskiej krowy, mającej nie mniej niż czterysta rogów<sup>19</sup>”.

– A, w to mogę uwierzyć – powiedział król – ponieważ czytałem już przedtem w książce coś takiego.

– „Przejechaliśmy tuż pod tym lądem (przeptywając między nogami krowy) i po paru godzinach znaleźliśmy się w naprawdę cudownym kraju, który, jak mnie poinformował zwierzolud, był jego krajem ojczystym, zamieszkiwanym przez istoty tego samego gatunku. Zwierzolud od razu zyskał w moich oczach i prawdę mówiąc, zacząłem nawet odczuwać wstyd, że traktowałem go dotychczas z tak pogardliwą poufałością, odkryłem bowiem, że istoty te tworzyły, ogólnie mówiąc, naród potężnych czarodziejów; mieli oni w mózgach robaki<sup>20</sup>, służące niewątpliwie po to, aby swym wiciem się i skręcaniem zadawać im ból i w ten sposób



pobudzać zwierzoludy do najbardziej zadziwiających wysiłków wyobraźni”.

– Nonsens! – powiedział król.

– „Czarodzieje obłaskawili sobie kilka bardzo dziwnych gatunków zwierząt. Był tam na przykład ogromny koń, w którego żyłach zamiast krwi płynęła wrząca woda, kości zaś miał z żelaza. Zwykłą jego strawę stanowiło nie zboże, lecz czarne kamienie, a jednak mimo tego nędznego pożywienia był tak silny i szybki, że mógł uciągnąć ciężar większy od najwspanialszej świątyni w tym mieście – z szybkością przewyższającą lot wszystkich niemal ptaków<sup>21</sup>”.

– Gadanina! – powiedział król.

– „Wśród ludzi tych widziałem także kureę bez piór, za to większą od wielbłąda. Zamiast mięsa miała cegły, a zamiast kości – żelazo. Podobnie jak koń (z którym w istocie była blisko spokrewniona) miała w żyłach wrzątek zamiast krwi i – tak jak koń – nie jadła nic poza drzewem lub czarnymi kamieniami. Kura ta bardzo często wylęgała po sto kurcząt w ciągu jednego dnia, po wykluciu przebywały one przez kilka tygodni w żołądku matki<sup>22</sup>”.

– Trele morele! – powiedział król.

– „Jeden z potężnych czarodziejów tego kraju stworzył człowieka z mosiądzu, drzewa i skóry i obdarzył go taką przemyślnością, że potrafiłby on pobić w grze w szachy cały rodzaj ludzki z wyjątkiem wielkiego kalifa Harun al Raszyda<sup>23</sup>. Inny z tych magów skonstruował z podobnych materiałów stworzenie, które zawstydzalo nawet genialnego swego stwórcę; miało bowiem tak wielką siłę rozumowania, że w ciągu jednej sekundy wykonywało ogromne obliczenia; pięćdziesiąt tysięcy uczonych z krwi i kości musiałyby pracować zbiorowo przez cały rok, aby tego dokonać<sup>24</sup>. Ale inny, jeszcze bardziej nadzwyczajny czarownik, uformował sobie potężną stworę, niebędącą ani człowiekiem, ani zwierzęciem; miała ona mózg z ołowiu pomieszanego z czarną substancją podobną do smoły i palce, które puszczała w ruch z tak niewiarygodną szybkością i zręcznością, że nie sprawiłoby jej kłopotu napisanie dwudziestu tysięcy egzemplarzy Koranu w ciągu godziny. Czyniła to przy tym z tak

doskonałą precyzją, że wśród wszystkich egzemplarzy nie znaleźlibyśmy ani jednego, który by choć o grubość najcieńszego włosa różnił się od innych. Stwór ten wyposażony był w fantastyczną siłę, tak że mógł jednym tchnieniem wznosić lub obalać najpotężniejsze królestwa; lecz potęgi swej używał w równej mierze dla celów dobrych i złych”.

– Śmieszne! – powiedział król.

– „W tym narodzie czarnoksiężników żył także jeden, w którego żyłach płynęła krew salamandry, siadał bowiem bez wahania w rozpalonym do czerwoności piecu, aby palić turecką fajeczkę, dopóki jego obiad się nie upiekł<sup>25</sup>. Inny z nich miał znowuż talent przemieniania pospolitych metali w złoto, nawet nie patrząc na nie w czasie tej procedury<sup>26</sup>. Inny miał niezwykle wyczulony dotyk i wykonał drucik tak delikatny, iż go wcale nie było widać<sup>27</sup>. Inny jeszcze miał tak niezwykłą zdolność obserwacji, że potrafił policzyć każdy poszczególny ruch ciała sprężystego odchylającego się w tył i naprzód z szybkością dziewięciuset milionów razy na sekundę<sup>28</sup>”.

– Bzdura! – powiedział król.

– „Inny jeszcze z tych czarodziejów potrafił za pomocą fluidu, niedostrzeżonego przez nikogo, sprawić, iż ciała jego zmarłych przyjaciół wymachiwały ramionami, walczyły, wierzgały nogami, a nawet na jego żądanie (jeśli sobie życzył) wstawały i tańczyły<sup>29</sup>. Jeden z tych cudotwórców wykształcił sobie głos do takiego stopnia, że można go było słyszeć z drugiego końca ziemi<sup>30</sup>. Jeden znowuż miał tak długie ramię, że mógł zasiąść w Damaszku, a napisać list w Bagdadzie – czy na jakąkolwiek inną odległość<sup>31</sup>. Inny rozkazał błyskawicy, aby zeszła do niego z nieba, a ona posłuchała jego rozkazu i po zejściu na ziemię służyła mu za zabawkę. Jeden z nich z dwóch głośnych dźwięków wydobyl ciszę. Inny – z dwóch jasnych światel wytworzył głęboką ciemność<sup>32</sup>. Jeden znowuż wytwarzał lód w rozpalonym do czerwoności piecu hutniczym<sup>33</sup>. Inny polecił słońcu, by namalowało jego portret, i słońce to uczyniło<sup>34</sup>. Jeszcze inny zajął się tym właśnie nosicielem światła wraz z księżycem i planetami, zważył ich ciężar z pedantyczną dokładnością, zbadał ich wnętrze i odkrył, jaki jest stopień stałości ich substancji. Cały

zresztą naród ma tak zadziwiające zdolności do czarnej magii, że nawet małe dzieci, nie mówiąc o najpospolitszych psach i kotach, dostrzegają bez najmniejszej trudności przedmioty, które wcale nie istnieją, lub takie które przestały istnieć w świecie na dwadzieścia tysięcy lat przed powstaniem opisywanego narodu<sup>35</sup>.

– Nedorzecznosc! – powiedział król.

– „Żony i córki tych nieporównanie wielkich i mądrych czarodziejów – ciągnęła Szeherazada, bynajmniej nie stropiona częstymi i gburowatymi wtrętami jej męża – żony i córki tych wybitnych czarnoksiężników są uosobieniem wytworności, doskonałego wychowania i wykształcenia. Byłyby też niezwykle piękne i interesujące, gdyby nie pewna fatalna i nieszczęśliwa obsesja, która je prześladowuje, a od której do tej pory nie zdołała ich uwolnić nawet cudowna moc ich mężów i ojców. Nieszczęśliwe obsesje przychodzą w takich lub innych postaciach, lecz ta, o której mówię, opanowała je w postaci dziwaczego kaprysu”.

– W postaci czego? – zapytał król.

– „W postaci dziwaczego kaprysu – powiedziała Szeherazada. – Jeden ze złych duchów, ustawicznie gotowych wyrządzać krzywdę, wbił tym świetnym damom do głowy, że to, co nazywamy osobistym pięknem, polega głównie na garbie znajdującym się z tyłu, nieco poniżej talii. Doskonałość piękna, powiadają, zależy od proporcjonalnego rozmiaru tej narośli. Ta myśl od dawna opętała piękne damy, a ponieważ wałki z włosia są tanie w tym kraju, dawno już minęły tam czasy, kiedy można było odróżnić kobietę od dromadera”.

– Przestań – powiedział król – nie mogę i nie zamierzam tego dłużej znosić. Twoje łgarstwa nabawiły mnie już straszliwego bólu głowy. Widzę także, że dzień zaczyna świtać. Ileż to już czasu minęło od naszego wesela? Sumienie zaczyna mnie znów niepokoić. A jeszcze na koniec ten szczegół o dromaderze! Czy masz mnie za głupca? A w ogóle wstań lepiej i niech cię uduszę.

Słowa te, jak podaje Jestakczynie, zadziwiły i zabolowały Szeherazadę. Wiedziała jednak, że król jest skrupulatnie uczciwy i prawdopodobnie nie cofnie raz wyrzeczonego słowa; toteż poddała się swemu losowi z

chwalebłą rezygnacją. Wielką pociechą w momencie zaciskania pętli była jednak dla niej myśl, że znaczna część historii pozostała jeszcze niedopowiedziana i że grymasy i humory jej brutala męża ściągnęły nań bardzo zasłużoną karę, pozbawiając go opowieści o wielu niezwykłych przygodach.

*Tłumaczyła Anna Staniewska*

<sup>1</sup> W oryg. nieprzetłumaczalna gra słów. Użyta przez Poego nazwa Cock-neigh jest (w tej ortografii) połączeniem dwóch wyrazów – „kogut” i „rzeć” (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Chodzi tu o koralowce (Ten i następne przypisy w niniejszym opowiadaniu pochodzą od autora).

<sup>3</sup> „Jednym z najbardziej zdumiewających dziwów przyrody w Teksasie jest skamieniały las w pobliżu źródła rzeki Pasigno. Składa się on z kilkuset skamieniałych, sterczących w górę drzew. Niektóre drzewa, obecnie jeszcze spotykane, są skamieniałe częściowo. Jest to fakt zaskakujący przyrodników i musi ich skłonić do zmodyfikowania istniejącej teorii o kamienieniu.” – Kennedy.

Opis ten, początkowo podawany w wątpliwość, znalazł ostatnio potwierdzenie dzięki odkryciu całkowicie skamieniałego lasu blisko źródeł rzeki Chayenne lub Chienne, która bierze początek w Czarnych Wzgórzach łańcucha skalistego.

Trudno chyba znaleźć na powierzchni kuli ziemskiej ciekawszy widok – zarówno z punktu widzenia geologów, jak i pod względem malowniczości – niż skamieniały las w pobliżu Kairu. Podróżny, minąwszy groby kalifów – tuż za bramami miasta – udaje się w kierunku południowym niemal prostopadle do drogi prowadzącej poprzez pustynię do Suez. Przewędrowawszy jakie dziesięć mil nisko położoną, nagą doliną, pokrytą piaskiem, żwirem i muszlami tak świeżymi, jak gdyby przypływ morza ustąpił ledwie wczoraj, podróżny przecina niskie pasmo piaszczystych wzgórz, które przez pewien czas bieгло wzdłuż drogi. Obraz roztaczający się teraz przed nim jest niezwykle i opustoszały ponad

wszelkie wyobrażenie. Na całe mile wokół niego – na kształt powalonego i zniszczonego lasu – rozciąga się masa odłamków drzew; wszystkie są skamieniałe i dźwięczą jak lane żelazo, kiedy potrąci je kopyto końskie. Drzewo jest ciemnobrązowej barwy, ale kształt zachowało doskonale, poszczególne kawałki mają od jednej do piętnastu stóp długości i grubości od pół stopy do trzech, a jak tylko okiem sięgnąć, rozsypane są tak gęsto, że egipski osiołek z trudem tylko przedostaje się przez nie. Drzewo to wygląda tak naturalnie, że gdyby było w Szkocji czy w Irlandii, mogłoby wcale nie ściągnąć na siebie naszej uwagi i zostać wzięte za jakieś olbrzymie wyschnięte bagno, na powierzchni którego gniją w słońcu wydobyte z głębi drzewa. Korzenie i szczątki gałęzi są w wielu wypadkach niemal doskonałe, w innych wypadkach można łatwo rozpoznać dziurki wydrążone pod korą przez korniki. Najdelikatniejsze słoje i wszystkie delikatniejsze części składające się na ośrodek drzewa są doskonale zachowane w całości i można je badać przez najsilniejsze szkła powiększające. Wszystkie te skamieliny uległy tak gruntownemu procesowi skrzemienia, że rysują szkło i można je silnie polerować.” – „Asiatic Magazine”.

<sup>4</sup> Grota Mamucia w Kentucky.

<sup>5</sup> W Islandii, 1783.

<sup>6</sup> „Podczas wybuchu Hekli w r. 1766 chmury tego rodzaju spowodowały takie ciemności, że w Glaumba – odległym od góry o przeszło pięćdziesiąt mil morskich – ludzie mogli poruszać się tylko macając wkoło siebie rękami. Gdy Wezuwiusz wybuchł w r. 1794, w odległej o cztery mile morskie Casercie ludzie mogli chodzić tylko przy świetle pochodni. 1 maja 1812 r. chmura wulkanicznych popiołów i piachu, wydobywająca się z wulkanu na wyspie St. Vincent, pokryła całą wyspę Barbados, którą zaległy tak gęste ciemności, że w południe na otwartym powietrzu nie można było dostrzec drzew ani innych przedmiotów w najbliższym sąsiedztwie, a nawet białej chusteczki trzymanej o sześć cali od oka.” – Murray, str. 215. Phil. edit.

<sup>7</sup> „W Caracas w r. 1790 część granitowego podłoża obsunęła się w czasie trzęsienia ziemi, pozostawiając po sobie jezioro mające około

ośmiuset jardów średnicy i osiemdziesiąt do stu stóp głębokości. Osunęła się wówczas część lasu Aripao i drzewa pozostały zielone pod wodą przez kilka miesięcy.” – Murray, str. 221.

<sup>8</sup> Najtwardsza stal, jaką można wyprodukować, może pod naporem wydmuchiwanego przez rurę powietrza zamienić się w drobniutki, niewyczuwalny dotykiem proszek, który z łatwością unosi się w atmosferze.

<sup>9</sup> Okolice rzeki Niger (Patrz „Colonial Magazine” Simmonda).

<sup>10</sup> Mowa o myrmeleonie – mrówkolwie. Termin „potworny” stosuje się zarówno do małych nienormalnych stworzeń, jak i do wielkich, a takie określenia, jak „przestronny”, są tylko porównawcze. Pieczara myrmeleona jest „przestronna” w porównaniu z siedzibą zwykłej czerwonej mrówki. Okruch krzemienia jest także „skałą”.

<sup>11</sup> Epidendron – Flos aeris, z rodziny orchidei, rośnie przyczepiony jedynie powierzchnią korzeni do drzewa lub innego przedmiotu, z którego nie czerpie pożywienia, żywiąc się tylko powietrzem.

<sup>12</sup> Pasożyty – takie jak wspaniała Rafflesia Arnoldii.

<sup>13</sup> Schouw broni teorii istnienia gatunku roślin rozwijających się na żywych stworzeniach – Plantae Epizoa. Do tej kategorii należą Fuci i Algae.

Pan J.B. Williams z Salem w Massachusetts ofiarował Instytutowi Narodowemu owada z Nowej Zelandii z następującym opisem: „Hotte, która najoczywiściej jest gąsienicą lub robakiem, napotykamy rosnącą u stóp drzewa Kata – z rośliną wyrastającą z jej głowy. Ten najdziwniejszy i najbardziej niezwykły robak wędruje w górę po powierzchni drzewa Rata i Perriri i dostawszy się na szczyt, przegryza sobie drogę, przewiercając się przez pień drzewa, aż póki nie sięgnie korzenia, potem wydostaje się na zewnątrz drzewa przez korzeń i umiera lub usypia, a roślina wyrasta z jego głowy. Ciało robaka zachowuje się nietknięte, nie ulega rozkładowi i staje się twardsze niż za życia. Z insekta tego krajowcy wyrabiają barwnik do tatuażu.”

<sup>14</sup> W kopalniach i grotach naturalnych spotykamy gatunek grzyba skrytopłciowego, wydzielającego silną fosforescencję.

[15](#) Orchidea, scabius i vallisneria.

[16](#) „Korona tego kwiatu (Aristolochia Clematitis), która ma kształt rurkowaty, lecz zakończona jest w górze płatkami w kształcie języczka, u nasady rozszerza się w kształt kuli. Część rurkowata obrośnięta jest wewnątrz sztywnymi włosami skierowanymi do dołu, część kulista zawiera słupek składający się jedynie z zalążni i znamienia wraz z otaczającymi go pręcikami. Ponieważ jednak pręciki są krótsze nawet od zalążni słupka, nie mogą wydzielić z siebie pyłku tak, aby go rzucić na znamię słupka, kwiat bowiem aż do momentu zapylenia jest zawsze wyprostowany. Stąd więc jest rzeczą oczywistą, że pyłek musi upaść na dno kwiatu, o ile roślina nie otrzyma jakiejś dodatkowej i szczególnej pomocy z zewnątrz.

Otóż w tym wypadku natura dostarczyła pomocy w postaci Tipula Pennicornis, małego owada, który w poszukiwaniu miodu wchodzi do rurki korony kwiatu, schodzi na dno i tłucze się po nim, aż pyłek pokryje go całkowicie. Nie jest on jednak w stanie wywalczyć sobie drogi wyjścia z powodu skierowanych do dołu włosków, które zbiegają się w jednym punkcie jak druty łapki na myszy; tracąc więc cierpliwość z powodu tego uwięzienia, chodzi tam i z powrotem, ocierając się o ścianki i badając każdy kącik. W ten sposób raz po raz przechodzi przez znamię słupka i pokrywa go taką ilością pyłku, że go zapyla. Wtedy kwiat szybko zaczyna chylić się w dół, włoski kurczą się i przylegają do ściany kielicha, dzięki czemu owad może z łatwością się wydostać.” – Rev. P. Keith, „System of Physiological Botany”.

[17](#) Od początków swego istnienia pszczoły konstruowały komórki w takiej liczbie, o takich ściankach i dokładnie takim rozwarciu kątów, jakie – przy zachowaniu tych warunków – gwarantują owadom największą możliwie przestrzeń w połączeniu z największą solidnością budowy. Zostało to wykazane przez najwnikliwszych matematyków.

W drugiej połowie ostatniego stulecia powstał wśród matematyków problem „określenia, jaki kształt byłoby najlepiej nadać skrzydłom wiatraka, stosownie do ich niejednakowych odległości od obracającego się wiatraczka oporowego, a także od centrów obrotu”. Jest to niezwykle

złożone zagadnienie, chodzi bowiem innymi słowy o określenie najlepszego położenia, przy nieskończonej liczbie różnych odległości, dla nieskończonej liczby punktów na skrzydle. Najsłynniejsi matematycy robili tysiące daremnych prób, aby znaleźć na to odpowiedź – i gdy wreszcie jedyne niewątpliwe rozwiązanie zostało znalezione – ludzie doszli do wniosku, że było ono zawarte z absolutną precyzją w skrzydłach ptaka od czasów, kiedy pierwszy ptak przeciął powietrze.

<sup>18</sup> Między Frankfortem a terytorium Indiany oglądał on stado gołębi mające przynajmniej jedną milę szerokości; przelot stada trwał cztery godziny, co, licząc po jednej mili na minutę, daje długość dwustu czterdziestu mil, a jeżeli przyjmiemy, że na każdy jard kwadratowy wypadało po trzy gołębie – otrzymamy liczbę 2 230 270 000 gołębi (porucznik F. Hall, „Podróże po Kanadzie i Stanach Zjednoczonych”).

<sup>19</sup> „Ziemia podtrzymywana jest przez krowę błękitnej barwy, mającą rogów czterysta w liczbie” (Koran z Sale).

<sup>20</sup> „Entozoa, czyli robaki znajdujące się we wnętrzu żywego organizmu, dostrzegano często w mięśniach i w substancji mózgowej człowieka”. Patrz: Fizjologia Wyatta, str. 143.

<sup>21</sup> Na linii Wielkiej Kolei Zachodniej między Londynem a Exeter osiągnięta została szybkość 71 mil na godzinę. Pociąg wążący 90 ton przebył trasę z Paddington do Didcot (53 mile) w ciągu 51 minut.

<sup>22</sup> Sztuczna wylęgarka.

<sup>23</sup> Automat Maelzla: „Gracz w szachy”.

<sup>24</sup> Maszyna do liczenia Babbage’a.

<sup>25</sup> Chabert, a od jego czasów – stu innych.

<sup>26</sup> Elektrotyp.

<sup>27</sup> Wollaston zrobił z platyny drucik dla pola obserwacyjnego w teleskopie. Można go było dostrzec tylko przez mikroskop, ponieważ grubość drucika wynosiła jedną osiemnastotysięczną część cala.

<sup>28</sup> Newton wykazał doświadczalnie, że pod wpływem promieni fioletowych widma słonecznego siatkówka oka wibruje dziewięćset milionów razy na sekundę.

<sup>29</sup> Stos Volty.



<sup>30</sup> Telegraf elektryczny przekazuje natychmiast wiadomość, przynajmniej w granicach globu ziemskiego.

<sup>31</sup> Elektro-telegraficzny aparat drukujący.

<sup>32</sup> Są to zwykle doświadczenia z dziedziny przyrody. Jeżeli wpuścimy do ciemnego pokoju dwa czerwone promienie wychodzące z dwóch punktów świetlnych, tak że padną na białą powierzchnię i będą się różnić w długości o 0,0000258 cala, ich natężenie się zdwoi. Tak się też stanie, jeżeli różnica długości promieni będzie jakąkolwiek całkowitą liczbą wielokrotną tego ułamka. Zwielokrotnienie przez  $2 \frac{1}{4}$ ,  $3 \frac{1}{4}$  itd. daje w wyniku natężenie jednego promienia, lecz zwielokrotnienie przez  $2 \frac{1}{2}$ ,  $3 \frac{1}{2}$  itd. daje w rezultacie zupełną ciemność. Podobne efekty powstają przy doświadczeniach z promieniami nadfioletowymi, jeżeli różnica w ich długości wynosi 0,000157 cala, i z wszystkimi innymi promieniami, przy czym różnica między promieniami zmienia się wraz z równomiernym wzrostem od fioletu do czerwieni.

Analogiczne eksperymenty z dźwiękiem wywołują analogiczne rezultaty.

<sup>33</sup> Umieścimy platynowy tygiel nad lampą spirytusową i ogrzejmy go do czerwoności. Wlejmy trochę kwasu siarkowego do wnętrza. W gorącym tyglu kwas ten nie ulega żadnej zmianie i ani kropla zeń nie wyparowuje, choć w zwykłej temperaturze jest jednym z najlotniejszych ciał. Otoczony własną parą, w rzeczywistości wcale nie dotyka ścianek tygla. Dodajemy teraz kilka kropli wody, a wtedy kwas styka się natychmiast z rozgrzаныmi ściankami tygla i zaczyna niezmiernie szybko ulatniać się jako para kwasu siarkowego, zabierając całe ciepło wody, tak że woda opada na dno tygla w postaci lodu. Jeżeli w porę uchwycimy moment, zanim lód stopnieje na nowo, możemy wyrzucić z rozpalonego do czerwoności naczynia – kawałek lodu.

<sup>34</sup> Mowa o dagerotypie.

<sup>35</sup> Choć światło wędruje z szybkością 200 000 mil na sekundę, odległość Syriusza, którego uważamy za najbliższą stałą gwiazdę, jest tak niewyobrażalnie wielka, że aby dosięgnąć ziemi, promienie jego potrzebowaliby co najmniej trzech lat. Dla gwiazd położonych dalej –

dwadzieścia albo nawet sto lat byłoby cyfrą umiarkowaną. Tak więc jeżeli nawet przestały istnieć dwadzieścia lub tysiąc lat temu – moglibyśmy ujrzeć teraz jeszcze światło, które wypromieniowało w przeszłości z ich powierzchni. Nie jest rzeczą niemożliwą, a nawet nieprawdopodobną, że wiele z tych gwiazd, które co dzień widzimy, przestało naprawdę istnieć. (Notatka w „Broadway Journal”) (przyp. aut.)

Herschel starszy utrzymuje, że światło najsłabszych mgławic, widziane przez jego wielki teleskop, wędrowało trzy miliony lat, zanim dosięgło ziemi. Wobec tego światło niektórych mgławic odkrytych dzięki instrumentowi lorda Rossa musiało wędrować co najmniej dwadzieścia milionów lat (przypis Griswolda, pośmiertnego wydawcy Poego – przyp. red.).a

# Bujda balonowa

**Z** dumiewające wieści ostatnio otrzymane via Norfolk! Przeprowa przez Atlantyk w przeciągu trzech dni! Tryumf maszyny do latania Mr Monck Masona! Przybycie na wyspę Sullivan w pobliżu Charlestonu, Karolina Południowa. Po siedemdziesięciopięciogodzinnej podróży z jednej części świata na drugą wylądował balon „Victoria”, wiozący Mr Masona, Mr Roberta Hollanda, Mr Hensona, Mr Harrisona Ainswortha oraz jeszcze cztery inne osoby! Wszystkie szczegóły podróży!

Załączony *jeu d'esprit*<sup>1</sup> z powyższym nagłówkiem, wydrukowany okazałymi kapitalikami i upstrzony szczerze oznakami podziwu, pojawił się pierwotnie jako wiadomość rzeczywista w dzienniku „New York Sun” i wywiązał się znakomicie ze swego zadania, dostarczając jałowej stawy różnym gapiom podczas kilkugodzinnej przerwy między jedną pocztą z Charlestonu a drugą. Popyt na „jedyne dziennik, który ma najświeższe wiadomości” stał się istną kołowacizną; jeżeli jednak – jak niektórzy utrzymują – „Victoria” nie odbyła wcale owej podróży, to niepodobna pojąć, dlaczego nie miała jej odbyć.

Wielkie zagadnienie ostatecznie rozwiązane! Powietrze, podobnie jak ziemia i morze, uległo podbojowi nauki, by stać się utartym i wygodnym szlakiem dla ludzkości! Udało się przelecieć przez Atlantyk balonem! i to bez nadzwyczajnych trudności, bez wielkiego niebezpieczeństwa, sterując dowolnie maszyną, w nieprawdopodobnie krótkim czasie siedemdziesięciu pięciu godzin od jednego wybrzeża do drugiego! Dzięki energii naszego korespondenta z Charlestonu, S. C., możemy pierwsi dostarczyć publiczności szczegółowego sprawozdania z tej wiekopomnej podróży, rozpoczętej w sobotę, 6 bm. o godzinie 11 rano, a ukończonej we wtorek, 9 bm. o godzinie 2 po południu przez Sir Everarda Bringhursta;

Mr Osborne'a, siostrzeńca lorda Bentincka; Mr Monck Masona i Mr Roberta Hollanda, znanych powszechnie aeronautów; Mr Harrisona Ainswortha, autora *Jacka Shepparda*; Mr Hensona, który był twórcą niefortunnego pomysłu ostatniej maszyny do latania, oraz dwu marynarzy z Woolwich – czyli ogółem przez osiem osób. Szczegóły poniższe mogą być uważane za autentyczne i pod każdym względem dokładne, ile że poza nielicznymi wyjątkami przepisano je słowo w słowo z połączonych dzienników Mr Monck Masona i Mr Harrisona Ainswortha, których uprzejmości nasz korespondent zawdzięcza również wiele informacji ustnych, dotyczących samego balonu, jego konstrukcji oraz innych urządzeń. Zmiany poczynione w nadesłanym nam rękopisie polegają jedynie na ujęciu pośpiesznie naszkicowanego sprawozdania naszego korespondenta, Mr Forsytha, w potoczystą i przystępną formę.

## BALON

Dwa ostatnie zupełne niepowodzenia Mr Hensona i Sir George'a Cayleya były przyczyną, iż publiczność przestała niemal zajmować się sprawą żeglugi napowietrznej. Projekt Mr Hensona, który zrazu znajdował wielkie uznanie nawet wśród uczonych, polegał na zastosowaniu zasady płaszczyzny pochyłej, pchniętej z wysoka przez siłę zewnętrzną, wytwarzaną i podtrzymywaną za pomocą obrotu stykających się śmig, przypominających z kształtu i z ilości śmigi wiatraka. Wszelako wszystkie doświadczenia czynione z modelami w Adelaide Gallery wykazały, iż owe śmigi nie tylko nie popędzają naprzód maszyny, lecz nawet stanowią przeszkodę w jej locie. Jedyłą siłą napędową istotnie działającą był rozpęd uzyskany przez pchnięcie z równi pochyłej; rozpęd ten popędzał maszynę znacznie dalej, kiedy śmigi znajdowały się w spoczynku, niż kiedy były w ruchu, co dostatecznie dowodziło ich nieużyteczności; o ile zaś nie było czynnika napędowego, który zarazem stanowił siłę nośną, cały aparat musiał bezwarunkowo spaść na ziemię. Te spostrzeżenia skłoniły Sir George'a Cayleya, iż postanowił zastosować śmigę napędową do maszyny posiadającej niezależną siłę nośną, czyli,

inaczej mówiąc, do balonu. Za pomysłem tym, bynajmniej nie nowym i nie oryginalnym, przemawiał tylko sposób, w jaki Sir George zamierzał zużytkować go w praktyce. Wystawił on model swego wynalazku w Zakładzie Politechnicznym. Zasada napędowa polegała również w tym wypadku na zastosowaniu płaszczyzn przerywanych, czyli śmig wprawianych w ruch. Tych śmig było cztery; wszelako okazało się, iż nie miały zupełnie wpływu na ruszenie balonu z miejsca i nie były przyczyną spotęgowania siły wznoszenia się. Cały ten projekt skończył się zatem zupełnym niepowodzeniem.

Taki był stan rzeczy, gdy Mr Monck Mason (którego podróż z Dovru do Weilburga w balonie „Nassau” wywołała ogromne zaciekawienie w 1837 r.) powziął myśl zastosowania zasady śruby Archimedesowej do celów żeglugi napowietrznej – słusznie przypisując niepowodzenie projektów Mr Hensona i Sir George’a Cayleya przerywanej powierzchni śmig, od siebie niezależnych. Pierwsze doświadczenie publiczne wykonał on w Willis’s Rooms, lecz potem przeniósł swój model do Adelaide Gallery.

Balon jego, podobnie jak Sir George’a Cayleya, miał kształt elipsoidy. Długość jego wynosiła trzysta dwa i sześć cali, wysokość – sześć stóp i osiem cali. Zawierał on trzysta dwa i sześć cali sześciennych gazu, który był czystym wodorem, i po pierwszym napełnieniu, zanim zdążył zepsuć się lub ulotnić, mógł unieść dwadzieścia jeden funtów. Ciężar całej maszyny i aparatu wynosił siedemnaście funtów – a więc pozostawało jeszcze w zapasie około cztery funty. Poniżej ośrodka balonu znajdowało się lekkie rusztowanie drewniane, przytwierdzone do balonu za pomocą zwyczajnej sieci. Z rusztowania tego zwieszał się kosz wiklinowy.

Śrubę stanowi oś, utworzona z wydrążonej rury mosiężnej, długości osiemnastu cali. Przez rurę tę, na śrubownicy pochylonej pod kątem piętnastu stopni, przebiega szereg promieni z drutu stalowego, długich na dwie stopy, wystających zatem na stopę po obu stronach. Na krańcach zewnętrznych promienie te są połączone dwiema obręczkami ze spłaszczonego drutu. W ten sposób całość tworzy trzon śruby, której dopełnia osłonka z naoliwionego jedwabiu, powykrawanego kończasto i obciążonego w ten sposób, by stanowił względnie gładką powierzchnię.

Po obu końcach osi śrubę podtrzymują słupki z wydrążonych rur mosiężnych, zwieszające się od pierścieni. W dolnych końcach słupków znajdują się otwory, w których obracają się czopy osi. Z końca osi, położonego bliżej kosza, wybiega trzpień stalowy, łączący śrubę z dźwignią mechanizmu sprężynowego umieszczonego w koszu. Pod naciskiem tej sprężyny śruba poczyna się obracać z wielką chyżością, udzielając całości ruchu postępowego. Za pomocą steru można dowolnie kierować machiną. Sprężyna w porównaniu do swych rozmiarów przedstawia ogromną siłę, gdyż może udźwignąć czterdzieści pięć funtów po pierwszym skręcie, gdy słupek ma cztery cale średnicy, zaś siła ta stopniowo się zwiększa w miarę dalszego skręcania. Waży ona ogółem osiem funtów i sześć uncji. Ster był lekki, trzciniowy, powleczony jedwabiem, miał trzy stopy długości i stopę największej szerokości. Ważył jakie dwie uncje. Mógł obracać się na płask, poruszać się zarówno w górę i w dół, jak w prawo i w lewo, dawał przeto aeronaucie możliwość przenoszenia oporu powietrza, który musi powstawać w ruchu przy każdym nachyleniu, na tę stronę, na którą pragnąłby oddziaływać, by zwrócić balon w kierunku przeciwnym.

Model ten (którego dla braku czasu niepodobna opisać dokładnie) puszczono w ruch w Adelaide Gallery, gdzie wykazywał chyżość pięciu mil na godzinę. Rzecz dziwna, iż bynajmniej nie wzbudził takiego zaciekawienia, jakie okazywano poprzednio wielce złożonej machinie Mr Hensona - jak gdyby na dowód, iż ludzie lekceważą to, co ma pozory prostoty. Przypuszczano bowiem powszechnie, iż chcąc rozwiązać wielkie zagadnienie żeglugi napowietrznej, należy posłużyć się niezmiernie złożonym zastosowaniem jakiejś nader głębokiej zasady dynamicznej.

Mimo to Mr Mason był tak bardzo zadowolony z ostatecznego powodzenia swego wynalazku, iż postanowił zbudować, o ile możliwości niezwłocznie, balon odpowiednich rozmiarów i sprawdzić jego celowość większą podróżą - pierwotnie miała to być przeprawa przez La Manche, odbyta poprzednio na balonie „Nassau”. By tym łatwiej urzeczywistnić swój zamiar, postarał się o patronat Sir Everarda Bringhursta i Mr Osborne'a, dwu dżentelmenów znanych powszechnie ze swych zamiłowań

naukowych, przede wszystkim zaś z entuzjazmu, z jakim śledzili postępy żeglugi napowietrznej. Na życzenie Mr Osborne'a cały projekt pozostawał w najgłębszej tajemnicy – znały go tylko osoby zajęte przy budowie maszyny. Wykonano ją (pod kierownictwem Mr Masona, Mr Hollanda, Sir Everarda Bringhursta i Mr Osborne'a) w majątności tego ostatniego, koło Penstruthal, w Walii. Mr Hensona oraz jego przyjaciela, Mr Ainswortha, dopuszczono do obejrzenia balonu dopiero ubiegłej soboty – kiedy obaj ci dżentelmeni dopełnili w zupełności warunków, które im umożliwiły wzięcie udziału w wyprawie. Nie wiemy, co było przyczyną, iż zabrano ponadto dwu marynarzy – wszelako za jaki dzień lub dwa dni podamy do wiadomości naszych czytelników pomniejsze szczegóły tej niezrównanej podróży.

Balon wykonano z jedwabiu powleczonego pokostem kauczukowym. Jest on wielkich rozmiarów i zawiera przeszło 40 000 stóp sześciennych gazu; ponieważ jednak użyto gazu świetlnego zamiast kosztowniejszego i mniej dogodnego wodoru, przeto siła maszyny, całkowicie napełnionej, zaraz po napełnieniu nie przekracza 2500 funtów. Gaz świetlny nie dość, że jest tańszy, lecz ponadto daje się łatwiej wytworzyć i zastosować.

Zastosowanie tego gazu do celów żeglugi napowietrznej zawdzięczamy Mr Charlesowi Greenowi. Przed jego odkryciem napełnianie balonu było rzeczą nie tylko kosztowną, lecz także wielce niepewną. Marnowano nieraz dwa lub trzy dni na jałowych wysiłkach wytworzenia dostatecznej ilości wodoru, który skutkiem swej nadzwyczajnej subtelności oraz powinowactwa z otaczającą atmosferą okazuje wielką skłonność do ulatniania się z balonu. W należycie uszczelnionym balonie łatwiej jest przechować gaz świetlny w niezminionej ilości i jakości przez sześć miesięcy, niż utrzymać takąż samą ilość wodoru w stanie jednakiej czystości przez sześć tygodni.

Siłę nośną obliczano na 2500 funtów, zaś połączone ciężary osób biorących udział w wyprawie zaledwie na jakieś 1200; pozostawała zatem nadwyżka 1300 funtów, z czego 1200 przypadło na balast, pomieszczony w workach różnej wielkości, ze szczegółowym oznaczeniem ich ciężaru; dalej na liny, barometr, teleskopy, beczułki zawierające zapas żywności na dwa

tygodnie, baryłki z wodą, wory do spania, ciepłą odzież tudzież na inne niezbędne przedmioty. Zaliczono do nich również grzejnik do kawy, dostarczający ciepłego napoju bez użycia ognia, przed którym roztropność kazała się mieć na baczności. Wszystkie te przedmioty, z wyjątkiem balastu oraz niektórych drobiazgów, zawieszono w górze, u pierścienia. Kosz jest znacznie lżejszy i mniejszy od swego wzoru widniejącego na modelu. Wykonany z lekkiej wikliny, jest nadzwyczaj mocny jak na tak pozornie wątłą maszynę. Ma on około czterech stóp głębokości. Ster jest znacznie większy w stosunku do modelu, natomiast śruba bez porównania mniejsza. Ponadto balon posiada kotwiczkę i niezbędną linę kierowniczą. W tym miejscu uważamy za potrzebne wtrącić zwięzłe wyjaśnienie dla czytelników nieobeznanych z techniką żeglugi napowietrznej.

Balon, opuściwszy ziemię, podlega oddziaływaniu wielu czynników, które powodują zmiany w jego wadze, zwiększając lub zmniejszając przez to jego siłę wznoszenia się. Zdarza się na przykład, iż na jedwabiu osadza się rosa, której ciężar może wynosić niekiedy nawet kilkaset funtów; trzeba zatem wyrzucić balast, gdyż inaczej balon opadnie. Skoro jednak wyrzucimy balast, a ciepłe słońce wypije rosę, prężność gazu w jedwabnej powłoce natychmiast się wzmoże i balon znów nagle wzbije się w górę. By zahamować ten wzlot, nie pozostaje (a raczej nie pozostawało do czasu zastosowania przez Mr Greena liny kierowniczej) nic innego, jak wypuścić przez wentyl nieco gazu; lecz utrata gazu pociąga za sobą odpowiednie zmniejszenie siły wznoszenia się, toteż nawet najlepiej zbudowany balon musiałby w stosunkowo krótkim czasie wyczerpać wszystkie swe zasoby i spaść na ziemię. Stanowiło to wielką przeszkodę w dłuższych podróżach.

Lina kierownicza zapobiega tym utrudnieniom w sposób niezmiernie prosty. Jest to bardzo długa lina zwisająca z kosza, której zadaniem jest zapobiegać, żeby balon nie zmieniał swego poziomu w znaczniejszym stopniu. Jeżeli na przykład na powłoce jedwabnej utworzy się warstwa wilgoci i balon skutkiem tego pocnie opadać, to nie zachodzi już potrzeba wyrzucania balastu, by zaradzić zwiększeniu się wagi, gdyż



zapobiega się, a raczej przeciwdziała temu za pomocą opuszczania na ziemię odpowiedniego kawałka liny. Jeżeli natomiast inne okoliczności wywołają nadmierną lekkość i następne wzbijanie się balonu, to tej lekkości przeciwdziała się natychmiast za pomocą dodatkowego ciężaru liny podciągniętej w górę. Zatem balon może wznosić się i opadać tylko w bardzo ograniczonej mierze, a jego zasoby gazu czy balastu pozostają względnie nienaruszone. Kiedy balon unosi się nad rozleglejszym przestworem wodnym, trzeba użyć małych beczulek, miedzianych lub drewnianych, napełnionych balastem płynnym, lżejszym od wody. Beczutki te pływają i spełniają najzupełniej zadania samej tylko liny na lądzie stałym. Drugim, nader ważnym zadaniem liny kierowniczej jest nadawanie kierunku balonowi. Lina wlecze się po lądzie lub po morzu, gdy balon jest wolny; wyprzedza on ją zatem stale, o ile podąża naprzód. Porównanie względnych pozycji tych dwu przedmiotów za pomocą kompasu będzie zawsze wskazywało kierunek. W ten sam sposób kąt utworzony przez linę z pionową osią maszyny oznacza chyżość. O ile więc nie ma kąta – czyli innymi słowy, gdy lina zwisa prostopadle – aparat stoi w miejscu; natomiast im większy jest kąt, to znaczy, im znacznie wyprzedza balon koniec liny, tym chyżość jest większa; i odwrotnie.

Ponieważ pierwotnym zamierzeniem była przeprawa przez kanał La Manche i wylądowanie, o ile możliwości, w pobliżu Paryża, przeto podróżni, mając się na ostrożności, zaopatrzyli się w paszporty zezwalające na pobyt we wszystkich krajach kontynentu, wyszczególniające cel wyprawy, podobnie jak podczas podróży balonem „Nassau”, i zwalniające ich od obowiązujących formalności. Jednakowoż skutkiem nieprzewidzianych wypadków paszporty te okazały się zbędne.

Napełnianie balonu rozpoczęło się nader spokojnie w sobotę, o świcie, 6 bm. na podwórku siedziby Mr Osborne'a, Wheal-Vor House, oddalonej o jaką milę od Penstruthal w Walii Północnej. W siedem minut po jedenastej wszystko już było gotowe; zwolniony balon jał podnosić się łagodnie, lecz statecznie w kierunku niemal południowym. Przez pierwsze pół godziny nie robiono wcale użytku ani ze śruby, ani ze steru. Dalszy ciąg naszego sprawozdania będzie odtąd stanowił dziennik

przepisany przez Mr Forsytha z połączonych rękopisów Mr Monck Masona i Mr Ainswortha. Główną część przytoczonego dziennika spisywał Mr Mason, uzupełniał go zaś codziennie dopiskami Mr Ainsworth, który przygotowuje i wyda wkrótce jeszcze dokładniejsze i bez wątpienia ogromnie zajmujące sprawozdanie z tej wyprawy.

## DZIENNIK

*Sobota, 6 kwietnia.* Wszystkie przygotowania, które mogły stawać nam jeszcze na przeszkodzie, pokończyliśmy ubiegłej nocy; dziś o świcie przystąpiliśmy do napełniania balonu, atoli skutkiem gęstej mgły, która napełniła wilgocią fałdy powłoki jedwabnej i uczyniła ją niepodatną, zdążyliśmy się uporać z tą pracą dopiero około jedenastej przed południem. Przecięliśmy liny w uroczystym nastroju i jęliśmy wzlatywać z wolna, lecz statecznie z lekkim powiewem północnym, który niósł nas w kierunku kanału La Manche. Siła wznoszenia okazała się większa niż przypuszczaliśmy; kiedy zaś wznieśliśmy się tak wysoko, iż minęliśmy okoliczne wiszary i jęliśmy się pławić w blaskach słonecznych, wzlot nasz stał się niezmiernie szybki. Nie chcąc jednakże tracić gazu w samym początku wyprawy, postanowiłem na razie nie przerywać wzlotu. Wnet wszakże jęliśmy podciągać naszą linę kierowniczą, lecz mimo to, iż wcale nie dotykała w końcu ziemi, podążaliśmy w górę bardzo chyżo. Balon poruszał się nadzwyczaj pewnie i przedstawiał się okazale. W niespełna dziesięć minut po wzlocie barometr wskazywał wysokość 15 000 stóp. Pogoda była nader piękna, a rozokolona pod nami i wszystkimi romantycznymi urokami wyposażona okolica miała wyjątkowy czar wzniosłości. Gęste opary, podnoszące się z licznych i głębokich czeluści, świadczyły o istnieniu jezior, zaś urwiska i wiszary, spiętrzone od południowego wschodu w nierozwikłaną gmatwaninę, przypominały miasta olbrzymów z baśni wschodnich. Zbliżyliśmy się śpiesznie do gór widniejących od południa, wszelako znajdowaliśmy się na takiej wysokości, iż mogliśmy przelecieć nad nimi bez obawy. Wnet unosiliśmy się majestatycznie nad nimi. Mr Ainsworth i marynarze, wyglądając z

kosza, dziwili się ich pozornie nieznacznej wysokości; pochodziło to stąd, iż ogromne wzniesienie balonu zrównało wszystkie nierówności powierzchni ziemi niemal do poziomu. O wpół do dwunastej, podążając wciąż w kierunku prawie południowym, ujrzelśmy po raz pierwszy Kanał Bristolski; zaś w piętnaście minut później linia raf przybrzeżnych ukazała się tuż pod nami i wnet pławiliśmy się nad przestworem morskim. Postanowiliśmy tedy wypuścić tyle gazu, żeby nasza lina kierownicza przywiązany do jej końca beczułkami wlokła się po wodzie. Do wykonania przystąpiliśmy niezwłocznie i wnet zaczęliśmy stopniowo opadać. Po jakich dwudziestu minutach zanurzyła się pierwsza nasza beczułka, kiedy zaś dotknęła wody druga, jęliśmy się utrzymywać na jednakiej wysokości. Z kolei zapragnęliśmy wszyscy doświadczyć skuteczności steru i śruby i wprawiliśmy je natychmiast w ruch, chcąc zwrócić się więcej na wschód, w kierunku Paryża. Za pomocą steru osiągnęliśmy rychło pożądaną zmianę i podążyliśmy niemal pod kątem prostym do kierunku wiatru. Następnie uruchomiliśmy sprężynę śruby i byliśmy wielce radzi, widząc, iż działa sprawnie i zgodnie z naszymi życzeniami. Uczciliśmy to zdarzenie dziewięciokrotnym radosnym okrzykiem i wrzuciliśmy w morze butelkę zawierającą skrawek pergaminu z krótkim opisem zasady wynalazku. Zaledwie jednak zdążyliśmy zakończyć tę uroczystość, gdy zaszedł nieprzewidziany wypadek, który wywołał wśród nas niemałe przygnębienie. Trzpień stalowy, łączący sprężynę z przyrządem popędowym, wyskoczył nagle ze swego miejsca u skraju kosza (z powodu rozkołysania się kosza, wywołanego jakimś ruchem jednego z marynarzy) i wnet zawisł rozwahany, z dala od nas i od czopa osi śruby. Kiedy staraliśmy się przyciągnąć go z powrotem i skupiliśmy na nim całą naszą uwagę, dostaliśmy się w mocny prąd wschodniego wiatru, który ze wzmagającą się siłą unosił nas w kierunku Atlantyku. Wnet znajdowaliśmy się nad pełnym morzem, lecąc z chyżością jakich pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mil na godzinę, i dotarliśmy do Cape Clear, położonego o czterdzieści mil ku północy, zanim zdążyliśmy przytwierdzić z powrotem trzpień i zdaliśmy sobie sprawę, co czynić należy. Wówczas to Mr

Ainsworth wpadł na pomysł, wprawdzie niezwykły, lecz według mnie niedorzeczny, któremu jednak bez wahania przyklasnął Mr Holland – mianowicie, żebyśmy korzystając z silnego wiatru, który nas ponosił, nie zawracali w kierunku Paryża, lecz starali się dotrzeć do wybrzeży Ameryki Północnej. Po chwili namysłu zgodziłem się na ten zuchwały projekt, który – rzecz dziwna – spotkał się z oporem tylko dwu marynarzy. Jednakże mieliśmy po swej stronie przewagę, poskromiliśmy ich obawy i podążyliśmy dalej naszym szlakiem. Obraliśmy kierunek zachodni. Ponieważ beczułki opóźniały naszą podróż, a balonem mogliśmy dowolnie powodować w górę i w dół, przeto wyrzuciliśmy najpierw pięćdziesiąt funtów balastu, a następnie za pomocą korby tak zwinęliśmy linę, iż nie dotykała wcale tafli morskiej. Następstwa tych zarządzeń objawiły się natychmiast ogromnym przyśpieszeniem chyżości, a ponieważ wiatr dał coraz ostrzej, mknęliśmy z szybkością wprost niesłychaną; lina kierownicza fruwała za koszem niby flaga okrętu. Nie potrzebuję nadmieniać, iż nader rychło straciliśmy z oczu wybrzeże. Przelatywaliśmy ponad niezliczonymi statkami wszelkiego rodzaju, z których jedne zaledwie lawirowały, inne zaś stały w dryfie. Ze wszystkich pokładów pozdrawiano nas z ogromnym entuzjazmem ku wielkiej naszej radości, przede wszystkim zaś ku zadowoleniu dwu naszych marynarzy, którzy pod wpływem kilku kieliszków jałowcówki gotowi byli puścić z wiatrem wszystkie wahania i obawy. Z niektórych statków rozległy się sygnały armatnie; zewsząd posyłano ku nam radosne okrzyki, które dolatywały z zadziwiającą wyrazistością, powiewano chustkami i czapkami. Przez cały dzień podążaliśmy bez żadnego wypadku, kiedy zaś poczęło się zmierzchać, obliczyliśmy w przybliżeniu przebytą drogę. Wynosiła ona z jakichś pięćset mil lub nawet znacznie więcej. Aparat popędowy był nieustannie w ruchu i niewątpliwie przyczyniał się wielce do przyśpieszenia naszego pędu. Gdy słońce zaszło, wiatr zamienił się w istny huragan. Ocean był najzupełniej widoczny z powodu fosforescencji fal. Wiatr dał przez całą noc od wschodu i był dla nas zwiastunem świetnego powodzenia. Dolegało nam wielce zimno, nasycona mgłą atmosfera dawała się nieprzyjemnie we znaki; znajdowało

się jednakże tyle miejsca w koszu, że można się było położyć. Pootulani w płaszcze i dery, czuliśmy się jako tako.

P.S. (Mr Ainswortha). Ostatnich dziewięć godzin zaliczam bez wahania do najbardziej wstrząsających w mym życiu. Nie mogę sobie wyobrazić niczego wznioślejszego od dziwnej nowości i grozy podobnej wyprawy. Daj nam, Boże, powodzenie! Nie pragnę go dla mej nic nie znaczącej osoby, lecz radowałbym się nim ze względu na wiedzę ludzką i ogrom tryumfu. Wydaje się mi on tak uchwytny, iż wprost nadziwić się nie mogę, dlaczego ludzie nie podjęli wcześniej tej myśli. Dość jednej takiej wichury jak obecna – dość burzy, która ponosiłaby balon przez cztery lub pięć dni (często trwają one dłużej), a podróżny z łatwością przedostawałby się z jednego wybrzeża na drugie. Przy sprzyjającym wietrze bezbrzeże Atlantyku staje się zwykłym jeziorem. Zastanawia mnie, w chwili gdy to piszę, ogromna cichość zalegająca pod nami morze pomimo jego wzburzenia. Nie wołają wody do niebios. Płomienista roztocz oceanu wije się w mękach, ale się nie skarży. Spiętrzone zwały są niby niezliczone, nieme demony zmagające się w bezsilnym konaniu. Takiej nocy, jak dzisiejsza, człowiek żyje – przeżywa całe wieki życia powszedniego – co do mnie, nie oddałbym tej porywającej rozkoszy za setki lat zwyczajnego bytu.

*Niedziela, 7 kwietnia.* (Rękopis Mr Masona). Dziś rano, około dziesiątej siła wiatru osłabła do ośmiu lub dziewięciu węzłów (dla statków na morzu) i niesie nas z chyżością trzydziestu mil na godzinę lub nieco więcej. Atoli przybrała kierunek wprost północny. Obecnie, o zachodzie słońca, podążamy na zachód głównie przy pomocy steru i śruby, których sprawność jest zadziwiająca. Uważam nasze przedsięwzięcie za uwieńczone najzupełniejszym powodzeniem, zaś zagadnienie żeglugi powietrznej w dowolnych kierunkach (nie tylko z wiatrem) za ostatecznie rozwiązane. Nie mogliśmy wprawdzie stawiać czoła wichurze wczorajszej, lecz wzniosłszy się wyżej, bylibyśmy mogli usunąć się poza jej zasięg, gdyby zachodziła potrzeba. Mam przekonanie, iż tęgiemu, ciągłemu wiatrowi sprostałibyśmy przy pomocy aparatu popędowego. Około południa wznieśliśmy się do wysokości niemal 25 000 stóp, wyrzuciwszy

niecو balastu. Zrobiliśmy to, by dostać się w prąd bardziej bezpośredni, lecz żaden nie sprzyjał nam w takiej mierze jak obecny. Do przeprawy przez ten stawek mamy tyle gazu, że moglibyśmy podróżować nawet trzy tygodnie. O wynik nie obawiam się zgoła. Rzecz dziwna, jak trudności wyolbrzymiano i jak sobie nie zdawano z nich sprawy! Umiałbym dobrać prąd, gdybym zaś miał wszystkie prądy przeciwko sobie, zdołałbym utorować sobie drogę przy pomocy aparatu popędowego. Nie zaszło nic godnego uwagi. Noc zapowiada się dobrze.

P.S. (Mr Ainswortha). Niewiele mam do nadmienia prócz szczegółu (który był dla mnie istną niespodzianką), że na wysokości tej samej co Cotopaxi nie doznawałem zbyt dotkliwego zimna, nie miałem bólu głowy ni przeszkód w oddychaniu. Sądzę, iż tego samego doświadczyli Mr Mason, Mr Holland i Sir Everard. Mr Osborne skarżył się na ucisk w piersiach – ale to rychło przeszło. Lecieliśmy przez cały dzień z wielką chyżością i zdaje mi się, że mamy już za sobą przeszło połowę drogi przez Atlantyk. Przelecieliśmy ponad dwudziestu czy trzydziestu okrętami wszelakiego rodzaju i na wszystkich dostrzegliśmy radosne zdumienie. Przeprawić się balonem przez Ocean nie jest bynajmniej taką trudną rzeczą! *Omne ignotum pro magnifico*<sup>2</sup>.

Uwaga. Na wysokości 25 000 stóp niebo wydaje się niemal czarne, a gwiazdy są najzupełniej widoczne: natomiast morze nie wydaje się wypukłe (jakby ktoś przypuszczał), lecz najzupełniej i najoczywiściej wklęsłe<sup>3</sup>.

*Poniedziałek, 8 kwietnia.* (Rękopis Mr Masona). Dziś rano mieliśmy znowu nieco kłopotu z trzpieniem aparatu popędowego, który trzeba będzie zupełnie przekształcić, gdyż zachodzi obawa groźniejszego wypadku – mówię o trzpieniu stalowym, nie zaś o śmigach. Tych nie potrzeba ulepszać. Wiatr, ostry i nieprzerwany, dał przez cały dzień od północnego wschodu; szczęście zatem zda się nam sprzyjać. Tuż przed dniem zaniepokoiły nas nieco jakieś głucho szmery i wstrząśnienia w balonie, połączone z nagłym zastojem maszyny. Zjawiska te wywołała rozprężność gazu, spowodowana wzmożeniem się ciepłoty atmosferycznej, oraz rozsypywanie się drobnych okruchów lodu, którymi okryła się sieć

podczas nocy. Zrzuciliśmy kilka butelek na statki przepływające pod nami. Zauważyłem, iż jedną z nich wyłowił wielki okręt – prawdopodobnie parowiec transportowy linii nowojorskiej. Próbowaliśmy odczytać jego nazwę, wszelako nie jesteśmy pewni, czy to nam się udało. Przez teleskop Mr Osborne’a dostrzegliśmy jakby słowo „Atalanta”. Jest obecnie północ; podążamy dalej pośpiesznie w kierunku niemal zachodnim. Morze fosforyzuje przedziwnie.

P.S. (Mr Ainswortha). Jest godzina druga po północy. O ile mogę sądzić, w powietrzu zalega cisza – wszelako trudno jest to określić, gdyż mkniemy wraz z tym powietrzem. Nie zmrużyłem oka, odkąd opuściliśmy Wheal-Vor, lecz nie mogę wytrzymać dłużej i muszę się zdrzemnąć. Powinniśmy być już w pobliżu wybrzeży amerykańskich.

*Wtorek, 9 kwietnia.* (Rękopis Mr Ainswortha). Pierwsza po południu. Przed nami roztaczają się niskie pobraża Karoliny Południowej! Wielkie zagadnienie rozwiązane. Przeprawiliśmy się przez Atlantyk – snadnie i łatwo przeprawiliśmy się balonem. Chwała Bogu! Któż odważy się teraz powiedzieć, że istnieją niepodobieństwa?

Tu dziennik się urywa. Wszelako Mr Forsyth zdołał jeszcze dowiedzieć się nieco od Mr Ainswortha o samym wylądowaniu. Panowała niemal martwa cisza, gdy podróżni ujrzeli po raz pierwszy wybrzeże. Niezwłocznie rozpoznali je obaj marynarze i Mr Osborne. Pan ten miał znajomości w Forcie Moultrie, więc natychmiast postanowiono wylądować gdzieś w pobliżu. Skierowano balon ku niskiemu brzegowi (skąd właśnie ustąpił przypływ, a piasek był zbity, gładki i przedziwnie nadający się do lądowania) i wyrzucono kotwiczkę, która zaryła się mocno od pierwszego rzutu. Mieszkańcy wyspy i fortu zbiegli się oczywiście, by zobaczyć balon; atoli dopiero z największą trudnością uwierzyli, iż podróż ta była przeprawą przez Atlantyk. Kotwiczka chwyciła się ziemi dokładnie o drugiej po południu; podróż trwała zatem siedemdziesiąt pięć godzin, a raczej nieco mniej, od jednego wybrzeża do drugiego. Wypadku groźniejszego nie było. Ani przez chwilę nie zachodziła obawa istotnego niebezpieczeństwa. Opróżnienia i zabezpieczenia balonu dokonano bez trudu. Kiedy z Charlestonu wysyłano kurierem rękopisy, które stanowią

podstawę niniejszego opowiadania, podróżni znajdowali się jeszcze w Forcie Moultrie. O ich dalszych zamierzeniach nic pewnego na razie nie wiadomo, przyrzekamy jednakże solennie naszym czytelnikom, iż dostarczymy jeszcze dodatkowych informacji bądź to w poniedziałek, bądź też najpóźniej następnego dnia.

Jest to niewątpliwie najbardziej zdumiewające i najważniejsze przedsięwzięcie, jakiego kiedykolwiek dokonał lub bodaj zamierzał dokonać człowiek. Byłoby rzeczą najzupełniej zbyteczną zastanawiać się nad przedziwnymi następstwami, jakie stąd mogą wyniknąć.

*Tłumaczył Stanisław Wyrzykowski*

<sup>1</sup> Jeu d'esprit (fr.) – igraszka umysłu (przyp. red.).

<sup>2</sup> Omne ignotum pro magnifico (łac.) – Wszystko nieznanne jest nadzwyczajne (przyp. red.).

<sup>3</sup> Mr Ainsworth nie zadał sobie trudu zrozumienia tego zjawiska, które tłumaczy się bardzo prosto. Lina zwisająca z wysokości 25 000 stóp prostopadle do powierzchni ziemi (lub morza), utworzyłaby prostopadłą trójkątą prostopadłego, którego podstawa sięgałaby od kąta prostego do widnokręgu, a przeciwprostokątna od widnokręgu do balonu. Wszelako 25 000 stóp wysokości jest prawie niczym w porównaniu z rozległością widoku. Innymi słowy, podstawa i przeciwprostokątna domniemanego trójkąta byłyby tak długie w porównaniu z prostopadłą, iż można by je uważać niemal za równoległe. Z tego powodu widnokrąg lotnika zda się znajdować na tym samym poziomie, co kosz balonu, ponieważ jednak punkt położony bezpośrednio pod nim wydaje się i jest istotnie w ogromnej głębokości, przeto odnosi się wrażenie, że punkt ten znajduje się również w ogromnej głębokości poniżej widnokręgu. Stąd wrażenie wklęsłości; wrażenie to pozostaje do chwili, kiedy wzniesienie w stosunku do rozległości widoku stanie się tak przeważające, iż pozorna równoległość podstawy i przeciwprostokątnej zaniknie; wówczas istotna wypukłość ziemi musi stać się widoczna (przyp. aut.).



# Zaesowanie agapitu

Ponieważ dobrze wiadomo, iż „mędracy” przybyli „ze Wschodu”, i ponieważ Pan Chwiejak Wartogłów również ze Wschodu przyjechał, przeto wynika stąd, że pan Wartogłów był mędrce; gdyby zaś dodatkowy dowód okazał się w tej mierze potrzebny, to go mamy: pan W. był wydawcą. Popędliwość stanowiła jedyną jego słabostkę, albowiem upór, o który go oskarżono, bynajmniej słabostką nie był, jako że on sam słusznie uważał go za swoją mocną stronę. Na tym polegała jego siła – jego cnota; i trzeba by całej logiki jakiegoś Brownsona, by go przekonać, iż jest to „cokolwiek innego”.

Wykazałem przeto, że Chwiejak Wartogłów był mędrce; raz jeden tylko jego nieomyślność zawiodła, a mianowicie wtedy, gdy porzuciwszy właściwą siedzibę wszystkich mędrców, czyli Wschód, przywędrował do miasta Aleksanderwielkopolis czy też innego o podobnej nazwie, położonego hen, na Zachodzie.

Muszę wszelako oddać mu tę sprawiedliwość, że kiedy ostatecznie postanowił osiedlić się w owym grodzie, uczynił to mniemając, iż w tej części kraju nie istnieje żadna gazeta, a co za tym idzie, i żaden wydawca. Zakładając pismo „Czajnik”, spodziewał się, że będzie miał wolne pole do popisu. Jestem przekonany, iż nigdy nie przyszłoby mu do głowy obrać sobie siedziby w Aleksanderwielkopolis, gdyby był świadom, że zamieszkuje tam pewien dżentelmen nazwiskiem John Smith (o ile dobrze pamiętam), który od lat wielu spokojnie obrastał w pierze, wydając i publikując „Gazetę Aleksanderwielkopolitańską”. Dlatego też pan Wartogłów znalazł się w Aleks... – powiedzmy, że „dla krótkości” nazwiemy to miasto: Kopolis – wyłącznie na skutek wadliwych informacji; skoro jednakże już tam się znalazł, postanowił utrzymać swoją opinię człowieka upar..., stanowczego i pozostać na miejscu. Jakoż

pozostał i zrobił jeszcze coś więcej: rozpakował swą tłocznię, czcionki itd. itp., wynajął pomieszczenie dokładnie na wprost „Gazety” i trzeciego rana po przyjeździe wypuścił pierwszy numer „Aleksan...”, to znaczy „Kopolitańskiego Czajnika” – tak bowiem, jeśli dobrze pomnę, brzmiała nazwa nowego pisma.

Artykuł wstępny – to przyznać muszę – był błyskotliwy, żeby nie powiedzieć: cięty. Specjalnie zajadłe atakował różne rzeczy w ogóle, co zaś się tyczy wydawcy „Gazety” w szczególności, to go tam pochlastano na sztuki. Niektóre uwagi Wartogłowa były doprawdy tak ogniste, że odtąd zawsze, chcąc nie chcąc, widziałem Johna Smitha, który wciąż jeszcze żyje, w istic salamandrowym świetle. Nie mogę porywać się na cytowanie *verbatim* wszystkich wypowiedzi z „Czajnika”, ale jedna z nich brzmiała, jak następuje:

O tak! O dobrze to dostrzegamy! O niezawodnie! Wydawca z przeciwka to geniusz. O rety! O Boże kochany – do czegoż ten świat zmierza? *O tempora! O Mozes!*

Filipika tak kostyczna i klasyczna zarazem spadła jak bomba na spokojnych dotychczas obywateli Kopolis. Grupki wzburzonych ludzi zbierały się na rogach ulic. Wszyscy wyczekiwali z najgłębszym niepokojem odpowiedzi czcigodnego Smitha. Nazajutrz ukazała się w brzmieniu następującym:

Z wczorajszego „Czajnika” cytujemy poniższy ustęp: „O tak! O dobrze to dostrzegamy! O niezawodnie! O rety! O Boże! *O tempora! O Mozes!*”. Ależ ten pan cały jest z „O” zrobiony! To nam wyjaśnia, dlaczego jego rozumowanie toczy się po błędnym kole, a także czemu ani on sam, ani to, co mówi, nie ma początku ni końca. Doprawdy nie sądzimy, by ten nieszczęśnik potrafił napisać choćby jeden wyraz niezawierający litery „O”. Ciekawe, czy to oowanie jest jego nawykiem? *À propos*, uciekł ze Wschodu w wielkim pośpiechu; czyżby i tam też tak oował? O! Jakież to żalosne!

Nie będę próbował opisać oburzenia pana Wartogłowa na te skandaliczne insynuacje. Wszelako powodowany troską o zewnętrzne

pozory nie zdawał się tak bardzo urażony atakiem na swoją uczciwość, jak można by się tego spodziewać. Do desperacji doprowadziły go drwiny z jego stylu. Co takiego? On, Chwiejak Wartogłów, nie umiałby napisać jednego wyrazu bez litery „O”? Zaraz pokaże temu szympansovi, że się pomylił. Tak, pokaże mu, jak bardzo się omylił, chłystek jeden! On, Chwiejak Wartogłów z Ropuchowa, nauczy tego pana Johna Smitha, że jeżeli mu się spodoba, potrafi złożyć cały ustęp – ba, artykuł cały! – w którym ta nędzna samogłoska nie pojawi się ani razu – ani jednego razu! Chociaż nie; to byłoby ugięciem się przed pomienionym Johnem Smithem. On, Wartogłów, nie poczyni w swoim stylu żadnych zmian, które miałyby stosować się do kaprysu jakiegokolwiek pana Smitha w całym chrześcijańskim świecie! Precz z tak nikczemną myślą! Niech żyje „O”! Wytrwa przy „O”. Będzie tak oowaty, jak to tylko możliwe.

Rozpłomieniony rycerskim duchem tej decyzji, wielki Wartogłów wystąpił w najbliższym numerze „Czajnika” z następującą prostą, lecz rezolutną wypowiedzią na temat tej nieszczęsnej sprawy:

Wydawca „Czajnika” ma zaszczyt powiadomić wydawcę „Gazety”, iż onze („Czajnik”) postara się w jutrzejszym numerze porannym przekonać jego („Gazetę”), że („Czajnik”) zarówno potrafi, jak i życzy sobie być panem własnego stylu. Zamierza bowiem („Czajnik”) ukazać mu („Gazecie”), jak wielką, a i zaiste miażdżącą wzgardę jego („Gazety”) krytyki budzą w niezależnym łonie („Czajnika”). Uczyni to, komponując na jego („Gazety”) specjalny benefis (?) dosyć obszerny artykuł wstępny, w którym ta piękna samogłoska – symbol Wieczności – tak przecie nieznośna dla jego („Gazety”) hiperwysubtelnionej wrażliwości, z całą pewnością nie będzie pominięta przez jego („Gazety”) najposłusznieszego i pokornego sługę, „Czajnika”. „Koniec z Buckinghamem!”<sup>1</sup>

Dopełniając tej strasznej groźby, raczej niejasno zapowiedzianej niż wyrzeczonej wyraźnie, wielki Wartogłów puścił mimo uszu wszelkie błagania majstra drukarskiego o „materiał”, kiedy zaś tenże (majster) zapewniał go („Czajnik!”), że czas najwyższy „dać numer pod prasę”, przekazał mu po prostu, by poszedł do diabła. Za czym – jak mówię, głuchy na wszystko wielki Wartogłów przesiedział do świtu, wypalając

olej swej nocnej lampy, pogrążony w komponowaniu następującego, prawdziwie nieporównanego ustępu:

„Hoho, Johnie! No co? Toż powiedziałem tobie: Nie wołaj: hop! dopóki nie skoczysz. Co to się z tobą zrobiło? No, no! Powracaj obecnie do domu, do twego paskudnego, starego boru opodal Concord. Powracaj do borów swoich, wiekowa sowa. Odejdź! Co takiego? Co to? Ochoty zabrakło? No, no, no, Johnie, to niegodne! Boć tobie wiadomo, jako pora odjechać. Odjeżdżaj przeto, a szybko, bo tu nie znalazłoby się nikogo, komu by na tobie zależało. O, Johnie, Johnie! O ile nie odejdiesz, to oznacza, żeś nie *homo*, tylko jakoweś ptactwo, sowa, może krowa albo maciora, ladaco, nicpoń, pożałowania godny starowina, nikomu do niczego niepotrzebny, kloc, sobaka, odyniec, ropucha, co wygramoliła się z concordzkiego błota. Chłodno, spokojnie! Tobie potrzeba spokoju, ciemiego! Nie próbuj pokrzykiwać, podstarzały kogucie! Po co to czoło namarszczone? Po co? Nie podnoś głosu, nie porykuj, nie skowycz, nie poszczekuj hou-hou-hou! Boże drogi, Johnie; co to się z tobą zrobiło? Toż powiedziałem tobie – wszelako dość twego głosu gęsio-koczkodańskiego! Odejdź utopić swoje zgryzoty w gorzałce!”

Wielki Wartogłów, wyczerpany, rzecz jasna, tak niesłychanym wysiłkiem, nie mógł już zająć się niczym więcej tej nocy. Ze stanowczością, spokojem, ale i wyrazem świadomej siły oddał manuskrypt czekającemu podręcznemu, za czym wrócił nieśpiesznie do domu i z niewypowiedzianą godnością położył się do łóżka.

Tymczasem podręczny, któremu powierzono manuskrypt, pognął jak najśpieszniej na górę, do swej kaszty, i z punktu zaczął składać tekst.

Przede wszystkim – jako że początkowy wyraz brzmiał: „Hoho” – zanurzył rękę w przedziałkę z dużym „H” i tryumfalnie wy dobył czcionkę. Uniesiony tym sukcesem, natychmiast rzucił się ze ślepym impetem na przedziałkę zawierającą małe „o” – ale któż zdoła opisać jego przestach, kiedy wyciągnął z niej palce zgoła nie dzierzące w uścisku spodziewanej litery? Któż odmaluje jego zdziwienie i pasję, gdy rozcierając knykcie

spostrzegł, że nadaremnie wyrzwał nimi o puste dno przedziałki? Nie było w niej ani jednego małego „o”, kiedy zaś zerknął z lękiem na tę, która zawierała duże „O”, stwierdził ku swej najwyższej zgrozie, że i ona jest kubek w kubek w identycznym stanie. Pierwszym odruchem przerażonego chłopaka było pognać do majstra.

– Panie majster! – wykrzyknął zdyszany. – Ani rusz nie mogę tego składać bez „o”.

– Jak to? – burknął majster, który był wściekły, że musi siedzieć do tak późna.

– Bo proszę pana majstra, w drukarni wcale nie ma „o”, ani dużych, ani małych!

– A co... co do diaska stało się z tymi, które były w kaszcie?

– Nie mam pojęcia, panie majster – odparł chłopak – ale jeden z tamtych z „Gazety” szwendał się tutaj przez cały wieczór i pewnie wszystkie zwędził.

– Niech go diabli! Na pewno tak było! – odrzekł majster, który zsiniał ze złości. – Ale powiem ci, co zrobić, Bob; dobry pomysł. Poleż tam przy pierwszej okazji i wyłów im wszystkie „i”, szlag by ich trafił, a także wszystkie „zety”.

– Dobra jest! – mruknął Bob, zmarszczywszy brwi. – Już ja się do nich wezmę i pokażę im, gdzie raki zimują; ale co teraz zrobić z tym agapitem? Musi iść dzisiaj, sam pan wiesz, bo inaczej bekniemy za to i...

– I człowiek nie łyknie ni krzynki czegoś gorącego – przerwał majster z głębokim westchnieniem, kładąc nacisk na słowo „krzynka”. – Czy to bardzo długi akapit, Bobie?

– Nie powiedziałbym, żeby był bardzo długi, ten agapit.

– No to rób z nim, co chcesz! Musi iść pod prasę – odparł majster, który był po uszy pogrążony w robocie. – Wsadź tam jakąś inną literę zamiast „o”, i tak nikt nie będzie czytał bredni tego faceta.

– Dobra! – zawołał Bob. – Jedziemy! – i pobiegł do kaszty, mruczając po drodze: – Fajne powiedzonko, szczególnie jak na kogoś, kto nie klnie. Więc mam im gały wyłupić, co? Niech ich wszyscy diabli! No, kto jak kto,

ale ja to potrafię! – bo trzeba stwierdzić, że Bob, chociaż miał lat zaledwie dwanaście i cztery stopy wzrostu, był zawsze gotów do bitki.

Opisana tu sytuacja bynajmniej nie należy do rzadkości w drukarniach; nie wiem, jak to tłumaczyć, ale fakt faktem, że kiedy przydarzy się coś podobnego, niemal zawsze używa się litery „s” w zastępstwie brakującej czcionki. Właściwym powodem jest może nadmiar tej litery w kasztach; przynajmniej tak bywało za dawnych czasów i owa zamiana przeszła drukarzom w nawyk. Jeżeli idzie o Boba, to uznałyby za herezję użycie w takim przypadku innej czcionki niż owo „s”, do którego się przyzwyczaił.

– Trzeba zaesować ten agapit – powiedział do siebie, odczytując go ponownie ze zdumieniem. – Ale to ci najbardziej oowaty agapit, jaki na oczy widziałem.

Jakoż zaesował go bez wahania i ustęp ów poszedł pod prasę zaesowany.

Następnego rana wszyscy mieszkańcy Kopolis zdumieli się, odczytując w „Czajniku” następujący niezwykły artykuł wstępny:

Hshs, Jshnie! Ns cs? Tsz pswiedziałem Tsbie: nie wsłaj: hsp! dspóki nie sksczysz. Cs ts się z tsbą zrsbił? Ns, ns! Pswracaj sbecnie, ds dsmu, ds twegs paskudnegs, staregs bsru spsdal Csncsrđ. Pswracaj ds bsrów swsich, wiekswa sswó. Sdejdź! Cs takięgs? Cs ts? Schsty zabrakłs? Ns, ns, ns. Jshnie, ts niegsdne! Bśc tsbie wiadsms, jaks psra sdjechać. Sdjeżdżaj przets, a szybks, bs tu nie znalazłsby się niksgs, ksmu by na tsbie zależał. S, Jshnie, Jshnie! S ile sdejdziesz, ts sznacza, żeś nie hsms, tylks jaksweś ptactws, sswa, msze krswa albs macisra, ladacs, nicpsń, pszałswania gsdny starswina, niksmu ds niczëgs nie pstrzebny, klsc, ssbaka, odyniec, rspucha, cs wygramslila się z csncsrđkiegs btsta. Chłsdns, spsksjnie! Tsbie pstrzeba spsksjju, ciemięgs! Nie prsbuj pskrzykiwać, psdstarzały ksgucie! Ps cs ts człs namarszczsne? Ps cs? Nie psdnsś głssu, nie psrykuj, nie skswycz, nie psszczekuj hsu-hsu-hsu! Bsze drsgi, Jshnie, cs ts się z tsbą zrsbił? Tsz pswiedziałem tsbie – wszelaks dsć twëgs głssu gęsis-ksczksdańskiegs! Sdejdź utspić swsje zgryzsty w gsrzałce!

Niepodobna wystawić sobie wrzawy, jaką wywołał ten tajemniczy i kabalistyczny artykuł. Pierwszą wyraźniejszą myślą gawiedzi było, że w owych hieroglifach kryje się jakiś podstęp szatański, toteż wszyscy pobiegli do siedziby Wartogłowa, chcąc się z nim rozprawić. Atoli pana tego nie można było nigdzie odszukać; zniknął nie wiedzieć jak, i odtąd nawet ducha jego nie ujrzano.

Ponieważ furia powszechna nie mogła wykryć swojego właściwego przedmiotu, więc w końcu opadła, pozostawiając jako osad niezwykle mętlik poglądów na tę nieszczęsną sprawę.

Pewien pan uważał, że to wszystko jest ni-S-lychanie udanym żartem.

Inny twierdził, że Wartogłów wykazał zaiste ni-S-amowitą fantazję.

Trzeci utrzymywał, że jest on S-kamoterem i nic więcej.

Czwarty zdołał się dopatrzeć jedynie tego, że ów jank-S pragnął tym sposobem dać ogólny wyraz swej d-S-peracji.

„Może raczej jest to z jego strony przykładem zostawionym potomnym w t-S-tamencie?” – zastanawiał się piąty.

Dla wszystkich było jasne, iż Wartogłowa doprowadzono do ostateczności, że zaś ani rusz nie mogli znaleźć tego wydawcy, zaczęto przebąkiwać, czyby nie zlinczować drugiego.

Pospolitszą atoli konkluzją było, że to wszystko jest wręcz prz-S-olone i ni-S-macne; nawet matematyk miejski wyznał, że ani rusz nie może się rozeznać w tak zawiłym problemie.

Do opinii Boba, podręcznego (który zamilczał o tym, że „zaesował agapit”), nie przywiązywano takiej wagi, na jaką moim zdaniem zasługiwała – i to pomimo że wypowiadał ją szczerze i nader nieustraszenie. Oświadczył mianowicie, że ze swej strony nie ma w tej całej materii najmniejszych wątpliwości, że jest to sprawa jasna, bo pana Wartogłowa „za nic nie można było namówić, żeby pił to, co każdy jeden; ustawicznie złopał ten zatracony porter, co się zwie Trzy S, i rzecz naturalna musiał na skutek tego wpaść w takie pi-S-kie zamroczenie, że ni-S-posób mu było się opamiętać”.

*Tłumaczył Bronisław Zieliński*

<sup>1</sup> „Koniec z Buckinghamem!” – słowa, których nadaremnie szukano w „Ryszardzie III” Szekspira; pochodzą one z aktu IV przeróbki Cibbera z 1700 r. pt.: „Tragiczna historia Ryszarda III” (przyp. tłum.).



# Kariera literacka

## JWP Fintiflucha Boba

**P**rzybywa mi po trochu lat, a ponieważ słyszałem, że Szekspir i p. Emmons nie żyją, kto wie, czy ja też w końcu nie umrę. Pomyślałem więc, że chyba wycofam się z życia literackiego i spocznę na laurach. Pragnąłbym jednak, składając pisarskie berło, pozostawić potomności jakąś cenną spuściznę. I pewnie zrobię najlepiej, jeżeli opiszę dzieje własnej kariery. Publiczność od tak dawna i tak często spotykała moje nazwisko, że nie tylko nie dziwię się zainteresowaniu, jakie ono wszędzie budzi, lecz co więcej, gotów jestem zaspokoić palącą ciekawość, jaką roznieca ono w umysłach ludzkich. Bo prawdę mówiąc, ten, kto osiąga wielkość, u schyłku życia winien pozostawić za sobą drogowskazy mogące innych powieść ku chwale. Postanowiłem tedy w niniejszej pracy (którą nazwę chyba *Przyczynkami do historii literatury amerykańskiej*) podać wyczerpujący opis owych jakże ważkich, acz chwiejnych i nieudolnych pierwszych kroków, które stawiałem na drodze wiodącej na szczyty ludzkiej sławy.

Zbytecznym jest wspominać o bardzo odległych przodkach. Mój ojciec, JWP Tomasz Bob, był przez wiele lat luminarzem swojej profesji, czyli dżentelmenem-golibrodą w Filistrogrodzie. Jego zakład stał się celem pielgrzymek co znakomitszych osobistości tego miasta, zwłaszcza zaś personelu miejscowych redakcji, które to ciała napawają wszystkich dokoła uczuciem najgłębszej czci i szacunku. Jeśli o mnie idzie, spoglądałem na panów redaktorów niczym na bogów i chciwie spijałem mądrość i dowcip obficie płynące z ich czcigodnych ust podczas czynności

zwanej „namydleniem”. Pierwsze drgnienie poetyckich natchnień poczułem w owej pamiętnej epoce, kiedy w przerwach ważkiej a przed chwilą wspomnianej czynności znakomity redaktor miesięcznika „Giez” recytował wobec audytorium złożonego z naszych balwierskich uczniów niezrównaną *Odę do Jedynej Prawdziwej Pomady do Włosów Boba* (nazwanej tak od jej utalentowanego wynalazcy, mojego ojca), za które to wielosłowe dzieło firma Tomasz Bob i S-ka nagradzała wydawcę czasopisma „Giez” z istic królewską szczodrością.

Powtarzam, że pierwszy boski *afflatus*<sup>1</sup> tchnęły we mnie genialne strofy opiewające Pomadę Boba. Rzekłem sobie natychmiast, że zostanę wielkim człowiekiem, na początek zaś osiągnę laury wielkiego poety. Tegoż jeszcze wieczora padłem ojcu do nóg.

– Ojcze – zawołałem – wybac mi, lecz moja dusza wzlata ponad balwierskie mydło. Postanowiłem nieodwołalnie porzucić twój zakład. Zostanę redaktorem, zostanę poetą, będę pisał strofy na cześć Pomady Boba. Wybac mi i pomóż stać się wielkim.

– Drogi mój Fintifluchu – odparł ojciec (nazwano mnie tak po pewnym naszym bogatym krewniakku tegoż imienia). – Drogi mój Fintifluchu – odparł mój ojciec podnosząc mnie za uszy z klęczek – Fintifluchu, mój chłopcze, wielki z ciebie pocziwiec, a na dodatek w tym jesteś podobny do ojca, że masz duszę. Masz także ogromną głowę, w której musi być chyba kupa rozumu. Zauważyłem to już dawno i dlatego przemyślałem, żeby zrobić z ciebie adwokata. Ale ten zawód zeszedł ostatnio na psy, a znów zawód polityka nie popłaca. Zważywszy wszystko, słusznie postanowił – rzemiosło dziennikarskie będzie najlepsze. A gdybyś jednocześnie mógł być poetą, jak zresztą większość redaktorów, ubiłbyś dwa ptaszki jednym kamieniem. Dla zachęty na tej nowej drodze otrzymasz ode mnie, synu, poddasze, pióro, atrament, słownik i egzemplarz miesięcznika „Giez”. Nie wydaje mi się, żebyś mógł żądać więcej.

– Gdybym żądał, byłbym niewdzięcznikiem! – wykrzyknąłem żarliwie.  
– Twoja hojność jest bezgraniczna. Odpłacę ci, czyniąc cię ojcem geniusza.

Tak oto skończyła się moja rozmowa z tym najlepszym z ludzi, a zaledwie się skończyła, podjąłem poetycką działalność, jako że z nią łączyłem najwyższe nadzieje wyniesienia się na redaktorski stolec.

W pierwszych usiłowaniach twórczych *Oda do Pomady Boba* była mi bardziej zawadą niż pomocą. Wspaniałość jej strof raczej oślepiła, niż oświecała. Kontemplacja wybornych zalet tego dzieła naturalną kolejną rzeczą odbierała mi otuchę już choćby przez samo porównanie z moimi własnymi nieudolnymi próbami, tak że trudiłem się nadaremno. W końcu przyszedł mi do głowy pomysł zachwycająco oryginalny – jedna z tych myśli, jakie rozświetlają niekiedy umysł genialnego człowieka. Oto na czym się zasadzał ów pomysł, a raczej – oto jak go urzeczywistniłem. Spomiędzy szpargałów w nędznym kramie z książkami w bardzo odległej dzielnicy miasta wybrałem kilka ksiąg starych i najzupełniej nieznanych. Księgarz sprzedał mi je za bezcen. Z jednej z nich, zawierającej przekład *Piekle* niejakiego Dantego, przepisałem z nadzwyczajną starannością długi urywek o człowieku nazwiskiem Ugolino, który miał kupę dzieciaków. Z drugiej, która zawierała dużo starych sztuczydeł napisanych przez kogoś tam (nazwiska nie pamiętam), przepisałem z nie mniejszą starannością i uwagą mnóstwo wierszy o „aniołach”, „potępieńcach” i „sługach Pańskich”. Z trzeciej, którą skomponował jakiś tam stary ślepiec – Grek albo może czerwonoskóry, nie można przecież wymagać, abym pamiętał każdy bagatelny drobiazg – wyciągnąłem z pięćdziesiąt wierszy o „gniewie Achilla” i „tłuszczach baranich”, i jeszcze czymś tam. Wreszcie z czwartej, którą, jak sobie przypominam, też napisał człowiek ślepy, wybrałem stroniczkę czy dwie, gdzie autor w kółko opisywał „grad” i „święte światło”. A chociaż trochę to śmieszne, żeby ślepiec pisał o świetle, to jednak wiersze były na swój sposób niezgorsze.

Skopiowawszy więc starannie wszystkie te poematy, podpisałem je „Oppodeldok” (nadzwyczajnie dźwięczne imię), włożyłem każdy do oddzielnej koperty i wysłałem po jednym do czterech najpoczytniejszych czasopism w mieście, z prośbą o rychłe zamieszczenie i równie rychłą wypłatę honorarium. Ale rezultat tego doskonałego skądinąd planu

(którego powodzenie zaoszczędziłoby mi wiele trudów w życiu) przekonał mnie, że niektórych redaktorów nie sposób okpić. Zadali oni *coup de grace*<sup>2</sup> (jak się to mówi we Francji) moim kielkującym nadziejom (jak się to mówi w mieście transcendentalizmu).

Tak czy inaczej, wszystkie razem i każde z osobna wspomniane wyżej pisma złożyły „panu Oppodeldokowi” skórę w rubryce zatytułowanej „Odpowiedzi Korespondentom”. „Koszałki-Opałki” tak się z nim rozprawiły:

Oppodeldok (kimkolwiek on jest) przysłał nam długą tyradę opisującą jakiegoś pomyleńca imieniem Ugolino. Człowiek ów miał furę dzieci, z których każde powinno było dostać tęgie baty i pójść do łóżka bez kolacji. Cała powiastka jest nieciekawa – aby nie rzecz nudna. Oppodeldok (kimkolwiek on jest) odznacza się niespotykanym wprost brakiem wyobraźni, wyobraźnię zaś naszym skromnym zdaniem uznać należy zarówno za duszę, jak i za serce poezji. Bezczelny ów Oppodeldok nie tylko przysłał nam swoje brednie, ale ponadto zażądał, abyśmy „rychło je zamieścili i równie rychło wypłacili mu honorarium”. Otóż my ani nie zamieszczamy, ani nie kupujemy takiego śmiecia. Nie wątpimy wszelako, że Oppodeldok znajdzie chętnych odbiorców dla swoich bazgrołów w redakcjach „Krzykacza”, „Lizaka” lub „Gęsiego Gęgania”.

Trzeba przyznać, że „Koszałki-Opałki” surowo osądziły Oppodeldoka, lecz ciosem najboleśniejszym było to, że POEZJA wydrukowana została małymi czcionkami. Jakież morze goryczy kryje w sobie tych pięć najważniejszych w świecie liter!

Ale „Krzykacz” ukarał Oppodeldoka z nie mniejszą surowością. Oto, co się ukazało w tym piśmie:

Otrzymałaliśmy zdumiewający a impertynencki list od osoby (kimkolwiek ona jest) podpisującej się „Oppodeldok”, czym bezcześci wielkość cesarza rzymskiego, który nosił to właśnie imię. Wraz z listem Oppodeldok (kimkolwiek on jest) przysłał nam kilkadziesiąt wierszy

ohydnych i pozbawionych sensu wycopin o „aniołach i sługach Pańskich” – wycopin tak nędznych, że tylko półgłówek w rodzaju Nata Lee lub Oppodeldoka mógł być je poronić. I za te śmiecie nad śmieciami mamy „rychło wypłacić honorarium”! Nie, drogi panie! My nie płacimy za takie rzeczy! Niech się pan zwróci do „Koszałek-Opalek”, „Lizaka” lub „Gęsiego Gęgania”. Te periodyki przyjmą bez wątpienia każdą literacką nędzotę i bez wątpienia przyrzekną za nią zapłacić.

Biednemu Oppodeldokowi mocno się dostało, ale jak widać, ostrze satyry wymierzone jest tu przede wszystkim w „Koszałki-Opalki”, „Lizaka” i „Gęsie Gęganie”, które nazwane zostały uszczypliwie periodykami (i to spacją) – co musiało zabołec je do żywego.

Niewiele mniej napastliwy okazał się „Lizak”, który tak wywoził:

Jakieś indywiduum, które upodobało sobie imię Oppodeldok (do jakże nędznych celów używane bywają imiona naszych wielkich zmarłych!), przysłało nam kilkadziesiąt wierszy zaczynających się od słów:

Gniew Achilla Pelidy wyśpiewaj, bogini,  
Zgubny, co cierpień tyle... itd. itd. itd.

Otóż zawiadamiamy uprzejmie Oppodeldoka (kimkolwiek on jest), że każdy chłopak na posyłki w naszej redakcji co dzień komponuje lepsze wierszydła. Utwór Oppodeldoka urąga wszelkim zasadom metryki. Oppodeldok powinien nauczyć się liczyć. Ale jakim cudem przyszło mu do głowy, że my (spośród wszystkich innych my właśnie!) zechcemy kalać nasze szpalty tak niewysłowioną brednią – rzecz ta przechodzi wszelkie pojęcie! Przecież te bezsensowne androny nie nadają się nawet do „Krzykacza”, „Koszałek-Opalek” czy „Gęsiego Gęgania” – pism, które drukują *Piosneczki Gęsiej Mateczki* jako oryginalne liryki. A co więcej, Oppodeldok (kimkolwiek on jest) dopuszcza się takiej bezczelności, że żąda pieniędzy za swoje banialuki. Czy Oppodeldok (kimkolwiek on jest)

wie – czy zdaje sobie sprawę, że nie wydrukowalibyśmy tego paskudztwa, choćby nam za to płacono?

Czytając powyższe, czułem, jak powoli robię się mniejszy i mniejszy, aż gdy w końcu doszedłem do zdania, w którym redaktor „Lizaka” nazwał poemat wierszydłem, pozostała ze mnie co najwyżej jedna uncja. Jednocześnie serce drgnęło mi litością dla tego biedaka Oppodeldoka. Ale „Gęsie Gęganie” okazało się bardziej jeszcze – jeżeli to możliwe – bezlitosne od „Lizaka”. Oto co przeczytałem w tym piśmie:

Nędzny rymopis, który podpisuje się imieniem Oppodeldok, wyobraża sobie naiwnie, że wydrukujemy i zapłacimy za pozbawione smaku, niegramatyczne i bombastyczne wierszydło, które nam przysłał, a które zaczyna się od tych oto zdumiewająco jasnych słów:

Witaj, święte światło<sup>3</sup>, dziecię niebios pierwородne!...

Powtarzamy – „zdumiewająco jasne słowa”! Może Oppodeldok (kimkolwiek on jest) raczy nam łaskawie wyjaśnić, jak „grad” może być „świętym światłem”? Grad uważaliśmy dotąd za zamarznąty deszcz. Czy Oppodeldok zechce nas także poinformować, jak zamarznąty deszcz może być jednocześnie „świętym światłem” (cokolwiek to oznacza) i „dziecięciem”, który to termin (jeżeli znamy język angielski) poprawnie bywa użyty jedynie w odniesieniu do niemowląt w wieku mniej więcej sześciu tygodni? Ale byłoby niedorzecznością rozwodzić się dłużej nad tymi andronami – chociaż Oppodeldok (kimkolwiek on jest) w bezprzykładnym swoim zuchwalstwie ośmiela się przypuszczać, że nie tylko wydrukujemy jego bełkot, lecz także (koniecznie!) wypłacimy mu honorarium.

Ach, to wspaniałe, to cudowne! Prawie że mielibyśmy ochotę ukarać młodego zarozumialca, drukując te bzdury *verbatim* i *literatim*, jak wyszły spod jego pióra. Nie moglibyśmy wymierzyć mu kary sroższej i

wymierzylibyśmy ją z pewnością, gdyby nie obawa, że na śmierć zanudzimy czytelników.

Niech Oppodeldok (kimkolwiek on jest) wysyła wszelkie następne swoje kompozycyjkę do „Koszałek-Opałek”, „Lizaka” lub „Krzykacza”. Oni tam zamieszczą je z pewnością. Oni co miesiąc drukują podobne paskudztwa. Niech im wyśle. MY nie pozwolimy znieważać się bezkarnie.

Ten cios mnie dobił. Jeśli zaś idzie o „Koszałki-Opałki”, „Krzykacza” i „Lizaka” – doprawdy nie rozumiem, jak zdołały to przeżyć. „Gęsie Gęganie” wydrukowało „oni” najmniejszą czcionką (insynuując w ten sposób złośliwie, że pisma te są czymś lichym i miernym), podczas gdy MY spoglądało w dół na „oni” z wysokości swoich gigantycznych wielkich liter! O goryczy, o udręko, o boleści takiego ciosu! Gdybym był którymś z tych czasopism, niechybnie pociągnąłbym „Gęsie Gęganie” do odpowiedzialności sądowej. Dałoby się to zrobić na mocy ustawy o ochronie zwierząt. Co do Oppodeldoka (kimkolwiek on jest) – miałem go już powyżej uszu i wyzbyłem się wszelkiej dla niego litości. Jegomość ów (kimkolwiek on jest) dowiódł swej bezgranicznej głupoty i otrzymał cięgi, jakie mu się słusznie należały.

Wynik eksperymentów ze starymi książkami po pierwsze przekonał mnie, że „uczciwość najlepiej popłaca”, po drugie zaś dowiódł mi, że jeśli nie potrafię pisać lepiej niżli p. Dante, dwaj ślepcy i inni tego rodzaju staruchowie, to w każdym razie niełatwo przyjdzie mi pisać od nich gorzej. Przeto z otuchą w sercu postanowiłem stworzyć coś „najzupełniej oryginalnego” (jak to piszą na okładkach magazynów), choćby nie wiem jak wiele miało mnie to kosztować pracy i wysiłków. Sięgnąłem więc znów po olśniewające strofy *Pomady Boba* pióra redaktora pisma „Giez” i trzymając je przed oczyma jako niedościgły wzór, zacząłem tworzyć odę na ten sam wzniosły temat.

Z pierwszym wierszem nie miałem właściwie żadnych kłopotów. Oto jego brzmienie:

*Napisać odę do Pomady Boba.*

Ale wyszukawszy w słowniku wszystkie prawidłowe rymy do „Boba”, przekonałem się z rozpaczą, że nie ruszę ani kroku dalej. W tym trudnym momencie z pomocą przyszedł mi ojciec. Po kilku godzinach dojrzałych namysłów stworzyliśmy wspólnie taki oto poemat:

*Napisać odę do Pomady Boba*

*To rzecz nie dla nieroba.*

*Prawdę tę przyjmijcie od*

(-) SNOBA

Oczywiście dzieło to nie należało do najdłuższych, ale „miałem się jeszcze nauczyć”, jak powiada „Przegląd Edynburski”, że długość literackiej kompozycji nie stoi w żadnym stosunku do jej wartości. Jeśli zaś idzie o brednie tego kwartalnika na temat „poniesionego wysiłku” – słów tych i tak nikt nie zdoła zrozumieć. Ogólnie rzecz biorąc, byłem zadowolony z wyniku moich dziewiczych usiłowań, teraz zaś wszystko sprowadzało się do pytania, gdzie utwór ten zamieścić. Ojciec proponował, abym wysłał go do „Gza”, ale przemawiały przeciwko temu dwa względy. Obawiałem się zawiści redaktora, ponadto zaś słyszałem, że nie płaci on za debiuty. Dlatego po głębokim namyśle powierzyłem poemat szpaltom godniejszym, czyli czasopismu „Lizak”, i oczekiwałem odpowiedzi z lękiem, acz nie bez rezygnacji w sercu.

Już w następnym numerze ujrzałem – ku wielkiej dumie i nie mniejszej satysfakcji – mój utwór wydrukowany bez skrótów, na pierwszym miejscu pierwszej strony. Towarzyszyły mu poniższe ważne słowa, wypisane kursywą i ujęte w nawias:

*(Zwracamy uwagę naszych czytelników na zachwycający poemat o Pomadzie Boba. Zbędnym byłoby podkreślać jego wzniosłość czy patos – przy czytaniu lży same cisną się do oczu. Ci, których chwytają mdłości od emetyku napisanego gęsim zaiste piórem na ten sam temat przez redaktora „Gza” - ci, powtarzamy, zrobią dobrze porównując oba utwory.*



*P.S. Pożera nas pragnienie przeniknięcia tajemnicy, która spowija pseudonim Snob. Czy możemy liczyć na osobiste spotkanie?)*

Wszystko to było zaledwie oddaniem mi sprawiedliwości, lecz wyznaję, że jednocześnie przeszło moje oczekiwania – wyznaję to, zważcie, na wieczną hańbę mej ojczyzny i całej ludzkości. Nie zwlekając, udałem się tedy do redaktora „Lizaka” i na szczęście zastałem go w domu. Dzentelmen ów przywitał mnie z oznakami głębokiego szacunku, zaprawionego iście ojcowską i opiekuńczą admiracją, do której skłaniał go zapewne mój wygląd młodociany i niedoświadczony. Poprosiwszy mnie, abym usiadł, natychmiast zaczął mówić o moim poemacie; tylko skromność wzbrania mi przytoczyć tysięczne komplementy, jakimi mnie obsypał. Jednakże pochwały pana Kraba (tak bowiem nazywał się redaktor) nie były przesadne i bezkrytyczne. Przeprowadził on szczerą i gruntowną analizę mojego utworu i nie zawahał się wytknąć mi tu i ówdzie kilku drobnych usterek, dzięki czemu niepomierne wzrósł w moich oczach. Naturalnie „Giez” wywleczony został na tapetę i ach – obym nigdy nie naraził się na krytykę tak wnikliwą i naganę tak chłoszczącą, jak krytyka i nagana, których pan Krab nie szczędził nieudalej kompozycji zamieszczonej w tym piśmie. Przywykłem uważać redaktora „Gza” za istotę bez mała nadludzką, lecz teraz pan Krab otworzył mi oczy. Przedstawił we właściwym świetle zarówno charakter, jak i osobowość pisarską Gza (tak z ironią nazywał samego redaktora konkurencyjnego pisma). Według słów pana Kraba Giez był taki, jak się tego należało spodziewać. Pisywał najohydniejsze obrzydlistwa. Był wierszorobem i bufonem. Był łotrem. Skomponował tragedię, nad którą cały kraj trząsał się ze śmiechu, oraz farsę, która pograżyła cały wszechświat we łzach. Ponadto w bezgranicznym swoim zuchwalstwie posunął się aż do tego, że ogłosił paszkwil na pana Kraba i z całą bezczelnością nazwał go „osłem”. Pan Krab zapewnił mnie, że jeśli zechcę kiedykolwiek wyrazić swoją opinię o Gzie, będę mógł bez żadnych ograniczeń korzystać z łamów „Lizaka”. Tymczasem zaś, ponieważ jest to bardziej niż prawdopodobne, że Giez zaatakuje mnie za ogłoszenie

kompozycji rywalizującej z jego *Odą do Pomady Boba*, on (pan Krab) zobowiązuje się strzec moich interesów prywatnych i osobistych. Jeżeli natychmiast nie zdoła zrobić ze mnie człowieka, nie będzie to jego (pana Kraba) wina.

W tym miejscu pan Krab przerwał swój dyskurs (którego części ostatniej żadną miarą nie mogłem zrozumieć), więc napomknąłem nieśmiało o honorarium za moją odę. Miałem prawo spodziewać się godziwej zapłaty na podstawie ogłoszenia zamieszczonego na okładce „Lizaka”, w którym ów („Lizak”) stwierdzał, że „żąda zawsze od autorów przywileju wypłacania im wygórowanych honorariów za wszystko, co ukazało się drukiem, oraz że płaci niekiedy więcej za jeden krótki poemat, niż wydają na te cele «Koszałki-Opałki», «Krzykacz» i «Gęsie Gęganie» w ciągu całego roku”.

Gdy wymieniłem słowo „honorarium”, pan Krab najpierw bardzo szeroko otworzył oczy, a potem bardzo szeroko otworzył usta, dzięki czemu upodobił się do ogromnie wzburzonej, starszawej, kwaczącej kaczki, i w tym stanie trwał (od czasu do czasu przyciskając dłonie do czoła ruchem wyrażającym niepomierne zdumienie), dopóki nie skończyłem mówić.

Wtedy opadł na oparcie fotela, jak gdyby całkiem stracił siły, i bezwiednie opuścił ręce, lecz usta wciąż trzymał otwarte na podobieństwo kaczki. I gdy ja obserwowałem w osłupieniu te niepokojące objawy, on nagle zerwał się na nogi i podbiegł do dzwonka zawieszzonego na sznurze; ale gdy go dopadł, zmienił widocznie zamiary (jakikolwiek one były), dał nagle nura pod stół i natychmiast wyłonił się z kijem w ręku. Lecz gdy podniósł ów kij w górę (nie mam doprawdy pojęcia, w jakim celu), raptem dobrotliwy uśmiech wypłynął mu na twarz. Jeszcze sekunda i pan Krab spokojnie siedział w fotelu.

– Drogi panie – rzekł – pan musi być chyba bardzo młody? Chyba bardzo?

Przyznałem, wyjaśniając, że nie mam jeszcze lat piętnastu.

– Ach, świetnie! – zawołał. – Teraz wszystko rozumiem, nie potrzebuje pan dodawać nic więcej! Ale wróćmy do sprawy pańskiego honorarium.

To, co pan rzekł przed chwilą, jest bardzo słuszne, po prostu nadzwyczajnie słuszne. Tylko że... ach... och... nasze czasopismo nie ma zwyczaju płacić za pierwsze zamieszczone dzieło. Pan mnie zrozumiał, he? Prawdę mówiąc, w takim przypadku my jesteśmy stroną otrzymującą – (kładąc nacisk na słowie „otrzymującą” pan Krab uśmiechnął się uprzejmie). – Przeważnie otrzymujemy pieniądze za publikowanie debiutów, zwłaszcza pisanych wierszem. A ponadto, drogi panie, nasze czasopismo przestrzega zasady niewyzbywania się tego, co we Francji zwiemy *argent comptant*<sup>4</sup>. Pewien jestem, że mnie pan zrozumiał. Po upływie kwartału lub dwóch – względnie roku lub dwóch – od daty ogłoszenia dzieła bez najmniejszych sprzeciwów zobowiązujemy się zapłacić honorarium w terminie miesiący dziewięciu, pod warunkiem wszelako, że tak zdołamy wszystko urządzić, abyśmy mogli mieć pewność oczekującego nas bankructwa w terminie miesiący sześciu. Jestem głęboko przekonany, drogi panie, że to wyjaśnienie w zupełności pana zadowoli. – Tu pan Krab umilkł i tylko łza błyszczała mu w oku.

Szczerze zmartwiony, iż stałem się – jakkolwiek niezamierzenie – przyczyną bóleści człowieka tak znakomitego i o duszy tak wrażliwej, przeprosiłem go jak najspieszniej i nie omieszkałem zapewnić, że podzielam jego poglądy i rozumiem doskonale, w jak trudnym znajduje się położeniu. Zamknąwszy powyższe w bardzo zgrabnych słowach pożegnałem go i odszedłem.

A potem pewnego pięknego poranka „obudziłem się człowiekiem sławnym”. Rozmiar mojej sławy najlepiej zilustrują opinie prasy z tego dnia. Opinie te, zawarte, jak się za chwilę okaże, w recenzjach omawiających numer „Lizaka” z moim poematem, były pochlebne, utrzymane w tonie stanowczym i jasne – prócz może jednych tajemniczych hieroglifów „15.IX. – ogł. płatn.” umieszczonych na końcu każdej z nich.

„Sowa”, dziennik ceniony za swoją niezgłębianą mądrość i stateczną powagę literackich osądów – „Sowa”, powtarzam, stwierdziła, co następuje:

„Lizak”! Październikowy numer tego zachwycającego czasopisma prześcignął wszystkie dotychczasowe edycje i jest groźnym wyzwaniem dla pism konkurencyjnych. Jeśli idzie o doskonałość czcionki i papieru, o ilość i zalety niezrównane stalorytów, o wartość literacką treści, „Lizak” tak się różni od swoich zacofanych rywali, jak Hyperion różni się od Satyra. „Koszałki-Opałki”, „Krzykacz” i „Gęsie Gęganie” przewyższają go, to prawda, w bezczelnej chełpliwości, lecz pod wszystkimi innymi względami – niech żyje „Lizak”! Nie pojmujemy, jak to znakomite czasopismo może podolać swoim potwornym wydatkom! Co prawda jego nakład wynosi sto tysięcy egzemplarzy, ilość zaś prenumeratorów wzrosła w ciągu ostatniego miesiąca o dwadzieścia pięć procent, lecz z drugiej strony „Lizak” wypłaca z tytułu honorariów sumy wprost astronomiczne. Podobno pan Szczwanosiół otrzymał aż trzydzieści siedem i pół centa za swój niezrównany esej *O Świniach*. Pod kierownictwem redaktora tak znakomitego, jak pan KRAB, i przy współpracy ludzi tej miary, co SNOB i Szczwanosiół. „Lizak” może się nie lękać bankructwa. Zaabonujcie bezzwłocznie „Lizaka”. 15.IX. – ogł. płatn.

Przyznaję, że pochlebna notatka w piśmie tak szacownym jak „Sowa” dała mi duże zadowolenie. Umieszczenie mojego nazwiska – a raczej *nom-de-guerre*<sup>5</sup> – przed nazwiskiem wielkiego Szczwanosiła potraktowałem jako komplement miły i ze wszech miar słuszny.

Następnie moją uwagę przyciągnął artykuł w „Ropusze”, dzienniku cenionym ogólnie za prawość i niezależność poglądów, a ponadto brzydzącym się pochlebstwami i służalczością względem tych, co zapraszają na obiady. Oto, co przeczytałem w „Ropusze”:

Październikowy numer „Lizaka” ukazał się przed innymi czasopismami tego rodzaju i, rzecz jasna, prześciga je zarówno ozdobnością szaty zewnętrznej, jak i bogactwem literackiej treści. Przyznajemy, że „Koszałki-Opałki”, „Krzykacz” i „Gęsie Gęganie” przewyższają go w Bezczelnej chełpliwości, ale pod wszystkimi innymi względami – niech żyje „Lizak”! Nie pojmujemy, w jaki sposób to znakomite pismo może podolać swoim potwornym wydatkom. Wprawdzie

jego nakład wynosi dwieście tysięcy egzemplarzy, liczba zaś prenumeratorów wzrosła o jedną trzecią w ciągu ostatnich dwóch tygodni, lecz z drugiej strony „Lizak” wypłaca z tytułu honorariów sumy wręcz kolosalne. Dowiedzieliśmy się, że pan Bełkotek otrzymał aż pięćdziesiąt centów za swoje niedościgłe *Treny Żałobne nad brzegiem Kałuży*.

Pomiędzy nazwiskami autorów prac zamieszczonych w tym numerze widzimy (prócz pana KRABA, znakomitego wydawcy) ludzi tej miary, co SNOB, Szczwanosioł i Bełkotek. Jeżeli nie brać pod uwagę artykułu redakcyjnego, dziełem według nas najcenniejszym jest *Oda do Pomady Boba*, poetycki klejnot pióra SNOBA. Niech jednak nasi czytelnicy nie wnoszą mylnie z tytułu tego niezrównanego *bijou*<sup>6</sup>, że jest ono w najmniejszym bodaj stopniu podobne do gryzmołów na ten sam temat spledzonych przez pewne obmierzłe indywiduum, którego nazwisko samym swoim dźwiękiem obraża uszy. Ten poemat o Pomadzie Boba wzniecił powszechną ciekawość i zainteresowanie dla osoby posługującej się pseudonimem SNOB. Otóż szczęśliwym trafem ciekawość tę możemy zaspokoić. SNOB jest to *nom-de-plume*<sup>7</sup> pana Fintiflucha Boba, obywatela naszego miasta i krewniaka wielkiego Fintiflucha (na którego cześć nosi swoje imię), człowieka spokrewnionego z najznakomitszymi rodami w naszym Stanie. Ojciec pana Fintiflucha Boba, JWP Tomasz Bob, jest zamożnym kupcem w Filistrogradzie. 15.IX. – ogł. płatn.

Ta szczodra pochwała wzruszyła mnie aż do łez, zwłaszcza że pochodziła ze źródła tak krystalicznie, tak przysłowiowo czystego jak „Ropucha”. Termin „gryzmoły” na określenie *Pomady Boba* drukowanej w „Gzie” wydał mi się zjadliwy, acz nader właściwie użyty. Natomiast słowa „klejnot” i *bijou* w odniesieniu do mojego dzieła sprawiły na mnie wrażenie trochę jakby bladych. Brakowało im wyrazu. Nie były *prononcés*<sup>8</sup> (jak mówimy we Francji).

Zaledwie skończyłem czytać „Ropuchę”, a już jakiś przyjaciel wsunął mi do ręki egzemplarz „Kreta”, dziennika poważanego za nadzwyczajną bystrość postrzegania i za otwarty, uczciwy ton artykułów redakcyjnych,

w których wywlekano na światło dzienne najskrytsze prawdy. Oto co „Kret” napisał o „Lizaku”:

Otrzymaliśmy przed chwilą październikowy numer „Lizaka” i na wstępie musimy stwierdzić, że nie zdarzyło się nigdy, aby pojedynczy numer jakiegoś czasopisma przyczynił nam tak wiele niewysłowionej radości. Mówimy to po głębokim namyśle. Niechże się „Koszałki-Opalki”, „Krzykacz” i „Gęsie Gęganie” dobrze mają na baczności. Co prawda, jeśli idzie o ordynarność i pretensjonalność, piśmidła te są niedoścignione, ale pod wszystkimi innymi względami – niech żyje „Lizak”! Nie pojmujemy, w jaki sposób znakomite to czasopismo może podołać swoim potwornym wydatkom. Wprawdzie jego nakład wynosi trzysta tysięcy egzemplarzy, liczba zaś prenumeratorów wzrosła o połowę w ciągu ostatniego tygodnia, lecz z drugiej strony „Lizak” wypłaca z tytułu honorariów sumy wręcz astronomiczne. Doniesiono nam z najzupełniej pewnego źródła, że pan Szarlatańczyk otrzymał aż sześćdziesiąt dwa i pół centa za swoje patriotyczne opowiadanie pod tytułem *Ścierka do talerzy*.

Autorami prac zamieszczonych w tym numerze są: pan KRAB (znakomity redaktor), SNOB, Bełkotek, Szarlatańczyk i inni. Aby już nie wspominać o niezrównanych utworach samego redaktora, najbardziej nam się podoba szlachetna niczym brylant kompozycja młodego poety używającego pseudonimu SNOB, które to nom-de-guerre w naszym przekonaniu zaćmi niebawem blask imienia BOZ-a. Jak się dowiadujemy, SNOB w życiu prywatnym to JWP FINTIFLUCH BOB, jedyny dziedzic fortuny JWP Tomasza Boba, bogatego kupca, a także bliski krewniak poważanego przez ogół JWP Fintiflucha. Zachwycający poemat pana B. nosi tytuł *Pomada Boba*, co naszym zdaniem jest okolicznością niezbyt fortunną, jako że pewien nędzny włóczęga związany z brukowymi piśmidłami w naszym mieście wzbudził niesmak czytelników ohydny bełkotem na ten sam wzniosły temat. Nie ma jednak obawy, aby ktokolwiek mógł pomylić te dwie kompozycje. 15.IX. – ogł. płatn.

Ów pean pochwalny pisma obdarzonego tak byстрыm spojrzeniem na rzeczy jak „Kret” doprawdy mnie zachwycił. Zgłosić bym mógł to jedynie zastrzeżenie, że termin „nędzny włóczęga” należało raczej zastąpić wymowniejszym określeniem „odrażający i nędzny łotr, łajdak i włóczęga”. Myślę, że w takim sformułowaniu zdanie to miałoby więcej gracji. Każdy też chyba przyzna, że określenie „kompozycja szlachetna niczym brylant” nazbyt jest bezbarwne, aby zdołało wyrazić to, co „Kret” z pewnością myślał o wartości swojego poematu.

Po zaznajomieniu się z treścią artykułów w „Sowie”, „Ropusze” i „Krecie” tegoż jeszcze popołudnia wzięłem do ręki egzemplarz „Pająka Długonoga”, pisma gruntownie i długo badającego każde zagadnienie. Oto, co zamieścił „Pająk Długonóg”:

„Lizak”! Październikowy numer tego niezrównanego miesięcznika trafił już do rąk czytelników. W ten sposób przesądzone zostało raz na zawsze zagadnienie pierwszeństwa i odtąd „Koszałki-Opalki”, „Krzykacz” i „Gęsie Gęganie” ośmieszają się jedynie, jeżeli w przedśmiertnych swoich podrygach podejmą kiedykolwiek próby rywalizacji. To prawda, że w karczemnej wrzaskliwości nikt im nie dorówna, ale pod wszystkimi innymi względami – niech żyje „Lizak”! Nie pojmujemy, w jaki sposób to znakomite czasopismo może podołać swoim potwornym wydatkom. Wprawdzie jego nakład wynosi pół miliona, liczba zaś prenumeratorów wzrosła w ciągu ostatnich dwóch dni o siedemdziesiąt pięć procent, lecz z drugiej strony przechodzi to ludzkie pojęcie, jak ogromne sumy wypłaca „Lizak” z tytułu honorariów. Doniesiono nam, że Mademoiselle Buchnijtroche otrzymała aż osiemdziesiąt siedem i pół centa za swoje cenne rewolucyjne opowiadanie, zatytułowane: *Co Katy z Yorktown zrobiła i czego nie zrobiła Katy z Bunker Hill*.

Najświetniejsze artykuły w tym numerze wyszły oczywiście spod pióra redaktora (wybitnego pisarza pana KRABA), ale ponadto wiele znakomych utworów dostarczyli ludzie tej miary, co SNOB, Mademoiselle Buchnijtroche, pan Szczwanosioł, pani Zełgajtroche, pan Bełkotek, pani Oczerńtroche i na ostatku cytowany, acz bynajmniej nie

najostatniejszy pan Szarlatańczyk. Czyż jakiegokolwiek inne pismo na świecie zdołałoby zgromadzić na swoich łamach areopag podobnych geniuszy?

Poemat sygnowany SNOB wzbudził powszechny zachwyt, my zaś zmuszeni jesteśmy zaznaczyć, że zasługuje na gorętszy jeszcze (jeśli to możliwe) aplauz. Tytuł tego arcydzieła sztuki poetyckiej i elokwencji brzmi *Pomada Boba*. Bardzo nieliczni spośród naszych czytelników być może przypominają sobie mgliście, acz z niesmakiem poemat (?) pod tym samym tytułem, poroniony przez nędznego pismaka, łgarza i rzezimieszka, który zatrudniony jest bodajże jako pomywacz w jednej z obmierzłych szmat wydawanych na przedmieściach naszego grodu. Na miłość boską – nie mylcie tych kompozycji! Jak się dowiadujemy, pan FINTIFLUCH BOB jest dżentelmenem o wszechstronnych talentach i głębokiej wiedzy. SNOB to jego *nom-de-guerre*. 15.IX. – ogł. płatn.

Czytając zakończenie powyższej notatki, z ledwością zdołałem powstrzymać gniew. Było dla mnie rzeczą jasną, że owa chwiejność (aby nie rzec delikatność), owa pobłażliwość, z jaką „Pająk Długonóg” wyrażał się o tej świni, redaktorze „Gza”, że owa łagodność mowy, powtarzam, wynikała nie z czego innego, jak ze stronnictwa względem rzeczono „Gza”, którego „Pająk Długonóg” chciał najwyraźniej wynieść w estymie ludzkiej moim kosztem. Każdy by zauważył – nawet ten, kto patrzyłby jednym półprzymkniętym okiem – że gdyby intencje „Pajaka” były całkiem czyste, ów („Pająk”) użyłby określeń jaśniejszych, dosadniejszych i celniej trafiających w sedno. „Pismak”, „łgarz”, „pomywacz” i „rzezimieszek” – wszystko to są epitety w samej intencji tak bezbarwne i tak dwuznaczne, że z pewnością nie wyrządzają szkody, a przynoszą pożytek autorowi najobmierzlejszych strof, jakie kiedykolwiek stworzone zostały przez człowieka. Wiemy wszyscy, co znaczy „potępić chwając powściągliwie”, z drugiej zaś strony każdy chyba zdoła dostrzec ukryty cel „Pajaka” – wychwalanie za pomocą powściągliwych obelg.

Jednakże niewiele mnie obchodziło, co „Pająk” raczył powiedzieć o „Gzie”. Natomiast wiele mnie obchodziło, co „Pająk” powiedział o mojej



własnej osobie. Po tym, jak „Sowa”, „Ropucha” i „Kret” wypowiedziały się szlachetnymi słowami na temat moich zdolności, trudno mi doprawdy było znieść spokojnie poklepywanie po ramieniu przez coś takiego jak „Pająk”, który nazwał mnie jedynie „dżentelmenem o wszechstronnych talentach i głębokiej wiedzy”. Dżentelmen – też mi! Decyzja moja była błyskawiczna: albo otrzymam pisemne zadośćuczynienie, albo wyzwę „Pająka” na pojedynek.

W tym postanowieniu zacząłem się rozglądać za przyjacielem, któremu mógłbym powierzyć posłannictwo do Jego Pajęczej Mości, a ponieważ redaktor „Lizaka” nie szczędził mi oznak życzliwego zainteresowania, w końcu do niego postanowiłem zwrócić się o pomoc w obecnych tarapatach.

Do dziś nie potrafię wytłumaczyć sobie w sposób zadowolający bardzo dziwnego wyrazu twarzy i nie mniej dziwnego zachowania się pana Kraba, gdy mu wyłuszczyłem swoje zamiary. Powtórnie odegrał scenę z dzwonkiem i kijem, nie zapominając też o kaczce. W pewnym momencie naprawdę myślałem, że zakwacze. Lecz po chwili ten niepojęty atak minął i pan Krab zaczął mówić i zachowywać się normalnie. Jednakże nie chciał być moim sekundantem, a co więcej, odwiódł mnie od zamiaru wyzwania „Pająka” na pojedynek; ale mimo wszystko był na tyle bezstronny, iż przyznał, że „Pająk Długonóg” absolutnie nie ma racji – zwłaszcza co się tyczy epitetu „dżentelmen o wszechstronnych talentach i głębokiej wiedzy”.

Pod koniec tej rozmowy pan Krab, który jak rodzony ojciec troszczył się o moją przyszłość, napomknął, że mógłbym zarobić uczciwie trochę gotówki i jednocześnie zyskać większy rozgłos, występując od czasu do czasu z ramienia „Lizaka” w roli Tomasza Hawka.

Poprosiłem pana Kraba, aby mi wyjaśnił, kim jest pan Tomasz Hawk i jakie są jego obowiązki.

Tutaj pan Krab znowu „zrobił wielkie oczy” (jak to mówimy w Niemczech), ale opanowawszy nie bez wysiłku bezgraniczne zdumienie, wyjaśnił mi grzecznie, że użył pełnego imienia „Tomasz”, aby uniknąć gminnego i pospolitego zdrobnienia „Tom”, ale że tak naprawdę, to idzie

właśnie o Toma Hawka, czyli tomahawka, rola zaś tomahawka – to skalpowanie, rozbijanie łbów i temu podobne rozprawianie się z bandą nędznych autorów.

Zapewniłem mojego opiekuna, że jeśli to wszystko, gotów jestem podjąć się roli Tomasza Hawka, wtedy pan Krab wyraził pragnienie, abym nie zwlekając rozprawił się z redaktorem „Gza”, i to w słowach najobelżywszych, na jakie mnie stać, które byłyby zarazem próbką moich możliwości w tym względzie. Natychmiast uczyniłem zadość jego życzeniu, to jest opublikowałem na trzydziestu sześciu stronach „Lizaka” rozprawę krytyczną o pierwszej *Odzie do Pomady Boba*. Przekonałem się niebawem, że rola Toma Hawka jest zajęciem znacznie mniej uciążliwym od pisania poezji, a to głównie dlatego, że bardzo prędko opracowałem pewien system, dzięki któremu wykonywałem swoje obowiązki bez zmęczenia, sumiennie i dobrze. A oto zasady, na jakich oparłem ów system. Kupiłem na licytacji (tanio) używane egzemplarze wyliczonych poniżej ksiąg: *Mowy lorda Broughama*, *Dzieła zebrane Cobbetta*, *Nowy słownik slangu*, *Sztuka wymyślania*, *Tragarze z Billingsgate*, czyli *podręcznik słów plugawych* i wreszcie *O języku Lewisa G. Clarke’a*. Dzieła te poszarpałem dokładnie za pomocą zgrzebła, po czym przesiałem strzępki przez sito, oddzielając starannie wszystko, co mogło się wydać przyzwoite (istny drobiazg). Gdy zostały mi już same mocne zdania, wrzuciłem ich część do dużej cynowej pieprzniczki z podługowatymi otworami, przez które bez specjalnej dla siebie krzywdy mogły się wydostać całe okresy od kropki do kropki. Mieszanka była teraz gotowa do użycia. Kiedy mi powierzono funkcję Toma Hawka, smarowałem arkusz papieru białkiem gęsiego jajka i krajałem na strzępki utwór otrzymany do recenzji w ten sam sposób, w jaki przedtem krajałem księgi, tylko ostrożniej, tak aby każde słowo wypadło oddzielnie, po czym wrzucałem te nowe strzępki do dawnych, okręcałem pieprzniczkę, potrząsałem nią kilka razy i wreszcie posypywałem otrzymaną mieszanką arkusz wysmarowany białkiem. Gdzie popadło. Wynik radował oczy. Zniewalał i porywał. Rozprawy krytyczne, które tworzyłem za pomocą tego prostego środka, stały się wzorem niedościgłym, ósmym

cudem świata. Początkowo – na skutek nieśmiałości zrodzonej z niedoświadczenia – drażniła mnie pewna bezładność... pewne cechy nieco *bizarre* (jak mówimy we Francji) uwydatniające się w całości dzieła. Nie wszystkie zdania pasowały (jak mówimy w świecie anglosaskim). Wiele biegło na opak. Niektóre nawet wywrócone były do góry nogami. I nie znalazłoby się między nimi ani jedno, któremu by ten ostatni nieszczęśliwy wypadek nie zaszkodził – prócz chyba tylko okresów pana Lewisa G. Clarke’a. Te bowiem tak były jurne i krzepkie, że, jak się zdaje, nie wytrącała ich specjalnie z równowagi żadna, najdziwaczniejsza nawet pozycja; i czy na głowie, czy na nogach budziły zawsze w czytelniku to samo uczucie zadowolenia.

Trudno doprawdy orzec, co się stało z redaktorem „Gza” po opublikowaniu przeze mnie rozprawy krytycznej na temat jego *Ody do Pomady Boba*. Wniosek chyba najśluszniejszy, że zapłakał się na śmierć. Tak czy inaczej, natychmiast zniknął z powierzchni ziemi i odtąd nikt nie widział już nawet jego ducha.

Gdy w ten sposób rzecz została należycie przeze mnie załatwiona i furie ułagodzone, pan Krab zaczął mi okazywać wielką łaskawość. Uczynił mnie swoim powiernikiem i dał w „Lizaku” stałą posadę Toma Hawka, a ponieważ chwilowo nie mógł mi płacić pensji, zgodził się, abym bez ograniczeń korzystał z jego dobrych rad.

– Drogi mój Fintifluchu – rzekł pewnego dnia po obiedzie – podziwiam twoje talenty i kocham cię jak syna. Zostaniesz moim spadkobiercą. Kiedy zemrę, „Lizak” przejdzie na twoją własność. Tymczasem zaś zrobię z ciebie człowieka. Tak, zrobię, bylebyś zawsze słuchał moich rad. Pierwsza z nich, to uwolnij się od tego starego dzikusa.

– Dzikusa? Dzika? – spytałem. – Wieprza, czy tak? *Aper* (jak mówimy po łacinie)? Gdzie on? Kto to?

– Mówię o twoim ojcu – odparł.

– Słusznie. Wieprz – rzekłem.

– Powinieneś, mój Fintifluchu, pomyśleć poważnie o przyszłości – podjął pan Krab – a twój ojciec jest ci kamieniem młyńskim u szyi. Musimy się go pozbyć – (tutaj wyciągnąłem nóż). – Musimy się go pozbyć

– powtórzył pan Krab – raz na zawsze. Nic ci po nim, nic a nic. Po namyśle dochodzę do wniosku, żeś go powinien kopnąć albo kijem wyłoić mu skórę, albo coś takiego.

– Co by pan powiedział – podsunąłem skromnie – gdybym go tak najpierw kopnął, potem wyłoił mu skórę, a na zakończenie dał prztyczka w nos?

Pan Krab przyglądał mi się chwilę w zadumie, potem odparł:

– Sądzę, drogi chłopcze, że nie jest to propozycja zła, właściwie jest nawet bardzo dobra... to znaczy, w zasadzie i jako taka. Ale widzisz, golarze to twarde sztuki, więc uważam, że dokonawszy na Tomaszu Bobie zabiegu, jaki proponujesz, powinienesz jeszcze podbić mu oczy bardzo dokładnie i z wielkim staraniem, tak aby nigdy już nie mógł cię widzieć przechadzającego się po wytwornych promenadach. Myślę, że kiedy tego dokonasz, nic już więcej nie będziesz mógł zrobić. Chociaż nie... lepiej byłoby go unurzać raz czy dwa w rynsztoku i oddać w ręce policji. Nazajutrz rano będziesz mógł stawić się w areszcie i przysiąc, że cię napadł.

Byłem głęboko wzruszony tą życzliwością, której dowód dał pan Krab, udzielając mi swojej bezcennej rady; nie omieszkałem też natychmiast z niej skorzystać. W rezultacie, uwolniony od starego nudziarza, poczułem się człowiekiem niezależnym i dżentelmenem. Jednakże brak pieniędzy dawał mi się przez kilka tygodni trochę we znaki. Ale w końcu wyteżyłem wzrok i zaobserwowałem, co się dzieje tuż pod moim nosem, zrozumiałem nagle, jak winienem przeprowadzić całą rzecz. Zważcie – powiadam – „rzecz”, bo mówiono mi, że po łacinie „rzecz” znaczy *rem*. A skoro jesteśmy już przy łacinie – czy ktoś mógłby mi wyłożyć znaczenie słowa *quocunque*? Albo co to znaczy *modo*?

Mój plan był genialnie prosty. Nabyłem za bezcen jedną szesnastą czasopisma „Wyszczekany Żółw” – to wszystko. Rzecz została przeprowadzona, ja zaś zacząłem nabijać sobie kieszenie pieniędzmi. Naturalnie musiałem potem dokonać kilku drobnych operacji; ale nie stanowiły one części składowej mojego planu. Były raczej jego konsekwencją, skutkiem. Otóż kupiłem pióro, atrament, papier i jak

oszałały zabrałem się do roboty. Skomponowawszy tym sposobem artykuł, który zatytułowałem *FIU-BŹDZIU pióra twórcy „POMADY BOBA”*, posłałem go do redakcji „Gęsiego Gęgania”. Ponieważ jednak pismo to określiło moje dzieło w rubryce „Odpowiedzi Korespondentom” jako „czystą bzdurę”, zmieniłem tytuł na *Hop-Siup pióra JWP FINTIFLUCHA BOBA, autora „Ody do Pomady Boba” oraz wydawcy «Wyszczekanego Żółwia»*. Z tą poprawką powtórnie wysłałem artykuł do „Gęsiego Gęgania” i oczekując odpowiedzi co dzień zamieszczałem w „Żółwiu” sześć kolumn tekstu, który najlepiej dałoby się określić jako filozoficzny i analityczny esej o wartościach literackich „Gęsiego Gęgania” oraz wartościach moralnych jego redaktora. Po upływie tygodnia „Gęsie Gęganie” zorientowało się nagle, że w wyniku przykrego nieporozumienia „pomyliło bzdurny artykuł pod tytułem *Fiu-Bździu*, sfabrykowany przez jakiegoś nieznanego durnia, z istnym klejnotem sztuki pisarskiej noszącym ten sam tytuł, a napisanym przez JWP Fintiflucha Boba, słynnego autora *Ody do Pomady Boba*. „Gęsie Gęganie” wyraziło mi swój „głęboki żal z powodu tego bolesnego wypadku” i, co więcej, przyrzekło zamieścić prawdziwe *Fiu-Bździu* w najbliższym numerze.

Otóż myślałem, naprawdę myślałem – myślałem tak wtedy i myślałem potem, i nie mam powodów, żeby teraz myśleć inaczej, że „Gęsie Gęganie” istotnie popełniło omyłkę. A chociaż robiłem, co mogłem, nigdy w życiu nie zdarzyło mi się spotkać drugiego pisma, które popełniłoby tyle najdziwaczniejszych omyłek, co „Gęsie Gęganie”. Od tej chwili darzyłem „Gęsie Gęganie” szczególną sympatią, w wyniku czego bardzo prędko zgłębiłem jego literackie wartości, które – ilekroć nadarzała się po temu stosowna okazja – omawiałem długo i szeroko na łamach „Żółwia”. A należy to uznać za osobliwy zbieg okoliczności – za jeden z owych zdumiewających przypadków, które budzą w człowieku najsolenniejsze myśli – że taka sama raptowna zmiana opinii, takie zupełne *bouleversement*<sup>9</sup> (jak mówimy we Francji), taka całkowita *dogórnygowość* (jeśli mi wolno użyć nazbyt może dosadnego określenia Indian Choctawów), jaka miała miejsce pomiędzy mną z jednej a „Gęsim Gęganem” z drugiej strony, w niedługi czas potem zdarzyła się w

identycznych okolicznościach pomiędzy mną a „Krzykaczem” i pomiędzy mną a „Koszałkami-Opałkami”.

Tak oto jednym mistrzowskim pociągnięciem dopełniłem miary moich tryumfów przez „nabicie sobie kieszeni pieniędzmi”, rozpoczynając tym samym ową błyskotliwą i bogatą w wydarzenia karierę, która uczyniła mnie wielkim i dzięki której rzec teraz mogę za Chateaubriandem: „Ja tworzyłem historię – *J’ai fait l’histoire*”.

Święta to prawda, że „tworzyłem historię”. Od tej epoki radosnej, którą teraz opisuję, moja działalność, moje prace stały się własnością ludzkości. Świat dobrze je zna. Dlatego zbędną byłoby rzeczą, abym opowiadał z licznymi szczegółami, jak to pnąc się szybko w górę, odziedziczyłem „Lizaka”, jak połączyłem go z „Koszałkami-Opałkami”, jak z kolei nabyłem „Krzykacza” i z trzech tych periodyków uczyniłem jeden, jak w końcu udało mi się dobić targu o ostatniego mego konkurenta, jak skupiłem całą literaturę naszego kraju w jednym przewspaniałym czasopiśmie znanym wszystkim i wszędzie pod nazwą

„Krzykacz, Lizak, Koszałki-Opałki  
oraz  
GĘSIE GĘGANIE”

Tak. Tworzyłem historię. Zyskałem światową sławę. Sięga ona do najdalszych zakątków ziemi. W każdym najnędzniejszym choćby świstku ujrzenie wzmiankę o nieśmiertelnym FINTIFLUCHU BOBIE. Pan Fintifluch Bob powiedział to lub pan Fintifluch Bob napisał tamto, albo wreszcie pan Fintifluch Bob zrobił trzecie. Bo ostatecznie czymże ono jest – owo wymykające się wszelkim określeniom coś, które ludzie zwą uparcie geniuszem? Przyznaję słusność Buffonowi – przyznaję słusność Hoghartowi – nie jest to nic innego, jak zwykła wytrwałość i pilność.

Spójrzcie na mnie! Jak ja pracowałem, jak harowałem, jak pisałem! Bogowie – czyżbym może nie pisał? Nie znałem, co to wytchnienie. W dzień nie wstawałem od biurka, nocą – pobladły student – paliłem lampę oliwną. Żałujcie, żeście mnie nie widzieli! Żałujcie! Wychylałem się na

prawo. Wychylałem się na lewo. Siedziałem pochylony do przodu. Siedziałem przechylony do tyłu. Siedziałem wyprostowany. Siedziałem z *tête baissée* (jak się to mówi w Kickapoo), trzymając głowę tuż nad alabastrową kartką papieru. I wciąż, wciąż pisałem! W radości i smutku – pisałem! W dniach głodu i chłodu – pisałem! W doli i niedoli – pisałem! W słońcu i przy księżycu – pisałem! Zbędnym byłoby mówić, co pisałem. Styl – to najważniejsze. Styl podpatrzyłem u Szarlatańczyka – frrr! wrrr! brrr! – oto daję wam próbkę mojego pisarstwa.

*Tłumaczyła Krystyna Tarnowska*

- <sup>1</sup> *Afflatus* (łac.) – natchnienie (przyp. red.).
- <sup>2</sup> *Coup de grace* (fr.) – cios ostateczny (przyp. red.).
- <sup>3</sup> *Hail, Holy Light!* (ang.) – Witaj, święte światło; *hail* znaczy w jęz. angielskim „witaj” i „grad” (przyp. tłum.).
- <sup>4</sup> *Argent comptant* (fr.) – gotówka (przyp. red.).
- <sup>5</sup> *Nom-de-guerre* (fr.) – przydomek, nazwisko przybrane (przyp. red.).
- <sup>6</sup> *Bijou* (fr.) – klejnot (przyp. red.).
- <sup>7</sup> *Nom-de-plume* (fr.) – pseudonim literacki (przyp. red.).
- <sup>8</sup> *Nom-de-plume* (fr.) – tu: wyrażne (przyp. red.).
- <sup>9</sup> *Bouleversement* (fr.) – wzburzenie (przyp. red.).

# Maciej Płaza

## Anioł dziwnych opowieści

Czy taką antologię można rozpocząć inaczej niż od czterech opowieści z tajemniczymi kobiecymi imionami w tytułach? Nie ma wielkiej przesady w przechwałkach Poego, który po ukończeniu *Morelli*, a potem *Ligei* donosił w listach, że oto napisał swoje najlepsze utwory. Prezentujemy je w takiej kolejności, w jakiej powstawały. *Berenice* pochodzi z samych początków krótkiej kariery Poego; *Morella* powstała ledwie kilka tygodni później; *Ligeję* zrodziło pragnienie przepracowania tematu tej ostatniej; wreszcie *Eleonora*, późniejsza o kilka kolejnych lat, zamyka serię zadziwiająco optymistycznym epilogiem. Czytane jednym tchem, te cztery krótkie teksty są rozpisana na części fantazją Poego na temat idealnej miłości. Idealnej, ale i przeklętej, pełnej mrocznych i niszczących uczuć bijących z nieznanego źródła: albo z innej sfery istnienia, niedostępnej nam, zwykłym śmiertelnikom – o ileż przyziemniejszym niż narratorzy tych nowel – albo z ich własnych umysłów, pełnych lęku przed silniejszymi i mądrzejszymi kobietami, a do tego opętanych zniewalającą mocą opium.

Opiumistą jest Egeusz, narrator *Berenice*. Narkotyk wyostrza jego zmysły i pogłębia stany chorobliwego skupienia uwagi na nieistotnych szczegółach, którymi, niestety, w godzinie śmierci narzeczonej stają się jej śnieżnobiałe zęby. Ucieczki w opium szuka narrator *Ligei*, zrozpaczony po śmierci jednej, a potem drugiej żony. Stany narkotyczne, w jakie popadają bohaterowie tych opowiadań, mogą być też ulgą dla tych spośród czytelników, którzy nie potrafią znieść opisywanych przez nich



okropności. Czyż nie można na ich karb złożyć makabry stomatologicznych zabiegów Egeusza albo transformacji Lady Roweny w Lady Ligeję w perwersyjnie urządzonej ślubno-pogrzebowej komnacie? Marna to jednak pociecha. Żaden spośród narratorów Poeego nie jest do końca wiarygodny, ale przecież siła ich opowieści jest taka, że nawet nie pytamy o „prawdę”: ich koszmar staje się naszym koszmarem, nawet jeśli nie jest niczym więcej, jak tylko opiumowym, alkoholowym czy szaleńczym wymysłem.

Na pozór nietrudno naszkicować portret idealnej kobiety z opowiadań Poeego, choć nie będzie on spójny. Doprawdy, osobliwy to ideał. To kobieta niezwyklej urody, inteligencji i charakteru, niekiedy pełna mądrości i erudycji filozoficznej, sięgająca umysłem daleko poza horyzont wiedzy swojego ukochanego, ku sferom mrocznej metafizyki, zawsze przewyższająca go nieziemską wolą życia – wystawioną jednak na próbę przez chorobę i śmierć. We wszystkich czterech nowelach spełnia się fantazmat umierającej piękności – jak wyznawał sam Poe w swoim studium *Filozofia kompozycji*, „najbardziej poetyczny temat świata”. W tragiczny sposób zadzierzgnął się ów temat z życiem pisarza. Przedwczesna śmierć dotknęła wiele ważnych w jego życiu kobiet: matkę Elizabeth Poe, przybraną matkę Frances Allan, młodzieńczą miłość Jane Stanard. W opowieściach tych przepowiedział sobie Poe również i tę największą tragedię: poślubiona przezeń w 1835 roku kuzynka Virginia Clemm zmarła na gruźlicę po siedmiu latach małżeństwa.

Jak pogodzić mądrość, żywotność i siłę kobiet Poeego z bezgranicznym oddaniem mężczyznom, którzy uciekają w świat własnych miraży, złud, marzeń i opiumowych fantazmatów, potrzebują przewodniczki tak w życiu, jak w filozofii, bezskutecznie usiłują zgłębić tajemnice swych potężnych partnerek, a w *Morelli* i *Berenice* nie do końca odwzajemniają ich uczucie? Odpowiedź będzie mroczna: subtelny, acz zauważalny jest wampiryczny rys w portretach tych kobiet. Niekochane czy uwielbiane, zawsze niezrozumiane, zawsze silniejsze, zawsze pełne zatrwazającej, przekraczającej śmierć woli życia – wydają się potrzebować swoich ukochanych do swych niedocieczonych celów. Na pewno zaś jednego tym

nieszczęśnikom nie wolno: zapomnieć o złożonych ślubach po śmierci wybranki. Morella odrodzi się, zabijając córkę-pogrobowca, w chwili, kiedy ojciec obdarzy ją wreszcie, po długoletnim wahaniu, imieniem matki, o którym wolał zapomnieć; Ligeja powróci, wcielając się Rowenę, być może przez siebie – lub przez narratora w opiumowym zamroczeniu – uśmierconą; pogrzebana w kataleptycznym letargu Berenice padnie ofiarą potwornego wyboczenia umysłu Egeusza, nieświadomie i niewinnie – ale przecież zapisana w jego chorobliwej pamięci. I tylko duch Eleonory – z wyroku samego nieba – zwalnia ukochanego ze ślubów. Miłość w tych opowiadaniach jest demoniczna: w *Berenice*, jeśli pozwolić sobie na freudowską interpretację, przybiera postać ukrytej męskiej namiętności, usiłującej przebić się przez zaporę zębów – makabrycznej wizji vagina dentata – do ciała partnerki; w *Morelli* i *Ligei* jest uczuciem totalnym, w romantycznym duchu wyidealizowanym, ale zaborczym, ekskluzywnym, na zawsze wyłączającym bohatera ze świata, rodzącym poczucie winy, które pozbawia ich woli życia. I dopiero *Eleonora* wycisza ten okrutny fantazmat, przenosi go z oparów gotyckiej makabry w niewolny od cienia, ale nierównie pogodniejszy świat niby-baśni, w którym miłość wreszcie uwalnia się od lęku, zazdrości i winy.

Wiele zawdzięczają tradycji gotyckiej miłosne nowele Poego. Posępne, odludne zamczyska czy rezydencje, zamieszkiwane przez oddanych metafizycznym studiom mizantropów, którzy po swoich szlacheckich przodkach dziedziczą nadmierną uczuciowość, wrażliwość i zamiłowanie do ksiąg; piękne i niezwykle kobiety, przedwcześnie umierające na nieuleczalne choroby; fabularne rekwizyty: rodzinne grobowce, wino i opium, znaczący wystrój wnętrza; niezwykle emocjonalny, nawet jak na Poego, styl pierwszoosobowej narracji; wreszcie brak historycznych, geograficznych czy kulturowych konkretów, pozaczasowość miłosno-śmiertelnych perypetii bohaterów – to elementy gotyckiej układanki, skodyfikowanej w angielskiej powieści przełomu XVIII i XIX wieku: *Zamczysku w Otranto* Horacego Walpole’a, *Italczyku* i *Tajemnicach zamku Udolpho* Ann Radcliffe czy *Mnichu* Matthew Gregory’ego Lewisa. W czasach bliższych Poemu piękna gałąź literackiego gotycyzmu

rozkwitła również w Niemczech, pod piórami takich pisarzy jak E. T. A. Hoffmann, Jean Paul czy Novalis, i właśnie w stronę niemieckiego gotycyzmu skierowane są aluzje w *Ligei* – to ze studiów nad niemieckim idealizmem, prowadzonych w mglistej nadreńskiej atmosferze, bohaterka czerpie siłę, która pozwoli jej wygrać ze śmiercią kosztem jasnowłosej anglosaskiej Roweny.

\*\*\*

Sam Poe nie przywiązywał wagi do gotyckich konwencji: w listach odzęgnywał się od przypisywanych mu inspiracji depresyjnym niemieckim romantyzmem i twierdził, że źródłem grozy w jego opowiadaniach jest ludzka dusza, a nie niemieckie inspiracje. Istotnie, gotycką rupieciarnię wykorzystywał po swojemu: dość swobodnie dobierał akcesoria, scenerie, bohaterów i style, często je parodiował. Czynił tak, podejmując swój kolejny ulubiony temat – sumienie zbrodniarza. W debiutanckim opowiadaniu *Metzengerstein* z nieco udawaną powagą szkicuje posępną historię rodowej waśni, której ostatniego kontynuatora, rozpustnego i pysznego magnata, spotyka sroga kara za podpalenie zamku wrogiego rodu. Z czasem opowiadania Poego zaludnili podobni mu zbrodniarze: zadręczeni do szaleństwa przez własne sumienie, spowiadają się ze swych łajdactw w nerwowych narracjach, spisanych zwykle tuż przed śmiercią z rąk kata.

Charakteryzowani, jak zwykle u Poego, jedynie w bolesnych autoanalizach, są dziwnymi personami. W *Sercu – oskarżycielem* nie poznajemy więzi łączących zabójcę z ofiarą ani nawet motywu zabójstwa, słyszymy tylko maniackalną relację z samego aktu zbrodni; w *Czarnym kocie* winowajcą jest alkohol, który zniszczył wrażliwą psychikę bohatera i uczynił zeń zbrodniarza; w *Biesie przewrotności* motywem jest spadek, a przebiegłe zabójstwo, dokonane z zimną krwią, przez lata zdaje się być zbrodnią doskonałą. Zbrodniarze Poego mają uderzającą skłonność do tego, by na podstawie swoich postępków snuć uogólniające wnioski na

temat ludzkiej natury. Najbardziej precyzyjne mieści *Czarny kot* oraz – szczególnie – *Bies przewrotności*, nowelka, której wątku fabuła niemal ginie pod quasi-filozoficznym wykładem, a jego tezę anonsuje już tytuł. Teorie wyjaśniające świat i człowieka są bezwartościowe – głosi narrator-morderca – o ile odwołują się wyłącznie do metafizycznych praw; to nie Opatrzność jest motorem wszechświata i pierwszą przyczyną ludzkich działań; aby ją dostrzec, trzeba obserwować ludzkie czyny, a te dowodzą, że kieruje nimi duch przekory. Niezależnie od tego, skąd pochodzą zakazy, normy, kodeksy i prawa, ich istnienie nieuchronnie prowokuje owego biesa – jeden z najpierwotniejszych i najpotężniejszych popędów ludzkiej natury. Siódme przykazanie prowokuje do zbrodni, zaś jej powodzenie – do przyznania się, nawet za cenę nieuchronnej śmierci na stryczku. Sumienie – ponuro śmieje się Poe – to tylko jeden z szyderczych gestów dręczącego nas demona, wiodącego nas ku temu, czego najbardziej chcemy uniknąć.

Gorzka refleksja Poego nad ludzką skłonnością do zła znalazła dopełnienie w *Williamie Wilsonie*, mistrzowskiej wariacji na prastary temat *Doppelgängera* – demonicznego bliźniaka zwiastującego nieszczęście i śmierć. Poe nie wymyślił tej historii: dość wiernie sparafrazował wątek opublikowanego niewiele wcześniej opowiadania Washingtona Irvinga. Przenikliwość psychologiczna i błyskotliwość fabuły *Williamia Wilsona* spowodowała jednak, że jego temat stał się jednym z mitów nowożytnej literatury – inspirował choćby Roberta Louisa Stevensona z jego nieśmiertelnym *Niezwykłym przypadkiem dr Jekylla i pana Hyde'a*. Z właściwą sobie ironią narratorem noweli uczynił Poe nikkzemnika, a dręczyciela – jego uosobionym sumieniem, lepszą stroną, która w tym starciu nie może zwyciężyć. Miejsce ducha przekory – prymitywnej, obojętnej aksjologicznie siły, która buntuje człowieka przeciw jego własnym celom, dobrym czy złym – zajmuje tu coś, co w XX czy XXI wieku trudno określić inaczej niż wygodnym mianem superego. *Doppelgänger* demaskuje łajdactwa Williama Wilsona przed światem, czyli ocenia je na tle zestawu społecznych norm. Wilson nie popełnił zbrodni, ale przez swoją skłonność do rozpusty, intrygi i oszustwa traci

honor i dręczy go sumienie; los swój przekreśla w finałowym symbolicznym pojedynku, zabijając w sobie resztkę człowieczeństwa.

Opowiadania z tej grupy to niemal moralitety: proste fabularnie, oszczędne w realiach, obfitują w stanowcze, gorzkie sądy na temat ludzkiej natury i wskazują, że nikczemne występki nieuchronnie ściągają na sprawców zasłużoną karę. Gdybyśmy pod ich wpływem skłonni byli posądzać Poego o moralizatorstwo, mogłyby nas otrzeźwić choćby dwie krótkie nowelki, których bohaterowie bezkarnie egzekwują zasłużone i srogie kary. *Żabi Skoczek* i *Beczka Amontillado* to utwory szczególnie często interpretowane autobiograficznie – i takie odczytania wydają się tłumaczyć ich zimne okrucieństwo. Pójdźmy tym tropem. Niech więc *Żabi Skoczek* opowiada o osieroceniu młodego Edgara i usynowieniu przez nieprzychylnego mu Johna Allana, który w spadku przekazał mu jedynie swoje nazwisko; niech mówi o tragicznej podatności Poego na alkohol; niech wreszcie będzie wizją okrutnego odwetu na nieprzyjaznym Poemu nowojorskim środowisku literackim. Niech *Beczka Amontillado* będzie opowieścią z kluczem o wymyślonej zemście na zapamiętany wrogu Poego, polityku, publicyście i pisarzu Thomasie Dunnem Englishu, który w powieści 1844 aluzyjnie sportretował Poego jako grafomana, pijaka i kłamcę; *Beczka Amontillado* zawiera czytelne aluzje do osoby Englisha i jego powieści, a w ich świetle inicjalny wykład bohatera o idealnej zemście, która musi być bezkarna, a zarazem oczywista dla ukaranego, nabiera wyjątkowo szyderczej nuty. Czy odczytanie tych opowiadań jako utworów z kluczem łagodzi ich drapieżność? Niekoniecznie, ale przecież nie musimy w nich szukać pocieszenia. Poe odżegnywał się od intencji moralizatorskich i jego twórczość czytana in extenso zawiera nie tyle potępienie, ile posępny i poddany wnikliwej, gorzkiej analizie obraz, rzeklibyśmy – fenomenologię zła. Nędzny i okrutny jest świat jego opowiadań – zaludniają go ludzie skłonni do rozpusty, pijaństwa, tortur i zemsty, zbrodni z wyrachowania lub bez racjonalnego motywu, niezdolni sprostać stworzonym przez siebie moralnym kodeksom i własnym o sobie samym wyobrażeniom. Tym zaś, co ich najbardziej przeraża, poniża, a zarazem nęci i fascynuje, jest – śmierć.

\*\*\*

Jej cień jest w pisarstwie Poe'go wszechobecny. Niektóre utwory są jednak szczególnie wokół śmierci skoncentrowane, a towarzyszące jej okoliczności usuwają się na bok, stają się tylko otoczeniem jej fenomenu, poddanego przez narratorów bacznej obserwacji. Grozę nadchodzącej nieuchronnie śmierci w męczarniach przywołuje w realistycznej opowieści narrator *Studni i wahadła*. Jej nieuchronność, ale też ludzką skłonność do perwersyjnego z nią flirtu przedstawia symbolicznie *Maska Śmierci Szkarłatnej*; razem z groteskowym *Królem Morem* utwór ten daje również wyraz wciąż panującemu w ówczesnym świecie – a zwłaszcza w świecie Poe'go po epidemii cholery, jaka nawiedziła wschodnie Stany Zjednoczone w 1831 roku – lęku przed zarazą. Wzajemne uwikłania życia, śmierci i sztuki symbolicznie ilustruje miniatura *Portret owalny*, podobnie jak *William Wilson* sparafrazowana w dziele, które przerosło sławą pierwowzór; w tym wypadku jest nim *Portret Doriana Graya* Oscara Wilde'a. *Zagłada domu Usherów* z kolei to w pewnym sensie centrum twórczości Poe'go, zhiperbolizowana opowieść gotycka – sugestywna, wielowymiarowa, rzeklibyśmy: kompletna metafora choroby, upadku i śmierci. *Przedwczesny pogrzeb* to studium rozwijające jeden z ważnych motywów *Zagłady domu Usherów*, echo kolejnej zmy XIX wieku – lęku przed pogrzebaniem za życia. Wreszcie *Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem* to pseudonaukowa fantazja na temat możliwości pokonania śmierci dzięki niezwykle modnej w owych czasach hipnozie, wielce ekscytującej Poe'go i jego współczesnych. Utwór ten zatrzymuje się na progu śmierci, słyszymy w nim zaledwie kilka potwornych słów z tamtego świata; *Rozmowa Monosa z Uną* i *Rozmowa Eirosa z Charmionem* to już dialogi umarłych, zawieszonych w niby-rajskim bezczasie, wstrząsające opisy wrażeń pośmiertnych.

Jeśli jest coś, co łączy te utwory, to – paradoksalnie – uderzająca wielość form, wyobrażeń, metafor śmierci, uzmysławiająca jej przeraźliwą niedostępność dla ludzkich możliwości pojmowania. Oraz oczywiście

paniczny przed nią strach, ale z tym strachem umie walczyć duch przekory. Postawiony w jej obliczu, lecz wyposażony choćby w nagi instynkt przeżycia człowiek będzie się desperacko szamotał i nawet może jej ująć, jak bohater *Studni i wahadła*; ironia jednak kryje się w tym, że śmierć jest tu wmontowana w precyzyjną maszynę Świętej Inkwizycji, czyli bynajmniej nienaturalna. Głęboko pesymistyczna jest historia z *Maski Śmierci Szkarłatnej*: przed zarazą i śmiercią nie uchronią nawet najpotężniejsze mury i zamki, ale przecież dwór księcia Prospera szydzi ze śmierci i flirtuje z nią, pogrążając się w dekadencej rozpuście. O tym, że zaraza skłania do takiego perwersyjnego flirtu, świadczy przecież karnawałowy *Król Mór*, kipiąca czarnym humorem anegdota o pijanych w sztok marynarzach, którzy tylko dzięki wyjątkowo niestosownemu zachowaniu przeżyli przypadkową wizytę na kolacji u dostojników zarazy i śmierci w ogarniętym epidemią Londynie. Jest jednak ponurą specyfiką opowieści Poego, że im lepiej wykształceni, mądrzejsi i wrażliwsi są ich bohaterowie, im przenikliwiej rozumieją sprawy tego i tamtego świata, tym łatwiejszym są dla śmierci łupem; niekiedy wręcz ją prowokują swoim fatalistycznym przekonaniem o nieuchronności końca. Wystarczy porównać los bohaterów *Maski Śmierci Szkarłatnej* i *Króla Mora*, wystarczy wspomnieć, jak dzielnie ratował się prostaczek ze *Studni i wahadła*. Z największą siłą poświadczą to jednak los Roderyka Ushera: ten romantyczny poeta i malarz, ostatni potomek wymarłego rodu, trawiony przez choroby i własną hipochondrię, każdym uczynkiem świadomie wypełnia zapisany mu los, jak gdyby pragnął dorównać w majestacie cierpienia bohaterom antycznych tragedii. Nieprzypadkowo zresztą Usher jest artystą. Sztuka potrafi wyssać życie i ściągnąć śmierć – na artystę i jego bliskich, ofiary jego poświęcenia; może też zaświadczyć o niemoralności artysty; może również po prostu karmić się śmiercią w swoich przedstawieniach. Subtelne odcienie tych związków znać w *Portrecie owalnym*, sugestywnej metaforze ciemnej strony sztuki.

Na tle tych utworów, przepełnionych wyrazistą symboliką, osadzonych w konwencjonalnych realiach, czerpiących pełnymi garściami z gotyckich konwencji, *Przedwczesny pogrzeb* i *Prawdziwy opis wypadku z P.*

*Waldemarem* wyróżniają się brutalnym realizmem. Poe zadbał o uprawdopodobnienie swoich fabuł i częściowo mu się to udało. Współczesny mu czytelnik nie miał powodów, by wątpić w otwierające *Przedwczesny pogrzeb* opisy autentycznych – lub przynajmniej prawdopodobnych – wypadków pogrzebania żywcem. Nie wątpił również w lęk narratora przed koszmarem, który w XIX wieku, czasach raczkującej dopiero medycyny, był tak dojmujący, że imano się najróżniejszych zabiegów, które miały mu zapobiegać: zwlekano z pogrzebem, konstruowano grobowce z odpowiednimi zabezpieczeniami. Wierzono też w *Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem*. Wielu czytelników potraktowało go wręcz jako medyczny raport: na tle ówczesnej fascynacji mesmeryzmem – stanowiącym mieszaninę niezrozumiałych faktów, pseudonaukowych teorii i fantastycznych domysłów – makabryczny pomysł, by sprawdzić skutki zahipnotyzowania człowieka na chwilę przed śmiercią, musiał być perwersyjnie ekscytujący. Opowiadanie ukazało się zresztą jako jedna z licznych w twórczości Poego, zamierzonych bądź mimowolnych mistyfikacji – choć trudno dziś uwierzyć, że się powiodła, zwłaszcza gdy czytamy finałowy opis skutków mesmerycznych zabiegów, zawierający potężną, nawet jak na Poego, dawkę dosłownej makabry. Nie ulega wątpliwości, że bez opisów głosu wydawanego przez trupa pana Waldemara tudzież rozpadu jego nieszczęsnego zewłoku nie byłoby gorączkowych, hiperbolicznych opisów najprzeróżniejszych makabr, których pełna jest twórczość wielkiego admiratora Poego – „samotnika z Providence”, Howarda Phillipsa Lovecrafta.

Osobne miejsce w pisarstwie Poego zajmują dialogi duchów o dźwięcznych, grecko brzmiących imionach. W twórczości tak obsesyjnie osnutej wokół śmierci musiały znaleźć się próby wysondowania drugiej strony; niczym wędrowiec ze średniowiecznej ryciny Poe dotarł do najdalszego horyzontu, przebił go i ogarnięty nienasyconą ciekawością wyjrzał w otchłań. Co tam zobaczył? Niewiele. W głębokiej ciemności usłyszał tylko głosy umarłych, rozpoczynających swoje rajskie bytowanie od dramatycznych wspomnień z ostatnich chwil na Ziemi. *Rozmowa*



*Monosa z Uną* zaczyna się w chwili, która zwykła kończyć wiele tragicznych miłosnych fabuł. Ten opis tużpośmiertnych wrażeń zmarłego, z powolnym zanikaniem zmysłów i władz umysłowych, postępującym z wolna rozkładem i zmieniającymi się stopniowo kategoriami filozoficznymi, uwolnionymi z ograniczeń doczesności, to jeden z bardziej niezwykłych eksperymentów myślowych Poe'go. Przykuwa uwagę nie tylko plastyką opisów odczuć umarłego, nie tylko iście makabrycznie wyłożonym kantowskim przekonaniem, że kategorie myślowe porządkujące materiał ludzkiego doświadczenia są tak naprawdę dziełem ludzkim, zrodzonym w doczesnym *hic et nunc* ziemskiego bytowania, ale też przemyconą mimochodem gorzką diagnozą upadku moralnego ludzkości XIX wieku. Lament *Monosa* sprawia chwilami wrażenie, jakby był pisany dzisiaj – tak sugestywne i ponadczasowe są jego uwagi na temat niewspółmierności naukowo-technicznego postępu i odpowiedzialności moralnej człowieka. O tym, jaka kara może spotkać zdegenerowaną ludzkość, opowiada *Rozmowa Eirosa z Charmionem*. Apokalipsa według Poe'go nie jest oczywiście jednoznaczna: Ziemię niszczy kometa, ale nie sposób dociec, czy przyczyną katastrofy jest działanie ślepych sił natury, czy karzącej ręki niepojętego Boga. Opowieść *Eirosa* o trwodze, jaka ogarnęła ludzkość w obliczu nadchodzącej zagłady, jest nie mniej sugestywna niż relacja *Monosa*. Racjonalizm uczonych i zabobon biblijnych przepowiedni to ścierają się w walce, to wspierają nawzajem w dodawaniu otuchy przerażonej ludzkości – równie potężne w swej władzy nad ludzkimi umysłami i równie bezradne wobec grozy rzeczy ostatecznych.

W jaką całość układa się ta fenomenologia śmierci w opowiadaniach Poe'go? Śmierć jest w nich bliska – znacznie bliższa niż nam, pozornie bezpiecznym, strzeżonym przez medycynę, ludzaco oddalonym od wojen mieszkańcom cywilizacji i kultury Zachodu. W tamtych czasach umierano jeszcze powszechnie – jak *Waldemar*, jak wiele autentycznych, a najbliższych Poemu osób, włącznie z ukochaną żoną *Virginią* – na gruźlicę, miasta bywały dziesiątkowane przez zakaźne choroby, a niewprawy lekarz mógł wziąć kataleptyczny letarg za objaw nagłego

zgonu; śmierć wciąż jeszcze odprawiała swój *danse macabre*. Opowiadania Poe'go, przepełnione mieszaniną lęku i perwersyjnego afektu wobec śmierci, w swoje precyzyjne formy chwytają jej cuchnący, zimny oddech; a różnorodność kostiumów – opowieści gotyckiej, makabreski, reportażu czy quasi-naukowego raportu – sprawia, że jej fenomen staje nam przed oczyma, wyrazisty w swej fascynującej ohydzie. Nowoczesna literatura grozy, przecież jeszcze u swoich początków, w nowelach Poe'go wypełnia co do joty swoje ponure powołanie.

\*\*\*

Bliżej niż sama śmierć jest jednak coś, co w pewnym sensie ją mieści, czyli Nieznane. Przybiera ono różne maski i zaskakuje nas na każdym kroku – ku ucieście bohaterów Poe'go, którzy lubią się z Nieznanym pasować, a kiedy odkryją, że stoi za nim tylko łamigłówka stworzona dla nas przez obojętną rzeczywistość – z zapalem biorą się do jej rozwikłania. Poe'go bawi myśl o tym, w jakąż konfuzję może wpędzić nieroztropnego człowieka zaskakujące ułożenie elementów pozornie oczywistego, codziennego życia. Bohatera *Sfinksa*, który na wsi – i prawdopodobnie również w opium – szuka ucieczki od szalejącej w mieście epidemii, przyprawia o paniczny lęk, przed jego oczami zamieniając owada w straszliwego potwora; karze młodego próżniaka z *Okularów*, żeniąc go ze staruszką, w której ów zadurzył się, niedowidząc; wreszcie wysyła Anioła Dziwnych Przypadków, by sponiewierał pewnego cynicznego sybarytę, ufającego, że świat został urządzone tak, by spełniać jego zachcianki. Opowiadania te, pełne czarnego, ale niekiedy też zaskakująco bezpretensjonalnego humoru, wydają się mówić, że świat jest racjonalny i poznawalny dla otwartego umysłu. O tym, jak bliski jest Poemu ten pogląd, świadczą utwory, których główną osią jest proces racjonalnego rozwiązywania zagadek stawianych przez świat. W *Złotym żuku* zagadka zostaje jeszcze wmontowana w konwencję – spastiszowaną zresztą – przygodowej opowieści o pirackim skarbie; przyznać trzeba, że ze swoich

kryptograficznych zamiłowań i umiejętności, z których znany był współczesnym, Poe uczynił tu błyskotliwy użytek: wymyślił historię tak ekscytującą, że inspirowali się nią nawet profesjonalni kryptografowie. Najbardziej wpływowym literackim wynalazkiem Poego okazał się jednak model opowiadania, w którym miejsce pirackich skarbów zajmuje zbrodnia, a dziwaka włączającego się w ich poszukiwaniu po nadbrzeżnych skałach – zamknięty w swojej wielkowiejskiej samotni hobbysta rozumu, rozwiązujący nierozwiązywalne zagadki.

Trudno powiedzieć, jak wyglądałaby dzisiaj historia opowieści kryminalnej – i czy w ogóle narodziłaby się ona w znanym nam kształcie – gdyby nie zaledwie trzy opowiadania o tajemniczym paryskim dandysie, kawalerze Auguste Dupinie. Hercule Poirot Agathy Christie i Sherlock Holmes Arthura Conan Doyle’a to niemal kopie tego mistrza kryminalnej indukcji i dedukcji, czyli rozwiązywania zagadek kryminalnych drogą precyzyjnego wnioskowania, wysnutego z wnikliwie przeprowadzonej obserwacji miejsca zbrodni, tudzież intuicji psychologicznej, pozwalającej wczuć się w psychikę zbrodniarza. Lata trzydzieste XIX wieku były idealnym momentem narodzin opowiadania detektywistycznego (choć nie znano jeszcze wówczas terminu „detektyw”). Złożyły się na to trzy czynniki: szybki rozwój wielkich miast wraz ze wzrostem specyficznym miejskiej przestępczości, narodziny nowoczesnej policji oraz intensywny rozwój codziennej prasy. Fenomen prasy, zdającej podekscytowanej masowej publiczności szczegółowe relacje ze zbrodni i śledztw, uświadamia choćby *Tajemnica Marii Rogêt*, w której Dupin rozwiązuje zagadkę dosłownie z fotela, opierając się wyłącznie na precyzyjnej analizie i krytyce doniesień prasowych o postępach dochodzenia. Poe dokonał jednak czegoś więcej niż prostej adaptacji gazetowej tematyki na potrzeby fikcji. Wyposażył Dupina nie tylko w błyskotliwy, bezbłędny umysł, ale też w atrakcyjne cechy literackie: ogromną erudycję, przenikliwość psychologiczną oraz wiedzę filozoficzną wykraczającą poza znajomość zasad logicznego wnioskowania i obejmującą obszar, który wówczas nie istniał jako odrębna dyscyplina filozoficzna, ale pokrywa się z tym, co dziś nazywamy metodologią nauk.

Dzięki temu opowiadania Poego nie są zwykłymi powiastkami detektywistycznymi, tylko oryginalnymi, mniej (*Tajemnica Marii Rogêt*) lub bardziej (*Zabójstwo przy rue Morgue*) fabularnymi traktacikami o zasadach ludzkiego poznania, o złych i dobrych metodach poruszania się w świecie faktów, domysłów i interpretacji. Ideał umysłu, jaki Poe przedstawia w tych opowiadaniach – pośrednio w postaci Dupina, ale też w jego teoretycznych wywodach wypełniających *Skradziony list* – jest bardzo literacki: to umysł matematyka i poety zarazem, łączącego umiejętności analityczne i kombinatoryczne z wyobraźnią i intuicją. Szczegółowe wywody Dupina, w połączeniu z pokazami jego metody, są jednak na tyle uniwersalne, że można je traktować jako prowadzony z racjonalistycznych pozycji, pogładowy wykład ogólnych prawideł orientowania się w świecie: obserwacji, wyciągania wniosków, odróżniania prawdy od fałszu – a także pouczenie o tym, że wiedzy powinien towarzyszyć zmysł etyczny, zaś nikczemne jej wykorzystywanie jest zbrodnią.

Trudno znaleźć w opowiadaniach kryminalnych Poego choćby jeden znaczący element, który nie został zapożyczony i rozwinięty przez naśladowców. Zasady wnioskowania detektywa; pokazowe popisy wnioskowań, choćby czytania w myślach narratora; struktura opowiadania ze zbrodnią jako momentem początkowym, narracją jako procesem rekonstrukcji, momentem kulminacyjnym w postaci prezentacji sprawcy i następującym po nim wyjaśnieniu zagadki; sugestywny portret detektywa – chimerycznego samotnika, erudyty i artysty; sylwetka narratora – mniej bystrego towarzysza detektywa, który relacjonuje śledztwo, wraz z czytelnikiem dziwić się jego błyskotliwości; postać prefekta reprezentującego profesjonalną, ale myślowo przyciężkawą machinę policyjną – metaforę myślenia rutynowego i schematycznego; wreszcie inspirujący koncept „zamkniętego pokoju”, czyli zagadki pozornie paradoksalnej, niedopuszczającej istnienia zbrodniarza – wszystkie te elementy konwencji opowiadania kryminalnego są wciąż żywe. Co ciekawe, ale też znamienne dla pisarstwa Poego: pomysłowa, ale skazana przecież na schematyzm konwencja kryminalna zrodziła się w

opowiadaniach poniekąd nietypowych: albo opisujących zbrodnię bez zbrodniarza (*Zabójstwo przy rue Morgue*), albo ograniczonych do prezentacji rozumowania detektywa. W *Skradzionym liście* i *Tajemnicy Marii Rogêt* w zasadzie nie ma przecież kulminacyjnego momentu odkrycia sprawcy, a to ostatnie opowiadanie nawet przemilcza kwestię jego tożsamości.

Poe jako autor opowiadań kryminalnych jest pod wieloma względami przeciwieństwem Poego „gotyckiego” – twórcy makabrycznych baśni o miłości i śmierci. Razem ze swym Dupinem jest człowiekiem swoich czasów, czyli początków nowoczesności: ery narodzin nauk przyrodniczych, wielkomijskich procesów społecznych i instytucji. Gdzieś na marginesie tej gałęzi jego pisarstwa pozostaje makabreska Tyś nim jest!, w której Poe parodiuje wymyśloną przez siebie konwencję, oraz nowela *Człowiek tłumu* – utwór osobny, jakby kolejna wariacja na temat *Doppelgängera*, wtopiona w wielkomijski krajobraz Londynu, będąca osobliwym memento: są rzeczy niewypowiedziane, zbrodnie, których wyjaśnienia pogrzebano na dnie nieprzeniknionych serc, i nawet dobrze, że niektóre z tych samotnych serc zamknęły przed światem swoje tajemnice.

\*\*\*

W swojej poznawczej ciekawości bohaterowie Poego zapędzają się daleko: wyruszają w niezwykle, szalone lub przerażające podróże, a po powrocie snują opowieści, które – jak wiele innych opowiadań pisarza – na długo zaklinają wyobraźnię czytelników i pisarzy. Straszliwe przekleństwo wisi nad wędrowcami Poego: rzuca ich od razu na skraj świata, z którego zwykle nie wracają, a jeśli wrócą – to, co ujrzeli, odmienia ich na zawsze. Norweski rybak, który z wrakiem swego statku zstąpił w bezdeń Maelströmu, traci dwóch braci i zdrowie, a głębie morskiego wiru z jego opowieści przypominają raczej wrota piekieł niż jakikolwiek znany nam ziemski fenomen. Po bohaterze *Rękopisu*

*znalezionego w butli* pozostaje tylko tytułowy dziennik niesamowitej podróży na okręcie widmie, znajdującej finał w otchłannej przepaści, być może prowadzącej do samych głębin Ziemi. Artur Gordon Pym wraz ze swoim towarzyszem odbywa morską podróż inicjacyjną pełną najokrutniejszych przeżyć, które odzierają jego człowieczeństwo do nagiego zwierzęcego rdzenia; sztormy, okrętowy bunt, zbrodnie, głód i ludożerstwo doprowadzają ich do niesamowitych wysp w pobliżu bieguna południowego, gdzie świat odmienia swoje formy i przekazuje niepojęte znaki; Hans Pfaall, sprytny holenderski rzemieślnik, ucieka przed wierzycielami na Księżyc zmyślnie skonstruowanym balonem, lecz prawdopodobnie odcina sobie możliwość powrotu na Ziemię. Szeherezada przypłaca życiem niesamowitą opowieść o rejsie po fantastycznym dla króla okrutnika świecie XIX wieku.

W różnorodne kostiumy ubrał Poe swe podróżnicze opowieści: jest w nich sporo groteski, nierealnej niesamowitości, literackiej konwencji – a jednak uderza w nich szczególnie skłonność do uprawdopodobniania, wkładania ich w pozornie obiektywny cudzysłów. Te cudzysłowy również są literackie – zwykle to po prostu różne warianty konwencji „znalezionego rękopisu” – ale niekiedy ich użycie przynosiło zaskakujące efekty. Najpiękniejszym przykładem jest *Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket*, mistyfikacja skonstruowana tak misternie, że wiara w autentyczność opisanych w niej przygód była wśród współczesnych czytelników niemal powszechna. Znając finał tej historii, trudno w to uwierzyć, ale wiedzieć trzeba, że Poe nie wymyślił jej pseudonaukowego tła, tylko zaczerpnął je z modnej wśród współczesnych osobliwości. Chodzi o teorię „wydrążonej Ziemi”, wymyślonej i ogłoszonej w 1818 roku przez emerytowanego oficera armii amerykańskiej Johna Clevesa Symmesa, Jr. Głosiła ona, że oba bieguny są wrotami do wnętrza naszej planety, która nie jest kulą, tylko pustą sferą, zawierającą kilka kolejnych koncentrycznych sfer. Symmes intensywnie popularyzował swoją teorię, aż do śmierci w 1829 roku zabiegał też w Kongresie o sfinansowanie wyprawy do któregoś z biegunów. Nie zdążył tego uczynić, mimo że udało mu się pozyskać możliwych protektorów, a dalekim pokłosiem jego idei

stała się wyprawa badawcza w okolice Antarktydy podjęta w 1838 roku. Jeszcze za życia Symmesa, w 1820 roku ukazała się książka o nieustalonym do dziś autorstwie i intencji (jeśli pisał ją Symmes, można uznać ją za mistyfikację, jeśli nie – za parodię jego koncepcji), zatytułowana *Symzonia: A Voyage of Discovery*, opisująca wyprawę do położonych we wnętrzu Ziemi krain – niewątpliwie będąca bezpośrednią inspiracją dla przygód Pyma. Koncept ów, odarty już z pozorów prawdopodobieństwa, dołączył do licznej grupy pomysłów Poego, które przetrwały w licznych literackich kontynuacjach i aluzjach: nawiązywał doń i Jules Verne, i H. P. Lovecraft, i pisarze współcześni z Georges'em Perekiem na czele.

Podróżników Poego rzuca poza krańce znanego im świata bezwzględna, tajemnicza siła, a Poe robi, co może, by opowieści o ich peregrynacjach uwiarygodnić. Działa tu na pewno demon przekory, każący wyzywać niebezpieczeństwo. Groza tych opowiadań uświadamia, że powstały one u schyłku epoki żaglowców, gdy każda morska podróż była długotrwałym, niebezpiecznym przedsięwzięciem, marynarskie przesady stanowiły równie ważne źródło wskazówek, jak przyrządy nawigacyjne, a ponadto istniały jeszcze miejsca tak słabo zbadane, że można było jeszcze uwierzyć, iż bieguny są wrotami do wnętrza Ziemi. Ale jest też w tych opowiadaniach pierwiastek prawdziwego wizjonerstwa – znać w nich wysiłek wyobraźni skierowany poza granice poznanego i opisanego świata, wiarę w to, że nawet jego najdalsze i być może potworne rubieże nie są niepokonane dla literatury, choćby miała być tylko zapisem grozy w obliczu Nieznanego. Nieprzypadkowo niektóre z tych opowieści – na pewno *Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla*, na pewno też *Tysiącna i druga opowieść Szeherezady* – są załącznikiem kolejnej konwencji, która kilkadziesiąt lat po śmierci Poego wybuchła różnorodnością form, na zawsze w jego pisarstwie zadłużona – *science fiction*.

\*\*\*

Poego najwyraźniej bawiło wyprowadzanie czytelników w pole. Wykorzystywał w tym celu ignorancję geograficzną, fizyczną czy medyczną jego współczesnych. To, na czym się znał, uzupełniał wiedzą fikcyjną, prawdopodobną bądź zupełnie fantastyczną, zaś jako medium wykorzystywał prasę, wielusettyśięcznymi nakładami zaspokajającą powszechny głód wiedzy i sensacji. Ślady mistyfikacji obecne są w licznych jego utworach, choć wiele z nich zostało zatartych przez upływ czasu i zasypanych przez naukę. W czasach Poego wierzono w przygody Pyma, w przypadek pana Waldemara, a nawet – choć trudno w to uwierzyć – w wyprawę Hansa Pfaalla, również opublikowaną jako mistyfikację, choć stosunkowo lekkiego kalibru. Poe szykował kontynuację *Nieporównanej przygody...*, ale przeszkodził mu cykl artykułów, którego publikację rozpoczęła w 1835 roku, krótko po ukazaniu się *Pfaalla*, gazeta „New York Sun” – znany dziś jako *Great Moon Hoax – Wielka bujda księżycowa*, opisujący florę i faunę odkrytą na Księżycu. Wcale prawdopodobne, że Poego zainspirował sukces tego cyklu. Zdyskontował go zresztą w błyskotliwy sposób 13 kwietnia 1844 roku, publikując na łamach tej samej gazety artykuł relacjonujący niezwykle, zaledwie trzydniowy przelot balonem przez Atlantyk, dokonany przez kilku zuchwałych i pomysłowych entuzjastów aeronautyki. Zanim go po dwóch dniach zdementowano, artykuł wywołał wielką sensację – zaopatrzony w szczegółowy opis balonu, przygotowań do lotu i fragmenty dziennika brytyjskich podróżników, a nawet w rysunki poglądowe i mapę, czytany był masowo. Poe wspominał potem, że nigdy wcześniej nie widział żadnych lektury tłumów oblegających redakcję dziennika. Dziś znany jako *Bujda balonowa* – bo jakżeby inaczej? – tekst rzeczywiście wydaje się nie różnić stylem od ówczesnych publikacji prasowych, a szkolna wiedza fizyczna pewnie i dziś mało komu wystarczy, by zweryfikować jeśli nawet nie prawdziwość, to choćby prawdopodobieństwo tej opowieści.

Logika *Bujdy balonowej* znów wydaje się nam dziwnie znajoma. Oto Poe wyszedł od bujnie się wówczas rozwijającej dziedziny technologii,



darzonej powszechnym zainteresowaniem, a przy tym – co jest prawidłowością dziejów nauki i techniki – rzutowanej w przyszłość jako technologia wiodąca, która rozwiąże mnóstwo problemów i może nawet skieruje rozwój cywilizacji na zupełnie nowe tory; na tej podstawie stworzył historię fikcyjną, niezwykłą i dla lepiej wykształconych czytelników może nawet wątpliwą, ale dla ogółu prawdopodobną, radośnie ekstrapolującą możliwości balonowej technologii. To typowa logika *science fiction*. Jak dziś czytać ten utwór i inne fantastycznonaukowe mistyfikacje Poego? Ich „fałszerską” otoczkę złuszczył czas; razem ze swoim edytorskim kontekstem pozostają jednak niezwykłym dokumentem swojej epoki, z jej poziomem wiedzy i niewiedzy. Są również popisem wszechstronności, erudycji i błyskotliwości Poego – pisarza z równą łatwością kreślącego obrazy najstraszliwszej makabry, jak i bezpretensjonalne, skrzące się dowcipem paradokentalne opowiadania.

Na zakończenie pozostały nam wyimki z tej odnogi pisarstwa Poego, która choć pełna humoru, skrywa pełne jadu satyryczne żądło, zwrócone przeciw środowisku, w którym pisarz Poe egzystował niemal przez całe dorosłe życie, z którym splotły się jego życiowe perypetie i losy jego twórczości. Powodzenie paranaukowych mistyfikacji to jasna strona związków Poego z dziennikarstwem – znajomość reportażowego stylu, rynku prasowego i oczekiwań publiczności pozwoliła mu stworzyć sugestywne i zabawne teksty. Ciemną, choć pozornie jeszcze zabawniejszą stroną są zjadliwe satyry wymierzone w środowisko żurnalistów, redaktorów i właścicieli prasy – w ich filisterstwo, tępotę, merkantylny stosunek do literatury tudzież porywy żalonych ambicyjek. Niektóre z tych tekstów zestarzały się – pisane jako opowieści z kluczem, satyry na redaktorów, gazety, środowiska intelektualne, a nawet kierunki filozoficzne, które w czasach Poego dyktowały kierunki myśli i literackie mody, dziś nie są w pełni zrozumiałe, jeśli je czytać bez solidnego komentarza. Wciąż mogą setnie bawić – ale i smuć, bo słyhać w nich osobliwy ton, z jakim Poe uprawiał na łamach czasopism krytykę literacką: złośliwy, konfliktowy, insynuacyjny. Dwa opowiadania, na

których możesz, Czytelniku, zakończyć lekturę niniejszej antologii – jeśli zaufałeś wytyczonej przez nas ścieżce po imaginarium Poego – są jednak dość uniwersalne. Ich absurdalny humor, przeważający nad historycznym konkretem, zamazuje nieistotne dziś satyryczne adresy, pozostawiając nam na uciechę i pod rozwagę straszną śmieszność „powierzchni” literatury – redakcji i łamów gazet i czasopism, czyli miejsca, gdzie talent i beztalencie stają do wyścigu po sławę, a literackie mody, kaprysy redaktorów i ansy krytyków wydają swoje surowe wyroki. *Zaesowanie agapitu* i *Kariera literacka JWP Fintiflucha Boba* to opowiadania przezabawne, a przy tym okrutne. Zza pleców ich kabotyńskich bohaterów słyhać szaleńczy chichot. To oczywiście Poe, śmiejący się histerycznie ze swoich niespełnionych marzeń o „Stylusie”, elitarnym literackim periodyku; z dziewięciodolarowego honorarium za poemat *Kruk*, jedno z największych poetyckich arcydzieł romantyzmu; z dwudziestu egzemplarzy autorskich, jakie stanowiły jedyny zysk z *Opowieści groteskowych i arabeskowych*, jego najważniejszej książki; z dziesiątków podobnych niepowodzeń, które uczyniły zeń biedaka, a w świadomości potomnych – archetyp le poète audit, poety przeklętego, wyrzutka filisterskiego społeczeństwa, niedocenionego przez współczesnych. W takiej właśnie postaci pokochała go dekadencja Francja, która przekładami Baudelaire’a rozpoczęła fantastyczną pośmiertną karierę Poego w Europie.

\*\*\*

Przypadek Baudelaire’owskich przekładów Poego na francuski zaświadcza, jak ważne w międzynarodowej recepcji wielkich pisarzy – zwłaszcza tak subtelnych i wszechstronnych stylistów jak Poe – są dobre tłumaczenia. My również mieliśmy do nich szczęście. Poego spolszczało wielu dobrych tłumaczy, zwłaszcza w pierwszej połowie XX wieku. Próbie czasu, która bezlitośnie odesłała do lamusa wiele dobrych, ale zbyt manierycznych przekładów, oparło się dwóch tłumaczy: Bolesław

Leśmian, niezrównany w swojej stylistycznej maestrii, i niewiele mu ustępujący literacko, a nieco wierniejszy wobec oryginału Stanisław Wyrzykowski. W ich przekładach Poe niewiele się zestarzał: choć obaj niewolni od młodopolskich manieryzmów, zdołali nadać jego stylowi formę, która jest zrozumiała i zachwycająca po dziś dzień. Wybór między jednym i drugim – w dość licznych przypadkach, kiedy dane opowiadanie tłumaczyli obaj – był niesłychanie trudny; dokonując go, braliśmy pod uwagę najrozmaitsze czynniki: wierność wobec oryginału, urodę stylu, pomysłowość językową. Niekiedy, jak w przypadku *Rękopisu znalezionej w butli*, *Zagłady domu Usherów* czy *Króla Mora*, rozstrzygnąć musiał szczegół – kluczowa, a bardziej zrozumiała maksyma, wierniej spolszczony wiersz czy trafniej oddany przydomek bohatera. Innym razem, choćby w *Berenice* i *Owalnym portrecie*, decydował fakt, którego są świadomi tylko najwnikliwsi czytelnicy Poego. Otóż niektóre opowiadania już za życia autora ukazywały się w wersji dłuższej i krótszej: bywało, że pisarz opuszczał w kolejnych wydaniach fragmenty, które on sam albo krytycy uznawali za zbyt bulwersujące – i polscy tłumacze przekładali różne wersje tych samych utworów. Oczywiście w obu przypadkach prezentujemy Czytelnikowi wersje pełne, a mniej znane, bo rzadziej publikowane.

Dylematów takich nie przysparzały przekłady pozostałych tłumaczy, bowiem większość z nich to wciąż jedyne spolszczenia tych utworów.

W ostatnich latach Poe znów jest wyzwaniem dla tłumaczy; pojawiają się nowe, nierzadko znakomite przekłady jego opowiadań, co świadczy zarówno o żywotności samego pisarza, jak i ciągłości naszej, rodzimej tradycji literackiej, jaką jest tłumaczenie tego niezwykle trudnego w swoim bogactwie i wyrafinowaniu pisarstwa. Na potrzeby niniejszej antologii dokonaliśmy wyboru spośród przekładów klasycznych: uczyniliśmy tak w przekonaniu, że są one nadal żywe i godne publikacji, często wciąż niezastąpione.

Poe jest nieśmiertelny – z takim przekonaniem oddajemy w twoje ręce, Czytelniku, wybór jego najlepszych opowiadań. Gdyby ktoś w to wątpił, niech spróbuje wyobrazić sobie, jak wyglądałaby bez niego

amerykańska i europejska literatura; jak wyglądałyby nasze sny; kto nazwałby nasze lęki i pokazał nam nasze koszmary. Oto prawie czterdzieści cudownych i okrutnych opowieści – przeczytajmy je raz jeszcze, z uwagą i zachwytem.

# Nota edytorska

Teksty zostały oparte na następujących wydaniach:

*Arabeski*, t. I i II, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1922

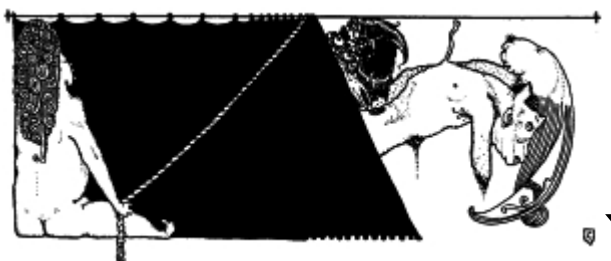
*Opowiadania*, t. I i II, Czytelnik, wyd. I, Warszawa 1956 i wyd. II, Warszawa 1989

*Opowieści nadzwyczajne*, E. Wende i Spółka, Warszawa 1913

*Opowieści niesamowite*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976

*Opowieści niezwykle*, Wydawnictwo Siedmioróg, Wrocław 2000

W niniejszej edycji zachowano przypisy tłumaczy i redaktorów pierwotnych wydań. Tam, gdzie potrzeba, dodano nowe objaśnienia. Wszystkie przekłady zostały skolacjonowane z wersjami oryginalnymi, w większości pochodzącymi z wydania *The Works of Late Edgar Allan Poe, With Notices of His Life and Genius*, J. S. Redfield, New York 1850. Zgodnie z nimi w przekładach wprowadzono liczne poprawki edytorskie: uzupełniono opuszczone przez tłumaczy autorskie przypisy i motto, poprawiono lub uaktualniono pisownię nazw geograficznych, cytatów obcojęzycznych, nazwisk i tytułów dzieł cytowanych bądź wspomnianych w utworach, przywrócono oryginalny podział na akapity oraz wyróżnienia fragmentów tekstu spacją bądź wersalikami.



## Spis treści

### I. Śmiertelny uścisk miłości

Berenice (Berenice)

Morella (Morella)

Ligeja (Ligeia)

Eleonora (Eleonora)

### II. Tortura sumienia, rozkosz zemsty

Metzengerstein (Metzengerstein)

Bies przewrotności (The Imp of the Perverse)

Czarny kot (The Black Cat)

Serce – oskarżycielem (The Tell-Tale Heart)

William Wilson (William Wilson)

Beczka Amontillado (The Cask of Amontillado)

Żabi Skoczek (Hop-Frog)

### III. Po tej i tamtej stronie śmierci

Studnia i wahadło (The Pit and the Pendulum)

Maska śmierci szkarłatnej (The Masque of the Red Death)

Król Mór (King Pest)

Owalny portret (The Oval Portrait)

Zagłada Domu Usherów (The Fall of the House of Usher)

Przedwczesny pogrzeb (The Premature Burial)

Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem (The Facts in the Case of M. Valdemar)

Rozmowa Monosa z Uną (The Colloquy of Monos and Una)

Rozmowa Eirosa z Charmionem (The Conversation of Eiros and Charmion)

### IV. Zagadki i tajemnice rzeczywistości

Sfinks (The Sphinx)

Okulary (The Spectacles)

Anioł dziwnych przypadków (The Angel of the Odd)

Złoty żuk (The Gold-Bug)

Zabójstwo przy Rue Morgue (The Murders in the Rue Morgue)

Tajemnica Marii Rogêt (The Mystery of Marie Rogêt)

Skradziony list (The Purloined Letter)

Tyś nim jest! (Thou Art the Man)

Człowiek tłumu (The Man of the Crowd)

## V. Dalej niż na koniec świata

W bezdni Maelströmu (A Descent into the Maelström)

Rękopis znaleziony w butli (MS. Found in a Bottle)

Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket (The Narrative of Arthur Gordon Pym of Nantucket)

Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla (The Unparalleled Adventure of One Hans Pfaall)



Tysiącza i druga opowieść Szeherazady (The Thousand-and-Second Tale of Scheherazade)

VI. Czy pisanie to zajęcie dla dżentelmena?

Bujda balonowa (The Balloon Hoax)

Zaesowanie agapitu (X-ing a Paragrab)

Kariera literacka JWP Fintiflucha Boba (The Literary Life of Thingum Bob, Esq)

Posłowie: Maciej Płaza, Anioł dziwnych opowieści

Nota edytorska

